CHAOS W MOJEJ GŁOWIE

GRUDZIEŃ 2015 NUMER 12

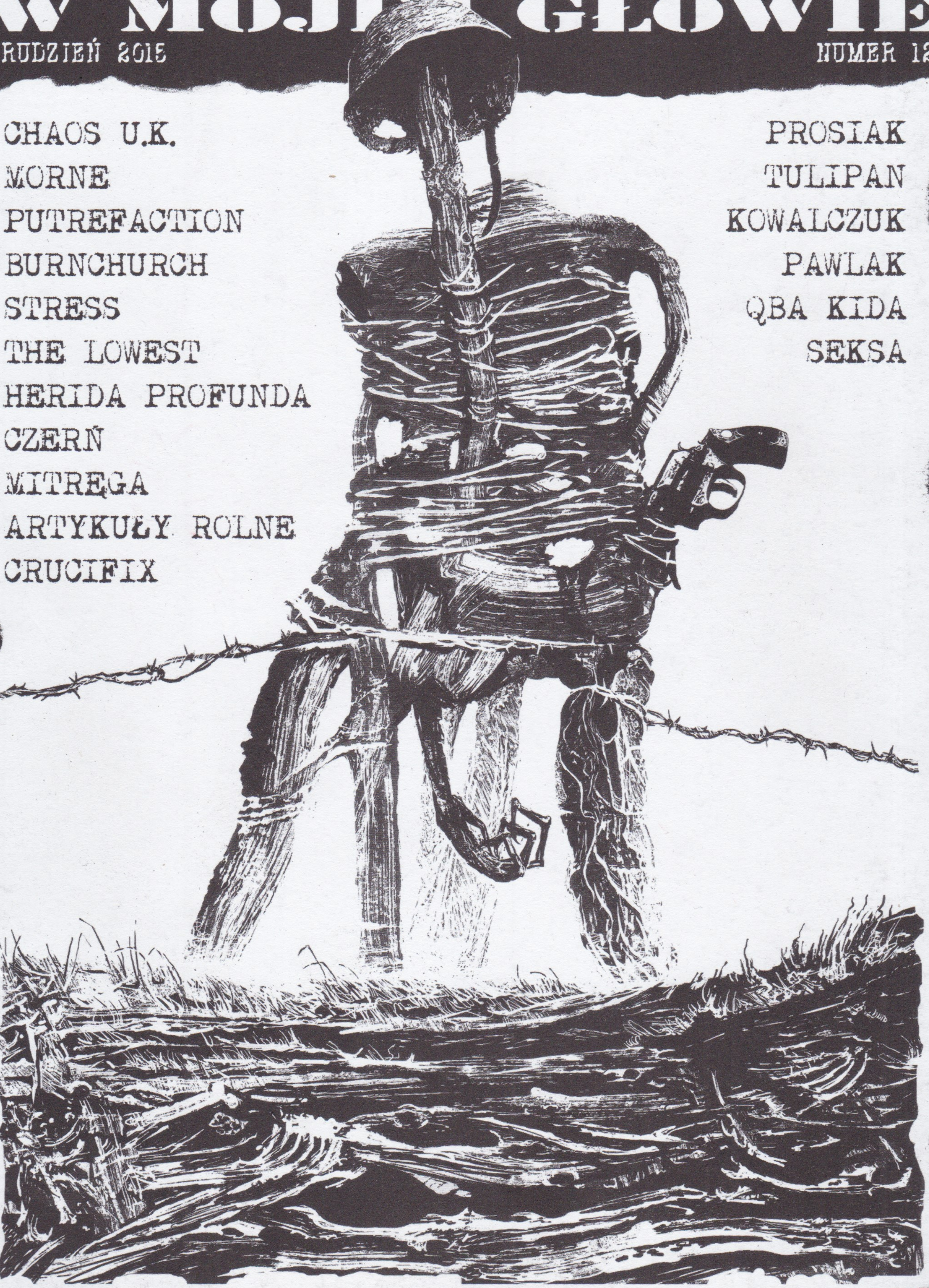

CHAOS U.K.
MORNE
PUTREFACTION
BURNCHURCH
STRESS
THE LOWEST
HERIDA PROFUNDA
CZERŃ
MITRĘGA
ARTYKUŁY ROLNE
CRUCIFIX
PROSIAK
TULIPAN
KOWALCZUK
PAWLAK
QBA KIDA
SEKSA

www.chaoswmojejglowie.pl
chaoswmojejglowie@o2.pl
www.facebook.com/chaoswmojejglowiepl/

CHAOS W MOJEJ GŁOWIE

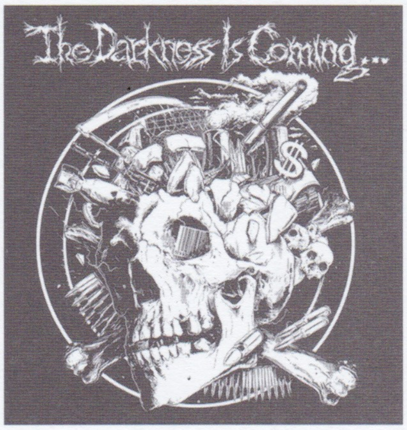

V/A - THE DARKNESS IS COMING... 7"EP
BURN THE CROSS/SOCIAL CRISIS/DRIP OF LIES/ANTICHRIST/NON PRESIDENT/INFEKCJA

ADWENT - RAZ SIĘ ŻYJE CD

ESKATOLOGIA
SKAM - SKULD - SVEK 10"

GUANTANAMO PARTY PROGRAM II CD

CEASELESS DESOLATION
NICOŚĆ CD

INFEKCJA
S/T 7"EP

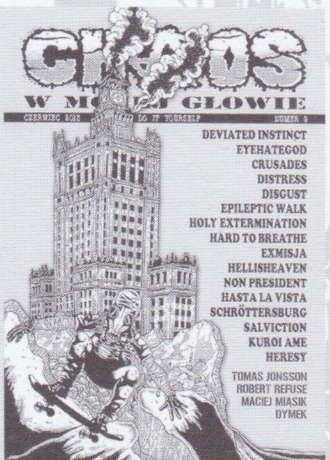

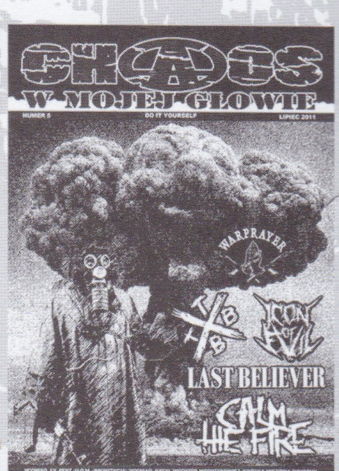

CHAOS W MOJEJ GŁOWIE Numer 9, czerwiec 2013
CHAOS W MOJEJ GŁOWIE Numer 7, czerwiec 2012
CHAOS W MOJEJ GŁOWIE Numer 6, grudzień 2011
CHAOS W MOJEJ GŁOWIE Numer 5, lipiec 2011

CHAOS W MOJEJ GLOWIE

NUMER 12 GRUDZIEŃ 2015

REDAKCJA:
Pablo, QbaQ, Gruha, Tomek, Don Pedro

POMOC I WSPÓŁPRACA:
Endi, Mike, Grzester, Urbx, Krawat, Wolf, Młody, Jarek vel Roman Boryczko, Andrzej Tadko, Janson, Robak Punk, Filip Fuchs

KOLUMNY:
Jarek, Diabolique, Łukasz (MNODA), Rav, Szymon, Krzysiek Grabowski, xK.x

PODZIĘKOWANIA:
Alicja (Vege Inicjatywa), Kostek (Outside Fest/NON PRESIDENT), Zbyszek Pawlak, Seksa, Qba Kida, Tulipan (ex-S.K.T.C.), Łukasz Kowalczuk, Prosiak, Michał, Stasiu, Jurek, Łukasz, Paweł (THE LOWEST), Leczo, Erick (PUTREFACTION), Edi, Borówa, Jędras, Gavlish (HERIDA PROFUNDA), Belo, Skrobek, Decu, Smalec (MITRĘGA), Janek, Arek, (CZERŃ), Kastet (ex-STRESS), Bartosz Leśniewski (ARTYKUŁY ROLNE), Gabba (CHAOS U.K.), Clodagh, Skubol, John, Byrneos (BURNCHURCH), Miłosz, Max (MORNE), Esteban Campos ("Beneficio Interno"), Iza (SOCIAL CRISIS), Herman (HELLO BASTARD)

FOTKI:
Balzak, Mike Champagne, Robak, Robak Punk, Hillarie Jason, Endi

OKŁADKA:
FRONT: Prosiak
TYŁ: Arek z Beczki

KONTAKT:
chaoswmojejglowie@o2.pl
pablo7213@wp.pl
http://www.chaoswmojejglowie.pl
https://www.facebook.com/chaoswmojejglowiepl/

WYDAWCA:
www.nopasaran.pl
nopasaran@nopasaran.pl

Witamy wszystkich. Właśnie dotarły do mnie informacje o zamachu w Paryżu... Kolejne ofiary polityki i religii. Podzielone społeczeństwo gryzie się między sobą, a panowie na tronach zacierają rączki. Ktoś usadowiony bardzo wysoko realizuje plan. Obawiam się, że nadchodzą bardzo złe czasy... Nie dajmy się ogłupić i zmanipulować! Jebać politykę, jebać religię!!!
Niefajnie też zrobiło się w rodzinnym gniazdku. Do władzy dorwali się ponownie narodowi katolicy i z marszu zaczęli wprowadzać nowe porządki. Nie mam pojęcia, czym to się skończy i czy w ogóle się skończy... W obecnej sytuacji może się okazać, że będą siedzieć przy korycie do końca świata! Obym się mylił...
A teraz z innej beczki, bo złe wiadomości media serwują nam przez 24 godziny. Naszym nowym wydawcą została ekipa związana z zinem "Liberation" i labelem No Pasaran - dzięki wielkie za wsparcie i życzcie nam owocnej współpracy!
Poprzedni numer rozszedł się bardzo szybciutko. Wciągu miesiąca? Nakład gazety był trochę mniejszy, ale też bardzo pomógło nam, w rozprowadzeniu ostatniego CHAOSU, wielu niezależnych dystrybutorów! Bardzo wam dziękujemy!
Wypuściliśmy też kompilację z polskimi kapelami na 7"EP - myślę, że dość ciekawą, więc jeśli ktoś jest chętny na jakąś wymianę to skontaktujcie się z nami. Mamy kolejne plany wydawnicze, ale damy znać za jakiś czas, pewnie w sieci, więc sprawdzajcie naszą stronę i FB.
W tym numerze zina nie pojawiło się dwóch kolumnistów z powodu nacisku życia i innych ważnych obowiązków. Mam nadzieję, że wrócą do nas, jak już się ogarną. Natomiast witamy na pokładzie trzech nowych "pisaczy": Diabolique'a - wydawcę zina straight edge "Wygrać Nowe Życie"; Krawata - znanego ze swojego długoletniego zina "Inny Świat" oraz tajemniczego xK.x... Mam nadzieję, że będą gościć na naszych łamach również w przyszłych numerach!
Tym razem też nie udało nam się zrobić wywiadu z kolejną kapelą ze Skandynawii. Nie liczyłem dokładnie, ale to już chyba szósty zespół z Północy, który zgodził się na wywiad, dostał pytania i nas olał. Trudno, będziemy próbować dalej!
Kolejny numer chcielibyśmy wydać w czerwcu 2016. Mam nadzieję, że się uda. Będzie może miał mniej stron, co niektórych powinno ucieszyć, ale też będę brutalniej i po chamsku naciskał ociągających się współpracowników i spóźnialskich, hehehehe! Naprawdę! Miałem trochę pomarudzić w tym temacie pomagierów przeciągających wydanie zina, ale doszedłem do wniosku, że szkoda czasu i zdrowia. Miłej lektury i mam nadzieję, że każdy znajdzie coś dla siebie w tym numerze!
I przede wszystkim chciałbym, aby sytuacja polityczna się nieco wyklarowała, ale to chyba marzenia ściętej głowy...

Pablo w imieniu redakcji

CO V NUMERZE?

- Kolumny 2-12

ANARCHIZM
- Wracając z Magadanu 14-15
- Fuck '89 - wspomnienia warszawskiego anarchisty 16-17

POLITYKA
- Rewolucja 1905 - Czy historia nie zatoczyła koła? 18

SQUATTING
- Nie podoba ci się państwo? Załóż własne! 19-21

PRAVA ZVIERZĄT
- Vege Inicjatywa - Bielsko-Biała 22-25

ZRÓB TO SAM
- Outside Fest w Wojcieszowie 26-27

HISTORIA
- Krwawe starcie nad Ussuri 28-29

BIOGRAFIE
- Odmienne stany świadomości - W.S. Borroughs 30-32

NA KRAŃCACH ŚVIATA
- Mundo Perdido - wyprawa do Gwatemali 33-39

ROZMOVY NIEKONTROLOVANE
- Biesłan - Pęknięte miasto; Zbyszek Pawlak 40-42
- Szlakiem łodzkich anarchistów; Seksa 43-45
- Jedni zbierają znaczki...; Qba Kida 46-50
- Tulipan (ex-S.K.T.C.) 52-55
- To mój komiks...; Łukasz Kowalczuk 56-59
- Prosiak 60-68

VYVIADY
- THE LOWEST 70-74
- PUTREFACTION 75-77
- HERIDA PROFUNDA 78-81
- MITRĘGA 83-87
- CZERŃ 88-89
- STRESS 90-94
- ARTYKUŁY ROLNE 95
- CHAOS U.K. 96-98
- BURNCHURCH 99-101
- MORNE 102-106

RAPORTY
- Historia czechosłowackiego punka 108-116
- Beneficio Interno - Kostaryka 117-118

HAŁAS V NASZYCH GŁOVACH
- CRUCIFIX 119-121
- Punk rock zmarnował mi życie vol. V 122-125

NA TRASIE
- WITCHRITE 126-127
- SOCIAL CRISIS 128-132
- HELLO BASTARD 133-137

PUNK NA ŻYVO - 138-152
ZIMOVY VIECZOREK FILMOVY 153-158
CZYTAM, VIEC JESTEM 159
MAKULATURA 160-163
VHAT'S THAT NOISE?! 162-181
KOMIKS 182-184

Kolejny wyświechtany CHAOS wraz z Renatą w Belize

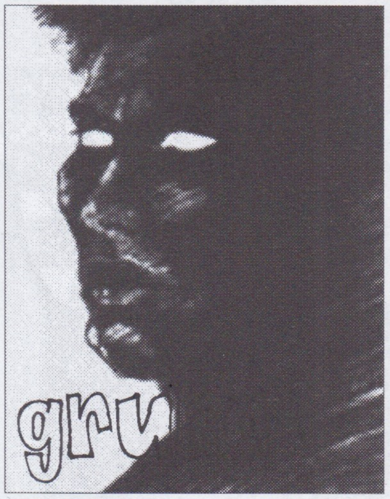

Mam znowu doła/Znów pragnę śmierci/Wracają stare lęki I nie mogę w nocy spać/Ból przemijania/Choroby, wojny, rozpacz/ Wszystkie ciemne strony życia/Dręczą mnie ach kurwa mać/Brazylijski serial już nie cieszy jak kiedyś/Nawet seks jest banalny i nie kręci mnie/Może jestem nienormalny, za krótko byłem w wojsku/Może w lecie jakiś komar adidasa sprzedał mi.../Mam znowu doła/Znów pragnę śmierci/ Wszystkie formy samobója/Przed oczyma stają mi/Sam już nie wiem, co robić mam/ Nie chcę dłużej smażyć tłuczonego szkła/ Mam już dość leżenia pod kałużą/ Ratuj mnie jesienny mały boże// Tekst piosenki „Jesienna Deprecha" Tymona Tymańskiego oddaje w pełni mój stan ducha na jesień. Po prostu nie znoszę przełomu września i października, całego listopada i grudnia. Do tego zmiana czasu, krótkie dni, brak światła. Jeśli ten„gość na górze" dał szansę niektórym stworzeniom na tym też padole na hibernację, to nas w tym planie chyba celowo pominął (nie pierwszy raz zresztą złośliwie nas doświadcza). Apeluję o zadekretowanie dla ludzi czasu hibernacji pomiędzy listopadem a lutym. Po prostu zwolnić nas proszę z wszelakich obowiązków: rodzinnych, zawodowych, towarzyskich, moralnych, obywatelskich. Zostawcie nas w spokoju i pozwólcie spać.Budzić dopiero na wiosnę...Niestety kwestia ta pozostaje w sferze marzeń ściętej głowy. Więc musimy sobie radzić w różny sposób. Strategie są różne. Aktywność fizyczna, diety, wyjazdy w cieplejsze, słoneczne rejony świata, picie. Kto z was ma jakąś oryginalną receptę „jak przeżyć ten cholerny okres", niech pisze na adres redakcji. Będe wdzięczny za ciekawe pomysły. W moim przypadku, jak na razie, najlepszą metodą jest muzyka. Ostatnio siłę daje mi słuchanie najnowszego albumu dziadów z KILLING JOKE. W ich przypadku potwierdza się powiedzenie: im starsze wino, tym lepsiejsze. Dają mi kopa i dzięki nim brnę przez tę jesienną deprechę.

W 30. numerze „Pasażera" ukazała się wkładka rodzicielska. Załoganci-rodzicie podzielili się w niej swoimi historiami z wychowywaniem dzieci w Polsce. Chiałbym nawiązać trochę do tej tematyki, tyle że z perspektywy dzieci rodzin polskich na emigracji. Obserwacji dokonywałem na dzieciach moich znajomych. Sam nie jestem rodzicem, co poniekąd uważam za atut. Łatwiej było mi osiągnąć stan tzw. obiektywnego obserwatora. Pierwszym obserwowanym był 5-letni Mati. Urodzony w Anglii, rodzice Polacy. Od narodzin mówili i mówią do niego po polsku. Mały, więc pierwsze słowa powiedział do nich po polsku. Z drugiej strony, gdy trochę podrósł opiekowała się nim angielska niania. Potem poszedł do angielskiego przedszkola. W końcu nadszedł czas i mały zaczął, ku uciesze rodziców, mówić po angielsku. I to z takim akcentem, że rodzicie i ja nigdy w życiu mieć takiego angielskiego nie będziemy. Zazdroszczę mu i podziwiam dwujęzyczkość. Mati dalej w domu porozumiewa się po polsku, choć składa zdania wedle zasad gramatyki i stylistyki angielskiej, co poniekąd jest komiczne. Rodzice nie wiedzą jeszcze, czy poprzestaną na mówieniu po polsku w domu. Chcą, by Mati miał żywy kontakt z językiem rodziców. Czy może zdecydują się na wysłanie szkraba do polskiej sobotniej szkoły w mieście, w którym mieszkają, by tam nauczył się pisać i czytać w języku ojców oraz poznał kulturę kraju, z którego pochodzą jego rodzice? Innym obserwowanym jest 12-letni Michał. Przyjechał do Anglii z rodzicami, jako mały dzieciak. Bardzo dobrze się uczy. Co wakacje wyjeżdża do Polski. Ma tam kontkat z całą pozostałą rodziną. Dodatkowo chodzi w Anglii na zajęcia do sobotniej polskiej szkoły. Pisać i czytać po polsku umie. Zdarzają mu się byki w pisowni, ale geografię Polski oraz historię zna. Pewnie nie do końca podziela entuzjazm rodziców, którzy posyłają go do tej sobotniej szkoły, ale myślę, że później to doceni i pozytywnie wykorzysta. Ostatnim przykładem niech będzie historia córki moich znajomych, 15-letniej Oli. Przyjechała z rodzicami do Anglii w wieku 5 lat. Po 10 kompletnie zapomniała jak się mówi po polsku. A raczej jak ma humor, to odezwie się po polsku. Robi to rzadko, z silnym akcentem, mieszając angielski z polskim. Rodzice nawet w domu komunikują się z nią po angielsku. Trochę nie mogę tego zrozumieć. Z jednej strony wyprawianie komunii w stylu polskim, w polskim kościele, a z drugiej kompletne olanie edukacji językowej córki. Taki trochę kulturowy Frankestein im wyszedł.

Różne są strategie postępowania. Moje zdanie, choć nie rodzica, można ująć słowami Marleya: „jak nie wiesz skąd pochodzisz, jakie są twoje korzenie, to nie wiesz, dokąd masz iść". Uważam, że język jest częścią kultury i nie służy tylko i wyłącznie do komunikowania się. Określa jak myślisz, tworzy tkankę tożsamościową. Patrząc dookoła i żyjąc w tym całym tyglu kulturowym warto znać i wiedzieć skąd się pochodzi, mieć te swoje kulturowe roots. Nie wiem czy odbierzecie mnie, jako jakiegoś neonacjonalistę, który żyjąc na emigracji zaczął odkrywać „polskość" i zaraz będzie piał do żołnierzy wyklętych, ale uważam, że język i kultura, w której wyrosłem, może być i jest pozytywną wartością, a nie balastem. Nawet żyjąc zagranicą. Ciekawi mnie zdanie załogantów-rodziców, którzy mieszkają i wychowują swoje pociechy poza Polską. Jeśli ktoś chce się podzielić własnymi przemyśleniami oraz doświadczeniami emigracyjnego rodzicielstwa, niech pisze do nas śmiało.

Widmo, widmo uchodźcy, krąży po Europie. Nie ma dnia bez informacji o uchodźcach. W Polsce mamy chyba do czynienia ze zbiorową histerią. Wszyscy mieszają i dolewają oliwy do ognia tej zbiorowej psychozy. Z jednej strony skrajnie prawicowy plankton ma w końcu tego swojego wymarzonego wroga, na którym zbija swój polityczny kapitał. Czemu sie nie dziwię, bo nienawiść do „obcego" mają wypisaną na sztandarach. Z drugiej strony histerycznie reaguje środowisko związane z Gazetą Wyborczą, dla którego nie tylko opinie rasistowskie są godne potępienia, ale też jakiekolwiek mniej lub bardziej słowa wątpliwości, co do sensu przyjmowania uchodźców do Polski. Oskarżając każdego, kto wyraża jakieś „ale" o: brak empatii, kryptofaszyzm, bycie niegodnym miana prawdziwego demokraty i Europejczyka. Naziści straszą hordami terrorystów z ISIS, którzy tylko marzą by przyjechać do Polski. Hurra optymiści podają za przykład pozytywnej asymilacji polskich Tatarów. Też manipulując po trosze, bo Tatarzy przez wieki potwierdzali swoją wierność Polsce. Ich liczba, jako osadników, nie zwiększała się przez ten czas, a malała. Żeniąc się z polskimi szlachciankami przyjmowali tytuły szlacheckie, by po kilku wiekach rozpuścić się w etosie polskim. Z ich odmienności pozostały nazwiska, kuchnia i islam (przekładu Koranu dokonał polski Tatar, choć Koran w innym języku niż arabski nie jest już Koranem), który bardzo się zwesternizował. O tym już niestety się nie mówi.

Po środku tego stoi zwykły Kowalski, którego strach narasta. I tak naprawdę nie ma żadnego głosu rozsądku, który uspokoiłby tego Kowalskiego. Dekadę temu miałem okazję pracować w ośrodku dla uchodźców w Niemczech. Już wtedy moi niemieccy koledzy, oczywiście niektórzy, mówili, że po „występkach" Niemców w II Wojnie Światowej tamtejsze elity czują, że muszą przyjąć każdego, kto poprosi o azyl i schronienie. Oczywiście nie wszystkim moim niemieckim kolegom to się podobało. Ale o tym to mówili mi po cichu, i to ci, którzy czuli, że mogli mi zaufać. Niestety, miałem też okazję pracować w ośrodku dla uchodźców także w Polsce. Oprócz ludzi oddanych, mających wielkie pokłady empatii, spotkałem wielu bydlaków z syndromem chama u władzy, którzy na każdym kroku pokazywali wyższość i pogardę uchodźcom(w Niemczech, jeśli ktoś był wrogi uchodźcom, to w pracy tego nigdy nie pokazał - ja się z tym nigdy nie spotkałem). Najgorszy był jednak dysonans pomiędzy pomocą socjalną, jaką oferowali Niemcy a „pomocą" oferowaną uchodźcom w Polsce. Przepaść ogromna. Standardy niemieckie jeszcze długo w Polsce będę poza zasięgiem. Chyba rzeczywiście nie ma się czego i kogo „bać". Bo ktokolwiek i w jakiejkolwiek ilości zjedzie do Polski, to zaraz stąd ucieknie...

Rok pod względem muzycznym to oczywiście wizyta na D.I.Y. Hardcore Punk Fest w Gdyni. To była pierwsza edycja, na której o wiele ciekawiej było na zewnątrz klubu, niż w środku. Na dziedzińcu, wśród znajomych, bawiłem się o wiele lepiej niż obserwując kolejne bandy grające na scenie Ucha. Parę razy złapałem się na tym, że ominąłem połowę, a nawet cały koncert. Tak byłem zajęty rozmową z dawno niewidzianymi kumplami. Muzycznie to już dawno wyszedłem poza scenę hc-punk. To już nie jest dla mnie całe i jedyne życie. Trochę jak zdezelowany,skonsternowany dziad, łapałem się na tym, że kolejne grające bandy brzmiały jakby znajomo. Że te dźwięki gdzieś już słyszałem. Muzycznie niczym nowym żaden band mnie nie zaskoczył. Mój punk rock to już dawno nie muzyka, a może nawet przede wszystkim nie muzyka... Lecę posłuchać Chopina. Dzięki radiowej Dwójce i transmisji Konkursu Chopinowskiego, odkryłem go na nowo. Bardzo polecam!

Gruha

P.S. Nie piszę nic o wyborach w Polsce. Lepiej nie denerwować się na „starość".

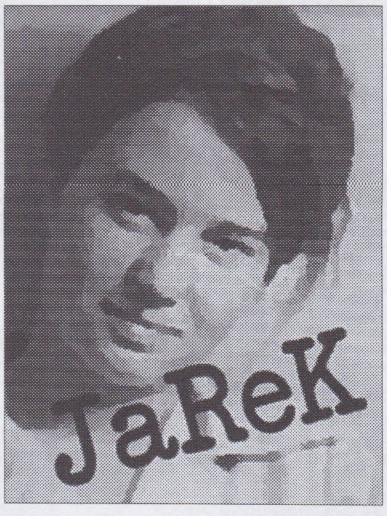

Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce, kiedy zaczynałem swoją przygodę z punk rockiem - na samym jej początku - tak naprawdę to pragnąłem być „nienormalny", wariat, prowokator, dziwnie ubrany i źle uczesany, po prostu inny niż reszta ludzi, którzy kojarzyli mi się z totalną normalnością oraz szarzyzną. Nawet takie rzeczy, jak przejęcie się sprawami ekologii, zainteresowanie prawami zwierząt, wegetarianizm, antynazizm i tym podobne, nadal zaliczały się do zjawisk wykraczających daleko poza krąg tego, co nazywało się „normalnością". Moim wzorem był raczej Sid Vicious. Punk kojarzył mi się przede wszystkim z prowokacją, a KSU nikomu jeszcze nie kojarzyło się z żenadą, więc to ich jabolowe „idź pod prąd" traktowaliśmy jako nakaz, podobnie jak „bunt jest naszym obowiązkiem" płynący głośną falą z pobliskiego Słupska (zanim do reszty stał się smętną, czarną dziurą na mapie Polski, a przecież swojego czasu wyhodował kilka istotnych zespołów muzycznych oraz inicjatyw społecznych...). Minęły trzy dekady i z tej dosyć długiej perspektywy czasowej, widzę, że moja pierwotna żądza bycia „nienormalnym", ta cała walka i zabawa w punk, była tylko bodźcem, wepchnięciem mnie na tor, który dowiózł mnie do normalności... Oczywiście można się kłócić czym jest normalność, bo nie ma na nią jednego przepisu, każdy może ją znaleźć w czymś innym... Ja chciałem być wariatem i napawało mnie to dumą, że udawało mi się być innym niż reszta otoczenia, nieprzystosowanym, robiącym na przekór dla samej zasady, ale w czasie tej całej drogi, ze zdumieniem zacząłem pojmować, że prawdziwi wariaci, szaleńcy oraz lunatycy to ci, których uważałem wcześniej za normalnych... Punk zniszczył moje życie, nigdy nie pozwolił zwolnić, ustatkować się na wzór moich rodziców, do końca spoważnieć, ale w zamian uczynił mnie bardziej świadomą i wrażliwą istotą - wiem, przemawia przez mnie arogancja; przynajmniej nie wyrosłem na jebanego ignoranta, jakich wokół mnie pełno... Tak, jestem dumny z bycia punkiem! Czasami trudno oceniać i potępiać tych wszystkich oszołomów, bo z drugiej strony - sami nie jesteśmy idealni (do ideału się dąży jak do celu, ale na szczęście nikt nie potrafi tam dotrzeć). Okazuje się, że większość ludzi po prostu nie wie, że nie wie... I jest to jakaś forma ich niewinności... Punk jednocześnie zniszczył moje życie i je ocalił. Niczego nie żałuję, a jest wręcz odwrotnie - przeraża mnie, kiedy pomyślę jak kurewsko smutne, bezbarwne i puste mogłoby być moje życie bez punk rocka! Nie czuję się lepszy od nikogo innego, bo nie jestem nikim specjalnym, a na pewno nie warto mnie

naśladować. Punk jednak prowadzi mnie przez życie jak jakieś pierdolone trzecie oko, i nawet jak jestem bliski popełnienia kolejnego błędu, to czynię to świadomie... Dawniej bardziej wierzyłem, że punk to jest broń, którą skutecznie można walczyć i zmieniać świat. Jak jakiś, kurwa, miecz albo dzida! Apogeum tej wiary to chyba okres kiedy grałem w GUERNICA Y LUNO, a także w SILNEJ WOLI, czyli lata 90., które jawią mi się jako czas pełnego ognia dla sceny DIY punk. Chyba nigdy przedtem i później punk nie porwał takiej masy młodych ludzi do alternatywnego myślenia oraz działania... Ale dziś piszę kolumnę do zina, który jest praktycznie ostatnim tego rodzaju przedsięwzięciem w Polsce i w dodatku walczy o przetrwanie... Dla porównania, w latach 90., w Lęborku, z którego pochodzę, który zawsze był prowincjonalnym wypiździewem, oprócz mojego autorskiego „Bunkra", ukazywały się jeszcze dwa, trzy inne punkowe ziny... Kapel punk rockowych, hardcorowych i metalowych było kilka, może nawet kilkanaście, podczas gdy obecnie nie ma żadnej. W Lęborku są za to skrajnie prawicowo skrzywdzeni kibice, którzy zdominowali atmosferę tej dziury. Czy w tamtej galaktyce była jakaś wioska lub osada bez punkowej załogi? Mówi się, że duży ogień szybko gaśnie, i to się stało się z tamtą sceną... Nie było jednej przyczyny upadku. Powodów, iż ta cała euforia i aktywność nagle zmalała prawie do zera, jest wiele. Być może niektórzy w punku zaczęli widzieć więcej zabawy niż walki. Zabawa się znudziła. Być może niektórzy bali się, że nie wydorośleją, bo potrzeba młodzieńczej naiwności i idealizmu, aby wierzyć, że można zmienić cały świat trzema akordami... Czy wszystko zostało stracone? Na pewno nie. Zawsze jest kolejne pokolenie, którego wkład jest bardzo istotny. Walka trwa nadal, tak czy inaczej... Chcieliśmy zmieniać rzeczywistość, ale się za bardzo nie udało. Powiodło się natomiast co innego - zmieniliśmy samych siebie. Pomimo, że żyjemy w swoim własnym getcie, bez szansy realizacji naszych marzeń poza jego murami... Inni zmieniają za nas świat. Robią to skutecznie i z determinacją; za pomocą czołgów, pieniędzy, telewizji, prasy, kłamstw, manipulacji, obietnic, zastraszania... Nasz świat nie umarł, nadal go mamy i bronimy, dla siebie, swoich znajomych i bliskich. Wbrew pozorom nie jest to aż tak marna rzecz, zwłaszcza że potencjalnych przyjaciół i sojuszników, myślących podobnie jak ty, ekscytujących się tą ideą, możesz spotkać na starym rynku w Poznaniu, albo w londyńskim metrze, albo na ulicy w Tokio... Mam wrażenie, że obecnie scena DIY punk przeżywa kolejny upadek... A może jest to tylko moje złudzenie, bo przecież nie potrafię ogarnąć wszystkiego. Może zbyt często zwracam uwagę na tych, którzy zapomnieli znaczenie słowa „bunt", albo przestał on być ich obowiązkiem, albo wydaje im się, że bunt to walczyć o więcej systemu... Dzisiaj punk może znaczyć absolutnie, kurwa, NIC. Od nas tylko zależy, czym to NIC wypełnimy.

Jarek

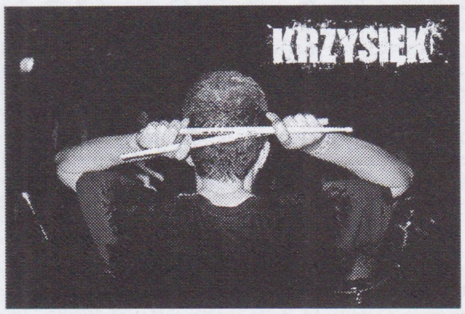

Krajobraz po burzy...
Nasze pokolenie miało punk rocka, Jarociny, ziny, koncerty... Ale dorosło nowe pokolenie, które ma Kukiza, Korwina i PiS. Pokolenie, które nie słucha muzyki, nie kupuje płyt, nie czyta i, jak widać, jest kompletnie puste w kwestiach społecznych. Wiedzę opiera na memach z sieci i to w zasadzie tyle w temacie. Kiedyś pisałem, że w dzisiejszych czasach młodzi nie muszą kontestować, bo mogą się spakować i wyjechać w dowolny zakątek świata. Tam, gdzie uznają, że jest fajnie. Duża część z tego skorzystała. Ale ci, którzy pozostali na serio mnie przerażają. Nie dość, że są w stanie uwierzyć w każdą brednię, to na swoje eksperymentowanie skazują całe społeczeństwo. Nie piszę tego bezpodstawnie, tylko na podstawie statystyk z ostatnich wyborów. Młodzi w dużej mierze popierają te antywolnościowe ugrupowania i to jest dramat. Co prawda, jak sięgnę pamięcią, to za dawnych czasów młodzi też byli w dużej części niekumaci. Ale czuło się raczej ducha prowolnościowego. Dziś postulaty aby izolować niepełnosprawnych lub odebrać kobietom prawo głosu, zakazać invitro, aborcji, czy stygmatyzować homoseksualistów, trafiają do przerażającej ilości młodych. Albo jest jeszcze gorzej, w czym upewnili mnie moi synowie, twierdząc, że ich koledzy kompletnie nie wiedzą co się dzieje w polityce i w sprawach społecznych, i w wyborach kierują się tym, co popularne w sieci... Żeby nie było niedomówień, ja jestem dumny ze swoich synów. Fala kucofascynacji ich brzydzi, ale jest nas za mało. Sporo jest natomiast i w naszym pokoleniu starych dziadów, co to im się wszystko we łbach popierdoliło. Antykomunizm im się przypomniał po czterdziestce i poszli drogą orła w koronie i głosowania na konserwatystów, którzy jednocześnie robią robotę dla obcego państwa, jakim jest Watykan. Machanie polską flagą z jednoczesną zgodą na wyprowadzanie miliardów złotych do obcego kraju jest dla mnie rzeczą niepojętą. Tym bardziej w szeroko rozumianych ramach punk rocka i okolic. Do głowy by mi nie przyszło, że dożyję takich czasów. Myślałem, że punki spod znaku hakenkreutza już sobie poszły, jabolowcy wymarli, a ci z lat 90. dali kopa do działania na długie lata całej generacji punków. Ale to były płonne nadzieje, bo część z nich celowała swoim kopem prosto w jaja. A wielu ówczesnych crustowców dziś maszeruje 11 listopada z chłopakami od pięciu piw.

Jak się okazało po latach, każdy widział w tym punku co innego. Zaczęło od się spontanicznego buntu przeciwko zastanym regułom i schematom. Dziwna, prosta muzyka, dziwne ubrania, ale brak radykalizmu. Raczej sztuka niż polityczne zaangażowanie. Potem przyszedł czas na zradykalizowanie przekazu i muzyki. Nastał ostry, mocny, szybki i, jak na tamte czasy, brutalny punk rock. Teksty nabrały zaangażowania, a niekiedy stały się ewidentnie antykomunistyczne, czyli antysystemowe. Kolejna fala przyniosła radykalizm wręcz kuriozalny. Ale równolegle rozwijała się też scena zaangażowana społecznie. Eko, wege itd., itp. Potem na chwilę zagościły klimaty bardziej osobiste, poetyckie... jednocześnie - mocne zapatrzenie na amerykański hardcore. W tym czasie nastąpiło też rozdwojenie sceny na dwa równoległe byty, które tylko czasem się przenikały. Jedni pozostali przy rock and rollu, drudzy ciągnęli w stronę metalu. Jedni po polsku, drudzy zafascynowani Ameryką i czasem MTV, po angielsku. Kolejne lata to powolne wyhamowywanie rozwoju i początki wtórności. Młodzież, jeśli już zakładała nowe zespoły, patrzyła wstecz, a nie do przodu i zaczynała naśladować, zamiast tworzyć. Jednocześnie starzy załoganci, którzy odeszli od swoich młodzieńczych fascynacji, zaczęli coraz liczniej powracać i domagać się muzyki swojej młodości. Zespoły, które borykały się z kłopotami bytowymi (mała publiczność, duże koszty) zaczęły dopasowywać się do gustu publiczności. I tu należałoby postawić kropkę. Bo to był ewidentny koniec jakiegokolwiek rozwoju tej muzyki.

Patrząc na to, co dzieje się aktualnie w mentalności ludzi związanych z muzyką punk, dochodzę do wniosku, że ostatnie 35 lat jej istnienia niewiele wniosło do ich sposobu postrzegania świata. Rządzi wciąż przekaz medialny, który ostatnio jest pochodną memowych wpisów w internecie i krzykliwych tytułów w prasie. Oczekiwałbym większej czujności od wielbicieli punk rocka, ale niestety moje obserwacje są dramatyczne.

Niechęć, słuszna zresztą, do rządu PO, sprytnie podsycana przez PiS, skierowała część uczestników naszej zabawy w stronę haseł patriotyczno-sztandarowych. Orły w koronie, tęsknota za wielką Polską i paranoja smoleńska znalazły podatny grunt wśród części starej załogi. Nie chcę generalizować, ale zjawisko przybrało ostatnio absurdalne rozmiary. Tak, jakby nikt z wielbicieli aktualnie modnych idei, nie słuchał nigdy tej muzyki i nie rozumiał o co w niej chodziło... Ale początki takich dziwnych sytuacji można było zaobserwować już dawno. Krótka, ale mocna fala punka religijnego (punk religijny... kurwa, aż nie mogę uwierzyć, że to piszę) dała sygnał tym, którzy nie potrafili np. pogodzić wegetariańskiego przesłania na koncercie w sobotę z rosołem rodzinnym w niedzielę. I nagle pojawił się punk dla katolików. To samo tempo, podobne akordy, a jednak przesłanie, nad którym nie trzeba dumać, czy aby zgodne ze światopoglądem... Jednym słowem „zbawienie". To było dawno, ale trwale zmieniło obraz polskiej sceny. Potem przyszła walka o przetrwanie w mrokach zdradliwego kapitalizmu. Jednym się udało, innym nie. Ale to jest naturalne. Nienaturalne jest natomiast to, że starej gwardii nie zastąpiła nowa. Zestarzeliśmy się i nasza muzyka się zestarzała. Nie dociera do młodych. Do młodych dociera natomiast ta schizofreniczna niespójność. Z jednej strony „anarchia", z drugiej orły w koronie. Za cholerę nie wiadomo o co chodzi. „A niech te stare dziady bawią się same". Przerażające jest to, że część tych dziadów zaczęła sympatyzować z polityką spod znaku krzyża i populizmu. W dodatku polityką wykrzywioną i zmanipulowaną do granic możliwości. Łapią się jak muchy na lep na hasła, które z jednej strony wzywają do obalenia rządu, a po cichu nawołują do intronizacji Chrystusa na króla Polski, albo odnowienia monarchii... Jednym słowem: paranoja. Z drugiej strony głęboko w podziemiach wciąż istnieje prawdziwa kontynuacja sceny. Ale jest bardzo głęboko i nie ma siły by przebić się do młodych. Mimo spektakularnych sukcesów w różnych społecznych dziedzinach, ich przekaz nie dociera do tych, którzy mogliby dzieło kontynuować, albo nadać mu nowej energii.

I tak oto wracamy do początku mojego wywodu. Młodzi ludzie wychowywani w szkołach, gdzie na jedną lekcję historii przypadają dwie religii, w domach, gdzie wciąż mówi się o zdradzie, niemiecko-rosyjskim kondominium i zagrożeniu pedałami z Unii, mylą znak Powstania Warszawskiego ze swastyką..: Trzeba być Polakiem, żeby te sprawy jako tako zrozumieć, bo poziom schizofrenii jest nazbyt duży dla zewnętrznego obserwatora. W dodatku trzeba być zwyczajnym Polakiem, bo prawdziwi Polacy mają kłopot z mówieniem po polsku, co dopiero z rozumieniem tego co dzieje się wokół.

Krzysiek Grabowski

Ps. Ale są też pozytywy, nie ma co się za bardzo stresować. Ale o pozytywach innym razem, bo dziś nie jestem jeszcze w stanie otrząsnąć z szoku pourazowego.

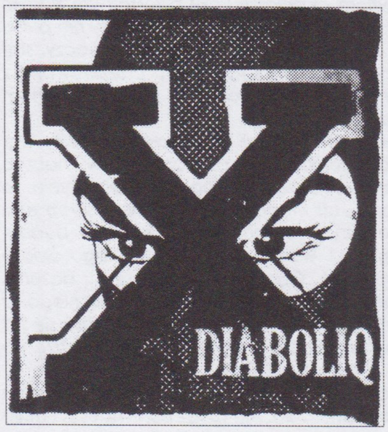

Punk rock ruined my life

Jak mówi stare ludowe porzekadło – „punkiem zostać nie można, punkiem trzeba się urodzić". Jest w tym sporo prawdy, niemniej etykietki są przydatne do określenia tożsamości. Choć właśnie przez etykietki niewiele brakowało, a zostałbym naziskinem. Ale od początku...

Cofając się wspomnieniami w najodleglejsze, zapamiętane z dzieciństwa obrazki, mam przekonanie, że moje serducho zawsze biło punkowym rytmem w tempie powyżej 200 bpm. Tylko że za gówniarza jeszcze o tym nie wiedziałem. Dlatego, niestety, mając 8 lat zasłuchiwałem się w Roxette, a nie DEAD KENNEDYS. Jednak krnąbrne serce waliło mocno, paląc się do życia, poznawania i kontestacji. Zawsze byłem przekornym dzieciakiem, przestawiałem nawet pojęcia, zamiast „straż pożarna" było „pożar strażna", a „bażancica" była „cicąbażant". Przestawiałem wszystko na swoja modłę, a to, co powszechnie przyjęte i uznane, dla zasady negowałem, kierując uwagę na to, co w niszy. Podskórnie czułem, że gdzieś tam musi być ukryta prawda, a to, co jest większością, to przeważnie fałszywa fasada. Nie interesowało mnie to, co interesuje wszystkich, tylko to, co poza tym, co ukryte gdzieś głębiej i spychane na margines. Przy czym nie odstawałem specjalnie od reszty świata, swoje spostrzeżenia i obserwacje zachowywałem dla siebie, a na zewnątrz robiłem dobrą minę do złej gry.

Mając prawie 9 lat, na jakimś murze zauważyłem wymalowany sprayem napis „DZIADZIO" z „A" zapisanym w kółeczku. Zafascynował mnie ten znak na tyle, że rysowałem go w zeszytach, choć oczywiście nadal nie miałem pojęcia, czy i co w ogóle oznacza. Jednak dowodzi to tezy, że ciemna strona mocy objawiała mi się i ciągnęła ku sobie.

Gdy miałem lat 11-12, mój bunt nasilał się, problemy w szkole, z rodzicami,

sąsiedztwem - były chlebem powszednim i bez codziennego rozpierdolu i destrukcji - ot, dla zasady, dzień był po prostu zmarnowany. Hormony buzowały strasznie, więc zacząłem słuchać Guns'N'Roses. Szybko jednak zrozumiałem, że rokendrolowa pozerka to niezła kiszka, a na odtrutkę osiedlowa ekipa poczęstowała mnie trash metalem. To było nawet fajne, pasowało mi, dość przyzwoity soundtrack do mojego życia. Chłonąłem to niczym płuca toksyny, choć gówno z tego rozumiałem. Z rozrzewnieniem wspominam kserowanie wkładek, przegrywanie kaset, wymienianie się nagraniami i walenie muzą w okolicę z wystawionych za okno głośników. Nieśmiertelne lata 90.

Gdzieś pod koniec podstawówki metalowa ekipa zmieniła sztandar, długie kudły ogoliła na łyso, a zamiast METALLIKI, SLAYERA i KREATORA, z głośników wylewała się brunatna maź Konkwisty 88, Honoru i Legionu. Nie kumałem, o co chodzi, ale zauważyłem, że nasze stosunki uległy, delikatnie mówiąc, pewnemu ochłodzeniu. Mój ówczesny najlepszy kumpel, który tworzył z nimi paczkę, wyjaśnił, że oni są teraz skinami, narodowcami i stoją na straży czystości krwi białej rasy. Na domiar złego, nowo powstała załoga niejakich punków z sąsiedniego osiedla wyjawiła mi, że oni walą konia przy wizerunku Hitlera i zamierzają ponownie otworzyć obozy koncentracyjne. No, przyznam, kurwa, że jak na czternastolatka, czułem się lekko skołowany. Żeby dalej kumplować się z dawną metalową bandą, musiałbym zostać skinem. Kiedyś lubiłem tych kolesi, ale deczko się zmienili, głupawe i niewinne uśmiechy zniknęły z ich twarzy zastąpione złowrogim zaciętym grymasem. Nie bardzo mi to leżało, więc nie chciałem być skinem. Niemniej jednak kimś być chciałem. Wspomniane nieletnie punki, na moje pytania dość pokrętnie odpowiedziały mi, że w tym punku chodzi o to, aby „burzyć stary świat". I to wystarczyło. Tak oto dokonała się inicjacja i w wieku 15 lat zostałem punkiem.

Wtedy powoli wszystko w moim życiu zaczęło do siebie pasować i układać się niczym rozrzucone puzzle. Dowiedziałem się, że to punki rysują „A" w kółku i co to oznacza („anarchia w samym środku mojej głowy, mój mózg pracuje niezależnie i nikt mi nie może zakazać myślenia, anarchia w głowie to początek wyzwolenia"*). Powoli też odkrywałem, że mój nieokrzesany bunt może znaleźć dobre konstruktywne ujście. Pamiętam, jak kumpel przyniósł mi kasetę z różnymi punkowymi kapelami. Wtedy pierwszy raz usłyszałem DEZERTERA z pamiętnego singla nagranego z Kaśką Nosowską. I niech mnie szlag, to było to! To mnie pozamiatało, przeorało mi czerep, wywróciło moje myślenie do góry nogami. Muzyka powodowała dreszcze i mięknięcie kończyn. To zjawisko całkowicie mną zawładnęło. Czułem, że to jest część mnie, że doskonale obrazuje moje postrzeganie rzeczywistości i określa system wartości. To wyznaczyło nowy kierunek na drodze mojego świadomego kształtowania osobowości. Jako dorastający nastolatek, tego właśnie potrzebowałem.

Od tamtej chwili niepostrzeżenie minęło dokładnie 20 lat. Co się ze mną stało? Jak punk wpłynął na moje życie? Sprawił, że czuję się lepszy czy zrujnował mi życie?

Będąc podstarzałym dziadem w średnim wieku z powiększającymi się zakolami, wiem, że punk odcisnął się dużym piętnem na moim życiu i na pewno je zmienił. Znacząco zdeterminował moje wybory, ukierunkował i wyrobił koleiny życiowej drogi. Mogę nawet stwierdzić, jakkolwiek patetycznie to zabrzmi, że w trudnym okresie wchodzenia w dorosłość uratował mi życie („dwadzieścia lat to za mało, by powiedzieć, że to jest odwet na życiu, dwadzieścia lat to za mało, by powiedzieć: próbowałem i nie byłem szczęśliwy"**). Może bez punk rocka nie byłbym łysym półgłówkiem w dresie, którego życiową ambicją jest tuningowana beemka na aluminiowej osiemnastce z dwudziestką w środku. Bo wiem, że z łysiną nie wyglądam twarzowo. Zapewne nie byłbym też zwyczajnym pospolitym idiotą, bo aż tak w swój intelekt nie powątpiewam. Ale z pewnością nie poznałbym wielu zjawisk, wartości, idei, czy inspiracji, które przyniósł ze sobą punk. Nie wiem chociażby, czy przestałbym zjadać trupy zwierząt i używać elementów ich ciał do ubierania się. Gdyby nie punk, pewnie nie byłbym straigt edge. Punk na wiele rzeczy otworzył mi oczy, stał się takim swoistym filtrem na rzeczywistość. Patrząc na nią, przefiltrowaną z pozorów i konwenansów, narzuconych norm i śmiesznych zwyczajów, mam pomysł na życie daleki od przyjętych zasad.

Przewartościowałem ambicje, dzieląc je w tabeli na chore i zdrowe, wg. własnego rozumienia. Mam odwagę odkleić się od schematów, nabrać dystansu i jeśli taka niechęć przystosowania się jest rujnacją mojego życia, to jestem z tego stanu rzeczy zadowolony. Jeśli z tego powodu dla statystycznego Janusza Cebulaka jestem nieżyciowym przegranym, to niech mu będzie. Jestem już zbyt dużym chłopcem, by z wszystkimi Januszami tego świata licytować swoje życie i coś udowadniać. Obce są mi priorytety i dążenia Janusza, on z pewnością nie rozumie moich. Nie porównuję się do niego, a jedynie czasem się w nim przeglądam („tak naprawdę nie ma sensu się już nad tym zastanawiać, ja wcale nie wierzę, że przegrałem, kiedy patrzę na wygranych rówieśników"***).

Nie chcę jednak punka idealizować i udowadniać, że dzięki niemu jestem kimś lepszym, bo mam w sobie też kawał drania. Ale tu też punk nauczył mnie pracy nad sobą, doskonalenia się bez zwolnienia się z myślenia, podawania w wątpliwość, analizowania, poznawania. I jeśli rujnacją jest to, że ciągle drzemie we mnie niespokojny duch, cały czas szukam sensu i celu w życiu, zamiast przywdziać góralskie kapcie i zamrozić spojrzenie zimnym ekranem telewizora, to jestem z niej zadowolony. Nie chcę punka stawiać na piedestale, bo pewnie coś tam skrzywił i wypaczył, ale na pewno nie bardziej niż praca w korporacji i szaleńcza pogoń za sukcesem, więc jest git.

Jedno jest pewne. Gdyby nie punk, to z pewnością miałbym drogie garnitury skrojone na miarę, sportową brykę, setki tysięcy na koncie, wakacje kilka razy w roku, superego, choć pewnie wiele koszmarów w nocy. W zamian mam stertę koszulek z ulubionymi kapelami, kilkaset płyt, koncerty, niezmienne ciary, gdy słyszę gitarowy jazgot w szaleńczym tempie i przede wszystkim tę młodzieńczą radość z życia. Punk rock zrujnował mi życie!

Diaboliqu (Wygrać Nowe Życie zine)

* Dezerter – Anarchia
** Apatia – Dwadzieścia lat
*** Złodzieje Rowerów – Leave Me Alone

To mój pierwszy raz na łamach „Chaosu"... Pierwsza kolumna, pierwsze otwarcie... Pierwotnie, kolumna ta miała mieć nieco inny charakter, ale jest jak jest. Nie ma co więcej owijać, jedziemy...

ŻADEN CZŁOWIEK NIE JEST NIELEGALNY!

Nie miałem zbytnio ochoty pisywać cokolwiek w temacie uchodźców. Dla mnie temat jest prosty: jestem anarchistą, więc olewam granice państwowe oraz podziały na ludzi lepszych (Europejczycy) i gorszych (uchodźcy). Krew mnie zalewa, jak widzę te hektolitry gówna, szlamu i gnojówki, jakie wylały się na polskie ulice w związku z medialnie napompowanym tematem uchodźców, imigrantów czy jak tam to jeszcze zwą. Mało kto widzi tam ludzką tragedię! Prawicowi publicyści przechodzą samych siebie w swej głupocie, a Internet pełen jest najgorszego, śmierdzącego gówna. Z cuchnących kanałów i zatęchłych zaułków na światło dzienne powyłazili wszelkiej maści obrońcy białej rasy, czciciele Hitlera, Mussoliniego, Franco czy Donaldsona. Powyłazili wcześniej niż zazwyczaj (11.11.), zaczęli siać swe chore ideologie, media miały swoje pięć minut, a społeczeństwo podłapało to, co w tym rasistowskim gównie najgorsze. Uchodźcy zostali odhumanizowani, nie są już ludźmi, którzy różnią się od nas ciemniejszą karnacją czy wyznawaną religią - są bydłem, trzodą, zarazkami, chorobą. Przykłady tej choroby psychicznej idą zarówno z góry (politycy, hierarchowie Kościoła, publicyści), jak i z dołu (ulica). Przeciętny Kowalski z miłą chęcią rozpaliłby krematoria w Auschwitz, zagnał matki z dziećmi do jakiejś stodoły czy zakopał wszystkich w dołku z wapnem. Najgorsze jednak w tym wszystkim jest to, że podobne poglądy możemy spotkać wśród ludzi związanych ze sceną punk/hardcore. O ile jeszcze mogę puścić płazem słowa wokalisty jednego z zespołów hc o tym, że uchodźcy są mile widziani, ale nie mogą narzucać nam swojego stylu życia i muszą się zasymilować, o tyle zupełnie nie pojmuję, jak z ust punkowca mogą paść słowa o zaplanowanej inwazji islamistów na Europę, czy obronie wartości chrześcijańskich i europejskich. A jak do tego doszły moich uszu jeszcze teorie o światowym spisku żydostwa, to już zgupłem, i nie wiedziałem, czy rozmawiam jeszcze z punkiem czy może już chłopcem zafascynowanym nazizmem? Być może jest to odosobniony przypadek... ale mam obawy, iż wśród słuchaczy punk rocka we wszelkich odmianach, takich typów znajdzie się niestety o wiele więcej... To smutne. I tyle w tym temacie...

SKŁOTING TO NIE FIRMA!

Paweł namawiał mnie żebym napisał tekst o Od:zysku, czy raczej o tym, co się z tym skłotem stało. Z kilku powodów nie za bardzo miałem na to ochotę. Jednak cała ta sytuacja tak mnie zirytowała, iż nie mogę zostawić tego ot tak i udawać, że nic się nie stało...

Tuż przed 21. urodzinami poznańskiego Rozbratu świat obiegła zaskakująca informacja, iż skłoterski kolektyw z poznańskiego Od:zysku, dogadał się z właścicielem budynku i za kwotę 125 tysięcy złotych, wpłaconą na konto Wielkopolskiego Stowarzyszenia Lokatorskiego, opuści bez żadnych problemów budynek. Zawrzało! Również we mnie. Że jak to? Biorą kasę za opuszczenie skłotu? Anarchiści? Impulsywnie skomentowałem to wydarzenie gdzieś na falach fejsBoga (za co później, opieprzał mnie jeden z poznańskich anarchistów). Kolektyw Od:zysk wydał swoje oświadczenie, pisząc w nim m.in.: „Tak jak już pisaliśmy na portalu rozbrat.org, nasz Ruch nie przyjmuje na swoje bezpośrednie cele i działania dotacji: ani od państwa, ani od kapitału. Ustaliliśmy jednak, że jesteśmy skłonni opuścić budynek, jeżeli właściciel wesprze finansowo działania Wielkopolskiego Stowarzyszenia Lokatorów." (http://www.rozbrat.org/informacje/poznan/4363-owiadczenie-kolektywu-odzysk-w-sprawie-opuszczenia-budynku-przy-ul-paderewskiego-1) No to ja już nie wiem? Albo działamy z uwzględnieniem swoich własnych zasad, albo nie? Skoro, bez dotacji i subwencji, to czym jest kasa od dewelopera? Łapówką czy haraczem? Poznańscy anarchiści twierdzą, iż tym drugim. Śmiem wątpić. Szanuję poznańskie środowisko anarchistyczne, wiele osób tam działających znam od lat i mimo, iż nie zawsze zgadzam się z ich „polityką", to doceniam to, co robią i lubię ich towarzysko. Jednak takie działania, poprzedzone kampanią Miasto to nie firma! Rozbrat (lub Od:zysk) nie na sprzedaż!, dyskredytują już nie tylko poznańskich anarchistów, ale również całe środowisko anarchistyczne i autonomistyczne w kraju. Rację ma poznański poeta, Szczepan Kopyt, że czyn ten „wyrzucać im będą jeszcze przez lata w ich środowisku w Europie". Już się to robi! Nieraz już słyszałem głosy krytyki, i to nie tyle pod adresem Kolektywu Od:zysk, co całości poznańskiego środowiska anarchistycznego, z Federacją Anarchistyczną Sekcja Poznań na czele. Ludzie czują się zażenowani... Na domiar złego, mniej więcej w tym samym czasie, w sieci, pojawił się tekst „Od:zysk nie na sprzedaż! Nie, znaczy nie!" (http://grecjawogniu.info/?p=26107), w którym to, anonimowy(wi) byli mieszkańcy Od:zysku oskarżają poznańską FA i Kolektyw Rozbrat o wiele niezbyt miłych działań zakulisowych. Ponad 20 osób związanych z Od:zyskiem, w krótki sposób odpowiedziało na ów tekst: „Tekst 'Nie znaczy nie' zawiera zbyt dużo nieścisłości i przeinaczeń by uznać go za prawdziwy. Osoba go pisząca jest nam znana i faktycznie mieszkała na Od:Zysku, jednak od półtora roku nie uczestniczy w życiu kolektywu, stąd informacje, które przedstawia może znać z drugiej ręki lub plotek. W związku z tym nie mamy zamiaru polemizować z jego treścią. Jedyne, o co mamy żal, to fakt, że tekst ten ukazał się publicznie, bez

próby porozmawiania z nami jak wyglądała prawda." Natomiast poznańska sekcja FA, publicznie nie skomentowała nawet oskarżeń, jakie wobec niej padły w artykule. Podobno z anonimami i paszkwilami się nie dyskutuje, jednak, gdy padają poważne oskarżenia, środowisku należałoby się, choć kilka zdań wyjaśnienia - takie moje skromne zdanie. Natomiast bardzo chętnie poznańscy anarchiści polemizują z oficjalną prasą... (http://www.rozbrat.org/publicystyka/sprawy-lokalne/4364-paa-ze-sprawowania-od-redaktora-kckiego-w-zwizku-z-odzyskiem) Wszak to nie anonim, a i na paszkwila miano nie zasługuje... Ale mniejsza z tym...

Kilkanaście lat temu (10, może 12, nie pamiętam już...) analogiczna sytuacja nastąpiła w ruchu ekologicznym. Stowarzyszenie działające przy piśmie „Obywatel" odstąpiło od blokady budowy jakiegoś tam marketu w zamian za gratyfikację finansową na rzecz owego stowarzyszenia. Pieniądze miały zostać wydane na statusową działalność, czyli m.in. wydawanie pisma i książek. Wedle obrońców porzucenia Od:zysku na rzecz mamony, mamy tu do czynienia z zupełnie różnymi sytuacjami. Kolektyw Od:zysk nie wziął kasy na swoją działalność, a jedynie zaproponował przekazanie jej WSL. Nie jest tajemnicą, iż to właśnie anarchiści z FA i Rozbratu grają pierwsze skrzypce w tym stowarzyszeniu, więc argument o „różności sytuacji" - jakby nieco chybiony. Wówczas wszyscy „wieszaliśmy psy" na „Obywatelu", wypominaliśmy im, że przez ich łapówkę ucierpi cały ruch ekologiczny itp. Teraz, gdy media przez lata będą skłotersom wypominać okup za Od:zysk, jakoś mało kto podnosi lament. Duża część środowiska anarchistycznego i alternatywnego przeszła obok tego problemu jakby nic się nie stało... Zupełnie nie przemawiają do mnie również argumenty o „haraczu" wziętym od kapitalisty. „Haracz", o którym trąbią na drugi dzień wszystkie media i też go tak nazywają (lub mówią o okupie). Żadni z nas piraci, czy XIX-wieczni anarchiści-rozbójnicy. Trafił się po prostu frajer, co nie chciał rozgłosu i zadymy w środku miasta. Wolał dać kasę, by mieć święty spokój... Ładne mi rozbójnictwo... To, że być może budynek Od:zysku był nie do utrzymania na dłuższa metę, też jest nijakim argumentem obrony. Każdy skłot, w każdym mieście, w każdym kraju jest w zasadzie „nie do utrzymania". Jeśli Państwo czy Kapitał zechce, to rozwali każdą taką inicjatywę... Skłoty padają i powstają... i znów padają. Błędne koło tymczasowości. Wiele z nich upadło pod naporem eksmisji, niektóre umierały śmiercią naturalną, ze względu na brak ludzi, zaangażowania. Żadnego do tej pory nie opuszczono w zamian z kupkę pieniędzy! Jeszcze jednym, pojawiającym się gdzieniegdzie argumentem „za", było to, że ludzie biorą lokale od miasta i nikomu to w niczym nie przeszkadza... To zupełnie inne sprawy. Ja widzę tu kolosalną różnicę. Przede wszystkim: ekipy dogadują się z miastem, a nie deweloperem/kapitalistą. Nie biorą pieniędzy, a jedynie budynek, który prawdopodobnie i tak stoi pusty, niewykorzystany. To, że później mają kłopoty z jego utrzymaniem, to już inna bajka...

Podsumowując: osobiście uważam oddanie Od:zysku za pieniądze dla WSL za taktyczny błąd ze strony poznańskich anarchistów. Stracili nie tylko budynek w centrum miasta, który doskonale wykorzystywali w celach propagandowych, ale również szacunek u wielu anarchistów i autonomistów w kraju. Jak to wydarzenie odbije się zagranicą, nie wiem... Podobno takie hece miały już miejsce w Holandii, choć osobiście nigdy o nich nie słyszałem... ale przyjmuję to, jako prawdopodobne. Według mnie, zwyciężył pragmatyzm, połączony z racjonalnością, a gdzieś po drodze zagubiony został buntowniczy i romantyczny duch anarchizmu. Duch, za którym tak bardzo czasami tęsknimy... Jedyne, co mi pozostaje, to mieć nadzieję, iż będzie to jedyny taki przypadek w historii polskiego ruchu skłoterskiego i anarchistycznego, a brudne pieniądze od dewelopera faktycznie pomogą, a nie zostaną przejedzone przez statusowe cele stowarzyszenia...

WYBORCZA SRACZKA...

Były wybory i nie ma wyborów. Naród podobno wybrał. Lemingi odleciały za granicę a zostali ci, co nie mają innego wyjścia... Nie będę tu truł, że faszyzm nadchodzi, że jedna partia będzie rządzić i w ogóle będziemy mieć przejebane. Jako anarchiście w zasadzie jest mi wszystko jedno, jakie świnie będą przy korycie. Im gorzej, tym lepiej - chciałoby się powiedzieć. Ja tu raczej chciałem się podzielić swymi obserwacjami, odnośnie nadziei, jaką miało dawać nam wszystkim bycie Razem.

Mniej lub bardziej bliscy znajomi zaczęli nagle budować nową lewicową jakość. Dla mnie anarchizm zawsze był poza podziałem lewica-prawica, jednak wśród szerszego grona anarchistów, a szczególnie tych o społecznym zaangażowaniu, myśl i ruch anarchistyczny sytuuje się po lewej stronie sceny politycznej, a w zasadzie na samym lewym jej kraniuszku. Niech im będzie, że anarchizm to lewica, ale antyautorytarna, co trzeba zaznaczyć. Niemniej anarchizm zawsze był anty-parlamentarny! Nigdy (no prawie, wiem... ci wstrętni hiszpańscy anarchiści w czasie wojny domowej...) nie pchał się do władzy, nie chciał rządzić ani być rządzonym. Dlatego byłem nieco zszokowany, gdy okazało się, że kilku takich znajomych, utożsamianych przeze mnie do tej pory z działalnością może nie anarchistyczną, ale oddolną na pewno, nagle zapałali do partyjniackich klimatów i poselskich ław. Wiem, wiem, Razem to nowa jakość polityki. To partia bez lidera (no, może poza tym brodatym Zandbergiem, którego notabene kojarzyłem do tej pory chyba tylko z jakiegoś tekstu naukowego o Anarchistycznej Federacji Polski), partia, która zmieni dotychczasową politykę... Ciekawe czy ci naiwni pro-państwowi lewicowcy wzięli pod uwagę to, że to nie oni, ale to ich polityka może zmienić? Życie pokazało to już nie raz... No i z racji tych znajomych obrzydziłem sobie na maxa kolor fioletowy. Gdzie nie spojrzałem, tam fioletowe sztandary Razem. Cały fejsBóg we fiolecie, wszyscy sieją zachwyt nad udanym udziałem lidera w telewizyjnej debacie, że niby znów ta nowa jakość w polityce, oddolny powiew wolności, równości i braterstwa... Tylko zamiast czerwonych sztandarów, ten fiolet...

Na wybory nie chodziłem, nie chodzę i w przyszłości też nie mam zamiaru chodzić. Wolę chodzić do lasu na grzyby. A w dniu wyborów grzybiarzy było od cholery... Też pewnie wolą las i grzyby od polityki. Nigdy nie głosowałem i tym razem nie dałem się namówić na zagłosowanie na Razem. Dla mnie polityka parlamentarna zawsze zostanie tym chujostwem, z którym anarchiści przez setki lat starali się walczyć. Dla mnie ani Razem, ani tym bardziej jakieś zjebane Korwiny, Nowoczesne, czy Kukizy, nie różnią się niczym od POPiSów, Zlewów czy, PSLu. Chcą jednego - władzy! A ja władzę to pierdolę, ole, ole, ole...

DŹWIĘKI, KTÓRE URATOWAŁY MI ŻYCIE...

Jak wspomniałem na samym początku kolumny, miało być zupełnie inaczej... Głównym tematem miały być płyty, filmy i książki, które odcisnęły swe piętno na mnie i moim życiu. Nigdy nie miałem okazji podzielić się tymi fascynacjami w jakiś szerszy, publiczny sposób. Dla takiego Bezkoca jestem „pionkiem" sceny niezależnej, by mnie poprosić o wypowiedź w rubryce 10 płyt, które zmieniły moje życie, na łamach „Pasażera". Nikt też mnie nie zaprosił do fejsbukowego łańcuszka o książkach, które miały na nas duży wpływ... Filmy też lubię i mam jakieś tam ulubione, takie, co mi w głowie namieszały dawno temu lub całkiem niedawno... O tym wszystkim pierwotnie miało tu być, ale nie jest. Może i dobrze, może byłoby tego za dużo na raz... Dlatego postanowiłem podzielić te tematy i poruszać je w kolejnych numerach „Chaosu".... Na pierwszy rzut leci więc muzyka, nierozerwalnie związana z tym Zinem, jak i życiem większości jego czytelników...

Zespół IZRAEL śpiewał kiedyś: „Muzyka, życie jak muzyka..." - był czas, gdy muzyka była nieodzownym towarzyszem mego życia. Nie wyobrażałem sobie dnia bez słuchania muzyki. Później, inny zespół wykrzyczał, iż „Muzyka może być naszą bronią, muzyka może być naszą bronią w nieustającej walce o lepszy świat" (SEEIN' RED) - to na długi czas ukierunkowało mnie na słuchanie zespołów o określonym przekazie ideologicznym. Wydaje mi się, że zawsze moje horyzonty muzyczne wychodziły gdzieś poza utarte schematy. Gdy za młodu słuchałem głównie metalu, to jednocześnie podsłuchiwałem punk rocka i nowej fali zapuszczanej przez brata. Później było coraz szerzej... i tak jest do dziś, bo człowiek nie samym hardcorem i punkiem żyje. Jednak te 10 poniższych płyt będzie się chyba mieścić gdzieś w tym okołopunkowym i hardcore'owym kanonie. Sami zobaczcie.

SLAYER – „South of Heaven" - Zespół ten jest dla mnie niekwestionowanym zwycięzcą w konkursie „Kto był/jest najlepszy w świętej czwórce thrash metalu". Dla niewtajemniczonych, obok nich wymieniani byli: METALLICA, MEGADETH i ANTHRAX. Ci pierwsi skończyli się dla mnie po „Master of Puppets", drudzy nigdy się nie liczyli, a trzecich szanowałem jedynie za nieszablonowe podejście do thrash metalu. SLAYER jednak rządził! W zasadzie mógłbym zamiast tej płyty wpisać tu wszystkie, jakie ukazały się wcześniej. Późniejsza działalność SLAYERA również jest dla mnie znacząca, choć to te pierwsze cztery płyty działały na mnie najbardziej. Weźmy na ten przykład taki „Reign in Blood" - najpiękniejsza sieczka świata! Albo „Show No Mercy" - diabelstwo w czystej postaci i klasyk metalu! Potem pojawił się jeszcze wielki szacun za płytę „Undisputed Attitude", gdzie bogowie thrashu uraczyli nas coverami klasyków amerykańskiego hardcore'a (VERBAL ABUSE, MINOR THREAT, T.S.O.L., DI, DR KNOW, D.R.I.) i punka (THE STOOGES). No i nigdy nie zapomnę szaleńczego wrzasku „Slaaaaaaaayer!" - gdy próbowaliśmy się dostać na koncert NOMEANSNO (również ważny zespół, jaki nie zmieścił się na tej liście...) w Poznaniu w roku już nie pamiętam którym, ale dawno to było. Uradowała mnie też wieść o rondzie im. Jeffa Hannemana w Jaworznie i będzie raczej radować każda wiadomość o kolejnej ich płycie, no chyba, że zaczną grać pop, to to już nie.

NAPALM DEATH – „Scum" - Autobus relacji Rzeszów-Mielec. Siedzę podekscytowany, gdyż właśnie w moim walkmanie wylądowała kaseta z dwoma płytami: HELLHAMMER – „Apocaliptic Raids" oraz „Scum" NAPALMÓW właśnie... Który mógł to być rok? Nie pamiętam dokładnie, ale pewnie koło '89, może '90? A może wcześniej? Mniejsza z tym. Pamiętam jedynie, że dość często jeździłem do Rzeszowa, gdzie w sklepie muzycznym przy 3. Maja nagrywali na kasety płyty, o zdobyciu których mogłem tylko pomarzyć w Mielcu. Dopiero później pojawiły się wysyłkowe przegrywalnie kaset prowadzone przez ludzi związanych ze scena niezależną... Wróćmy jednak do owego autobusu i kasety w moim walkmanie. W pierwszej kolejności lecą szwajcarzy z Piekielnego Młota. To pierwowzór CELTIC FROST - jednej z niewielu metalowych kapel, których nadal słucham. Dziś, mało kto nazwałby to black metalem, ale wówczas tak właśnie grało się black metal. Po nich jednak nastąpiła masakra!!! O ile jeszcze pierwszy numer mnie nie powalił, to wszystkie następne rozpierdoliły moje wszelkie wyobrażenia o szybkości w muzyce... Do tej pory uważałem, że najszybciej to gra SLAYER, ale od tego momentu miałem już nowych bogów a grindcore stał się jednym z moich ulubionych gatunków na lata. Porzuciłem wszystkich metalowych bogów i zacząłem wielbić herosów muzycznej anarchii. CARCASS, AGATHOCLES (ich pierwsze demo nagrałem sobie w tym samym sklepie, jak i wiele innych kapel z nurtu grind, hardcore i punk) czy FEAR OF GOD nie opuszczali mojego kaseciaka. A co do NAPALMÓW, to moja miłość do tego zespołu zaczęła wygasać wraz z odejściem Lee Doriana i ukierunkowaniem się w stronę death metalu. Owszem, przesłucham każdą nagraną przez nich nową płytę, ale nie ma już tu tego zaskoczenia, ciar na rękach i karku, wypieków na policzkach... Stary NAPALM nieodzownie kojarzył mi się będzie również z postacią Micka Harrisa, utalentowanego perkusisty, którego grze na bębnach nie mogłem się nadziwić oglądając w latach 90. na zjechanej kasecie VHS „Live Corruption". Mick, po odejściu z zespołu w 1991 roku zaczął eksperymentować z „inną" muzyką. SCORN, którego był współzałożycielem, podążał w industrialno-eksperymentalne obszary. Na swym koncie ma również współprace z takimi tuzami muzyki niezależnej, jak Bill Laswell czy John Zorn.

D.R.I. – „Crossover" - Jedna z tych klasycznych kapel, która kładła kłody pomiędzy metalową a hardcore-punkową sceną. Dla mnie również była w pewnym okresie takim pomostem. Gdy jeszcze słuchałem black i thrash metalu, jednocześnie będąc obytym z punk rockiem, trafiałem na hardcore oraz thrash będący pod dużym wpływem właśnie tej muzyki. Nie wiem, czy to właśnie od tytułu tej płyty D.R.I. wziął się termin crossover, ale był czas, gdy takie kapele robiły na mnie duże wrażenie. CRYPTIC SLAUGHTER, S.O.D., CORROSION OF CONFORMITY, GANG GREEN czy nawet WEHRMACHT i RUMBLE MILITIA. Jednak D.R.I. był chyba tu najważniejszy. Być może dlatego, iż to klasyk gatunku. A być może dlatego, że do dziś w głowie siedzą mi obrazy z ich video-koncertu „Live At the Ritz", który z rozdziabanymi gębami oglądałem z kumplami metalowcami gdzieś w 1989 roku. Widok szaleństwa na scenie i pod sceną siedzi w mojej głowie do dziś. Stage-diving (widziany po raz pierwszy na oczy!) w wykonaniu metalowców i punków, trzepanie piórami i gdzieś dalej

od sceny ostre pogo. To wszystko musiało się wryć na kilkadziesiąt lat w łeb, musiało pozostawić po sobie niezatarte wspomnienie, coś, co z czasem mnie kształtowało. Późniejszych płyt mistrzów crossover nie słuchałem już prawie w ogóle. Nie odpowiadały mi. Wolałem sięgać po wcześniejsze dokonania, jeszcze w stylu klasycznego szybkiego amerykańskiego hardcore.

AGNOSTIC FRONT – „Cause for Alarm" - Pokochałem ten zespół od pierwszego kawałka z tej płyty: „The Eliminator". Klasyka nowojorskiego hc. Chyba jeszcze ich nie słyszałem, gdy w którymś ze starych numerów pisma muzycznego „Non Stop" (chyba?) umieszczono fotkę Vinniego Stigmy i Rogera Mireta - cali podziarani twardziele, Vinnie z uzi w rękach, Roger ze swym krzyżem na klacie. Robiło wrażenie na chłopaku z małego miasta. Oczywiście była to ich pierwsza płyta, jaką usłyszały moje uszy. Znów podróż z Rzeszowa do Mielca, znów wyświechtany walkman i krótkie, ostre kopnięcia w bębenki... Oczywiście wraz zainteresowaniem Agnostykami, przyszły i inne kapele z Nowego Jorku. Jedne z nich robiły wrażenie, inne mniej. Nigdy nie jarałem się CRO-MAGSEM, ale uwielbiałem niemal całą nową scenę hcXse z YOUTH OF TODAY, GORILLA BISCUITS, JUDGE czy BOLD. Zakochałem się w WARZONE, mimo, iż w polskich fanzinach pisywali, że to naziole... Do dziś od czasu do czasu lubię sobie zapuścić jakieś TOKEN ENTRY, SICK OF IT ALL, MURPHY'S LAW czy wczesne BEASTIE BOYS. Oczywiście NY to nie tylko czystej wody HC. Robiło wrażenie też BORN AGAINST, CITIZENS ARREST czy NAUSEA. Wracając do AF - może i mieli na swym koncie kilka słabszych płyt, ale nadal trzymają fason i łupią już od ponad 30 lat solidnego hardcora. I za to im chwała!

MINOR THREAT – „Complete Discography" - Zawsze byłem straight edge wierzącym, ale niepraktykującym :). A tak serio, to kiedyś z mamą się założyłem, że nie będę pił przez rok i zakład prawie wygrałem... prawie, bo pojechałem na koncert DOOM, do Łodzi, i tam złamałem obietnicę. Więc prawie przez rok żyłem jak wzorcowy SXE! No, ale już serio, serio, to uważam, że jest to naprawdę piękna idea, której nie udało się zepsuć ani religijnym odjechańcom, ani radykałom spod znaku hardline. Z całą pewnością zmieniła życie wielu osób, a być może niejedno uratowała. I myślę, iż właśnie o to chodziło Ian'owi MacKaye'owi, gdy pisał utwór pt. „Straight Edge". Oczywiście nie mogło go zabraknąć na tej płycie, wszak to kompletna dyskografia! Co tu dużo można pisać - klasyk nad klasykami amerykańskiego grania punk rocka, czy hardcore'a, jak kto woli. Muzyka, która zabiera się właśnie na bezludną wyspę i raduje się nią, gdy doskwiera smutek. Nieraz sam tego doświadczyłem, więc wiem, co piszę. Szkoda tylko, że nigdy nie zobaczę ich na żywo, ale tak to już bywa, jak człowiek urodzi się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie... Jak najbardziej wchodzą mi również wszelkie inne pominorowe dokonania MacKey'a. Pre-emo-corowe EMBRANCE oraz cała dyskografia FUGAZI. Tych drugich udało mi się zobaczyć lata temu w Pradze na żywo. Pot lał się ze mnie, jak i ścian klubu. Masa ludzi i wspaniała atmosfera, co rusz podgrzewana przez zespół. Dziś pozostał po tym tylko wspomnień czar...

SNAPCASE – „Lookinglasself" - Najpierw zobaczyłem ich na żywo. Poznań, rok 1994, koncert w Eskulapie, gdzie główną gwiazdą byli mili chłopcy z NY, SICK OF IT ALL. Jednak to ta, dotychczas zupełnie obca mi kapela, zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Nowa szkoła w HCXSE. Nowoczesne granie pełne mocy i urywanych riffów. Ta płyta była również pierwszą w ich dorobku, jak i zasłyszaną przeze mnie. Późniejsze też dawały radę, choć ta zadziałała najmocniej. Powracam do niej dość często, zawsze, gdy chcę wspomnieć ów koncert w Poznaniu (jego zapis można znaleźć na YouTube), który był też szczególny, gdyż to właśnie od niego zaczęła się moja znajomość z niejakim Markiem Piekarskim, zwanym Sanczem, z Tarnobrzega, choć dziś mieszkającym w Poznaniu. Nie wiem nawet, czy Sanczo wówczas nie kupił sobie tej płyty na koncercie i był moim źródłem, jeśli chodzi o pierwszą styczność z twórczością zespołu SNAPCASE... A tak przy okazji zahaczając jeszcze o new school HC, to w owym czasie nie do końca wchodziła mi większość kapel z tego nurtu. Po latach np. moje uznanie zdobyli EARTH CRISIS a taka belgijska szkoła grania (LIAR, CONGRESS), jakoś nigdy do mnie nie przemówiła.

KORTATU – „Azken Guda Dantza" - I znów, nim usłyszałem ich muzykę zobaczyłem ich, tym razem nie na zdjęciu, ale w TV. Rok 1987, oglądamy z bratem program Magazyn 102 prowadzony przez Marka Wiernika - osobistość nieobcą muzyce niezależnej. Wiernik ma dość egzotycznych gości - muzycy baskijskiego zespołu KORTATU. Cały występ w polskiej telewizji polegał na przedstawieniu się, powiedzeniu dwóch zdań oraz odśpiewaniu jakieś baskijskiej pieśni narodowej, bądź rewolucyjnej. To jednak wystarczyło, by nazwa KORTATU utkwiła mi w głowie. Później zaczęły się poszukiwania ich muzyki, określanej mianem ska-punka. Gdy z czasem osłuchałem się w ich twórczości, na jednej z katowickich czad-giełd zakupiłem właśnie tę płytę, którą uważam za zwieńczenie ich twórczości oraz jej doskonały przegląd. Jest to zapis ostatniego koncertu zespołu z 1988 roku, koncert ten można też znaleźć na jutubie i przynajmniej w ten sposób poczuć atmosferę tego wydarzenia. Dla mnie ważne było również polityczne zaangażowanie zespołu. Wiadomym jest, iż byli lewicowymi baskijskimi nacjonalistami, którzy właśnie poprzez muzykę postanowili propagować swoją sprawę. Myślę, że udało im się to w doskonały sposób. Gdyby nie KORTATU, pewnie niewiele osób by dowiedziało się o sytuacji w Kraju Basków i walce, jaką prowadzi ten naród. Oczywiście nacjonalizm KORTATU nie miał nic wspólnego z nacjonalizmem lansowanym np. w Polsce. Był on zdecydowanie lewicowy, społeczny oraz internacjonalistyczny. Nie do końca zgadzało się to z moim anarchizmem, ale potrafiłem uszanować te poglądy, gdyż wydawały się szczere. Dalsza twórczość braci Muguruza też do mnie trafiała. NEGU GORRIAK grał fantastyczną mieszankę combat rocka i elementami HC i rapu a solowa twórczość Fermina Muguruzy to już jamajskie rytmy połączone z elementami muzyki tanecznej.

ACTIVE MINDS – „Welcome to the Slaughterhouse" - Pierwszy raz zagrali w Polsce zdaje się w 1989 roku. Grali nawet niedaleko mnie, w Stalowej Woli, a ja jakimś cudem przegapiłem ten koncert, choć kumple byli. Widziałem ich później w Krakowie, zrobili ogromne wrażenie, dając czadu tylko w dwie osoby. To ich pierwsza płyta długogrająca i pierwsza ich produkcja, jaką miałem okazję usłyszeć. Od razu podszedł mi ten ich minimalistyczny instrumentalnie, acz bardzo czadowy thrashujący hardcore punk. Grało wówczas w Zjednoczonym Królestwie wiele podobnych kapel, równie przeze mnie lubianych i szanowanych. Choćby takie HERESY, RIPCORD, SATANIC MALFUNCTIONS, nie wspominając już o takich tuzach, jak ELECTRO HIPPIES czy EXTREME NOISE TERROR. Jednak to ACTIVE MINDS zrobił na mnie przed laty piorunujące wrażenie. Swą niepowtarzalną muzyką, swym politycznym i scenowym zaangażowaniem i wytrwałością oraz konsekwencją w działalności.

GUERNICA Y LUNO – „Wszystkie sztandary tak mocno już zostały splamione krwią i gównem, że najwyższy czas byłoby nie mieć żadnego. Wolność." - Myślę, że dla wielu osób z mojego pokolenia ten zespół nadal jest jakimś tam odnośnikiem, nadal - po wielu latach - robi wrażenie, a ich teksty ciągle nie tracą ze swej aktualności. GUERNICA Y LUNO wciąż płonie w naszych sercach! Być może zamiast tej płyty powinienem umieścić tu pierwszą ich kasetę „Prawdziwie wolny jestem jedynie wtedy, gdy równie wolni są wszyscy ludzie, którzy mnie otaczają" - było to w końcu pierwsze spotkanie z GUERNICĄ. Jednak takie kawałki jak „Odpowiedzialność II" czy „Hymn Miłości" zadecydowały, że to właśnie „Wszystkie sztandary..." są chyba ważniejsze. Prócz tego, muzycznie G.Y.L. wychodzi tu poza utarte schematy zaangażowanego punka. Obok krótkich i treściwych wykopów, mamy „bawienie się" z rapem, muzyką etniczną czy transową... No i przekaz ideologiczny... Już pierwszy numer uderza w samo sedno: „bo tylko w faszyście nie ma wątpliwości i wszystko widzi przez czarno-białe szkła, i jeśli jednoznacznie oceniacie ludzi, faszystą jesteś ty, faszystą jestem ja" - jakże te frazy oddawał mój polityczny światopogląd... Kolejny numer, z tego co pamiętam, wkurzył swym refrenem organizatorki i organizatorów festu Noc Walpurgii: „kurwy i dupki chodzą po świecie, wojna w mężczyźnie, wojna w kobiecie". Tekst „Hymnu Miłości" jest zbyt długi by go tu przytoczyć a wyrwany z kontekstu fragment nie odda całości... ale jest to z pewnością jeden z ważniejszych, o ile nie najważniejszy, utworów w historii polskiego punk rocka. GUERNICA wali więc mocno po uszach, jak i głowie. Daje do myślenia, przekuwa nowe tunele w uschematyzowanym ruchu punk, zmusza do opowiedzenia się po stronie prawdy i miłości... Wydaje mi się, iż każdy nowy adept ruchu punkowego, powinien swą punkową „edukację" zaczynać właśnie od tej płyty - być może wówczas pośród nas byłoby o wiele mniej konserwatywnych dupków udających buntowników, homofobów słuchających hc i punka rocka, zwykłych pocziwych debili idących za utartą modą... No, ale niestety, świat nie jest i pewnie nigdy nie będzie idealny. Pozostaje więc, po raz kolejny, zasłuchać się w G.Y.L., nieodżałowanej „ikonie" polskiej sceny HC/punk.

ZESPÓŁ REPREZENTACYJNY – „Za nami noc. Pieśni Lluisa Llacha" - Zdarza mi się, lądować raz na jakiś czas w szpitalu... Zabieram wówczas ZAWSZE tę właśnie płytę. Gdy mam doła, jest mi źle, żyć się nie chce... ZESPÓŁ REPREZENTACYJNY wyciąga mnie z ciemnej doliny, poprawia humor i przywraca chęć życia. Ktoś pomyśli – no, to ta muzyka musi być wesoła jak cholera! I myliłby się. Nie są to skoczne kawałki dające radość. Raczej smutne pieśni, ale dające za to nadzieję, nadzieję na to, że świat może być lepszy, iż naprawdę warto o to zawalczyć a nie tylko poddać się ciepłemu bezpieczeństwu w „swojej twierdzy" albo społeczeństwu konsumpcji. Na ten pierwszy nagrany materiał zespołu, składają się pieśni katalońskiego pieśniarza oraz działacza antyfrankistowskiego, Lluisa Llacha, przetłumaczone przez członków zespołu oraz przyjaciół. Innym pieśniarzem, który na swą tapetę wziął ZR był francuski anarchistyczny bard Georgass Brassens. ZESPÓŁ REPREZENTACYJNY uznawany jest powszechnie jako wykonawca poezji śpiewanej - ja jednak nie tak ich odbieram... Większość ich repertuaru stanowią utwory zaangażowane politycznie i społecznie. Jest to poniekąd zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę okres działalności zespołu (lata 80. ub. wieku, potem mieli chwilową reaktywację... i teraz znów grają i nawet ponownie nagrali pieśni Llacha - nowych wersji jeszcze nie słyszałem...). Dla mnie jest to taki anarcho-punk, tylko grany w inny sposób... bo takich tekstów naprawdę nie powstydziłby się żaden wykonawca tegoż gatunku. Z całości chciałbym tu wymienić dwa utwory. „Mur", który wykonywał również Jacek Kaczmarski, choć to ZR bardziej trzyma się oryginalnego tekstu utworu (utwór ten grywa również mój kolega, Maciek Roszak, który w swym repertuarze ma prócz swoich pieśni, wiele klasycznych utworów lewicowych) oraz „Kwiecień'74" - kawałek, przy którego słuchaniu zawsze przypomina mi się Rafał Górski - przyjaciel, krakowski anarchista zmarły 5 lat temu... A sam ZESPÓŁ REPREZENTACYJNY współtworzą dwaj znani dziś dziennikarze: Jarosław Gugała oraz Filip Łobodziński, znany również z dziecięcych kreacji filmowych w „Podróży za jeden uśmiech" czy „Stawiam na Tolka Banana".

W przypadku muzyki mógłbym oczywiście jeszcze pisać i pisać... Płyt, które odcisnęły się na moim guście muzycznym, jak i w jakiś tam sposób wpływały również na tok rozumowania, jest z całą pewnością drugie tyle. Ot, choćby tak z pięć tytułów jeszcze, już bez żadnych opisów: EWA BRAUN – „Esion", G-ANX – „Flashbacks", DEZERTER – „Underground Out of Poland", MOB 47 – „Garanterat Mangel", POST REGIMENT – „Czarzły" i jeszcze wiele, wiele więcej... ale o tym może innym razem... albo w ogóle.

Krawat

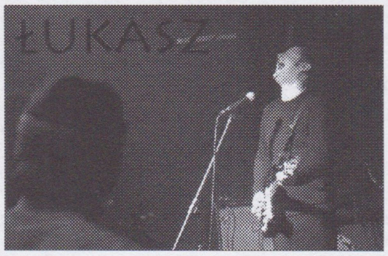

Tylko krowa nie zmienia poglądów...?

Muszę się przyznać, że w tym roku po raz pierwszy poszedłem na wybory. Przez prawie 20 lat bojkotowałem wszystkie - prezydenckie, samorządowe, parlamentarne. W tym roku doszedłem jednak do wniosku, że mniejsze zło jest mimo wszystko mniej chujowe niż to większe i pójdę. A co!

Pierwszy raz się złamałem i poszedłem głosować w lokalnych wyborach prezydenckich. Dla osób spoza naszego grajdołka – przez 16 lat naszym włodarzem był Ryszard Grobelny. Zwolennik polityki uległości wobec kościoła, miłośnik elit i grubego kapitału. Dzięki niemu mamy najwięcej galerii handlowych w Polsce, niefunkcjonalny nowy dworzec, który tylko udaje, że jest dworcem, a tak naprawdę jest kolejnym sklepem wielkoformatowym, mnóstwo afer, dużych i mniejszych, poza tym megalomania i miłość własna tego pana była do potęgi entej. Przeciw niemu stanął w szranki outsider z PO, ale popierany przez ruchy miejskie, któremu nikt nie dawał żadnych szans. Mobilizacja społeczna była jednak na tyle duża, że... udało się, czego naprawdę nikt się nie spodziewał. No i mamy Jacka Jaśkowiaka, który popełnił

już kilka gaf (fatalnie dobiera sobie współpracowników), ale jednak patrzy na miasto z innej strony. Nagle okazało się, że przejście dla pieszych obok dworca da się zrobić. Że zamiast galerii handlowych i hasła „know how", będziemy stawiać na zielony Poznań. Wcześniej, co kler chciał, to dostawał, co powodowało, że np. miasto wynajmuje kościołowi budynki na cele publiczne za symboliczne czynsze, natomiast w odwrotnej sytuacji czynsze płacimy już po cenie rynkowej. W wyniku audytu okazało się, że za sam fakt, że Maltanka – kolejka wąskotorowa jeżdżąca do zoo – jedzie przez ziemię należącą do kościoła, płacimy miesięcznie 20 tys. złotych! Jaśkowiak poza tym wykonuje miłe sercu gesty. Publicznie dziękuje anarchistom za pomoc wyrzucanym lokatorom i za organizację manifestacji z poparciem dla uchodźców, a nawet cieszy się, że udało się pokojowo załatwić sprawę skłotu Odzysk i pisze w tej sprawie list polemiczny do Wybiórczej(!). Nie do pomyślenia z Ryśkiem, dla którego anarchiści byli zawsze złem koniecznym. Jaśkowiak zapowiada też, że pójdzie w Marszu Równości, od którego Grobelny zawsze się dystansował. Ja wiem, że w dużej mierze to są tylko gesty, ale one również mają znaczenie. Tworzą klimat, dają przykład, a dla wielu są również wzorem zachowania.
Idąc za ciosem, byłem też na wyborach parlamentarnych. Zabawna sprawa, bo mogłem zagłosować na swojego dobrego kolegę, którego lubię. A że startował jeszcze z ramienia partii, z którą jakoś tam się zgadzam, to czemu nie? Pomimo tego, że wciąż sympatyzuję z A w kółku, uważam, że jest nam potrzebna porządna lewica, niezwiązana z postkomunistycznym betonem. Lewica, która nie jest celem sama w sobie, a tylko środkiem do celu. A z Maciejem jeszcze działaliśmy w Federacji Anarchistycznej, choć jak ja się zaczynałem angażować, to on już odchodził, bo zakładał bodajże Lewy Front... A może to było tylko pisemko? Nie pamiętam już. Potem graliśmy w takiej śmiesznej kabaretowo-folkowej kapeli Krwawy Koniec Burżuazji – z akordeonem i gitarami akustycznymi. Śpiewała tam m.in. Agnieszka z ACTION FREEDOM, pamięta ktoś tę kapelę? Graliśmy swoje utwory i dużo poezji rewolucyjnej, pisaliśmy muzykę do wierszy Tuwima, Brechta, Broniewskiego. Myślę, że dziś mogłoby to zażreć, jest - w pozytywnym sensie – moda na takie rzeczy. Cieszę się, że Maciek dostał trochę głosów, a partia Razem zebrała więcej niż 3% i dostanie trochę kasy z budżetu. Wolę żeby oni dostali te pieniądze niż jakieś zjeby od Korwina. Choć rzecz jasna, oni też dostaną swoją dolę.
Dlaczego poszedłem głosować, można by długo jeszcze pisać. Wspomnę jeszcze tylko o jednym aspekcie, dość śmiesznym. Pójście na wybory nie było dla mnie łatwe w sensie psychologicznym. Człowiek przywiązuje się do swoich nawyków, wzorców myślenia i chce wypadać spójnie w oczach otoczenia. To głupie, ale czułem, że wrzucając głos do urny, w pewien sposób neguję dużą część swojej przeszłości. Że zaprzeczam sobie, temu, w co wierzyłem, pisałem, a czasem i śpiewałem. Doszedłem jednak do wniosku, że jestem i tak już uwikłany w ten system, któremu symbolicznie daję ciała codziennie, że dlaczego nie skorzystać choćby z tej cząstki samostanowienia, którą łaskawie nam udostępniono. Tak, wiem, że „wybory gdyby mogły coś zmienić, to zostałyby zakazane", ale nikt mi nie wmówi, że nie byłoby różnicy np. pomiędzy rządami Razem, a PiS-em. Dla mojego idealizmu to ciężka decyzja, ale jednak muszę przyznać, że mniejsze zło istnieje. Dobra, kończę ten wątek, bo czuję, że zaczynam przynudzać.

W Poznaniu nawet anarchiści są „inni"

Stary dowcip, fałszywy zresztą, mówi, że w Poznaniu nie było ruchu oporu, bo Niemcy nie pozwolili. Moja kapela dostała propozycję zagrania w małej miejscowości na wschodzie Polski. Takiej naprawdę niewielkiej, jakieś 10 tys. mieszkańców. Ale mieliśmy grać dzień wcześniej w Lublinie, więc spox, gadamy z organizatorem. I wychodzi, że to ma być niedziela, a tego samego dnia w mieście odbywa się jakiś duży koncert w ramach Dni Miasta czy czegoś takiego... I tak punkt po punkcie delikatnie piszę do organizatora, że owszem możemy przyjechać, ale boję się, że on popłynie finansowo na tej imprezie, bo pewnie załogantów u niego mało, a nikt „normalny" nie przyjdzie nas posłuchać mając do wyboru darmowy koncert ze znanym zespołem. Odpisał zachwycony, że uratowaliśmy go od wtopy, że po raz drugi rozmawia z kimś z Poznania i, że to prawda, co o nas mówią, że jesteśmy tacy poukładani i rozsądni. A piszę o tym wszystkim, bo chcę powiedzieć, że mi się podoba, że ekipa ze skłotu Odzysk zachowała się bardzo pragmatycznie, dogadała się z deweloperem i za 125 tys. Zł, przekazanych na Wielkopolskie Stowarzyszenie Lokatorów, zdecydowała się opuścić skłotowany budynek. Wiem, że byłoby romantyczniej, gdyby się zabarykadowali i walczyli do końca, ale, koniec końców, wszyscy wiemy, jakim rezultatem skończyłoby się takowe starcie. A tak kasa powędrowała na zbożny cel i zostanie dobrze wykorzystana na pomoc ludziom, którzy mają problem z czyścicielami kamienic. Ja Odzysk będę wspominał miło i żałuję, że zniknęła ta malownicza miejscówka z mapy alternatywnego Poznania. Było to miejsce zupełnie inne niż Rozbrat. Rozbrat to porządek i organizacja, Odzysk to była hipsterka i spontan z zapchanym kiblem, ale kiedy trzeba było, to chłopaki pokazywali kły: na ogromny plus im się liczy obrona swojego domu przed idiotami, którzy chcieli wykorzystać świętowanie mistrzostwa przez Lecha i szturmowali skłot. W Poznaniu, w niektórych środowiskach „punx and skins", o Odzysku mówiło się różnie, bo niektórzy mieli tam bana na przychodzenie na koncerty. Część pewnie słusznie, część niesłusznie, teraz to już nieważne... Choć kilka osób miało dodatkowy pretekst, aby się obrazić na tych strasznych, rozpolitykowanych i przewrażliwionych anarchistów, którzy wszędzie widzą faszyzm.

Hare Żabki Rama Smalec

Momentami „szukanie faszystów" przybiera karykaturalne rozmiary, jak w przypadku ZIELONYCH ŻABEK, które gdzieś tam zagrały na jakimś spędzie motocyklowym, z jakąś kapelą z dupy wyjętą, której nazwy dzisiaj nikt nie pamięta. Ale ponoć grał tam ktoś spod znaku „pięciu piw", więc zrobił się w środowisku mały huczek. Scenowa milicja (nie cierpię tego określenia!) porusza się czasem z gracją słonia w składzie porcelany. Jeśli już glanować. Smalca z ZIELONYCH ŻABEK, to - podpowiadam - za propagowanie ruchu Hare Kriszna, którego moim zdaniem z punk rockiem pożenić nie sposób. Ja sam przymykam na to oko, bo posiadam ogromny sentyment do tej kapeli i wychowałem się na ich piosenkach. Pamiętam kilka wcieleń GAGI, mantrowanie na scenie, agitowanie na Woodstocku... Hare Kriszna ze swoim konserwatywnym podejściem do roli kobiety, gejów, czy nawet nauki (negacja np. teorii ewolucji), dla punkowych purystów powinno być bardziej problematyczne niż wspólny występ na przypadkowej imprezie z przypadkowym zespołem. Aczkolwiek, żeby było jasne – ja do takowego bojkotu i walki z ZŻ nie namawiam, bo to po prostu fajny zespół jest i szczery w tym, co robi.
Wracając na chwilę jeszcze do pankroka. Zasmuciła mnie informacja o końcu działalności WARSAW DOLLS. Tekstowo to był jeden z najlepszych zespołów na tej naszej mikroskopijnej scenie. Nie dość, że piosenki były o czymś, to warsztatowo były dobrze napisane. Podobała mi się w tej kapeli jeszcze dbałość o szczegóły, grafiki mieli zawsze wypieszczone i z pomysłem. Szkoda, że dali sobie spokój, ale częste zmiany składów są w stanie zmęczyć każdego. Doceniajcie zespoły, dopóki istnieją!

Łukasz (Mnoda)

Wybory. Tegoroczne rozdanie wyborcze daje nadzieję na poprawę kondycji sceny hardcore/punk. Jeśli natomiast ono nie jest w stanie obudzić ducha kontestacji u młodych ludzi, to w zasadzie nic już tego nie zrobi. I w tym miejscu kończą się dobre wiadomości. Chaos, słowo widniejące na okładce czytanego właśnie przez was zina, oddaje stan rzeczy, jaki przyszło nam w tej nowej rzeczywistości zastać. Wszystko stanęło na głowie! Faszyści (ze wskazaniem na Autonomicznych Nacjonalistów) namawiają do bojkotu wyborów, natomiast wielu moich znajomych, w panice, często pierwszy raz w życiu, poleciało spiesznie do urn. Strach przed Kaczyńskim jest potężny, ale wydaje się być uzasadniony. Tak, „wariat dochodzi do władzy". Skuteczności w dążeniu do koryta chłopu i jego świcie odmówić nie można, ale to ani trochę nie czyni mnie spokojniejszym. Wręcz przeciwnie! Niżej podpisanemu ta panika także się udzieliła. Dałem się ponieść emocjom - zagłosowałem na partię RAZEM.
Bolało, ale głos oddałem. Bolało, bo po pierwsze do wyborów, generalnie, nie chadzam. Wyjątkiem są wybory lokalne i referenda. Referenda zresztą to rzadka sytuacja, kiedy władza o coś tam mnie pyta (ostatnie jednak złośliwie olałem). Założenia, zwłaszcza te gospodarcze, RAZEM to nie jest moja bajka. Kiedy słyszę krzyczącego Zandberga o silnym, a nie fasadowym państwie, to czuję się „tak se". Przyznaję, facet podczas tej całej nieszczęsnej debaty wypadł lepiej niż przypuszczałem. Nie należę jednak do ludzi, którzy dają się złapać na telewizyjny show. Fakt jest jednak taki, iż akurat w moim regionie wspomniane RAZEM tworzy spora grupa ludzi związanych mniej lub bardziej ze sceną hc/punkową. Od początku ich zaangażowanie w ten polityczny twór mnie dziwiło, ale też trudno było nie docenić tytanicznej i bezinteresownej pracy, jaką na jego rzecz wykonują. Znam tych ludzi bardzo dobrze, ufam im, bo wielokrotnie wspólnie z nimi współorganizowałem różnego rodzaju akcje, czy też imprezy. Oddałem więc głos na osoby, które naprawdę znam, głośno życząc im, aby przekroczyły te cholerne 5%, ale w duchu mając nadzieję, iż nigdy tak zwanej większości parlamentarnej mieć nie będą. Sorry, przyjaciele. Przestałem wierzyć, że wybory nic nie zmieniają. Zmieniają, choćby fakt, że ten idiota Kukiz wprowadził dziewięciu nacjonalistów do sejmu. Zresztą, o ile moja decyzja o pójściu do urny była napędzana strachem przed Kaczyńskim i PiS-em, o tyle tak uczciwie, emocjonalnie, najbardziej wkurwia mnie ów Kukiz. Podziwiam, serdecznie podziwiam, tych kilku załogantów, którzy dostrzegli w tym typie prawdziwego „antysystemowca" i panaceum na wszystkie problemy toczące ten kraj. Do lekarza, wszyscy!
Oczywiście RAZEM do parlamentu się nie dostało. Wynik wyborczy miało jednak na tyle przyzwoity, że w ramach partyjnej subwencji dostało sporo kasy. Ślepa radość, jaką z tego tytułu przeżywa kilka związanych z tą partią osób, napawa mnie niepokojącym poczuciem, że tego 25.10.2015r. lepiej było siedzieć w domu. Może jednak nie... Nie wiem... „Lekko" w tej całej sytuacji wariuję. Lubię zwyczajnie to swoje miasto i niespecjalnie mam ochotę zabierać familię poza granice kraju. Nie wykluczam jednak i takiego wariantu. W każdym razie, tak jak wspomniałem na początku, z tego brunatnego chaosu, z którym przyjdzie się nam zmierzyć, może wreszcie wyłoni się jakaś poważniejsza próba młodzieżowej kontestacji. Patrzeć nie mogę jak młodzi ludzie, parafrazując znane graffiti, zamiast zmieniać reguły gry, robią wszystko, aby te były jeszcze bardziej surowe. Sytuacja oczywiście jest wynikiem pewnego społecznego pata. Z jednej strony ta brunatna, zastraszona, pełna kompleksów, ale i megalomanii, narodowa Polska, a z drugiej Platformerstwo, TVN i wylansowane celebrytctwo. „Wybór", który czyni mnie bardzo samotnym. Nie pasuję, nigdzie nie pasuję! Tyle lat człowiek żyje i ciągle poza jakimkolwiek schematem - zwariować można. Nic, pożyjemy, zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie, choć życie może w najbliższym czasie trochę bardziej boleć. Przyjdzie nam jednak odpocząć od demokracji (jaka by tam ona nie była).
„Żeby się zabawić, trzeba kogoś zabić", jak mawiał jeden z bohaterów filmu „Prywatne Miasto". Ostatnimi czasy w Polsce padło na uchodźców. Brzydka, paskudna twarz tego kraju w akcji. Kilka tysięcy ewentualnych uchodźców, którzy mają pojawić się nad Wisłą, to są dwa, może trzy bloki na moim osiedlu. Wykorzystano jednak ich ludzki dramat do cynicznej, przedwyborczej gry politycznej. Pytanie zresztą, ile tych osób zostanie w Polsce? Okazuje się natomiast, że ta część Europy, do której się docelowo kierują, jest znacznie bardziej otwarta, niż ta, która jest tylko miejscem tranzytowym. Ruszyły więc brunatne marsze antyimigranckie w całym kraju. Rasiści znów mają te swoje zasrane „pięć" a może nawet „dziesięć" minut! Na flagach ponownie widać celty (jeszcze niedawno, mniej lub bardziej nieudolnie chowane - choćby podczas listopadowych demonstracji). W Łodzi i Częstochowie hajlowanko. Tu i tam kolesie ze swastami na koszulkach. Tak, to już nie odradza się nacjonalizm, a definicyjny faszyzm.

W moim mieście także takie antyimigranckie demo miał miejsce. Organizator, KORWiNista, sprawiał wrażenie gościa, który stracił kontrolę nad jej przebiegiem. W pomanifestacyjnych debatach internetowych, przyparty do muru, twierdził, iż nie ma nic do emigrantów, tylko, że jest przeciwny powstawaniu na terenie mojego miasta obozów dla takowych. Podkreślał, iż przypominają one obozy koncentracyjne, że to się nie godzi itd. Celty, rasistowskie transparenty i obecnych na demie rasistów marginalizował lub zbywał milczeniem. Gość jest jednak właścicielem dwóch klubów muzycznych w Bielsku-Białej i pewnie wystraszył się, że klienci mu uciekną. Co ciekawe, skąd miał wiedzieć, że takie obozy mają się na Podbeskidziu pojawić - nie raczył wyjaśnić. Dość dodać, że prezydent mojego 180 000 miasta podał publicznie, iż stać je jedynie na przyjęcie jednej (sic!) rodziny uchodźców i to z… Kazachstanu. Na południu się pali, a gaszą na wschodzie - jakiś okrutny kabaret przychodzi mi obserwować. I jeszcze ta cała debata, że wpuścimy uchodźców, a nie wpuścimy imigrantów ekonomicznych. Kogo, kurwa? Kraj, który kilka milionów takich imigrantów ekonomicznych w ostatnim czasie wygenerował, ma czelność na taką refleksję. To jest czad.

Nie jestem sympatykiem wielu, może nawet większości wartości islamu, ale tu chodzi o zwykłą solidarność z tymi, którzy uciekają przed wojną, strachem, głodem i śmiercią.

Jan Hartmann kiedyś napisał, że „litość i trwoga, które każą nam działać i pomagać, czynią z ludzkości gatunek zasługujący na istnienie. Dzięki ludziom dobrym jesteśmy czymś więcej, niż rakiem toczącym skórę ziemi".

Nasz kraj, szczycący się chrześcijańskimi korzeniami, kulturą i mocnymi więziami międzyludzkimi, pokazał jednak bierność i obojętność na cierpienie człowieka, stojącego u jego bram. Wartości, którym podobno hołdujemy okazały się tylko słowami. Wygrał, wygenerowany przez demagogię strach, że większość z nas zostanie skrócona o głowę. Tak trudno, do cholery, zrozumieć, że w tych starych, dziurawych łodziach uciekają do Europy nie ci, co ścinają głowy, ale osoby, którym te głowy mają być ścięte?

Oczywiście o islamie, świecie arabskim, Bliskim Wschodzie, większość uczestników tych demonstracji wie tyle, ile im opowiedziała ciotka, która była na wczasach w Egipcie. To jednak absolutnie nie przeszkadza siać „wszystkowiedzącej" propagandy czystej nienawiści.

Jest oczywiście i ta ładniejsza twarz Polski. W moim mieście (i nie tylko) miała miejsce zbiórka ubrań, śpiworów, które docelowo trafiły do przebywających wtedy na Węgrzech uchodźców. Razem z rodziną także w takowej uczestniczyłem, oddając na ten cel trochę domowych fantów. Ot, taka nasza mała familijna duma, że możemy choć w ten sposób kogoś wesprzeć.

Odnoszę jednak wrażenie, że ten kraj potrzebuje igrzysk, potrzebuje krwi. Nie ważne czyjej, Żydów, gejów, lewaków, czy wreszcie uchodźców - lista może ewoluować, może się wydłużać, zmieniać. Zapewniam was jednak, moi drodzy czytelnicy, że jakiego by kształtu ona nie przybrała, większość z was na pewno się na niej znajdzie. Miejcie to proszę na uwadze, pamiętając, że jeśli dziś wykażecie się solidarnością, ktoś kiedyś także taką solidarność może okazać wam.

Tomek

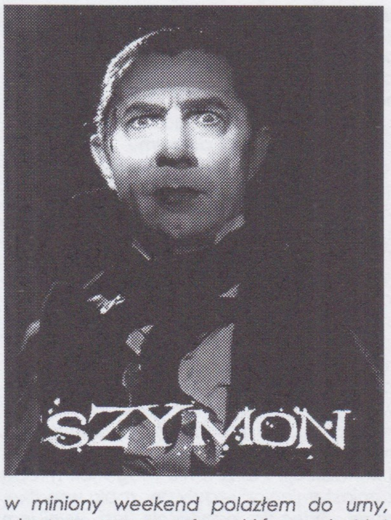

Przyznam się wam do rzeczy przykrej i wstydliwej. Otóż zagłosowałem parę dni temu w wyborach parlamentarnych. Zagłosowałem po raz pierwszy bodaj od czasu wyborów prezydenckich, w których przeciwko Wałęsie startował Kwaśniewski. Wtedy zagłosowałem na Wielkiego Elektryka, mimo tego, że uwa-żałem go za zdewociałego, megalomańskiego bałwana, bo jakoś wolałem bałwana od śliskiego komuszego aparatczyka. Potem mi przeszło na długo, bo i od prezydentury Kwacha się świat nie zawalił, i rządy PiS też były mimo wszystko wydarzeniem bardziej śmiesznym niż tragicznym. Jakoś nie czułem potrzeby ani sensu legitymizowania tego cyrku w jakikolwiek sposób. A jednak w miniony weekend polazłem do urny, z pełną świadomością oddając głos na ugrupowanie o którym wiedziałem, że na pewno nie wygra. Co więcej, wcale bym nie chciał żeby wygrało, bo jego program uważam za szkodliwy- oczywiście gdyby został wprowadzony w życie, co w najbliższych dziesięcioleciach nie wydaje się raczej prawdopodobne. Jak się nietrudno chyba domyślić, wsparłem, wbrew sobie, neokomuchów z partii Razem. Nie dlatego, jak wspomniałem, że porwał mnie program. Nie dlatego, że nadspodziewanie sporo osób z tzw. środowiska zajarało się „nową polityczną jakością", wspierając Razem myślą mową i uczynkiem. Nie porwał mnie w końcu pan Zandberg i jego wystąpienie w czasie debaty, ponieważ debaty nie oglądałem (swoją drogą dramatycznie świadczy o poziomie polskiej polityki fakt, że wystarczy w miarę składnie i bez chamowy powiedzieć parę zdań i na tle konkurencji wypada się jak objawienie). Nie. Po prostu mam nieodparte wrażenie, a jest to bardzo nieprzyjemne wrażenie, że pewien drobny, ale zauważalny przechył tzw. nastrojów społecznych w prawo od jakiegoś czasu jest już niekontrolowanym zjazdem w prawo bez trzymanki. Zjazdem prosto w brunatne szambo. Nie ma się co pierdolić z eufemizmami- to, z czym mamy od jakiegoś czasu do czynienia, to jest galopująca faszyzacja dyskursu publicznego. Trudno inaczej odebrać ostatnie marsze przeciwko imigrantom chociażby. Marsze, które zgromadziły grube tysiące ludzi, i to nie tylko zakapturzonych łysych debili spod znaku Gimbazy Wyklętej, ale i skretyniałych normalsów, a to na skretyniałych normalsach, nie na umundurowanych bojówkach, pasą się totalitaryzmy. Niestety, histeria związana z perspektywą pojawienia się w Polsce uchodźców ujawniła, że skala skretynienia jest naprawdę ogromna. Przerażające. I z tego przerażenia wziąłem i zagłosowałem, bo uznałem, że potrzebna jest, do kurwy nędzy, jakaś przeciwwaga, nawet jeżeli mieliby nią być kochający podatki socjaldemokraci, którym po nocach śnią się regulowane centralnie ceny. Jak wiadomo, cała mobilizacja wokół Razem wystarczyła na jakieś trzy procent głosów i tyle z „efektu Zandberga" wyszło, za to dzięki jednemu zapijaczonemu szansoniście mamy w sejmie całkiem sporą reprezentację brunatnych misków z Ruchu Narodowego. Znamienne. Cóż, wydaje mi się, że rządy PiS, których tak się niektórzy obawiają to, paradoksalnie, najlepsze co się mogło stać- gdyby Wszyscy Ludzie Prezesa po raz kolejny zaliczyli wyborczą wtopę, skretynienie i radykalizm skończyłyby się prędzej czy później jakąś poważną zwyżką notowań skrajnych nacjonalistów, i dopiero mielibyśmy pasztet. A tak – zobaczymy. Widziałem gdzieś w Internetach obrazek z podpisem „przynajmniej dla punka to będą dobre czasy", że niby pod butem pan krok kwitnie najbujniej, ale to jest, obawiam się, niepobożne życzenie tylko. Przez trzy dekady, od pierwszych Jarocinów, poprzez piękny i bujny rozkwit sceny niezależnej w latach dziewięćdziesiątych, aż do dzisiejszej skarlałej niszy, naprawdę wiele, wiele tysięcy ludzi chociażby otarło się o ten ruch. A także i o inne ruchy mniej lub bardziej kontrkulturowe. I co? Ano: i chuj. Pic na wodę. Wyjątkowo wątłe podstawy miał ten, żal się Jahu, bunt. Tak przynajmniej wnoszę patrząc na to, co po latach potrafią wygadywać, wypisywać i wyrabiać buntownicy. Zresztą, antysystemowiec Kukiz jest, myślę, najjaskrawszym przykładem – on co prawda wbrew różnym miejskim legendom nigdy z punkiem nie miał nic wspólnego, ale jakoś tam jednak był przez tzw. ogół kojarzony, a przy tym sporo, niestety, niegdysiejszych punków załapało się na ten nieświeży i nieśmieszny dowcip. Pewnie równie sporo podjęło wirtualną walkę z islamizacją, która niechybnie nas czeka za sprawą uchodźców wmuszonych nam przez Niemców i Unię Europejską. Cóż, ostatnio wpadła mi gdzieś w oko okładka płyty „punkowej" kapeli z logiem zwieńczonym husarskimi skrzydłami, w stylowych bielach i czerwieniach, ze stosownym patetycznym bogoojczyźnianym tytułem i takimiż tekstami. Taki to pankrok, proszę państwa, w roku 2015 jest na fali. Mam wrażenie, że scena robi się coraz mniejszą i coraz bardziej marginalną enklawą w oceanie syfu. W zeszłym roku pod niebiosa wychwalałem Outside Fest, w tym roku byłem tam ponownie i było jeszcze bardziej zajebiście, ale polska rzeczywistość dotarła i tam, uosobiona przez paru najebanych misków szukających ujścia dla rozpierających ich uczuć patriotycznych - „eeechonotulewakukurwojedn atociezajebiechono". Na szczęście to był jeden, drobny epizod w trakcie całej imprezy, ale sam fakt, że nawet w tak zajebistym miejscu musiały się pokazać nacjo-trolle mocno zasmuca. Tym bardziej trzeba się pojawić w Bielsku na festiwalu „Nacjonalizm? Nie, dziękuję!". Nie dlatego, że i mojej kapeli się tam zdarzy w tym roku grać - to akurat mało istotne. Nawet nie dlatego, że to ostatni koncert EFAE, choć to akurat istotne i smutne bardzo, bo to zespół wyjątkowy i wyjątkowo ważny. Trzeba, po prostu, ujmując rzecz górnolotnie i półżartem, dać świadectwo. Pokazać, choćby i sobie samym, że jeszcze nie wszyscy ze szczętem poszaleli. Zawsze to jakaś – skromna, bo skromna- odtrutka na widok ryjów Winnickiego i kolegów na sejmowej trybunie. Bajdełej, narodowcy, którzy bez Kukiza w życiu by do tego sejmu się nie dostali, zaczynają właśnie stawiać warunki i żądania, bo inaczej strzelą focha i sobie z klubu parlamentarnego pójdą. Stoprocent narodowego stylu i klasy. Jest śmiesznie, a będzie jeszcze gorzej. Wszystkiego dobrego.

Szymon

Choć hasło „żadnych granic" w punk rocku jest dobrze zakorzenione, odnosząc się zarówno do granic rzeczywistych takich jak państwowe, ekonomiczne, jak i mentalnych dotyczących myślenia czy działania, to przyznać trzeba, że pewne granice jednak istnieją. Hasło to ma raczej wymiar metaforyczny niż dosłowny i swój sens ma tylko osadzone w całej idei sceny wraz z pozostałymi postulatami. Samo w sobie niewiele znaczy, jest puste i pełne jednocześnie, pozwala usprawiedliwić każde działanie bez względu na wszystko. Tak zdają się rozumieć je nacjonaliści czerpiący garściami z naszego środowiska, nie patrząc w ogóle na kontekst, tło, wartości, na jakich jest ono zbudowane. Na fali zapożyczeń, zgapiania, przenoszenia na własny grunt, biorą co się da. Czy istnieją jakieś granice śmieszności i żałości? Oczywiście, że nie - żadnych granic! Tak zdają się tłumaczyć swoje działanie, brak sensu i spójności, jakiejkolwiek głębi i polotu. Inspiracje i przenoszenie pewnych idei czy wzorów między nawet najbardziej antagonistycznymi ruchami mają miejsce od zawsze. Często stanowią nawet główną siłę napędową, służą zarówno rozwijaniu własnego arsenału środków, jako odpowiedzi na działania oponenta, jak i rozwijania obcych wzorów u siebie i wplatania je we własne działania. Wynika to po trochu z ograniczonej ilości postaw przy jednoczesnym nieograniczonym sposobie ich wyrażania.

Dobrym przykładem będzie bunt jako niezgoda na coś. Postawą jest bunt, ale to, przeciwko czemu jest wymierzony i jaką formę przybiera, jest kwestią wypadkową wielu czynników. Różne środowiska, ruchy, sub/kontrkultury wytwarzały własne wzory i sposoby działania, bycia, spędzania czasu. Zawiązywały się wokół konkretnych wartości, które stanowiły ich fundamenty, i bardziej lub mniej precyzyjnie zaznaczyły co je określa, a przeciwko czemu się opowiadają czy z czym się nie zgadzają. Opozycja wobec głównego nurtu kultury, dominujących wartości i wzorów lub ich innej interpretacji stanowiła podstawę ich funkcjonowania. Chęć odróżnienia się od innych, odnalezienie własnej drogi, stworzenie swojego stylu i sposobu bycia, było czymś co je określało i czyniło z nich coś wyjątkowego, innego, odrębnego. Zarówno na tle głównego nurtu, jak i innych grup. Wartości takie jak oryginalność, świeżość, niepowtarzalność, wyjątkowy styl, inność, swego rodzaju ekskluzywność, to

były podstawy i coś co stanowiło treść ruchu, czyniło z niego alternatywę i decydowało o jego atrakcyjności. Czy coś się w tej kwestii zmieniło? Na pewno, ale co i jak, jest tematem na długą rozprawę. Kontrkultury i ruchy rozpływają się w głównym nurcie, stając się jego częścią, czy może główny nurt traci swoją dominującą rolę na rzecz niezliczonej ilości nieokreślonych ruchów i subkultur, które się przenikają, pojawiają i znikają z dnia na dzień. Zmienia się kwestia tożsamości współczesnego człowieka, który nie jak kiedyś, przyjmował pewien zbiór wartości, które uważał za swoje i szczególne, identyfikował się z nimi i były one cenne dla niego, ale nie chce mieć żadnych ograniczeń, żeby móc czerpać garściami z tego co dostępne. A dostępne jest wszystko, tu i teraz. Rewolucja informatyczna uczyniła dostęp i wgląd do niemal każdej idei, grupy, ruchu, poczynając od dużych, dobrze znanych ogólnoświatowych, po najmniejsze, tworzone nieraz przez pojedynczych zapaleńców. Pozwala to niemal każdemu odnaleźć swoją konfigurację wartości i przekonań oraz bratnie dusze, nawiązać kontakt i realizować siebie i swoje postulaty. Jak wszystkie sytuacje, ta też ma swoją drugą stronę, którą jest rozłażenie się ruchów wcześniej istniejących, dzielenie na coraz mniejsze, łączenie z innymi, powstawanie tysiąca nowych konfiguracji. Nie, żeby wcześniej tak nie było. Każdy nurt miał swoje podnurty, odnogi. Było jednak coś, co je łączyło i trzymało razem, nawet mimo różnic, były to różnice wewnętrzne, a wszelkie najdziwniejsze odchyły były ucinane zanim zdążyły się rozwinąć i jeśli nie okazywały się odpowiednio silne, więdły. Bezproblemowa komunikacja i możliwość głoszenia swoich idei na cały świat sprawiły, że zniknęły wszystkie granice. W obecnej chwili nawet najbardziej fantastyczny zbiór przekonań ma swoich wyznawców i w zasadzie jedne idee przechodzą płynnie w drugie, czyniąc z nich w zasadzie swoiste continuum. Jedna drobna różnica na jakiś temat nie czyni kogoś członkiem danego ruchu z odrębnym zdaniem, ale powoduje przejście do kolejnego. Nawet najdrobniejsze różnice i rozbieżności urastają do miana kwestii granicznych i ostatecznych, a przy zbyt wielu szczegółach zaczyna gubić się całość. Znikają z pola widzenia kwestie, które łączyły, stanowiły rdzeń szerszego ruchu i przesądzały o jego charakterze. Zamiast ruchu o wielu twarzach, różnorodnego, żywego, poszukującego, powstają niezliczone odłamy, które w centrum stawiają szczegóły i poboczne kwestie przenosząc ciężar znaczenia z wartości centralnych na te poboczne. Trudno oceniać takie zmiany w kategoriach dobra czy zła, a bardziej trzeba patrzeć przez pryzmat plusów i minusów oraz to do czego takie zmiany prowadzą, jakie mają zalety i jakie są mankamenty takiego biegu rzeczy. Różnorodność, wielość płaszczyzn działania, pól zainteresowań i możliwości trafienia z przekazem, zasięg, mobilizacja nowych ludzi, rozwijanie postulatów i sposobów ich realizacji. To są plusy i zalety niewątpliwe. Rozmycie się i odejście od głównych treści idei, osłabienie siły sprawczej, podział na niewielkie środowiska, zagubienie, brak wyrazistości. Z jednej strony każdy może być aktywistą swojego ruchu, propagować idee, walczyć o zmiany, samemu je zaprowadzać, tylko jak to zrobić skoro dookoła inni robią to samo? Po co mam przyjmować coś, zmieniać, skoro mam własne postulaty i nawet jeśli tamte uważam za też ważne, to jednak muszę myśleć jak przebić się z własnymi pośród innych. Oczywiście ani aż tak źle, albo tak dobrze, nie ma. Nie każdy zostaje aktywnym członkiem własnego, wyjątkowego ruchu, różniącymi się od tego na prawo i na lewo jedną kwestią, ale wyraźny trend do osłabiania dotychczasowych znaczących ruchów i niemożności narodzenia się nowych wyraźnie widać. Problemem jest jak odnaleźć wspólny mianownik przy rosnących podziałach. I nie chodzi nawet o jakiś konkretny ruch, niech różnorodność dominuje, ale o wspólne wartości, które pozwalałyby uzyskać nić porozumienia. Nakłada się też na to płytkość i powierzchowność idei funkcjonujących w powszechnym obiegu. Stare idee zdają się popadać w stagnacje, tracą zdolność opisu, wyjaśniania świata i kreowania drogi jego rozwoju. Nowe nie mają ochoty się za bardzo pojawić albo jeśli są, nie są na tyle atrakcyjne by zainteresować sobą szersze grono i nabrać siły sprawczej lub toną w zalewie innych i ciężko je dostrzec oddzielając te wartościowe od bredni. Z tego powodu świat nie przestanie się kręcić, a wydarzenia mieć miejsca, on dobrze radzić sobie będzie bez idei. Gorzej ludzie. To idee dawały człowiekowi poczucie mocy sprawczej nad biegiem, wydarzeń i pozwalały wytyczać im kierunek, przynajmniej dawały takie przekonanie i nadawały przez to sens jego życiu. Organizowały szersze grupy do działania w interesie swoim lub osób, które potrafiły nimi sterować. W przypadku braku szerokich grup interesu wygrywają te dobrze zorganizowane, potrafiące rozprawić się z przeciwnikami i zyskać przyzwolenie lub zadowolić się obojętnością większości, nawet jeśli same reprezentują interes nielicznych. Zagubienie potęguje ogrom ofert rozrywki, stylów życia, treści, wartości i sposobów ich realizowania. Ludzie zdają się błądzić i niezdolni są do konstruktywnego działania. Brak jest chęci poszukiwania, rozwoju. Ogrom informacji, dostępnej wiedzy, wielość problemów i rosnący stopień skomplikowania świata zdaje się powodować jeszcze większe zagubienie, spłycenie dyskursu społecznego, ucieczkę od tych spraw na rzecz... no właśnie czego? Nie wiem czy to moje spostrzeżenie, ale ewidentnie nie widać w społeczeństwie woli działania, chęci zmian, buntu, a nawet jeśli widać jakieś działania są one płytkie, nie widać w nich realnych rozwiązań, jakiejś wizji, chęci pracy i wysiłku, wyraźnie nakreślonego celu. Ruchy zmiany, buntu, alternatywy zamiast się rozwijać zmierzają w przeciwnym kierunku. Patrząc na postulaty dzisiejszych buntowników, to przeciwko czemu są i czego się domagają to ręce można załamać. Rozumiem, że jest to już inne pokolenie, ale jakie są jego zalety poza biegłym korzystaniem z nowinek technicznych i jak oraz w jaki sposób chce urządzić świat. Żeby nie idealizować naszych idei to co by o nich nie mówić, jak bardzo były (są!) utopijne to miały w sobie wyraźną chęć zmiany świata, niosły jasno deklarowane postulaty, domagały się konkretnych rzeczy i były przeciwko czemuś. Czego młodzi chcą dzisiaj? Żeby było jak jest tylko z drobnymi poprawkami? O to chodzi? Za młodu rozdawało się ulotki o sytuacji w Czeczenii, Tybecie, protestowało o poprawę sytuacji zwierząt, ochronę przyrody, wyzwolenie człowieka, propagowało się hasła anty konsumpcyjne, olewające system i podkreślające wartość samorozwoju, etyki DIY, spędzało noce na czytaniu książek, szukaniu informacji o sytuacji, akcjach na świecie. Faktem jest, że niestety, przynajmniej ze swojej strony, z dystansem podchodziło się do zrozumienia zwykłych ludzi dookoła, próby budowania szerszej wspólnoty, ale wychodząc z założenia, że mając co zjeść, dach nad głową i brak groźby utraty życia w każdej chwili, powinno skupić się na problemach globalnych (uznawanych ów czas za ważniejsze), swoim rozwoju, a poza tym uważając się za dziś tak modnego antysystemowca było się też, stety niestety, w jakimś stopniu antyspołecznym. A co można zobaczyć dzisiaj? Młodych domagających się wolnego rynku, popierających Kukiza, protestujących przeciwko biedniejszym i mającym gorszą sytuację, nie potrafiących upomnieć się o nic więcej co nie jest ich własnym interesem, a często nawet o to. A przecież mają wszystko, media społecznościowe, dostęp do informacji i możliwość ich weryfikacji, kontakt z całym światem, opisane metody działania i sposoby ich realizacji, możliwości rozwoju o jakich kiedyś można było tylko marzyć. To wszystko po to, żeby ogłosić dumę z miejsca urodzenia, odbyć potyczkę z policją, jako cel sam w sobie, zrobić sobie spacer bo 50 lat temu coś się wydarzyło? Nawet jeśli te postulaty uważają za ważne, to co się zmieni z powodu tego, że wszyscy będziemy pamiętać i staniemy się dumni z koloru skóry, pochodzenia? Naprawdę, nie widzą absurdu swoich idei i działań dążących do ich realizacji czy może nikt im o tym mądrze nie powiedział, a z lepiej sformułowanymi postulatami się nie spotkali? A jak opisana sytuacja przekłada się na nasze środowisko? Podzielenie sceny na wiele fragmentów, które często niewiele mają ze sobą wspólnego oprócz członu punk, hc w określeniu gatunku muzyki, brak świeżości, wewnętrznego fermentu, hermetyczność, nie potrafienie otworzenia się na nowe (czy jest na co?), przyciągnięcia młodych, odzyskania atrakcyjności naszej definicji buntu i przebicie się ze swoim przekazem i wzorami, gdzie są załogi spędzające czas ze sobą i robiące coś na mieście, gdzie to alternatywne życie, akcje, wydarzenia? Są festiwale, koncerty, a 'coś więcej niż muzyka'? Rozumiem, że dorośliśmy, ale czy nie ma działalności w której mogłyby się odnaleźć osoby 30+? Nie jest tak, że nie ma nikogo. Sporo osób angażuje się w działania oddolne, różne inicjatywy organizacje, czemu tego jednak nie widać i się to nie przebija, przekładając na zainteresowanie? O czym czytaliście, słyszeliście ostatnio co Was zaskoczyło, dodało skrzydeł i wiary w to wszystko? Nic dziwnego, że nacjonaliści biorą od nas co chcą i sprzedają to jako swoje. Niestety nie ma komu tego bronić, więc jak są stworzone gotowe wzory to biorą i korzystają. Który dzieciak pokusi się o sprawdzenie skąd się coś wzięło, o co chodzi i z czym się to je, znajomość rzeczy opierać będzie na podstawie tego co usłyszał, zobaczył. My w zamian od nich nic nie weźmiemy, nie ma czego, prawie wszystko mają od nas, a reszta to niewiele warte gówno. Nawet po ostatnim marszu antyimigracyjnym w Warszawie i incydencie ONR-owców z ns-ami, po necie krążył następujący dowcip: jaka jest różnica między Antifą, a ONR-em? Ci drudzy biją nazistów. Do tego nawet już doszło. Może zbyt krytycznie do tego podchodzę, ale wkurza niemiłosiernie, kiedy widzi się jak nasz ruch tkwi w marazmie, a ci z drugiej strony jadą na naszych patentach. Jeszcze żeby to robili lepiej i na ich podstawie coś tworzyli, to można byłoby zrozumieć. Wracając do zasadniczego tematu, którym miało być bezmyślne przenoszenie cudzych wzorów i idei na własne podwórko, to granice jak najbardziej istnieją, choć nacjonaliści zdają się upierać, że jednak nie. Albo dla odmiany i adaptacji do swojego podwórka, tam gdzie dla nas ich nie ma, oni je postawili, a gdzie my je jednak uznajemy, oni obalili. Żeby nie było, to rozumiem prowokację intelektualną, ironię, dystans, a nawet trolling, choć ten w dzisiejszych czasach bywa coraz bardziej trudny do uchwycenia. Nacjonaliści weszli jednak na znacznie wyższy poziom, pytanie tylko czego? Wiosną tego roku grupa śląskich autonomów i ONR-owców postanowiła urządzić prelekcję o Zapatystach. Tak, tych anarchomarksistach w płaszczyźnie ideowej i przedstawicieli wielu plemion w warstwie grupowej. Pomyślicie, że w sumie trzyma się kupy. Powstanie odbiło się szerokim echem na całym świecie, nawet jeśli nie zrealizowało wszystkich postulatów i sytuacja niewiele się zmieniła, to jednak coś osiągnęli. Jest się czym inspirować, brać przykład, uczyć się i podpatrywać. Tylko, że nie o to im chodziło. To dałoby się jeszcze zrozumieć, realizację taktyki EZLN przez polskich nacjonalistów, bez warstwy ideowej, wymienionej na jakieś swojskie pierdoły o wielkim i największym narodzie tego świata i wszech, silnym zwartym, jednolitym i jednomyślnym. Cel prelekcji był jednak zgoła inny. Zapatyści jako nacjonaliści, walczący o nacjonalistyczne cele, z nacjonalistycznymi ideami na sztandarach i w sercach. A co?! Może tak nie było? W skrócie EZLN jest przecież 'wyzwolenia narodowego'. No jest. Tylko, że ma to tyle wspólnego z nacjonalizmem co Trynkiewicz z Wielką Polską i białą dumą, choć w sumie to może zły przykład, bo poziom jest podobny, a kanalia rzeczywiście jest Polakiem i jest biały. Oczywiście pojawiły się komentarze ukazujące absurd sytuacji, ale narodowi obrońcy przedstawionej koncepcji wytoczyli ciężkie działa w postaci RAF i Che Guevary, a jakżeby inaczej na obronę stawianych tez, ogłaszając przy tym rychłą śmierć polskiego skansenu nacjonalistycznego i narodzeniu nowych idei (tych nie przedstawili). I tak Che został nacjonalistą walczącym o naród, z krzyżem celtyckim zamiast gwiazdy na berecie, a emerytowani i zagubieni byli członkowie RAF współpracujący na stare lata z NPD i tak omamieni walką z imperializmem USA, że sami zaczęli marzyć i stali się gotowi wskrzesić niemiecką jego wersję, wyroczniami uwierzytelnionymi rewolucyjną przeszłością, a jedność narodowa umarła. Subcomandante Marcos biegający z czerwoną gwiazdą, EZLN mająca na sztandarach światową rewolucję i upominająca się o wszystkich upodlonych i ciemiężonych, komunista Che i komuniści z RAF zabijający dla walki klas, plemiona i grupy etniczne walczące o prawa do samostanowienia, są ucieleśnieniem nacjonalistycznej drogi i reprezentują jego postulaty?! Jak w pysk strzelił - trolling. Czystej wody prowokacja, nawet nie wyrafinowana, bo średnio oblatana osoba zauważyłaby grubymi nićmi szytą intrygę. Wydarzenie to reklamował jednak oficjalnie Ruch Narodowy, główny profil ONR-u, projekt je organizujący cieszy się przychylnością szefa tegoż, a odpowiedzialną za prelekcję i jej przedstawienie była osoba szczycąca się naukowym tytułem dr. Brzmi poważnie. Co to jednak jest, jak to nazwać? Zanim to jednak ocenimy pochylmy się nad tą koncepcją i dajmy jej szansę, może coś mi umyka, czegoś nie zauważam, nie potrafię pojąć jej wysokiego lotu przez co niesprawiedliwie ją oceniam. Walka narodowowyzwoleńcza – no niby coś pasuje, zapatyści walczą o wyzwolenie i decydowanie o swoim losie. Tylko, że nie chodzi tu o naród rozumiany w nowoczesny sposób i jakiś narodowy twór w postaci państwa. EZLN jest koalicją wielu plemion, z których część nie jest wstanie się porozumieć ze sobą ponieważ mówią innymi językami i jeśli mówić tu o nacjonalizmie, to w jakiejś pierwotnej, wspólnotowej/plemiennej wersji, a nie ideologicznej w myśl XIX

teorii. Jak walkę taką chcieliby przenieść nacjonaliści na teren Polski? Poparliby autonomię Śląska, optowali za romskimi samorządnymi enklawami, Tatarom wykroiliby część województwa Podlaskiego? A co z ewentualną walką Kaszubów, Łemków? Przecież to śmieszne nawet nie jest i nikt chyba z grona nacjonalistów nie głosi takich poglądów, chyba że któryś przy goleniu o tym pomyśli, co też jednak jest mało prawdopodobne, bo jak tylko coś by drgnęło w czaszce, to by się zaciął. Wręcz przeciwnie, to Polacy są w Polsce decydentami i reszta ma się dostosować. 'Polska dla Polaków', tak to chyba idzie. Co z dumą białego człowieka? To rdzenna ludność może podnosić rękę na wspaniałą cywilizację i jej potomków, którzy instalowali ją na miejscu? Jak najbardziej, zgadzam się. Tylko bohater nacjojebów Waluś powinien być z miejsca zrugany za mieszanie w obcym kraju. Potępienie zamiast PDW, wątpię. To może ta demokracja i konsensus grupowy szanujący i liczący się z odmiennymi zdaniami? A czy ONR i autonomy nie gardzą demokracją? Heh, ciężka sprawa. Do tego ci idole - Franco, Mussolini czy ostatnio Assad, sami wolnościowcy. To tożsamość. Tylko co to znaczy? Polska muzyka tożsamościowa to albo rekonstrukcja tożsamości jamajsko-brytyjskiej lub czarnych ulic Harlemu; sam nacjonalizm nie jest specjalnie polską ideą; autonomiczny nacjonalizm niemiecki; piłka nożna też nie bardzo nasza; to może sposób spędzania czasu, jakieś zawody typowo polskie, dawne obrzędy, stroje? Jest coś co nacjonaliści chcą zachować, pielęgnować, rozwijać? Wszędzie tożsamość. Stężenie tego pojęcia w ich pracach osiąga poziom przesycenia, ale co przez to rozumieją, jak realizują, czy gdzieś to opisali, widzieliście, czytaliście? Może sama rewolucja? Ale zaraz czy nacjonaliści nie są konserwatystami? To kontrrewolucja w takim razie, czyli powrót do przeszłości z ewentualnymi poprawkami. Jednak Zapatyści ewidentnie chcą iść do przodu i nie tyle wrócić i zaszyć się w lasach tropikalnych, ale budować nowy świat, czerpiąc garściami z idei, które przywożą na miejsce aktywiści alterglobalistyczni, rozwijać je po swojemu. A czego chcą Polscy nacjonaliści? Sami nie wiedzą. Poza jednym. Nie ma żadnych granic na ich drodze i posuną się do wszystkiego. Byle trwać i iść, ale dokąd? Też mi pytanie, ku Wielkiej Polsce! Ale jakiej dokładnie? Kto by się tym przejmował, ważne, że się idzie. Doktor konserwatysta marzący o rewolucji, ONR gardzący koncepcją praw człowieka i demokracji, Ruch Narodowy będący eklektyczną efemerydą, autonomy bazujące na schemacie x+nacjonalizm (gdzie x=antifa, anarchizm, punk, sxe, hip-hop, squoty, cokolwiek co przejawia jakąś wartość), stadionowi chuligani obdarzeni piętnem Chrystusa narodu, zagubione dzieciaki przepełnione pustką systemu i pozbawione przez niego zdolności refleksji. To nie tylko stan i obraz ruchu nacjonalistycznego, ale i całej rzeczywistości. Nacjonalizm to wolność głosi baner III Drogi, neofaszyzm to antysytemowość, rasizm to odmienny pogląd, bredzenie to wolność słowa, konformizm to bunt, głupota to mądrość, bezrefleksyjność to inteligencja, a naród to cel życia. Orwell, z totalitarnym komunizmem walczący piórem, a z nacjonalizmem karabinem, w „1984" wieścił nastanie rzeczywistości totalnej kontroli, gdzie każda myśl odbiegająca od linii systemu była uznana za myślozbrodnię, a nad tym by do tego nie doszło czuwało Ministerstwo Prawdy. Niewiele się pomylił. Dziś Wielki Brat już jest wszędzie. Kontrola internetu, przepływu danych, portale posiadające informację o całym naszym życiu, myślach, rozterkach, którymi się dzielimy, programy śledzące każdą naszą aktywność, telefony monitorujące funkcjonowanie, gdzie jesteśmy, co robimy, kamery na każdym rogu i tuż przed nami, satelity na niebie. Czeka jedynie na techniczne możliwości wykorzystania tego stanu rzeczy. Nie ma jedynie Ministerstwa Prawdy. Jest za to nadmiar informacji, zalew treści, niemożliwe do przebycia i ogarnięcia ilości tekstu i wiadomości, tysiące idei, produkowane i edytowane co minutę kolejne. Komentarze, opinie, relacje, analizy. Czy trzeba walczyć z prawdą skoro istnieją setki jej wersji, które sprawiają, że nie jest ona wśród nich dostrzegalna. Czy trzeba zmieniać znaczenia pojęć jeśli utracą one same swoje znaczenia poprzez bezmyślne działanie i brak jakiejś intelektualnej dyscypliny. Po co zabraniać ludziom decydowania o sobie i świecie, jeżeli większość sama jest się gotowa zrzec tego przywileju w zamian za spokój. Dlaczego rościć sobie monopol na wartości wyższe, kiedy za możliwość spełniania tych podstawowych, wielu już dawno z nich zrezygnowało. Nie trzeba dzielić ludzi skoro nic ich nie łączy. Jeśli nie ma wspólnych postulatów i zgody, to jak można wprowadzać zmiany? Świat się kręci jak kręcił, bezwładnie, zgodnie w przypadkowymi wydarzeniami. Cokolwiek jednak by człowiekowi nie zrobić i nie dać, pewne potrzeby będzie posiadał. Bunt, potrzeba wolności, rozwoju jak bardzo zagłuszane i tłumione u większości się przebijają. Patrząc na bieg spraw i co ma miejsce to żadne ministerstwo powstać nie będzie musiało. Pokolenie przyszłe będzie zarówno zbuntowane jak i wolnościowe, kroczące drogą rozwoju. Pojęcia będą te same i równie ważne jak dla nas, co najwyżej różne w treści.

xK.x

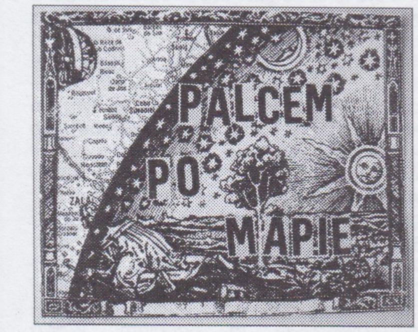

Rocznice i urodziny przypominają człowiekowi o czasie, który zapierdala tymi wskazówkami przemijania. Nie ma zamiaru zwolnić ani się zatrzymać. A przecież każdy ma w swoim życiu momenty, gdy chciałby zatrzymać czas, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Można tylko pomarzyć, a potem tylko wspominać. Swoją drogą, wspominanie to też bardzo przyjemna czynność. Powroty do tych chwil, które miały trwać w nieskończoność. Piętnaście lat minęło od powstania wydawnictwa Kultura Gniewu. A że komiksy lubię poczytać i program uroczystości zapowiadał się sympatyczny, to postanowiłem się objawić w Warszawie. Gdy dotarłem do Ady, to przyjęcie już trwało. Główne danie, czyli papierowe historie obrazkowe, było rozchwytywane przez licznie zebranych sympatyków komiksów. Trzeba przyznać, iż forma wydania tych książek mocno się zmieniła przez lata. Teraz normą jest bardzo dobry papier, druk i twarda oprawa. Biorąc w dłoń "Prosiacka" pomyślałem sobie o początkach tego zina. Obecny też był inny klasyk punkowego komiksu – "Zakazany Owoc" Pały, który też startował jako kserówka. Niestety, z tą nową wizją komiksów wiąże się ich cena, która nie należy do niskich. Nie dotyczy to tylko komiksów, ale ogólnie cen książek, które moim zdaniem są trochę wygórowane. Chęć zakupów często blokują właśnie te cyferki przed skrótem PLN. Podczas tych urodzin zastosowane były ceny promocyjne, więc można było, co nieco przyoszczędzić lub kupić więcej. Wybór, który z upływem czasu malał, był konkretny. Niektóre komiksy można było od razu przyozdobić dedykacją autorów i specjalną dodatkową grafiką. Dla jednych to jakaś kompletna bzdura, dla innych ciekawy motyw, który czyni ten egzemplarz wyjątkowym. Oczywiście skusiłem się na kilka pozycji. "Krzesło w piekle" Gawronkiewicza było w tym momencie za ciężkie i z myślą, że będę musiał dźwigać tę potężną księgę przez kilka godzin - zrezygnowałem. Widząc długą kolejkę do autora postawiłem na nieznane mi dotąd nazwisko – Świdziński Jacek i jego "Wielką ucieczkę z ogródków działkowych". Nie zawiodłem się. Oszczędna kreska i fajne pomysły plus rozbrajające rozkminy aktualnych tematów podczas podróży bohaterów, sprawiły, że połknąłem tę lekturę już następnego dnia. Genialny komiks. Gdy piszę te słowa, to żałuję trochę, że nie zrobiłem konkretniejszych zakupów. Trudno, kiedyś trzeba będzie nadrobić zaległości, bo Kultura Gniewu wypuszcza nowe pozycje z taką częstotliwością, że trudno nadążyć. Podczas urodzin nie mogło zabraknąć tortu i życzeń kolejnych udanych piętnastu, a nawet i stu lat. Na uroczystościach pojawili się także autorzy związani z wydawnictwem. Był Prosiak, Gawronkiewicz, wspomniany Świdziński, podobno pojawił się też Śledziu. Jednak w programie były zapowiadane z nimi spotkania, więc spodziewałem się wszystkich z tym związanych atrakcji – fajnych opowieści, anegdotek, pytań i tym podobnych sytuacji. W rzeczywistości te "spotkania" były tylko i wyłącznie podpisywaniem komiksów. Nie wiem czy tylko ja spodziewałem się czegoś "więcej", czy inne osoby też liczyły na barwne historie z powstawania komiksów, źródła inspiracji, planów. Jedynie Tadeusz Baranowski stanął na wysokości zadania i pomimo problemów zdrowotnych postanowił się spotkać z grupką zainteresowanych i poopowiadać jak to wtedy było, jak został oszukany i co teraz porabia. No i mocno się zdziwiłem, że ostatnie komiksy, jakie stworzył i sam wydał w niewielkich nakładach, wzbogacał jakimiś specjalnymi dodatkami. Szacunek dla typa za postawę DIY. Trzeba będzie wyszperać gdzieś na strychu jego starsze pozycje, które kiedyś się czytało i odświeżyć przygody Diplodoka, Orient Mena i Nerwosolka... Podczas tej uroczystości były także projekcje filmów. Jednak całość była jakby takim lekkim chaosem i nie było jakiegoś planu z godzinami. No i umknęły mi te filmy gdzieś pomiędzy spacerowaniem i gawędą. A szkoda, bo chciałem je zobaczyć. Może innym razem. Może w innym miejscu. Na innych urodzinach. Czas upływał swoim tempem i trzeba było zacząć część muzyczną. Rozpoczął lokalny MORUS. Konkretna punkowa luta. Nie sposób pominąć podobieństw do nieistniejącego zespołu na literę P. Nie wiem, dlaczego tak mam, ale jednak bardzo często niektóre osoby będą mi się kojarzyły z zespołami, miejscami, działaniami. Nie wiem czy to dobrze, czy źle, czy ludzie zdają sobie sprawę z tego czy nie, czy sobie życzą czy nie. Wydaje mi się, że taki zespół jak MORUS, często będzie miał przy nazwie ex-coś tam. Ja w każdym razie byłem zadowolony, że zobaczyłem zespół i posłuchałem tego występu. Jestem na tak. CYMEON X to zespół, którego przedstawiać nie trzeba. Jednak będąc na ich koncercie zobaczyłem ten upływający czas, bo jednak jak się występuje na scenie z dziećmi, to refleksja jest tylko jedna – czas zapierdala bez litości. Bardzo fajny akcent, że można jednak młodzież zachęcić do tworzenia tego nowego środowiska hc-punk, bo jednak na tych koncertach średnia wieku się zwiększyła. Udało mi się zobaczyć cały występ GOVERNMENT FLU. Chyba całe 12 minut konkretnej hardcore'owej petardy. Kilka razy byłem na koncercie z ich udziałem, ale nie zawsze dane mi było zobaczyć, bo akurat po piwko w kolejce trza było stać, albo do kibelka. A tu kawałek za kawałkiem bez zbędnych przerw. Mistrzowie. Brakuje tylko szaleństwa pod sceną. To chyba efekt uboczny tej średniej wieku publiczności. Brak młodzieńczej energii. Bez względu na to, ile razy będziemy sobie wmawiać, że w głębi nas jest ten sam dzieciak, który był kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu, to i tak nie zmieni faktu, że czas zrobił swoje i widać to bardzo często na koncertach. Widzę to po sobie. Tak po prostu. Amerykański zespół PRIESTS zapodał też solidną nutę, takie pomieszanie waszyngtońskich dźwięków z jakimiś post-punkowymi akcentami. Kobieta na wokalu ubrana w jakieś wdzianko w panterkę i racząca nas przeróżną barwą dźwięku. Od łagodnego śpiewu do konkretnego wrzasku. Nie znałem tego zespołu i miła to była niespodzianka. Czasem lubię takie występy w ciemno, nie znanych mi kapeli. Posłuchałem, zobaczyłem. No i na koniec STARZY SIDA. Tych akurat kiedyś widziałem w Warszawie na takim koncercie charytatywnym w CDQ. Zrobili robotę wtedy, grając kilkanaście razy ten sam kawałek w różnych wersjach. Rewelacyjny pomysł z rewelacyjnym kawałkiem "Za daleko". Okazało się, że kolega Maciek też był wtedy. O dziwo, pamiętał nawet rok tamtej imprezy. Ja nie mam w głowie tak skatalogowanych koncertów i dat. Niektóre mi się mieszają po latach. Ehh... Znowu ten czas... Tymczasem na scenie muzyczkę tworzą STARZY SIDA i jak sama nazwa wskazuje młodość mają już za sobą. Hit goni kolejnego hita. Patyczak robi fikołki, wbija się w publiczność, przewraca się. Coś tam przemawia do ludzi pomiędzy songami. Jest dobrze. Cała impreza to zdecydowanie jedna z lepszych w ostatnim czasie. Zadowolony mogę wracać. Oby następne urodziny były równie udane. Miałem jeszcze napisać o koncercie, na który nie dotarłem. O genialnym wynalazku, który zwie się Facebook i o przedziwnych rzeczach, które ludzie tam zapodają. Wypisują o tym, że setki kilometrów od domu, w Tbilisi, spotkany człowiek kojarzy Polskę z transparentu Legii Warszawa "Lwów jest polski". O tym, że fajnie jest odwiedzać nowe miejsca, ale czasem jednak warto zatrzymać się na chwilę i zebrać myśli, bo wskazówki nie zatrzymują się. Czas, czas, czas... A tu trzeba już wysyłać tekst, bo numer już prawie zamknięty. Kiedyś też robiłem zina i wiem jak to jest, gdy ludzie zwlekają z wysyłaniem tekstu. Namawianie, ponaglanie, czekanie, czekanie, czekanie...

Rav

Nigdy mnie nie ciągnęło do polityki. To raczej polityka wchodziła w moje życie bez zaproszenia. Biorąc udział w życiu społeczeństwa, chodząc do pracy, do szkoły, czytając gazety, oglądając telewizję, nie da się od niej uciec. Nie da się o niej nie rozmawiać. Szczególnie w dobie Internetu. Tym bardziej, jeśli jest się punkiem, któremu otaczająca rzeczywistość nie jest obojętna i który potrafi, w jakimś tam stopniu, myśleć za siebie. Zresztą niekoniecznie trzeba być punkiem, żeby podejmować jakieś świadome wybory. Wystarczy mieć oczy otwarte, choć ta rzeczywistość przeplatająca się z polityką dla każdego ma inny wymiar.

Od dziecka słyszałem, czy to w radiu czy w telewizji, coś o Zachodnim Brzegu Jordanu, o strefie Gazy… Kojarzyłem tylko, że tam jest wojna. Na Bliskim Wschodzie, po tylu latach, wciąż jest niespokojnie. Można powiedzieć, że te informacje towarzyszą mi przez całe moje świadome życie…

Pierwszym chyba takim ważnym politycznym wydarzeniem w moim życiu, było ogłoszenie stanu wojennego. Miałem wtedy 9 lat. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Pojawiały się słowa „wojna", „wojenny", „Jaruzelski"… No i nie było tego, już w tym kontekście sławnego Teleranka, który, jako dzieci, oglądaliśmy co niedzielę. Był za to pan w mundurze. Wszyscy byli w mundurach w telewizji. Najmłodszy brat mojej mamy odbywał wtedy służbę wojskową w Opolu, czyli „rzut beretem" od nas. Zerwał się „na lewiznę" na łikend i przyjechał do nas w odwiedziny. Nie było daleko, pół godziny autobusem. W niedzielę rano zastał go stan wojenny. Rodzice szybko dali mu jakieś cywilne ubrania i próbował się jakoś dostać do jednostki. Tam już na niego czekali… Został od razu wysłany na granicę z Niemcami. Oczywiście później cały ten nielegalny wypad odsiedział w pudle, co tylko przedłużyło mu służbę o kilka miesięcy. Moja sąsiadka wciąż powtarzała: „Godzinę milicyjną wprowadzili… Jak za okupacji. Może jeszcze łapanki będą robić?". Dla mnie życie w tamtym czasie toczyło się raczej normalnie. Owszem, widziałem żołnierzy i wojskowe transportery na ulicach, słyszałem jak ojciec klął, gdy nie mógł znaleźć przepustki, gdy szedł na nocną zmianę… Dolatywały do moich uszu strzępki rozmów dorosłych. Tak naprawdę coś tam kojarzyłem, ale dla 9-latka to nie były jakieś istotne sprawy. Drugim politycznym wydarzeniem, które pamiętam to śmierć Breżniewa, I Sekretarza KPZR i zarazem przywódcy Związku Radzieckiego. Był listopad 1982 roku. Wiecie, dlaczego to wydarzenie utkwiło mi w pamięci? Bo wszyscy klęli, że nic nie ma w telewizji (i tak były tylko dwa programy), tylko nadają na żywo relacje z pogrzebu Breżniewa…

Nieco później, w wieku 12-13 lat zetknąłem się z punk rockiem. Nie było to nic politycznego, bo w sumie bardziej mnie fascynowała brudna muzyka czy przekaz w stylu „pierdolona generacja" i „dyskoteka-kurwoteka", bo były tam niecenzuralne słowa i niczego takiego wcześniej nie słyszałem, niż mocno polityczny przekaz choćby DEZERTERA. Byłem jeszcze za młody, ale coś tam już przedzierało się do mojej świadomości. Zacząłem sobie powoli zdawać sprawę z tego, że ten świat nie jest taki wspaniały, jak próbowano mi wmówić, m.in. w szkole. I właśnie w szkole doszło do pewnego incydentu, można powiedzieć politycznego, który zapamiętałem na całe życie. Było to w 7 klasie podstawówki. Miałem w klasie kolegę, który słuchał metalu. Ja słuchałem punk rocka. Wymienialiśmy się taśmami. On przynosił mi KREATORA czy IRON MAIDEN do posłuchania, ja podrzucałem mu THE EXPLOITED i DEAD KENNEDYS. Miał on starszego brata, który studiował w Krakowie, działał w drużynie harcerskiej Czarna 13 i w jego pokoju znajdowaliśmy mnóstwo „bibuły". Były to jakieś ulotki, broszury, a nawet całe książki odbite na powielaczu, czy przepisane na maszynie. Szok! Zresztą u tego brata w pokoju wisiało zdjęcie Piłsudskiego i jakieś znaczki Solidarności, więc dla nas to było jak strzał pięścią prosto w nos, bo polityka tak naprawdę nas nie dotyczyła. Byliśmy młodzi, słuchaliśmy muzyki, oglądaliśmy się za dziewczynami… Jednak w tych pismach znaleźliśmy informacje, z którymi nie mieliśmy wcześniej styczności. Dowiedzieliśmy się o Katyniu, o wojnie ze Związkiem Radzieckim w 1919 roku, o ataku na Polskę 17 września 1939 roku. Przeczytałem o tym, że Lenin i Stalin mordowali ludzi na masową skalę, że ludzie byli zsyłani na Syberię… To był szok! To zburzyło nasz niewinny, wciąż dziecięcy świat. Przeczytałem wtedy odbitą na powielaczu książkę o gehennie rodziny Korzeniewskich, zesłanych na Syberię. Przeczytałem też książkę „Zapiski oficera Armii Radzieckiej" Piaseckiego i kilka innych, zakazanych wtedy lektur. Na lekcji historii zapytaliśmy się, wspólnie z moim kolegą, czy to prawda z tym Katyniem i dlaczego Związek Radziecki, nasz sojusznik i przyjaciel, zaatakował Polskę. Nasza nauczycielka zbladła, potem zrobiła się buraczkowa, wyprowadziła nas z klasy i darła się na nas, że tak nie wolno, że to zakazane i będzie miała przez to kłopoty. Nie udzieliła nam żadnych informacji. Po latach była bardzo aktywną działaczką Ligii Polskich Rodzin. Mieliśmy za to fajnego faceta z geografii. Był Ślązakiem, uciekł potem do RFN. Zapytaliśmy jego o tę kwestię. Wyjaśnił nam, że nie możemy nikomu mówić o tym, co nam powie, bo będzie miał poważne kłopoty. I wyjaśnił nam… Wtedy sobie dopiero uświadomiłem jak zakłamana jest polityka. Pamiętam takie rosyjskie książki dla dzieci, które były w szkołach, w bibliotekach. Z ładnymi kolorowymi obrazkami, na których Lenin był przedstawiany, prawie jak Jezus… A to odbierający kwiaty od uśmiechniętych dzieci, a to w parku wśród dzieci, a to z pionierami nad morzem… Kurwa! A na rękach krew…

Nieco później dowiedziałem się, że i w mojej rodzinie polityka też odcisnęła swoje piętno. Moja babcia ze strony ojca została zesłana na Syberię w wieku 17 lat. Załapała się do armii generała Andersa i wylądowała w Wielkiej Brytanii, gdzie pracowała, jako pielęgniarka. Wraz z nią wylądowało tam również trzech jej braci i rodzice. Jeden z braci wraz z rodzicami wyemigrował do Australii. Moi pradziadkowie zmarli tam… Pozostali bracia do dzisiaj mieszkają w UK lub mieszkali do śmierci… Natomiast mój dziadek był pancerniakiem u generała Maczka. Również wylądował w Wielkiej Brytanii. Tam urodził się mój ojciec, dokładnie w Edynburgu. Zawsze mnie fascynował za dzieciaka wpis w jego dowodzie osobistym - miejsce urodzenia: Edinburgh; województwo: Szkocja. Dziadkowie wraz moim malutkim ojcem wrócili do Polski. Dziadek nigdy nie miał większych problemów z powodu służby u generała Maczka, choć nie raz nakłaniano go, by wstąpił do PZPR. Nigdy tego nie zrobił. Babcia pod koniec komuny wstąpiła do Związku Sybiraków. Miałem takie historyczne „konotacje" rodzinne, że mógłbym śmiało zostać wyznawcą żołnierzy wyklętych. Nie zostałem…

Pod koniec lat 80. brałem udział w kilku antykomunistycznych demonstracjach, nieważne czy organizował to KPN czy inna Solidarność, ważne, że można było podrzeć mordę i była zadyma. Jednak jakąś świadomość polityczną już miałem. Poza tym wiedziałem już, że komuna jest be, ale pojawili się też skinheadzi z tymi swoimi swastykami i hasłami o wielkiej Polsce, więc tutaj też ta świadomość była… Szczególnie, że to nas dotyczyło bezpośrednio, bo skini rozbijali wtedy większość koncertów punkowych, czy nawet rockowych. Pamiętam na ulicach Opola plakaty Aryjskiego Frontu Przetrwania, założonego przez narodowych socjalistów związanych m.in. z KONKWISTĄ 88. Wkurzałem się na Korwina-Mikke, który zorganizował zjazd wszelkiej prawicy w Pałacu Kultury, a ochraniali go właśnie skinheadzi. Do dzisiaj nie trawię Korwina. Szczególnie dzisiaj, gdy okazało się, że jest kompletnym kretynem. A kiedyś nawet czytałem z nim jakiś wywiad w „Mać Pariadce"!

W miasteczku, z którego pochodzę i w którym się wychowałem, stoi baszta z XIV wieku, zaraz przy samym rynku. Dzisiaj znajduje się w niej prywatna czerpalnia papieru. Jest dostępna dla turystów, można tam sobie pooglądać jak kiedyś wyglądała produkcja papieru, można naczerpać swojego papieru, obrobić własnoręcznie i wziąć na pamiątkę. Przynajmniej tak było ostatnio, kiedy tam byłem. Jednak swojego czasu baszta stała pusta. Tak się złożyło, że brat mojej znajomej, polityczny działacz ówczesnej młodzieżówki lewicowej Unii Pracy, zdobył klucze do tej baszty. Zadzwonił do mnie któregoś dnia i zapytał mnie czy nie chciałbym tam coś rozkręcić dla młodzieży. No i zaoferowałem się, że możemy z ekipą coś tam zadziałać. Zaznaczyłem od razu na wstępie, że nie będziemy nic tam robić pod szyldem partii czy jakiejkolwiek grupy politycznej. Działacz partyjny stwierdził oczywiście, że jemu nie zależy, żeby było pod szyldem i nie o to chodzi - najważniejsze, żeby coś się działo, bo miejsce fajne i szkoda, żeby puste stało. Zorganizowaliśmy w tej baszcie z miejscową załogą kilka imprez. Były wystawy obrazów okolicznych młodych artystów, była wystawa moich komiksów, nie omieszkaliśmy agitować w sprawie zwierząt (filmy, prelekcje, ulotki i wege-jadło), zrobiliśmy ekologiczne wykłady, były jakieś potańcówki przy ska i hitach lat 80., koncerty akustyczne. Coś się działo! Do czasu... W pewnym momencie, aktywista partyjny, swoją drogą również radny, widząc, że coś się kręci, musiał od tego odciąć dla siebie jakieś kupony. Zaczął wymyślać jakieś konkursy pod egidą Unii Pracy, zaczął agitować na imprezach, a w końcu zaproponował mi wstąpienie do Unii Pracy! Nakreślił mi świetlaną przyszłość, wręcz karierę! Zaczął podkreślać wspólne cele, m.in. antyrasizm. Ku jego rozczarowaniu, odmówiłem. I dobrze, bo za jakiś czas Unia Pracy została wchłonięta przez SLD. A SLD dla mnie to prawie to samo, co PZPR. Imprezy na baszcie się skończyły, a niesmak po próbie werbunku pozostał. Podzieliła nas polityka...

Niedawno zmarł mój kolega. Przyjaciel... Był ode mnie starszy o 10 lat. Słuchał dużo muzyki rockowej, zarówno tej, na której się wychował, jak również nowych zespołów grających czy to grunge, czy nu metal. Słuchał sporo reggae, trochę punka. Był na festiwalu w Jarocinie w 1980 roku, na Róbrege w 1985 nagrywał koncerty na kaseciaka. Jeździł z rodziną na owsiakowy Woodstock. Na początku lat 80. włóczył się z hipisami po Polsce, zdarzyło mu się parę razy strzelić w żyłę... Miał pokaźną kolekcję płyt winylowych oraz książek i pism o tematyce muzycznej. Dzięki niemu poznałem sporo ciekawej muzyki, o którą możliwe że nigdy bym się sam nie otarł. Frank Zappa, HAWKWIND, MC 5, Suzi Quatro... Uwielbiał THE DOORS i gliwicki RAP. Na domówkach, gdzie lało się sporo wódy, oglądaliśmy kabarety albo tańczyliśmy do muzyki puszczanej z winyli, leciał ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY, ŚMIERĆ KLINICZNA, czy DAAB. Kiedyś zapuścił LP jakiegoś węgierskiego zespołu, podobno bardzo znanego. Ja nie znałem. Grupa wykonywała covery THE DOORS po węgiersku... Posmarkaliśmy się ze śmiechu, choć wykonanie było przednie, barwa głosu wokalisty do złudzenia przypominała wokal Jima Morrisona, ale ten język w zestawieniu z "Riders On The Storm"... Kurwa, nie do przejścia! Zawsze bawiliśmy się przednio! Jednak od pewnego momentu zauważyłem, że nasze zakrapiane spotkania zamieniają się w dyskusje polityczne i to bardzo burzliwe. Mój kolega coraz częściej twierdził, że dwóch takich, co ukradli księżyc, to lekarstwo na bolączki polskiego narodu. Okazało się także, że mój kolega nie ogląda już TVN, a w kiblu wala się coraz więcej numerów Gazety Polskiej. Coraz częściej słyszałem, że wszystkiemu jest winny Tusk, a najwięcej krzywdy, oprócz komuny, wyrządziła nam Unia Europejska. Nie mogłem uwierzyć, że mój kolega nagle obrał taką postawę i zmienił spojrzenie na świat. Nie był antysemitą, nie słyszałem, żeby atakował gejów, nie był rasistą. Ale to była tylko kwestia czasu. Coraz częściej się spieraliśmy, kłóciliśmy o jakieś podstawowe sprawy natury politycznej, jednak nie na tyle, by nie podawać sobie ręki. W pewnym momencie zaczął wywieszać na balkonie flagę narodową w dniu 11 listopada...

Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie. Zostawił dwójkę dorosłych dzieci. Krótko przed śmiercią dowiedział się, że zostanie dziadkiem... Gdyby żył, pewnie dzisiaj świętowałby zwycięstwo wyborcze PiS, pewnie wspierałby Kukiza (bardzo lubił PIERSI i AYA RL), cieszyłby się z porażki PO. Nie doczekał. Podejrzewam, że gdyby wciąż żył, to nasze drogi mogłyby się rozejść na dobre. Podzieliłaby nas polityka.

Jakiś czas temu umówiłem się z jego żoną na piwo. Znam ją ponad 20 lat. Przy browarze pojawiły się tematy: adopcja dzieci przez homoseksualne pary, uchodźcy, zagrożenie islamem, warszawska tęcza, kara śmierci dla pedofilów... Kiedy zacząłem mówić, żebyśmy się nie dali ogłupić, że to nie do końca tak jest, że nie możemy ferować wyroków śmierci, a gdzie humanitaryzm, tolerancja, pragmatyzm, zrozumienie sytuacji oraz drugiego człowieka, usłyszałem, że jestem ZA BARDZO tolerancyjny! Gdyby to był ktoś zupełnie obcy, to pewnie usłyszałbym, że jestem komuchem, lewakiem... Co się porobiło z tymi ludźmi? Wychowani na Hendriksie i LEZ ZEPPELIN, a później na DEZERTERZE, dzisiaj głoszą populistyczne hasła i całą duszą się z nimi utożsamiają. Co się stało? Dlaczego? Ja wiem, że komuna zabrała wam młodość, ale żeby wykonać aż taką woltę? Jestem jeszcze w stanie zrozumieć dzisiejszą młodzież, która

łyka wszystko, co jej się poda na tacy, byle by było ładnie zapakowane. Jednak pokolenie lat 60. i 70. było/jest wyedukowane, w miarę inteligentne, oczytane, wykształcone. Zawsze była to generacja ciekawa świata, wiecznie zbuntowana, kontestująca, a tu nagle - BAM! - wszystko poszło się jebać! Jak można przejść tak długą drogę - od piosenek Boba Marleya do manifestacji nienawiści 11 listopada. Nic z tego nie rozumiem...

A dzisiejsza młodzież? Nie czyta książek ani gazet, choć biblioteki wciąż istnieją. Można te książki nawet ściągnąć w PDFie albo w wersji audio. Do wyboru do koloru. Ostatnio byłem świadkiem przechwałek młodych ludzi, kto z nich przeczytał mniej książek w swoim życiu. Załamałem się... Kompletna porażka na całej linii. Czy młodzi ludzie czymś się interesują? Polityką? Historią? Sztuką? Nauką? Kurwa, czymkolwiek? Ja wiem, że są wyjątki, ale tylko potwierdzają pewną regułę. Świat przewrócił się do góry dupą. Dziś buddyści nienawidzą Arabów, anarchiści robią interesy z kapitalistami, hipisi popierają Korwina-Mikke, nacjonaliści zajmują się ekologią, punki są konserwatystami i katolikami, największymi ćpunami są pracownicy korporacji wszelakich, scena niezależna spuszcza się nad firmowymi butami i pizzą z sieciówki, a młodzież zakłada nacjonalistyczne składy hip hopowe... A do tego dochodzą jeszcze rzesze wąsatych Kowalskich i moherowych Nowakowych, a wszyscy razem nienawidzą uchodźców, imigrantów, obcych. Politycznych czy ekonomicznych? Chuj w to! Są dla nas obcy kulturowo, rasowo i religijnie i koniec kropka! Skąd w ludziach tyle nienawiści? Kompleksy? Strach? Polityczna propaganda? Nauki kościoła? A może obciążenie genetyczne? Od zawsze nienawidziliśmy Niemców, Rosjan, Żydów, Cyganów, komunistów, potem gejów, lewaków, a teraz nienawidzimy uchodźców i sprzedawców kebaba. Ukradną nam nasze pieniądze!!! Zagrażają kościołowi i religii naszych ojców i dziadów! Zgwałcą nasze kobiety i przyodzieją potem w burki! Będą się wysadzać w powietrze w kolejce do kasy w Biedronce!!! Kurwa, ludzie! Czy wy macie jajecznicę zamiast mózgów? Polityka po raz kolejny podzieliła społeczeństwo... A teraz wyobraźcie sobie, co by się działo w Polsce, gdyby doszło do kontaktu z obcą cywilizacją?

Wszyscy jakby zaskoczeni wynikami wyborów, chociaż były one do przewidzenia. Jedynym zaskoczeniem jest wynik partii RAZEM. W tak krótkim czasie dostali tak duże poparcie, że od razu wszystkie media wzięły ich pod lupę. Jednak podejrzewam, że to tylko obudzili się ci, którzy wybrali mniejsze zło i zagłosowali na socjal-demokratów, by odebrać głosy Kaczyńskiemu i jego bandzie. Trochę za późno... Nie wszedł pierdolnięty Korwin, i tutaj włącza mi się typowo polska satysfakcja z czyjejś porażki, i bardzo dobrze! Do piachu poszli post komuniści z SLD - czas najwyższy! Nigdy im nie wybaczę podpisania konkordatu. Jaki kraj taka lewica... Natomiast przerażające jest to, że PiS zgarnął wszystko! Mają prezydenta, który w nocy, cichaczem odwiedza prezesa. Mają większość w sejmie i będą rządzić samodzielnie. Mają za sobą kościół. Za przeciwników mają opozycję - zdruzgotaną, ciągnącą resztkami sił PO, która przegrała w większości okręgów wyborczych. Powiewające jak chorągiewka na wietrze i pilnująca TYLKO własnych interesów PSL. NOWOCZESNA - liberałowie, troszkę bardziej nowocześni niż Platforma, w sumie ekonomiści, którzy zapewne liczyć potrafią, więc będą liczyć na siebie i na własne interesy, bo jakichś ogólnych zmian społecznych z ich pomocą nie przewiduję. No i największa porażka dla tego kraju w wyborach parlamentarnych - KUKIZ '15... Pijaczyna Kukiz - bez planów, bez pomysłów, byle dotrzeć, byle być, byle namieszać... Coś zamilkł o JOW-ach, zauważyliście? Przepity nerwus, czerwony na gębie, wziął sobie do spóły Liroya i chłopaków z Ruchu Narodowego. Anty-system - ja pierdolę... Ostatnio w pracy słyszałem rozmowę dwóch młodych chłopaków, jeden był z okolic Kielc, na temat Liroya. To spoko gość, mądrzejszych od tych wszystkich polityków, bo zna życie! Wychował się na blokowisku, nie miał łatwo, musiał kraść... Wtrąciłem się - to takich teraz gości potrzebujemy najbardziej, tych, co już umieją kraść, pewnie się szybciej wdroży. Nie, to nie o to chodzi. Liroy po prostu rozpierdoli tę bandę razem z Kukizem. Pytanie, co dalej, po tym całym rozpierdoleniu? Anty-system zamienią na nowy system? Jeśli chcą to zrobić ramię w ramię z nacjonalistami, to o demokracji możemy zapomnieć. Co może wykluć się z ruchu, tak z ruchu, nie z partii, która skupia zbieraninę oszołomów, którzy chcą coś zrobić, ale nie wiedzą co? Pod przywództwem ludowego trybuna weszli do polityki ludzie tacy właśnie jak Liroy, czy faszysta Winnicki. Wszelkie ruchy narodowe, nacjonalistyczne, faszystowskie, były tylko nieodłącznym folklorem wielkiej polityki. Dzisiaj Kukiz wprowadził ich do sejmu... Co dalej? Albo się pożrą, pokłócą, podzielą i każdy pójdzie w swoją stronę, albo ludzie się nimi znudzą, bo nie będą mieli nic konkretnego do zaproponowania tylko jakieś górno- (czy raczej nisko-) lotne abstrakcje. Czystej wody populizm, który ludzie łykają, gdy są sfrustrowani i nie widzą żadnych pozytywnych zmian. Jednak większość społeczeństwa nie interesuje się polityką, nie obserwuje i nie wyciąga żadnych wniosków z przeszłości. Żadna populistyczna partia nigdy nie zrobiła nic dobrego dla społeczeństwa na dłuższą metę. A wprowadzenie dwóch faszystów do ław poselskich tylko pogorszy sytuację na płaszczyźnie politycznej. A podejrzewam, że to dopiero pierwszy krok. Może być też tak, że uda im się w końcu wyklarować jakąś politykę i przesłanie do ludu, które ten lud kupi i będzie Kukiza wspierał, choć w to za bardzo nie wierzę. Wierzę natomiast w to, że narobią dużo smrodu. Co się stało z tym krajem, że społeczeństwo wybiera na swoich przedstawicieli takich oszołomów jak Kukiz, Liroy, Winnicki? Naprawdę chcielibyście, żeby wasze życie, poniekąd, układał Liroy, któremu chce się jebać?

No i PiS... Partia, którą śmiało mogę nazwać katolicko-narodowo-socjalistyczną. Tak, dobrze widzicie - PiS to narodowy socjalizm wspierany przez Kościół! Spójrzcie tylko na ich program, na ich obietnice, na zmiany, które chcą wprowadzić. Wiele z nich praktycznie pokrywa się z tym, co proponuje nam partia RAZEM! Tyle, że Zandberg ze swoją partią nigdzie się nie dostali i mają znikomy wpływ na sytuację polityczną w kraju. Może kiedyś, choć i w to wątpię. O RAZEM powiem tylko tyle - nie zgadzam się z ich wieloma postulatami, jednak wolałbym rządy socjaldemokratów niż narodowych socjalistów, ale nic z tego nie będzie.

Wszyscy pamiętamy ostatnie rządy PiS. Żenada, wpadki, niekompetencja, afery, zamordyzm i mszczenie się. Byli kompletnie nieprzygotowani do przejęcia rządów w tym kraju, dlatego przegrali wybory. Jednak tym razem już są gotowi. Ciężko pracowali przez te wszystkie lata - knuli, drążyli, prowokowali i wykuwali kadry. Tak ciężko o to walczyli, że teraz już nikt im nie odbierze władzy! Liczycie na to, że się skompromitują i lud odwróci się do nich dupą? O nie! Nie tym razem! Jak już wysadzili PO z siodła, głównie za sprawą prowokacji z podsłuchami, to teraz już nie puszczą władzy i nie dadzą się odepchnąć od koryta. Zresztą nie chodzi w ich przypadku o koryto - oni mają własną wizję państwa i misję, by je uzdrowić na własną modłę. Wszyscy w koło mówią - poczekamy, zobaczymy, noga im się powinie. Raczej nie. Niebezpieczne w nowej wersji PiS jest to, że sporo ludzi w nich wierzy i oni to wykorzystają. Scenariusz może być taki, że za pomocą tych wszystkich socjalnych zmian, reform i obietnic, które całkiem możliwe, że im się uda zrealizować, przyciągną do siebie sporą liczbę społeczeństwa. Obawiam się, że większość. Jeśli Kowalskiemu się poprawi stopa życiowa, dostanie od rządu troszkę kasy na dzieci, obniżą mu wiek emerytalny, zlikwidują gimnazja, żeby mały Jasio mógł tak, jak stary Kowalski zrobić 8 klas, jeśli PiS pokaże Kowalskiemu, że ani Niemiec, ani Rusek, a tym bardziej Europa, nie będą nam pluli w twarz, to Kowalski będzie popierał PiS, bo dlaczego nie? Jeśli opodatkują zagraniczne sieci supermarketów i korporacje (tu nawet ja się z nimi zgadzam), jeśli zacznie się rozkręcać mały i średni biznes (czyli podstawa rozwoju kapitalizmu), do tego pojawi się więcej pracy (to akurat tylko pobożne życzenia), wzrosną płace, a do tego cały czas będzie po polsku i po kościelnemu, to Polacy to kupią. Kupią i pokochają PiS i będą stać za nimi murem. Tylko, że oprócz tych zmian socjalnych, PiS będzie chciał urządzić ten kraj po swojemu. Po cichu, pod osłoną reform i zmian społecznych, wprowadza swoje prawa. Chcą zmienić konstytucję - pracują nad tym od wielu lat. Do tej pory nie udało im się tego przepchnąć, a dzisiaj? Nie powinno być żadnego problemu! Ledwo wygrali wybory, już zaczynają robić czystki - wśród lekarzy, w TVP, w prasie. Negują ustawę antyprzemocową, negują zapłodnienie in vitro, wystawią na piedestał swoich męczenników, takich jak profesor Chazan, walczą o absolutny zakaz aborcji, walczą o ochronę życia poczętego, walczą o pomnik smoleński na Krakowskim Przedmieściu, będą wspierać, jako państwo, tylko tę kulturę, która będzie pasować PiS-owi - tę pro-polską, narodową, kościelną. Chcą już dzisiaj zweryfikować dziennikarzy, wprowadzić moralną cenzurę. Jak zwykle będą grozić szabelką i Niemcom, i Rosji. Zresztą gorszej sytuacji z Rosją mieć już chyba nie możemy. No chyba, że wojna... Poza tym kościół katolicki ze smakiem oblizuje swoje pełne usta i klepie się po spasionym brzuszku. Teraz już nikt nie stanie im na drodze. Jeszcze więcej przywilejów, jeszcze więcej ziemi i pieniędzy, wpływ na politykę i bezkarność. No i jeszcze więcej kasy i jeszcze więcej... Podejrzewam, że PiS będzie nas inwigilował na wielką skalę, bo rządy autorytarne na tym się opierają. Chociaż PiS nie jest jeszcze autorytarny, powoli do tego zmierza. Określiłbym to mianem autorytarokracji. Zresztą mamy wspaniałe przykłady tego, jak to będzie wkrótce wyglądać - Węgry, Czechy, Słowacja. Poza tym, w całej Europie do władzy pchają się lub już rządzą, czy biorą udział w rządzeniu, wszelkie partie konserwatywne, populistyczne i narodowe. Źle się dzieje w państwie duńskim... Nie chcę być złym prorokiem, ale było chujowo, jest chujowo i będzie jeszcze bardziej chujowo... Zobaczcie ile obecnie trwa konfliktów na całym świecie. Coś się sypie albo ktoś ma bardzo precyzyjny plan, jak to wszystko zdezorganizować, wywołać ogólny chaos i wprowadzić nowe porządki i zacząć wszystko od nowa. Daleki jestem od ekscytowania się teoriami spiskowymi, nawet takimi, jak to, że Tusk był agentem STASI, jednak coś wisi w powietrzu. Obawiam się, że może to być olbrzymi konflikt na skalę światową. Zbyt wiele punktów zapalnych na całym świecie, które skumulowały się w jednym czasie. Czyżby stary świat się walił? Kto za tym stoi? A może te wszystkie negatywne emocje, te wszystkie spory i niesnaski właśnie teraz się skumulowały i wybuchną z całą swoją siłą? Europa trzeszczy w szwach, USA walczą cały czas o utrzymanie dominacji na świecie, Rosja nie ustępuje im pola, do tego konflikt etniczno-kulturowo-religijny na Bliskim Wschodzie, no i świry pokroju Korei Północnej, która nie wiadomo, co nam zaserwuje któregoś pięknego dnia...

W związku z całą tą koszmarną sytuacją podobno mają nadejść dobre czasy dla punk rocka. Hahahahaha! To się, kurwa, uśmiałem! Nie, moi kochani, nadeszły dobre czasy dla wszelkiej maści nacjonalistów, faszystów, rasistów i oszołomów! Teraz dostaną zielone światło i będą robić, co im się żywnie spodoba! Mamy przejebane! Punk miał być/był sumieniem tego świata. Wiem, że brzmi to bardzo górnolotnie, ale mieliśmy negować społeczeństwo, prowokować, by zaczęło myśleć, postrzegać świat z zupełnie innej perspektywy. I co z tego wyszło? No właśnie to, co teraz mamy. Marazm, tumiwisizm, megalomania, podziały, konsumpcja, brak pomysłu na siebie. Wąż zżarł własny ogon już dawno. In the Ghetto, jak śpiewał Elvis. Powielamy stare schematy, nie potrafimy wypracować nic nowego, nic świeżego i kreatywnego. Wszystko się dzieje na małą skalę, wszystko odbywa się w niszy, jest robione przez wybranych dla wybranych, przez świadomych dla uświadomionych... Jasne, możemy przetrwać gdzieś w kanałach, i pewnie przetrwamy, tylko co z tego? Ostatnio naszła mnie taka gorzka refleksja... Gorzka bardziej dla następnego pokolenia niż dla mnie. Ja już swoją młodość przeżyłem - było ciężko, ale było zajebiście! Bez skrupułów mogę powiedzieć - po mnie choćby potop! A co z wami będzie, z tymi młodszymi uczestnikami tej tzw. sceny? Pięć zinów na krzyż, z czego trzy wychodzą w miarę regularnie, nakłady płyt po 300 egzemplarzy, z czego większość to reedycje staroci sprzed lat, koncerty na 40 osób, wciąż ci sami ludzie w różnych kapelach, zespoły kopiujące trendy z Zachodu, scena opierająca się na koszulkach i naszywkach... Kilkudziesięciu kolesi po 40-tce, którzy mają energię, żeby coś robić... W prawie 40 milionowym kraju. Śmiech na sali... Jasne, że to, co napisałem jest na wyrost, bo sporo młodszych ludzi w tym siedzi i są bardzo aktywni. I właśnie w tym zinie chcemy chociaż troszkę przybliżyć to, co oni robią. Pokazać, że można, zainspirować innych, podkręcić tę zblazowaną społeczność, otumanioną Facebookiem. Tylko czy nam się to udaje? Przynosi jakiś efektem? Obawiam się, że nasz zine trafia w większości do tych, którzy już i tak są aktywni. Nie mamy misji, ale chcemy, żeby ta scena przetrwała, szczególnie w tych chujowych czasach. Żeby przetrwała, była aktywna, inspirująca i była jakąś alternatywą dla tego całego gówna, które nas otacza. Możemy to zrobić jedynie wtedy, gdy będziemy współpracować. Kiedyś to działało, na każdej płaszczyźnie, dzisiaj kuleje, ale wciąż jest do zrobienia! Nasz zine jest tylko niewielką kroplą w oceanie szczyn, ale przytoczę tu słowa Jello Biafry, który powiedział: Przestańcie nienawidzić media, stańcie się mediami... Fanziny są prawdopodobnie najważniejszą rzeczą, jaka punk dał światu...

Pablo

NO PASARAN RECORDS

www.nopasaran.pl
www.distro.nopasaran.pl
nopasaran@nopasaran.pl

WKRÓTCE:

LAZY CLASS / MAX CADY
12" split EP

WCIĄŻ DOSTĘPNE:

STAN OSKARŻENIA
Pięść wiary (LP)

LIBERUM VETO
Naćpany nudą (LP)

PRAWO DO JAZDY
s/t (LP+CD)

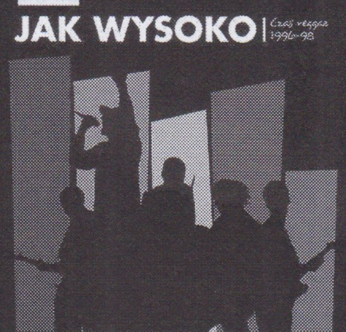

JAK WYSOKO
Czas reggae 1996-98 (LP)

PROFANACJA
Zdarza się! (LP)

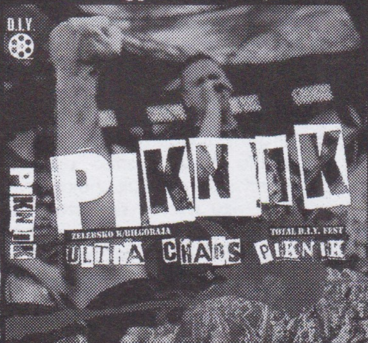

PIKNIK
ULTRA CHAOS PIKNIK 2014 (DVD)

WRACAJĄC Z MAGADANU...

24 września br., w sali Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, odbyło się spotkanie z Igorem Oliniewiczem - białoruskim anarchistą i jeszcze do niedawna więźniem reżimu Aleksandra Łukaszenki - ostatniego dyktatora Europy...

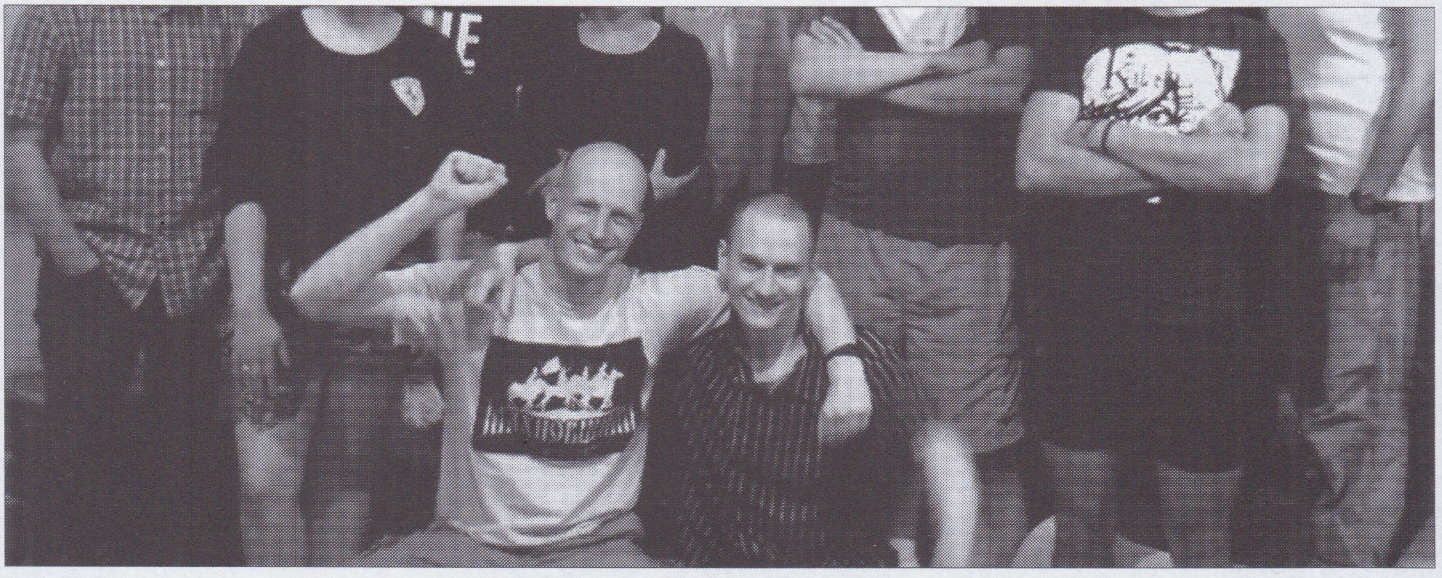

Pierwszą rzeczą, jaka zaskoczyła mnie na krakowskim spotkaniu, była frekwencja. Może dwadzieścia osób... Wiem, że dziś czasy już nie te, ludzie wszystko mają w Internecie (albo w dupie), mało się komu co chce i w ogóle postnowoczesność... Mi się jednak chciało... Jak tylko usłyszałem, iż w Krakowie będzie spotkanie z Igorem Oliniewiczem (wcześniej spotkania takie odbyły się w Warszawie i Poznaniu, na drugi dzień Igor miał jechać jeszcze na Śląsk), bez większego namysłu stwierdziłem, że muszę na nim być. Sto kilkadziesiąt kilometrów nie było przeszkodą nie do pokonania, a i urlop w robocie szło załatwić. Zdziwiłem się więc tym, iż tak mało krakowian było zainteresowanych tym spotkaniem. Nie zauważyłem na nim nawet wszystkich mi znanych krakowskich anarchistów i lewaków... Nie co dzień można posłuchać od bezpośredniego uczestnika o tym co dzieje się za naszą wschodnią granicą, jak żyje się w tamtejszych więzieniach i obozach, co porabiają tamtejsi anarchiści i opozycja... Ale widocznie to wciąż za mało... Mniejsza z tym, ja nie żałuję i po spotkaniu byłem zadowolony i pełniejszy wyniesioną wiedzą...

Rozpoczął jednak Aleksander, krajan Igora z Grodna oraz działacz anarchistyczny z Krakowa. Alek „robił" też za tłumacza niniejszego spotkania, za co jesteśmy mu bardzo wdzięczni... Wszystko rozpoczęło się gdzieś w drugiej połowie 2009 roku. Ruch anarchistyczny na Białorusi rósł w siłę, odbywały się coraz śmielsze akcje. Jedną z nich był przemarsz antymilitarny, w czasie którego w stronę Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych poleciały świece dymne. Inne akcje, za które w większości swą odpowiedzialność wzięła nieznana dotąd grupa Przyjaciele Wolności, to atak na jedno z kasyn w Mińsku, komendę milicji w Soligorsku, atak na lokal Federacji Związków Zawodowych, czy podpalenie drzwi Banku Białorusi w Mińsku. Akcje te cechowały nowe formy walki, dotychczas rzadko kiedy wykorzystywane przez uczestników ruchu anarchistycznego na Białorusi. Poza tradycyjnymi ulotkami, była to lekka pirotechnika (świece dymne, race) oraz butelki z benzyną. Mimo użycia takich materiałów, były to jednak akcje symboliczne, bez znaczących strat materialnych. Jednak to wystarczyło, by media zaczęły snuć domysły i przedstawiać anarchistów w jak najgorszym świetle. Jesienią 2010 roku miarka się przebrała, gdy w stronę rosyjskiej ambasady poleciały koktajle Mołotowa. Aparat represji ruszył swe trybiki. Fala represji przelała się przez cały kraj. Przesłuchano ponad 150 osób, 19 zatrzymano, jako podejrzanych, skazano jednak tylko pięć osób. Wśród skazanych był Igor Oliniewicz, który dostał najwyższy wyrok, 8 lat pozbawienia wolności (inni skazani dostali 4,5 roku i 3 lata pozbawienia wolności oraz 4 i 1,5 roku ograniczenia wolności). Gdy cała piątka siedziała w tymczasowym areszcie, Przyjaciele Wolności zaatakowali butelkami z benzyną budynek aresztu, wydając również oświadczenie, w którym napisali, iż osadzeni anarchiści nie mają nic wspólnego z akcjami ich grupy. Na Białorusi oraz całym świecie rozpoczęły się akcje solidarnościowe na rzecz uwolnienia białoruskich anarchistów. Szereg takich akcji odbyło się również w Polsce, jednak to nie one doprowadziły do uwolnienia więzionych anarchistów. Reżim Łukaszenki, chcąc zachować jakiekolwiek pozory demokracji, raz na jakiś czas wypuszcza na mocy amnestii więźniów politycznych. Anarchiści za takowych byli uznawani (nawet Amnesty International uznało ich więźniami sumienia), więc - chcąc nie chcąc - musiano ich zwolnić. Najdłużej z całej piątki siedział właśnie Igor, pięć lat w areszcie tymczasowym (tzw. Amerykańce, w Mińsku) oraz łagrach Białorusi. Na szczęście, do Magadanu nigdy nie dotarł...

Igor, zaraz po opuszczeniu więzienia, mógł wyjechać za granicę i opuścić Białoruś. Zapewne był to zamierzony krok ze strony reżimu - najlepiej, pozbyć się niewygodnego człowieka i uchodzić przy tym za dobroczyńcę . Za to dzięki temu mogliśmy wysłuchać, co miał nam do powiedzenia. A zaczął on od białoruskiego ruchu anarchistycznego. Jedną z prawdopodobnych przyczyn represji ze strony Państwa widział w coraz większym zaangażowaniu anarchistów w działalność pro pracowniczą. Jakieś spotkania z robotnikami, poparcie dla ich żądań płacowych, czy strajków, nie mogły ujść

czujności służb państwowych. Robotnicy, nadal na Białorusi są traktowani jako klasa, o którą Państwo „dba". Jakakolwiek działalność oddolna na tym polu MUSI zostać stłumiona w zarodku, bo to Państwo ma swoje związki zawodowe, które będą dbać o masy pracujące. Inną, poruszoną przez Igora sprawą związaną z anarchistami, były decyzje niektórych środowisk wolnościowych, które odcinały się od więzionych i torpedowały nawet działania solidarnościowe. Taka zachowawcza postawa (reprezentowana m.in. przez białoruskie Indymedia), spotkała się ze zdecydowanym oporem ze strony większości środowiska, ale wprowadziła rozłam wśród anarchistów. Niestety zdarzały się również przypadki współpracy z organami państwowej represji, które użyły siły strachu przeciw, w większości młodym, idealistom. Po represjach z roku 2010 białoruski ruch wolnościowy został nieźle przetrzebiony i chyba nadal pozostaje w pewnym stopniu rozkładu.

Igor sam od siebie zbyt wiele nie powiedział, bardziej zdał się na pytania od publiczności, których na szczęście było sporo. Nie sposób tu opisać ich wszystkich, niemniej postaram się uwypuklić te najciekawsze... Jeden z uczestników spotkania, pochodzący notabene z Kazachstanu, powrócił do prorobotniczych działań anarchistów na Białorusi i odniósł je do działających w Kazachstanie socjalistów, którzy jako jedyni są w stanie podnieść robotników do walki z reżimem. Pytając Igora o obecną sytuację w ruchu robotniczym na Białorusi, doczekał się krótkiej odpowiedzi: nie ma czegoś takiego jak oddolny ruch robotniczy!!! Opisywane przez niego wcześniej zmagania anarchistów na tym obszarze były dopiero w zalążku i jak pokazało życie, zostały stłumione. Nawet oficjalna opozycja ma nikłe wpływy na robotników, którzy są jakby otumanieni przez reżim.

Jednym z tematów, na który czekałem, był insurekcjonizm... Igor, stanowczo zaprzeczył, jakby był insurekcjonistą, choć z drugiej strony, nie wyrzekł się metod walki, jakimi posługują się anarchiści-insurekcyjni. Według niego, ruch ten, a szczególnie jego nihilistyczny odłam, niemal uzurpują sobie radykalne metody działania, jako należące wyłącznie do nich. Dla Igora, koktajle Mołotowa nie należą wyłącznie do nihilistów i równie dobrze używać ich mogą np. anarchosyndykaliści. Kolega obok, skwitował to, iż jest to nowy ideowy tor dla anarchosyndykalizmu. Trudno nie zgodzić się z Igorem. Sam pisałem już kiedyś, by insurekcjonizmu nie traktować z pozycji ideologicznej, a taktycznej. Owszem, szerokie grono anarchistów-insurekcjonistów sytuuje się z dala od wszelkich walk społecznych, a ich „program" można nazwać indywidualistycznym nihilizmem, jednak nie można przez to wykluczać ich z szerokiego forum anarchistycznego i „wyzywać" od policyjnych prowokatorów (co

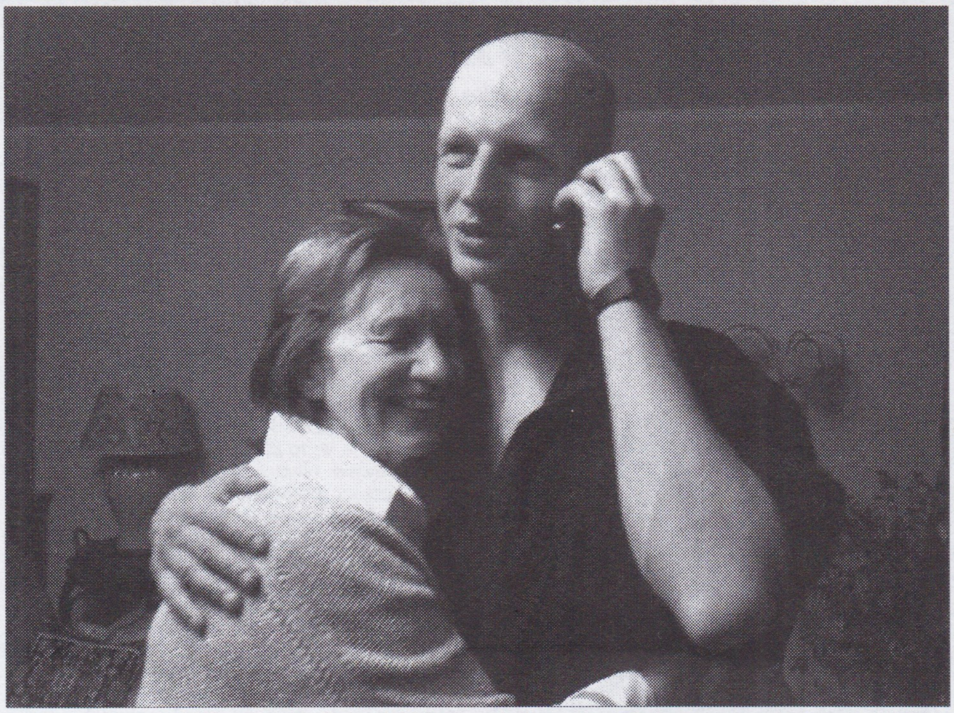

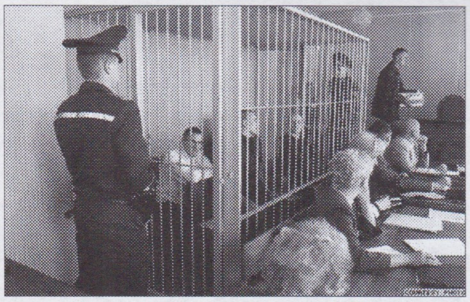

niestety, zdarza się wśród anarchistów), a taktykom i metodom działania warto przyjrzeć się bliżej i zaadoptować do własnej działalności, choćby i syndykalistycznej, czy społecznej. Pamiętajmy, że Państwo i Kapitał niczego dobrowolnie nam nie dadzą - czasami trzeba im to wydrzeć, wyrwać z łapsk... i jak nie pomogą masowe protesty i strajki, być może pomogą butelki z benzyną i młotki w rękach wściekłego ludu...

Dość ciekawie rozwinęła się odpowiedź na pytanie o przyszłość działań opozycyjnych i anarchistycznych na Białorusi... Co prawda, Igor nie do końca chyba odczytał sens tegoż pytania, ale w zamian, rozwinął nam swoją wizję nowych form walki z systemem... Wspomniał, iż w czasie odsiadki dużo czytał, nie tylko klasyków anarchizmu, których znał już wcześniej, ale również książki z gatunku psychologii, socjologii czy psychoanalizy... Według niego, nie można już dziś opierać się wyłącznie na XIX-wiecznych brodatych klasykach, trzeba uzupełniać idee wolnościowe o nowe prądy w naukach społecznych i nowych technologiach. W kwestii nowych technologii, po trochu się z Igorem nie zgadzam... On widzi w nich nowe możliwości walki i samoorganizacji, dla mnie są on również pułapką, w którą wpadają już nie jednostki, lecz całe pokolenia. Być może i media społecznościowe były usłużne w czasie Arabskiej Wiosny, ale tak naprawdę nie do końca wiemy, kto stał za tymi niby spontanicznymi protestami. Jak słusznie zauważyła jedna ze słuchaczek wykładu, Internet jawił nam się, jako nieograniczona strefa wolności wypowiedzi i powszechnego dostępu do wolnej informacji, a dziś zalewa nas z jednej strony komercyjnymi spamami, a z drugiej nieograniczoną głupotą, plugastwem, łgarstwem, czy ideami spod znaku najczarniejszej sotni... Pozostaje jeszcze kwestia pochodzenia najnowocześniejszych zabawek dla społeczeństwa. Większość z nich jest pochodnymi przemysłu zbrojeniowego. Jeśli są to tylko niepotrzebne odpady technologiczne, to co tak naprawdę przemysł ten trzyma w zanadrzu, co nam szykuje w razie masowych protestów czy powszechnego buntu? Tego się zapewne nigdy nie dowiemy... albo dowiemy się za późno. Igor jednak stara się dostrzegać pozytywne możliwości nowych technologii, czego mu zabronić nie można, choć trzeba pokazywać zagrożenia w ślepej wierze w postęp techniczny...

Oczywiście w czasie takiego spotkanie nie mogło zabraknąć tematyki więziennej... Czytając wcześniej wspomnienia Igora z mińskiego aresztu śledczego, zwanego Amerykanką, można było się dowiedzieć, jak wyglądało jego życie zaraz po porwaniu w Moskwie, przewiezieniu do Mińska i osadzeniu w niesławnej Amerykance. Zainteresowanych odsyłam do książki „Jadę do Magadanu", wydanej przez poznańskie wydawnictwo Bractwo Trojka (www.bractwotrojka.pl). Osobiście byłem ciekaw jak wyglądało życie więźnia-anarchisty w łagrze. Pierwsze co powiedział Igor, to to, iż jeszcze do niedawna areszty tymczasowe to było przedszkole w porównaniu z obozami. Już na miejscu mówiono mu, że kiedyś, to by „na dzień dobry" dostał ostry wpierdol od strażników - ot tak, dla zasady, by wiedzieć gdzie się jest. Na szczęście system nieco poluzował cugle... W łagrach życie społeczne więźniowie układają zazwyczaj po swojemu. Oczywiście są podziały wśród nich, ale przeważnie panuje międzyludzka solidarność. Normą jest np. wspólne przygotowywanie posiłków oraz dzielenie się żywnością pochodzącą z paczek od rodziny. W łagrze zagrożenie czyha nie tylko ze strony oprawców w mundurach. Tak jak kiedyś w polskich pierdlach rządzili gitowcy/grypsujący, tak w białoruskich łagrach nadal taką rolę odgrywają tzw. „suki". Gdy się z nimi zadrze, można wylądować na samym końcu więziennej drabiny społecznej. Dodatkowym problemem jest to, że „suki" często współpracują z władzami obozu i są wykorzystywani do brudnej roboty. Niejeden niewygodny więzień skończył przez to przedwcześnie swą odsiadkę... Oczywiście współpraca ta jest niejawna i władze zawsze zwalają winę na wewnętrzne porachunki pomiędzy uwięzionymi. Igor stwierdził, że jakby nie wyszedł przy okazji tej amnestii, to być może nigdy by nie wyszedł żywy z obozu.

To tylko niektóre z tematów, o których mówił Igor w czasie dyskusyjnej części spotkania. Dla mnie event ten był doskonałym uzupełnienie wspomnianej już książki Oliniewicza. Uzupełnieniem dogłębnym, gdyż autora więziennych wspomnień mogłem usłyszeć na żywo, posłuchać, co ma do powiedzenia, zadać mu własne pytania, czy w końcu uścisnąć dłoń na pożegnanie...

Swoisty epilog tego spotkania nastąpił po ponad dwóch tygodniach... Miałem przyjemność uczestniczyć w kolejnym zjeździe Federacji Anarchistycznej. W tym celu, wraz z delegatami z Podkarpacia, udaliśmy się w stronę Śląska. Na Gliwickiej 13 ponownie spotykam Igora... Zaskoczenie! Okazało się, iż tak mu się spodobało w Polsce, a jakoś szczególnie na Śląsku (który czasami przypomina mu ojczystą Białoruś), że na razie postanowił tu zostać i pomieszkuje tymczasowo w Gliwicach. Pierwszego wieczora było jeszcze spokojnie, wszak na drugi dzień obrady anarchistów z całego kraju. Igor był gościem specjalnym zjazdu, a na „zaczepkę", iż i tak nic nie rozumie - odpowiedział, że już trochę rozumie. To, plus coraz większe dawki wieczornego alkoholu, pomogło nam wszystkim, już na większym luzie jakoś bardziej się zintegrować. Igor okazał się znakomitym kompanem do śpiewów, hulanek i swawoli... Oczywiście, były również szczere pogaduchy, czasem w trzech językach. Żal było kolejnego dnia opuszczać Gliwice, jednak coś czuję, że nie było to nasze ostatnie spotkanie...

Krawat

FUCK'89 - WSPOMNIENIA WARSZAWSKIEGO ANARCHISTY

10. lipca b.r. w rzeszowskim Kontraście odbyło się spotkanie promujące książkę Tymoteusza Onyszkiewicza pt. „Czas: Anarchia. Tryb: Rewolucja. Wspomnienia warszawskiego anarchisty 1989-1991". Oto krótka relacja z wydarzenia...

Kontrast to wolna przestrzeń w samym sercu Rzeszowa, stolicy Podkarpacia. Wokół niewielkiej kamienicy skupiło się środowisko z obszarów niezależnej sceny hardcore/punk oraz ruchu anarchistycznego. Mimo nieustających tarć wewnątrz kolektywu, Kontrast działa i - mam nadzieję - działać będzie jeszcze przez najbliższe lata. Anarchistyczna część kontrastowego kolektywu raz na jakiś czas organizuje w nim spotkania, prelekcje, pokazy filmów. W piątkowy wieczór miałem przyjemność posłuchać barwnych opowieści Tymoteusza oraz rzucić okiem na wystawę plakatów, ulotek oraz fotografii, dokumentujących działalność warszawskich anarchistów w latach 1988-93. Wspominkowe spotkanie przyciągnęło do Kontrastu ponad 20 osób zainteresowanych tak historycznymi, jak i współczesnymi zagadnieniami związanymi z działalnością anarchistyczną.

Ktoś, kto czytał już wcześniej wspomnianą na początku książkę Onyszkiewicza (a taką osobą byłem m.in. ja), nie dowiedział się zbyt wiele nowych rzeczy z opowieści autora, ale mógł za to wdać się w dyskusję, zapytać o nurtujące go sprawy, dopytać o szczegóły... Jednak zdecydowana większość przybyłej publiki (zaznaczyć trzeba, iż w większość bardzo młodej, niepamiętającej z pewnością czasów opisywanych przez Tymka) po raz pierwszy słyszała te historie. A było o czym posłuchać...

Autor „Wspomnień warszawskiego anarchisty" skupiał się głównie na wydarzeniach warszawskich, choć wybiegał również w inne regiony kraju i wydawać by się mogło, że był niemal wszędzie tam, gdzie wybuchały walki, a to z milicją/policją, a to z nazistowskimi skinami. Warszawskie wspomnienia były o tyle ciekawsze, że można było je sobie dodatkowo zobrazować fragmentami wystawy, gdzie większość zdjęć pochodziła właśnie z akcji i zadym w stolicy. Jedną z opisywanych była bijatyka z łysymi pałami pod (zdaje się) Zachętą. Inicjatorzy manifestacji na rzecz legalizacji marihuany, w sile kilku osób, natknęli się na ponad stuosobową hałastrę zielonych fleyersów (dla niewtajemniczonych - to takie kurtki, co to w latach 90. nosili skinheadzi, czasem odwracając je na drugą, pomarańczową stronę, co niby oznaczało ich gotowość do ataku). Do dziś Tymek, uczestnik owego wydarzenia, nie wie jakim cudem przeżyli... Opowieści o walkach z polskimi faszystami spod znaku celtyka i orła białego było w czasie owego spotkania więcej... Dla młodych ludzi, zgromadzonych w Kontraście, być może jawiły się one niczym opowieści z krypty... Powybijane zęby, sprzęty różnej maści używane w czasie walki, łamane kości, noże, łańcuchy, pały, tulipany... Dla kogoś, kto spędził swą młodość w „szalonych" latach 90., była to norma. Dziś być może wydaje się to zbyt drastyczne, choć sytuację mamy równie nieciekawą jak wówczas. Już w czasie części poświęconej pytaniom i dyskusji, jedna z uczestniczek spotkania zapytała Tymka, czy nie próbowali rozmawiać z tymi złymi skinami? Odpowiedź była jasna i krótka: „Nie!". Na dalsze wątpliwości dziewczyny, Tymoteusz odpowiedział, że to były typy, z którymi rzadko kiedy dało się wymienić kilka zdań bez dostania po ryju. Owszem, byli wśród nich tzw. „Gebelsi" - wygoleni pseudointelektualiści w drucianych okularkach, przypominający miłych chłopców z Hitlerjugend, którzy czasami wyłazili zza pleców głupich osiłków, by spróbować przekonać swych oponentów do swoich racji, ale zazwyczaj każde spotkanie z troglodytami we flekach kończyło się mordobiciem. Inną historią przypomnianą przez Tymka - a znów ze skinami w roli głównej - była wielka bitwa pomiędzy faszystami a uczestnikami festiwalu w Brodnicy. Na Muzycznym Campingu grało się głównie bluesa, ale występowały również kapele reggae czy typowo rockowe. W odróżnieniu od Jarocina, festiwal ten nigdy nie był utożsamiany z punk rockiem i przyciągał raczej mniej punkową i radykalną publiczność. Niemniej, nie przeszkadzało to hordom faszystów stawić się tam i nękać pokojowo nastawioną publiczność. Był to, zdaje się, rok 1989 - rok przełomu i nowych nadziei. Anarchiści z grupy A-Cyklistów, postanowili zawitać do Brodnicy, ale nie w celach melomańskich :). Sytuacja już była napięta, grupy skinów terroryzowały przybyłych wielbicieli Dżemu i Izraela. Napięcie rosło, gdy pojawiły się plotki o ataku skinów na pole namiotowe. Wedle relacji Tymoteusza, to anarchiści, wraz z nielicznymi punkami, zainicjowali zorganizowanie obrony. W tym celu przygotowano wszystko, co mogło się przydać w czasie walki.

Kamienie, butelki, jakieś sztachety, drągi, pały. Gdy kilkuset rozjuszonych skinów zaatakowało w końcu pole namiotowe, przeciwko nim zmobilizowały się setki uczestników brodnickiego festiwalu. My, albo oni! Gdzieś w kąt porzucono mgliste ideały o pokojowej walce i nastawianiu drugiego policzka. W ruch poszły kamienie i butelki, drągi i sztachety zaczęły łamać się na tępych łysych łbach. Obok anarchistów i punków, do walki stanęli pokojowi dotychczas hippisi i fani bluesa, zwykli ludzie, którym przeszkodzono w ich muzycznym święcie. Wydawałoby się, iż dobrze zorganizowana horda faszystów jest nie do pokonania, a rozgromiła ją banda „brudasów" :). Skini zaczęli uciekać gdzie tylko się da, chować po szopach, prosić ludzi o wpuszczanie do domów... Polowanie zapewne trwało by do późnych godzin nocnych, ale pojawili się panowie w niebieskich mundurach... Jeszcze niedawno milicjanci, teraz dumni policjanci, chcieli mieć swoje pięć minut. Niestety, wściekłość na dotychczasowy brak zainteresowania z ich strony poczynaniami faszystów, przerodziła się w chęć walki z sługusami systemu. Znów w ruch poszły kamienie i butelki... i nieoczekiwanie pały wycofały się na z góry ustalone pozycje.

Tymoteusz opowiadał nie tylko o zadymach z tępymi skinami. Wśród opisanych przez niego akcji była demonstracja pod amerykańską ambasadą, zakończona aresztowaniem wszystkich jej uczestników, już w czasie biesiady w jednym z parków. Na spokojnych anarchistów nasłano oddział antyterrorystów z karabinami maszynowymi! Co ciekawe, demo zorganizowano w obronie aresztowanego w USA anarchisty Kenny'ego Toila - ani wówczas, ani dziś, nie za bardzo wiadomo dlaczego został on aresztowany i co dalej się z nim działo. Po prostu wystarczył impuls, zwykła wiadomość, iż „naszego" zamknęli gdzieś tam w Stanach, by zrobić dym. Inna opowieść (zobrazowana zdjęciami z wystawy) dotyczyła walk ulicznych z policją w czasie tzw. Dnia Wagarowicza. Warszawska Starówka zamieniała się wtedy, co roku w pole walki, najpierw wszelaka alternatywna młodzież walczyła ze znienawidzonymi skinami-faszystami, a potem już lali się z prewencją...

Już w czasie części dyskusyjnej, pojawiły się również tematy protestów przeciwko budowie tamy w Czorsztynie oraz nagabywania anarchistów przez policję polityczną. Tymoteusz sam odbył kilka takich rozmów z funkcjonariuszami Urzędu Ochrony Państwa (wcześniej zwanego Służbą Bezpieczeństwa, a dziś Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego), zbywając ich błahymi odpowiedziami, samemu próbując dowiedzieć się, jak dużo przeciwnik wie o ruchu anarchistycznym i poszczególnych jego uczestnikach.

Opowieści Tymoteusza powoli dobiegały końca... Gdy już nie było chętnych do zadawania pytań, spotkanie zakończono. Pozostały rozmowy w kuluarach, a gdzieś obok zaczynała się impreza taneczna w rytmach ska! Pojawiały się kolejne twarze, żądne już tylko dobrej zabawy, a nie politycznych wspominek i ideologicznych debat. Zarówno organizatorzy, jak i sam gość, miny mieli jednak zadowolone. Spotkanie można więc uważać za udane. Mi pozostała jeszcze droga do domu, nieco okrężna, gdyż okazało się, że Tymoteusz jest akurat w odwiedzinach u rodziny na wsi, kilkanaście kilometrów od Mielca. Godzinna podróż upłynęła nam na wspominkach o starych dobrych czasach, muzyce metalowej (której obaj słuchaliśmy w latach wczesnej młodości) oraz planach na dalszą działalność anarchistyczną...

(Krawat)

Rewolucja 1905 - czy historia nie zatoczyła koła?

W Łodzi, „ziemi obiecanej" biedoty z całego regionu, która to ciągnęła do fabryk po pracę i szansę zarobku, lata temu zrodziło się marzenie lotne jak ptak: odzyskać człowieczeństwo, odzyskać godne warunki pracy i płacy, nawet za cenę życia. Początki uprzemysłowienia dały dziesiątki tysięcy etatów, ale zlikwidowały naturalne cechy umiejętności własnej przenosząc na umiejętność obsługi maszyny. Fabrykanci reprezentowali najgorszą formę kapitalizmu i wyzysku oferując etaty, na których pracowano po 17 godzin na dobę. Robotnik włókienniczy żył krótko, gnieździł się w zatęchłej izbie bez wody i kanalizacji, swą młodość oddając fabryce i drobnym przyjemnością. Idea rewolucji, walki klas była jak iskra, która rozpaliła serca uciskanych. Wobec gigantycznej niesprawiedliwości klasa pracująca nie szykowała się do negocjacji, ona szykowała się do walki na śmierć i życie.

Pod koniec czerwca 1905 roku ustała praca w fabrykach i na ulice Łodzi wyszło ponad 70 tysięcy osób - wściekłych, głodnych i potwornie zmęczonych. Strajkowali prawie wszyscy zdolni do pracy: Ramię w ramię Polacy, Żydzi i Niemcy – bracia wobec machiny zniewolenia, którą był fabrykant, policjant i carski żołnierz. W dniach 22–24 czerwca w mieście stanęły barykady, wybuchło robotnicze powstanie. W Królestwie Polskim walczono m.in. o autonomię ziem polskich, ośmiogodzinny dzień roboczy, godne warunki pracy, ubezpieczenia na starość i od wypadków, czy powszechne polskie szkolnictwo. Dziś to wszystko mamy zagwarantowane przez Konstytucję, niegdyś były to kwestie nieosiągalne. Łódź była jednym z głównych ośrodków buntu. Walczono o godność i wolność. W 2015 roku obchodzimy 110 rocznicę Rewolucji 1905 roku. Jest ona zapomnianym fenomenem wystąpień robotniczych, uczniowskich i chłopskich, konfliktów społecznych o podłożu socjalnym, a także zrywu o charakterze niepodległościowym. Polska prawica, która od lat prowadzi również dyskurs historyczny, tej wspaniałej karty boi się jak ognia. Robotnicy chcieli chleba i wolności, ale nie pod maryjnymi sztandarami, a pod czerwonymi flagami symbolizującymi zew wolności. Ten ważny dla historii naszego kraju okres jest niemal nieobecny w szkolnych programach, publicystyce, produktach kultury masowej itd. Miasto Łódź było w tym czasie jednym z najważniejszych ośrodków rewolucji, a najistotniejszym dla Łodzi wydarzeniem doby rewolucji było Powstanie Łódzkie, trwające od 22 do 24 czerwca 1905 roku, w którym to tysiące mieszkańców spontanicznie rzuciły się do walki o wolność i godność, w efekcie której zginęło i zostało rannych około dwóch tysięcy osób. W obliczu rewolucji car zgodził się na pewne ustępstwa. W kwietniu 1905 roku wszedł w życie nakaz tolerancji religijnej, który przyczynił się do zaprzestania represji wobec mniejszości unickiej. Do szkół powrócił język polski, zalegalizowane zostały związki zawodowe. Manifest carski z 30 października 1905 roku obiecywał wprowadzenie konstytucji oraz utworzenie parlamentu. Rewolucja 1905 roku pokazała całemu światu i warstwie uprzywilejowanej, zwanej burżuazją, że jej bezkarność właśnie chyli się ku upadkowi.

Oficjalne obchody 110 rocznicy Rewolucji 1905 roku rozpoczęły się w parku im. Józefa Piłsudskiego (na Zdrowiu) w Łodzi. Na Polesiu Konstantynowskim władze carskie chowały w mogiłach zbiorowych ciała straconych rewolucjonistów. W 1923 roku wzniesiono tam Kolumnę Rewolucjonistów. W czasie II wojny światowej zburzyli ją okupanci. Stojący do dziś Pomnik Czynu Rewolucyjnego wzniesiono dopiero w 1975 roku. Około godziny 12 delegacje złożyły tam kwiaty ku czci pomordowanych.

Sama idea upamiętnienia rewolucyjnego czynu wyszła od środowisk lewicowych z Krytyki Politycznej wspartych przez Urząd Miasta (co wobec hiper wyzysku i niskich płac w mieście Łodzi brzmi jak groteska).

Wiele miejsc Śródmieścia Łodzi wciąż pamięta tamte dni. Czas na robotniczych podwórkach się zatrzymał. W scenerii jednej z łódzkich kamienic, przy ul. Rewolucji 1905 roku można było usłyszeć słuchowisko „Lepka purpura łódzkich kwiatów. Rewolucja 1905" przygotowane przez profesjonalnych łódzkich aktorów teatralnych. Wystąpili m.in. Bronisław Wrocławski i Michał Staszczak. Scenariusz przygotowany został w oparciu o archiwalne relacje uczestników wydarzeń z 1905 roku, a także fragmenty dokumentów z epoki i poetycką relację z rewolucji zawartą w "Kwiatach polskich" Tuwima. Całość okraszono tłem muzycznym z gitarą i werblami oraz organami i przedziwnymi samplami, co wobec monumentalnych treści przypominało muzykę anarcho-rewolucyjnego zespołu CRASS. O 19. przenieśliśmy się na skrzyżowanie ulic Rewolucji 1905 i Wschodniej. W inscenizacji wystąpił Krakowski Chór Rewolucyjny, grupa artystyczna OFF Harnam i aktorzy Teatru Nowego. Ci ostatni wcielili się w łódzki proletariat z 1905 roku. Zgromadzeni poczuli ducha i wznosili rewolucyjne okrzyki oraz śpiewali pieśni. Kilka setek młodych i starych w zalewie brunatnej zarazy toczącej dziś Łódź nie zapomniało o bohaterach-robotnikach. Przemarsz zaczął się u zbiegu ul. Wschodniej i Rewolucji 1905, gdzie rewolucjoniści wznieśli cztery barykady i stoczyli ciężkie walki ze służbami. Uczestnicy demonstracji przeszli ul. Piotrkowską przed Urząd Miasta Łodzi. Powiewały czerwone sztandary, a na transparentach można było przeczytać: „Niech żyje rewolucja!", „8-godzinny dzień pracy", „Zwiększenie pensji minimalnej!", „Wolność strajków".

Na ulicy Piotrkowskiej do pochodu dołączył łódzki polityk SLD, Dariusz Joński, w drogim garniturze i nażelowanych włosach, co z lewicowym przekazem klasy pracującej nie ma nic wspólnego. Dzisiejsza lewica parlamentarna, w wyścigu o apanaże zapomniała o swoich korzeniach, ścigając się z liberalną prawicą z POPiSu na konserwatywne dyrdymały i obietnice bez pokrycia.

Wesoły rozśpiewany pochód odwiedzał kolejne podwórka, a Krakowski Chór Rewolucyjny zagrzewał do boju. Przygotowano inscenizację symbolicznego szafotu dla człowieka pracy. Widowisko poruszało wiele aktualnych problemów. „Chcą ulg dla przedsiębiorców i więcej wolnego rynku"- zabrzmiała jedna z kwestii wygłoszonych na ul. Piotrkowskiej. Inna dotyczyła szukania kozła ofiarnego w postaci obcego: „To stara śpiewka - gdy kryzys zagląda do kraju, władza robi rozruchy i znajduje pożyteczną ciemnotę, która krzyczy, że prawdziwym złem jest obcy, Żyd. Że pogardliwie zwany „żydziak" jest winny biedy, a nie władza czy wyzysk". Dziś wina spada na emigrantów, „bo zabiorą pracę", lub „będą żyli na socjalu".

Okres socjalizmu w Polsce był czasem odbudowy kraju z wojennych zgliszcz oraz kultu robotnika, jako herosa w drodze do świętości partii komunistycznej. Praca ponad normę tworzyła nowych czerwonych świętych, którzy zawiśli na sztandarach i ikonach. Czas ten nie został do końca zmarnowany, był czasem ogromnych sukcesów naszego kraju w dziedzinie gospodarki, kultury i sztuki, ale też wpędził społeczeństwo w szarość i beznadzieję prymitywizmu bloku wschodniego. Każdy tamte lata widzi inaczej. Polska była w bloku państw na orbicie ZSRR i nie mogła samodzielnie myśleć i oddychać. Nie było zasobnie, ale nie było biednie. Dziś każdy z nas z osobna buduje swoje własne szczęście zgodnie z kanonami nowego ładu i kultury obrazkowej oraz portali społecznościowych (będących tylko z nazwy takimi). Współczesna bezideowa masa nie byłaby w stanie poświęcić siebie i swojego czasu dla bliskich. Nuda, konsumpcjonizm i niechęć do zmian solidarność międzyludzką zepchnęła na dno szafy. Oto oświecona rzeczywistość.

W rozdawanej gazetce „Łodziance" organizatorzy podkreślali, iż historia nauczyła nas, że pewne procesy społeczne mogą się powtórzyć nawet po upływie stu lat. „Uczy, że prawa człowieka ani prawa pracownicze nie są dane raz na zawsze, choć wiele pokoleń walczyło o nie, często przelewając krew" - przestrzegali.

Niestety z roku na rok historia pokazuje, że globalny kapitalizm znów z butami chce zgnieść i - tym razem zastępując ich robotami - pozbyć się ludzi pracy. Tak wczoraj, jak i dziś, kapitalistyczni krwiopijcy robią Wszystko dla Zysku!!!

Jarek vel Roman Boryczko

NIE PODOBA CI SIĘ PAŃSTWO? ZAŁÓŻ WŁASNE!

Na pomysł napisania tego artykułu wpadłem dzięki Programowi III Polskiego Radia. Z zaciekawieniem wysłuchałem reportażu o najsłynniejszym na świecie tzw. micronation. Mowa o Sealand, powstałym u wybrzeży Anglii. Ze względu na ograniczenia papierowe oraz by nie przynudzać zbytnio, postanowiłem opisać trzy, moim zdaniem, najciekawsze mikronacje.

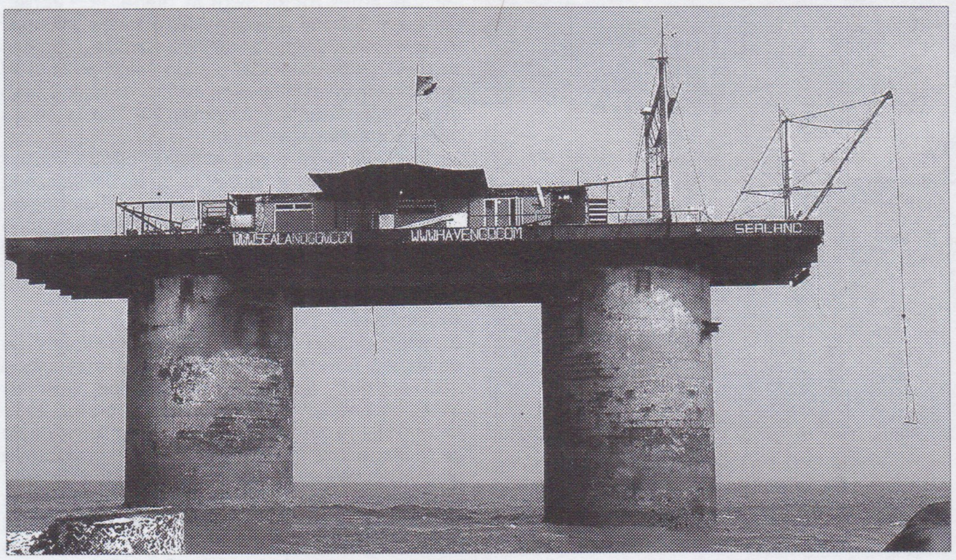

Według Wikipedii, mikronacja (ang. micronation) to niewielkie terytorium, które deklaruje niepodległość, lecz nie jest uznawane na arenie międzynarodowej. Mikronacje nie są elementem międzynarodowej polityki (choć część z nich do tego aspiruje), jak to ma miejsce w przypadku np. Cypru Północnego czy Somalilandu, a ich istnienie wynika w głównej mierze z ich ignorowania lub traktowania, jako swoistego folkloru przez władze poszczególnych państw.

Przykłady mikronacji, jakie dla was wybrałem, odpowiadają w 100% wyżej podanej definicji.

Zacznijmy od już wymienionego Sealandu. Historia powstania tej mikronacji (choć twórcy-założyciele określają Sealand państwem) jest ściśle związana z osobą Roya Batesa. Był on majorem brytyjskiej armii w czasie II Wojny Światowej. Po jej zakończeniu imał się różnych zajęć: prowadził hurtownię mięsa, czy też flotyllę łodzi rybackich. W 1965 roku wpadł na pomysł założenia komercyjnej stacji radiowej, aczkolwiek pirackiej. Radio Essex zaczęło działać w 1965 roku, z platformy leżącej 3 mile od wybrzeży hrabstwa Essex, na wodach terytorialnych Wielkiej Brytanii. Była to pierwsza stacja piracka nadająca przez całą dobę. Reakcja władz była natychmiastowa. Sąd skazał Roba na 100 funtów kary oraz nakazał demontaż pirackiego nadajnika. To niepowodzenie nie zraziło Anglika. Postanowił poszukać innej platformy, która leżałaby już na wodach międzynarodowych. Wybór padł na platformę Rough Tower, leżącą 6 mil od wybrzeży Wielkiej Brytanii, czyli już na wodach międzynarodowych, a tak naprawdę nigdzie. Platformy takie jak Rough Tower Anglicy wybudowali w czasie II Wojny Światowej, w celu ochrony przed niemiecką inwazją. Spełniały więc funkcje obronne.

Rough Tower zajmuje powierzchnię 140x40 metrów i jest wsparta na dwóch wielkich filarach. W nich kryją się pomieszczenia magazynowe, generator prądu, pokoje dla załogi. W czasie wojny stacjonował tu garnizon złożony ze 140 żołnierzy. Zostały po nich zardzewiałe działka przeciwlotnicze. Cała reszta: generator prądu, meble, wyposażenie, została po wojnie wywieziona. Sama Rough Tower tkwiła bezużytecznie, opuszczona w morzu. Na taką oto platformę przeniósł się Bates i wówczas też wpadł na pomysł iście szatański: a może tak założyć własne państwo? Najlepiej zaś księstwo, by nikt w sposób demokratyczny, poprzez wybory, nie przejął władzy. I tak 2 września 1967 roku oficjalnie powstało księstwo Sealand (o powierzchni 550m2), z nadającym radiem. Księstwa nikt na świecie nie uznał. Jak Wielka Brytania zareagowała na samozwańcze księstwo? Rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych stwierdza oficjalnie, że czegoś takiego, jak Sealandia nie ma: Rząd Jej Królewskiej mości nie uznaje tego państwa, nie sądzimy, żeby ktokolwiek je uznawał.

Od czasu do czasu stosunki pomiędzy księstwem a Koroną ulegają zaostrzeniu. Do poważnego incydentu doszło, gdy do księstwa podpłynął brytyjski kuter straży przybrzeżnej. Z Sealandii oddano strzały ostrzegawcze – wszak kuter naruszył wody terytorialne! Kuter odpłynął, ale kiedy książę Roy Bates udał się po zakupy do sklepiku na stały ląd, czekała na niego policja. Zarzuty? Nielegalne posiadanie i użycie broni. Sprawa trafiła do sądu. 25 listopada 1968 roku sąd Jej Królewskiej Mości uniewinnił Roya Batesa, uznając, że nie może rozpatrzyć sprawy. Incydent wydarzył się poza terytorium Wielkiej Brytanii (sic!). W sumie każdy postawił na swoim. Książę Roy uważał, że niepodległość Sealandii została uznana. Wielka Brytania – wręcz przeciwnie. Żadna ze stron nie musiała swojego przekonania udowadniać.

Stosunki między obydwoma krajami układały się poprawnie aż do 1987 roku. Książę Roy deklarował patriotyzm, a kiedy w czasie wojny o Falklandy zgłosili się do niego Argentyńczycy z propozycją sojuszu przeciwko Wielkiej Brytanii, z oburzeniem odrzucił ofertę. Tak to przynajmniej opisywał.

Warunki mieszkaniowe w księstwie nie były luksusowe. Początkowo książę wraz małżonką (miss Anglii) mieszkali w ciemnościach, grzejąc wodę na maszynkach spirytusowych. Z czasem Sealandia zaczęła się cywilizować. „Przypłynęły" łóżka, krzesła, dywany. Sealandia była biednym państwem, więc meblowało się ją stopniowo. Wreszcie zaczęli przybywać i obywatele. Nieco hippisów skłóconych ze światem, ludzie szukający przygody, żądni wrażeń. Trochę bezrobotnych, którzy chcieli się gdzieś zaczepić, kilku prawników i biznesmenów wietrzących dobry interes.

W Sealandii w latach 70. zamieszkało kilkadziesiąt osób, a wszystkim panowała miłościwie para książęca, Joan i Roy. Prawdziwe państwo ma nie tylko władcę, ale i flagę, hymn oraz godło. Książę poważnie podszedł do sprawy. Sam zaprojektował barwy Sealandii, tj. czerń piracką, biel czystości i czerwień królewską. Znajomy księcia, Basil Simonenko, skomponował hymn „E Mare Libertas" (From the Sea, Freedom).

Żadne państwo nie może istnieć także bez pieniędzy. Książę Roy zamówił więc w mennicy dolary sealandzkie. Na awersie widnieje oczywiście profil księżnej Joan. Tak samo, jak na znaczkach pocztowych. Od 1975 roku księstwo ma konstytucję. Napisał ją premier, czyli niemiecki prawnik Alexander Achenbach. Konstytucja zawiera preambułę oraz siedem artykułów. Określa ona status księstwa, ustala role rządu oraz senatu, jako ciała doradczego. Sankcjonuje też sukcesję tronu (dziedziczną w linii męskiej), istnienie trybunału sądowego, zakazu posiadania broni na terenie księstwa, paszportów (nieuprawniających jednakże do międzynarodowych podróży). Współpraca premiera i księcia rozwijała się obiecująco. Obaj mieli ambitne plany przekształcenia Sealandu w drugie Monaco. Hotel dla bogatej klienteli, kasyno, jachty przybijające do platformy przywożące bogatych turystów... W 1978 roku doszło jednak do rozbieżności pomiędzy panami. Premier opuścił księstwo i udał się na emigrację. W tym samym roku doszło też do przewrotu i przejęcia księstwa przez grupę niemieckich i holenderskich biznesmenów. Książę wraz z żoną został wywabieni na spotkanie biznesowe poza księstwem. Na platformie został ich syn, notabene "Jego Książęca Mość, Książe Michael". Korzystając z nieobecności pary książęcej doszło do ataku na księstwo. Platformę zajęli najemnicy, którzy dokonali desantu z pokładu helikoptera. Młody książę został wywieziony do Holandii i wypuszczony w lesie pod Rotterdamem. Książę Roy po odnalezieniu syna zorganizował oddział zbrojny i odbił swoje księstwo. Wziął też do niewoli napastników i postąpił z nimi w taki sam sposób, w jaki postąpili z jego synem: zostali wywiezieni do lasu. W niewoli zostaje jeden z nich, który musiał odpracować swój niecny czyn bezterminowym czyszczeniem barierek. Był on mieszkańcem księstwa, a w sprawę jego uwolnienia zaangażował się niemiecki konsul rezydujący w Londynie. Po opłaceniu kary za zdradę, w wysokości zawrotnej sumy 23 tys. funtów, został uwolniony. Ciekawe jest stanowisko Wielkiej Brytanii, która odmówiła pośrednictwa w sporze powołując się na wyrok z 1968 roku: księstwo znajduje się na wodach międzynarodowych, a więc poza jurysdykcją

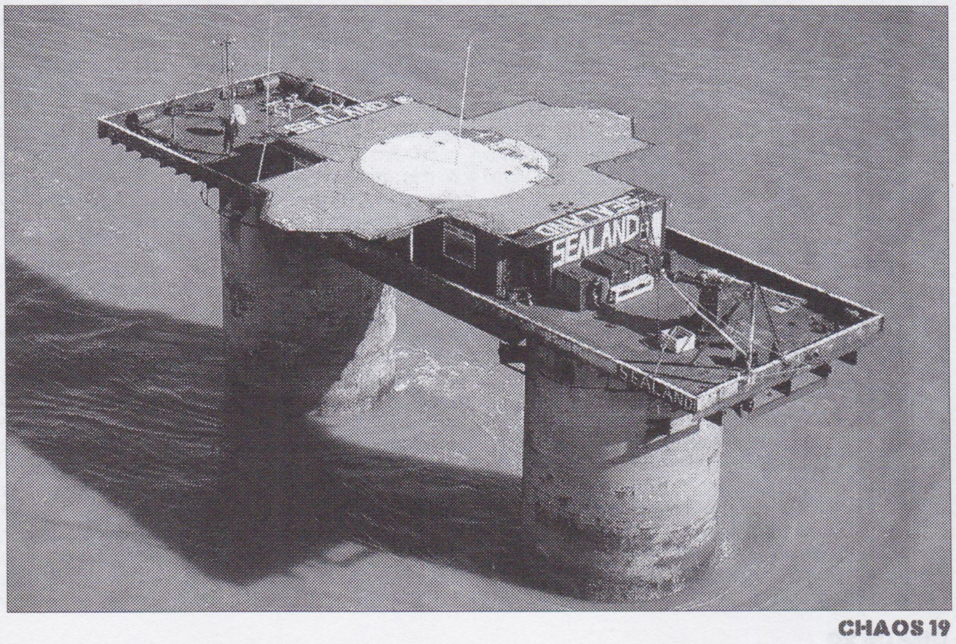

Wlk. Brytanii. Całe to zamieszanie było wywołane przez wspomnianego premiera, który nigdy nie pogodził się z utratą władzy. Zorganizował rząd na wychodźstwie Sealand Rebel Government, który to bije własną monetę, wydaje paszporty. Rząd SRG odwołał także księcia Roya, powołując na jego miejsce holenderskiego prawnika Adriana Oomena. Sam Alexander Achenbach pozostał na fotelu premiera do 1991 roku. Ta swoista dwuwładza w pewnym sensie stała się przyczyną upadku samego księstwa.

Realny kryzys w istnieniu samego księstwa nastąpił, kiedy Wielka Brytania zapowiedziała z dniem 1 października 1987 roku zwiększenie obszaru wód terytorialnych z 3 do 12 mil. Należy w tym miejscu zaznaczyć, iż 12 mil jest największą dopuszczalną szerokością morza terytorialnego i wysuwanie dalej idących roszczeń jest sprzeczne z prawem międzynarodowym. Dzień przed wprowadzeniem przez Wielką Brytanię 12-milowej strefy, książę Roy ogłosił dekret o 12-milowej strefie wód terytorialnych Sealandii. Z dniem 1 października 1987 Sealandia leżała już w obszarze brytyjskich wód terytorialnych. Patrząc zaś z drugiej strony, w obrębie wód Sealandii leżał ładny kawałek brytyjskiego nadbrzeża, kilka miasteczek i kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Książę Roy zapowiedział, że zrezygnuje z roszczeń terytorialnych, jeśli rząd Wlk. Brytanii pozostawi Sealand w „spokoju".

Darując sobie zawiłości prawa międzynarodowego, możemy stwierdzić, że status prawno-międzynarodowy Sealandii jest warunkowany, podobnie jak każdego innego państwa, istnieniem trzech elementów: terytorium, mieszkańców i władzy państwowej. Terytorium Sealandii stanowi platforma o wymiarach 40x140 m (rekord w księdze Guinnessa w kategorii najmniejszego państwa na świecie). Prawo międzynarodowe publiczne nie stanowi w tym zakresie żadnych minimalnych wymagań. Drugim elementem jest ludność – 140 mieszkańców. A ostatnim – suwerenna władza. Głową Sealandii jest książę, który z pomocą Rady Królewskiej dysponuje władzą ustawodawczą, rząd wykonuje władzę wykonawczą, zaś władzę sądowniczą sprawuje Sąd Najwyższy. Kompetencje organów państwa, a także prawa i obowiązki obywateli, uregulowane są w Konstytucji.

W stosunkach pomiędzy Wlk. Brytanią a Sealandią po roku 1987 nic się nie zmieniło. Kolejne potwierdzenie uznania suwerenności Sealandii ze strony Wielkiej Brytanii nastąpiło w 1990 roku. W tym to roku ponownie oddane zostały strzały ostrzegawcze wobec obcego statku. Załoga złożyła skargę do władz brytyjskich, która jednak nie została rozpatrzona. Oznaczało to w istocie, iż Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Wielkiej Brytanii nadal uznawało, że Sealandia leży poza zasięgiem ich kontroli. Ostatnie formalne stanowisko strony brytyjskiej odnośnie ewentualnej suwerenności Rough Tower ukazało się w 2004 roku, kiedy to doktor Eric Gilder z rumuńskiego uniwersytetu w Sibiu zwrócił się z zapytaniem o status platformy do Zarządu Instalacji Morskich Korony. W formalnym pisemnym oświadczeniu stwierdzono, iż według Territorial Sea Act z 1987, Wielka Brytania jest właścicielem dna, na którym spoczywa platforma. Jednakże nie interesuje Korony sama platforma, a kwestia ta pozostaje w gestii odpowiedniego ministerstwa, które twierdzi, iż platforma nie jest własnością Korony.

Klimat Sealandii był jednak zabójczy. Jeden po drugim znikali znajomi, którzy kiedyś postanowili się tu osiedlić. Wilgoć, wiatr, zimno. W latach 90. wyprowadziła się nawet księżna Joan zaatakowana przez reumatyzm. Zamieszkała w domku na wybrzeżu. Na Sealandii został tylko książę Roy. Przez całe miesiące samotnie mieszkał na morzu. Pilnował, żeby Sealandia znowu nie padła ofiarą kolejnego, podstępnego przejęcia.

Upadające księstwo w 1998 roku otrzymało propozycję nie do odrzucenia. Do księcia Michała, pełniącego funkcję księcia-regenta, zwrócił się Michael Hastings, właściciel firmy internetowej HavenCo. Zaproponował spółkę w zamian za ustawienie na Sealandii serwerów komputerowych. Dawał na początek 250 tys. dolarów. Inwestorzy z Doliny Krzemowej wyłożyli setki tysięcy funtów, żeby przekształcić Sealand w będący poza wszelką państwową kontrolą "raj internetowy". Pornografia dziecięca, spam i hacking były zabronione, ale na przechowywane na tamtejszych serwerach dane naruszające prawa autorskie i własności intelektualne nie nakładano już żadnych obostrzeń. Sealand miał się stać światowym centrum wymiany plików i innej nielegalnej działalności. Rodzina Batesów wykorzystała zastrzyk pieniędzy do wzmocnienia bezpieczeństwa swojego księstwa. Zamontowano nowe maszyny do odsalania i generatory prądu, ustanowiono szybkie łącze satelitarne, zainstalowano pracującą w paśmie mikrofalowym radiolinię, położono wiele kilometrów kabli. Za pozostałą część sumy książę Roy i księżna Joan kupili sobie willę w hiszpańskim Costa del Sol. Interes, początkowo złoty dla obu stron, z czasem zaczął podupadać. Z szerokiej listy inwestorów zaczęli wkruszać się kolejni klienci. Inwestorów odstraszało najpewniej to, że cała łączność internetowa z Sealandu przechodziła przez Wielką Brytanię oraz ciągle niezbyt jasny status międzynarodowy „platformowego państwa".

W międzyczasie niezbyt dobrą reputację księstwa nadwątliła afera paszportowa. Paszporty na lewo i prawo wydawało samo księstwo oraz rząd na uchodźstwie. Ich sprzedaż przynosiła duży zysk, zwłaszcza w ciągu pierwszych dwóch lat, kiedy to sprzedano 160 tysięcy sztuk, co przyniosło łączny zysk w wysokości 5700 dolarów. Sealandzkimi paszportami posługiwali się mafiosi z Bałkanów i Rosji, a także Andrew Cunanan - człowiek, który zabił słynnego projektanta mody Gianniego Versace (dochodzenie prowadziła hiszpańska policja, zbrodni dokonano w Madrycie). Któż nie chciałby być obywatelem najmniejszego państwa na świecie?

Do upadku księstwa przyczynił się wielki pożar platformy w czerwcu 2006 roku. Ogień strawił znaczną część sprzętu i instalacji w jednej z podpór. Szkody spowodowane przez pożar oszacowano na 1 mln USD (500 000 funtów). W 2008 roku firma HavenCo splajtowała, a do mediów trafiła informacja o wystawieniu Sealandu na sprzedaż przez księcia Michaela Batesa. Platformę wyceniono na 750 milionów euro. Na ofertę odpowiedział serwis The Pirate Bay, rozpoczynając publiczną zbiórkę pieniędzy na zakup platformy. Szwedzcy piraci zamierzali zainstalować tam serwery, z których bezpłatnie można byłoby udostępniać najnowsze filmy, gry i muzykę. Książę Michael Bates zbojkotował tę ofertę. Pod koniec pierwszej dekady nowego wieku książę Michael, któremu nie udało się zdobyć funduszy, opuścił Sealand i przeprowadził się do Leigh-on-Sea. W tym samym mieście swego końca doczekał jego ojciec, który zmarł 9 października 2012 roku w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat.

Sealand oficjalnie nadal istnieje. Posiada własną stronę w internecie, gdzie ostatnio umieszczono zdjęcie królewskiego potomka (www.sealandgov.org). Na platformie od czasu do czasu prowadzone są prace remontowe. Wydaje się jednak, że nie jest zamieszkała na stałe.

Akhzivland

Ze wschodniego wybrzeża Anglii przenieśmy się do Izraela. Tam znajduje się nie mniej fascynujące mikro państwo. Jest to chyba najbardziej niezwykły twór państwowy w tej części globu. Posiada flagę (z syreną), hymn (szum morza) oraz konstytucję (w której zadeklarowany jest wybór prezydenta przez jednoosobową elekcję). Akhzivland posiada również parlament, który powinien zbierać się wokół kuchennego stołu właściciela-założyciela (do niego jeszcze wrócimy). Powinien, choć nigdy, od czasu powstania „państwa" w 1971 roku, się nie zebrał. Teoretycznie państwo posiada też stanowisko premiera, lecz nie został on dotychczas wybrany.

Ojciec-założyciel, niejaki Eli Avivi, to (jak sam mówi o sobie) najdłużej utrzymujący się na tym stanowisku prezydent w tej części świata, który przeżył zamach na swoje życie i stawiający ciągły opór państwu Izrael. Izrael do dziś nie uznaje Akhzivlandu. Aczkolwiek pewny rodzaj współistnienia i relacji pomiędzy oboma podmiotami istnieje.

Prezydent przyszłego państwa urodził się w Syrii, z której w wieku 2 lat przeniósł się wraz z rodzicami

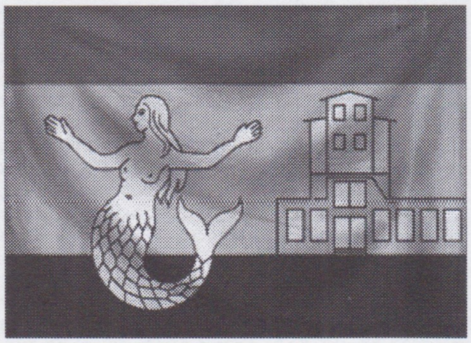

do Izraela, będącego wówczas Palestyną pod protektoratem brytyjskim. Jako młodzieniec był zaangażowany w działalność żydowskiego ruchu oporu. Szmuglował osadników żydowskich do Palestyny. Brał też udział wojnie o niepodległość Izraela w 1948 roku. Po wojnie był rybakiem i z powodzeniem żeglował po wszystkich oceanach i morzach świata. W 1952 roku Eli Avivi trafił do opuszczonej arabskiej wioski Az Zazib, zajętej w czasie wojny 1948 roku przez wojska izraelskie. Wioska położona jest we wschodniej Galilei, tuż nad granicą z Libanem, 5 km na północ od miejscowości Nahariya. Miejsce to tak mu się spodobało, że postanowił się tam osiedlić. Az Zazib, a od 1948 roku Achziv, okazało się archeologiczną atrakcją. W okresie epoki brązu był to znaczący port, pamiętający też osadnictwo fenickie. Od momentu osiedlenia się w Az Zazib życie rybaka nabrało rumieńców. Ciągle łowiąc ryby, został fotografem amatorem, specjalizującym się w aktach młodych kobiet. Nietypowa osoba, mieszkająca w dość nietypowym miejscu, szybko została nie tylko lokalną atrakcją. Do wioski zaczęli ściągać głównie młodzi, chcący się zabawić, pograć na gitarach, zapalić jakieś zioło. Błyskawicznie wioska zyskała sławę bliskowschodniego hipisowskiego raju. Ten nadmorski raj odwiedzali też ówcześni aktorzy i celebryci jak np. Paul Neuman czy Sophia Loren. Oczywiście ci nietypowi goście stanowili główne źródło przychodów Aviviego.

Taka nietypowa atrakcja turystyczna, z nie mniej nietypową rosnącą sławą, szybko zwróciła

uwagę państwa Izrael. W 1963 roku wysłane przez władze państwowe buldożery zburzyły antyczne pozostałości wokół budynków zamieszkałych przez Aviviego i jego żonę. Oficjalnym powodem podanym przez władze państwowe był plan stworzenia narodowego parku na terenie wioski. Władzom nie przeszkadzał fakt, że był to akt historycznego wandalizmu (terroryzm państwowy). Po okresie kilkuletniego, względnego spokoju, Izrael postanowił zmusić Aviviego do ostatecznego porzucenia wioski. W ciągu jednej nocy Izraelczycy wznieśli mur, oddzielając budynki zamieszkałe przez Aviviego od plaży. Ten złośliwy akt stał się kroplą przelewającą czarę goryczy. W ramach protestu Avivi wraz z żoną podarli swoje izraelskie paszporty i w 1971 ogłosili powstanie państwa Akhzivland. W odpowiedzi Izrael zaaresztował Aviviego pod zarzutem „utworzenia państwa bez zezwolenia", lecz zwolnił go z aresztu już po kilku dniach. Prezydent nowego państwa pozwał Izrael. Końskim targiem obie strony wypracowały salomonowe porozumienie: Izrael zgodził się na przekazanie Aviviemu w 99-letnią dzierżawę terenu wioski, na której powstało nowe państwo. Jednocześnie Izrael neguje istnienie jakiegokolwiek państwa na tym terenie. Stan ten utrzymuje się do dzisiaj.

Akhzivland jest państwem-mikronacją o powierzchni 3,5 akrów i liczy dosłownie dwójkę mieszkańców (Avivi wraz z żoną). Wpływy państwu dostarcza turystyka. Siły obronne stanowią, jak o określił założyciel: fani z całego świata oraz prawdziwi przyjaciele. Do wzrostu popularności nowego państewka przyczyniła się też nieudana próba porwania prezydenta Avivego (wybrany jednogłośnie przez siebie samego w jednoosobowej elekcji, żona zrezygnowała z udziału w elekcji) przez bojówkę Fatah-u. Terroryści wykazali się nadzwyczajną indolencją. Na paradoks zakrawa fakt, że parę prezydencką bronią oddziały izraelskie. Prezydent wie też, jak podtrzymać dobrą publicity. W 1972 roku zorganizował lokalny Woodstock, przyczyniając się do paraliżu okolicy przez przyjezdnych festiwalowiczów. Pomimo szorstkiej koegzystencji z państwem Izrael, w czasie inwazji wojsk izraelskich na południowy Liban, prezydent Avivi zgodził się na otwarcie przestrzeni powietrznej dla przelatujących samolotów izraelskich. Reakcji państwa Izrael na taki akt jednostronnej przyjaźni nie odnotowano.

Do ciekawostek potwierdzających pewną współpracę między oboma państwami należy kwestia muzeum. Powstałe na terenie wioski i założone przez prezydenta muzeum posiada antyczne eksponaty wykopane i wyłowione u wybrzeży wioski przez samego prezydenta. Oficjalnie prawo do nich zgłasza Izraelskie Ministerstwo Dziedzictwa Kulturowego, które w drodze wyjątku zgadza się na ich dzierżawę przez prezydenta Aviviego.

Jak twierdzi prezydent Avivi, państwo Akziviand to on. Jednak po jego śmierci to żona ma prawo zadecydowania, co dalej...

Liberland

Ostatnią i najmłodszą mikronacją jest Liberland. Powstanie Wolnej Republiki Liberland ogłoszono 13 kwietnia 2015. Założycielami tego niezwykłego państwa są obywatele Republiki Czeskiej, na czele z 31-letnim Vitem Jedlicką. Jedlicka jest politykiem czeskiej konserwatywno-liberalnej Partii Wolnych Obywateli, która w ostatnich wyborach do Europarlamentu zdobyła jeden mandat i zadeklarowała współpracę z Kongresem Nowej Prawicy. Jest także libertarianinem, który chce rozszerzać swobody obywatelskie i minimalizować wpływ państwa na obywateli. Na takich wartościach ma być zbudowany Liberland. Jedlicka został pierwszym prezydentem Wolnej Republiki. „Państwo" zostało zlokalizowane na zachód od Dunaju, w pobliżu miast Zmajevac w Chorwacji i Baczki Monostor w Serbii. Ten rejon, o powierzchni 7 km2, na mapach jest często oznaczany jako "Gornja Siga". Co ciekawe, założyciele Liberlandu twierdzą, że powstał on w całkowitej zgodzie z prawem międzynarodowym, bo zajmuje teren uważany za tzw. ziemię niczyją, czyli nienależącą ani do Chorwacji, ani do Serbii. To ziemia niczyja - terra nullius - jak określają takie terytoria konwencje międzynarodowe. Dlatego mieliśmy prawo ustanowić tutaj państwo. Oczywiście ani Serbia, ani Chorwacja nie uznały Liberlandu. Wbrew temu, co twierdzą założyciele na czele z Jedlicką, teren, który jest punktem sporu granicznego między Serbią i Chorwacją, jest regularnie patrolowany przez chorwacką Służbę Graniczną. Dziennikarze czeskiej telewizji, którzy próbowali odwiedzić terytorium nowego państwa, zostali przez Chorwatów po prostu zatrzymani. Jak ustalili, na terytorium republiki znajduje się jeden zniszczony budynek. Sam prezydent Jedlicka pozostaje cały czas w Czechach, czekając na ustanowienie konstytucji i osiedlenie się pierwszych mieszkańców. Po wizycie dziennikarzy mówi się już coraz głośniej o mistyfikacji dokonanej przez prezydenta (dla promocji własnej osoby?), a samo państwo określane zostaje w mediach, jako fake state – udawane państwo. Jeżeli nawet poniekąd tak jest, to można odnieść wrażenie, że nad całym konceptem tego państwa unosi się czeski humor. Jedlicka bawi się dobrze, a może rzeczywiście wierzy, że jego państwo zostanie w końcu uznane na arenie międzynarodowej? Udziela ochoczo wywiadów, głównie mediom czeskim, i trochę wykorzystuje swoje 5 minut. Zapowiada, że Liberland ma być republiką z elementami demokracji bezpośredniej. W planach jest uchwalenie konstytucji wzorowanej na szwajcarskiej. Władzę wykonawczą w Liberlandzie będzie sprawował dziesięcioosobowy rząd. Przyszłe wybory przeprowadzane będę drogą elektroniczną, a oficjalną kryptowalutą państwa będzie BitCoin. Zupełną nowością ma być konstytucyjny zakaz zaciągania długu publicznego. Mottem obowiązującym w państwie jest hasło „Żyj i daj żyć innym". Na stronie internetowej prezydent ogłosił nabór na obywateli Liberlandu. Szansę na obywatelstwo mają ludzie, którzy szanują innych i ich opinie bez względu na rasę, pochodzenie, orientację seksualną i religię, a także uważają, że własność prywatna to rzecz nietykalna. Negatywnie zostaną rozpatrzone wnioski od osób karanych, a także nazistów, komunistów i innych ekstremistów. W ciągu trzech dni od proklamowania Liberlandu, internetowe wnioski o nadanie obywatelstwa wysłało prawie 19 tys. ludzi ze 184 państw. Na dzień dzisiejszy wydaje się, że Liberland to raczej jeden wielki happening. Życie w tym nowym państwie toczy się głównie na jego stronie internetowej. Pisząc ten artykuł nie znalazłem żadnej informacji o osadnikach, którzy wprowadziliby się na terytorium nowego państwa. Prezydent dalej mieszka na terytorium Czech, udziela wywiadów. Choć swoje pięć minut Liberland wraz obrotnym prezydentem wydaje się mieć za sobą...

Temat mikronacji jest tematem rozwojowym. W interenecie można znaleźć długą listę starych i nowopowstałych mikronacji na świecie. Z racji ograniczeń zina wspomniałem tylko o trzech z nich. Tym, których zaciekawił ten temat, polecam książkę „Poza Mapą" Alastaira Bonneta oraz listę internetowych adresów mikronacji wspomnianych i niewspomnianych w artykule.

Trawestując powiedzenie śp. Jacka Kuronia o „niepaleniu Komitetów Partyjnych przez robotników, a zakładaniu własnych": jeśli nie podoba ci się państwo, którego jesteś obywatelem, po prostu załóż własne, lepsze, sprawiedliwsze. Po prostu twoje... Trzeba tylko mieć sporą wyobraźnię, odwagę i dużą dawkę szaleństwa. O terytorium nie musisz się martwić. Jakiś skrawek wolnego terytorium zawsze się znajdzie.

Gruha

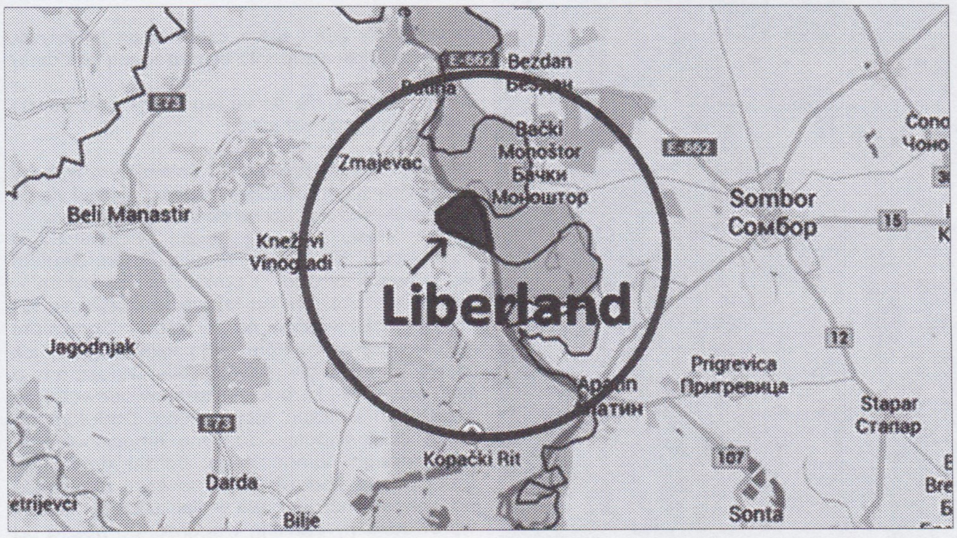

Lista adresów internetowych mikornacji:
http://www.sealandgov.org
https://liberland.org
http://pechkin.rinet.ru/vera/
http://www.hutt-river-province.com/
http://principalityofseborga.org/
http://www.greenland.com/en/about-greenland/culture-spirit/history/the-viking-period/erik-the-red/
http://www.grandduchy.org/

VEGE INICJATYWA - BIELSKO-BIAŁA

Czasem spotykam się z pytaniami, czy ten cały hardcore/punk, tak naprawdę cokolwiek kiedykolwiek zmienił; w jakiś sposób wpłynął przynajmniej na lokalną społeczność. Nie wiem, kochani, jak to wygląda u was, ale w moim, niedużym przecież, mieście, ludzie związani ze sceną niezależną działają w Klubie „GAJA", „Fundacji Pozytywnych Zmian", „ARCE", „Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot" i jeszcze kilku innych organizacjach społecznych. Jest wreszcie VEGE INICJATYWA, która także jest osadzona właśnie w tym hc/punkowym środowisku. Można by nawet napisać, że to właśnie ludzie z tego środowiska powołali ją do życia. W tym numerze pozwolę sobie przybliżyć wam właśnie tę załogę. Na moje pytania odpowiada Alicja. Życzę przyjemnej lektury! Tomek

CHAOS: Kiedy powstała i czym zajmuje się Vege Inicjatywa?

Alicja: Około pięć lat temu skrzyknęliśmy się z grupą znajomych, która chciała działać. Przez pierwsze dwa lata działaliśmy zupełnie nieformalnie, a obecnie jesteśmy stowarzyszeniem.

Vege Inicjatywa, na ten moment, zajmuje się promocją weganizmu poprzez m.in. organizację wszelkiego rodzaju eventów jedzeniowych.

Zauważyliśmy, że te przyciągają znacznie więcej osób niż takie czysto propagandowe akcje typu projekcje filmów lub też happeningi tematyczne. Organizujemy „Kuchnię Społeczną". Organizujmy, na terenie Śląska, akcję „Wege Tu", gdzie staramy się wprowadzać różne alternatywy wegańskie do zwykłych restauracji. Zajmujemy się również pokazami gotowania. Od jakiegoś czasu działamy także edukacyjnie. W minionym roku szkolnym prowadziliśmy zajęcia w szkołach na temat chowu przemysłowego. Generalnie więc weganizm i prawa zwierząt to jest obszar naszego zainteresowania. W Bielsku- Białej widzimy jednak taką tendencję, że promocja praw zwierząt wychodzi nam najlepiej poprzez promocję kuchni wegańskiej.

CHAOS: Przez żołądek do serca?

Alicja: Tak, tak, dokładnie. Taka forma nam się bardziej sprawdza, niż wcześniejsze działania.

CHAOS: O ile wegetarianizm oswoił się społecznie, to weganizm ciągle jest postrzegany jako dieta, której się nie ufa. Jak wy jesteście odbierani?

Alicja: Myślę, że w takim Bielsku-Białej obecnie wygląda to inaczej. Panuje pewnego rodzaju moda na weganizm. Gdy jednak zaczynaliśmy, to w naszej okolicy tych wegan można było na placach jednej ręki policzyć. W knajpach nie było mowy o tym, aby można było kupić coś wegańskiego, bal, nawet wegetarianie mieli z tym trudności. Obecnie sytuacja się zmieniła, bardzo zmieniła. Mamy w Bielsku-Białej aż trzy, całkiem dobrze sobie radzące, stricte wegańskie restauracje. Weganizm bezapelacyjnie stał się częścią lokalnej społeczności. Jest zauważalny, akceptowalny i nie jest już spychany na margines. Nie budzi szoku, a ilość wegan, jak wynika z naszych obserwacji, jest coraz większa. Nawet dzieciaki w szkole, bez większego problemu, rozpoznają różnicę pomiędzy weganinem a wegetarianinem.

CHAOS: Skąd u ciebie zainteresowanie prawami zwierząt oraz weganizmem?

Alicja: Wiesz, mam takie wrażenie, że ja zawsze byłam takim pro-zwierzęcym świrem. Tylko fakt, iż byłam na utrzymaniu rodziców powodował, że nie przyprowadzałam do domu wszystkich napotkanych bezdomnych psów i kotów. Kiedy jednak zaczęłam być niezależna i sama zarabiać, to tych bezdomnych zwierząt w moim domu zaczęło przybywać. Później trafiłam do takiej grupy o nazwie „Green Angels", która przez pewien czas działała w Bielsku-Białej. To oni mnie, wtedy wegetariankę, uświadomili, czym jest weganizm. Wtedy też, a było to około dziewięciu lat temu, uznałam, że muszę również działać na rzecz hodowlanych zwierząt. Zmieniłam dietę na wegańską, zaczęłam organizować pierwsze akcje.

CHAOS: Ty, jak i spora część Vege Inicjatywy, jesteście także związani z bielską sceną hardcore/ punk.

Alicja: Hehehe, nie da się tego ukryć i na pewno nie ma się czego wstydzić.

CHAOS: Czy ten przekaz pro animalistyczny, który w mniejszym lub większym stopniu pojawiał się na tej scenie miał również na ciebie wpływ?

Alicja: Wiesz, ja w tę scenę wsiąknęłam w momencie, kiedy już mocno interesowałam się prawami zwierząt. I powiem ci, że byłam w poważnym szoku, że na tej scenie kładzie się tak duży nacisk właśnie na te sprawy. Spotkałam nagle masę osób, które mają takie poglądy jak ja na temat praw zwierząt. Nie wiedziałam o tym wcześniej. To środowisko spowodowało, że przestałam się czuć osamotniona. Dostałam od niego dużo wsparcia zarówno emocjonalnego, jak i takiego namacalnego. Bardzo dobrze się czuję w tym środowisku. W pewnym momencie na koncerty hc/punkowe w Bielsku-Białej i okolicy wprowadziliśmy catering wegański, co zresztą do

dnia dzisiejszego, jest taką pewną tradycją. Zawsze jesteśmy mile widziani na tego typu imprezach i to nawet wtedy, kiedy ich organizatorzy nie są weganami, czy czasem nawet wegetarianami. Tak, myślę, że to środowisko bardzo mnie wzmocniło w pewnych moich obecnych postawach, wartościach, moim stylu życia i mojej aktywności społecznej.

CHAOS: Rozumiem, że to nie scena niezależna była dla ciebie inspiracją do działalności pro animalistycznej, ale stała się i jest obecnie wsparciem w tej aktywności?
Alicja: Tak, zdecydowanie. Na bazie tych wszystkich zawartych na koncertach znajomości, tych przeprowadzonych rozmów, tych spotkań, kiedy sprzedawaliśmy wegańskie jedzenie, wyrosła w sumie cała idea Vege Inicjatywy. Powiedzmy sobie uczciwie, że trzon tej grupy stanowią ludzie związani bardzo mocno ze sceną niezależną w naszym mieście.

CHAOS: Ile to jest osób?
Alicja: W stowarzyszeniu jest nas dwadzieścioro, natomiast tak aktywnie działa około dziesięciu osób.

CHAOS: Wspominałaś o wegańskich cateringach. Czy twoim zdaniem, poza faktem, iż można dobrze zjeść, jest zauważalna pewna refleksja wśród załogantów na temat tego, co jedzą, skąd to jedzenie pochodzi?
Alicja: Wiesz, powiem uczciwie, że na początku miałam wrażenie, iż to zainteresowanie było znacznie większe. Teraz czasem odnoszę wrażenie, że to jest raczej okazja do zjedzenia czegoś smacznego. Może to jednak wynikać z prostego faktu, że to środowisko zwyczajnie jest bardzo świadome. To nie są zazwyczaj osoby, które nigdy jakoś specjalnie nie interesowały się tym, co jedzą. Z tego też względu staram się przebijać z takimi pokazami kuchni wegańskiej również na innych, bardziej masowych imprezach. Byliśmy przykładowo na targach ogrodniczych organizowanych przez jedną z tutejszych szkół i wtedy to zainteresowanie okazało się być bardzo duże. To zresztą ma większy sens edukacyjny, bo edukowanie scenersów to takie trochę uczenie już nauczonych, rozumiejących, wiedzących.

CHAOS: Jak wy jesteście odbierani na tych imprezach, które są zdominowane przez osoby mniej świadome tego, czym jest weganizm?
Alicja: Generalnie to idea była taka, aby od początku właśnie do takich ludzi trafiać, a nie do osób, które mają jakąś tam wiedzę, swoje zasady i za nimi podążają. Zależy nam po prostu, aby tym zwykłym ludziom pokazywać alternatywę, inny sposób patrzenia na zwierzęta. Powiem ci, że w większości sytuacji, kiedy robimy akcje poczęstunkowe, edukacyjne, odbiera się nas bardzo pozytywnie. Kiedy jednak robimy akcje uliczne typu przykładowo „Cyrk bez zwierząt", gdzie krzyczymy przez megafony, jesteśmy bardziej radykalni, to te reakcje są już bardzo różne. Wydaje mi się, że zależy z jakiej perspektywy się ustawiamy do społeczeństwa. Walka o prawa zwierząt jest dużo trudniejsza. O ile jeszcze w temacie futer i cyrków mamy trochę tych zwolenników na ulicy i słyszymy sporo głosów wsparcia, to jak mówimy o zwierzach hodowlanych, jest trudniej. To już jest dla przeciętnych Kowalskich trochę za dużo. Zdarzają się naprawdę ciężkie epitety, nieprzyjemne sytuacje.

CHAOS: Zdarzały się, podczas takich akcji, ataki na was?
Alicja: Oczywiście, że tak. Robiliśmy kiedyś akcje w "Dzień Ryby". Ta niefortunnie wypada 20 grudnia, czyli kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Wszędzie więc stoją stragany, gdzie są zabijane karpie. My staliśmy właśnie naprzeciwko takiego stoiska. Nie wiem, czy widziałeś, ale do netu trafił filmik, gdzie prowadzę dość trudną dyskusję z chłopakami z Młodzieży Wszechpolskiej. Cała ta akcja nie była oczywiście jakoś groźna pod względem fizycznym, mimo tego, że tych typów było więcej. Sytuacja była jednak trudna emocjonalnie, bo chłopcy mieli już z góry ustaloną opinię na nasz temat.

CHAOS: Czyli ataki fizyczne wobec was się jeszcze nie zdarzyły?
Alicja: Raz, przy okazji akcji pod cyrkiem „Korona", mieliśmy taką sytuację, kiedy jeden z pracowników zachowywał się wobec nas agresywnie. Poleciało trochę wulgaryzmów, ale w sumie do takiej ostrej konfrontacji fizycznej, na szczęście, nie doszło. Wiesz, my nie robimy takich akcji typu „Otwarty ratunek" czy też akcji bezpośrednich, więc siłą rzeczy nie jesteśmy aż tak bardzo zagrożeni fizycznym atakiem.

CHAOS: Wrócę jeszcze do tej historii z typami z Młodzieży Wszechpolskiej. Bo zastanawiam się na ile skutecznie może się przebić taki przekaz do tego, jak go nazwałaś, „zwykłego Kowalskiego" aby nie jadł on ryb w święta?
Alicja: Tak, to jak na nasze warunki krajowe, dla przeciętnego obywatela Polski, jest to przekaz bardzo radykalny. I ci kolesie z Młodzieży Wszechpolskiej chcieli ten fakt wykorzystać, zdobywając trochę punktów, bo przecież oni bronią tradycji itd. Powiem ci, że od tego czasu, od tego spotkania, stwierdziliśmy, że podejmujemy temat w ciągu całego roku, ale nie robimy tej akcji zaraz przed świętami. Ja po prostu myślę, że ludzie są bardzo chłonni na nasz przekaz, nawet ten sam, co tego 20 grudnia, ale w innych okolicznościach, innym czasie. Jeśli bezpośrednio nie uderza on w tradycję, która w tym kraju jest święta i której nie można ruszać. Od tego momentu nie robimy już tych akcji w tym terminie. I to nie z uwagi, że boimy się jakichś tam nacjonalistów, czy też nie potrafimy dyskutować na ulicy, bo z tym sobie doskonale radzimy, ale bardziej nam chodzi o to, aby nasz przekaz był akceptowalny, strawny i wreszcie skuteczny. Jeśli natomiast ktoś nas ocenia jako bandę freaków, która żąda zmiany właśnie w tym przeświętym momencie, to od razu ten temat odrzuca. Obecnie bardziej zależy nam na skuteczności niż na konfrontacji, choć tej drugiej także się nie boimy.

CHAOS: Prowadzicie warsztaty w szkołach, czy konspekty sami przygotowujecie?
Alicja: Wszystkie prowadzone przez nas zajęcia są autorskie. W tym roku planujemy tylko prelekcje w gimnazjach i liceach.

CHAOS: Jak jesteście przyjmowani?
Alicja: Powiem ci, że dostaliśmy się do tych szkół wykorzystując nasze prywatne kontakty, znajomości z nauczycielami, którzy dodatkowo są zaangażowani w różne działania. Są takimi aktywistami. Oni nas znali i w zasadzie jeszcze przed rozpoczęciem warsztatów darzyli nas sporym zaufaniem. Potem ruszyło to trochę na zasadzie tańcuszka. Inni nauczyciele zauważyli, że nie pierzemy dzieciakom mózgów, że to, co mówimy ma sens i także zaczęli nas zapraszać. Kiedy natomiast próbowaliśmy wejść do szkoły zupełnie z zewnątrz, nie mając żadnych „pleców", a chcąc robić warsztaty dotyczące chowu przemysłowego, zostaliśmy odprawieni z kwitkiem. Nie wyrażono zgody na naszą obecność. Stwierdzono, że po takich warsztatach dzieciaki przestaną jeść mięso, a to jest dla nich niebezpieczne. Nie dano nam szans na zaprezentowanie naszego punktu widzenia.

Dzieci natomiast bardzo pozytywnie reagują na to jak mówi się do nich o zwierzętach. Zdają sobie sprawę z tego, że krowy, kury, czy świnie czują dokładnie tak samo jak zwierzęta domowe. My natomiast na to kładziemy główny nacisk, aby im pokazać ten link, że jak mają w domu psy, czy koty, to w ten sposób mogą popatrzeć na wszystkie zwierzęta. Na to, co one czują. Pokazujemy im sporo filmów i zdjęć, aby pobudzić ich wyobraźnię. Nie są to jednak obrazy drastyczne. Bardziej zależy nam tym, aby pobudzić ich wyobraźnię. Po takich zajęciach nie zdarzyło się, aby były do nas jakiekolwiek pretensje ze strony uczniów, czy nauczycieli. Ba, zdarzają się natomiast nauczyciele,

którzy dziękują nam za zajęcia. Podkreślają, że wniosły one także coś wartościowego w ich życie.

CHAOS: To jest jakiś kierunek?
Alicja: Tak, to jest dla nas cenna informacja zwrotna, którą bardzo często dają nam pedagodzy i uczniowie.

CHAOS: Opowiedz mi proszę czym są i jaki jest cel „Kuchni Społecznych"?
Alicja: W którymś momencie naszej rozmowy wspomnieliśmy o tym, że w naszym mieście było sporo tych wegan, ale oni się nawzajem nie znali. Żyli gdzieś tam obok siebie. Celem kuchni społecznych jest właśnie zintegrowanie tych ludzi, ale nie tylko. Chcemy przede wszystkim stworzyć comiesięczne wydarzenie dla osób ciekawych diety roślinnej, które chcą jej spróbować. Kuchnia odbywa się systematycznie i za każdym razem pojawiają się na niej nieznane nam osoby, nieraz mięsożerne, czy dopiero zaczynające swoją przygodę z wegetarianizmem. Oczywiście chcemy im pokazać, że weganizm jest smaczny i różnorodny, ale również to, że wegetarian i wegan nie jest mało; że możemy razem działać, coś wspólnie organizować, a przynajmniej nawzajem się wspierać. To jest taka platforma do spotkań integracyjnych zarówno dla nas, jak i dla osób chcących nas poznać. My w Bielsku-Białej robimy kuchnie społeczną od około dwóch lat. Polega ona na tym, że ludzie przygotowują wegańskie jedzonko, przynoszą je na spotkanie i dzielą się nim z innymi. Każdy coś tam przynosi, a później wszyscy, ze wspólnego stołu, częstujemy się tymi naszymi wytworami. Jeśli ktoś akurat z jakichś powodów nie może przygotować posiłku, to po prostu wpłaca jakąś tam kwotę i także może się częstować. Generalnie jemy wspólnie, rozmawiamy o jedzeniu, ale także staramy się przemycić za każdym razem trochę ideologii. Są więc spotkania z dietetykami, jest jakaś projekcja, są spotkania z weganami sportowcami.

CHAOS: Właśnie to jest ciekawy wątek, bo żyjemy w czasach kultu białka. Jak to się ma do weganizmu? Jest taki obiegowy stereotyp, że weganie są bardzo szczupli, a przecież modne są duże muskuły.
Alicja: Właśnie między innymi ten stereotyp chcemy burzyć. Zresztą nie tylko my, bo sporo organizacji się tym zajmuje. Jest nawet taka fajna strona http://veganworkout.org.pl prowadzona przez naszego kolegę z Warszawy, Emila Stanisławskiego, i mogę cię zapewnić, że nie wygląda on jak chucherko. Mimo tego, że jest weganinem, to jest naprawdę konkretnie dopakowany, ćwiczy sporty siłowe i odnosi na tym polu spore sukcesy. Chcemy zresztą zrobić w przyszłości więcej spotkań ze sportowcami weganami. Jest także kilku dietetyków wegańskich. Jeden z nich, Damian Parol, sam zresztą od wielu lat ostro trenuje. Jest masa sportowców, która zrezygnowała z jedzenia mięsa i mają naprawdę konkretne osiągnięcia. Są wśród nich także strongmani, jak przykładowo Patryk Baboumian z Niemiec. Popatrz, najbardziej umięśnione zwierzęta na świecie, czyli goryle, żywią się tylko roślinami.

CHAOS: Pamiętam, że jako Vege Inicjatywa próbowaliście także organizować całodobową opiekę weterynaryjną dla dzikich zwierząt?
Alicja: Tak, podjęliśmy takie działania, ponieważ kilkakrotnie znaleźliśmy potrącone dzikie zwierzę i nie bardzo wiedzieliśmy, co z tym faktem dalej zrobić. W przypadku potrąconego lisa, po obdzwonieniu wszystkich możliwych instytucji, tak naprawdę zostaliśmy z niczym. To nas bardzo zdenerwowało. Bo wiesz, jeśli chodzi o zwierzęta domowe to ze znalezieniem takiej pomocy nie ma większych problemów, ale dzikie zwierzęta zostały bez wsparcia. To bardzo frustrujący fakt, bo my, jako ludzie, ciągle wbijamy się ze swoimi drogami w teren zamieszkały przez dziką zwierzynę, zmieniamy tę infrastrukturę, a nie jesteśmy w stanie nic zaproponować tym zwierzętom, które przez ten fakt zostają poszkodowane. Nam udało się uruchomić taki pewien projekt, on w trochę zmienionej formie działa do dziś. Może powiem krótko, o co chodzi. Idea była taka, że jeśli potrącimy lub znajdujemy potrącone zwierzę, to w pierwszej kolejności dzwonimy do schroniska. Przypomnę, że każda gmina ma obowiązek mieć podpisaną umowę ze schroniskiem dla zwierząt. Ze schroniska przyjeżdża natomiast samochód, który bez względu na porę dnia czy nocy transportuje to ranne zwierzę do czynnej całodobowo lecznicy

weterynaryjnej w Bielsku, opłacanej właśnie w ramach tego naszego projektu obywatelskiego. Tam na miejscu jest lekarz weterynarii, który udziela temu zwierzęciu pomocy w zależności od tego jaki jest jego stan. Problem zaczyna się jednak w przypadku zwierząt dzikich, bo te domowe zostają po prostu odesłane do schroniska. Te wolno żyjące, typu sarny, dziki itd., mogą być poddane rehabilitacji tylko w specjalnych ośrodkach. My w Bielsku mamy takie centrum rehabilitacyjne dla dzikich zwierząt „Mysikrólik". Nam udało się więc wydeptać taką autorską ścieżkę dzięki kasie z budżetu obywatelskiego. Teraz już ten projekt żyje własnym życiem i my mamy z nim niewiele wspólnego.

CHAOS: Czym jeszcze zajmuje się ocenie Vege Inicjatywa?
Alicja: Od jakiegoś czasu, hmm, w zasadzie od początku naszej działalności, prowadzimy działania pod hasłem „Cyrk bez zwierząt". Na początku były to działania polegające na protestach pod cyrkami, co - w naszej ocenie - niestety okazało się być mało skuteczne. Takie protesty mają charakter bardziej symboliczny. Wiesz, tych właścicieli cyrków trudno jest poruszyć, skonfundować, bo oni przez te wszystkie lata nauczyli się, że zawsze, gdzieś tam ktoś protestuje. Podjęliśmy więc dialog z urzędami, zbieraliśmy podpisy pod petycjami. Efekt końcowy jest taki, że przykładowo w Bielsku-Białej prezydent zaznaczył, że nie może zabraniać wjazdów cyrków z tresurą zwierząt do miasta, zawłaszcza, kiedy są one stawiane na terenie prywatnym, ale odmawia takim cyrkom udostępniania miejsca na terenach należących do gminy. Teraz więc uderzamy do Kuratorium Śląskiego i próbujemy podejść do problemu w ten sposób, że cyrki są nieedukacyjne. Naciskamy, aby kuratorium zajęło oficjalne stanowisko wobec marketingu cyrków. Walczymy zwyczajnie o zmianę mentalności klientów cyrków. Kiedyś pokazywano w takich miejscach ludzi niepełnosprawnych. Teraz takie rzeczy są niemożliwe, mamy nadzieję, że podobnie będzie kiedyś ze zwierzętami.

CHAOS: Jak dzisiaj zapatrujecie się na tak zwane „akcje bezpośrednie"?

Alicja: Akurat profil Vege Inicjatywy nie ma takiego charakteru undergroundowego, raczej działamy na płaszczyźnie edukacyjnej. Prywatnie natomiast, przynajmniej ja, jestem zwolenniczką takich akcji. Decyzja o ich podejmowaniu zależy jednak od profilu danej organizacji oraz od zasobów, jakimi ona dysponuje, bo akcje bezpośrednie to nie jest prosta sprawa. To wiąże się bowiem z pewnymi konsekwencjami. Jestem natomiast także członkinią organizacji „Otwarte Klatki", która jest ustosunkowana stricte na prawa zwierząt i ta organizacja zajmuje się już takimi bezpośrednimi interwencjami na fermach futrzarskich. Ostatnio, z sukcesem, zostały odebrane dwa kalekie lisie szczenięta, Jasio i Małgosia. Ci ludzie potrafią takie rzeczy robić i to jest super sprawa! My jednak mamy cel, aby edukować ludzi, którzy nie do końca zdają sobie sprawę z tego jak eksploatowane są zwierzęta. Wiele osób zaprzecza przykładowo, że w Polsce hoduje się zwierzęta na futra, a mamy ponad 700 ferm w Polsce. Chcemy wiec uświadamiać tych, którzy jeszcze uświadamiani nie są.

CHAOS: Czyli ta hc/punkowa edukacja nie ma sensu?
Alicja: Nie, chyba jednak ma, bo tam również pojawiają się nowi ludzie. Fajnie jeśli zafascynują się oni także czymś innym niż tylko muzyka i oryginalne ciuchy.

CHAOS: Te numery wytatuowane na rękach kilku z was, co one oznaczają?
Alicja: Numery 269, hmm, przed chwilą pytałeś o radykalne akcje. Ta taka troszkę jest. Numer 269 life odnosi się do kampanii międzynarodowej, której wyrosła w Izraelu. To jest numer nawiązujący do cielaka, który został uratowany z chowu przemysłowego. Tak są właśnie oznaczane zwierzęta w chowie przemysłowym. Jest to numer zwierzętom wypalany lub klipsowany. Te zwierzęta nie mają imion, mimo że w oczach nas, pro-animalistów, to są jednostki indywidualnie, ze swoimi uczuciami, emocjami, potrzebami, które w żaden sposób nie są respektowane. Wspomniany aktywista z Izraela wpadł na pomysł robienia takich mocnych happeningów polegających na wypalaniu tego numeru ludziom. To zwróciło uwagę publiczną i wspomniana akcja przeniosła się do innych miast, państw na świecie. Dla mnie osobiście ten numer jest taką formą identyfikacji z tymi zwierzętami. Takim linkiem, że zwierzęta nie są produktem, nie są rzeczami. Ten numer może kojarzyć się z holokaustem, w tym wypadku jednak chodzi o masowe mordowanie zwierząt. Zabijanie zwierząt ma miejsce codziennie i to na mega masową skalę.

CHAOS: Czy osoby związane z Vege Inicjatywą biorą również udział w akcjach dotyczących praw ludzi?
Alicja: Tak, część z nas działa w Food Not Bombs. Inni działają w Antyfaszystowskim Podbeskidziu. Prowadzimy zajęcia o tak zwanym sprawiedliwym handlu. Część z nas jeździła, swego czasu, na blokady antyfaszystowskie. Hehe, myślałam zresztą, że tam zginę. Część z nas udziela się także w sambie, jeździmy wiec z tymi naszymi bębenkami na różne demonstracje, często dotyczące stricte praw człowieka. Staramy się łączyć tematykę dotycząc praw zwierząt i praw ludzi. To nie jest tak, jak czasem próbuje się nam zarzucać, że zwierzęta traktujemy w sposób uprzywilejowany i stawiamy wręcz wyżej niż człowiek. My chcemy pokazać, że traktujemy ich prawa na równo z tymi ludzkimi.

CHAOS: Jak się ta samba nazywa?
Alicja: Funk Off SamBBa.

CHAOS: CHAOS: Można być członkiem Vege Inicjatywy i jeść mięso?
Alicja: Wiesz co, można. Bardzo stawiamy na takie osoby, ponieważ jesteśmy pewni, że po jakimś czasie one same zrezygnują z tej mięsnej diety. To się dzieje samoistnie. Mieliśmy kilka takich przypadków, że ludzie nas obserwowali i to wystarczyło, aby przejść na wegetarianizm lub weganizm. Oczywiście nam nie chodzi o to, aby każdy był 100% weganinem, bardziej stawiamy na pewną świadomość konsumencką. Jeśli coraz to większa grupa ludzi nie będzie kupować jakiegoś produktu, to musi się to przełożyć na jego produkcję.

CHAOS: Znakomita część Vege Inicjatywy jest straight edge. Jest to jakiś charakter ideowy tej organizacji?
Alicja: Oczywiście, że nie. To jest indywidualny wybór każdego z nas, ale jakoś się bardzo rozprzestrzenił. Wiesz, straight edge wiąże się właśnie ze świadomością, świadomym wyborem i dlatego wśród nas ta idea jest taka popularna. Po prostu jak jesteś trzeźwy, to bardziej kontrolujesz swoje życie i to co się wokół ciebie dzieje. Świadomiej po prostu przeżywasz to swoje życie.

CHAOS: Ostatnia rzecz, o którą chciałbym cię zapytać, to jakie macie rady dla rodziców, którzy stołują swoje wegetariańskie lub wegańskie dzieci na szkolnych stołówkach?
Alicja: To jest duża i trudna rzecz. Niby ma się trochę zmienić, ale nie wiadomo jak to wyjdzie. Jest natomiast coś takiego jak Instytut Żywności i Żywienia i taka nasza znajoma z portalu wegemaluch.pl zbierała podpisy pod petycją, dzięki czemu zmusiła ten instytut do wydania oświadczenia, że dieta wegetariańska jest odpowiednia dla dzieci bez względu na wiek. Jest więc oficjalna opinia, którą podczas takich rozmów, negocjacji można się podpierać.
Myślę, że to jest ważna rzecz i w mojej ocenie wskazanym jest zebranie takiego grona rodziców bezmięsnych, taką „masę krytyczną rodziców i dzieciaków", która mogłaby wystąpić do dyrekcji z konkretnymi postulatami. Warto także edukować tych pozostałych rodziców i nauczycieli, dlaczego taka dieta jest dla ciebie ważna. Oni po prostu nie mają często na ten temat wiedzy. Podobnie sprawa wygląda z paniami na stołówkach, oni po prostu często nie wiedzą co to jest ten wegetarianizm czy weganizm. Zwłaszcza w takim szczegółowym, a nie ogólnym rozumieniu. Wiesz, że zupa na kości to już nie jest bezmięsna, choć za taką dla laika często może uchodzić.
Nie jest także rozwiązaniem dawanie dziecku samych ziemniaków, bo to nie balansuje jego zapotrzebowania. Warto pokazywać miejsca, gdzie takich informacji można szukać. Jakie są najprostsze posiłki, ich wartości kaloryczne oraz zdrowotne.

CHAOS: Aktywność Vege Ininicjatywy to cały kraj?
Alicja: Nie, niestety nie. Na ten moment jest to tylko województwo śląskie.

CHAOS: Z jaką tematyką można was teraz zapraszać?
Alicja: Stawiamy na zajęcia dla młodzieży. Tematyka to prawa zwierząt oraz dieta roślinna. To są oczywiście zajęcia niepłatne przez szkołę. Chcemy zwyczajnie edukować tych młodych ludzi.

CHAOS: Jak się z wami kontaktować?
Alicja: Najlepiej e-mailowo kontakt@vegeinicjatywa.pl lub facebookowo. Polecamy także naszą stronę www.vegeinicjatywa.pl

CHAOS: Czego wam można życzyć?
Alicja: Generalnie, nowych twarzy. Nowych, zaangażowanych ludzi, których ostatnio brakuje. No i pewnie trochę kasy, ale to akurat jest nierealne, hehehe.

OUTSIDE FEST W WOJCIESZOWIE

Jeśli już tan cały hardcore/punk ma się usunąć z dużych miast, gdzieś w leśne ostępy i szeroko rozumienie „krzaczory" to chciałbym, aby odnalazł się w takich miejscach i na takich zasadach jak OUTSIDE FEST w Wojcieszowie. Tak, ta impreza bardzo szybko znalazła się w TOP 10 wakacyjnych wyjazdów wielu załogantów (w tym i mojej skromnej osoby). Doskonała organizacja połączona z punkowym wyczuciem. Tą scenową, nazwijmy ją na potrzebę chwili, „kumatością", którą większość z nas czuje, choć nie zawsze potrafimy powiedzieć, czym ona w zasadzie jest. Nie ma co przedłużać, zwyczajnie, bez grama obciachu, reklamuje i polecam ten festiwal! Żałuję jedynie, iż wywiad z sympatyczną załogą, która go organizuje musiałem przeprowadzić korespondencyjnie . Niestety, natłok zajęć okołofestiwalowych nie pozwolił tym przemiłym punkom na dłuższe spotkanie przy dyktafonie. Tomek.

CHAOS: Skąd pomysł/inspiracja na OUTSIDE FEST?
Kostek: Jestem współorganizatorem festu. Początkowo miał to być mały koncert w lokalnej knajpie, na 3-4 kapele, jednak właściciel lokalu się wymiksował miesiąc przed gigiem i na spontanie zrobiliśmy ten plener. To była totalna improwizacja, sprzęt, dzierżawa terenu itd., wszystko na ostatnią chwilę i na pełnych obrotach. Zrobiliśmy wtedy, co mogliśmy i jak się okazało, frekwencja była zadowalająca! To dało mega wiatr w żagle!

CHAOS: Ile osób jest obecnie w kolektywie organizacyjnym?
Kostek: Ogólnie prace budowlane(szkielet namiotu) robimy w trzech, do foliowania potrzeba 4-5 osób, w trakcie imprezy są dziewczyny na kuchni, dochodzą znajomi, którzy bardzo pomagają, do tego bramka.Podczas festynu to około 10-12 osób.

CHAOS: Sami podobno budujecie scenę, zaplecze, backstage dla zespołów, zadaszenie dla dystrybucji?
Kostek: Tak, dokładnie. Scena, namiot, bary robimy sami. To całe drewno trzeba ogarnąć z leśniczym w okolicach wczesnej wiosny, trzeba załatwić asygnatę itd. No i ściąć. Ale spoko, to drzewo i tak jest przeznaczone do ścięcia. Potem się koruje i w sierpniu stawiamy szkielet. Z roku na rok mamy tego coraz więcej. Będzie może i więcej namiotów. Dystrybucje jednak póki co przywożą swoje namioty, my udostępniamy tylko stanowiska dla kapel. Trzeba też ogarnąć oddzielne drewno na opał do ogniska, ofoliować, posmarować smarem płot i takie tam pierdoły. Od trzeciej edycji mamy też na terenie ratownika medycznego, czasem się przydaje przy małych awariach.

CHAOS: Nadzór budowlany wam to obiera?
Kostek: Ha ha! Tego akurat nie ma, na szczęście! Odwołaliby nam imprezę, jakby to widzieli.

CHAOS: Impreza jest całkowicie legalna czy półlegalna?
Kostek: Impreza jest legalna, bo to teren miasta, płacimy za to podatek, tak samo jak licencję za alko. Jednak impreza nie jest dotowana! Dodatkowo musimy poinformować policję o tym, ale oni nie wchodzą na teren, póki nie są o to poproszeni. Przez 4 edycje - zero interwencji, jednak patrole są wzmożone, a w tym roku wlepili parę mandatów, za pierdoły dosłownie.

CHAOS: Miejscówkę macie doskonałą - dawny ośrodek wypoczynkowy! Czy koszt wynajmu tego terenu jest duży?
Kostek: Same koszty dzierżawy terenu nie są jakieś duże, to są symboliczne sumy. Tak samo jak pozwolenie na sprzedaż piwa. Jednak trochę tych papierów trzeba poskładać. Faktycznie to stary OSiR, basen w sezonie jest normalnie otwarty. Podobno ma być remontowany, więc zobaczymy czy nie wpłynie to na naszą imprezę.

CHAOS: Maksyma waszego festiwalu brzmi: „bez dotacji, bez sponsorów". Co sądzicie o tych punkowych festach, które korzystają z grantów, wsparcia finansowego gmin, czy też komercyjnych sponsorów?
Kostek: Tak jakoś wyszło, że wymarzyliśmy sobie taki festyn, gdzie wszystko będzie jakby nasze, zrobione pracą własnych rąk... Żeby nikt nam nie mówił co można, a czego nie, żeby nic nie brać, a jak najmniej dawać, żeby to, kurwa, było takie swojskie D.I.Y., gdzie wszystko zależy od ciebie samego i tego się trzymamy! Jednak też nie mamy nic do imprez sponsorowanych, każdy ma swój lot. Są imprezy zrobione z głową (np. Alter piknik), nie

jesteśmy żadną opozycją do tych imprez i z nikim się nie ścigamy, po prostu tak widzimy swój fest.

CHAOS: Problemy związane z organizacją festiwalu?

Kostek: Chyba większych nie ma. Z miastem dogadujemy się w miarę sprawnie, bo już z początkiem roku składamy podanie o dzierżawę terenu, oni jakby spoko, ale mogliby działać szybciej... Reszta raczej tkwi między nami, dobór kapel też rok wcześniej. Wiesz, nas to kręci, ta robota przy tym, zrobić coś z niczego, choć czasem mamy tam większy zapierdol niż w pracy, jakieś tam tarcia czasem są, ale zawsze jest konsensus...

CHAOS: Lokalna dresiarnia/nazizm – to duży kłopot?

Kostek: „Jesteś pedałem, kurwo(m), złodziejem, spierdolony koncert pedale" - takiego smsa dostałem w niedzielę rano na zakończenie imprezy. Chce się żyć! Ubaw był niezły. Domyślam się, kto jest autorem, ale po co to drążyć? Śmiech na sali! Dress, stress... Te pajace nękają nas co jakiś czas, ale bezowocnie. Taki folklor, co zrobić? Przynajmniej jest co powspominać, coś się dzieje, a nie tylko sielanka... A na poważnie – nazizm, póki co, nie ma i staramy się aby nie było. Zadymki małe czasem są, ale to przeważnie jak robimy imprezy w lokalnej knajpie. W sumie to już taka nasza miejscowa tradycja.

CHAOS: Na tegorocznej edycji spora grupa załogantów pojawiła się razem ze swoimi dzieciakami. Wytłumaczcie pozostałym hc/punkom dlaczego warto zabierać na wasz fest również swoje pociechy? Jakie macie przygotowane dla maluchów atrakcje?

Kostek: To jest zajebista sprawa, gdy jadę na jakiś fest i moje dziewczyny tam sobie poskaczą! Nie zawsze przecież możesz podrzucić dzieci do babci. To samo chcemy robić u nas! Tu dużo pomaga Marcin (Alter Piknik) - taki mały kinder park, kredki, farby, to chyba dobre rozwiązanie. Każdy może rzucić okiem na swoje pociechy, a także zaglądnąć pod scenę, można to jakoś połączyć. Punkowe ciocie robią robotę! Nie ma czego się bać!

CHAOS: Skarżyliście się na zbyt duże zainteresowanie policji tegoroczną edycją imprezy. Z czego, waszym zdaniem, to nagłe zainteresowanie wynika i na czym ono polega?

Kostek: Tak, w tym roku było wyjątkowo duże... Moim zdaniem wynikało to z powodu zaproszenia kapel

spoza Polski czyli z Czech i Białorusi. Spowodowała to chyba sytuacja polityczna na Wschodzie. Ale, poza paroma telefonami i nękaniem przez jednego nadgorliwca, obeszło się bez przykrości.

CHAOS: Część z was gra w zespole NON PRESIDENT. Hołdujecie zasadzie: grasz w kapeli hc/punkowej - musisz działać dla sceny, której jesteś częścią?

Kostek: Jak najbardziej! Chciałbym zaprosić te wszystkie kapele, które mnie, nas, zapraszały,

ugościć je, jak tylko najlepiej się da! Powoli to realizuję! To dla mnie proste - ktoś zaprasza, zapraszam i ja! Jakaś taka forma podziękowania. I to działa w obie strony. To chyba dobrze, nie? Ponadto jeden zajebisty człowiek powiedział mi kiedyś: "traktuj ludzi, tak jakbyś chciał być sam traktowany". I ja się tego trzymam! Staramy się zapewnić chociaż to minimum: mały backstage, coś na ząb i przepłukanie gardła, spanie, no i zwroty oczywiście!

CHAOS: Największe rozczarowanie związane z festem?

Kostek: Chyba 3. edycja... Skład był jak dla nas zajebioza, ale chyba nie wszystkim przypadł do gustu (frekwencja). Piątek spoko, jednak sobotnia ulewa podcięła nam trochę skrzydła. Były kłopoty ze sprzętem. Na szczęście udało się dobrnąć do końca. Za każdym razem wyciągamy wnioski, coś chcemy poprawić, coś polepszyć. Cały czas się uczymy.

CHAOS: Zauważalny jest mocny konflikt pomiędzy wami, a zespołem GAGA. Złożyliście nawet stanowczą deklarację, że więcej tego zespołu nie zaprosicie do Wojcieszowa – kiedyś natomiast były pewne personalne powiązania pomiędzy festiwalową ekipą, a tym bandem.

Kostek: Tak, były. Ich ówczesny basista śpiewa w NON PRESIDENT, a sama GAGA grała na pierwszej edycji! To może nie jest tak ostre, jak wydaje się z zewnątrz. My tu żyjemy, mieszkamy stosunkowo blisko siebie i wiemy jak niektóre sprawy się mają. Chodziło o ten koncert GAGI z tym jebanym VQ. Bolało nas to, że Mirek wiedział długo przed tym gigiem o całej sytuacji związanej z nimi, a jednak zagrał! Może to oświadczenie wyszło zbyt spontanicznie, pod wpływem emocji itd., jednak zdanie podtrzymuję. VQ to konfitury w najczystszej postaci - podpierdolki na policję, rozklejanie plakatów Ruchu Narodowego, dema na 11 listopada z narodowcami itd., więc stąd ten ból. To było dla nas nie do przejścia, zresztą to nie był pierwszy taki koncert GAGA/ZIELONE ŻABKI. Smalca szanuję za jego twórczość i nic złego u nas nie przekreślał, nie przykleiliśmy mu łatki nazi punk, czy coś w tym stylu. Tak po prostu nas to wkurwiło! Ostatnio sam od nich się odciął (lepiej późno niż wcale), a co do grania u nas, no cóż, czas pokaże.

CHAOS: Uchylcie rąbka tajemnicy, co nas interesującego czeka na kolejnej edycji Outside Festu? Jakieś zmiany?

Kostek: Na chwilę obecną mamy już pewne plany, ale bez nazwisk. Ogólnie crust, grind, hc-punk. Chcemy też iść w stronę kapel z sąsiednich krajów - Czechy, Niemcy, może coś dalej, kto wie? Przy okazji zajebiste dzięki za zainteresowanie naszym festem, to dla nas mega promocja! Jesteśmy wdzięczni za waszą obecność co roku. Pozdrawiamy i zapraszamy na kolejne edycje! D.I.Y or die!

Krwawe starcie nad Ussuri

Zimna wojna, żelazna kurtyna, Wschód kontra Zachód, prowokacje, konflikty... To bardzo ciekawy okres historii, który każdy z nas w jakimś tam stopniu zna. Jednak w tamtym czasie dochodziło również do konfliktów w "obozie wiecznej szczęśliwości". Jednym z najmniej znanych konfliktów było starcie dwóch ówczesnych komunistycznych potęg - Związku Radzieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej. Wydarzenie to miało miejsce pod koniec lat 60. i mało brakowało by owa konfrontacja zmieniła się w poważną i pełnowymiarową wojnę. Przypomnę wszystkim, że zarówno ZSRR, jak i ChRL posiadały broń nuklearną. W PRL niewiele było wiadomo o tym incydencie, bowiem informacje, tym bardziej o negatywnym wydźwięku, uderzały w ZSRR i nasz sojusz z tym państwem. Temat ten jest mało znany i zarazem zapomniany, więc pomyślałem sobie, że warto o nim przypomnieć.

Żeby zrozumieć późniejszy konflikt nad rzeką Ussuri, musimy zacząć chyba od początku, czyli od pogorszenia stosunków pomiędzy Chinami i Związkiem Radzieckim. Zresztą po dziś dzień relacje pomiędzy Chinami i Rosją wciąż miewają swoje wzloty i upadki. Oba państwa zaczęły rywalizować ze sobą już po śmierci Stalina, a sytuacja ta przybrała na sile pod koniec lat 50. Pojawia się tu wątek polski - chińscy komuniści poparli Władysława Gomułkę, ówczesnego I Sekretarza KC PZPR, w momencie gdy Kreml chciał interweniować w Polsce. Od 1960 roku zaczęły się pojawiać wzajemne oskarżenia o "rewizjonizm" i "odchylenia". Z Chin wycofano większość specjalistów radzieckich. W lipcu 1964 roku Mao Zedong zgłosił pierwsze pretensje terytorialne wobec ZSRR (Kraj Nadmorski, Władywostok). W roku 1966 rozpoczęła się rewolucja kulturalna w Chinach, podczas której ogłoszono ZSRR "wrogiem nr 1" Chin. Niemniej ważnym powodem sporów była chęć wyzwolenia się Pekinu spod dominacji Sowietów w ruchu komunistycznym i odegranie w nim pierwszorzędnej roli, zwłaszcza że uważano, iż w kwestii marksizmu Związek Radziecki od połowy lat 30. „dreptał w miejscu". Ponadto Chińczyc, szczególnie zaś Mao, uważali, że jako najbardziej ludny kraj świata i przedstawiciel najdłużej trwającej cywilizacji, Chiny nie powinny odgrywać drugorzędnej roli. Pomiędzy dwoma potęgami z "obozu socjalistycznego" rozpoczęła się kolejna zimna wojna.

Ussuri to graniczna rzeka pomiędzy Rosją a Chinami, która uchodzi do Amuru jako jego prawy dopływ. Od stycznia 1969 roku zaczęły narastać incydenty graniczne nad tą rzeką - ich liczbę szacowano potem na kilkaset rocznie. Trudno było utrzymać porządek w rejonie Azji Środkowej, gdzie różni nomadowie i pasterze z Chin systematyczne naruszali granice w poszukiwaniu lepszych warunków bytowych i pastwisk. W następnych

latach liczba tych naruszeń rosła, a chińskie gazety jawnie już poruszały temat utraconych na rzecz Rosji terytoriów. Zresztą już wcześniej niewielkie oddziały chińskie wkraczały na skutą lodem rzekę, dochodziło do wymiany ognia z pogranicznikami radzieckimi w rejonie wyspy Damanskij, rozrzucano materiały propagandowe, dochodziło do walk wręcz. Pogranicznicy radzieccy otrzymali kategoryczny zakaz używania broni, gdyż władze moskiewskie uznały, że eskalacja działań jest niepożądana.

Z początku chińscy chłopi zaczęli samowolnie osiedlać się na granicznych wyspach na Ussuri – po prostu przychodzili i tam uprawiali ziemię. Radzieccy pogranicznicy odsyłali ich do siebie. A żeby nie używać w stosunku do nich broni, wysyłali ich z powrotem do Chin przy użyciu długich drewnianych pałek. Ale z każdym miesiącem liczba takich samowolnych osiedleńców rosła. I tak w 1960 roku było ich około 100, a w roku 1962 – już ok. 5000. No i do tego przybysze z ChRL coraz częściej brali do ręki broń: najpierw to były noże i pałki, potem już strzelby i karabiny. W roku 1969 zaczęto już regularne atakować radzieckie patrole służby granicznej. W dniu 4 stycznia 1969 roku na wyspie Kirkinskiej pograniczników zaatakowało około 500 osób! Jednak prawdziwe wojenne wydarzenia miały miejsce na wyspie Damanskij, gdzie w nocy z 1 na 2 marca 1969 roku, 300 chińskich żołnierzy odzianych w zimowe mundury maskujące, uzbrojonych w karabiny AK-47 i karabiny SKS, po lodzie przedostało się na wyspę i zaległo na jej zachodnim brzegu. Z chińskiego brzegu wspierały ich stanowiska kaemów, moździerze i działa bezodrzutowe. W gotowości bojowej oczekiwało tam kolejnych 300 żołnierzy piechoty. Rankiem z radzieckiego POWT (Punkt Obserwacji Wzrokowo-Technicznej) zauważono, że na wyspę przeprawia się niewielki oddział w sile 30 ludzi. Na spotkanie im wyjechały kilkoma samochodami i transporterem opancerzonym BTR-60 trzy drużyny radzieckich wopistów. W odpowiedzi Chińczycy otworzyli ogień zaporowy, do którego przyłączyli się żołnierze znajdujący się na wyspie. Dwie drużyny wopistów zostały od razu wybite. Trzecia drużyna przyjęła nierówny bój i ostrzeliwała się do ostatniego naboju. Kiedy zakończyła się strzelanina, Chińczycy podeszli bliżej i dobili rannych. Tylko jeden z nich przeżył jakimś cudem – był to szer. G. Sieriebrow, który potem złożył zeznania o śmierci swych towarzyszy. Kiedy toczyła się walka na lodzie, chińskie działa i moździerze ostrzeliwały radziecki brzeg. Wkrótce na wyspę przybyły posiłki z najbliższych placówek WOP i Chińczyków wybito na wyspie do nogi. Spośród 56 radzieckich pograniczników zginęło 31, a 14 odniosło rany.

Następnego dnia gazety w ChRL już pisały o tym, że wojska radzieckie wiarołomnie wtargnęły na wyspę Tszhen-baodao na rzece Usuliczian w ich prowincji Heilongjiang. Pod radziecką ambasadą w Pekinie pojawili się demonstranci. W tym samym czasie. w ZSRR, gazeta „Prawda" publikuje materiał

dokładnie opisujący wydarzenia na Damańskiej Wyspie. Ambasadę ChRL w Moskwie obrzucono butelkami z atramentem. Tymczasem w stronę spornej wyspy ciągnęły z obu stron kolumny wojska. Ze strony radzieckiej saperzy minowali podejścia do wyspy. Tamtejsze placówki WOP dostały wsparcie dywizji zmechanizowanej, podeszły także czołgi i artyleria. Chińczycy także podciągnęli czołgi i artylerię, a do tego pułk piechoty o liczebności 5000 żołnierzy.

Do kolejnej bitwy doszło 15 marca. Wyspa Damanskij została ponownie zaatakowana przez chińskich żołnierzy w liczbie kilku tysięcy, wspomaganych przez artylerię i moździerze. Po drugiej stronie Rosjanie zmobilizowali siły również liczące kilka tysięcy ludzi dowodzonych przez pułkownika Dmitrija Leonowa (poległ w walce). Rosjanie zastosowali swój ulubiony od czasu Stalingradu manewr oskrzydlający. Radzieckie dowództwo próbowało wprowadzić do boju czołgi, ale w pobliże przedostały się tylko trzy maszyny. Powinno podejść tam jeszcze 9 czołgów T-62, ale się spóźniły. Dowódcy tych trzech czołgów chcieli objeść Chińczyków i uderzyć na nich od tyłu, ale to się nie udało. Wóz dowódcy został rozbity z granatnika, zaś dowódca został zabity przez snajpera, kiedy próbował ewakuować się z płonącej maszyny. Załogi pozostałych maszyn zrozumiały, że czeka ich ten sam los i cofnęły się do placówki WOP. Po dwóch godzinach walki, wykorzystawszy wszystkie środki, wopiści wycofali się z wyspy. Wynik bitwy – jak widać – wydawał się być nierozstrzygniętym. Dopiero trzecie uderzenie zmusiło chińskie wojska do wycofania się z wyspy.

I tutaj dochodzimy do najciekawszych wydarzeń, które miały miejsce podczas tego konfliktu. Podobno Rosjanie podczas tego starcia użyli przeciwko Chińczykom nowej i potężnej broni. Niepotwierdzone informacje mówiły o broni

laserowej – czyli Laserowej Broni Radiacyjnej – LBR. Mówiło się po domach, że Rosjanie wypalają chińskie bataliony laserami na popiół i pył. Tajemniczości tej sprawie dodawały chaotyczne informacje nadawane przez Radio Wolna Europa.

Co tam się tak naprawdę wydarzyło? Na wyspę Damanskij i na terytorium ChRL, na głębokość 5-6 km, runęła nawała ognia. Wedle pogłosek, ZSRR użył wtedy przeciwko Chińczykom swej tajnej broni – laserów, które zmasakrowały atakujących Chińczyków. Wedle drugiej wersji, na Damanskiej Wyspie użyto „pocisków przestrzennego wybuchu", co spowodowało powstanie hipotezy o wykorzystaniu laserów. Hipotezy te potwierdzał widok pola walki usłany spalonymi i poparzonymi ciałami chińskich żołnierzy. Trzecia hipoteza głosiła, że promienie cieplne roztopiły lód na rzece i puściły wroga na dno rzeki. W rzeczywistości Związek Radziecki wprowadził do walki nie LBR, ale inną tajną broń, a mianowicie – świeżo wprowadzone do Armii Radzieckiej systemy rakietowego ognia zaporowego – BM-21 Grad, które spaliły wozy bojowe, artylerię i znaczną część siły żywej wroga. Po urządzeniu wrogom ogniowego piekła, do ataku poszła radziecka piechota. Po otrząśnięciu się z szoku Chińczycy jeszcze trzykrotnie próbowali kontratakować, ale próby te zostały łatwo odparte. Wkrótce wojska chińskie cofnęły się w głąb własnego terytorium, zaś Rosjanie powrócili na swój brzeg by fetować zwycięstwo.

Straty obu stron poniesione w tej jedenastogodzinnej bitwie były prawdopodobnie znaczne. Nie są one, niestety, w pełni znane. Podobno w rezultacie starć z 2 i 15 marca ZSRR stracił 58 żołnierzy i 94 rannych. Podawana przez zachodnich analityków liczba 60 zabitych żołnierzy sowieckich i 600 chińskich budzi wątpliwości z powodu dysproporcji, zwłaszcza że stroną atakującą, a więc teoretycznie bardziej narażoną na straty, byli Rosjanie. Za męstwo i heroizm na polu walki posypał się grad odznaczeń i nagród. Tymczasem ChRL skrzętnie ukrywa swe straty do dnia dzisiejszego, ale szacunki mówią, że stracili około 3000 żołnierzy. Inne źródła informują nas, że po drugiej bitwie o wyspę Damanskij ZSRR podało liczbę 27 zabitych i 80 rannych, a straty chińskie oszacowano na 800 poległych. Chińczycy ogółem ocenili straty radzieckie na 250 żołnierzy i 17 pojazdów, zaś własne na 100 ludzi.

Jednak masakra na wyspie Damanskij nie zakończyła tego sporu. Konflikt rozszerzył się aż na pustynny teren Kazachstanu, gdzie 13 sierpnia w okolicach Żałanoszkol w obwodzie semipałatyńskim granicę przekroczyło 300 chińskich żołnierzy. Po godzinnej bitwie Chińczycy wycofali się, ponosząc ciężkie straty. Rosjanie poinformowali o 2 zabitych i 11 rannych. W ZSRR rozważano możliwość prewencyjnego ataku rakietowego na chińskie instalacje jądrowe. Walki chińsko-radzieckie trwały do końca kwietnia 1969 roku. Efektem ubocznym walk było zdobycie przez Chińczyków i przeanalizowanie nowych wzorów radzieckiego uzbrojenia, w szczególności czołgu T-62 uzbrojonego w działo gładkolufowe o dużej wówczas skuteczności.

11 września 1969 roku, w pekińskim porcie lotniczym wylądował samolot z przewodniczącym rady Ministrów ZSRR Aleksiejem N. Kosyginem. Spotkał się on z premierem Rady Państwa ChRL. Zhou (Czou) Enlai. W toku trzygodzinnych negocjacji, ZSRR i ChRL zgodziły się przerwać działania wojenne. „Strony pozostają tam, gdzie one znajdują się do tego czasu" – zaproponował Zhou Enlai i Kosygin zrazu się zgodził. Ale tak sformułowane zdanie oznaczało oddanie Chinom wysp na Ussuri. Rzecz w tym, że w czasie marcowych roztopów zaczęło się tajanie lodu i dostęp do wysp stał się niemożliwym. Tak więc rosyjskie dowództwo przyjęło opcję pozostawienia spornych terytoriów, ale żeby ich nie zajęli Chińczycy i nie próbowali się na nich osiedlić, trzymali je pod ogniem z dział i kaemów, który miał tym próbom przeciwdziałać. Ale po spotkaniu 11 września przyszedł rozkaz przerwania ognia. Chińskie wojska natychmiast zajęły kilka wysp. Tak więc ZSRR oddał na mocy tych negocjacji sporne wyspy Chinom. A w 1991 roku, po rozpadzie ZSRR faktycznie przyznał wyspę Damanskij ChRL, tak że aktualnie – jest to wyspa Tszhen-baodao w prowincji Heilongijang.

Aż do upadku ZSRR na pograniczu z Chinami w rejonie Damanskij utrzymywano 7 dywizji pancernych, 34 zmechanizowane, 1 powietrzno-desantową i 1 piechoty morskiej oraz 4 armie lotnicze. Chińczycy utrzymywali natomiast w regionie 70 dywizji (w tym 12 pancernych).

W grudniu 2004 roku Władimir Putin wyraził wstępną zgodę na zwrot całego spornego terenu w rejonie ujścia Ussuri do Amuru, także Yinlong (Wyspy Srebrnego Niedźwiedzia, dla Rosjan – Wyspy Tarabarowa) i połowy Heixiazi (Wyspy Czarnego Niedźwiedzia, dla Rosjan – Wielkiej Wyspy Ussuryjskiej). Zwrócono go Chinom 20 lipca 2008 roku, a oficjalne przekazanie 340 km² nastąpiło 14 października.

Oprac. Pablo

ODMIENNE STANY ŚWIADOMOŚCI

William Seward Burroughs pozostaje do dziś prawdziwą legendą kontrkultury oraz, obok Allena Ginsberga i Jacka Kerouaca, jedną z najznakomitszych postaci Beat Generation i awangardy literackiej drugiej połowy XX wieku. Pisarz, malarz, poeta, filmowiec, aktor, scenarzysta, podróżnik, narkoman, gangster, biseksualista, był i będzie jednym z niewielu przykładów ludzi, którzy całkowicie odrzucili wszelkie konwencje społeczne i codzienne tabu, na rzecz celu podstawowego, jakim jest spełnianie w życiu swojej woli i prowadzenie rozwoju osobowości ku wolności absolutnej. Jego najbardziej znana książka "Nagi lunch" została sfilmowana przez, niemniej kontrowersyjną osobistość, a minowicie Davida Cronenberga, znanego chociażby z szokującego filmu "Crash". Burroughs popularny był także w środowisku hippisów oraz obyczajowych rebeliantów lat 60. Często tematem jego dzieł były własne doświadczenia związane z zażywaniem opiatów oraz praktyki homoseksualne. Zresztą wiele fragmentów jego twórczości zawiera wątki autobiograficzne.

William Seward Burroughs II urodził się 5 lutego 1914 w St. Louis. Jego rodzice, Edmund Burroughs i Laura Lee Burroughs, prowadzili sklep z antykami, najpierw w St. Louis, a następnie w Palm Beach na Florydzie. Jego dziadek, William Seward Burroughs, był znanym wynalazcą; zasłynął znacznym udoskonaleniem bankowej maszyny liczącej i został głównym udziałowcem doskonale prosperującej firmy Burroughs Adding Machine Company.

W latach 1929–1932 przyszły pisarz uczęszczał do szkół John Burroughs School w St. Louis i The Los Alamos Ranch School w Nowym Meksyku. Prowadził wówczas pamiętniki, w których ujawniała się już jego biseksualna orientacja.

Ze szkoły w Los Alamos został wyrzucony za przyjmowanie wodzianu chloralu i wrócił do innej szkoły w St. Louis. W 1932 zdał na Uniwersytet Harvarda, na którym do 1936 studiował literaturę amerykańską. W tym okresie zapoznał się z kulturą gejowską Nowego Jorku. Wraz ze swoim bogatym przyjacielem, Richardem Sternem, często odwiedzał kluby gejowskie w dzielnicach Harlem i Greenwich Village.

Po zakończeniu studiów, wyjechał do Europy. W Wiedniu i Budapeszcie zobaczył na własne oczy życie Europy weimarskiej. W czasie tej podróży Borroughs poznał Niemkę żydowskiego pochodzenia, Ilsę Herzfeld Klapper, z którą następnie ożenił się w Dubrowniku, przede wszystkim po to, by umożliwić jej ucieczkę do Stanów Zjednoczonych. Po przybyciu do USA Borroughs i Klapper wzięli rozwód, ale pozostali przyjaciółmi przez wiele lat.

W 1938 r. wznowił studia antropologiczne na Uniwersytecie Cambridge oraz zaczął spotykać się z Kellsem Elvinsem. Razem napisali pierwszą wersję "Ostatnich zórz o zmierzchu".

W 1942 r. Armia Amerykańska powołuje Burroughsa na komisję wojskową, ale szybko wycofuje powołanie ze względu na negatywne wyniki testów psychiatrycznych. Do września 1949 r. mieszkał w USA. Wylądował w nowojorskim półświatku gangsterskim, poznając tam przyszłych beatników: Allena Ginsberga i Jacka Kerouaca, a przez nich – Joan Vollmer, z którą zamieszkał w 1945. Jego żona (oficjalnie od 1945, kiedy to zerwała ze swoim poprzednim mężem) popada w uzależnienie od amfetaminy. Niedługo później Burroughs zostaje skazany przez sąd za podrabianie recept na morfinę i prawomocnym wyrokiem odesłany pod opiekę swoich rodziców do St. Louis. W 1947 na świat przychodzi jedyny syn Burroughsa, nazwany po ojcu William S. Burroughs Jr. Rodzina przeprowadza się rok później do Nowego Orleanu.

W 1946 r. Burroughs rozpoczął kilkunastoletni romans z heroiną, zresztą całkowicie – co podkreślał – świadomie. Sponsorowali go rodzice. Uzależnił się również od morfiny i alkoholu, od tego momentu był również handlarzem narkotyków. Szybko zyskał opinię ludzkiego królika doświadczalnego. Połykał, palił lub wstrzykiwał sobie wszystko, co trafiło mu w ręce – od amfetaminy po gałkę muszkatołową.

Burroughs wałęsając się bez celu, pijąc i waląc heroinę, spotkał w końcu podobnego do siebie wyrzutka, złodzieja i narkomana Herberta Huncke'a – niewiele mniej znaną od niego legendę Beat Generation. Jak głosi wieść, do spotkania doszło, kiedy Burroughs chciał sprzedać komuś rewolwer i ampułki z heroiną.

Zabawna sytuacja miała miejsce, gdy chciano go pewnego razu znieczulić przed poważną operacją. "To morfina" – powiedziała wówczas pielęgniarka, pokazując strzykawkę. "Fajnie!" – odpowiedział Burroughs. – "Strzelaj, kochanie!". W szpitalu i tak wiedziano, kim był. Lekarz napisał w jego karcie: "Proszę dawać panu Burroughsowi tyle morfiny, ile będzie chciał."

W Nowym Jorku Burroughs podjął także pracę tępiciela robactwa, potem był zaś pracownikiem fabrycznym, copywriterem i barmanem (czego motywy znajdą się później m.in. na kartach "Nagiego Lunchu").

W 1949 r, uciekając z Nowego Orleanu przed policyjnymi podejrzeniami łączącymi go z handlem i posiadaniem marihuany (faktycznie hodował ją u siebie na polu, na potrzeby swoje i przyjaciół), emigruje do Meksyku. Jego rodzina podąża za nim. 6 września 1951 r. w mieście Meksyk doszło do tragedii...
- Chyba już pora na nasz numerek z Wilhelmem Tellem – powiedział William Burroughs do swej żony, Joan, w czasie przyjęcia, które urządzili dla przyjaciół. Żona była trochę zdziwiona, ale ustawiła szklankę z niedopitym drinkiem na głowie. Burroughs wymierzył pistolet i strzelił z odległości zaledwie dwóch metrów. Tylko że pocisk, zamiast w szklankę, trafił żonę w czoło. Joan zmarła na miejscu. Jej mąż miał dotąd opinię dobrego strzelca...
Jednak dzięki manipulacjom, jakich dokonał znajomy adwokat i dzięki fałszywym zeznaniom Burroughs wyszedł na wolność po trzynastu dniach aresztu.
- Zmuszony jestem do strasznej konkluzji: gdyby nie śmierć Joan, nigdy nie zostałbym pisarzem – mówił Burroughs po wielu latach od nieszczęśliwego wydarzenia. – Żyję w ciągłym strachu przed utratą panowania nad sobą i zarazem w ciągłej potrzebie utraty panowania nad sobą, ucieczki od kontroli. Śmierć Joan przyniosła mi kontakt z przeciwnikiem, złym duchem, i wrobiła mnie w życiową walkę, w której nie miałem innego wyboru. Musiałem wypisać sobie drogę ucieczki.
Po kilku miesiącach pisarz opuścił Meksyk i podróżując do Ameryki Południowej w poszukiwaniu oczyszczenia, natyknął się na wieści o istnieniu legendarnego środka enteogennego, umożliwiającego bezpośredni wgląd w umysł. Tym środkiem jest ayahuasca (yage), którą udaje mu się w końcu po wyprawie w amazońską dżunglę odnaleźć i zażyć w towarzystwie indiańskiego brujo. Zamiast spodziewanej, błogiej wizji, Burroughs wpada jednak w narkotyczną paranoję wietrząc spisek na swoje życie. W tym okresie powstają jego pierwsze powieści: "Ćpun" (1953) i "Pedał" (1963),

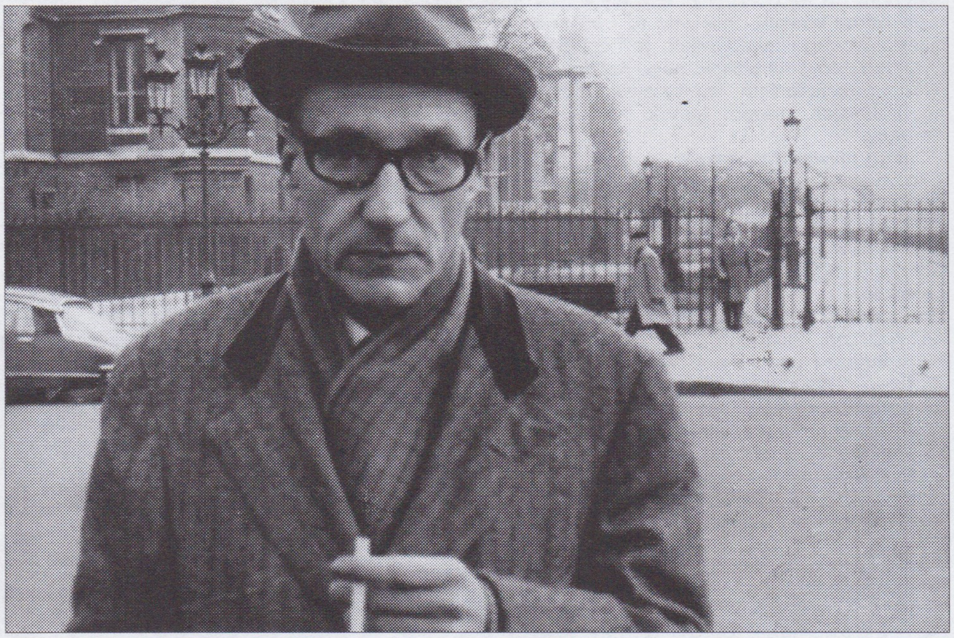

podpisywane jako William Lee oraz zbiór listów do Allena Ginsberga, "The Yage Letters" (1963).
Swoje ponure wspomnienia z narkotycznego delirium spisał właśnie w "Ćpunie" – swojej pierwszej powieści, wydanej w 1953 roku. Nie napisałby jej, gdyby nie znajomość z beatnikami. Zresztą gdyby nie oni, prawdopodobnie w ogóle by nie pisał.
- Kerouac podsunął mi tytuł "Nagi lunch", a dzięki Allenowi Ginsbergowi opublikowałem "Ćpuna". Ta książka utrzymała mnie przy piórze – zwierzał się w jednym z wywiadów.
Pierwsza powieść Burroughsa jest w zasadzie najbardziej autobiograficznym z jego utworów. "Ćpun" to niezwykły zapis uzależnienia od opiatów oraz o wychodzeniu z nałogu i wracaniu do niego. Jednak Burroughs nie napisał wcale hymnu pochwalnego na cześć narkotyków. Jak pisze Bartek Chaciński: „Trudno napisać podręcznik szkolny odstraszający od narkotyków bardziej niż "Ćpun" – autobiografia Burroughsa z heroinowego okresu. "Opiaty nie są 'dobrym kopem'" – czytamy w niej. – "W opiatach istotne dla narkomana jest to, że powodują uzależnienie. Nikt nie wie, czym są opiaty, póki nie zazna głodu".
Następna jego powieść opowiada o Williamie Lee (alter ego autora?), który jest homoseksualistą - po wielu upokarzająco nieudanych próbach nawiązania kontaktu poznaje młodego mężczyznę, Gene'a Allertona. Gene oddaje mu się biernie, obojętnie, bez śladu obrzydzenia czy satysfakcji. Obaj wybierają się w szaleńczą podróż w głąb Ameryki Południowej w poszukiwaniu yage, tajemniczej halucynogennej rośliny...
Burroughs utożsamiany przez krytykę z ruchem beatników, tak naprawdę nie czuł się jego częścią. Był od nich starszy, nie interesował się buddyzmem i wolał osiadły tryb życia. W pewnym okresie, jeszcze przed meksykańskim incydentem, wspólnie z żoną prowadził farmę. Uprawiał na niej pomarańcze, bawełnę i marihuanę. Beatnicy odwiedzali go regularnie, podziwiając "akumulator orgonowy" – skrzynkę z desek zbitą przez Burroughsa. Miała ona, zgodnie z teoriami Williama Reicha, pomagać organizmowi we wchłanianiu orgonów – drobnych cząstek decydujących o ludzkich siłach witalnych. Burroughs siadywał w niej – nagi jak święty turecki – i "medytował nad własnym pępkiem".
W 1953 Burroughs przebywał głównie w Kolumbii i Peru. Jego droga prowadzi następnie do Tangieru w Maroku, gdzie spotyka m.in. Timothy Leary'ego. Natyka się tam także po raz pierwszy na swojego długoletniego przyjaciela, Briona Gysina. Ten genialny artysta, wyrastający bezpośrednio z zuryskiego dadaizmu, będący świadkiem manifestów i wystaw tej grupy, wprowadza Burroughsa w świat swojej ulubionej techniki, czerpiącej z wypracowanego przez nią kolażu. Technika ta, nazwana cut-up, bierze swój początek z jego słynnej idei, iż: Pisarstwo jest 50 lat w tyle za malarstwem. Tak powstaje pierwsza z cyklu eksperymentalnych powieści Burroughsa, legendarny, mroczny, psychedeliczny twór, operujący na granicy snu, urojeń i narkotycznych, paranoicznych wizji, pt. "Nagi Lunch"(1959). Następnymi z kolei są: "The Soft Machine" (1961), "The Ticket That Exploded" (1962) oraz "Nova Express" (1963). Wszystkie dokonują przełomu w myśleniu o literaturze i jej pisaniu, stając się inspiracją dla wielu genialnych artystów i rewolucjonistów społecznych, z których najbardziej znanym jest Genesis P-Orridge.
"Nagi lunch" powstawał głównie w Tangerze, w którym Burroughs przebywał w latach 1954–1958. Halucynacje narkotyczne to u niego z reguły koszmarne wizje, a wynaturzone zachowania książkowych postaci wzbudzają co najmniej odrazę. Jednak prawdziwą sławę przyniósł mu "Nagi lunch", który doskonale ilustruje tę różnicę. Książce towarzyszył skandal związany z procesem sądowym o obsceniczność, ale Norman Mailer określił ją jako "dzieło geniusza". Książka ta, pisana w środku heroinowego uzależnienia, w przeciwieństwie do "Ćpuna" nie opisywała faktów, tylko fikcyjny świat Interzone, istniejący wewnątrz doprowadzonego do delirium umysłu bohatera. Interzone jest zniekształconym obliczem rzeczywistości – takim, jakie postrzegał narkoman. Jest krainą pozbawioną jakichkolwiek zasad, bo w pogoni za następną działką ćpun zrobi przecież wszystko.
W "Nagim lunchu" Burroughs pierwszy raz dokonał "filmowego" montażu tekstu. Pociął go na akapity, po czym posklejał w innej, do pewnego stopnia przypadkowej kolejności. Stworzył literacki collage, jakiego dotąd nie było.
Potem wspomagał się techniką cut-up, opracowaną wspólnie z malarzem Brionem

Gysinem. – Potnij słowa i spraw, by stworzyły nowy świat – mówił o niej Gysin. – Pisarz nie jest posiadaczem swych słów, tak samo, jak malarz nie posiada swych kolorów – wtórował mu Burroughs.
Metoda cut-up stwarzała jeszcze większe możliwości niż doświadczenia, które przeprowadzał Burroughs do tej pory. W cut-up oryginalny tekst cięto się na kawałki i mieszało to z fragmentami innego, obcego tekstu. Miało to odniesienia do stylu dadaistów, surrealistycznego malarstwa, było wręcz przeniesieniem freejazzowej improwizacji na motywach jakiegoś tematu na płaszczyznę literatury.
- Cut-up używać może każdy – mówił Burroughs. – To znaczne ulepszenie dotychczasowych prób kontaktu z duchami zmarłych poetów za pomocą medium. Potnij tekst Rimbauda, a możesz być pewny, że w najgorszym wypadku otrzymasz dobrą poezję, w najlepszym zaś – autor objawi ci się osobiście.
Co ciekawe, głodny nowych doświadczeń, Burroughs nigdy nie był entuzjastą pisania pod wpływem środków halucynogennych. "Nie lubię psychodelików" – podkreślał, najwyraźniej uznając miękkie narkotyki za niegodne twardego, męskiego życia. Kiedy zapytano go, w jaki sposób tworzy, odpowiedział w zaskakująco rzeczowy sposób:
- Wstaję z łóżka. Zwykle piszę między dziesiątą rano a szóstą wieczorem. Nie jadam lunchu. Pracuję jakieś sześć godzin dziennie. Potem idę na spacer.
- Czy uznaje pan jakieś zasady moralne?
- Zawsze uważałem, że moralność to nonsens.
"Nagi lunch" sfilmowany został ponad trzydzieści lat później, przez Davida Cronenberga (późniejszy twórca innego skandalizującego filmu: "Crash"), który zmieszał powieściowe wątki z biografią Burroughsa. Wielkie, mięsożerne stonogi brazylijskie, mówiąca odbytnica, uzębiona wagina i kopulująca maszyna do pisania – to tylko niektóre z przeniesionych na ekran koszmarów Burroughsa. "Nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone" – głosi motto filmu Cronenberga, pożyczone od legendarnego dowódcy arabskich "haszyszynów", Hassana I Sahby. W świecie Interzone rzeczywistość i halucynacja są nie do odróżnienia, a zatem nic nie jest prawdą.
Bohatera filmu, pisarza i specjalistę dezynsekcji, Williama Lee, zagrał Peter Weller. W doskonały sposób wybrnął z trudnego zadania, polegającego na rozmowach z mugwumpami (oślizłe, galaretowate zwidy z narkotycznej delirki), ćpaniu trutki na karaluchy i ekranowym wykonaniu "numeru z Wilhelmem Tellem". Wcześniej wśród kandydatów do roli Williama Lee pojawili się David Bowie, Jack Nicholson i Mick Jagger. Próbowano też nakręcić film na motywach "Ćpuna", lecz jak na razie bez efektu.
Samemu Burroughsowi też zdarzyło się wystąpić na ekranie. Pojawił się w filmie "Chappaqua" Conrada Rooksa (obok Allena Ginsberga i Ornette'a Colemana), opowiadającym historię ćpuna, który przebywa na kuracji odwykowej w drogiej, prywatnej klinice pod Paryżem. Burroughs kreuje w nim rolę Opium Jonesa – faceta, przed którym pacjenci płaszczą się i klękają, by otrzymać kolejną działkę.
Autor "Ćpuna" sam przeszedł podobną kuracje odwykową. Ostatecznie wyleczono go z nałogu w 1967 roku w Anglii, dzięki apomorfinie, którą zachwalał w słynnym, przedrukowywanym na kartach "Nagiego lunchu", liście do "Brytyjskiego Przeglądu Narkotycznego".
Po "Nagim lunchu" rozgłos zyskiwały kolejne książki: "Soft Machine", "Nova Express" i "The Western Lands". Intensywny tryb życia Burroughsa zmuszał go też do zarabiania na życie jako malarz. Nie pokojowy, rzecz jasna – kontynuował pracę rozpoczętą przez zmarłego Gysina, okazjonalnie wykonywał też ilustracje do własnych książek. W 1969 wydana została książka "The Job", zawierająca rozmowy

przeprowadzone pomiędzy Burroughsem a francuskim dziennikarzem Danielem Odierem.
Burroughs cieszył się szacunkiem zarówno wśród beatników, punków, jak i w kręgach filozofów popkultury. Jego nazwisko wymieniano często w towarzystwie Timothy'ego Leary, Marshalla McLuhana czy Andy'ego Warhola. Tym, co go interesowało w kulturze ery elektronicznej, była jednak ciągle kontrola. Kontrolę nad ciałem uosabiały dla niego narkotyki, a kontrolę nad umysłem – słowa. Słowa, w których ukryte jest wartościowanie poszczególnych elementów otaczającego nas świata. Słowa jako sposób montowania zdarzeń.
"Język jest wirusem" – głosi jedno z bardziej znanych zdań Burroughsa. Człowiek to – zdaniem autora "Ćpuna" – jedyne zwierzę, które uwięziło czas. Uwięziło go dzięki wynalazkowi słowa pisanego, które zapobiega utracie wiedzy – kolejne pokolenia przekazują sobie zgromadzony kapitał informacji.
- Zwierzęta też mają idee, koncepcje i sny, to oczywiste – twierdził Burroughs. – Ale nie mają słów. Mówią, lecz nie potrafią pisać.
Koncepcję "Language is a virus" podchwyciła Laurie Anderson, pisząc o niej piosenkę. Potem zaprosiła do studia nagraniowego samego Burroughsa. Tak powstała piosenka "Sharkey's Night" z jego monologiem.

Wkrótce Burroughs stał się popularny w muzycznym świecie. Kiedyś jazz-rockowe grupy Soft Machine i Steely Dan zaczerpnęły nazwy z jego powieści. Teraz każdy chciał mieć jego głos na swojej płycie: Bill Laswell, grupa Coil, Ministry, raperzy z Disposable Heroes of Hiphoprisy. W duecie z Kurtem Cobainem (gitara) Burroughs (głos) zarejestrował album "The Priest They Called Him", a wcześniej nagrał solową płytę, "Dead City Radio", na której czyta fragmenty swoich powieści i esejów. Wszystko dzięki charyzmatycznej osobowości i magicznej sile starczego głosu, wciąż głoszącego bulwersujące, rewolucyjne myśli. Powoływano się na niego, bo zdecydował się na nonkonformizm, kiedy współcześni buntownicy dopiero ząbkowali.
W 1957-59 r. Burroughs przebywa razem z Brionem Gysinem w Paryżu, w słynnym "Beat Hotel", przy ulicy 9 Rue Git-le-Coeur, gdzie zapraszają go, zafascynowani tym miejscem, Allen Ginsberg oraz Peter Orlovsky. Tam też natyka się na kontrowersyjną legendę filmu undergroundowego, Antony'ego Balcha, przyjaciela i dystrybutora filmów Kennetha Angera.
Wraz z nim powstają trzy perły podziemnej kinematografii: "Towers Open Fire" (1963), "The cut-ups" (1966), "Ghost at no 9" (1963-1972) oraz "William Buys a Parrot" (1959) – wszystkie realizowane metodą cut-up. Zdjęcia do filmów powstają w Tangierze, Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. W tym miejscu razem ze swoim kochankiem, Ianem Sommervillem, Burroughs przeprowadza też pierwsze próby ze skonstruowaną przez Gysina, "maszyną snów" (dream machine) – urządzeniem wywołującym w mózgu stany alfa.
Wielki nałóg Burroughs nie przemija. Pomimo tego, że w 1957 poddaje się kuracji apomorfinowej w Londynie, która przynosi skutek na pewien czas uwalniając go od heroiny, powraca do narkotyku w Nowym Jorku, gdzie osiada na początku lat '70, by nauczać w City College of New York. Od opiatów Burroughs będzie faktycznie uzależniony aż do śmierci (tuż przed jej nadejściem wciąż uczestniczy w programie rządowym i zażywa metadon).
Przez ten czas nawiązuje jednak nowe, bardzo twórcze przyjaźnie i wchodzi we współpracę artystyczną z takimi osobistościami, jak: Andy Warhol, John Giorno, Patti Smith, Susan Sontag, Dennis Hopper, Terry Southern, David Bowie, Iggy Pop, Mick Jagger, Frank Zappa, Lou Reed, David Byrne i Joe Strummer. W tym czasie Bitnicy stawali się już w Stanach Zjednoczonych legendą, dzięki ruchom kontrkulturowym lat '60, które wyniosły ich do rangi kultu, poświęcano im więc coraz więcej opracowań naukowych i artykułów w prasie codziennej, a oni sami bez trudu znajdowali zajęcie.
Wciąż wyglądający jak tajemniczy suchotnik, Burroughs staje się teraz ulubieńcem następnego pokolenia artystów, muzyków, pisarzy, reżyserów i dziennikarzy, zafascynowanych ciemną stroną życia. Wielu z nich traktuje go niemal, jak guru i nauczyciela pragnąc skorzystać z jego głębokiej wiedzy na temat ludzkiej natury.
Zespół Ministry kręci teledysk "Just One Fix" (1992) z jego udziałem. Grupa Sonic Youth pomaga produkować jego album spoken word pt. "Dead City Radio"(1990).
Występuje także w czarnej komedii "Drugstore Cowboy" (1989) w reż. Gusa van Santa, oraz w cyberpunkowej dystopii "Decoder" (1984), w reż. Muschy. Powstają o nim także filmy dokumentalne tj. "William S. Burroughs: Commissioner Of Sewers" (1991) w reż. Klaus Maecka. W międzyczasie przystępuje do kontrowersyjnego Kościoła Scjentologicznego, z którego jednak szybko odchodzi nie mogąc się przekonać do jego struktury i szemranych działań.
Ostra polemika pomiędzy nim, a tą organizacją sięgnie nawet znanego miesięcznika muzycznego "Rolling Stone". W 1993 Burroughs staje się za to członkiem międzynarodowego paktu – Illuminati Of Thanateros, utworzonego z inicjatywy magów chaosu, tj. Petera Carrolla. Jego członkostwo będą też próbowały dorabiać sobie niektóre loże thelemicznego O.T.O.
Burroughs do końca życia podróżował. Przez dłuższy czas mieszkał w Londynie (1966–73), Nowym Jorku (1974–81) i Lawrence (od 1981 – wówczas na marskość wątroby zmarł jego syn)., gdzie 2. sierpnia 1997 r. zmarł na serce.

Oprac. Pablo

MUNDO PERDIDO - WYPRAWA DO GWATEMALI

Po zakończeniu poprzedniej podróży spodziewałem się, że kiedyś jeszcze odwiedzę Środkową Amerykę. Nie spodziewałem się jednak, że stanie się to tak szybko. Jednak niedługo po powrocie z Panamy i Kostaryki, jeszcze zanim nawet zacząłem myśleć o planowaniu kolejnego wyjazdu, zupełnie przez przypadek wpadła mi w ręce wspaniała książka – „Królestwo złotych łez" znanego ze świeckich interpretacji Biblii Zenona Kosidowskiego. Pozycja ta traktuje co prawda o konkwiście państwa Inków, ale skierowała mnie ona na tory zainteresowania historią amerykańskich Indian w ogóle.

Czytałem więc kolejne książki, wyszukiwałem interesujące mnie artykuły i informacje w necie, poszerzałem swoją wiedzę i dowiadywałem się coraz to nowych i coraz bardziej interesujących rzeczy, jednocześnie polując na jakieś ciekawe promocje lotnicze. Gdy więc pojawiła się w miarę sensowna, choć nie zwalająca z nóg, jak ta poprzednia, oferta na loty do Gwatemali, nie zastanawiałem się długo. Namówienie Aśki nie było problemem – szybko kupiliśmy bilety i kilka miesięcy później, wypatrując świebodzińskiego Chrystusa, który ma nam błogosławić na drogę, znowu siedzimy w pociągu do Berlina, z którego ponownie mamy wylecieć.

W stolicy Niemiec spędzamy kilka godzin, które upływają nam na spacerowaniu i chowaniu się przed siąpiącym deszczem w knajpkach, w których pochłaniamy kolejne dobre piwka, a także na staniu w korku w zatłoczonym autobusie zmierzającym na dworzec lotniczy. Berlińskie lotnisko nie dość, że stare, brzydkie i niewydolne, jest dodatkowo wyjątkowo kiepsko skomunikowane. Z centrum miasta prowadzi do niego jedna, momentami jednopasmowa ulica i choć nie jest tam daleko, jedzie się naprawdę długo. Zwłaszcza, że tym razem trafiamy na okropny korek. Niektórzy zdesperowani pasażerowie wysiadają wręcz na wcześniejszych przystankach i w kierunku terminalu puszczają się biegiem. Szkoda jest gdy po kilku minutach ich wyprzedzamy. My mamy sporo czasu, więc bez problemu odprawiamy się i przyjmujemy kilka piwek przed długą podróżą.

OGROM MEXICO CITY

W Paryżu przesiadamy się do dreamlinera, który rzeczywiście jest całkiem wygodny (głównie ze względu na to, że pomiędzy siedzeniami jest trochę więcej miejsca niż w starych boeingach czy innych airbusach), i lecimy do Meksyku. Tam docieramy wcześnie rano, więc po odprawie paszportowej jeszcze urządzamy drzemkę w terminalu, pijemy kawę i dopiero wtedy ruszamy na miasto.

Jedziemy taksówką i szybko zostajemy przytłoczeni rozmiarami Mexico City. Jak okiem sięgnąć wypełnione do granic możliwości ślimaki i wiadukty wielopasmowych autostrad wiją się na wielu poziomach, przecinając się, łącząc i rozjeżdżając na wszelkie możliwe strony. Ulokowane poniżej rozciągniętych na wielkich kolumnach dróg, zabudowania przedmieść wyglądają jak wielkie mrowisko, z którego co chwila wystają długie patyki – w rzeczywistości są to wysokie na kilkanaście do kilkudziesięciu metrów słupy podtrzymujące ogromne plansze reklamowe, które muszą się piąć coraz bardziej do góry, by być widocznymi dla kierowców tkwiących w wielokilometrowych korkach. Te z kolei są tak ogromne, że wydaje się, że nigdy nie da się z nich wydostać. Jednak wszystko jakoś działa i sznur samochodów co chwila, jakby na komendę, przesuwa się o kilkaset metrów, by znów zatrzymać się na parę minut. Po zjeździe z autostrady zrobiło się trochę luźniej i w końcu docieramy do celu, Narodowego Muzeum Antropologicznego. Chcę koniecznie obejrzeć jego sławne na całym świecie wystawy dotyczące kultur prekolumbijskich, a do tego zamierzam się na wystawę azteckich kodeksów – jest to wyjątkowa okazja, bo są one wystawione dla publiczności po raz pierwszy i tylko na krótki czas.

Na początek odbijamy się od drzwi muzeum, które przez jakiś czas będzie jeszcze zamknięte. Wybieramy się więc na spacer ulicami Meksyku i zbijamy trochę czasu na kolejnej tego poranka kawie. Po powrocie mieszamy się z tłumem turystów przy wejściu do muzeum, ale zaraz odnajdujemy spokój w salach, w których wystawiane są rzeczone księgi. Tam zorganizowane grupy nie docierają, a my możemy spokojnie podziwiać 44 meksykańskie kodeksy. Są one bezcennym źródłem informacji o przedhiszpańskiej kulturze Meksyku, a jednocześnie stanowią dowód znacznego zaawansowania społecznego i naukowego rdzennej ludności. W kodeksach można odnaleźć tak informacje na temat wierzeń i rytuałów religijnych Azteków (którzy sami siebie nazywali Mexikami), jak i te dotyczące kosmologii, zapisów kalendarzowych, historii i geografii. Wiele z nich, wykonanych z niezwykłą dbałością o szczegóły, jest też prawdziwymi dziełami sztuki, utrwalonymi na wykonanym

tradycyjnymi metodami papierze – często są to wielkie płachty lub składane w harmonijkę książki, które po rozłożeniu ciągną się przez kilka metrów.
Wystawa jest tak ciekawa, że spędzamy na niej naprawdę sporo czasu, w efekcie czego zaspokajamy naszą potrzebę przebywania w muzeum. Zaglądamy jednak jeszcze do sal poświęconych Aztekom i Majom, gdzie oglądamy, ale niezbyt już dokładnie, ciekawe ekspozycje, na które składają się rekonstrukcje piramid, grobowców, albo oryginalne dzieła sztuki i architektury, jak majańskie stele z zapisami historycznymi, czy, znane choćby z popularnych motywów na tatuaż, azteckie koło kalendarzowe. Muzeum przytłacza ilością zgromadzonych artefaktów – żeby wszystko dokładnie obejrzeć i przeczytać na pewno nie wystarczyłoby jednego dnia, a jako, że nie mamy nawet tego, bez żalu rezygnujemy z dalszych części wystawy i ruszamy na miasto.
Idziemy zatłoczonymi ulicami i nie bez trudu znajdujemy wejście do metra, które otoczone jest oblejonymi starymi plakatami płotami, sklepikami i niezliczonymi straganami, w których można kupić niemal wszystko – od owoców i kanapek na ciepło, przez pieluchy i ubranka dla dzieci, do pirackich płyt z muzyką i filmami. Dwoma podziemnymi kolejkami docieramy do centrum miasta i wysiadamy na placu Zocalo, na którym odbywają się wszelkie uroczystości państwowe, ale też wiece czy protesty. Tam tez miało miejsce słynne przemówienie Marcosa, rzecznika Zapatystów. Podziwiamy monumentalną i robiącą ogromne wrażenie architekturę: sakralną – katedrę Miasta Meksyk i świecką – rządowe Palacio Nacional. Ten ostatni budynek został wybudowany w miejscu, w którym do przybycia Hiszpanów stał pałac Motecuhzomy II (Montezumy II). Palacio Nacional został zbudowany w dużej mierze z materiałów uzyskanych po zniszczeniu siedziby ostatniego króla Azteków.
Po spacerze ulicami Starego Miasta zatrzymujemy się w lokalnej wegetariańskiej knajpie, a po posiłku uznajemy, że nie chce nam się już męczyć w upale i siadamy w innym barze, gdzie jeszcze chwilę popijamy schłodzone piwko. W końcu nadchodzi czas powrotu na lotnisko, na które tym razem wybieramy się metrem, którego w Meksyku jest aż dwanaście linii, dzięki czemu kolejką można dojechać w naprawdę wiele miejsc. Dość powiedzieć, że żeby dotrzeć do celu, musieliśmy przesiąść się dwa razy, a w ogóle nie musieliśmy wychodzić spod ziemi. Na hali odlotów pokrzepiamy się kolejnym piwkiem i czekamy na samolot, który zabiera nas już do Gwatemali. Lot przebiega spokojnie, ale jesteśmy jedynymi pasażerami, którzy nie dostają nic do jedzenia. Wymyśliliśmy sobie, kurna, że nie chcemy mięsa i pomimo zaznaczenia odpowiedniej opcji przy kupowaniu biletu, zadziwiamy tym obsługę samolotu.

TORTILLA, TACOSY, PIWO I GWATEMALA

Do Gwatemali docieramy późnym wieczorem, więc po wyjściu z lotniska od razu wsiadamy do samochodu i jedziemy do oddalonej od Guatemala City o kilkadziesiąt kilometrów, dawnej stolicy kraju, która nazywa się po prostu Antigua Guatemala (Stara Gwatemala). Do hotelu docieramy, jak szybko obliczamy, po pięćdziesięciu trzech godzinach od wyjścia z domu. Dawno nie byliśmy tak zmęczeni podróżą, więc bardzo szybko zasypiamy.
Kolejnego dnia o dziwo budzimy się bez większych problemów i w miarę wcześnie, ale po krótkim spacerze stwierdzamy, że jednak cały czas odczuwamy długą podróż. Spędzamy więc ten dzień bardzo spokojnie, niemalże leniwie. Na szczęście Antigua jest idealnym do tego miejscem. Miasto nie jest duże, jego centrum to kilkadziesiąt wąskich uliczek przecinających się pod kątem prostym, centralny punkt to oczywiście rynek z kościołem i budynkami administracji miejskiej. Wszystkie zabudowania są niskie, najwyżej jednopiętrowe i wzniesione w stylu kolonialnym. Gdzieniegdzie wciąż można się natknąć na ruiny kościołów, klasztorów i innych zabudowań, które zostały zniszczone w wyniku dwóch trzęsień ziemi, jakie miały miejsce w 1773 roku. To właśnie wtedy władze kolonialne zdecydowały się na wybudowanie nowej stolicy w innej lokalizacji.
Spacerujemy nieśpiesznie brukowanymi ulicami, zaglądamy do miejscowego muzeum archeologicznego, które niestety jest zamknięte bo tego dnia ktoś tam urządza wesele, przysiadamy w knajpce na obiad. Ot, tak jak zaplanowaliśmy,

dzień poświęcony na relaks po zdecydowanie zbyt długiej podróży. Jedyna poważniejsza aktywność tego dnia to odwiedzenie miejscowego targowiska. Zjeżdżają na nie Indianie z całej okolicy, żeby handlować rękodziełem, płodami rolnymi, rzadziej zwierzętami i wszelkimi rzeczami jakie można znaleźć na bazarach w każdym kraju, w którym te funkcjonują. Obok tego zwykłego targowiska, jest inne - duże, ładnie urządzone i dokładnie rozplanowane targowisko, na którym sprzedaje się wszystko czym mogą być zainteresowani turyści. Warto jednak na nie zajrzeć, bo oprócz standardowej tandety – koszulek, magnesów i kapeluszy, można tam choćby pooglądać miejscowe wyroby rękodzielnicze i tkackie – drewnianą i metalową biżuterię, często wyrabianą na miejscu, obrazy, małe rzeźby czy tradycyjne indiańskie stroje. Można tam spokojnie spędzić trochę czasu, nawet jeżeli nic się nie kupuje.

Po odwiedzeniu bazaru, kolejnym krótkim spacerze i kolacji popitej lokalnym piwkiem, wracamy w miarę wcześniej do naszego hoteliku. Następnego dnia musimy wcześnie wstać bo jedziemy dalej, do Panajachel. W Gwatemali spędzimy w sumie tylko jedenaście dni, więc to nie będzie podróż, w czasie której odpoczniemy.

Rano, zaraz po wczesnym śniadaniu, wrzucamy nasze plecaki do białego turystycznego busika i ruszamy na północny zachód, do małego miasteczka położonego nad jeziorem Atitlan. Nie obywa się bez zawirowań, bo po drodze busik się psuje i musimy często robić przerwy by ochłodzić silnik i dolać wody do dziurawej chłodnicy. Do Panajachel, położonego malowniczo na wzgórzach gór otaczających jezioro, docieramy więc późno i nie mamy już czasu by tego dnia zrobić coś sensownego. Kupujemy książki w małej księgarni i załatwiamy przewodnika na następny dzień, zaglądamy do niewielkiego muzeum, w którym oglądamy ciekawą wystawę dotyczącą prac archeologicznych na dnie jeziora, gdzie kiedyś znajdowało się jedno z miast Majów. Po obiedzie spacerujemy jeszcze trochę po miasteczku. Niby nic szczególnego w nim nie ma, ot zwykła turystyczna miejscowość, ale jest całkiem przyjemnie: ludzie są mili, ulice, choć głośne i zakurzone, sprawiają wrażenie zadbanych, jest sporo knajpek, w których można zjeść tortille, tacosy i napić się piwa. Panajachel nie jest bardzo duże, ale i tak nie poruszamy się cały czas pieszo, bo za równowartość pięciu złotych można wszędzie dojechać tuktukiem. Tych w całej Gwatemali jest tak dużo, że momentami czujemy się jakbyśmy byli w Azji.

Po znów zbyt krótkiej nocy, chwilę po ósmej rano ruszamy na wreszcie porządną wycieczkę. Z Juanem, naszym przewodnikiem, mamy zamiar urządzić całkiem niezły trekking po wzgórzach i zboczach brzegu wulkanicznego jeziora Atitlan. Najpierw ładujemy się do łódki, która wiezie nas do przystani w wiosce Santa Cruz La Laguna, z której w dalszą drogę ruszamy już pieszo. Na początku idziemy dobrą ścieżką tuż nad brzegiem jeziora, którego fale rozbijają się o skały kilka metrów pod nami. Podziwiamy wspaniałe widoki przeciwległego brzegu, a w oddali możemy dostrzec kłęby dymu wydobywające się z jednego z wulkanów niedaleko Antiguy. Szybko, jeszcze przed dotarciem do najbliższej wsi, dołącza do nas przesympatyczna i rezolutna suczka, taka trochę w stylu labradora, która będzie nam towarzyszyć praktycznie przez całą wędrówkę.

Niedługo potem, już pełną ekipą, docieramy do Jaibalito. Jest to mała indiańska miejscowość, której mieszkańcy wciąż żyją bardzo tradycyjnie. Choć przy głównej uliczce rozstawiły się aż trzy kościoły: dwa katolickie i jeden protestancki, to miejscowi zachowali swoje tradycyjne wierzenia i rytuały, często po prostu mieszając je z religiami chrześcijańskimi.

Kobiety w Jaibalito, jak w większości miejsc na gwatemalskich wyżynach, cały czas również ubierają się w tradycyjne stroje, niemal identyczne z tymi, które nosiły ich przodkinie przed przybyciem na te ziemie Hiszpanów. Noszą kolorowe spódnice, bluzki zdobione wzorami charakterystycznymi dla ich miasteczka (po bluzce można określić miejsce zamieszkania kobiety) i przeróżne nakrycia głowy – od zwykłych chust do czegoś w rodzaju kocyków złożonych w kostkę i po prostu położonych na czubku głowy. Na głowie kobiety noszą też inne rzeczy: kosze z ubraniami i owocami, worki z kawą, a czasem nawet kilka palet jajek. I nic nigdy nie spada – kobiety zdobywają te umiejętności już w

dzieciństwie, po drodze mijamy nawet kilkuletnie dziewczynki noszące mniejsze kosze. Chłopcy też noszą – duża część lokalnych społeczności utrzymuje się z upraw kawy i spotykamy dziesięciolatków, którzy na plecach lub za pomocą szerokiego pasa zaczepionego na czole, targają jutowe worki wypełnione nawet trzydziestoma kilogramami nasion. Akurat teraz są wakacje – dostosowane zresztą do pory zbiorów, przy których dzieciaki pomagają – ale Juan zapewnia, że po nich praktycznie wszystkie dzieci chodzą do szkoły.

Mężczyźni z okolic jeziora Atitlan najczęściej pracują fizycznie, na roli bądź na budowach. Juan twierdzi, że to ze względu właśnie na ten fakt bardzo rzadko spotyka się tych ubranych tradycyjnie, a jeśli nawet, to są to seniorzy. Ubrania te są bardzo drogie i szkoda ich używać przy pracach, przy których bardzo łatwo mogą się zniszczyć. Nie bardzo jednak kupujemy te wyjaśnienia - w końcu kobiety też pracują, a poza tym wieczorami w Panajachel można spotkać wystrojone pary młodych ludzi: dziewczyny oczywiście w sposób tradycyjny, ale wyżelowani kolesie noszą jeansy, złote łańcuchy i białe koszule wpuszczone w spodnie, albo piłkarskie koszulki, z reguły jednego z dwóch najpopularniejszych klubów hiszpańskich. Taki to los kobiet, że oczekuje się od nich bardziej tradycyjnego podejścia do życia…

Kolejne kilometry drogi pokonujemy idąc z reguły pod górę, malowniczymi ścieżkami, drewnianymi mostami rozciągniętymi nad potokami górskimi, a czasem też szerokimi piaszczystymi drogami, na których spotykamy uśmiechających się do nas miejscowych mieszkańców lub mijamy wraki ciężarówek, które jakimś cudem tu wjechały, ale zjechać już nie dały rady. Docieramy do Tzununa, kolejnego malutkiego indiańskiego miasteczka. Jako, że jest środek dnia, jego uliczki są raczej puste, czasem tylko przebiegają nimi kilkuletnie dzieciaki ganiając się nawzajem, lub przechodzą kobiety mające swoje sprawy na głowie. Robimy tam jednak przerwę i siadamy na ławeczce przy miejscowym sklepiku, w którym, a jakżeł, można kupić zimną coca-colę i pepsi w półlitrowej szklanej butelce, którą biorę „na miejscu". Zakupy pomaga zrobić nam Juan rozmawiając ze sprzedawcą i kilkoma zainteresowanymi nami klientami w Kaqchikel, języku miejscowych Majów. Oczywiście dogaduje się sprawnie i szybko, ale co ciekawe, jest to dla naszego przewodnika język obcy. Sam pochodzi z terenów położonych po drugiej stronie jeziora, zamieszkanych głównie przez Majów Tz'utujil i to ten język jest jego ojczystym. Obydwa dialekty są oczywiście do siebie podobne, ale za dużo jest jednak różnic, żeby można było swobodnie się dogadać nie znając języka rozmówcy. Nie tylko w rejonie jeziora Atitlan występują takie ciekawostki antropologiczne i lingwistyczne – w Gwatemali oprócz hiszpańskiego, używa się jeszcze dwudziestu jeden języków majańskich (oraz dwóch języków indiańskich spoza majańskiej rodziny językowej) i niczym szczególnym nie jest sytuacja, gdy dwoje mieszkańców sąsiednich wiosek musi porozumiewać się ze sobą po hiszpańsku, albo nie mogą zrobić tego wcale, bo jest jeszcze sporo miejsc, w których znajomość języka Latynosów jest daleka od powszechnej. Według różnych opracowań Majowie mogą stanowić nawet 65% ludności kraju, można więc śmiało stwierdzić, że Gwatemala to prawdziwy tygiel kulturowy i językowy, w którym znajomość języka urzędowego nie zawsze gwarantuje możliwość porozumienia się z jego mieszkańcami.

Omijamy „centrum" Tzununy i idziemy dalej

górskimi ścieżkami. Po drodze do naszej suczki dołączył jeszcze jeden pies, ale ten nie szedł z nami przez całą drogę. Za to nasza pupilka pilnowała się nas aż dotarliśmy do San Marcos La Laguna, ostatniego celu wycieczki – tam zdecydowała się pochodzić swoimi drogami, a my wspinamy się jeszcze kawałek po zboczu, aż trafiamy na mały taras, z którego można skoczyć do rozciągającego się jakieś 10-12 metrów niżej jeziora. Muszę się trochę zebrać na odwagę, ale w końcu wykonuje dwa skoki. Kąpiel w chłodnych wodach jeziora po całodziennym marszu w temperaturze przekraczającej znacznie 25 stopni to bardzo przyjemna i odświeżająca aktywność. Po niej zostaje nam już załadować się na łódkę. Na niej znowu spotykamy się z naszą suczką, którą sternik ewidentnie zna, bo wysadza ją, choć trochę wbrew jej woli, opodal miejsca, w którym do nas dołączyła. Do Panajachel docieramy wczesnym wieczorem, więc po jedzeniu i kilku odświeżających piwkach, uderzamy w kimono.

HARMIDER I CHAOS

Znów wstajemy wcześnie rano i tym razem tuktukiem docieramy do ulicy, z której odjeżdżają znane nam już z Panamy amerykańskie autobusy szkolne, które po wycofaniu z użytku w Stanach i wizerunkowym tunningu służą jeszcze wiele lat m.in. właśnie w Gwatemali; zwane tutaj chicken busami. Ładujemy się do tego jadącego do niedalekiej Sololi i tam też sprawnie łapiemy kolejny, jadący do El Cuentros. Tam organizujemy transport do Chichicastenango, w którym już mamy wysiąść, żeby znaleźć kolejny autobus, ale okazuje się, że nasz jedzie dalej, aż do Santa Cruz del Quiche, do którego to musimy dotrzeć, żeby znaleźć kolejny autobus, który zawiezie nas do celu, czyli do Nebaj. Sama podróż chickenbusami jest bardzo ciekawym doświadczeniem. W tych kilku, w których jedziemy, raczej nie spotykamy innych turystów. W środku tłoczą się miejscowi Indianie – mężczyźni jadący do pracy, tradycyjnie ubrane kobiety i dużo dzieciaków. Przepychają się przez siebie, ładują się na zajęte już siedzenia, wnoszą do środka masę przeróżnego towaru – od jajek, przez wszelkiego rodzaju towary, aż do żywych kur (stąd ich nazwa). Mimo, że niemal nieustannie panuje hałas i chaos, wszystko działa raczej sprawnie i wszyscy są dla siebie mili. Do nas też wszyscy odnoszą się z sympatią i od czasu do czasu mniej lub bardziej śmiało zagadują.

Harmider i chaos panują też na dworcach, którymi często są po prostu pobocza dróg albo jakieś zaułki. Tylko w większych węzłach komunikacyjnych jest to wydzielony plac, choć oczywiście nie znaczy to, że jest to dworzec w europejskim znaczeniu tego słowa. Chaos jest jednak pozorny, bo wszystko bardzo dobrze funkcjonuje, ale harmider panuje tam ogromny. Zwłaszcza w Santa Cruz dało się to odczuć. Na plac ubitej ziemi, otoczony z każdej strony małymi sklepikami i budkami z żarciem, co chwila zewsząd wjeżdżają autobusy, busiki, taksówki i tuktuki mijające się z tymi wyjeżdżającymi. Kolesie, którzy pobierają opłaty za przejazd, nigdy kierowcy, nawołują pasażerów, prowadzą ich na siłę do swoich autobusów i co chwila wykrzykują nazwy miejscowości, do których jadą. Pomiędzy tym wszystkim i czekającymi na odjazd maszynami, krążą niezliczeni handlarze, którzy sprzedają dosłownie wszystko: słodycze, lody, przekąski, lekarstwa, zegarki, torebki, kosmetyki, owoce, brzytwy… wszystko. Oczywiście handlarze wsiadają też do autobusów i jeśli nie dokonają transakcji przed odjazdem, często muszą wyskakiwać w biegu. Przecież żaden kierowca nie będzie bez sensu zatrzymywał swojego pojazdu, który dopiero co ruszył! Do naszego autobusu wbił się nawet kaznodzieja, który gadał przez dobre dziesięć minut zanim zebrał datki. On na szczęście zdążył wysiąść przed odjazdem.

Do Nebaj jedziemy jeszcze około trzech godzin, z których dwie ostatnie to raczej powolne pokonywanie stromych wzniesień i ostrych, zawiniętych nawet o 180 stopni, następujących jeden po drugim zakrętów. Widoki na takich górskich drogach są niesamowite, ale trzeba wspomnieć też o tym, że kierowca potrafi na takich zakrętach wyprzedzać i, zwłaszcza gdy droga wije się tuż przy kilkusetmetrowej przepaści, trochę pocą mi się ręce.

CMENTARZE, OŁTARZE I RYTUAŁY

Na miejsce docieramy po 15. i po zameldowaniu się w hotelu od razu dogadujemy się z miejscowym ok. 45-letni Indianinem z niepełnosprawnością (chodzenie sprawiało mu ewidentną trudność). Zabiera on nas na spacer poza centrum miasta, gdzie Nebaj szybko staje się niemal wsią, w której po piaszczystych drogach biegają kury, a zza płotów ujadają psy. Chodzimy różnymi dziwnymi zaułkami, schodkami, dróżkami i ścieżkami w polach kukurydzy (tam natykamy się nawet na patrole wojska szukające konsumentów marihuany), którymi docieramy do świętych miejsc, od mniej więcej 450 lat służących miejscowym Majom do odprawiania religijnych ceremoniałów. Obecnie religie gwatemalskich Indian to mieszaniny starych majańskich wierzeń i przesądów z chrześcijańskimi dogmatami i symbolami. Np. często w katolickich świętych Majowie widzą odpowiedniki swoich bogów i nadają im takie same przymioty, używają też krzyży, uznają wiele elementów liturgii i wierzą w boga-stwórcę, jednocześnie pozostając wiernymi animistycznym tradycjom nakazującym szacunek dla świata duchowego, który jest obecny obok realnego, i przypisującym nadprzyrodzone właściwości i moce rzeczom, roślinom, żywiołom i miejscom.

Pierwsze z takich miejsc, do których docieramy, nosi nazwę Jues – jest to zadaszone palenisko i ołtarzyk, przy których odprawia się rytuały na rzecz uzdrowienia wszelkiego rodzaju chorych osób. Sami chorzy też tam przychodzą. Mamy szczęście, bo akurat gdy tam docieramy jakaś kobieta z dwoma córkami kończy swoje modły. Wypowiada głośno, a czasem mamrocze pod nosem niezrozumiałe dla nas słowa w języku Ixil, wyrzuca ręce w górę, kołysze się i na płonące świeczki, ustawione na ołtarzyku obok złamanego krzyża i kwiatów, zamaszystymi ruchami wylewa z plastikowej butelki alkohol, który zamienia się w buchające wysoko i głośno jasne płomienie.

Drugie święte miejsce to palenisko przy drzewie rosnącym na końcu biegnącej pod górę ścieżki rozdzielającej dwa odgrodzone drutem kolczastym gospodarstwa, którą trzeba się wspinać przez kilkadziesiąt metrów. Tam załatwia się sprawy związane z płodnością. Jeśli kobieta chce zajść w ciążę, przychodzi tam co piętnaście dni by złożyć ofiarę z jedzenia i ognia. Jeśli spełni się jej życzenie musi ponawiać rytuał regularnie w trakcie ciąży i jeszcze przez jakiś czas po urodzeniu dziecka.

Kolejny ołtarzyk wygląda podobnie, z tym że mieści się w polu kukurydzy i można przy nim zapewnić sobie dobre plony i dobre zdrowie dla zwierząt gospodarskich, szczególnie koni.

Na koniec trafiamy na niezwykle kolorowy i stanowiący niezły plan zdjęciowy cmentarz. Na jego środku stoi domek nazywany Casa Comon, w którym odprawia się rytuały w intencji zmarłych, ale też prosi się zmarłych o pomoc żywym. Rytuał, który znowu udaje nam się obejrzeć, wygląda podobnie do tego pierwszego, jednak starsza pani towarzysząca odprawiającemu go mężczyźnie jest wyraźnie niezadowolona z naszej obecności, więc szybko się wycofujemy.

Po długim i pełnym wydarzeń dniu szybko zasypiamy, pomimo tego, że okno naszego

pokoju wychodzi na głośną i zakurzoną ulicę. Rano wybieramy się na kolejną wycieczkę, która jednak jest na tyle nieudana, że warto jedynie wspomnieć o tym jak natknęliśmy się na stado sępów ucztujących na martwej krowie. Po południu spędzamy za to trochę czasu w samym Nebaj. Miasto jest bardzo ciekawe, z klasycznym rynkiem, na którym jest kościół i park, wokół którego siedzą Indianki sprzedające jedzenie z dużych garnków owiniętych kocami by utrzymać temperaturę. Po kilkukrotnych próbach znalezienia czegoś bez mięsa, które podejmuję korzystając z moich mocno ograniczonych zasobów niedawno poznanego języka hiszpańskiego, już mam zrezygnować z jedzenia na ulicy, ale w końcu u jednej z kobiet trafiam na przepyszne warzywne taco.

Z rynku promieniście rozchodzą się ciasne ulice, przy których mieszczą się sklepy, warsztaty i małe hoteliki. W jednym z bocznych zaułków trafiamy do kantyny, w której nie sprzedaje się nic prócz piwa. Za barem stoi kobieta nieokreślonego wieku i tradycyjnie ubrana dziewczynka. Lodówka, wypełniona po brzegi bravą, zasłania materac i jakieś ubrania i sprzęty domowe – ewidentnie sprzedawczynie mieszkają na miejscu. Ciekawe tylko czy zmieniły swój dom w knajpę, czy może możliwość mieszkania jest jednym ze składników ich wynagrodzenia. Kupujemy sobie po butelce i siadamy przy plastikowym stoliku ustawionym na gołej betonowej podłodze, przy ścianie udekorowanej plakatami reklamującymi lokalne browary. Popijamy chłodny napój i odpoczywamy od zgiełku miasta.

KRAJ BRUTALNEGO WYZYSKU

Nebaj to nieoficjalna stolica Majów Ixil, na jego ulicach widać głównie właśnie ludność rdzenną. Populacja Ixil to ok. 100 tysięcy ludzi, z czego większość mieszka w tym regionie. Miejscowi Majowie to grupa ludności, która prawdopodobnie najbardziej ucierpiała w trakcie gwatemalskiej wojny domowej. Około 7000 z nich zostało zamordowanych , a według różnych szacunków, nawet 60 % całej populacji musiało opuścić swe domy i szukać schronienia w wysokich górach i lasach. Gwatemalski prezydent z początku lat osiemdziesiątych, Efrain Rios Montt, jest oskarżony o polecenie zabicia przeszło 1700 osób z miejscowej społeczności. Ixil byli uważani przez gwatemalskie władze za sprzymierzeńców lewicowej partyzantki i niemal zostali poddani planowej eksterminacji. Gwałty, porwania, morderstwa, palenie wiosek i głodzenie całych społeczności były narzędziami, tradycyjnie wspieranych przez Stany Zjednoczone, władz i wojska do walki z „terrorystami".

Wsparcie krwawych prawicowych dyktatur przez rządy USA ma długą i trwałą tradycję. Ameryka Środkowa była zawsze uważana w Stanach za własne podwórko, przedsionek właściwej Ameryki, i miejsce gdzie samemu zaprowadzało się porządki. Gwatemala jest sztandarowym tego przykładem i wręcz podręcznikowym przypadkiem państwa określanego mianem bananowej republiki.

Od momentu powstania, czyli od hiszpańskiej, a później prowadzonej z ziem obecnego Meksyku, konkwisty, Gwatemala była folwarkiem swoich władców. Rządzona przez mniej lub bardziej krwawych dyktatorów była krajem przyjaznym dla bardzo wąskiej elity hiszpańskiego pochodzenia – polityków, sędziów i części najwyższych wojskowych, ich rodzin oraz dla latyfundystów, np. niemieckich plantatorów kawy (którzy zachowali całkowitą odrębność kulturową, a w latach 30. i 40. XX w. urządzali nawet marsze poparcia dla Hitlera). Już nawet dla Latynosów była miejscem, w którym nie żyło się łatwo. Dla ludności rdzennej była po prostu krajem brutalnego wyzysku. Majowie, nawet jeśli nie byli de facto niewolnikami na plantacjach kawy, owoców i trzciny, żyli w biednych wsiach, gdzie uprawiali swoje i niewydajne skromne poletka, cierpieli głód i niewyobrażalną nędzę. Przez uprzywilejowaną część społeczeństwa traktowani byli jako tania, a często nawet darmowa siła robocza. Latyfundyści uznawali wioski indiańskie położone w okolicach swoich posiadłości za własność, a ich mieszkańców za swoich niewolników, których do pracy mogli zmuszać w dowolny sposób – poprzez gwałty, porwania, tortury czy nawet morderstwa.

Tak to funkcjonowało przez kilka stuleci, aż do czasów, gdy przy wsparciu amerykańskiego ambasadora prezydentem został Jorge Ubico, generał gwatemalskiej armii. Być może Gwatemala dalej istniałaby sobie jako takie państwo, ale

Ubico, nawet jak na tamtejsze warunki, przesadził. Prezydent był zwyczajnym faszystą. Zakazał jakiejkolwiek działalności politycznej w kraju, wydał szereg rasistowskich aktów prawnych – np. przymus pracy dla Indian oraz rozporządzenie, na mocy którego porywano Majów z regionu Peten i umieszczano ich w ogrodzie zoologicznym (!) w stolicy. Tak usilnie zabiegał o zagraniczne inwestycje, że amerykańska firma United Fruit Company stała się największym posiadaczem ziemi w kraju i realnym, a wręcz najsilniejszym, graczem politycznym Gwatemali. Pod dyktando United Fruit pisane były ustawy, zawierane kontrakty i prowadzone inwestycje. Do firmy należało 100% torów kolejowych i miasto stanowiące największy port kraju- Puerto Barios.

Rządy Ubico doprowadziły do masowych protestów i strajków, wobec czego za namową armii, dyktator ustąpił, a prezydentem został najbliższy współpracownik Ubico, który był tylko marionetką w rękach swojego poprzednika. To jednak nie wystarczyło i po krótkim czasie, w 1944 r., doszło do rewolucji poprowadzonej przez lewicowych oficerów armii i obalenia reżimu. Po wyborach prezydentem został filozof Juan Jose Arevalo, a po kolejnych, pięć lat później – jeden z przywódców rewolty JacoboArbenz, który sprawował swój urząd przez kolejne pięciolecie. Ten okres w historii Gwatemali nazywany jest Dziesięcioma Latami Wiosny i był to jedyny demokratyczny epizod w historii tego kraju aż do 1996 roku. Do rewolucji doszło w o tyle szczęśliwym czasie, że Stany Zjednoczone zajęte wojną przeciwko Niemcom i Japonii, nie miały sił i środków na interwencję.

W trakcie gwatemalskiej „Wiosny", kraj odwiedził znany czeski pisarz, Norbert Fryd. Efektem jego podróży była znakomita książka reportersko-podróżnicza, pt. „Uśmiechnięta Gwatemala", której tytuł dobrze oddaje atmosferę panującą w tamtych czasach. Nowe władze zniosły rasistowskie prawa i dokonały szeregu reform – szkolnictwa, socjalnych, a przede wszystkim mającej mieć wpływ na cały region reformy agrarnej. To wtedy do Gwatemali zawitał Che Guevara, a zachwycony nowymi prawami, postanowił się tam osiedlić na stałe. Głównym założeniem reformy było odebranie latyfundystom wszystkich nieużytków rolnych i przekazanie ich bezrolnym chłopom. Prawo to najbardziej uderzało w United Fruit Company, która uprawiała tylko niewielką część posiadanej ziemi. Wywłaszczenie następowało oczywiście po wypłaceniu odszkodowania. Rząd gwatemalski wziął pod uwagę wartość ziemi deklarowanej przez United Fruit w zeznaniach podatkowych i na tej podstawie obliczył wartość wypłaconego świadczenia. Oczywiście firma płaciła tak dalece zaniżone podatki, że sama była z wyceny niezadowolona do tego stopnia, że interweniowała w Stanach Zjednoczonych. Poprzez powiązania rodzinne, biznesowe i polityczne (np. Allen Dulles był jednocześnie szefem CIA i członkiem zarządu United Fruit, a jego brat, John Foster – sekretarzem stanu) udziałowcy United Fruit doprowadzili do tego, że w USA uznano iż „interesy United Fruit Company są interesami Stanow Zjednocznych Ameryki".

Za pomocą wyszkolonych w Hondurasie bojówek składających się z niedobitków dawnych zwolenników Ubico oraz wszelkiej maści bandytów, dokonano małej inwazji na Gwatemalę i obalono demokratycznie wybrane władze, a na czele kraju postawiono juntę wojskową, której różni przedstawiciele przez kolejne dziesięciolecia mieli, z bardzo aktywną pomocą USA, krwawo rządzić krajem. Niewielka część lewicowych oficerów utworzyła partyzantkę i tak rozpoczęła się wojna

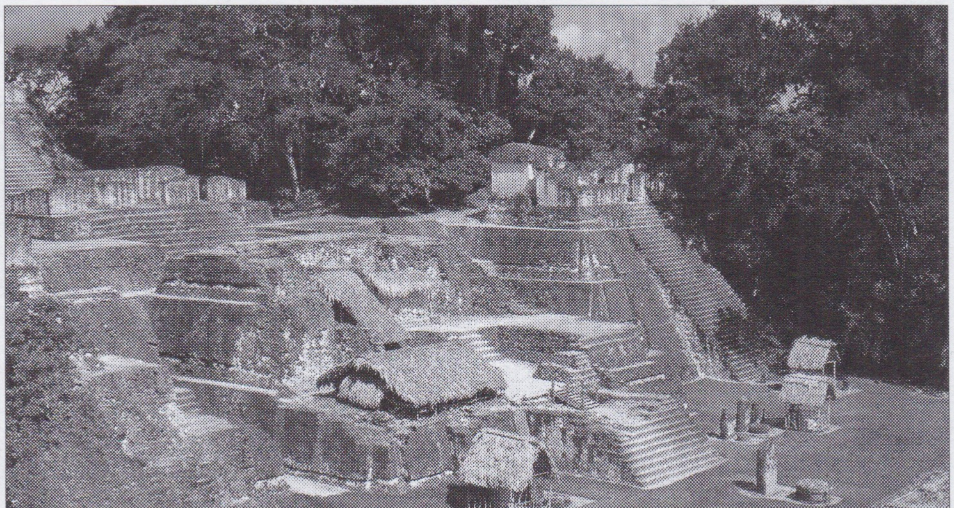

domowa, która trwała aż do 1996 roku. Majowie, jako grupa społeczna najbardziej prześladowana przez władze, uważani byli za naturalnych sojuszników partyzantki i przez to prześladowani byli jeszcze bardziej. Oprócz gwałtów, morderstw, porwań, grabieży, czy nawet unicestwień całych wsi, stałą praktyką było tworzenie miejscowych bojówek do walki z partyzantami i przymusowe wcielanie do nich Majów, którzy, jeśli nie chcieli walczyć, musieli uciekać i z reguły dopiero wtedy dołączali do partyzantów.
Dopiero w wyniku stopniowej demokratyzacji kraju nastąpiły rozmowy i porozumienia pomiędzy siłami rządowymi a partyzantami, którzy w końcu, w zamian za zakończenie walki zbrojnej, dostali możliwość przekształcenia swojej organizacji w partię polityczną i wzięcia udziału w przemianach, które wciąż trwają i które mają zamienić Gwatemalę w kraj w pełni demokratyczny.
United Fruit Company po serii skandalów z lat 70., zwanych bananagate, zmieniło właściciela, nazwę i musiało ograniczyć swoją działalność pozabiznesową, ale nie zakończyło jej i choć w dużym stopniu zmieniło sposoby działania, wciąż jest dużym graczem i do dziś możemy cieszyć się smakiem produkowanych przez nich bananów, teraz pod nazwą Chiquita.

TIKAL - STAROŻYTNE MIASTO MAJÓW

Po orzeźwieniu się piwkiem, robimy jeszcze wieczorny spacer, a wracając do hotelu zaopatrujemy się w gumy do żucia i cukierki u ulicznego sprzedawcy, który ma nie więcej niż osiem lat i przy swoim straganie ze słodyczami, jako że są wakacje, pracuje codziennie do 22.
Z Nebaj wyruszamy do Coban, w którym mamy zatrzymać się tylko na chwilę, żeby kolejnego ranka zrobić przesiadkę. Droga jest długa i kręta. Musimy się dwa razy przesiadać: raz kierowca zostawia nas na skrzyżowaniu górskich dróg i obiecuje, że niedługo będzie tędy przejeżdżał właściwy busik; drugi – już na dużym parkingu w miasteczku, gdzie czekając na odjazd dokarmiamy bezdomne psy. Niedługo po wyjechaniu z miasta kończy się droga asfaltowa i dalej jedziemy już gruntową, nieutwardzoną, która, gdy pada deszcz, a dzieje się to kilka razy w czasie jazdy, zmienia się w błotną. Mijamy wioski zatopione w miejscowej selwie, w których mieszkańcy pochłonięci są swoimi codziennymi sprawami, a jedynym świadectwem tego, że w ogóle zdają sobie sprawę z ruchu na szosie, są poustawiane co jakiś czas drewniane stoły, na których leżą owoce oferowane na sprzedaż. Nikt przy nich nie siedzi, pewnie sprzedawcy zjawiają się dopiero gdy zjawi się klient z jakiegoś przejeżdżającego samochodu. Jechaliśmy dosyć długo – nie widziałem aby ktoś się zatrzymał.
Na miejsce docieramy zmęczeni kilkugodzinnym podskakiwaniem na wertepach, znajdujemy hotel i po krótkim odpoczynku ruszamy na obchód. Coban to głośne i zanieczyszczone spalinami miasto, pełne ludzi, samochodów i stoisk, na których miejscowi handlują dosłownie wszystkim. Nie mamy za dużo czasu, ale po załatwieniu transportu na następny dzień udaje nam się jeszcze przysiąść na piwko i zajrzeć do wegetariańskiej knajpy, w której jemy wyjątkowo słaby obiad. Hotel za to mamy całkiem znośny, więc udaje nam się spać do rana. Na śniadanie zużywamy przytargane z Warszawy pasztety sojowe i ładujemy się do małego turystycznego busika. W drodze męczymy się strasznie. Jest ciasno, gorąco, jedziemy ponad osiem godzin, a do tego busik pełen jest wyjątkowo denerwujących młodych Izraelek, które są strasznie głośne, głupie i jarają się swoja służbą w faszystowskiej armii. Tępe pizdy!
W tej podróży wydarzyły się tylko dwie rzeczy godne odnotowania. Pierwsza to wjazd do prowincji Peten, przy którym wszyscy poddawani są kontroli na obecność owoców w bagażu, a druga to przeprawa promowa przez rzekę La Pasion. Jest to mała i płytka rzeczka, ale do tej pory nie udało się przerzucić przez nią przeprawy drogowej. Oczywiście czekamy w dość dużej kolejce, ale dzięki temu możemy obserwować miejscowe życie, to koncentrujące się wokół promu i jego pasażerów. Przy piaszczystej drodze prowadzącej do brzegu rzeki rozłożyło się kilka sklepików, zapyziałych knajpek i bar, z którego dobiega głośna muzyka taneczna i co jakiś czas wytacza się dobrze już zaprawiony młody człowiek. Pod naszymi nogami chodzą kury dziobiące okruchy po tortillach i pasą się trzy słusznych rozmiarów świnie. Sam pamiętający lepsze czasy prom, którego dwie sterówki kryte są strzechą, chroniony jest przez uzbrojonych po zęby żołnierzy. W końcu przeprawiamy się nim na drugą stronę rzeki i jedziemy już do Flores, do którego docieramy wieczorem.
Tam na szybko wszystko załatwiamy, bo nie zostało nam już dużo czasu w Gwatemali. Odnajdujemy hotel, później agencję turystyczną, w której organizujemy wycieczkę i powrót do Gutemala City, a na koniec zasiadamy w bardzo miłej knajpce, w której przy sączącym się z głośników jazzie zjadamy kolację i raczymy się dobrym piwkiem na dobry sen. Ten jest potrzebny, bo znowu wstajemy z samego rana i po szybkim śniadaniu jedziemy do Tikal, starożytnego miasta Majów.
Badacze cywilizacji Majów, podzieli jej istnienie na trzy okresy: preklasyczny, który mógł się zacząć nawet dwa tysiące lat przed naszą erą; klasyczny mający swój początek w III wieku naszej ery; oraz postklasyczny, trwający od X wieku, a kończący się spotkaniem z białym człowiekiem i hiszpańską konkwistą. Tikal zostało założone już w okresie preklasycznym, a pierwsze większe budowle zostały wzniesione nawet 400 lat przed naszą erą. W tym okresie było jednak małym miastem, które ustępowało innym majańskim ośrodkom i pozostawało pod ich politycznym wpływem. Szczyt rozwoju Tikal to okres klasyczny, gdy miasto było jednym z najważniejszych ośrodków politycznych, które zdominowało cały region. W najlepszych latach Tikal mogło zamieszkiwać nawet 100 tys. Osób (choć ostrożne szacunki mówią o ok. 50-60 tys); było więc wówczas jednym z największych miast na świecie. Władcy bardzo często prowadzili wojny z innymi miastami-państwami Majów, o czym świadczą liczne inskrypcje na stelach, czyli tablicach, na których Majowie zapisywali historię miast. W VI wieku rywale Tikal, miasta Karakol i Kalkmul, zawiązały sojusz, z którym Tikal przegrał wojnę. Przez ponad sto lat miasto nie mogło się podnieść i było wasalem silniejszych rywali. Jednak w VII wieku doszło do kolejnej wojny, tym razem wygranej przez Tikal, po której miasto odzyskało swoją pozycję.
Koniec okresu klasycznego w historii cywilizacji Majów wyznaczają upadki kolejnych z wielkich miast. Nie inaczej było w przypadku Tikal, które ostatecznie zostało opuszczone ok. 950 r. Nie wiadome są przyczyny upadku miast majańskich w okresie klasycznym. Badacze przedstawiali różne teorie, od rewolucyjnych, według których okoliczni mieszkańcy mieli w końcu zbuntować się przeciwko majańskiej szlachcie, wymordować ją, a miasta splądrować, aż do tych mówiących o przeróżnych katastrofach naturalnych. Obecnie przyjmuje się, że najprawdopodobniejszą przyczyną upadku m.in. Tikal, jest ogromny wzrost populacji i załamanie się rolnictwa, np. ze względu na suszę, a co za tym idzie brak możliwości wyżywienia mieszkańców. Jednak miasta takie jak Tikal istniały ponad tysiąc lat – w tym czasie susze zdarzały się zapewne niejednokrotnie. Ta, która doprowadziłaby do wyludnienia ośrodków miejskich musiałby być wyjątkowo wyniszczająca i trwać wiele lat.
Po dotarciu do wpisanego na listę UNESCO Parku Narodowego Tikal, szybko odłączamy się od nudnej wycieczki z wyjątkowo denerwującym przewodnikiem i stawiamy na samodzielną eksplorację ruin miasta. Zaczynamy, jak wszyscy, od placu Gran Plaza na końcach którego wnosi się najbardziej znana, choćby ze zdjęć, Piramida I (lub Świątynia I) i nieco mniejsza Piramida II, zbudowana przez jednego z władców na cześć

zmarłej żony. Po bokach placu ulokowane są dwa Akropole – Centralny i Północny. Najwięcej czasu spędzamy właśnie w nich. Fajne jest to, że można spacerować po starożytnych budowlach, podziwiać pieczołowicie odrestaurowane stele, schodzić po stromych schodach, krążyć korytarzami i przysiadać w komnatach zamieszkiwanych wiele setek lat temu przez majańską szlachtę. Akropole to naprawdę duże kompleksy, na które składają się budynki mieszkalne, administracyjne, ale też te o charakterze religijnymi i cmentarnym. Zabudowania są monumentalne i bardzo rozległe, do tego, co charakterystyczne dla majańskich miast z okresu klasycznego, bogato zdobione i dokładnie rzeźbione (Majowie postklasyczni swoich miast już tak nie ozdabiali, nie wznosili też stel). Wśród zdobień przeważają figury antropomorficzne, kojarzone z bogami i światami duchowymi, szczególnie te związane z kultem jaguara.

Udaje nam się jeszcze obejrzeć nie do końca odsłoniętą Piramidę V, na której buszuje stado małp, a później ruszamy do opuszczanego przez większość turystów, którzy koncentrują się na piramidach, miejsca zwanego Mundo Perdido, Zaginionym Światem. Przez większość czasu jesteśmy tam sami i spokojnie możemy eksplorować ten ceremonialny kompleks utworzony jeszcze w okresie preklasycznym, a używany przez cały okres funkcjonowania miasta. Wspinamy się na mniejsze już, ale równie interesujące piramidy, zatrzymujemy się na dłużej na Placu Siedmiu Świątyń, na które też się wdrapujemy, oglądamy pozostałości boisk do rytualnej gry w piłkę, mniejsze świątynie i pozostałości przeróżnych budowli. Okazuje się, że nawet w tak licznie odwiedzanym przez turystów miejscu jak Tikal, można zobaczyć ze szlaku i zobaczyć coś poza głównymi atrakcjami wymienionymi w przewodniku.

Pomimo tego, że Tikal jest tak popularną atrakcją turystyczną, którą co roku odwiedzają dziesiątki, a może nawet setki tysięcy ludzi, uważam, że jestem szczęściarzem, że mogłem odwiedzić to miejsce. Jest to pozostałość po niesamowitej cywilizacji, która stworzyła wielkie miasta, struktury społeczne i polityczne, literaturę, skomplikowany system wierzeń oraz, a może przede wszystkim, która dużo uwagi poświęcała nauce. Majowie byli świetnymi matematykami i astronomami, dokładnie obliczyli nie tylko rok ziemski, ale także ten na planecie Wenus, którą obdarzali szczególną czcią. Posługiwali się skomplikowanymi obliczeniami i jako pierwsi na świecie poznali i umieli wykorzystać liczbę 0. Majowie mieli swoją własną, niezwykle szczegółową rachubę czasu, według której obliczyli nawet dokładną datę początkową, od której liczyli czas. W użyciu pozostawały dwa „kalendarze" – rytualny i słoneczny, które wyznaczały kolejne dni.

Co ciekawe, na gwatemalskich wyżynach wciąż znajdują się nieliczne wioski, których mieszkańcy liczą czas według tych kalendarzy.

Niestety cywilizacja ta zderzyła się z cywilizacją białego człowieka i choć, z różnych względów, nie podzieliła losów cywilizacji Azteków czy Inków, i tak w końcu upadła i wciąż tak naprawdę niewiele o niej wiemy. W takim momencie szczególnie żal jest majańskiej prekolumbijskiej literatury, a dokładniej majańskich kodeksów, z których teraz badacze wiele mogliby się nauczyć. Niestety, katolicki biskup Diego de Landa widząc w nich dzieło Szatana, postawił sobie za cel zniszczenie wszystkich kodeksów. I tak w XVI wieku w Jukatanie i w Gwatemali spłonęły tysiące świętych i historycznych ksiąg, a do naszych czasów przetrwały zaledwie cztery kodeksy, z których trzy, najbardziej okazałe, cały czas przechowywane są w Europie. Na szczęście oprócz tego, do dziś zachowały się dzieła literackie zapisane w językach Majów, ale już za pomocą alfabetu łacińskiego, niedługo po kolonizacji, jak choćby księgi jukatańskie Chilam Balam z wierzeniami i przepowiedniami, czy szczególne dzieło – Popol Vuh, Święta Księga Narodu Kicze, która jest nieocenionym źródłem wiedzy o kulturze, historii, mitologii i religii Majów Kicze z Gwatemali

Kolejny dzień, choć mieliśmy poświęcić na zwiedzanie kolejnego starożytnego miasta, Yaxha, ze względu na przeziębienie, spędzamy we Flores. To tez kiedyś było miastem majańskim. Szczególnym, bo wyspa na jeziorze Peten Itza, teraz gęsto zabudowana postkolonialnymi budynkami i ciasnymi uliczkami, była ostatnią niepodległą stolicą majańską. Miasto nazywało się Tayasal i zostało założone przez Majów Itza, którzy uciekli z najechanego już przez Hiszpanów Jukatanu. Miasto zostało założone w latach 40. XV w. i przetrwało do końca wieku XVII, kiedy to w 1697 roku zostało napadnięte przez odziały hiszpańskie, zdobyte i doszczętnie zniszczone. Podbicie tego miasta stanowi kres wysoko rozwiniętej cywilizacji Majów, ale nie kres samych Majów, którzy przetrwali, buntowali się wielokrotnie i wzniecali powstania przeciw władzy kolonialnej. Majowie do tej pory potrafią przeciwstawiać się wyzyskowi i niesprawiedliwości – rebelia zapatystów z południowego Meksyku nie jest niczym innym niż najnowszą odsłoną wojny amerykańskich Indian z latynoskimi potomkami kolonizatorów.

W samym Flores próżno szukać pozostałości po majańskim mieście, ale można zajrzeć na małą wyspę opodal, na której mieści się lokalna radiostacja i malutkie muzeum. Jego wnętrze wygląda jak zaplecze Indiany Jonesa – w niewielkim pomieszczeniu w kilkunastu gablotach i na półkach zgromadzone są znaleziska archeologiczne – od czaszek i kości ludzkich, przez obsydianowe noże, biżuterię, narzędzia i ceramikę użytkową i rytualną, aż po fragmenty większych rzeźb i stel. Naprawdę warto spędzić tam pół godzinki i obejrzeć niesamowite, mniejsze i większe artefakty.

POŻEGNANIE Z GWATEMAYA

Kolejnego dnia niechętnie wkraczamy w fazę kończenia podróży. Najpierw niewielkim ATRem lecimy do Guatemala City. Tam okazuje się, że na lotnisku nie ma przechowalni bagażu, jedziemy więc ze wszystkimi manelami do miasta i w pierwszym napotkanym tanim hotelu dogadujemy się na zostawienie bagażu. Jest to wyjątkowo zapyziały i nieprzyjemny przybytek i przez chwilę zastanawiamy się nawet czy warto ryzykować, ale w końcu jednak uznajemy, że spróbujemy. Na mieście możemy spędzić tylko kilka godzin, więc nie robimy tam za dużo. Urządzamy sobie spacer po kolonialnym centrum miasta, robimy szybkie zakupy na ogromnym targu Mercado Central i spędzamy trochę czasu w parku, pijąc pepsi ze zwrotnej półlitrowej butelki, którą kupiliśmy w sklepie o zakratowanej ladzie. To co na szybko rzuca się w oczy w Ciudad de Guatemala, to właśnie środki bezpieczeństwa – małe sklepiki, czy apteki, chowają się za grubymi kratami, przez które dokonuje się transakcji, natomiast centra handlowe, a nawet większe kawiarnie i restauracje, obstawione są przez uzbrojonych ochroniarzy ściskających swoje strzelby „pompki", albo w pozie szeryfa niedbale opierających rękę na zawieszonym przy biodrze rewolwerze.

W końcu wracamy do hotelu o dumnej nazwie Bristol. Zastanawiamy się, czy odnajdziemy w nim nasze bagaże, a jeśli tak, to co w nich będzie. Wszystko jednak jest w porządku, więc zarzucamy plecaki na plecy i wychodzimy na ulicę, żeby złapać taksówkę, pojechać na lotnisko i wrócić do Berlina. Jeszcze tylko kilka piwek na lotnisku, zamieszanie w Meksyku, gdzie żeby się przesiąść, musimy stanąć w kolejce do odprawy paszportowo-wizowej, odebrać bagaż, od razu nadać go ponownie i znowu przekroczyć lotniskową granicę, później nudne oczekiwanie w Paryżu, brak wegetariańskiego jedzenia w samolocie Air France i wreszcie Niemcy, w których czym prędzej jedziemy do hotelu, żeby odespać te wszystkie samoloty i lotniska.

W Gwatemali spędziliśmy niecałe dwa tygodnie, ale wypakowaliśmy je tak, że wystarczyłoby aktywności na kolejny tydzień. A i tak nie zobaczyliśmy i nie zrobiliśmy wszystkiego. Przede wszystkim udało nam się odwiedzić tylko jedno miasto Majów, a w Gwatemali jest ich jeszcze sporo, mogliśmy też trochę więcej pochodzić po górach. Ale i tak jestem zadowolony – zrobiliśmy dużo. Choć Amerykę Środkową traktuje się z reguły jako spójny region podobnych do siebie państw, to Gwatemala jest zupełnie różna od pozostałych dwóch krajów, które w tej części świata odwiedziłem. Jest to niezwykle interesujące miejsce, kulturowo należące do Majów i pod tym względem naprawdę będące ich krajem. Jest to też jedno z najciekawszych miejsc na świecie, po jakim dane mi było podróżować To niesamowite – być tam, przebywać wśród Indian i poznawać ich historię, zwyczaje i przyglądać się codziennemu życiu ludu uciemiężonego, ale dumnego ze swojego dziedzictwa i kultywującego swoją kulturę. Aż chciałoby się, żeby Majowie przejęli tam władzę i zmienili nazwę kraju na Guatemaya.

Endi

BIESŁAN - PĘKNIĘTE MIASTO

Ze Zbyszkiem Pawlakiem, wykładowcą, podróżnikiem oraz współautorem książki "Pęknięte miasto. Biesłan", w której spisane są jego opowieści z Kaukazu, spotkałem się dwukrotnie w Global Cafe w Reading. Otwarty i przyjacielski to człowiek, a rezultatem naszych spotkań jest ten oto wywiad.

CHAOS: Napisałeś, że z wyboru należałeś do świata Kaukazu. W swojej książce piszesz, że tamtejsi ludzie są magnesem. Czym cię przyciągają?

Z.P.: Przyciągają mnie pewnym rodzajem wolności, duchem Wschodu. Ten duch cały czas może być doświadczany. I jest, przez wszystkich, którzy tam wyjeżdżają. To inny świat. To jest zadziwiające, ale i przyciągające. Największą rzeczą jest to uczucie ze spotkania z drugim człowiekiem. Tam człowiek jest ważny. Może nie tak bardzo jego czas, nie tak bardzo to, co robi, lecz pełna uwaga na osobę. I to jest to, co mnie przyciąga na Wschód, co właściwie zawsze towarzyszy w moich wspomnieniach. Nie tyle to, co osiągnąłem, czy na jaki szczyt wszedłem, nawet choćby na Kaukazie, tylko właśnie ludzie, których spotykałem. W bardzo szybkim czasie mogą się stać, stają się, bliscy – przez tą swoją otwartość. Nieznajomy człowiek nagle gości cię w domu, nakarmi, przenocuje. Wiesz, że oddaje ci ostatnie swoje rzeczy, czasami nawet ostatnie jedzenie. Oddaje ci swoje łóżko, swój pokój i pójdzie choćby do sąsiada, jeśli nie ma innych warunków, czy wyśle dzieciaki spać do krewnych. To jest to: poczucie, że spotykasz człowieka i to różni się od podróży albo życia na Zachodzie.

CHAOS: Czyli stosunki międzyludzkie są nadal tak mocne?

Z.P.: Tak, tak. Cały czas jeszcze są najważniejsze. Nawet dla tych, którzy znajdą się tam przypadkowo, czy pojadą na krótki okres, tak samo jak dla tych, którzy tam mieszkają. Dla tych, którzy na Wschodzie pracują (tak jak ja wiele lat pracowałem przy różnych projektach), najważniejsze są relacje. Nic nie załatwisz, jeśli nie znasz kogoś. Nic nie załatwisz, jeśli nie potrafisz poświęcić im czasu, obdarować ich czymś, pokazać, że są szczególni. Cały czas jest koncentracja na drugiej osobie.

CHAOS: Właśnie, mówisz, że należałeś do świata Kaukazu i nagle przeniosłeś się do Anglii. Skąd taki odskok? Wschód – Zachód. Kompletnie inna kultura, kompletnie inny świat.

Z.P.: Dwa powody. Jeden to rodzinny. Ze względu na dzieci, które musiały już wybrać dalszą naukę niż podstawówka i gimnazjum. Dlatego, że wychowywały się na Wschodzie, ale miały edukację międzynarodową, to Anglia jest dobrym miejscem na kontynuację. Każdy, kto mieszka w Anglii wie, że na pewno życie jest tu łatwiejsze niż w Polsce. To znaczy jest wygodniej, jest łatwiej. System jest bardziej przygotowany i wygodniejszy. A z moimi podróżami to dość istotne. Tutaj wiele rzeczy można załatwić w prosty sposób. Sami nie mieszkaliśmy w Polsce wiele lat, dzieci nasze - w ogóle, tylko przyjechały na jakiś czas. Dla nich czy mieszkać w Polsce czy w Anglii nie było większą różnicą. Dlatego właściwie Zachód. Drugi powód: to jest ciekawe dla mnie. Przez wiele lat mieszkałem na Wschodzie, ale pracowałem z zachodnimi organizacjami. Bardzo mocno wierzyłem w ich wartości i w to, jaki jest Zachód. Wydawało mi się, że jest to odpowiedź dla tych ludzi na Wschodzie. Chciałem się tu znaleźć, by zobaczyć, by więcej zrozumieć rzeczy, które próbowaliśmy wprowadzać do różnych krajów na Wschodzie. Jestem człowiekiem Wschodu, urodziłem się w Polsce, więc dla mnie to też jest czas, że się uczę o tej kulturze i o wartościach. I muszę przyznać, że jestem zaskoczony, bo zamieszkałem na Wschodzie, kiedy komunizm upadł. Komunizm – oni tam nigdy nie powiedzieliby komunizm. Socjalizm jakby stracił swoją wartość. Natomiast mieszkam na Zachodzie i widzę, że socjalizm jest prawie tak samo mocny, jak na Wschodzie, co mnie zaskakuje. Tego się w ogóle nie spodziewałem.

CHAOS: Od kiedy się zaczęła i skąd wzięła się twoja fascynacja Jedwabnym Szlakiem?

Z.P.: To znów podobna rzecz. Gdy Mur Berliński padł zacząłem studia. Jako młody człowiek szukałem przygody. Zastanawiałem się też nad swoją przyszłością. Pytałem Boga, co dla mnie przygotował – próbowałem zrozumieć. Otworzyła się możliwość, by latem jeździć za wschodnią granicę. No bo już nie było tam granic. Związek Radziecki jeszcze był otwarty, nieodkryty, dziwny, dziki, inny. Spędziłem tam dwukrotnie wakacje, jako student. Pomyślałem, że to jest miejsce, gdzie można jeszcze bardzo wiele zrobić, to jest nowe miejsce. A my, Polacy, doświadczyliśmy socjalizmu, komunizmu lekkiego, uczyliśmy się rosyjskiego w szkołach. Dlatego pomyślałem "to jest dobre miejsce". Moi wszyscy znajomi pchali się na Zachód, żeby doświadczyć czegoś nowego,

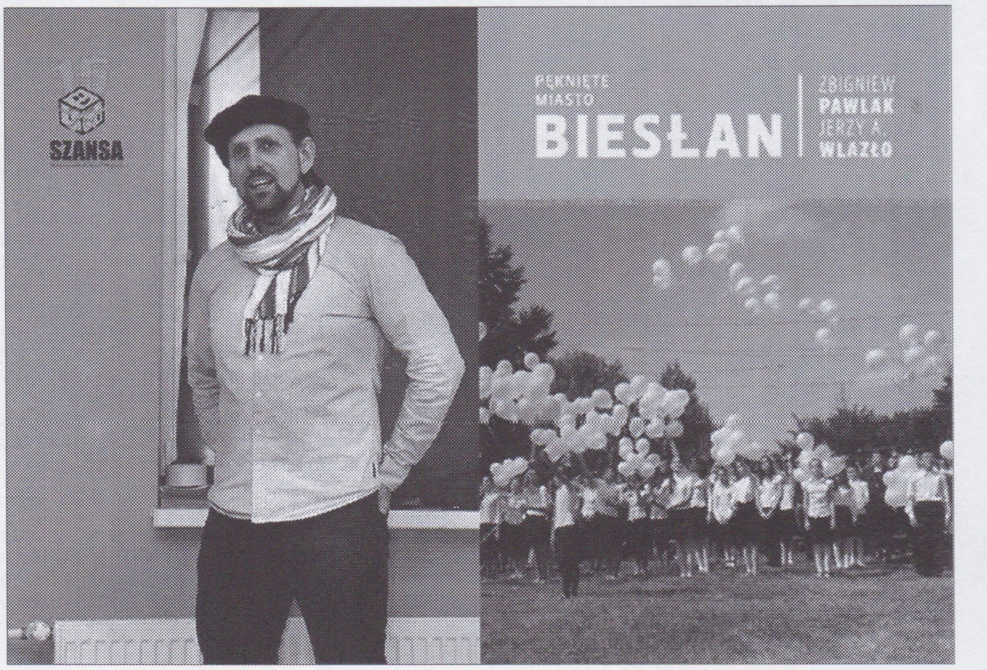

żeby "zdobyć życie", "zbudować sobie życie". A ja pojechałem na Wschód. I właściwie odkryłem całkowicie nowy świat, dla nas nieznany, bo dość daleki. To było prawie na samej granicy z Chinami. Byłem wciągnięty w życie ludzi Azji Środkowej.

CHAOS: W jakim kraju byłeś?
Z.P.: Większość czasu w Kazachstanie. Powiem, że to mnie zafascynowało: młodzi ludzie, którzy poszukiwali nowej tożsamości, tego, kim są. Bo wszystko się rozpadło, było przekreślone, złe. Myśmy razem z nimi mogli odkrywać, na nowo, jak ma wyglądać przyszłość. Tam się zaczął Jedwabny Szlak. A później byłem w innych krajach: Afganistan, który mogłem odwiedzić, Kaukaz – gdzie wciągnęło mnie miejsce, ta różnorodność kulturowa i tamtejszy konflikt, który panuje do dnia dzisiejszego. To są moje doświadczenia Jedwabnego Szlaku. Sowieckiego świata.

CHAOS: Będąc w tamtej części świata, poznając ją, mogłeś napisać książkę, którą napisałeś.
Z.P.: Tak. To są zebrane moje opowieści.

CHAOS: Pierwszy raz pojechałeś do Biesłanu rok po zamachu. Co było najtrudniejsze?
Z.P.: Nie, byłem tam już 40 dni po ataku. Później na pierwszą rocznicę i w kolejne lata. Znów to samo - ludzie. Kiedy usłyszałem o tym, co się wydarzyło, kiedy sam odwoziłem swoje dzieci do szkoły, to przed oczami miałem tę tragedię. Dopiero, co wróciłem ze Wschodu, przeprowadziliśmy się ze środkowej Azji do Polski. Dla mnie to byli moi sąsiedzi, których rozumiałem. Tego sowieckiego człowieka, tę kulturę, ten ból, jaki przeżywają, śmierć, która miała nadejść w kolejnych dniach. Chyba przede wszystkim wiedziałem, że oni nie mają do kogo iść w tej tragedii. Taki jest Wschód. Tam ciągle jeszcze nie ufało się władzy.

CHAOS: I chyba dalej nie ufa...
Z.P.: I może dalej. Wtedy tak było jeszcze, bardzo mocno nie ufało się władzy. Nie było duchownych, którzy byliby opiekunami, jak w Europie, w Polsce, czy nawet na Zachodzie. Jakichś księży, czy duchownych. Psychologia była wówczas w powijakach w tamtym regionie. Więc wiedziałem, że przychodzi straszna tragedia na nich, która dotyka ich największych wartości – bo dzieci. A na Kaukazie dzieci są święte.

CHAOS: I dlatego napisałeś, że nie rozumiesz tego świata?
Z.P.: Tak. To, co stało się na Kaukazie trudno jest przetłumaczyć nawet ludziom Zachodu. Bo to jest po prostu niedopuszczalne. Gdy ogląda się życie biesłańskich ludzi, ich codzienność, to jak troszczą się o swoje dzieci, jest zaskakujące, że coś takiego mogło się stać. Oni dzieci kultywują. To mnie przyciągnęło do Biesłanu i zapoznało mnie z Kaukazem. Później, kiedy poznawałem tamtejszych ludzi i widziałem ich tragedie, chciałem w jakiś sposób im pomóc i uczestniczyć. Jeździłem przez kolejne lata, przywoziłem ludzi ze sobą. Ale w pewnym momencie poczułem, że walę głową w mur.

CHAOS: To było najtrudniejsze? Opisywanie, pokazywanie dramatu ludzi?
Z.P.: Tak. Wiesz, to było tak: po latach już, bo dziewięć lat po zamachu i pięć lat po ostatniej wizycie w Biesłanie, Jerzy Wlazło – współautor – powiedział: "To napiszmy o tym książkę. Spiszmy te opowieści". I powiem, że bałem się na początku to zrobić. Chciałem już zapomnieć. Chciałem przejść dalej, żyłem dalej. Nie myślałem już o tym. Tak, jak z resztą cały świat nie myślał już o Biesłanie. Bałem się, bo wyjeżdżając stamtąd ostatni raz miałem poczucie, że oni zostają z tym wszystkim. Pisząc książkę, w dziewiątym roku po zamachu pojechałem jeszcze raz zobaczyć, co się zmieniło. Smutne było to, co zobaczyłem: minęło dziewięć, prawie dziesięć lat, i tak mało się zmieniło. Może dobudowano domy, może były nowe parki – takie zmiany. A ludzie cały czas chorzy. Później byłem znów, już po napisaniu książki. Pojechałem z jej polską wersją, żeby pokazać, że pamiętamy. Ludzie płakali i ją oglądali. Powiem, że to smutne, że nie udało się ich wyprowadzić z tragedii. Nawet ci, którzy żyją i mówią: "Aaa, już powinniśmy o tym zapomnieć", nie znaczy, że zapomnieli. Trudno mi było spotkać kogoś, z kim rozmawiałem lata wcześniej, kto byłby wyleczony. Wszyscy są tam po prostu chorzy, dotknięci, popękani – tylko próbują na różne sposoby z tym żyć. Niektórzy nie odpuszczają i chcą poznać prawdę. Do dziś walczą o to, żeby powiedziano, co się stało, jak zginęły ich dzieci. Inni wypierają się tego, co się stało i mówią: "nie mówmy już o tym, bo to i tak nie wróci mi dzieci".

CHAOS: Od strony prawnej żaden sąd w Rosji nie rozpatrzył skarg rodzin biesłańskich.
Z.P.: Nie. Skazany został jeden człowiek na dożywocie. I nikt inny. Dlatego w Biesłanie są jeszcze ci, którzy walczą i próbują powiedzieć, że nie było sprawiedliwości i do dzisiaj jej nie doświadczyli. Myślę, że jednak ten proces sprawiedliwości, taka jak piszę w książce "istina", to znaczy "prawda", "sprawiedliwość" razem, one też leczą. Jednak człowiekowi, który nie doświadczy sprawiedliwości, trudniej jest wyjść z tragedii. Sprawiedliwość pozwala stanąć na nogi.

CHAOS: A co, z twojej perspektywy, było najtrudniejsze w opisywaniu losów tych ludzi i ich tragedii?
Z.P.: Czytelnicy mówią o tym, że historie dzieci, ilość tych tragedii, powodują łzy w oczach. Powiem, że we mnie nie. Chociaż, kiedy chodziłem po Biesłanie, z domu do domu, słuchałem opowieści, to później miałem dość. Mój organizm był wyczerpany. Chyba najtrudniejsze było w tym wszystkim właśnie to: co dalej? Dokąd ich prowadzić? Co im powiedzieć? Nie to nawet, jaką dać nadzieję, tylko (też o tym piszę) pomóc zrozumieć, co to jest normalność. Co to znaczy, że będziemy żyć normalnie? Czy oni są w stanie żyć normalnie?

CHAOS: Takie pytania pojawiały się też po tragedii Holocaustu.
Z.P.: Tak. W ogóle w tamtych czasach była inna wiedza. Każdy z nas doświadczał tego, że miał dziadków, którzy do końca swoich dni, do samej śmierci żyli wojną. Do samej śmierci nosili w sobie znamiona wojny. I w różny sposób to wyrażali.

CHAOS: Jak myślisz, dlaczego doszło do zamachu terrorystycznego właśnie tam, w Biesłanie? I właśnie na dzieciach – powiedzmy obiekcie, który jest tak wielbiony w tamtejszej kulturze. Tam, gdzie dzieci są prawie nietykalne.
Z.P.: Słuchając tam opowieści, różnych opinii, czytając różnego rodzaju dokumenty, raporty, nie tylko reportaże, z różnych stron: ze strony Rosji, i ze strony Czeczenów – tych bojowników, których myśmy przez lata wspierali przecież – uważam, że w pewnym momencie – to może filozoficznie brzmi, ale może tak należy powiedzieć – tracimy kontrolę nad złem. Wydaje nam się, że je kontrolujemy, że wywołując wojnę, wiemy, dokąd coś zmierza. Wiemy, do czego możemy doprowadzić, czemu zapobiegamy i tak dalej. Myślę, że to, co się stało w Biesłanie, było właśnie czymś takim. Dla mnie jest ważne, żeby te opowieści spisać, bo to ma nas przestrzec – nawet w osobistym życiu. Wydaje nam się, że mamy kontrolę, że możemy dojść do granicy, a później się zatrzymamy. Ale tak nie jest! I najgorsze jest to, że kiedy przejdzie się te granice, to już nie mamy kontroli. Ktoś ją przejmuje. I tu jest historia Biesłanu - nie wierzę w to, by ktokolwiek, czy to byli terroryści-wojownicy, czy to były władze rosyjskie, chciał doprowadzić do takiej tragedii. Uważam, że nie.

CHAOS: Teorie są różne.
Z.P.: Teorie są bardzo różne, tak. A każda z nich wydaje się prawdziwa. Jasne i pewne jest to, że przekroczona była ludzka granica. Bez względu na to, czy zorganizowali to terroryści, czy sprowokowali

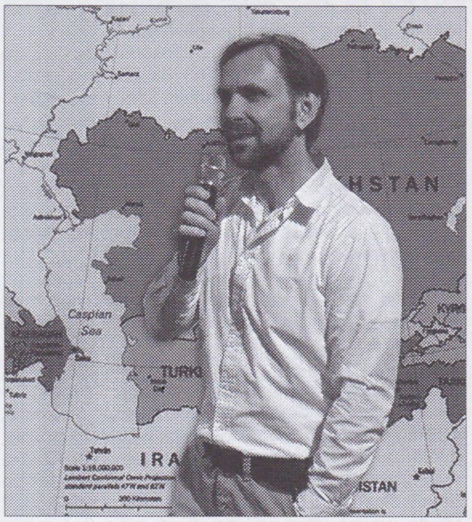

to Rosjanie, koniec nie miał tak wyglądać. Do dzisiaj nie wiadomo, jak doszło do wybuchu wewnątrz sali gimnastycznej. I wtedy stała się tragedia. Do tego momentu wydaje się, że ktokolwiek stał za tym, kto kontrolował sytuację – stracił kontrolę.

CHAOS: Chciałem cię jeszcze zapytać o człowieka ważnego dla powstania twojej książki. Jednego z negatywnych, moim zdaniem, bohaterów tej historii – Szamila Basajewa. Jak go oceniasz? Postrzegamy go przez pryzmat walki Czeczenów o niepodległość. W pewnym momencie ta walka zmieniła się w wojnę religijną. Moim zdaniem, tak to po prostu jest: walka o niepodległą Czeczenię, to walka o kalifat na Kaukazie.

Z.P.: Na pewno więcej o samym Basajewie to Wojciech Jagielski mógłby powiedzieć, bo opowiada jego historię. Byłem w Biestanie, kiedy Basajew jeszcze żył. Kiedy przyjechałem później – już nie. Sami biesłańczycy, a więc ofiary, powiedzieli mi, że to był geniusz. Że był geniuszem strategii. To też jest tragedia tej historii. I to nie tylko sam Basajew, bo i te kobiety, które były w środku szkoły – szachidki, jeden z byłych uczniów tej szkoły, który tam wszedł, jako terrorysta w masce i z bronią. To jest prawda o tym, jak ofiary wojny, jakiejś tragedii, stają się w pewnym momencie katami. Basajew walczący o wyzwolenie, mszczący śmierć wielu czeczeńskich dzieci i rodzin, nagle staje się katem dzieci. To go motywowało, by walczyć każdego dnia. Ta motywacja stała się nagle jego obsesją.

CHAOS: Przekleństwem?

Z.P.: Przekleństwem w pewnym momencie. Bo później był już odszczepieńcem, jak wiemy. I wśród bojowników, i rządów. I nawet Zachodu. Tak jak wcześniej mówiliśmy o tym, czym jest zło, o kontroli, o sprawiedliwości, że jeśli przekroczymy tę granicę, to tracimy poczucie rzeczywistości. Basajew (o czym też wspominam w książce) w rozmowie, już później, po zamachu w Biestanie, powiedział: "Nie spodziewałem się, że Rosja doprowadzi do czegoś takiego". Z tej odpowiedzi można by wywnioskować, że oni [zamachowcy – przyp. Chaos] do końca myśleli, że uda im się wyjść ze szkoły. Że taki był plan. Chociaż on go zmieniał kilkakrotnie w trakcie przygotowań do zamachu. Ale myślał, że to był genialny plan. Żeby jeszcze raz pokazać, że Rosja jest słaba. Ale człowiek nie ma kontroli, okazuje się. My, ludzie Zachodu, podobne sytuacje możemy opowiadać patrząc na Bliski Wschód, na wojnę w Afganistanie, gdzie planem było złapanie Bin Ladena w ciągu 10 dni, nawet nie dwóch tygodni. Irak – obalenie dyktatury i właściwie otworzenie sobie rynku, również okazało się zgubne. Biesłan był takim przykładem, na mniejszą skalę. Ale okrucieństwo było równie wielkie. Niestety, nie uczymy się z historii, nie uczymy się z tego, co robią inni. Tam doprowadzono do wielkiej tragedii w drodze do stworzenia kalifatu kaukaskiego. A dziś, po 10 latach, walczymy z państwem islamskim. Czyli też kalifatem, tylko że na Bliskim Wschodzie. I w dużo większym wymiarze.

CHAOS: Czyli lekcja nie została odrobiona?

Z.P.: Nie. Nie została. O Biestanie się nie pamięta. O Biestanie się nie mówi. Chociaż to był największy, najokrutniejszy zamach terrorystyczny, jaki był w Europie. Mówimy o 11 września, ale nie o 3 września. To jest złe. Tak nie powinno być.

CHAOS: Czy swoją książką spłacasz jakiś dług wdzięczności za to, jak ci ludzie się odnosili do ciebie, jak cię tam przyjęli?

Z.P.: Nie, nie mam długu wobec nich. Ani go nie czuję, ani nie myślę w ten sposób. Natomiast książka jest opowiedziana, czy spisana, nie jako reportaż, lecz opowieść. Tak, jak to się na Wschodzie robi: siedzi się, je i rozmawia, opowiada. Nie pojechałem tam jako reporter, tylko jako człowiek, który chce pomóc ludziom, być blisko nich i ich tragedii. Później, po latach, spisałem to, co słyszałem. Ale ta książka spełniła swoją rolę. Czytając opinie czytelników, że czuję się jakbym tam był, jakbym słuchał tych ludzi. A to była straszna tragedia. Nie byłem świadomy, że tak było. Nawet teraz, kiedy wysłałem skrypty po rosyjsku, to na Ukrainie, Białorusi, Rosji, miałem bardzo podobne odpowiedzi, że ta książka pomogła przeżyć dzieciństwo na nowo, zastanowić się, co tam się rzeczywiście stało. Bo media rosyjskie, nawet w trakcie tamtych wydarzeń, nie były otwarte i nie pozwoliły ludziom widzieć całej tej tragedii. W samej Rosji nie wiedzą, jak wielka była to tragedia. Jeden z biesłańczyków, który czytał skrypt po rosyjsku, co dla mnie jest bardzo wzruszające, napisał: "czytałem te historie, które opisałeś, i było ich tak wiele, że w pewnym momencie nie wiedziałem, czy to ja sobie przypominam, czy czytam". To bardzo cenne i piękne. Tego chciałem, żeby ludzie na Zachodzie mogli nie tyle przeżyć, bo się nie da, ale zrozumieć choć trochę. Nie jako news o zamachu, ale jak straszny jest terroryzm i jak okrutny jest wobec ofiar. A ofiarami są zwykli ludzie, jak my.

CHAOS: Książka została wydana w Polsce. Gdzie jeszcze?

Z.P.: Głównie skoncentrowaliśmy się na tym, żeby była wydana w Rosji. Pracujemy nad tym. Mamy tłumaczenie. Powoli jest też sprawdzana w Biesłanie – próbujemy nanieść zmiany tak, aby ich w jakiś sposób też zadowolić. Bo nie jest to książka dla nich, a raczej o nich.

CHAOS: Ukaże się pod tym samym tytułem?

Z.P.: "Pęknięte miasto", tak. Może w przyszłości uda nam się wydać po angielsku. Też nad tym jeszcze pracujemy. Chcielibyśmy, żeby te historie jak najwięcej ludzi znało. To jest też wydarzenie historyczne.

CHAOS: Zdecydowanie. Czy planujesz w przyszłości napisanie innych książek?

Z.P.: Chciałbym opowiedzieć o kontekście tego, co się dzieje dziś w Europie i o tym, kim są uchodźcy. Opowiedzieć ich historie. Dlatego, że pod tym hasłem "uchodźcy" kryje się życie ludzi. Wielu z nich i tragedie, które przeżyli, są dla nas odległe. Dotarli do naszych granic właśnie dlatego, że ich granice ktoś przekroczył i przekraczał bardzo długo. Ktoś stworzył idealny świat w ich wyobraźni, obiecywał im idealny świat. Powiedział, że demokracja nastąpi i wszystko się zmieni. A później opuścił te miejsca zostawiając ruiny. Jak w Afganistanie, Iraku, Syrii. Ludzie wyruszyli do cudownego świata. Trochę jak w opowieści z krainy Oz. Może uda mi się przybliżyć historię niektórych z nich – ludzi, których spotkałem w drodze po Jedwabnym Szlaku, którzy marzyli o cudownym świecie i do którego podążają, zostawiając Afganistan, Syrię czy też Kaukaz.

CHAOS: I tego ci bardzo życzę. Dziękuję za rozmowę.

Z.P.: - Dziękuję.

SZLAKIEM ŁÓDZKICH ANARCHISTÓW

Łódź lat 90. to było miasto gigantycznych kontrastów. Pierwsze rynki, targowiska czy tereny handlowe „u Ptaka" w Tuszynie, czyli biznes na poważnie i gigantyczny upadek przemysłu włókienniczego w mieście, co wywołało falę bezrobocia i nieciekawe perspektywy. Młodzież szła setkami w subkulturę. Ulica Piotrkowska i jej pasaże, Schillera i Rubinsteina oblepiały setki depeszów, metalowców i punkowców, którzy konsumowali trunki wyskokowe. Ja próbowałem działać na własną rękę - kleiłem plakaty antyfaszystowskie czy anty wyborcze. Pierwsze squaty i pierwsze imprezy scenowe - Kill 210, Xylolit czy słynne C4 znajdujące się w kamienicy na ul. Węglowej 4, należącej do PKP, a w budynku tym znajdowała się niegdyś szkoła.

Do łódzkiej FA przywiało mnie pod koniec lat 90., akurat w momencie, gdy coś zaczęło się dziać. W dosłownie kilka osób ogarnialiśmy wiele ciekawych inicjatyw. Jako prekursorzy Inicjatywy Pracowniczej demonstrowaliśmy m.in. przed hipermarketem Real na Brzezińskiej w obronie praw pracowniczych, czy zakłócając Solidarności obchody Sierpnia 80 transparentami kłując w oczy. W Łodzi osoby zainteresowane prawami pracowniczymi zorganizowały międzynarodową konferencję pracowniczą z gośćmi m.in. z Hiszpanii czy Anglii i dużym audytorium. Część ekipy związała się ze śp. S. Kaczmarkiem z Uniontexu i tam powstała komisja zakładowa Inicjatywy Pracowniczej. Zdesperowani szwacze bronili ostatniej rubieży upadłej fabryki, niegdyś perły łódzkiego włókiennictwa, niestety z marnym skutkiem. W Łodzi odbyła się duża demonstracja zwołana przez Komitet Pomocy i Obrony Represjonowanych Pracowników. Wzięli w niej udział przede wszystkim związkowcy z Sierpnia 80 i Inicjatywy Pracowniczej, ale także przedstawiciele różnych innych organizacji pro pracowniczych (CK-LA) i politycznych (GPR, PPP). Około 400-500 osób ruszyło spod zakładów Uniontex SP i przeszło ulicą Piotrkowską, najpierw pod agencję pracy tymczasowej Adecco (jednej z pięciu największych w Polsce), a potem pod Urząd Wojewódzki. Demonstracja była poświęcona solidarności ze zwolnionym związkowcem Sławkiem Kaczmarkiem, odbywała się także w obronie pracowników agencji pracy tymczasowej, a przeciwko wyzyskowi prowadzonemu przez agencje. Rafał Wieniawa, niekwestionowany lider grupy prowadził w studenckim radio „Żak" audycję „Teraz wolność", w której starał się propagować inicjatywy pro społeczne, nagłaśniał wydarzenia, koncerty. Osoby zainteresowane stworzyły kolektyw „Czarny Sztandar" wydający bibułę agitacyjną w formie papierowej a z czasem powstała strona internetowa pod tą samą nazwą, jak i Czarny Sztandar Records - oficyna wydająca pieśni rewolucyjne na płytach CD. By bronić się przed represjami służb Łódź przystąpiła do anarchistycznej ubezpieczalni Anarchist Black Cross (Anarchistyczny Czarny Krzyż - ubezpieczalnia pomagająca represjonowanym towarzyszom). Seksa i jeszcze kilku ludzi byli trzonem grupy i motorem do konstruktywnych działań. Wiele rzeczy wyszło nam naprawdę dobrze, mimo ciągłego braku funduszy np.: pokazy filmów antyrasistowskich w ŁDK-u, gdzie zjawiła się kilkuset osobowa załoga, czy późniejsze edycje z zaproszonymi Romami. W zaprzyjaźnionym kinie Cytryna robiliśmy często pokazy filmowe m.in. antywojenne z Irakijczykami w momencie interwencji USA w Iraku. Seksa działał w branży elektronicznej, miał więcej czasu i samochód, leciwego Wartburga, co dawało przyczółek logistyczny. Ekipy punkowców nie utożsamiały się z polityczną agitacją - łódzkie koncerty i scena niezależna była właśnie ich działką. Również radykalni antyfaszyści robili dobrą robotę w Łodzi. Ostatnią, bardzo cenną akcją jaką zainicjowaliśmy, a która (chyba?) trwa do dziś było Jedzenie Zamiast Kłamstw czyli łódzka mutacja Food Not Bombs. W miarę możliwości organizowaliśmy akcje dożywiania bezdomnych, a w pierwszych latach potrzebujących przychodziło setki. Dzisiejsza Łódź to pustynia subkulturowa, a ulice ogarnęły zmagania wrogich sobie klubów ŁKS (III liga) i Widzewa (IV liga). Niestety, śródmieście Łodzi to teren walk i dominacji - ostatnie wydarzenia to potwierdzają... Wrogie sobie ekipy spotkały się i walczyły z użyciem maczet, siekier i noży. Demonstracje, owszem, się odbywają, ale... te prawicowe, inicjowane przez ONR na 13 Grudnia - Nadchodzi Antykomuna (kibole Widzewa), na które czasem przychodzą ŁKSiacy czy kilka dni temu anty emigrancki spęd partii KORWIN. Ataków na koncerty niezależne chyba od lat nie było, bo i twardogłowi bonheads w Łodzi wyginęli lub wybyli na emigrację. Nacjonaliści na swych brunatnych spędach skandują „Skończyła się lewacka Łódź" z radości, że dziś, przez nikogo nie niepokojeni mogą szerzyć swoje chore hasła i poglądy. Łódzka historia działań i aktywności Federacji Anarchistycznej dobiegła końca nie znalazłszy naśladowców. Aktywiści, wizjonerzy, marzyciele tłumnie wybyli z tego miasta do stolicy, która daje szanse rozwoju, czy na emigrację (ekipa anti nazi skinów z Karolewa wyemigrowała do Irlandii). Dobra lewicowa robota przeszła do historii.

Jarek vel Roman Boryczko

CHAOS: W pierwszym pytaniu, chyba już sztampowo, zapytam się, kiedy zaczęła się u ciebie fascynacja anarchizmem. Opowiedz nam jakie były twoje pierwsze kroki w tym temacie...

Seksa: Pod koniec lat osiemdziesiątych, jako młody chłopak, zacząłem interesować się polityką, a właściwie walką z jedynie słusznym systemem, jaki wtedy obowiązywał. Fascynowały mnie KPN i Federacja Młodzieży Walczącej, której rozrzucałem ulotki informujące o nielegalnych demonstracjach. Miałem poglądy prawicowe, ale bez żadnych jazd ksenofobicznych czy rasistowskich. Gdy system upadł, a ja zobaczyłem, że dla przeciętnego człowieka niewiele się zmieniło, byłem bardzo rozczarowany. Odczuwałem pustkę, a z racji, że trochę czytałem i wydawałem fanzina muzycznego, natknąłem się na anarchizm, jako dodatek subkulturowy. Sięgnąłem więc po dzieła klasyków - Bakunina i Kropotkina - odkrywając w nich nowy świeży oddech dla naszej szarej rzeczywistości. Szczególnie podobała mi się krytyka anarchistyczna samego państwa, jako narzędzia uciemiężenia człowieka. Mając już sprecyzowane poglądy pojawiłem się pierwszy raz na zjeździe Federacji Anarchistycznej w Słupsku w 1994 roku. W tym czasie wydawałem już w dość sporym nakładzie pismo „Lord Terror", w którym prócz artykułów muzycznych była spora część poświęcona właśnie anarchizmowi i prawom zwierząt. Wraz z kilkoma przyjaciółmi stworzyliśmy pod koniec 1993 roku grupę Czarny Sztandar; przeprowadziliśmy dużą ilość różnej maści akcji i wydawaliśmy pismo uliczne o tej samej nazwie.

CHAOS: Łódź początku lat 90-tych. Właśnie rozpoczął się demontaż łódzkiego "złota", czyli przemysłu włókienniczego, a było tych dużych fabryk kilkanaście, czyli kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy. Nagle, w bardzo krótkim czasie, wszystkich tych pracowników wysłano do domu. W każdej rodzinie ktoś stracił pracę. Ludzie, by ratować siebie, wychodzili na targowiska handlować czy pracowali "na czarno". To wkurwienie przekuło się na łódzki bunt. Nieprawdopodobny tygiel subkultur, w tym dziś już niespotykanych, a w Łodzi licznych fanów Depeche Mode - zwanych "Depeszami" czy hord długowłosych "metali" ubranych obowiązkowo na czarno. Do tego dwa łódzkie kluby piłkarskie ŁKS i Widzew. Osiedla zapełnione dzieciakami ubranymi w kurtki lotnicze - flyersy oraz pierwsi nazi skini lubiący połamać komuś rękę czy "sprzedać kosę". Klimat industrialnej Łodzi urodził dwie znaczące w Polsce inicjatywy... Podziemną scenę techno, drum and bass, a w punk rocku - ekstremalny styl crust punk i kapele: kultową w naszym kraju i na świecie do dziś - HOMOMILITIĘ czy grający do dziś zespół Wiktora Skoka – JUDE. Cofnijmy się w tamte czasy - jak ty odbierałeś to miasto?

Seksa: Łódź na transformacji ustrojowej chyba straciła najwięcej z dużych polskich miast. O ile z górnikami czy stoczniowcami ktoś się liczył, to przemysł włókienniczy pierwszy poszedł na odstrzał. Ogromne łódzkie zakłady zatrudniające po kilka tysięcy osób jak WIFAMA, Uniontex, Feniks, Polino padały każdego miesiąca. Bardzo duże bezrobocie i beznadzieja miała zapewne ogromny wpływ na młodzież tamtych czasów. Choć sam uczęszczałem w tym czasie do szkoły średniej pod Łodzią, często pojawiałem się na koncertach w tym mieście. Pamiętam, że w klasie praktycznie każdy identyfikował się z jakąś subkulturą. Oczywiście w tym czasie najwięcej było metalowców i punkowców, a obie sceny bardzo często się przeplatały. W związku z brakiem perspektyw młodzież zaczęła się buntować. Nastąpił wysyp zespołów, z których najbardziej znane to JUDE, HOMOMILITIA, PRECZ. Zaczął też funkcjonować pierwszy w kraju skłot przy Kilińskiego 210, który powstał na początku 1993 roku. Na początku dla wszystkich słowo „skłot" było magiczne i przyciągało bardzo wiele osób, co niestety stwarzało też wiele problemów w postaci zbyt długich i głośnych imprez. Z czasem jednak wprowadzono regulamin i wszystko się uspokoiło. Po Kilińskim powstały również skłoty na Nawrocie,

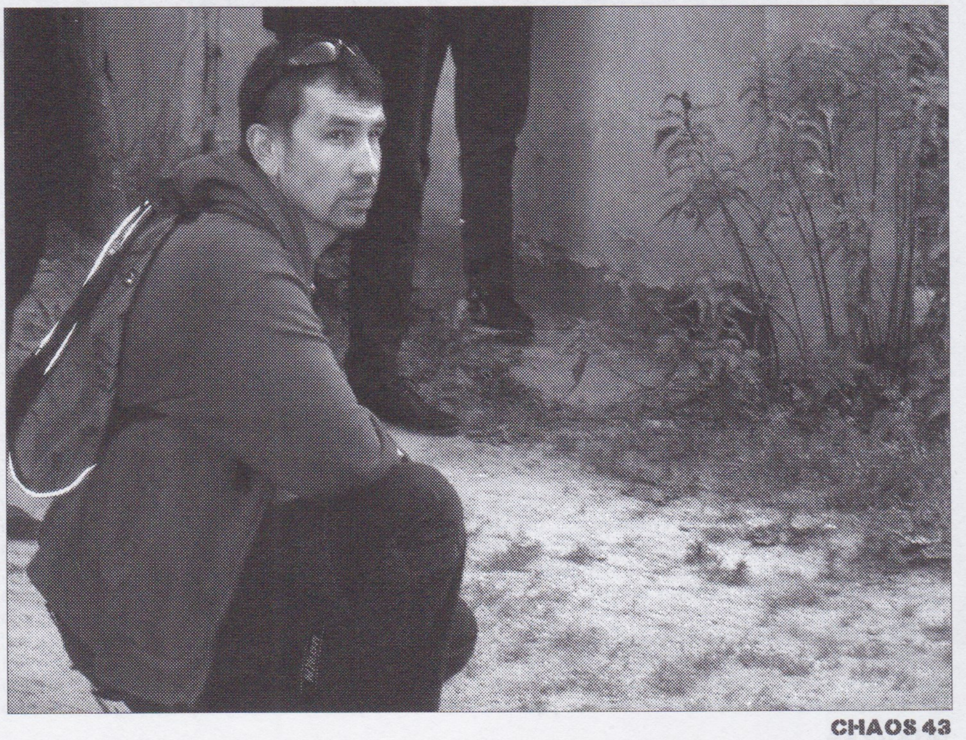

później Węglowa i K50. Te dwa ostatnie nastawione były w dużej mierze na organizację koncertów, wszelkiej maści spotkań, były tam sale prób dla zespołów czy działało Food Not Bombs. Można mówić o złotych latach łódzkiej alternatywy, bo co tydzień był przynajmniej jeden koncert. Odbywało się też bardzo dużo pikiet, demonstracji, a na spotkania anarchistyczne przez pewien okres przychodziło pięćdziesiąt osób. Z czasem Łódź, tak jak mówisz, była identyfikowana też z największą sceną crust punk i podziemnego techno. Na różnej maści demonstracje do Warszawy potrafiły jechać dwa, trzy autobusy. Pod koniec lat dwutysięcznych jednak wszystko powoli wyhamowało i złota era całkowicie odeszła.

CHAOS: Lata 90. to też wielki wysyp pism III obiegu i subkulturowych zinów. Na punkowej scenie było ich kilkaset. Pamiętam, że i ty byłeś zamieszany w inicjatywę zwaną "Lord Terror". Na tle innych periodyków pismo to trzymało niezły poziom pod względem tekstów i ekologicznego radykalizmu. Możesz opowiedzieć o twojej pracy przy tym zinie? Ile wyszło numerów, jaki był odbiór tego pisma w Polsce?

Seksa: Niewiele osób już chyba wie, że w latach dziewięćdziesiątych istniała ogromna scena niezależnych wydawnictw muzycznych i wszelkiej maści zinów (gazet drugiego obiegu). Kolportaż odbywał się wyłącznie drogą pocztową. Pisząc wkładało się do koperty kilkadziesiąt ulotek odbitych na ksero informujących o nowych podziemnych gazetach, kasetach i zespołach (które otrzymało się wcześniej w liście od kogoś innego). W ten sposób wydawanych było, według „Antologii Zinów 1999-2001", ponad 1200 tytułów prasowych i wiele tysięcy kaset. Każdy w owym czasie chciał być redaktorem zina, czy grać w jakiejś kapeli. Owocowało to właśnie ogromnym wyborem tytułów, a część z tych wydawnictw stała na naprawdę wysokim poziomie. Ja również grałem w zespole punkowym HIJOS DEL PUEBLO, a chyba w 1992 roku zacząłem wydawać własne pisemko „Lord Terror". Początkowo „Lord Terror" był zinem muzycznym, z czasem przeistaczając się w pismo ekologiczno-społeczne. Zamieszczałem wywiady z zespołami zarówno pierwszego jak i drugiego obiegu (metal, punk) oraz artykuły dotyczące szeroko rozumianej wolności. Dominowała tematyka praw zwierząt, ekologii, anarchizmu. Gazetka była chętnie nabywana, a jej nakład wahał się, w zależności od numeru, w okolicach 500 sztuk. W tamtych czasach często po przeczytaniu gazetki, podawało się ją dalej lub wymieniało na inną, dzięki czemu jeden egzemplarz czytało kilka osób. Był to półrocznik z 3 letnią, chyba, przerwą po numerze 9. Zine podobał się, bo otrzymywałem sporą ilość listów, a kilka lat temu ukazała się ciekawa praca analizująca całokształt i wpływ na ruch tego tytułu. Z tamtych czasów na scenie pozostało zaledwie kilka tytułów, że wymienię tylko „Pasażera", „Inny Świat", „Nigdy Więcej".

CHAOS: Łódź słynie z przemysłu włókienniczego, ale też i z cenionych uniwersytetów i nastawionej na umysły ścisłe - Politechniki. Brać studencka, liczona w tysiącach, zawsze miewała pęd ku kreacji. Łódź podczas boomu na "Solidarność" nie odznaczyła się jakoś w drodze ku kapitalistycznej "wolności" dostając miano - "czerwonej". Za to różnej maści artyści poczynają tu całkiem śmiało. Najpopularniejszym pismem łódzkiej Pomarańczowej Alternatywy (w skrócie: PAŁ-y) w końcówce komuny było „Przegięcie Pały". Wydawcą tej gazety, podobnie jak „Trawy", był Krzysztof Skiba oraz w pierwszych numerach anarchiści z Ruchu Wolność i Pokój... Do końca 1989 roku okazało się 8 numerów „Przegięcia Pały". Wszystkie one miały podtekst polityczny, kpin nie oszczędzono nikomu – władze PRL, opozycja solidarnościowa... Zaczęto na poważnie rozkręcać temat tak nośny u schyłku "komuny", jak walka z obowiązkowym poborem do wojska i poruszano temat służby zastępczej. Pamiętasz tamte czasy, kiedy na poważnie ruszył pomysł z Federacją Anarchistyczną sekcja Łódź? Jakie były tego początki?

Seksa: Nigdy nie byłem na akcji Pomarańczowej Alternatywy, pewnie dlatego, że mieszkałem jednak pod Łodzią. Mówiło się o nich trochę w szkole, ale prawda jest taka, że zdecydowana większość młodych ludzi nie interesowała się polityką. Każdy marzył by wyjechać sobie gdzieś na Zachód, ale nikt nie myślał w kategoriach zmiany systemu. Ja chyba, jako jedyny nosiłem znaczek Solidarności i drugi z napisem „Nienawidzę komunizmu". Nie miałem zresztą z tego powodu żadnych problemów, bo miałem wrażenie, że nikogo to nie obchodziło. Dzisiaj więc chce mi się śmiać, gdy słyszę o tych wszystkich zaangażowanych aktorach, artystach, klerze, który tak niby dzielnie walczył z komuną. Gdyby było dobre zaopatrzenie w sklepach, a radziecka gospodarka nie padła w wyniku wpompowania ogromnych sum pieniędzy w wojnę w Afganistanie to komuna by się nadal trzymała. Ja miałem pretensje do społeczeństwa, że robi niewiele, by coś zmienić. Gdy odbyły się pierwsze wybory i wygrała Solidarność bardzo się cieszyłem. Wydawało się, że życie będzie dużo bardziej przyjemne i łatwiejsze. Po kilku latach okazało się, że wcale tak nie jest, a nierówności społeczne są ogromne. Bardzo wielu ludzi rozczarowało się transformacją systemową. Ja byłem jedną z nich. Tak jak wspominałem wcześniej zacząłem szukać jakiegoś innego rozwiązania. Stykając się z anarchizmem za pośrednictwem subkultury punk, odkryłem, że mój własny system wartości jest bardzo zbliżony do tego, co głosili Bakunin, Kropotkin. Ja po prostu dowiedziałem się, że jestem anarchistą, a nie nim zostałem.

Gdy pojawiłem się w Łodzi na studiach zrodził się pomysł reaktywacji grupy anarchistycznej w tym mieście. Po Skibie działały Ortodox i Ruch Anarcho-Pacyfistyczny, jednak dość szybko się rozpadły. Była więc pustka, którą miał wypełnić Czarny Sztandar. Zakładało go kilkanaście osób, głównie przyjezdnych, których łączyła idea. Naszym mottem w owym czasie było hasło „Ani prawica, ani lewica". W takim duchu były też nasze pierwsze działania, które sprowadzały się do wydawania pisma, broszur i organizowania nieskończonej ilości pikiet, demonstracji. Czasami mieliśmy nawet dwie akcje dziennie. Było spore poparcie zarówno na scenie jak i wśród zwykłej młodzieży. Zdarzało się, że na demonstrację przychodziło nawet 300 osób. Sądziliśmy, że otwarcie granic i pamięć szarości PRL-u spowoduje duże zainteresowanie kwestiami wolności jednostki. Niestety, ten trend nie trwał wiecznie i teraz ponownie ludzie ulegają szowinistycznej propagandzie. W tamtym czasie jednak byliśmy pełni nadziei. Rozdawaliśmy ulotki pod zakładami pracy, pikietowaliśmy McDonaldy, zakłócaliśmy spotkania polityków, organizowaliśmy Food Not Bombs, blokowaliśmy eksmisje, organizowaliśmy wyjazdy na demonstracje, mieliśmy nawet przez kilka lat audycję radiową.

CHAOS: Łódzka Federacja Anarchistyczna nie miała z definicji liderów, ale zgodnie z tradycją organizacji politycznych, zawsze znajdzie się jakiś wizjoner, mentor inspirujący innych. Byłem o tę osobę pytany już kilka razy. Rafał Leszczyński, herbu Wieniawa. Filozof, religioznawca, wykładowca akademicki, a w FA Łódź pomysłodawca wielu akcji oraz twórca audycji „Teraz Wolność" w studenckim radiu Żak. Kiedyś wyszedłem do niego z propozycją wywiadu, a przecież znał mnie... Rozumiem gdyby po prostu odmówił, ale musiał dodać, że poczuł się jakbym go wyśledził, że nie życzy sobie dalszego kontaktu, a wszelką łódzką działalność wymazuje z pamięci. Dodam, że dziś jest pastorem jakiegoś związku wyznaniowego i przykładnym obywatelem. Co powiesz o tej postaci i czy takie zachowania i metamorfozy są wg. ciebie czymś normalnym?

Seksa: Uważam, że nawet ruchy wolnościowe, które z założenia nie mają jakiegoś kierownictwa z czasem wyodrębniają liderów. Anarchizm nie jest wyjątkiem, bo mamy w historii wiele takich postaci: Machno na Ukrainie, Durutti w Hiszpanii, Zapata w Meksyku. Nie inaczej jest w niewielkich grupkach. Ktoś jest bardziej wygadany, posiadający duże zdolności organizacyjne czy przywódcze, gra pierwsze skrzypce. Rafał był właśnie taką osobą; wykładowca akademicki interesujący się filozofią, potrafiący bardzo dobrze wypowiadać się w mediach. To on w większości stworzył naszą płaszczyznę programową, która miała objętość broszury. Przemawiał też często na demonstracjach i pisał oświadczenia. Przedstawiany był więc jako lider grupy. Pojawił się chyba w 1996 roku jako desant warszawskiej FA. Pchnął w nas świeżość i dbał o profesjonalizm naszych działań. Niestety z czasem jednak chciał decydować sam o zbyt wielu rzeczach, co nie spodobało się wielu osobom i dochodziło do konfliktów personalnych. W końcu Rafał obraził się na nas, że nie chcemy kroczyć wytyczoną przez niego drogą i odszedł. Przez jakiś czas był takim anarcho-indywidualistą, by nagle zachwycić się Samoobroną. Tłumaczył mi, że to jest prawdziwy ruch alterglobalistyczny i dlatego trzeba wspierać Leppera. Potem jednak nagle skręcił w stronę religii i po kilku latach dowiedziałem się, że został pastorem protestanckim. Jak widać rzucało go po różnych ideach.

CHAOS: Dzisiejsza łódzka rzeczywistość zupełnie się odwróciła, o 180 stopni... Pustynia na scenie, koncerty jedynie w klubiku "Granda" lub u Skoka, w klubie "Dom", który jest finansowany przez Urząd Miasta. Na ulicach po zmroku panuje terror. Śródmieście szaleje od dopalaczy i wojen łódzkich. Ostatnie ofiary to zdemolowany samochód chuliganów ŁKS, trzech ludzi porąbanych maczetami i siekierami jest w stanie ciężkim. Mija, bagatela, ponad dziesięć lat od czasów świetności łódzkiej FA. Marsze antyfaszystowskie skupiające łódzką alternatywę oraz pokazy filmowe w ŁDK u czy w kinach (m.in. z udziałem Romów), pokazy filmowe w kinie Cytryna (po inwazji USA na Irak goszczono Irakijczyków), wyjazdy na demonstracje w kraju (Antyszczyt w Warszawie) czy za granicą S26 w Pradze. Do tego nawiązanie kontaktów z pracownikami Uniontexu i zawiązanie OZZIP, akcje eksmisyjnie, anty-futrzarskie... Co się stało, że grupa osób lewicowo nastawionych, a skupionych wokół FA potrafiło zrobić tak wiele, a zarazem wypalić się?

Seksa: Trudno wypowiadać mi się o współczesności, bo nie jestem na bieżąco z inicjatywami, jakie podejmowane są w mieście. Za czasów naszej działalności, tych akcji, tak jak wspominałem, była ogromna ilość. Myślę, że byliśmy jedną z lepiej działających grup w Polsce. Własny lokal, biblioteka, audycja radiowa, pokazy filmowe, spotkania dyskusyjne. Robiliśmy też kilka wykładów otwartych w takich miejscach jak np. puby,

gdzie było dużo młodzieży - zachęcaliśmy nowe osoby do przyjścia do nas. W czasie jednego z takich spotkań dyskusyjnych, dotyczącego wojny w Iraku, w kinie Cytryna były takie tłumy, że nie można było wejść do środka. Zresztą to kino było bardzo zaprzyjaźnione i zrobiliśmy tam wiele akcji. Pan Zbyszek powiedział kiedyś, że sam czuje się anarchistą. Mieliśmy więc za minimalną opłatą, a gdy tego brakowało i za darmo, salę kinową plus kawiarnię przy kinie. Z dużych imprez odbywających się tam wymienię jeszcze, prócz Iraku, dni Zapatystowskie, Czeczeńskie, Marhabę z działaczami z Bliskiego Wschodu. Mieliśmy zresztą szczęście poznać wielu obcokrajowców przyjeżdżających do szkoły językowej w Łodzi, która jest chyba największa w kraju. Ci z nich, którzy byli związani z ruchami wolnościowymi w swoich krajach, szybko po przyjeździe kontaktowali się z nami i często wspólnie działaliśmy. Mieliśmy więc w swoich szeregów Portugalczyków, Włochów, Greków, Białorusinów. Z czasem też bardziej zaczęliśmy identyfikować się z ruchem lewicowym. Powołaliśmy do życia Inicjatywę Pracowniczą czyli anarcho-syndykalistyczny związek zawodowy. Powstało kilka komisji, a największa była w zakładach Uniontex. Należało do niego tam naprawdę sporo osób i była chyba jednym z większych na terenie tych ogromnych zakładów. Ciekawa jest kwestia powstania samej komisji w Uniontexie. Gdy zakład strajkował, wywieszono wielki transparent „Żydom i Niemcom zakładu nie oddamy", a pośród załogi krążyli wszelkiej maści agitatorzy polityczni chcący coś ugrać na strajku. My podjechaliśmy dużym samochodem dostawczym z ogromną ilością wody mineralnej (panowały upały) dla strajkujących. Ludzie byli zachwyceni, że ktoś pojawił się z realną pomocą, a nie tylko z ulotkami. Zaraziliśmy ich swoim radykalizmem, a ponieważ uważali, że molochy związkowe ich zdradziły stworzyli komórkę IP w Uniontexie. To byli zwykli robotnicy zmęczeni pracą, z codziennymi problemami, którzy okazali się strasznie chłonni naszych idei. Transparent o Żydach zniknął z zakładu, a po kilku miesiącach sami już siebie nazywali syndykalistami i chodzili na demonstrację z czarno-czerwonymi flagami. My byliśmy zachwyceni, że udaje się nam docierać nie tylko do młodzieży, ale i ludzi pracujących. Niestety po dwóch latach zakład upadł i padła razem z nim nasza komisja w Uniontexie. Jako IP okupowaliśmy też biura poselskie Platformy Obywatelskiej domagając się zmian w kodeksie pracy i powrotu do postulatów pierwszej Solidarności. Natomiast jako FA, prócz tych działań lokalnych, organizowaliśmy też wyjazdy na różnej maści akcje, głównie do Warszawy. Wynajmowaliśmy autokary i sporą grupą ruszaliśmy do stolicy między innymi na Antyszczyt, o którym mówisz. Czemu się wypaliliśmy? Przez prawie 15 lat trzon grupy stanowiło kilka osób, które bardzo wiele czasu poświęcało działalności wolnościowej. Osoby te poświęcały czas, pieniądze dla celu, jaki sobie stawialiśmy, czyli zmiany mentalności ludzi w naszym mieście. Niestety, gdy poświęcasz tak dużo energii, a po kilku latach nie widzisz zmian, których się spodziewałeś, przychodzi rozczarowanie ludźmi. Gdy mimo twych wysiłków świat nie zmieniał się na lepsze, a nawet idzie w drugą stronę, to zwyczajnie opadasz z sił i chęci. Część osób pozakładała rodziny, część dalej jest zaangażowana w ekologię czy politykę, choć już w innej formie.

CHAOS: Byłeś jednym z prekursorów kolejnej łódzkiej inicjatywy, datowanej na lata 2001/2002: Federacji Anarchistycznej, squat C4 na Węglowej (dziś już nieistniejący - na jego miejscu powstał szklany twór zwany Dworcem Fabrycznym). Wraz z innymi osobami zawiązałeś grupę "Jedzenie zamiast kłamstw" - wzorowaną na amerykańskiej akcji z lat 60-tych Food Not Bombs, czyli rozdawania posiłków potrzebującym. Jak wyglądały losy tej inicjatywy? Wiem, że powstała strona relacjonująca te wydarzenia, czy dziś jest jeszcze kontynuowana?

Seksa: Węglowa, czyli skłot C4, była chyba trzecim w kolejności budynkiem zajętym przez osoby chcące połączyć mieszkanie z działalnością na tle kulturowym czy społecznym. Była to kamienica całkowicie zajęta na potrzeby takiego miejsca. Na dole była sala koncertowa, sala prób i knajpa (chyba jako jedyna była legalna). Odbywały się tam niezliczone ilości koncertów, imprez. Na pierwszym i drugim piętrze były mieszkania skłotersów plus sala spotkań FA, wraz z biblioteką. Działała też Grupa Anarcho-feministyczna. Ja osobiście mieszkałem tam tylko rok i nie byłem w momencie zajmowania budynku. Skłot funkcjonował dość długo, bo było ciche przyzwolenie od PKP. Wy zaopiekujcie się budynkiem (smołowaliśmy dachy, dbaliśmy o teren), a my udamy, że was nie widzimy. Przez wiele lat to się sprawdzało. Właściciel wolał nas, bo chciał sprzedać budynek, a bał się, że po eksmisji okoliczne pijaczki zdemolują, a złomiarze opróżnią kamienicę z wszelkich metali i straci ona na wartości. W momencie, gdy PKP przekazała budynek miastu za długi, doprowadziło ono do wyrzucenia skłotersów, którzy zresztą w tym czasie nie byli już też chyba dłużej zainteresowani utrzymywaniem tego miejsca. Tak jak mówisz, na C4 przez jakiś czas była też kuchnia Food Not Bombs, które w owym czasie było rozdawane w przejściu podziemnym przy dworcu Fabrycznym. Samo FNB jest zresztą chyba jedyną inicjatywą z tamtych czasów, która przetrwała i działa nieprzerwanie od 2000 roku. Jednak jej forma też ewoluowała, bo początkowo nazywała się Jedzeniem Zamiast Kłamstw i była wymierzona w lokalnych polityków. Gdy ci wydają dziesiątki tysięcy na złote pióra, jak to miało miejsce u nas w mieście, my za kilkanaście złotych żywimy każdorazowo ponad sto osób. FNB np. blokowało wejście na zjazd krajowy Platformy Obywatelskiej, czy uczestniczyło w wielu protestach o charakterze politycznym. Jednak z czasem ograniczyliśmy się do rozdawania jedzenia i ubrań potrzebującym, nie wykorzystując ich do naszych celów. Zresztą było na ten temat wiele dyskusji i sporów w samej grupie.

CHAOS: Jesteś z wykształcenia etnologiem, więc naturalne zainteresowanie historią ziemi łódzkiej nie jest ci obce. Dzięki temu pojawiła się książka twojego autorstwa "Rewolucyjni mściciele - śmierć z browningiem w ręku" traktująca o zamierzchłych czasach, kiedy za idee na szali kładło się życie. Łódź, Ziemia Obiecana, dla biedoty była matką, która ledwie pozwalała przeżyć, a dla fabrykantów dojną krową, która pozwalała im żyć w niebotycznym luksusie, którego rozmiaru nie odczuwa dziś żaden polski milioner. Swoją książką wpisujesz się w nurt, który obrała współczesna Federacja Anarchistyczna - sięganie do korzeni. Podczas naszej rozmowy wspomniałeś o kolejnej książce, nad którą pracujesz... Wspomnij też o badaniach historycznych, które tyczą się zagadnienia anarchizmu.

Seksa: Interesuję się historią zapomnianą i wydarzeniami, o których niewiele jest informacji. Bardzo ciekawe jest odkrywanie jakichś faktów, o których niewiele wiadomo. Idę więc tropem informacji, czy relacji, i staram się odnaleźć materiały na ten temat, głównie w archiwach. Tak było z książką, o której wspominasz, tak jest i z pamiętnikami, jakie udało się odnaleźć, a które w grupie znajomych o podobnej pasji udało nam się opracować i wydać. Teraz przygotowujemy wspomnienia Hirszauge, „Spełniające się marzenia", które dotyczą ruchu anarchistycznego lat trzydziestych w Polsce. Jest to dość kosztowne przedsięwzięcie, bo tekst jest napisany w jidysz a tłumaczenie jest bardzo drogie. Trzeba też je opracować, odszukać ewentualną rodzinę oraz jakieś inne dokumenty o autorze. Jesteśmy już bliscy składu i niebawem będzie można przeczytać tę fascynująca lekturę. Bardzo cieszy, że coraz więcej pojawia się pozycji dotyczących szeroko rozumianego ruchu anarchistycznego, a dla wielu amatorów i poważnych historyków jest to konik. Sam ruch anarchistyczny zresztą stara się odkrywać swoje korzenie, wydając, np. z pomocą wydawnictwa Trojka, cykl poświęcony anarchistycznej historii. Okazuje się, że nie był on tak mały, jak mogło się wydawać, a jedynie bardzo dobrze zakonspirowany. Ja, osobiście, interesując się też historią Łodzi, wynajduję również jakieś ciekawe wydarzenia mało jak dotąd opisane. Czasem udaje się wydrukować coś z tego, nawet w prasie, czy publikacjach historycznych.

CHAOS: Wielkie dzięki za rozmowę.
Jarek vel Roman Boryczko

http://www.siemysli.info.ke/

się myśli

Portal www.SieMysli.info.ke to następca stron www.bezjarzmowie.info.ke, www.infopol.lt/pl i www.RegioPolis.net. W obecnej postaci strona funkcjonuje od września roku 2013. Nie reprezentuje ani "lewicy" ani "prawicy", bo taki podział redakcja SieMysli uważa za anachronizm. Stara się być forum propozycji patrzenia na współczesny świat bez ideologicznego zadęcia. Ideologia nie zbawi ludzi, zbawi ich działanie. Odejście od bierności w aktywizm, ale nie pozorny, reprezentowany przez miłośników FB - tylko realny, choćby na polu bardzo lokalnym - to postawa proponowana Czytelnikom. Aktywizm jednak wymaga myślenia, a ono - prawdziwej informacji. W zalewie niby-lewicowej i niby-prawicowej PROPAGANDY - informacja i rzetelny komentarz nie są wcale zbyt częstym zjawiskiem. Nie jest to na pewno portal dla nawiedzonych lub zwolenników jakichkolwiek partii politycznych. I raczej dla poszukiwaczy własnych dróg niż uczestników masowych demonstracji.

...JEDNI ZBIERAJĄ ZNACZKI, INNI CHODZĄ DO KINA, A JA LUBIĘ KIEDY W MOIM MAGNETOFONIE KASETA SIĘ PRZEWIJA...

Od dobrych kilku, a może nawet kilkunastu lat, wśród słuchaczy muzyki z okolic punk rocka i hardcore rządzi płyta winylowa. Porzucona gdzieś w latach 90. na rzecz kompaktów (pamiętacie te ideologiczne dysputy o wyższości winyla i kaset nad nowoczesnym CD, z którego zyski idą na złe korporacje?), wróciła w wielkim stylu i dziś, każda, nawet przeciętna kapela punkowa, chce mieć swoje nagrania na czarnym, a jeszcze lepiej, kolorowym placku. Winyl zawładnął wyobraźnią punkowych melomanów. Dziś na winylu wydaje się wszystkie niezależne nowości oraz nagrania archiwalne - te z zamierzchłych czasów powstawania muzyki punk w Polsce, jak i hity z „szalonych" lat 90. Winylowi maniacy są w stanie płacić srogie sumy za rarytasy sprzed lat, jak i nietypowe wydania współczesne. Winylomania opanowała scenę. Jednak gdzieś w tym szale, gdzieś na uboczu nawet, są tacy, co to upodobali sobie zupełny inny nośnik na którym można propagować punk rocka i nie tylko. Owi niszowcy od owalnych kształtów winylowego placka czy płyty CD, wolą starą, poczciwą, kanciastą kasetę magnetofonową. Dla wielu, to już tylko relikt przeszłości, staromodna pozostałość po latach młodzieńczych... Są jednak tacy, co jarają się kasetami. Na giełdach staroci i aukcjach internetowych kupują stare kasetowe wydawnictwa, ciągle grzebią w swych przestarzałych już kaseciakach - czyszcząc głowicę czy naciągając kolejny nowy pasek, czy wreszcie swą ulubioną muzę wypuszczają właśnie na MC, zamiast winylu czy CD. I jedną z takich osób jest Qba Kida - kasetowy maniak, który ekstremalnej muzy słucha przede wszystkim z kaset a w dodatku takową muzę wydaje też na tym muzycznym nośniku - powołując do życia label o wdzięcznej nazwie Extreme Noise Tape. Oto, co Qba miał nam do powiedzenia, o swym kasetowym hobby, współczesnym wydawaniu kaset, swych muzycznych fascynacjach i twórczości oraz, poniekąd, o sobie samym... Przepytywał: Krawat. Odpowiadał: Qba Kida

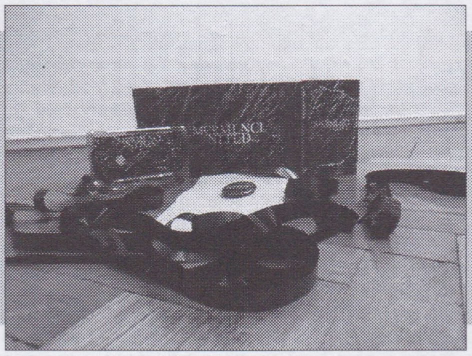

CHAOS: No to może na sam początek przedstaw się i powiedz dlaczego wg. ciebie kaseta jest czymś lepszym niż płyta winylowa czy kompaktowa?

Qba: Witam wszystkich. Jak to dlaczego? Bo kaseta to nośnik, który zawsze będzie mi się kojarzył ze scena punkową i metalową! W latach 80. na wszystkich tych festiwalach, Jarocinach - na czym nagrywano te polskie punkowe czady? Oczywiście, że na kasetach. To dzięki kasecie istniała w Polsce scena hc/punk, pierwsze wydawnictwa, dystrybucje, trading... Dla większości to może przestarzały już nośnik, ale dla innych nadal to coś, co sprawia im przyjemność i będą z tego korzystać i odtwarzać ulubiona nutę.

CHAOS: Pamiętasz może swoje pierwsze kasety? Chodzi mi tu zarówno o te wydawane przez oficjalne wydawnictwa muzyczne, jak i te wydane w obrębie sceny niezależnej? Masz je może nadal w swojej kolekcji?

Qba: Jasne, że pamiętam. Część z tych nagrań mam do dzisiaj, niestety, jakiś czas temu miałem kiepską sytuację, byłem zmuszony niektóre „rary" sprzedać, przez co trochę półki się uszczupliły, ale pocieszam się tym, iż udało mi się chociaż zrobić kopie tych nagrań.

Moja historia z kasetami zaczęła się jakieś 20 lat temu, nie słuchałem wtedy jeszcze takich dziwadeł co dzisiaj, bo byłem młodym smarkiem zafascynowanym rapem w klimatach Run DMC, Vanilla Ice, Kris Kross, Public Enemy, a przede wszystkim dla mnie namber łan to był Kazik Staszewski i uważałem go za zajebistego tekściarza. Do dziś mam kasetę którą wydało Zic-Zac – „Spalam Się". Pamiętam, jak pojechałem z kumplem do sąsiedniego miasteczka, do tzw. „blaszaka" (sklepik z kasetami i koszulkami na małym targowisku) i jak sypnąłem garść uzbieranych monet na blat i poprosiłem o tą kasetę. Mina gościa, co zobaczył tę kupkę pieniędzy – niezapomniana!

Poza takimi klimatami słuchało się też takiej nuty jak Technotronic, KLF czy składanki Techno Trax, nie ukrywam, że spora część nagrań z tamtego okresu udało mi się uzbierać na nowo, bo jakby nie patrzeć, mam sentyment do tych klimatów i miło wspominam tamten okres.

Lata 1992/93 to czas, kiedy po raz pierwszy miałem styczność z hc/punkiem - poszedłem na koncert u siebie w miasteczku i jak zobaczyłem te wszystkie kolorowe irokezy, pasiaki, skóry, glany i to pogo tworzone przez punków „sportowców", to już wiedziałem, że to jest to. Z czasem wkręciłem się w to dosyć głęboko, bo kupowałem sporo zinów , kaset min. z GZG, Łabondek Tapes, Your Choice Live Series, QQRYQ czy Enigmatic. Nie wiem czemu, ale do dziś mam sentyment do kaset, które były wydawane z kserowanymi okładkami i, powiem szczerze, takie mnie najbardziej rajcują. A żeby było jeszcze śmieszniej (a może nie), to lubię wąchać takie okładki, ot taki mój fetysz...

CHAOS: Jak dużą posiadasz kolekcję kaset magnetofonowych? Wiem, że masz szeroki gust muzyczny, ale chyba nie zbierałeś wszystkiego, co ci w ręce wpadło i nie trzymasz tego nadal?

Qba: Hmmm, jak dużo tego jest? Kiedyś posiadałem spis i ciągle go uaktualniałem, ale z czasem, jak wyprowadziłem się z Cieszanowa, podupadło to trochę. Z racji, iż do dziś nie mam własnej chaty i ciągle coś podnajmuję i przeprowadzam się, to krew z cementem by mnie chyba zalała, jak miałbym to za każdym razem i podczas każdej przeprowadzki taszczyć ze sobą, te wszystkie taśmoki. Większość moich kaset jest u rodziców - podczas moich ostatnich obliczeń i posegregowaniu tego jakoś w miarę - a było to jakieś pół roku temu - to posiadam na tą chwilę ok. 1500 sztuk. A w tej chwili to nawet będzie już trochę więcej tego stuffu, bo od mojej przeprowadzki do nowego miejsca już zdążyłem uzbierać ok. 250 sztuk, które pochodzą z wymiany oraz różnych aukcyjnych i okazjonalnych zakupów. Co do moich fascynacji różnymi gatunkami, to nie jest to chyba nic dziwnego. Uważam, że nie można się ograniczać tylko do jednego stylu/gatunku muzycznego, bo z czasem może cię najść taka refleksja, że wszystko czego słuchasz jest na jedno kopyto i nie ma już nic odkrywczego w tej muzie i zaczyna cię ona po prostu nudzić. Dlatego ja słucham tego, na co mam ochotę, czasami jest tak, iż katuje uszy kilka dni tylko noisem (power electronics/harsh) i industrialem, innym razem z głośników napierdala karabin maszynowy spod znaku grindcore/gore/crust, a i są takie dni, że potrzebuję wyciszenia i spokoju to wtedy słychać z głośników dźwięki w stylu Björk, A FLOCK OF SEAGULLS czy reggae.

CHAOS: W swej kolekcji kaset posiadasz również te, które w latach 90. wydawały firmy pokroju TAKT, MG itp. Dzięki nim wiele osób spoza sceny niezależnej mogło trafić na wartościową muzykę. Masz do takich kaset jakiś szczególny sentyment i np. kupujesz je nadal na aukcjach internetowych?

Qba: Zgadza się, posiadam trochę tych „oryginałów" z lat 90. Nie ukrywam, iż dzięki tym wszystkim piratom: MG, Takt, Alf, Baron, mogłem usłyszeć po raz pierwszy różne kapele z zagranicy: a był to punk, hardcore, grind, lub death metal - było to ekscytujące przeżycie w tamtym czasie.

Moja pierwsza styczność z SEX PISTOLS, EXPLOITED, D.O.A., PRIMUS, NOMEANSNO, D.R.I., NAPALM

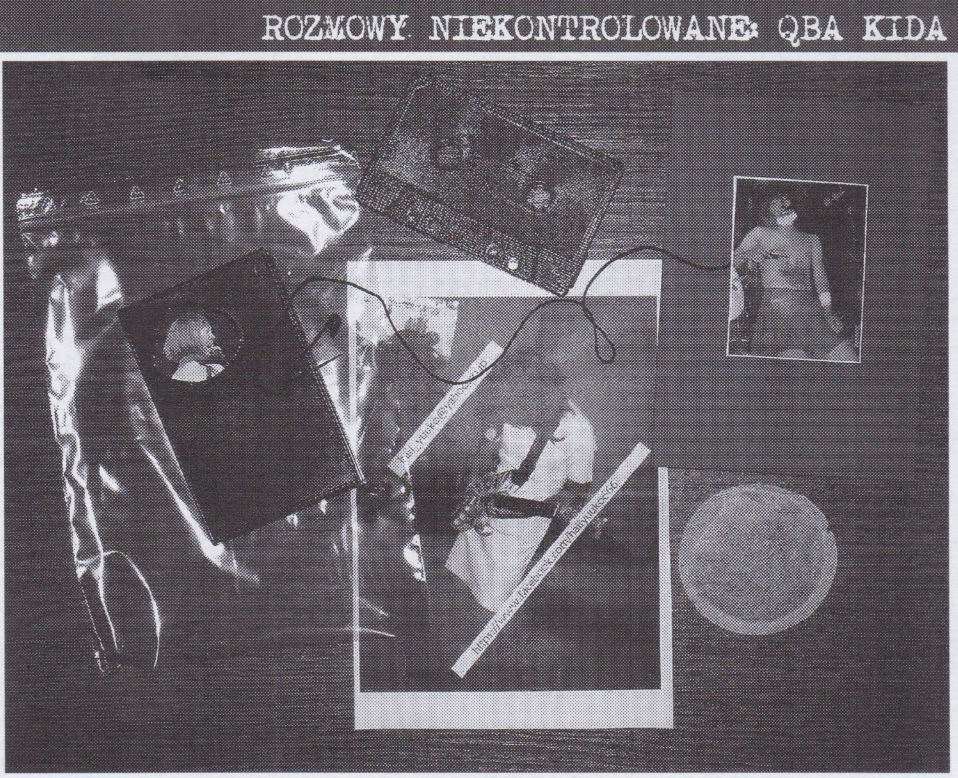

DEATH, EXTREME NOISE TERROR, czy SEPULTURA (która była dla mnie bardziej punkowa niż metalowa), to właśnie dzięki kasetom z MG i Takt. Każdy chyba wtedy miał te kasety w domu, punki i metale; było pożyczanie ich sobie nawzajem, a czasami kopiowanie ich i przerysowywanie okładek flamastrami (sam tak robiłem). Oj, ile radochy było, jak skończyło się przerysowywać okładki D.R.I. „Dirty Rotten" czy „Harmony Corruption" NAPALMÓW i zabierało się za kolorowanie ich...

Czasami obczajam różne aukcje tych nagrań, nieraz uda mi się kupić ciekawe nagrania za nieduże pieniądze, ale nie mam nasrane w głowie tak, żeby dać za te kasety 50 zł, jak to robią co niektórzy. Nie ukrywam, iż jak czasami widzę to, co ludzie sprzedają, to mi kopara opada, bo nie wiedziałem, że było to „wydane" w Polsce.

CHAOS: Czy jesteś na tyle maniakiem kasetowym, że masz na przykład kilka wydań tej samej płyty? Wśród kolekcjonerów płyt winylowych jest to zazwyczaj norma...

Qba: Nie ukrywam, że mam parę nagrań zdublowanych, pochodzących z różnych wydawnictw, ale są to przeważnie rzeczy, które przypadkiem do mnie trafiły. Nie szukałem, nie licytowałem specjalnie tych nagrań, po to by mieć 10 różnych wydań jednej kasety, jak ci zjebani kolesie co kupują po kilka sztuk winyli, bo kolor placka jest inny. W ogóle, to nie czaję takich ludzi, dla mnie to oni nie różnią się za bardzo niczym od zwykłych biznesmenów, którzy będą chcieli na tym zarobić za kilka lat, bo nieraz słyszałem, że taki zakup to inwestycja na przyszłość. Inni zaś mówią, iż dzięki nim, zespół/wytwórnia zarabia na nich, bo to kupują, ale nie pomyśli cymbał jeden z drugim, iż przez ich pazerność i egoizm, ktoś inny nie będzie mógł kupić egzemplarza i - co najważniejsze – będzie to ktoś, dla kogo nie jest ważny kolor płyty, ale zawartość muzyczna - o tym często zapominają ci „hurtowi zbieracze". Widzę już pianę na ustach scenersów za te słowa...

CHAOS: Fani winylu zwracają dość dużą uwagę na sprzęt jakiego używają. Jak to się ma do kaset magnetofonowych? Czy masz jakieś preferencje, jeśli chodzi o sprawy sprzętowe? Zwracasz uwagę na jakość nagrań i często czyścisz swą głowicę w kaseciaku?

Qba: Co do osób, które słuchają/kupują winyle, to często zdarza się, że są to melomanii i u nich musi wszystko ładnie hulać i mieć swoje brzmienie, przez co czasami wydają sporo kasy na dobry sprzęt, żeby nie było tylko słychać dźwięków, jak z placków DISCLOSE. Zaś jeśli chodzi o ludków lubiących kasety, to oni zadowolą się nawet sprzętem średniej jakości, bo kasety nie potrzebują np. dodatkowych basów, jak to jest w przypadku odsłuchu winyli, i czasami zwykły magnetofon sprawi frajdę, chociaż nie ukrywam, że jeśli będzie ktoś słuchał np. jakichś starych rehów (nagrania z próby - przy. red.)lub bootlegów nagranych gdzieś w garażu, gdzie słychać tylko buczenie, to nawet mega wyczesany sprzęt mu w tym nie pomoże. Lipą w tej chwili jest to, iż nie produkują już nawet wież/magnetofonów z kieszeniami na kasety (część z nich ma odtwarzacz CD i wejściówkę na USB), a jak ci się uda dorwać sprzęt, to jest to głównie tylko z jedną kieszenią i po przesłuchaniu kilku kaset gumka/pasek niestety pęka.

Jeśli ktoś chciałby zakupić sobie jakiś sprzęt, to polecam obczaić różne szroty w okolicy u siebie (jeśli są takowe), allegro i tablice, gdzie czasami ludziska sprzedają magnetofony/segmenty bardzo tanio, bo uważają, że kasety to przeżytek i już nikt tego nie słucha.

Co do głowicy, to jak używałem średniej jakości sprzętu, to dosyć często mi się to zdarzało, iż trzeba było ją przeczyścić, chociaż to nie był taki wielki problem. Najbardziej się wkurwiałem, jak w ciągu kilku miesięcy musiałem wymieniać kilka razy pasek, bo się urywał.

CHAOS: W starych dobrych latach sceny niezależnej dość popularne były przegrywalnie z muzyką hardcore/punk itp. Korzystałeś z usług takich „firm", prowadzonych przez co ważniejsze postacie z ówczesnej sceny hc/punk?

Qba: Pamiętam w latach 90. ten zajebisty wysyp tych wszystkich przegrywalni - tych za free i tych za gotówkę. Nie ukrywam, że te drugie to totalnie zlewałem i nie pisałem do nich nigdy listów z prośbą o przegranie czegoś tam. Pamiętam, jak - będąc w podstawówce - nakręcałem swoich kumpli z klasy na klimaty bardziej punkowe (bo to było lepsze niż Guns'n'Roses i New Kids On The Block - he, he), dzięki czemu zaczęliśmy wspólnie coś działać, robić sobie sami naszywki, koszulki, pierwsze sprayakcje na mieście, pierwsze ziny itp. Z czasem było tak, że połowa naszej klasy chodziła w naszywkach DEZERTERA i G.B.H., nawet ci, którzy nie słuchali takiej muzy.

Co było zajebiste, każdy z ekipy podłapywał jakiś kontakt z ludźmi/zespołami z Polski (dzięki flyersom, które rozdawaliśmy między sobą) i tak to jakoś z czasem wyszło, że dzięki tym kontaktom zaczęliśmy organizować pierwsze koncerty.

Pamiętam też, że dzięki chyba Żabie z zespołu TOMAHAWK (teraz Ojciec Dyrektor imprezy zwącej się Rock Na Bagnie), dostaliśmy namiar na kolesia z Warszawy, który posiadał przeogromny spis nagrań kapel punk/hc/reggae/ska...

Jak trzymałeś te kilkanaście zkserowanych kartek A-4 z rozpiską kapel, to aż ci ręce drżały. Było tam wszystko, od klasyków polskiego punk rocka po kapele, o których mało kto słyszał, bo zagrały jeden koncert czy próbę. I te wszystkie koncerty: Jarociny, Róbrege, Poza Kontrolą, Reggae Nad Wartą, próby, demosy nagrywane na Kasprzakach i Wilgach. Plan nasz był taki, że robiliśmy w kilka osób listę nagrań które nas interesowały. Spisywaliśmy to wszystko na kartkach, następnie kombinowaliśmy kasety - a wiadomo jak z tymi kasetami w tamtym okresie było (pamiętam jak u mnie w domu matka mało co mnie nie chciała powiesić na suchej gałęzi za to, że pokasowałem połowę jej kaset he, he). Dlatego trzeba było szukać innych źródeł. Kumpel ze szkolnej ławki, za drobną opłatą, był w stanie załatwiać dla nas „czyste kasety", a to dzięki temu, iż jego mama pracowała w księgarni. Tam, na magazynie, były pełne kartony kaset z muzyka takich gwiazd jak: Józef Skrzek, Wiesław Pieregorólka, Edyta Geppert czy Bajm... Pakowało się wtedy do paczki po 50-60 kaset ze spisem, czekało 2-3 miesiące i potem, jak pojawił się listonosz u któregoś z nas, to była ustawka i każdy odbierał swoje nagrania. Czasami było przejebane, jak się okazało, że np. twój koncert MOSKWY jest nagrany na kasecie kumpla z koncertem POST REGIMENT - trzeba było się dogadać, który pierwszy pożycza kasetę, haha...

Poza tymi wszystkimi polskimi klasykami, lubiłem również zespoły grające prostego punk rocka, nazywanego wtedy punko-polo, lub słowiański punk, i pamiętam, że prosiłem czasami o przegranie mi kapel, o których nawet nie słyszałem, ale zaintrygowała mnie ich nazwa i brałem takie zespoły w ciemno. Oj, czasami to był naprawdę prosty punk, umpa umpa, ale te nazwy kapel niszczyły na potęgę: WŁOCHATY ODKURZACZ, EROTYCZNE SNY KACZORA DONALDA, WAŁY NAPĘDOWE, FIOLETOWE PŁYNY ZDROWOTNE, AWARIA KONTENERA, DZIECI W SZOKU, FORMACJA BRUDNY WIDELEC, KTO NIE KOCHA PIESZCZOCHA...

Ale najlepsze to jest to, że niektóre kasety z tamtego okresu ostały się u mnie do dziś i nawet podczas odpowiadania na ten view odsłuchiwałem sobie MAGISTER Z WYCIĘTĄ PRZYSADKĄ MÓZGOWĄ i ZBOMBARDOWANA LALECZKA... Old polish punk not dead!

CHAOS: Dziś mało kto wydaje muzykę na kasetach. W Polsce to już są wyjątki, w Europie jeszcze są w miarę popularne, ale chyba najbardziej popularne są jeszcze w Azji. Gdzie obecnie zdobywasz kasety z nową muzyką?

Qba: Tutaj cię zaskoczę, bo w tej chwili kaseta staje się jednym z ulubionych nośników różnych maniax i coraz więcej pojawia się ich w eterze. Labele wydając jakiś zespół, myślą także o odbiorcach i wiedzą, że są ludzie, którzy odsłuchują muzę na różnych nośnikach i dlatego starają się dbać o klientelę. Na przykład ostatnia ANTIGAMA pojawiła się w trzech różnych formatach: LP, CD, MC – tak, żeby każdy był happy.

Hmmm, skąd biorę kasety? Nie wiem czy mogę ci zdradzić moje źródła i dostawcę...

Duża część kaset, które posiadam, pochodzi z różnych wymian z innymi ludźmi (to jest plus tego, iż masz wydawnictwo, bo czasami nie musisz kupować muzyki, a po prostu się z kimś za nią wymienić i wydajesz tylko kasę na przesyłkę), sporo też kupuję od ludzi, którzy pozbywają się mc. Z racji, że większość muzy, którą kupuję to nagrania, które były kiedyś wydane i ludzie np. nie słuchają ich, to chcą się tego pozbyć - od takich osób odkupuję. Nie śledzę na bieżąco wszystkich nowości, które wychodzą na mc, bo to jest nie do ogarnięcia temat, więc jestem zwolennikiem raczej „starych" nagrań.

EXTREME NOISE TAPE

CHAOS: Co cię skłoniło do założenia Extreme Noise Tape? Kiedy to się stało i jaki postawiłeś cel przed tym przedsięwzięciem?

Qba: Kilka lat temu, byłem mocno zafascynowany wszelkimi ekstremalnymi odmianami noise'u (harsh/power electronics/wall noise/cyber/industrial) i z czasem pojawił się plan stworzenia czegoś własnego w tych klimatach. Zakupiłem wtedy efekt wokalny Digitech VX400, który posiadał sporo fajnych efektów, z którymi można było śmiało się bawić na różne sposoby i początkowo zgrywałem różne ścieżki (loopy) i je miksowałem. Potem, z

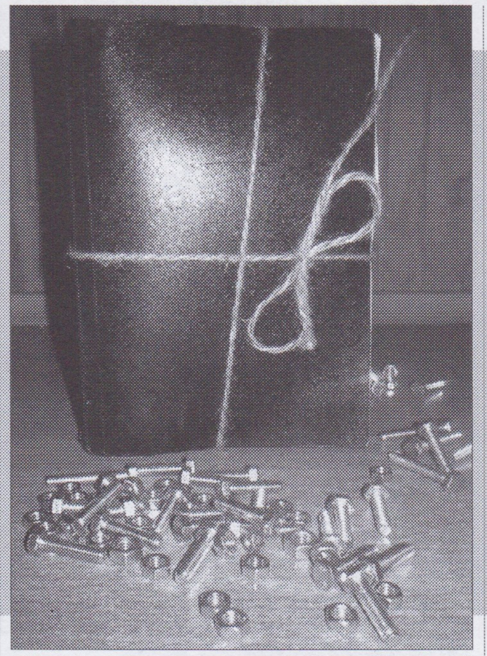

czasem, zacząłem używać także fal radiowych, nagrywałem również odgłosy maszyn, które pracowały na pełnych obrotach u mnie w pracy, a to wszystko przepuszczałem przez różne efekty.
Gdy zarejestrowałem pierwsze utwory, stwierdziłem, iż fajnie by było puścić je w obieg, a najlepiej żeby był to split i oczywiście na kasecie! Akurat trafiła się okazja, bo chłopaki z zespołu MARSZ NA WASZYNGTON byli w trakcie miksowania songów ich pobocznego projektu digital hardcore - BABOĆKI. I tak jakoś, od słowa do słowa, od piwa do piwa i od blanta do blanta, zgadaliśmy się, że można by wydać ten ich materiał i moje wypociny spod znaku HIDESHI HINO. Otrzymałem od nich ponad godzinny materiał, a z racji, iż miałem tylko kilka utworów, łącznie trwających ok. 15 minut, to trzeba by to jakoś pogodzić i albo szukać kogoś jeszcze do tego splita, albo skrócić ten ich materiał. W tym samym czasie przeszła mi przez głowę myśl, żeby nikogo nie prosić i nie włazić mu w dupę, co by nam to wydał, bo mamy dwie ręce i można to po prostu samemu zrobić przy niskich kosztach. W latach 2001-2007 miałem swój inny label, Necrophil Punx Records i wydawałem głównie nagrania kapel (w których się udzielałem) na CD-Rach i kasetach, więc jakieś doświadczenie miałem z tym tematem. Tylko tym razem stwierdziłem, że zrobię to po innemu i nie pójdę na łatwiznę, nie ograniczę się tylko do kserowanych okładek i standardowych opakowań plastikowych. Więc trochę posiedziałem na necie, obejrzałem setki stron z różnymi wydawnictwami i zagłębiłem się w różne aukcje w sklepach internetowych, po to aby znaleźć jakieś opakowania. Tak natrafiłem na kartonowe pudełka, które w sam raz by pasowały. Ciach! i mamy już box. Teraz trzeba było poszukać kaset. Akurat przypadkiem trafiłem na aukcję, gdzie ktoś sprzedawał kasety C-10 z językiem angielskim dla dzieciaków - zainteresowało mnie to, ponieważ kasety były koloru czerwonego i tak pojawiła się szybka decyzja która była taka, iż na side A pójdą 3 utwory BABOĆKI, a na side B jeden song HIDESHI HINO. Ale, żeby nie było za pusto w opakowaniu, to wpadłem również na pomysł dołączenia jakiegoś bonusa. Przez miesiąc, w słoiku z wodą na balkonie, moczyły się gwoździe, aby je trochę rdza złapała i były obskurne, jak zawartość muzyczna tego splita. Zostało na koniec dopracowanie grafik, więc kolaże poszły w ruch i gdy już wszystko było dopięte na ostatni guzik, trzeba było znaleźć jakąś nazwę dla labelu. Tak pojawiła się propozycja Extreme Noise Tape (niestety wkradła się literówka i w nazwie jest błąd, powinna być jeszcze litera „s" - czyli Tapes - no ale już po zawodach i jest jak jest he, he). A gdy pierwsze egzemplarze poszły w eter, to nagle się okazuje, że ludziom się to podoba i pojawiły się pierwsze propozycje czy bym nie wydał komuś kasety. Stwierdziłem, że czemu nie, i tak to trwa do dziś. A wiesz co jest zajebiste w tym wszystkim? To, że ja sam nie piszę/proszę kogoś o to, czy by nie chciał abym go wydał - w większości przypadków jest tak, że to ludzie sami o to proszą, bo im się podobają te wydawnictwa.

CHAOS: Już sama nazwa labelu wskazuje, iż wydajesz głównie kasety. Jednak zdarzyło ci się wydać również dyskietkę z muzyką... Możesz coś o tym więcej powiedzieć? Czy przewidujesz dalsze wypuszczanie muzyki na innych nośnikach niż kaseta magnetofonowa?
Qba: Taki był plan, że Extreme Noise Tape będzie skupiało się głównie na wydawaniu kaset, ale od czasu do czasu puszczam w małych ilościach jakieś wydawnictwo na dyskietce 3,5 cala, na której znajduje się song trwający ok. 1,5 minuty i przeważnie są to utwory HIDESHI HINO. Za niedługo również pojawi się split 7"EP MATKA TERESA/ AFTERSUNDOWN wydany w kooperacji z kilkoma innymi labelami, a niespodzianką będzie to, że jeśli będziesz chciał zakupić go u mnie, to otrzymasz dodatkowe opakowanie do tego placka!

CHAOS: Dziś ciężko dostać czyste kasety magnetofonowe - jak sobie z tym radzisz w ramach E.N.T.?
Qba: E.N.T. to 100 % D.I.Y. label i staram się wykorzystywać wszystko na zasadzie recyklingu - opakowania, kasety itd. Jak mieszkałem w Rzeszowie, to miałem stałą miejscówkę, gdzie można było zakupić kasety z różną muzą (od niemieckich bawarskich piosenek, disco, techno, rap aż po muzę metalową czy punkową) za symboliczną złotówkę, czasami nawet się zdarzało, że kupowałem nierozfoliowane czyste mc, tak było np. w przypadku 4 Way Splita NIHILIZZM/MARSZ NA WASZYNGTON/ TAKASHI OHKAWA/HIDESHI HINO, wszystkie kasety do tej pozycji to były czyste C-46, które kupiłem za niecałe 20 zł.

W tej chwili staram się kombinować jak się da i obczajam różne aukcje np. OXL czy Allegro, żeby zakupić zestaw kilkunastu lub kilkudziesięciu kaset za jednym strzałem, bo szkoda mi czasu na bawienie się w kupowanie pojedynczych sztuk. Najlepiej szukać jakieś disco polo albo pochodne (często się zdarza, że to są kasety C-40 a takie są dla mnie najlepsze) bo komuś np. zalegają w szafie albo w piwnicy i chce się tego pozbyć. Nieraz trafia ci się taki strzał, iż część z tych mc ląduje na twojej półce, a nie idą do kasacji bo np. okazuje się, że to są kapele, których słuchasz na co dzień i chyba by cię krew z cementem zalała, jak byś to skasował.
Ostatnio np. miałem taką sytuację, że koleś pozbywał się całego pudła kaset (ok.60 sztuk) i facet w sumie nie do końca wiedział co sprzedaje, bo tłumaczył się, iż chce się tego pozbyć, bo mu to zalega na strychu, a sam nie do końca wie co znajduje się na tych taśmach. Wysłał mi parę zdjęć, obczaiłem je i stwierdziłem, że biorę. Listonosz przyniósł pakę parę dni później i po otwarciu okazuje się, że 30 kaset zostawiam i na pewno ich nie skasuję. A dlaczego? Bo te trzydzieści sztuk to nagrania z Jarocinów, rehy, demosy starych polskich kapel, m.in.: POST REGIMENT, MECHANICZNA POMARAŃCZA, FOZGEN, MOSKWA, OKRES, AURORA, VARIETE, OD RAZU WIELORYBY, 1984, KONFLIKT PSYCHICZNY... Pewnie jak by sprawa wyszła na jaw, że skasowałem te taśmy, to na żadnym koncercie by mi już na pewno legitymacji punkowej nie podbili!

CHAOS: Nakłady w E.N.T. nie są jakoś szczególnie imponujące. Jaki był najmniejszy, a jaki największy? Czy twoje kasety schodzą jak ciepłe bułeczki?
Qba: Extreme Noise Tape to nie jest jakieś duże wydawnictwo, które wydaje tzw. „masówkę", czyli po kilkanaście tytułów w roku, zapakowane w tradycyjne plastikowe pudełka na kasety i nakładzie 200-300 sztuk.
W moim przypadku liczba egzemplarzy jest dosyć ograniczona, dlatego, że wszystko robię sam. Każda pozycja jest planowana od podstaw, czyli jakie ma to być wydawnictwo, z czego zrobić opakowania, czy będą jakieś gadżety dołączone, ile sztuk, uzbierać odpowiednią ilość kaset, do tego dochodzi jeszcze przygotowanie jakiejś grafiki itp. pierdół, a niestety czasami zespoły, czy projekty, też nie wyślą ci wszystkiego na czas lub nieraz dosyć skromne info lub fotę i trzeba samemu główkować jak to przygotować. A na koniec trzeba to wszystko jeszcze poskładać w całość, siedzieć i przegrywać każdą kasetę (kiedyś mi w tym pomagał znajomy z innego labelu, ale z czasem każdy się skupił na swoim wydawnictwie i każdy sam sobie ten wózek pcha do przodu), dlatego też, jeśli miałbym np. sam zrobić 200-300 opakowań w stylu RU/ST (książka skręcona śrubami) to chyba by mnie krew z cementem zalała!
Zaś jeśli chodzi o zainteresowanie i czy ktoś ten szit kupuje, to z tym to jest różnie. Spora cześć egzemplarzy znika mi z półek na zasadzie wymiany z innymi labelami, które wydają muzę w podobnym klimacie, ale są też „stali klienci", którzy kupują

każde wydawnictwo, bo podoba im się forma wydania + zawartość muzyczna, są też tacy ludzie którzy kupują tylko dla samej formy wydania i nawet nie rozpakowują tych nagrań bo uważają, że jest to pewna forma sztuki (co mnie również cieszy).
A jeśli chodzi o najmniejszy limit, to są to głównie dyskietki 3,5", na których było wydane HIDESHI HINO - „War IV" (2013), oraz HIDESHI HINO - „War VI" (2014) i były to limity po 10 egz., zaś największe ilości (jak do tej pory), to był to projekt z Ukrainy, RU/ST - s.t. (2014), który pojawił się w nakładzie 40 ręcznie numerowanych egzemplarzy zapakowanych w książkę.

CHAOS: Każdy kolejny numer w katalogu E.N.T. to, jeśli chodzi o zapakowanie kasety, prawdziwe arcydzieło. Dodatkowo można się spodziewać jakichś gadżetów pod postacią naszywki, naklejki, badzika czy innej pierdółki. Skąd bierzesz pomysły na tak różne formy opakowania i czy nie boisz się tego, że kiedyś ci ich zabraknie?
Qba: Dziękówa za dobre słowo, zawsze to jakaś mobilizacja do kolejnych produkcji. Wiele razy słyszałem, że mam zryty beret, lub jestem nieźle odklejony, z racji moich pomysłów i metod wydawania kaseciaków. Jestem tego zdania, iż opakowania można zrobić ze wszystkiego - tego co cię otacza w domu, pracy, przyrodzie... W moim przypadku, często pomysły wpadają mi do głowy podczas spacerów, jazdy rowerem, w pracy, czy w czasie jedzenia obiadu - na to nie ma reguły. Zdarza się tak, że dostrzegam fragment jakiejś rzeczy i wtedy zaczyna mi się kotłować w głowie, co można z tego zrobić, co można do tego dodać lub dopasować tak, żeby całość miała ręce i nogi. Bardzo często zapisuję swoje pomyły, mam do tego specjalny kajecik w którym są projekty (opisane i rozrysowane) na kolejne 10-20 wydawnictw, także nie martwię się o to, że nagle nie będę miał weny, czy nie będę wiedział w co zapakować kasetę. Nie obawiam się tego, bardziej boje się, że może przyjść taki okres, że nie będę miał tyle wolnego czasu (Krawat wie o co chodzi - sam pewnie rzucał nieraz mięsem w moim kierunku, czekając na odpowiedzi he, he) na to, żeby siedzieć i składać to wszystko do kupy.

CHAOS: Grind core, power violence, noise, industrial... to główne rodzaje ekstremalnej muzyki, jakie można usłyszeć z kaset wydawanych przez E.N.T. Czy wg. ciebie jest to popularna muzyka wśród ludzi słuchających muzyki niezależnej?
Qba: Extreme Noise Tape nie jest ukierunkowane tylko na jeden styl/gatunek muzyczny. Jestem otwarty na każdy rodzaj (no może nie na disco polo i NS black metal), ale jak jest coś warte uwagi i ciekawe, to czemu tego nie rozpowszechniać? Jednego jestem pewien, że na pewno żadnego gówna spod znaku kołomira, swastyki czy jakichś innych patriotycznych gówien nie wydam.
Czy te gatunki muzyczne, które wymieniłeś, są popularne wśród ekipy punkowej? Myślę, że w pewnym stopniu tak, jeśli np. chodzi o gxc to wiadomo, iż stara szkoła tego stylu wywodzi się z kręgów hc/punkowych, w końcu przekaz tej muzy (chodzi mi o old school gxc) to praktycznie ta sama tematyka, co w kapelach punkowych: wegetarianizm, homofobia, niesprawiedliwość społeczna, ochrona środowiska itp.

CHAOS: Wśród grind, gore i noise kapel dość popularne są takie, które eskalują nędzną pornografią, przez co są seksistowskie, a czasem nawet zahaczają o głupoty typu rasizm czy nazizm. Czy dla ciebie ważnym jest przekaz kapel które wydajesz i słuchasz?
Qba: Masz rację, jest sporo nietolerancyjnego gówna na scenie grind core'owej (głównie na tym odłamie spod znaku porn czy gore), ale powiem ci, że ten problem nie dotyczy tylko gxc, bo czasami spotykam się z chamskim zachowaniem wśród ekip punkowych, które nie różnią się niczym od kwadratowego łba spod sklepu. Niestety, ale to smutne, jak słyszysz na koncertach teksty w stylu: „co te pedały grają", albo, iż to czy tamto to „takie pedalskie". Nie wspominając już nawet o najebanych burakach, co drą mordę do żeńskiej części składu jakiegoś zespołu, co w stylu: „pokaż cycki". A najgorsze w tym wszystkim jest to, że przyzwyczailiśmy się już do takich haseł i nikt tego nawet już nie neguje, po prostu akceptuje się takie wybryki. Brak mi też już słów na takie sytuacje, jak widzę kolesi z kapel punkowych w koszulkach BURZUM (no kurwa, czy trzeba być aż tak ślepym, żeby nie zwracać uwagi na poglądy tego zjeba?), którzy tłumaczą się w ten sposób, że nas to nie interesuje, bo ważna jest dla mnie muzyka.
Zaś jeśli chodzi o to, czy ważne są dla mnie poglądy ludzi, których wydaje, to jak najbardziej tak. Sorry, ale nie jestem typem kolesia, który wydaje wszystko jak leci, po to tylko, żeby to zeszło i żeby na tym zarobić oraz odhaczyć sobie kolejna cyferkę w katalogu. To nie dla mnie.

CHAOS: Możesz pokrótce opisać zespoły i projekty jakie zagościły na kasetach E.N.T.? Większość chyba stanowią goście zagraniczni?
Qba: Oto lista wszystkich wydawnictw które ukazały się do dnia dzisiejszego :
1. BABOĆKI/ HIDESHI HINO - „Noise Party" - Split tape - 2012
2. NIHILIZZM/ MARSZ NA WASZYNGTON/ TAKASHI OHKAWA/ HIDESHI HINO „Noise Party II" - Split tape -2013
3. HIDESHI HINO - „War IV" - Dyskietka 3,5" - 2013
4. MCRMLNCL - „Nttld" - Tape - 2013
5. INDUSTRIAL NOISE MACHINE/ HIDESHI HINO - „Noise Party III" - Split Tape -2013
6. HIDESHI HINO - „War VI" - Dyskietka 3,5" - 2014
7. RU/ST - s.t. -Tape- -2014
8. XTEMATIC/ HIDESHI HINO - „Noise Party IV" - Split Tape -2014
9. PARANOIA - s.t. - Tape -2014
10. MINDVOID/ HIDESHI HINO - „Noise Party 5" - Split Tape -2014
11. YUUKO HAII - s.t. – Tape - 2014
12. WAKK THUU - „Live In Devdaha Fest 2014, Nepal" - Tape - 2015
13. TORTURING NURSE - „Live in China 2014" - Tape -2015
A zespoły/projekty pochodzą z następujących krajów: BABOĆKI - Polska, HIDESHI HINO - Polska, NIHILLIZZM - Polska, MARSZ NA WASZYNGTON - Polska, TAKASHI OHKAWA - Holandia, MCRMLNCL - Polska, INDUSTRIAL NOISE MACHINE - Polska, RU/ST - Ukraina, XTEMATIC - Litwa, PARANOIA - Indonezja, MINDVOID - Ukraina, YUUKO HAII - Japonia, WAKK THUU - Nepal, TORTURING NURSE - Chiny.

CHAOS: Czy znasz może podobne do twojej wytwórnie kasetowe? Wiesz, chodzi mi tu nie tylko o muzykę, jaką preferujesz, ale i formy wydawania swych produktów.
Qba: Nie wiem, czy chodzi ci o labele z Polski, czy spoza niej. Jest trochę takich, podobnych wydawnictw, które też wydają podobną muzę i w podobnym klimacie są opakowania. Część z nich bardziej skupia się na promowaniu CD-rów czy CD, bo to chodliwy temat, ale są też wytwórnie które wydają kasety.

HIDESHI HINO I INNE PROJEKTY...

CHAOS: Obecnie tworzysz projekt HIDESHI HINO, którego „muzykę" określasz jako „war, noise, industrial". Czego może się spodziewać słuchacz, który po raz pierwszy styka się z twórczością HH?
Qba: Poniekąd już mówiłem o tym w pytaniu o początki E.N.T. „Muzyka" HIDESHI HINO to głównie praca efektów Digitech VX400 plus odgłosy maszyn, ulicy, fal radiowych...

CHAOS: Czy HH to projekt jedynie studyjny czy również próbujesz koncertować?
Qba: W tej chwili jest to tylko i wyłącznie projekt studyjny, na razie nie planuję żadnych gigów.

CHAOS: Co do tej pory ukazało się pod tym szyldem HH i jakie były reakcje melomanów na te wydawnictwa?
Qba: Do tej pory pojawiły się takie wydawnictwa:
HIDESHI HINO/BABOĆKI - „Noise Party" - Split tape
NIHILIZZM/ MARSZ NA WASZYNGTON/ TAKASHI OHKAWA/ HIDESHI HINO Hino - „Noise Party II" - 4 Way Split Tape
HIDESHI HINO - „War IV" - Dyskietka 3,5"
INDUSTRIAL NOISE MACHINE/HIDESHI HINO - „Noise Party III" - Split Tape
XTEMATIC/HIDESHI HINO - „Noise Party IV" - Split Tape
HIDESHI HINO – „War VI" - Dyskietka 3,5 „
Mindvoid/Hideshi Hino - „Noise Party V" - Split tape
Poza tym, pojedyncze songi pojawiły się na różnych składankach, które były udostępniane w necie za free.
W niedalekiej przyszłości, pojawi się również inne oblicze HH, które będzie odbiegało trochę od dotychczasowej tematyki projektu i będzie to tribute w hołdzie Hideshi Hinowi (dla tych co nie wiedzą, jest to imię i nazwisko japońskiego twórcy i rysownika komiksów, ojca kontrowersyjnej sagi filmowej „Guinea Pig") - w bardzo małym nakładzie.

CHAOS: Wiem, że w swej historii masz zaliczone kilka różnych składów, w których się udzielałeś. ABSTRAKCJA SEZONU, CANNIBAL HOLOCAUST, METALMORPHOSIS, OBRÓBKA SKRAWANIEM, 2POLEV, HELLRAISER - jeśli coś pominąłem to mnie popraw... Czy możesz powiedzieć choć kilka zdań o każdym z tych projektów? Co grali, jak długo i czy zostało coś zarejestrowane na taśmach magnetofonowych, czy innych nośnikach?
Qba: O kierwa, teraz to zasadziłeś gwoździa. Wiesz ile tego było? W cha i jeszcze trochę! Dużo z tych kapel nie zarejestrowało nigdy żadnych oficjalnych nagrań, a jedyne jakie pozostały po nich to rehy, demosy czy live. Ale dobra, skoro chcesz wiedzieć, to polecę po kolei. Nie wiem tylko czy jest sens rozpisywać wszystkie nagrania jakie zostały po tych zespołach, bo tego naprawdę jest sporo. Jeśli kogoś interesują bliższe informacje o kapeli, to niech pisze, sypnę mu listę nagrań, to co zostało zarejestrowane i co posiadam.
ABSTRAKCJA SEZONU (punk rock) -1995/1996 - nagrania jakie zostały po tym zespole to kilka zarejestrowanych prób.
ABSENT MINDED (crust punk) -1996/2003 - demo, próby, koncerty z Lubaczowa, Cieszanowa.
CANNIBAL HOLOCAUST (noisecore/grind)

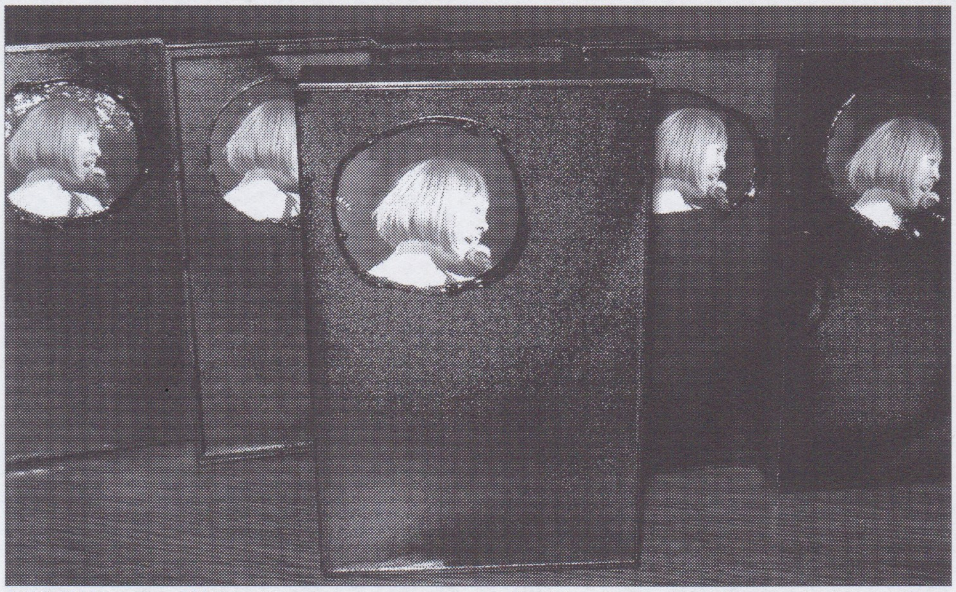

-2001/2003 - promo 2003, próba, demo.
SUCRALFATE (death metal) - 2004/2006 - demo, próby.
GORECZYCA (gore metal) - 2004 - próba.
PROJEKT (hc/experimental) - 2003/2004 - próby, nigdy nie wydany materiał (3 utwory).
OBRÓBKA SKRAWANIEM (horror/noise core/grind) - 2003/2005 - split CD-R z LACTOVAGINAL, próby, demo I, II.
HELLRAISER (experimental/hc/ grind) - 2004/2006 - split CD-R z TETANUS, próby, koncert Oleszyce.
METALMORPHOSIS (technical/experimental/death) - 2006/2007 - demo nigdy nie wydane.
2POLEV (grind/punk) - 2007/2009 - demo, próby, koncerty.
TOFURIOT (crust/punk) - 2012/2014 - demo, próby.
Do tego jeszcze dochodzą różne projekty elektro/noise/techno: VIOLENT NOISE, KANALIA, INDUSTRIAL NOISE MACHINE, SATANHEAD, HIDESHI HINO.
Jeśli kogoś interesuje więcej informacji o tych zespołach, nagrania, zdjęcia, teksty i obszerniejsza historia, to zapraszam na stronę www.facebook.com/underground podkarpacie - wrzucam tam wszystkie infosy o zespołach, które grały lub grają w moich rodzinnych stronach, na Podkarpaciu.

CHAOS: Kiedyś, niemal każdy uczestnik sceny niezależnej wydawał swojego zina? Czy tobie też się to zdarzało? Zdaje się, iż jako dodatek do niektórych kaset wydawanych przez E.N.T. dodawany był jakiś zin? Czy był on również twoim tworem?
Qba: Każdy, szanujący się załogant, powinien w swoim życiu wydać zina, albo chociaż spróbować to zrobić, żeby poczuć czym to pachnie. Ofkors, że wydawałem i wydaję zina nadal. Kiedyś w latach 90. wypuściłem 2 numery zina „Bez Znieczulenia" (był to mój debiut) w którym była masa przedruków, rysunków, wywiadów z kapelami: HOMOMILITIA, PRZEWRÓT, NEUROPATIA (ta punkowa), ENOUGH!, AAHLAR, recenzje muzy i tym podobne pierdołki. Ile tego się rozeszło, nie wiem, może po jakieś 20 lub 30 egz. każdego numeru.
Od 2003 roku wydaję horror-zina „Wścieklizna Macicy", w którym to można poczytać o horrorach (recenzje, filmografie, artykuły), wywiady z kapelami m.in. NIHILIZZM, SPIRALA MILCZENIA, LACTOVAGINAL, DEAD HUMAN BODY, artykuły, recenzje z koncertów, muzyki + CD-R na którym znajdują się niezależne polskie filmy grozy. W tym roku (2015) pojawił się numer 4., w którym można poczytać wywiady z kapelami OBSCURE SPHINX, YOU ARE WRONG, recenzje filmów min. „Porn Of The Dead", "Ilsa - She Wolf Of The SS", filmografia Davida Cronenberga, recenzje z koncertów, recenzje kaset... Ziniacz ten pojawia się wtedy, gdy uzbieram materiały i poskładam to wsjo do kupy. W tej chwili, powoli zabieram się do numeru 5. Kiedy to się pojawi - zobaczymy, czas pokaże... Muszę też zaznaczyć, że szmatławiec ten pojawia się nieregularnie i np. odstęp między #3 a #4 to był jakieś 2 lata.
Poza „Wścieklizną Macicy" czasami dołączam do jakiegoś wydawnictwa Extreme Noise Tape inny mój art zin, „Flegma", w którym znajdują się collage i grafiki. Ilość egzemplarzy jest taka sama, jak ilość sztuk kaset, wiec mały nakład, coś dla koneserów.

CHAOS: Twój gust muzyczny zdaje się być dość szeroki. Prócz muzycznej ekstremy, można wśród twych kaset znaleźć również spokojniejsze klimaty np. Laibach, czy Björk. Co w ostatnim czasie zaskoczyło cię szczególnie - tak w scenie niezależnej, jak i poza nią?
Qba: Zgadza się, jak zauważyłeś słucham różnej muzy, nie ograniczam się do jednego gatunku, wg. mnie jest to normalne. Ciężko byłoby słuchać tylko tego samego, w końcu chyba stwierdziłbyś, że wszystkie nagrania lecą na jedno kopyto i znudziło by ci się to. Jestem tego zdania, iż im więcej słuchasz różnej muzy, tym bardziej jesteś otwarty na inne gatunki i w każdym stylu dostrzeżesz coś intrygującego i fajnego.

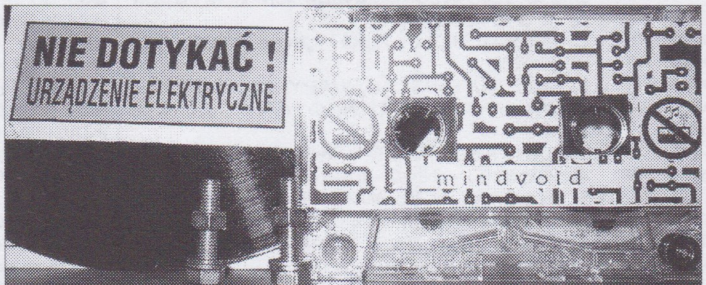

Lubię posłuchać sobie rzeźni w stylu REGURGITATE, AGATHOCLES, ULCERRHOEA, ale czasami też potrzebuję zapodać coś wolniejszego, np. BONGRIPPER, EYEHATEGOD, CORRUPTED, a są też takie dni, że przy ska w stylu MESSER BANZANI robi się dobrze obiady, miło np. się odpoczywa przy Björk, z kawą w ręku. Więc jak widzisz, można słuchać różności, wszystko zależy też od nastroju - wiadomo, że czasami potrzebujesz mocnych brzmień, żeby rozładować nerwy, a nieraz trzeba ci wyciszenia, żebyś mógł odsapnąć od wszystkiego. Niech każdy słucha tego, co mu się podoba, a nie tego, co mu ktoś narzuca.

CHAOS: A co z pozamuzycznymi zainteresowaniami? Mógłbyś polecić czytelnikom „Chaosu" jakieś dobre filmy, czy książki?
Qba: Niestety, na tę chwilę, nie mam już tyle wolnego czasu co kiedyś, żeby sobie na spokojnie zasiąść i poczytać książkę. Ale jeśli już zabieram się za coś do czytania (poza zinami), to głównie są to horrory w stylu Grahama Mastertona. Od jakiegoś czasu jednak moja styczność z książkami ograniczyła się głównie do historii/informacji związanych z kinematografią - tą bardziej mroczną, z pogranicza grozy i psychodeli (początki, pierwsze filmy, filmografie, jak stworzono efekty specjalne itp.), a wszystko to od tzw. „kuchni". Jeśli ktoś lubi np. kino grozy z tej bardziej ekstremalnej strony, czyli kino gore, to może poszukać książki „Odrażające, brudne, złe" Piotra Sawickiego lub książki Bartłomieja Paszylka „Leksykon filmowego horroru", w których są opisy filmów, które warto obejrzeć.
Co do filmów, to niestety obecne kino mnie raczej nie pociąga, za dużo jest w nim efektów komputerowych, których ja jakoś nie mogę zdzierżyć. Poza tym wkurzają mnie te kolejne nakręcone remaki, odświeżone i przyozdobione efektami, po to tylko, żeby film się sprzedał. Obecne kino raczej nie ma już nic ciekawego do zaoferowania, bo chyba wszystkie tematy zostały wyczerpane i dlatego chyba reżyserzy zabierają się za odgrzewanie starych kotletów lub kręcą takie gówna jak „Sharkinado" i stosy zjebanych komedii romantycznych o niespełnionej miłości lub kopciuszku w dzisiejszych czasach. A do tego dzisiejsze horrory są kręcone bardziej na bazie komedii, nie żeby przerażać, a żeby śmieszyć, co mija się z celem.

CIESZANÓW

CHAOS: Pochodzisz z Cieszanowa, w którym zdaje się dziś już nie mieszkasz. Dziś miasteczko to znane jest głównie z dużego rockowego festiwalu, na którym zdarza się, że grają nawet jakieś gwiazdy punk rocka i hardcore. Czy w Cieszanowie istniało coś takiego, jak scena niezależna i czy coś po niej pozostało?
Qba: Tak, nie mieszkam tam już chyba z 11 lat. Ostatnie 10 lat spędziłem w Rzeszowie, a teraz przeprowadziłem się w okolice Wrocławia. Powiem ci, że mi nigdy nie przyszłoby do głowy, że kiedyś w Cieszanowie można będzie zobaczyć na żywo MADBALL , AGNOSTIC FRONT czy EXPLOITED. A wszystko to za sprawą festiwalu Cieszanów Rock Festiwal. Wstyd mi to mówić, ale nie wiem która teraz edycja była, ale ja byłem na tym festiwalu po raz pierwszy 2 lata temu, gdy grał AGNOSTIC FRONT - nieźle co? Być z Ciechowa a zaliczyć taki gig dopiero przy 4. czy 5. edycji...
Kurde, jasne, że istniała tam scena niezależna, była też załoga punkowo-metalowa i kapele, które tu grały, od punka po death metal. Zespoły, jakie tutaj grały kiedyś, to były min. TEMPLE OF DARKNESS, APOST, ABSENT MINDED, CIZIA ZYKE, EMPYEMA... Nazwy te mogą komuś nic nie mówić, ale ekipa była zgrana i coś się działo na podwórku. Koncerty odbywały się głównie w Domu Kultury i pierwszy odbył się w okolicach 1991 roku. Zagrały na nim dwie lokalne punkowe załogi, a ludzi było chyba ze 100. Z czasem sam też babrałem się w tych koncertach i robiliśmy je praktycznie co drugi, lub trzeci miesiąc. Grały u nas min. NON TIBI SPIRO, STRADOOM TERROR, WAWATEDANAM, CRYPTIC TALES, SACRUM, FAZA STEFANA, AFEKT, NUCLEAR POLITICS, CZARNOBYL ZDRÓJ... Wychodziły ziny: „Paranoja", „Bez Znieczulenia", działało stowarzyszenie anarchistów itd. Zaznaczyć trzeba też, że poza Cieszanowem, ekipy trzymały sztamę z okolicznymi miasteczkami: Lubaczów, Horyniec Zdrój, Oleszyce, a tam też się działo, były kapele (PSYCHOPATRA, GOD LTD.), koncerty: min. ALIANS, ROTTWEILER, 7 GODZIN SNU, HOMOMILITIA, Janusz Reichel...
Tak że, jak widzisz, w latach 90. coś się działo. Dziś niestety mogę powiedzieć tyle, że jest to kolejne miasteczko na mapie Polski, które jest wyludnione. Teraz już chyba nie ma sceny niezależnej. Czy zespoły grają? Hmmm, ciężko mi powiedzieć, z tego co się orientuje, to ostatni zespół, któremu udało się coś osiągnąć na szerszą skalę, to była NIAGARA, ale też chyba zawiesili działalność w tamtym roku. Gdyby nie ten festiwal CRF, to nic tutaj by się nie działo, a tak to przynajmniej to miasteczko ożywa na te kilka dni i jest dosyć kolorowo na ulicach, bo sporo ludzi się tutaj wtedy zjeżdża.

CHAOS: Jakie plany na przyszłość - w stosunku do E.N.T. jak i HH?
Qba: Zdradzę tylko tyle, że za jakiś czas pojawią się kolejne kaseciaki zespołów/projektów z Litwy, Białorusi, Brazylii, USA, Hiszpanii, Japonii, Holandii... Również szykują się kolejne splity, które będą wydane nie tylko w E.N.T. z HIDESHI HINO...

CHAOS: Dzięki za wywiad i ostatnie słowa należą do ciebie...
Qba: No więc dziękówa za chwilę uwagi na łamach „Chaosu", dzięki Krawatowi za cierpliwość i Pawłowi za możliwość zaprezentowania Extreme Noise Tape na stronach tego periodyku. Dzięki i do zobaczenia na koncertach...
extremenoisetape@gmail.com
www.facebook.com/extremenoisetape
www.facebook.com/undergroundpodkarpacie

BlackWednesday Records

black-wednesday.pl
facebook.com/BlackWednesdayRecords
blackwednesdayrecords.bandcamp.com

BWR 011
DIE SCHWARZEN SCHAFE / LOS DISCKOLOS LP

BWR 012
GUANTANAMO PARTY PROGRAM / HARD TO BREATHE EP

BWR 013
PROFANACJA "Zdarza się" LP

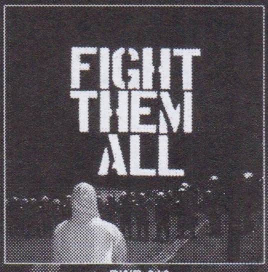

BWR 016
FIGHT THEM ALL EP

BWR 017
B.S.B. "The end is near" EP

BWR 018
SKTC "Demo" LP

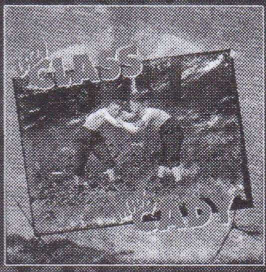

BWR 019
LAZY CLASS / MAX CADY 12" EP

BWR 020
LIBERUM VETO "Naćpany nudą" LP

zapowiedzi:
BWR 021 STAN OSKARŻENIA "Pięść wiary" LP
BWR 022 EYE FOR AN EYE 12" EP

black-wednesday.pl · info@black-wednesday.pl
blackwednesdayrecords.bandcamp.com
www.facebook.com/BlackWednesdayRecords

★UP THE PUNX REC.★D.I.Y. LABEL I DISTRO★

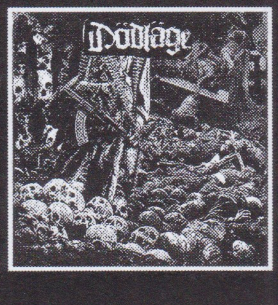

DÖDLÄGE (d-beat, Portland)

UP THE PUNX! RECORDS ma zaszczyt brać udział w kooperacji wydawniczej świetnego bandu z Portland. Dödläge, bo o nich mowa, to d-beatowy projekt w skład którego wchodzą osoby udzielające się wcześniej w takich grupach jak m.in. BLACK HOLE OF CALCUTA, NUX VOMICA, czy INSIDIOUS PROCESS. Po rewelacyjnej, debiutanckiej 7"EP przyszedł czas na kolejny album, ponownie wydany na 7"EP. Ekipa zmieściła na tym nośniku aż 10 numerów, prezentując od pierwszego do ostatniego dibitowy wpierdol bez brania jeńców. Cały matex jest już do odłuchu na bandcampie Dödläge oraz UP THE PUNX! Rec.

Zamówienia: upthepunxrecords(A)gmail.com

- - - - - -> Plany wydawnicze 2015 / 2016:

UTP #27 – SOCIAL CRISIS / CONTROLLED EXISTENCE ULTIMO RAUSEA / MATKA TERESA split EP

UTP #30 – MONDAY SUICIDE / SOCIAL CRISIS split LP

UTP #33 – KAMI ADA / INFESTO split LP

UTP #34 – HUMUS – "Eterna Condanna" LP

upthepunxrecords(A)gmail.com
upthepunxrecords.bandcamp.com

SKTC to czechowicka formacja mająca już za sobą wieloletnią i wieloetapową historię. Ciągle jednak, mimo zmian personalnych, istnieje, nagrywa płyty i ma się generalnie całkiem przyzwoicie. Ja jednak z wypiekami na twarzy wspominam jej pierwszy okres działalności - czas wydania kultowej już demówki (niedawno wznowionej na winylu). W tym wywiadzie, wracam właśnie do przełomu lat 80. i 90. Tego jak powstawał i kształtował się w Polsce twór, który dziś nazywamy „niezależną sceną hardcore/punk". Ten czas zbiega się, bowiem z początkami SKTC. O pomoc w przybliżeniu mi tamtego okresu poprosiłem ówczesnego wokalistę SKTC - Tulipana. Nie przeciągając, bo wywiad ze wspomnianym Tulipanem wyszedł bardzo obszerny, dodam, że bardzo mnie w tamtym okresie aktywność czechowiczan elektryzowała i niewątpliwie dzięki ich muzyce oraz pierwszym nagraniom jestem mentalnie w takim, a nie innym miejscu. Życzę interesującej i mam nadzieję, inspirującej lektury. Wywiad został przeprowadzony w marcu 2015 roku, a obecny i pomocny podczas rozmowy był mój wieloletni przyjaciel Bartek vel Don Pedro. Tomek.

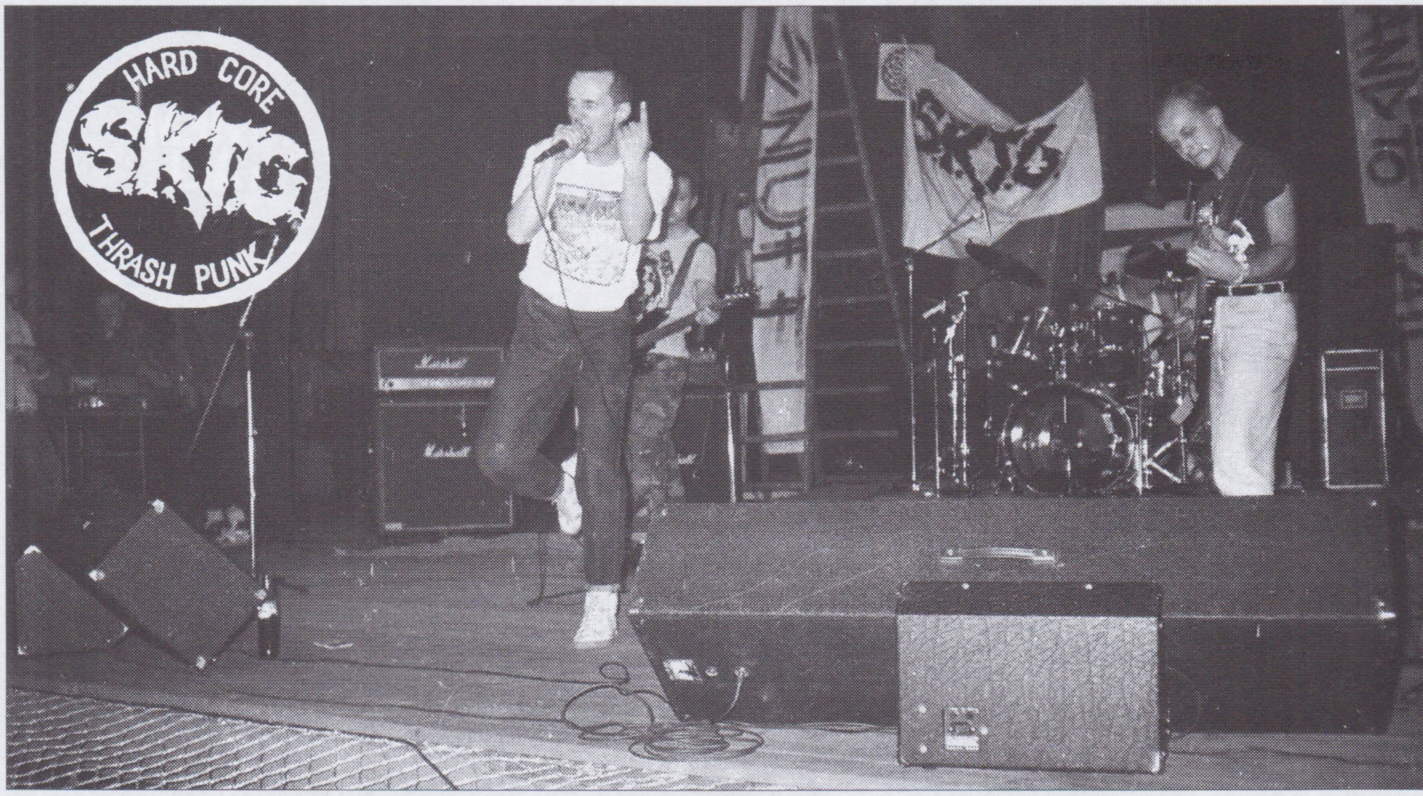

CHAOS: Co oznacza skrót SKTC?
Tulipan: Nic specjalnego. To było tak, że mieliśmy już gotowy materiał, był planowany pierwszy koncert, a nie było nazwy. Nazwę można więc interpretować jako pierwsze litery naszych pseudonimów. Nie było w tej nazwie ukrytego jakiegoś mocnego, ideologicznego zacięcia. Powstała ona raczej z potrzeby chwili. Część naszych znajomych czytała ją po polsku, ktoś tam jednak po angielsku - to w sumie było bez znaczenia.

CHAOS: W którym roku powstało SKTC?
Tulipan: 1988 rok. Demo to rok 1990. A pierwszy koncert? Tego, kurczę, nie pamiętam, nawet nie przypominam sobie tego pierwszego występu. Mam nagrany koncert z 1990 roku, ale na pewno nie był to ten pierwszy.

CHAOS: Słyszałem ten koncert, jest całkiem dobrze nagrany i ma w sobie sporo tej hardcore-owej energii.
Tulipan: Nagranie tego koncertu wyglądało w ten sposób, że znaliśmy akustyków z bielskiego BCK. Czasami podrzucaliśmy im na imprezie kasetę i zdarzało się, że na niej coś nagrali. Akurat ten gigol udało się im uchwycić. Myślę, że jest on przyzwoicie zarejestrowany, ale nie jest to jakiś nasz najlepszy występ z tamtych czasów. Myślę nawet, że był jednym z tych słabszych.

CHAOS: Skąd punk rock w twoim życiu?
Tulipan: Wydaje mi się, że ta muzyka, hmmm, nie lubię takich górnolotnych stwierdzeń, ale ukształtowała mnie samego. Zawsze miałem totalną korbę na punkcie muzy. Czasem żartuję sobie, że punk rocka nauczyłem się w Brzeszczach, a hardcore'a w Bielsku-Białej. Taka była ta moja edukacja i tacy też wtedy byli ci moi kumple. W Brzeszczach tych punk rockowych zespołów w owym czasie było kilka. Załoganci działali tam już bardzo aktywnie w latach 80-tych. W czasie kiedy ich poznałem, byli już starymi wyjadaczami. W tamtym okresie, w takiej niewielkiej miejscowości, to środowisko punkowe było dosyć duże i naprawdę prężnie działające.

CHAOS: Przed powstaniem SKTC mieliście jakieś doświadczenia muzyczne?
Tulipan: Tak, Ciapa, czyli Zbyszek (basista) grał w nowofalowym zespole NICHT SCHLIEBEN. To był zresztą czechowicki zespół, który w momencie powstawania SKTC miał już jakieś doświadczenia, jakąś swoją historię. Ja wtedy lubowałem się w takiej nucie, zawsze gdzieś tam kręciłem się wokół tego zespołu. Do dzisiaj zresztą bardzo lubię takie post punkowe, nowofalowe granie. Byłem, więc takim przyjacielem kapeli. Sam natomiast byłem członkiem czechowicko- brzeszczańskiej formacji THE TUFFF. To miało być z założenia tak bardzo niekomercyjne przedsięwzięcie, że tej nazwy nie dało się nawet napisać. To był jednak krótki epizod. Bardzo szybko, razem ze Zbyszkiem, na bazie tych dwóch zespołów, założyliśmy SKTC. Przy okazji korzystając troszkę z bazy tekstowej obu wspomnianych kapel. Zmieniła się więc forma,

ELŻBIETA CHODOROWSKA

ale pewien mental, przekaz, pozostał ten sam. Tak myślę, że SKTC powstało, jako część wspólna wspomnianych dwóch zespołów. Tyle tylko, że postanowiliśmy muzycznie bardziej przypierdolić. Czechowice-Dziedzice to jest raczej wiocha, więc dodatkowo można by powiedzieć, że niektórzy ludzie byli na siebie zwyczajnie skazani.

CHAOS: Skąd nagły zwrot w kierunku hardcore i to w czasach, kiedy ten nurt, w Polsce, był absolutnie pionierski, zupełnie nieznany?
Tulipan: Nie, nie, jak my powstawaliśmy to było trochę później niż początek tej sceny. My na przykład zaczęliśmy grać, kiedy już nie istniał THE CORPSE. Trochę w tym kraju o tym hardcore już się mówiło.

CHAOS: Skąd wy, chłopaki z małego miasteczka, mieliście dostęp do takiej muzy?
Tulipan: W Bielsku-Białej był jeden z lepszych dostępów do ostrego grania. Ja tych ludzi, którzy byli pionierami propagowania hardcore na Podbeskidziu, osobiście słabo znałem. To byli natomiast dobrzy znajomi moich przyjaciół, czyli Wojtka Ratusznego i Macieja Trąbalskiego.

CHAOS: Mówisz o małżeństwie Chodorowskich?
Tulipan: Tak, ci ludzie mieli naprawdę cholernie dużo takiego grania. Poznałem także, jak sobie czasem żartowaliśmy, ucznia Chodorowskiego, czyli niejakiego Kubę z Wrocławia. On właśnie dzięki Chodorowskim miał naprawdę sporo doskonałej hardcorowej muzy. Chodorowscy mieli jakieś tam swoje dojścia, wykupywali tego krajowego punk rocka. Wysyłali go na Zachód, korespondowali z ludźmi z całego świata. Ci ludzie, ciekawi jak to jest z tą sceną niezależną w państwie komunistycznym, chcieli z nimi pisać, wymieniać się nagraniami. Dzięki temu dostawali naprawdę sporo doskonałych płyt. Słyszałem od znajomych, że Chodorowski w pewnym momencie niektórych paczek od pewnych wydawnictw już nawet nie otwierał, bo zespoły przez nie wydawane zwyczajnie go nie kręciły. Dany label był kojarzony z konkretną muzyką i tak przykładowo, jak dostawał płyty z Dischordu, to było dla niego za delikatne, za miękkie i tego nawet nie ruszał. Oni wtedy bardzo lubili crossover i takie ostrzejsze granie, którym

zresztą i ja, muszę przyznać, przesiąkłem. No dobra to miękkie, trochę pojechane, pokręcone także mnie interesowało.

CHAOS: Chodorowscy to postacie kultowe, legendarne, ale i bardzo enigmatyczne. Wielu o nich słyszało, ale mało kto coś więcej o nich wie.

Tulipan: Byli bardzo aktywni, bardzo skuteczni w działaniu. Popatrz na pierwsze wkładki do takiego demo THE CORPSE. Niby wydanego za komuny, a tu kredowy doskonały papier, świetna jakość druku. Kto do tego miał dostęp? Prawie nikt. Ja kilka lat później, wydając demo SKTC, byłem zajebiście zadowolony kiedy udało mi się zorganizować niebieski papier troszkę lepszej jakości. Chodorowscy już w latach osiemdziesiątych pisali i mówili konkretnie o hardcore, a nie takim punk rocku, jak to go wtedy wszyscy znali i kojarzyli. On przedstawiał tę raczkującą scenę niezależną. Jego możliwości w pewnym momencie były naprawdę duże. Potem, przed ich wyjazdem za granicę, ta ich kolekcja płyt w większości została sprzedana różnym osobom. Trochę tych płyt przygarnęli także koledzy Chodorowskiego.

CHAOS: Kto za komuny, nie mając na plecach bezpieki, mógł takie ilości płyt, z całego świata, rozsyłać i dostawać? To rodzi często różne spiskowe teorie dziejów?

Tulipan: Nie, nie ma co wymyślać, choć fakt, tak jak wspomniałem, mieli tych płyt naprawdę mnóstwo. Ja trochę późno poznałem sporo sensownych osób z Bielska-Białej. Choćby wspomnianego Wojtka Ratusznego, który dziś jest moim serdecznym przyjacielem, a wtedy mocno mnie w tego hardcore'a wciągnął. Kiedy więc ja zacząłem na tej scenie aktywnie działać, to w zasadzie Chodorowskich już nie było. Uciekli najpierw do Austrii, później do Grecji, a potem ślad o nich zginął. Mówiono, że są w Stanach Zjednoczonych lub Australii. Cholera wie... Sporo tych płyt, tej zajebistej kolekcji, została u Wojtka. Tak, Chodorowscy byli tym pniem, od którego, moim zdaniem, ten hardcore się rozrastał w Polsce. Bielsko zawsze na tej płaszczyźnie się wyróżniało. To była i myślę, że jest cholernie mocna, prężna scena. Wiesz, kiedy w Bielsku-Białej była już naprawdę duża załoga hc, to nawet Warszawa jeszcze śmigała w skórach z irokezami. Śmiali się z nas zresztą, że jesteśmy bardziej amerykańscy niż Amerykanie. Wiesz, załoga z południa latała w spodniach bojówkach, w oryginalnych szirtach amerykańskich bandów. Tak to wyglądało.

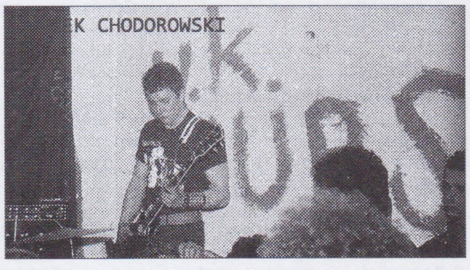

CHAOS: Pamiętam koncert SKTC z ARMIĄ w bielskim klubie „Autyzm" i ten obraz: z jednej strony „skórzane" punki, a z drugiej ty, na scenie, w krótkich spodenki w palmy.

Tulipan: Ale wiesz, mimo wszystko to nie przekładało się na odbiór naszego zespołu. Nie mogę sobie przypomnieć gigu, gdzie przez ten nasz wygląd byliśmy przyjęci jakoś surowo. Owszem, na koncertach w tamtym czasie atmosfera była taka mocno irokezowo-skórzana, ale ludzie jakoś byli bardziej otwarci. Raz mieliśmy takie obawy, grając w Kędzierzynie-Koźlu, razem z POST REGIMENTEM. Bardzo zresztą z tym zespołem lubiliśmy się prywatnie, ale, mieliśmy obawy, czy akurat na tym gigu będziemy dobrze przyjęci. Okazało się, że nie było z tym żadnego problemu. Ludzie załapali, że my jesteśmy także punkami. Troszkę inaczej wyglądającymi, ale w gruncie rzeczy mentalnie chodziło nam o to samo.

CHAOS: Powiedz mi, czy ty czułeś, że na punkowym fundamencie powstała scena hardcore'owa? Z jednej strony będąca integralnie zwiana z punk rockiem, ale z drugiej trochę go redefiniująca?

Tulipan: Na tym trochę to polegało, bardzo ceniłem sobie tą, z jednej strony niezależność, ale z drugiej zwykłe relacje międzyludzkie tych kilkunastu ludzi w całym kraju. Zajebista była czad-giełda w Warszawie. Początkowo tylko tam się odbywała. To była przygoda, przeżycie. Pamiętam, że brałem legitymacje kolejową od kolegi, jeździłem na jego nazwisko opłacając sobie tylko miejscówkę do Warszawy. Tam spotykałem tych wszystkich ludzi, którzy w całym kraju próbowali tworzyć tę, nazwijmy to, scenę niezależną. Wiesz, to była okazja do wymiany fajnej muzyki. Powiedzmy sobie uczciwie, że to były te ośrodki w kraju, gdzie była amerykańska emigracja, która zwyczajnie pomagała ją zdobyć. Wszyscy jarali się wtedy amerykańskim hardcorem. No dobra, na tym tle już wtedy załoga z Łodzi się mocno wyróżniała. Zajebiście wszyscy wyglądali. Takie pierwsze klimaty pre-crustowe w Polsce. Ewidentnie kochali DISCHARGE, E.N.T. i CONCRETE SOX. Z tej ekipy wyłoniła się zresztą HOMOMILITIA.

CHAOS: SKTC było bardzo „amerykańskie"?

Tulipan: Tak, bo takie były nasze upodobania muzyczne. Zresztą ja wtedy generalnie miałem korbę na punkcie jakiejkolwiek hc/punkowej muzyki. W tamtych czasach potrafiłem na tydzień jechać do Wrocławia, do ludzi, których poznałem gdzieś tam przypadkowo przy browarze, po czym zostali oni moimi przyjaciółmi. Siedziałem u nich na karku i tak nagrywałem, nagrywałem... Potem przywoziłem to do nas i puszczałem wśród lokalnej ekipy. Tak to wyglądało. Liczyły się te personalne kontakty, relacje. Nie było internetu. To było zajebiste! Poza tym, to właśnie na gruncie tych personalnych kontaktów powstawała ta, nazwijmy to „scena"! Było niezależnie, ideologicznie, ale dodatkowo człowiek towarzysko tym żył. Wiesz, ja dziś z perspektywy czasu nie wiem czy SKTC było wtedy jakoś specjalnie istotne dla tej sceny. Ono się na niej zaznaczyło, bo my najzwyczajniej w świecie żyliśmy tą sceną! Było nas na niej pełno.

CHAOS: W pewnym momencie hardcore w naszym rejonie stał się bardzo popularny.

Tulipan: Tak, powstał taki kwadrat Brzeszcze, Czechowice-Dziedzice, Bielsko-Biała i Oświęcim. Ludzie byli bardzo mocno na siebie otwarci, wszyscy trzymaliśmy się razem. Razem jeździliśmy na koncerty. No, jeszcze dochodzili ludzie z Chrzanowa i Trzebini, tam było sporo fajnych załogantów. Wtedy taka wyjazdowa ekipa liczyła nawet 30 osób. Zdarzały się, już wtedy, takie załoganckie wypady do Berlina i Pragi. W takim Berlinie często zdarzało nam się wejść na koncert za przysłowiową „czapkę gruszek" albo w ogóle nie płacąc, bo biedni Polacy zza tej „żelaznej kurtyny". Wiesz, te zagraniczne wyjazdy to był szok. W Polsce czasem, z rzadka, zdarzało się zobaczyć coś fajnego, a w takim Berlinie tych koncertów było kilkanaście w miesiącu. Owszem, u nas już prężnie zrobiło się wtedy w Poznaniu, ale ten główny hardcore'owy tranzyt szedł głównie na Berlin, Wiedeń lub Pragę. Nasz kraj niestety omijał.

CHAOS: Ty w tamtym okresie także organizowałeś koncerty?

Tulipan: Tak, kilka ich zrobiłem. Generalnie to, co chciałem zaprosić, to zaprosiłem. Były to z reguły koncerty, gdzie o ich organizację proszono mnie by wypełnić lukę na trasie, jak przykładowo OI POLLOI, lub coś, co sami chcieliśmy zrobić koniecznie u siebie. Nie było tego jakoś strasznie dużo. Wiesz, walczę z tym przez całe życie, ale jestem człowiekiem, który nie potrafi robić rzeczy od początku do końca. Przykładowo zrobiłem dwa numery fanzina, a potem nagle przestawałem.

CHAOS: Jakieś tytuły?

Tulipan: Pierwszy z nich to był "Burzyciel", gdzie bardziej podłączyłem się do twórcy tego zine'a czyli Bogusia Janoty - perkusisty zespoły GANGRENA. Potem, już samodzielnie zrobiłem, dwa lub trzy numery zina „Corek". Gdzieś tam w Polsce także taka nazwa się zresztą pojawiła, tylko chyba pisana przez „K". Było to jednak liche, szybko mi się znudziło. Przy konkurencji zinów robionych przez Uszatego czy Pietię uznałem, że to nie ma

sensu. W każdym razie starałem się w wiele rzeczy angażować. Trzeba było zrobić koncert OI POLLOI, bo mieli lukę i ktoś mnie o to prosił, to zrobiłem ten gig w Czechowicach itd.

CHAOS: Kiedy to było?

Tulipan: Nie pamiętam kiedy ten OI POLLOI grał u nas. To był chyba 1990 rok. Grał jeszcze bodajże czeski RADEGAST i czechowicka GANGRENA.

CHAOS: Jak wyglądała organizacja tych koncertów w tamtych czasach?

Tulipan: Teraz to jest kwestia tylko pewnego ustawienia się finansowego czy „wyjdziesz na zero czy też nie". Wtedy było z tym trudniej. Trzeba było „wycierać tu i tam klamki", czasem nadstawiać wręcz dupy, prosić różnych idiotów o pomoc, a ambicje schować do kieszeni. Nie było klubów, knajp, nie mówiąc już o skłotach, niezależnych miejscówkach. Imprezy były często w Miejskich Domach Kultury lub jakichś strażnicach. Nagłośnienie trzeba było załatwiać przez jakieś znajomości. Korzystało się z takich dziwnych zapasów tego sprzętu. Pamiętam, że na koncert IZRAELA załatwiliśmy wręcz rezerwowy sprzęt z katowickiego „Spodka". Policja robiła jakieś problemy, zdarzało się, że M.D.K. kazał nam załatwiać wóz strażacki w razie ewentualnego pożaru. Takie były przepisy i musieliśmy im sprostać żeby impreza się odbyła. Taki urok tamtych czasów, że trzeba było pogłówkować, aby coś wyszło. W sumie, na swój sposób, to nawet fajne było. Trzeba było być twórczym.

CHAOS: Fala naziolstwa w tamtych okresie was dopadła?
Tulipan: Nie, generalnie koncerty były spokojne. Akurat w Czechowicach-Dziedzicach, w tamtych czasach, nie było tej fali nazi skinolstwa. Owszem, ktoś tam był, ale wiesz, zdarzało się, że jak oni przyszli na koncert, to mi ich czasem nawet było żal. Było ich niewielu, czasem chcieli się pokazać i wpadali na gig. Czasami dostawali konkretny wpierdol, a czasami musieli zostać i po koncercie zamiatać podłogi. Dzisiaj jest to raczej niewyobrażalne. To całe skurwysyństwo, w takich dużych ilościach, pojawiło się w naszych okolicach trochę później i myślę, że w takich Czechowicach dzisiaj pod tym względem jest gorzej niż było wtedy. W tamtych czasach, na przełomie lat 80-tych i 90-tych, załoga była bardzo silna, zorganizowana i zdeterminowana. Wiesz, taka ekipa z Oświęcimia nazywała się niby na żart, ale też trochę na serio „Git Core". Ci ludzie ostro bronili tej swojej przestrzeni i zwyczajnie się nie pierdolili. Dzięki temu był porządek i ludzie chcieli przyjeżdżać tam na koncerty. Czuli się bezpiecznie. Dzięki temu grał tam SO MUCH HATE, NAUSEA, a później również YUPPICIDE czy SHELTER. Tam było naprawdę kupę fajnych koncertów. Tam ludzie, dzięki tej stabilnej ekipie, chcieli robić gigi. Czy to był Maken, czy to był Arek Marczyński - zawsze tam pchali kapele i byli pewni, że impreza po prostu się uda.

CHAOS: Powiedz mi, jak ty, z perspektywy czasu, wspominasz te pierwsze nagrania SKTC?
Tulipan: Trudno jest mi o tym mówić. Kojarzy mi się z dobrym czasem w moim życiu. Duży bałagan, ale i wielka pasja, chęć zrobienia czegokolwiek. Wiesz, porównam to demo do takiego jednego z pierwszych koncertów SKTC w Czechowicach. Grała także, dziś już trochę zapomniana, a świetna ULICA oraz BRUDY i wspomniana wcześniej GANGRENA. Było na tej imprezie ze 200 osób. Sprzęt był makabryczny! Vermony powiązane sznurkami. Kto w sumie jeszcze pamięta takie stare nazwy kolumn i jak one były, delikatnie mówiąc, uciążliwe brzmieniowo? W każdym razie wszystko się waliło, nic nie brzmiało, ale był ten klimat, ta energia. Tak trochę myślę o tym naszym demie. Raczej stawialiśmy na energię, bo możliwości, aby ono dobrze zabrzmiało po prostu nie było. Sprzęt był makabryczny po prostu. Żartowaliśmy zresztą czasem, że nie sztuka jest ustawić Marshalla, aby dobrze brzmiał, a właśnie starego Eltrona. Tam bezpieczniki wyglądały jak lampy. Nikt nie wiedział dlaczego postawiony pionowo grał lepiej niż postawiony poziomo. Szaleństwo!

CHAOS: Liczyła się jednak autentyczność?
Tulipan: Tak, dokładnie tak! Myślę, że tym naszym wczesnym nagraniom brakowało chyba wszystkiego poza tą jedną rzeczą. To niewątpliwie szło w parze z młodym wiekiem. Wszystko, co wtedy robiłem, było bardzo spontaniczne, zwariowane i szczere, a nie wyrachowane i profesjonalne.

CHAOS: Jesteś w stanie oszacować jaki był nakład demówki?
Tulipan: Kurczę, mam z tym problem, chyba nie potrafię. Pamiętam, że było dwóch wydawców. Dziś pewnie mogę przeprosić wielu za to, że pierwsze sto sztuk, które sam zrobiłem było na tak kiepskich kasetach, że tragedia. Niestety, nie

udało mi się innych kupić. Wtedy to nie było tak, że mieliśmy wybór. Nawet te pamiętne krajowe kasety „stilonki" ciężko było dorwać. Kupiliśmy więc jakiś totalny szajs. W każdym razie później tę kasetę wydawał Kornak w Bydgoszczy. Ile on tego zrobił to ja nie mam pojęcia i w sumie wtedy, jak i teraz, mnie to nie obchodziło. Myślę jednak, że jakoś strasznie dużo tego nie sprzedał. W naszej okolicy tę kasetę wydał Maciej Trąbala. Maciej, wzorem Chodorowskiego, był jedną z bardziej aktywnych osób, które wysyłały płyty na Zachód. Dzięki temu miał tam sporo kontaktów. Wiem, że tymi swoimi kanałami rozprowadzał również tę nasza demówkę. W tym przypadku także nie mam pojęcia jaki był tego nakład. My nie mieliśmy z tym żadnego problemu. Ja zresztą robiłem podobnie. Zrobiłem kiedyś koszulkę APATII. Potem większość tych koszulek rozdałem różnym ludziom i w efekcie końcowym chyba tylko Bulwa, gitarzysta APATII, dostał jedną sztukę. Nikt wtedy nie myślał w tych kategoriach, że ma coś z kimś rozliczać. Nikt nawet nie wspominał o nakładach. W każdym razie na pewno więcej niż dymówek, wyszło pierwszej płyty SKTC.

CHAOS: Jaki to był nakład?
Tulipan: „Pochodni" było chyba 1000 sztuk na LP, dodatkowo jeszcze był split CD z tym materiałem wydany wspólnie ze SCHIZMĄ, no i kaseta z tymi nagraniami.

CHAOS: Popatrz, a mimo tego „Pochodnia" jest obecnie trudna do kupienia.
Tulipan: Tak, w zasadzie chyba jej nie ma nigdzie. Ostatnio jakoś tam jej szukałem i nie udało mi się jej dostrzec. To jednak nie jest tak ważne. Ja natomiast jestem trochę dumny z faktu, że jako SKTC wydaliśmy drugą niezależną płytę analogową w tym kraju. Pierwszą była INKWIZYCJA. Martwi mnie natomiast, że ta nasza płyta, w mojej ocenie, troszkę kiepsko wyszła. W tym wszystkim jest przerost formy nad treścią. Niektóre sytuacje są przekombinowane. Całość powinna trwać nie dłużej niż 25 minut. Niestety tak nie jest. Tak to wtedy widzieliśmy, ale dziś myślę, że szkoda. Po prostu szkoda, że to nie był krótszy, bardziej zwarty, materiał. Nawet Brylewski nam w studiu zwrócił na to uwagę, ale co zrobisz, taki był czas. Wiesz, demówka to był taki strzał w ryj, a potem pojechaliśmy w taką dziwną, zbyt ambitną stronę. Tak naprawdę nie mając specjalnie pojęcia o muzyce, metrum, brzmieniu i takich sprawach.

CHAOS: Wracając do taśmy demo – jak ją nagrywaliście?
Tulipan: W tamtych czasach, w naszym przynajmniej regionie, dostęp do jakiegokolwiek studia był mocno ograniczony. Wręcz niemożliwy. Tak się jednak złożyło, że koleś, który dziś prowadzi duży, bardzo ekskluzywny, salon muzyczny w Bielsku-Białej, był wtedy akustykiem w Bielskim Centrum Kultury. Nagłaśniał kilka imprez, gdzieś tam polubiliśmy się prywatnie. On nas także jakoś tam dostrzegł, bo

niby punk rock, ale jednak Zbyszek, nasz basista, na tych koncertach zawsze coś tam od niego chciał. Tu trochę sopranu, tam trochę basu. Już był wymagający, ambitniejszy. Właśnie z tym facetem umówiliśmy się na... właściwie taką próbę, bo to się niczym od próby nie różniło. Nagrywaliśmy po prostu, za pośrednictwem mikrofonów, na żywo to nasze granie. Ja w PEWEX-ie kupiłem taką lepszą taśmę chromówkę i na to zgraliśmy te nasze nagrania. Wiesz, to było nagrywane na tak zwaną „setkę". Jak chłopcy się motali i kawałek kilkakrotnie powtarzali to ja go, za każdym razem śpiewałem z nimi. Często w takich momentach zaczynało mi zwyczajnie brakować pary w gardle i płucach. Nie było jednak możliwości dogrania dodatkowego śladu.

CHAOS: Kto był wtedy autorem tekstów SKTC?
Tulipan: Różnie. Na demówce akurat jest to zlepek twórczości wszystkich, którzy wcześniej uczestniczyli w zespołach NICHT SCHLIEBEN i THE TUFFF. Czyli tych zespołach, z których wyłoniło się SKTC. Już wtedy pojawił się także w utworze „Och Karol" Wołek z NIKT NIC NIE WIE. Ja zresztą bardzo lubiłem Wołka, jako tekściarza. Uważam, że te najlepsze tekstowo kawałki, które mieliśmy, napisał właśnie Wołek. Ja niestety nie jestem i nigdy nie byłem osobą, która jakoś dobrze potrafiła sobie poradzić z napisaniem fajnego tekstu. Z drugiej jednak strony, ta nasza muzyka nigdy nie była tylko muzyką i bardzo ważnym było dla mnie, aby się w 100% utożsamiać z przekazem, który wykrzykiwałem. Czasem, jak coś mi nie pasowało, z czymś się nie utożsamiałem, to te fragmenty usuwałem. Zdarzało się, że z kilku tekstów kleiłem jeden. Poświęcałem sporo czasu na ich analizę. Musiało dodatkowo być 100% akceptacji zespołu, aby taki tekst mógł w SKTC zaistnieć.

CHAOS: O pierdołach nie śpiewaliście.
Tulipan: No, to był w końcu hardcore. Wiesz, zawsze lubiłem różne dziwne twory muzyczne, ale właśnie przez te mocne, bezpośrednie i ostre teksty kiedyś jednak bardziej pokochałem DEZERTERA. Ta prostota, szczerość wynikająca z punk rocka czy hardcore była i jest dla mnie najważniejsza w muzyce! Zdarza mi się lubić zespoły, gdzie nikt nic nie śpiewa i próbuje pokazać jakieś swoje uczucia, przez muzykę, ale to jest dla mnie troszkę mniej wartościowa forma. Hardcore czy punk rock, aby był autentyczny i szczery, musi być zaangażowany, niepokorny. To tylko wtedy ma jakiś sens. Powiem ci, że dziś pewnie kilku tekstów z tamtych lat bym już nie zaśpiewał, bo to nie byłoby uczciwe, ale wtedy utożsamiałem się z nimi w 100%.

CHAOS: Których byś nie zaśpiewał?
Tulipan: Nie wiem (śmiech).

CHAOS: Utwór „Smutas" to taka kontestacja przepitego i przyćpanego nurtu w punk rocku?
Tulipan: Wiesz, wczesne lata 90-te, to były czasy, o czym nie zawsze się wtedy mówiło, w których moi koledzy lub ludzie, których kojarzyłem z koncertów, zwyczajnie umierali. Tu w okolicy było tylu heroinistów, że aż przykro mówić. Mam takie zdjęcie SKTC, gdzie znajdę ze trzy twarze osób, które już przez ten syf nie żyją. Pół żartem pół serio mówi się, że Rysiek Riedel latał u nas po śmietnikach, bo mieliśmy dobrych producentów. To było wszystko przerażające. Stąd pewnie ten tekst do „Smutasa". Tak to wtedy naprawdę wyglądało. Część ludzi, często naprawdę zaangażowanych w scenę, narkotyki zabiły.

CHAOS: SXE jednak nie byliście?
Tulipan: Nie, nigdy nie byliśmy straight edge, ale też nie czuliśmy się menelami. Nigdy, przenigdy, podczas swojego koncertu, nie wyszedłem na scenę nietrzeźwy. Wszyscy bardzo staraliśmy się kontrolować z tym piciem. W pierwszych latach SKTC, chyba najczęściej, a na pewno najbardziej sympatycznie, grywało się nam z krakowską USTAWĄ O MŁODZIEŻY. Jak pewnie wiesz był to jeden z pierwszych sXe zespołów w kraju. Woleliśmy jednak twierdzić, że SKTC nie jest i nigdy nie będzie zespołem straight edge niż, tu przepraszam cię Petar, tworzyć coś na siłę. Nie ma co ukrywać, że stworzenie przez wspomnianego Petara wizerunku straight edge USTAWY O MŁODZIEŻY to było to, czego bardzo chciał. On był oczywiście tego czystym przykładem, ale nawet w tak dużym mieście jak Kraków miał problem ze znalezieniem podobnego jemu składu. Wiele razy widziałem sytuację jak wracaliśmy tłumem z jakiegoś koncertu, na wspólny pociąg i chłopaki z USTAWY szli te pięćdziesiąt metrów przed Petarem, aby ten nie widział jak piją piwo. Takie to troszkę szkolne i dziecinne, ale... no tak było.

CHAOS: SKTC ciągle gra, ale zarówno ciebie jak i nikogo z pierwotnego składu, w tym zespole, od dawna już nie ma.
Tulipan: Tak, no jasne, że tak.

CHAOS: Jak ty postrzegasz dzisiejsze SKTC?
Tulipan: Wiesz, bardzo lubię tych ludzi i życzę im jak najlepiej. Fajnie, że zastępuje mnie Owski, a nie ktoś, kto ma jakieś rockowe ambicje, marząc o karierze muzycznej. Muzycznie... hmmm, w momencie, kiedy już odchodziłem z SKTC zaczynaliśmy się rozmijać w tych inspiracjach. Pewnie też zaczęło mi brakować czasu, pomysłów na teksty. Nie podołałem tematowi i postanowiłem odejść. Ostatnia płyta, przy tworzeniu której uczestniczyłem, według mnie powinna być taka czadowo-nowofalowa, a jest metalowo hardcore'owa. Przełożenie, inspiracje członków zespołu, z całym szacunkiem dla nich wszystkich, było inne niż moje. Nigdy jednak nie było między nami jakichś strasznych niesnasek, nie pokłóciliśmy się. Po prostu ja powiedziałem sobie i im, że mam dość.

CHAOS: Czujesz się obecnie jakoś związany ze sceną hardcore/punkową?
Tulipan: Przez ostatnie lata nie bywałem zbyt często na hardcore'owych koncertach, ale tego nie da się tak zupełnie zostawić. To było zbyt ważne i intensywne przeżycie, aby o tym zapomnieć. To mnie ukształtowało. Nawet teraz, razem ze znajomymi, zdarza mi się spotkać i gdzieś tam w garażu coś pograć. Taka zabawa, wspomnienie. Ten hardcore czy punk rock nigdy nie będzie mi kompletnie obojętny. Staram się śledzić to, co się na tej scenie obecnie dzieje, nawet jeśli nie wszędzie mnie widać. Na przełomie lat 80-tych i 90-tych ta scena była dla mnie wszystkim i tak jak ci mówiłem, we wszystko, co tylko mogłem, starałem się angażować. Hardcore jest najlepszą rzeczą, jaka mi się zdarzyła w życiu! To środowisko i ta muzyka. To mnie ukształtowało. I wiesz, bardzo mi z tym dobrze!

CHAOS: Jak ty porównujesz tą scenę sprzed prawie ćwierć wieku z obecną?
Tulipan: Na pewno fajniejsze są kluby, fajniejszy jest sprzęt, koncerty są po stokroć lepiej zorganizowane. Niestety tego wszystkiego jest teraz trochę za dużo. Ciężko jest to czasem ogarnąć. Koncerty przestały stanowić taką atrakcję, jak to było w czasach, kiedy ja krzyczałem w SKTC. Wtedy koncert to było wydarzenie! Nie tylko muzyczne, ale i społeczne. Dzisiaj ludzie częściej imprezują przez facebooka. W przeszłości ta scena była także bardziej spontaniczna. Mój główny zarzut dotyczący obecnej sceny to fakt, że ten twór jest może nie tyle sztuczny, co znudzony. Może inaczej, bardziej zmanierowany. Brak jest spontanu i brak jest frekwencji. Ja z perspektywy Czechowic-Dziedzic obserwuję taką scenę w Bielsku-Białej i widzę, że ona ma się ciągle bardzo dobrze. W innych miejscowościach już tak dobrze niestety nie jest. Kiedyś zrobienie koncertu na 300 osób to w zasadzie była norma. Problemy były dosłownie ze wszystkim tylko nie z frekwencją. Ludzi zawsze była masa! Dziś widzę na koncertach w Bielsku-Białej moich 3 czy 4 sympatycznych znajomych z Zakopanego czy Nowego Targu. Kiedyś było ich dwudziestu. Może jednak tych imprez było wtedy mniej?

CHAOS: Może hardcore/ punk przestał być atrakcyjny, bo stał się trochę produktem?
Tulipan: Wiesz, od kilku lat nawet piłkarze mają irokezy. Nie wiadomo, co jest obecnie ekstrawaganckie. Czy można zaszokować? Może nawet zakładając stary garnitur będziesz większym dziwolągiem niż kolesie z kogutami na głowie. Ale nie, ciągle jednak ta scena jest wspierana przez grono młodych, sympatycznych, poukładanych i rozsądnych ludzi. To w końcu nie jest tylko kwestia pewnego wyglądu, ale czegoś więcej. Cieszy mnie, że ta kultura, w mniejszym lub większym stopniu, ale istnieje. Ta płynąca z niej refleksja nie materialistyczna, społeczna ciągle jest obecna. Wolę takie rzeczy niż przykładowo AGNOSTIC FRONT. Kocham ten zespół, ale mogliby już nie grać, bo istnieją obecnie jedynie po to, aby robicie te zasrane pieniądze. Podobnie jest z S.O.I.A. To jest takie wyreżyserowane. Wiesz, te same kółeczka gitarzysty, te same zwroty, gadki ze sceny. Dla mnie to jest nieszczere.

CHAOS: Dzięki serdeczne za wywiad!
Tulipan: Również dziękuję!

TO MÓJ KOMIKS PRZEŁOŻYŁ SIĘ NA ZAINTERESOWANIE WRESTLINGIEM...

Łukasz Kowalczuk - autor pulpowych komiksów, wrestlerskiej serii s-f "Vreckless Vrestlers" i future-punkowego "Violent Skate Bulldogs", wydawca autorskiego zina "Nienawidzę Ludzi" i prowadzący stronę szlam.net. Ponadto scenarzysta, autor książki o amerykańskich komiksach, wokalista zespołów BILETY DO KONTROLI i COLLINA, zdobywca Złotych Kurczaków i w ogóle bardzo aktywny i bardzo zajęty facet.

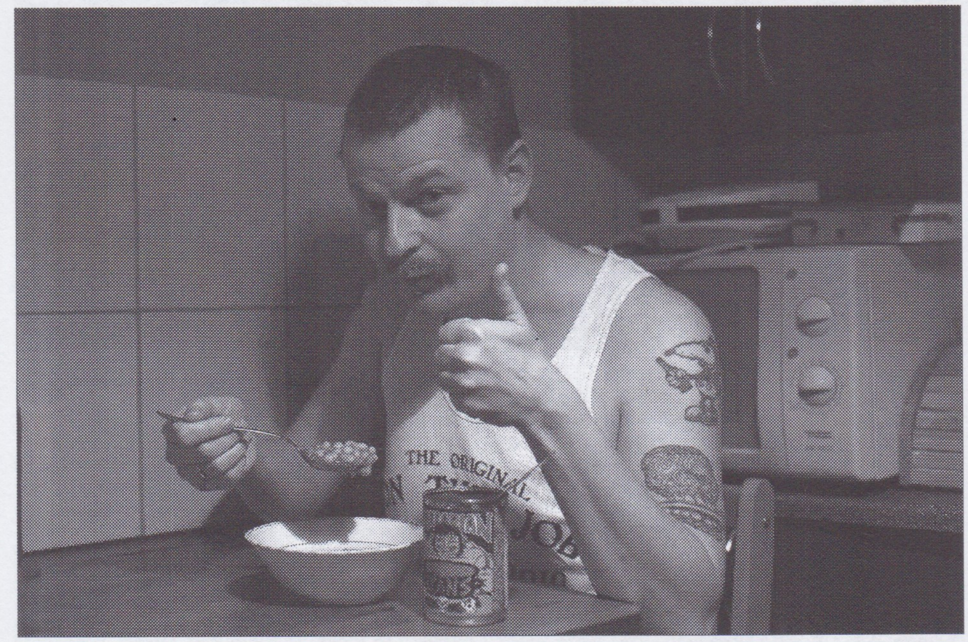

CHAOS: Zajmujesz się tyloma ciekawymi i zakręconymi rzeczami, że nie wiem, od czego zacząć. Na początek opowiedz nam jak to się stało, że wciągnął cię komiks. Ja zaczynałem czytanie komiksów od "Relaksu", a ty pewnie od Spider-Mana. Dlaczego akurat zafascynowali cię amerykańscy super-bohaterowie, a nie komiks europejski?

Łukasz: Z super-bohaterami to niestety pudło. Mam starszego brata i on razem z tatą kupowali komiksy już w latach 80. I jak przez mgłę pamiętam jakieś "Relaksy" właśnie, potem już lepiej „Kajko i Kokosza", genialne rzeczy Tadeusza Baranowskiego, „Thorgala". Czyli w sumie polski komiks (ok, Rosiński nie do końca, bo moim zdaniem liczy się na jaki rynek pierwotnie powstaje dane dzieło). Historyjki czytał mi ojciec, pierwszym komiksem przeczytanym samodzielnie byli "Przyjaciele Roda Taylora" autorstwa Jerzego Wróblewskiego. Poza wspomnianymi ogromne wrażenie wywarł na mnie „Hugo" wydawany przez Orbitę, pięć części, niech to ktoś wreszcie wznowi...

Niedługo po tym, jak nauczyłem się czytać, na polski dziki rynek wszedł System Codem czyli TM-Semic. Dopiero wtedy, na lata, zapanowali nade mną trykociarze.

CHAOS: Napisałeś książkę o komiksach wydawanych przez TM-Semic. Przyznam się, że jeszcze nie miałem okazji jej złapać, ale powiedz nam o czym dokładnie jest ta książka? Analizujesz w niej bohaterów, całe serie? Jak udało ci się znaleźć wydawcę książki, która choć oryginalna, jednak tematycznie nie trafia do wielu czytelników? Długo pracowałeś nad tą książką? Napisałbyś ją dzisiaj inaczej, gdybyś miał taką możliwość?

Łukasz: Czy nie trafia do wielu? Były takie głosy, że nakład jest za mały, bo temat TM-Semic na scenie komiksowej jest wciąż żywy itd. Centrala jednak dobrze zrobiła, że wydała to w liczbie porównywalnej do nakładu standardowej punkowej epki. Nakład u wydawcy wyczerpał się po kilkunastu miesiącach, ale książkę na pewno można jeszcze kupić w wielu miejscach.

Najpierw napisałem pracę magisterską. Rzuciłem na blogu hasło, że zastanawiam się nad zrobieniem z tego książki. Praca się spodobała ludziom z Centrali. Została gruntownie przeredagowana (prawie napisana od nowa). Nie jestem w stanie napisać ile czasu mi to zajęło.

Analizuję w niej ogólnie historię wydawnictwa i gdybym miał to wszystko napisać od nowa to na pewno zrobiłbym to dokładniej, obszerniej i uniknął masy błędów. Tym bardziej, że mam kontakt z najważniejszymi osobami z TM-Semic.

CHAOS: Które z komiksów wydawanych przez TM-Semic zapadły ci najbardziej w pamięć i dlaczego? To wydawnictwo wypuszczało mnóstwo serii – ja lubiłem Batmana – jednak publikowali też sporo tzw. "szmiry". Były w ich ofercie komiksy, których wolałbyś nigdy nie mieć w ręku? A jakie tytuły mogliby wydać w Polsce, a nie zrobili tego?

Łukasz: Ojej, nie, takich pytań to mi nie zadawaj, bo mogę opowiadać o tym godzinami. „Batman" i „Punisher" były moimi ulubionymi seriami super-hero. Szczególnie na łamach tego pierwszego ukazało się kilka bardzo dojrzałych, świetnych opowieści, bo przygody Castle'a to jednak była głównie sieczka. Świetne były oryginalne „Żółwie Ninja" (trzy zeszyty w czerni i bieli, wielu ludzi do dziś nie wie, że „TMNT" zaczęło się od dosyć brutalnej serii wydawanej nakładem autorów). TM-Semic miało dużo planów wydawniczych, mi osobiście szkoda, że nie udało się z „Savage Dragonem" z Image.

CHAOS: Oprócz komiksów fascynuje cię również popkultura lat 80. i 90. Dlaczego? Co fajnego jest w He-manie czy Zmutowanych Żółwiach Ninja? Kolekcjonujesz figurki i gadżety związane z filmami i komiksami, które z jednej strony pamiętają wszyscy, którzy na nich się wychowali, jednak z drugiej strony, po latach uświadamiamy sobie, że wiele z nich to była lekka "sraczka". Czy to sentyment z lat dziecięcych, bakcyl kolekcjonerstwa wywołany brakiem takich gadżetów w latach 80./90.?

Łukasz: Co jest fajnego? Nie wiem, kurde. Wszystko? Fakt, że wiele tych produkcji brzydko się zestarzało i to jest dziś okrutny ser, wcale mi nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Podchodzę do tego na luzie i czerpię radochę również ze złych rzeczy. Tak złych, że aż dobrych. Sentyment i fakt, że jest do tego wszystkiego dostęp są bardzo ważne. Moich rodziców nie było stać na te wszystkie cuda, więc nadrabiam zaległości. Jak sobie przeanalizuję moje "dorosłe" życie, to jednak zawsze czytałem jakieś komiksy, oglądałem kreskówki czy grałem w gry. Spytaj lepiej moich statystycznych rówieśników co jest fajnego w motoryzacji albo jakimś sporcie drużynowym (najlepiej polskiej piłce nożnej), bo

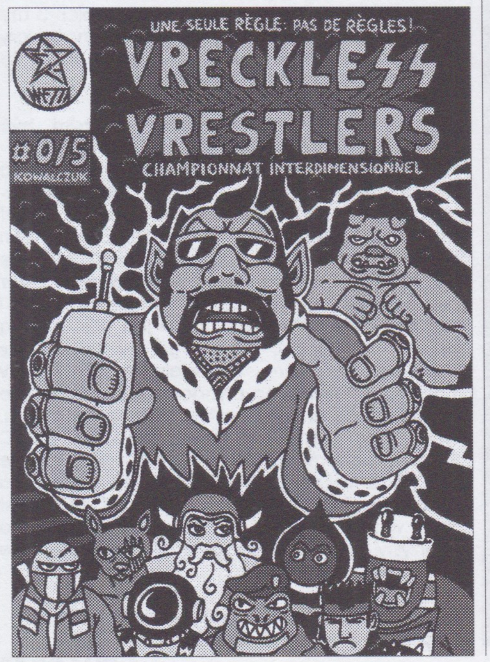

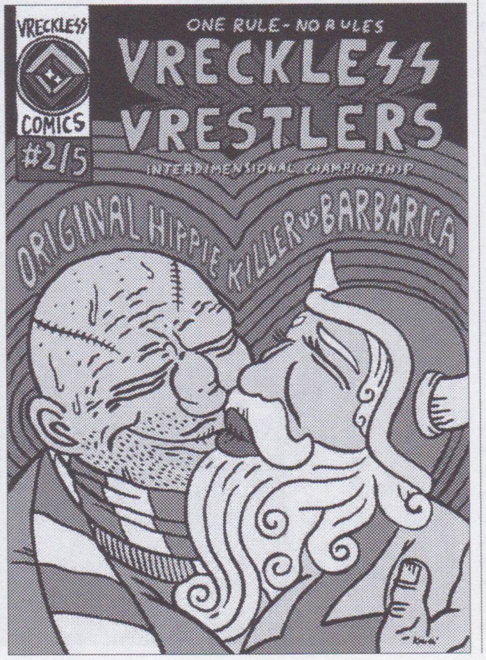

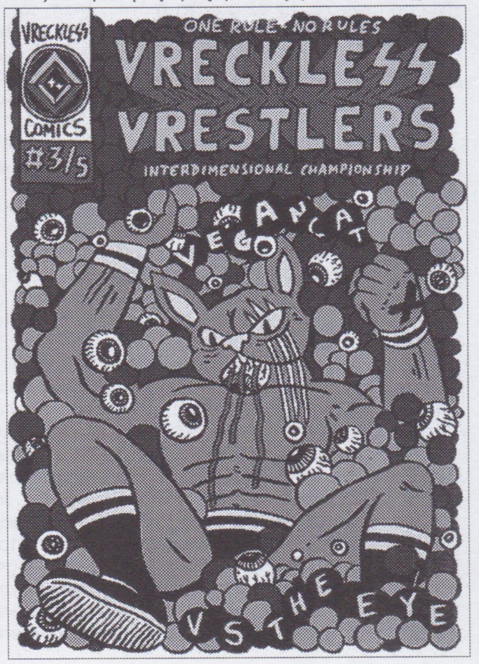

jaranie się takimi rzeczami to jest dla mnie fenomen.

CHAOS: Dużą masz kolekcje figurek, gadżetów i komiksów? Gdzie to wszystko zdobywasz? Zbierasz tylko „oryginalne" figurki czy również polskie "mutacje" z lat 90-tych? Wymieniasz się nimi z innymi kolekcjonerami? Sam robisz tego typu figurki - skąd bierzesz materiały? Robisz większą ilość czy pojedyncze sztuki? Jakie modele bohaterów do tej pory wykonałeś?

Łukasz: Nie mam dużej kolekcji, nie spinam się specjalnie, żeby mieć np. wszystkie figurki z jakiejś serii. Kupuję raczej okazyjnie i sporadycznie. Dużo eksponatów kupiłem na Allegro, sporo w lumpeksach. Kolekcja na pewno byłaby większa, gdyby nie zabójcze koszty przesyłki ze Stanów. Na e-bayu mnóstwo komiksów, figurek i gadżetów jest śmiesznie tania lub po prostu ma przyzwoite ceny. Na rodzimym największym serwisie aukcyjnym jest z tym o wiele gorzej.

Polskie mutacje na pewno, wcześniej czy później, zdobędę. Co ciekawe, były produkowane w Gdańsku – Turtlesy, postaci z „Gwieznych Wojen", He-man i Szkieletor, Smerfy, Muppety. Wiele z nich było bardzo dobrej jakości. Bardzo lubię różne podróby, zwane bootlegami (znajomy termin, prawda?). Wiele bym dał, żeby cofnąć się w czasie do 1991 lub 1992 roku do Mrzeżyna albo Władysławowa i wykupić wszystkie "himeny" z kiosków z pamiątkami.

Na początku, tuż po przeprowadzce na "swoje", miałem bardziej intensywny moment, ale w momencie kiedy urodziła mi się córka, musiałem zacząć myśleć o miejscu na ten cały syf... :)

CHAOS: Założyłeś bloga o nazwie szlam.net, który już nie działa, jednak był dość unikatowym zjawiskiem w naszym kraju. Opowiedz naszym czytelnikom, jakie materiały zamieszczałeś na swoim blogu. Dlaczego odpuściłeś sobie szlam. net - brak czasu, małe zainteresowanie? Skąd brałeś, często unikatowe, materiały? Jest szansa, że kopalnia "pulpowych" rarytasów jeszcze odżyje?

Łukasz: Nie działa, ale można go znaleźć pod adresem tzzad.wordpress.com – był to twór o tyle unikatowy, że skupiał się na rzeczach, które nadal trudno znaleźć na innych "geekowskich" stronach. Ile można, kurwa, czytać o castingach do entej ekranizacji Batmana, czy innego Spidera, robionej za pierdylion dolarów? Albo o komiksie, którego recenzje masz na kilkudziesięciu innych stronach?

Umieszczałem często materiały dotyczące tego, co kupowałem – figurek, filmów, komiksów. Przede wszystkim lata 80. i 90. Jakieś wynalazki, często takie, o których nikt u nas nie słyszał – na przykład różni "krewni" Żółwi Ninja albo jakieś naprawdę paskudne figurki (bezdomny z „Dicka Tracy'ego" czy „Street Sharks").

Trochę to się wszystko nakręcało, bo na przykład kupowałem rzeczy już z myślą o tym, że fajnie będzie je przybliżyć czytelnikom bloga. Zaprosiłem też do współpracy kilku niezłych zawodników – dzięki temu pojawiły się recenzje mniej znanych filmów z lat 80. albo kaset z kreskówkami z Hanna-Barbera czy też gier na Pegasusa, dałem radę zrobić kilka wywiadów. Jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa w kwestii Szlamu, myślę o reaktywacji, może na tumblerze? Kiedyś.

CHAOS: Interesujesz się również wrestlingiem - dla wielu ludzi ten sport to również niezły badziew, ale przyznam się, że sam czasami oglądałem zmagania poprzebieranych pajaców, i podobało mi się! W wrestlingu są jakieś ligi? Masz jakichś swoich ulubionych zapaśników? Czy jest jakaś znaczna różnica pomiędzy przebieranym wrestlingiem amerykańskim a zamaskowanymi zapaśnikami z Meksyku?

Łukasz: Fani wrestlingu mówią, że to jedyny prawdziwy sport i ja się coraz bardziej z tym zgadzam. Szczególnie kiedy przypomnę sobie lata oglądania 3. i 2. ligi piłkarskiej na Arce.

Lig funkcjonujących na zasadzie tabeli nie ma (próby wprowadzenia czegoś takiego kończyły się źle). Są federacje lub promocje, które mają swoje mistrzowskie pasy i tak na przykład, kiedy w mainstreamowym amerykańskim wrestlingu konkurowało ze sobą WCW i WWF – każda z tych promocji miała pasy Mistrza Stanów, Mistrza Świata, Mistrzostwo Tag-Teamów itd. Zawodnik podpisywał kontrakt i występował w jednej z federacji albo dwóch (na przykład w Stanach i Japonii) albo był kimś w rodzaju freelancera. Wielu takich weteranów freelancerów śmiga dziś po całym świecie. Napisałem o mainstreamie, bo jest też coś takiego jak niezależny wrestling – małe promocje rozsiane po całym świecie. Jakoś wydaje wam się, że hard core punk w Polsce jest niszowy, to sprawdźcie sobie polski pro-wrestling.

Mam ulubionych zapaśników z różnych okresów, bo przy okazji pracy nad swoimi komiksami zainteresowałem się tematem do tego stopnia, że zacząłem mocno nadrabiać zaległości – łącznie z czytaniem książek i zinów o wrestlingu. Ś.p. Rowdy Roddy Piper (kojarzycie go z "They Live" Carpentera), Ś.p. Dusty Rhodes, Mr Perfect... mógłbym wymieniać i wymieniać. Czasem lubię jakiegoś gościa za to, co robi na ringu, czasem za to, jak wciela się w swoją postać (gimmick).

Obejrzyjcie sobie dokument "Beyond the Mat". Tam jest epizod o Micku Foleyu – typie, który był jednym z największych i najbrutalniejszych wariatów w ringu (Cactus Jack, Mankind). Spadał z 7 metrów na stół komentatorski, kończył walki z własnym zębem wbitym w nos itd. To się nie zawsze tak kończy, ale ci ludzie muszą być przygotowani.

Odnośnie różnic między amerykańskim a meksykańskim wrestlingiem, to polecam też program "Lucha Underground" – to wrestlingowy serial produkowany przez Rodrigueza (tego od "Od Zmierzchu do Świtu") – chyba najlepsza współczesna wrestlingowa rzecz w TV. Przyjęło się, że w Meksyku dominują akrobacje, a w Stanach atletyzm – w „Lucha Underground" wszystko jest elegancko zmiksowane. Zresztą w WWE też nie ma jednego, dominującego stylu.

CHAOS: Twoje zainteresowanie wrestlingiem przełożyło się na twój, coraz popularniejszy, komiks "Vreckless Vrestlers". Komiks o wrestlerach powinien być na dłuższa metę nudny, jednak ty połączyłeś to z SF/pulpą i okazało się, że wyszła z tego ciekawa historia. Spodziewałeś się takiej popularności tej serii? Jak myślisz, co bardziej urzekło czytelników: absurdalny humor czy może galeria zaskakujących postaci?

Łukasz: To mój komiks przełożył się na zainteresowanie wrestlingiem... :) Jeśli obejrzycie trochę starych wrestlingowych programów, to zobaczycie, że różne wariackie klimaty często się tam pojawiają. Undertaker czerpiący moce z urny, Robocop pojawiający się na jednej z gal (tak zwane cross-promotion), różne demoniczne i nierealne postaci (często bardzo pocieszne i nieudane gimmicki). Przypomnijcie sobie Tygrysią Maskę, sprawdźcie Kinnikumana. Istnieją niezależne promocje, które układają całe historie rodem z komiksów (ktoś to wszystko musi rozpisywać). Wrestling to w sumie jest pulpa, wystarczy tylko podkręcić potencjometry i ja to zrobiłem.

CHAOS: Ile i w jakim nakładzie wyszło odcinków "Vreckless Vrestlers" i kto je wszytkie wydał? Twoja seria ukazała się również za granicą i dostała wiele pozytywnych recenzji, prawda? Ostatnio Kultura Gniewu wypuściła zbiorcze wydanie Zapaśników - co tam się znajduje w środku oprócz historii z zeszytów? Są tego aż 152 strony!

Łukasz: Pięć zeszytów wydałem własnym sumptem w ciągu jednego roku (2014). To było wyzwanie, ale fakt, że byli wydawcy zainteresowani edycją zbiorczą, pomógł mi to wszystko narysować w dość krótkim czasie. W wydaniu Kultury Gniewu jest przede wszystkim zielony, toksyczny kolor znany z edycji cyfrowej (wykorzystaliśmy specjalną farbę

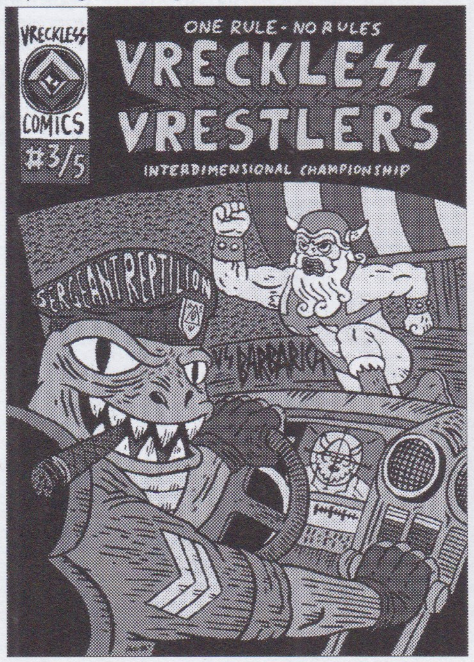

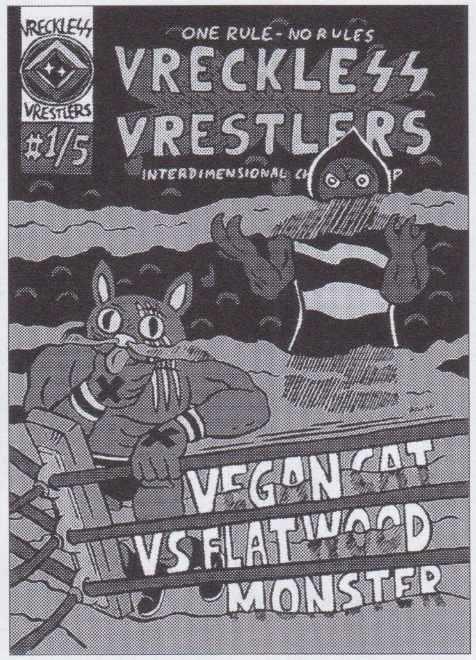

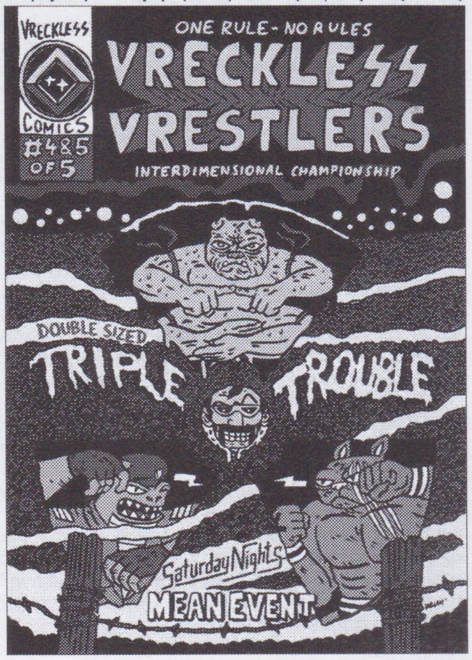

do tego), poza tym mnóstwo bonusowych grafik, zdjęcia figurek. To nie sztuka spiąć kilka zeszytów w całość, trzeba było jeszcze coś dodać, żeby ludzie, którzy kupowali zeszyty, widzieli sens zakupu tzw. trejda.

CHAOS: Masz zamiar kontynuować "Vreckless Vrestlers" czy może masz pomysł na nową serię i innych bohaterów? Pracujesz już nad jakimś nowym komiksem? Jakieś plany na najbliższą przyszłość?

Łukasz: Cały czas pracuję nad nowymi komiksami. Aktualnie rysuję kolejne krótkie historyjki do różnych zagranicznych antologii i zinów, z którymi udało mi się nawiązać kontakt. Wrestling, mutanty, high-fantasy, space opera, sesnacja. Będę to chciał jeszcze w tym roku skompletować w jednym zeszycie, przetłumaczone na polski i z jakimiś artykułami – będzie z tego całkiem zgrabny zine. W Kanadzie ma się ukazać zbiorcze wydanie „Violent Skate Buldogs", do którego też przygotowuję kolejne kilka stron. Od 2016 roku mam mieć, co tydzień, kilka stron w cyfrowej antologii Aces Weekly. Podsumowując – próbuję się przebić i dojść do momentu, w którym zacznę zarabiać na rysowaniu komiksów tyle, żeby był to znaczący dla budżetu domowego dochód.

CHAOS: Pojawiła się seria figurek bohaterów "Vreckless Vrestlers" - sam je robiłeś czy ktoś inny jest za to odpowiedzialny? Jak wygląda praca nad takimi figurkami, skąd bierze się elementy, np. szalik kibicowski? Powiedz czy dużo wyszło tych figurek i gdzie je można zdobyć?

Łukasz: Sam je robię (nadal, bo to jest czasochłonny proces). No, prawie sam. W skrócie: kupiłem dwa kartony chińskich figurek zapaśników w hurtowni w Sosnowcu. Od kolegów z Berlina zamówiłem komplet głów dla kilku postaci. Figurkom odcinam głowy, czyszczę, rozkładam na części, które maluję, potem składam i doklejam nowe głowy. Pakuję w przygotowane według mojego projektu blistry i wlala – figurka gotowa. To jednorazowa akcja, okazało się bowiem, że mam za małe moce przerobowe. No i nie ma u nas na to jakiegoś zajebistego rynku. Po prostu chciałem spróbować.

CHAOS: A co się dzieje z twoim zinem-komiksem "Nienawidzę Ludzi"? Opowiedz nam o tym wydawnictwie - skąd taki pomysł? Ile numerów się ukazało i czy nadal będziesz uzewnętrzniał swoją mizantropię na łamach tego zina?

Łukasz: Z zinem „Nienawidzę Ludzi" nic się nie dzieje. Mam inne projekty na głowie. Zrobiłem pięć zeszytów, nieźle przyjętych i zająłem się kolejnymi rzeczami. Nie mówię nie, może kiedyś zrobię nowy numer. Za dziesięć lat?

CHAOS: Na FB pojawiały się również twoje społeczno-polityczne komentarze bieżącej sytuacji w kraju i na świecie za pomocą satyrycznych rysunków. Nie widzę tego ostatnio... Zmęczyła cię rzeczywistość Cebulandii?

Łukasz: Mieszkam tu nadal, więc chyba nie zmęczyła. Po prostu ograniczyłem takie rysowanie do minimum. Teraz znowu mi się zdarza coś tam machnąć na kolanie. Chyba nie chce mi się przekonywać przekonanych, w internecie i tak każdy wie lepiej. To raz. Dwa – te rysunki nie są celem, ale środkiem. Miały przyciągnąć internautów, którzy z kolei mieli się zainteresować moimi innymi projektami. Udało się w jakichś 2-3%. Trzy – jak się człowiek uzależni od fejsbuków i kliknięć, to potem robi taki gryzdol w 5 minut, a przez następne 3 godziny sprawdza ile jest polubień. Szkoda czasu.

CHAOS: "Wyprawa do wnętrza głowy Łukasza Kowalczuka" to artbook przygotowany na twoją autorską wystawę. Co to była za wystawa i co znajdowało się wewnątrz tego artbooka? Dlaczego wydarzenie miało miejsce we Wrocławiu, a nie w twoich okolicach, czyli Trójmieście? Bardzo mały nakład był tego wydawnictwa, więc pewnie stanie się rarytasem... Jest plan zrobienia dodruku?

Łukasz: W czerwcu, w ramach Bałtyckiego Festiwalu Komiksu, odbyła się moja wystawa pt. „Szlam", ale to było po prostu kilkanaście wielkich wydruków wywieszonych w mediatece. We Wrocławiu odbyła się większa wystawa, taka z oryginałami i truflami na wernisażu, bo tam znalazł się człowiek na tyle zainteresowany i zdeterminowany, żeby to zrobić. Wybrałem się swego czasu do rumskiej Stacji Kultury, żeby pogadać z dyrekcją odnośnie zrobienia jakichś fajnych komiksowych rzeczy – nie moich, chodziło na przykład o zaproszenie fajnych autorów rysujących dla dzieci, żeby oni z kolei poprowadzili warsztaty. Do dziś cisza. Dodruku albumu nie będzie.

CHAOS: Bierzesz udział w wielu festiwalach komiksów, często jako prelegent. Na czym to polega? O czym opowiadasz na takich spotkaniach, o swoich pracach czy ogólnie o komiksie? Możesz opowiedzieć nam laikom, jak wyglądają takie festiwale i konwenty komiksów w Polsce? Coś czytałem o jakiejś krzywej akcji na Polconie 2015, o co tam chodziło?

Łukasz: Festiwale/konwenty to jest przede wszystkim okazja do spotkania z przyjaciółmi i znajomymi. Lubię prowadzić jakiś punkt programu, bo wtedy z reguły staram się być trzeźwy no i dostaję zwroty za przyjazd. Z reguły mam prelekcję w ramach której opowiadam o czymś co lubię – komiksach o wrestlingu, komiksach o krewnych żółwi ninja, zinach. Czasem przerabiam taki wykład na artykuł. 100% przyjemnego z pożytecznym. Na okoliczność pierwszego wykładu wymyśliłem postać Rotmistrza Polonii – można znaleźć ten tekst na stronie Gildii.

Z Polconem to nie była żadna krzywa akcja, tylko smutne realia szeroko rozumianego fandomu sf/ fantasy. W skrócie - organizatorzy konwentów fantastycznych proponują udział w imprezie – zrobienie prelekcji itp. Bez zwrotów za dojazd i nocleg, za to jest zniżka na bilet wstępu. Ja się na takie warunki nie godzę i głośno mówię o tym, że powinny się zmienić, nawet jeśli nie jestem prelegentem tylko autorem, który otrzymuje zwroty i nocleg. Duże, sponsorowane i dotowane imprezy odbywają się nadal na takich zasadach...

CHAOS: A jakie jeszcze komiksy poczyniłeś przez lata działalności? Zapowiada się ciekawie seria "Violent Skate Buildogs" - nieodległa przyszłość i hardcore! Będzie jakieś zbiorowe wydawnictwo? Jeden komiks z tej serii zamieściliśmy na łamach "Chaosu" - gdzie publikowałeś pozostałe historie?

Łukasz: Zbiorowe wydawnictwo już się ukazało, miało premierę na drugiej edycji Złotych Kurczaków w styczniu 2015 roku. Zawierało historyjki opublikowane wcześniej w „Dizaster Magu", „Chaosie" i „Mydle" oraz kilka bonusowych stron. Teraz przygotowuję kolejne odcinki dla „Dizastera" i kanadyjskiego wydawcy, który wyda poszerzoną edycję jeszcze w tym roku.

CHAOS: Napisałeś też kilka scenariuszy komiksowych - przypomnij nam dla kogo? Masz w planach więcej historii, które narysuje ktoś inny niż ty? Opowiedz nam coś więcej o współpracy z innymi artystami.

Łukasz: Dosłownie kilka, te większe i godne uwagi to „Ultra Minion" z rysunkami Maćka Czapiewskiego (pierwotnie webkomiks, całość ukazała się niedawno w Profanum), „Rotmistrz Polonia" z rysunkami Łukasza Godlewskiego. Była nawet crowdfundingowa zbiórka na papierowe wydanie obu, ale skończyła się porażką. Nie zamierzam pisać więcej scenariuszy dla kogoś (chyba, że to będzie naprawdę zajebisty rysownik, a ja będę miał z tego coś więcej niż satysfakcję), ale zacząłem rysować do cudzych scenariuszy. „MonkeyKata" napisanego przez kolegę ze Stanów usiłujemy "sprzedać" zachodnim wydawcom, w kolejce do narysowania czeka szort autorstwa Kek-W – gościa, który regularnie pisze do 2000AD. To dla mnie spore wyzwanie i nobilitacja.

CHAOS: Co to za akcja "Szlamu Król"? Komiks inspirowany klasykami hardcore/thrash/crossover? Czytałem, że do komiksu ma być dołączona płyta... Prosimy o szczegóły i detale tego ciekawego projektu.

Łukasz: "Szlamu Król" - mój tekst, melodia z agnosticowego „Eliminatora" zagrana przez Testerów (TESTER GIER – dop. Pablo). Ukazało się to w niewielkim nakładzie z płytką w formacie wizytówkowym, jest też video (bardziej pokaz slajdów). To jest demo (singiel?), które zapowiadało większy projekt pod tytułem „Konkweror" – post-apokaliptyczny komiks z thrashową ścieżką dźwiękową. Niestety, ślimaczy się to okrutnie z racji tego, że mam sporo na głowie. Lada chwila premierę będzie miał kolejny strzał pod tytułem "Czas by Gnić", tym razem na podstawie wałka TOXIC HOLOCAUST. Będzie limitowane wydawnictwo i video (bardziej animacja niż pokaz slajdów).

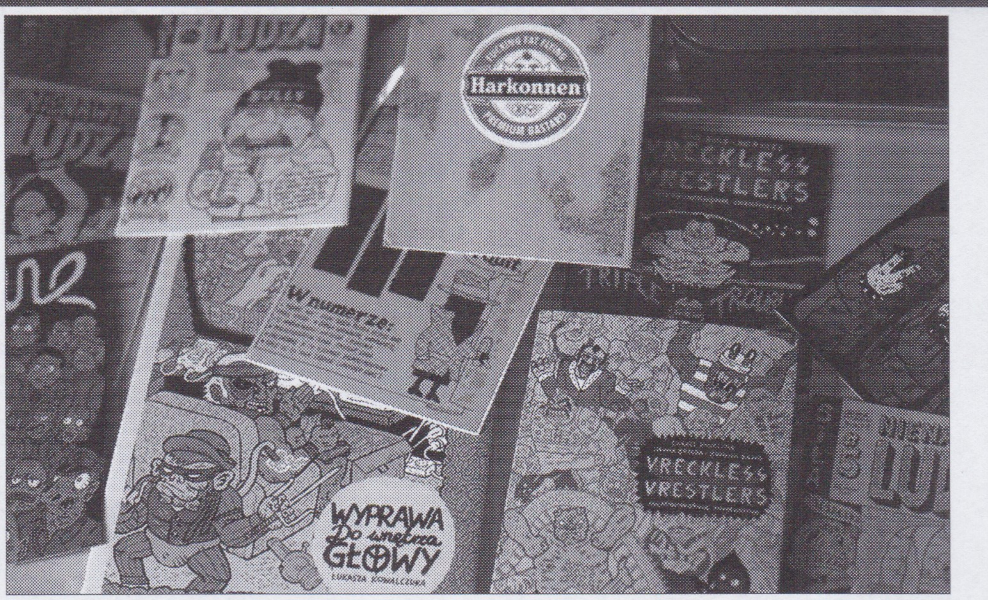

CHAOS: No właśnie - współpracowałeś z zespołem TESTER GIER, ale też z innymi zespołami ze sceny hc/punk. Robiłeś okładki, plakaty i inne projekty dla kogo konkretnie? Dla jakich kapel. Z jakich okładek i plakatów jesteś najbardziej zadowolony? Będziesz działał dalej w tym kierunku?

Łukasz: Zrobiłem mnóstwo plakatów, głównie dzięki temu, że współpracowałem (lub nadal współpracuję) z klubami i organizatorami, a nie tylko samymi kapelami. Klub Ucho, ekipa No One Likes Us, CASTET, wspomniany TESTER... Najbardziej jestem zadowolony z plakatu reklamującego warszawski koncert TERROR – chociaż nie był rysowany. No i Summer Riot Festiwal – ale tu raczej chodzi o całokształt projektu, bo to był i plakat, i koszulki, i grafiki internetowe. Ogólnie rzecz biorąc to się trochę u nas w kwestii plakatów poprawiło, ale nadal można trafić na szpetne grafiki. Z drugiej strony, czego się spodziewać w kraju żółtego szyldu i płotów zasłoniętych przez banery?

Okładek mam na koncie o wiele mniej i jestem zadowolony zaledwie z kilku, a o wielu wolałbym zapomnieć z różnych powodów.

Będę działał w tym kierunku, jeśli ktoś zaproponuje odpowiednie warunki. Na "scenie" nadal jest masa ludzi myślących, że powinno się takie rzeczy robić za darmo albo za piwo.

CHAOS: Wywodzisz się z hardcore'a, ale czy nadal jesteś związany ze sceną hc/punk? Chodzisz na koncerty? Widziałeś ostatnio coś na koncercie, co cię zelektryzowało? Śledzisz poczynania nowych polskich kapel hc?

Łukasz: Mam kontakt z wieloma osobami ze "sceny", zresztą wczoraj wyjebałem z fejsbuka wszystkich rodaków, bo zaczęło mnie to szambo wkurwiać, a nie chciało mi się dociekać co, kto, gdzie i kiedy. Poza tym, że czasem zrobię plakat i raz na ruski rok pojawię się na konercie, to nie bardzo mam kontakt. Słucham nadal takiej muzyki, wiem, że powstają wciąż fajne zespoły, ale nie interesuje mnie to jakoś specjalnie. Ja się, mimo wszystko, bardziej wywodzę ze sceny oi/streetpunk, a w tym temacie mamy w kraju biedę przeokrutną z kilkoma rodzynkami.

CHAOS: A czego lubisz posłuchać na co dzień? To wciąż jest tylko street/hc/thrash czy może słuchasz np. hip hop? Twoje płyty wszech czasów, które wywarły na tobie największe wrażenie i nie starzeją się od lat, masz takie?

Łukasz: Płytą wszech czasów jest dla mnie "Voice of the Generation" BLITZ. Słucham różnych rzeczy. Są takie, na które jakoś trafiłem przez punk rocka, ale same w sobie mają z punkiem związek niewielki lub żaden. Nic oryginalnego – THE WHO, DEVO, Cash, Ian Dury, THIN LIZZY, garage, surf. Spokojniejsza muzyka, bez wokali, pomaga mi się skupić albo po prostu nie przeszkadza. Kiedy pisałem książkę, zacząłem słuchać instrumentalnego jazzu, średnio sprawdziła się muzyka poważna.

Aktualnie, jeśli sięgam po jakieś punkowe kapele, to albo klasyki, albo są to składy emulujące stare brzmienia: RIXE, LONG KNIFE, BLOOD STAINED BRINDLE, BATTLE RUINS. Przestałem w ogóle kupować muzykę na fizycznych nośnikach, wykupuję abonament na Spotify albo Deezerze (zależy co jest aktualnie w promocji) i tyle. Jak mi się coś spodoba, to leci na zapętleniu, do usrania. Ostatnio, z "innych" to była ścieżka do gry Blood Dragon, Big Business, the Sword i Attacker. No i słucham dużo audiobooków – w sytuacji, kiedy mam robotę typu "świstak siedzi i zawija w sreberka", czyli na przykład jakieś banery reklamowe. Polecam.

CHAOS: Swojego czasu zdzierałeś gardło w dwóch kapelach - BILETY DO KONTROLI i COLLINA. Ten pierwszy był dla wielu "scenersów" dość kontrowersyjnym zespołem - jak myślisz, dlaczego?

Łukasz: Kontrowersyjny był dla tych, którzy nie znali nas osobiście i, co gorsza, łykali różne kity. Sprawdź sobie z jak różnymi zespołami BDK grało na przestrzeni lat. Dużo było sucharów, szczeniackiej bezczelności. Kilka razy zjebaliśmy, przyznaję, tak było w przypadku niesławnej składanki z Olifanta. Problem polegał jednak na tym, że pruli się do nas o to również ludzie, którzy powinni w temacie dziwnych znajomości zamknąć mordę. Mi osobiście zajęło sporo czasu, żeby się zorientować, że w pewne rzeczy się lepiej nie pakować i blatowanie się ze wszystkimi nie prowadzi do niczego dobrego. Zarówno BDK jak i COLLINA były "jakieś". Trochę mi tego brakuje, bo mam momentami wrażenie, że nowe kapele wychodzą z jakiegoś generatora.

CHAOS: Zespół COLLINA pojawił się chwilę później i od razu przywaliliście splitem z CASTETEM. Dlaczego akurat oni? Z powodu zbliżonego stylu i sarkastyczno-ironicznych tekstów? A w ogóle skąd taka nazwa dla zespołu?

Łukasz: Dlatego, że się znamy.

CHAOS: Dlaczego zespół COLLINA zakończył działalność? Jest jakiś plan na reaktywację? A może myślicie o wydaniu waszych singli na jakimś większym formacie? No chyba, że myślisz o jakiejś nowej kapeli...

Łukasz: Gitarzysta wyjechał na stałe do Szczecina i szansa na granie w tym składzie była znikoma. Ja z kolei nie chciałem szukać nikogo na jego miejsce, ta kapela była dobra w konkretnym składzie, a może mi się coś ubzdurało. W kwestii reaktywacji nigdy nie można mówić „nie", ale ja mówię nie! :)

Nie myślę o żadnych wydawnictwach ani nowej kapeli. Może czasem, kiedy wypiję i słucham sobie różnych rzeczy. Wtedy jest takie "o, fajnie by było coś takiego pograć". Dostałem bas dwa lata temu na urodziny, ale próbowałem coś poplumkać ze dwa razy.

CHAOS: Niedawno zostałeś ojcem. Pewnie wiele zmieni się w twoim życiu. Jak planujesz ogarnąć te wszystkie rzeczy, w których bierzesz udział? Myślisz, że będziesz musiał zwolnić nieco czy może dostałeś jeszcze większego kopa do pracy?

Łukasz: Powoli do mnie dociera, że muszę inaczej ustalać terminy, jeśli chodzi o pracę. Jestem teraz w takiej sytuacji, że nie mogę zwolnić w temacie komiksowym i mogę sobie na to pozwolić. Dziecko to jest coś magicznego – rodzice czytający te słowa pewnie kiwają ze zrozumieniem głową.

CHAOS: Jak oceniasz polską "scenę" komiksową? Mamy dużo dobrych artystów w kraju? Czy obecnie dużo działa wydawnictw i wychodzi polskich komiksów? Co u nas kuleje i co można zmienić, a czego już się niestety nie da naprawić w polskim świecie komiksu?

Łukasz: W przypadku polskich artystów "scena" jest dobrym określeniem. Rynek to przede wszystkim polskie edycje zagranicznych tytułów – tu pojawiają się cały czas nowi wydawcy i mamy boom. Ci sami wydawcy nie chcą jednak wypuszczać polskich albumów. W ogóle najlepiej wydać się najpierw za granicą albo mieć taką opcję na horyzoncie – wtedy patrzy się na autora przychylniej.

Nie da się cofnąć czasu – faktu, że mamy kilkadziesiąt lat w plecy i musimy nadal, mozolnie, nadrabiać zaległości. Jest duża grupa czytelników, których po prostu nie przekonasz do czegoś innego niż reedycje, „Relaxy" i „Żbiki". Trochę jak z punkami, którzy przez całe życie słuchają na zmianę EXPLOITED i KSU. Poza tym wszystko da się naprawić, tylko potrzebna jest do tego dobra wola wszystkich zainteresowanych: wydawców, autorów, czytelników. Tym razem wyjątkowo nie będę narzekał.

CHAOS: Polecisz nam jakichś młodych zdolnych polskich artystów? Którzy z rysowników twojego pokolenia wciąż działają i czy święcą jakieś triumfy? Czy w Polsce wciąż działa komiks undergroundowy? Czy istnieje coś takiego jak komiks punkowy?

Łukasz: Ja mam 32 lata, więc w przypadku mojego pokolenia nie ma mowy o "wciąż", bo to jest najlepszy wiek na twórczość (tak naprawdę to każdy jest dobry, ale lubię się motywować). Twórców jest cała masa, wymienię kilka osób (bez cezury wiekowej): Tomasz Grządziela, Igor Wolski, Marcin Podolec, Jacek Kuziemski, Edyta Bystroń, Jakub Rebelka, Joanna Karpowicz, Wojciech Stefaniec, Fil, Marcin Rustecki (tak, TEN Rustecki), Jacek Świdziński (laureat nagrody im. Henryka Sienkiewicza), Piotr Nowacki, Tomasz Samojlik (dwóch ostatnich specjalizuje się w komiksie dziecięcym). Wierzchołek góry lodowej, naprawdę. W Polsce działa komiks undergroundowy i na pewno nie są to autorzy pokroju Dąbrowskiego, który rysuje dla tygodnika "NIE" (sic!). Nadal ukazują się tytuły bez ISBNu, są nawet przyznawane nagrody dla tego typu wydawnictw – Złote Kurczaki. Łatwo jednak nie jest – coraz mniej osób decyduje się na samowydawanie – na takiej zasadzie, że ktoś robi wszystko samemu, bez pierdolenia. Autorzy wolą formę, która nie wiąże się z kosztami – na przykład webkomiks, ewentualnie zbierają pieniądze za pośrednictwem finansowania społecznościowego. Spada zainteresowanie czytelników i organizatorów dużych imprez. Komiksy punkowe też się pojawiają, ale to już nisza w niszy w niszy.

Granica między undergroundem, a obiegiem oficjalnym jest od lat bardzo płynna. Ostatni album Prosiaka ukazał się "normalnie" w Kulturze Gniewu. Osobiście odpuściłem samowydawanie, bo znalezienie czasu na druk, dystrybucję i promocję w mojej aktualnej sytuacji to jakaś abstrakcja.

CHAOS: No i na koniec chcielibyśmy usłyszeć od ciebie przesłanie, które ruszy młodych rysowników do większej aktywności! No i jakieś słówko dla naszych czytelników!

Łukasz: Młodzi rysownicy raczej nie czytają „Chaosu", nie wiem czy w ogóle czyta go ktoś poniżej 30. roku życia. A czytelników mogę jedynie pozdrowić... :)

Urodzony w roku 1971, absolwent liceum plastycznego w Katowicach. Najbardziej płodny rysownik III obiegu. Zasłynął... Bla, bla, bla... Nie ma co ściemniać! Prosiak jest rysownikiem, który miał olbrzymi wpływ na całe pokolenie sceny niezależnej lat 90-tych. Jego komiksy rządziły! „Ratboy", „Ósma czara", „Blixa i Żorżeta" czy setki polewek z kościoła, skinów, policjantów, polityków, społeczeństwa i samych punków. Czy Prosiak się z tym zgadza, czy nie, jest rysownikiem kultowym i basta! Pytania zadawał Pablo, wspomagał Qba, a odpowiadał Krzysztof Prosiak Owedyk.

CHAOS: Co to w ogóle za ksywka - Prosiak? Dobra, dobra, wszyscy widzieliśmy ten twój komiks... Tak serio, to skąd takie przezwisko, bo ani od nazwiska, ani od wyglądu, hehehe... Czy ona jest związana z Prosiaczkiem z "Kubusia Puchatka"?

Prosiak: Saluto, sie ma! - jak mówio prawdziwy puncy. Ksywka wzięta się stąd, iż w liceum z jakiegoś powodu wziąłem się za lekturę "Kubusia Puchatka". Wcześniej go nie czytałem i bardzo dobrze. Książka mnie zauroczyła, stwierdziłem, że jest zdecydowanie bardziej dla takich dorosłych dzieci, jak ja, niż dla młodszych. Gdybym ją czytał jako dziecko, pewnie nie ubawiłaby mnie tak jak dorosłego. Moim ulubionym bohaterem był notoryczne struchlały Prosiaczek. Zrobiłem sobie przypinkę z owym Prosiaczkiem, dmuchającym w dmuchawiec. Z powodu tej przypinki zaczęto mnie tak właśnie nazywać.

CHAOS: Powiedz nam na początek, jak i kiedy to się stało, że wciągnął cię punk rock? Mogłeś być przecież metalowcem, rastamanem, depeszowcem czy nawet zwykłym, przeciętnym chłopaczkiem, a jednak wybrałeś punk... Dlaczego? Co było w tym takiego atrakcyjnego, że zasiedziałeś się w tym przez kolejne lata?

Prosiak: W siódmej klasie podstawówki, w 1985 roku, mieliśmy przygotować na lekcję muzyki ulubiony utwór "muzyki rozrywkowej" z radia, do którego akompaniamentu moglibyśmy zaśpiewać. W moim wypadku była to SIEKIERA i "Misiowie Puszyści". Z przekory, dla jaj i jakiejś prowokacji. To chyba dobrze tłumaczy późniejsze wciągnięcie przez punk rock. Z tych właśnie powodów, ale nie tylko. Bo można było spełniać się w punku nie będąc muzykiem. Było to coś więcej niż tylko muzyka i można było tworzyć ten ruch nie posiadając muzycznych umiejętności. Żadna inna subkultura, fani żadnego innego rodzaju muzyki nie stworzyli czegoś tak bogatego jak scena hc/punk lat 90-tych, gdzie każdy coś mógł od siebie włożyć w tę scenę i coś otrzymać. To była genialna sfera dla ludzi, którzy coś robią - jak ja. Punk był dla mnie bardzo inspirujący, był bodźcem do działań i dawał możliwości ich urzeczywistnienia. To właśnie było tak atrakcyjne w punku i późniejszej scenie DIY.

CHAOS: Jak wspominasz lata 90-te, kiedy na scenie hc-punk zaczynało się tyle dziać? Ludzi zaangażowanych było mnóstwo, zinów setki, zaczęły wychodzić niezależnie wydane płyty, powstawały niezależne miejsca prowadzone przez punków... A jak to wyglądało w Katowicach, z których pochodzisz? Brałeś w tym czynny udział czy tylko obserwowałeś i rysowałeś?

Prosiak: Lata 90. były zajebiste, bo sporo ludzi, którzy zaczynali działać w boomie ówczesnej sceny hc/punk, do dziś w jakiś sposób kontynuuje to działanie. Znaleźli dla siebie jakieś niezależne poletko do uprawiania i żyją z tego i dla tego. Nie sposób mówić o samych Katowicach, bez pomijania reszty Śląska. Tu wszędzie coś się działo – mnóstwo świetnych kapel, zinów, ludzi. Można wyliczać takie nazwy jak np. Nikt Nic Nie Wie (wtedy Bytom), Enigmatic Tapes (Ruda Śląska), Flabby Records (Siemianowice Śl.) i mnóstwo innych. Ale nie chciałbym tu tworzyć raportu ze Śląska... :) Znałem wielu z ludzi tworzących ziny, kapele, czy zaangażowanych obywatelsko, czy politycznie (że wspomnę katowickie An Arche i Jacka Sierpińskiego) i często z nimi współpracowałem. Zawsze znalazło się coś do narysowania i zawsze miałem za mało czasu, by udzielić się wszędzie tam, gdzie chciałem. Tu nie miało znaczenia, czy to Katowice, czy inne miasto w Polsce, nie było ograniczeń. Natomiast w samych Katowicach odbywały się pamiętne i najlepsze w kraju (podobno) czad-giełdy, na których oczywiście często bywałem. Na tę imprezę zjeżdżali ludzie z daleka, łącznie z południowymi sąsiadami. Więc uczestniczyłem w tym wszystkim, niekoniecznie jako jakiś organizator czy aktywista, bo dostatecznie dużo czasu pochłaniało mi ogarnianie własnego wydawnictwa i współpraca z innymi.

CHAOS: Rysujesz pewnie od małego... Jak zareagowali twoi rodzice, kiedy postanowiłeś pójść do szkoły plastycznej? Nie sarkali pod nosem, że z tego żadnego zawodu i pieniędzy nie będzie? I co, tak naprawdę, dała ci szkoła plastyczna? Pomogła rozwinąć twój talent? Jak podchodzono w szkole do komiksu?

Prosiak: W tym temacie rodzice nigdy nie robili mi problemów. Rysowałem komiksy od podstawówki (mam swój pierwszy album z roku 1984), malowałem obrazki, wiecznie nad czymś ślęczałem. Chodziłem nawet do kółka plastycznego w ówczesnym Pałacu Młodzieży w Katowicach, brałem udział w konkursach plastycznych i mój wybór plastyka był dla wszystkich czymś jak najbardziej naturalnym.

W plastyku również nie miałem problemów z komiksem, ale raczej rzadko korzystałem z tego medium na szkolnym gruncie. Pamiętam dwa czy trzy komiksy, jakie były na szkolnych wystawkach – jeden do tekstu MEGADETH "Good mourning", kolejny to malarska "Smutnej historii o pewnym świecie", którą potem narysowałem w tuszu i wydałem w Prosiacek Publishing. No i jeszcze takie widoki na zmieniające się chmury w oknie, gdzie kadrami były ramy okienne. To było malowane. Więcej oficjalnie zaprezentowanych komiksów nie pamiętam. Ale w plastyku już zaczynałem sklejać fanziny – najpierw komuś, potem zacząłem rysować sobie i wydawać swojego "Prosiacka". I tymi wyczynami nie chwaliłem się w szkole. Nie, żeby mieli mnie za to jakoś szczególnie jechać, nie robiłem z tego również tajemnicy, ale czułem, że moje komiksy to inny świat. Może bardziej propagandy, osobistego buntu niż sztuki, więc nie pokazywałem nauczycielom tych dzieł. Nie miałem potrzeby bycia ocenianym za to.

W tamtym okresie namiętnie malowałem za to swoje wersje okładek płyt kapel hc/punk/metal i przynosiłem pokazywać te prace na zajęcia malarstwa do oceny. Bo wtedy człowiek wymieniał się muzą na kasetach, nie zawsze wiedząc jak wygląda okładka. Zwłaszcza jak się nagrywało coś np. z Rozgłośni Harcerskiej od Tomka Ryłko, he, he. No więc w plastyku mieliśmy bardzo fajnego nauczyciela, ale jak zaczynałem wyciągać te swoje straszne czaszki, trupy, fabryki, kałuże krwi, dymy i wybuchy nukleарne, to tylko brał oddech i mówił: "Panie Krzysztofie, panie Krzysztofie...".

Czy plastyk pomógł się rozwinąć? Na pewno w jakimś stopniu. Choć tak naprawdę byłem na kierunku metaloplastyka, specjalizacja - kowalstwo artystyczne. Gdy skończyłem szkołę, nie miałem z tym więcej do czynienia.

CHAOS: Większość załogantów zna twoją okładkę do płyty "Pochodnia" zespołu S.K.T.C., ja pamiętam też okładkę kasety gliwickiego zespołu ONE SECOND OF NOISE... Były jeszcze jakieś okładki dla

kapel związanych ze sceną hardcore-punk? Nie myślałeś o tym, aby zaangażować się bardziej w rysowanie okładek płyt, jak zrobił to choćby nasz czołowy rysownik Wechter?

Prosiak: Zrobiłem mnóstwo okładek do płyt i kaset mniej lub bardziej znanym kapelom. Oprócz wspomnianych przez ciebie, udzielałem się wielokrotnie dla FATE (zarówno na kasetach jak i płytkach), ale też robiłem okładki dla takich zespołów jak SCHISMOPATHIC, NUCLEAR DEATH, CZARNOBYL ZDRÓJ, PROFANACJA, ACID ROTTEN BUT OK., CABANA, ostatnio winylowa MOSKWA i wielu innych. Czasem tylko składałem klejem i nożyczkami wkładki do kaset z gotowych wzorów i materiałów dostarczonych przez wydawcę czy kapelę. Tego też było dużo, np. dla Flabby Records (głównie był to grind/noise). Plus okładki jakichś składanek hc/punk, choćby dla Pasażera. W sumie jak ktoś poprosi, to przeważnie robię okładkę, ale sam z siebie nie szukam okazji, ponieważ moim głównym, czasochłonnym zajęciem jest jednak komiks.

CHAOS: Dlaczego zainteresowałeś się komiksem? Zajarałeś się "Kapitanem Żbikiem" - zresztą złożyłeś mu swój hołd, prawda? Czy pamiętasz swój pierwszy przeczytany i narysowany komiks? Jacyś komiksowi artyści mieli na ciebie wpływ w przeszłości? A jak to wygląda obecnie - masz jakichś ulubionych rysowników? Jakieś niedoścignione wzory?

Prosiak: Jako dzieciak uwielbiałem czytać komiksy, jak większość dzieciaków zresztą. Z tym, że z upływem lat mi to nie przeszło... I kiedy jako ten dzieciak przeczytałem wszystkie komiksy, jakie tylko miałem, swoje i kolegów, a niedosyt nadal pozostawał, postanowiłem, że sam będę rysować sobie komiksy. Pamiętam to postanowienie: musiało być noworoczne, bo to był styczeń 1984. Wtedy zacząłem rysować w zeszycie w linie swój pierwszy album. W linie, bo nie można było dostać "gładkich". Mam ten zeszyt zresztą do dziś. Więc zacząłem od razu od całego albumu na ponad 100 stron. A co! Były kredki, więc od razu był i kolor. Początkowo byłem chyba pod dużym wpływem Tytusa czy Kleksa, a potem bardziej klimatów SF. Wstrzymywałem oddech, gdy w Świecie Młodych drukowali Tajfuna albo Valeriana, a w TV leciała Załoga G. Czytałem to, co było dostępne na rynku, więc nie było to nic wyszukanego. Czytałem to co, czytali wszyscy: Relaxy, "Thorgal", wszystko co możliwe Baranowskiego, seria daenikenowska Polcha, Żbik, "Vahanara", "Najdłuższa podróż" Rosińskiego, "Kajko i Kokosz" itd. W nieco późniejszych czasach strasznie mi się podobał wczesny Funky Koval, jeszcze czarno-biały w Fantastyce (zepsuli później kolorem) czy Rork z "Komiksu - Fantastyki" (czy jak to się tam nazywało).

Obecnie chętnie sięgam po takie nazwiska jak Christophe Blain ("Pirat Izaak", "Reduktor prędkości"), Sfar ("Profesor Bell", "Kot rabina"), Winshluss ("Pinokio"), Bianco ("Mglisty Billy"), Rutu Modan ("Zaduszki", "Rany wylotowe"), cenię sobie Igorta, Craiga Thompsona czy Sieńczyka. No i cały czas wracam do przeszłości, do starych komiksów, które czytam po raz tysięczny.

CHAOS: Skąd się wziął pomysł na wydawanie zina "Prosiacek"? Nie miałeś gdzie publikować swoich komiksów? Czy może wolałeś mieć wszystko pod kontrolą? Pierwszy numer wyszedł w 1990 roku pod szyldem Prosiacek Publishing - wydałeś pod tą nazwą chyba wszystkie numery "Prosiacka" i nie tylko, tak?

Prosiak: Jak najbardziej miałem gdzie publikować swoje komiksy, bo jak już wspomniałem, przed wydaniem pierwszego "Prosiacka" pomagałem sklejać ziny ("Flabby" miał ponad 100 stron i tam ukazał się mój pierwszy scenowy komiks). Poza tym wiele fanzinów było otwartych na każdy rodzaj twórczości, a już w szczególności komiksy. Jednak wolałem stworzyć coś własnego. Miałem taką wizję, by zrobić zina z klimatem, żeby to była rzecz nie tylko z komiksem i nie tylko moją twórczością i żeby była inna, nieszablonowa. Gdzie będę mógł wrzucać swoje komiksy i obrazki, nie zawsze i nie do końca w punkowym klimacie.

Pierwszy numer miał się ukazać jeszcze w 1989, ale z powodu technicznych opóźnień (sprzęt do powielania to można było znaleźć jedynie w zakładach pracy, punkty usług ksero dopiero powstawały) wyszedł w 1990. Do czasu pojawienia się na horyzoncie Pasażera i Kultury Gniewu, wszystko wydawałem pod nazwą Prosiacek Publishing. Wydawnictwo to nigdy nie było zalegalizowane.

CHAOS: "Prosiacki" to głównie tematyka "okołopunkowa" - polewka z załogantów, dowalanie nazi-skinom, kościołowi, armii, no i w tym wszystkim mocne przesłanie wolnościowe i ekologiczne... Dlaczego właśnie tak? Wyglądało na to, że byłeś bardzo zżyty ze sceną niezależną hc-punk... W sumie to obok Pały byłeś "sztandarowym" punkowym rysownikiem w tamtych czasach... Czujesz ciężar "kultowości", hehehehe?

Prosiak: "Kultowość", ha, ha, no weź pan! Dziś mnie zdumiewa, że ktoś to wszystko jeszcze pamięta. To bardzo miłe. Zwłaszcza, że ja bardzo surowo oceniam swoją twórczość i, patrząc wstecz, widzę mnóstwo niedoróbek, niedociągnięć, naiwność czy po prostu zestarzenie się materiału. Tematyka była taka, a nie inna, bo funkcjonowałem w scenie, interesowałem się tymi ideami. Jako młody człowiek chciałem wiele zmieniać, jakoś ukierunkować swój bunt, nie zgadzałem się na otaczającą rzeczywistość. Skanalizowałem to w swojej twórczości. Nie rzucałem kamieniami w kościół, ale o tym rysowałem! :)

CHAOS: Ile wyszło tych "Prosiacków" w sumie? Cztery numery punkowe, piąty numer m.in. z komiksem "Genesis", kolejne numery to już zupełnie odległy klimat od tych wczesnych numerów... No właśnie, czym były "Bajki Urłatckie", które pojawiły się w numerze 7 i skąd to się wzięło? One były związane z zinem "Luzjuba Urłatcza" - przybliż nam te klimaty... Zresztą "Bajki Urłatckie" wydała również Kultura Gniewu - czy to te same bajki z numeru 7 "Prosiacka" czy jakaś kompilacja? Są tam jakieś niepublikowane rzeczy?

Prosiak: Pierwsze 5 numerów to tak jak wspomniałeś. Nr 6 to był zbiór komiksów publikowanych w innych zinach. Nr 7 – bajki urłatckie. Nr 8 – nowy materiał, ale zupełnie nie związany ze sceną. W tym czasie Pasażer dwukrotnie wydał integrale wczesnych "Prosiacków" (n-ry 1,2,3+4 oraz 1,2,3,4+6). W 2010 pod tytułem "Prosiacek 1990-2010" ukazał się potężny zbiór wszystkich "Prosiacków", ponownie zebranych prac z innych tytułów oraz nie publikowanych dotąd nigdzie komiksów. Tomisko nie było opatrzone żadnym numerem, ale traktowaliśmy go jako nr 9. Dlatego w 2012, całkowicie nowy materiał, również wydany przez Kulturę Gniewu miał już numer "X".

Bajki urłatckie wzięły się rzeczywiście od zina "Luzjuba Urłatcza". Umieściłem tam dwie jednostronicówki w wsiuńsko-baśniowych klimatach. Miały absurdalny humor, trochę gry słów i nawiązań do pop-kultury. Tak dobrze pisało mi się scenariusze, że zrobiłem ich więcej. Wystarczyło to na cały 7-my numer "Prosiacka". Dla Kultury Gniewu powstało jeszcze około 10 dodatkowych komiksów w klimacie wyimaginowanej krainy Urłatcji, parę grafik i tak powstał zeszyt "Bajki Urłatckie – stare i nowe". Do bajek na pewno wrócę, bo mam grubo ponad 20 gotowych scenariuszy.

CHAOS: Publikowałeś komiksy nie tylko w swoim tzw. wydawnictwie, bo również publikowałeś w innych zinach – pamiętasz w jakich? Poza tym pod swoje skrzydła wziął cię najpierw Pasażer, a potem Kultura Gniewu - nie miałeś nigdy jakichś mainstreamowych propozycji na wydanie czy na narysowanie jakiegoś komiksu? Chociaż rysowałeś nie tylko do zinów, bo i były jakieś oficjalne pisma...

Prosiak: Było tego bardzo dużo, nie pamiętam wszystkich tytułów. Z zinów to "Kanaloza", "Maluj Mury" (sklejałem całość), "Panta Rhei", "Mać Pariadka", "Litera", "Pasażer", "Zielone Brygady", "Woda", "Schizol", "Mundurek", "Antyskinhead polski", "QQRYQ", "Mamkły Mampazury"... pewnie sporo innych. Z wydawnictw mniej lub bardziej oficjalnych "AQQ", "Lampa", "Kelvin i Celsjusz", "Gambler", "Portal", "Kocie Sprawy"...

Kultura Gniewu jest jak najbardziej mainstreamowa, to prężne wydawnictwo na rynku. Dla mnie w sam raz. Nie zabiegam, żeby wydawać w czymś większym (nie znam się, ale np. Egmont chyba jest większy), bo moje komiksy raczej nie są dla masowego odbiorcy.

CHAOS: Kiedy połowa sceny chciała ci już odebrać punkową legitymację, ty wydałeś w Pasażerze zbiór swoich komiksowych pasków o przygodach Bilksy i Żorżety... Skąd pomysł na punkowe paski? No i te twoje punki, to pochodzili bardziej z rodzin inteligenckich, hehehe i raczej do Jarocina nie jeździli... Dla mnie "Blixa i Żorżeta" to komiks śmieszny, ale i zarazem nieco edukacyjny, w sensie scenowego zaangażowania. Taki był twój zamysł?

Prosiak: Komiks zrodził się z odkrycia czegoś takiego jak stripy, czyli komiksu paskowego drukowanego cyklicznie w gazetach. Spotkałem się ze świetnymi wzorcami podczas współpracy z pismem "Kelvin i Celsjusz". Miałem przyjemność dzielić łamy z "Calvinem i Hobbesem" Billa Watersona czy genialną serią "Ernie" Bo Grace'a. Postanowiłem stworzyć coś alternatywnego, w klimacie bliskim sobie. Od razu wiedziałem, że to będzie punkowa para. Tak powstał "Blixa i Żorżeta". Początkowo rysowałem komiks z myślą o puszczeniu go do jakiejś młodzieżowej mainstreamowej gazety, ale jak zacząłem się zastanawiać do jakiej konkretnie, to nic nie przychodziło mi do głowy. Z takich bardziej luzackich ukazywał się wtedy "Brum". Jednak nie bardzo pasowało mi wchodzenie we współpracę akurat z "Brumem". Więc ostatecznie nie wysłałem tego nigdzie. Nie chciałem też tego drukować w postaci tomika, bo to mijało się z ideą pojawiania się kolejnych odcinków. Komiks przeleżał w szufladzie 5 LAT zanim zdecydowałem się wrócić do korzeni, czyli do Pasażera i wydać to, co mam, jednak jako całość. Pasażer wydał pierwszy zeszyt w 1999, a rysunki są z 1994. Blixa i Żorżeta to para inteligencka, bo ja jestem inteligentny... :) A na poważnie – nie wiem czemu tak wyszło. To bycie edukacyjnym to trochę moja kula u nogi. Zawsze muszę przemycić jakieś propagandowe treści do komiksu, jak jakiś belfer. Teraz staram się tego unikać.

CHAOS: Czy jesteś wierzący? Hehehehe... Żartowałem! Dlaczego tak piętnujesz, ironizujesz i wyśmiewasz księży, kościół i religię? Co oni ci takiego zrobili, biedni księża? Miałeś jakieś problemy w związku z twoimi atakami na kościół? No bo taki, dajmy na to, komiks jak "Ósma czara" to po prostu esencja i konsekwencja tego całego, kościelnego zakłamania, które wciskają do głów swoim "owieczkom"... Ty pokazałeś to w odmienny nieco sposób, trochę w konwencji science fiction/ post-apokaliptycznej, jednak chodziło w tym o obłudę wszystkich religii... Pokazanie Szatana jako postaci dobrej, pomagającej cierpiącym, a z drugiej strony tych bezwzględnych aniołów... Wydaje mi się, że w roku 1994, w którym wyszła "Ósma czara", wymagało to nie lada odwagi... Opowiedz nam jak wpadłeś na pomysł, by narysować "Ósmą czarę". Ile trwało pisanie scenariusza - pisałeś jakiś w ogóle? Ile czasu zajęło ci narysowanie całego komiksu? Szukałeś jakiegoś "poza scenowego" wydawcy czy komiks docelowo miał być wydany na scenie hc-punk? Nie myślałeś o tym by spróbować wydać ten komiks w jakiejś zachodniej niezależnej oficynie? W Polsce nakłady chyba oscylowały coś koło liczby 1000 egzemplarzy, prawda?

Prosiak: Cóż tu dodać – wkurwia mnie religijna obłuda i oszołomstwo. Kłamstwo, którym manipulowane są masy. Kłamstwo, którym masy chcą być manipulowane. Bo dążenie do prawdy, poszukiwania i zadawanie pytań jest niewskazane w religiach. Najczęściej zresztą wierzący nie znają swojej religii.

Pomysł na "Ósmą Czarę" był we mnie od dawna, dojrzewał od wielu lat. Był już zanim wydałem pierwszego "Prosiacka". Naczytałem się Marka Twaina ("Listy z Ziemi"), gazetek Świadków Jehowy, Biblii... Stałem się również dorosły i zdałem sobie sprawę, że jako dzieciak byłem cały czas oszukiwany, prowadzony od chrztu, przez komunię, po bierzmowanie, jak w jakiejś grze przez kolejne etapy, kolejne levele – nie zdobędziesz kolejnego, jeśli nie osiągnąłeś poprzedniego – z których nie można się uwolnić, bo się należy do Kościoła, czy się tego chce, czy nie, i na każdym levelu trzeba płacić. Ale to tak na marginesie.

W głowie wykiełkowało mi pytanie. Jest hipotetyczna para: ona głęboko wierząca, on wcale. Przychodzi sąd ostateczny i co dalej: to po jakiej stronie by się opowiedział? Czy można uszczęśliwić kogoś na siłę? Czy można zniszczyć miłość w imię wyższych racji? Albo zrezygnować z niej, tzn. zrezygnować z człowieka dla Boga? Jakie mogłyby być te wyższe racje? Co zrobiłby tzw. Bóg? Bo dla mnie Bóg nie jest dobrą istotą, może niekoniecznie też złą, ale na pewno omylną. Jeśli istnieje... :) To były podstawy do stworzenia "Ósmej Czary". Oczywiście, że pisałem scenariusz. Zbierałem materiały, czytałem, dokształcałem się, bo autor zawsze musi wiedzieć o czym pisze, żeby nie wyłożyć się na nieznajomości tematu (od architektury bliskowschodniej po obyczaje napromieniowania). Nie pamiętam jak długo powstawał, ale skończyłem go w – nomen-omen - Wszystkich Świętych 1993 r. Jakoś rok później komiks już był wydany, bo rysowałem go równolegle z pisaniem scenariusza. Miałem gotowy konspekt i wiedziałem jak będzie poprowadzona akcja, do czego zmierza. Trochę rysowałem, trochę rozpisywałem kolejne sceny. Zakończenie jest inne niż w scenariuszu, a wymyśliłem je dwie strony przed końcem komiksu.

Wiele scen "Ósmej czary" powstało z natchnienia konkretną muzyką poważną. Słuchałem wtedy "Peer Gynta" Griega. Dla mnie była to ścieżka dźwiękowa do filmu, który sobie wymyśliłem i który postanowiłem narysować. Imiona głównych bohaterów są zainspirowane "Peer Gyntem". Kilka scen powstało zdecydowanie po inspiracji muzyką i tytułami kawałków. Np. taniec Anity ("Taniec Anitry"), sztorm na morzu ("Powrót Peer Gynta: Burzliwy wieczór na morzu"), wspinaczka na górę, do boga ("W grocie Króla Gór") itd. Zamykałem oczy, słuchałem, oglądałem wizje, jak film pod powiekami i spisywałem do scenariusza. Bez obaw, byłem wtedy straight edge, więc co najwyżej herbata tak zadziałała, he, he.

Jeśli chodzi o wydawnictwa komiksowe, w Polsce był akurat totalny burdel. Nawet nie brałem pod uwagę oficjalnych wydawnictw, bo te upadały szybciej niż powstawały. Wielu rysowników też wydawało wtedy swoje komiksy na własną rękę. Ja zrobiłem to wespół z bydgoską załogą "Kanalozy", czyli braćmi Kornak (Martinem Edenem i Modelem).

Nakład rozszedł się bez problemu (chyba rzeczywiście 1000 egzemplarzy). Później Pasażer wydał to znowu dwukrotnie po 1000 egzemplarzy. Czyli ilość była bardzo przyzwoita, jak na tamte i również jak na dzisiejsze czasy. Czego nie można powiedzieć o koszmarnej stronie edytorskiej...

Nie zastanawiałem się wtedy nad czytelniczą grupą docelową – czy to będzie scena hc/punk, czy mainstream, ponieważ ja się udzielałem już wtedy tu i tu. To miał być po prostu dobry komiks. Trzeba tworzyć dla siebie, a nie pod jakąkolwiek publikę. Choć zawsze staram się stawiać w roli czytelnika, by sprawdzić i ocenić, czy jako taki zrozumiem o czym sam piszę, rysuję.

CHAOS: "Ósma czara" wyszła trzy razy - za drugim razem puścił ją Pasażer, a w 2007 Kultura Gniewu - w tym ostatnim jako prolog do całej historii zdecydowałeś się dodać komiks, który pierwotnie pojawił się w "Prosiacku" nr 5 (który zresztą zaskoczył scenę hc-punk odejściem od klimatów załoganckich). Dlaczego? Co chciałeś przekazać nam w tej historii - że jesteśmy tylko zabawką w rękach boga, że tak uproszczę?

Prosiak: Dla mnie "Genesis" to taki bardzo luźny wstęp do "Ósmej czary". Bardziej może do jej idei, przesłania. Poza tym oba komiksy łączą dwaj bohaterowie. W "Ósmej Czarze" nie padają ich imiona, ale można się domyśleć, że to ci sami z "Genesis": Szejtek i Jahu. Główny bohater, Pierre, spotyka ich obu, już dorosłych. Szejtek jest tajemniczym lekarzem, który ratuje mu życie. Gdy oprowadza go po swojej siedzibie, można dostrzec w jednym z pomieszczeń obrazy malowane przez uczniów w "Genesis", w tym portret samego Szejtka jako dzieciaka. Natomiast z Jahem, Pierre spotyka się wiesz kiedy, tylko po to, by spróbować wsadzić mu kosę.

CHAOS: Robiłem kiedyś wywiad z Ex-pertem i zeszliśmy na temat waszej współpracy. Brałeś jego wskazówki do serca. Ex-pert opowiadał mi, że dosyć mocno zjechał cię za projekt noża jakim w "Ósmej czarze" Pierre zabija boga...

Pablo: Oj tak, to jest ten przykład, gdy studiując szczegóły, wyłożyłem się na czymś tak podstawowym jak ostrze noża. Okładka pierwszego wydania "Ósmej czary" narysowana jest z błędem. Projektując nóż, wzorowałem się początkowo na wschodnim jataganie. Gdybym konsekwentnie się tego trzymał, byłoby ok. Ale ja go zmniejszyłem, robiąc z niego prawie zwykły nóż, w dodatku kazałem Pierre'owi chwycić go do dźgania zamiast do cięcia. Taki nóż nie miałby prawa mieć krawędzi tnącej z tej strony ostrza, z jakiej je narysowałem. Bez sensu. Zrobiłem kardynalny błąd i Ex-pert, który jest ekspertem od noży i dla którego nóż jest świętością, zjechał mnie za to. Aż nie mogłem uwierzyć we własny błąd, że można walnąć takiego byka!

CHAOS: Możesz napisać nam więcej o owocnej współpracy na linii Prosiak - Ex-pert?

Prosiak: Pierwszy raz napisałem do Ex-perta, gdy chciałem wykorzystać tekst INKWIZYCJI na okładce "Prosiacka" nr 2. Tak się zaczęła wymiana listów. Uwielbiałem wtedy INKWIZYCJĘ: była tak inna od reszty kapel, tak zajebiście ciężka i transowa (hej, wydajcie w końcu kawałki z kasety demo!!!)... Jej drugą siłą były teksty Ex-perta. Nie podejmę się tu próby ich opisania, ale facet imponował mi swoją twórczością i do dziś go podziwiam, a ówczesne teksty ciągle mam w pamięci. Korespondencja z Ex-pertem była tak przyjemna i inspirująca, że nie mogło się z tego coś nie urodzić. Miał niesłychanie zaskakujące, celne, dosadne, wręcz graficzne pomysły. Podrzucał mi je, a ja ilustrowałem. Prezentowaliśmy to przeważnie w swoich zinach. Ex-pert byłby świetnym scenarzystą komiksowym, umie pisać i opowiadać obrazem.

CHAOS: Właśnie sobie czytam "Ósmą Czarę". Przy "Genesis" kolaborował nieodżałowany Marcin Kornak. "Genesis" nie był waszym jedynym projektem?

Prosiak: Nie. Sytuacja była podobna jak z Ex-pertem: korespondencja, przyjaźń, współpraca na bardzo wielu polach. Marcin był człowiekiem niesamowitym i wartościowym. Początkowo znałem go tylko z korespondencji i "scenowej" sławy. Bo przecież udzielał się w tylu miejscach, w zinach, pisał teksty dla kapel, robił ziny, słowem: aktywista. Gdy dowiedziałem się, że porusza się tylko na wózku, a listy pisze do mnie trzymając długopis w ustach, byłem w szoku. Złamał mój stereotyp myślenia o niepełnosprawnych. Potem poznaliśmy się na żywca, odpalałem mu fajki i długo gawędziliśmy na wszelkie tematy. Świetny gość. Miałem przyjemność zilustrować tomik jego poezji "O miłości i bogu – różnie". Podrzucał mi genialne pomysły na komiksy. Realizowałem je do "Kanalozy", "Nigdy Więcej", "Mamkły Mampazury", i oczywiście "Prosiacka". I Marcina, i Ex-perta, i wiele innych "gwiazd" undergroundu (jak Świnia), udało mi się namówić do wspólnego skromniutkiego przedsięwzięcia – "O Krzyżu". Ostatnimi laty nie mieliśmy kontaktu, ale bardzo brak mi poczucia, że Marcin gdzieś jest i zajmuje się milionem rzeczy.

CHAOS: No i koniecznie muszę cię zapytać o ten obraz, który wystawiłeś na sprzedaż na znanym portalu aukcyjnym... Część ludzi oburzyła się, że ośmieszasz ojca Rydzyka. Opowiedz nam dokładnie co się wydarzyło i jakie były reakcje? Nie szkoda ci było czasu na malowanie ojca dyrektora? Sprzedałeś w końcu ten obraz?

Prosiak: Ja wcale nie ośmieszyłem Ojca Tadeusza. Przeciwnie, wyniosłem go na ołtarze! :) Po prostu któregoś pięknego dnia, gdy u władzy byli obaj Kaczyńscy wraz z szarą eminencją ojcem Tadeuszem, postanowiłem to uwiecznić, bo wielcy malarze zawsze utrwalali wielkie postacie... :) Obraz był namalowany dla jaj i wystawiając go na Allegro, liczyłem, że kupi go jakiś znajomy za parę

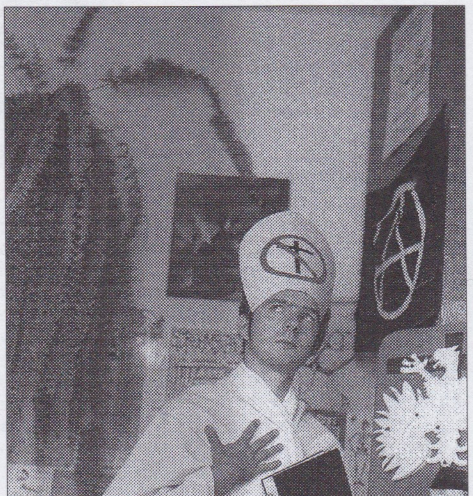

złociszy. Miałem po prostu wolne płótno i chwilę czasu. Tak zainteresowanie moim "arcydziełem", jak i rosnąca cena były dla mnie absolutnym zaskoczeniem. To był jakiś szał: ludzie podbijali cenę do kilku tysięcy, potem parunastu, parudziesięciu, w końcu kilkuset, aż zaczęły się miliony. W końcu licznik możliwej do wpisania kwoty w Allegro pękł. Dostawałem codziennie masę maili, zarówno od ludzi ubawionych akcją, jak i grożących mi ogniem piekielnym, lub obiciem mordy. Sprawą zainteresowały się media – gazety, radio, telewizja. W telewizorni (której do dziś nie posiadam) na temat obrazu wypowiadał się nawet śp. Starowieyski. Odrzucałem propozycje wywiadów, ujawnień się itp., bo mnie to nie interesowało. A ponieważ trolle zniszczyły mi aukcje podbijając cenę (ciekawe ile musiałbym zapłacić prowizji od "sprzedaży", która przecież by nie nastąpiła), zakończyłem ją przed czasem i musiałem wyjaśnić sprawę z ekipą Allegro. Wystawiłem obraz raz jeszcze z dostępem do aukcji tylko dla osób zaproszonych. Znalazło się ich kilkudziesięciu, ale gdy już miałem ich dane, a nie tylko nicka z lewego konta, nikt nie miał odwagi zalicytować obrazu. Sprzedał się jednak w ostatniej sekundzie w opcji "Kup teraz" za 6666,66 zł. :) Na forach Allegro grzmiało, zwłaszcza tych, gdzie artyści przez duże "A" odchodzili od zmysłów, że przecież lepiej by namalowali! Nawet było paru oszołomów, którzy to zrobili – na bezczela kopiowali mój obraz, wystawiali jeszcze mokre kopie, robili pocztówki etc. Biadolili, że to nie oni i zastanawiali się "a ciekawe czy zapłaci podatek". Dla tych wszystkich uprzejmych rodaków, którzy sami nic nie osiągnęli, ale muszą podstawić nogę bliźniemu, specjalnie z kupującym podpisaliśmy umowę i podatek został odprowadzony. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. :)

Myślę, że równie mocną, albo nawet mocniejszą stroną był jego opis. Dokonałem "poważnej" interpretacji i analizy artystyczno-teofilozoficznej, którą jedni zajarzyli jako joke, inni brali to na poważnie, jako adorację Rydzyka, a inni jako obrazę i potwarz. Cała akcja była dla mnie dużym zaskoczeniem, nie spodziewałem się takiego rozdmuchania sprawy. Za swój największy sukces uważam to, że dziełko było tak niejednoznaczne, że spowodowało ekstremalnie zróżnicowane reakcje.

CHAOS: Jak to się stało, że wystartowałeś jako kandydat niezależny na papieża? Co obiecywałeś swoim wyborcom i skąd pomysł na taki happening? Był jakiś odzew ze strony kościoła? Gdybyś zrobił taką akcję dzisiaj, to pewnie byłaby zadyma, protesty i egzorcyzmy, nie sądzisz?

Prosiak: To nie był happening, ani nic na większą skalę. Po prostu miałem pomysł, pstryknąłem sobie w domu foto z papieską czapką z tektury i owinięty w prześcieradło i zrobiłem z tego plakat wyborczy. Ukazał się tylko w „Prosiacku", a wydaje mi się, że w dużo późniejszym „Prosiacku X" były gorsze rzeczy, to znaczy cięższego kalibru, i jakoś nikt mnie nie spalił. Wydaje mi się, że jednak te 20 lat temu bunt przeciwko Kościołowi i jego krytyka były czymś odważniejszym, czymś nowym. Dziś już tak nie szokuje krytykowanie Kościoła, po tych wszystkich aferach pedofilskich, salezjańskich, aferach ze zlizywaniem śmietanki z kolan księdza, z przekrętami finansowymi, itd. W tych czasach swoje zrobił internet, bo nie odpuści nikomu żadnego potknięcia. Swoje zrobiły również kapele takie jak Behemot z darciem Biblii na scenie itd. Wielu ludzi oswoiło się z takimi akcjami i przyjęło do wiadomości, że Kościół nie jest świętością. Ośmieliło się chociażby myśleć inaczej, nie z pozycji klęczącej. Przy materiałach znajdowanych w necie, wydaje mi się, że moje stare komiksy dziś by nikogo nie obraziły ani nie zaszokowały. Są kulturalne i inteligenckie, he, he. Nikomu nie chciałoby się szukać w kieszeni zapałek, aby podpalić stos.

CHAOS: Zdarzyło ci się narysować komiks do czyjegoś scenariusza, napisanego specjalnie dla ciebie? Dałbyś radę pracować jako rysownik, dajmy na to w takim Marvelu, i rysować historie pod czyjeś dyktando, trzymając się wytycznych i mieszcząc się w zaplanowanym czasie? Wyobrażasz sobie taką pracę?

Prosiak: Zdarzyło się rysować do krótkich pomysłów Ex-perta, Martina Edena, czy młodszych załogantów. Nie były to typowe scenariusze, ale raczej pomysły, które musiałem sam rozpisać, rozrysować. Jednak w zdecydowanej większości wolę pracować sam, zwłaszcza przy dłuższych formach. Myślę, że prędzej ja napiszę dla kogoś scenariusz, niż sam przyjmę jakiś do narysowania.

I wcale nie odrzucam tej myśli, ponieważ są rysownicy lepsi ode mnie, a ja pewnie nie zdążę zrealizować swoich wszystkich pomysłów. Nawet miałem taką propozycję, aby dokończyć serię "Cierń w Koronie". Musiałbym tylko napisać scenariusz na resztę tomów, a wydawca znajdzie mi rysownika... Nie wykluczam więc, że kiedyś odstąpię jakiś scenariusz innemu rysownikowi. Nie sądzę, aby miało się stać odwrotnie. I niekoniecznie będzie to "Cierń w Koronie".

Raczej nie chciałbym tworzyć w czymś takim jak Marvel. Cenię sobie niezależność tworzenia. Komiks to bardziej dla mnie literatura, którą tworzy jeden, dwóch autorów, a nie cały sztab ludzi jak przy filmie.

CHAOS: A śledzisz polski rynek komiksowy? Jesteś zapraszany na jakieś konwenty komiksu czy raczej jesteś postrzegany jako trzecioobiegowy, punkowy komiksiarz? Myślisz, że mamy w Polsce utalentowanych rysowników, którzy mają szanse wyjść ze swoimi pracami do światowego czytelnika? Nikodem Cabała opublikował "Biocosmosis" na łamach kultowego pisma "Heavy Metal" - widziałeś ten komiks?

Prosiak: Nie śledzę rynku, średnio się orientuję. Na pewno mamy szansę, bo w Polsce wcale nie mamy gorszych artystów niż ci na Zachodzie. Jest wielu znakomitych rysowników. To pewnie kwestia marketingu albo własnej walki o wypromowanie swojego nazwiska, własna ciężka harówa. Nie znam się, więc nie będę się wypowiadać. "Biocosmosis" zobaczyłem przed chwilą, bo sprawdziłem w necie. :)

CHAOS: Oprócz rysowania, wydawania swoich komiksów, malowania ilustracji i obrazów, zajmujesz się również poezją... W pierwszym "Prosiacku" było twoje opowiadanie, ale opublikowałeś też kilka tomików własnych wierszy pod pseudonimem Lucy Fear. O czym to były wiersze? To były takie tomiki "całościowe" czy raczej zbiór luźnych, zebranych do kupy wierszy? Jaki był odzew na twoją poezję?

Prosiak: Ha, ha, ha, nieee, nie jestem poetą. Przez parę chwil próbowałem sił, czy raczej eksperymentowałem, na polu literackim. Wiersze pisałem, bo chciałem spróbować odmalować słowami jakieś klimaty, nastroje, obrazy, wizje. To była jednorazowa akcja i raczej nie będę do tego wracać. Wydałem sobie (szczyt marzeń każdego grafomana) 5 tomików wierszydeł. Pierwszy to jakieś zebrane do kupy różne teksty. Następne były uporządkowane z grubsza wg. klimatów: industrialno-miejski (dziś chyba byśmy powiedzieli urban exploration), post-apokaliptyczny, chyba leśny... Nie pamiętam. Odzew chyba raczej miałki, więc nie ma o czym gadać. Każdy coś w życiu pisał, tylko nie każdy to wydawał. :)

CHAOS: Czym były twoje wydawnictwa o nazwach "Mikrobrazy" i "Smutna historia o pewnym świecie"?

Prosiak: To były takie małe autorskie książeczki z grafikami. "Smutna" miała format A8, "Mikrobrazy" chyba A10 – można sobie poskładać odpowiednio kartkę, by sprawdzić jakie to małe. Mniejszych nie mogłem już zrobić, bo zszywka nie miałaby się o co zaczepić. "Smutna historia" była w sumie taką opowieścią bez słów – każdy kolejny kadr to powiększenie poprzedniego. A "Mikrobrazy", których ukazało się 5, zawierały wycięte z abstrakcyjnych kleksów, plam małe graficzki, które po niewielkiej korekcie tuszem zmieniałem w portrety, pejzaże, dziwne obrazy. Dodatkowo, podobnie jak "Luzjuba Urłałcza", miały ręcznie robione okładki, a na ostatniej stronie dodawałem kolorowy odcisk palca, bo niewiele więcej mogło się zmieścić na stronie. Te pozycje były malutkie, więc i tanie i wygodne do powielania, a poszerzały ofertę wydawniczą Prosiacek Publishing, he, he. Niemniej bardzo je sobie cenię i uważam, że były to fajne i ciekawe rzeczy.

CHAOS: Przypomnij nam historię z wydaniem zina "40 i 4". Pamiętam, że była z tego niezła draka na scenie niezależnej! Wszystkie wywiady i materiały w tym zinie były kompletnie zmyślone! Dlaczego to zrobiłeś, co chciałeś przez to osiągnąć i co chciałeś udowodnić scenie hc/punk? Załoganci nie chcieli cię zlinczować, za to, że zrobiłeś wielu z nich w jajo?

Prosiak: Scena to nie były wyłącznie ziny na wysokim poziomie, jak "QQRYQ", "Nikt Nic Nie Wie" czy "Pasażer". To był także zalew pismaków na kiepskim poziomie, robionych przez ludzi zainteresowanych tylko swoją osobą, wysyłających ten sam zestaw pytań do różnych kapel, wysyłających prośby o komiksy, ilustracje, artykuły; którzy nic od siebie nie dają, ale wszystko chcą dostać. A najlepiej, żeby im jeszcze skleić tego zina. Spotykałem się z takimi prośbami bardzo często. Mnóstwo fatalnych pism, zespołów, no i niestety niezbyt zdolnych ludzi, którzy chcieli coś robić, a nie mieli ku temu predyspozycji.

Ale niestety to robili. Chcieliśmy zatem stworzyć zina na bardzo wysokim poziomie, którego niby zrobili debiutanci. Żeby pokazać, że jak się chce, to można wzbić się ponad ten cały banał. Z tą różnicą, że wszystko będzie wymyślone ku chwale sceny hc/punk. Bo drugą sprawą był fakt, iż bardzo dużo ludzi przyjmowało wszystko co związane ze sceną bezkrytycznie. Miałem wrażenie, że ludzie tylko czytają, łykają wszystko jak leci i zapominają. Nie wiem czy byliśmy jedynym fanzinem, w którym informacje były, delikatnie mówiąc, naciągane i trochę ubarwione, bo nikt tego nie potrafił zweryfikować, podobnie jak i w wielu innych fanzinach. Można się też zastanowić dlaczego nikomu nie zaświeciła się żarówka w głowie na cuda w "40 i 4". Ale fanzin miał zaangażowane materiały, jak przykazała scena. A ta stawała się hermetyczna i zamiast wychodzić z przekazem na zewnątrz, mówiła do ludzi, którzy i tak już o tym wiedzą (wege, ekologia, antynazi, antykler itd). Do samych siebie. Więc jaki był sens wydawania kolejnych tytułów, marnowania kolejnych ryz papieru z drzew, o które podobno każdy zajadle walczył? Tak więc "40 i 4" nie powstało tylko po to, żeby sobie zadrwić ze sceny, dla samego żartu. Miało jakiś tam sens, ale czy przestanie odniosło jakikolwiek sukces, to już inna bajka.

CHAOS: Padło pytanie Pabla o zinka, tzw. świnkę minkę, "40 i 4". Jako młody, entuzjastycznie podchodzący do raczkującej, bujnie rozwijającej się sceny niezależnej byłem jedną z ofiar tego dowcipu. Nie powiem, poczułem się wtedy bardzo smutno... Nie uważasz, że zrobiliście entuzjastom także krzywdę?
Prosiak: Nie wiem skąd to oburzenie, że krzywda się stała. Czy szarpnęliśmy się na większe świętości, niż te, na które szarpał się każdy punkowiec? Chcemy krytykować rzeczywistość, ale najlepiej, żeby nikt nas nie krytykował. Ludzie związani ze sceną wielokrotnie naruszali dotychczasowe tematy tabu, ale dla niektórych tematem tabu była sama scena.

CHAOS: W 1994 roku zdobyłeś główną nagrodę w krakowskim konkursie na komiks inspirowany literaturą - ty wziąłeś na warsztat "Dusiołka" Leśmiana - była satysfakcja? Były jakieś szanse, żeby odcinać od tego jakieś kupony w przyszłości?
Prosiak: Pewnie, satysfakcja była. A szanse to ja miałem często, tak jak z Rydzykiem, gdy mogłem iść do telewizji, do radia, udzielić wywiadu dla gazety. Zainteresowanie było i media zabiegały o to. Może trzeba było kuć żelazo póki gorące? Tylko, że ja nie jestem zainteresowany odcinaniem kuponów. To dobre dla celebrytów i gwiazd jednego sezonu. Robię coś dla siebie i to w momencie, gdy mnie to interesuje. Potem biorę się za coś innego, nie rozdmuchuję tego, co było. Nawet jeśli to sukces – to ok, był, a teraz czas na kolejny krok. Być może coś na tym tracę.

CHAOS: No i kiedy już wszyscy byli przekonani, że zostałeś poetą i prawdziwym artystą, ty wydałeś na maksa punkowy komiks "Ratboy" - historię pół szczura, pół punka, który gania się z policją całego kraju i wodzi za nos szychy z samej "wierchuszki" ówczesnego systemu... Dlaczego szczur? Znowu atakujesz biedny kościół, który w 1999 roku już dobrze umocnił swoją pozycję w zauroczonym kapitalizmem polskim społeczeństwie... Dla mnie, w tym komiksie, są bardzo dobrze oddane realia tamtych czasów... Jak na ten komiks patrzysz z perspektywy 15 lat? Narysowałbyś dzisiaj coś takiego czy raczej byłby brak inspiracji?
Prosiak: Miałem bardzo dużo pomysłów na kolejne części "Ratboya". Był już projekt, żeby cofnąć się do jego dzieciństwa, pokazać eksperymenty wojskowe, w wyniku których został stworzony. Był pomysł na część bardziej ekologiczną – gdy z katowickiej rzeki-ścieku, Rawy, wychodzą genetyczne mutanty, czyli jakieś utopce. I tak dalej... :) Na pewno dziś również nie brakowałoby pomysłów na scenariusze. Świat się kręci, a głupota i władza nie ginie. Jednak wszystko rozbija się o jedną tylko rzecz: brak czasu. Niestety muszę wybierać co dalej robię, co tworzę, w co się angażuję. Bardzo lubię Ratboya i chętnie pociągnąłbym jego przygody, ale niestety nie mam czasu.
Myślę, że te stare "Ratboye" są całkiem na czasie, choć realia trochę się zmieniły. Ratboy i dziś miałby co robić.
A szczur dlatego, że nie ma bardziej punkowego zwierzęcia. :) Kto nie miał szczura, ten nie był prawdziwym punkiem (więc ja miałem dwa, he, he).

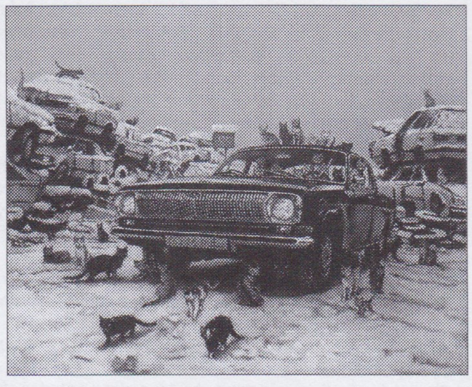

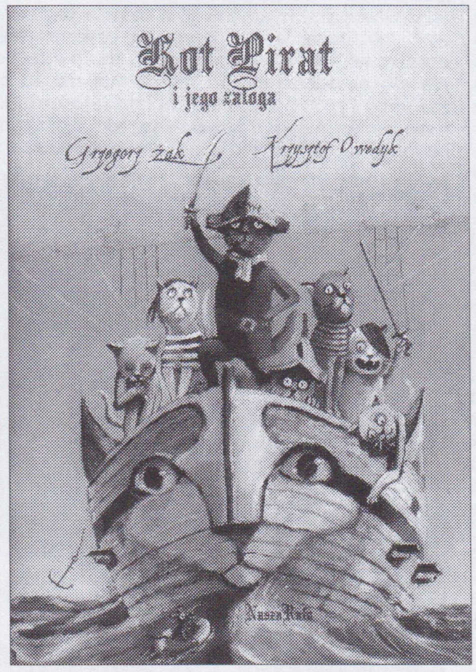

Początkowo chciałem wymyślić jakiegoś polskiego anty-superbohatera. Miał mieć supermoce, miał latać, ale akcja miała się dziać koniecznie w polskiej rzeczywistości. Wtedy zacząłem kupować i czytać komiksy TM-Semic, aby się natchnąć, załapać klimat. Myślałem, że te amerykańskie komiksy to totalny chłam graficznie i treściwo. Ale wiele z nich pozytywnie mnie zaskoczyło. I o ile superbohaterowie nie zawładnęli moim sercem, to Batmana i Punishera bardzo polubiłem. A ponieważ to akurat bohaterowie ludzcy, bez mocy, ze swoimi słabościami, to i pomysł na mojego Ratboya (wcześniej Ratmana) zaczął ewoluować w stronę bardziej ludzką. Supermoce zastąpiłem gadżetami (np. smrodem w dezodorancie, czy pistoletem na szambo).

CHAOS: W twoich komiksach pojawiali się twoi znajomi, prawda? Jak reagowali? Wiedzieli, że się pojawią czy byli kompletnie zaskoczeni? A ile z tych twoich "załoganckich" komiksów to "najprawdziwsza" prawda? Są w nich wątki autobiograficzne?
Prosiak: W „Genesis", jako rodzice Szejtka pojawiają się Olga z Łodzi i Łysy z Kozienic. Co mieli zrobić... musieli się cieszyć! W nowym komiksie jest Tymek, kumpel z Katowic. Podsyłał mi sporo metalowej muzy i był trochę ekspertem w tych klimatach, gdy miałem pytania techniczne – no i występuje jako techniczny zespołu. Nigdy nikomu nie mówię, że zamierzam go narysować. Ot, mają niespodziankę. Owszem, często znajomi mnie inspirują do stworzenia jakiejś postaci – wyglądem, wypowiedziami, charakterem. Ale umieszczam ich jako postaci raczej drugo- a nawet trzecioplanowe. Jako „special guests". No owszem, gdzieś tam na pojedynczych rysunkach można znaleźć znajome twarze, ale jakoś nie przywiązuję do tego specjalnej uwagi.
Wątki autobiograficzne – „Prosiacek 5" to jeden depresyjny wątek autobiograficzny... :) No może nie całkowicie autobiograficzny, ale na pewno bardzo osobisty.
W komiksie, nad którym pracuję, bardzo często przedstawiam sceny żywcem wzięte z życia swojego lub znajomych. Czasem tylko nieznacznie przystosowane do nowych bohaterów i nowego miejsca akcji. Życie to nieustanna inspiracja, trzeba mieć tylko oczy szeroko otwarte. I akurat rysować komiks, w którym można tego użyć.
I chyba podobnie było z załoganckimi komiksami: coś mogło być zainspirowane prawdziwymi zdarzeniami, ale ja nie jestem dokumentalistą, więc przerabiałem to tak, by fajnie pasowało do historyjki komiksowej. Czasem trzeba było przerobić więcej, czasem mniej. Wszystko o czym rysowałem to prawda, ale niekoniecznie „najprawdziwsza"...

CHAOS: Wyczytałem w necie, że jesteś także autorem ilustracji do książki dla dzieci "Kot Pirat i jego załoga". Skąd taka propozycja? O czym to bajka - dam radę przebrnąć, hehehehe?
Prosiak: Wyczaił mnie w jakiś sposób Grzesiek Żak – poeta, pisarz, satyryk, kabareciarz. Bardzo fajny, miły człowiek. Miał gotowy tekst o kotach, wiedział, że jestem kociarzem i czuł, że wyjdzie coś fajnego z tej współpracy. No i wyszło! Ja się zgodziłem, bo lubię koty, a tekst był zabawny, wierszowany, o pirackiej ekipie kotów, dla dzieci, w sam raz do zilustrowania. I o ile dasz spokojnie radę przebrnąć przez tekst, a nawet ilustracje, to jeśli chodzi o stronę edytorską, trafi cię szlag! Bo wydawca całkowicie to położył. Jedna wielka tragedia. Facet, który wyłożył na to kasę, nie wyłożył już jej na profesjonalny skład. Uznał, że jest to za drogie, a na tyle proste, że sam da radę. Nie robił tego nigdy wcześniej i musiałem mu tłumaczyć czemu dostarczam prace w 300 dpi i co to jest CMYK, a co RGB. Jak słyszysz pytania o coś tak podstawowego, to już wiesz, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Szkoda, bo materiał miał potencjał, ale został zaprzepaszczony. Miała być kolejna książeczka, ale ja, niespotykanie cierpliwy człowiek, po którymś telefonie z rzędu i wypytywaniem o edycję pdf-ów, tak się wkurwiłem, że pokłóciłem się z gościem i zakończyłem współpracę.

CHAOS: Czemu kot, a nie pies w domu urzęduje? Czy dobre mam wrażenie, że jesteście psychofanami kotów, co przekłada się też na twoją twórczość?
Prosiak: My chyba nie wybraliśmy sobie kotów, tylko koty wybrały nas. Kotka zjawiła się, gdy nie mieliśmy na mieszkaniu kota. Wzięła się nie wiadomo skąd

i jako maluch czepiła się nogi mojego szwagra. On ją wystawił za drzwi, bo po co mu kot. A ta przesiedziała całą noc na drzewie przy drzwiach domu i rano od nowa to samo. Ładuje się do domu jak do siebie. Więc przywiózł ją nam.

Kocur z kolei to przybłęda ze śmietnika, który sobie nas upatrzył i najpierw tylko przychodził okazyjnie na jedzenie, potem na przypadkowe noclegi, coraz częstsze, potem trzeba było mu pomóc u weterynarza, raz, drugi, a potem się przeprowadzaliśmy, więc wzięliśmy go ze sobą.

Równie dobrze mógłby być pies, bo lubię zwierzęta, ale na coś trzeba było się zdecydować. Tzn. koty podjęły decyzję. :) Ale jak pomyślę, że miałbym wychodzić z psem... to kot zwycięża lepszą ofertą. I wbrew powszechnym stereotypom, można zbudować z nimi relację. Lubimy się z tymi bydlętami!

Przekłada się to na twórczość w ten sposób, że kiedyś żona mi powiedziała "namaluj mi kotka". No i namalowałem obraz, miniaturę z kotem. Takim śmiesznym, przerysowanym, komiksowym trochę. Tak się zaczęło moje malowanie kotów. Tych obrazów tyle się kiedyś zebrało, że założyłem bloga (obecnie w zawieszeniu). Publikowałem obrazy w "Kocich Sprawach". W nowym komiksie bohaterowie będą mieć kota. Mam też pomysł na scenariusz poważnego komiksu, gdzie kot byłby głównym bohaterem.

CHAOS: A jak wygląda generalnie twoja praca nad komiksem? Najpierw wymyślasz historię, rozpisujesz ją na kadry, dialogi, opisujesz szczegółowo bohaterów? Potem plan ogólny, rozrysowanie wszystkiego na brudno, potem ołówek, na końcu nakładasz tusz? Kserujesz te swoje szkice i na nie nakładasz tusz? Teksty do dymków wpisujesz ręcznie? Czego używasz do rysowania? Opowiedz nam jak to wygląda u ciebie od strony technicznej...

Prosiak: Opowiem ci jak wygląda to teraz, bo w przeszłości było różnie. Ale wypracowałem sobie jakieś normy, kanony, które ułatwiają mi tworzenie komiksu. Więc najpierw oczywiście jest pomysł. Pomysł noszę w głowie i on tam pozostaje, póki nie ewoluuje, póki nie zacznie w jakiś sposób żyć, obrastać w jakieś ciekawe rozwiązania. Gdy jest już tego za dużo, by to spamiętać, wylewam wszystko na papier (a ostatnio na kompa). Powstaje najpierw taki niby-konspekt. W pliku tekstowym. Szkielet całego komiksu, zarys akcji, bohaterowie. Potem to się również coraz bardziej rozrasta. Trzeba wymyślić bohaterów tak, by każdego dobrze poznać, jak realną osobę. Żeby było wiadomo, jak kto się zachowa w jakiej sytuacji, jakie byłyby jego odzywki, reakcja, zainteresowania, światopogląd. To zazwyczaj u mnie nie wygląda w ten sposób, że siadam i wymyślam, tylko czekam, aż dana postać zacznie sobie żyć w mojej wyobraźni. Trzeba ją poznać jak prawdziwego znajomego.

Później dopiero zaczynam pisać na papierze scenariusz, bo na papierze fizycznie mi wygodniej, bo mogę pisać wszędzie i bez prądu. Rozpisuję sobie każdą kolejną scenę z tego konspektu stworzonego na kompie. Rozpisuję ją na dialogi, piszę co kto robi. Ciągle jest to pisanie bez rysowania. Ma to trochę wygląd sztuki teatralnej. Potem poprawiam dialogi. Potem czytam i poprawiam raz jeszcze. Potem zmieniam, poprawiam i poprawiam i zmieniam... :)

Dopiero, gdy dialogi dość dobrze brzmią, a scena dobrze układa mi się w wyobraźni, rozrysowuję to ołówkiem. Bardzo prosto i umownie, żeby tylko pokazać jak mają stanąć moi bohaterowie, co robią, poukładać kadry, w jakim kadrze co ma się dziać i jaki dialog do jakiego kadru.

Potem taką scenę z np. kilkudziesięcioma kadrami rozrysowuję na plansze. Dobieram układ kadrów na planszę. Ciągle jest to tylko na brudno. Gdy wszystko w miarę gra, można się wziąć za szkicowanie.

Szkicuję na zwykłym papierze ksero. Korzystam z milionów zdjęć, które sobie w trakcie powstawania komiksu ściągam z netu, bądź sam robię. Taka dokumentacja techniczna, żeby było wiadomo co jak wygląda. Wcześniej muszę też mieć opracowany wygląd bohaterów, łącznie z ich ubraniem, żeby po kilkunastu stronach nie pomylić się i nie zacząć rysować np. kieszonki z innej strony kurtki niż dotychczas.

A jak mam gotowy szkic, to korzystam z mojego lightboxa, czyli szklanego stolika z Ikei z lampką pod blatem i na bazie tego szkicu wykonuję kolejny, ostateczny. Ten szkic dopiero zostanie pokryty tuszem.

Tekst wpisuję ręcznie. Robiąc lineart korzystam z japońskich cienkopisów Pigma Micron (kiedyś używałem rapidografów), a potem dodaję cienie i walory pędzelkami, za pomocą czarnego tuszu i białej ekoliny.

Kiedyś ktoś mi powiedział, że to oldschoolowe, że tekst łatwiej można edytować w kompie, że można użyć niebieskiej kredki, której po zeskanowaniu obrazka nie trzeba wygumowywać itd. To prawda. Ale równie dobrze można spytać malarza po co mu farby i płótno skoro jest tablet i fotoszop. Dla mnie komiks musi być przede wszystkim skończoną na papierze pracą graficzną. Nie półproduktem, który zostanie dokończony w komputerze. Poza tym nie cierpię ani komputerowych ramek kadrów, ani dymków, ani kolorów. Dla mnie rysunek komiksowy musi żyć, musi mieć kreski i plamy kładzione ręką człowieka. Różnica jest ogromna. Rysunek musi być jak punk rock, a nie kurwa muzyka z banku sampli! :)

CHAOS: W roku 2003 wystartowałeś z dość profesjonalnym komiksem "Cierń w koronie", wydanym przez Kulturę Gniewu. To historia dość zakręcona, napakowana mistycyzmem, halucynacjami i omamami, w sumie dość oniryczny klimat... O czym więc jest ta historia tak naprawdę? Jak zwykle u ciebie pojawiają się w komiksie wątki religijne... No i zapowiadany był ten komiks na osiem części a wyszły tylko dwa zeszyty...

Prosiak: Historia powstała na podstawie wielogodzinnych sesji RPG, jakie organizowałem dla kumpli. To był papierowy, autorski system – wtajemniczeni wiedzą o co chodzi. Temat był tak obszerny, a historia tak wielowątkowa, że stało się to jedną z przyczyn śmierci tegoż komiksu. Błąd zrobiłem na samym początku, że nie stworzyłem scenariusza od a do z. Teraz już tak robię, ale dopiero teraz. Przy "Cierniu w koronie" pracowałem punkowym systemem "jakoś to będzie", podobnie jak w przypadku "Ósmej czary". Wtedy scenariusz się pisał ze sceny na scenę, a jednocześnie na bieżąco to rysowałem. W przypadku "Czary" jednak to wypaliło, a tutaj mnie pogrążyło. "Czara" to jeden album, wiedziałem o czym ma być. Tutaj miało być ich osiem.

To była fajna historia, bardzo ciekawa, choć ciężko powiedzieć słowami o czym. Na pewno próbowałbym dotrzeć głęboko do czytelnika, mimo początkowej "sensacyjnej" otoczki. Im dalej, tym dziwniejsze i ciekawsze rzeczy by się działy. Gdy pisałem scenariusz do trzeciego tomu, byłem już tak wymęczony tempem prac nad dwoma poprzednimi, że nie wychodziło mi to zbyt dobrze. Poza tym ciągle miałem wrażenie, że "to już było". Akurat ukazała się książka Dana Browna ("Kod Leonarda da Vinci"), zaczął się boom na templariuszy, pochodzenie Jezusa i tego typu sprawy. Poza tym milion ton fascynujących danych, informacji, zagadek, z którymi można było zaznajamiać się podczas kolejnych sesji RPG, po przeniesieniu do komiksu, zabijały go. Komiks zaczynał się robić przegadany.

Jak dziś patrzę na te dwa tomy, to nie mogę uwierzyć jak wiele używałem linijki, rastrów, gotowych napisów z kompa. To mnie strasznie męczyło, chyba nawet to widać w obrazkach, zero luzu. I ten rysunek realistyczny. Ciągłe odrysowywanie np. architektury ze zdjęć. Mordęga nie z tej ziemi. Przestałem wierzyć w ten komiks i w którymś momencie pisania scenariusza do trójki, zaciąłem się i nie umiałem już zaskoczyć dalej.

CHAOS: Po "Cierniu w koronie" jakby troszkę przystopowałeś z rysowaniem komiksów... Owszem, malowałeś obrazy, ale komiksy robiłeś raczej sporadycznie. Czułeś się wypalony, zmęczony, zabrakło weny, czy może przygotowywałeś się do czegoś większego? Jakie głównie malujesz obrazy? Sprzedajesz je, obdzielasz znajomych czy zostawiasz sobie?

Prosiak: Dokładnie tak, jak mówisz: wypalony, zmęczony, zniechęcony. Oprócz trudności z samym komiksem, nie sprzyjały mi również warunki. Praca nad komiksem gdy już jestem po etatowej pracy, brak choćby zorganizowanego, odizolowanego kąta do rysowania, marna motywacja finansowa i inne rzeczy, sprawiały, że ciągle było mi pod górkę. I tak naprawdę sam nie wiedziałem co mam dalej robić ze swoją twórczością. Nie wiedziałem w jakim kierunku się udać – bo scena dla mnie trochę się skończyła, czy może już nie wystarczała, a mainstream też nie był miejscem dla mnie. Rysować jak kiedyś, satyrycznie, czy realistycznie? Długie komiksy, czy shorty? O czym? Szukałem miejsca dla siebie i zastanawiałem się co ja chcę rysować i o czym opowiadać, żeby to nie była dla mnie orka. Miałem długą przerwę w rysowaniu, którą Kultura Gniewu zagospodarowała wznowieniami moich starych komiksów.

A ja w tym czasie malowałem obrazy, co dawało lepszą i szybszą kasę niż rysowanie albumu komiksowego przez co najmniej rok, aby dostać za to 3, 4 czy 5 koła. Poza tym, obraz zaczynasz i kończysz w kilka dni i uwalniasz się od niego. Przy "Cierniu w koronie" czułem się zniewolony już po 2 tomach, a gdzie tu rysowanie tego i uwiązanie do jednego tytułu przez kolejne lata.

Więc przynajmniej nauczyłem się trochę malować, co nawet sprawia mi przyjemność. Ale też tylko wtedy, gdy nie robię tego zbyt często i zbyt dużo. I przede wszystkim, gdy NIE MUSZĘ tego robić, tylko gdy chcę.
To obrazy głównie z kotami, ale nie są to kocie portrety. Koty są malowane z humorem, stoją na dwóch nogach i pokazane są trochę jak ludzie. Na szrocie, na śmietniku, na pikniku, w samochodzie, na sitce, w lesie... Głównie sprzedaję, sam sobie prawie nic nie zostawiam. W tej chwili rzadko maluję, bo znowu rysuję komiks. :)

CHAOS: Od paru lat twoje komiksy wznawia Kultura Gniewu - ukazały się wszystkie "Prosiacki" w jednym - nawet ten 9, który nigdy nie wyszedł. Pamiętasz dlaczego on się nie ukazał samodzielnie? - No i "Prosiacek nr 10" czyli premierowe komiksy, które wciąż obracają się w klimatach subkulturowo-wolnościowych... Po wielu latach znów atakujesz nacjonalistów, polityków, kościół, konsumpcjonizm, media... Czyli wygląda na to, że od lat 90-tych nic w naszym kraju się nie zmieniło? Poza tym wydaje mi się, że "Prosiacek X" nie jest w sumie zbyt znany w środowisku hc/punk, choć jesteś tu rysownikiem kultowym. W sumie Kultura Gniewu nie jest wydawnictwem stricte-punkowym, choć jest firmą niezależną - dlatego właśnie oni? Czy to była jedyna opcja?
Prosiak: Jak głosi legenda, Kultura Gniewu powstała po to, by wydawać komiksy Pały i Prosiaka... :) Kultura dlatego, że to Jarek z Kultury zgłosił się do mnie pierwszy. To "stary" hardkorowiec, straight edge, vege, teraz gitara w CYMEON X, więc jest "swojakiem". O niektórych rzeczach nie musimy mówić, by się rozumieć. Nie mam jakiejś umowy na wydawanie kolejnych komiksów w Kulturze. Mam komiks, to im go prezentuję, a oni mogą go chcieć... :) Inne wydawnictwa nie zwracały się do mnie, może dlatego, że myślą, że jestem związany na stałe z KG. Musiałyby przebić ofertę KG, która również jest ofertą współpracy z fajnymi ludźmi.
"Prosiacek 9" to, jak już wspominałem, tylko kwestia numeracji. Tak można traktować zbiór "Prosiacek 1990-2010". Natomiast "Prosiacek X" to całkowicie nowy materiał, powrót po paru ładnych latach nie rysowania komiksów. Niektóre scenariusze z "X" nie są jednak nowe, bo przeleżały w szufladzie wiele lat. Postanowiłem je zrealizować z trzech powodów. Po pierwsze było mi już wstyd, że jedyne pozycje Prosiaka jakie się ukazują to wznowienia. Po drugie chciałem się sprawdzić i rozkręcić rysunkowo. Już wtedy miałem plany na rysowanie nowych komiksów. Więc robiąc "Prosiacek X" przetestowałem sobie przy okazji rysunek, narzędzia, techniki.
No i po trzecie – w kraju zmieniło się wiele, ale nigdy nie będzie tak, że nie będzie czego krytykować. Jedne problemy zamieniły się na inne. Źródła pozostały takie same, a głupota, władza, przemoc są nieskończone i zawsze mogą być natchnieniem.

CHAOS: Zadowolony jesteś ze współpracy z Jarkiem z Kultury Gniewu?
Prosiak: Jestem zadowolony ze współpracy z całą Świętą Trójcą KG, czyli Jarkiem, Szymonem i Pawłem. Nigdy mnie nie zawiedli, spoko jako wydawcy i po prostu jako ludzie.

CHAOS: Czujesz się jeszcze częścią sceny hardcore-punk? Pojawiasz się czasami na jakichś koncertach? Utrzymujesz bliskie kontakty z punkami, z którymi współpracowałeś i przyjaźniłeś się w latach 90-tych, kiedy ta scena niezależna nabierała największego rozpędu? Śledzisz to, co dzieje się na polskiej i ogólnoświatowej scenie DIY?
Prosiak: Przyznaję, że nie śledzę sceny DIY. Na koncertach bywam bardzo sporadycznie. Miałem kontakt z paroma osobami z tamtych czasów. Od niedawna jestem na FB, więc teraz odświeżyłem sporo dawnych znajomości (czasem i 20 lat bez kontaktu!) i są to bardzo, ale to bardzo miłe i serdeczne powitania.

CHAOS: A jak wygląda u ciebie słuchanie muzyki? Co u ciebie leci na co dzień? Czego lubisz posłuchać podczas rysowania - coś w spokojnym klimacie i stonowanego czy raczej preferujesz coś ostrzejszego i z przytupem? Wpadają ci w ucho jakieś nowe zespoły ze sceny DIY czy raczej pozostajesz przy ulubionych zespołach z przeszłości?
Prosiak: Dźwięki to temat-rzeka, bo zawsze gdy rysuję, maluję, piszę, coś musi lecieć w tle. I w zależności, co robię, odpowiednio dobieram muzę, albo np. słuchowiska, czy audiobooki.
Gdy piszę scenariusz i muszę skupić się na pisanym słowie, to tych słów nie może być w muzycznym tle. Wtedy zazwyczaj leci u mnie coś instrumentalnego, przeważnie dark ambient.
Podczas szkicowania już różnie, może to być coś mocniejszego. Lubię wracać do starych kapel lat 80 i 90, może to być post-punk, może być punk, hc, ebm, industrial, metal... Z nowych polskich kapel lubię np. WIEŻE FABRYK, czy SCHRÖTTERSBURG, a z nowych płyt starych kapel - VARIETE, MADE IN POLAND. Ale równie dobrze odprężam się i fajnie się pracuje przy ROYKSOPP albo THIEVERY CORPORATION. Bez muzyki nie mógłbym tworzyć. Lubię posłuchać SKALDÓW, a zaraz potem AMEBIXA i CARPATHIAN FOREST (swoją drogą na "We Are Going To Hell For This" mają identyczne brzmienie jak ARMIA na "Legendzie"). A jak już kładę tusz na szkic, to przeważnie słucham audiobooków i słuchowisk. Wtedy nie muszę się już skupiać na treści obrazka i mogę słuchać gadaniny. Ostatnio wysłuchałem "Czarnobylską modlitwę" Swietłany Aleksiejewicz – świetne i wstrząsające, polecam.

CHAOS: Czy rysownik komiksów w Polsce ma możliwość utrzymania się z tego rysowania i dlaczego nie? Artyści komiksowi z Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, nie wspominając o Stanach, żyją z komiksu i zarabiają bardzo często sporo pieniędzy... Jak myślisz, dlaczego u nas jest to niemożliwe?
Prosiak: Nie wiem, wszyscy nad tym ubolewamy, od rysowników, przez scenarzystów po wydawnictwa... Nie wiem czy to kwestia tylko innych nakładów. Dlaczego za tę samą pracę na zmywaku inną kasę dostaniesz w UK, a inną w Polsce?
Nie znam się na rynku komiksowym, ja tu panie tylko rysuję. I to w dodatku nie dla kasy, bo pożegnałem się z takim podejściem. Przynajmniej w naszym mocarstwie. Trzeba mieć po prostu pasję albo być naiwnym.

CHAOS: A tak w ogóle to czym się zajmujesz zawodowo, jeśli można wiedzieć? I dlaczego przeprowadziłeś się z Katowic do Wrocławia - z powodu pracy czy może dlatego, że Wrocław jest sympatyczniejszym miastem niż zadymione Katowice?
Prosiak: Zawodowo kontroluję jakość i jestem audytorem procesu w dużej, międzynarodowej firmie branży automotive. Przyszedłem tutaj na kilka miesięcy, tak sobie obiecywałem, ale nie wiem kiedy minął kolejny rok... Do Wrocławia trafiłem za miłością, czyli za żoną. Wrocław jest fajny, ale serce zostało na Ślunsku. Bywam tam zresztą co jakiś czas u brata, albo u kolegów. Już nie jest zadymiony, wręcz przeciwnie, sporo się zmieniło - jest tam bardzo dużo zieleni.
Wrocław ma wiele świetnych miejsc, fascynującą historię, sporo się tu dzieje i jest blisko w moje ulubione góry – Sowie, Stołowe i do Kotliny Kłodzkiej, gdzie lubię się szlajać.

CHAOS: Pracujesz w dziale audytu na produkcji w korpo. Sam też pracowałem w podobnej branży. Jak Prosiaczek odnajduje się w korponowomowie, wśród korposzczurów?
Prosiak: Moja praca jest o tyle w miarę OK, że nie jestem uwiązany do jakiejś rutyny. Sam organizuję sobie dzień i układam pracę i jej tempo. Jest jakiś plan do wykonania, ale jak go zrobię, to już moja sprawa. Natomiast co innego praca na linii produkcyjnej – tam każdy ruch operatora jest wyliczony w sekundach. Stoi za tym sztab ludzi, często totalnych, odmóżdżonych idiotów, którzy czynnika ludzkiego nie biorą pod uwagę. Najczęściej są to młodzi ludzie po studiach chcący wykazać się geniuszem, albo starsi pracownicy, których korporacja pochłonęła i zmieniła w jeden ze swoich trybów. Ja kontroluję działania jednych i drugich, więc gdzieś tam sobie balansuję pomiędzy nimi i siłą rzeczy, jako przedstawiciel jakości muszę być niezależny. Męczy mnie czasem ta praca, nie ma co ukrywać, ale da się przeżyć. Pytam kiedyś znajomego inżyniera co tam słychać u niego. On na to: "Nieustające pasmo sukcesów"... :) To dobre podsumowanie wymaganego przez korpo podejścia, z podkreśleniem słowa "wymaganego".

CHAOS: Ciebie, jako poniekąd artystę, nie przeraża "tyrania zegara i taśmy produkcyjnej"?
Prosiak: Mnie bardziej wkurwia czas poświęcony codziennie na pracę, podczas gdy myślę ile mógłbym wtedy narysować.

CHAOS: Myślałeś o komiksie pokazującym pracę w branży automotive?
Prosiak: Tak, nawet zrobiłem jednego shorta, "Hi-tech", ale jest taki sobie. Tematów zebrałoby się sporo, na przykład można byłoby powiązać je z tematyką obozu koncentracyjnego. Bo rewolucja w tej branży zaczęła się od Henry'ego Forda, który stworzył pierwszą linię produkcyjną, zastosował standaryzację, a który nie ukrywał fascynacji Hitlerem. Z wzajemnością. Można połączyć to w jakąś współczesną mroczną historię, bo te same standardy z filozofii Lean Toyoty można odnaleźć w konstrukcji i zarządzaniu obozami koncentracyjnymi. Albo zrobić kafkowską czarną komedię o procedurze wymyślania procedur, o normie ustalania normy. W mojej firmie operatorzy często narzekają na nadmiar wypełniania dokumentacji systemowej i nie zawsze pamiętają co mają jeszcze wypełnić. Więc wymyśliłem sobie, że można stworzyć im kolejny dokument – formularz wypełniania formularzy. Sam fakt, że nie ma teraz "kadr", tylko "human resources", czyli "zasoby ludzkie", świadczy o przedmiotowym podejściu do masy i zdystansowaniu się od niej tych, co są na górze. Dużo materiału na komiks, ale musiałbym się chyba zwolnić, aby zyskać odpowiedni dystans.

CHAOS: Praca na trzy zmiany nie zabija weny i chęci?
Prosiak: Weny niekoniecznie, ale chęci na pewno. Czasem jest się na tyle zrytym i rozregulowanym,

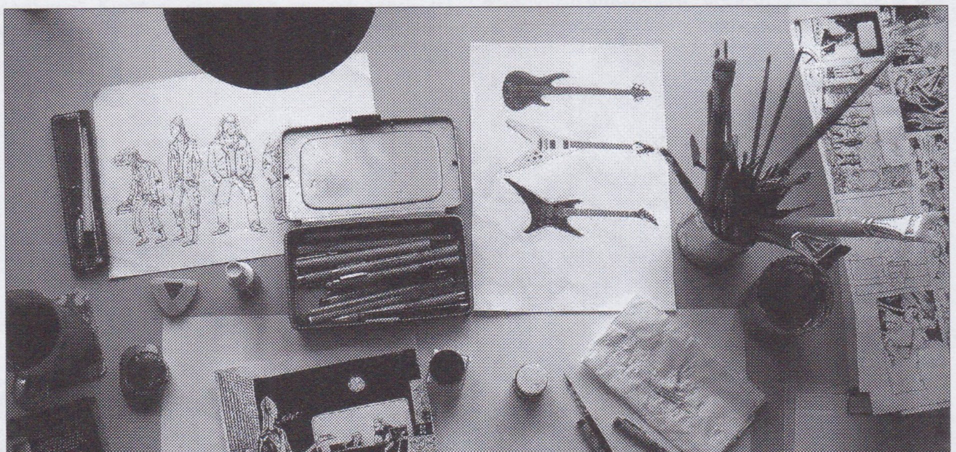

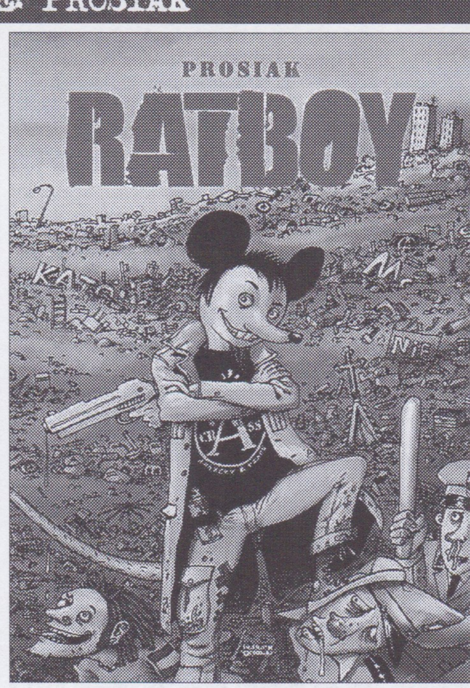

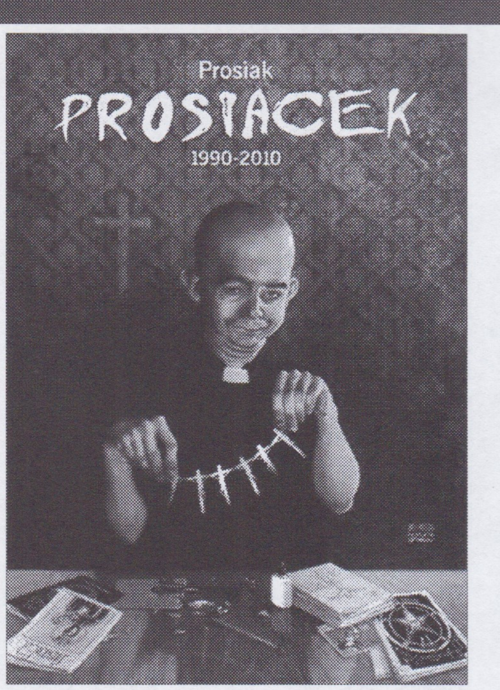

że nie ma się ochoty brać za pracę na kolejnym etacie, czyli rysowanie w domu.

CHAOS: Czy jako pracownik jakości przenosisz procedury na pracę rysownika, hihi?

Prosiak: I tu może cię zdziwię, ale tak! I to świadomie. Przed przystąpieniem do pracy nad obecnym, obszernym materiałem, korzystałem luźno z zasad 5S i FMEA. Przede wszystkim wiedziałem, że mam przed sobą wiele stron do napisania i narysowania. I że nie mogę wdepnąć w takie gówno jak "Cierń w koronie". Tzn. gównem była robota nad tym komiksem, nie sam komiks. Zatem za pomocą 5S uporządkowałem i usystematyzowałem biurko i narzędzia. Wywaliłem co niepotrzebne, postawiłem na minimalizm. Jeden rodzaj pisaków, jeden rodzaj ołówków... Żeby nie utonąć w bałaganie i żeby od początku do końca utrzymać w komiksie ten sam styl, sposób rysowania. Za pomocą FMEA, bazując na swoim doświadczeniu, starałem się przewidzieć wszelkie możliwe przeszkody w rysowaniu i zapobiec im. I tak zdecydowałem, że nie będę używać żadnych linijek czy wzorników. Nie chciałem tracić czasu na wyliczanie co planszę ramek kadrów, więc wykonałem 1 wzorzec kadrowania (na kartonie), od którego odrysowuję każdą planszę. Wszystko ręcznie, co daje fajny efekt. Nawet pisząc scenariusz zastanawiałem się jak będzie mi najwygodniej pisać. W zeszycie? Ale usuwałbym mnóstwo kartek, więc powinny być luźne. Kołonotatnik? A jak zabraknie kart, bo za dużo wyrwę? No to segregator: kartki mógłbym wstawiać i usuwać bez bólu. Tak więc scenariusz jest w dużym segregatorze. Trzy kuwety na plansze do narysowania, narysowane i szkice koncepcyjne. I tak dalej, i tak dalej. Wszystko wymyśliłem zanim wziąłem się do roboty, aby sobie maksymalnie ułatwić produkcję. By zdołać to narysować. Oczywiście pracuję metodą taśmy produkcyjnej: najpierw wszystkie strony zostały naszkicowane, następnie na wszystkich narysowałem kadry, potem we wszystkich wpisałem teksty, a teraz wszystkie "tylko" rysuję...

CHAOS: Pablo zapytał cię o powody przeprowadzki z Katowic (a w sumie to nie z podopolskich Chmielowic?) do Wrocławia. Spytam się ciebie czy wolisz miasto czy wieś, z całym dobrodziejstwem inwentarza?

Prosiak: Dla mnie to obojętne, nie jest ważne gdzie się mieszka, ale z kim.

CHAOS: Pewnie nasi czytelnicy chcieliby wiedzieć czy coś rysujesz jeszcze, czy osiadłeś na laurach... Z tego co wiem to pracujesz naa ponad 200-stronicową nowelą graficzną o... zespole death metalowym! Przybliż nam kulisy tej historii i od razu powiedz nam kiedy to będzie można trzymać w łapkach i kto to wyda!

Prosiak: Pracuję nad historią obyczajową o zespole death metalowym DEATHSTAR. Tytuł komiksu brzmi odpowiednio groźnie, bo "Będziesz smażyć się w piekle". To wielowątkowa historia o gwieździe światowej sceny metalowej, ale przede wszystkim o życiu codziennym członków zespołu i ich bliskich poza tą sceną. Jest w stylu moich starych komiksów – można tu znaleźć trochę "Blixy i Żorżety", trochę "Ratboya", jest humor, jest obyczaj, komediodramat, jest i moja ulubiona polska rzeczywistość. To historia o pasjach, rodzinie, przyjaźni, związkach i tym co w nas siedzi. Muzyka jest tu w tle, tak jak przy moim rysowaniu.

Historia zaczyna się tak, że do owej sławnej kapeli DEATHSTAR zostaje przyjęty nowy gitarzysta. Jest fanem DEATHSTAR od ich pierwszej demówki. Oprócz spełnienia marzeń, jako muzyka, i chęci sięgnięcia po sławę, wierzy, że granie w zespole tego formatu pozwoli mu szybko wyjść z nieciekawej sytuacji socjalno-finansowej. Te same nadzieje żywi jego żona z małą córeczką (ich kot raczej nie ma szczególnych wymagań). Niestety, stosunki panujące w zespole są... hm, dziwne i zamiast iść ku lepszemu, sytuacja coraz to bardziej się komplikuje...

Fabuła została zainspirowana prawdziwymi wydarzeniami. Ale tylko zainspirowana. Opowiadały o nich sobie dwie koleżanki: moja żona i żona gitarzysty dość znanego zespołu metalowego, które pracują razem. Kobiety opowiadając sobie co tam słychać, opowiedziały sobie o zupełnie innych rzeczach niż opowiedzieliby faceci. Inaczej gwiazdor wygląda na scenie, a inaczej na chacie, gdy trzeba stawić czoła rzeczywistości, a nie szatańskim hordom. Historię zacząłem doprawiać swoją wyobraźnią.

Specjalnie na potrzeby komiksu, mój kumpel Michał zaprojektował logo kapeli i użyczył mi swoich prac jako okładek do dyskografii zespołu. Michał jest współautorem m.in. gier RPG Neuroshima, czy Tezeusz i jest fanem ciężkiej muzy, nawet tworzył okładki dla Crystal Viper czy jakichś innych metalizerów.

Początkowo zbyt optymistycznie planowałem zakończenie prac na koniec roku 2014. Tymczasem mamy maj 2015 i do końca zostało mi około 50 stron + okładka, wyklejki, strony tytułowe rozdziałów itd. Bardzo chciałbym, aby udało się wydać komiks jesienią tego roku.

Na razie z nikim nie prowadziłem rozmów na temat wydania...

CHAOS: Na koniec powiedz nam jak to jest być niezależnym i wciąż zbuntowanym rysownikiem komiksów po 40-tce... Jakie masz plany? Będzie więcej komiksów czy jednak więcej obrazów? Piszesz jeszcze wiersze? Jak znajdujesz czas na to wszystko? No i może jakaś uniwersalna rada dla początkujących rysowników komiksowych?

Prosiak: Jak mi żona składa życzenia urodzinowe, to pyta czego bym sobie życzył. Nieodmiennie odpowiadam, że więcej czasu. Więc jeśli ten czas pozwoli, to chciałbym jeszcze narysować parę komiksów. Myślę raczej o dużych albumach, niż krótkich formach. Mam sporo pomysłów i chciałbym choć parę zrealizować. Ale aby znaleźć na to czas, ciągle trzeba rezygnować z czegoś. Obrazy, jeśli będą, to przy okazji. Wierszy nie przewiduję.

Jak to jest być niezależnym, zbuntowanym rysownikiem komiksów po 40-tce? Właśnie tak!

Uniwersalna rada dla potencjalnych rysowników komiksowych: jak chcecie dobrze zarobić, róbcie to za granicą, albo weźcie się za coś innego.

Wytnij tę reklamę i trzymaj w łatwo dostępnym i suchym miejscu.
Wejdź na stronę wydawnictwa i zbierz kolekcję wyjątkowych komiksów nie płacąc za przesyłkę. Zapraszamy!

THE LOWEST dobrych paręnaście miesięcy czy już lat temu, swoimi dwoma epkami zrobili niezły ferment na polskiej scenie hc/punk. Jako że większości redakcji CHAOSU bardzo się spodobały nagrania warszawiaków, a ja miałem okazję zobaczyć THE LOWEST na żywo i powalił mnie ładunek energii jak i mądre słowa padające ze sceny, to jeszcze bardziej zachęciło do zrobienia tego wywiadu. Chłopaki mają sporo do powiedzenia, a jednocześnie są super fajnymi punkami (tak punkami, a nie macho-mięśniakami jak niektórzy ich określali). Wywiad został przeprowadzony przez czat grupowy na facebooku (dla mnie bardzo fajna sprawa), przepytywał Kuba, odpowiadali Michał, Stasiu, Jurek, Lukasz i Paweł.

THE LOWEST

CHAOS: Hej! Na początku przedstawcie się czytelnikom „Chaosu W Mojej Głowie". Powiedzcie nam czemu nazywacie się THE LOWEST? Czyżby nazwa miała jakieś specjalne znaczenieprzesłanie?

Paweł: Jak zaczęliśmy grać mieliśmy kilka pomysłów na nazwę. To był okres w którym mieliśmy muzykę do dwóch czy trzech kawałków i może z półtora tekstu, więc bardzo wczesne stadium. Zagraliśmy tylko kilka prób w nowym składzie, no i od razu THE LOWEST jakoś wszystkim się spodobało. Michał pisał coraz bardziej złowieszczą muzykę, bas Łukasza był coraz mocniej przesterowany, a Jurek bardzo mocno walił w bębny. Chyba wszyscy uznali, że ta nazwa idealnie pasuje. Potem napisałem sporo mało wesołych tekstów piosenek o tym co mam w głowie, i jakoś tak wyszło, że wszystko to do siebie bardzo pasowało. Chyba mieliśmy wtedy taki czas w życiu. Każdy na swój sposób mierzył się z czymś trudnym i ciężkim. A teraz będą odpowiadać Michał i Łukasz, bo to ich pierwszy wywiad...

Michał: Paweł, to nie jest dobry pomysł i dobrze o tym wiesz. Ty tak ładnie piszesz.

Łukasz: Zgadzam się z Michałem.

Paweł: No to napiszcie chociaż jaki chaos mieliście w głowach, jak zaczynaliśmy grać! Co do nazwy – może ona oznaczać bardzo dużo i każdy ją interpretuje jak chce, tak naprawdę. Spotkałem się już z przeróżnymi interpretacjami. Ja tylko mogę powiedzieć o czym sam myślałem, kiedy wpadła mi do głowy. A więc po pierwsze - tragedia ludzkiej egzystencji. Z jednej strony jesteśmy świadomi swojego istnienia, chcemy żyć, kochać, itd. Z drugiej strony jesteśmy świadomi własnej śmiertelności, tego jak bardzo jesteśmy mali i nieistotni z perspektywy wszechświata. No i boimy się śmierci. A najgorsza jest świadomość tego, jak mało istotna jest nasza śmierć, śmierć pojedynczego człowieka z perspektywy całej planety Ziemia. Pewnie tak samo, jak zagłada planety Ziemia z perspektywy naszej galaktyki. Człowiek to taki bardzo mały pyłek. To nie jest nic fajnego, żyć z taką świadomością. Ludzie robią mnóstwo rzeczy, żeby ją od siebie odsunąć. No ale koniec końców, tak naprawdę jest. Drugi aspekt nazwy THE LOWEST to aspekt ekonomiczny. Żyjemy w czasach, w których dominującą grupą staje się tak zwany prekariat. Sam znam to z doświadczenia, zarówno mojego jak i moich znajomych. Mnóstwo ludzi w Warszawie tuła się po jakichś gównianych darmowych stażach, wynajmuje za kurewskie pieniądze pokój, nie może znaleźć normalnej, godnej pracy. Nie chcę tutaj wchodzić za głęboko w analizę społeczno-polityczną tego, dlaczego tak jest, bo to jest bardzo złożony temat, ale generalnie – uważam, że w normalnym kraju powinno być tak, że jeśli ciężko pracujesz, możesz żyć godnie. Wynajmiesz chatę, kupisz buty i starczy ci raz na dwa miechy na wizytę u dentysty. Odłożysz hajs na wczasy, może kupisz jakiś ciuch. Ja generalnie nie mam jakichś niesamowitych materialnych wymagań od świata, i wielu ludzi pewnie też nie ma, a okazuje się, że żyjemy w czasach gdzie osiągnięcie w Polsce nawet tego minimum jest czymś, co wielu po prostu się nie uda. Opisuję to zagadnienie z perspektywy Polski, bo tutaj żyję. Ale to występuje też w wielu innych krajach. Może w Polsce jest to jakoś szczególnie uderzające, bo niby politycznie należymy już do pierwszego świata – zbijamy piątkę z krajami, które są najbogatsze, możemy jeździć sobie po Zachodniej Europie bez wiz, możemy tam żyć i pracować. Widać, że życie nie musi być ciągłą walką, że na Zachodzie życie godne jest czymś normalnym. Bo jak pójdziesz nawet do najbardziej gównianej pracy to dostaniesz te tysiąc euro. Tymczasem wielu ludzi w Polsce jest upodlonych przez nasz system gospodarczy. Wczoraj czytałem świetny artykuł! Okazuje się, że zgodnie z Danymi GUS – jeśli zarabiasz na rękę 4,5 koła i masz etat – jesteś w 10 procentach najlepiej zarabiających Polaków. A najczęstsze wynagrodzenie, takie na jakie może liczyć najwięcej osób – to 1,6 na rękę. Spoko, nie?

Jurek: THE LOWEST to dla mnie zawsze było bardziej określenie stanu człowieka. Jak wpadasz w dolinę to jesteś the lowest, pytasz w życiu „dlaczego ja?"- the lowest. Granie tej muzyki, teksty Pawła i - mam nadzieję - wrażenia z jej słuchania, to mniej więcej forma wyplucia z siebie tego, co nam nie leży w życiu.

CHAOS: Paweł, mówisz powyżej o materialnym pryzmacie życia/ przeżycia... Czy przez pryzmat bycia mieszkańcem Warszawy są zauważalne różnice między innymi częściami Polski (bo sporo gracie i widzicie)? Czy te mityczne warszawskie kariery, a jednocześnie upadki, są bardziej widoczne u was czy u nas na prowincji? Życie w stolicy jest też jakimś stymulantem przy tworzeniu muzyki/tekstów?

Paweł: Nie wiem jak to jest z karierami, bo się za bardzo w środowisku ludzi robiących karierę jednak nie obracam. Pracuję w firmie, gdzie

niektórzy jakieś tam kariery robią, ale ja raczej się nie wkręcam w życie firmy, po prostu robię swoje i idę na chatę. Jasne że są duże różnice. Widzę to choćby dlatego, że jako jedyny z zespołu nie pochodzę z Warszawy. Moja mama jest z Grezówki, populacja 561, a tata z Gostchorzy, stan populacji 182. Potem przeprowadziliśmy się do Łukowa, trochę większego miasteczka, a potem na studia przyjechałem do Wawy. Warszawa z jednej strony otwiera dużo możliwości, ale z drugiej strony jeszcze bardziej uwidacznia kontrasty. Życie w stolicy nie ma większego znaczenia dla tekstów. Za to dużo się tu dzieje, jeśli chodzi o scenę. Wcześniej mieliśmy zespół NOTHING BETWEEN US, trzech z nas tam grało. Określaliśmy się jako Warsaw hardcore, ale to były trochę inne czasy i trochę inne relacje międzyludzkie. Dziś takie lokalizowanie się nie ma dla nas jakiegoś większego znaczenia.

Jurek: Ja żyję w Warszawie od urodzenia i w sumie nie zasmakowałem życia gdziekolwiek indziej w Polsce na dłużej. Jedyna różnica, którą widzę to to, że w Warszawie faktycznie wiele więcej się dzieje. Na pewno w dużym mieście łatwiej założyć kapelę. Sporo rzeczy robi się tu łatwiej, ale jest masa ludzi, których to miasto przerosło. Tak jak pisał Paweł, nasze miasto mocno uwidacznia kontrasty. Z jednej strony masa ludzi w garniakach śpieszących zadowalać swoje ukochane korpomatki, z drugiej ludzie, których mijają: alkoholicy, żebracy, ludzie bezdomni.

Łukasz: Ja uważam, że do wszystkiego trzeba podchodzić mega indywidualnie, do każdego z tematów... Z korporacjami jest ta sama baja. Są takie, pewnie większość, gdzie totalnie nie szanuje się nikogo i tylko się ciśnie, a są takie w których jest spoko. Też pytanie gdzie chcesz pracować i co osiągnąć. Wiadomo, że jak idziesz gdzieś do pracy to badasz jak tam jest. Więc w pewnym sensie godzisz się na to gdzie idziesz, czytaj: będziesz pracował. Ja szukając pierwszej pracy, miałem wywalone, chciałem dobrze zarabiać i uważałem, że nieważne gdzie, oby hajs był ok. Po 2 latach byłem mega zmęczony klimatem w robocie i uciekłem.

Paweł: Co do korporacji - Łukasz ma rację. Kiedyś modny był gatunek literacki cyberpunk, ale my już dzisiaj żyjemy w cyberpunku. Dziś wszystko to korporacja. Wszyscy prawie siedzą u kogoś w kieszeni. Ale to jest bardziej ogólny problem - w jaką stronę poszedł kapitalizm. Czyli w stronę korporacjonizmu właśnie. Trochę to patologia, ale co zrobić? No i polski model zarządzania w korporacji ogranicza się często do darcia mordy. Polska trochę nie dorosła do cywilizowanego kapitalizmu, ale to jest w ogóle problem państw postkomunistycznych.

Łukasz: Znalazłem kolejną robotę w której wiedziałem, że hajs jest mega beznadziejny, ale klimat będzie ok. Ale okazało się, że klimat był aż tak luźny, że nie dało się pracować czyli jakoś rozwijać... Nie było szans na zmianę... Totalna stagnacja, co w pewnym momencie też zaczynało przeszkadzać. Teraz znów jestem w korporacji i chyba, jak na razie, tfu tfu, jest to wypośrodkowane. Klimat jest mega luźny, ludzie się szanują, ale jest też praca do zrobienia. Dlatego polecam korpo z północy.

Jurek: A ja się stykam, w miejscu, do którego chodzę jeść w czasie pracy, z ludźmi pracującymi w siedzibie banku Millenium i to jest straszne.

Paweł: A korpo z północy też różnie. Siostra mojej żony jest księgową w firmie z Finlandii. Jak rządził Fin było ok. Ale jak się Polacy uplasowali na stanowiskach... Ci ludzie są pojebani. Za każdym razem jak idziesz do kibla odbijasz kartę. Nie można na więcej niż 5 minut. Nie można mieć na pulpicie kompa jakiegoś tła. Musi być z logo firmy. Nie można mieć własnego kubka kolorowego. Musi być z logo firmy. Czujecie to? Kubki do herbaty im zabrali. Polski model zarządzania. Będę chujem, bo mogę. Bardzo blisko nowoczesnego niewolnictwa. Ja pracuję w korpo, ale czuję się wolny. Mam wolność w głowie. Praca jest tylko po to, by było na chleb, życie jest gdzie indziej. Ej, wiecie co jest śmiesznego jeszcze w Wawie? Dresiarze lokalni patrioci. Dziadek gdzieś na wileńszczyźnie krowy pasał, a oni urodzeni warszawiacy bez innych sukcesów w życiu.

CHAOS: Dobra, doszliśmy do tematu jaki też mnie interesuje, mianowicie: my czyli ekipa hardcore-punkowa i praca w korpo. Nie ukrywam, że każdy z nas jest związany mniej lub bardziej z mitycznym Babilonem... Jak wy sobie dajecie radę?

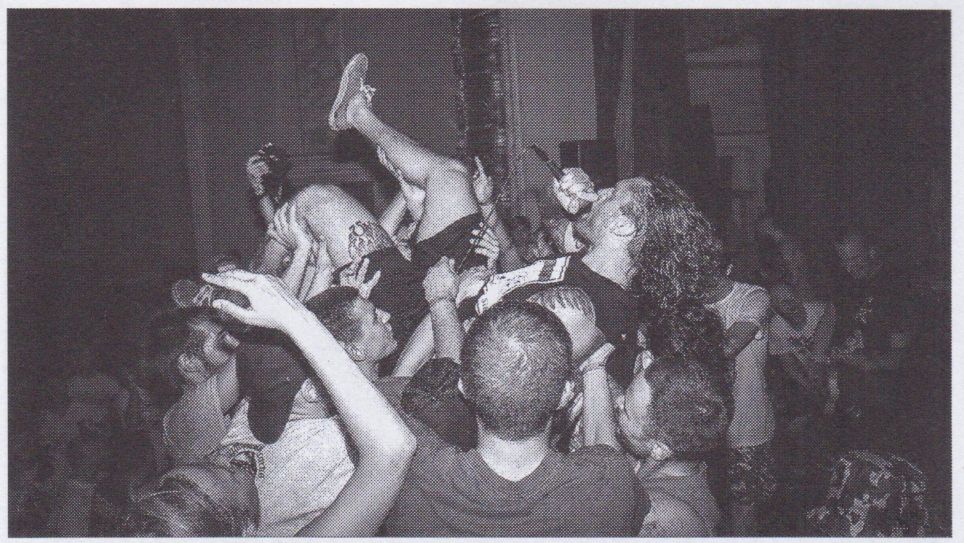

Jurek: Ja pracuję może nie w samej korporacji, ale dla dużych korporacji i też jest bardzo duża różnica pomiędzy współpracą z nimi. Jedni są nieprzyjemni, drudzy bardzo mili i dbają o współpracowników.

Łukasz: To wszystko, takie mam wrażenie, wynika z frustracji... Bycie niemiłym czy bycie chujem. Im więcej masz na swojej bani, tym bardziej skupiasz się na sobie, a nie na innych.

Paweł: Ej, skoro można być punkiem i brać heroinę, to można też pracować w korpo, proste. Poza tym przecież śpiewam, że jestem Babilonem, więc wszystko jawnie, gram w otwarte karty. Wszystko co miałem do napisania na temat korporacji napisałem w sumie powyżej. Nie ma to większego znaczenia jakie to firmy, bo mechanizmy są podobne. Ja myślę, że gadanie o korpo, że punki nie mogą, nie powinni... To jest takie gadanie z lat 90-tych, tylko że wtedy korporacja znaczyła coś innego. Czasy są zupełnie inne. Dziś to, co dwadzieścia lat temu nie było rozumiane jako korporacja, jest już korporacją, bo ktoś to kupił. Korporacje się rozrastają. To jest kapitał, który pożera kolejne mniejsze firmy, jak wieloryb plankton. Wszystkie te korporacje są mniej lub bardziej chujowe. A dla korpo dzisiaj pracuje mnóstwo ludzi, także scenersów.

Michał: Ja zawsze pracowałem dla prywaciarzy, nigdy nie zetknąłem się z korpo. Możliwe, że niedługo to się zmieni. Ale nie uważam, że bycie częścią sceny hc/punk i praca w korpo się wykluczają. To nic złego. Zależy to od indywidualnego wyboru człowieka. Nie lubię, gdy coś ogranicza ludzi, a scena hc/punk na pewno nie powinna tego robić.

CHAOS: Zgodzicie się ze mną, że właśnie praca sporej ilości hc/punków w korpo jest tematem tabu?

Paweł: Jeśli zła jest praca dla korporacji, to idźmy dalej. Komputery i telefony, dzięki którym toczymy tę rozmowę, wyprodukowane są przez korporacje. Ciuchy. Żarcie. Kupujecie w Biedronce? Ja tak, bo tanio. Korporacja. Witamy w 2015. Nie ma już ucieczki, chyba że do lasu. Trzeba po prostu dokonywać pewnych wyborów świadomie, przynajmniej starać się. Nie wiem czy to jest temat tabu dla punków, nie wydaje mi się. Przynajmniej ja nie spotkałem się z takimi podejściem. Masz coś bardziej konkretnego na myśli?

CHAOS: Kiedyś, w latach 90-tych, spotkałem się z opinią, że punk pracujący w korpo to jak SS-man, który pracuje od 7.00 do 15.00 w obozie koncentracyjnym. Zaś od 15.00 do 6.00 rano zamienia się w partyzanta i niszczy nazistów. Wiem, że to nieco głupie porównanie i w latach 90-tych były też inne realia, ale zapadło mi to w pamięć...

Paweł: Co za porównanie, he he. Ale żeby tak było to taki punk musiałby w godzinach pracy w korpo robić coś przeciwko innym ludziom. Ja nie robię nic przeciw komuś, a dla wszystkich jestem zawsze miły, bo nie lubię nieprzyjemnego klimatu.

CHAOS: Na youtube oglądałem wideo z koncertu w Warszawie, gdzie, Paweł, mówisz o kryzysie i o tym, że pokolenie 30-latków wpadło w dziurę i jest w czarnej dupie. Minęło już kilka lat, czy uważasz/uważacie, że wciąż tak jest, czy może jednak jest ekonomiczne światełko w tunelu?

Paweł: Nie lubię teraz mówić o ekonomii. Niektórzy zaczynają odbierać ten zespół, jako taki, którego głównym tematem jest sytuacja ekonomiczna, kryzys, czy inne tego typu tematy. A tak nie jest i nigdy nie było. Tylko dwa teksty jakoś do tego się odnoszą. Mnie zawsze bardziej od aspektu ekonomicznego interesował aspekt, nazwijmy go, metafizyczny, czyli miejsce człowieka we wszechświecie, po co tu jesteśmy i jacy jesteśmy, co jest ponad tym, co na co dzień obserwowalne. Ale oczywiście odpowiem, o co chodzi z tą ekonomią. Jak w 2003 roku przyjechałem do Warszawy na studia, dwa lata się poobijałem, a potem poszedłem trochę popracować. Nic wielkiego, jakieś fuchy z agencji pracy tymczasowej. No i wtedy zaproponowano mi następujące zajęcie - praca na promocjach w sklepach, płatne 12 PLN do ręki za godzinę. Z różnych względów wtedy nie zdecydowałem się. No ale 12 PLN za godzinę do ręki w 2005 roku - to było coś dla studenciaka. Poszedłem pracować na nocki przy inwentaryzacjach w supermarketach, za to było chyba 8 PLN za godzinę. No i mamy rok 2015 - a jest mnóstwo osób, które pracują za gorsze stawki niż ja 10 lat temu. Polska to jest idealny przykład kraju wschodnio-zachodniego. Jeździmy sobie na luzie za granicę, na dowód osobisty, można pracować poza krajem, w ogóle dużo można. Ale stosunek do człowieka i pracownika jest u nas zwykle zły. Pracownik to jest ktoś, kogo się dyma. Tyle. Oczywiście - ja nie formułuję tutaj jakiegoś ogólnego prawa, które dotyczy wszystkich, bo znam ludzi którym się powodzi znakomicie, zarabiają dobrą kasę, nie narzekają...

Chodzi po prostu o to, że nie każdy musi mieć ochotę na robienie kariery w jakiejś dziedzinie, albo na bycie specjalistą. Przecież co w tym złego, że ktoś chce np. robić kawę? Może ekspresy ciśnieniowe to jego pasja? Może kocha espresso, a może woli chemex? No i niech będzie najszczęśliwszym baristą świata, niech wykonuje ten zawód i ma na życie. Myślę, że dobrym wyznacznikiem jakiejś harmonii ekonomicznej jest to, czy człowiek może po prostu pójść pracować fizycznie, albo do gastronomii i zarabiać tyle, że spokojnie się utrzyma i coś odłoży. To jest taki test, czy pracownika się w kraju szanuje, czy nie. No i u nas się nie szanuje. A mieszkamy w Warszawie, tutaj wszystko jest drogie, mieszkania drogie, żarcie na mieście drogie, bilet to też stówa miesięcznie.

CHAOS: Czy to prawda, że w Warszawie jest kilkadziesiąt osób grających w kilkuset zespołach? A co za tym idzie, są to krótko błyszczące efemerydy. Czy wy też macie jeszcze 100 pobocznych projektów?

Staszek: Ja gram z Jurkiem jeszcze w SAILOR'S GRAVE i SHAME.

Z nikim mi się nie gra tak dobrze jak z Jurkiem, a poza tym jest to mój przyjaciel od liceum i jeżeli chodzi o muzykę, to z nikim nie dogaduję się tak jak z nim.

Paweł: To jest jakiś mit z dupy z tymi zespołami warszawskimi. Które to niby zespoły te efemerydy? DRIP OF LIES, IRON TO GOLD, GOVERNMENT FLU, HARD TO BREATH? DEATH ROW kończy działalność koncertem w 9. rocznicę pierwszego gigu. Kiedyś była taka sytuacja, ale to było z osiem lat temu, kaman. Gram obecnie tylko w THE LOWEST. Kiedyś grałem w kilku innych zespołach. Byłem w pierwszym składzie DEATH ROW, na przykład. W sumie w ostatnim składzie był tam tylko jeden oryginalny członek. No ale zespół grał prawie 10 lat, więc w sumie nic dziwnego. Miałem kiedyś taki

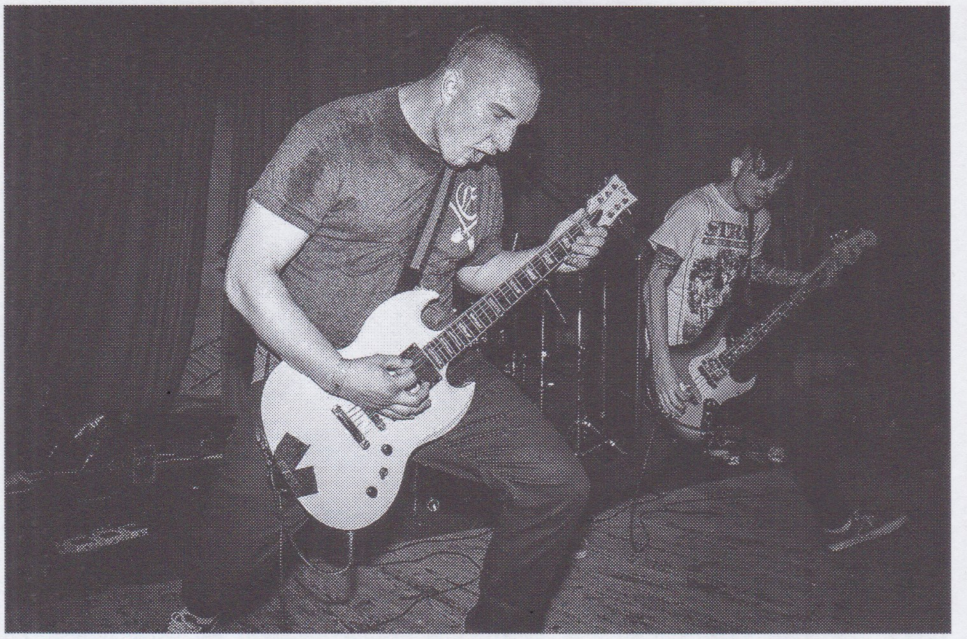

moment, gdy grałem w trzech, czy nawet czterech kapelach jednocześnie. To było bardzo dawno temu i bardzo bez sensu. Odkąd jest THE LOWEST, to mój jedyny projekt i nie mam ani ochoty, ani czasu na razie na nic innego.

CHAOS: Pytanie do Pawła... Lepiej trzymać w ręce mikrofon, czy pałeczki do perkusji?
Paweł: Ej, zależy jak dla kogo. Jeden się boi śpiewać i cofa przed ludźmi, drugi nie może usiedzieć za garami i bardzo chce być bliżej miejsca akcji. Dzisiaj nie wyobrażam sobie, żebym miał grać na perkusji. Po prostu ten czas minął. Kompletnie mnie to już nie interesuje i nie czerpię z tego żadnej przyjemności. To już raczej przeszłość. Lubię być wokalistą, bo zawsze chciałem pisać teksty o czymś, co jest dla mnie ważne i potem je śpiewać, czy też krzyczeć. Jestem bardzo związany emocjonalnie z tym co gramy, to są często bardzo

osobiste rzeczy, przemyślenia. A czasem jest to coś, co oznacza jakiś moment w życiu. Kiedy gramy, to po prostu jestem szczęśliwy, że jestem w tym momencie życia, że te rzeczy mogę po prostu z siebie wyrzucić. Może to zabrzmi śmiesznie, ale często jestem poruszony, kiedy gramy i kończymy set na „Lowest". Pisałem ten tekst na kolanie w metrze, jak jechałem na próbę. Nagle jakoś ułożył mi się w głowie obraz świata, jako miejsca w którym dominującą siłą jest cierpienie, a do tego – miejsca pełnego niesprawiedliwości. Ciągle mnie to rusza kiedy to słyszę jeszcze z muzyką.

CHAOS: No właśnie, mikrofon. Od jednego z wydawców usłyszałem opinię, że THE LOWEST nie podoba mu się live (podobnie jak INKWIZYCJA), gdyż za dużo jest testosteronu i macho na koncertach...
Paweł: He he he. Ale kto jest macho? Biały, Jurek, Łukasz, Stanisław czy ja? Chyba wytnę to zdanie i sobie zawieszę na ścianie... ;) Jest 7. rano, właśnie jadę na siłownię, może to ja? Ale Michał trochę chyba też, coś tam chłopak chyba ćwiczy. Biały też zaczął chodzić na siłownię ostatnio. Staszek ma szerokie plecy, bo za młodu był pływakiem, więc to może on? O, Jurek też od jakiegoś czasu pakuje! Zespół macho, wszystko się zgadza. Musimy to dopisać na plakatach. Macho-core.
Michał: Ja właśnie wstaję z łóżka i też lecę na siłkę, więc może to też ja. 42 cm w bicepsie zobowiązuje, hehehe. Choć ostatnimi czasy rzadko bywałem na gigach w PL, więc to raczej tyczy się ciebie Paweł.
Paweł: O kurde! Jesteśmy macho. Dobrze, że się zorientowaliśmy. Może coś da się jeszcze z tym zrobić... ;) Słuchaj, co do tego macho, to każdy – oglądając koncert zespołu, jakiś film czy cokolwiek innego - wyłapuje coś innego. Odbiorca treści, przez interpretację, również współtworzy ją w jakiś sposób. Ktoś zauważył coś, co określa jako macho – jego interpretacja. Aczkolwiek nigdy nie słyszałem podobnej opinii. A termin macho kojarzy mi się jak najgorzej, z jakimś kompletnym wieśniactwem.

CHAOS:: Macie coś wspólnego z 022 Crew? Widziałem takie naszywki i vlepy...
Paweł: Nie mam nic wspólnego z żadnym crew.
Michał: Ja do żadnego crew nie należę. Kiedyś wydawało mi się, że jestem częścią 022 i WSHC, ale to było za czasów NOTHING BETWEEN US, dawno i nieprawda. Myślę, że można śmiało powiedzieć, że THE LOWEST nie jest w żadnych "crew".

Paweł: W sumie to spotkało nas sporo chujowych zachowań ze strony kilku osób. Kiedyś bardzo się tym przejmowałem, bo nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś, kto wydawał się być kolegą, to robi. W końcu zrozumiałem, że nigdy żadnymi kolegami nie byliśmy. Mocno też wyczyściłem grono znajomych. Nie rozumiem sensu podtrzymywania relacji z kimś, kto nie dość, że życzy ci źle, to jeszcze opowiada o tobie jakieś androny. Nie żywię do nikogo żadnej niechęci czy coś w tym stylu, bo to jest zupełnie bez sensu i tak naprawdę spala samego ciebie. Po prostu przestałem na to zwracać uwagę i tak jest ok. Za to w czasie grania z THE LOWEST poznaliśmy mnóstwo niesamowicie pozytywnych osób. Chociażby kolektyw z Przychodni. Z Ady. Białoruskich punków. Ukraińskich punków. Mnóstwo wspaniałych ludzi. Jest spoko.

CHAOS: Graliście w Europie Wschodniej (Białoruś, Ukraina). Sporo zespołów mówi, że gigi tam są niesamowite. Zgadzacie się z tym? Co jest tam takiego niesamowitego?
Łukasz: Gigi na Wschodzie są takie jak gigi w Polsce jakieś 6-7 lat temu. Od pierwszej do ostatniej kapeli totalny szał! Pamiętam jak zaczynałem słuchać hc, to gigów było mało i chodziło się na wszystko co było, czyli średnio raz na 2 miesiące albo raz na miesiąc. Sceny nie były tak podzielone i na jednym gigu potrafiły grać różne zespoły. To było zajebiste i to, że ludzie, jak już przychodzili na gig, to wiedzieli po co tam są. I tak jest teraz na Wschodzie. A u nas, co drugi dzień jakiś koncert, przynajmniej w Warszawie. Jak już idę na gig, to widzę zmanierowane mordeczki, które patrzą na hc/punkowy koncert i mówią: no spoko, ale to już było... Tak jakby oczekiwali ognia i krwi jak na koncercie BEHEMOTA...

CHAOS: A gigi na Bałkanach?
Michał: Mnie na Bałkanach nie było, niestety, brak urlopu w pracy...
Paweł: Trasa na Bałkanach była średnia koncertowo, a fatalna finansowo. Zakończyła się mega wtopą i każdy musiał wyłożyć ciężki hajs z kielni, żeby to pokryć. Generalnie to bez własnego auta nie ma po co tam jechać, niestety. Parę koncertów spoko, parę bardziej spoko, parę mniej, ale jednak aspekt finansowy zaciążył na naszym odbiorze tej trasy.

CHAOS:: Jakie są wasze inspiracje muzyczne. Czy mają na was wpływ jakieś kapele? Generalnie uknułem sobie taką teorię, że THE LOWEST gra jak THE LOWEST (napisałem to nawet w recenzji), albo moje horyzonty muzyczne są ograniczone...
Paweł: Co do inspiracji, to pierwszą EP napisał Michał, a drugą pisaliśmy już bardziej wspólnie, ale zgodzę się z tobą, że poszukujemy raczej własnego brzmienia. Myślę, że dobrym przykładem jest choćby „The line", który jest dość nietypowym kawałkiem. W sumie nie przypomina mi nic, co znam... Mamy też dość szerokie spektrum muzyczne, bo jest i kawałek prawie punk rockowy, jak „King of pain", a są też wstawki bardziej slugdowe.

CHAOS: Spodziewaliście się takiego odzewu po pierwszej EP oraz kolejki wydawców do wydania 12 calówki?
Paweł: Nie. W sumie to niczego się nie spodziewaliśmy. Myśleliśmy o wydaniu tego kiedyś na 12", ale to było raczej w bliżej nieokreślonej przyszłości.

CHAOS: Miłe zaskoczenie?
Paweł: No pewnie, wydawało nam się, że raczej będziemy to musieli sami zrobić, nie spodziewaliśmy się, że ktoś się do nas zgłosi czy coś... Nagle nie wiadomo skąd znalazły się dwa labele i wzięły to na siebie. To było coś. Byliśmy strasznie zajarani.

CHAOS: Powiedzcie mi coś o szacie graficznej na LP, która, nie powiem, robi wrażenie, zwłaszcza ryt na drugiej stronie 12". Ustalacie to sami czy ktoś z was ma wizję?
Paweł: Ustalamy to sami, bo mamy wizję, he he. Chyba raczej tak to wygląda. Okładkę pierwszej płyty robiła Gosia alias Black Fits Me. Intro do płyty pochodzi z filmu „Drzewo Życia" Terrenca Malicka. Symbolika drzewa jest bardzo wymowna. Drzewo to z jednej strony symbol upływającego czasu, ludzkiej śmiertelności. Bo rosną jeszcze drzewa, które mają kilka tysięcy lat. Istnieją dłużej niż niejedna ludzka cywilizacja. Jest kilka drzew, które rosną już od

ponad 4 tysięcy lat, jedno ma prawie 5 tysięcy. Film Malicka i trochę różnych refleksji zaowocowały tą okładką. No i podobał się nam taki minimalistyczny styl, więc drugą chcieliśmy w podobnym klimacie zrobić. Okładka to po prostu pęknięcie, skaza na idealnej powierzchni.

CHAOS: Druga strona 12" to nawiązanie do tekstu „I Am The Babylon"?
Paweł: „Babilon" to wzór autorstwa Davida Rudzińskiego. To tatuator z Warszawy. David interesuje się bardzo okultyzmem, tarotem, etc., więc pomyśleliśmy, że będzie idealnym autorem pracy pod tytułem "Wielki Babilon".

CHAOS: Graliście na Animal Friendly Tour, grały tam kapele vege/vegan. Dieta vege/vegan jest ważnym aspektem życia członków THE LOWEST?
Paweł: Nikt z nas nie jest mięsożerny, wszyscy jesteśmy na pewno wege i jeden wegan.
Jurek: Ja nie wyobrażam sobie teraz innego trybu życia. Dla mnie osobiście w tej diecie liczy się chyba czyste sumienie. Przeraża mnie to, w jaki sposób traktuje się zwierzęta, to okropne. Chociaż tyle mogę zrobić, ale myślę, że bardziej robię to dla siebie i niczego tym nie zmienię, niestety...

CHAOS: Czemu nie zmienisz? Ponoć już jest około miliona vege/vegan w Polsce. Kropla drąży skałę...
Łukasz: Nie ma co ukrywać, jest to mega ważny dla nas temat. Dla mnie osobiście jeszcze ważniejszym tematem niż bycie vege, jest temat bycia świadomym tego, co wrzucamy w siebie. Sporo osób z naszego (zarówno mojego, pozostałych chłopaków z zespołu, jak i waszego) nie jest świadoma co je. Z czym to wszystko się łączy. Że ten kurczak czy ta szynka to jest coś, co jest WYPRODUKOWANE. Paweł kiedyś wrzucał na naszego FB wypowiedź, bodajże bankiera albo ekonomisty, który powiedział bardzo fajne zdanie, które mi utkwiło, że jeśli rzeźnie miałyby ściany ze szkła to ludzi na diecie wegetariańskiej byłoby znacznie więcej. Ludzie nie są świadomi tego, że kurczak którego jedzą nie miał nigdy styczności ze słońcem, że jest produkowany tak szybko, że w pewnym momencie nie jest w stanie podnieść swojej masy ciała, że taplą się we własnych odchodach i przez to ma zniszczoną skórę na nogach. Nie lubię się wpierniczać komuś w to, co ma robić i staram się tego nie robić, ale smutne jest to, jakimi ludzie stają się ignorantami. Kiedyś oglądałem spoko dokument takiego śmiesznego kucharza z Anglii, Jamie Oliver. Typ się wkurzył, że w stołówkach szkolnych dzieci faszerowane są gównianym żarciem, więc wymyślił cały program żywieniowy dla dzieciaków. Chodziło o to, że dzieciaki na obiad codziennie dostawały pizzę, hamburgera albo spaghetti, a do tego colę. W UK rząd obadał program i zatrybiło. Typ się zajarał i pojechał z tym pomysłem do USA. I doznał szoku. Nie dość, że nikt go tam nie chciał słuchać, to jeszcze sprawdzając jaką wiedzę dzieciaki mają o tym, co jedzą doznał mega szoku. Np. dzieciaki nie wiedziały z czego są frytki, ketchup... Jak wyglądają warzywa w pierwotnej postaci czyli przed zrobieniem z nich paćki...

Jurek: Tak, to jest bardzo budujące, jednak spora część z tych ludzi podąża za modą, chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że dużej części osób brakuje wytrwałości. Nawet wśród moich znajomych wiele osób od tak zaczęło jeść mięso z powrotem jakby w ogóle anulowali to, co wcześniej mówili i w co wierzyli. Wiesz, to jest super, że jest nas sporo, ale to nie zmienia rynku rzeźniczego. Może będzie miał mniejsze zyski, ale to go nie zabije, zwierzaki nadal będą tak samo traktowane. Podejście do wegetarian/wegan może się zmieni. Ale rynku to nie zmieni. Takie jest moje zdanie. Mam nadzieję, że się mylę.
Paweł: Dwieście lat temu jak ktoś był czarny i mieszkał na terenie Stanów Zjednoczonych to znaczyło, że jest niewolnikiem i nie ma żadnych praw. Sto lat temu kobiety nie miały praw wyborczych w większości krajów na świecie. Jeszcze przecież kilkadziesiąt lat temu był system segregacji czarnych w komunikacji w USA. Świat się zmienia, tylko że powoli. Rynek to nie jest coś kompletnie oderwanego od świata. Jak ludzie nie będą kupowali mięsa to hodowle będą się zawijać. Tylko że to nie będzie trwało 10 lat, tylko 50, 100 albo i 200 lat, bo tak wolno postępują te procesy. Stąd złudzenie, że weganizm nic nie zmieni. Zmieni, tylko że prawdopodobnie nie w perspektywie naszego życia.

CHAOS: Paweł ma rację, są to długotrwałe procesy. Z tego co wiem (mieszkam na wsi), rolnicy już narzekają, że powoli nie opłaca się hodować np. świń, ze względu na niskie ceny skupu. Choć drugą kwestią mogą być fabryczne fermy z niższymi kosztami produkcji.
Paweł: Raczej to drugie. Ale jak mówiłem. Będzie to trwało dekady. Ale jest to możliwe. Oczywiście wcale nie musi się tak stać. I nie zakładam tego. Jednak widzę taką możliwość i mam nadzieję, że tak się stanie.
Jurek: Możliwość jest. Ok, źle to ująłem. Myślę, że za mojego życia to się nie zmieni.

CHAOS: Lubię czytać książki i oglądać dobre filmy, co możecie polecić punkowi ze wsi?
Łukasz: Co do filmów i książek... Właśnie sobie uświadomiłem, że ostatnio prawie nie mam czasu na nic takiego... Jedyne co, to dla odcięcia, seriale oglądam, obecnie "House Of Cards". Całkiem spoko na „zimowe" wieczory.
Jurek: Szczerze, to nie czytam za dużo, a jak czytam to fantasy albo kryminały, ale czytam na tyle mało książek, że nie mam porównania ani odniesienia, żeby stwierdzić co jest dobre a co nie. Z filmami w sumie mam podobnie, lubię je oglądać ze znajomymi, a wtedy zwykle skupiamy się na najgorszych filmach klasy Z, więc też nic nie polecę. Ostatni poruszający film jaki oglądałem to „Theory Of Everything" o Stevenie Hawkingu, dużo filmów o próbach samobójczych. W sumie najwięcej filmów oglądam w pracy, bo przy nich pracuję i są to pozycje w większości jeszcze nie wydane.
Paweł: Z ostatnio obejrzanych polecam „Birdmana" i „Polskie gówno". Filmy te w jakimś sensie są do siebie podobne. Słodko-gorzkie, w jakiś sposób wyszydzają kulisy showbiznesu. Nie są to jednak filmy tylko o showbiznesie. Są też formą rozliczenia się z życiowymi wyborami odtwórców głównych ról. Z książek ostatnio czytałem „Przeinaczanie Jezusa" amerykańskiego biblisty Barta Ehrmana. Ciekawa książka traktująca o zmianach dokonywanych w nowym testamencie. Chrześcijaństwo po dwóch tysiącach lat bardziej naznaczone jest przez człowieka i różne wydarzenia historyczne, niż przez oryginalne teksty „świętych pism", i warto sobie to uzmysłowić. Kończę właśnie wywiad z Maleńczukiem – „Ćpałem, chlałem i przetrwałem". Nie kręci mnie w ogóle twórczość gościa, w sumie większość rzeczy które zrobił jest słabych. Ale jakoś zaintrygowało mnie to, że ta książka ma być nie o nim, ale o tym co ćpał i pił. I właśnie taka jest, wywiad rzeka o używkach, prawie połowa książki jest o heroinie. Całkiem interesujące, w jeden dzień przeczytałem ponad połowę. A byłem w międzyczasie na siłce i w szkole, he he. Do tego skończyłem też niedawno „Szkołę szpiegów" Pytlakowskiego. Trochę książka, trochę reportaż o kuźni kadr wywiadu PRL, szkole w Starych Kiejkutach. Niezła pozycja. W ogóle książki o wywiadzie mnie kręcą. Na fali zainteresowania wywiadem PRL, zaraz po „Szkole szpiegów" zacząłem czytać „Szpiedzy PRL". Napisało to dwóch naukowców z IPN. Ale ta książka niestety jest już mocno średnia. Odnoszę wrażenie, że goście po prostu brali po kolei akta z teczek i robili streszczenie. Są ciekawe momenty, ale nie za dużo. Generalnie zwykle czytam kilka książek naraz, ale wielu nie kończę, bo okazują się słabe.

CHAOS: Widziałem was i na Animal Friendly Tour, i w zapyziałym Opolu. Mam nieodparte wrażenie, że ładunek energii był większy na małym klubowym gigu, niż na dużym feście. Czy zgadzacie się ze mną?
Jurek: Energia jest tam, gdzie bawią się ludzie, a im mniejszy klub, tym jest ciaśniej i łatwiej ich ruszyć.
Paweł: Myślę, że ładunek energii jest ten sam, po prostu na scenie na Adzie jest mniej miejsca, he he. Jakbym biegał po niej to strąciłbym chłopaków.
Jurek: Ale Kuba nie widział nas na Adzie chyba, tylko na drugim dniu. Czy na Adzie też?

CHAOS: Tylko w Częstochowie.

Jurek: Ano. Tam było sporo miejsca. My wyrzucamy z siebie zawsze tyle energii, ile możemy. Różnica chyba w odbiorze. Poza tym w Opolu Paweł był chory, więc spoko że wyszło lepiej niż na AFT.

CHAOS: Jurku, nie masz problemu z graniem na perce i śpiewaniem? Dla mnie to, kurna, strasznie karkołomnie wyglądało...
Jurek: No właśnie, okazało się w sumie całkiem niedawno, że mogę to robić, ale to kwestia wprawy. Ja długo gram, bo już 11 lat i na tyle związałem się z bębnami, że mogę sobie pozwolić jeszcze na śpiewanie, jak się okazuje...

CHAOS: Wyższy level grania?
Jurek: Myślę, że tak. Dzięki obyciu z zestawem mogę się skoncentrować na dodatkowej rzeczy i na chwilę nie myśleć za bardzo o tym co gram, bo kończyny same idą.
CHAOS: Zabiło mnie wasze strasznie ciężkie brzmienie, krew z uszu się lała. Żeby osiągnąć taki brutal trzeba mocno inwestować w sprzęt i szukać optymalnego ustawienia?
Jurek: Duże blachy u mnie powodują chyba największą moc uderzenia. Mój sprzęt nie jest tani. Kompletowałem go latami i wreszcie mam swój setup jakiego szukałem. Zdecydowanie poszukiwania brzmienie nie mają końca i trochę nad nim pracowaliśmy i nadal pracujemy. Każda drobna rzecz się na to składa. Dużo daje mocno przesterowany bas i nisko nastrojone gitary, no i wzmacniacze, które po prostu mają odpowiedniego kopa.
Paweł: No brzmienie musi być potężne. Każdy wydał kupę kasy na graty i zbierał je bardzo długo. Nawet ja musiałem trochę zainwestować. Chodziłem na lekcje do gościa, który kiedyś uczył Bugaja z IRON TO GOLD albo NIKE. Musiałem tak się nauczyć wydzierać, żeby się nie zedrzeć jak gramy dłuższe wypady. A co do Jurka, to jest on bardzo utalentowanym młodzieńcem, zajebiście gra na perkusji, zajebiście gra na gitarze, zajebiście śpiewa i ma sampler. Podejrzewam, że jakby z miesiąc poćwiczył, to sam by zagrał nasz set. Tylko włosami nie dałby rady machać, bo ma krótkie.
Jurek: Dziękuję. Mogę zapuścić...
Paweł: NIEEEE WŁAŚNIE... bo wtedy już całkiem nie będzie sensu żebym grał w kapeli.
Jurek: Haha, spoko. Mi włosy brzydko rosną. Wyglądam jak kalafiorek...

CHAOS:: Gracie sporo gigów, choć raczej widzę, że nie są to pojedyncze sety, tylko mini i maxi tour. Kilka dni w vanie ze sobą... Czasem ekstremalne sytuacje rodzą spięcia i konflikty. Czy bodyguard Stasiu nad wszystkim czuwa i nie pozwala na eskalacje?
Paweł: Czasem ktoś rzuci fotelem, normalka. A tak serio... To jest zespół punk. To nie jest nasza praca. Nie ma z tego żadnego hajsu. Trasy są na zero, a jakaś górka idzie na zespół, na mercz albo trafia do funduszu płytowego. Gdybyśmy się nie lubili to kompletnie nie byłoby sensu razem jeździć.
Jurek: Czasem się wkurzamy, jak to między ludźmi bywa, ale nigdy nie doszło do jakiejś mega spiny na wyjeździe, która nie została rozwiązana w ciągu paru minut.
Paweł: My się lubimy nawet bardzo i zawsze trasa jest fajnym przeżyciem. Oczywiście pod warunkiem, że gigi też są spoko.
Jurek: My się lubimy nawet jak się kłócimy.
Paweł: Jak gigi są chujowe, a wszyscy są zmęczeni, niewyspani i głodni, to trochę się odechciewa. Na pewno Skandynawia jest słaba do grania. Południe Europy, póki co, to mieszane uczucia mam. Najlepiej na Wschód, a zaraz potem na Zachód.

CHAOS: Czy wszelakiej maści kuce, metalowcy, metalcorowcy mają z wami problem, jeśli się dowiadują, że jesteście punk, a nie kuckore? THE LOWEST ma chyba trochę szersze spektrum słuchaczy niż stricte punkowa publika? Jak się gra w różnych takich dziwnych miejscach z dziwnymi składami?
Jurek: Jak już gramy dla metalcorowców to odbierają nas dobrze.
Paweł: Nie przypominam sobie, żeby był jakiś problem z odbiorem. Ale prawda jest taka, że my praktycznie nie gramy niepunkowych koncertów. W zasadzie, to oprócz imprezy BMX-owej, ostatnio w Krakowie, i takiej imprezy This Is Riga, która była połączeniem imprezy BMX, skate, tatuatorskiej i koncertu, nie pamiętam żadnego koncertu niescenowego. A jak przychodzi na nas jakiś metalcorowiec czy metalowiec to tak, jak napisał Jurek. No i przychodzi na koncert hc punk, więc nie może być zaskoczony niczym chyba. Zagraliśmy powiedzmy ok. 100 gigów. Może więcej trochę. No to wychodzi że 2 procent niescenowych. Ale tak naprawdę nawet te niby niescenowe były robione przez scenersów. Więc jakby się uprzeć, to można powiedzieć, że wszystkie były mniej lub bardziej scenowe. W lato zagramy na Muszla Fest. To będzie pierwszy tego typu koncert w naszej historii. Jedziemy tam z ciekawości. Nigdy nie mieliśmy okazji zagrać na takim bardziej ogólnomuzycznym feście. Ale tam miała grać też SCHIZMA, z okazji 25. rocznicy – choć dziś już wiadomo, że nie zagra. Zobaczymy jak będzie. Nie powiem, jestem bardzo zainteresowany jak taka biba wygląda, he he. Z doświadczenia wiem, że słabo gra się na konwentach tatuażu, ale to akurat nie z THE LOWEST graliśmy. Nie wiem w ogóle jaki jest sens tych imprez. Mam dużo dziar, ale dla mnie chodzenie tam to jest jakaś totalna strata czasu. A granie już w ogóle jest bez sensu, bo to jest już totalnie przypadkowa publika. Graliśmy kiedyś na konwencie z NBU. Ludzie jedli karkówkę, jakiś żurek, drewniane stoły, piwo z plastiku. Kurwa, gorzej niż jakieś juwenalia. Takie imprezy to są u mnie w rodzinnym mieście, nazywają się dni Łukowa i gra tam np. PERFECT. Tylko dziar jest mniej...

CHAOS: Hipotetycznie - dostajecie propozycję wydania płyty w dużym, np. metalowym labelu, weszlibyście w to?
Paweł: Nie ma takiej opcji raczej. To jest zupełnie bez sensu. Przede wszystkim wydanie się w metalowej wytwórni sprawia, że hajs ucieka ze sceny. I zarabia ktoś tam. Jakiś kuc buc biznesmen, albo duży koncern. Jebać to. Niech zarobi Lenin, Bezkoc czy ktoś inny. Niech sprzeda trzy tysiące naszych winyli. Dostanie punkową złotą płytę. I niech ma potem tonę hajsu na wydawanie różnych innych rzeczy. Proste. Życzę wszystkim wydawcom płyt hc/punk w Polsce miliardów sprzedanych płyt i tysięcy zajebistych kapel do wydania. A jak ktoś chce się wydawać u metali i robić karierę – niech robi, ale i tak nie zrobi, bo w PL nie ma rynku muzycznego dość dużego na takie granie, więc niestety, nie zostaniesz gwiazdorem. Sorry!

CHAOS: Ale z drugiej strony np. wyjście z przekazem pro vege/vegan do targetu, który myśli, że parówki rosną na drzewach...
Paweł: Wiesz co, jest tyle organizacji, które robią super robotę. Otwarte Klatki chociażby. Jak ktoś je mięso, to nie sądzę, żeby go zespół taki czy siaki przekonał. Umówmy się, co to za autorytet wokalista czy gitarzysta jakiejś grupy hc. Wiesz, mordę ma się jedną. To jest jednak słaby argument, żeby pójść do jakiegoś tam labelu. Dla mnie dużo bardziej przekonujący jest argument hajsu. Niech będzie jak najwięcej kasy dla punkowych wydawców. Niech to się kręci. Jebać potencjalną karierę, której i tak nie chcemy robić, he he. Chcemy po prostu nagrać jak najlepszą płytę i wydać w jakimś dobrym labelu i pojeździć sobie jeszcze trochę w fajne miejsca, oraz żeby ludzie nie mieli naszej muzy w dupie, tylko żeby ona do nich trafiała.

CHAOS: Miło to czytać... Czyli wbrew opiniom niektórych, można postawić znak równości między THE LOWEST a sceną DIY hc/punk?
Paweł: Czy można to nie wiem... Myślę, że w naszym przypadku 95 procentach tak, he he...

CHAOS: Ja stawiam. Ostatnie słowo dla czytelników „CHAOSU" ?
Paweł: Hc to punk, mięso to syf, trening nawet w pochmurny dzień.

PUTREFACTION

PUTREFACTION to jeden z lepszych zespołów na irlandzkiej scenie punkowej. Ich muza to motoryczny, apokaliptyczny walec, gdzieś z pogranicza crusta i metalu. Dla fanów grania po linii HELLSHOCK. Wywiad przeprowadziłem z Erickiem, który jest gitarzystą i zarazem wokalistą PUTREFACTION. Wiedząc, że mój rozmówca ma sporo do powiedzenia nie tylko na temat muzyki, celowo zrezygnowałem z pytania jedynie o zespół. Zachęcam do przeczytania wywiadu i zapoznania się z muzyką tego punkowego tria. Andrzej Tadko. Pomoc przy tłumaczeniu – Leczo (Dzięki!).

CHAOS: Cześć! Na początek ładnie przedstaw zespół...

Erick: Cześć! Jestem Erick - wokal i gitara. Reszta zespołu to Donal - wokal i bas i Eoin na garach.

CHAOS: Wasz LP jest już raczej nie do zdobycia, a ostatnio nagraliście niezłą EPkę. Gdzie można ją chwyntąć, bo mam wrażenie, że też dość szybko się rozejdzie?

Erick: Tak, wydaliśmy „Blood Cult" LP w 2012 roku i jest on już wyprzedany. Nowa EPka „Scavanger" jest dostępna w Distroy Records (www.distroyrecords.com). Poza tym zarówno demo, jak i LP są do ściągnięcia za free na putrefaction.bandcamp.com.

CHAOS: Na przełomie maja i czerwca zagraliście trasę po Francji i Hiszpanii. Jak było? Gdzie grało się najlepiej? Dużo kasy wtopiliście?

Erick: Yeah! Zagraliśmy krótką 10-dniową trasę wzdłuż Francji, Hiszpanii oraz w Kraju Basków. Było zajebiście! Jednym z najlepszych momentów było „Mad Max Party" w Bordeaux u naszych znajomków. Poza tym na trasie fajnie było popływać w Atlantyku w Donostii i w Morzu Śródziemnym w Barcy oraz zagrać ze świetnymi zespołami jak GASMASK TERROR, RIXE, ANCIENT EMBLEM, DAILY RITUAL, DISGUISE i DEMONIOS SALVAJES i z wieloma innymi. Tak naprawdę to nie straciliśmy kasy. Pojechaliśmy moim vanem i mieliśmy własny sprzęt. Poza tym zrobiliśmy własne koszulki, na czym też sporo zaoszczędziliśmy. Koszt promu do Francji jest dużo mniejszy niż do UK, ale niestety zajmuje to 19 godzin.

CHAOS: Wydaje mi się, że zespołom z Irlandii jest znacznie trudniej zorganizować trasę po Europie niż kapelom z kontynentu. Wiadomo – wyspa, więc dochodzą dodatkowe koszty promu lub przelotu. Poza ostatnią trasą graliście gdzieś jeszcze poza Irlandią?

Erick: Tak, nie jest to łatwe głównie z powodu kosztów. Byłem na trasach z paroma innymi zespołami, w których grałem, ale z PUTREFACTION jedyna trasa to ta ostatnia plus parę koncertów w UK i w Holandii.

CHAOS: Poza PUTREFACTION zdzierasz gardło jeszcze w RATS BLOOD. Parę słów o tym zespole, proszę. Wydaje mi się, że twój kolejny zespół CONTORT rozpadł się na dobre...

Erick: Wydzieram się w RATS BLOOD. Póki co zagraliśmy jedną trasę po Europie, wydaliśmy demówkę, EPkę „Punk Is Mutants" i w zeszłym roku longa „Low Life". Gramy raw d-beat hc. We wrześniu będziemy grać na G.I.I. Fest w Groningen i z WARCRY w Amsterdamie następnego dnia. CONTORT grał noise punk, byłem tam gitarzystą. Wydaliśmy dwie kasety, ale od dłuższego czasu jesteśmy w zawieszeniu.

CHAOS: Są jakieś, twoim zdaniem, godne uwagi zespoły z Dublina, które grają obecnie?

Erick: Dublińska scena, z mnóstwem dobrych zespołów, niezależnych miejscówek, skłotów i innych ciekawych projektów, wygląda nieźle. Zespoły warte sprawdzenia to DISGUISE (noise punk bastards), ZOM (punk death metal), GAZE (more noise punk d-beat), STRONG BOYS (queer hardcore), NEW GODS (r'n'r hc punk), OKUS (metal crust), SCUM HEADS (noise pogo w japońskim stylu). Poza tym warto zwrócić uwagę na 1000 DRUNKEN NIGHTS, BACCHUS, TJE JOLLARS, CROWS, SIEZURE, WIZARD OF FIRETOP MOUNTAIN i BURNCHURCH, którzy niedawno grali też w Polsce.

Ponieważ mieszkamy na wyspie, nie dociera tu aż tak wiele zespołów, ale muszę przyznać, że te, które tu dotarły i zagrały, bawiły się nieźle. Jeśli wpadniecie do naszego miasta, to jestem pewien, że również będziecie dobrze przyjęci.

CHAOS: Mieszkałeś trochę w Australii. Moja wiedza o tym kraju nie jest zbyt okazała. Kapel stamtąd znam zaledwie kilka (DEPRESSION,

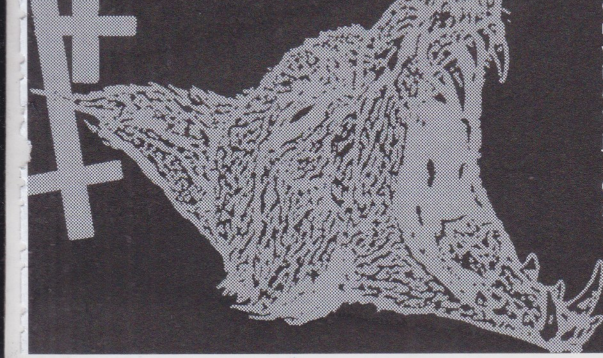

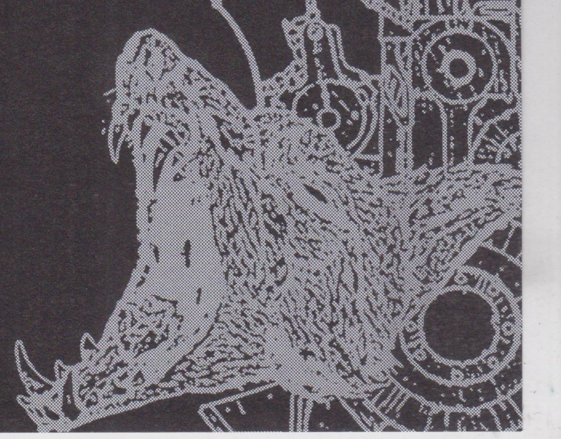

KROMOSOM)… Opowiadaj jak było!

Erick: Masz rację, mieszkałem w Australii w 2008/2009. Rewelacja! Niesamowita pogoda, krajobrazy od pustyni po lasy tropikalne i piękne wybrzeża. Poza tym silna scena punkowa. Skłotowaliśmy chaty w Melbourne i trochę grałem w zespole THE MOOR z ludźmi z PISSCHRIST i ABC WEAPONS. Wiadomo, dużo podróżowaliśmy. Tasmania to z najpiękniejszych miejsc, w których byłem. Wyspa wielkości Irlandii zamieszkana przez 500 000 ludzi, dziewicze lasy przeplatane rzekami plus góry. Niestety, duża część lasów jest przerabiana na potrzeby światowych rynków. Na szczęście istnieje tam bardzo silny społeczny ruch sprzeciwiający się masowej wycince. Poza tym objechaliśmy pustynie i byliśmy w Alice Springs (miasto w północnej Australii znane z powieści Nevila Shute'a „Miasteczko jak Alice" – dop. Andrzej). Bardzo zauważalny jest rasizm i całkowita marginalizacja życia Aborygenów. Historia Australii jest brutalna i pełna przemocy. Kolonizacja i proces ludobójstwa są cały czas kontynuowane poprzez wywłaszczanie i dyskryminacje rdzennych mieszkańców. Także i na tym polu jest silny ruch, który z tym walczy. Więcej wiadomości na ten temat znajdziecie na sosblakaustralia.com. Jeśli chodzi o zespoły, to minęło już parę lat, ale warto posłuchać EXTINCT//EXIST, KROMOSOM, HA VITTATAT, TEAR GAS, GREY PLACES, DEATH CAGE, CANINE…

CHAOS: Wróćmy do deszczowego Dublina. W ostatnim roku widzę dużą, jak na to miasto, aktywność związaną ze skłotingiem. Wcześniej to zjawisko było niezauważalne. Słyszałem jedynie o jakimś skłocie w latach 90-tych. Czy ma to związek z dramatyczną sytuacją mieszkaniową – ogromny wzrost opłat za wynajem, coraz większa niechęć właścicieli do wynajmowania chat osobom z „dziwnym" wyglądem lub słabymi referencjami z pracy?

Erick: Masz rację, scena skłoterska jest bardzo aktywna. Jest wiele małych budynków, które zajęte są na potrzeby mieszkaniowe i duży budynek w centrum, Baricade Inn – anarchistyczne centrum socjalne z wegańską knajpą, warsztatami rowerowymi i koncertami. Jestem przekonany, że ruch skłoterski to odpowiedź/reakcja na bardzo drogie czynsze, gdy jednocześnie od czasu „recesji" są setki pustostanów w mieście. Scena skłoterska w Dublinie jakieś 10-15 lat temu była dość aktywna, ale policyjne represje skutecznie zahamowały skłotowanie dużych budynków. Na szczęście jest tu nowa ekipa, która jest dość silna i aktywna.

CHAOS: Kryzys mieszkaniowy to jak zwykle argument przeciwko imigrantom. Często spotykam się ze stanowiskiem, że to przez Polaków, Brazylijczyków i Rumunów tak bardzo wzrosły koszty wynajmu mieszkań.

Erick: Bzdura! Mieszkam w Dublinie od urodzenia i nawet w latach 90-tych, gdy nie było tu żadnych imigrantów, sytuacja mieszkaniowa wyglądała dość słabo. Problemem jest brak mieszkań socjalnych, więc ludzie są zmuszeni wynajmować chaty za horrendalne ceny. Brak jest jakichkolwiek

regulacji na rynku mieszkaniowym, więc panuje totalna „wolna amerykanka". Głównie dlatego, że właściciele chat to bardzo mocna grupa nacisku na lokalnych polityków i ustawodawców.
Prawicowe media może i obwiniają imigrantów za tę sytuację, ale prawdą jest, że to miasto było zjebane zanim ktokolwiek zaczął tu przybywać.

CHAOS: Wraz z nową falą emigracji z Polski coraz więcej dociera tu nazistowskiego ścierwa i są coraz bardziej widoczni. Podobna sytuacja jak w Londynie. Nigdy w Irlandii nie było jakichś specjalnych problemów z tymi pomiotami, a teraz Polacy ściągnęli za sobą tę plagę…

Erick: O tak! Przyjezdni naziole – co za, kurwa, ironia! Na szczęście jest tu też wielu polskich punkowców, jak ty. Ci popierdoleńcy próbowali się zorganizować i pokazać, ale spotkali się z oporem lokalnej Antify. Poza tym Irlandia w przeszłości była skolonizowanym krajem, więc widoczny ruch faszystowski nie jest tak aktywny jak w reszcie Europy. Gdziekolwiek wylezą te łyse łby – zostaną obcięte!

CHAOS: Jesteś nieźle wkręcony w boks tajski. Dlaczego właśnie ta sztuka walki, a nie jakieś karate czy brazylijskie jiu jitsu? Czy często miałeś okazję używać swoich umiejętności poza salą ćwiczeń?

Erick: Trenuję od jakichś 7 lat, uwielbiam Muay Thai. Poza tym ćwiczyłem rosyjską „systemę". Wydaje mi się, że Muay Thai przyciągnął mnie opinią jednej z bardziej brutalnych i skutecznych sztuk walki na świecie. Poza tym jest świetny dla rozwoju zdrowego ciała i mózgu. Hmm… Mieszkając w Dublinie dobrze jest znać jakąś sztukę walki i przyznam się, że przydało się to tu i ówdzie…

CHAOS: Jesteś weganinem i jakoś wcale nie przeszkadza ci to ćwiczyć Muay Thai. Powiedz parę zdań tym, którzy myślą, że bez wpierdalania dziesiątek kurczaków czy kilogramów sera nic z tego nie będzie.

Erick: Jestem weganinem od 14 lat. Jestem pewien, że jeśli dobrze się rozejrzysz to znajdziesz sposób, żeby połączyć dobre odżywianie z treningiem. Jest dużo dezinformacji, jeśli chodzi o białko pochodzenia zwierzęcego, co odrzuca wiele osób od przejścia na białko roślinne. Kiedyś jeden typ na treningu zapytał mnie: dlaczego nie jadasz mięsa? Nie chcesz być silny jak lew? Odpowiedziałem mu, że chciałbym być silny jak goryl. Dobrym źródłem informacji na ten temat jest książka „Thrive" Brendana Braziera. Jest on raw weganinem i mistrzem Iron Man Champion (chuj jasny wie, co to takiego… Pewnie coś w stylu naszego Strong Mana – dop. Andrzej).

CHAOS: Parę lat temu byłeś wokalistą w EASPA MEASA i graliście trasę po Polsce. Masz jakieś ciekawe wspomnienia z tej trasy?

Erick: Zagraliśmy w Polsce w 2005 roku razem z

SILENCE. Była to część naszej cztero-miesięcznej trasy, a Polska była jednym z fajniejszych miejsc, w których graliśmy… Szalone momenty na Fabryce w Warszawie razem z INSUICIETY i MADAME GERMEN, De-Centrum w Białymstoku… Gdy poszedłem się wysrać i zobaczyłem, że sram na czerwono to myślałem, że umieram, ale później przypomniałem sobie, że na kolację były czerwone buraki!

CHAOS: W waszej muzyce (mowa o PUTREFACTION) można się doszukać inspiracji m.in. HELLSHOCK i… „Mad Maksem" (wasz clip na YouTube)! Skąd ta fascynacja „Mad Maksem" i ile razy go oglądałeś?
Erick: Ha!Ha! Nie mam pojęcia ile razy go oglądałem! „Mad Max 2" był moim ulubionym filmem od czasu, kiedy byłem młody. Powiązanie tego filmu z zespołem zaczęło się, kiedy użyliśmy wstawki z „Mad Maksa" na naszej demówce. Zawsze podobał mi się ten film, bo jest punk as fuck! Punk jest apokaliptyczny a nawet post-apokaliptyczny w swej wizji. Walczymy bezustannie o przetrwanie naszej subkultury i tworzymy coś nowego na resztkach świata, który zdecydowaliśmy się odrzucić. Robimy hałas na odrapanych gitarach, skłotujemy opuszczone budynki, wegetujemy na odpadach tego społeczeństwa. Nasze teksty zawsze miały apokaliptyczny podtekst, ale jednocześnie świadomie staramy się być bardziej wkurwieni niż apatyczni i przegrani. Forever fighting back. Never giving up, no matter how fucked up this world becomes.

CHAOS: Nie jesteście chyba wielkimi fanami PARANOID VISIONS?
Erick: Lubię ich stare rzeczy. To był jeden z ważniejszych zespołów, jeśli chodzi o irlandzki punk rock. Jako młody chaos punk wiele razy widziałem STRIKNIEN DC – zespół, który powstał w latach 90-tych na gruzach PARANOID VISIONS (PARANOID VISIONS reaktywowało się później i grają do dzisiaj – dop. Andrzej).

CHAOS: Jakieś ciekawe miejsca w Dublinie? Wege knajpy? Miejscówy koncertowe? Alternatywne centra? Gdyby ktoś chciał się tu wybrać z wizytą…
Erick: Tenter Hooks jest niezłą DIY miejscówką na południe od Liffey (rzeka dzieląca miasto, tak po środku – dop. Andrzej). W centrum Dublina jest już wcześniej wspomniany Baricade Inn. Inne niezależne miejsca to Jigsaw (dawna Seomra Spraoi), Jah Jah Studios. Karate Klub to nasza miejscówka, sala prób, studio nagraniowe i punk bar (Phibsboro). O żarciu: Baricade Inn robi wegan cafe w każdą sobotę. Inne miejsca, w których można coś zjeść na weganie to Co-Op (targ obok Tenter Hooks), Umi Falafel, Blazing Salads, Cornocopia i oczywiście ulubione miejsce Andrzeja „All you can eat Indian food for 6.50"!!! („6.50" to nie tylko jedzenie, to styl życia! – dop. Andrzej). To tyle o dublińskim żarciu.

CHAOS: Jak myślisz, czy w dobie internetu jesteśmy świadkami kompletnego końca tradycyjnych papierowych zinów? Ja osobiście jestem wielbicielem takich tradycyjnych zinów, z fajną grafiką, a nie jakichś elektronicznych mediów. Różnica taka, jak między winylem a mp3. Wychodzą jakieś ciekawe ziny w Irlandii?
Erick: To oczywiste. Od jakichś 5-10 lat ziny umierają, a mimo tego wciąż jest parę ciekawych rzeczy, które warto poczytać. Jakiś czas temu w Dublinie odbył się konwent zinowy, czyli jednak coś tam się dzieje. Osobiście zrobiłem parę zinów „Two Headed Dog" i „Blod". Teraz pracuję nad czymś nowym, ale zajmuje mi to trochę czasu. Poza tym zrobiłem zina o zdrowiu psychicznym „This Frantic Silence", a teraz mam bloga, który się zwie stormhag.tumblr.com. Jednym z dłużej wychodzących zinów w Irlandii jest „Loserdom" i teraz mamy nowy newsletter „The Parish Punk". Oczywiście wciąż wychodzi antyfaszystowski zine „No Quarter".

CHAOS: Wiem, że zbierasz winyle. Na pewno coś ostatnio fajnego trafiłeś…
Erick: Uwielbiam winyle, głównie za brzmienie i artwork. Mam ich trochę, ale nie nazwałbym siebie kolekcjonerem. Ostatnio słucham dużo hiszpańskiego hc/punka jak GENERACION SUICIDA, DESTINO FINAL, SUICIDAS, a także sporo francuskiego oi'a (RIXE i SYNDROME 81). Dużo słucham również japońskiego punka np. KRIEGSHÖG, NEMESIS albo 7"EP THE POISON COLA.

CHAOS: Nie pociąga cię taka bardziej destroyerska forma punka? Chodzi mi o walenie alko, takie ostrzejsze…
Erick: Nie za bardzo. Lubię pić piwo i łychę z kumplami, ale widziałem tak dużo ludzi zniszczonych przez alko… Myślę, że chlanie jest bardzo destrukcyjnym elementem irlandzkiej kultury. Wydaje mi się, że system/gliny są bardzo zadowoleni z tego, że większość punkowców jest napizgana cały czas. Jednocześnie nie jestem straight edge i nie oceniam nikogo przez pryzmat chlania czy ćpania. Cokolwiek się dzieje z twoim życiem to twoja sprawa. Mój wybór to nie być zależnym od jakiegoś gówna. Just try to survive and stay sharp!

CHAOS: Czy jest jakaś szansa, że czytelnicy tego zina zobaczą PUTREFACTION na żywo w Polsce lub gdzieś w pobliżu Polski, np. w Berlinie?
Erick: Z dziką przyjemnością czekamy na zaproszenie do Polski i Europy Wschodniej. Nie dysponujemy tak dużą ilością czasu i kasy, żeby przyjechać moim vanem, ale jak zapłacicie za lot i pożyczycie jakieś gitary, to gramy!

CHAOS: OK, to tyle!
Erick: Dzięki Andrzej za wywiad… Up The Punx!

Myślę, że zespół HERIDA PROFUNDA nie powinien być nikomu całkowicie obcy. Ostre jak brzytwa i ciężkie jak życie granie o crustowej motoryce, nie unika jednak wpływów innych rodzajów punka czy metalu. Znam ich, obserwuje i kibicuję od niemal pierwszej próby. Niedługa historia kapeli już zdążyła się naznaczyć kilkoma zmianami składu, rozjazdami po świecie i szeregiem innych wydarzeń utrudniających funkcjonowanie zespołu. Trzeba przyznać, że wytrwałość tych ludzi w dążeniu do celu jest godna podziwu. Przed wami wywiad ze wszystkimi członkami zespołu. Przepytywałem ja, czyli Młody.

HERIDA PROFUNDA

CHAOS: Początek HERIDA PROFUNDA w formie, jaką znamy dzisiaj to rok 2012. Edi, ty planowałeś założenie tego zespołu już dużo wcześniej. Miałeś dwie próby zmontowania składu, z których nie wyszło wiele. Pierwszy skład tworzyli głównie ludzie z twojego poprzedniego zespołu, BUNDER NEKROMUNDA. Mieliście już nawet zaanonsowany jeden koncert. Dlaczego wtedy się nie udało?

Edi: Pierwszy koncert miał być na Crustivalu, u nas w Gorzowie, u boku m.in. BESTHÖVEN. Nie zagraliśmy, bo Machała wymiękł.

Borówa: Słyszałem, że stwierdził, iż macie nieprzygotowany materiał i nie będzie grał koncertu, gdy zespół jest nieograny, bo to siara.

CHAOS: Jak i kiedy zawiązał się zespół w składzie: Edi, Borówa, Grzesiu i Machała? Jak wszyscy znaleźli się w tym ze-spole?

Edi: Machała był w składzie od samego początku, tylko wcześniej grał na bębnach, nie na basie.

Borówa: My we dwóch, z Edim, zaczęliśmy gadać o zmontowaniu kapeli i rozglądać się za składem. Machała zapodał, że może grać u nas na basie i tak zostało. Graliśmy w trójkę gdzieś przez dwa albo trzy miesiące, później pojawił się jeszcze Grzesiek.

CHAOS: W tym składzie zagraliście kilka koncertów w Gorzowie i Szczecinie, a następnie pojechaliście w trasę po Niemczech wspólnie z zespołem SIŁA. Edi, czy pociągnąłeś to trochę na ogonie BUNDER NEKROMUNDA?

Edi: Nie. Graliśmy w miejscach, w których nigdy z BUNDERAMI nie byliśmy. Z BUNDEREM właściwie tylko raz zagraliśmy za granicą. Nie podpierałem się żadnymi kontaktami, bo za wiele ich wtedy nie miałem.

CHAOS: Jakiś czas później nagraliście i wydaliście pełny materiał na winylu. Jak patrzycie z dzisiejszej perspektywy na ten materiał? Jesteście z niego zadowoleni?

Edi: Materiał jest spoko. Ja jestem z niego zadowolony, dlatego, że jest zróżnicowany. Nie zamyka się w jednej stylistyce. Wiadomo, że z perspektywy czasu niektóre rzeczy by się pozmieniało, ale tak chyba jest zawsze. Ważne żeby grać to, co się lubi i niekoniecznie zamykać się tylko w jednym gatunku. Teraz też każdy dorzuca swoje 5 groszy, które składają się na całość.

CHAOS: Jednak z tego, co wiem nie jesteście zadowoleni ze współpracy z jednym z wydawców, który trzymał pieczę nad wydaniem tego materiału. Dlaczego? Co po-szło nie tak?

Edi: „Nasz wydawca jest złodziejem" (śmiech). Wpadliśmy w tę samą pułapkę, w którą wpadło wiele innych kapel. Co poszło nie tak? Winyl wydało 8 labeli i my, jako zespół po ośmiu miesiącach tłumaczyliśmy się innym wydawcom, dlaczego No Sanctuary Records jeszcze nie wysłało im płyt.

CHAOS: Finalnie jednak te płyty trafiły i do was i do reszty labeli.

HP: Finalnie sami je odebraliśmy.

Edi: Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy nie pozostawiała wyboru, więc postanowiliśmy sami zapukać do drzwi kolegi Artura. Skończyło się tak, że my zrobiliśmy robotę, której on nie mógł zrobić przez 12 miesięcy. Dobrze, że to pojawi się w tym wywiadzie, bo może być przestrogą dla innych kapel, żeby się nie wpierdalać we współpracę z kimś, kto jest na maxa niepoważny. My nie byliśmy jedyną kapelą, która się wjebała w bagno, bo są zespoły z Poznania, Łodzi i jest jeszcze parę innych, z którymi sam rozmawiałem i pytałem się, jakie były ich sytuacje i jest bardzo kiepsko.

CHAOS: Oprócz płyty winylowej, ten materiał wyszedł również na kasetach. Głównie na Azję, tak?

Edi: Wyszedł też CD pod szyldem tej urojonej wytwórni, która nazywa się 783 i ja wyłożyłem na to pieniądze. Kasety wyszły jak na razie w Indonezji, Niemczech, Austrii, Rosji, Chile, USA i na Ukrainie. W planach są jeszcze UK, Grecja, Malezja, Belgia, Portugalia, Serbia i może Polska. To taki bardziej rarytasik żeby się podjarać kolorową kasetą, ścisłym limitem.

Jędras: Ale oczywiście tam gdzie były wydane kasety też pojedziemy grać koncerty, nie? Bo to było zawarte w kontrakcie. Czyli Indonezja na pierwszy strzał (śmiech).

CHAOS: Na początku 2013 roku zmieniliście skład. Pożegnaliście się z Machałą, dlaczego? Nowym basistą został Jędrzej – jak do tego doszło?

Borówa: Mieliśmy zaplanowaną trasę, była mowa o 2 czy 3 tygodniach. On stwierdził, że nie będzie tracił swojego urlopu na „drugorzędną kapelę". Była też jeszcze kwestia, że jemu zaczęło przeszkadzać zaangażowanie w tekstach.

Edi: Wiadomo, że dla Machały oczkiem w głowie od zawsze była SIŁA. Z tego, co pamiętam i wiem, on po jakimś czasie zaczął mówić, że pierwszy materiał jest słaby i nie ma „kultury muzycznej". A tak na dobrą sprawę to był materiał zrobiony przez niego. Jeśli chodzi o zaangażowanie w tekstach, ja staram się przemycać kwestie anty-faszystowskie i obrony praw zwierząt, a on nie ma parcia ani na jedną, ani na drugą kwestię. Może go to nie uwierało, ale też nie był entuzjastą. Na dobrą sprawę nikt nikogo nie będzie zmuszać. Tak więc to nie było rozstanie nasze, a jego, co nam i jemu wyszło na zdrowie.

Borówa: Co do grania z Jędrasem, to już wcześniej były przymiarki i gadki na ten temat, gdy były problemy z Machałą. W momencie, kiedy zrezygnował, po prostu Jędras wskoczył w jego miejsce. To się tak fajnie zgrało w czasie.

Edi: Mieliśmy zaklepany koncert w Poznaniu. I cały czas myśleliśmy o trasie po wydaniu materiału. A że Machała nie był zainteresowany graniem koncertów, bo nigdy nie lubił jeździć, to napisaliśmy do Jędrasa. Głównie z tego względu, że przecież znał nasz materiał, bo go nagrywał. Zdecydował się pomóc. Nie ma nic piękniejszego jak miłość męsko-męska (śmiech).

CHAOS: Wiem, że wraz ze zmianą basisty nastąpiła zmiana w podejściu zespołu do grania prób i koncertów. Przestały wam się zdarzać takie akcje jak niezapomniany, przynajmniej dla mnie, koncert w Sulęcinie. Czy to presja ze strony starszego kolegi? (śmiech)

Jędras: A co się wydarzyło na koncercie w Sulęcinie?

CHAOS: Machała grający cały kawałek z odpiętym kablem lub niegrający w ogóle, tylko napierdalający basem w gitarę Grzesia, zespół kłócący się ze sobą na scenie podczas koncertu i ogólny kabaret (śmiech). Generalnie 1:0 dla wódki.

Edi: Jeśli pytasz czy skończyliśmy z alkoholem, odpowiedź brzmi: NIE! Chociaż Stary się czasami wkurwia jak przedobrzymy.

Jędras: Ja wolę jak przynajmniej Borówa jest trochę trzeźwiejszy niż bardziej najebany jak gramy. Po paru koncertach czy trasie, po prostu widziałem w jakiej formie jest mi najlepiej grać. Z racji tego, że mam takie a nie inne podejście do grania muzy - czyli techniczne i analityczne z racji tego co robię na co dzień - staram się, aby koncerty były dobrze zagrane. Ja w zasadzie też za kołnierz nie wylewam lecz wolę jednak zagrać koncert jak bębniarz jest sprawny, a potem to...

Borówa: Niech sobie spada z dywanu na łeb (śmiech).

Edi: No w sumie wszyscy są tego samego zdania. Borówa

akurat musi grać trzeźwy. Właściwie to chyba sama się taka zasada włączyła, a nie przez jakieś spiny. Wszystkim to na zdrowie wychodzi.

CHAOS: Latem 2013 roku odbyliście trasę, podczas której mieliście okazję objechać pół Europy. Jak się bawiliście? Jakie miejsca i zespoły zrobiły na Was największe wrażenie?

Jędras: Jeżeli chodzi o kapele, to ciężko mi powiedzieć, żeby zapadły mi w pamięć jakieś, które mnie zaskoczyły. Mnie już nie jest w stanie nic zaskoczyć i wydaje mi się, że wszystko już zostało zagrane. To, co mnie może zaskoczyć to, że ktoś technicznie dobrze zagra koncert, sama sprawność. Pamiętam w zasadzie każde miejsce, w którym graliśmy. Każde miało jakąś swoją zajebistą specyfikę. Czechy, Niemcy, Belgia, Francja... Jednak w pamięci najbardziej zapadła Hiszpania, w której spędziliśmy chyba 10 dni. Koncert na La Jungli był zajebisty, tak jak i samo miejsce.

CHAOS: Nie zagraliście wszystkich koncertów z powodu problemu natury logistycznej.

Borówa: Wyjechaliśmy z Barcelony i okazało się, że mamy spierdolone auto. I wtedy mieliśmy te nieplanowane 10 dni wakacji z szukaniem sensownego rozwiązania w tle.

Jędras: Dwa koncerty we Francji i jeden w Szwajcarii musieliśmy odwołać. Tak naprawdę to stresujące były te przymusowe wakacje. Mieliśmy busa pełnego sprzętu, zaparkowanego w serwisie Renault 30 km od Barcelony i nasze dni wyglądały tak, że kimaliśmy gdzieś na squacie, a potem szliśmy do znajomych i tam korzystaliśmy z internetu i szukaliśmy jakiejś deski ratunku, żeby ściągnąć nasze auto, no i nas. Skończyło się tak, że wróciliśmy samolotem, a samochód lawetą.

CHAOS: Niedługo po trasie pożegnaliście się z gitarzystą – Grzegorzem, a Jędrek przejął jego funkcję. Jakie były powody rozstania? Różnica wieku?

Jędras: Bardziej w podejściu niż w wieku, bo są osoby, które są młode, a potrafią chwycić życie za mordę. Być może go to przerosło. Przeprowadziliśmy z nim normalną, kulturalną rozmowę. On zrozumiał, nawet sam przytaknął.

Edi: To było trochę takie jakby wkopanie go na siłę przez nas w ten cały światek. Czy chcesz czy nie, z czasem trzeba by było się odnaleźć. Na każdego przychodzi czas i to nie może być tak, że cię koledzy wbijają butami. Wtedy było też ostre tempo z koncertami, Grzesiu miał maturę i starych na głowie - i to też był jeden z powodów.

CHAOS: Sporego zamieszania narobił wasz niedoszły udział na koncercie w Rumii, a właściwie osoba organizatora. Przypomnijcie o co chodziło. Dlaczego nie zagraliście na tym koncercie?

Edi: Ja stałem za zrobieniem tego koncertu. Szukaliśmy jakiejś możliwości zagrania, bo graliśmy jeszcze w Toruniu. A że graliśmy już wcześniej w Gdańsku, to uderzyłem do tego gościa. Na dzień przed koncertem dostałem cynę o organizatorze, który przybija piątki z naziolami. Zaczęliśmy zaczerpywać informacji, głównie z Trójmiasta.

Jędras: No i potwierdziły się zasłyszane przez Ediego informacje o jakichś tam konotacjach.

CHAOS: Nagrywanie piosenek z typem ze Złotego Świtu.

Jędras: Właśnie, faktycznie! I szambo zaczęło wybijać. W ogóle ta cała sytuacja miała szerszy kontekst. Bo my stwierdziliśmy, że jedziemy do Trójmiasta żeby odebrać nasze płyty od Florka. Ale i tak wiedzieliśmy, że w Rumii nie zagramy. Po naradzie stwierdziliśmy, że odwołujemy ten koncert i zadzwoniłem do gościa, żeby sytuacja była czysta. Powiedziałem mu, że nie przyjeżdżamy i z jakiego powodu – rozmawialiśmy ok 20 minut – przedstawił mi swoja wizję świata, która tylko przypieczętowała naszą decyzję i wszystko.

Edi: To jest taki typ, który uważa siebie za apolitycznego - mówił, że nie jest ani prawy, ani lewy, że jak ma jakichś tam kolegów, to nie znaczy, że sam taki jest. Takie wiesz, lelum polelum, skala szarości taka, że aż kurwa śmierdzi.

Jędras: Po tym rozpętała się jakaś burza na forum publicznym i my jako zespół, wydaliśmy oświadczenie, żeby się wypowiedzieć w tej kwestii. To oświadczenie zostało też opublikowane na stronie 161 Crew. Kto będzie chciał, to sobie znajdzie ten list. Nie wiem czy gościu cały czas organizuje koncerty, może przestał.

Edi: Jeżeli to za naszą sprawą, to ja się bardzo z tego cieszę.

Jędras: Dokładnie - to jest ukręcenie kolejnego łba. Osobiście miałbym niezłego kaca gdybyśmy zagrali ten koncert. W ogóle dziwne było to, że koleś o takich konotacjach udzielał się na forum hc/punkowym, organizował koncerty różnym kapelom. Pewnie niektóre zespoły nie miały pojęcia kto im organizuje koncert.

CHAOS: Życiorysu każdemu się raczej nie prześwietla.

Jędras: W zasadzie tak, ale wychodzi na to, że warto wiedzieć, kto jest organizatorem koncertu i trzeba uważać na takie rzeczy. Może dla niektórych to nie ma większego znaczenia. Dla nas ma. Mówimy za siebie.

CHAOS: W zeszłym roku wyprowadziłeś się, Edi, do Anglii, co na pewno musiało zwolnić wasze do tej pory dość intensywne obroty. W jaki sposób funkcjonuje zespół rozrzucony pomiędzy Anglią, Gorzowem i Poznaniem? Jak często gracie próby i koncerty?

Edi: Ten rok jest spokojniejszy niż poprzedni i pewnie w ogóle już takiego jak 2 lata temu nie będzie. Nie bywam na każdej próbie i na pewno nie będę na każdej, chłopaki się zgadują częściej niż ja. Dużo spraw przerzuciło się na maila. Jakiś czas temu byliśmy na etapie robienia materiału, przy czym w ogóle nie byłem obecny. Dostawałem reha na maila, coś tam sobie ogarniałem z wokalem i jak przyjeżdżałem do Polski, to robiliśmy sobie próbę. Parę razy było tak, że przylatywałem na próbę w sobotę i wylatywałem w niedzielę. Na razie tak to funkcjonuje. Dużo zależy teraz od nich. Wcześniej jak miałem jakiś pomysł i on był akceptowany, to był wdrażany w życie, a teraz po prostu mnie nie ma przy robieniu nowych kawałków, więc czasami bywa tak, że gotowy numer dostaje na maila w postaci mp3.

Jędras: Każdy dostaje i przecież możesz zawsze swoje uwagi wprowadzić, a my możemy też pracować nad tym, jakoś skorygować. Ja akurat trochę nad tym ubolewam, że jesteśmy tak rozjebani, bo jak by nie patrzeć utrudnia to trochę współpracę. Na pewno byłoby łatwiej jakbyśmy wszyscy siedzieli w jednym mieście i prościej by było się spotkać, towarzysko i w ogóle też na próby moglibyśmy się umawiać z doskoku.

CHAOS: Po długim czasie grania we trójkę, w końcu dołączył do was basista, a został nim Gavlish, znany z kilku zielonogórskich zespołów. Opowiedz w jakich okolicznościach dołączyłeś do kapeli. Zagraliście już razem krótką trasę. Nie było ci trudno wytrzymać z tymi ochlejami tyle czasu? Prosiłbym cię również o parę słów na temat twojej muzycznej przeszłości i SOPHIE SCHOLL, którego jesteś motorem napędowym od kilku dobrych lat.

Gavlish: Podczas nagrywania nowego materiału z SOPHIE SCHOLL w Studio Riot dowiedziałem się od Jędrasa, że kapela szuka basisty. Zaproponowałem więc nieśmiało moją osobę. W Zielonej Górze od dłuższego czasu próbowałem zbudować projekt poruszający się w podobnej stylistyce, jednak plany spełzły na niczym. Od słowa do słowa i ostatecznie podjęliśmy współpracę. Bardzo ucieszył mnie fakt, że mogłem dołączyć do grupy osób, które granie w zespole traktują poważnie i konsekwentnie realizują wyznaczone cele. Poznań, gdzie gramy próby, nie leży w jakiejś kosmicznej odległości od mojego rodzinnego miasta, więc regularne dojazdy nie stanowią dla mnie większego problemu. Pierwszym sprawdzianem była kwietniowa mini trasa, podczas której pozbyłem się złudzeń, co do mojej półrocznej abstynencji i oczywiście wywołało to falę euforii wśród pozostałych członków zespołu (śmiech). Jeśli chodzi o SOPHIE SCHOLL, to wiele się w ostatnim czasie pozmieniało. Na wokal wskoczyła Karolina, doszedł drugi gitarzysta Piotrek (ex-2ND WIND), tym samym zespół zyskał sporo świeżości i energii. Gramy trochę koncertów, a niedawno nakładem Spook Records wyszedł nasz 3-way split przy współudziale takich kapel jak DINTOJRA i CROSSHOOD.

CHAOS: Jeszcze w trzyosobowym składzie nagraliście materiał, który pierwotnie miał się ukazać na splicie z BESTHÖVEN. Dziś już wiemy, że ukaże się jednak do spóły z HELLBASTARD. Jak doszło do tej współpracy i dlaczego jednak nie BESTHÖVEN? Kiedy możemy spodziewać się fizycznego nośnika? Na jakim to jest etapie?

Jędras: Współpraca z BESTHÖVEN na długo pozostanie w mojej pamięci. W zasadzie zero zaangażowania z jego strony w ten projekt i bardzo słaby kontakt z typem. Nie chce mi się do tego wracać. Cieszę się, że nie doszło do tego splitu. Jako że wmieszanych w to było kilkanaście wytwórni nie można było się z tego tak łatwo wycofać. Zaczęliśmy szukać nowego partnera i okazało się, że HELLBASTARD chętnie do nas dołączy. Jak dla mnie - rewelacja. Kontakt i współpraca bez zarzutu!

Edi: Placki są już wytłoczone. Data wydania to 19/09/2015. W ten sam dzień odbędzie się release party, podczas naszego wspólnego gigu w Hellbastard na 21. urodzinach Rozbratu. Wydawnictwo ukaże się jako picture disc z zajebistą grafiką zrobioną przez Wechtera (Too Many Skulls). Do tego jakieś wkładki z tekstami, wlepy i limit ze specjalną okładką drukniętą na sicie.

CHAOS: Teksty i przesłanie przejawiają duże pokłady zaangażowania społecznego i politycznego, a także pojawiają się wątki bardziej osobiste, można powiedzieć emocjonalne. Co cię inspiruje do ich pisania? Co chcesz przekazać swojemu słuchaczowi, o ile cokolwiek chcesz?

Edi: Tak (śmiech). Życie jest inspiracją. Inspiruje mnie to, co widzę naokoło. To, co widzę w wiadomościach i czytam w gazetach również. Inspiruje mnie to, co się odczuwa. Każdy myślący i czujący człowiek pewnie znalazłby coś, co ma do przelania, więc znajduję i ja. A co chcę przekazać? Są takie teksty, w których chciałbym coś przekazać, jeżeli chodzi o podejście do ruchu antyfaszystowskiego albo do praw zwierząt. Są też teksty, które mają charakter osobisty i nie ma w nich nic specjalnie do przekazania komuś poza tym, że wywalam to na papier z siebie, żeby nie wywalać tego komuś pięścią w ryj.

Jędras: Ale jakby nie patrzeć to też jest jakiś przekaz.

Edi: Jakiś to przekaz może jest, ale pisząc tekst nieszczególnie myślę o odbiorcy. Mi w ogóle bardzo trudno przychodzi pisanie tekstów. Na te dwa materiały, było tylko parę numerów, które mi przyszły jakoś tam łatwo. Nie uważam siebie za jakiegoś mega tekściarza, wręcz przeciwnie.

CHAOS: A co myślicie o dość często pojawiających się głosach, że na scenie wszy-scy są zajebiście uświadomieni i dalsze ich uświadamianie pozbawione jest sensu?

Jędras: Wydaje mi się, że to wszystko jakby zatoczyło duże koło. Scena DIY, która powstała jakoś pod koniec lat 80-tych w zasadzie do tej pory ma przekaz, który się nie zmienia od tych 30 lat i wydaje mi się, że nie jest to złe, bo te tematy są bieżące. Oczywiście można też wytowić coś nowego, bo czasy też się zmieniają. Wiadomo, bardzo fajnie jest pojechać gdzieś, zagrać na skłocie, jednym, drugim, w alternatywnym miejscu tworzonym przez młodych ludzi, ale myślę że przekaz ten powinien trafiać też do takiego zwykłego Janka czy Ani, która siedzi w sklepie albo chodzi po ulicy i być może nie ma świadomości rzeczy, o których my sobie mówimy od 30 lat, a ona nie ma o tym bladego pojęcia, więc w pewnym sensie wg. mnie jest to trochę kiszenie się we własnym sosie.

CHAOS: Czy scena DIY to getto?

Jędras: Nie nazwałbym tego gettem, bo scena DIY to piękna rzecz. To, że ludzie potrafią, jak to się mówi, stworzyć coś z niczego. Widać, że w niektórych środowiskach i miejscach, ekipy starają się wyjść do zwykłych ludzi i wciągnąć ich w działania samoorganizujące, które ścierają się z przeróżnymi problemami stwarzanymi przez system. Ludzie mają problemy naprawdę poważne, począwszy od mieszkalnictwa, po problemy migracyjne, które dla człowieka zapierdalającego codziennie do roboty na 8 czy 10 godzin są ciężkie do zauważenia. Zwykli ludzie są traktowani jak istoty niższej kategorii – jak plankton dla grubszych ryb. Nie łatwo jest wywołać dyskusje w społeczeństwie, a jeszcze trudniej działanie.

Edi: Cały problem polega na tym, żeby uświadamiać nieuświadomionych. Tylko to jest najtrudniejsze w tym wszystkim. Jak dotrzeć do tego odbiorcy.

CHAOS: Czyli jesteście za wychodzeniem na zewnątrz?

Jędras: Ja jestem jak najbardziej za lecz jest wiele przykładów, że gdy wyjdziesz poza to większego pożytku z tego nie ma i szczytne cele aby otwierać ślepcom oczy petzną na niczym.

CHAOS: CHUMBAWAMBA próbowała, ale z jakim skutkiem to już inny temat.

Jędras: CHUMBAWAMBA próbowała i to skończyło się fiaskiem. Nie wiadomo dlaczego. Być może jest to jakiś przykład, który nauczył albo pokazał, że tak się nie da, a może to była tylko kwestia ludzi, którzy nie potrafili sobie z tym poradzić.

Edi: Ale to też trochę inny temat, bo to, co my gramy nigdy nie będzie jakimś mainstreamem czy czymś w tym stylu. Nie chodzi o to, żeby wchodzić z butami gdzieś, gdzie nie chcesz być i tam gdzie ciebie nie chcą. Nie chodzi o kwestie muzyczne tylko o aspekt samego uświadamiania. Tego co mamy w głowach i chcemy przekazać nigdzie za bardzo nie wepchniemy w formie w jakiej to serwujemy. Mało tego, za bardzo pchać się nie chcemy.

Jędras: To zależy. Oprzyjmy się na takiej kapeli jak np. NAPALM DEATH, która tak naprawdę jest kapelą legendarną. Przypuszczam, że jakbyśmy powstali pod koniec lat 80-tych, to też byśmy byli legendą metalu i być może dzięki temu moglibyśmy przekazywać nasze wartości innym ludziom. Byłem raz na koncercie NAPALM DEATH. Bardzo żałuję, że teraz nie byłem. Grali we Wrocławiu i widziałem wokalistę w koszulce 161 Crew - zajebiście. Wydaje mi się, że jakbyśmy się uparli i chcieli wejść na scenę metalową, to przypuszczam, że teoretycznie byłoby to możliwe. Nie wiadomo jak w praktyce, bo tych zespołów jest teraz od zajebania, więc musisz być dobry technicznie, bo wymyślać teraz coś oryginalnego w gatunku metal to już jest w zasadzie niemożliwe. A wydaje mi się, że grając taką muzykę jaką my gramy, to tylko i wyłącznie przez wtopienie się w metalową scenę moglibyśmy przekazywać te wartości, które byśmy chcieli, które ja bym chciał, bo wypowiadam się za siebie w tym momencie, żeby trafiły do człowieka, który słucha metalu i nie zastanawia się nad przekazem, bo tak w większości po prostu jest.

Edi: Wydaje mi się, że graliśmy parę takich koncertów dla osób, które też się nie zastanawiały. Mówię teraz o jednym przykładzie i to się tylko raz nam zdarzyło, że graliśmy w miejscu gdzie nieopodal była rzeźnia. Na tyle blisko, że słyszeliśmy zwierzęta w tej rzeźni.

Jędras: Ja poszedłem je nawet zobaczyć.

Edi: I to nas tak zbiło z nóg, że właściwie więcej było gadania między kawałkami niż grania. Parę tygodni później dostaliśmy maila od jakiejś osoby z informacją, że od tamtego koncertu nie je mięsa. To jednak dotarło. Był załogancki koncert, graliśmy gdzieś na południu Niemiec i ja pierwszy raz w życiu się z czymś takim spotkałem. Nie docierało to do mnie dość długo, że to, co gadasz z tej sceny nie odbija się od ściany. Niech to będzie ta jedna osoba przez ostatnie 4 lata, ale to jednak buduje.

Borówa: To też nie był do końca koncert załogancki. Przyszło dużo ludzi niemających nic wspólnego ze sceną. To było coś takiego, że kupujesz jakiś tam karnet i obłazisz różne knajpy, w których pijesz piwka. Chyba nawet w ramach jakiegoś festynu miejskiego. Było dużo ludzi, którzy znaleźli się tam przypadkowo. Usłyszeli, że coś tam się dzieje, przyszli i zobaczyli koncert.

CHAOS: W przypadku, gdy kapele próbują wyjść nieco szerzej ze swoją twórczością, często pojawią się pewien ostracyzm, głównie wśród radykalniejszych załogantów. Taka kapela jest jebana i wytykana kijem. W przypadku próby przebicia się dalej, nie obawialibyście się takiej sytuacji czy wam to nie robi?

Jędras: Ja bym nigdy nie chciał stracić kontaktu ze sceną DIY, bo jestem związany z nią dość silnie. Myślę, że docieranie do innych ludzi z takim przekazem byłoby po prostu zajebiste i to jest moje osobiste zdanie. Żeby ci ludzie mogli uruchomić szare komórki i po prostu zaczęli myśleć nad różnymi rzeczami. A jeżeli z tego powodu zostałbym zbojkotowany czy coś takiego - nie wiem co bym pomyślał - pewnie bym się wtedy zastanawiał. Tak czy inaczej chciałbym żeby ten przekaz którym emanuje scena DIY rozszedł się szerzej, a nie zataczał po raz wtóry to samo kółko.

Edi: Kiedyś sami coś takiego próbowaliśmy zrobić w Gorzowie. Staliśmy z ulotkami na młodzieżowym koncercie w liceum ogólnokształcącym. Mieliśmy 50 ulotek i nigdy się nie dowiesz czy do chociaż jednej z tych osób to dotarło. To była jedna z prób wyjścia. Jak ja byłem młody, to wychodziłem do ludzi, byłem gówniarzem i chciałem się wkręcić. Chciałem poznawać. Ja nie wiem czy to czasy się zmieniły, ale teraz jest tak, że my, stare konie, wychodzimy do młodzieży, bo młodzież nawet nie przychodzi na koncerty w tym naszym jebanym Gorzowie.

Jędras: Wydaje mi się, że tendencja spadkowa jest od jakiegoś czasu obserwowana i ciężko jest powiedzieć tak naprawdę dlaczego. Kiedyś, 15-

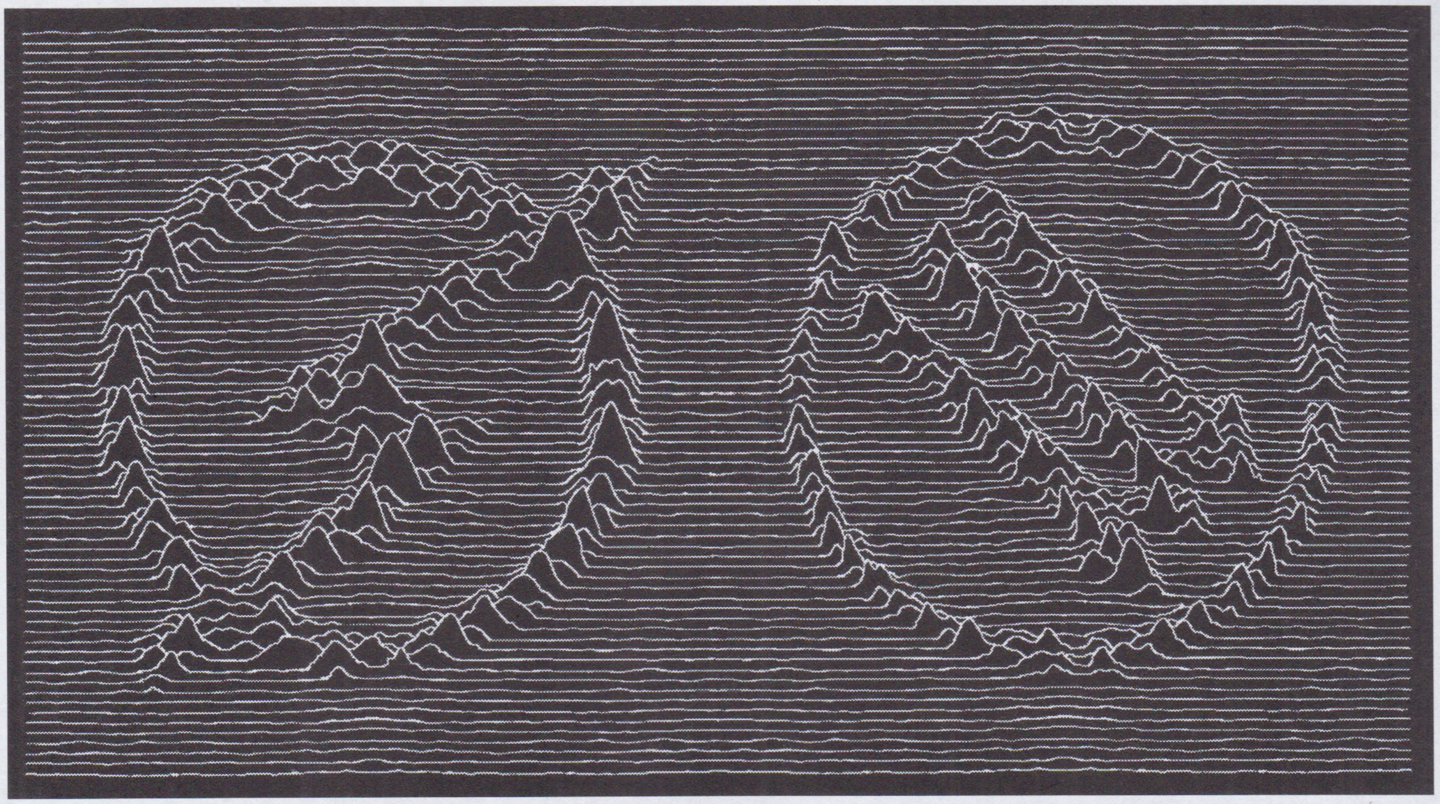

20 lat temu, kiedy scena DIY przeżywała swój najświetniejszy okres, przychodziło bardzo dużo ludzi na koncerty, po 200 - 300 osób, a teraz jak przyjdzie 50 to jest zajebiście.

CHAOS: Ale to też nie jest tak, że młodzież nie interesuje się sceną punkową. Młodzież nie chodzi też na koncerty reagge, hip-hopowe i młodzież też nie chodzi na koncerty metalowe.

Jędras: Teraz mnóstwo rzeczy można znaleźć w internecie i nawet z tego względu ludzie nie chcą wyłazić, wolą sobie nawet kapeli posłuchać z bandcampa. Ja sam widzę po sobie, bo nie chodzę na żadne koncerty.

CHAOS: Oprócz swoich albo jak nagłaśniasz.

Jędras: Prawda :). Dobra, byłem ostatnio zobaczyć SLAYER'a i IRON MAIDEN, bo dostałem bilet za darmo, inaczej bym nie poszedł, ale nagłośnienie było tak słabe, że na miejscu innych ludzi zażądałbym zwrotu kasy za bilety. SLAYER to tam chuj, ale IRON MAIDEN... Byłem załamany.

CHAOS: Jędrzej, korzystając z okazji, prosiłbym cię o kilka słów na temat przedsięwzięcia znanego jako Studio Riot. Kiedy zacząłeś nagrywać i doszedłeś do wniosku, że to jest właśnie to, co chcesz robić? Co najbardziej lubisz w tym zajęciu, a co cię wyprowadza z równowagi? Przedstaw warunki współpracy z tobą dla potencjalnych „klientów".

Jędras: Geneza jest prosta. Chciałem nagrywać tylko kapele, w których gram, z racji tego, że wejście do studia słono kosztuje, ale skończyło się tak, że zacząłem gromadzić coraz więcej sprzętu i finalnie stwierdziłem, że chciałbym też nagrywać inne zespoły. Studio to niekończąca się inwestycja. Zajmuję się tym 4 lata i cały czas jest coś potrzebne, a każda sesja jest nowym pouczającym doświadczeniem. Poza tym od dzieciaka muzyka jest moją pasją i cieszę się, że cały czas w tym siedzę. W zasadzie można powiedzieć, że teraz już wtopiłem się w nią bezpowrotnie. To co lubię to przede wszystkim, że jest to praca z ludźmi. Ja się wkręcam dość mocno, staram się oddać duszę kapeli i jedną z najważniejszych dla mnie rzeczy jest kooperacja w trakcie nagrania. Ważne jest dla mnie jak kapela chce brzmieć i co chce osiągnąć. Nie będę mówił co mnie wyprowadza z równowagi, a powiem tylko, że do studia kapela powinna wejść przygotowana. Powinna znać swoje kawałki na wylot. Oszczędzi to kłopotliwych sytuacji każdemu. I to jest również warunkiem gładkiej współpracy.

CHAOS: Gavlish, jakiś czas temu natknąłem się w internecie na zdjęcie trójki agroskinów, którzy wcześniej zaatakowali nożem jakąś osobę na ulicy. Czy słyszałeś o tej sytuacji? Czy nazi skini są w Zielonej Górze dużym problemem?

Gavlish: Tak, to byli jacyś gówniarze z Zielonej Góry, którzy zaatakowali obcokrajowca. Całe szczęście nikomu nic się nie stało, a akcja udostępniania zdjęć w internecie pozwoliła zidentyfikować napastników. Ci się mocno przestraszyli i z podkulonymi ogonami przepraszali za całą sytuację. W Zielonej Górze nie mamy wielkiego problemu z naziolami, co nie znaczy, że ich w ogóle nie ma. Od czasu do czasu zdarzają się jakieś zaczepki, jednak nie jest to jakaś grupa zorganizowana. W ostatnim czasie widoczny jest jednak mocny skręt w prawo, zwłaszcza miejscowych środowisk kibicowskich, które dają temu wyraz w postaci graffiti, wlepek i ulotek. Trzeba zatem być czujnym i odpowiednio na to reagować.

CHAOS: Jak widzicie przyszłość skłotingu? Co jest dobre dla tego ruchu – wychodzenie do ludzi i być może legalizacja takich miejsc na wzór niemiecki czy zejście do podziemi i działanie w konspiracji?

Jędras: Skłoting wg. mnie powinien służyć przede wszystkim społeczeństwu. To zwykli ludzie powinni otwierać opuszczone kamienice. Jest ich tyle w samym Poznaniu, że wystarczyłoby dla wszystkich potrzebujących. Ale polityka jest inna. Kamienice stoją puste, zamknięte i objęte ochroną. Niszczeją z biegiem czasu, bo nikogo nie stać na ich wynajem lub kupno. Wychodzi na to, że lepiej niech się same rozpadną niż ktokolwiek z nich skorzysta. W tym przypadku mogę śmiało stwierdzić, że własność to kradzież!

Edi: Nie tylko skłoting, ale szeroko pojęta samo-organizacja i DIY mnie na maxa fascynuje. Zazwyczaj ludzie, którzy chcą coś zmienić i są gotowi do ciężkiej pracy i wyrzeczeń, aby to osiągnąć angażują się w tego rodzaju projekty i zajebiście się patrzy na to, kiedy takie działanie przynosi skutek. Jeśli chodzi o „legalne" skłoty, hausprojekty, JUZy itd., to graliśmy w wielu takich miejscach i zawsze organizacja i zaplecze były zajebiste. Nie wiem czy gdyby nie pomoc miast w prowadzeniu takich miejscówek, niemiecka scena byłaby tak dobrze zorganizowana.

CHAOS: Według mnie kompletnie nie w tym rzecz i uważam, że jest wręcz odwrotnie.To właśnie zajebista samoorganizacja i wytrwałość niemieckich skłotersów wymusiła na politykach poważniejsze podejście do ruchu. Nie powiedziałbym, że miasta pomagają w prowadzeniu takich miejscówek. To nie przyszło samo. Musieli to sobie wywalczać latami, niekiedy w bardzo brutalny sposób.

Edi: Zgadza się. Ekipa walczyła latami i wywalczyła swoje, ale nie zmienia to faktu, że na chwilę obecną nie są na squatach, a miejscach w jakiś sposób uzależnionych od władz, wiec tak naprawdę nie są w pełni niezależni. Oczywiście teraz generalizuję i nie jest tak do końca. W większości przypadków to wcale nie przeszkadza w funkcjonowaniu im na własnych zasadach. Jeśli chodzi o mnie, to jestem jak najbardziej za. Odwiedziliśmy sporo takich miejscówek i za każdym razem było zajebiście pod wieloma względami.

CHAOS: Jakie inicjatywy mające na celu poprawianie otaczającej nas rzeczywistości uważacie za najbardziej słuszne i te, które powinno się wspierać w pierwszej kolejności? Czy wy angażujecie się w jakąś działalność społeczno-polityczną?

Jędras: Myślę, że wszyscy poniekąd jesteśmy częścią machiny i obracamy się wraz z nią, czy chcemy tego czy nie. Osobiście uważam, że jedną z najważniejszych kwestii jest zapewnienie dachu nad głową i godnych zarobków. Niestety w obecnych czasach ubóstwo przybiera straszliwe formy, rozwarstwienie społeczne jest coraz bardziej widoczne, a władza potrafi tylko omamiać, jaka jest na to recepta? Mawiają, że trzeba coś zniszczyć, aby odbudować na nowo!

Gavlish: Od dłuższego czasu angażuję się w różnego rodzaju akcje i inicjatywy oddolne. W Zielonej Górze skupiam się na organizacji koncertów hc punk, podczas których zbieramy środki na różne cele charytatywne. Do tego dochodzi wspieranie w miarę możliwości lokalnego kolektywu Food Not Bombs. Niedawno zaangażowałem się również w działalność nowej organizacji politycznej „Razem", skupiającej ludzi o lewicowej wrażliwości.

Edi: Ja w Gorzowie robiłem różne rzeczy, m.in. z tobą, Młody, przez wiele lat organizowaliśmy gigole pod szyldem 783. Teraz ciągnę 783 jako nasz mały kapelowy label, robiłem imprezy benefitowe na zwierzaki ze schroniska, przez pewien okres starałem się spinać działania Food Not Bombs w Gorzowie. Ciężko było działać w tym mieście, ale jakoś się to kręciło. Los chciał, że większość zaangażowanych osób, łącznie ze mną, już w Gorzowie nie mieszka. Aż boje się myśleć, co się teraz stanie z naszym rodzinnym miastem.

CHAOS: Jak wyglądają plany zespołu na przyszłość?

Jędras: Teraz, już w pełnym składzie, pracujemy nad kolejnym materiałem. Mimo tego, że jesteśmy rozrzuceni jak gnój po polu, sprawia nam to frajdę i jedziemy dalej z koksem. Są plany koncertowe, więc pojawimy się tu i ówdzie niebawem. Być może już nie tak często jak kiedyś, ale może to i lepiej. Na pewno będę zdrowszy przez to (śmiech).

Edi: Największym dla nas wydarzeniem teraz jest wydanie splitu z HELLBASTARD. Później, jak poukładamy wszystkie osobiste sprawy, będziemy myśleć o jakiejś trasie.

NOWE WYDAWNICTWA

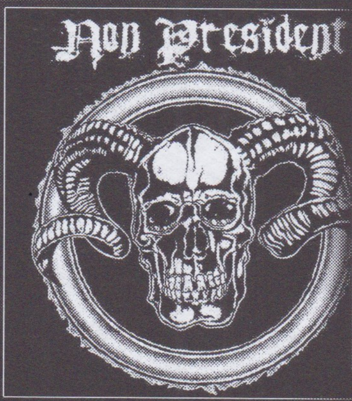

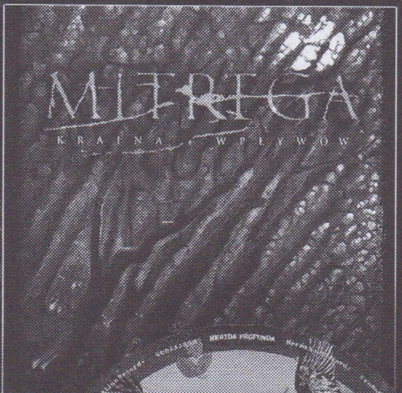

NON PRESIDENT /MITRĘGA
Split (LP)

HERIDA PROFUNDA /HELLBASTARD
Split - Picture Disc (LP)

PRODUKT
Słabości (LP/CD)

GUANTANAMO PARTY PROGRAM /HARD TO BREATHE
Split (EP)

DZIECI Z BECZEK
...bujać to my!!! (CD)

SOCIAL CRISIS /DAYS OF DESOLATION
Split (EP)

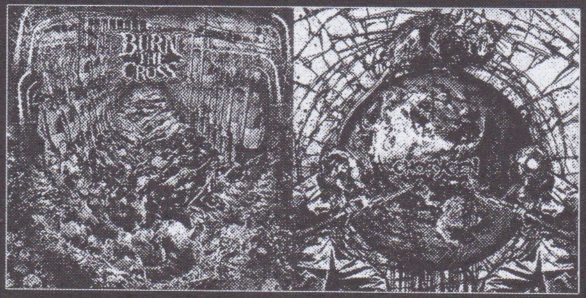

BURN THE CROSS/CHORYGEN
Split (LP)

MIND POLLUTION
Spalone dusze (LP+CD+DVD)

Zapowiedzi

Salvation - Grief - Stricken (LP)
Social Crisis/Monday Suicide - split (LP)
Fight Them All (EP)
Words Mean Nothing - s/t (LP)

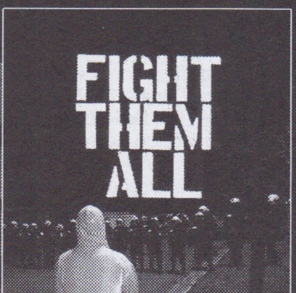

D.I.Y. KOŁO RECORDS
apzajac@wp.pl
facebook.com/DIYKoloRecords
diykolorecords.bandcamp.com

MITRĘGA

MITRĘGA to świeża krew z Lublina, choć członkowie w kilku znanych kapelach już wcześniej terminowali. Grają ciekawy crust, z nieszablonowymi tekstami podlanymi mrokiem. Zaatakowali nas świeżutkim splitem z NON PRESIDENT i mam nadzieję, że ten wywiad pomoże im zagrać trochę więcej koncertów w kraju. Grają w składzie: Skrobek - bas, Belo - gary, Decu - gitara, Smalec - wokal. Pytania zadawał Pablo. Foto: Balzak i Mike Champagne.

CHAOS: Jesteście dość świeżym zespołem na scenie DIY, ale w waszym składzie grają członkowie SILENCE/THE BOLD AND THE BEAUTIFUL/CEASELESS DESOLATION. Przedstawcie się naszym czytelnikom i powiedzcie coś więcej o powstaniu zespołu.

Belo: Tak już jest w naszym Trójkącie Bermudzkim. Kapele dokonują żywota, a w ich miejsce powstają wciąż nowe i nowe. Pod koniec 2012 roku zaczęliśmy grać. Perturbacje ze znalezieniem basisty trwały dość długo i zakończyły się zaraz przed rozpadem CEASELESS DESOLATION, kiedy to Skrobek doszedł do zespołu. Od tego momentu tworzymy MITRĘGĘ.

Skrobek: CEASELESS wtedy jeszcze się nie rozpadło, szukali nowego basisty i później grali już z Arturem w składzie. Zgrali jeszcze trochę koncertów. Ale zgadza się, ja wtedy już nie grałem z nimi i miałem trochę wolnego czasu. Pamiętam, że temat MITRĘGI wyszedł przy wspólnym popijaniu piwka na bronowickiej łączce. Chłopaki zapytali czy nie chciałbym pograć, przyszedłem na próbę obadać co i jak, materiał jaki mieli zrobiony powalił mnie, no i zostałem.

Decu: Po wyjeździe Kani, TARABAN w którym graliśmy razem ze Smalcem i Grubym był w zasadzie uśmiercony. Chcieliśmy dalej grać. Po czasie, kiedy Belo przeprowadził się ponownie do Lublina, powstał skład.

CHAOS: Dlaczego nazwaliście zespół MITRĘGA? Z czym związana jest wasza nazwa? Wydaje mi się, że w Polsce jest ostatnio niewiele zespołów grających crust, które mają polską nazwę - dlaczego?

Smalec: Mitręga to prawie po naszemu „no future". Oznacza jakiś bezowocny trud. W naszym mniemaniu miała symbolizować słabą odporność współczesnych ludzi na wyzwania i trudy życia, w poczet której chętnie oddajemy się wygodom i przyjemnościom, jak ptaszki w złotych klatkach.

Język polski dlatego, że naszym celem nie jest być, za wszelka cenę, zespołem popularnym wszędzie. Bliżej jest nam w rzeczywistości mentalnie do punka starej daty, w nieco naiwnej szacie tekstowej, natomiast obserwującego wszystko z własnego podwórka i używającego też własnej unikatowej formy językowej.

Decu: Ciężko powiedzieć czemu coraz rzadziej używa się polskiego języka w nazwach, tekstach itp. Nie rozumiem tego. Z jednej strony jeśli to angielski jest standardem do łatwiejszego porozumiewania się między „kulturami", to jest to zrozumiałe ułatwienie. Jeśli chodzi o kapele, to kiedyś teksty i nazwy kapel przeważnie były z polskiego, a jak się czytało teksty na okładkach kaset, gdzie nie było tłumaczeń, to samemu trzeba było dochodzić o co kapeli chodzi, i nie było to problemem. Nie rozumiem, po co w ogóle zatracać język, w czym ta różnorodność jest zła? Owszem można krzyczeć w każdym wybranym przez siebie języku, ale jakoś nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć.

Belo: Ktoś żartobliwie przeinaczył naszą nazwę na SIERMIĘGA. Ni to SIEKIERA ni to MITRĘGA. Wirtuozami naszych instrumentariów nigdy już nie zostaniemy. Wydaje się, że ta nazwa odzwierciedla to, jak gramy.

CHAOS: Dużo zagraliście koncertów od powstania zespołu? Gracie w Lublinie i okolicach czy udało wam się zagrać gdzieś dalej? No i z kim zagraliście do tej pory? A kiedy wyruszycie na jakieś włajaże zagraniczne?

Smalec: Zespół powstał w 2012, ale minęło sporo czasu zanim wyszliśmy z materiałem pograć wśród ludzi. Stały za tym przestojem między innymi częste zmiany na pozycji basisty.

Nie liczyłem koncertów, ale było ich na razie tyle, że na palcach obu rąk idzie zliczyć. Cieszy natomiast to, że spotykamy się coraz częściej z dobrym odbiorem, który pomaga to dalej rozkręcać. Do tej pory była to głównie Lubelszczyzna z dwoma festiwalami w plenerze i do tego jeden gig w Krakowie. Częstokroć były to większe spędy kapel, więc trudno tu wymieniać bardziej z nich szczególne. Dwa ostatnie zagraliśmy u boku takich gości jak PISS, MIDNIGHT CRISIS i TEMPEST.

Belo: Mało, mało i jeszcze raz mało, biorąc pod uwagę, że gramy już szmat czasu. Większość gigów to Lublin i okolice. Mamy w planach split EP, której wydanie może zaowocować wyspiarskimi włajażami, ale na razie za wcześnie żeby się o tym rozpisywać.

CHAOS: Jak to się stało, że siedzicie w klimatach punkowych? Słuchaliście BAJM i BUDKI SUFLERA, a tu nagle wpadły wam w ręce nagrania EXTREME NOISE TERROR? Koledzy was wciągnęli w tę sektę? Opowiedzcie jak to z wami było...

Decu: Coś w tym rodzaju, hehe. Z kumplem w technikum się spiknęliśmy. Wtedy w Chełmie grały crustowe kapele ANTIMOLOCH potem IMPETUOSO,

i łączące skład z ekipą z Wojsławic - ANTICOP. Słuchaliśmy SEPULTURY, NAPALM DEATH, Kazika, S.O. WAR, SANCTUS IUDY. Internetu nie było, o punku czytało się w zinach, a info o gigach było np. w telegazecie. Kilka prób zagraliśmy w domu kultury, ale kier był po sąsiedzku i się wkurwiał, że głośno w niedzielę, to nas wyjebali. Potem graliśmy na mecie za wino od próby. Ekipa rozpracowywała trunki w pokoju, my łoiliśmy w kuchni, i było dobrze.
Smalec: To jakaś oczywiście naturalna kolej rzeczy i średnio u każdego około pół życia w trwałym związku z tą sceną. Myślę, że tak wygląda z grubsza ścieżka inicjacji u każdego z nas. Co by to dało, gdybym napisał że Dec słuchał dawno temu NIRVANY?
Belo: Hmm... Ja to wyssałem z mlekiem brejdaków, hehe... Odkąd pamiętam na chacie było głośno. Zaczęło się od punko-polo, DEZERTERÓW, POST REGIMENT, itp. Generalnie słuchało się polskiej muzyki. Następnie pojawili się DEAD KENNEDYS, DOOM, HIATUS i tak już zostało. Jeśli chodzi zatem o granie, to w tym samym czasie zacząłem bywać na próbach u ANTICHRISTA i tak połknąłem bakcyla na te hałasy.
Skrobek: Od małego, bo jakoś w pierwszej klasie podstawówy, za sprawą sąsiada (pozdro Darek), dużo starszego ode mnie, co to z metalem był za pan brat, obcowałem z ciężką muzyką. Przerabiałem wtedy takie kapele jak SLAYER, SEPULTURA, NAPALM DEATH czy OBITUARY. Kilka lat później podrzucił mi jakieś kaseciaki od swoich znajomych, które jemu nie wchodziły, a dla mnie okazały się strzałem w dychę. To było G.B.H. „From here to reality", EXPLOITED „Troops of tomorrow" i jakaś składanka, na której były m.in. DISCHARGE i VARUKERS. W tym samym czasie, mniej więcej, zajarałem się też deskorolką, dzięki której poznałem bardziej hc/punkową stronę tego zjawiska za sprawą m.in. MINOR THREAT, BAD RELIGION, CIRCLR JERKS czy BLACK FLAG. Później doszły HIATUSY i HOMOMILITIA z DEZERTEREM, które rozbiły mnie tekstami, no i tak się potoczyło dalej.

CHAOS: Żadnego demo, zero singla i nagle pojawia się wasz materiał na split LP z NON PRESIDENT... Jak to tak? Dlaczego akurat NON PRESIDENT, którzy są z drugiego końca Polski, dzielą z wami tego splita?
Smalec: Myśleliśmy początkowo o samodzielnym wydawnictwie, ale parę zakrętów sprawiło, że pojawiła się perspekty-wa wspólnego wydania z NON PRESIDENT. Z nimi natomiast znamy się, jak na razie, tylko z tekstów na wkładce oraz z miłej korespondencyjno-telefonicznej współpracy rokującej sztamę, przepitkę oraz jakieś wspólne gigi.
Belo: Każdy z nas ma jakieś doświadczenia, jeśli chodzi o wydawnictwa swoich kapel. Mamy świadomość, że split LP trafi do większej liczby odbiorców niż samodzielne demo czy EP w ogóle nieznanej kapeli. Początkowo myśleliśmy o własnej EPce, lecz po propozycji Majkiego (Up The Punx Records), który jest współwydawcą tego materiału, chęci pozostałych wydawców i ekipy z NON PRESIDENT, okazało się, że będzie to split.

CHAOS: Powiedzcie nam trochę więcej o tej płycie - gdzie nagrywaliście swoje kawałki, ile ich znajdzie się na waszej stronie? Wydaje ten krążek kilka wytwórni, prawda? Zadowoleni jesteście z tych nagrań?
Decu: Chcieliśmy się nagrać w sali prób na minimalu. Nie mamy jakichś zamysłów na określone brzmienia czy coś w tym rodzaju. Część sprzętu do nagrywania mieliśmy, część pożyczyliśmy. Odpaliliśmy graty i graliśmy jak zwykle na próbach, potem dograliśmy wokale. Na stronie jest 7 numerów. Wytwórnie to: N.I.C., Dementia13, Up The Punx Records, pasażer, D.I.Y. Koło.

CHAOS: MITRĘGA ze swoją muzyką odbiega trochę od tego crustowego kanonu - co was inspiruje muzycznie? Lubujecie się w muzyce starych kapel czy preferujecie nowszą nutę? A może wolicie metal, którego sporo słychać w waszym graniu? A dlaczego nie gracie smętnego neo-crusta, który wciąż jest na fali?
Smalec: To pewnie dlatego że nie celowaliśmy w żadnym z kierunków, które mają do zaoferowania gotową recepturę. Wszyscy lubimy tak stare, jak i nowe kapele, ale robimy to, co powoduje że ta muzyka jest szczera i bez zrzyny.
Belo: Nie miała to być kapela złożona z osób, które się jarają tymi samymi kapelami, jak często się to teraz zdarza. Odpalasz, kurwa, fejsa i już wiesz, że masz garowego i basistę - masz kapelę. W naszym przypadku kumpelski pik wziął górę. Wiedzieliśmy, że możemy na siebie liczyć personalnie i może dlatego brak krastowego kanonu w naszej gierce, choć każdy jest z krastem za pan brat. Osobiście wolę stare kapele. Dziś na przykład przywitałem dzień odsłuchem UNHINGED „Win Our Freedom In Fire", zaraz po nich wpadł w ręce SPERMBIRDS „Something to prove", a następnie siódema HONEY BANE „You Can Be You, więc z kanonem krucho.
Decu: Dla mnie nieśmiertelne są HIS HERO IS GONE, CATHARSIS, DROPDEAD. Z krasta to ANTYGLOBALIZATOR, przede wszystkim szczere.

CHAOS: Czy możecie powiedzieć, że wasz zespół, oprócz nazwy, ma w sobie coś typowo "polskiego" w brzmieniu, muzyce, sposobie grania? Kiedyś zespoły z Finlandii czy Włoch były bardzo charakterystyczne, a dzisiaj? Jest jeszcze coś takiego w zagranicznych zespołach?
Smalec: Nie ma w sobie chyba nic typowo polskiego, jak i niepolskiego. A jeśli chodzi o zagranicę to, jak już wspomniałeś, istnieć będą zawsze jakieś kanony, jak nie bardziej spopularyzowane, to miejscowe.
Belo: Hmm... Wydaje mi się, że nie ma „w nas" nic polskiego, poza tym, że lubimy stare polskie granie jak LOST, S.O. WAR, DISABLE, SILNA WOLA czy SANCTUS IUDA. Jeśli ktoś z was usłyszy te kapele w naszej muzie, to będzie to dla nas duży komplement. A jeśli chodzi o brzmienia kapel, to sądzę, że dostęp do nieograniczonej ilości muzyki poprzez internet skutecznie zatrzymał ich styl wywodzący się z pochodzenia terytorialnego.
Decu: Jak nie było internetu i jak w mieście było w załodze parę zespołów punkowych, to kolejny grał wypadkową swoich kumpli z dodatkiem tego, co się zasłyszało gdzieś tam, nie było muzycznych kanonów, standardów, tylko napierdol i podjara robienia czegoś wspólnie, nie tylko w zespołach. Tak jest i teraz. Do gitary przester sam polutowałem, delay znalazłem na złomie. Mam parcie na granie na tych gratach, obojętnie jak by to nie brzmiało. Nie potrzebujemy gratów za grube tysiące, bo niby po co?

CHAOS: Kto wam wymalował tę mroczną okładkę? "Kraina wpływów" - co to za kraina i o jakie wpływy chodzi?
Smalec: Okładkę robiłem ja. Kraina wpływów to odniesienie do świata kontrolowanego poprzez manipulacje oraz dyktaturę reklam.

CHAOS: Kto pisze teksty do waszych kawałków? Te teksty również nie są standardowe, jak na zespół crustowy... Dlaczego taka nieco „kolażowa" i nerwowa forma? Nie chcecie walić przesłaniem prosto w ryj?
Smalec: Masz rację, że forma czasem bywa kolażowa. To też taki eksperyment ze schizofrenicznym stylem, by pooperować popieprzonym, trochę surrealistycznym slangiem, i by pewne partie stanowiły takie powypluwane frazy urodzone z frustracji, czy niepokoju. Pod pręgieżem całej zawartej krytyki, jak i nad nim, stoi każdy człowiek bez względu na poglądy. Tym, co otwarcie krytykują teksty, jest choroba rządzenia życiem innych, na podobieństwo własnego, zamiast budowania przyszłości, w której jest miejsce dla wszystkich. To duszący smród ludzkości w całym wachlarzu prymitywnych mechanizmów jakim się oddaje. Treść może być kłopotliwa dla kogoś, kto doszukuje się dosłowności, bo ma on formę, która jest podobnie niedorzeczna jak kreowana nam odgórnie rzeczywistość, by zaspokajać potrzeby innych, tylko nie nasze. To też trochę takie mrugnięcie w stronę społeczno-trashowych tradycji. Aha, no i po tym można już pewnie zgadnąć, że ja piszę teksty.

CHAOS: A co myślicie o graniu coverów innych kapel? Gracie jakieś? Wolicie jak kapele grają przewidywalne covery, np. crustowy zespół gra DOOM, czy może preferujecie coś zaskakującego i nietypowego?
Belo: Osobiście nie mam szacunku do grania kowerów. Większość zasłyszanych gdzieś „podróbek" nie równa się z oryginałami i zakłóca odbiór kapel je grających.
Skrobek: Ja z kolei lubię jak kapela nagrywa lub gra na gigu rovery. Zawsze odbieram to jako miły ukłon w stronę bandu, którym się jarasz lub któremu coś zawdzięczasz. Zdecydowanie wolę jak kapela bierze na warsztat numer i gra go po swojemu, nadając mu nowej jakości, niż odgrywa numer jako wierną kopię oryginału. Żeby było wiadomo o co mi chodzi, dobrze wyszło to DYSTOPII przy „Cosmetic Plague", wspomnianym wyżej BOLDOM z „Sixpackiem" czy SUFFERING MIND z „Burdelem", choć w ostateczności ten cover jednak nie znajdzie się na EPce. Ale przez jakiś czas można było go posłuchać w sieci.

CHAOS: Gdzie gracie próby? Macie swoje miejsce czy może u kogoś gościcie? Trudno jest znaleźć miejsce i sprzęt do grania w Lublinie?
Belo: Od roku 2007, po opuszczeniu dobrze znanej dla wielu kanciapy "Na Diamencie" założonej przez Bajtka z RED LIGHT, przenieśliśmy się do centrum miasta, do podziemi siedziby PKP, w których gramy po dziś dzień. Natomiast jeśli chodzi o znalezienie miejsca do grania, to nie ma problemu, trzeba się tylko określić, jakich warunków oczekujesz i ile jesteś w stanie zapłacić za wynajem. W Polsce klasy C nic nie ma za free, gratów też nie znajdziesz na ulicy.

CHAOS: W jakie działania jesteście zaangażowani na lokalnym gruncie? Wspieracie, angażujecie się, walczycie, protestujecie? Po co? Przecież świata nie zmienicie. Podobno...
Decu: Zobaczymy co nastąpi dalej, gdy Zatargu już nie ma. Nowa miejscówa... Czas pokaże, bo poza pomocą przy gigach, to chyba nas kierat robolski zżera.

CHAOS: A jak wygląda niezależny Lublin? Sporo się dzieje w waszym mieście? Gdzie najczęściej odbywają się gigi? Jakie kapele obecnie grają w

LBN? Działają jakieś labele/dystrybucje? Wychodzi może jakiś lokalny zine? A inne akcje mają miejsce?

Belo: Szerokim echem w ostatnim czasie odbiła się interwencja Lubelskiej Akcji Lokatorskiej występującej w obronie 14 rodzin skazanych na eksmisję. Generalnie miasto nie zapewniło mieszkańcom lokali zastępczych. Otrzymali oni możliwość tymczasowego zamieszkania w hotelu robotniczym. Problem zatem nie zostanie rozwiązany, a ludzie, wcześniej czy później, znajdą się na bruku. Dzięki przeprowadzonej akcji LGR został ujawniony szereg niejasności, a komornik odstąpił od wykonania.

Decu: W okresie zimowym działa Food Not Bombs. Po upadku Zatargu, gigi na razie raczej będą sporadyczne i nie w stałym miejscu. Powstało kilka nowych jadłodajni wegańskich, które współtworzą także osoby związane z Tekturą czy Zatargiem - Umea, Pomylone Gary czy Wyżerka Garmażerka. Jest także od lat stale działający Wegetarianin.

Jeśli chodzi o kapele, pojawił się ostatnio bardzo ciekawy projekt VERGE złożony z członków SUFFERING MIND i S.A.T.A.N. Tekstowo bardzo to do mnie trafia, ponieważ poruszyli temat weganizmu od podszewki, bez owijania. Kawałek „Rodzice zrobili cię w chuja" kojarzy mi się z sytuacją, gdy kiedyś rozmawiałem z początkującą wegetarianką, która opowiadała: „wiesz, te zwierzątka są takie biedne i cierpią. Moja koleżanka, jak przynosiła mi broszurki, ulotki i artykuły, to czytałam, było mi ich strasznie żal, i nie jadłam mięsa. A teraz koleżanka wyjechała na studia i nie ma mi kto przynosić takich pism i powróciłam do jedzenia mięsa...". Moi rodzice, jak i podejrzewam rodzice 99% osób będących teraz vegan/wegetarianami, nie mieli nawet pojęcia o istnieniu vegan czy wegetarian i podawali swoim pociechom mięso. Zajebiście, skoro teraz jest nas aż tak dużo. Może przyszłe pokolenie nie będzie miało takich doświadczeń. Brak wykorzystania zwierząt będzie naturalną normą. Będzie to skutecznie rozpierdalać obozy koncentracyjne dla zwierząt. Dla mnie zajebista perspektywa na świat.

CHAOS: W latach 80. Lublin był punkową "prowincją", a tu nagle w latach 90. wybuchła z całą swoją siłą inwazja lubelskich kapel i trwa to do dzisiaj... Co jakiś czas pojawia się coś ciekawego muzycznie z Lublina i okolic. Dodają wam coś do wody? A może to tylko 5 osób, które grają w 100 kapelach? Jak to jest naprawdę?

Smalec: Wiesz, jak przeprowadziłem się na trochę do Lublina, to nie byłem w stanie znieść smrodu kranówy. To pierwsze, więc to na pewno to i to drugie trochę też. Prawdą jest, że sporo ludzi gra lub grało w paru zespołach, i zabawne jest trochę, gdy czytasz na plakatach przy nowej lubelskiej nazwie kolejny raz to samo „eks coś tam".

Decu: Z perspektywy kanciap „Diamentu" czy „Okopu", wiele składów rozpadło się po wyjazdach, z powodu dużej odległości. Kiedyś było tak, że kanciapy pękały w szwach, nie było dnia żeby ktoś nie grał, wiele składów tworzyły wspólnie osoby z różnych zespołów. Po rozpadzie jednego, zaraz powstawał kolejny skład. Teraz chyba się to uspokoiło. Jest stała ekipa i każdy robi swoje.

CHAOS: Przestała działać alternatywna oaza Zatarg... Orientujecie się, dlaczego to miejsce zakończyło działalność? Czytałem, że był problem z długiem za ogrzewanie - jak to się stało? Jest jakieś nowe miejsce w planie?

Belo: Trudno jest mi się wypowiadać o powodach upadku miejsca, w którego współtworzeniu nie brałem czynnego udziału. Zapewne powodem rozwiązania było zadłużenie, a o więcej szczegółów należy pytać kolektyw. Jak na razie z miejscówką jest krucho. Są pomysły, ale nie wiadomo czy wejdą w życie. Ostatni koncert folk punkowej Berlinskiej Dróhay odbył się w „Pomylonych garach" - wegańskim bistro naszych wspólnych znajomych, lecz nie będzie to stałe miejsce gigów w Lbn.

CHAOS: Czy Lublin jest bezpiecznym miastem dla ludzi wyglądających inaczej niż szare społeczeństwo? Czy na bazie mody na patriotyzm sytuacja w waszym mieście zmieniła się radykalnie? Problemy z narodowcami, neonazistami i kibolami są codziennością czy to raczej sporadyczne incydenty? Przeciwdziałacie temu?

Smalec: Najbardziej irytującą rzeczą jest to, że nawet niepozorne, pospolite wyglądem, studenckie PiSoluby przejawiają czasem niespodziewanie czynną agresję w stosunku do inaczej wyglądających „wrogów ojczyzny i miru państwowego". Niestety taki nowy głupi kanon.

Skrobek: Moda na „patriotyzm" odbiła się tu, jak chyba w większości dużych miast, naprawdę sporym echem. Na każdym kroku można spotkać gości w koszulkach z Polską Walczącą, orzełkami czy hasłami „Śmierć wrogom ojczyzny". Osiedla przejęte są przez takie załogi dresików i całkowicie zawładnięte tą retoryką. Nie powiedziałbym jednak, żeby stanowili oni zagrożenie. W dużej mierze jest to jednak zwykła dzieciarnia z gimnazjów i liceów oraz studenci historii, hehe, którzy raczej nie są skorzy do agresji. Incydenty się zdarzają, zawsze się zdarzały, zazwyczaj są to jednak słowne przepychanki, ale osobiście rzadko się z nimi spotykam i uważam, że na lubelskich ulicach jest raczej bezpiecznie, narodowcy na pewno nie sieją terroru. Drugą stroną medalu jest fakt, że ta cała moda wypełzła na ulice dość nieświadomie i całe to biało-czerwone zjawisko ma dwie twarze. Jedna, opisana powyżej, świadomie siedząca w nacjonalistycznym gównie, druga to typowy efekt ślepego podążania za tym, co jest trendy, bez większego zastanawiania się nad tym, a dziś trendy są orzełki. U nas w robocie np. jest jopek co nosi koszulkę z PW, a słucha Wu-Tang Clan, lubi ziołoterapię i kuma się ze skejtami, o żadnych rasizmach czy nacjonalizmach nie ma mowy, nie wszyscy zatem z jednego wora są. Dobrze określiłeś to w pytaniu: moda!

CHAOS: Wyobrażacie sobie życie bez internetu, telefonów komórkowych, mp3, bez własnych samochodów? Jak myślicie, czy w dzisiejszych scena DIY dałaby radę działać bez tych wszystkich nowoczesnych technologii, gdyby one nagle zniknęły lub zostały zakazane? Kiedyś dawała, ale czasy były inne i ludzie się zmienili...

Smalec: Raj utracony. Nie widzę zagrożeń danej sytuacji dla istnienia sceny, a wręcz możliwość rozkwitu wraz z odpadnięciem całego mnóstwa gównianych, ważnych rozrywek z poziomu śmiesznych kotów w internecie, które pochłaniają obecnie ludzi na każdym etapie ich rozwoju intelektualnego czy też wiekowego.

Skrobek: Pamiętam czasy jak internet jeszcze nie był powszechny, o gigach dowiadywało się pocztą pantoflową, albo z plakatów. Wtedy wszystko wydawało się bardziej autentyczne i przepojone wręcz świeżą energią. Rozwój tych „darów" jakby stępił nieco pazurka punkowej scenie, z drugiej strony, nie da się ukryć, że przyczynił się do jej rozwoju i bywa przydatny, czy tego chcemy czy nie. Kupuję płyty, ale gdybym miał słuchać tylko tego, co kupiłem i nie korzystać w ogóle z mp3, to bym po prostu słuchał o wiele mniej kapel, nie na każdą płytę, jaką chcę przesłuchać, mnie po prostu stać. Albo np. robiąc kiedyś zina, dzięki internetowi mogłem podpytać w formie wywiadu kilka zagranicznych kapel, jak np. OI POLLOI czy INEPSY,

co nie wiem czy akurat w tamtym momencie (OI POLLOI nigdy nie widziałem, INEPSY tak, ale nie pamiętam czy grali w okresie gdy robiłem zina) byłoby możliwe, gdyby nie było internetu. Wszystko ma więc swoje plusy i minusy, trzeba po prostu umieć odpowiednio korzystać z nowinek, tak by nie stały się całym twoim wirtualnym światem i nie zaczęły przysłaniać sensu.
Decu: Wszystkie te „dobra" ułatwiają. Używane do usprawniania wszelakich inicjatyw są jak najbardziej pozytywne. Nie rozumiem natomiast nadużywania, chyba z nudy, czegoś w stylu: wpis na FB – „o właśnie siedzę na kiblu", „a teraz właśnie jem"... Lansowania się wklejaniem tysiąca zdjęć ze swojego dnia czy zabawę w boga - hejtowanie wszystkiego co się nie mieści „w moim, tak szerokim spektrum widzenia świata". Mdli mnie jak o tym myślę. Człowiekiem da się być twarzą w twarz, nie da się tego skopiować, skompresować i pokazać na ekranie.

CHAOS: A jak myślicie, czy scena hc/punk powinna nadal działać w ramach, w których obraca się od lat, czy jednak powinna wyjść szerzej do społeczeństwa ze swojej niszy? Czy scena zjada własny ogon czy może jednak rozwija się i umacnia? Jak postrzegacie polską scenę? Co wam się w niej podoba a co razi po oczach?
Smalec: Jeżeli punk ma się wiązać z przekazem, to jego zasadność powinna sama nasuwać odpowiedzi na to, dokąd ma on sięgać. Może brakuje mi w tej scenie trochę dawniejszej różnorodności i dystansu ludzi do samych siebie. Wydaje mi się, że przydałaby się czasem większa naturalność w kontakcie z otoczeniem, sprzyjająca bardziej zaciekawianiu ludzi z zewnątrz, niż ukazująca spiętą, oceniającą czy też hermetyczną naturę środowiska.

CHAOS: Jakie polskie kapele kręcą się ostatnio na waszych gramofonach? Możecie nam coś polecić do słuchania? A oglądacie seriale? Warto się w jakiś wciągnąć?
Skrobek: SOCIAL CRISIS, CHORYGEN, HOLY EXTERMINATION to naprawdę niezły kawał wygaru, ICON OF EVIL i niezmiennie SUFFERING MIND, S.A.T.A.N., INFEKCJA, FILTH OF MANKIND, LOST, POST REGIMENT. Ze świeżynek pojawiała się ciekawa kapela z Torunia, która właśnie nagrała materiał, ale nie został jeszcze wydany, jednego numeru można posłuchać na bandcampie. Nazywają się TRUD i jadą trochę jak STATE OF FEAR. Jestem ciekaw materiału tej kapeli, na pewno obadam, kiedy już wyjdzie. Z nie punkowych rzeczy przerabiałem ostatnio projekt o nazwie Jacaszek. Jak ktoś lubi melancholijne, nostalgiczne i nieco mroczne dźwięki, trochę w klimacie Badalamentiego, to zdecydowanie polecam. Nie mam zbyt wiele czasu na oglądanie, więc raczej wolę obejrzeć film niż serial, który pochłania wiele godzin. Z „nowszych" seriali udało mi się ostatnio obejrzeć dwa sezony „Detektywa" (True Detective), jedynka miażdży i zdecydowanie polecam, dwójka nudzi i trochę szkoda czasu. Z klasyki oczywiście majstersztyk „Miasteczko Twin Peaks".
Belo: ROMEO MUST DIR, AMEN - Live 92, ENOUGH! „Darkside". Seriali raczej nie oglądam, chyba że na Bareję przyjdzie ochota. Wtedy „Zmiennicy" wchodzą na tapetę.

CHAOS: Powiedzcie nam, tak od serca, co myślicie o poniższych hasłach:
- weganizm/wegetarianizm
- komunizm
- ateizm
- patriotyzm
- wolność słowa
- DIY
Smalec: Miało być od serca, więc niech i tak będzie. W zasadzie większość „-izmów" polega na narzucaniu człowiekowi, trochę odgórnie, jakiejś postawy wykluczając jego naturalną i instynktownie wyczuwaną rolę i tym samym powodując zanik umiejętności obrony swoich racji. Współcześnie w społeczeństwie, gdzie stawia się też niejako wymóg i nacisk na bycie indywidualistą, paradoksalnie wykorzystuje się pozorne możliwości złożone z gotowych i odtwórczych przykładów blokujących rozwój w oparciu o prawdziwą osobowość. Tak, nie jem zwierząt i nie jestem zupełnym przeciwnikiem podpisywania się pod ideami, bo choćby lepiej w mojej ocenie i wszechstronniej wypada DIY, które przy próbie optymalnej definicji powinno sugerować również wolność własnych przekonań.
Skrobek: O praktycznym komunizmie - bo nie łykam gadek o tym, że „prawdziwy" komunizm nigdy nie zaistniał - który znamy z historii, nie ma co dyskutować, takie samo zło jak nazizm i wszelkie inne totalitaryzmy, które pociągnęły za sobą niezliczoną ilość ofiar. Często słyszę teorię, że z założenia jest piękny i gdyby się udał, żyłoby się nam idealnie. Bzdura, z założenia jest też pomyłką. Zakłada, że wszyscy jesteśmy tacy sami i mamy te same dążenia, potrzeby i pragnienia i w efekcie ujednolica nas do poziomu zaprogramowanych robotów służących masie. Bo właśnie komunizm z założenia ma służyć zbiorowości, a nie jednostce, dlatego nawet w teorii jest dla mnie niezjadliwy i chcę się trzymać od tego z dala.
Stanowczo odróżniam wiarę od sposobu jej praktykowania. Choć sam jestem osobą niewierzącą, nie mam nic do wiary, każdy w coś wierzy. Problem zaczyna się, gdy ludzie decydują się na praktykowanie tej wiary wg. czyichś zaleceń, pod postacią tzw. religii, systemu zastraszania opartego na pytaniach i gotowych odpowiedziach, dopuszczalnych normach zachowania i granicach myślenia, systemu kastrującego człowieka z umysłu, przyszywającemu mu do rąk sznurki, za które pociąga mistrz ceremonii, siedzący w kryształowych komnatach Watykanu, żerujący na strachu swojej marionetki.
Patriotyzm dziś nie znaczy zupełnie nic, stał się sloganem, wykorzystywanym do własnych celów przez ludzi o nieczystych intencjach i tak np. politykom pomaga w wygraniu wyborów, stadionowej hołocie w usprawiedliwieniu swoich bydlęcych zachowań, itp. Osobiście bardzo szanuję pewne historyczne zrywy, jak np. Powstanie Warszawskie, pomijając dyskusję czy z politycznego punktu widzenia było potrzebne i słuszne, bo jak najbardziej rozumiem motywację ludzi, którzy mieli dosyć gwałtów, morderstw, wywózek bliskich do obozów itp. i chwycili za broń by walczyć z okupantem o wolność i godność, stawiając na szali swoje życie. Natomiast, jeśli pytasz czy jestem dumny z bycia Polakiem, to powiem zdecydowanie, że nie, jest mi za to nieraz wstyd z tego powodu. Nie rozumiem i nigdy nie rozumiałem jak można być dumnym z czegoś, na co się nie miało zupełnie wpływu. Jak to było?
"I'm American because my parents fucked! (In America)
(I'm not American)
Thank you, mom and dad"
Decu: Katole zawsze mieli u nas przejebane. W zasadzie za historię, swą niewyparzoną gębę z ambon i hajs, pomijając już swe wymyślone teorie.
Wegetarianizm u mnie jest bardzo istotną sprawą. Wychowywałem się w rodzinie, gdzie ubój zwierząt funkcjonował od pokoleń i był na porządku dziennym, był normą, której nikt nie kwestionował. Jako dziecko, patrząc na sytuacje w stylu: nadawanie przez rodziców imion zwierzętom, a po jakimś czasie zarzynanie i żarcie ich flaków z talerza, coś mi nie pasowało. Musiało spowodować w późniejszym wieku przełom. Tak myślę teraz, z perspektywy czasu. Kilka tekstów w zinach, kilka tekstów kapel i wszystko złożyło się w pasującą do siebie układankę, której nie można było wcześniej ugryźć. Nie mam przecież instynktu zagryzania zwierzęcia, które widzę, a na widok pomidora, ogórka ślinotok murowany. Ktoś to sprytnie wymyślił, zrobił z uboju rynek, a z żywego stworzenia smaczny produkt. Wątpię, żeby ktoś, bez tych przyprawo-grillowych poszukiwaczy, zjadł na surowo jakiś flak. Myślę, że przez te 12 lat, nie przykładając do tego palca, uratowałem przed śmiercią dużo zwierząt, a od jakiegoś czasu nie sponsoruję też mleczarni, w których krowy stoją w tym samym systemie klatek, co świnie czekające na rzeź. Także i te krowy trafiają do mielarki, gdy już będą nie potrzebne.

CHAOS: Niedługo wybory... Dlaczego nasze społeczeństwo głosuje na takie postacie jak Korwin-Mikke czy Kukiz? A co z lewicą? Macie swoje zdanie na temat polityki w Polsce? Głosujecie?
Smalec: Po to się takich zjebów pcha do polityki, żeby nigdy nic nie ruszyło się do przodu, poza zaostrzaniem prawa, a ludzie mieli swoją codzienną kontrowersyjną rozrywkę. Nie wierzę w antysystemowość żadnego z nich. Jeśli zaś o tzw. lewicę chodzi to nie wiele się to różni. Realnie mamy tylko podszywające się trochę pod nią PO, które bawi się z nami marchewką swobody obyczajowej i wyznaniowej ograniczając, gdzie i kiedy może wolność w sensie bezpośrednim tj. przez restrykcyjną „opiekę" i coraz to nowe środki przymusu, kar, regulacji dot. zgromadzeń. Mało komentowaną wisienką był np. podpisany dokument ułatwiający wprowadzenie stanu wojennego na wypadek zagrożeń pochodzących z internetu, co w razie jakiegoś kolejnego cyrku, bo przecież tych nie brakuje, równa się cofnięciu wszystkim gwarancji praw człowieka i wolności. Z całą świadomością zatem nie popieramy nikogo z tych szaleńców.
Skrobek: Co do lewicy, to nie obserwuję na scenie politycznej aktywnie działającej lewicy, bo postkomuszy beton z PZPR w postaci SLD, przybrany dla ładniejszego wyglądu młodymi twarzami, to żadna lewica. Co do JKM i PK, hmmm, myślę, że lata hegemonii praktycznie dwóch partii, które skompromitowały się na całej linii, zrobiły swoje. Nie dziwi mnie zatem, że do ludzi znudzonych tymi samymi gębami, trafiają prościutkie i radykalne populistyczne hasełka, które w teorii proponują coś nowego. Populizm zawsze przyciągał mało myślących, a za takich uważam większość wyborców Kukiza, pajaca, który kandydował na urząd prezydenta, a jedyne co ma do powiedzenia to „zmieńmy ordynację wyborczą" i to wg. niego ma być panaceum na wszelkie niedostatki gospodarki, do tego szczypta nacjonalizmu i rasizmu. Nie rozumiem czemu cymbał zyskał miano „antysystemowca", skoro sam chce działać w obrębie tego systemu, krytykując jedynie partię aktualnie rządzącą. PiS też to robi, a nikt im antysystemowości nie dopisuje. Z tą krytyką władzy też różnie może być. Znaczący jest dla mnie fakt, że wcześniej koleś miał idealny pijar, mówił to, co zapatrzeni w niego chcieli usłyszeć i jakoś tak radził sobie z dziennikarzami, a po wyborach się zmieniło

o 180 stopni. Wpadka za wpadką, a podrzędna dziennikarzyna tak negliżuje jego niewiedzę i tępotę, że obrażony wychodzi ze studia i nie zgadza się na publikację wywiadu. Dla mnie coraz bardziej prawdopodobne jest, że jego dawny romans z PO nie wygasł, a jego kandydatura była właśnie pomysłem PO, wedle, którego miał odebrać głosy Dudzie i tym samym zapewnić tron Komorowi. Niewypał, stało się inaczej, odebrał głosy Bronkowi, więc zaczęła się kampania czarnego pijaru, żeby na jesieni nie było powtórki z rozrywki. Tak widzę scenę polityczną, jako szambo stworzone z gównianych nitek knowań, wzajemnych powiązań, brudnych interesów, spisków i po prostu robieniu nas w chuja, dlatego na wyborach nigdy nie byłem i naprawdę nie wierzę, żeby kiedykolwiek się to zmieniło.
Smalec: „Maryna! Chcę ciebie i już! ...tylko z tobą na drugą stronę chcę przejść." :)
Decu: Mogę już się zrzygać? To celuję do urny.

CHAOS: Czy czujecie się zagrożeni islamem, jak chyba większość polskiego społeczeństwa? Jak podchodzicie do kwestii przyjmowania imigrantów z Azji i Afryki, którzy przybywają do Europy?
Smalec: Żyjemy w państwie, w którym za nieudzielenie człowiekowi pomocy mogą grozić konsekwencje prawne, które służą tylko temu by karać, nie chronić. Kłopot w tym, że traktuje się tu niektórych zupełnie przedmiotowo. Osobiście nie obawiam się żadnego islamu, bo fanatyków wszelakiej maści pełno jest wszędzie, a Polacy za granicą sami zachowują się jak pierwszorzędni dzicy. Strach jest najgorszym doradcą w rozwiązywaniu problemów. Tym bardziej boli głupota ludzi srających na widok własnego cienia, kiedy na przeciwległej szali znajduje się ludzkie życie, którego to akurat dość często nazywają siebie „obrońcami". To chyba jedyny taki kraj, w którym wciąż przybywa miejsca, a nie ma go dla nikogo i też nikomu tu nic nie sprzyja.
Skrobek: W wymiarze symbolicznym, każdą religię uważam za zagrożenie... dla umysłu, wolności jednostki i samodzielnego myślenia. Islam też. Natomiast jeśli pytasz czy boję się, że na ulicach zaczną ścinać głowy maczetami, to nie, nie jestem histerykiem, który wierzy w propagandę medialną. Owszem, takie rzeczy się zdarzały, ale to jednostkowe przypadki, które media i środowiska nacjonalistyczne podnoszą do rangi codzienności i upowszechniają je jako normalne dla pewnej grupy ludzi o określonym kolorze skóry i pochodzeniu, stąd ta paranoja wśród tzw. normalnych Kowalskich. W Lublinie jest duży

ośrodek dla uchodźców z Czeczenii, którzy też są islamistami, na Uniwersytecie Medycznym studiuje dużo Hindusów i mieszkańców Bliskiego Wschodu, których nacji z wyglądu nie jestem w stanie ustalić. Nikt się do tej pory nie wysadził, a na ulicach nie panuje terror, więc spokojnie, więcej myślenia, mniej propagandy nienawiści. Wszyscy słyszeli o akcji Brejvika czy np. białym chrześcijaninie w Stanach, co chwycił za broń i wystrzelał pół szkoły i jakoś nikt nie sieje paranoi przed białymi chrześcijańskimi emigrantami. Pojebem, mordercą, terrorystą, może być każdy, bez względu na rasę, czy wyznanie. Cała ta sprawa odsłoniła polaczkowatą hipokryzję. Nacja, która rozsiała się po całym świecie w poszukiwaniu lepszego życia, nagle staje się wrogiem emigracji. Tak, jestem za tym, żeby przyjmować imigrantów, każdy człowiek ma prawo do tego, by żyć, tam gdzie znajdzie odpowiednie dla siebie warunki, a zamykanie granic przed ludźmi uciekającymi przed wojną jest po prostu skurwysyństwem, nie mającym nic wspólnego z człowieczeństwem.

CHAOS: Ciężko być punkiem w Polsce? Ciężko grać w kapeli? Mieć swoje poglądy, kręgosłup moralny i mentalnie odbiegać o schematów rządzących polskim społeczeństwem?
Smalec: Ludziom empatycznym i z moralnymi zasadami, a już szczególnie z własnymi poglądami, zawsze jest ciężko żyć, a łatwo tylko tym, których przekonania poparte są schematami poprawności politycznej. Tych jednych i drugich można spotkać po każdej ze stron (nie w znaczeniu prawa-lewa) i nieostrożnym byłoby tutaj segregować na lepszych i gorszych, zważywszy że nie wszyscy mają w głowach to samo. Jeśli punk daje się łatwo postawić na półce, czy zamknąć w grupie wzajemnej adoracji, to nie ma w nim ni chuja wolności ani kontestacji, a jest za to ten sam pusty schemat.

CHAOS: Wasz split z NON PRESIDENT jest jeszcze cieplutki. Idziecie za ciosem i wkrótce usłyszymy coś nowego MITRĘGI? Czy może raczej odpoczywacie i nie myślicie o kolejnych płytach? Jakie plany macie na najbliższy okres?
Smalec: Jest już plan, żeby za nieodległą chwilę wypuścić kolejnego splita, tym razem na 7", ale na razie nie zdradzam co i z kim, coby nie zapeszać.

CHAOS: No to na koniec prosimy jeszcze o kilka słów od siebie. Dzięki za wywiad!
Decu: Dzięki, ważne tematy poruszyłeś. Nie spalcie nas na stosie za te herezje.

STRADOOM

STRADOOM TERROR
-Jak długo jeszcze?...-
LP+CD / CD
...Po dwudziestu latach od ukazania się kasety teraz czas na płyty. Wersja LP z darmowym CD oraz w wersji limitowanej(kolor)...

NIECH BĘDZIE?
-Ciekaweość cierpienia-
LP+CD / CD
...Znowu kawałek historii. Agresywny gitarowy crustopaty punk z Płocka. Znowu pierwszy raz na płycie. Wersja LP z darmowym CD oraz w wersji limitowanej(kolor)...
Dostępne zimą...

LASCIATE OGNI SPERANZA
-Szatan i anioł- LP+CD / CD
...rzeszowska kapela z początku lat 90-tych. Nagrania z 1991 roku nigdy dotąd nie ujrzały światła dziennego. Teraz na LP i CD. Coś z klimatów ALIEN SEX FIEND czy YOUNG GODS...dostępne zimą...

FATE
-25 lat i 25 zim-
LP+CD / CD
...Wspominkowa płyta z okazji 25-lecia tej jednej z ważniejszych polskich kapel lżejszej odmiany punkrocka. Utwory niepublikowane, studyjne i koncertowe, na wersji CD dużo bonusów i wydane jak nic dotąd w tym kraju...

plan na później; LA AFERRA -Dla Ziemi II- LP

...pytajcie u nas (stradoom@poczta.onet.pl) lub w innych dystrybucjach...
...chętnie się wymieniamy za inne twory scenowe...
...ciągle dostępne niektóre wcześniejsze wydawnictwa kasetowe: EVERSORES, LA AFERRA, CHORY, PATRIMONIUM DEL PUEBLO...
...robimy też dużo wzorów koszulek a także nadruki na zlecenie...

CZERŃ

Ostatnimi czasy zauważam taką prawidłowość, im bardziej są sympatyczni, mili grajkowie tym bardziej grają mroczno, smutno i depresyjnie. W tę prawidłowość wpisuje się warszawska CZERŃ. Chłopaki grają mroczny, brudny depresyjny sludgeowaty walec. Redakcja „Chaosu" w większości lubi takie dźwięki, więc jak zwykle od słowa do czynu i macie poniżej bardzo ciekawy wywiad. Na pytania odpowiadał w imieniu depresyjnego zespołu, miły, uśmiechnięty i sympatyczny Janek, oraz nie mniej ociekający optymizmem, Arek.

CHAOS: Na początku przedstaw nam wasz zespół - czy to prawda, że ktoś z was grał w HEADFIRST? Ciekawa kapela, niezbyt punkowa, ale obracająca się w klimatach tzw. scenowych i robiących sporo pozytywnego fermentu...

Janek: Cześć, jesteśmy CZERŃ z Warszawy i gramy mamy na koncie demo wydane własnym nakładem (wydane też potem przez NNNW na CD) oraz split z KALDERĄ na 12" wydany przez Antenę Krzyku. Co do HEADFIRST, to ja w nim grałem, to było dawno, przed wojną... Czy ta kapela się obracała w klimatach scenowych - tego bym nie powiedział. Metal grała i tyle he, he.

CHAOS: No tak, grała metal, ale chyba organizowałeś sporo koncertów z kapelami scenowymi? Za czasów świetności forum hc.pl byłeś tam dosyć aktywny...

Janek: HEADFIRST było moją pierwszą poważną kapelą, to było, jak wspomniałem, sto lat temu, z biegiem czasu dla mnie granie „metalu i kropka" przestało wystarczać. Potrzebowałem czegoś więcej, jakiejś idei w tle – jak górnolotnie i śmiesznie teraz by to nie brzmiało. Moja ewentualna aktywność na hc.pl to chyba przesada, nie jestem netowo-ekshibicjonistyczny, nigdy nie miałem potrzeby się produkować, co jest fajne a co chujowe... Wystarczająco dużo ludzi lubi to robić...

CHAOS: Ok, powiedz mi czy nie obawiasz się, że CZERŃ będzie krótko błyszczącą efemerydą, jakich było wiele w Warszawie? Sorry za to, ale ilekroć słyszę „kapela z Wawy", obawiam się, że długo nie pociągną i narodzą się w kolejnym projekcie, z podobnym składem. Boisz się tego?

Janek: To nie chodzi o strach, tylko o prozę życia. Nie wiem czy jest tak faktycznie, że warszawskie zespoły są z natury efemerydami i znikają szybciej niż powstają, choć oczywiście znam ten stereotyp wśród ludzi. Za siebie mogę tylko mówić, że skoro zespół się zakłada, to po to, by grał, a nie po to, by nagrał demo i tym samym postawił kropkę nad „i" swojego istnienia. Czy CZERŃ będzie istniała i grała zależy tylko od nas, a nie od miasta, z którego jesteśmy. Nie lubię generalizowania, też w tym aspekcie.

CHAOS: Czy ilość projektów, w których gracie (Arek gra chyba w trzech) nie przeszkadza w funkcjonowaniu zespołu (próby, koncerty)?

Janek: Arek teraz gra w pięciu, jeśli dobrze pamiętam he, he. Nie, nie przeszkadza, tzn. mówię za siebie. To, że ludzie grają w kilku kapelach samo w sobie nie jest niczym złym, o ile umie się to ogarnąć tak by nikt nie był pokrzywdzony. Nam się to udaje, tak mi się przynajmniej zdaje.

Arek: Gram w siedmiu zespołach, mam dwa koty, lwa i żabę. To wystarczająco karkołomne. Nie zastanawiam się specjalnie nad ilością, tym bardziej, że tak się ułożyło, że zawsze któryś zespół w danym momencie mniej działa i dotychczas nie było chyba jeszcze jakiegoś poważniejszego konfliktu. Mamy wspólną salę prób, więc nie muszę jeździć w różne miejsca, wszyscy się znamy, nie ma problemu.

CHAOS: W takim przypadku planowanie koncertów musi być bardzo karkołomne?

Janek: W teorii tak, ale jeszcze nie przytrafił nam się w tym żaden zgrzyt - pewnie pierwsze bijatyki w temacie dopiero przed nami.

Arek: Raz się tak zdarzyło, że przez pomyłkę pokrył się jeden koncert z dwóch tras – CZERNI i SO SLOW. W efekcie wszyscy mnie opieprzali i każda strona kazała wybierać swój zespół. Ile się nasłuchałem, jaki jestem niezorganizowany, chaotyczny itp. W końcu wyszło, że jedna trasa się nie odbyła i po problemie. Ale co sobie na mnie poużywali, to ich...

CHAOS: Dobra jedziemy dalej... Czemu CZERŃ, a nie np. OKRUTNA CZASZKA? Zaskakuje mnie też (oczywiście in plus) to, że teksty są po polsku. Polski ma większe rażenie w takiej muzie?

Janek: Gdy knuliśmy jak ten zespół ma działać, jaki ma mieć kierunek itd., to opcja na polskie teksty pojawiła się bardzo naturalnie. Zakładaliśmy, że raczej to wszystko będzie na serio, że chcemy „mówić" o rzeczach dla nas istotnych i tylko w języku ojczystym damy radę to odpowiednio dobitnie przekazać. Naturalną konsekwencją tego była polska nazwa, OKRUTNA CZASZKA była by trochę chyba za metalowa, a CZERŃ jest na tyle niedopowiedziana, że każdy sam sobie dopowiada do niej resztę. Oczywiście 99% ludzi szuka znaczenia kolorystycznego, ale mam nadzieję, że parę osób też ogarnia inne znaczenie, bardziej historyczne, bym podpowiedział.

Arek: Nazwa CZERŃ pasuje do muzyki, bo to miks sludge, punka i black metalu, w najmroczniejszej, syfiastej formie. Jest ok. Teksty – pisanie po polsku to duże wyzwanie, szczególnie w takiej konwencji, gdzie łatwo o autoparodię. Na razie udaje się zachować stylistyczny, artystyczny i merytoryczny poziom. I niech tak zostanie.

CHAOS: Antyfaszyzm, ekologia, wegetarianizm w latach 90-tych były w większości normą dla załogantów. Czy zgadzasz się, że w dzisiejszych czasach tego typu postawy są postawami radykalnymi? W kontekście CZERNI możemy powiedzieć, że jesteście radykałami?

Janek: Nigdy nie patrzyłem na te rzeczy w ten sposób. Tak się fajnie złożyło, że ludzie, którzy zrobili CZERŃ, a także Grzesiek, który niedawno do nas dołączył, mają bardzo zbieżne poglądy na dużo spraw, także na te wspomniane przez ciebie. To, że przy okazji założenia zespołu wyłożyliśmy je jasno, zrobiło bardzo dużo dziwnego zamieszania. Nie wiem czemu w sumie - to już jest aż tak oczywiste, że brak poglądów lub ich ukrywanie jest najbardziej spoko? Parę razy już były akcje typu „grajcie muzykę, na cholerę wrzucacie w to jakieś lewackie pierdoły". No trudno, jest jak jest i się nie zmieni - nie gramy po to, by ludzi indoktrynować lub podpinać się pod jakąś modę na głoszenie tego i owego, ale też nie zamierzamy udawać, że np. teksty są nieistotne lub że to, z kim dzielimy scenę nas nie interesuje.

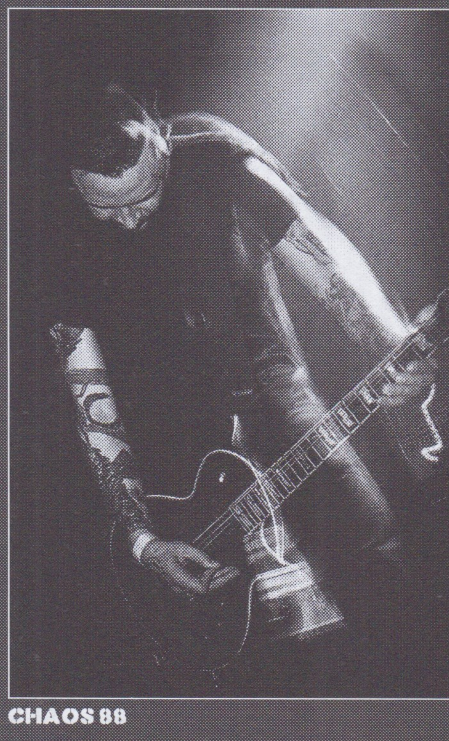

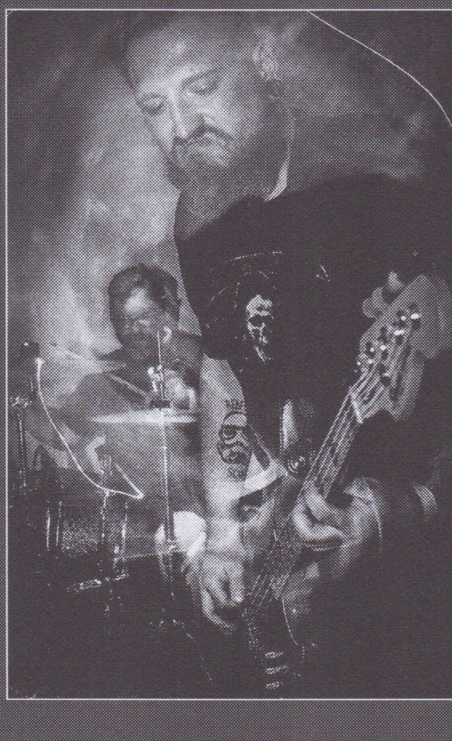

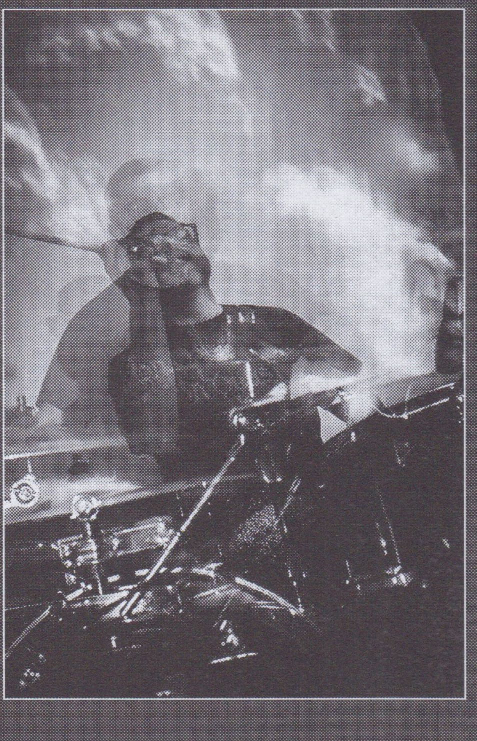

Arek: Już kiedyś mówiłem, że ideologia źle mi się kojarzy, nie chcę być z żadną utożsamiany. Liczy się dla mnie inne słowo – „przekonanie". Muszę robić coś z przekonania, stosować to w życiu i wpasować w codzienne sprawy. Wolę skupić się na rzeczach mniejszych, które pomagają mi w życiu i powodują, że czuję się dobrze. Może to głupie, ale zamiast pisania elaboratów o np. ochronie zwierząt i kreowaniu się na nie wiadomo kogo, wolę dokarmiać bezdomnego kota, który pałęta się koło mojego bloku. I taka drobna rzecz, której pewnie nikt nie zauważy, jest dla mnie ważniejsza niż bycie kimś true na scenie. Inna sprawa – uwaga, będzie kontrowersyjnie! – że połowa zespołów i rzeczy, które dzieją się na scenie hc/punk to dla mnie głupoty i dziecinada.

CHAOS: Czyli sprawdzacie pod kątem, hmmm, koszerności zespoły, z którymi dzielicie scenę?
Janek: Oczywiście, do 10 pokolenia wstecz każdego typa, co gra!

CHAOS: Zdarzało się wam odmówić grania z jakimiś zespołami?
Janek: No kurde, właśnie nie, bo tak się głupio składa, że w 9 przypadkach na 10 gig nam robią nasi znajomi. A coś by się przydało, nasza martyrologia wzrosłaby nieporównywalnie.

CHAOS: Nie stanowi dla was problemu granie w dużych klubach z tzw. mainstream'owymi kapelami? Co jest lepsze: skłot czy wypasiony klub?
Janek: Ogólnie, oprócz wspomnianego CROWBARA, nie zdarzało się nam coś takiego i raczej nie sądzę by miało jakoś często miejsce. Gramy to, co gramy, koncerty też nam robią raczej ludzie ze sceny, to wskazuje jasno, jakie jest przeznaczenie koncertowe tej kapeli. Ja wolę zdecydowanie małe, kameralne rzeczy, gdy ludzi mam na wyciągnięcie gryfu a nie gdzieś hektar dalej.
Co do CROWBAR - dla nas prywatnie jest to kapela kultowa i zagranie z nimi to było naprawdę coś fajnego. Ciężko by taki gig był na przykład na skłocie, ale rozumiem sens twojego pytania. Jasne, że CZERŃ z tym, co nazywasz mainstreamem (czymkolwiek by to nie było) wspólnego dużo nie ma.

CHAOS: Dobra, to już wiemy, że jesteście lewakami lubiącymi zatęchłe skłoty. Sytuacja hipotetyczna... Zgłasza się do was np. Relapse czy inny Mystic i mówi: wydajcie u nas płytę, olejcie Marczyńskiego. Wchodzicie w to?
Janek: Ileż pułapek w twoim pytaniu! Mam zdisować mojego wydawcę, sprzedać ideały i wymyślić nowy statement ideologiczny - niedoczekanie twoje. Ale aby cokolwiek odpowiedzieć w temacie, to powiem, że uparcie czekamy na wiadomość od Neurot Recordings. Poza tym Arka nie mogę olać, bo obiecał zrobić CD-ki ze splitem. A tak to by się pewnie obraził i chuj.
Arek: Rozmowa o wytwórniach i kontraktach w 2015 roku jest bez sensu. Dzisiaj układ „zespół-wytwórnia" funkcjonuje na nowych zasadach. Nie ma już sytuacji, że wytwórnia ma jakąś grupę „na własność" i robi z nią, co chce. Z drugiej strony – dzisiaj zespoły nie mają, co liczyć na kasę na nagrania itp. Każdy kij ma dwa końce. A którym końcem bardziej boli? Nie wiem...

CHAOS: Zadowoleni jesteście z współpracy z Anteną Krzyku?
Janek: Tak, długo ona nie trwa, ale wszystko się zgadza. Nie da się ukryć, że rozmach, z jakim Arek wszystko teraz robi jest imponujący, oby nic tego nie zastopowało. Tylko jeszcze te CD-ki ze splitem jakby były, to się posramy ze szczęścia!

CHAOS: No właśnie, Antena ruszyła ponownie z niesamowitym impetem! Czy dziadek Arek pomaga CZERNI swoimi kontaktami w świecie?
Janek: Mógłby zawsze bardziej! Bardzo o to apelujemy! ;)

CHAOS: Wróćmy do Warszawy, która jest w okolicach 11 listopada rozwalana przez wszelakiej maści nacjonalistów. Tęcza płonie, race dymią... Jesteście za możliwością wyrażania swoich poglądów na zgromadzeniach przez wszystkich? Czy nie pozwalać im na zgromadzenia?
Janek: Na przestrzeni „tamtego" tygodnia odbyłem dużo rozmów w tym temacie ze znajomymi itd. I wiesz, powiem ci uczciwe, że nie wiem... W mojej naturze leży rozbieranie wszystkiego na czynniki pierwsze i oczywiste jest to, że odgórny zakaz przejścia byłby w totalnej kontrze do wolności wypowiedzi - którą jako taką cenię mocno. Z drugiej strony wśród maszerujących 11-stego, całej tej kucarni, ludzi o poglądach na prawo i tych o dziwnie pojmowanym patriotyzmie idzie też stado debili, którzy rozjebują mi pół miasta i to jest słabe. Gdzie jest złoty środek nie wiem - ale pewnie gdzieś u podstaw, tam gdzie 15-latek prędzej ci się zajara celtykiem na stadionie niż robieniem czegoś fajnego, społeczno-kulturalnego itd. Wiesz, wychodzę z założenia, że nikt mi nie może zabronić moich poglądów, ale też ja tego nie powinienem robić innym. Granica jest, gdy te poglądy zaczynają zahaczać o np. sprawy związane z chorym postrzeganiem historii, gloryfikowaniem rzeczy, które są skompromitowane społecznie i humanistycznie raz na zawsze.

CHAOS: Tak na co dzień widać tych patriotów na mieście? Przyjeżdżając do Warszawy mogę się czuć?
Janek: Nie wiem, nie zaprzątam sobie głowy oglądaniem się dookoła i szukaniem problemów. Jak karma mnie dojedzie to pewnie same się znajdą, jak nie to nie. Debile są zawsze i wszędzie. To nie kwestia Wawy czy innego miasta, a raczej przypadku złego lub dobrego tajmingu w danym miejscu.

CHAOS: Z tego, co wyczytałem, jesteście wege/wegan. Warszawa ma już ponoć więcej lokali tego typu niż Berlin. Uczestniczycie w tzw. scenie żywieniowej? Czy lokale są przystępne dla biednych punków? Czy sami sobie gotujecie?
Janek: W zasadzie czasem mam wrażenie, że założyliśmy ten zespół po to, by jeść. Bo jedziesz na gig, karmią cię i to często szamą, która rządzi, dodatkowo mamy kupę znajomych parających się wege gastronomią w całej Polsce... Więc czy my uczestniczymy? My jesteśmy sceną żywieniową! He, he, he Oraz tak, gotujemy - co prawda nie wiem, co nasz bębniarz umie ugotować - ale na bank lubi zjeść. Cała reszta ostro knuje by stać się drugą Gessler, ino bez loków i zjebanego gustu. Co do rozwoju Wawy w kontekście kulinarnym - to jest tak szybki, że chyba nie nadążam już za tym, co nowego powstaje. 10 lat temu bym nie uwierzył za cholerę, że tak może być...
Arek: Kiedyś lubiłem zjeść więcej, dzisiaj nie mogę, szczególnie słodyczy. Tyle, a moją kuchnię traktuję jak coś osobistego. Z preferencji – soja, ziemniaki, szpinak itp. itd.

CHAOS: Wracając do warszawskiej sceny żywieniowej: jak oceniasz wszelakiej maści japiszonów i hipsterskich celebrytów traktujących dietę wegan/wege, jako dietę i nic więcej?
Janek: Oceniam negatywnie i tyle w temacie.

CHAOS: Warszawa i DIY hc/punk. Była Elba jest Ada, Przychodnia. Cóż jeszcze ciekawego z

oddolnych, punkowych inicjatyw możesz polecić punk-turyście z Opolszczyzny?
Janek: No jest jeszcze Syrena skoro tak lecisz po znanych nazwach. W punkowej scenie nie siedzę jakoś wybitnie by ci tutaj rozkładać na czynniki mapę skłotowej Wawy. Mam głęboko zakorzeniony mizantropizm i średnio mnie ciągnie do ludzi, a jeśli już to raczej w małych sprawdzonych ekipach.

CHAOS: Kolegujecie się z innymi warszawskimi zespołami? Jakie hordy ze stolicy możesz polecić czytelnikom „Chaosu"?
Janek: Ojej, to do jutra bym mógł pisać. Kochamy miłością wielką HTB, ciekawe czy z wzajemnością? Salę prób dzielimy z SO SLOW i CAST IN IRON i to są bardzo dobre zespoły, jeśli ktoś nie wie (co by było dosyć dziwne). A i lubimy zespół SHAME, bo jest młody, dobry a ich wokalista pożyczał nam parę razy auto. O, to tyle, bo mam sklerozę i nie pamiętam więcej nazw. Lubiliśmy jeszcze DEATH ROW, ale się rozpadło.
Arek: Ja lubię indie rocka i starą, dobrą alternatywę z lat 90-tych. Nie ma znaczenia miasto i kraj.

CHAOS: Przejdźmy do waszej debiutanckiej płyty, splitu z KALDERA. Powiedzcie mi coś o okładce i jej znaczeniu? Czy wspólna okładka z inną kapelą jest dziełem kompromisu?
Janek: Okładkę narysowała Kama, żona Grześka i miała wolną rękę, co tam się będzie dziać. Finalnie wyszło zajebiście i kompromis nie był w ogóle potrzebny.

CHAOS: Rozmawialiśmy sobie prywatnie o SUNRISE. Czy zgodzisz się ze mną, że ten zespół ze swoją postawą (wege, DIY, etc.) miał wpływ, i to duży, na sporą ilość osób?
Janek: Co do SUNRISE... to lepiej jak powiem za siebie - faktycznie tak było, że ta kapela była dla mnie bardzo ważna. Nakierowała mnie i światopoglądowo, i muzycznie też trochę, na te tory, na których nadal się poruszam. A zapewne nie jestem w tym jedyny. Poza tym z Patrykiem z SUNRISE byłem na studiach i mnie dziwiło, że typ sXe przynosi obiad na zajęcia oraz, wyglądając jak wyglądał, chce ze mną dyskutować o najnowszej płycie MARDUKA - niewątpliwie rozszerzyło mi to moje, kucowe wówczas, horyzonty.
Arek: To był ważny zespół, tyle, że ideologicznie przez cały czas, zaś muzycznie sens miał wtedy, kiedy ja w nim grałem, he, he. A tak poważnie – dzisiaj broni się chyba tylko „Traces to Nowhere". Tyle. To oczywiście tylko moja, prywatna opinia...

CHAOS: Po wydaniu kasety i płyty, spływają do was zaproszenia na gigi i recenzje płyty?
Janek: Zaproszenia na gigi owszem, aczkolwiek teraz, odkąd jesteśmy już pięcioosobową hordą, chcielibyśmy grać jak najwięcej. Co do recenzji, to dużo tego nie ma raczej, ludzie chyba nie lubią recenzować winyli...

CHAOS: Bo ich nie dostają do recenzji... ;)

STRESS z Jeleniej Góry był jedną z fajniejszych kapel grających melodyjnego, ale i czadowego punk rocka w latach 80. w naszym kraju. Wydali dwie kasety demo: "Kiszona kapusta" i "III Wojna" oraz split z FORT BS. Ponadto zagrali też koncerty w Jarocinie i na Róbrege w 1986 roku. Zresztą o samym zespole i jego historii opowie wam, w poniższym wywiadzie, Kastet, wokalista STRESS, którym był od początku do końca istnienia kapeli. Wkrótce ukaże się również płyta winylowa z nagraniami STRESS z lat 80., więc wypatrujcie jej! Pytania przygotował Pablo, wywiad przeprowadził Janson.

CHAOS: Na początek powiedz nam, co robiłeś w zespole STRESS, co robisz dzisiaj i w jakim stopniu punk rock zmienił twoje życie?

Kastet: Nazywam się Kastet i byłem wokalistą w zespole STRESS, w początkowym okresie grałem także na basie. Czy punk rock zmienił moje życie? Nie ma co ukrywać, ale tak, to ciągle we mnie siedzi, zdefiniowało moje wybory życiowe. A obecnie pracuję w fabryce, od roku jestem dziadkiem i od czasu do czasu ze znajomymi pogrywam dla przyjemności.

CHAOS: Kiedy punk dotarł do Jeleniej Góry i jak wkręciłeś się w ten klimat? Jak wyglądały twoje początki i co cię zafascynowało w punk rocku? Jak to było być punkiem w PRL-u, a szczególnie w Jeleniej Górze?

Kastet: Dokładnymi latami nie będę operował, bo mogę coś pomylić, ale najprawdopodobniej był to 1982 rok, gdy chodziłem do 8 klasy i kończyłem szkołę podstawową. Zacząłem wtedy grać muzykę, a przynajmniej próbowałem to robić. Pamiętam, że w radiu, bodajże w Trójce, Marek Wiernik puszczał punkowe utwory i strasznie się tym zafascynowałem, powoli się w to wciągałem. W Jeleniej Górze jako pierwszy, punk rocka - chociaż dla mnie to bardziej była nowa fala - zaczął grać FORT BS. Przynajmniej tak było na początku. A pierwszą załogę punkową to na pewno tworzył Cichy z FORTU BS. Tylko, że wtedy wizualnie oni nie wyglądali na punków. Wydaje mi się, że wcześniej mogło być kilka takich punkujących efemeryd, ale o to, to już by trzeba było się wypytać Cichego. A taką prawdziwą, rasową ekipę punkową spotkałem dopiero w momencie pójścia do szkoły średniej. Wtedy poznałem chyba najbardziej ortodoksyjnego punka w Jeleniej Górze, który miał ksywę Kłuda. Później został on pierwszym wokalistą STRESSU, a obecnie mieszka w Norwegii. Jak na tamte czasy Kłuda wyglądał niesamowicie! Jako pierwszy w mieście miał glany „Rumuny", miał zamek ze śpiwora wszyty w spodnie, ciuchy pofarbowane na wszystkie kolory świata i brązową skórę, w którą było powszywane tysiące zamków i do tego cała była oćwiekowana. Wyglądała jak zbroja rycerska. Dobrze pamiętam nasze pierwsze spotkanie, gdy zobaczyłem Kłudę w centrum Jeleniej Góry. Ja miałem postawione włosy, długi płaszcz skórzany, na szyi czerwoną chustę i na nogach oficerki milicyjne pomalowane czerwoną farbą. Gdy się spotkaliśmy, to zmierzyliśmy się wzrokiem i od razu zakumplowaliśmy się. Tak mniej więcej się to zaczęło. Szybko zaczęli pojawiać się inni, zarówno miejscowi, jak i osoby z okolicznych miejscowości, którzy przyjeżdżali uczyć się w naszym mieście. W ten sposób zaczęła powstawać ortodoksyjna załoga punkowa. Szybko np. dołączył do nas Szunio z Gryfowa, który później grał w ZAKONIE ŻEBRZĄCYCH. Ciągle mieliśmy jakieś zatargi, z gitowcami, popersami itd. Pamiętam np. takie zdarzenie, że kiedyś przyszedł do mnie kumpel z załogi - Żyletek i zafarbowaliśmy sobie spodnie i koszulki na żółty kolor i tego samego dnia ufarbowaliśmy włosy na czarno. Pamiętam, że po wyjściu z domu, na odcinku 300 metrów, trzy razy miałem problemy i awantury za wygląd. Raz musiałem uciekać, a dwa razy się biłem. Miałem też np. taką przygodę: wracając kiedyś z dyskoteki szkolnej, na którą odprowadziłem koleżankę ze szkoły, przy dworcu PKP obok lokalu PTTK, spotkałem popersów, którzy akurat tam się spotykali. Wyleciało ich na mnie kilku i musiałem uciekać. Ale pobiegłem do parku, gdzie siedzieli moi koledzy z załogi i jak wpadliśmy razem do lokalu to można powiedzieć, że stoły latały. Jakoś tak się złożyło, że dużo osób z załogi mieszkało w centrum miasta i przez to codziennie przesiadywaliśmy na rynku. To była taka sytuacja, że nawet cinkciarze, gitowcy przyzwyczaili się do naszego wyglądu, bo dzień w dzień siedzieliśmy tam pod arkadami i z czasem stało się to dla wszystkich normalne. Teraz już tak nie ma, bo młode załogi ukrywają się po parkach, na osiedlach, bo w centrum jest wszędzie monitoring. Jeszcze niedawno było fajne miejsce przy kościele garnizonowym, ale tam założono kilkanaście kamer i to się wszystko skończyło.

CHAOS: Kto pierwszy zaczął grać punkową nutę w twoim mieście? Czy to był FORT BS?

Kastet: Jeżeli chodzi o punk rocka takiego, jak teraz o nim myślimy, to faktycznie punk zaczął się w Jeleniej Górze od STRESSU. Pamiętam taki koncert na Rynku, że występował FORT BS i grał

utwory w stylu: „na górze róże, na dole fiołki, my się kochamy jak dwa aniołki". Wizualnie to oni punków nie przypominali, błędem by nie było, gdybym powiedział, że z wyglądu bardziej przypominali kapelę bluesową. Cichy słuchał starych kapel punkowych, ale nie wyglądał jak punkowiec. Muzycznie FORT BS nie grał takiego typowego punk rocka. Powiedziałbym, że dopiero znacznie później zaczęli go grać. Wydaje mi się, że FORT BS zaczął grać bardziej po punkowemu w momencie jak doszedł do nich Decha. Jemu to akurat nie przeszkadzało, bo to do zagrania było bardzo proste. Był bardzo dobrym muzykiem i do tej pory zresztą jest.

Kastet z wywalonym jęzorem...

CHAOS: Zanim powstał STRESS był jeszcze zespół HYDRANT, który powstał w 1982 roku. Zakładałeś ten zespół czy po prostu pojawiłeś się w którymś momencie w jego składzie? Opowiedz nam coś więcej o tym epizodzie - kto tam grał, gdzie zagraliście koncerty i z kim. Podobno część zespołu nie chciała grać już punk rocka, a inni założyli STRESS. Zresztą STRESS grał kawałki, które powstały jeszcze w HYDRANCIE, prawda?

Kastet: Zespołu HYDRANT nie zakładałem, pojawiłem się w nim w którymś momencie. Z tego co pamiętam, to założył go Wojtek Panasiuk wspólnie z Dechą. On śpiewał, a Decha grał na gitarze. W HYDRANCIE grałem tylko na basie. Po tylu latach nie pamiętam reszty ekipy, która tam grała. Wizualnie pewnie bym poznał, ale po ksywach to już niekoniecznie. Oni byli ze starszej klasy, to był jeszcze zespół ze szkoły podstawowej. Nasza kariera nie była w szczególny sposób błyskotliwa, zagraliśmy tylko jeden koncert dla trzech szkół podstawowych podczas przerwy na dyskotece. Nawet pamiętam jeden z utworów, który graliśmy. Miał taki tekst: „...jesteśmy punkami, punkami, dla was gramy i śpiewamy...". Teraz oceniam, że było to infantylne. Graliśmy na dwie gitary i nawet fajnie to wtedy wyszło, ludziom się podobało. W tamtych czasach mało kto coś takiego grał. Jednak szybko się to skończyło, bo zarówno ja, jak i Decha, odbiliśmy od nich. Oni słuchali nieco innej muzyki, a nas coraz bardziej fascynował punk rock. Wojtek, który śpiewał w HYDRANCIE, miał długie włosy i bardziej skłaniał się w kierunku hard rocka, heavy metalu. Czy STRESS grał jakieś kawałki HYDRANTU to teraz nie pamiętam, być może na początku coś sporadycznie graliśmy, bo przecież te kawałki po części układał Decha.

CHAOS: W którym roku wystartowaliście ze STRESSEM - w 1984? Jaki był pierwszy skład kapeli - byliście kumplami z załogi, ze szkoły czy dobraliście się przypadkowo? Jak wyglądały początki zespołu - mieliście salę prób? Skąd instrumenty i w ogóle umiejętności gry na instrumentach? No i dlaczego chcieliście grać w punkowym zespole?

Kastet: W ogóle to z Dechą znam się od pierwszej klasy podstawówki, bo chodziliśmy razem do jednej klasy, bardzo się kumplowaliśmy i wspólnie przeżywaliśmy fascynację muzyką. Ja często do niego do domu chodziłem, on przychodził do mnie. Różnica może była tylko taka, że ja bardziej wyglądałem jak punkowiec. Gdy wychodziłem na ulicę to po prostu byłem widoczny. Można powiedzieć, że pierwszy skład był i ze szkoły, i przypadkowy. Bo jak już wspomniałem, z Dechą chodziłem do jednej klasy. A z innymi dobraliśmy się pewnie przypadkowo. Spotykaliśmy się jako załoga i tak wyszło, że założyliśmy zespół. Była nas wtedy garstka i jak się widziało dziwnego człowieka, to go się poznawało. Dowiadywałeś się, że on na czymś gra i tak to się tworzyło. Zakładając STRESS dopiero uczyliśmy się grać. Mieliśmy już jakieś umiejętności, ale zaczęliśmy się dogrywać z czasem. Nie wiem skąd inni mieli instrumenty, ale ja np. bas kupiłem, gdy byłem w Czechosłowacji na OHP. Za zarobione tam pieniądze kupiłem gitarę basową marki „Jolana". Pierwszy skład STRESSU to: Lalek i Kowboj – gitary, ja, czyli Kastet – bas, Decha – perkusja i Kłuda – wokal. W tym składzie pograliśmy pewnie z rok, zagraliśmy kilka koncertów w okolicach Jeleniej Góry i wyglądało to tak, że nasi gitarzyści stracili zainteresowanie grą. I gdy Lalek i Kowboj nas opuścili, to okazało się, że Decha jest znacznie lepszym gitarzystą niż perkusistą i gra na gitarze lepiej wychodziła jemu niż im. On przeskoczył na gitarę, a na perkusję dołączył Burza, który był moim kumplem z podwórka. Pograliśmy w tym składzie jakiś czas i wynikła sytuacja, że Kłuda coś narozrabiał w domu kultury i opuścił zespół. Wtedy zaczęliśmy grać w trójkę, z konieczności wskoczyłem na wokal za Kłudę. Salę prób udało się załatwić w domu kultury. A grać po prostu chcieliśmy, bo rozsadzała nas energia i chcieliśmy wyrazić to, co czujemy.

CHAOS: Początkowo grałeś w STRESSIE na gitarze basowej, jednak wkrótce przerzuciłeś się na wokal, a do kapeli doszedł Kunta i wskoczył na bas. Zresztą ten skład zmieniał się kilka razy, prawda? Jesteś chyba jedynym członkiem kapeli, który był w STRESSIE od jego początku do końca istnienia... Jak się odnalazłeś jako wokalista?

Kastet: Na wokal wskoczyłem za Kłudę niejako z przymusu. Na samym początku grałem tylko na basie, później po jego odejściu musiałem przejąć także rolę wokalisty. No i było tak, że grając i do tego śpiewając nie mogłem dać z siebie wszystkiego. Tak np. czułem podczas gry w trzyosobowym składzie w Jarocinie, czy na Róbrege. Wirtuozem gitary ani śpiewu nigdy nie byłem, a gdy miałem łączyć obie te funkcje, to nie najlepiej to wychodziło. I stąd decyzja, że rozbudujemy skład i ja poświęcę się tylko śpiewaniu, a na bas dołączy Kunta. To chwyciło, bo ja mogłem robić show na scenie a Kunta był dobrym basistą. Było to coś zupełnie innego niż takie stanie na scenie, gdy czujesz, że kabel od gitary cię trzyma jak smycz. Myślę, że to mocno wpłynęło na rozwój zespołu. Skład STRESSU zmieniał się kilka razy, mógłbym powiedzieć, że były 4 składy zespołu. Oprócz mnie od początku do końca grał także Decha.

CHAOS: Wydaliście w 1985 roku swoją pierwszą kasetę demo "Kiszona kapusta" - tytuł pochodzi od instrumentalnego balladowego utworu, który znalazł się na kasecie. Dlaczego akurat ten tytuł wybraliście?

Kastet: Gdy nagraliśmy ten materiał, to nie wiedzieliśmy jak demo zatytułować. Na tej demówce był jeden utwór bez wokalu i gdy tak rozmyślaliśmy to taka nazwa nam się nasunęła i tak już zostało.

CHAOS: Gdzie nagrywaliście utwory na tę taśmę? Kasetę wydaliście własnym sumptem - ktoś wam w tym pomagał? Jak wyglądała dystrybucja tej taśmy? Wysłaliście ją na festiwal w Jarocinie w 1985 czy powstała ona już po festiwalu?

Kastet: Demo „Kiszona Kapusta" wydaliśmy samodzielnie. Kasety powielaliśmy i nawet dość sporo się ich ukazało, bo pamiętam, że wykonaliśmy sporo okładek, które odbiliśmy w domu kultury. Kaseta została nagrana na „setkę". Akustykiem był Bogdan Byczkowski i on nam przy tym trochę pomógł. My graliśmy, on siedział za szybą. Gdy coś źle nagraliśmy to powtarzaliśmy to. Kasetę sprzedawaliśmy na różnych koncertach, podczas spotkań z innymi załogami. Wysyłkowo raczej tego nie dystrybuowaliśmy. Myślę, że ten materiał mógł być nagrany jako demo zgłoszeniowe do Jarocina '85, do którego i tak się nie dostaliśmy.

CHAOS: A jak wam się udało załapać na FMR Jarocin w 1986? Opowiedz nam coś o tamtejszym klimacie. Mieliście jakieś spiny z organizatorami? Z kim wystąpiliście wtedy i jak was przyjęła publika jarocińska?

Kastet: STRESS pierwszy raz w Jarocinie zagrał w '86 roku. Rok wcześniej próbowaliśmy, ale bez efektu i ostatecznie byliśmy tam tylko, jako publiczność. Do Jarocina po raz pierwszy pojechałem wspólnie z Dechą w '84 roku. Wtedy odleciliśmy na całego i stwierdziliśmy, że jak wrócimy do Jeleniej Góry to musimy zacząć grać na poważnie. A gdy graliśmy w Jarocinie w '86 to raczej wszystko było ok. Pamiętam, że gdy rozmawialiśmy z Walterem Chełstowskim, to on powiedział, że może nawet by była szansa zagrać jeszcze drugi raz na festiwalu, w ostatnim dniu, ale nie było to możliwe ze względu na nasze teksty. Mieliśmy takie teksty, że nawet jak byśmy byli najlepsi, to i tak byśmy nie zagrali, bo cenzura by tego nie przepuściła. Na dużej scenie wyciszyli nas. Sami trochę spaliliśmy temat: gdy na próbie zagraliśmy kawałek „Milicyjny kraj", było już po nas. W jakiej kolejności tam graliśmy to nie pamiętam. Na pewno przed nami wystąpiła

STRESS - Jarocin 1986

SEX BOMBA. Zapamiętałem to z tego względu, że nieliczni wtedy skini podeszli pod scenę i punki zaczęły się buntować i wynikła z tego zadyma. SEX BOMBA chyba nawet dostała się do finału, ale sam koncert mieli nieudany. A my jak wyszliśmy grać po nich, to mieliśmy bardzo ciepłe przyjęcie, pod sceną było wielkie pogo.

CHAOS: Kto pisał teksty do waszych kawałków? Skąd w waszym repertuarze znalazł się wiersz Broniewskiego "Ulica Miła"? No i koniecznie musisz nam powiedzieć skąd wziął się pomysł na wasz chyba najbardziej znany kawałek - "Pomnik". Mieliście problemy z cenzurą z powodu tego tekstu?

Kastet: Jeżeli chodzi o teksty, to np. jakieś teksty zostały jeszcze po Kłudzie, który był pierwszym wokalistą STRESSU. Na pewno był on autorem tekstu „Robotnicza dzielnica" i chyba „Rewolucja noworodków". A tak, to większość tekstów napisałem samemu, coś jeszcze podrzucił Cichy z FORTU BS. Inspiracje do tekstów były szerokie, utwór „Miła ulica" to wiersz Broniewskiego. Kiedyś czytałem dużo poezji, aby znaleźć inspirację do pisania własnych wierszy i jakoś ten Broniewski sam się nawinął, od razu wiedziałem, że musimy ten wiersz wykorzystać. Oczywiście, że miewaliśmy problemy z cenzurą, chociażby przy kawałku „Pomnik". Pewnego razu graliśmy koncert dla żołnierzy, bo w Jeleniej Górze była duża jednostka wojskowa i właśnie w domu kultury mieliśmy zagrać koncert dla wojska. Dla całej sali żołnierzy w różnej randze, od szeregowych po tych wyższych stopniem, bo to akurat było święto wojska polskiego. Zabroniono nam grać części kawałków i z programu wyrzucono nam za teksty takie utwory jak „Pomnik", „Praca dla ojczyzny", czy w końcu „Milicyjny kraj". Dostaliśmy oficjalny zakaz. Zagraliśmy wtedy „Milicyjny kraj" w wersji z demo, czyli „...my żyjemy w kraju wolnym". A pomysł na kawałek „Pomnik" stąd, że w Jeleniej Górze był pomnik „Iwana", czyli pomnik radzieckiego żołnierza, któremu mała dziewczynka daje kwiaty. Wszyscy się śmiali, że to niemiecka dziewczynka daje kwiaty sołdatowi, za to, że wyzwolił miasto. Był to duży pomnik w samym centrum miasta, który po upadku PRL-u przeniesiono na cmentarz. Po prostu w tamtych czasach, przechodząc koło tego pomnika miałem takie myśli i w pewnym momencie one ułożyły mi się w taki, a nie inny tekst. Już po przeniesieniu pomnika dopisałem czwartą zwrotkę tekstu, ale chyba STRESS nigdy w tej wersji nie zagrał tego utworu. Za to w wersji czterozwrotkowej gra ten utwór zespół ULICZNY OPRYSZEK, któremu przekazałem tekst.

CHAOS: W roku 1986 wypuściliście kolejną taśmę demo "III Wojna". Gdzie nagrywaliście utwory na tę taśmę i w jakim składzie? Ktoś to wydał czy znowu wzięliście sprawy w swoje ręce? Masz pojęcie w jakim nakładzie rozeszło się to demo?

Kastet: Demo „III wojna" nagraliśmy rok albo dwa lata później w tym samym studiu, co poprzednią demówkę. W tym czasie, jaki upłynął od nagrania poprzedniego materiału, w studio przy domu kultury zaszły duże zmiany. Gdy po raz pierwszy tam nagrywaliśmy, to całość odbywała się w dosyć prymitywnych warunkach, sprzętu było mało. Dopiero później zakupiono trochę nowego sprzętu i całość mogliśmy nagrać lepiej, perkusję z basem, dograć gitary osobno itd. „III wojnę" nagraliśmy w składzie: ja, Decha, Kunta i Burza. Kasetę ponownie wydaliśmy sami, chociaż właściwszym by było stwierdzenie, że sprawy w swoje ręce wziął Kłuda. On już z nami nie grał, ale nadal był blisko kapeli i to jego bawiły takie rzeczy. Robił projekty okładek, później je drukował i na końcu je wydawał. Można powiedzieć, że był takim naszym menago, dzwonił, załatwiał, pomagał. Bo jak się śmialiśmy, że Żyletek jest naszym technicznym, bo jeździł wszędzie z nami na koncerty, to Kłuda też z nami jeździł i właśnie pomagał w takich organizacyjnych kwestiach. Niestety, nie mam pojęcia w jakim nakładzie to demo mogło się rozejść wśród ludzi.

CHAOS: Nagrania na poprzedniej taśmie były dość surowe, z odrobiną melodii i dość depresyjnymi tekstami, natomiast kawałki na "III Wojnie" o wiele bardziej melodyjne - skąd taka zmiana? Jakie kapele was wtedy inspirowały? No i teksty, można powiedzieć, że bardziej społeczno-polityczne. Ówczesna polska rzeczywistość zaczęła wam dawać mocno w kość?

Kastet: Jak porównamy te nasze dwie demówki, to widać rozwój zespołu. Pierwsze demo było momentami bardziej melancholijne, momentami nawet depresyjne, nowofalowe. To rozwijało się samo z siebie. Z jednej strony, oprócz punk rockiem, przeżywaliśmy fascynację zespołami, które grały w Jarocinie jak VARIETE, MADE IN POLAND, do tego jeszcze słuchaliśmy JOY DIVISION. Był taki trend na nową falę. Słuchaliśmy takiej muzyki i jakieś echa tego można usłyszeć na „Kiszonej Kapuście". A z drugiej strony, gdy nagrywaliśmy „III wojnę", to też zmieniły się nieco teksty. Byłem wtedy ostrym pancurem, ówczesna rzeczywistość mocno dawała nam w kość. Gdy jechaliśmy np. załogą do Wrocławia, to tamtejsza milicja wylewała nam wodę na włosy, pałowała nas, cuda się działy. Mieliśmy załogę punkową i ja nie tylko grałem w zespole, ale jeździłem na koncerty, utrzymywałem kontakt z różnymi ekipami w całej Polsce.

CHAOS: Moim ulubionym utworem z tej taśmy jest "Jak dobrze być żołnierzem". Odsłużyliście swoje czy jednak udało się wam wymigać od wojska? Wiele polskich zespołów rozpadło się dzięki LWP...

Kastet: Z naszego zespołu to prawie wszyscy się wymigali od wojska. Tylko naszemu perkusiście Burzy nie udało się od tego wybronić i trafił na dwa lata do wojska. Ja np. dostałem kategorię E i w papierach wpisaną mam psychopatię. I dlatego powstał nasz utwór „Psychopata", który został napisany po moich perypetiach z komisją wojskową, na której właśnie stwierdzono u mnie psychopatię. Wszyscy z zespołu stwierdzili, że do wojska nie idziemy i nie ma takiej możliwości.

CHAOS: Mieliście też w swoim repertuarze miłosną piosenkę "Do Ani". Kim była Ania?

Kastet: Ania była moją ówczesną dziewczyną i to przez długi czas. Nie ma co ukrywać, że jak powstawała ta piosenka, to byłem w niej mocno zakochany. Teraz każde z nas ma już swoje rodziny, ale do tej pory mamy z sobą jakiś kontakt. Ania może nie była dziewczyną punkującą, ale nie była też jakąś sierotą. A sama piosenka do tej pory jej się podoba.

CHAOS: Dużo graliście koncertów po Polsce? Pamiętasz gdzie i z kim zagraliście? Łapaliście się na koncerty organizowane przez ludzi, którzy zaczynali w Polsce tworzyć scenę niezależną?

Kastet: Koncerty graliśmy w różnych miejscach, ale trudno mi coś powiedzieć, bo ja akurat nie zajmowałem się organizowaniem ich. W różny sposób się to odbywało, czasami przychodziło pismo do domu kultury, że zaprasza się nas na koncert, a czasami było tak, że to nasi znajomi organizowali koncert i nas bezpośrednio zapraszali. Wymienialiśmy się też adresami i w ten sposób zagraliśmy kilka koncertów. Jakiś oddźwięk był też po zagraniu w Jarocinie, bo w folderze festiwalowym pojawiła się notka o zespole. W tamtych czasach nie organizowano tylu koncertów co teraz, więc w sumie koncertów nie zagraliśmy aż tak dużo. Kilka koncertów załatwili nam np. ludzie z DEFEKTU MÓZGU, graliśmy z nimi przy okazji. Jechaliśmy wszędzie gdzie nas zapraszano, chyba, że była taka sytuacja, że komuś z nas to z czymś kolidowało, i wtedy odmawialiśmy. Ale np. bardzo chcieliśmy grać na imprezach organizowanych oficjalnie, przez jakieś ZSMP i tego typu instytucje. Zawsze lubiliśmy tego typu wyzwania i wtedy nie oszczędzaliśmy się. Prowokowaliśmy, graliśmy piosenki takie jak np. „Milicyjny kraj".

Zdarzyło nam się grać na 1 Maja w naszym mieście. Na Placu Ratuszowym multum ludzi, a my wychodziliśmy i waliliśmy z grubej rury. A ludzie w szoku, że coś takiego słyszą, bo w Jeleniej Górze nikt tak nie grał i nie słyszeli takich tekstów. Trochę koncertów zagraliśmy z DEZERTEREM, kilka np. z DEFEKTEM MÓZGU. Z takich imprez gdzieś dalej od Jeleniej Góry to graliśmy np. w Szczecinie, Elblągu, Warszawie, Poznaniu. Nie wiem czy można mówić o scenie niezależnej, w latach 80-tych nie funkcjonował taki termin w obiegu.

CHAOS: Bodajże w 1987 roku pojawiła się split

Arturro

kaseta STRESS/FORT BS. Kto to wydał i jakie nagrania znalazły się na tej taśmie? To były nowe kawałki czy kompilacja pochodząca z dwóch poprzednich kaset?
Kastet: Kasetę wydał Maken. Przyjaźnił się z nami i dlatego to zrobił. Wziął nagrania od nas, zgrał te kawałki STRESS i FORT BS, które mu się najbardziej podobały. A na koniec przyniósł nam gotowe kasety. Maken wtedy bardzo dużo działał i zresztą do tej pory mocno związany jest z muzyką. A że robi to porządnie, to my nie mieliśmy do niego żadnych zastrzeżeń, ufaliśmy mu, że zrobi to dobrze. Nawet nas nie interesowało, co on z tymi kasetami robi, ile ich wydał. Cieszył sam fakt wydania.

CHAOS: Kto ze STRESSU grał w FORT BS - tylko Arturro i Deska? Odeszli z zespołu by grać z FORTEM czy dzielili czas na dwie kapele? A ty udzielałeś się w FORCIE BS? Dużo daliście wspólnych koncertów z nimi? A jak podobała ci się kaseta z ich zimnofalowymi nagraniami?
Kastet: W FORT BS ludzie ze STRESSU przewijali się w różnych składach. Przez długi czas Decha grał zarówno w FORCIE, jak i w STRESSIE. Nie wszyscy kojarzą, że on grał i tu i tu, bo w STRESSIE występował jako Decha, a w FORCIE jako Mario. Był też taki skład FORT BS, gdzie trzy czwarte zespołu stanowili ludzie ze STRESSU, czyli Decha, Arturro i Zdzichu. A po drodze jeszcze przez FORT BS przewinął się też Paweł Kubiak. Z FORTEM BS byliśmy w specyficznej symbiozie. My graliśmy ich utwory, oni nasze. Kiedyś była np. taka sytuacja, że FORT BS się rozpadł, czy zawiesił, Cichy nie miał akurat zespołu i przyszedł do mnie z tekstami. I STRESS na próbie zaczął robić do nich muzykę. Zrobiliśmy muzykę do jego tekstów: „Krzyk", do „Wojenki", „Wódki" i bodajże do kawałka „Piwo". Jak on zostawił nam te teksty, to wzięliśmy i zrobiliśmy to jako STRESS, a potem jak Cichy znowu reaktywował FORT BS, to stwierdził, że powstały fajne kawałki do jego tekstów i po prostu FORT BS zaczął je grać.
Również mi zdarzyło się zagrać ze dwa razy na basie na ich koncertach. Raz nie mieli basisty, to pojechałem z nimi grać na festiwalu w Głogowie. Tylko, że dla mnie to było sporadyczne granie na zastępstwie, a oni byli w stałych składach. A teraz, jak po latach sobie przypominam pewne sytuacje, to jestem zdziwiony, że tak mało wspólnie graliśmy koncertów. Oba zespoły razem zagrały tylko jeden albo dwa koncerty. Na pewno był to koncert „Łappunka", który organizowaliśmy, ale czy gdzieś jeszcze, to już nie pamiętam.
A to zimnofalowe granie FORTU, to dla mnie była rewelacja. Może nawet nie tyle kaseta, co ich koncert w Jarocinie. Pamiętam, że jak byłem pod sceną, ale nie wśród publiczności, a gdzieś z boku sceny, i jak usłyszałem to, co grają, to aż mnie dreszcze przeszły. A to, co na saksofonie zagrał Wisior to było piękne. Wiedziałem od razu, że będą wśród laureatów Jarocina.

CHAOS: Był też projekt RAYA. FORTOWI BS nie udało się zagrać w Jarocinie w 1987 i wystąpili pod nazwą RAYA, tak? Pamiętasz tę akcję? Kto z członków STRESS brał udział w tej grupie? O co dokładnie chodziło i skąd hasło "prawdziwa muzyka prawdziwych robotników"?
Kastet: Była to dziwna historia. Przed Jarocinem '87 wysłaliśmy kolejną kasetę zgłoszeniową z zupełnie innym materiałem, aby się dostać. FORT BS także wysłał swoje nagrania – te, które uważał za najlepsze. Ja zrobiłem jeszcze taki numer, że skompilowałem taką kasetę, gdzie były utwory zarówno STRESSU, jak i FORT BS, które nie były na tamtych kasetach wysłanych wcześniej do Jarocina. I był taki numer, że STRESS się nie dostał, FORT BS się nie dostał, a dostał się trzeci zespół, ten, którego ja wysłałem nagrania. Wymyśliłem dla niego nazwę RAYA. Zespołu, który jeszcze w ogóle nie istniał.
Pamiętam, że jak dostaliśmy potwierdzenie, że RAYA zagra w Jarocinie, to siedliśmy i zaczęliśmy się zastanawiać, kto ma zagrać w Jarocinie. Czy pojedzie STRESS, czy pojedzie FORT BS, czy może jakiś inny skład i co my tam będziemy grać. Stwierdziliśmy, że zrobimy parę nowych kawałków i że Cichy będzie śpiewał, ja będę grał na basie, Kunta będzie grał na tamburynie, jeszcze występował tam Kłuda, który podśpiewywał w chórkach, Fachowiec zagra na perkusji i Decha na gitarze. Tak wymyśliliśmy i STRESS i FORT BS podzielili się rolami i tylko dlatego wystąpiliśmy. A później RAYA istniała już sama z siebie, bo Kunta przejął nazwę i tam grał oprócz niego jeszcze Decha i Arturro.

RAYA - Jarocin 1987

W tym składzie z Jarocina '87, to RAYA to był taki jednorazowy wyskok. Przygotowaliśmy odpowiedni image, mieliśmy na sobie ubrania robocze z napisami. Pomysł na taki image wyszedł od Kłudy, on także wymyślił hasło „prawdziwa muzyka prawdziwych robotników". Pamiętam, że hasła na plecach tych kombinezonów namalowaliśmy w domu perkusisty FORTU BS – Fachowca. Tak się ubraliśmy i tak wystąpiliśmy na scenie. Wszyscy się dziwili, o co chodzi. O tym, że RAYA to STRESS i FORT BS, to ludzie raczej od razu skumali, bo to nie było trudne. Część osób się znała i tak wieści się rozchodziły. Przyjęcie na scenie mieliśmy dobre. Zagraliśmy tam kilka starych utworów, ale były też nowe, które zagraliśmy pierwszy raz.

CHAOS: A pamiętasz taki zespół z Jeleniej Góry SZKSYPCZE? W jego skład wchodzili m.in. Kunta, basista STRESSU oraz Kłuda, były wokal STRESSU. Pamiętasz, co grali? Długo grali? Pozostawili po sobie jakieś nagrania?
Kastet: Tak, oczywiście, że pamiętam. Przez SZKSYPCZE przewinęło się kilka osób, zespół istniał mniej więcej w okresie 1985-88 i powstał, gdy Kłuda przestał grać w STRESSIE. Skład, który zapamiętałem to: Kunta śpiewał i grał na basie, na gitarze był Kłuda, Paweł Polis na perkusji, na klawiszach „Fazi" (Krzysztof Kryczka). Później na bas wskoczył „Melon" (Wojtek Wojtkowski). Na tamte czasy było to bardzo ciekawe granie, taka totalnie zimna fala. Zespół miał próby w domu kultury „Muflon" w Sobieszowie. Udało im się nagrać demo, gdzie było 6-7 utworów, zagrali kilka koncertów i umarło to śmiercią naturalną.

CHAOS: STRESS był aktywny do początków lat 90. Kiedy się rozpadliście i dlaczego? W jakim składzie graliście te ostatnie koncerty? Co robiłeś po rozpadzie STRESSU? Udzielałeś się gdzieś muzycznie czy porzuciłeś punk rocka i zająłeś się swoimi sprawami?
Kastet: Głównym powodem zakończenia działalności STRESSU był fakt, że ludzie z zespołu wyjeżdżali, zakładali rodziny itd. Z przyczyn naturalnych to wszystko umarło. Jeszcze na sam koniec mieliśmy próby w Kowarach, próbowaliśmy coś grać, ale nie wyszło. Był też taki okres, że przez rok dzieliliśmy salę prób w Wałbrzychu z DEFEKTEM MÓZGU. Po rozpadzie STRESSU zająłem się swoimi sprawami, założyłem rodzinę. Zmienił mi się nieco krąg znajomych. Bo punk rocka nigdy nie porzuciłem. Większość starej załogi wyjechała z Jeleniej Góry i nie za bardzo było się z kim spotykać. Po prostu proza życia. Muzycznie już nic więcej nie robiłem, tylko czasami coś tam pogrywałem towarzysko, ale nie było to nic konkretnego. Robiłem tylko nowe utwory i zresztą cały czas to robię.

CHAOS: Ja wiem, że w latach 80. nie było na to prawie żadnych szans, ale myśleliście, chociaż troszeczkę, o wydaniu płyty? Po wielu latach ta płyta się pojawi - jakie nagrania na niej znajdziemy i kto to wyda? Dla wielu starych załogantów ta płyta będzie nie lada gratką, a jak ty się do niej odnosisz?
Kastet: W latach 80. dla takich zespołów jak nasz nie było szansy na wydanie płyty. Cieszy mnie to, że ktoś sobie o nas przypomniał i chce mu się tym zająć, bo nie wiem czy my sami byśmy się kiedykolwiek zmobilizowali do zrobienia tego. Jeszcze w latach 90. dostaliśmy z Silvertonu ofertę wydania płyty. Ale chyba dobrze się stało, że to nie wyszło, patrząc na to, co się działo z zespołami tam się wydającymi. Na płycie będzie przekrój naszych nagrań z lat 80. z różnych sesji nagraniowych plus kilka koncertowych.

CHAOS: Interesujesz się dzisiejszą sceną

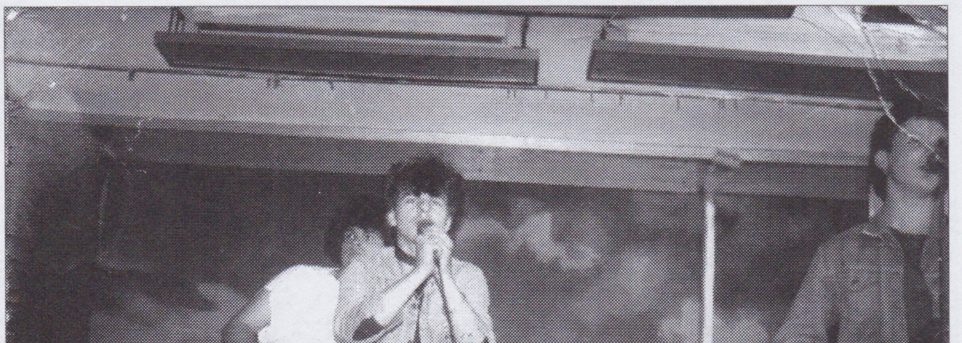

hardcore/punk? Słuchasz wciąż punk rocka? Jeśli tak, to słuchasz raczej starych ulubionych kapel czy poszukujesz nowości muzycznych? Słyszałem, że jesteś wegetarianinem... To rzadko spotykana postawa wśród załogantów z lat 80.
Kastet: Cały czas obserwuję, co się dzieje, gdy tylko mogę to chodzę na koncerty, zdarza mi się nawet jeździć na nie do innych miast. Do tej pory szukam nowych zespołów. To nie jest tak, że mam swoje lata i słucham tylko tych samych zespołów, które grały 30 lat temu. To by było dla mnie zbyt ograniczające. Dla mnie bycie wegetarianinem jest czymś normalnym. Nie wiem jak jest gdzie indziej, ale mięsa nie jem z 25 lat i w moim towarzystwie to nie jest nic szczególnego. Trzymaliśmy się z załogą z Gryfowa – ZAKON ŻEBRZĄCYCH, AMANITA MUSCARIA i to od nich takie inspiracje się wzięły. Opowiem taką historię - kilka lat temu mieliśmy spotkanie starej załogi punkowej (mówię o załogantach, a nie muzykach). Ludzie przyjechali z zagranicy, z innych miast i w knajpie, gdy zaczęliśmy zamawiać jedzenie, to okazało się, że ze wszystkich osób, które tam były, to tylko jedna albo dwie jadły mięso. To była taka najostrzejsza załoga punkowa, jeszcze z końcówki lat 80. Nazywani byli wtedy Biało-Czerwoni, mocno się trzymali z załogą z Kędzierzyna Koźla.

CHAOS: Masz kontakt z Makenem, który był, można tak powiedzieć, waszym promotorem i chyba gorącym fanem. Bardzo wam pomagał?
Kastet: Tak, mam sporadyczny kontakt z Makenem. Nie mówiłbym o nim, że był naszym fanem, był naszym kumplem z załogi. Kilka lat temu się spotkaliśmy znowu. Pojechałem do Gdańska na koncert Burning Speara i tam go spotkałem. Znamy się wieki. Maken był zawsze dobrym organizatorem, robił koncerty, wydawał kasety, zina i jak to wśród znajomych i przyjaciół bywa, starał nam się pomagać. Pozdrowienia Maken!

CHAOS: A dzisiaj jeszcze coś grasz? Myślisz o założeniu kapeli lub reaktywowaniu STRESSU? Dzisiaj sporo starych kapel powróciło do grania, choć jedynie kilka z nich stanęło na wysokości zadania...
Kastet: Nie raz o tym myślałem. Myślę, że aby do tego doszło, to Decha musiałby wykazać chęci. Bez niego to by było trudne. Obecnie mieszka w Bolesławcu, ma taką pracę, że często wyjeżdża i to już jest jakąś barierą. Nasz stary perkusista Zdzichu jest gotowy do grania. Być może za jakiś czas uda się to zrobić. Chociaż nie wiem czy akurat pod nazwą STRESS. Nie chodzi o odcinanie kuponów od starych czasów.

CHAOS: Co dzisiaj porabiają członkowie STRESSU? Masz z nimi kontakt? Ktoś z nich udziela się muzycznie lub siedzi jeszcze w punk rocku?
Kastet: Decha jeszcze do niedawna grał w bluesowej Obstawie Prezydenta. Kunta miał we Wrocławiu swój zespół o nazwie: Brumiszum. Paweł Kubiak mieszka w Szwajcarii i ma różne projekty, bardzo ciekawe – jest on dla mnie typowym mentalnym panczurem. Miał taki szokujący zespół Pornopol. Burza bardzo by chciał grać, ale nic nie robi w tym kierunku, jest w Jeleniej Górze. Kłuda mieszka teraz w Norwegii. Mieszkając jeszcze w Szwecji miał zespół Human Stress i grał różne dziwne rzeczy. Arturro ma problemy zdrowotne i to mu ogranicza możliwości gry. Ze wszystkimi mam kontakt.

CHAOS: Dziękujemy za obszerną historię zespołu STRESSU i liczymy na ostatnie słowa dla czytelników naszego pisma.
Kastet: Ja także dziękuję, że chcieliście przypomnieć wszystkie historie z przeszłości. Liczę, że spodoba się wam płyta STRESSU, która niedługo się ukaże, a w której wydanie włożono sporo pracy. Pozdrawiam czytelników. STAY PUNX.

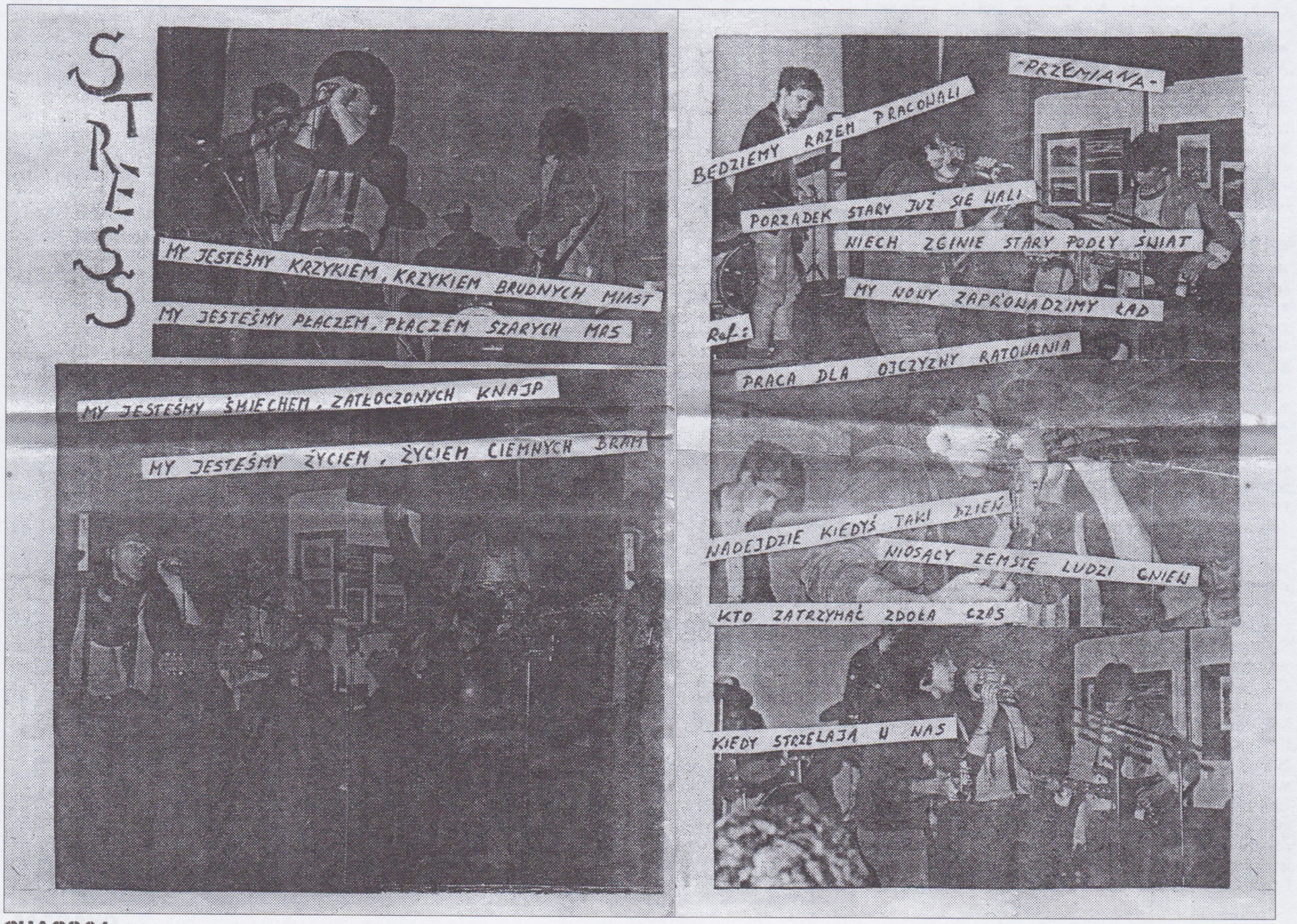

Na trop kapeli trafiłem dzięki audycji pewnego jegomościa, o którym wspomina Bartosz. Chwilę później trafiła do mych rąk mini epka wydana przez sam zespół. A na niej sześć kawałków. Całość trwa dwadzieścia minut. Krakowskie trio tworzy melodyjny noise. Jeśli jednak miałbym szukać podobnych stylistycznie zespołów, do których można porównać ARTYKUŁY ROLNE, to do głowy przychodzi mi lubelskie [PERU]. Oba zespoły prezentują podobne podejście do muzyki: wysunięty, przesterowany bas, silna i mocna perkusja oraz kąśliwa i jazgocząca gitara. Nie mniej ważne, obok muzyki, są teksty. Ironiczne, lecz inteligentne. Teksty dopełniają muzykę, a muzyka teksty, co sprawia, że ARTYKUŁY ROLNE są niezwykle ciekawym projektem. Choć wywiad jest krótki, tak jak staż zespołu, to ciekawy. Warto zwrócić na nich uwagę. Rozmowa z Bartoszem Leśniewskim, gitarzystą, wokalistą i autorem tekstów w zespole ARTYKUŁY ROLNE. Pytał Gruha.

ARTYKUŁY ROLNE

CHAOS: Panowie, pytanie pierwsze: kto wpadł na pomysł wysłania waszej muzyki do Kelnera? Bardzo dobre posunięcie. Właśnie z jego audycji dowiedziałem się o waszym istnieniu.
Bartosz: Po publikacji materiału przyszedł taki moment, w którym doszedłem do wniosku, że trzeba rozsyłać po ludziach i kropka... Cenię Kel-nera od lat, znałem jego audycję, więc po prostu napisałem kilka zdań i podesłałem mu link do naszej muzyki. Kiedy odpowiedział, że takie granie mu pasuje, natychmiast wysłałem mu CD-R... Resztę znasz.

CHAOS: Z jakim odbiorem się spotkaliście? Czy zaskoczyły was jakieś reakcje?
Bartosz: Odbiór jest świetny. W sumie to nikt z nas nie spodziewał się tego, że ta muzyka popłynie tak szeroko. Pojawiło się sporo przychylnych recenzji, licznik na bandcamp się kręcił, znalazło się nawet wielu chętnych, którzy pisali do nas w sprawie fizycznego egzemplarza. Trafiliśmy też na walla The Needle Drop. Nie wiem nawet, skąd ten człowiek wytrzasnął nasz materiał. Grunt, że niosło się szeroko. Jednym słowem nasz lot kosząco-tnący okazał się skuteczny.

CHAOS: Jak długo gracie razem? Jak wyglądała wasza muzyczna droga do zejścia się w obecnym składzie? Mieliście jakieś przetasowania?
Bartosz: Zespół został założony przeze mnie i Grega we wrześniu 2013 roku. Byliśmy na piwie i, od słowa do słowa, powstała ta nie do końca poważna supergrupa. Asystowała nam Katja, dziewczyna Grega, która wymyśliła nazwę. Przez jakiś czas graliśmy w duecie i wałkowaliśmy na próbach covery. No a w kwietniu 2014 roku na próbę wbił Piotr, który powiedział, że chce grać u nas na basie. Nie mieliśmy śmiałości, żeby mu odmówić. Od tego momentu gramy jako trio i rzeźbimy tylko autorski materiał.

CHAOS: Nagraliście niezłe demo, które z powodzeniem mogłoby być płytą. Kto był realizatorem nagrań i jak oceniacie finalny produkt tej sesji?
Bartosz: Nie traktujemy tej epki jako demówki. To dla nas pełnoprawny debiut, ale z pełną świadomością skrojony pod 20 minut. Ta muzyka nie ma się dłużyć. Tak to zaplanowaliśmy, tak zrobilismy i moim zdaniem się udało. Za brzmienie, mix, produkcję jest odpowiedzialny Greg Toma, nasz bębniarz. On jest pomysłodawcą tego soundu, on go ukręcił. Materiał nagraliśmy w krakowskim Studiu Centrum, gdzie mamy również próby i gdzie Greg jest realizatorem nagrań. A czy jesteśmy zadowoleni? Myślę, że nic bym w tym materiale nie zmienił – brzmi tak, jak powinien brzmieć. Nie wiem, co powiedzieliby koledzy w tym temacie. Mnie się podoba, im pewnie też.

CHAOS: Obywatel GC w "Nie pytaj o Polskę" chciał zasypiać w niej i tańczyć z nią. Wy w utworze "Nie lubię już Polski", nie lubicie Polski, tak jak siebie... Skąd taka niechęć do kraju nad Wisłą? Nota bene, nie wiem czy wiecie, ale taki sam tytuł ma utwór Kazika na płycie "Oddalenie".
Bartosz: Jasne, znam ten kawałek Kazika i wspomniany utwór Ciechowskiego, ale nie myślałem o nich podczas pisania tego tekstu. Trzeba byłoby tu jeszcze dorzucić Czesława Śpiewa, Marię Peszek, a pewnie i Świetlickiego, który gdzieś tam w komentarzach się przewijał. Jak znam życie, taki korowód nie miałby końca... A słowa są dokładnie takie, jakie miały być. Nie chcę tu ich rozkładać na części pierwsze – nie o to w tym wszystkim chodzi.

CHAOS: Mieszkacie w Krakowie. Ostatnio miasto obrodziło w kilka ciekawych zespołów: WSZANIEC, KANDAHAR oraz wy. Jak z waszej perspektywy prezentuje się scena muzyczna w grodzie Kraka? Czy polecilibyście przyjazne miejsca do grania, ineteresujące kluby, miejscówki?
Bartosz: Fajnie, że wspominasz KANDAHAR. Greg ich akurat nagrywał. W sumie to ostatnio zastanawiamy się, z kim moglibyśmy w Krakowie zagrać. No i nikt konkretny nie przychodził nam do głowy. Dodatkowo do klubowych koncertów dopiero robimy pierwsze podejście, więc ciężko wskazać miejsca, w których graliśmy i które moglibyśmy polecić. O tym pewnie pogadamy za rok.

CHAOS: Udany debiut już macie. Co z płytą? Kiedy pełnowymiarowa płyta ARTYKUŁÓW ROLNYCH?
Bartosz: Druga epka jest już nagrana. Jest tak samo niepełnowymiarowa jak pierwsza (śmiech). W świat pójdzie w listopadzie. Tym razem będzie to pięć utworów, które łącznie trwać będą pewnie też coś około dwudziestu minut. Materiał będzie się nazywać "Artykuły Rolne²". Nagraliśmy go w tym samym miejscu, co debiut. Skład ten sam, realizacja, produkcja i mixy znów Greg. No i nagrywka też w Studiu Centrum. Wydaje mi się, że raz na jakiś czas będziemy nagrywać takie właśnie materiały. Nie za dużo, żeby nikt się nie udławił. My też.

CHAOS: Na koniec: Wisła, Cracovia czy Wanda, co nie chciała Niemca?
Bartosz: Ja pochodzę z okolic Poznania, Greg jest z Trójmiasta, więc wstrzymujemy się od głosu. A Piotr to nie wiem, czy interesuje się futbolem czy też Wandą. Chyba nie. Piotr chyba nie interesuje się ani futbolem, ani Wandą (śmiech).

CHAOS: Dzięki za wywiad!

Legenda hałaśliwego i brutalnego hardcore'a – CHAOS UK. Zespół do dziś ma wpływ na wiele kapel na całym świecie, grających raw punk. Wypuścili kilka płyt, które stały się kamieniami milowymi surowego grania. Odwiedzili też Polskę, po raz pierwszy na początku lat 90. Gabba, z którym jest ten wywiad, był gitarzystą CHAOS UK od 1984, gra również w zespole FUK, a całkiem niedawno reaktywował zespół z Mowerem na wokalu. Wkrótce nowa płyta CHAOS UK! Pytania zadawał Pablo, a nieocenioną pomocą przy tym wywiadzie wykazał się Robak Punk!

CHAOS: W którym roku dołączyłeś do CHAOS UK? Chyba pierwsza płyta, którą z nimi nagrałeś to "Short Sharp Shock", prawda? Jak to się stało, że dołączyłeś do zespołu? Nie pochodzisz przecież z Bristolu...

Gabba: Urodziłem się w Nottingham, a w latach 1982/83 podróżowałem sporo na stopa po Wielkiej Brytanii oglądając koncerty kapel. Chaosa spotkałem kilka razy w Londynie, w 100 Club i kilku innych miejscach. Mówił mi, że chce założyć zespół, który będzie grał bardziej thrashowo i hałaśliwie, a potem zapytał mnie czy chcę się załapać. Powiedziałem, że tak i dołączyłem do kapeli jako drugi gitarzysta, ale z powodu nawału pracy i obowiązków rodzinnych zespół opuścił Andy, a następnie Pottsy, który ostatecznie dołączył do DISORDERA. Pod koniec 1983 roku rozpoczęliśmy próby z Chuckiem, a kilka miesięcy później nagraliśmy "Short Sharp Shock"...

CHAOS: A jak nazywała się kapela, w której grałeś przed dołączeniem do CHAOS UK? Wydaliście coś? Graliście jakieś koncerty?

Gabba: Zespół w którym grałem przed CHAOS U.K. pochodził z Nottingham i nazywał się SEATS OF PISS. To był naprawdę szokujący zespół ze mną na gitarze, z automatem perkusyjnym i Hendrix Dead Boyem na wokalu. Synth, kij bejsbolowy i miotacz ognia! Daliśmy kilka bajecznych koncertów, rozkręcaliśmy niezłą zabawę i na wielu ludzi mieliśmy spory wpływ. Albo doprowadzaliśmy ich do szału. SEATS OF PISS wydali w 1983 roku split z DEFORMED w Deformed Tapes, którą prowadził Dave z zespołu CRESS. W 2001 roku nagrałem to jeszcze raz, używając naszych sampli z lat 80-82, które miałem nagrane na kasecie z prób i wrzuciłem cały materiał na LP, który wyszedł nakładem Tardis Records z Bristolu.

CHAOS: "Short Sharp Shock" to płyta dzisiaj już kultowa - pamiętasz jakieś ciekawe zdarzenia podczas nagrywania tej płyty w studiu? Gdzie nagrywaliście ten materiał? Jak płyta została odebrana przez ówczesną scenę punk w UK w 1984 roku?

Gabba: Miałem zrobionych kilka kawałków, które napisałem dla SEATS OF PISS, a które przekształciły się później w "Lawless Britain", "Living In Fear" i "Support", a że mieliśmy tylko trzy próby, więc resztę kawałków zrobiliśmy i nagraliśmy w kilka godzin. Studio nazywało się Cave i prowadził je Andy Allen, który później nagrywał płytę MASSIVE ATTACK. Konsoleta, przez którą nagrywaliśmy, była ręcznie zrobiona dla zespołu THE WHO, gdy nagrywali płytę "Quadrophenia" i myślę, że dlatego też wydawała takie dudniące dźwięki. Konsola po krótkim czasie zepsuła się, a że ciężko było znaleźć do niej części, bo była jedyna w swoim rodzaju, studio ją sprzedało i nasze brzmienie szlag trafił, buuu...

Większość punków, których znałem nie lubiło tej płyty, bo wtedy było bardziej na fali amerykańskie granie w klimacie MINOR THREAT, ale za to druga generacja pokochała ten album i wkrótce założyła takie grind core'owe zespoły jak NAPALM DEATH i CARCASS.

CHAOS: Dlaczego ta płyta wyszła w wytwórni C.O.R. Records, a nie w Riot City Records, jak poprzednia? No i opowiedz nam historię o tym, jak wasz wokalista Mower został aresztowany, a potem jego zdjęcie pojawiło się na okładce waszej płyty... Ktoś w USA zrobił podobną okładkę płyty i podobnie ją zatytułował...

Gabba: Riot City Records pod koniec 1984 roku powoli kończyło swoją działalność, a my woleliśmy jednak zrobić to metodą Do It Yourself, więc kiedy Tim, który był naszym kumplem, zapytał czy nie wydalibyśmy tej płyty w jego wytwórni Children Of The Revolution (nazwa pochodzi od kawałka T. REX), poszliśmy na to...

Mower brał udział w demonstracji Stop The City w Londynie i zrobił zdjęcie jak policja bije punkowców, jakiś sierżant go zobaczył, pobiegł za nim i zaczął go dusić. Na szczęście wysokiej rangi fotograf pracujący dla najpoczytniejszych gazet zrobił zdjęcie całej tej sytuacji i w poniedziałek rano zdjęcie pojawiło się na okładkach wszystkich krajowych gazet. Musieliśmy wykorzystać to zdjęcie na okładce naszej płyty, bo to był nasz wokalista w rzeczywistej sytuacji, którą zobaczyła cała Wielka Brytania!

Michelle Shocked była na trasie z M.D.C. i widziała płytę "Short Sharp Shock" i myślę, że stąd wziął się jej pomysł... Ktoś mi mówił, że jej zdjęcie na okładce było ustawione i nieprawdziwe, a punkowcy pluli na nią, kiedy szła ulicą w Nowym Jorku, za skopiowanie naszej okładki... Wydaje mi się, że było to dla nich bardzo ważne, że posunęli się aż tak daleko...

CHAOS: Najbardziej znane zespoły z Bristolu w latach 80. to, oprócz CHAOS U.K., oczywiście DISORDER, VICE SQUAD, CHAOTIC DISCHORD, przez jakiś czas grali w tym mieście również AMEBIX. Było tych kapel jednak więcej - pamiętasz, kto wtedy grał w Bristolu? Jakieś zapomniane, ale warte wzmianki kapele?

Gabba: Na pewno RANCID (później przekształcili się w MAGGOT SLAYER OVERDRIVE), THE BAD ONES (raczej nie zespół a banda pijaków) i wczesny ONSLAUGHT, którzy, zanim usłyszeli METALLIKĘ, grali w klimacie G.B.H./DISCHARGE... Było dużo więcej świetnych kapel, ale nie pamiętam nazw.

CHAOS: Opowiedz nam jak żyło się za rządów Margaret Thatcher? Cieszyłeś się, kiedy umarła? Sporo ludzi wciąż twierdzi, że była ona

najwybitniejszym politykiem w Wielkiej Brytanii... Zresztą utwór "Maggie" nie wszedł na wasz singiel w 1981 roku...

Gabba: We wczesnych latach 80. było podobnie jak dzisiaj – wojny, bezrobocie, brutalność policji, protesty i terroryzm. W jakiś sposób Maggie podarowała mi bezrobocie, bym mógł się codziennie upijać i pisać dużo utworów o niej i jej rządach... Jeśli zrobiła coś dobrego dla mnie, to wypchnęła mnie na margines tego społeczeństwa na dobre... Nie interesuję się polityką, bo to zawsze to samo gówno, tylko czasem śmierdzi inaczej... Utwór "Maggie" wyszedł na płycie, nie wartej pieniędzy, za które jest sprzedawana, wydanej przez Let Them Eat Vinyl... Nie mam z tym nic wspólnego.

CHAOS: Byliście chyba pierwszym europejskim zespołem DIY, który, w 1985 roku, zagrał trasę w Japonii! Jak udało wam się pojechać na te koncerty? Jakie wrażenia? Pamiętasz z kim graliście koncerty w Japonii i w jakich miastach?

Gabba: Któregoś dnia w City Riot Records pojawił się jakiś biznesmen z Japonii i dał im kupę japońskich punkowych płyt i powiedział, że te zespoły chciałyby, aby przekazać te płyty CHAOS U.K. i DISORDEROWI... Napisałem więc do kilku tych zespołów, które mi się spodobały, a były to m.in. THE COMES i GISM, by im podziękować za LP. Kilka tygodni później dostałem list od wokalisty GISM. Po kilku miesiącach napisał, że zna kogoś, kto chciałby ściągnąć nas na trasę do Japonii i dał mi namiar na Lemmy'ego z THE EXECUTE. Potem Lemmy przyjechał do Bristolu ze swoim kumplem, spił nas, ugotował nam żarcie i zaprosił do Japonii... Każdy ci powie, że Japonia jest po prostu niesamowita! Kiedy my tam byliśmy, była zupełnie inna niż dzisiaj, był klimat lat 50., ale było widać, że wszystko bardzo szybko się rozwija. Nie było żadnych turystów, tylko sami biznesmeni, czuliśmy się jak kosmici. Odróżnialiśmy się od reszty i wszędzie wywoływaliśmy zamieszanie, jakbyśmy byli co najmniej THE BEATLES (naprawdę!).

Zagraliśmy trasę z THE EXECUTE, GAUZE i LIPCREAM oraz koncerty z GHOUL, OUTTO, BONES i GASTUNK. Trzy koncerty w Tokio, Osace i Kioto oraz kilku innych, ale już nie pamiętam w jakich. To było dla nas niezłe przeżycie, byliśmy cały czas pijani i w ogóle nie spaliśmy...

CHAOS: Na tej trasie nagraliście kawałki na 12" "Just Mere Slaves" - w jakim studiu to nagraliście i kto to zorganizował? Te kawałki chyba nie pojawiły się nigdy na innych płytach, prawda? Napisaliście je w studiu? A z jakiego koncertu pochodzą utwory z drugiej strony tej płyty?

Gabba: Jedyne co pamiętam to, że czekaliśmy by pójść do nocnego klubu, który nagle zamienił się w studio nagraniowe... Jak zwykle mieliśmy tylko jeden kawałek, więc pozostałe zrobiliśmy już na miejscu. Na stronie B znalazły się nagrania z pijackiego koncertu, więc też go nie pamiętam, a który został zorganizowany przez pana Otamoto, realizującego tę płytę jako pierwsze wydawnictwo swojego labela o nazwie Selfish Records.

CHAOS: A gdzie jeszcze koncertowaliście w latach 80.? Graliście sporo w Europie? Pamiętasz gdzie zagraliście koncerty i z kim? Jakoś nigdy nie udało wam się dotrzeć do USA - jak myślisz, dlaczego?

Gabba: Graliśmy głównie we Francji, Holandii, Belgii, Skandynawii i w Grecji. Nigdy nie chcieliśmy jechać do Ameryki, bo wszystkie zespoły, które tam pojechały, wróciły stamtąd brzmiąc słabo i grając wolno...

CHAOS: W 1986 roku wydaliście split LP z EXTREME NOISE TERROR. Ta kapela to musiał być niezły szok dla punków, co? Jak doszło do tego splitu? Graliście wcześniej koncerty z E.N.T.? Jak ci się podobało to, co grała załoga z Ipswich? Nie sądzisz, że CHAOS UK tą płytą pomogli im się stać rozpoznawalnym i popularnym zespołem na scenie hardcore?

Gabba: Większość ludzi myślała, że ten zespół to żart, bo brzmieli kompletnie inaczej niż inne zespoły. Natychmiast ich pokochaliśmy, bo byli tacy brytyjscy, a inne zespoły w tamtym czasie próbowały brzmieć jak amerykańskie kapele hardcore czy thrash metal. Ten split na pewno pomógł im zostać rozpoznawalnym zespołem i na jakiś czas zostali czołową kapelą hałaśliwego punka. Jednak potem każdy zespół, z którym graliśmy, wydawał się kolejną kopią EXTREME NOISE TERROR i to zniechęciło mnie do słuchania tego rodzaju muzyki. Myślę, że nasze kawałki z tego LP do dzisiaj brzmią świeżo.

CHAOS: A co myślisz o tych wszystkich zespołach z lat 80., które zrezygnowały ze sceny DIY i podpisały kontrakty z metalowymi wytwórniami, jak np. NAPALM DEATH, czy BOLT THROWER. Poczułeś się zdradzony czy w ogóle cię to nie obeszło?

Gabba: No może trochę nas zdradzili, kiedy wszyscy budowaliśmy naszą wspaniałą scenę. Myślę, że wiele z tych zespołów miało już dość pijanych crustów ciągle przewracających się na nich i rozlewających piwo dookoła... Ci crustowcy pojawili się wkrótce w zespołach DOOM, HELLBASTARD i CONCRETE SOX.

CHAOS: Waszą ostatnią thrash-punkową płytą była "The Chipping Sodbury Bonfire Tapes", a potem zmieniliście, na początku lat 90., styl grania na bardziej melodyjny i punkrockowy - dlaczego? Znudziło się wam hałasowanie? Jak po zmianie stylu odebrali was punkowcy?

Gabba: Płyta "The Chipping Sodbury Bonfire Tapes" ukazała się w 1987 roku, kiedy pojawiło się pokolenie acid house, większość punków zamulała na ekstazy, Mower odszedł z zespołu, a Chaos odłożył swój bas i wskoczył na wokal. Mieliśmy już dość grania koncertów z zespołami, które brzmiały tak samo jak my i zdecydowaliśmy, że będziemy robili utwory w takim stylu, na jakim wychowaliśmy się w latach 70. Był to pewien rodzaj powrotu do przeszłości zamiast pójścia do przodu. Na przykład kawałek „Cider I Up Landlord" to stara piosenka folkowa...

CHAOS: Po raz pierwszy odwiedziliście Polskę na początku lat 90. Ja widziałem was wtedy w Bielsku-Białej i Łodzi. Jakie wrażenia z Polski? Podobało ci się? Wasz koncert w Łodzi zakończył się zamieszkami, spłonął nawet jakiś samochód policyjny - pamiętasz to? Przed przyjazdem znałeś jakieś polskie kapele hardcore/punk?

Gabba: Polska była kompletnie zwariowana i zupełnie zdezorganizowana. Kiedy odwiedziliśmy wasz kraj, właśnie skończył się komunizm i wszystko się zmieniało i było odbudowywane. Drogi były bardzo złe i niebezpieczne. Uszkodziliśmy naszego vana (ford) i nie mogliśmy znaleźć żadnych części do niego. Musieliśmy odciążyć nasz samochód, by mógł ruszyć, więc ja i Chaos podróżowaliśmy pociągami na koncerty, co było dla nas bardzo tanią opcją. Pamiętam, że rozdałem całą swoją kasę z koncertu jakimś punkom, by się napili, a oni z radości skakali na środku ulicy. Okazało się, że ludzie są bardzo przyjaźni, ale miałem wrażenie, że wszyscy są pijani i rozmawiali głośno krzycząc... Pamiętam, że miałem 7"EP zespołu MOSKWA, który mi podesłali oni albo ich znajomi we wczesnych latach 80. (to chyba musiał być inny zespół – dop. Pablo), oprócz tego nie słyszałem żadnego innego polskiego punka, ale z pism takich jak chociażby "Maximum Rock'n'roll", wiedziałem że istnieje u was scena.

CHAOS: Masz kilku znajomych punków z Polski - zmuszają cię do słuchania polskich kapel? Znasz jakieś aktualnie grające, ciekawe zespoły z Polski? A co myślisz o tym, że w UK mieszka już ponad pół miliona Polaków?

Gabba: Polacy są wokół mnie całe moje życie. W latach 77/78 miałem kolegę szkolnego Stephena Klowloski, który miał siostrę i ona siedziała w punk rocku i projektowała ciuchy dla THE CLASH. Puszczał mi sporo punkowych zespołów, których nigdy wcześniej nie słyszałem, przynosiła je do domu właśnie jego siostra. Dzisiaj znam większość polskich

kapel punkowych, takich jak choćby DEZERTER, ale wolę pić pod muzykę ANTI-NOWHERE LEAGUE... Lubię SIEKIERĘ, która przeszła od hardcore'a do post-punka i wciąż brzmi zajebiście!

CHAOS: A jak wyglądają nastroje społeczne w UK w związku z napływem imigrantów z krajów muzułmańskich? Zauważyłem, że coraz więcej neonazistów pojawia się na ulicach, wciąż popularne są UKIP i EDL... Myślisz, że ta sytuacja wzmocni nastroje patriotyczne i skrajnie prawicowe w brytyjskim społeczeństwie?
Gabba: Tak, to właśnie się dzieje w UK, a rząd podsyca walkę lewicy z prawicą... W ten sposób mogą nas wszystkich łatwiej kontrolować.

CHAOS: Wasza współpraca z wytwórniami japońskimi nie skończyła się na 12" z 1986 roku... Wydaliście sporo singli, głównie w Discipline, ale również w HG Fact. bardzo jesteście popularni w Japonii? Ile razy tam zagraliście?
Gabba: Jesteśmy bardzo ważną częścią historii japońskiego hardcore-punka. Zawsze witają nas tam z otwartymi ramionami. Nie pamiętam już ile razy byłem w Japonii, czasami lecę tam dwa razy do roku.

CHAOS: Nagraliście w latach 90. sporo piosenek o... cydrze! Dlaczego tak lubisz ten cydr? Zauważyłem, że jest on w UK otoczony swoistym kultem - dlaczego?
Gabba: Prawdziwy west county cydr jest bardzo tani i zamiata bardzo szybko. Jest jak narkotyk i bóg w jednym. Jest czczony... Niektórzy kochają cydr, większość go nienawidzi. Traktuj go z szacunkiem albo sprawi, że się posrasz w gacie!

CHAOS: Ostatni album, "Heard It, Seen It, Done It", CHAOS U.K. wydali w 1998 roku - co działo się potem? Od czasu do czasu pojawiały się wasze single, głównie w Japonii, czyli zespół nigdy się nie rozpadł, tak? Graliście koncerty w ostatnich 10 latach?
Gabba: Tak, w końcu udało nam się wydać kilka 12" do 2002 roku. Zmieniliśmy się w chlejący cydr zespół o nazwie A.D. RICE & THE WAZZUKS, graliśmy folk punk i staliśmy się rozpitymi folkowymi gwiazdami... Sprawdźcie linka...

CHAOS: Założyłeś zespół FUK. W którym to było roku? Ktoś z CHAOS UK, oprócz ciebie, gra jeszcze w FUK? No i co wydaliście do tej pory i z kim zagraliście koncerty? A co to za kapela o nazwie ASBO? Tam też się udzielasz, prawda?
Gabba: CHAOS UK w 2003 wrócili do grania roku z Chaosem, który w czasach THE WAZZUKS zawiesił się w pijackim stanie i uzależnił się od internetowej gry Addiction. Na wokal wrócił Mower, ale w 2005 roku musiał zrezygnować z kapeli, bo miał za dużo długów i musiał dużo pracować, żeby to wszystko spłacić , no i wziął sobie na jakiś czas wolne od zespołu. Ja napisałem akurat 10 nowych utworów dla CHAOS U.K, ale bez Mowera nie było szans by to zrealizować, więc zmieniłem nazwę na FUK i kontynuowałem kapelę z innym wokalistą. Koncertowaliśmy w Japonii każdego roku przez dwa lata, od 2006, graliśmy w Ameryce w 2009, dawaliśmy też pojedyncze koncerty i graliśmy małe trasy po Europie. Niewiele osób o nas słyszało, a nasze płyty ciężko gdzieś złapać. Wydaliśmy dwa LP, CD z sześcioma utworami, cztery kawałki na CD jako split z CHAOS UK i cztery utwory na 7"EP. Wkrótce wychodzi nasz nowy LP. ASBO oznacza ANTI-SOCIAL BEHAVIOUR ORDER.

CHAOS: Postanowiliście wraz Mowerem ponownie uaktywnić CHAOS U.K. Słyszałem, że nagrywacie nową płytę i ruszacie na trasę po Japonii... W jakim stylu gra odświeżony CHAOS UK i kto, oprócz was dwóch, jest jeszcze w zespole ze starego składu? Opowiedz nam o najbliższych planach zespołu.
Gabba: CHAOS UK wystartowało ponownie w 2014 roku, z Mowerem na wokalu i z członkami FUK w składzie. Chaos też miał śpiewać, ale wystraszył się, bo doktor powiedział mu, że nie może pić alkoholu, a on śpiewał zawsze pod wpływem... Zaadaptowaliśmy więc styl śpiewania Mowera i pod niego zrobiliśmy 10 nowych utworów w starym noise'owym stylu, jaki znacie z płyty "Short Sharp Shock". Zrobiliśmy 9 kawałków w dniu nagrań, bez żadnej wcześniejszej próby... Płyta wyjdzie wkrótce. Prawdopodobnie najpierw ukaże się w Japonii.

CHAOS: Dzięki za wywiad i powiedz nam, kiedy będziemy mogli zobaczyć was na koncertach w Polsce?
Gabba: Może w 2016? Kto wie, wtedy już możemy być hardcore/jazzowym zespołem... Pracujemy nad stroną internetową CHAOS UK/FUK, więc tam będziecie mogli znaleźć wszystkie informacje.

GABBA: (Tak, to Gabba zadał sobie sam pytanie – dop. Pablo) A komu chciałbyś powiedzieć, żeby spierdalał?
Gabba: Robak the punk!

BURNCHURCH

Ostatnimi czasy coraz częściej trafiam na świetne kapele z Irlandii. Jedną z pierwszych był BURNCHURCH, projekt polsko-irlandzki możnaby powiedzieć, choć z dwóch grających tu Polaków ostał się na chwilę obecną tylko Skubol. Część z was pewnie miała już okazję usłyszeć ich debiutanckiego long pleja, część może również widziała ich na żywo podczas tegorocznego Ultra Chaos Pikniku w Żelebsku. Postanowiłem pójść za ciosem i dopytać o kilka rzeczy związanych ze specyfiką tamtejszych stron, nie tylko około punkową. Sprawdźcie co ta sympatyczna ekipa miała do powiedzenia. Pytania: Mike i Izka, odpowiedzi: Clodagh (wokal), Skubol (gitara/wokal), John (perka), Byrneos (bass).

CHAOS: Większość osób po raz pierwszy słyszała pewnie o BURNCHURCH jako o nowym projekcie osob z EASPA MEASA i SILENCE. Z tego co wiem, znaliście się ze sobą od dłuższego czasu - wspólne koncerty, trasy, nagrany split. Kiedy powstał pomysł na stworzenie nowego projektu?

Clodagh: EASPA MEASA rozpadła się w 2012, Skubi rozkręcał wtedy nową kapelę, potrzebował kogoś na bas i wokal i zaprosił Byrneosa i mnie do wspólnego grania. Jakiś czas później powstał obecny skład z Johnem (Ex-DIVISIONS RUIN i DROPPIN' BOMBS) na perce i Alanem (SEIZURE) na gicie.

Skubol: Początków zespołu należałoby chyba szukać podczas trasy EASPA MEASA/SILENCE 10 lat temu. Wtedy poznaliśmy się z załogą z EASPA MEASA. Oni byli wtedy na takiej monstrualnie długiej trasie czteromiesięcznej. Wyczyn rzadko spotykany. Ciężko mi to sobie wyobraźić nawet, że mozna z tymi samymi ludźmi spędzić 4 miesiące w vanie. My dołączyliśmy do nich na tydzień w polskiej czesci trasy. Tak zaczęła się nasza znajomość. Owocem tej trasy był wspólny split LP. Parę lat później obaj z Rudym wylądowaliśmy w Irlandii. Graliśmy tu przez kilka lat w różnych składach z mniejszym lub większym powodzeniem, no i w końcu rozkręciliśmy band z naszymi starymi znajomymi.

CHAOS: Ostatnio napotykam coraz to więcej zajebistych kapel z Irlandii, o których wcześniej nigdy nie słyszałem - RATS BLOOD, PUTREFACTION, ABSOLUTIST i oczywiście BURNCHURCH. Może moglibyście polecić jeszcze jakieś kapele z Irlandii grające w podobnych klimatach?

John: DISGUISE, GAZE, STRONG BOYS i nowy skład SURGE.

Byrneos: W Irlandii jest coraz więcej świetnych punkowych kapel, ale jeśli interesują cię cięższe klimaty sprawdź: GAZE, OKUS, DISGUISE, STRONG BOYS i SEIZURE. Warto też sprawdzić starsze, już nieaktywne kapele, takie jak: CROWD CONTROL, JOBBYKRUST, DAGDA, BLEEDING RECTUM czy TRENCHES.

Skubol: Oprócz tych powyżej wypada wspomnieć też CROWS, PUTREFACTION i RATS BLOOD. W tej ostatniej gra nasz pałker. Kawał dobrej muzy. Sporo się dzieje. Jest kilka naprawdę dobrych hardcore'owych składów. Polscy załoganci też nie próżnują. Dwie nowe kapele z polskimi załogantami: BLOWINS i ŻONA ZŁA. W tej drugiej na wokalu udziela sie nietuzinkowa postac „król" dublińskich punków, Andrzej Tadko.

CHAOS: Skubi, przeprowadziłeś się do Irlandii już ładnych parę lat temu i zapewne nie myślisz o powrocie do Polandu. Co jest takiego w Irlandii, czego nie mógłbyś znaleźć w Polsce? Za co najbardziej lubisz ten kraj? Zauważasz jakieś różnice pomiędzy sceną hc/punk w Polsce i w Irlandii?

Skubol: Wyjechałem z Lublina dziesięć lat temu. Głównym powodem było tak, jak w przypadku wielu wyjeżdżających poszukiwanie pracy i lepszego, żeby nie powiedzieć „lżejszego" życia. Mamy tu opiekuńczy model państwa. Znam przypadki w których ludzie lepiej wychodzą finansowo będąc na zasiłku niż pracując. Ja nigdy na zasiłku nie byłem, ale mam przynajmniej tę pewność, że w razie jakieś padaki z pracą jestem bezpieczny. To poczucie bezpieczeństwa dla ludzi w moim wieku (37)ma naprawdę duże znaczenie. Życie nie musi być ciągłą walką jak w Polsce. Jak chcesz to pracujesz, nie chcesz to nie pracujesz, a tak czy inaczej dasz sobie radę. Mental takiego zwykłego szarego człowieka jest diametralnie inny niż w naszym kraju. Nikogo nie obchodzi kim ty jesteś. Czy jestes zielony, niebieski czy fioletowy. Każdy pilnuje własnych spraw i nie zajmuje się życiem innych. Nawet jak komuś się nie podoba, że mieszka tu tylu obcokrajowców to raczej nikt się z tym nie obnosi. Polaków jest cała masa. Ostatnio czytalem, że jestesmy tu pierwszą mniejszością w liczbie 130 tysięcy na cztero i pół milionowy kraj. Od czasu tej wielkiej emigracji sprzedaż cebuli wzrosła kilkukrotnie. Obcokrajowcy zjeżdzają z całego świata i są raczej mile widziani. Nie ma żadnych nazioli, faszoli czy innych tego typu wykolejeńców. Najgorsza jest pogoda. Nie ma ani lata ani zimy. Ciągle pada, wieje tak, że mało głowy nie urwie, a jak wyjdzie słońce to miejscowi od razu koszulki zdejmują nawet jak jest tylko 12 stopni. Haha. Wilgoć jest taka, że jak zrobisz pranie to prędzej zgnije niż wyschnie. Dla wielu ta pogoda jest nie do przeskoczenia. Zwłaszcza dla przybyszów z cieplejszych krajów. Punki wszędzie takie same. Różnice między sceną w Polsce a tutaj chyba nie są aż tak wielkie. Może jest trochę mniej polityczna scena tutaj, ale to też się zmienia. Zwłaszcza od czasu gdy ludzie zaczęli skłotowaćc. Ostatnie 2¬3 lata.

CHAOS: Pytanie z serii PUNKOWA TURYSTYKA – co

każdy odwiedzający Irlandię powinien zobaczyć, odwiedzić podczas pobytu w tych stronach?
Clodagh: Punkowym turystom poleciłbym: Brú na Boinne – miejsce w którym znajduje się mnóstwo neolitycznych grobowców korytarzowych starszych nawet od egipskich piramid! Newgrange jest najbardziej znany, fascynujący jest również Knowth i znajduje się tu największa w Europie kolekcja sztuki neolitycznej. Zazwyczaj jest tu tłoczno, więc najlepiej jest pojawić się dosyć wcześnie. W tatmtejszej kawiarni są też spoko wege opcje w menu. Moherowe Klify – to miejsce jest zawsze najchętniej odwiedzane przez wszystkich Polaków jakich znam! Osobiście wolę spacery długimi, bardzo wietrznymi plażami w zachodniej części hrabstwa Herry lub na północy Donegal i wspaniały widok oceanu i nieba oraz odgłosy potężnych fal. Krajoznawczo - Glen of Aherlow, hrabstwo Tipperary, góry Comeragh i Waterford – najstarsze irlandzkie miasto założone przez Wikingów. Jeśli chodzi o gastro turystykę – 3in1 – taca z chińszczyzną, ryż smażony na jajkach, ziemniaki z sosem curry serwowane na tacy (równiez z opcją bez jajek).
Skubol: Jeśli poruszamy kwestię jedzenia to będąc w Irlandii nie można odpuścić gralic cheesy chips. Do dostania w każdym fish&chips. W skrócie: grube irlandzkie frytki (nie mylić z amerykańskim gównem), polane sosem czosnkowym i serem. Bomba kaloryczna okrutna. Ale smak jest niepowtarzalny. Zwłaszcza po paru piwach.
Byrneos: Z punkowych klimatów warto sprawdzić następujące miejscówki: Warzone w centrum Belfastu, Tenterhooks w Dublinie, Barricade Inn squat w Dublinie. Z „nie punkowych" warto sprawdzić: więzienie Kilmainham w Dublinie, Burren - płaskowyż w północno-zachodniej części hrabstwa Clare oraz Slieve League (Szara Góra) wraz z wybrzeżem klifowym w hrabstwie Donegal.

CHAOS: Jak jest ze skłotingiem w Irlandii? Czy trudno jest zaskłotować nowe budynki?
Skubi: W Irlandii trudno jest skłotować, możesz domagać się jakichkolwiek praw tylko wtedy, jeśli kontynuujesz skłotowanie budynku czy zajmowanie ziemi przez 12 lat. Niektórzy skłotowali w Dublinie budynki, które przez wiele lat stały puste, zarówno w celach mieszkalnych, jak również w celu zakładania różnego rodzaju centrów. Wydaje mi się jednak, że obecnie trudno jest utrzymać zaskłotowany budynek przez dłuższy czas, problem ten związany jest z irlandzkim prawem, rosnącą wartością poszczególnych własności, oraz działaniami policji, mamy obecnie do czynienia z polityką chroniąca interesy elit! Mamy teraz zaskłotowany budynek w centrum Dublina, jest zajebisty i mam nadzieję, że pozostanie tu na długo.

CHAOS: W Polsce obserwujemy obecnie specyficzną modę na nacjonalizm, dotyczy to głównie młodych ludzi. Czy zauważacie podobne problemy w Irlandii? Czy neofaszyzm, nacjonalizm są poważnym problemem?
Byrneos: Wydaje mi się, że NIE, porównując to chociażby z sytuacją w Polsce i innych miastach Europy, Rosją czy Ukrainą, to mówiąc szczerze wydaje mi się, że nie ma u nas problemu z modą na nacjonalizm. Powodów jest zapewne kilka, w tradycji Irlandii „nacjonalizm" często szedł w jednej parze z anty imperializmem, jakoże byliśmy kolonią imperium brytyjskiego i dzięki temu wielu młodych ludzi przyciąganych przez nacjonalizm również związana jest z lewicowymi ideami. Należy też podkreślić wieloletnią ciężką pracę i długotrwałą walkę antyfaszystowskich grup z Irlandii, które, jak wierzę, miały ogromne znaczenie również przez ich związek z klasą robotniczą. To właśnie antyfaszyzm klasy robotniczej pozwolił na powstrzymywanie jakichkolwiek grup z drugiej strony barykady, które powstawały w ciągu ostatnich lat.
W Irlandii nie ma też jakichś wielkich ekip kibicowskich, które jak sądzę, zostały wykorzystane do propagowania tej mody na nacjonalizm w Europie. Większość ekip kibicowskich w Irlandii jest bardzo mała i w większości są to osoby o poglądach lewicowych.

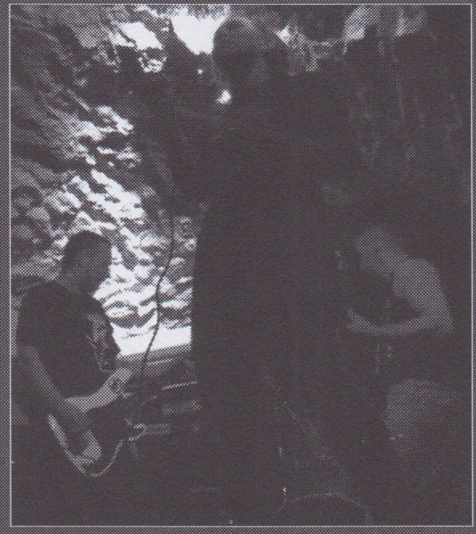

Nie znaczy to jednak, że nie mamy problemów z rasizmem/prawicowym nacjonalizmem, bo mamy. Jest to zazwyczaj związane z podejściem do tzw. „kryzysu uchodźców". Pojawia się coraz więcej grup faszystowskich podejmujących tematykę anty muzułmańską. Na szczęście są to małe grupki, zazwyczaj słabo zorganizowane. Śmieszne jest to, że największe i najlepiej zorganizowane są grupy polskich imigrantów związanych z ruchem narodowym. Jest to jednak wciąż mała grupa.
Ciekawe czy negatywne nastroje związane z tematem uchodźców przysporzą tym grupom nowych członków gotowych wyjść na ulice, czy nadal będzie to związane z ilością lajków na facebooku. Przed nami wybory i jak to w takich sytuacjach bywa, niektóre partie wykorzystują nastroje społeczne i temat uchodźców, jako temat zastępczy dla swych nieudolnych działań. To będzie ciekawy czas dla irlandzkich antyfaszystów! Tak czy inaczej, ze spokojem patrzę w przyszłość, widząc że powstają nowe waleczne grupy antyfaszystów tradycjami związane z ruchem punk, antifą, lewicowymi republikanami, socialistami i anarchistami.
Oczywiście rasizm nie dotarł do Irlandii wraz ze wzrostem migracji, którą obserwujemy na przestrzeni ostatnich kilku lat Przez wiele lat dyskryminacja „podróżników" (Irlandzkich Cyganów) bardzo się rozpowszechniła i została zaakceptowana przez Irlandzkie społeczeństwo, ale bez obaw, polscy imigranci są OK, ponieważ są „biali, są katolikami i lubią pić jak my" (dotyczy to południowej części Irlandii nie północnej, do której odniosę się w kolejnym pytaniu).

CHAOS: W Polsce kościół katolicki ma ogromny wpływ na społeczeństwo i niektórych polityków, jak wygląda ten temat w Irlandii? I na ile konflikt pomiędzy katolikami i protestantami oddziaływuje na ludzi? Czy ma to również jakiś związek z nazwą waszej kapeli?
Clodagh: Wydaje mi się, że kościoły katolickie w Polsce i w Irlandii są do siebie bardzo podobne, ale optymistyczne jest to, że obecnie, w końcu, pozycja katolickiego kościoła zaczyna słabnąć. W chwili obecnej 90% szkół podstawowych w Irlandii (do których uczęszczają dzieci w wieku 4-13 lat) jest pod kontrolą kościoła katolickiego, mają więc sporo czasu na indoktrynację kolejnego pokolenia. Politycy z silną katolicką (mizoginistyczną) wiarą mogą wstrzymać ustawy, które dotyczą kobiet (brak legalnej aborcji, poza ekstremalnymi przypadkami). Jednak mamy w Irlandii homoseksualne małżeństwa, legalny wybór płci z którą się utożsamiamy, co pozwala mi patrzeć w przyszłość pozytywniej.
Wydaje mi się, że Jezus mógłby być w porządku hipisiarskim kolesiem, ale nie mam żadnego szacunku dla organizacji religijnych oraz hierarchii, która jest z tym wszystkim związana, to jest mniej więcej sposób w jaki ja postrzegam nazwę naszej kapeli. Kościół katolicki był przyczyną tak wielu horrorów oraz smutków w Irlandii. Byłem wychowywany w wierze katolickiej, więc znam te wszystkie historie, w których Jezus staje w obronie uciśnionych, w rzeczywistości kościół w Irlandii stara się poprostu wzbogacić kosztem biednych. Tak stało się np. z uwięzioną kobietą, która źle się zachowywała – miała pozamałżeńskie dziecko. Zmuszono ją do pracy u sióstr magdalenek, za którą nie dostawała żadnego wynagrodzenia. Aż trudno uwierzyć, że ostatnią tego typu instytucję zamknięto dopiero w 1996 roku. „Złe dzieci" zazwyczaj pochodzące z biednych rodzin były również często więzione w szkołach przemysłowych oraz zmuszane do pracy na farmach w fatalnych warunkach z wieloma nadużyciami. Ilość osób związanych ze sceną punk, biorących śluby w katolickich kościołach bardzo mnie zaskakuje. Dla mnie bycie punkiem oznacza odrzucenie bzdurnych autorytetów i zasmuca mnie, gdy moi znajomi uciekają, by dostać przyzwolenie na swój heteroseksualny związek do najbardziej skorumpowanej i złej organizacji w kraju.
Byrneos: Ustosunkuję się do drugiej części twojego pytania i postaram się odpowiedzieć jak najkrócej umiem, ale jest to bardzo skomplikowana sytuacja. Obecny konflikt ma swoje korzenie w ruchach broniących praw obywatelskich w latach 1970. Północ Irlandii była wtedy oddzielona od południa w 1922 roku, po sukcesie rewolucji/wojny o niepodległość Irlandii z Imperium Brytyjskim. W Irlandii Północnej Brytyjczycy wykorzystali wówczas metodę „dziel i rządź", co sprawiło, że katolicy żyli tu jako obywatele drugiej kategorii w apartheidowskim systemie. Cały konflikt sprowadza się w zasadzie do Irlandii Północnej i związany jest z latami walki i wojny. Północ, która obecnie rządzona jest przez „dzielący się włądzą" rząd, skłądający się z partii reprezentujących nurt katolicko-nacjonalistyczno-republikański, oraz tych lojalnych wobec Brytanii protestancko-związkowy, jako że ten kraj wciąż

pozostaje częścią Zjednoczonego Królestwa. Tzw. „problemy" w Irlandii (kolejna nazwa dla wojny na północy kraju) znacznie się poprawiły odkąd grupy paramilitarne po obu stronach oraz armia brytyjska zakończyły wojnę w 1990. Mniej jest zabijania, ataków bombowych, które dzisiaj podejmują już tylko te małe, najbardziej hardkorowe ugrupowania. Aczkolwiek nienawiść oraz podział między poszczególnymi społecznościami jest wciąż bardzo silny. Kolejne pokolenia dzieci uczone są nienawiści do siebie nawzajem. Były pomysły, żeby w obszarach odzielających zwaśnione społeczności stawiać ogrodzenia, które miałyby je od siebie oddzielać (coś w stylu muru berlińskiego), tak zwane „pokojowe linie". Więcej takich barier powstało po podpisaniu porozumienia pokojowego w latach 90., niż w trakcie największych konfliktów. Takie akcje z podziałem społeczności zawsze służą najlepiej interesom klasy rządzącej. Często mam wrażenie, że przywódcy polityczni uczestniczą w rozgrywce, której celem są tylko i wyłącznie ich własne interesy (dotyczy to również tych, którzy niegdyś znani byli jako postępowi/lewicowi). Przestrzeń polityczna może być kreowana tylko tam, gdzie pojawia się szczery, prawdziwy głos rozwoju, który pomógłby stworzyć silny ruch związany z klasą robotniczą, którego podstawą byłyby nie idee związane z religią i tradycją, lecz właśnie z klasą pracującą. Czas pokaże jak potoczy się to wszystko, na razie pewne jest to, że nienawiść i rany pozostające po wojnie tkwią w człowieku bardzo głęboko. Tak na marginesie – kilka razy w przeszłości polscy imigranci żyjący w tradycyjnych związkowych dzielnicach byli atakowani, a ich domy podpalano dlatego, że byli katolikami. Inne grupy imigrantów również były atakowane i wyglądało na to, jakby prawicowe ugrupowania rosły w siłę w północnej Irlandii, głównie w dzielnicach lojalistów, ale tego typu sytuacje zdażały się również w dzielnicach nacjonalistycznych.

Słowo „nacjonalista", jeśli mówimy o Irlandii Północnej, to zwrot używany głównie w mediach do opisu ludzi chcących zjednoczenia Irlandii, lub pochodzą ze społeczności katolickich, nie chodzi tu natomiast o skrajną prawicę, o której mowa była w poprzednim pytaniu.

CHAOS: Tego lata odwiedziliście Polskę i zagraliście na Ultra Chaos Pikniku w Żelebsku. To był wasz pierwszy wypad do Polski jako BURNCHURCH? Jak wam się podobało? Co sądzicie o tego typu D.I.Y. Festiwalach? I kiedy ponownie zagracie w PL?

John: Ja w zasadzie byłem w Polsce po raz pierwszy i był to zajebisty czas. Mieliśmy okazję zagrać ze świetnymi kapelami, podczas całej imprezy bardzo dobrze się nami zaopiekowano. D.I.Y. festiwale jak ten w Żelebsku, są wyróżnieniem dla każdej zapraszanej na nie kapeli. W mojej opinii są nieodłączną częścią sceny punk na całym świecie. Gdzie indziej punki z tylu różnych zakątków mogłyby się spotkać i wspólnie bawić? Niesamowitą robotę wykonują organizatorzy tego typu imprez, zarówno w trakcie jej trwania, jak również podczas przygotowań. Często jest to praca za która nikt nawet nie słyszy słowa „dziękuję". Totalny szacunek i uznanie dla każdej osoby, która sprawiła, że ten festiwal może się odbywać!

Clodagh: Bardzo chcielibyśmy przyjechać do Polski ponownie. I wypić całą wódkę!

Skubol: Festiwal był naprawdę w porzo. Szkoda, że nie mogliśmy zagrać na własnym sprzęcie. Koszty były niestety za wysokie, żeby sprzęt do samolotu zabrać. Zagraliśmy na pożyczonych gitarach i wzmacniaczach i też było fajnie. Dzięki wielkie dla załogantów z Lublina, którzy użyczyli nam swoich gitar.

CHAOS: A czy macie jakieś wspomnienia związane z waszymi najlepszymi/najgorszymi koncertami spośród tych, które do tej pory zagraliście?

Clodagh: Raczej skupiamy się na tych pozytywnych. Ostatni gig był najlepszy, impreza z okazji 16 lat zaskłotowanej miejscówy w Oslo, Punkowcy i metalowcy po prostu oszaleli, była to również bardzo dobrze nagłośniona impreza.

John: Najlepszy koncert dla mnie to Lady and Trans Fest w Dublinie w marcu 2015 roku. Barikaden Fest w Oslo we wrześniu 2015 i gig w klubie 007 w Pradze w czerwcu 2014 roku. Raczej nie wczuwam się w złe koncerty, ale muszę szczerze przyznać, że jak do tej pory możemy powiedzieć, że jesteśmy szczęściarzami.

Skubol: Zoro Lipsk, chyba jedno z moich ulubionych punkowych miejsc.

CHAOS: Nagraliście świetną płytę, która zbiera bardzo dobre opinie. Słyszałem, że macie już też kilka nowych numerów. Jaki jest plan na kolejne wydawnictwo BURNCHURCH? 7"EP? 12"? I kiedy możemy się go spodziewać?

Byrneos: Mamy kilka nowych kawałków, ale do nowego LP jeszcze spora droga. Nie planujemy się z tym spieszyć.

Skubol: Działamy raczej powoli ze względu na to, że nie wszycy mieszkają w Dublinie i czasem ciężko się zebrać do kupy na próbę. Każdy ma tam jakieś swoje obowiązki, które w mniejszy czy większy sposób kolidują z istnieniem zespołu. Żaden z nas nie jest młodzieniaszkiem i czasem brak energii. Dajemy jakoś radę.

CHAOS: LP brzmi świetnie, chciałem zapytać jakiego sprzętu używaliście podczas nagrywki gitar? I jakich blach używa wasz perkusista?

Dzięki Mike! John, perkusista używa 17" i 18" zildjian custom crash, 14" sabian aaxelerator hi hatu i 20" ridea sabian aa metal.

Skubol: Czeski wzmacniacz George Dennis Blue 100 watt, do tego Gibson SG special i nic więcej. Przester z pieca. Żadnych kostek, ulepszaczy i tego typu bzdur. Rudy grał na Ibanezie i Peavey-u 5150. Basista na Ampegu nagrywał, ale co to za gitara była to nie pamiętam. Chodziło nam o to, by brzmienie było jak najbardziej podobne to tego, które mamy na koncertach. Wyszło chyba całkiem spoko. Nagrywaliśmy to w takiej szopie ogrodowej przerobionej na studio.

CHAOS: Czym zajmujecie się w waszym życiu na co dzień?

Byrneos: Ja zawodowo opiekuję się starszymi ludźmi, kick boxingiem oraz słuchaniem pankroka. Robię też trochę politycznych rzeczy.

John: Ja jestem obecnie w koledżu, teraz studiuję stolarstwo. Poza tym lubię majsterkowanie i gram na perce w RATS BLOOD.

Clodagh: Ja w ciągu dnia pracuję, ogarniam punkowego zina, próbuję podnosić ciężkie rzeczy na siłowni, hoduje kury i spaceruję po wiejskich terenach z moimi psami.

Skubol: Pracuję w ochronie w małym mieście 30 km od Dublina. Jestem takim gościem od ustalania grafika, urlopów itd. Oprócz pank roka to najbardziej lubię podróżować po świecie.

CHAOS: Moglibyście zdradzić przepis na jakieś wegańskie, regionalne pyszności? Lub na waszą ulubiona potrawę?

Clodagh: Ja chciałbym polecić 2 potrawy:
Owsianka – typowe irlandzkie śniadanie, to jest przepis na musli bez orzechów, w którym owies użyty jest w nieco inny sposób. Pochodzi z jednego z przepisów Brendana Braziera (kanadyjski weganin, iron man). Ja lubię dzielić to sobie na części i trzymać w lodówce, wtedy wychodzą z tego takie zdrowe przekąski, które można połączyć z jogurtem i startym jabłkiem, jest to też spoko opcja na wyjazdy, tak żeby mieć co wcinać w podróży. Połączenie soli i melasy robi w tym przepisie najlepszą robotę!

SKŁADNIKI:
1 szklanka płatków owsianych
1/2 szklanki proszku z proteinami (można bez)
1 szklanka pestek słonecznika
1/2 szklanki ziaren sezamu
¼ szklanki oleju kokosowego (ew. Oliwa)
¼ szklanki melasy
łyżeczka soli
łyżeczka cynamonu

Suche składniki wsypujemy do miski. Olej mieszamy w garnku razem z melasą i podgrzewamy na małym ogniu do momentu, w którym olej zacznie topnieć. Następnie wlewamy to do miski z suchymi składnikami i dokładnie mieszamy drewnianą łyżką. Powstałą mieszankę przelewamy na blachę do pieczenia ciasta i wkładamy na 1 godzinę do piekarnika rozgrzanego do 100 stopni. W tym czasie składniki powinny się ze sobą ładnie połączyć, po ostygnięciu można je połamać na mniejsze części, tak żeby mieściły się np. w pojemniku spożywczym. Klasycznym irlandzkim daniem są też duszone ziemniaki z kapustą, uwielbiam takie jedzenie szczególnie zimą, nawet samo, ewentualnie z pieczoną fasolą w sosie pomidorowym. Potrzebne są tutaj tłuczone ziemniaki, cienko posiekana kapusta gotowana na parze i podsmażona cebulka. Wszystko to razem mieszamy, dodajemy mleko i masło, doprawiamy solą i pieprzem i gotowe! Jest to tradycyjna potrawa podawana w Samhain (najważniejsze celtyckie święto) odpowiednik Halloween.

CHAOS: Macie jakieś ulubione książki lub filmy, które moglibyście polecić?

John: „Dead Man's Shoes", „Spinal Tap", są zajebiste za każdym razem!

Byrneos: Książka „If this is a man/the truce" autorstwa Primo Levi, film „The Wickerman" oryginalna wersja z 1973.

Clodagh: Oto książki, które zmieniły moje spojrzenie na świat: „The Serpent and The Goddess" autorstwa Mary Condren, to zbiór historii o chrześcijaństwie z krytycznym podejście do jego mizoginicznej natury. „Guns, Germs and Steel" autorstwa Jareda Diamonda, to historia świata, pokazująca jakim bezsensem jest wyższość rasy i jak cywilizacja wzrasta i upada z powodów geograficznych. „The Wolf Totem" autorstwa Jianga Ronga, to wgląd w plemię mongolskich nomadów, którzy potrafili żyć w trudnych terenach dzięki zachowaniu równowagi i szacunku wobec Matki Ziemi.

CHAOS: Ostatnie słowa należą do was. Czy chcielibyście coś dodać?

BURNCHURCH: Dzięki za wywiad!

Bostoński MORNE to zespół znany pewnie większości czytelników, bo raz, że mający w składzie Polaka, dwa, że grający już od dobrych kilku lat, w czasie których dorobił się m.in. trzech pełnych albumów i split LP, a wreszcie - mający za sobą już trzy trasy w Europie, z których dwie obejmowały także Polskę. Ponieważ motorem zespołu jest mój ziomal z dzielni i były kumpel z kapeli, z którym mimo jego wyjazdu za ocean nigdy nie straciłem kontaktu (raz go tam zresztą odwiedziłem), miałem okazję pojeździć trochę z chłopakami za każdym razem, gdy grali w Europie i zakumplować się z niemal całym składem (poza nowym gitarzystą, którego jeszcze nie poznałem). Być może dlatego jakoś głupio mi w tym wstępie zbytnio im słodzić, zatem bez zbędnego przeciągania zapraszam do lektury. Wywiad przeprowadziłem pod koniec października 2015, tłumaczenie też moje. Zdjęcia: Hillarie Jason. (Wolf)

MORNE

CHAOS: Jakkolwiek wydaje mi się to dziwne, zwłaszcza uwzględniając fakt, że Miłosz jest Polakiem, ale chyba nie udzielaliście jeszcze wywiadów polskim zinom czy webzinom. A zatem, jak nudne by to nie było, muszę zacząć od obowiązkowego pytania o historię zespołu. Pamiętam, że część późniejszych kawałków MORNE Miłosz miał już gotowych dobre kilka lat przed tym jak powstała wasza kapela. Pamiętam jak szukał ludzi, grał z kumplami z ościennych stanów itp. Jak się to wszystko potoczyło by w końcu zadziałać?

Miłosz: Właściwie udzieliłem kiedyś wywiadu jakiemuś mainstreamowemu polskiemu pismu muzycznemu, ale to było kilka lat temu i nie pamiętam jego tytułu. Był też z nami wywiad w Violence online. Ale fakt, że raczej mało było tych polskich wywiadów.

Kiedy przeprowadziłem się do Stanów, tym samym opuszczając swoją kapelę, nie przestałem tworzyć muzyki, zresztą dlaczego miałbym przestać? Zatrzymałem część pomysłów, które powstały jeszcze z myślą o FILTH OF MANKIND i od nich zacząłem samodzielną pracę. Wciąż komponowałem kawałki, jednocześnie szukając ludzi, z którymi mógłbym założyć kapelę. Nie było to łatwe, bo nikt, kogo tu spotykałem, nie był zainteresowany taką muzyką - ciężką, wolną, crustową. Skumałem się z paroma znajomymi z sąsiednich stanów i wspólnie zaczęliśmy pracować nad moimi kawałkami. Przez jakiś czas grał z nami Matt, który po wyprowadzce do Kanady dołączył do AFTER THE BOMBS, a na basie Ben z DROPDEAD. Było ciekawie, ale ze względu na dzielące nas odległości i napięte terminarze - trudno. Czułem, że aby ruszyć z tematem, muszę zebrać skład tutaj, na miejscu. Jammowałem sobie z Kevinem (naszym pierwszym perkusistą) i wtedy trafiłem na Maxa, z którym się wcześniej znaliśmy, ale nigdy nie gadaliśmy o kapeli. Przyłączył się do nas i w trójkę zaczęliśmy pracować nad tymi kawałkami. Nagraliśmy pierwsze demo, po jakimś czasie do składu dołączył Jeff i już z nim na drugiej gitarze zagraliśmy pierwszy koncert.

CHAOS: Miłosz, w międzyczasie, jeszcze przed powstaniem MORNE, grałeś przez jakiś czas w SLEEPER CELL, bardzo dobrym, choć kompletnie niedocenionym zespole hardcore. Dlaczego tak szybko przestaliście grać, w zasadzie tuż po wydaniu pierwszego LP?

Miłosz: Mój udział w SLEEPER CELL był krótki. Ich basista odszedł po nagraniu dwóch pierwszych singli i poprosili mnie bym go zastąpił. Wspólnie nagraliśmy LP i parę kawałków na kompilacje oraz zagraliśmy kilka gigów... W zasadzie to był zespół Jeffa (Walkera, nie Haywarda, który grał w MORNE), to on zrobił praktycznie cały materiał, muzykę i teksty. To było jego dziecko. Ja napisałem jeden kawałek, który wylądował na LP, może jeden czy dwa inne wymyślił Adam, ale zasadniczo całość zrobił Jeff. Wkrótce po nagraniu albumu Jeff oświadczył, że chce dać sobie spokój z SC i zająć się czym innym (mniej więcej wtedy założył SOCIAL CIRKLE, później grał w BLOODY GEARS, a jeszcze przed SC w BALANCE OF TERROR - Wolf). Nikt nie oponował, ani nie miał żadnych genialnych pomysłów typu ciągnąć kapelę bez niego, i każdy z nas zajął się innymi projektami. Sądzę, że to była spoko kapela. Jeff robi dobre kawałki.

CHAOS: Skoro już rozmawiamy o waszych poprzednich kapelach... Pewnie większość czytelników „Chaosu" wie, że przed wyjazdem do Stanów Miłosz grał w MONEY DRUG, FILTH OF MANKIND i jeszcze w paru mniej znanych gdańskich kapelach, ale jaka jest muzyczna przeszłość reszty obecnego składu MORNE?

Miłosz: Raczej nigdy nie mówimy o swoich poprzednich kapelach. Nie używamy ich jako biletu do jakiejś reklamy. Nie wydaje mi się to bardzo ważne, poza tym może wprowadzać na zły trop i w ten sposób poniekąd działać przeciw nam. Graliśmy w mniej lub bardziej znanych kapelach, ale to jest tylko coś co robiliśmy w przeszłości. Dla każdego z nas MORNE powstał jako nowe, świeże doświadczenie.

Max: Gram muzykę odkąd miałem 13 lat, ale póki nie dołączyłem do MORNE, nigdy nie grałem w żadnej poważnej kapeli. Do tego czasu było to po prostu granie muzyki dla niej samej - po pijaku, nierówno, wyłącznie dla samej zabawy. Kiedy przyłączałem się do MORNE miałem 23 lata i chciałem czegoś konkretniejszego, z trochę bardziej profesjonalnym podejściem niż moje poprzednie kapele. Od 8 lat MORNE pozostaje centrum mojej twórczej uwagi, wszystko wcześniejsze to najwyżej mały przypis w mojej muzycznej podróży.

CHAOS: Pewnie też mało kto u nas wie, że nie gra już z wami Jeff, za którego gra nowy gitarzysta, Paul. Jak go znaleźliście, znaliście się z nim przed odejściem Jeffa?

Miłosz: Z Jeffem rozeszliśmy się półtora roku temu i Paul przyłączył do nas jakieś dwa miesiące później. Znaliśmy się z nim wcześniej, bo pracował w studiu, w którym nagraliśmy większość naszych płyt. Paul był świadkiem nagrywania „Asylum" i „Shadows". Szukając nowego gitarzysty, próbowaliśmy z paroma osobami, ale Paul pasował najbardziej. Jesteśmy dość wybredni w tych sprawach i było dla

nas ważne żeby mieć pewność, że zmiana składu nie pociągnie za sobą straty jakiegokolwiek elementu naszego brzmienia, ale raczej je poprawi. Myślę, że udało nam się to osiągnąć.
Max: Z Paulem mieliśmy sporo wspólnych punktów zanim dołączył do MORNE. Był asystentem realizatora w studiu, w którym nagraliśmy wszystkie albumy. Pierwszy raz spotkaliśmy go w czasie nagrywania „Asylum", był też obecny przy produkcji „Shadows". Poza tym mieliśmy wielu wspólnych kumpli, a Paul jeździł na trasy jako zastępczy gitarzysta wielu lokalnych kapel. Jest tak utalentowanym gitarzystą, że zaskakującym było, że w żadnym bandzie nie gra na stałe. Kiedy więc rozstaliśmy się z Jeffem, Paul był jednym z pierwszych ludzi, których wypróbowaliśmy. Uczestnicząc w sesjach nagraniowych, był już zaznajomiony z dużą częścią naszego materiału i z tym jak funkcjonujemy jako kapela. Przed pierwszą próbą całkowicie sam opanował nasze kawałki i perfekcyjnie zagrał każdy dźwięk.

CHAOS: Gdy porównuję wasze płyty, uderza mnie to, że wasza muzyka zdaje się z czasem stawać coraz prostsza, odarta z ozdobników. Na ostatnim albumie brak już gościnnych wokali czy dodatkowych instrumentów jak skrzypce czy wiolonczela, a klawisze nie są już tak wyeksponowane jak miało to miejsce wcześniej... Ogólnie odnoszę wrażenie, że najważniejsze w waszej muzie są riffy i brzmienie. Zastanawia mnie czy jest to dążenie w pełni świadome, czy po części przypadkowe (przykładowo jako wynik braku etatowego klawiszowca lub zwykłego braku pomysłu by tym razem dodać coś, czego nie używacie na próbach/koncertach)?
Miłosz: Nasza muzyka i nasze podejście do niej cały czas się rozwijają i zmieniają. Dodajemy różne rzeczy kiedy uważamy, że jest taka potrzeba i że to może nadać dodatkowy wymiar naszej muzyce. Nagrywając „Shadows" uznaliśmy, że te kawałki nie potrzebują nic dodatkowego, chociaż przez chwilę rozpatrywaliśmy poproszenie znajomego by w jednym kawałku zagrał na thereminie. Ostatecznie jednak postanowiliśmy wszystko nagrać sami. Max dograł trochę partii keyboardu i różnych ambientów, które na koncertach lecą z samplera. Chcieliśmy by wszystko było rudymentarne i wyraziste, było to celowe dążenie. Na pierwszej płycie mieliśmy dużo warstw klawiszy, podobnie jak na drugiej, „Asylum", po prostu tak czuliśmy tę muzykę w owym czasie. Przez jakiś czas mieliśmy keyboardzistę, ale nie miało to wpływu na decyzje gdzie i kiedy dorzucić klawisze. To Max i ja graliśmy na keyboardach w studiu, jeszcze zanim dokooptowaliśmy klawiszowca. Jesteśmy świadomi i uważni komponując swoje kawałki. MORNE miał zawsze być kapelą napędzaną riffami gitarowymi i taką pozostanie. W tej chwili wygląda, że czwarta płyta będzie znowu bardziej złożona i wielopłaszczyznowa. Ciężka, oparta na riffach muzyka z pewną głębią i wymiarem to to, o co nam chodzi.

CHAOS: Zagraliście trzy trasy w Europie, pierwsza była kompletnie DIY, druga w zasadzie też, oprócz tego, że została zabukowana niejako wokół Hellfestu, z kolei trzecia, obejmująca występ na Roadburn, była częściowo zabukowana przez agencję Doomstar w normalnych klubach, a częściowo przez Timo (Alerta Antifascista Records) w różnych punkowych miejscówkach. Muszę przyznać, że z mojej perspektywy, większość tych koncertów klubowych, nawet jeśli dostawaliście za nie lepszą kasę (nie zawsze tak było, ale często tak), mimo lepszego nagłośnienia, wygodnego backstage'u itp., była zazwyczaj bardziej nudna, z mniej liczną i niezbyt entuzjastyczną publicznością... Oczywiście bywały wyjątki (i z pewnością nie dotyczy to obu wspomnianych festów, gdzie atmosfera była świetna), a ja mogę być mocno nieobiektywny, bo w punkowych miejscówkach zazwyczaj spotykałem znajomych, a grające tam z wami kapele bardziej odpowiadały moim gustom muzycznym, więc jestem ciekaw waszego spojrzenia na tę obserwację - zgadzacie się z nią czy raczej nie?
Max: Zdecydowanie zgodziłbym się z twoimi spostrzeżeniami, ale jednocześnie nie mogę powiedzieć, że mam jakieś konkretne preferencje, co do tych dwóch podejść. Zawsze czułem, że MORNE nie mieści się w jednym, konkretnym przedziale, jeśli chodzi o te sprawy. Są zarówno pozytywne, jak i negatywne elementy po obu stronach. Chociaż energia i własny sentyment wzmacniają się w wypadku grania koncertów/miejsc DIY, często mam też wrażenie, że wówczas stanowczo zbyt często muzyka rozmywa się w pijackim chaosie. Nie gramy muzyki nadającej się do moszowania, więc gdy występujemy przed bezmyślnie szalejącą publiką, rozwalającą nam efekty, to jest raczej irytujące i bezsensowne. Z drugiej strony, jak powiedziałeś, koncerty w klubach są zawsze totalną niewiadomą. Czasem są dobrze rozreklamowane, przychodzi dużo ludzi, każdy nadaje na tej samej częstotliwości i jest perfekcyjnie, a innym razem jest bardzo sztywno, obco i gramy dla wielkiej i pustej sali. Koniec końców, czuję, że zawsze będziemy wybierać ludzi, których znamy i którym ufamy, a przede wszystkim tych, którzy lubią zespół i dostrzegają wartość tego, co tworzymy.
Miłosz: Myślę, że sporo miejsc na ostatnich trzech trasach się pokrywało. Pierwsza trasa była oczywiście mniejsza, bo pierwszy raz byliśmy w Europie, no i wciąż byliśmy nieznanym zespołem, ale druga trasa przyciągnęła już sporo ofert, które przekierowaliśmy do Timo, który w naszym imieniu bukował koncerty. Na ostatniej graliśmy w paru DIY miejscach i w paru klubach, ale to chyba po prostu norma w Europie. Nie ma tak

naprawdę dla mnie znaczenia czy to klub, czy półprofesjonalne miejsce DIY, jeśli tylko zespół jest traktowany z szacunkiem. Ważniejsze jest to, kto bukuje te koncerty i z kim mamy do czynienia. Timo i Luc (Doomstar) w zasadzie podobnie podchodzą do sprawy. Zapewnić kapeli to, czego potrzebuje. Gówniane sytuacje mogą pojawić się w obu rodzajach miejscówek. Wybieramy takie opcje, które odpowiadają nam samym, nie próbując przy tym budować muru wokół zespołu.

CHAOS: Poniekąd kontynuując temat, zastanawiam się czy macie jakieś rozeznanie w której scenie macie więcej słuchaczy? Oczywiste jest, że zaczynaliście w scenie punkowej, ale w miarę tego jak wasza muzyka ewoluowała, stawała się ona mniej popularna wśród waszej pierwotnej, crustowej publiki (choć wciąż dużo punków, wliczając w to mnie samego, lubi i wasze nowsze płyty), a jednocześnie bardziej atrakcyjna dla ludzi z innych nisz muzycznych (zgaduję, że głównie dla tych z tzw. sceny post-metalowej, cokolwiek oznacza to określenie). Tym bardziej, że wasze dwa ostatnie albumy na CD wydało Profound Lore. Więc trochę mnie ciekawi skąd dostajecie więcej informacji zwrotnej, albo jakiego rodzaju słuchaczy głównie przyciągacie na swoich koncertach?

Max: Przez ostatnie parę lat mamy w Stanach zdecydowanie swego rodzaju renesans „punkowego puryzmu", więc raczej nie bardzo docieramy do młodszej części tutejszej sceny punkowej. W tym momencie w USA przyciągamy głównie publikę metalową. Jednak w Europie i Kanadzie to wciąż wydaje się być dość przemieszane i zależy głównie od tego kto bukuje dany gig i w jakim miejscu. Szczerze wydaje mi się, że są ludzie ze wszystkich scen muzycznych, którzy znajdują coś atrakcyjnego dla siebie w tym, co gramy. Z upływem czasu staje się to wciąż bardziej różnorodne i właśnie tak być powinno. Staramy się być zespołem, który nie wpasowuje się w jedną scenę.

Miłosz: Myślę, że kroczymy swoją własną ścieżką, nie próbując być częścią żadnej sceny. Robimy coś własnego i nie kontrolujemy tego, do kogo to trafi. Widuję punków w naszych koszulkach i metalowców kupujących nasze płyty. Wydaje mi się, że nasza muzyka obejmuje szeroki horyzont i chcemy przy tym pozostać. Nigdy nie zrezygnujemy z czegokolwiek po to, by przypodobać się jednej czy drugiej scenie. Nie po to gramy. Muzyka, jak i wszystkie pozamuzyczne aspekty MORNE pozostaną na drodze, która pasuje przede wszystkim nam samym.

CHAOS: Wciąż jeszcze ciągnąc ten temat, Max, w jednym ze starych wywiadów, udzielonym zaraz po waszej pierwszej trasie w Europie, poproszony o opisanie waszego stylu, odparłeś, że czujesz, że zespół jest jeszcze młody i że twoim zdaniem za wcześnie jeszcze na odpowiedź. Ewidentnie miałeś rację, bo wasza muzyka zdecydowanie rozwinęła się przez te lata, ale ciekawi mnie czy dzisiaj jesteś w stanie określić jakoś muzykę graną przez MORNE?

Max: Nadal nie cierpię na siłę szufladkować naszej kapeli. Myślę, że brzmimy jak my. Ciężko, melodyjnie, miażdżąco i emocjonalnie. Brzmimy jak MORNE.

Miłosz: Ja też zawsze staram się unikać takich pytań, bo zwyczajnie nie mam na nie odpowiedzi, ani nie chce mi się jej wymyślać. Nie sądzę, że potrzebujemy otagować naszą muzykę. Ludzie używają różnych określeń na nasz zespół i to jest OK, jeśli im to pomaga w umiejscowieniu nas na półce z innymi kapelami, ale te etykietki nie mają żadnego znaczenia dla mnie. Niektóre rodzaje muzyki ludzie zwą „post coś tam", czy „apokaliptyczne coś innego", dla mnie to jest naiwne i słabe.

CHAOS: A jakie było najzabawniejsze, albo najgłupsze określenie jakie widzieliście obok swojej nazwy na plakacie czy w recenzji?

Max: Najdziwniejsza etykieta jaką kiedykolwiek nam przypisano, to „emo crust". Zdaje się, że to miało miejsce gdzieś w Niemczech na naszej trasie w 2009. Z miejsca stało się to żartem powracającym już do końca trasy.

Miłosz: Dla mnie zabawne jest, gdy ludzie na siłę próbują wymyślić określenie naszej muzyki, albo właściwie jakiejkolwiek muzyki, czy to na plakat, czy w recenzji. Wygląda, że teraz jesteśmy już rozpoznawalni na tyle, że umieszczenie samej nazwy na plakacie wystarcza, lub powinno wystarczać. Bardzo lubię recenzje zespołów, w których recenzent/ka piszą o sobie, jakiej muzyki słuchają lub jakiej nie lubią, zamiast próbować opisywać recenzowaną płytę. Ludzie za bardzo się wysilają bez powodu. I to wypada i głupio, i zabawnie zarazem.

CHAOS: Pewnie niezbyt dużo ludzi wie, że na dość wczesnym etapie istnienia zespołu, MORNE odrzuciło ofertę kontraktu z Relapse. Macie chęć publicznie mówić o przyczynach? Jestem pewny, że masa kapel, w tym i takie głośno krzyczące o tym jak bardzo "DIY" są, weszłoby w temat bez wahania...

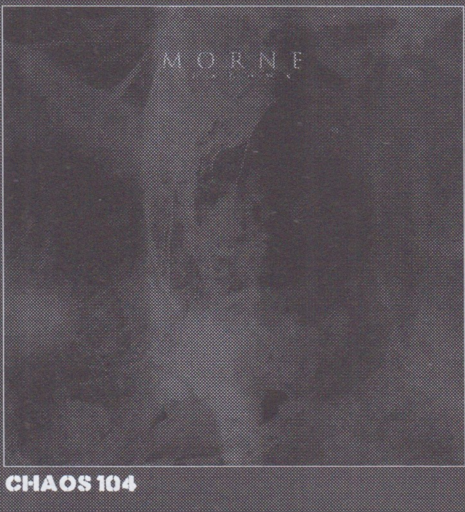

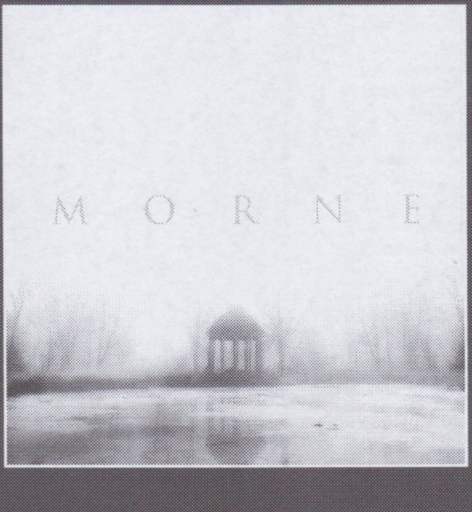

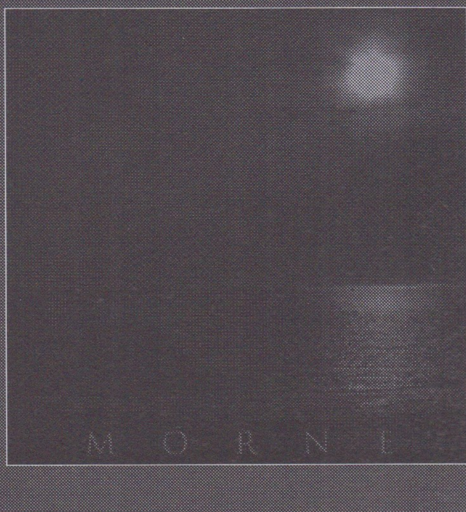

Miłosz: Nie mam nic przeciwko mówieniu o tym, bo to nic wielkiego. Skontaktowali się z nami po ukazaniu się naszego demo. Gadaliśmy z nimi przez email, a później osobiście. Nie mieli wtedy nic szczególnego do zaoferowania, po prostu byli zainteresowani podpisaniem kontraktu, ale nam o to nie chodziło. Tym bardziej, że niedługo później odezwało się Profound Lore, z ofertą, która była dla nas bardziej interesująca. Relapse to duża i zasłużona wytwórnia, nie mam nic przeciwko niej, ale nam nie o to chodziło. To bardzo proste. Jesteśmy bardzo ostrożni, gdy chodzi o to z kim i jak działamy, w co się angażujemy jako zespół i w czym uczestniczymy. Nasze decyzje mają na celu przede wszystkim dobro kapeli i lubimy mieć kontrolę nad tym, co robimy. To się nie zmieni bez względu na to z kim byśmy kontraktu nie podpisali. A co do kapel „DIY", które używają sceny niezależnej do podtrzymania swego istnienia, tylko dlatego, że to jest nie tylko łatwe, ale i dlatego, że nie bardzo mają możliwość zaistnieć gdzie indziej, to jest to pozbawione smaku i szacunku. Niektóre z takich kapel siedzą i operują w tej scenie, ale gdy tylko pojawi się jakaś potencjalna oferta, lecą w to na łeb, na szyję, nie czytając nawet tego co podpisują. To łatwe i głupie.
MORNE ma umowę z Profound Lore, czyli całkiem sporą wytwórnią, ale współpracujemy też z Armageddon Records, czyli wydawnictwem

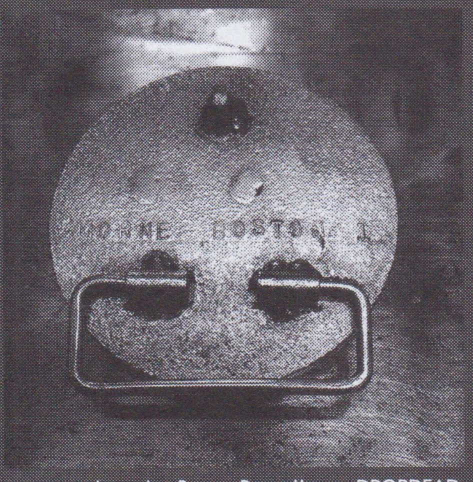

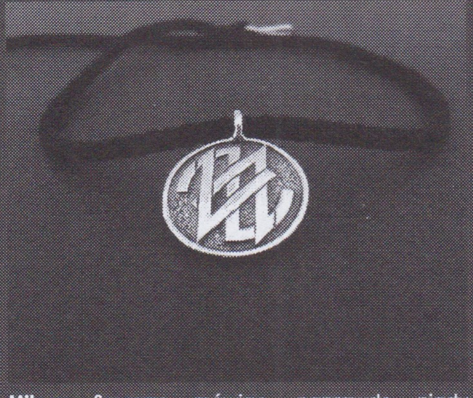

naszego kumpla Bena Barnetta z DROPDEAD. Założyliśmy też własną wytwórnię, Morne Records. Działamy w sposób, który nam odpowiada i który naszym zdaniem jest najsensowniejszy. Niczego nie robimy w pośpiechu, ani na pół gwizdka. To nasza kapela i robimy co chcemy, ciężko na to zapracowaliśmy.

Max: Jak Miłosz powiedział, nie mamy nic przeciwko Relapse, czy kapelom przez nich wydawanych, tylko to nie była dla nas właściwa ścieżka w tamtej chwili. Nawet jeśli wybraliśmy trudniejszą drogę, wymagającą zaangażowania, więcej energii i kasy przez nas samych, ważne było dla nas by zrobić to na własnych zasadach i nie być związanym jakąś niejasną umową z wydawcą. Profound Lore w zasadzie zgodził się byśmy sami sobie zaprojektowali umowę, wg. naszych własnych oczekiwań i tyle. Mamy swobodę, by robić co chcemy, bez większych ograniczeń ze strony wytwórni. Co do DIY, to wbrew temu, co może się komuś wydawać, wciąż operujemy w znacznym stopniu na poziomie DIY. Sam zajmuję się całym naszym mailorderem, produkując merch współpracujemy ze swoją siatką znajomych, sami projektujemy swoje grafiki i zajmujemy się promocją, czy bukujemy wiele z naszych koncertów. Robię to w ten sposób, bo tego właśnie chcę. To wynik pasji i czuję dużo większą dumę z efektów, gdy mam świadomość, że to wszystko zrobiliśmy sami.

Miłosz: Dla mnie bycie w zespole jest jak rzemiosło, wymaga ciężkiej pracy i zaangażowania. Nie ma tu miejsca na chodzenie na skróty, czy robienie czegoś na odpierdol. To musi być przemyślane przedsięwzięcie. Traktuję to jak sztukę, pasję i prawdziwe rzemiosło. Czy jesteśmy w dużej wytwórni, czy w mniejszej, wszystko musi wypływać z nas, nie na odwrót. Ten rodzaj zaangażowania nie jest łatwy i często oznacza, jak to powiedział Max, obranie trudniejszej drogi, ale to jest to, co daje mi satysfakcję. Bardzo łatwo jest się godzić, ale trzeba mieć odwagę by odmawiać. Dzieło zrodzone z pasji.

CHAOS: Wróćmy na chwilę do Hellfestu, jak go wspominacie? Jak czuliście się pół godziny przed gigiem, kiedy w namiocie, w którym mieliście grać, były ze dwie osoby? Stresowało to was czy jednak czuliście, że ten namiot się wypełni tak bardzo, jak to miało miejsce w chwili rozpoczęcia koncertu?

Miłosz: Hellfest to ogromna impreza. To było całkiem miłe na tak wczesnym etapie naszej kapeli być zaproszonym by tam zagrać. Oczywiście graliśmy bardzo wcześnie, ale też nie spodziewaliśmy się niczego innego. Nigdy wcześniej nie graliśmy na tak wielkim festiwalu, więc to było dla nas całkiem nowe doświadczenie. Miałem wrażenie, że taka ilość kapel na 4-5 scenach sprawia, że wiele zespołów wydaje się przechodzić raczej anonimowo, ale muszę przyznać, że reakcje na nasz występ były całkiem dobre. Każde wydarzenie tego typu przynosi nowe doświadczenia i dużo się z tego uczymy. Od tamtej pory graliśmy już większe imprezy. To coś całkowicie innego niż zwykły koncert klubowy.

CHAOS: A jak porównalibyście doświadczenia z Hellfestu z waszym występem na Roadburn? Tym razem nie graliście już jako pierwsi danego dnia, a wprost przeciwnie - można rzec, że graliście niemal w prime-time (OK, nie do tego stopnia co TRIPTYKON, ale jednak...), zresztą byliście już wtedy zespołem o zdecydowanie bardziej ugruntowanej pozycji, więc pewnie podeszliście do tego łatwiej, bardziej pewni siebie, zgadza się? Zdarza wam się w ogóle jeszcze od czasu do czasu czuć tremę czy absolutnie nigdy?

Miłosz: Szczerze mówiąc, naprawdę nigdy nie czułem tremy, ani grając w MORNE, ani w poprzednich kapelach. Nie wiem na czym to polega, ale po prostu mnie to nie łapie. Jestem z kumplami, robię to co kocham i czuję się w tym całkiem pewnie. Czy jest to duży gig czy mniejszy, podchodzę do tego podobnie. Roadburn to fest bardzo ekskluzywny, pewnie wręcz elitarny. Wydaje mi się, że zaproszenie do uczestnictwa w nim i grania o dobrej porze na głównej scenie dało mi sporego kopa i wzmocniło moją pasję.

Max: Pod wieloma względami Roadburn był całkowitym przeciwieństwem Hellfestu. Zamiast grać super wcześnie, graliśmy późno. Oczywiście wszyscy byliśmy lekko poddenerwowani, ale jak już zaczęliśmy grać, było zajebiście. Do dziś pozostaje największym koncertem, jaki zagraliśmy i nie licząc paru drobnych problemów technicznych, jestem tak zadowolony z naszego występu, jak to tylko możliwe. Roadburn ma też swoją specyficzną atmosferę. Jest bardzo dobrze zorganizowany, przyjacielski i osobisty. Traktowano nas tam super i uczestniczenie w nim było zaszczytem.

CHAOS: Nie gracie zbyt wielu koncertów w samym Bostonie. Całkowicie to kumam, bo sam sądzę, że granie w tym samym mieście co dwa miesiące jest bezcelowe. Jednocześnie jest masa kapel, które potrafią grać u siebie nie tylko co dwa miechy, ale dwa-trzy razy w ciągu jednego miesiąca. Co o tym myślicie, ma to sens? Oczywiście, zdarza mi się oglądać ten sam zespół trzy wieczory pod rząd i wciąż się jarać na maksa, ale podejrzewam, że to może wynikać, ze świadomości, że ów zespół jest z drugiego końca świata i nieprędko będzie kolejna okazja by go zobaczyć. Jednak to absolutnie tak nie działa w wypadku kapel miejscowych, zgodzicie się z tym?

Miłosz: Jest wielka różnica między graniem tras, a koncertem u siebie w mieście, ale staramy się przykładać tę samą wagę do jednego i drugiego. Czuję, że w obu przypadkach to powinno być szczególne i wartościowe doświadczenie. To musi być coś ważnego dla nas, jako kapeli i dla tych, którzy przyjdą nas oglądać. To właśnie najbardziej cenimy w koncertach i chcielibyśmy uniknąć rozmydlenia tego. Powiedzmy, że kapela z daleka przyjeżdża zagrać parę koncertów w twoich stronach, to pewnie pojedziesz na wszystkie, a przynajmniej na większość z nich. Ja się w takim wypadku staram zobaczyć, ile mogę. Jak AMEBIX grał trzy gigi na Wschodnim Wybrzeżu, byłem na każdym z nich. Ale gdyby to był zespół z mojego miasta i grał tu regularnie co drugi weekend, to jakkolwiek kocham ten zespół, znudziłoby mi się to dość szybko. Mam wrażenie, że niektórym kapelom wydaje się, że im więcej grają w swojej okolicy, tym lepsze się stają. Moim zdaniem to całkowita bzdura. My częściej odmawiamy zagrania koncertów, które nam się proponuje, niż się na nie godzimy. Dołączanie do składu koncertów jest bardzo łatwe, kiedy jesteś w klimacie i wiesz z kim zagadać. Sami gramy jeden-dwa koncerty rocznie w Bostonie. Nie jest to żadną żelazną regułą, jednak staramy się grać tu jak najmniej i bardzo rozważnie wybierać koncerty.

Max: Sądzę, że problem w Bostonie polega na tym, że choć jest to stosunkowo duże miasto z wieloma mieszkańcami i rozwiniętą kulturą muzyczną, jest tu zaskakująco mało kapel w każdej niszy czy gatunku. Więc kończy się to tym, że kiedy jakaś kapela na trasie przyjeżdża do Bostonu, organizator musi dorzucić do składu coś miejscowego, mając do dyspozycji stosunkowo wąski wybór grających zespołów (fakt, regularnie odczuwamy to robiąc koncerty w Gdańsku - Wolf). I wiele z tych grup wpada w nawyk grania za każdym razem, gdy ktoś im to zaproponuje. Oczywiście to całkowicie ich sprawa - czy przyjmować każde zaproszenie, czy nie. Najczęściej jednak zespoły korzystają z każdej możliwej okazji by zagrać, czy to dla radochy z grania, czy dla zaspokojenia swojego ego. Ja sam, wolę utrzymać wokół MORNE atmosferę pewnej tajemniczości i wyjątkowości jeśli chodzi o granie koncertów. Zawsze mi się takie podejście podobało. Więc jak już uda nam się wypełznąć z sali prób by wystąpić publicznie, to jest to coś szczególnego zarówno dla nas, jak i dla wszystkich, którzy przyjdą nas zobaczyć.

CHAOS: Wspomniałeś o koncertach AMEBIX. Sami z nimi parę razy wówczas zagraliście - jakie to było dla was przeżycie? Wielka satysfakcja, że gracie z kapelą ulubioną od lat czy po prostu gigi jak każdy? Zdaje się, że już wcześniej byłeś w kontakcie z Baronem. Poprosiliście go też, żeby swoim charakterystycznym pismem, znanym z ich płyt, wykaligrafował wam teksty i tytuły na „Asylum". Spoko było się w końcu spotkać? Wygląda na to, że dogadywaliście się dobrze, skoro w przyszłym roku macie grać parę koncertów z jego nową kapelą, TAU CROSS, a ostatnio ręcznie wam odlał wisiorki z waszym symbolem, zgadza się?

Miłosz: Korespondowałem z Robem jeszcze parę lat przed tym jak pojawił się pomysł reaktywacji AMEBIX i kiedy już temat ten zaczął się kręcić, Rob napisał mi, że planują parę koncertów w Stanach. Zasadniczo sam sobie zażyczył by organizatorzy dodali nas do jednego z tych koncertów, a potem dorzucił jeszcze jeden w Kanadzie. Osobiście się z nim spotkać i zobaczyć AMEBIX na żywo, było zaszczytem. Ten zespół miał wielki wpływ na moje osobiste podejście do muzyki, na mój poprzedni band i później na MORNE. To AMEBIX ukształtował moje rozumienie ciężkiej, emocjonalnej muzyki,

więc skłamałbym, gdybym powiedział ci, że jak z nimi graliśmy, to włosy na karku nie stanęły mi dęba. Po tych koncertach pozostaliśmy w kontakcie. Rob zrobił nam to odręczne pismo na okładkę „Asylum", a ostatnio sam zaoferował, że zaprojektuje i zrobi nam te wisiorki z symbolem. Od tamtych koncertów utrzymuję regularny kontakt z nim i ze Stigiem i jakiś miesiąc temu Rob zaproponował nam zagranie paru gigów z TAU CROSS w przyszłym roku. Z kolei Billy pomaga Stigowi w miksowaniu jego solowych nagrań. Wszystko to na zwykłych, kumpelskich zasadach.

CHAOS: Miłosz, dzięki swej pracy w teatrze, jakiś czas temu zacząłeś też robić swoje własne rzeczy z metalu. Z tego co widzę, głównie są to klamry do pasów, w tym takie z logiem MORNE. Kiedy i jak zacząłeś się tym zajmować? Robisz coś jeszcze czy chwilowo tylko klamry?

Miłosz: Pracuję w teatrze od 13 lat, budując elementy scenografii. Częścią tego zajęcia jest praca z metalem, przetwarzanie przeróżnych rodzajów metalu. Kilka lat temu zacząłem ten swój mały projekt, robiąc klamry, wisiorki i tego typu rzeczy. Było tylko kwestią czasu kiedy zacznę wykorzystywać swoje umiejętności do czegoś poza samą pracą. To moje hobby, które mam nadzieję, że będzie się wzmacniało i rozwijało. Muszę tylko znaleźć na to więcej czasu.

CHAOS: Max, a ty możesz nam powiedzieć coś o swoim nowym projekcie, ISOLANT? Czy tworząc go nie bałeś się trochę, że niektóre z tych riffów mogłyby równie dobrze zostać wykorzystane w MORNE i że w ten sposób jeden zespół niejako traci przez istnienie drugiego? Czaję, że choć ogólnie brzmienie i klimat w obu kapelach są całkowicie różne, ale chodzi mi tu wyłącznie o riffy... Na przykład nie jest trudno wyobrazić sobie ten główny riff z kawałka „Oblivion", wykorzystany w jakimś z numerów MORNE... Poza tym, kim są pozostali członkowie zespołu? Czy też może powinienem pisać „projektu", bo pewnie nie zamierzacie grać koncertów, prawda? Wiem, że Billy nie gra w ISOLANT, ale wygląda na to, że bardzo podkreślacie jego rolę, tak jakby był członkiem kapeli, zgadza się? A jakbyś wyjaśnił waszą nazwę? Mój słownik mi tu za bardzo nie pomógł. A może, podobnie jak w wypadku MORNE, jest to słowo pochodzące z francuskiego? Jakie reakcje na wasze demo/EP dotąd do was trafiły? Jakieś nowe wydawnictwa na horyzoncie?

Max: Projekt ten powstał bez jakiegokolwiek konkretnego planu, jako współpraca, którą zacząłem razem z Robertem (drugim podstawowym członkiem) latem 2013. MORNE był wtedy w zawieszeniu ze względu na to, że Billy miał operację kolana, a ja chciałem spróbować liznąć czegoś innego niż MORNE. Pierwotnie wyobrażałem sobie owoc tej współpracy jako coś bardziej ambientowego i dronowego, ale jak widać przybrał on swój własny kształt. Robert jest wielbicielem MORNE, a jednocześnie pochodzi z kompletnie innej sceny niż my. Siedzi bardzo głęboko w dronach, ambiencie, noise i industrialu. Bez względu na pochodzenie z odmiennych środowisk, obaj się wzajemnie szanowaliśmy jako twórcy i perspektywa współpracy nas ekscytowała. Przez jakieś pół roku byliśmy bardzo skoncentrowani na komponowaniu i nagrywaniu materiału, po czym jakoś mi uszła para. Zaczęliśmy znowu grać z MORNE i byłem zbyt zajęty, by poświęcić czas na skończenie kawałków ISOLANT. Przesiedzieliśmy na nich ze dwa lata, aż w końcu minionego lata postawiłem sobie za cel wreszcie to sfinalizować (przypuszczam, że decyzji tej pomogło, że Miłosz był przez parę miesięcy w Polsce, więc MORNE pewnie znowu miał przerwę - Wolf). Wciąż brakowało nam wokalu, więc któregoś wieczora w knajpie poprosiłem naszego kumpla i zarazem roadiego MORNE, Marka, żeby dograł do tego wokale. Przyjechał do mnie, nagrał wokal i dał zrobione przez siebie zdjęcie na okładkę. Billy (perkusista MORNE) zajął się miksem i z własnej inicjatywy coś tam jeszcze dograł od siebie. Podobało mi się to co dograł, więc to zostawiliśmy. Głęboko wierzę, że trzeba oddawać należne zasługi, a Billy poświęcił mnóstwo pracy by sprawić, że gówniane nagranie zabrzmi potężnie i bardzo sobie cenię tego efekt.
Riffów, których użyłem w ISOLANT, nie przyniósłbym na próbę MORNE, bo nie są one tego typu, co te, które zazwyczaj piszę dla MORNE. Szczerze mówiąc, sądzę, że one nie sprawdziłyby się w MORNE. Mam wrażenie, że okazałyby się brzmiącymi nieco wydumanie w kontekście naszej dyskografii. Jeśli chodzi o nazwę, to ISOLANT jest słowem, które sobie wymyśliłem. Bawiłem się słowem, wychodząc od idei izolacji i kogoś kto jest izolowany, bo praktycznie każda z osób związanych z tym projektem była wówczas jakoś odgrodzona. Dopiero później dowiedziałem się, że isolant to francuskie słowo oznaczające materiał izolacyjny w budownictwie.
Planów na przyszłość nie mamy, na pewno nigdy nie będziemy grać koncertów, ale wszyscy chcielibyśmy wciąż coś nagrywać od czasu do czasu. Zobaczymy co z tego wyjdzie.

CHAOS: Kumplując się od lat z chłopakami z DROPDEAD, z których Ben ponadto wydał winyl „Asylum" oraz pomagał w wydaniu „Shadows", potraficie sobie wyobrazić split LP MORNE/DROPDEAD? Dajmy na to, dwa wasze kawałki i ich trzydzieści? Myślisz, że to w jakiś sposób pomogłoby którejś z kapel dotrzeć do nowych słuchaczy czy prędzej by zniechęcało ludzi?

Miłosz: Naprawdę nie wiem jak ludzie by coś takiego przyjęli. Jest wiele płyt, które w dziwny sposób łączą kapele, których wspólne zestawienie nie ma sensu, a które wyszły tylko dlatego, że zespoły te się przyjaźnią. Myślę, że pojawiłyby się zarówno głosy typu „o co tu, kurwa, chodzi?", jak i zachwyty nad dziwactwem takiego wydawnictwa. Szczerze mówiąc, nie jestem szczególnym fanem splitów w ogóle, ale kto wie, może kiedyś... Mieliśmy parę propozycji wydania splitów, które byłyby całkiem spoko, ale postanowiliśmy odmówić, bo wolimy skoncentrować się raczej na w pełni własnych albumach.

CHAOS: OK, czas na kluczowe pytanie dla kapeli z Bostonu - SIEGE czy JERRY'S KIDS? Czy też był jakiś bostoński zespół hardcore, który lubicie bardziej?

Max: To są właśnie moje dwie ulubione kapele z Bostonu (choć by być ścisłym, obie są z South Shore). Niemożliwością jest dla mnie wybranie jednej jako lepszej niż druga. Każda ma swój moment, w którym jest moim preferowanym wyborem. Pod względem bycia inspiracją, sądzę, że niewątpliwym jest, że wygrywa SIEGE. Nieświadomie zapoczątkowali cały nowy gatunek, wydając zaledwie jedną taśmę demo, której mimo to po dziś dzień nikt nie dorównał. „Drop Dead" to prawdziwy pomnik wściekłej furii, cokolwiek wydano później to już tylko gorsza kopia. Z kolei jeśli idzie o bostońskie kapele hardcore, które poruszają strunę emocji, nagrodę zgarnia JERRY'S KIDS. „Is This My World?" jest po prostu moją ulubioną płytą US HC z lat 80. Mając już 31 lat, wciąż puszczam tę płytę na cały regulator i świętuję swoje nieprzemijające poczucie wściekłości i alienacji.

Miłosz: Lubię oba te zespoły, ale nie jestem ich zatwardziałym fanem. SIEGE zainspirował wiele brytyjskich kapel, które uwielbiam i to sprawia, że jest mi nieco bliższy. Jeśli mogę wybrać inny, nieco późniejszy zespół z Bostonu, to byłby to DISRUPT. Czapki z głów.

CHAOS: Dobrze, to by chyba było tyle, dzięki za czas poświęcony by odpowiedzieć na te pytania i na koniec jeszcze pogadajmy trochę o bliskiej przyszłości. Wiem, że ponownie planujecie krótki wypad na Zachodnie Wybrzeże i zaczęliście powoli prace nad nową płytą. Jak sądzicie, kiedy się ona ukaże? Jakieś widoki na kolejną wizytę na starym kontynencie, najlepiej tym razem taką, która nie ominęłaby ojczyzny Miłosza? Albo może planujecie trasy w jakichś innych miejscach?

Miłosz: Jesteśmy w trakcie pisania materiału na nasz czwarty album studyjny. Jak na razie jestem bardzo zadowolony z kształtu, który przybiera. Mamy parę kawałków i dużo pomysłów, które przeobrazimy w kolejne utwory. Nie boję się powiedzieć, że to będzie najcięższe co dotąd zrobiliśmy. Mam nadzieję, że ukaże się jakoś w 2016 roku, zobaczymy. Oczywiście nie zamierzamy spieszyć się na siłę. Na razie planujemy dwa koncerty na Zachodnim Wybrzeżu i nasz miejscowy, bostoński gig, który postanowiliśmy uczynić corocznym wydarzeniem. Celowo nie gramy zbyt wielu lokalnych koncertów, woląc raczej utrzymać ich wybiórczy i interesujący charakter, więc zdecydowaliśmy co rok w grudniu robić imprezę, na którą zapraszamy miejscowe kapele, które nam się podobają.
Naprawdę chciałbym ponownie koncertować w Europie w niedalekiej przyszłości, ale to musi trafić na odpowiedni czas, tak żeby to miało sens. Chcielibyśmy odwiedzić też inne miejsca, inne kontynenty, miejmy nadzieję, że to wszystko da się zrealizować jak ukaże się nasz nowy album. Dzięki za wywiad, Paweł.

SCREAM RECORDS

SR 037 WIEZE FABRYK - Dym LP
SR 036 AGNOSY - Traits Of The Past LP
SR 035 SOCIAL CRISIS - s/t LP
SR 034 WAR // PLAGUE - Temperaments of War 12"
SR 033 NEXT VICTIM - Ogien Ludzkich Fobii LP
SR 032 CEASELESS DESOLATION - Nicość LP
SR 030 LAST LEGION ALIVE / CANCER SPREADING - Burning EUtopia split LP
SR 029 PANIKOS / HELLSTORM split LP
SR 028 THE CORPSE - Fight Against Rules LP
SR 025 LIFE SCARS / BAGNA split LP
SR 024 AGNOSY - Past The Point Of No Return LP
SR 023 INFEKCJA - s/t 7" EP
SR 021 PANIKOS - Awakening From Lethargy LP
SR 019 A BIRTHDAY PARTY BAND - Lead Sky LP / CD
SR 018 CALM THE FIRE - Blackout 1-sided LP
SR 016 AFTERBIRTH - Prophecy Of Doom LP
SR 014 LIES FEED THE MACHINE - Gallows 7" EP
SR 012 AFTERBIRTH - Your Gods Vomit In Disgust LP
SR 011 MISERY - Production Thru Destruction LP
SR 010 SVART AGGRESSION - Tank Sjalv 7" EP
SR 008 SANCTUS IUDA - Rzad - Korporacje - Wy/Zysk LP

SCREAM RECORDS

www.facebook.com/ScreamRecords
screamrecs@gmail.com

D.I.Y. HARDCORE PUNK FEST VOL.12
8-9 LIPCA 2016

DOOM UK
VICTIMS Szwecja
Cartouche Francja
MISANTROPIC Szwecja

+ jeszcze 12 kapel
klub UCHO, GDYNIA
www.diy-fest.org

PSEUDOSONDA DIY RECORDS

www.pseudosonda.moonfruit.com

LP "CMYK"

CD "OPAKOWANIE ZASTĘPCZE"

CDR "SERCE ŚWINI"

www.pseudosonda.moonfruit.com

COLD WAVE - POST ELECTROPUNK - 100% DIY

GITARY I WRZASK – HISTORIA CZECHOSŁOWACKIEGO PUNK ROCKA I HARDCORE'A

W 2002 roku napisałem i opublikowałem (z pomocą kilku czeskich wydawnictw DIY) książkę pod tytułem „Kytary a řev aneb co bylo za zdí – punk rock a hardcore v Československu před rokem 1989" („Gitary i wrzask albo co się działo za murem – punk rock i hardcore w Czechosłowacji przed rokiem 1989"). Książka ma 300 stron w miękkiej okładce, napisana jest w języku czeskim, z kilkoma stronami z podsumowaniem w języku angielskim i z setkami zdjęć. Ponieważ pierwszy nakład 600 egzemplarzy został wyprzedany w ciągu kilku miesięcy, książka została dodrukowana jeszcze kilka razy (straciłem rachubę, ile razy zrobiliśmy dodruki przez lata, prawdopodobnie około 3000 egzemplarzy). W 2010 roku, w oparciu o angielskie podsumowanie książki, napisałem trzyczęściowy artykuł dla japońskiego zina „El Zine". Ten tekst został wydrukowany po japońsku w 10 i 11 numerze zina. Później ten sam trzyczęściowy artykuł pojawił się po angielsku w zinie „Maximum Rock'n'Roll", w numerach 338 (lipiec 2011), 339 (sierpień 2011) i 340 (wrzesień 2011).

Niedawno Pablo zapytał mnie czy może opublikować to w języku polskim w „Chaosie W Mojej Głowie". Oczywiście zgodziłem się, ale postanowiłem zmienić niektóre z elementów artykułu, ponieważ jest rok 2015 i jest trochę więcej rzeczy do dodania. Ponieważ artykuł będzie czytany przez Polaków, więc postanowiłem dodać to tu, to tam, kilka elementów dotyczących powiązań Polski i Czechosłowacji. Ponadto należy pamiętać, że w oryginale ten tekst był przeznaczony dla japońskich i amerykańskich czytelników, dlatego też niektóre momenty (głównie na samym początku) mogą brzmieć dla was nieco banalnie, ponieważ z pewnością wiecie jak to było żyć i grać punka pod rządami komunistów. Po prostu musiałem wyjaśnić niektóre oczywiste (dla nas) fakty. Mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza. Mam też nadzieję, że jeśli będziecie chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o czechosłowackiej scenie lat 80., to napiszecie do mnie.

Filip (SEE YOU IN HELL, „Hluboka Orba" Zine/ Records, United Crusties, c/o: orba@seznam.cz

PUNK ROCK W CZASACH DYKTATURY

Historia w skrócie, lekcja pierwsza: Czechosłowacja narodziła się 28 października 1918 roku i rozpadła się w pokojowy sposób na dwa państwa, Czechy i Słowację, 31 grudnia 1992 roku. Pomiędzy tymi datami ucierpiała od dwóch najgorszych dyktatur XX wieku: faszyzmu (1939-1945) i komunizmu (1948-1989). Pod koniec lat 60. nastąpił w Czechosłowacji krótki okres, często określany jako „praska wiosna", kiedy elity rządzące trochę "zmiękły" i pozwoliły na drobną demokratyzację życia politycznego, jednak ta próba została zmiażdżona 21 sierpnia 1968 roku przez inwazję wojsk ZSRR (i innych armii Układu Warszawskiego).

Oznaczało to, że lata 70. były naprawdę "szare". Były to lata tak zwanej "normalizacji", kiedy to wiele osób zostało wyrzuconych z pracy za przekonania polityczne, wielu ludzi uciekło na Zachód, a ogólna kontrola państwa stała się ostrzejsza. W latach 70., kiedy punk rock eksplodował na Wyspach Brytyjskich, a nieco później rozprzestrzenił na cały zachodni świat, my wciąż żyliśmy tutaj pod żelazną pięścią rządzącego komunistycznego (choć "kapitalistycznego" byłoby lepszym określeniem) reżimu. Oznaczało to wiele rzeczy, które trudne były do wyobrażenia sobie, przez kogoś mieszkającego za granicą. Tak pokrótce przedstawię wam kilka faktów, żebyście lepiej mogli zrozumieć sytuację:

Mieliśmy tylko jedną polityczną partię (Komunistyczna Partia Czechosłowacji), wybory były farsą, polityczna opozycja została zdelegalizowana (więzienie albo przymusowy wyjazd na Zachód), a Związek Radziecki był naszym najlepszym przyjacielem (musieliśmy się uczyć języka rosyjskiego w szkole). Kultura była mocno cenzurowana, tylko artyści zatwierdzeni przez państwo mogli występować publicznie, a ich twórczość musiała być zgodna z „socjalistycznymi zasadami". Jeśli chodzi o muzykę, to zespoły mogły grać koncerty tylko wtedy, gdy ich muzyka i teksty zostały zatwierdzone przez lokalne komisje kultury. Nie było rockowych klubów ani niezależnych wytwórni płytowych (były tylko trzy wytwórnie pod kontrolą państwa, nikomu innemu nie wolno

było wydawać płyt). Żyliśmy w olbrzymiej izolacji, a granice z krajami zachodnimi (Niemcy, Austria) zostały zamknięte i były silnie strzeżone. Ludzie musieli prosić o pozwolenie, aby móc podróżować na Zachód. Aby otrzymać paszport każdy musiał przejść długi i trudny proces weryfikacji, ponieważ reżim obawiał się, że ludzie nie wrócą z Zachodu (i większość ludzi oczywiście nie wracała – miałem krewnych w USA, Niemczech i Szwajcarii – wszyscy uciekli po 1948 roku). W przeważającej części, ludzie mogli odwiedzić tylko inne kraje bloku socjalistycznego. Import towarów zachodnich był pod ścisłą kontrolą, a w 99% można było kupić tylko towary wyprodukowane w krajach „gospodarki socjalistycznej", która była wiele lat za Zachodem pod względem jakości i postępu. Również zachodnie audycje radiowe i TV zostały zablokowane przez specjalne urządzenia elektroniczne. Nie trzeba dodawać, że nie było możliwości kupienia punkowych płyt w sklepach i zachodnie zespoły punkowe nie przyjeżdżały do nas na koncerty.

Ogólnie można powiedzieć, że system nie lubił, kiedy ludzie działali na własną rękę, poza jego strukturami prawnymi i poza jego kontrolą. Subkultury młodzieżowe, takie jak hippisi, punki i metalowcy, były określane w następujący sposób: „dekadencki styl życia przemycony do naszego kraju przez zachodnich imperialistycznych agentów jako polityczna dywersja mająca na celu zepsucie naszej niewinnej młodzieży socjalistycznej". Nie trzeba dodawać, że tak wrogo nastawione środowisko produkowało dość wyjątkowy i mocny ruch punkowy.

PUNK ROCK W BLOKU WSCHODNIM

Mówiąc o punk rocku i hardcorze w Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej, powinniśmy wymienić także inne kraje bloku socjalistycznego, ponieważ było kilka ciekawych różnic pomiędzy nimi. Z jednej strony mieliśmy kraje, które były zdecydowanie bardziej wolne, takie jak Jugosławia czy Polska, z drugiej strony były takie kraje jak Rumunia, Bułgaria, czy ZSRR, gdzie sytuacja była naprawdę zła. Czechosłowacja i Niemcy Wschodnie były trochę jakby „po środku", zwłaszcza w drugiej połowie lat 80., kiedy sytuacja w kraju nieco się rozluźniła. Jednak nadal nie było tak swobodnie jak w Polsce i Jugosławii, gdzie państwowe wytwórnie, takie jak Polton lub Yugoton, w latach 80-tych wydawały oficjalnie punkowe płyty i gdzie nawet zagraniczne zespoły (takie jak D.O.A., UK SUBS lub INSTIGATORS w Polsce czy ANTI-NOWHERE LEAGUE, RATTUS, M.D.C., AMEBIX i INFERNO w Jugosławii) grały koncerty. W Czechosłowacji została wydana tylko jedna oficjalna punkowa płyta (VISACÍ ZÁMEK 7"EP zrealizowany przez wytwórnię Supraphon w 1988 roku) i odbył się tylko jeden oficjalny koncert zagranicznej, zachodniej punkowej kapeli w historii (DIE TOTEN HOSEN z Niemiec w 1987 roku – ten koncert zakończył się jedną wielką zadymą!). Prawdopodobnie na świecie bardziej znane są polskie zespoły takie jak DEZERTER, MOSKWA, SIEKIERA, ARMIA, TZN XENNA, REJESTRACJA itp., albo jugosłowiańskie kapele jak U.B.R., TOŽIBABE, III KATEGORIJA, PARAF lub PEKINŠKA PATKA, ponieważ wszyscy mieli wydane płyty (lub przynajmniej pojawili się na kompilacjach - „Jak Punk To Punk" LP, „Fala" LP, „Ljubljana Hardcore" LP), które zostały wydane oficjalnie. Zespoły czechosłowackie z lat 80., jak A 64, RADEGAST, F.P.B., ZONA A lub H.N.F., też są znane, jednak miały one wtedy zerowe szanse na zaistnienie na winylu w ich własnym kraju. Myślę, że dość dokładne opisał tamte czasy Lük Haas, wielki zwolennik „egzotycznych/nieznanych" punkowych scen na całym świecie. Haas znany jest głównie z raportów, które były drukowane w „Maximum Rock'n'Roll" (już od połowy lat 80.), ale również prowadzenia świetnej wytwórni o nazwie Tian An Men 89, która nadal, od ponad 20 lat, wydaje płyty (sprawdź www.tam89records.com). Lük, pochodzący z Francji, po raz pierwszy zetknął się z punkiem, kiedy odwiedził Polskę i Czechosłowację na początku lat 80-tych. W swojej książce „Music Discography of Eastern European Punk 1977/99" pisał tak: „Większość krajów Europy Wschodniej ma własną historię punka, która jest prawie tak stara, jak te z „zachodnich demokracji". Niemniej jednak, punk realizował się i rozwijał w zupełnie inny sposób niż u nas. Jednym z czynników była izolacja. Niektóre z tych krajów były kompletnie odcięte od pozostałej części świata. Doprowadziło to do powstania bardzo specyficznych i oryginalnych scen. Innym czynnikiem było to, że z powodu braku wolności słowa, bycie punkiem oznaczało zazwyczaj codzienną walkę z różnego rodzaju policją, cenzurą i wszelkimi rodzajami władzy. To oznaczało również, że wielu punków wsadzano do więzień, określano ich jako „pasożytów społecznych", „ćpunów" lub „kulturowych agentów kapitalizmu", lub po prostu wysyłano ich do szpitali psychiatrycznych (jak wielu zwykłych przeciwników politycznych), a lekarze państwowi diagnozowali "schizofrenię" czy cokolwiek innego, co było wygodne dla władz politycznych."

WCZESNE LATA CZECHOSŁOWACKIEGO PUNK ROCKA

Można śmiało powiedzieć, że ze względu na wyżej opisaną izolację wszystkie trendy muzyczne z Zachodu przyszły do Czechosłowacji znacznie później i oczywiście wszystkie przechodziły przez cenzurę. W latach 60-tych hipisi i rock stali się dość popularni, ale tylko na krótki czas, aż do momentu, kiedy państwo zmusiło wielu muzyków do ucieczki na Zachód albo naciskało na zmianę ich muzyki (zwykle na całkowicie bezpłciowy i bezsensowny gówniany pop). Również „długowłosi" stali się wrogami publicznymi – w knajpach nie chciano ich obsługiwać, wielu z nich zostało wyrzuconych ze szkoły, czy z pracy, często dochodziło do pobić na ulicy przez policjantów i wrogo nastawionych „przeciętnych obywateli".

Jedynym zespołem z późnych lat 60., który przetrwał tę sytuację i nie poszedł na układ z władzą był THE PLASTIC PEOPLE OF THE UNIVERSE. W pierwszej połowie lat 70. byli przez państwo powoli spychani coraz głębiej i głębiej do podziemia i stali się zespołem nielegalnym. W końcu mogli grać tylko tajne koncerty, oficjalnie zapowiadane jako ślubne lub urodzinowe uroczystości, i często były one przerywane interwencją policji. W końcu niektórzy z muzyków znaleźli się w więzieniu, a ich uwięzienie powołało do życia najważniejszą czechosłowacką grupę opozycyjną o nazwie Karta 77. Później, na początku lat 80-tych, musieli przestać w ogóle grać koncerty, ponieważ prywatne wiejskie domy, gdzie zazwyczaj próbowali grać, albo spłonęły „w tajemniczych okolicznościach", albo zostały „legalnie" skonfiskowane przez państwo. Ten zespół miał bardzo duży wpływ na pewną część czechosłowackiej młodzieży, często określanej jako "subkultura undergroundowa". Miała ona własne zespoły (nie tylko THE PLASTIC PEOPLE OF THE UNIVERSE, ale także DG 307, PSÍ VOJÁCI, UMELA HMOTA i inne); wydawała także własny, całkowicie nielegalny magazyn kulturalny zwany "Vokno" ("Okno"), którego wydawcy spędzili później kilka lat w więzieniu. THE PLASTIC PEOPLE OF THE UNIVERSE byli bardzo ważnym zespołem dla historii czechosłowackiego rocka, ale na pewno nie grali oni punk rocka (chociaż muzycy znali i lubili zespoły takie jak SHAM 69, SEX PISTOLS czy CHELSEA - słuchali ich płyt przemycanych z Zachodu już w 1976 roku). Ich muzyka była bardziej pod wpływem takich zespołów jak THE DOORS czy VELVET UNDERGROUND, jednak grali w swoim bardzo oryginalnym stylu. Choć w drugiej połowie lat 70. wyżej wymienione podziemne zespoły rockowe zostały zakazane przez państwo i musiały grać nielegalnie, pojawiła się inna scena, nieco bardziej tolerowana przez państwo i działająca zgodnie z prawem - w latach 70. były te grupy nazywane „alternatywnymi zespołami rockowymi" albo we wczesnych latach 80. „zespołami nowej fali". Jednak w latach 1982-1984 te zespoły również zostały oficjalnie zakazane i nie mogły grać żadnych legalnych koncertów. Niektóre z nich zmieniały styl muzyczny kilka razy w ciągu swego istnienia (byli głównie pod wpływem jazz-rocka), a dwa (EXTEMPORE i ZIKKURAT – oba z Pragi), miały też swój „punkrockowy" okres. Były one wspierane przez organizację o nazwie „Jazz Section", która była również gospodarzem festiwalu „Prague Jazz Days" w 1979 roku, gdzie oba zespoły mogły wystąpić publicznie („Jazz Section" została zakazana w 1987 roku a ich najważniejsi członkowie zostali wsadzeni do więzienia).

EXTEMPORE (1974-1981)

EXTEMPORE byli pierwszym czechosłowackim zespołem, który grał punk rocka na żywo. Ich repertuar obejmował przeróbki utworów THE STRANGLERS, WIRE, MAGAZINE, i GENERATION X, ale z ich własnymi tekstami po czesku. Punk rocka grali

EXTEMPORE

w 1979 roku, jednak później zaczęli grać tzw. „rock alternatywny", inspirowany głównie przez brytyjski "Rock In Opposition Movement"/Recommended Records. Ich jedyna piosenka punk rockowa, jaką sami zrobili, zatytułowana była "Libouchec", a pochodziła od nazwy miejscowości w północnej części Czech, gdzie zagrali jeden z pierwszych koncertów, a na którym lider zespołu Mikoláš Chadima użył słowa "bullshit" - za co władza próbowała wsadzić go do więzienia. Istnieje świetna, zawierająca ich punkrockowe rovery, koncertowa taśma z występu, który odbył się w Pradze w lutym 1979 roku, a ich utwór "Libouchec" znalazł się na ich podwójnym LP "Velkomesto", który został wydany oficjalnie po 1989 roku (Globus Records, 1990). EXTEMPORE wzięli także udział w składaku „Czech! Till Now You Were Alone" LP, który został opracowany przez Chadima - nagrania zostały nielegalnie przemycone z kraju do Włoch, gdzie zostały wydane w 1984 roku przez wytwórnię Old Europa Cafe. Jednak ich piosenka na tej płycie brzmi bardziej jak alternatywny jazz-rock. Po rozpadzie EXTEMPORE Chadima wystartował z nowym zespołem MCH BAND, który jest aktywny do dzisiaj.

ZIKKURAT (1978-1982)

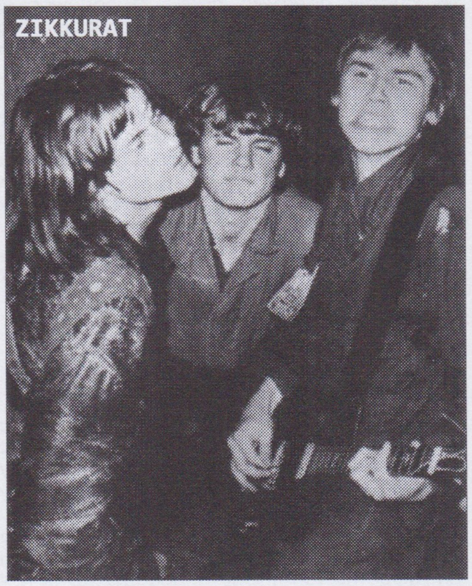
ZIKKURAT

Ten zespół był bardzo podobny do EXTEMPORE, ponieważ członkowie kapeli pierwotnie byli jazzowymi i rockowymi muzykami, którzy później znaleźli się pod wpływem punk rocka. Również grali głównie covery, jednak z oryginalnymi angielskimi tekstami! Z dziką energią wykonywali piosenki SEX PISTOLS, THE DAMMNED, RAMONES, STRANGLERS i DEVO. Byli bardzo utalentowanymi muzykami, ale oprócz coverów mieli tylko jeden lub dwa własne punkrockowe utwory, podczas gdy reszta ich repertuaru była pełna długich improwizacji jazz-rockowych. Wzięli także udział w kompilacji „Czech! Till Now You Were Alone" LP na której znalazł się ich zabójczy punk rockowy kawałek pod tytułem

„Zkaženej zub"(„Zepsuty ząb"). Utwór ten pojawił się również na podwójnym LP o nazwie „1979–1982" (AG Kult, 1991). Istnieją kasety koncertowe z ich punkowymi coverami, ale, z tego co wiem, nigdy nie zostały oficjalnie wydane. ZIKKURAT rozpadł się po tym, jak ich basista odszedł do popularnego jazz rockowego/nowofalowego zespołu PRAŽSKÝ VÝBĚR.

Te dwa zespoły były bardzo ważne, ponieważ były pierwszymi, które grały publicznie punk rock i wielu ludzi miało pierwszy kontakt z punkiem właśnie dzięki nim. Jak już pisałem, nie mieliśmy możliwości by zobaczyć u nas na żywo takie ekipy jak SEX PISTOLS, DAMNED czy RAMONES, ale przynajmniej mieliśmy te zespoły grające ich covery. Jednak muzycy z tych kapel zazwyczaj byli utalentowanymi muzykami jazz rockowymi, często z odpowiednim wykształceniem i punk rock był tylko ciekawym epizodem w ich rozwoju muzycznym. Pierwszym „prawdziwym punkrockowym" zespołem była grupa o nazwie ENERGIE G.

ENERGIE G (1979-1981)

Ten nastoletni zespół z Pragi grał prostego i surowego punk rocka. Ważną rzeczą było to, że grali niemal wyłącznie własne utwory (z wyjątkiem kilku coverów CHELSEA i SHAM 69). Ich pierwszy koncert zakończył się po trzech piosenkach, kiedy zszokowany organizator wyłączył prąd na sali koncertowej. W 1981 roku zostali zmuszeni do zawieszenia działalności z powodu interwencji tajnej policji. Istnieją jakieś taśmy ze słabej jakości nagraniami koncertowymi, jednak nigdy nie zostały oficjalnie wydane. Były jeszcze dwa punkowe zespoły w tym samym czasie – ANTITMA 16 i HLAVY 2000, ale jest bardzo niewiele informacji o nich, i z tego co wiem, nie istnieją żadne ich nagrania.

Pierwsza połowa lat 80. to czas, gdy system podjął się krucjaty przeciwko całej czechosłowackiej scenie rockowej. Instytucje kultury posiadały listę zespołów, które miały zakaz grania oficjalnych koncertów(znalazły się na niej EXTEMPORE, ZIKKURAT i ENERGIE G), media rozpoczęły zmasowany atak propagandowy na muzykę rockową, a pierwsi punkowcy, którzy pojawili się na ulicach, byli prześladowani przez policję z powodu swojego wyglądu. Stali się kolejnym największym „wrogiem", zaraz po „długowłosych". Jednak punkowy wirus już się rozprzestrzeniał i powstały kolejne punkrockowe zespoły jak F.P.B., KEČUP, A 64, VISACÍ ZÁMEK, ZASTÁVKA MILEČ, PLEXIS czy ZONA A.

MROCZNE CZASY OD POCZĄTKU DO POŁOWY LAT 80.

Wcześniej starałem się opisać polowanie rządu na „podziemne zespoły" i opozycyjne ruchy polityczne. Dokładnie w tym okresie (późnych lat 70.) zaczęły się pojawiać pierwsze czechosłowackie zespoły punkrockowe. Prawdę mówiąc, na początku punk nie był postrzegany przez władze jako prawdziwe zagrożenie, a tajna policja polowała na „długowłosych" (hipisów), podczas gdy pierwsi czechosłowaccy punkowcy mieli krótkie włosy! Również punkrockowa moda w pierwszych latach nie była u nas tak ekstremalna, jak na przykład w Anglii. Pierwsze zespoły punkowe były zazwyczaj w stanie zagrać koncert mniej lub bardziej legalnie (choć głównie w Pradze ze względu na większe możliwości i nieco bardziej „liberalny klimat" wielkiego miasta). Ale to zaczęło się zmieniać na gorsze w 1981 roku, kiedy to „inspektorzy od kultury" opublikowali listę zespołów rockowych, które dostały zakaz jakichkolwiek publicznych występów. Największe problemy pojawiły się w 1983 roku, gdy gazeta Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, opublikowała artykuł pod tytułem „Nowa fala ze starą zawartością", opisujący muzykę rockową (i punk rocka zwłaszcza - nic dziwnego,) jako „obrzydliwą muzykę z wulgarnymi tekstami, promującymi idee, które nasze społeczeństwo i młode pokolenie musi potępić!". Po tym ataku na muzykę rockową nie było żadnych możliwości, aby grać legalne koncerty. Oczywiście, było kilka wyjątków, jak np. zatwierdzone przez instytucje państwowe „oficjalne zespoły rockowe", które mogły grać koncerty i wydawać płyty, ale nawet te były pod bardzo ścisłą kontrolą. Nie trzeba dodawać, że te zespoły grały całkowicie wykastrowaną muzykę, pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia społecznego lub głębszych przemyśleń.

Ale na szczęście zdarzyła się rzecz ciekawa - podczas gdy zespoły punkrockowe pierwszej fali albo były zakazane, albo już się rozpadły, to ich działalność wpłynęła na narodziny całej nowej generacji zespołów punkowych. I tym razem nie pochodziły one tylko z Pragi, ale z całego kraju. Ponadto, z upływem lat, coraz więcej osób miało dostęp do przemycanych z Zachodu płyt punkowych, a także możliwość nagrywania na taśmy. W niektórych częściach kraju, blisko granicy, można było, jeśli miało się szczęście, słuchać transmisji zagranicznych stacji radiowych. Zachodnioniemieckie lub polskie stacje radiowe czasem grały punkrockowe utwory jako część ich popowego programu muzycznego.

Nastąpiła również niewielka poprawa w sprawie koncertów. Gdy nie można było organizować legalnych koncertów, punki (i fani rocka) starali się grać „nieoficjalne koncerty" – głównie pod szyldem uroczystości ślubnych i przyjęć urodzinowych, a w Pradze organizowano czasami „prywatne imprezy z muzyką na żywo" na rzecznym parowcu! Te koncerty były dość często zakłócane przez policję, ale represje zazwyczaj nie był już tak brutalne, jak w latach 70.

Najważniejsze zespoły z tego wczesnego okresu lat 80. to F.P.B., KEČUP, A 64, VISACÍ ZÁMEK, ZASTÁVKA MILEČ, PLEXIS, a w słowackiej części kraju EX-TIP i ZONA A.

F.P.B. (1980 - 1987)

Ten zespół pochodzący z Teplic, miasta na północ od Pragi, zwany był niekiedy FOURTH PRICE BAND albo, w języku czeskim, ČTVRTÁ CENOVÁ SKUPINA. Nazwa przetłumaczona z angielskiego oznaczała najgorszy rodzaj (4. kategorii) czeskich knajp przed 1989 r. Na zespół miało wpływ wiele zespołów, w tym EXTEMPORE, THE DAMNED, DEVO, PERE UBU, THE RESIDENTS, EBBA GRÖN, THE CLASH czy KILLING JOKE (oczywiście F.P.B. grali covery wszystkich tych zespołów). Dzięki temu udało im się znaleźć oryginalne podejście do punk rocka: grali melodyjną bezkompromisową muzykę punk i śpiewali bardzo poetyckie teksty, które do dzisiaj są wymieniane są wśród najlepszych czeskich punkowych tekstów. Często poruszali w nich takie kwestie, jak biurokracja, hipokryzja i konformizm. Zespół wystartował, gdy ich lider, basista i wokalista Miroslav Wanek został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym, co było jedynym sposobem na uniknięcie obowiązkowej dwuletniej służby wojskowej. Wkrótce po rozpoczęciu działalności zespół został zakazany w swoim rodzimym mieście i musiał uciekać do Pragi. Tam udawało im się dość często dawać koncerty, głównie dzięki uzyskaniu fałszywych dokumentów pozwalających grać na wpół legalnie, a zwłaszcza dzięki ciężkiej pracy ich menedżera (po 1989 stwierdzono, że był tajnym agentem policji). Zagrali nawet za granicą: w 1985 roku wystąpili przed 8000 ludzi na polskim festiwalu w Jarocinie. Dwa utwory z ich koncertu znalazły się na kasecie kompilacyjnej „Jarocin 85" wydanej przez Elżbietę Chodorowską, która przez długi czas była główną osobą promującą polską scenę punk za granicą, a także współpracownikiem zina „Maximum Rock'n'Roll". Jednak nazwa zespołu jest źle napisana na okładce tej kasety – „FBB".

Wkrótce po tym jarocińskim koncercie, dwóch oryginalnych członków opuściło F.P.B. i przeszło do zespołu na UŽ JSME DOMA (który powstał w tym samym roku i gra do dziś) i zostali oni zastąpieni przez dwóch młodych punków. W tym okresie styl F.P.B. zmienił się na bardziej surowy i chaotyczny, mniej melodyjny i bardziej zwariowany punk z krzykliwym wokalem. Zagrali także kilka tajnych koncertów w kościele w Niemczech Wschodnich! Kościoły były jedynym miejscem, gdzie zespoły punkrockowe w komunistycznych Niemczech Wschodnich mogły występować. Gitarzysta F.P.B. został skazany w 1987 roku za włamanie (okradł jubilera) i w tym samym roku zespół się rozpadł. Niektórzy członkowie założyli wkrótce ŠANOV 1 (więcej o nich później).

F.P.B. był także jednym z niewielu zespołów punkowych w Czechosłowacji, którego nagrania ukazały się na winylu przed 1989 r. Mieli jeden krótki utwór pod tytułem „Čtvrtá Cenová" na „1984 The Third" - międzynarodowej składance na podwójnym LP wydanym w 1987 roku przez francuską wytwórnię New Wave Records (są na niej też REJESTRACJA, ROSTOCK VAMPIRES, DEVIATED INSTINCT i wiele więcej). Również we Francji, Luk Haas (później znany ze swojego wydawnictwa Tian An Men 89 Records) wydał kasetę „Live in Praha" w swoim labelu kasetowym Ukrutnost, a także umieścił ich nagrania na kasecie kompilacyjnej „Hruby Punkovy Hláska". Oczywiście krążyło wiele innych taśm koncertowych F.P.B.

W 1991 roku oryginalny skład z początku lat 80. reaktywował się na chwilę i nagrał „Kdo z Koho, Ten Toho" („Victory Tall Over All") LP z 17 starymi piosenkami nagranymi po raz pierwszy w prawdziwym studiu. Wersja winylowa LP została wydana wraz z dołączoną koncertową EPką z dwoma coverami THE RESIDENTS i KILLING JOKE (ale z oryginalnymi czeskimi tekstami), które nagrali jeszcze w latach 80. F.P.B. zagrali kilka koncertów, a potem rozpadli się ponownie w 1993 roku, aby w pełni skupić się na UŽ JSME DOMA.

W 2008 roku czeski label Malarie Records wydał dyskografię na trzech CD z dołączoną grubaśną książką „Kniha přání a stížností" („Książka skarg i zażaleń"). W sumie 58 piosenek! Pierwsze dwie płyty dokumentują okres działalności zespołu w latach 1980-1985 i znajdują się tu bardzo dobrej jakości nagrania koncertowe. Trzecia płyta zawiera

ich LP z 1991. Znajdziecie też książeczkę z obszerną biografią F.P.B. i wszystkie ich teksty, oczywiście wszystko przetłumaczone także na język angielski. Powinniście spróbować wytropić tę dyskografię na CD, ponieważ zarówno label, jak i zespół odwalili kawał dobrej roboty! (www.malarie.eu). W celu wsparcia tego wypasionego wydania zespół reaktywował się ponownie w 2008 roku, a od czasu do czasu grają po kilka koncertów, ale tylko stare utwory, ponieważ lider zespołu jest w pełni zaangażowany w UŽ JSME DOMA (którzy koncertują po całym świecie i mają na koncie wiele wydanych płyt, niektóre z nich również w Nikt Nic Nie Wie).

F.P.B. pozostaje jednym z najbardziej klasycznych starych czechosłowackich zespołów punkowych, który wciąż ma wpływ na sporą liczbę obecnych kapel w Czechach – głównie na zespoły z miasta Rožnov pod Radhoštěm, takich jak INNOXIA CORPORA, TELEFON, czy COMPLICITE CANDIDE, które zawsze wymieniają F.P.B. jako główną inspirację.

KEČUP (1981-1983) I A 64 (1983-1984)

Oba te zespoły grały bardzo żywiołowego punk rocka. Pochodziły z Pragi, dzieliły między sobą członków i zagrały tylko kilkanaście koncertów. KEČUP grali w połowie własne oryginalne piosenki, a w połowie covery takich kapel jak UK SUBS, EXPLOITED, SHAM 69 i THE REZZILOS. Niczego nigdy nie wydali, ale krąży trochę ich nagrań koncertowych. A 64 (wzięli swa nazwę od kremu do rąk) przejęli pałeczkę, gdy KEČUP zakończył działalność – grali o wiele szybciej (niekiedy nawet określano ich muzykę jako hardcore) i bardziej surowo. Ich najbardziej znany utwór to cover piosenki „Banned From The Pubs" PETER AND THE TEST TUBE BABIES z oryginalnym tekstem po czesku pod tytułem „Já Nemám Šajn" („Nie mam pojęcia"). Piosenka ta została później włączone do kompilacji LP „Czech! Till Now You Were Alone!" wydanej we Włoszech przez Old Europa Cafe w 1984 roku, a także pojawiła się na międzynarodowej kompilacji kasetowej „World Class Punk". Taśma ta opracowana została przez Mykela Boarda, felietonistę magazynu „Maximum Rock'n'Roll" dla nowojorskiej wytwórni ROIR, a na kasecie pojawiło się 27 zespołów z 25 krajów, takich jak DEZERTER, B.G.K., BASTARDS, C.C.M., ZYKLOME A czy RATOS DE PORAO. Wydanie w 1984 roku składanki „World Class Punk" to był zdecydowanie duży krok pozwalający reszcie świata dowiedzieć się, że punk rock istnieje także w komunistycznej Czechosłowacji. Nawiasem mówiąc, tytuł kawałka A 64 jest źle podany na okładce kasety, widnieje jako „Moment". Oczywiście jest to wersja koncertowa tego utworu, a zespołowi nigdy nie udało się wejść do studia i pozostawili po sobie tylko kilka nagrań tego typu. A 64 rozpadli się w 1984 roku, a większość członków później wyemigrowała na Zachód.

VISACÍ ZÁMEK (1982–grają do dzisiaj)

Nazwę tego zespołu tłumaczy się jako „Kłódka", i byli chyba najbardziej popularnym zespół punk rockowym w Czechosłowacji w latach 80-tych. Założony przez grupę studentów mieszkających na terenie kampusu w praskiej dzielnicy Strahov, tam też zagrali swój pierwszy koncert w 1982 roku - w studenckim klubie 007 Club (to miejsce wciąż aktywnie działa od 30 lat!). Wpływ na ich muzykę miało oczywiście te kilka zespołów, które ludzie tu znali, takie jak THE DAMNED, MOTÖRHEAD, THE CLASH czy THE EXPLOITED, ale grali raczej we własnym oryginalnym stylu. VISACÍ ZÁMEK grali głównie krótkie, głośne i przesterowane utwory punkowe, ale mieli również dłuższe kawałki w stylu reggae. Mieli dość sarkastyczne teksty podlane czarnym humorem, które całkiem dobrze opisywały naszą gównianą szarą rzeczywistość. W czasie swojego istnienia, VISACÍ ZÁMEK byli zmuszeni grać w kilku różnych składach z powodu obowiązkowej służby wojskowej, co było największym problemem

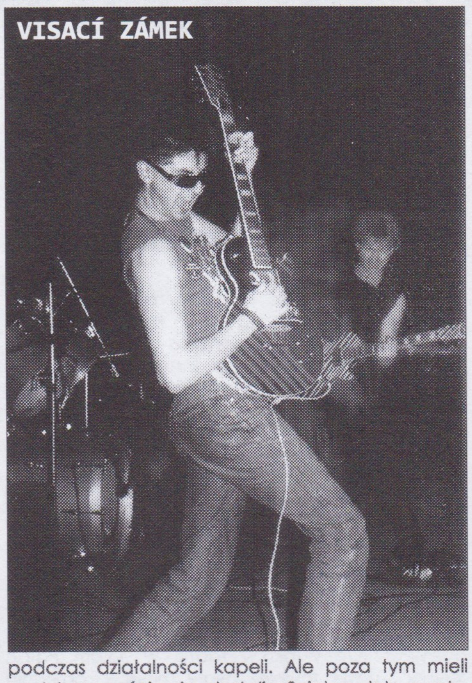

podczas działalności kapeli. Ale poza tym mieli na tyle szczęścia, że dostali oficjalne dokumenty, więc grali głównie na legalu. Ten zespół jest szczególnie ważny, ponieważ jako jedynym udało im się wydać oficjalną płytę punkrockową w Czechosłowacji! W 1988 roku, zaledwie rok przed upadkiem „reżimu komunistycznego", VISACÍ ZÁMEK dostał od państwowej wytwórni płytowej o nazwie Supraphon pozwolenie na nagranie dwóch piosenek na EP. Oczywiście nie obeszło się bez interwencji cenzury, która zmusiła ich do wydania płyty pod nazwą skróconą do dwóch pierwszych liter „VZ". Ponadto, wszystkie utwory, które zespół początkowo chciał nagrać, zostały odrzucone z powodu obraźliwych tekstów. W końcu do nagrania została dopuszczona piosenka „ Hymna šibeničních bratří" („Hymn Wiszących Braci"), z tekstem wiersza napisanego przez starego duńskiego poetę Christiana Morgernsterna, wraz z jeszcze jedną piosenką z oryginalnym, ale już nie tak prowokującym tekstem, jak pozostałe utwory przygotowane przez zespół. Tak więc, pod koniec 1988 roku, pierwszy (i ostatni!) oficjalny punkrockowy winyl w Czechosłowacji został wreszcie wydany w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy. Ta płyta wciąż brzmi świetnie, nawet 27 lat później! Natomiast okładka jest bardzo słaba, singiel wyszedł w „znormalizowanej okładce", ponieważ został wydany jako część serii wspierającej młode talenty rockowe, złożonej około 10-20 innych EP. Poza tym, VISACÍ ZÁMEK wypuścił kilka nielegalnych taśm koncertowych w latach 80. Po 1989 roku byli jednym z pierwszych zespołów punkowych, który wydał pełny LP, a następnie kolejne płyty, także w wielkiej komercyjnej wytwórni EMI. Chciałbym powiedzieć, że ich dwóch pierwszych LP z okresu 1990-1991 (zatytułowanych „Visací zamek" i „Start") bardzo dobrze się słucha, ponieważ zawierają one przeważnie utwory z lat 80., ponownie nagrane po raz pierwszy w prawdziwym studio i wciąż słychać w nich tę odrobinę surowości i czadu. Natomiast ich późniejsze rzeczy są mało ciekawe moim zdaniem - Luk Haas napisał w swojej książce „Discography of Eastern European Punk Music": „Starzejący się punkowcy stali się nudnymi rockmanami".

ZASTÁVKA MILEČ (1983-1984)

Praga nie była jedynym miastem ze świeżą i aktywną sceną punkową. Miasto Pilzno (znane na całym świecie ze swojego wyjątkowego piwa Pilsner) także miało zespół, który powstał po tym jak kilku miejscowych nastolatków w późnych latach 70. zobaczyło SEX PISTOLS w niemieckim programie telewizyjnym (w tym regionie Czech, sąsiadującym z RFN, udawało się złapać sygnał telewizji niemieckiej, zwykle silnie zakłócany przez reżim). ZASTÁVKA MILEČ (Milec Village Train Stop) rozpoczęli działalność w 1983 roku i grali prosty, ale mocny punk rock, nieco zbliżony do muzyki RAMONES czy THE CLASH. W 1984 roku nagrali całkiem dobrą studyjną taśmę, która rozeszła się w całym kraju. Trio rozpadło się w tym samym roku, po problemach z władzami oraz z powodu obowiązkowej służby wojskowej. Udało im się zagrać tylko 3 lub 4 koncerty. Większość członków ZASTÁVKA MILEČ założyła później kolejny zespół punkrockowy ZNOUZECTNOST (więcej o nich nieco dalej).

PLEXIS (1984-1986, reaktywowany w 1988)

Klasyczny szalony zespół punk as fuck z Pragi, który niestety później zamienił się w nudnych naśladowców GUNS'N'ROSES/THE CULT. Pierwszy okres istnienia kapeli był wypełniony nękaniem przez policję i przesłuchaniami, ale również punkowym stylem życia członków zespołu. PLEXIS mieli około 50 utworów, w większości nie dłuższych niż jednominutowe, zagranych bardzo dynamicznie. Petr „Sid" Hosek grał na gitarze i śpiewał, a wkrótce stał się jedną z największych i najbardziej znanych postaci czechosłowackiego punk rocka. Po nie więcej niż 15 zagranych koncertach, zespół został całkowicie zakazany przez służbę bezpieczeństwa, która oskarżyła zespół o promowanie alkoholizmu, faszyzm oraz przyciąganie „elementu kryminalnego" na swoje koncerty.

Gdy zespół się reaktywował jesienią 1988 roku (w międzyczasie niektórzy z członków PLEXIS grali w VISACÍ ZÁMEK), zmienił całkowicie swój styl gry, co spowodowało, że na pierwszych koncertach wielu ludziom poopadały szczęki, bo spodziewali się bardziej punkowego grania, takiego jak kiedyś. Po roku 1989 nagrali kilka płyt brzmiących bardzo hard-rockowo i wzięli udział w kilku kompilacjach LP, (ich jedyna przyzwoicie brzmiąca piosenka z tego okresu znajduje się na kompilacji „Epidemie" LP wydanej w 1990 roku). Później rozpadli się z powodu problemów z narkotykami.

W 2000 roku zeszli się ponownie i grają do dzisiaj. Gitarzysta PLEXIS, który grał z nimi we wczesnych latach 90., pojawił się ostatnio w wiadomościach jako członek grupy przestępczej, której udało się przygotować heroinę według recepty z początku XX wieku (zostali złapani, a gitarzysta prawdopodobnie siedzi w więzieniu). Po roku 1989 okazało się także, że wokalista i lider zespołu był tajnym informatorem policji.

W połowie lat 80. PLEXIS mieli kilka utworów wydanych na składankach kasetowych, poza tym krążą ich nagrania koncertowe, dość słabej jakości, które nigdy nie zostały opublikowane.

EX-TIP (1981-1984, reaktywowany w 1988 roku) i ZONA A (1984- grają do dzisiaj)

ZONA A

Bratysława, która jest stolicą Słowacji (i była przed 1993 rokiem, kiedy Słowacja stanowiła jeszcze część Czechosłowacji), była głównym i niemal jedynym w niej miejscem, w którym grało się punk rock przed rokiem 1989, ponieważ represje rządu były jeszcze gorsze w słowackiej niż w czeskiej części kraju.

Punkowe zespoły z Bratysławy były znane z grania w tradycyjnym stylu punk '77. Te kapele również zrobiły wszystko, aby uzyskać papiery do grania legalnych koncertów, zazwyczaj w jakichś konkursach młodych talentów, ponieważ w tamtym czasie na Słowacji nie istniała żadna podziemna sieć nielegalnych imprez, tak jak w czeskiej części kraju. Zespoły były pod stałą kontrolą tajnej policji, a po 1989 roku okazało się, że niektórzy członkowie punkowych kapel byli tajnymi informatorami. We wrześniu 1987 roku, kiedy wokalista ZONA A próbował zorganizować nielegalny koncert na kampusie uczelni w Bratysławie, impreza zostało rozbita przez policjantów, którzy aresztowali ponad

30 punków, pobili ich na komendzie i obcięli irokezy.

EX-TIP był pierwszym słowackim zespołem punkrockowym; grał pod silnym wpływem THE RAMONES i MOTÖRHEAD, a później także THE EXPLOITED. W pierwszym okresie działalności grali koncerty głównie w Bratysławie, a niektórzy z członków kapeli udzielali się w zespole PARADOX, który za jakiś czas przemienił się w ZONA A. W 1984 roku, kiedy rozpadł się EX-TIP, do życia powołano zespół ZONA A, który stał się wkrótce jednym z najlepszych zespołów punkowych w Czechosłowacji. Kapela grała naprawdę chwytliwy i melodyjny punk z szalonymi wokalami i pozostawała pod wpływem wczesnych brytyjskich zespołów punkowych, takich jak ADICTS, SEX PISTOLS czy ADVERTS. Zespół nagrał cztery nieoficjalne taśm studyjne w latach 80., wszystkie z nich były świetnie zrealizowane. Kapeli nawet udało się pojawić w telewizji w późnych latach 80., w jakimś rockowym programie muzycznym dla młodzieży. Po 1989 roku ZONA A wydała debiutancki LP pod tytułem „Potopa" („Potop"), na którym w większości znalazły się stare piosenki nagrane ponownie. Później wydała dwie EPki w punkowej niemieckiej wytwórni Incognito i pojawiła się na kilku skinhead/oi! kompilacjach na całym świecie. Zespół jest nadal aktywny i wydaje płyty CD. Do dzisiaj gra niemal w tym samym stylu. Niestety, wokół wokalisty ZONA A nagromadziło się sporo kontrowersji, ponieważ ma on konserwatywne, religijne i jawnie rasistowskie poglądy, a ponadto blisko koleguje się ze starymi neo-nazistami z Bratysławy.

W Bratysławie było jeszcze kilka innych zespołów punkowych, które przed rokiem 1989 grały w podobnym stylu, jak np. LORD ALEX, MLADÉ ROZLETY (pod mocnym wpływem DEAD KENNEDYS), PROBLEM 5 czy KRACH.

ROCKOWE FESTIWALE I OSTATNIE LATA CZECHOSŁOWACKIEJ REPUBLIKI SOCJALISTYCZNEJ

Po roku 1985 widać było, że muzyka rockowa zakorzeniła się u nas na stałe i że nie uda się jej całkowicie zakazać, pomimo wielu wysiłków rządu. Tak więc oficjalne instytucje zajmujące się kulturą obrały nową strategię, pozwalającą Związkowi Socjalistycznej Młodzieży (organizacja młodzieżowa kontrolowana przez państwo) na zorganizowanie wielkiego festiwalu rockowego, podobnego do festiwalu w Jarocinie, gdzie młode zespoły rockowe mogłyby oficjalnie grać koncerty. Oczywiście nie wszystkie z nich, bo niektóre zespoły nadal były zakazane i oczywiście represje wobec nielegalnych koncertów wciąż trwały. „Rockfest" (jak nazwano ten festiwal) był głównie narzędziem propagandy, aby pokazać, że „wspieramy młodych ludzi i ich muzykę". Główny festiwal odbywał się raz w roku w Pradze - w wielkim „Pałac Kultury", gdzie również miały miejsce spotkania rządzącej partii komunistycznej Czechosłowacji. Były też „lokalne Rockfesty" organizowane w całym kraju.

Niektóre punkowe zespoły dostały pozwolenie na zagranie koncertów w ramach praskiego Rockfestu - w 1986 i 1987 roku – niektóre z nich zagrały pierwszy raz oficjalnie (F.P.B., VISACÍ ZÁMEK, itp.). W roku 1988 specjalna scena punkrockowa o nazwie "Hard Core" została zorganizowana jako część głównego Rockfestu i na widowni szalało prawie 1000 osób.

W późnych latach 80. pojawiły się też pierwsze artykuły publikowane w oficjalnej prasie muzycznej poświęcone punk rockowi, a także pojawiły się już pierwsze nielegalne fanziny. Ponadto, zaczęło grać coraz więcej punkowych i hardcore'owych kapel, z czego większość pochodziło spoza Pragi. Nie jest możliwe wymienienie ich wszystkich, wspomnę tylko te najciekawsze z tego okresu...

HRDINOVÉ NOVÉ FRONTY (1985-1988)

„Heroes Of The New Front" pochodzili z miasta Jihlava (około 100 km na południowy wschód od Pragi), w przeciwieństwie do większości czechosłowackich zespołów nie byli pod wpływem punka '77. Największy wpływ mieli na nich DEAD KENNEDYS i DISCHARGE, ale także KILLING JOKE, czy niektóre zespoły gotyckie i industrialne. Grali miażdżący, surowy punk pełen przesterowanych gitarowych solówek i rozdzierających krzyków. Niektóre utwory były wykonywane bardzo dynamicznie i czadowo, inne były wolne, mroczne i hipnotyczne. Większość tekstów dotyczyła okropności wojny i ogólnej beznadziei życia w nowoczesnym społeczeństwie.

Członkowie zespołu H.N.F. byli bardzo aktywni na punkowej scenie: zorganizowali kilka nielegalnych koncertów w wioskach wokół miasta, opublikowali

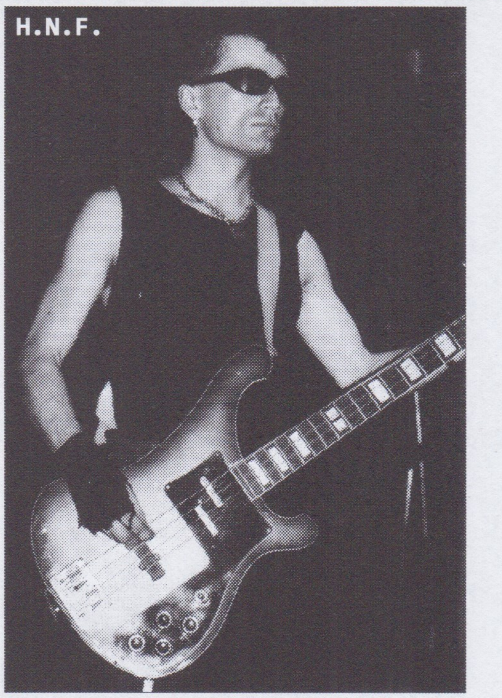
H.N.F.

pierwszy czechosłowacki punkrockowy fanzine, zwany „Punk Maglajz" („Punk Burda") oraz nagrali i nieoficjalnie wydali cztery kasety z nagraniami studyjnymi. Najbardziej znane demo, pod tytułem "Valka" („Walka"), cieszyło się wielkim zainteresowaniem wśród punków. W okresie 1987-1988 byli dość często nazywani najlepszym czeskim zespołem punkowym. W 1988 roku nagrali swoją ostatnią taśmę demo pod tytułem „Dum na demolici" („Dom do rozbiórki"), na której znajdowały się ich najszybsze nagrania, wręcz z pogranicza hardcore'a. W tym samym roku rozpadli się i zaczęli grać rock gotycki pod nową nazwą XIII. STOLETI (XIII. Wiek). W 1991 roku ukazał się ich LP „Válečný území" („Strefa wojny"), na którym znalazły się nagrania z taśm z lat 80. W 2009 wyszła, na podwójnym CD, dyskografia H.N.F. z prawie wszystkimi ich utworami z lat 80., którą wydała wielka wytwórnia E.M.I. Zespół nigdy się nie reaktywował.

ZNOUZECTNOST (1986–grają do dzisiaj)

Gdy członkowie ZASTÁVKA MILEČ wrócili z wojska, założyli nowy zespół, grający w podobnym stylu, o nazwie ZNOUZECTNOST. Czerpiąc inspiracje z dokonań THE CLASH, rock'n'rolla z lat 50., a nawet z muzyki folkowej, stworzyli prosty i „słuchalny" punk rock z poetyckimi tekstami. W 1987 roku, po nieudanej próbie „zalegalizowania" zespołu i problemach z tajną policją, perkusista zespołu popełnił samobójstwo. ZNOUZECTNOST wypuścili przed rokiem 1989 trzy studyjne kasety wydane przez własną nielegalną wytwórnię, a potem stali się bardziej popularni i zaczęli wydawać płyty. ZNOUZECTNOST nadal grają i nawet brzmią podobnie, jak w latach 80.

ŠANOV I

ŠANOV I (1987–grają do dzisiaj)

Po rozpadzie F.P.B., ich menadżer rozpoczął pracę z nowym młodym zespole ŠANOV I (nazwa pochodzi od dzielnicy Teplic). ŠANOV I grał wpadający w ucho punk rock w dość surowym stylu. Byli trochę pod wpływem DEAD KENNEDYS i polskich zespołów punkowych z lat 80., takich jak ARMIA czy DEZERTER. Byli w tamtym czasie również jednym z najbardziej radykalnych punkowych zespołów w Czechosłowacji. W swoich tekstach otwarcie wypowiadali się przeciwko wojskom rosyjskim

stacjonującym w kraju, i przeciw tajnej policji. Nic dziwnego, że grali głównie na nielegalnych imprezach. Mieli kilka koncertowych kaset, które krążyły wśród ludzi, a po 1989 roku, w wytwórni Globus, ukazał się ich LP „Konec světa" („Koniec Świata"). Znajdowały się na nim głównie stare utwory nagrane ponownie. Płyta zaczyna się od oryginalnego nagrania, na którym barman krzyczy na punków, by opuścili knajpę, w której chcieli zorganizować nielegalny koncert zakamuflowany jako wesele! ŠANOV I wznowił działalność kilka lat temu. Nadal grają i można powiedzieć, że są, mniej lub bardziej, „do posłuchania".

DO ŘADY! (1987–grają do dzisiaj)
Kolejny zespół z Teplic. Powstał w 1987 roku na gruzach zespołu V3S. Grali bezkompromisowy i przesterowany punk w klimatach takich zespołów jak ANTI PASTI i ABRASIVE WHEELS. Jak F.P.B. i V3S przed nimi, DO ŘADY! udało się przejść przez zieloną granicę i dostać na festiwal w Jarocinie w 1988 roku. Niestety, dotarli bez perkusisty, więc na koncercie zastąpił go perkusista zespołu DETONATOR BN. Dzięki temu występowi dostali później zaproszenie do profesjonalnego studia nagrań w Katowicach, gdzie nagrali 3 utwory na ewentualny singiel. Perkusista był znowu nieobecny podczas nagrań, więc musieli skorzystać z automatu perkusyjnego, ale nagrania brzmią zaskakująco dobrze i dość brutalnie. Wykorzystali je na dwóch czechosłowackich punkowych kompilacjach LP, które ukazały się po 1989 roku („Rebelie Punk'n'Oi" i „Akce Punk"). Zespół sporadycznie daje koncerty.

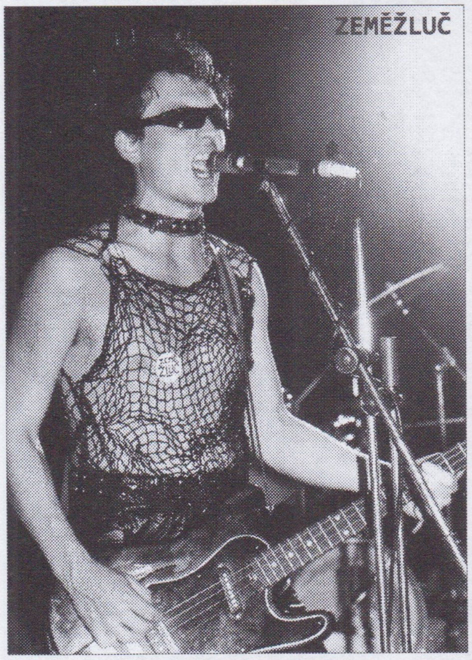

ZEMĚŽLUČ (1987–grają do dzisiaj)
ZEMĚŽLUČ pochodził z miasta Brno i grał typowy trzy akordowy pogo punk, ale w dość surowym i czadowym stylu. Trzeba też dodać, że grał z nimi wtedy gitarzysta KRABATHOR (dość znany czeski zespół death metalowy w latach 90., który nawet zagrał trasę po Japonii). W 1989 roku wypuścili swoje pierwsze studio/live demo, a w 1990 roku sami wydali świetny LP pod tytułem „Fajn, bezva prima" („W porządku, fajnie, ładne"), który był jednym z pierwszych niezależnych albumów wydanych w Czechosłowacji. ZEMĚŽLUČ jest nadal aktywny, ma na swoim koncie około dwudziestu pięciu winyli i kilka tras po Wielkiej Brytanii za sobą.

NOVODUR (1984-1986), TELEX (1988-1990)
Oba zespoły pochodziły z południowego regionu Czech, dzieliły członków kapel, oba pierwotnie zaczęły jako „typowe czeskie wiejskie zespoły rockowe" grając w większości covery zagranicznych zespołów i wykonując je zazwyczaj w salach wiejskich w swojej okolicy. Jednak NOVODUR, a później TELEX, były zupełnie inne, ponieważ nie grały coverów DEEP PURPLE, URIAH HEEP lub QUEEN, jak większość innych zespołów w tym klimacie, ale wykonywali tylko covery zespołów punkrockowych i hardcore'owych (z oryginalnymi tekstami po czesku!). Mieli też swoje własne utwory, w tym samym stylu. Grali głównie kawałki „dużych" brytyjskich zespołów punkrockowych, takich jak THE EXPLOITED, ABRASIVE WHEELS, G.B.H., THE CLASH

czy THE PARTISANS, ale również mniej znanych wtedy zespołów, jak THE PLASMATICS (USA), OLHO SECO (Brazylia) i ARMIA (piosenkę „Jestem Drzewo, Jestem Ptak" z kompilacji „Jak Punk to Punk"), których prawie nikt w Czechach nie znał! Jako, że zespół nie chwalił się tym, że to są covery, więc większość ich fanów myślała (a wielu nadal tak myśli), że są to ich własne piosenki, haha!
O ile oryginalne piosenki NOVODUR były mniej lub bardziej w punkowym/nowo falowym klimacie, o tyle późniejszy TELEX grał dużo szybszy i bardziej agresywny punk z mocno zdartym wokalem. W 1989 roku nagrali świetne demo, oficjalnie wydane w 1990 roku (niestety tylko na taśmie). Po 1989 roku ich utwory z lat 80., nagrane jeszcze raz, pojawiły się na kilku kompilacjach wydanych na LP. Później rozpadli się, a niektórzy członkowie założyli całkiem dobry zespół thrash/crossover o nazwie LD TOTENKOPF. TELEX dał kilka okazjonalnych koncertów w 1990 i 2000 roku.

SMRT MLADÉHO SEBEVRAHA (1987-1989)
To był dość mało znany zespół, ponieważ zagrał wtedy tylko kilka lokalnych nielegalnych koncertów. Jednak muszę o nich wspomnieć, ponieważ nagrali zabójczą taśmę studyjną w 1988 roku - grali ostry i czadowy punk rock w klimacie starych włoskich zespołów, jak PEGGIO PUNX czy 5° BRACCIO (ale jestem prawie pewien, że nigdy ich nie słyszeli!). Po roku 1989 demo zostało oficjalnie wydane na kasecie, ale nigdy na winylu. Nazwę zespołu tłumaczy się jako „Śmierć Młodego Samobójcy".

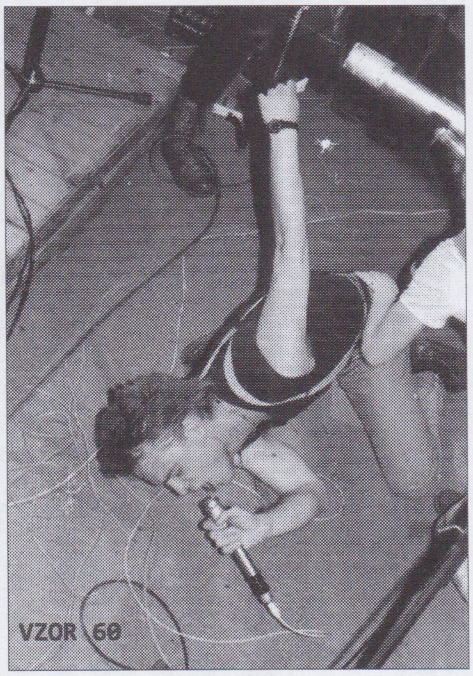

VZOR 60 (1988-1989)
Kolejny mniej lub bardziej znany zespół, tym razem swoją nazwę wzięli od niesławnej marki karabinu maszynowego! Pochodzili z Brna, znani są głównie ze względu na świetną kasetę demo z 1989 roku, pod tytułem „Zběsilý sen. Násilí plodí násilí" („Szalony sen/Przemoc rodzi przemoc"). Grali dziki pogo-punk z ostrymi wokalami. Dość interesująca ciekawostka - na jednym z ich koncertów w 1989 roku, Goran Lind, wokalista szwedzkiego raw-punkowego zespołu z lat 80., S.O.D., dołączył do nich na wokal!
VZOR 60 rozpadł się, gdy dwóch członków zespołu wyjechało na Zachód. Zespół starał się reaktywować w 2000 roku, ale nie udało im się, ze względu na różnice charakteru. Mówiło się trochę o reedycji ich demo na winylu, ale jak do tej pory nic z tego nie wyszło.
Można jeszcze wymienić, grające w Czechosłowacji przed rokiem 1989, zespoły takie jak: TŘI SESTRY, NÁTĚROVÁ HMOTA, EIE, DIVIZE T, OI OI HUBERT MACHÁNĚ, TŘETÍ DOBA, SUCHÝ MOZKY, MRTVY MIMINKA, S.P.S., MODRÝ TANKY, FRANTA MAST, FABRIKA, IQ60, STŘEDNĚ RYCHLÉ ŠÍPY, MASOMLEJN, BRATROVA SVATBA, BUŘINKY II, AK PLECH, KUDY KAM, N.V.U. i CH.V.M.
W listopadzie 1989 roku, stary totalitarny czechosłowacki reżim upadł...

NARODZINY CZECHOSŁOWACKIEGO HARDCORE'A

Jak już wyjaśniłem wcześniej, izolacja kulturowa od świata zewnętrznego i państwowa cenzura odegrały ważną rolę w rozwoju czechosłowackiej sceny hardcore/punk. Było prawie niemożliwym, aby zdobyć nowe płyty z Zachodu lub zobaczyć wszystkie aktualne zachodnie zespoły punkowe na koncertach, czy po prostu pojechać do krajów zachodnich. Napływ informacji na temat niezależnej muzyki rockowej był bardzo ograniczony i to oczywiście odzwierciedlało się w muzyce granej przez czechosłowackie zespoły punkrockowe. Większość tych zespołów z lat 80. grała pod wpływem tych najbardziej znanych brytyjskich zespołów z końca lat 70., jak SEX PISTOLS, THE DAMNED, THE CLASH czy UK SUBS, lub najbardziej znanych kapel z wczesnych lat 80., jak THE EXPLOITED czy G.B.H. Te zespoły punkowe były oczywiście najbardziej znane i popularne na całym świecie, a ich płyty były szeroko rozpowszechniane w normalnych sklepach. Tak więc, gdy na przykład jakiś punkowiec w Czechosłowacji miał krewnych na Zachodzie (zazwyczaj w Niemczech lub Austrii) i poprosił o przesłanie mu/jej jakichś płyt punkrockowych jako prezent pod choinkę, to zazwyczaj płyty tych zespołów były najłatwiejsze do kupienia. Zdobycie bardziej podziemnych płyt, takich jak na przykład brytyjski peace punk lat 80. wydawany przez Crass Records i Mortarhate Records lub wczesny amerykański hardcore z Dischord Records, było prawie niemożliwe, ponieważ płyty te były zwykle sprzedawane tylko przez dystrybucje DIY lub przez małe, niezależne sklepy. Tak więc, przez całe lata 80. czechosłowackie punki (i większość czechosłowackich zespołów punk rockowych) znali tylko tych kilka najbardziej popularnych zachodnich zespołów punkowych.
Pierwsze hardcore'owe kapele pojawiły się w czeskiej części Czechosłowacji (nie było żadnych aktywnych kapel na Słowacji przed rokiem 1989, o ile wiem) pod koniec lat 80-tych, na krótko przed rewolucją w listopadzie 1989 roku, a pochodziły one w większości z Pragi. Ale był jeden wyjątek od reguły - zespół RADEGAST.

RADEGAST (1981-1993)
Pierwszy zespół grający hardcore w Czechosłowacji pojawił się na początku lat 80. w mieście Havířov, położonym w północno-wschodniej części kraju, w pobliżu granicy z Polską i Słowacją. Ten cały region, zwany Śląskiem, znany jest głównie z intensywnego wydobycia węgla kamiennego, przemysłu ciężkiego, zanieczyszczonego powietrza i zdewastowanej przyrody. Sam Havířov został zbudowany od podstaw dopiero w 1950, aby zapewnić zakwaterowanie dla nowych górników, którzy przybyli do tego regionu ze wszystkich części kraju w poszukiwaniu nowego życia, a zanieczyszczone środowisko tej części kraju zrodziło bardzo ważną i aktywną scenę hardcore/punk!
Gitarzysta RADEGAST, Milan Jonšta, już wcześniej grał w krótko istniejącym w latach 70. zespole punk rockowym o nazwie HLAVY 2000 (o którym krótko wspomniałem wcześniej w tym artykule), a kiedy zdobył trochę szybszej zagranicznej muzyki, zdecydował się założyć nowy zespół o nazwie RADEGAST (nazwany na cześć słynnej lokalnej marki piwa). Na początku lat 80. usłyszał pierwsze amerykańskie zespoły grające hardcore DIE KREUZEN, MINOR THREAT, YOUTH BRIGADE, BATTALION OF SAINTS i POISON IDEA, poznał je głównie dzięki polskim stacjom radiowym oraz z przemycanych z Zachodu płyt. Była to wtedy bardzo świeża muzyka, która wywarła na niego ogromny wpływ. Jednak zanim RADEGAST zaczął grać jakieś koncerty, zajęło to trzy lata, a w międzyczasie było też kilka zmian składu. Najpierw

zaczęli grać nielegalne koncerty w połowie lat 80., a w 1986 roku nagrali swoją pierwszą kasetę demo z 13 utworami. Cały materiał trwa tylko 20 minut i zespół gra hardcore/thrash z perkusją brzmiącą jak karabin maszynowy i zdartym damskim wokalem! Nagrania te pojawiły się na podziemnej kasecie kompilacyjnej wraz z innymi zespołami z ich miasta. Niedługo potem, kapelę opuściła wokalistka i zespół do końca swojej kariery grał jako trio z Jonštą na wokalu i na gitarze. W 1989 roku nagrali swoje drugie demo, tym razem z 17 utworami, o podobnej długości: 20 minut. Ich styl gry nieco się zmienił, zaczęli grać jeszcze szybciej i bardziej brutalnie, wpływ na nich miały zespoły nowej fali thrash/hardcore z późnych lat 80., takie jak CRYPTIC SLAUGHTER, WEHRMACHT czy LUDICHRIST. To demo w 1991 roku zostało ponownie wydane w Polsce, na kasecie pod tytułem „Nikomu nevěř" („Nie ufaj nikomu"). Na stronie B zamieszczono koncert z Brna, z 1990 roku. Na teksty RADEGAST na obu taśmach demo miała wpływ głównie otaczająca ich rzeczywistość. Śpiewali o poczuciu rozpaczy, depresji i alienacji spowodowanym życiem w bezuczuciowym przemysłowym społeczeństwie.

Jeżeli chodzi o koncerty, to trzeba powiedzieć, że zespół nigdy nie był zbyt aktywny na tym polu. Grali zazwyczaj małe nielegalne koncerty w swoim regionie, choć również udało im się zagrać w Pradze na Rockfeście w 1987 roku, a ich surowy hardcore'owy atak wstrząsnął zebraną tam publicznością. Nawet po 1989 roku zespół nie był zbyt aktywny koncertowo - zazwyczaj grał w swoim regionie, na Śląsku, ale udało im się zagrać kilka razy w Polsce - co w ogóle nie dziwi, gdyż aktywna scena polska zawsze miała duży wpływ na RADEGAST. Jak już wspomniałem, ich demo z 1989 i koncert z Brna z 1990 roku zostały wydane również w Polsce na jednej kasecie przez Second Front i After Tapes w 1990 roku.

W 1992 roku wzięli udział w kompilacji „ Fuck Off Major Labels" wydanej na LP przez Malarie Records jako reakcja na duże wytwórnie eksploatujące scenę hardcore punk. Rok później RADEGAST nagrali i sami wydali LP „Poisoned Generation", który zawiera głównie stare utwory z demo ponownie nagrane w profesjonalnym studiu. Ten LP nie jest w sumie taki zły, ale na pewno brakuje mu surowości i czadu z ich starej taśmy demo. Wkrótce po wydaniu tej płyty, w 1993 roku, RADEGAST rozpadł się na dobre.

Obie taśmy demo z lat 80. pozostają klasykami czeskiego hardcore'a, nie tylko z powodu świetnej muzyki i tekstów, ale także dzięki ich rewelacyjnemu brzmieniu. Basista RADEGAST, Jiří Prokš, prowadził małe DIY studio nagraniowe, gdzie rejestrował muzykę lokalnych zespołów, a później w nielegalny sposób dystrybuował je na kasetach kompilacyjnych wśród punków. W tamtych latach rozwinęła się mała i mocna scena punk w Havířovie z takimi zespołami jak IQ60, BRACHYBLAST, STŘEDNĚ RYCHLÉ ŠÍPY, czy KLEC, które dzieliły muzyków między sobą i razem współpracowały. Wszystkie te zespoły mają świetnie nagrane kasety z połowy/końca lat 80., głównie dzięki aktywności Prokša. Nawiasem mówiąc, żadna z oryginalnych taśm demo RADEGAST nigdy nie wyszła na winylu, czy na CD. Były pewne plany z tym związane, ale jak do tej pory nic z tego nie wyszło. Ten kawał historii czechosłowackiego hardcore/punk nadal czeka na odkrycie przez punków z innych krajów!

KRITICKÁ SITUACE (1987-1996)

KRITICKÁ SITUACE (KRYTYCZNA SYTUACJA) rozpoczęła działalność w 1987 roku w Pradze. Niektórzy z członków zespołu, którzy byli wtedy nastolatkami, grali nieco szybszy punk już przedtem, w zespole o nazwie P.S. (który rozpadł się na początku 1988 roku po nagraniu pierwszego i zarazem ostatniego demo). O ile P.S. mieli niezbyt poważne teksty, głównie o piciu i imprezowaniu, to przesłanie zespołu KRITICKÁ SITUACE było bardziej konkretne i polityczne od samego początku. Także ich muzyka była bardziej dojrzała, ponieważ byli pod wpływem zagranicznych zespołów hardcore'owych, takich jak CONCRETE SOX, M.D.C. DEPRAVED i H.D.Q. Po zagraniu kilku nielegalnych koncertów, KRITICKÁ SITUACE nagrała pierwsze demo w 1988 roku zatytułowane „Zejtra Je Nám 20" („Tomorrow We Are 20"). Jak sam tytuł może sugerować, teksty mówią głównie o obowiązkowej służbie wojskowej, którą każdy młody człowiek musiał wtedy odbyć, zazwyczaj trwała ona 2 lata. KRITICKÁ SITUACE miała również wyraźne przesłanie antymilitarystyczne i pacyfistyczne w swoich tekstach. Grali dość szorstki, jeszcze nie do końca dopracowany melodyjny hardcore,

momentami nieco eksperymentalny. Drugie demo z 1989 roku, pod tytułem „Stále na útěku" („Wciąż uciekając"), brzmi już lepiej, zdecydowanie dojrzalej i z czadem. Ich przekaz pozostał ten sam, wciąż mocno pacyfistyczny, ale także krytykujący pasywną i zorientowaną na modę scenę punk, która zaczynała powstawać w tamtym czasie. Po roku 1989, po kilku zmianach składu KRITICKÁ SITUACE zaczęła grać regularne koncerty. Ich wokalista/gitarzysta Robert Vlček szybko stał się najważniejszym koncertowym promotorem zagranicznych hardcore'owych kapel w Pradze. Krótko po 1989 roku ściągnął on pierwsze amerykańskie kapele na koncerty w Pradze, m.in. MURPHYS LAW i GORILLA BISCUITS, które były wtedy oczywiście ogromnym wydarzeniem, ponieważ wcześniej nie było możliwości, aby zobaczyć zagraniczne koncerty hardcore'owych zespołów

Czechoslovakian underground is still alive and gigging! Despite the State attacks against the Jazz Section, the Charta 77 and several individuals, a big part of the population is still ready to fight for freedom, as last fall and February 89 demonstrations have proven it. During my stay in CSSR I have been able to look at a video tape filmed by the opposition, which circulates in several copies among Czech people. In this film, one can see people decided to face the anti-riot police which was equipped with water-guns and armoured cars like in Chile. One can see a grandmother alone facing a front of armed policemen while the crowd was chanting slogans like "Freedom!", "You're not Czech!", or "Gestapo!". The cops have arrested dozens of people, including some days after, the guy who filmed the scenes and who will be condemned to one to five years prison. They have also confiscated the video camera and the original cassette. Fronting the repression of the dictatorship and the soviet occupation, Czech crowds are singing the National Hymn as a symbol of their struggle for freedom. There is even now a skinhead band in Prague, ORLIK, having mottos like "You're Czech, you've got to be proud of it", and claims to be anti-fascist and anti-communist. Here in the west, one would classify them as fucking nationalists, but this is Czechoslovakia and maybe our standards of judging do not apply completely the same way?? Anyway such a "patriot" attitude is maybe a risk of moving some people to the position of xenophobia, like, somebody told me that at the last ZONA A gig in Prague. The band has been "welcomed" with anti-slovakian slogans (ZONA A are from Bratislava in the Slovakian part of the country). How fucking stupid it is! They should support each other. Hopefully it's still the acts of a small minority of the Czechoslovakian scene. The situation of this country is not always easy to understand..

OK, now on to the musical part of this report. During my stay there I've been to two underground concerts, none of them being punk at the strict sense of the term, but yet highly interesting and full of rebellious spirit. Both bands have a music more influenced by experimental jazz/ rock, but very aggressive and with screamed vocals. The first band was PSI VOJACI ("the soldier-dogs"), with a line-up of a bassist, a saxophonist, a drummer and a pianist/vocalist. They played in a small cultural centre in the concrete blocks suburbs of Prague. The second band was AKU-AKU, formed by a guitarist, a bassist, a drummer and a violinist, with three members sharing the vocals. Their texts are political and influenced by French poets. They played in a Club in Karlovy Vary. For all those of you which are interested by a different kind of rebel music, these bands are really worth it. Concerning punk/ HC, bands are still gigging in all parts of the country, like the bands SANOV I, ZONA A, and NATEROVY HMOTY, which are very active now. There's also HRDINOVE NOVE FRONTY (H.N.F.) (meaning "heroes of the new front") playing a fast and raging HC, with influences from Dezerter (Poland). New bands are constantly appearing like VZOR 60 or MICHAEL'S UNCLE, or FETAL ALCOHOL SYNDROM. Bergamo from the band PIVNI MOZOLY is now back from the army, but the band hasn't yet taken over its activities, for one of its members is now in a anti-alcoholic de-intoxication centre in the countryside. Marcel and Vaclav from the band FUCKMACHINE are still in prison, and it seems Marcel has still a lot of time to spend there as he was also charged with "rebellion during arrest". I've met Vladimir of the band VZ (VISACI ZAMEK), which is the first band in Czechoslovakia having released a record on the State label Supraphon. The first Czech punk record! I asked him how it have been possible, in such a country. And that's what he told me: VZ have played in the Rickfest Fesin Prague, and were proposed to release this single in a special series of records by amateur Czech bands, because it seems the authorities knew they were a very famous band among youth, playing since 1982, and that this record would be a financial success. And VZ have accepted this opportunity to see their works finally out on vinyl. The single has been pressed at 11,000 copies and is already sold out in all Czechoslovakia! Anyway the politics of the government isn't predictable and maybe VZ will be banned again some time, who knows?

Czechoslovakian bands would really like to play in the west too, but it's financially nearly impossible. Each Czech wanting to go to ... non-socialist countries has to make a deposit of US $20 per day of stay abroad, on a special bank account in foreign currencies in State banks. The purchasing rate of the US $ for Czech citizens is at 50 Czech Krones for one US $. Imagine that foreigners visiting Czechoslovakia have to sell their $$ in banks at the rate of 12 Krones for one US$. An easy way to make money for the government! And a serious limit to the ability of travelling to the west for people (You can add the incredible problems Czech have to get a passport and a State visa to go west, you imagine the situation).

There are a few fanzines in CSSR, some of them like Attack are looking like those in the west, others are looking like phone directories of over 200 pages with real photos, hand-paintings, a.s.o...their release is usually limited to TEN or so copies because there is no xerox for the public in CSSR and all those pages have to be made on some state machines during the night or when nobody's in the way when you're at your job...

Six month ago Czechoslovakia has begun to release CD's, and one of the first title to be released was the soundtrack from the children's cartoons "Smurfs", now played regularly on CSSR TV driving local children crazy under their Czech name "Smoulove".

It seems foreign bands can now officially play in CSSR, for more info write to Honza Peterka/ Pri Stoupimske 390/ 10800 Praha 10/ CSSR Czechoslovakia, who has created a concert organization which is now officially recognized by the State ???

Now some contact addresses for CSSR bands: PIVNI MOZOLY: Petr Bergmann/ (Vlasta Razkova)/ Korenskeho 13/ 15000 Praha 5-Smichov/ CSSR Czechoslovakia... SANOV 1 and AKU-AKU: Petr Ruzicka/ Konevova 213/ 41701 Dubi I/ CSSR Czechoslovakia... ZONA A: Petr Schredl/ Lackova 5/ 84104 Bratislava/ CSSR Czechoslovakia... NATEROVY HMOTY: Pavel Kral/ Mirova 732/ 51801 Dobruska/ CSSR Czechoslovakia... H.N.F.: Petr Stepan/ Jiraskova 80/ 58600 Jihlava/ CSSR Czechoslovakia... RADEGAST: Jiri Proks/ Sramkova 3/ 73601 Havirov/ CSSR Czechoslovakia... VZOR 60: Martin Marak Stredova 4602/ 76005 Gottwaldov/ CSSR Czechoslovakia... O.P.N.: Milos Anetta/ Palacké Nemesti 6/ 30116 Plzen/ CSSR Czechoslovakia... VZ: Ing. Vladimir Stastka/ 25206 Mechenice 135/ CSSR Czechoslovakia... PSI VOJACI: Filip Topol/ V Luzickeho Seminare 28/ 11800 Praha 1/ CSSR Czechoslovakia.

One last note: If you write to these bands, please avoid asking about politics, some of these people are already on the police's black lists, and their mail can be opened and read. A good solution is to send your mail registered and to seal it with adhesive tape. What else? Some of you Americans don't seem to realize what is life for punk bands in CSSR. Too often my friends there receive 5-word letters asking for T-shirts!!! Hey, this is CZECHOSLOVAKIA not NYC! No bands have T-shirts nor records nor stickers nor skateboards. They have their music and a few illegal tapes, and for this most of them have already spent some time in prison. Now for all of you record freaks, there is a project of releasing the first all-Czech punk compilation LP in France in 1989. So watch out! Please also note that the CSSR government have just published a brand new law prohibiting sending non-Czech made tapes to foreign countries by post. So, either you'll receive bad quality "made in CSSR" tapes, either you'll have to go there yourselves and smuggle the tapes at the customs control point. Another step towards elimination of Czech underground music to be diffused in the west. OK, show your interest and support the Czech and Slovakian scenes!

Lük Haas (Mala Ewolucja zine)/ 28 rue de Soultz/ 67100 Strasbourg/ France.

In MAXIMUM ROCK'N'ROLL

July 1989

w Czechosłowacji. Od 1991 roku aż do połowy lat 90. Vlček zorganizował koncerty ponad kilkuset zespołów, głównie większych amerykańskich kapel jak FUGAZI, CRO-MAGS, AGNOSTIC FRONT, SHELTER i M.D.C., ale również takich jak DISORDER, OI POLLOI, DOOM, SO MUCH HATE, CONCRETE SOX i CHAOS UK. Te koncerty miały bardzo duży wpływ na rodzącą się na początku lat 90-tych czechosłowacką scenę hardcore. Większość z tych koncertów odbyło się w praskim klubie 007, który wciąż działa i w którym bardzo często odbywają się koncerty hardcore/punk.

Po upadku starego reżimu totalitarnego w 1989 roku, KRITICKÁ SITUACE miała również możliwość, aby wydawać oficjalnie swoje płyty. W 1990 roku wzięli udział w kompilacji LP „"Epidemie" („Epidemia") na której znalazły się ich trzy starsze utwory nagrane ponownie w studio. Te trzy kawałki to chyba ich najlepszy materiał w historii, bardzo bezpośredni i bezkompromisowy hardcore/punk ze świetnymi chwytliwymi refrenami. W 1993 KRITICKÁ SITUACE wydała swój debiutancki LP w nowej niezależnej wytwórni o nazwie Day After Records. Brzmią superprofesjonalnie na tej płycie, muzyka jaką grają to metaliczny, ale wciąż dobry, hardcore (LP zawiera wiele starych utworów z lat 80., które zostały ponownie nagrane). Dzięki tej płycie, a także dzięki ich wielu koncertom, nie tylko w Czechosłowacji, ale także w Europie Zachodniej, a także dzięki wielkiej charyzmie lidera zespołu Roberta, KRITICKÁ SITUACE szybko stała się wiodącą siłą w czeskim hardcorze we wczesnych latach 90. W 1996 roku, w Day After Records, wydali EP pod tytułem „Forgiveness". Tym razem zagrali bardziej w stylu „emo", a wkrótce po wydaniu singla zespół się rozpadł.

Na początku 2000 roku pojawił się pomysł by wydać kompilację „Tribute to KRITICKÁ SITUACE", na której czeskie zespoły grałyby ich covery, ale nic z tego nie wyszło. W 2013 i 2014 roku zespół spotkał się by zagrać okazjonalnie 3 koncerty w Pradze, ale nie była to reaktywacja i zespół nadal nie istnieje.

SUICIDAL COMMANDO

SUICIDAL COMMANDO (1987-1988)

Powstali na gruzach P.S., jednak SUICIDAL COMMANDO byli muzycznie bardziej dojrzali niż KRITICKÁ SITUACE w początkach swojej działalności, niestety, brakowało w ich tekstach politycznego przesłania. Zespół istniał dość krótko i zagrali tylko kilkanaście koncertów, głównie w Pradze, ale ich taśma demo z 1988 roku z 17 kawałkami, pod tytułem „Made In Perestrojka" po prostu muzycznie zabija. Muzyka SUICIDAL COMMANDO była pod silnym wpływem takich zespołów jak D.R.I., SUICIDAL TENDENCIES i LÄRM, więc nic dziwnego, że grali super-szybki hardcore/thrash. Większość ich tekstów było bardzo szczerych i ostro atakowali w nich rządzący totalitarny reżim i policję, ale niestety mieli także kilka rasistowskich utworów, a członkowie zespołu zaczęli się utożsamiać z rodzącą się sceną hooligan/skinheads. Przy okazji: subkultura skinhead pojawiła się w Czechosłowacji w późnych latach 80. i początkowo była ograniczona tylko do Pragi, niestety od samego początku była bardzo nacjonalistyczna i rasistowska.

SUICIDAL COMMANDO rozpadli się mniej więcej w czasie nagrywania demo i członkowie zespołu dołączyli do innych zespołów, takich jak PLEXIS, KRITICKÁ SITUACE i MICHAEL'S UNCLE.

MICHAEL'S UNCLE (1987-1994, reaktywowany w 2004)

MICHAEL'S UNCLE rozpoczęli działalność w 1987 roku w Pradze. Początkowo grali mroczny hipnotyczny post-punk, ale w 1989 roku zaczęli grać szybciej i z większym przesterem i nagrali świetną taśmę pod tytułem „Svině!" („Świnie"), która w 1992 roku ponownie została wydana na LP przez wytwórnię Black Point. Grali w większości nielegalne koncerty i byli znani z ostrego drugowania, co było

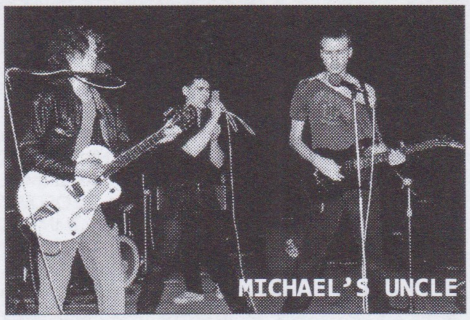
MICHAEL'S UNCLE

(głó)na przyczyną rozpadu kapeli na początku lat 90.

W 1990 roku zespół samodzielnie wydał debiutancki longplay "The End Of Dark Psychedelia". Kawał naprawdę surowego eksperymentalnego i czadowego hardcore'a, ta płyta jest w sumie klasykiem również ze względu na brutalne i walące prosto z mostu teksty głównie rozliczające się ze spuścizną starego reżimu komunistycznego.

Chwilę później zespół się rozpadł z powodu problemów z narkotykami, ale reaktywował się w 2004 roku, nadal gra i wydaje płyty. Ostatnio wokalista MICHAEL'S UNCLE, wraz z ex-basistą z SUICIDAL COMMANDO i kilkoma innymi weteranami, założył nowy zespół o nazwie THANX. Grają mieszankę ostrego amerykańskiego hardcore'a w starym stylu z psychodelicznymi wstawkami.

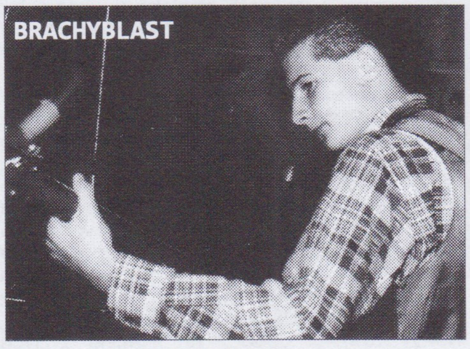
BRACHYBLAST

BRACHYBLAST (1986-1991)

BRACHYBLAST kumplowali się z RADEGAST, pochodzili z tego samego miasta, a ich muzykę nagrywał i wydawał wymieniony wcześniej Proks, basista RADEGAST. BRACHYBLAST wydali dwie taśmy demo (w 1987 i 1987/88) i na obu grali surowy i agresywny hardcore/punk. Byli pod wpływem takich zespołów jak DEAD KENNEDYS, CRUCIFUCKS czy polskiego DEZERTERA. Wypuścili jeszcze jedną kasetę demo w 1991 roku, a następnie rozpadli się. Ten zespół nigdy nie był zbyt dobrze znany czy popularny poza swoim regionem, a także nigdy nie grał zbyt wielu koncertów.

NAŠROT (1988-grają do dzisiaj)

Pierwotnie zespół został założony w mieście Pelhřimov przez kilku lokalnych muzyków grających w psychodelicznych/undergroundowych zespołach. NAŠROT grał super-szybki i surowy punk z pogranicza hardcore'a, a prawdopodobnie największy wpływ na nich mieli DEAD KENNEDYS. W 1989 roku nagrali demo „Totalne našrot" („Kompletnie nawalony") z 16 krótkimi i agresywnymi kawałkami hardcore/punk. Po 1989 roku pojawili się na kompilacji „Rebelie", a w 1991 roku wydali na LP debiutancki album pod tytułem „Destructive Tour". Większość utworów na tej płycie pochodzi z ich demo i zostały ponownie nagrane w nowych wersjach, a końcowy efekt brzmi bardzo ostro.

Wiele ich tekstów było o piciu i pijaństwie, ale niektóre z nich były również dość ironiczne, a nawet poetyckie. Krótko po wydaniu debiutanckiego LP, NAŠROT zmienił zupełnie swoją muzykę na rap/metal podobny do Faith No More czy Rage Against The Machine. Grają do dziś i pojawiły się plany wydania na winylu ich demo z 1989 roku.

INSANIA (1987-1989, 1992- do dzisiaj) i SKIMMED (1989-1992)

INSANIA z Brna była prawdopodobnie pierwszym czechosłowackim zespołem, który grał bardzo szybki thrash-core pod wpływem takich zespołów jak WEHRMACHT, SLAYER, VOIVOD, CRYPTIC SLAUGHTER i NAPALM DEATH. Prawdopodobnie postrzegano ich bardziej jako metalowców niż punków, a ich angielskie teksty były pełne satanizmu i mistycyzmu. Zagrali tylko kilka koncertów, głównie w klubie młodzieżowym „Křenova 75", który był najważniejszym miejscem w Brnie w latach 80. dla rodzącej się lokalnej sceny hardcore, punk i thrash/black metalowej. Po nagraniu w 1988 roku kasety demo „Possessed By Insania", zespół musiał zawiesić działalność z powodu interwencji tajnej policji. Grożono im, że jeśli nadal będą grać, to członkowie zespołu zostaną wyrzuceni ze studiów. Pomimo tego, zespół nadal kontynuował granie, ale próby odbywali w piwnicy i zmienili nazwę na SKIMMED. Również ich muzyka i przekaz nieco się

INSANIA

zmieniły i poszły bardziej w kierunku hardcore.

W 1990 roku SKIMMED nagrali i sami wydali płytę „New Insanity" LP z 9 piosenkami na 45 rpm. To był jeden z pierwszych wydanych metodą DIY winyli w Czechosłowacji i też dzięki temu zespół zyskał pewien poziom popularności nie tylko w Czechosłowacji, ale również na całym świecie. Nieco później pojawili się na kompilacji „Son Of Bleaurgh" EP wydanej przez amerykańską wytwórnię Slap A Ham Records, a następnie na „Fuck Off Major Labels!" LP, kompilacji wydanej przez Malarie Records. W 1992 SKIMMED rozpadł się (krótko po polskiej trasie, gdzie grali m.in. z CYMEON X), a w ich miejsce reaktywowała się INSANIA. Tym razem w nowym składzie, a zespół zaczął grać muzykę eksperymentalną, w metalowych klimatach. Obecnie (od końca lat '00) grają coś

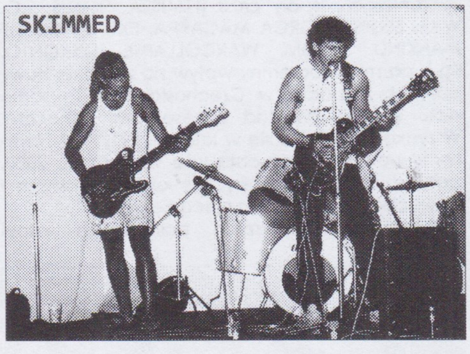
SKIMMED

w stylu „nu-metalu", ale z punkowymi korzeniami i najnowszy LP na winylu wydali w wytwórni DIY.

Oryginalny perkusista SKIMMED, Martin (grał również w ZEMĚŽLUČ do 1992 roku), jest obecnie burmistrzem jednej z dzielnic Brna, haha...

S.R.K. (1988-1992)

Kolejny zespół z Brna, który w tamtych latach często dzielił wspólną scenę z INSANIA i SKIMMED. Początkowo grali chaotyczny punk, coverując DAMNED i tego typu zespoły, ale później, na ich debiutanckiej taśmie demo „Extreme Noise Maniacs" (1989), zaczęli grać znacznie szybciej i znaleźli się pod dużym wpływem S.O.D. i D.R.I. W 1989 roku, po upadku reżimu, zaczęli grać jeszcze szybciej, bardziej noise'ową i brutalną muzykę

pod wpływem grindcore'a i noisecore'a (NAPALM DEATH, BRIGADA DO ODIO, MEAT SHITS, A.C.), a także zmienili nazwę na CZECHCORE S.R.K. W 1990 roku CZECHCORE S.R.K. własnym sumptem wydali we własnej wytwórni Discord Records pierwszy „rockowy" CD w Czechosłowacji. Płyta miała tytuł „Only For Extremists" i zawierała 33 czadowe utwory z bardzo wymownymi politycznymi tekstami.

Niektóre utwory z tej płyty wykorzystano na kompilacji „Rebelie II" LP, która wyszła w następnym roku. Później, pod nazwą SUBVERTED, wydali kolejną płytę pod tytułem „Absurd", a ich ostatnia kaseta nosiła nazwę „Strcprstskrzkrk". Oba materiały nagrano z automatem perkusyjnym.

Warto jeszcze wymienić inne zespoły hardcore, które rozpoczęły granie w latach 80. - F.A.S., O.P.M., SVOBODNY SLOVO, ZELENI KANIBALOVE i AKUTNI OTRAVA. Później, w 1990 roku, tuż po zmianie ustroju, powstały kolejne kapele grające hardcore - na przykład GUMMY PIG, STRES, ROPNEY PRODUKT, L.D. TOTENKOPF, LUES DE FUNES, MENTALLY PARASITES, LOLLIPOP i SERIOUS MUSIC. Większość z nich później wydała własne LP lub EP i wzięła udział w kompilacjach winylowych („Epidemie", „Rebelie II", „Fuck Off Major Labels!").

To była pierwsza generacja czechosłowackiego hardcore'a. W miarę upływu lat, scena zaczęła otwierać się na coraz większe wpływy z Zachodu - głównie dzięki temu, że coraz więcej zagranicznych zespołów grało w Czechosłowacji, ale też za sprawą sprawniejszej dystrybucji płyt, których było znacznie więcej niż przed 1989 rokiem (choć dużym problemem były ceny płyt w naszej lokalnej walucie, czechosłowackie korony były gówno warte).

Na scenie pojawiły się nowe trendy i konkretne przesłanie w muzyce, a wkrótce także powstały nowe wytwórnie DIY i pojawiły się niezależne fanziny. Cała sceny hardcore szybko stała się bardzo polityczny i działała w na takich polach jak antyfaszyzm, antyrasizm, prawa zwierząt, antymilitaryzm, anarchizm, itd. Odbywało się wiele demonstracji i miały miejsce akcje bezpośrednie, które odbywały się zazwyczaj w Pradze, a także w drugim co do wielkości czeskim mieście, Brnie. Również pojawiły się u nas na koncertach pierwsze zagraniczne zespoły crust (NAUSEA, HIATUS, S.O. WAR, SELFISH, FORCA MACABRA, EXTINCTION OF MANKIND, DOOM, WARCOLLAPSE, DISKONTO, itp.), co miało ogromny wpływ na zupełnie nowy gatunek zespołów w Czechosłowacji. To samo stało się na przykład z zespołami grindcore. Wszystko to zaczęło się w latach 1991/1992 i było kontynuowane przez całe lata 90. Po roku 2000, powiedziałbym, że polityczne ostrze czeskiego i słowackiego hardcore'a nieco się stępiło...

Niektóre z ważniejszych politycznych kapel hardcore z okresu między rokiem 1992 a połową lat 90. - HEARTLINE (hardcore pod dużym wpływem SEDITION, wydali 7"EP i split 7"EP z MASSKONTROL), CUL DE SAC (surowy punk, wydali 7" EP), AVERZE (szybki HC, żadnych oficjalnych wydawnictw na koncie), NONCONFORMIST (hardcore/punk w stylu DISAFFECT, wydali 7"EP, 10" i split LP), NIHILOBSTAT (crust-core w stylu HIATUS, wydali tylko demo), PACEM IN TERIS (raw punk w klimacie DISORDER/VARUKERS, tylko demo wydali), LOS SOMMROS (szybki HC/ crust, żadnych wydawnictw, chociaż w planach był split 7"EP z DISCLOSE)i MRTVÁ BUDOUCNOST (raw punk/crust w początkowych latach, później fast core/power violence, splity 7"EP z COEXIST, PANGS OF REMORSE, ARGUE DAMNATION i splity LP z GRIDE i LEFT IN RUINS).

CZECHOSŁOWACKIE KOMPILACJE LP HARDCORE/PUNK WE WCZESNYCH LATACH 90.

Jak już wspomniałem wcześniej, było prawie niemożliwe, by wydawać płyty hardcore/punk w Czechosłowacji przed 1989 rokiem. Normalną sprawą było to, że po upadku starego reżimu nagle nastąpił zalew nowych płyt zespołów, które nie były w stanie wydać niczego oprócz undergroundowych kaset demo. Było oczywiście ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju muzykę, zaledwie kilka lat temu prawie nielegalną. Pierwsze wytwórnie, które rozpoczęły wydawanie płyt punkrockowych pojawiły się w 1990 roku i były nastawione głównie na biznes. Często były prowadzone przez dość nieciekawe osoby, jak choćby wytwórnia Monitor, której właściciel był w czasach komunistycznych oficjalnym muzykiem rockowym. Monitor zaczął również wydawać jakieś rasistowskie śmieci (bardzo popularny nacjonalistyczny i rasistowski zespół ORLIK), a później stał się częścią EMI. Pozostałe wytwórnie (Multisonic, Globus, AG Kult) nie były dużo lepsze. Wszyscy zwęszyli kasę w wypuszczaniu punkowych płyt i wkrótce, gdy popularność punka zmalała (około 1992 roku), przerzucili się na inne rodzaje muzyki. Z drugiej strony, już w 1990 roku pojawiły się pierwsze płyty DIY, wydawane głównie przez same zespoły - wśród nich były pierwsze niezależne płyty zespołów MICHAEL'S UNCLE, ZEMĚŽLUČ i SKIMMED.

Należy również dodać, że niewiele z tych czechosłowackich płyt hardcore/punk, które wyszły na początku lat 90., przetrwało próbę czasu. Częściowo ze względu na wyżej wymieniony mały wpływ muzyki zachodniej, gdy wiele zespołów po prostu (zwykle niezbyt dobrze) kopiowało przestarzałe już style zachodnich zespołów punkowych, częściowo też z powodu słabej jakości brzmienia, ponieważ nie było wtedy dobrych studiów nagraniowych (a raczej powiedziałbym, że nie było doświadczonych inżynierów dźwięku) przystosowanych do tego rodzaju muzyki. Kiedy zespoły po latach spędzonych w piwnicach wchodziły do ogromnego profesjonalnego studia nagraniowego i zdawały się na robotę rockowych czy heavymetalowych dźwiękowców, nie wychodziło z tego nic dobrego.

Tak czy inaczej, wymienię tutaj kilka kompilacji LP, które myślę, że powinniście sprawdzić. Pełną listę płyt hardcore/punk możecie znaleźć w świetnej książce „Dyskografia Wschodnioeuropejskiej muzyki punk 1977-1999", napisanej i wydanej przez Luka Haasa w jego labelu Tian An Men 89. Więc zaczynamy:

v/a „Rebelie" LP (Monitor 1990) - z podtytułem „Punk'n'Oi". Jest tu kilka dobrych rzeczy (ŠANOV I, DO ŘADY!, NAŠROT), jakieś śmieci (ORLIK to na pewno). Wyszło też vol. 2 (podtytuł „Hardcore" - z dobrymi kawałkami SERIOUS MUSIC i CZECHCORE SRK, reszta zespołów to kompletne dno) i vol. 3 (zespoły grające melodyjny punk).

v/a „Epidemie" LP (Multisonic 1990) – tutaj znalazły się świetne kawałki zespołów takich, jak KRITICKÁ SITUACE, PLEXIS, TELEX, ZELENI KANIBALOVE i SVOBODNY SLOVO, jest to najlepsza kompilacja LP z Czechosłowacji z początku lat 90., ma również bardzo dobrą grafikę na okładce!

v/a „Akce Punk" (AG Kult 1990) - głównie kawałki koncertowe z punkowego festiwalu, który zakończył się wielką zadymą, jest także kilka utworów studyjnych, dobre numery na tej płycie mają słowackie ZONA A i SLOBODNA EUROPA, a także niektóre czeskie zespoły - ŠANOV I, DO ŘADY!

v/a „Punk Not Dead" (Punc 1990) - więcej punk rocka, kilka świetnych kawałków TELEX, ZNOUZECTNOST, ZONA A (niestety zamieścili tu swoją rasistowską piosenkę „Cygański Problem").

v/a "Fuck Off, Major Labels!!!" (Malarie 1991) – ta kompilacja to odpowiedź zespołów DIY Hardcore na wyżej wymienione składanki wydane przez komercyjne wytwórnie. Malarie było jednym z pierwszych DIY wydawnictw w Czechosłowacji po 1989 roku (i wciąż wydaje płyty!). Na tej kompilacji znajdują się cztery zespoły, które odmówiły zamieszczenia swoich utworów na wyżej wymienionych płytach, wydanych przez Monitor i Multisonic - RADEGAST, STRES, AHC i SKIMMED. Niestety, brzmienie tych nagrań jest trochę słabe, ale - jako świadectwo aktywności sceny DIY – miały one bardzo duży wpływ na świadomość czeskich punków.

Ten artykuł znajduje się w polskim zinie, więc postaram się podać kilka przykładów współpracy między polskimi i czechosłowackimi punkami i zespołami. Już wcześniej wspomniałem koncerty zespołów F.P.B. i DO ŘADY! w Jarocinie, muszę również wspomnieć, że polskie zespoły KOBRANOCKA i DETONATOR BN grał na Rockfest w Pradze w roku 1987 lub 1988 (sorry, ale nie pamiętam dokładnie). Jesienią 1989 roku również TRYBUNA BRUDU zagrała w Orlovej (na Śląsku) nielegalny koncert, który został przerwany i rozbity przez policję tuż po ich występie. Nie mam informacji o innych polskich zespołach grających w Czechosłowacji do listopada 1989 r. Oczywiście w bardzo wczesnych lat 90., głównie dzięki Martinowi z Malarie Records, który miał sporo kontaktów na polskiej scenie, pierwsze zespoły grające hardcore/punk z Polski zaczęły grać u nas trasy. Z lat 1990-1992 pamiętam krótkie trasy i koncerty takich zespołów jak APATIA, AHIMSA, INKWIZYCJA, WIWISEKCJA, ALIANS, PIDŻAMA PORNO, ULICA, itp.

Również duże znaczenie w latach 80. miało Polskie Centrum Kultury w Pradze. Było to prawdopodobnie jedyne miejsce, gdzie można było legalnie kupić kilka winyli punkowych wydanych wtedy oficjalnie w Polsce - kompilację „ Backstage Pass" LP, THE EXPLOITED live LP, v/a „Fala" LP, v/a „Jak Punk To Punk" LP itd. I oczywiście wielkie znaczenie miały polskie stacje radiowe, grające punk i hardcore, które można było usłyszeć w obszarach czeskich blisko granic Polski.

OK, to wszystko z mojej strony. Jeśli jesteście zainteresowani dodatkowymi informacjami na temat którejkolwiek z wyżej wymienionych kapel, czy obecnej sceny hardcore/punk w Czechach, nie wahajcie się ze mną skontaktować.

Filip

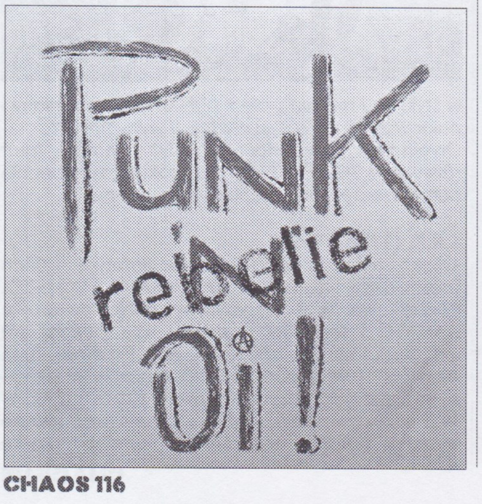

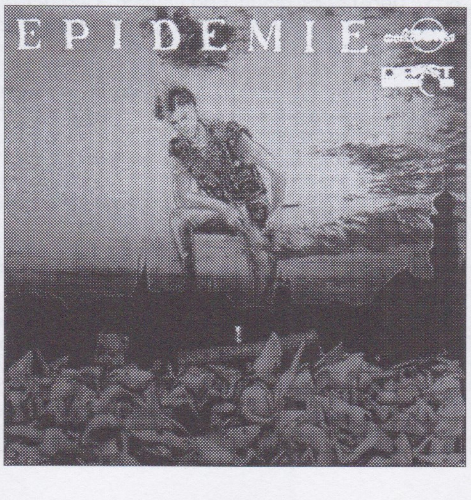

BENEFICIO INTERNO - KOSTARYKA

Esteban Campos jest twórcą zina, autorem programu radiowego i stołecznym kostarykańskim punkiem. Poznałem go w 2014 roku, gdy podróżowałem po jego pięknym kraju. Miałem szczęście – w San Jose byłem tylko dwa dni, a akurat trafiłem na koncert, który Esteban pomagał organizować. Okazało się, że na kostarykańskiej scenie robi on dużo więcej. Ze względu na problemy z komunikacją i barierę językową wszystko to strasznie długo trwało, ale w końcu udało się namówić Estebana na udzielenie krótkiego wywiadu, w którym opowiedział „Chaosowi" o tym, co sam robi i trochę o kostarykańskiej scenie. Pytał Endi, a odpowiedzi z hiszpańskiego tłumaczyła Aśka.

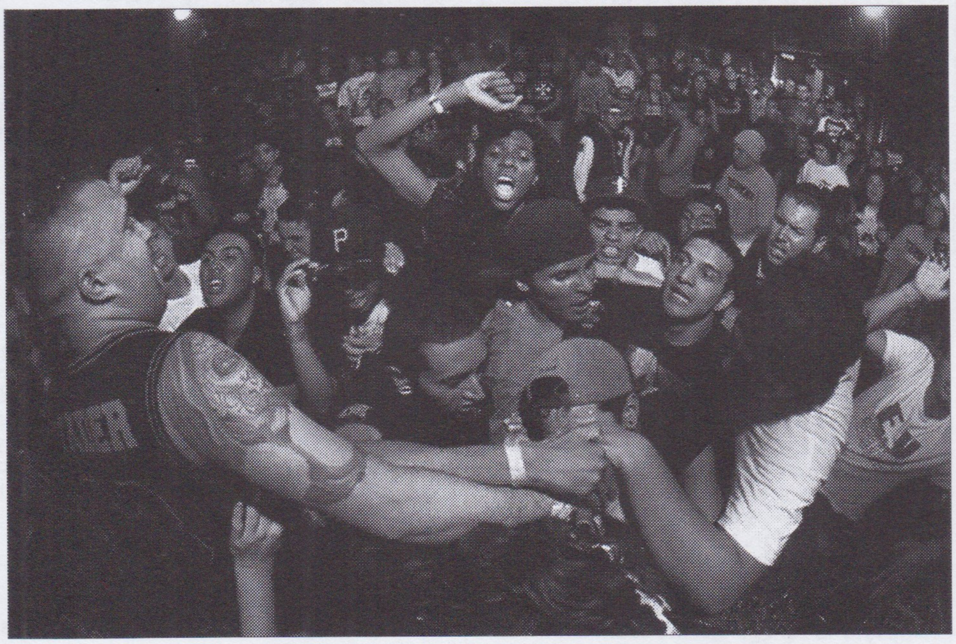

CHAOS: Esteban, przede wszystkim dziękuję ci za to, że zechciałeś poświęcić czas na ten krótki wywiad. Na początek przedstaw się, proszę, czytelnikom „Chaosu" i powiedz czym się zajmujesz na kostarykańskiej scenie hc/punk.
Esteban: Pozdrowienia z San Jose, z Kostaryki, dla wszystkich, którzy czytają ten krótki wywiad. Nazywam się Esteban, jestem młodym gościem, no może już nie tak młodym, zaangażowanym w hc/punk i wiele innych rzeczy. Od końca 1997 roku, czyli roku, w którym ukazał się jego pierwszy numer, pracuję nad fanzinem „Beneficio Interno". Prowadzę małą działalność dystrybucyjną/sklepik z materiałami undergroundowych zespołów - zaprzyjaźnionych i takich, które po prostu lubię. Obecnie, dzięki możliwościom, jakie daje internet, prowadzę program radiowy, który nazywa się SUBSUELO S.A. (hiszp. PODZIEMIE S.A.), w którym przez dwie godziny puszczam międzynarodową undergroundową muzykę. Możecie tego programu posłuchać na www.beneficiointerno.blogspot.com

CHAOS: Od jak dawna działasz na scenie?
Esteban: Tak naprawdę nie wiem. Zacząłem chyba wtedy, gdy tej konkretnej sceny w Kostaryce tak naprawdę jeszcze nie było. Zawsze za to byli znajomi i chodziło się na koncerty. Aby podać datę, niech będzie, że to wszystko miało miejsce na początku lat 90-tych. Już wtedy zacząłem chodzić na koncerty, rozmawiać o muzyce z większą ilością ludzi, robiłem wymiany, zacząłem czytać fanziny etc.

CHAOS: Pamiętasz co przyciągnęło cię do punka?
Esteban: Hahaha, nie pamiętam dokładnie, jak się zaangażowałem w punk i hc. Od dziecka – pod wpływem moich kuzynów - słuchałem muzyki rokowej (heavy metal, rock lat 60. i 70.). Pewnego dnia trafiły w moje ręce kasety z przegrywkami zespołów LA POLLA RECORDS i ANDANADA 7. Zakochałem się w tych dźwiękach i w tym, że było to po hiszpańsku. Dopiero później poznawałem i zaczynałem rozumieć bardziej popularne, czy może raczej "klasyczne", rzeczy punkowe, takie jak Sex Pistols, The Clash etc.

CHAOS: Opowiedz nam trochę więcej o swoim zinie. Jaki tematy są w nim poruszane, o jakich kapelach piszesz? Jak długo już się nim zajmujesz i jaka jest częstotliwość wydawania?
Esteban: Fanzine narodził się w połowie 1997 roku i od tego momentu ukazało się 16 numerów. Od samego początku ideą fanzinu było połączenie scen, czy stylów muzyki, bez interesowania się etykietami. Zazwyczaj jest to 32-36 stron, na ksero, które zawierają wywiady z zespołami, jakieś artykuły, kontakty, recenzje płyt, fanzinów i inne rzeczy. Od 5 numeru fanzin wychodzi razem z CD zawierającym po dwa kawałki każdego zespołu, z którym jest wywiad, co sprawia, że staje się to bardziej atrakcyjne dla osób, którym nie wystarcza tylko czytanie wywiadu. Częstotliwość nie jest mocną stroną wydawania fanizinu, może on wyjść parę razy w roku lub równie dobrze tylko jeden raz. Praca i codzienne obowiązki zajmują mi dużo czasu i trudno jest samemu wszystko robić.
Przy okazji podaję parę linków do fanzinów, które są w internecie i które możecie przeczytać, ściągnąć, drukować i cokolwiek chcecie.
BENEFICIO INTERNO #15: http://issuu.com/beneficiointerno/docs/bizine_15/1
BENEFICIO INTERNO #12: http://issuu.com/beneficiointerno/docs/beneficio_interno_12
BENEFICIO INTERNO #11: http://issuu.com/beneficiointerno/docs/beneficio_interno_11
BENEFICIO INTERNO #14: http://issuu.com/beneficiointerno/docs/beneficio_interno_14

CHAOS: Czy przy „Beneficio Interno" pracujesz całkowicie samodzielnie czy może masz jakichś "współpracowników"?
Esteban: Jestem redaktorem, ilustratorem, szukam informacji, dystrybuuję etc. Czyli robię 90% pracy. Jednak, zawsze są też przyjaciele, którzy współpracują w fajny sposób: robią wywiady, tłumaczenia, piszą teksty, recenzje. Ale nie w sposób ciągły, są raczej takimi czasowymi współpracownikami. Czasami chciałbym, aby to było zajęcie na cały etat, tak żebyśmy mogli robić więcej numerów i więcej interesujących rzeczy, ale wszyscy mamy inne sprawy do załatwienia i nie zajmujemy się tylko fanzinami.

CHAOS: Jak ma się sprawa z dystrybucją zina? Czy dużo jest innych zinów wydawanych w Kostaryce; ludzie chętnie je czytają?
Esteban: Co ciekawe, fanzin cieszy się większym zainteresowaniem poza Kostaryką. Zawsze było więcej wymian z ludźmi z zagranicy, niż stąd. Rynek fanzinów, jeśli możemy go tak nazwać, jest w Kostaryce niemal zerowy. Tylko na scenie metalowej zawsze istniały fanziny i czasopisma z większą ilością osób, które pomagały w ich tworzeniu i czytały je. Na scenie punkowej i hc jest na odwrót. Mniej ludzi się tym interesuje, a robi się ich jeszcze mniej, gdy muszą coś za zina zapłacić. Dziś ukazują się w Kostaryce różne nowoczesne ziny dla nowoczesnych młodych ludzi, które pomagają im np. w fotografii i podobnych sprawach, ale fanzinów muzycznych, albo z jakimś przesłaniem krytycznym, jest niewielka ilość. W połowie lat 2000 był większy ruch w gazetach punkowych, ale niestety, ziny pojawiały się - wychodziły 2 czy 3 numery - i znikały.

CHAOS: Wróćmy na chwilę do twojego programu radiowego. Możesz nam coś więcej o nim opowiedzieć?
Esteban: No więc od kiedy nastała era internetu próbuję nagłaśniać idee i muzykę używając bloga i darmowych narzędzi do nagrywania i robienia programu SUBSUELO S.A. (www.beneficiointerno.blogspot.com). Jest to program radiowy z dobrą undergroundową muzyką, który trwa dwie godziny. Od samego początku pomysł był taki, aby audycja była jakby częścią fanzinu i żeby dbała o pewne zasady, np. mnogość gatunków puszczanej muzyki, nie tylko koncentrowanie się na jednej linii, bycie zawsze otwartym na nowe dźwięki.
90 % programu powstaje na bazie fizycznych nośników (CD, kaset, winyli). Dzięki temu możemy trochę bardziej docenić te materiały, porozmawiać o ich wydaniach, o samych artystach i o ich cechach charakterystycznych. Natomiast 10 % audycji robi się z różnych promocyjnych mp3 zespołów, które nie dorobiły się jeszcze fizycznych nośników.

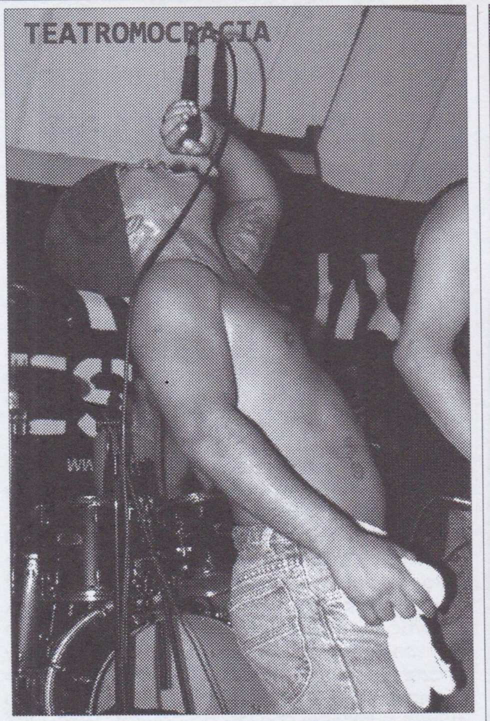

CHAOS: Możesz nam opowiedzieć coś o historii punka w twoim kraju?

Esteban: Myślę, że tak jak w innych miejscach, w Kostaryce punk narodził się z ogromną pasją, ale i miał w sobie sporo ignorancji. Ja nie brałem udziału w początkach punka, ale znajomi tak i opowiadali mi historie. Wtedy, inaczej niż dziś, estetyka była na drugim albo i trzecim miejscu. Punk, który stał się znany, był punkiem bez przyszłości, destrukcyjnym, charakteryzował się ciągłą walką o terytorium. Duży wpływ na niego miały filmy, w których punki i skinheadzi byli buntownikami. Później trochę się polepszyło. Jeszcze teraz sporo brakuje, ale dobrze już widać różnicę. Chociaż oczywiście zawsze wolimy myśleć z nostalgią o starych czasach, które postrzegamy, jako najlepsze w życiu.

CHAOS: Jaka jest obecna kondycja kostarykańskiej sceny? Czy dużo jest zespołów, punkowych miejsc, osób chodzących na koncerty?

Esteban: Obecna scena ma coraz mniej wspólnego z hc/punkiem, jakim ja go postrzegam. Na koncerty chodzi mało ludzi, jest mało miejsc, gdzie można zrobić koncerty, a jeśli w końcu udaje się znaleźć takie miejsce, to tylko na krótki czas. Teraz ważniejszy jest wygląd i odpowiednia poza, a nie prawdziwa pasja. Jest dużo więcej zespołów niż kiedyś było, ale ulegają one wpływom komercyjnym i są mało kreatywne. Te wpływy są dla nich instrukcją jak robić muzykę, żeby brzmieć jak ulubiony zespół; kapele nie szukają swojego własnego brzmienia. Oczywiście podejmowane są próby poszerzenia kręgu prawdziwie zaangażowanych osób. Dobrze by było, gdyby pojawiło się więcej dobrych zespołów, osób pracujących dla sceny, realizujących nagrania, organizujących koncerty etc. Młodzi ludzie wiedzą jak to wszystko robić, ale mało jest takich, którym się chce. Większość liczy na to, że wszystko spadnie z nieba. A stare zespoły wolą teraz nic nie robić, ponieważ wierzą, że sama ich nazwa tak wiele znaczy, że same nie muszą organizować żadnych imprez.

CHAOS: A jakie jest kostarykańskie społeczeństwo? Czy Ticos akceptują punkowców i inne nietypowe grupy społeczne? Czy Kostaryka to dobre miejsce do życia dla punków?

Esteban: Teraz często można zobaczyć kolesi z irokezami, koszulkami z zespołami albo z wolnościowymi lub społecznie kontrowersyjnymi przekazami; noszących naszywki, szelki, glany. Wygląd już nie łamie kanonów, teraz to normalne, gdy widzi się młodego człowieka z tatuażami, piercingiem. Starsi nie zwracają już na to uwagi, może to być szokiem co najwyżej dla kogoś bardzo konserwatywnego, ale właściwie to teraz punk, czy raczej styl punkowy, jest bardziej popularny i przez to akceptowany. Oprócz tego, to przecież żeby przeżyć, trzeba pracować, nie ma innego wyjścia. Tak więc, żeby żyć w miarę normalnie i zarabiać pieniądze, nie da się wyjść całkowicie poza ten społecznie akceptowany nawias. Prawdopodobieństwo prowadzenia całkowicie wolnego życia, odcięcia się od tej całej machiny jest niemal równe zeru. Jeśli twoi rodzice cię nie utrzymują, musisz pracować. Jest dużo rozpuszczonych punków, ale też sporo ludzi żyje lub chce żyć swobodnie, nie nazywając się punkami i stara się wyswobodzić z tych społecznych więzów. Tacy ludzie szukają jakichś alternatyw, współpracują i pomagają sobie, środowisku, zwierzętom, sąsiadom.

CHAOS: Jakie są najważniejsze zespoły z twojego kraju, które uważasz, że warto znać i słuchać?

Esteban: Trudno powiedzieć, ponieważ jest bardzo dużo zróżnicowanej muzyki, a scena jest tak mała, że undergroundowa muzyka miesza się z komercyjną i popularną. Ale jeśli chodzi o jakieś ciekawe zespoły, to możemy kilka wymienić: EXACERBACION (grindcore–old school), BARRAKAS (anarchistyczny hc punk), ENEMIGOS DEL ENEMIGO (anarchopunk) , HEMBOLIA CEREBRAL (hc punk) , SEX & BLOOD (post punk), LOS PARRILLEROS (hc punk), xEL VALOR DE LUCHARx (hc old school), TEATROMOCRACIA (hc punk). Jest też sporo innych, grających przeróżne rodzaje muzyki. Są też takie, które wyjechały z kraju, niektóre nagrały swój materiał, a niektóre dopiero się do tego zabierają.

CHAOS: Czy punki z Kostaryki utrzymują kontakty z punkami z sąsiednich krajów? Czy jest coś w rodzaju sceny środkowoamerykańskiej czy raczej są to sceny niezależne od siebie?

Esteban: Tak, istnieje zbliżenie z krajami sąsiednimi, takimi jak Panama czy Gwatemala (te dwa kraje cieszą się chyba najsilniejszymi scenami hc punk w Ameryce Środkowej). Np. zespoły stąd grają tam, a zespoły stamtąd grają u nas. Istnieje taki bliski układ, choćby po to, żeby organizować imprezy z zespołami z Ameryki Północnej czy Europy. Gdy takie zespoły urządzają trasę od Meksyku po Panamę, to wtedy organizuje się koncerty właśnie z pomocą ludzi z regionu, zwłaszcza we współpracy z członkami zespołów hc.

CHAOS: Czy chcesz coś jeszcze dodać od siebie? Jakieś ostatnie słowa do polskich punków?

Esteban: Dziękuję za wywiad! Moje słowa są skromne i proste. Poszukajcie w necie informacji o punku z Kostaryki. To, co znajdziecie w połowie jest kłamstwem, ale druga połowa jest prawdą, więc badajcie i komunikujcie się z ludźmi podobnymi do was. Macie w Polsce świetne zespoły. Chciałbym je zachęcić, aby robiły u nas trasy. Niech się z nami skontaktują, może zorganizujemy coś razem i będziemy współpracować i rozwijać nasze sceny. To są moje dane do kontaktu:

beneficiointerno@gmail.com

Esteban Campos / apdo 4229-1000 / San Jose / Costa Rica

Saludos! Dzięki za wywiad!

CRUCIFIX

CRUCIFIX był jednym z najważniejszych amerykańskich zespołów anarcho-punk w latach 80. Nie grali długo, bo od 1980 do 1984 roku, nie wydali też oszałamiającej ilości płyt, jednak byli bardzo ważnym ogniwem spajającym polityczną scenę punk w San Francisco. Byli pierwszym amerykańskim zespołem, który wydał płytę w wytwórni prowadzonej przez ludzi z kolektywu CRASS. Właśnie połączenie idei i przesłania zbliżonego do tego, co robili CRASS, oraz muzyki wzorowanej na dokonaniach DISCHARGE, pozwoliło CRUCIFIX zapisać się na stałe w historii światowego hardcore-punka.

San Francisco na przełomie lat 70 i 80-tych było pełne przemocy, gangów i nihilizmu, jednak powstało tam sporo zaangażowanych kapel, które chciały robić coś więcej poza ćpaniem i chlaniem. Od początku lat 80-tych scena anarcho-punk była tam bardzo aktywna i wielu ludzi z całej Kalifornii ściągało do San Francisco, by rzucić się w wir aktywności i wspomóc tamtejszą scenę. Zresztą wiadomo jak wyglądała wtedy scena w Kalifornii - narodził się hardcore i wiele ówczesnych zespołów zapoczątkowało pewne trendy, które utrzymały się na światowej scenie przez lata. Wiele z tych kapel to dzisiaj ikony hardcore punka: DEAD KENNEDYS, BLACK FLAG, CIRCLE JERKS, THE GERMS, THE DICKIES i można by jeszcze długo wymieniać. CRUCIFIX powstali w 1980 roku w Berkeley. Jednak zanim to nastąpiło członkowie zespołu mieli krótki epizod w innej kapeli. Było to latem 1980 roku. Założyli wtedy krótko działający zespół o nazwie SUBSIDIZE MESS. W jego skład weszli: Jane Weems - perkusja, Sothira Pheng - wokal, Matt Borusso - syntezator i Christopher Douglas - bas. Sothira miał wtedy 15 lat, a Matt Borusso 13 lat. Siedzieli w klimatach PIL/JOY DIVISION/SLITS, w post-punkowej scenie. Zagrali 6 koncertów, swoim pierwszym występem otwierali koncert DEAD KENNEDYS w Barrington Hall, gdzie zagrali również VS i THE WOUNDZ. Jednak po zobaczeniu koncertu BLACK FLAG stwierdzili, że to, co grają jest po prostu nudne. Właśnie wtedy wywarł na chłopakach spory wpływ brytyjski punk - ćwieki, kolce i G.B.H. to była wtedy dla nich definicja punka! Między innymi z powodu ich wyglądu byli postrzegani przez innych załogantów jako street punki. Bardzo ich zabolało, kiedy BLACK FLAG, jeden z zespołów, który wywarł na nich duży wpływ, określili ich, jako kolejny klon THE EXPLOITED.

W owym czasie w Kalifornii naprawdę dziwny był widok naspajkowanych punków. Jednak chłopcy się tym nie przejęli i założyli zespół o nazwie CRUCIFIX. W pierwszym składzie zespołu znaleźli się: na basie Bryce Kanights (skateboarder i później znany fotograf), Christopher Douglas - perkusja, Matt Borruso - gitara i Sothira Pheng - wokal. Po latach Chris i Matt założyli wspólnie zespół LOUDSPEAKER, ale o tym wspomnę jeszcze na końcu tej historii. Najciekawszą postacią z tego zespołu był z pewnością Sothira Pheng. Urodził się w Kambodży, skąd jego rodzice uciekli przed terrorem Pol Pota i Czerwonych Khmerów. Sothira miał wtedy 4 lata gdy cała rodzina osiadła na jakiś czas w Wielkiej Brytanii, by później wrócić do Kambodży. Kiedy miał 8 lat rodzina ponownie uciekła z kraju i zatrzymała się na Tajwanie. Tam przyszły wokalista CRUCIFIX chodził przez jakiś okres do amerykańskiej szkoły, ale w końcu z całą rodziną wyemigrował do USA. W sumie Sothira spędził w Kambodży niewiele, coś koło 6 lat. Mimo tego, te wydarzenia wywarły na nim ogromne piętno. Koledzy z zespołu musieli wysłuchiwać przerażających historii, które Sothira opowiadał im po pijaku... On i jego rodzice próbowali złapać jakiś kontakt z bliskimi, którzy pozostali w Kambodży, jednak jedynym realnym sposobem były poszukiwania przez Czerwony Krzyż w tamtejszych obozach. Jednak nie odnaleźli nikogo – prawdopodobnie wszyscy nie żyli...

Wróćmy do CRUCIFIX. Kapela powstała w sierpniu 1980 roku w Berkeley. Pierwszy koncert zagrali 2 stycznia 1981 roku wraz z zespołem FLIPPER. Wkrótce CRUCIFIX zadebiutowali 12"EP.

Singiel wyszedł w 1981 roku i nosił tytuł po prostu "Crucifix", choć często jest określany również, jako "Capitulation" - od pierwszego kawałka rozpoczynającego tę płytę. Zespół nagrał 5 utworów na przełomie czerwca i sierpnia 1981. Nagrywali się w studiu Toma Mallona w San Francisco. Tom Mallon był mocno związany ze sceną muzyczną w San Francisco. W 1976 roku kupił czterośladowy magnetofon i ze swojej sypialni zrobił studio. Nagrywał sporo okolicznych zespołów, a po latach wybudował dwa własne studia nagraniowe.

Singla wydała malutka wytwórnia Universal Records. Ta dwunastka wyszła w dwóch wersjach - na czarnym i na czerwonym winylu. Ja posiadam w swojej płytotece bootleg wydany znacznie później, jednak na 7"EP i z czarno-białą okładką. Kawałki z tej płyty nie miały jeszcze ostrego politycznego przesłania, z jakiego znany był CRUCIFIX na późniejszych wydawnictwach. Jednak chłopcy już byli mocno wkurwieni na otaczającą ich rzeczywistość! Teksty napisał Sothira. Nie były to jeszcze manifesty polityczne, a raczej dość osobiste teksty o relacjach międzyludzkich. Kawałek "You're Too Old" mówił w sumie o hippisach, którzy zaczęli mentalną rewolucję, a potem stali się za starzy i dołączyli do klasy średniej. Najostrzejszym tekstowo kawałkiem był "Religion Kills" o hipokryzji kościoła i ludzi wierzących w boga.

Niedługo po wypuszczeniu EPki nastąpiło małe przetasowanie w kapeli. Matt, który grał na gitarze, przerzucił się na bas, po tym jak odszedł od nich ich poprzedni basista. Natomiast na gitarę wskoczył nowy nabytek zespołu, Francis James Schmith, znany później jako Jimmy Crucifix. W tamtym czasie Sothira mieszkał w Daly City i pracował na zmywaku. Jego ulubionym zajęciem było budowanie modeli samochodów i czołgów, które potem wysadzał. Miał 18 lat. Basista Matt miał lat 16, mieszkał w Berkeley i chodził jeszcze do szkoły w Art Institute. Perkusista Chris - 17 lat - mieszkał w Emeryville. A najstarszy z nich, nowy gitarzysta, Jimmy (22 lata), mieszkał w Fremont i prowadził własny interes, sprzedając i naprawiając gitary. Pierwszy koncert w nowym składzie CRUCIFIX zagrali 9 stycznia 1982 roku w The Farm, w San Francisco, wraz z CIRCLE JERKS. Brzmieli wtedy już dużo mocniej, ciężej i bardziej politycznie. Przygotowywali nowy materiał...

W 1982 roku kawałek "Steel Case Enclosure" nagrany w Secret Studios, w San Francisco, 3 sierpnia 1982 znalazł się na kompilacyjnym LP "Rat Music For Rat People". Płytę tę wydała wytwórnia Go! Records i oprócz CRUCIFIX znaleźli się tam również D.O.A., DEAD KENNEDYS, FLIPPER, CIRCLE JERKS, BAD BRAINS, BLACK FLAG, T.S.O.L. i inni. W tym samym roku również na kompilacji wydanej przez Maximum Rock'n'Roll pt. "Not So Quiet On The Western Front" znalazł się utwór "Annihilation". Tutaj też przewinęło się sporo kapel, które po latach uznaje się za kultowe, m.in. 7 SECONDS, DEAD KENNEDYS, MDC i wiele, wiele innych.

Jednak najważniejszym wydawnictwem kapeli w roku 1982 był ich singiel 7"EP zatytułowany "Nineteen Eighty-Four". Znalazły się na nim tylko trzy kawałki, które nagrali z marszu w studio Tom Mallona i Rythmic Rivers S.F. Singla wydała kolejna mała wytwórnia Freak Records, a do płyty dołączona była naszywka z hasłem "1984". Tytuł singla oczywiście nawiązywał do książki G. Orwella "1984" i był to swego rodzaju hołd zespołu dla tego pisarza, a zarazem przestroga przed nadchodzącą przyszłością. Sothira nawiązał do dzieła Orwella, ponieważ pisarz przewidział to, co dzisiaj praktycznie się dzieje, a wtedy zaczynało przybierać już konkretne, realne i złowrogie kształty. O ile pierwszy kawałek na singlu "Steelcase Enclosure" nie zrobił wielkiego wrażenia na słuchaczach, to już druga strona singla rzuca wszystkich na kolana! Kawałki "Rise And Fall", a szczególnie "Prejudice", pokazują nowe oblicze zespołu - surowe, czadowe, wściekłe i polityczne. Ten singiel to był przedsmak przed ich pełnometrażową płytą. W międzyczasie grali sporo koncertów m.in. z MDC, BIG BOYS, N.O.T.A., D.O.A., SOCIAL UNREST, TOXIC REASONS, D.R.I., DISCHARGE i wieloma innymi. Grali też koncerty z AGNOSTIC FRONT pod hasłem „Punks'n'Skins". Trzeba pamiętać, że amerykańscy skinheadzi brali czynny udział w tworzącej się scenie hardcore.

Czy CRUCIFIX uważali się za zespół anarcho-punkowy? Owszem. W jednym z wywiadów Sothira powiedział, że wierzy w anarchizm. Wierzy też, że pokój może stać się rzeczywistością. Jako anarchiści starają się robić to, o czym śpiewają i wierzą w to, że to jest szczere i prawdziwe. Mają swoje własne anarchistyczne państwo - swój zespół, przyjaciół i ludzi, z którymi współpracują i działają. Warto więc tworzyć własne kolektywy i myśleć za siebie. I to jest ich anarchia.

Chłopaki z CRUCIFIX byli pod dużym wpływem brytyjskiego CRASS i pisali do zespołu listy! I nie zostały te listy bez odpowiedzi... W 1983 roku, John Loder, dźwiękowiec CRASS i wspólnik prowadzący wytwórnię CRASS Corpus Christi Records pojawił się w klubie Channel w Bostonie. Tam właśnie odbywał się wspólny koncert CRUCIFIX i FLIPPER. Po koncercie chłopaki z CRUCIFIX oglądali w pobliskiej kafejce "Gorączkę sobotniej nocy", gdy pojawił się Matt Borusso i powiedział, że podpisują kontrakt na płytę z Corpus Christi Records. Zareagowali z nonszalancką rezerwą, jednak było to dla nich spełnienie marzeń. Corpus Christi nie wydali wcześniej żadnego zespołu z Kalifornii... Kapela, w składzie: Sothira Pheng – wokal, Jake Smith – gitara, Matt Borruso – bas i Chris Douglas – perkusja, weszła do studia Petera Millera w San Francisco w sierpniu 1983 roku i nagrała 14 utworów.

Płyta „Dehumanization" stała się jednym z najbardziej znanych krążków amerykańskiego peace-punka. Znalazły się na niej znane wcześniej utwory "Prejudice" i "Rise and fall" oraz kupa nowych, które atakowały rząd, społeczeństwo, armię, politykę, przemoc na scenie, mówiły o sytuacji w Indochinach i poruszały wiele aktualnych problemów jak choćby wyścig zbrojeń. Tę płytę otwierało, jedno z najbardziej poruszających peace-punkowych, intro do kawałka "Annihilation", które kończyło się słowami: To twój wybór... Pokój albo zagłada!

Szybkie kawałki, sfuzowane gitary, d-beatowe uderzenie, szczekający wokal Sothiry i bezkompromisowe teksty uczyniły ten krążek jednym z najważniejszych w historii hardcore-punka. Aż 14 utworów w 23 minuty! Ruth Schwartz tak napisał o „Dehumanization" w 1983 r. w numerze 10. „Maximum Rock'n'roll": „Tak! Non stop morderczy thrash, który spala wszystko na swej drodze. Ci chłopcy zrobili kawał dobrej roboty umieszczając większość swojego koncertowego repertuaru na tej płycie, w tym kawałki z ich singla „1984". Warstwa dźwiękowa i tekstowa wpada w ucho bardziej i bardziej po kolejnych przesłuchaniach tej płyty. No i ma bardzo ładnie zrobioną rozkładaną okładkę w klimacie CRASS. Nie przegap tego!". Wielu ludzi nie przegapiło tego krążka, a po latach covery z tej płyty zagrali m.in. AUS-ROTTEN, VARUKERS, a nawet SEPULTURA! Gitarzysta Jake Smith odszedł od zespołu po nagraniu płyty, a jego miejsce zajął Drew „Lippy" Bernstein. Drew w 1985 roku założył znaną firmę o nazwie Lip Sernice, sprzedającą modne ubrania dla punków i gothów o. W fanzinie „Flipside" został wybrany na Największego Dupka Roku, hehehe... 19 sierpnia 2014 roku znaleziono Drew martwego.

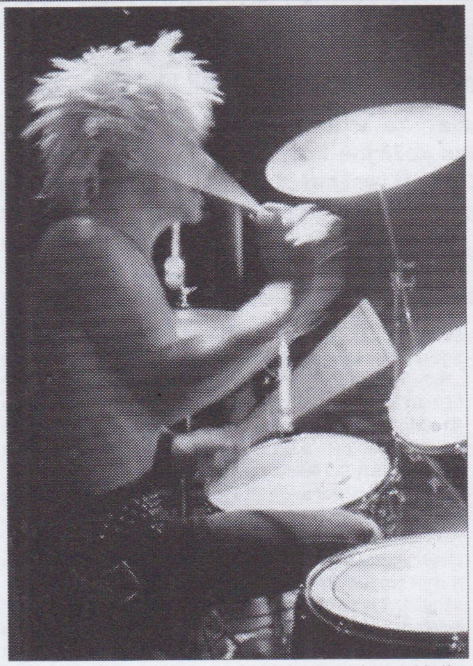

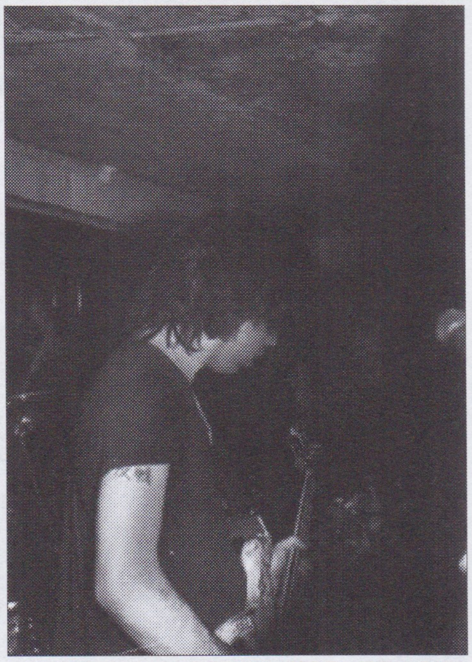

Popełnił samobójstwo, strzelając sobie w klatkę piersiową...
CRUCIFIX rozpadli się 13 lipca 1984 r. po długiej trasie po Stanach, Kanadzie i Europie. CRUCIFIX stali się bardzo popularni w Europie, a szczególnie w Wielkiej Brytanii, zwłaszcza po trasie, na której grali wspólne koncerty z ANTISECT i AMEBIX. Amerykanie mieli grać tę trasę wraz z MDC, jednak niestety zespołu nie wpuszczono do UK. CRUCIFIX zagrali w Nottingham, Leeds, Birmingham, Londynie, Brighton, Bristolu. Chyba najlepszy koncert dali na skłocie Old Ambulance Station na Old Kent Road w Londynie. Zespół był pod wielkim wrażeniem europejskiej sceny – mnóstwo zaangażowanych ludzi, skłoting, świetne kapele. Wkurzyli się nieco, gdy CRASS grał koncert nieopodal miejsca, w którym sami grali... Nie udało się zobaczyć ich na żywo, choć z drugiej strony chłopcy z CRUCIFIX przez jakiś czas przebywali w komunie CRASS, co było spełnieniem ich marzeń!
Niestety zespół się rozpadł i każdy z członków poszedł swoją drogą... No, może nie każdy, bo Matt Borusso i Christopher Douglas dołączyli do zespołu LOUDSPEAKER. Kapela pochodziła z Nowego Jorku i grała noise rock. W skład tej grupy wchodzili: gitarzysta Kurt Wolf (PUSSY GALORE), basista Jens Jürgensen (BOSS HOG), a nieco później basista Charles Hanson (THE NORMALS i CHROME CRANKS). Chrisa Douglasa zastąpił po jakimś czasie perkusista Martin Köb (CIRCLE X, DUSTDEVILS, DRUNK TANK). Zespół wydał trzy płyty i sporo singli w latach 1990-1996.
W 1997 roku amerykańska wytwórnia Kustomized Records wydała LP CRUCIFIX „Exhibit A", na którym znalazły się nagrania z ich 12", singla, dwóch kompilacji oraz z koncertu w CBGB, który zespół zagrał 7 stycznia 1984 roku.
W 1994 roku album „Dehumanization" został wznowiony przez brytyjską wytwórnię Southern Records, a na kasecie wydało to nasze Nikt Nic Nie Wie.

Sothira Pheng i Jimmy Crucifix założyli w San Francisco w 1988 roku zespół o nazwie PROUDFLESH. Swoją muzykę określali jako hard punk rock'n'roll. Występowali w składzie Sothira – bas i wokal, Jimmy – gitara, Tony Short – perkusja. W tym składzie nagrali pierwszy singiel „Power Broker". W 2006 roku wydali debiutancki CD z nowym perkusistą Erikiem Lannonem (MORDRED/ THE BAY CITY ROLLERS). Rok później zagrali dwie duże trasy po Niemczech i Japonii. Zespół zawiesił działalność w 2010 roku. Jimmy Crucifix grał ponadto w kilku innych projektach, m.in. w FANG czy THE ALBINO ASSASSINS.
W 2014 roku, z okazji 30-lecia wydania przez Corpus Christi Records płyty „Dehumanization", Sothira Pheng i Jimmy Crucifix zmontowali nowy zespół o nazwie 1984 i ruszyli z koncertami. Zagrali w składzie Sothira – wokal; Jimmy – gitara; Chris – gitara/ wokal; Henry – bas; Nate – perkusja. Jednak nie był to reunion CRUCIFIX, tylko cover band grający numery z legendarnej płyty „Dehumanization". A dlaczego nie reaktywowali CRUCIFIX? Sothira: „Gdybyśmy nazwali ten projekt CRUCIFIX, to musieliby być w nim oryginalni członkowie zespołu."
Od wielu lat pojawiały się pytania o reaktywację CRUCIFIX, jednak Matt Borruso i Chris Douglas są zajęci dziećmi i swoimi karierami...
1984 zagrali swój pierwszy koncert 14 czerwca 2014 w Observatory w Santa Ana wspólnie z FINAL CONFLICT i DR KNOW. Wiosną 2015 roku dali 6 koncertów w Japonii.
CRUCIFIX wydali tylko jedną dwunastocalówkę, jeden singiel i jeden album oraz zamieścili dwa kawałki na kompilacjach. Jednak to wystarczyło, by na stałe zapisali się w świadomości anarcho-punków na całym świecie. Ich nagrania pojawiły się też na kilku bootlegach, jak choćby na 7" „Capitulation", o której wspominałem powyżej. Posiadam też kompilację „Off To War vol. 2", wydaną przez Half Of Frame Records w 2006 r., na której obok singli THE FIX, REFLEX FROM PAIN, N.O.T.A., THE FARTZ, BAD BRAINS, znajdują się nagrania CRUCIFIX z singla „1984". Mam też w swojej kolekcji piracki LP wydany w 1996 r., na którym znajdują się nagrania CRUCIFIX z koncertu w Brighton Academy z 1984 roku, a na drugiej stronie piraci wsadzili świetny album belgijskiego zespołu ZYKLOME A. Zresztą tych kompilacyjnych kompaktów i winyli kilka wyszło... Chyba najbardziej warty odnotowania jest split singiel 7"EP CRUCIFIX/ PATARENI. To chyba nie jest bootleg, chociaż podejrzewam, że chłopcy z CRUCIFIX średnio sobie zdawali sprawę z wydania tego singla... Na stronie Amerykanów znajdują się trzy kawałki koncertowe z roku 1984 roku.
W 1998 roku niemiecka wytwórnia Plastic Bomb wydała tribute to CRUCIFIX, kompilację LP zatytułowaną „Protest Means Action: The Need Of A New World Disorder". Znalazły się na niej międzyinnymi takie kapele jak DIAVOLO ROSSO, UPRIGHT CITIZENS, RECHARGE, WWK, AUS-ROTTEN oraz grupa MUFF POTTER z samym Sotirą na wokalu! Rok wcześniej kompilacja ukazała się na CD.

Wspominałem już wiele razy w tym tekście, że CRUCIFIX to kultowa kapela. Faktem jest, że byli jednymi z pierwszych w Stanach i ta ich anarcho-punkowa rewolta pociągnęła za sobą wielu punków, którzy sami zaczęli zakładać nowe kapele. Na pewno pod dużym wpływem CRUCIFIX były takie kapele jak FINAL CONFLICT, również z Kalifornii, który powstał w 1983 roku; CHRIST ON PARADE z San Francisco – zaczęli w 1985; ICONOCLAST – także kalifornijski zespół... To tylko w samej Kalifornii, a jaki wpływ na scenę anarcho-punk na świecie mieli CRUCIFIX? Myślę, że do dzisiaj są niezapomnianym zespołem na scenie DIY i wciąż wywierają wpływ na kolejne pokolenia anarcho-punków. Pamiętajcie: It's your choice! Peace or annihilation!

Oprac. Pablo

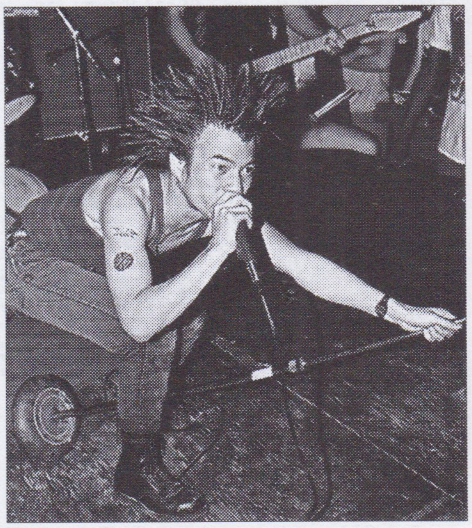

PUNK ROCK ZMARNOWAŁ MI ŻYCIE, VOL. V

W poprzednim numerze „Chaosu" ostatnie zdania mojej sagi to: „Jak się uda, to widzimy się w piątej części składankowych bogactw…". Udało się, bo chylę się nad klawiaturą, by podać wam kolejne kompilacyjne zestawienie. Niemałą liczbę składanek opisywałem w poprzednich latach w „Pasażerach". Z racji ważności wielu starych tworów Various Artists dla światowej sceny punk, z pewnością miałyby one i tu swoje miejsce, ale opisywanie ich po raz kolejny po pierwsze mijałoby się z celem (bo jeszcze może rozjechałbym się z faktami – wiedza się poszerza i na przykład pewne fakty nieznane w przeszłości, a dzisiaj wiadome, chwiałyby wiarygodnością recenzji), a po drugie – lepiej poszperajcie w zbiorach, jeśli te „Pasażery" macie, bądź w portfelu i kupcie archiwalne, a dostępne, numery.

Dlatego bez sensu byłaby w tym miejscu kolejna recenzja przykładowo tak ważnej jugolskiej kompilacji jak „Hardcore Ljubljana", belgijskiej „Alle 24 Goed", czy encyklopedii punk z Finlandii „Hardcore `83". Ta ostatnia pozycja wciąż się ukazuje w cyklu następujących po sobie dekad. Zatrzymam się jednak przy tym tytule na chwilę, by niejako zamknąć wspomniany cykl. „Hardcore `83" to pierwsza i najważniejsza, a zarazem najlepsza, składanka tej serii. Opisywana w „Pasażerze" była jej reedycja właśnie, podobnie jak i najsłabsza „Hardcore `03". Najnowsza, „Hardcore 013", w najnowszym periodyku z Dębicy znajdzie swoje miejsce, póki co pominę milczeniem jej jakość, ale żeby nie robić wyrwy w tych klockach, to należy kilka słów powiedzieć o drugim indeksie, czyli „Hardcore 93". Wyszła jako fiński łącznik i chyba ukłon w stronę złotych czasów hałasu tego kraju, coś na zasadzie: Punk Not Dead - wciąż tu jesteśmy! Bardzo dobry pomysł, jak nadmieniłem, do dzisiaj kontynuowany. Szczerze mówiąc – płyta jest średnia. Na pewno lepsza niż „Hardcore 03", ale killerem nie była i nie będzie. Strona pierwsza to najpierw HAZARDOUS WASTE. Cztery niespecjalnie jadowite kawałki. Na koncie jeden autorski singiel i pojedyncze tracki na kasetach. Gdyby ktoś miał do przegrania kasetę „The Finnish Invasion, Vol. I" z nimi także, to jestem pierwszy w kolejce. HARTAUS to nieznany mi bardziej zespół też w czterech kawałkach, ciężko będzie ich zapamiętać po tym występie. INVAASIO to trzy razy punk, mam ich singla nakładem Free Animals (dobry label, na stanie SATKYNUKKE, KLAMYDIA, KUMIKRISTUS, TURUN TAUTI). Stronę w trzech odsłonach zamykają WIND OF PAIN, znani w Polsce crustowcy z całkiem sporą dyskografią. Powszechnie dostępne Malarie wydało ich LP "Worldmachine", ale my mamy ich przede wszystkim na split singlu z załogą z 3-City: MONEY DRUG. Zamieszczone nagrania są w zasadzie z początków ich nieznacznej kariery, ale dają radę. Po przewróceniu talerza najpierw 4xFLESHDANCE: wydali singla, czy dwa, ja zapominam o nich od

razu, pachnie tu rockiem momentami. Kolejni to CONTRADICT x 3, bez większej dyskografii. W Finlandii wciąż tanio do dostania V/A z nimi, całkiem przystępna: „Cream of the Crap". Lepiej robi się pod koniec. OLOTILA wydała w PL swoją kasetę z disko. Na stanie 10", split EP z FC EKA WEKARA, ale najlepszy jest ich autorski singiel „Oy Imatran Voima", gdzie „Tulevaisuuten" to przeca „Ku Przyszłości" DEZERTERA! Zresztą pokazali się na 2xCD „Nie Ma Zagrożenia" z coverami DEZERTERA właśnie. Na stanie też udział w składankach, w tym z SILNĄ WOLĄ i GUERNIKĄ Y LUNO. Żeński wokal, saksofon, bardzo fajni, oprócz Polaków coverowali też KAAOS, RUDI PENI, X-RAY SPEX. Placek zamykają drunkersi z UUTUUS. Szybki, chaotyczny i jazgotliwy thrash punk. 5 kawałków w tym cover KANSAN UUTISET. Warto szukać ich singli (wyszły dwa) i LP „Loppu En Lahella" nakładem Genet Records. Kapela pod dużym wpływem KAAOS: muzyki, wyglądu, no i niestety picia. Mam ich także na jednej składankowej EPce z SANCTUS IUDA także. Scream Records z górą dwudziestu lat temu wypuścił był na kasecie UUTUUS właśnie wraz z FORCA MACABRA i SELFISH, wszyscy grali w Polsce i był czas, że… mieli swój czas. Wytwórnia Assent nie powaliła niestety okładką, kaprawe foto, słaby fold out papier, na zagięciu mini fotki i kontakty do zespołów. Nie wiem jak jest z insertem, czy był? Bo ja nic nie mam. W zasadzie wygląda to jak jakiś tani bootleg. Ogólnie obsrywy tu nie ma, ale kto lubi Finlandię, ten mieć to musi bez dyskutowania. Nie sądzę bym żył zbyt długo, ale jeszcze ze dwie edycje „Hardcore…" mógłbym chyba usłyszeć… Zastanawiam się, co pierwsze zdechnie: punk czy ja? Umówmy się, że po zrecenzowaniu „Hardcore 013" w „Pasażerze" będziemy mieli opisany cały dotychczasowy

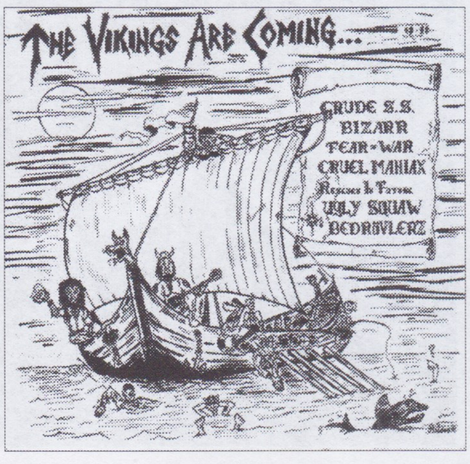

RIISTETYT

cykl; czy dotrwamy do kolejnej recenzji, czyli „Hardcore 23”? Sam jestem ciekawy.

No, ale skoro dotknęliśmy wreszcie kraju, z którego pochodzi najlepsza punkowa muzyka, która kiedykolwiek się pokazała, absolutnym brakiem taktu z mojej strony byłoby pominięcie kluczowej dla tego miejsca składanki, pomimo na pozór dziwnego faktu wydania tejże w Niemczech. Jeszcze wówczas lubiana Rock O Rama Records z Niemiec w 1984 roku, a więc reagująca na bieżąco, wypuściła krążek „Finnish Spunk/ Hard Beat” LP (indeks RRR 41), na rzekomej licencji Propaganda Records nr 4, ale kto tam wie, jak z tymi licencjami było. Herbert z RRR znany był z tego, że wydawał rzeczy bez zgody kapel, więc czy Vilenius z Propagandy dał mu licencję, to jest aktualne pytanie do Fina, bo Krentz definitywnie odszedł z tego świata. W tym roku nakładem Svart Records wyszło w końcu wznowienie tego placuszka, nigdy nie widziałem, by Propaganda dała temu światło dzienne. 21 lat temu po kilku miesiącach oczekiwania via Strzała z ROTTWEILERA dostałem w końcu paczkę z przegranymi kasetami od Fakira, gdzie w/w tytuł miał swoje miejsce. Co to były za czasy, gdy tytuły kawałków spisywało się długopisem na kartkach! Moja wiedza muzyczna znacznie się wtedy poszerzyła, a na oryginał musiałem znacznie dłużej poczekać, by ostatecznie drogą wymiany za „Birdskit 1” wejść w posiadanie omawianej pozycji. Co prawda z fotokopiami wkładki zamiast oryginału, ale pozycja jest (w zasadzie była do tegorocznego wznowienia) trudno osiągalna, więc i tak się cieszyłem. Ze dwa lata temu ktoś z Krakowa puścił to na Allegro, też bez wkładki i dość zużytą w sumie. Kupiłem na zapas, sprzedałem praktycznie po kosztach Refuse`owi. Lepiej żeby to nie pleśniało w przypadkowych rękach. Tyle dygresji.

Co na krążku? Ówczesna fińska (powiedziałbym z przekąsem, że światowa, ale to już byłoby nadużycie) czołówka hardcore punk. Z wielkich nie ma zasadniczo tylko RATTUS (to zresztą niemal reguła w Finlandii tamtych dni. Czemu? Nie wiem…). Zaczyna RIISTETYT w dwóch kawałkach, omawiany przeze mnie przy każdej możliwej okazji chyba z kilkaset razy, aktywni do dzisiaj, rzekłbym – potężni. Po nich dwa razy BASTARDS, na koncie 2 LP, mordercza EP i wznowienie kasety na LP. Czekam, kiedy się zbiorą na jakiś come back. Tylko kto na wokalu? Sid czy Lahti? Wolałbym dzikusa z singla, ale z pewnością w tym wieku musiałbym się rozczarować jego gardłem, bo nie wierzę, by facet w okolicach pięćdziesiątki był w stanie wykrzyczeć ten ogień w stylu znanym ze starego krążka. HIC SYSTEEMI uderza tylko raz. Mam ich LP „Slut”, gdzie nieco mniej dziko się prezentują (jeżeli dobrze pamiętam, gdzie ta płyta jest?!). Oprócz tego LP w tym roku Propaganda wydała ich CD z większa ilością materiału, może będzie i LP z tego? KAAOS też tylko raz, ale „Uskonsota”, czyli „Święta Wojna”, nadrabia zaciętością. Jedna z największych legend Finlandii, w zasadzie poza możliwością ponownego ujrzenia od śmierci Jakke, stuprocentowego punkowego krzykacza. DESTRUCKTIONS również jedno ujawnienie, szukajcie ich LP wydanego w Hoehnie Records kilka lat temu, tam obok jedynego LP „Vox Populi” są też nagrania demo, warto. VAURIO razy dwa. Na stanie LP i EP, mały krążek wyszedł w Feral Ward kilka lat temu, bo w 83 miało się toto ukazać, ale nie wypaliło do końca. POIKKEUSTILLA jeden kawałek, nagranie live czy z próby. W zasadzie tylko na składankach wychodzili, dobry, krzykliwy punk, trzeba by zebrać co jest do kupy i pchnąć na longu. Stronę zamyka RAPPIO, dziwna rzecz, jakieś pianino, czy fortepian, praktycznie bez wokalu, lekka gitarka. Trwa to minutę, zapchajdziura, nie wiem po co. Na stanie EP z dwoma kawałkami, których nie słyszałem. Na drugiej od razu atak: APPENDIX w „Pajnajainen”, czyli „Koszmar”. Świetne, agresywne, melodyjne; grają do dzisiaj. Dwa lata temu wyszedł ich CD, którego nie słyszałem, a w tym roku split EP z KORROSIVE z okazji trasy w USA, ale w takim nakładzie, że praktycznie jest nie do zdobycia; w dodatku strona podaje, że to format lathe cut - nie wiem o co chodzi! VARAUS w brutalny sposób kręci pogo dwa razy, ich płyty wychodziły własnym sumptem w małych nakładach, za 1000 zł można każdą dostać, ale łatwiej znaleźć „1/1” LP nakładem Feral Ward, żadnie wydane. Po rozpadzie, w opcji metal trochę pociągnęli jako VENDETTA. Wokalista niestety też nie żyje. KLIMAX razy dwa. Oprócz składanek po latach Assel z Niemiec wydał ich doskonały LP „84-85”, koniecznie! LAHDEN RAIVAUS na plackach wyszli tylko na składankach, lubię ich. Mam ich też bodaj na VHS Puntala 83, ale nie oglądałem dawno, pora jakoś przerzucić na DVDR. NUSSIVAT NUNNAT objawił się światu jeszcze oszczędniej, bo tylko w tym „Mikkeli Uber Alles” kawałku, przy czym Mikkeli to miasto w Finlandii. TAMPERE SS razy dwa, swoją nazwę dzielą z nazwą SKITZO i te kawałki ukazały się na EPce jako SKITZO w 2000 roku, ale nagrano je w 1984. Nie mam tego krążka i gdyby ktoś się go pozbywał, to kontakt przez redakcję. 013 to jeden z najoryginalniejszych zespołów Kraju Jednego Tauzena Jezior. Zasadniczo jeden LP, wciąż do zdobycia jego reedycja. Parę lat temu wyszedł ich CD z kilkoma kawałkami, słyszał to ktoś? Na zakończenie live TERVEET KÄDET bije w twarz dwa razy: „Czarny Bóg” i „Dziwny Kraj”, coverowany przez CASTET. Thrash as fuck, dobre zakończenie krążka. Świetna płyta, zawarta wiedza o tym kraju jest niemal encyklopedyczna, praktycznie non stop punkowy atak bez zatrzymywania się; koniecznie szukajcie tegorocznych wznowień Svart, są tam dodane podobno jakieś reprodukcje dwóch plakatów z epoki. Aż dziwne, że do tego roku oficjalnych repressów nie było, kilkanaście

APPENDIX

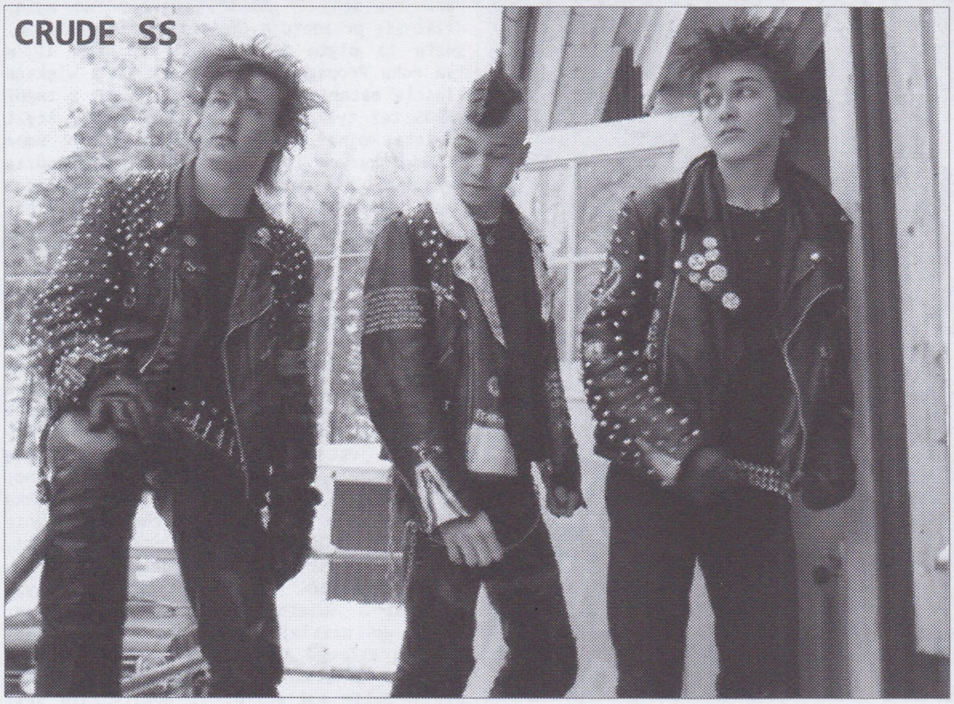

lat temu ten sam materiał jakiś szpenio wydał pod tytułem „Hardcore holocaust”, nawet z jakimś insertem.

Sąsiedzi zza miedzy, w przeszłości okupanci Finlandii, w roku 1985 przekazali światu nowinę, że „The Vikings Are Coming”! Uproar Records wydał składankę ze Szwedami, co by nie stać w tyle, na przykład za reprezentantami kraju, o którym powyżej. To była bodaj druga pozycja w katalogu wytwórni, po singlu CRUDE SS, jeżeli się nie mylę, choć widziałem i kasetę z nr Uproar 01, hmmm…. No dobra, tutaj niby 8 kapel, lecimy po kolei. Najpierw FEAR OF WAR w trzech kawałkach, lekko, melodyjnie i sympatycznie, chyba kolo z BESTHÖVEN jest ich crazy fanem, jeśli dobrze pamiętam z „Chaosu” właśnie? Jeden kolo z tej kapeli musiał być też członkiem BEDROVLERZ, bo na fotce jest nawet identycznie ubrany. Dawno temu w Mexico wyszedł CD „Ultra Hard-Core Records” z gamą świetnych zespołów, obok FEAR OF WAR War pokazała się też i TZN XENNA, tyle o naszych koneksjach. W tym roku wyszedł zbiór ich nagrań „Warsongs 1985-1987” LP, ja kupiłem u Kudłatego. RESCUE IN FUTURE to pięć dynamicznych, ale i leciutkich, zaśpiewanych a nie krzyczanych piosenek wręcz, znam ich tylko z tej kompilacji. THE BEDROVLERZ prezentuje się w trzech odsłonach. Na pierwszym ryczą krowy, pieją koguty, co się dzieje? Wokal zdarty, robi, co trzeba, dobrze jest. Zadebiutowali rok wcześniej split kasetą z ASOCIAL „How Could Hardcore Be Any Worse?”, znajdziecie ją na blogach. Oprócz tego chyba tylko składanki, w tym z MOSKWĄ i DEZERTEREM ramię w ramię. Na koniec RASTA BOYS w jednym tworze, podejrzewam, że to jakiś zespół żart, na zasadzie PROTES BENGT, nie ma kontaktu, nic o nich nie wiadomo, zaczynają motywem reggae, by później rozpędzić się jak trzeba, całkiem sympatyczne, prosiłbym o więcej, gdybym miał kogo. Nie są wymienieni ani na pierwszej ani na drugiej stronie okładki, nie ma ich zdjęcia, chyba jednak nie istnieli tak naprawdę. Druga strona to dwa razy UGLY SQUAW, dość wolne patenty, deklamujący wokal, czasem solóweczka. Na koncie dwie kasety i 7”EP z `87, poza tym kilka ujawnień na składankach. Czuję sympatię. CRUEL MANIAX jest trzy razy zaprezentowany. Pamiętacie ich z kasety „The Core of Sweden 81-96” wydanej u nas przez Czerwonego Diabełka? Wyszli jeszcze na wydawanych przez siebie dwóch kasetach i jednej split EPce z NO SECURITY. Szybciej i mocniej niż poprzednicy, więcej w tym hardcore`a, miło. BIZARR też trzy kawałki, zadebiutowali rok wcześniej na składance „Birdskit I” LP i w zasadzie tylko na kilku składankach chyba się pojawili, szkoda, bo to fajna kapela była. Interesujący wokal, taki jakby melancholijny, fajne tempo kawałków, polecam ich, bo jak dla mnie to jeden z najfajniejszych zespołów tutaj. Na koniec najsmaczniejsze trzy kąski: najlepiej wyglądali i najlepiej grali – CRUDE SS! Wreszcie nie ma miękkiej gry, jest napieprz, no i git! Cała płyta fajna bez dwóch zdań, nie ma tu zbyt wielkiej agresji, jest taka jakby lekka w odbiorze, muzyka wręcz namacalnie płynie, dodatkowo wokale nie są zbyt agresywne – w tym elemencie Finlandia swoimi podobnymi rocznikowo składankami nokautowała Szwecję. Szwedzi pewnie się obrażą i wskażą serię „Really Fast”, ale to inna okazja i inna gadka. Tej płyty szukajcie, sąsiedzi się nie obrażą, jak się z nią będą zapoznawać.

Sporo śpiewanego po angielsku, a nie szwedzku, to minus. Plus jest taki, że poczytać można całkiem sporo ciekawych tekstów, że wspomnę choćby CRUDE SS „Bullying a Nation”, w którym generalnie śpiewają o Polsce: SS, CCCP, Walesa, Popliuskos (w sensie Popiełuszko),

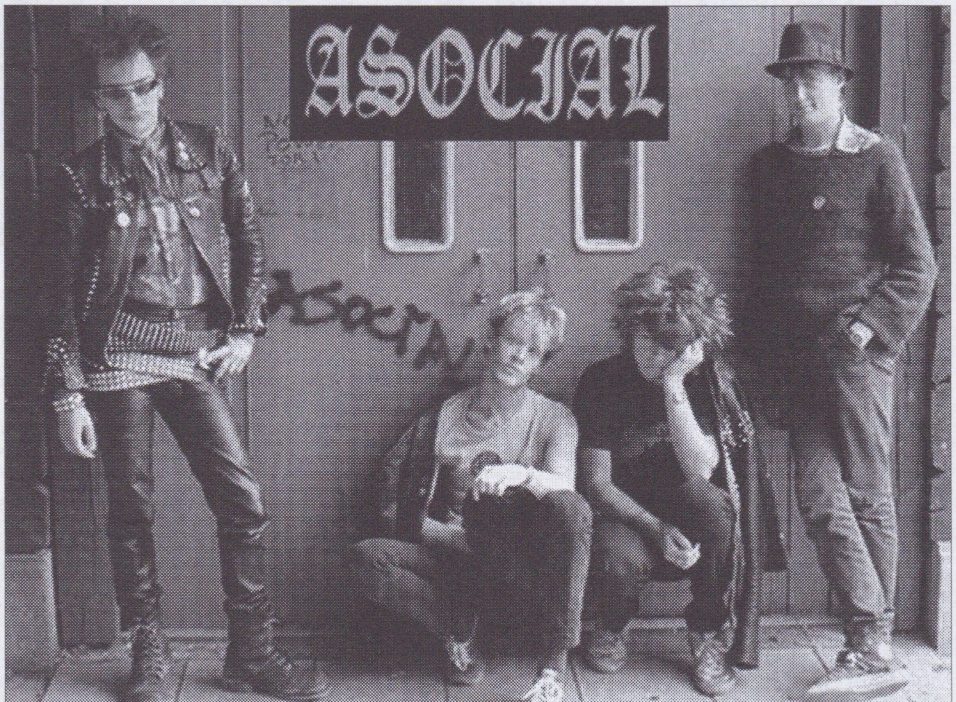

Katowice, Warszawa, Chopin, Gdansk, etc., warto poczytać, by wiedzieć choćby, że nasza historia interesowała kogoś wieki przed Sabatonem. Okładka rozkładana, zdjęcia zespołów, kontakty, teksty utworów. Sama okładka w formie jakby drzeworytu, gdzie łódź z napisem Viking Line pełna jest muzykujących punków, a ucieka od niej przerażony rekin z flagą USA na płetwie, wszystkiemu zaś dyskretnie przypatruje się u-boot na peryskopie, którego widnieje skromny symbol CCCP – co jest ciekawe w kontekście tegorocznych poszukiwań niewielkiej jednostki podwodnej kręcącej się po szwedzkich wodach terytorialnych niedaleko Sztokholmu, złośliwi mówili, że mógł to być okręt kraju CCCP… Oryginalnie był też dodany 3# „Uproar zine” z wywiadami i dodatkowymi informacjami o zespołach, które wzięły udział w tej kompilacji, mój brak chętnie bym nadrobił jakąś kserokopią, gdyby tylko ktoś mógł się podzielić. W Brazylii w 1987 roku pod agendą New Face Records wyszedł 2xLP pod tym samym tytułem, jako gatefold, z nieco inną kolejnością utworów.

Dbając o równowagę między sąsiednimi krajami proponuję podskoczyć teraz kilka lat do przodu i przyjrzeć się dość znanej szwedzkiej składance pod wiele znaczącym tytułem „Hard-Core for the Masses”. Płyta, podobnie jak i powyższa, przed chwilą omawiana, ukazała się w wytwórni Uproar, tu z numerem 6, ale już mamy rok 1988. Tytuł był zainspirowany „Music for the Masses” Depeche Mode, którym za to serdecznie dziękujemy. Zwróćmy uwagę na wspomniany rok wydania, i nagrania tych kawałków w sumie. Wychodzimy ze złotej ery hardcore punk, za którą uważam lata 80-86, to co było później zasadniczo odstaje in minus, niestety. Widać to na przykładzie tej składanki, gdzie nawet zespoły, które zaczęły grać wcześniej już odmienną nutę pokazują. Czasami wygląda to tak, jakby około tego roku kapele nauczyły się grać i odeszły w końcu od prostego, ale bardziej czadowego, thrashowego punka na rzecz instrumentalnej finezji i komponowania bardziej złożonych numerów. Jak dla mnie – całkiem niepotrzebnie. No, ale co na płycie? G-ANX, czadersi, ale oryginalni, gdzieś dawno temu czytałem, że przebierają się na scenie w hipisowskie ciuszki, ale nie wiem czy to nie był joke, albo jakiś incydent. Właśnie w distrach pokazał się ich 2xLP z kompletem nagrań, 36 kawałków w sumie, nagrania z płyt, prób, demo, cover DISCHARGE. Po nich STREBERS, jeden z bardziej popularnych bandów tamtych czasów. Miałem ich MLP „Oga for Oga” – poszedł do Adzia Golibrody z CYMEONA X, jakoś mi nie podszedł, teraz chyba żałuję. Spora dyskografia, pokrewni ASTA KASK, to chyba wystarczająca rekomendacja. Perkusista zginął w wypadku samochodowym w `92 roku. TRIBULATION, słucham ich tylko tutaj, jakiś heavy metal mi tu śmierdzi. Zaglądam w sieć i tam wskazówka, że brali udział w V/A „Is This Heavy Or What?” EP, no to coś wyjaśnia… MARTIAL MOSH, nieznacznie w podobnym stylu, skromne disko i nie żałuję, że nie ma tego więcej, nużą. ASOCIAL, potęga! Tych z kolei lubię. I oni akurat wydali niemało. Za jednym zamachem skombinujcie sobie CD „Total

G-ANX

Asocial", bo kawałków tam jest kilkadziesiąt, albo bootleg „Revolt", gdzie jest też niemało. Ten jeden zamieszczony tutaj już jest z `88 era, czyli technika bierze górę, ale te stare nagrania - malina! UGLY SQUAW opisywałem przed chwilą, do nazwy dodali sobie FORFLUTNA, kawałek przyjemny z anti McDonalds tekstem. NIHILIST to death metal, z którego później wykluł się ENTOMBED i to chyba tłumaczy, dlaczego ich nie znam. Jeden song, dość. W `88 słuchałem jeszcze trochę podobnej nuty, ale te czasy odeszły. Stronę zamyka 16 BLASARE UTAN HJARNA, spora dyskografia: kasety, siódemki, LP, CD, niemało składanek. Ten numer do mnie nie przemawia do końca; średniawy, choć coś w sobie ma. Nie mam ich w większej dawce, może pora to nadrobić? Na drugiej stronie najpierw KAZJUROL, myślę, że dobrze znany zarówno punkom, jak i metalowcom (w końcu to crossover!). Brali nawet udział w „Tribute to Venom"! Chyba ujawnili się najpierw na kasecie z innymi Szwedami: „Egg-Mangel" obok RAPED TEENAGERS, DISARM, KRUNCH, SVART PARAD, RÖVSVETT… Jedyny LP to „Dance Tarantella" z 1990. Podejrzewam, że stara załoga zna go doskonale. A czy Ryżko nie puszczał KAZJUROL w „Niecałym Rocku"? Bo na pewno puszczał FILTHY CHRISTIANS. Szkoda, że tu jest tylko jeden ich kawałek, bo to mocny punkt tego zbioru. Ich jedyny LP „Mean" wyszedł w Earache Records w `89. Jak to się stało, że też sprzedałem go Adziowi za koszt nabycia chyba? Musiałem mieć jakiś zły okres, a Skiniec za to - dobry zakup. Na longu jest w dodatku cover MOB 47. Na stanie jeszcze split EP z G-ANX i kawałki na składankach. Ostra rąbanka, później kapkę w metal próbowali przejść, tu jest jeszcze czysty punk, grind - ale punk. HAPPY FARM wydali 3 single, których nie słyszałem i split kasetę z CRUEL MANIAX. Więcej melodyki niż u poprzedników, dwa całkiem miłe kawałki, choć pazura niewiele. TOTALITÄR za to nadrabia brak tego pazura dwukrotnie! Każdy znający Szwecję zna i TOTALITÄR, masa singli i kilka LP na stanie, w tym splity z DISCLOSE, DISMACHINE, TRAGEDY, DROPDEAD. Błyszczą na tym placku. S.L.R. (czyli SKRUMPLEVER) znam tylko stąd, pokazali się na jeszcze jednej CD składance, agresywni, trzeba brać ich poważnie, nie ma żartów. DROSS to dziwny wokal i dziwna muzyka, bardziej na jakąś Francję pasują niż Szwecję: to ma być scandi? Wydali dwie kasety, zaistnieli też na „Really Fast Vol. 4", nie polecam. LIBRESSE to podobny temat początkowy, by rozkręcić się na bardziej żywe tempa, co odbieram z korzyścią. Jeden longplay na stanie w 1987, nie słyszałem. DISACCORD na sam koniec pozostawiają dobre wspomnienie: mocna muzyka i ciężki wokal, mam skojarzenia z kolei z kapelami norweskimi, naprawdę dobrzy. Szukam bootlegu, gdzie obok nich na LP jest też demo DISORDER z `80 i TOTAL ARMSVETT (pre DISARM). Na stanie zasadniczo kasety. I to już koniec. Okładka debilna - jakby dziecko kredkami narysowało potwora. W dodatku, to już full kolor, co też o czymś świadczy, zdecydowana większość dotychczas omawianych nie raziła w oczy zbyt bogatą kolorystyką. Z tyłu zdjęcie Włodzimierza Majakowskiego, któremu też jest ta płyta dedykowana, podobnie jak jakiemuś Torbjorn Safve, innemu szpeniowi o ksywie Morrisey i równie nieznanemu mnie artyście zwącemu się Jello Biafra. W załączeniu solidny booklet ze zdjęciami, kontaktami, tekstami i czasami krótkimi notkami o zespołach. W założeniu long miał pokazać obraz szwedzkiej sceny tamtych czasów i jeżeli istotnie oddawał, to już wiadome jest, że w `88 nie warto było się za nią pokroić, choć nie śmierdziała do końca. W każdym bądź razie, pomimo że dość popularna to płyta, to potwierdza moją tezę o złotych czasach 80-86, co późniejsze - to słabsze.

No, ale żeby nie znęcać się nad Szwecją i skoro Finlandia wygrywa tu jakościowo, to niech chociaż ich sąsiedzi mają w tym numerze przewagę ilościową. Wróćmy w lata wcześniejsze, więc teoretycznie z zasady ciekawsze. Mamy rok 1984 i składankę „Birdskit I" wytwórni Birdskit właśnie, znanej z tego, że w zasadzie wydawała materiały CHARTA 77 (z tego dorobku mam jeno jeden singiel). Najpierw 5 x BIZARR, świetne, melodyjno-thrashowe kawałki, leciutko zaśpiewane, naprawdę extra! Jeden kawałek o Moskwie i KGB jak widzę, jeden o ajatollahu, czyli Iran. Jakaś polityka w tym być musi. Podobnie jak i być może w „Nya Auschwitz" i trzech innych kawałkach kolejnej kapeli: SLAM. Najpierw szczekają psy, później gówniane intro z jakąś przemową, na szczęście po chwili grają jak należy. Ekipa ta miała dość ciekawą historię, przez kilka lat działalności w latach osiemdziesiątych wydała parę pozycji: kasetę, siódemki, czy LP; wydany przez nich samych "Ingens Slav" mam na swojej półce. Ale jeden z ich LP wyszedł też w Stanach, można przy tym zauważyć, że na amerykańskim gruncie odnieśli coś na kształt sukcesu. W 1986 mieli tournee po Stanach, gdzie grali z CIRCLE JERKS, SNFU, GANG GREEN… co nie było czymś powszechnym dla kapel z Europy. Byli jednym z pierwszych skate punkowych zespołów w Europie, pokazali się na kilku klasycznych składankach: "Really Fast", "Chaos In Europe", "Thrasher Skate Rock", na paru kasetowych m.in. z DEZERTEREM i REJESTRACJĄ. Czasem szybka galopada, czasami jadą na średnich przełożeniach, budzą sympatię i szacuneczek. Na drugiej stronie najpierw THE PAST. Sześciokrotnie. W tekstach pojawia się nawet Polska, przykładem "Kalashnikov Blues". Pozostałe też mają do czynienia bardziej z polityką niż z jajami. Świetny materiał, kawałki melodyjne i bardzo żywe, skoczne, rzekłbym, że takie przebojowe. Kapela, oprócz nagrań na składankach i bodaj dwóch epkach w latach osiemdziesiątych, nie wydała nic więcej. W 1990 nakładem Birdnest wyszedł LP „In the Future With the Past" a dopiero w 2013 Hoehnie wydał ich kolejny LP, gdzie znalazły się i stare kawałki. Ekstra, na pewno ten drugi longplay jest łatwo dostępny i nie powinien nikt się zastanawiać, czy go kupić. Oczywiście, jeżeli lubi dobrą muzykę. Na koniec pięć podobnych stylowo utworów w wykonaniu CARISMA KAOS. W „MRR" określali ich mianem melodic thrash i ekipie Tima Yohannana w tym wypadku warto chyba przyznać rację. Szukałem w sieci info o innych nagraniach tegoż bandu z Orebro, ale nie dowiedziałem się niczego, więc chyba to ich jedyne ujawnienia. Szkoda, bo są naprawdę warci prezentacji w szerszym wymiarze. Okładka, rzekłbym, taka minimalistyczna: na białym tle tylko nazwy kapel i trupia czacha w kapturze, z tyłu tytuły, kontakty, logo i teksty SLAM. W środku insert - sporych rozmiarów jednostronna, rozkładana wkładka ze zdjęciami i tekstami. Generalnie płyta na duży plus, sporo warta także cenowo, ja swoją kupiłem za zasadniczo niewielkie pieniądze na Allegro dość dawno temu, później jakimś przypadkiem następny egzemplarz od gościa z Warszawy, co w sieci wyprzedawał swoje winyle. Long jest przykładem tego, w jakich latach Szwecja brzmiała lepiej, a w jakich latach zaczynała lekko śniedzieć. Ten krążek pachnie pierwszorzędnie. No i to tyle, wszystkiego dobrego i do następnego razu!

Grzester

FILTHY CHRISTIANS

Tak jest ze wszystkimi sprawami, które są zaplanowane od długiego czasu. Wydają się być odległe i zawsze jest do nich dużo czasu, a tu nagle bum! i jest po wszystkim. Wycieczka była ustawiona już na dobre pół roku przed, natomiast dwa miesiące wcześniej podczas spontanicznej gadki na poznańskim koncercie CASTETU, padł pomysł żeby dołączyli do nas nasi przyjaciele z zespołu ZDRAJCY RZĄDOWI, skoro planujemy wynajęcie busa i siłą rzeczy kilka osób więcej może z nami pojechać. Niestety to wynajęcie busa okazało się być bardziej problematyczne niż się spodziewałem. Nie dość, że ceny wydawały nam się zabójcze, to zaczęliśmy się z tym ogarniać zdecydowanie za późno i w większości obdzwonionych miejsc terminy były już zarezerwowane. W tym miejscu zajebiście pomocny okazał się być Jerry (znany m.in. z takich zespołów jak THUGxLIFE czy FIGHT THEM ALL), który pożyczył nam swój wóz i dzięki temu udało nam się pojechać zajebistym wehikułem przypominającym wóz Straży Granicznej.

27.05.2015

Tego dnia trzeba było się urwać szybciej z pracy. Już wychodząc z tyry dostaję sms od jednego z kolegów z zespołu, na głowę którego spadło bardzo przykre wydarzenie. Pierwsze co pomyślałem, że może chcieć odwołać swój udział w trasie, za co absolutnie nie mógłbym mieć do niego żadnych pretensji i byłoby to w stu procentach zrozumiałe. Na szczęście zdecydował się pojechać i muszę przyznać, że ta decyzja była wręcz imponująca. Szybki obiad na mieście, chwila oczekiwania na Wróbla, z którym mam odebrać busa i jedziemy po Jambeera, którego już od paru chwil dręczyły myśli pt. „gdzie oni, kurwa, są?!?!”. Później jeszcze na chwilę wskakujemy do mnie po rzeczy kapeli i moje własne i dzida do Sierosławia po Tomaja. Pierwszy postój wyprawy odhaczamy pod Lidlem, wszak browary na drogę się przydadzą. W takich sytuacjach myślę o swoim braku prawa jazdy jako o największym błogosławieństwie. Te piwa chyba miały największy wpływ na to, że jak już wjechaliśmy do Gorzowa, to niezbyt dobrze wywiązałem się z przydzielonej mi funkcji bycia GPS'em. Kompletnie nie zajarzyłem, że nie jedziemy starą trasą, a obwodnicą i wyprowadziłem chłopaków bardzo delikatnie poza miasto i wjechaliśmy do niego z kompletnie innej strony niż powinniśmy. Wróbel nie omieszkał skomentować tego zamieszania mówiąc „no to najdalsza część wyprawy za nami”. W końcu zajeżdżamy na salę prób, gdzie czekają na nas już funfle z mojej kapeli. Otwieramy kolejne browary, zaczynamy plotkować i rzucać sucharami. Po chwili zaczynamy krótką próbę – jedno przegranie seta, po czym taką samą króciutką próbę grają ZDRAJCY RZĄDOWI. Siedzimy jeszcze chwilę w kanciapie, po czym ewakuuję się do domu moich rodziców i w kościach czuję, że zdążyłem się całkiem nieźle zważyć, a to nawet jeszcze nie początek.

28.05.2015

W miarę wczesna pobudka, bo o 12:00 zbiórka. Przychodzę pół godziny spóźniony, a na miejscu i tak zastaje na razie tylko Pentiego i moją dziewczynę Julitę, która również zdecydowała się wziąć udział w wycieczce. O 13:00 dołącza Stępień, a 20 minut później również Pewex razem z chłopakami ze ZDRAJCÓW RZĄDOWYCH. Półtorej godziny po umówionym czasie. Standard.

Wrzucamy graty i hit the road. Po drodze kilka leniwych postojów, więc do Hanoweru oczywiście docieramy spóźnieni. Na miejscu już jest mój dobry kumpel Nico, który tego wieczora będzie nagłośnieniowcem. Poznajemy się również z resztą ekipy, w tym z organizatorem, Schlonzim. Jest to bardzo sympatyczny, choć nieco nieśmiały młodzieniec, który z miejsca dostaje od nas 2 ksywki – Śląski oraz Stan Borys. Ładujemy się do kuchni, gdzie czeka na nas obiad. Przepyszny, ale z racji czasu naszego dotarcia – już chłodny. Stępnia dopada czarna rozpacz, ponieważ ziemniaki nie były obrane, a zupełnie co innego zastrzegł w kontrakcie. Chwilę później schodzą się ludzie, pękają pierwsze piwa i lolki. Tego wieczoru koncert zaczynają ZDRAJCY RZĄDOWI ze swoim dirt punkiem, który mi wchodzi jak nóż w masło. Grają głównie materiał z nowej płyty, która już jest nagrana i niebawem się ukaże. Bardzo mi robi ten materiał, zdecydowanie są to najlepsze rzeczy jakie do tej pory zrobili. Po nich my.

Mi się grało znakomicie. Nagłośnienie rewelacyjne. Frekwencja raczej kameralna – może trochę ponad 30 osób. Wszyscy nastawieni bardzo pozytywnie i przyjacielsko, przez co atmosfera koncertu robi się więcej niż przyjemna. W połowie gigu zaczyna się nawet nieśmiałe pogo, by przy końcówce zrobiło się

już całkiem śmiałe. Z tego co mi wiadomo, nie jest to w Niemczech szczególnie częsty widok, więc wszystko wskazuje na to, że jest dobrze. Po koncercie sprzedajemy trochę stuffu, a ja częstuje ludzi polską wódką, co już zostanie stałym punktem wszystkich pokoncertowych eksesów. Sam jej nie pijam zbyt wiele, a że trochę jej zostało po mojej imprezie urodzinowej w kanciapie, to postanowiłem wziąć po butelce na każdy koncert. Chwilę później ekipa chcę już zamykać knajpę. Zostawiamy wszystko w środku i razem z załogą udajemy się do baru w zaskłotowanej fabryce czekolady. Po drodze mam nadzieję, że uda mi się tam spotkać z Willym Wonką, jednak tego wieczoru chyba zamulał w domu. Na miejscu postanawiamy odbyć celebrity death match w bieganego pingla. Zaczęliśmy w 4 osoby, a skończyliśmy chyba w 11 z całkowicie zmienionymi regułami tej rozgrywki. Wystarczyło biegać wokół stołu, a jedyną zasadą stało się dotknięcie piłeczki paletką. Cóż to była za emocjonująca rozgrywka i jak efektowne upadki można było odnotować. Po jakimś czasie jak zwykle nas wyganiają, bo chcą zamykać, więc znowu razem z miejscowymi przenosimy się gdzie indziej. Po drodze już całkiem zawiani wymieniamy dowcipy typu: „NASZ papież był lepszy od WASZEGO, bo papieżował aż do śmierci i znał wszystkie języki świata, a WASZ ze dwa na krzyż i spierdolił jak mu się znudziło”. Docieramy do UJZ Korn, który jest również naszą noclegownią. To całkiem sporych rozmiarów kamienica, która niegdyś była skłotem, obecnie jest zalegalizowanym centrum młodzieżowym. Na całe szczęście nasz kochany organizator posiada również klucze do baru, więc lepiej być nie może. Około 5. rano przychodzi dla mnie pora na sen, a część ekipy jeszcze godzinę zostaje w barze i bierze udział w zawziętej dyskusji na temat poprawności politycznej.

29.05.2015

O 11:00 zostaję obudzony ożywioną dyskusją Pentiego i Jambeera, którzy właśnie wrócili z wyprawy na miasto, czyli spijania browarów pod blokiem. Przy okazji obserwuję na ścianach owoce pewnej mody obecnej w Niemczech, która bardzo mi się nie podoba. Mówię o graffiti z sierpami i młotami i o wlepkach o treści prokomunistycznej. Tydzień wcześniej na berlińskim karnawale subkultur widziałem nawet „punkowych" załogantów w koszulkach CCCP i naszywkach KGB. Ja wiem, że u nich wszystko jest inaczej i dla nich to jest „anty-kapitalizm" i tak bardzo „anty-niemieckość", ale przebija się przez to brak podstawowej wiedzy historycznej i zwyczajna głupota.

Ale dość tej dygresji, jest to temat na osobny artykuł, a byłoby co wylewać. Po chwili wszyscy już są na nogach, a nasz Stan Borys przygotowuje śniadanie na pełnym wypasie. Wśród moich Towarzyszy największą furorę robi wegański tatar zrobiony z pomidorów i cebuli. Jambeerowi na tyle posmakował, że postanowił nim doprawić również kawę Pentiego, co teoretycznie było wypadkiem. Jednak gdy Jambeer postanowił, że w takim razie on wypije tą kawę, nabieram sporych wątpliwości co do przypadkowości tego wybryku.

Ruszamy do Stumpf. Czy Wy też macie wrażenie, że ta sama droga, tylko na trzeźwo, zawsze się skraca ok. trzykrotnie? Ładujemy sprzęt na furę i czas ruszać do Leiden. Wszystkie miejscowości, które obskakujemy, poza Berlinem, mam okazję oglądać po raz pierwszy. Hanower zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Leiden okazuje się być również bardzo urokliwym miastem, jednak holenderska architektura zdecydowanie nie jest tym co podoba mi się najbardziej. Po dłuższym czasie przebywania w Holandii zawsze mam wrażenie, że poruszam się po makiecie wykonanej w formacie 1:1. Miejsce, w którym dzisiaj gramy nazywa się SUB 071 i jest zaskłotowanym biurowcem z najmniejszą salą koncertową jaką miałem okazję widzieć i sporym barem na piętrze. Na miejscu oczekuje już nas Kaban, razem ze swoją dziewczyną Anią. Chwilę później dostajemy posiłek, a po jakimś czasie zjawia się również organizator Gietert, który jest wokalistą zespołu CRUSTEN UNIE. Nasza znajomość zaczyna się bardzo

dobrze, ponieważ od postawienia przez niego na stole dwóch krat piwa. Podczas gadki przeprasza nas i mówi, że czuje się głupio, ponieważ całkowicie zaniedbał jakąkolwiek promocję koncertu. Nikt jednak pretensji o to mieć nie zamierza. W Leiden po raz kolejny dajemy popis swojego ogarnięcia rozstawiając cały nasz stuff – koszulki, płyty, moździerze, deski surfingowe, soczewki i długopisy z logiem zespołu w pomieszczeniu barowym, gdzie, jak się później okazało, poza nami nikt nie wszedł, gdyż cała impreza miała miejsce w sali na dole. Koncert z tych bardzo kameralnych – ok. 15-20 osób na sali, która przy swojej wielkości (weźmy np. salkę z Pilonu, zostawmy jej długość, natomiast szerokość podzielmy na pół) i tak była zapełniona.
Dzisiaj my na pierwszy ogień i również grało mi się bardzo dobrze. Po nas ZDRAJCY RZĄDOWI, którzy moim zdaniem dają tego dnia najlepszy koncert na całym wyjeździe. Po gigach rozmawiamy z miejscowymi o sytuacji miejsca. Kilka dni wcześniej dostali pismo od prawnika o tym, że mają je opuścić. Byli jednak na to przygotowani i w międzyczasie zrobili ściepę i kupili dom, który już od jakiegoś czasu remontują. Planują tam się przenieść wraz z całą swoją działalnością. „Wyjebali mnie ze skłotu, więc kupiłem dom" – jakie to jest odległe od naszej krajowej rzeczywistości. Parę godzin później zawijamy do mieszkania naszego organizatora, który okazuje się być bardzo sympatycznym lekkoduchem. Obecnie przebywającym na „urlopie od szukania pracy". W domu kładzie na stół kolejne 2 kraty piwa, jednak dla mnie sen nadchodzi dość niespodziewanie i szybko. Właściwie to nawet nie zajarzyłem kiedy.

30.05.2015

Poranek zaczął się właściwie tak samo jak skończył się wieczór. Pokoncertowe after party z samego rana? Czemu nie! Tylko wszedłem do głównego pokoju w mieszkaniu, a już do ręki dostałem browara. Postanawiamy pobawić się w rytm hitów, które uwielbiamy najbardziej, czyli na pierwszy strzał trzy najwspanialsze piosenki nowego mesjasza Stachurskyego, a kończymy na przebojach Kulfona i Moniki – „Możesz nieść mój tornister". Czy słowo 'tornister' nie jest najbardziej thrash metalowo brzmiącym słowem świata? Zmieniamy jednak repertuar, gdy mina naszego lokatora robi się coraz bardziej „o co im kurwa chodzi?". Ładujemy się do busa, a Gietert, rzecz jasna, wkłada nam do środka jeszcze dwie kraty piwa. Lecimy do kolejnego celu naszej podróży, którym jest Morze Północne! Wybieramy plażę w położonej niedaleko miejscowości Noordwijk. Odpoczynek, parę zdjęć, a ja postanawiam dać popis swojej głupoty i wskakuje do morza. Temperatura na zewnątrz nie była zbyt wysoka, w morzu mówiąc delikatnie – tym bardziej. Doświadczenie bardzo orzeźwiające, jednak bardzo miało później swoje konsekwencje.
W drodze do Groningen nadkładamy ok. 10-20 km żeby przejechać drogą, po obu stronach której znajduje się morze, ale efekt wizualny psuje nam nasyp po jednej z nich.
Docieramy jak zwykle kapkę spóźnieni, przez co czeka na nas ostygnięty, a mimo to przepyszny obiad. Zaskłotowana półtora roku wcześniej miejscówka o nazwie Bambara przechodzi moje najśmielsze oczekiwania. Jest po prostu obłędna. Gigantyczny kompleks pomagazynowych budynków i biur położony nad samą rzeką. Bramę otwiera nam jeden z organizatorów koncertu, Pele, który niegdyś był perkusistą FLEAS & LICE. Swoją drogą jedną z osób ogarniających później bar był również perkusista tej samej kapeli, ale wcześniejszy – Maynard. Parę momentów później przedstawia nam się również drugi organizator koncertu, Jul, który okazuje się być przesympatycznym i wyjątkowo poukładanym typem. Ładujemy się do baru, ja jednak po chwili zaczynam się czuć po prostu chujowo, czyli właśnie mowa o konsekwencjach morskiej kąpieli. Postanawiam wybrać się do busa na krótką drzemkę, która okazuje się być zbawienna w skutkach.
Przerywam letarg gdy z parkingu słyszę, że ZDRAJCY RZĄDOWI zaczęli koncert. Jak zwykle dają radę, a hitem wieczoru staje się

konferansjerka Tomaja po angielsku – „the next track is kontener". Nie zmienia to jednak całościowego odbioru, bo ichniejszy dirt punk jest po prostu porywający jak porywacz. Po nich czas na nas, jednak jak wspominałem nie byłem tego dnia w najlepszej formie. Bolały mnie plecy i straciłem głos. Podczas koncertu pieje jak kura, co nie mo koguta. Traf chciał, że akurat ten koncert był rejestrowany z konsolety przez nagłośnieniowca. Sam jeszcze tego nie słyszałem, ale jestem ciekaw czy faktycznie było tak jak w moich wyobrażeniach. Ludziom jednak się podobało, choć standardowo nie było ich zbyt dużo – ok. 30 osób. Mamy i tym razem jednak ku temu wymówkę – tego samego dnia odbywało się w Holandii kilka festiwali DIY, w tym również jeden darmowy w samym Groningen.
Po koncercie sprzedaję trochę stuffu, a ok. 70 letni załogant z Anglii, który podczas koncertu naprawiał mi latający kabel od mikrofonu taśmą izolacyjną, śmieje się że nie mogę sprzedawać płyt po 2 euro, bo to tak jak bym je rozdawał za darmo. Jakiś czas później zostajemy zaciągnięci na festiwal odbywający się na wagenburgu, który mieści się 10 minut spacerem dalej. Zaprosiła nas na tę imprezę załogantka z Torunia, która obecnie mieszka w miejscu naszego koncertu. Część ekipy zostaje w Bambarze, ja natomiast jestem w tej części, która poszła zwiedzać dalej. Po drodze mijamy fabrykę, która wygląda na opuszczoną, jednak we wszystkich oknach co jakiś czas zapalają się światła przypominające lampki choinkowe. Nasza towarzyszka podróży wyjaśnia nam, że to miejsce to jeden z licznych tzw. „anty-skłotów". Są to opuszczone przestrzenie „okupowane" przez ludzi opłaconych przez miasto. Ich zadaniem jest siedzenie tam i stwarzanie pozorów prowadzenia działalności kulturalnej. Wszystko po to żeby nikt tego nie zaskłotował naprawdę. XXI wiek - degeneracja. Sam wagenburg okazuje się być bardzo przyjemnym i kolorowym miejscem, choć impreza jak dla mnie miała zdecydowanie za bardzo hipisiarki klimat. Ludzi od groma, być może nawet z 5 setek. Dwa browary w brzuch, gadki z miejscowymi i powrót do Bambary żeby posiedzieć krótką chwilę w barze. Przed snem z Julitą jeszcze okupujemy kuchnię żeby zaspokoić swoją rządzę gastrofazy. Julita dobiera się do liści o smaku cytryny, ja przyklejam się do niedojedzonych szparagów z obiadu, które maczam w majonezie. Choć na jego słoiku widnieje napis „sos do frytek". Od razu widzę przed oczami Vincenta Vegę i Julesa Winfielda. Jutro przed nami najdalszy dystans całej wyprawy, a byłoby dobrze gdybyśmy chociaż raz w życiu potrafili się nie spóźnić. Wpadamy na genialny pomysł ponastawiania sobie budzików na 10:00 rano, czyli wcale nie tak dużo snu przed nami.

31.05.2015

O dziwo z powodzeniem wstajemy przy akompaniamencie budzików i zaczynamy się ogarniać jak na praworządnych obywateli przystało. Śniadanie jemy po drodze, bo mocno wzięliśmy sobie do serc misję niespóźnienia się chociaż tego jedynego dnia. Droga mija szybko i przyjemnie, zdążyliśmy przywyknąć do kilometrów i nie odczuwa się tych 500. 100 km przed Berlinem w końcu zaczyna dopisywać pogoda – wychodzi słońce i robi się ciepło. Wcześniejsze dni były chłodne i mokre. Docieramy na Köpi w miarę wcześnie i tutaj czeka na nas najbardziej dobitny znak, że się nie spóźniliśmy – ciepły posiłek!
Jest to nasz trzeci koncert w tym miejscu i drugi w Koma F, czyli kameralnej piwnicy, w której chłodno jest nawet latem. Koncert ogarniają Rico i Bela i jak przystało na berlińską tradycję, nie ma pośpiechu. Klimat na placu przy Köpenickerstr. 137 iście domowy i ogniskowy. Pojawia się nawet parka, którą mieliśmy okazję poznać trzy dni wcześniej w Hanowerze. Niestety nigdzie nie dostrzegam żadnego plakatu albo ulotki informującej o koncercie. Gig zaczyna się ok. 23:00 i jedyny raz mamy okazję posłuchać jakiegoś zespołu poza naszymi. Gra miejscowa kapela o nazwie HEKSENHAMER. Post metal z elementami blacku, jednak ze sporym naciskiem na to pierwsze. Zwolennicy takich dźwięków powinni być zachwyceni. Ja przez chwilę obserwuję z ciekawością, jednak na dłuższą metę taka dawka plumkania jest dla mnie zbyt langweilig.
Po nich czas na nas. Berlin przywitał nas największą frekwencją całej wyprawy – na Sali mogło być 50 osób, czyli jak na wymiary Koma F jest tłoczno. Gra się bardzo dobrze i na pełnym luzie i nawet parę osób bawi się dość żywo. Jeden z tańczących poczęstował nas jakimś ichniejszym wywarem, który okazał się być magiczny – po jednym łyku odzyskałem głos całkowicie. Dzięki ci, chłopie! Po nas jeszcze ZDRAJCY RZĄDOWI, którzy zostają przyjęci bardzo ciepło i również grają bardzo dobry koncert. Jedynym rozczarowaniem dla mnie było to, że nikt ze znajomych polskich berlińczyków się nie przykulał, choć niektórzy mieli bardzo blisko. Ale co zrobić.
Jak zwykle po koncercie sprzedajemy trochę gratów i integrujemy się z miejscowymi. Po jakimś czasie Bela zamyka knajpę, a my imprezę dokańczamy na jezdni przed Köpi. Wyjeżdżać się nie chce, ale do rana tak siedzieć nie możemy, ponieważ niektórzy z nas w poniedziałek idą do prac czy szkół. Jakże im nie zazdrościłem. Ruszamy więc na Gorzów. Zadowoleni, szczęśliwi, z kratą Sternburga i Club Mate na pokładzie. Rozładowujemy graty w naszej sali prób i się żegnamy. Część z nas zostaje, część jedzie do Poznania. To już po wszystkim.

Jak to się stało, że przeżyliśmy ze sobą 5 dni i nikt się z nikim nie pobił? Nikt się nawet z nikim nie pokłócił i nie spotkała nas ani jedna przykra historia. Do dzisiaj pozostaje to dla mnie zagadką, a niektóre żarty sytuacyjne, których oczywiście tutaj nie przytaczałem, cały czas sprawiają, że wykładam się ze śmiechu na ziemię. Co się w vanie stanie, to w nim pozostanie! Powroty do rzeczywistości zawsze są bolesne.

Młody

SOCIAL CRISIS

26 sierpnia 2015. W godzinach popołudniowych, z Izą i Danielem, pakujemy sprzęt z naszej kanciapy w Białej Podlaskiej do auta. Ku ogólnemu zaskoczeniu wszystko się mieści i nikt nie musi jechać do Wawy na stopa lub busem. Sprawnie dojeżdżamy do stolicy, gdzie czekają już na nas Rychu i Malwa, którzy jakiś czas temu przeprowadzili się do Warszawki. W Wawie jesteśmy dzień przed rozpoczęciem trasy, tak żeby na spokojnie podopinać przedtrasowe tematy, zagrać jeszcze próby i doszlifować jeden z nowych numerów.

27.08 – Warszawa

Nie ma to jak rozpocząć trasę w zaprzyjaźnionej miejscówce, w rodzinnej atmosferze, w gronie Ziomków i Ziomalek. Przychodnia - było doskonale. Sporo znajomych mordek, super energia na naszym gigu. Tego wieczora mieliśmy też przyjemność zagrać z nową warszawską kapelą - KARA - polecamy sprawdzić! oraz puławsko-warszawskim projektem MARJORY STEWART-BAXTER - emocjonalny HC/violence w stylu francuskich kapel z lat 90. poruszających się w tych klimatach. W godzinach późnowieczornych na miejsce dociera również wspierający nas za kółkiem - Muezi! Drużyna wypadowa jest więc w komplecie, można spać spokojnie i następnego dnia uciekać z Polandu.

28.08 – Drezno (PARANOYA FEST)

Na początku trasy okazało się, że w naszym busie nie działa radio, a co to za trasa bez muzyki. Musieliśmy się ratować głośnikiem na blutooth, który przez całą trasę nieustannie płatał nam figle: a to się rozładowywał, a to cicho grał, a to nie chciał się połączyć. Nasz tzw. „spiker" został gwiazdą trasy i obiektem żartów. Pierwszy większy dystans zleciał nam bardzo sprawnie, na miejsce docieramy chwilę przed rozpoczęciem festu, także w sam raz! Za distrowymi stołami spotykamy zainstalowanych tu już od jakiegoś czasu Kudłatego i Galona (Pozdrówki!). Jest to pierwszy dzień Paranoya Festu, nieco skromniejszy, jeśli chodzi o line up w porównaniu z dniem drugim, ale i tak jest około 6 kapel. Sama miejscówka bardzo fajna - ogromny, dwupiętrowy budyn z kamienistymi ścianami zewnętrznymi, położony w górzystym terenie. Jest sporo osób, ciekawe kapele, z których nieco dłużej przywiesiliśmy się na HELLSTORM znanym pewnie większości czytelników „Chaosu".

29.08 – Hannover

Początkowo mieliśmy zostać na drugi dzień Paranoya Festu, jednak Nico (EXILENT) zaproponował, żebyśmy dołączyli do gigu, który organizował w Hanowerze. Zajebiście! Koncert pod nazwą "Rage Against the Latrin" nietypowy, ponieważ odbywał się w szalecie miejskim, hehe... Na nasze szczęście owy szalet od dłuższego czasu zaadoptowany został przez ekipę EXILENT na salę prób. Gramy z 2 kapelkami z Macedonii - SPEWN oraz DISEASE. Szczególne wrażenie robi na nas ta druga - surowy d-beat, bez zbędnych melodyjek - warto sprawdzić! Mając świadomość, że następnego dnia śmigamy już do Francji, nie zamulamy do późnych godzin i o w miarę rozsądnej porze lecimy w kimę.

30.08 – Nancy

Do Nancy docieramy na czas. Tego dnia gramy z 2 zaprzyjaźnionymi bandami, które tym koncertem kończyły wspólną trasę - VICIOUS IRENE (przedstawiać chyba nikomu nie trzeba), oraz VEHEMENCE, jeśli ktoś nie zna, to bardzo polecam sprawdzenie tej kapeli, bo ma swój oryginalny styl i mało jest kapel, do których można by ją porównać. Jest też nasz Ziom - Stephane (Deviance Records). Rok temu spotkaliśmy sporą część tej ekipy na ABC Fest, na którym graliśmy podczas wspólnej trasy z LIFE SCARS. Miło było zobaczyć znajome twarze, w których towarzystwie czuliśmy, jakbyśmy się znali sto lat, pomimo że żyliśmy się tak na jednej imprezie (najlepszej na ubiegłorocznej trasie!). Towarzystwo mamy więc doborowe. Samo miejsce również super - zaskłotowany dwupiętrowy dom ze sporym balkonem oraz podwórkiem, na którym rosły m.in. orzechy laskowe, które sobie podskubywaliśmy w oczekiwaniu na koncert. Bardzo klimatyczna miejscówa. Zaraz po przyjeździe wita nas Jerome, który od początku do końca zadbał o to, żeby niczego nam nie brakowało.
Sam koncert zajebiście. Z takim zestawem kapel nie mogło być inaczej! Jedyny minus to dająca się leciutko wyczuć deprecha ekip VEHEMENCE i VICIOUS IRENE spowodowana świadomością zakończenia wspólnej trasy tego wieczora.

31.08 – St. Etienne

Ku naszej uciesze tego dnia po raz kolejny mieliśmy okazję zagrać z VEHEMENCE, z którymi razem wystartowaliśmy z Nancy, oraz z COP CAKE (ex-ATOMIC TANGO) - ekipą, którą poznaliśmy również podczas zeszłorocznej trasy na ABC Fest. To właśnie ta druga ekipa ogarniała dzisiejszy gig, który odbył się w prowadzonym przez nich niezależnym centrum społeczno-kulturalnym. VICIOUS IRENE również miały uświetnić ten wieczór swoim koncertem, ale dziewczyny musiały wracać do Szwecji, z powodu szkoły i innych obowiązków. Tłumaczyły nam, że trochę zjebały z tą trasą, bo na propozycje koncertów odpisywały "okeeeeeeej", a dopiero potem sprawdziły odległości, które okazały się być dłuższe niż się spodziewały. Obydwie kapele, które grały tego wieczoru, po raz kolejny nie zawiodły. Nam również grało się bardzo dobrze. Na koncert zawitał również organizator gigu z dnia poprzedniego, Jeromek - pocieszny wesołek, z którym przez te dwa dni zdążyliśmy się bardzo polubić. Cały czas opowiadał nam o tym jak bardzo się cieszy, że ma okazję nas zobaczyć na żywo, bo rok temu przestał nasz koncert na barze na ABC Fest. Hitem tego dnia było mega jedzenie przygotowane przez poznaną przez nas na miejscu Adeline (Pozdrawiamy!!!). Adeline to jedna z tzw. osób-serduszek. Iza przegadała z nią połowę koncertu, nie obeszło się również bez spisania przepisów na zaserwowane przez Adeline pyszności. Adeline ma mega zajawkę na gotowanie, a my mieliśmy okazję przekonać się, że naprawdę jest w tym dobra. Mówiła nam, że wie, że to ważne, żeby kapele jadły na trasie dobrze, więc stara się, aby tak było, ale niestety niektóre zespoły, które przyjeżdżały do St. Etienne nie doceniały jej starań i na widok żarcia pytały czy jest w okolicy jakiś fast food, bo nie lubią domowego jedzenia (taaak, to były kapele ze Stanów). Tego dnia, musieliśmy zawijać w drogę od razu po gigu, ponieważ mieliśmy przed sobą spory odcinek do Zarautz w Kraju Basków. Gdy o naszych planach wyjazdowych dowiedziała się Adeline, naszykowała nam również paczki z jedzeniem na drogę. Jedno było pewne - głodni do Zarautz nie zajedziemy. Jedyną słabą sytuacją tego wieczoru była przygoda podczas wspólnego pakowania sprzętu VEHEMENCE do ich busa, kiedy to wychylający się z paki busa Romain (gitarzysta VEHEMENCE) fatalnie zgrał się z zamykającymi się przez silny podmuch wiatru drzwiami busa. Trafiony został zamkiem centralnie w głowę, polała się krew i wyglądało to nie za ciekawie. Natomiast na miejscu znalazła się momentalnie ekipa, która opatrzyła głowę Romaina, a z wymienionych w dniach późniejszych smsów wynikało, że wszystko jest OK.

1.09 – Zarautz

Do Zarautz docieramy w godzinach porannych. Muezi po raz kolejny udowodnił, że jest drajwerem, z którym można jechać na koniec świata. Miejscówka, na której ma się odbyć koncert, to spory, piętrowy budyn zaskłotowany wiele lat temu. Wewnątrz, poza salą koncertową, kuchnią itp., jest też między innymi pokój, z którego ekipa nadaje audycje radiowe. Zaraz po przybyciu spotykamy jednego z dwóch organizatorów, który, mówiąc delikatnie, niewiele ma wspólnego z życiową dewizą "tranquilo" dosyć popularną w Hiszpanii. Generalnie chłop był tak zorganizowany i wszystko miał tak dokładnie zaplanowane, że trudno było za nim nadążyć, gdy tłumaczył nam, co, gdzie, kiedy należy zrobić, tym bardziej, że byliśmy na lekkiej

wyjebie po nocnej jeździe. Szybko zyskał u nas ksywę "spięta dupa" i wszyscy unikali go jak mogli! Najważniejszą informacją była dla nas ta o oceanie odległym o jakieś 10 min. z buta od skłotu. Po krótkim relaksie, drzemce ruszyliśmy na pełnej podjarce na plażę. Huh... to był baaardzo przyjemny czas... świrowanie i wygłupy na wysokich falach oceanu skończyły się dopiero wtedy, gdy byliśmy już totalnie wypompowani. Tak było przynajmniej w moim przypadku. W międzyczasie piknik na plaży. Piękny czas! Po powrocie chwila na odpoczynek i powolne przygotowanie do gigu. Na miejsce dociera również drugi z organizatorów, bardziej wyluzowany - Abuelo, z którym byliśmy w kontakcie mailowym. Tego wieczora dzieliliśmy scenę z czeskim składem OR - ciekawe, nieszablonowe granie.
Po gigu kroki skierowaliśmy w stronę baru. Organizatorzy zawinęli się jednak z baru dość szybko, w związku z czym wzięliśmy sprawy w swoje ręce... To była wesoła noc. Popite, potańczone... W godzinach porannych uderzyliśmy w kimę, którą delikatnie zakłóciła tylko jedna, nieco wesoła, przygoda... ale o niej, opowiemy może kiedyś przy piwku...

2.09 - Bilbao/Llodio
Do Bilbao mieliśmy mniej niż 100 km, więc nie było spiny z pobudką, ale zamiast spać do późnych godzin, postanowiliśmy raz jeszcze wykorzystać okazję i zaraz po śniadaniu udaliśmy się na szaleństwa w oceanie. Ponownie wymęczeni spakowaliśmy graty do busa i ruszyliśmy do Bilbao, a w zasadzie, jak okazało się na miejscu, do miejscowości położonej pod Bilbao - Liodio. Tego dnia mieliśmy przyjemność zagrać w jednym ze starszych skłotów - "Orbeko Extea". Gdy dojechaliśmy pod skłot, na miejscu czekała już ekipa z ANCIENT EMBLEM, z którą tego wieczoru mieliśmy przyjemność zagrać, super ekipa (pozdrawiamy!!!), po chwili docierają również Czesi z OR. Na scenie zainstalowaliśmy się w takiej samej kolejności, w jakiej dotarliśmy na miejscowę. Super gig ANCIENT EMBLEM, mimo iż chłopaki byli lekko podenerwowani będąc kilka dni przed rozpoczęciem trasy. Z tą ekipą spotkaliśmy się już rok temu na naszej trasie i od tamtej pory byliśmy pod wrażeniem ich scenicznej stylówy, z czaszkami zwierząt i świecami, które, w połączeniu z ich potężną ścianą dźwięku, hipnotyzowały. Po gigu szamanko, mieliśmy okazję spróbować lokalnych specjałów takich jak empanada, czyli ciasto warzywno-seitanowe. W międzyczasie odkryliśmy ściankę wspinaczkową w jednym z pomieszczeń na skłotowym poddaszu, część ekipy przepadła tam na dalszą część wieczoru. Za każdym razem, kiedy słyszeliśmy huk, kiedy ktoś spadał, mieliśmy czarne myśli, czy to nie przypadkiem Rycho (gitarzysta/alpinista) właśnie łamie rękę. Część walczyła ze ścianką do późnych godzin, część uderzyła w kimę z mocnym postanowieniem porannego wypadu do Bilbao.

Rano udało nam się odbyć szybki wypad w 4 osoby. Pogoda nie dopisywała, od rana padał deszcz, ale bardzo zależało nam na wizycie w Bilbao. Szczególnie na odwiedzeniu Muzeum sztuki współczesnej Guggenheima. Zmokliśmy straszliwie, ale było warto. Na żywo cała ta architektura, jak i sam pająk, olbrzym robią wrażenie. Po powrocie pakowando i ruszamy dalej!

3.09 - Priaranza Del Bierzo
To był najdalszy punkt naszej wyprawy. Zachodnia Hiszpania, na mapie gdzieś nad Portugalią. Tereny górzyste i zielone. Miejscowość malutka, taka przyjemna wiocha. Cicho tu, ciepło, figi na drzewach, browary w dłoni. Czego chcieć więcej? Muezi jak zwykle dowozi nas na miejscówe na czas. A sama miejscówa... hehe... jedyna w swoim rodzaju! Początkowo musieliśmy się upewnić czy dobrze trafiliśmy i ku naszej uciesze okazało się, że tak, po prostu organizator jeszcze nie dotarł na miejsce, ale po chwili zjawił się jego sympatyczny ziomek racząc nas piwkiem na przywitanie. Wracając do samej miejscówy - taki jakby większy garaż, stary, nieczynny warsztat samochodowy. Klimat trochę podobny do tego, jaki mieliśmy kiedyś przyjemność sprawdzić na gigach w Rosji (z LIFE SCARS) i na Białorusi. Wydawałoby się, że to idealna miejscówa na punkowy gig i tak też było! Mimo że wbiło na ten gig bardzo mało osób, to nie dało się tego jakoś mocno odczuć. Cała zgromadzona załoga meeega sympatyczna! My jak zawsze głodni.. hehe... a tutaj ugoszczono nas tak, że nie szło wszystkiego przejeść. Zajaraliśmy się, gdy wjechała pierwsza potrawa, empanada i ze smakiem zajadaliśmy. Po chwili okazało się, że to pierwszy z kilku przysmaków przewidzianych na ten wieczór. Co chwila wjeżdżała nowa potrawa, a my każdą staraliśmy się, chociaż spróbować, prawie jak na wigilii, hehe - gastro raj! Atmosfera mega przyjemna i bardzo swojska. Dosyć szybko zainstalowała się pierwsza kapela - 1984 - 3 baaardzo sympatyczne osoby grające sprawny hc/punk. Jak się okazało, gitarzysta nie mógł zwlekać z rozpoczęciem gigu zbyt długo, bo miał tego dnia jeszcze pracę. Musieli więc zaczynać granie prawie że zgodnie z godziną wrzuconą na plakat. Po nich kapela o nazwie INDULGEZNIA. Personalnie klimat mieszany, różne osobowości. Muzycznie - HC z ukłonem w stronę starej szkoły. Na końcu mały performens gitarzysty rozbierającego się do samych stringów. Bardzo przyjemny wieczór i mega sympatyczna załoga! będziemy długo pamiętać tych ziomali! Po gigu zawijamy na chatę do pary grającej w 1984 (gitarzystki/ wokalistki i perkusisty). Jechaliśmy przez ciemność i polne drogi, żartowaliśmy, że wywiozą nas gdzieś i zabiją albo sprzedadzą nasze nerki. Wjechaliśmy za bramę w lesie, wszystko wyglądało trochę jak z horroru. Rano, jak zobaczyliśmy to miejsce w świetle dziennym, byliśmy oczarowani. Miejscówa, na którą pojechaliśmy, to mały piętrowy domek na obrzeżach Ponferrady, miejscowości oddalonej rzut beretem od Priaranza Del Bierzo. Sama chata znajdowała się przy małym lasku, nad którym przebiegały druty wysokiego napięcia tworząc nieco industrialny klimat. Zaraz obok - super jeziorko, którego nie mogliśmy ominąć przed odjazdem. Wracając do miejscówy - urokliwy, bajeczny wręcz domek otoczony był sporym ogrodem, w którym uprawiane były różne warzywa i... roślinki o super mocach... hehe. Na drzewach rosły migdały, co dla nas było sporym szokiem. Zaraz obok zagródka dla kur. W takich oto okolicznościach przyrody mieliśmy przyjemność zjeść tego dnia śniadanie z pomidorami z ogródka w roli głównej, w pełnym słońcu i w towarzystwie 2 psiaków spragnionych pieszczot. Jak okazało się w trakcie rozmów z Carmen i Javim, miejscówa została zaskłotowana kilka lat wcześniej, a w międzyczasie dogadana również z właścicielem, który nie miał problemu z obecnością w tym miejscu tej sympatycznej pary. Po kąpaniu w jeziorze ruszamy dalej do stolicy Hiszpanii.

Madryt
Docierając na miejsce uświadamiamy sobie, że szykuje nam się pierwszy gig na trasie w klubie. Faktycznie, do tej pory były same skłoty, lub inne niezależne miejscówy. Po jakimś czasie pojawia się ekipa z PERRAS SALVAJES, która ogarnia dzisiejszy gig. Kolejna mega sympatyczna załoga! Okazuje się, że do gigu mamy jeszcze trochę czasu, więc ruszamy na mini zwiedzanko. Po powrocie miłe zaskoczenie w postaci sporej ilości osób pod

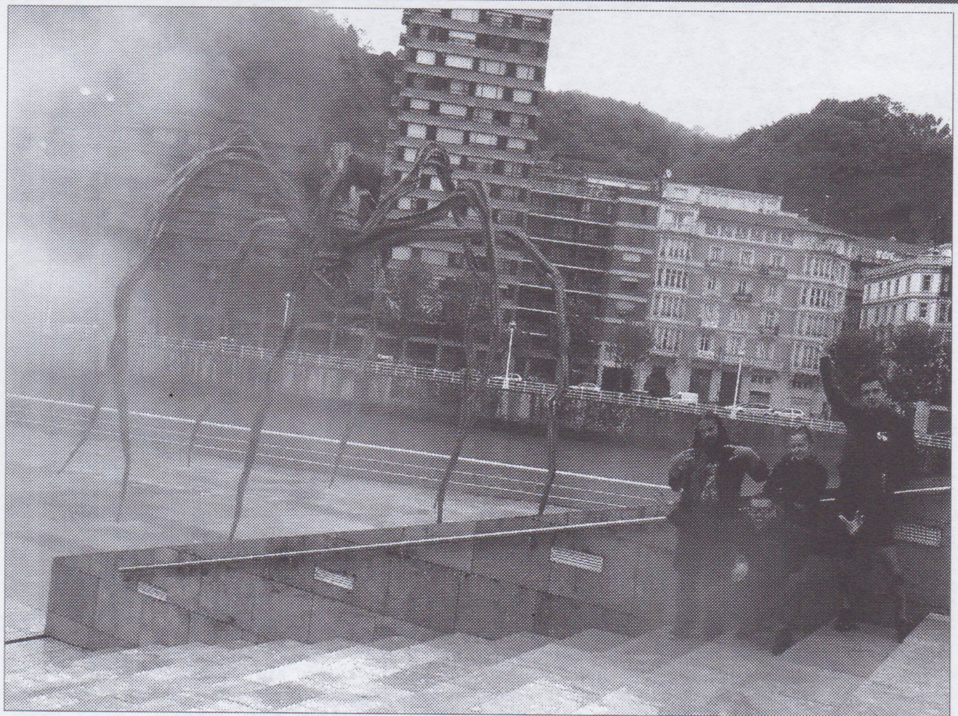

klubem. Maria z PERRAS SALVAJES przygotowała nam wypasiony obiad, kolejny raz mamy okazję spróbować tradycyjnych potraw, empanady oraz tortilla de patatas (hiszpański omlet ziemniaczany) w wersji wegańskiej. Koncert rozpoczynają PERRAS SALVAJES - sprawny, rokendrolowy hc/punk w stylu BLACK PANDA, nóżka chodzi! My instalujemy się, jako drugi band i gra nam się również bardzo dobrze. Jako trzeci na scenę wchodzą CHIMPANCE. Ta kapela okazuje się być największym hitem tego wieczoru - wygłupy na scenie, wspólne śpiewy z większością zgromadzonych pod sceną, na koniec kilka kowerów klasyków – „Young till I die" itp. Po gigu zawijka na chatę do Marii (bass/vox) i Isry (gitara) z PERRAS SALVAJES. Jest lekkie zmęczenie, więc długo nie siedzimy. Nadrabiamy za to dnia następnego! Spacerkiem po Madrycie pod przewodnictwem Marii, która jest super miłą dziewczyną, wkręconą w akcje wegańskie i anty-szowinizm gatunkowy. Naszemu spacerowi towarzyszyły więc inspirujące rozmowy.

Saragossa

Koncert w leciwej niezależnej miejscówce prowadzonej przez anarchistów. Organizatorem jest Jerome, bardzo sympatyczny koleś, znany zapewne części z was, jako wokalista AMANDY WOODWARD, niektórym może także z rocznego pobytu w Polszy, który nieustannie wspomina jako jeden z najlepszych okresów w jego życiu. Po odstawieniu busa na bezpieczny parking śmigamy na małe zwiedzanko okolicy. W zasadzie co krok są jakieś fajne miejscówy, więc jest lekki niedosyt, że nie mamy czasu zobaczyć więcej rzeczy. W lokalnych śmietnikach udało nam się znaleźć małe prezenty dla znajomych w postaci książek. Musimy wracać z krótkiego spaceru, bo czas jednak zaczynać gigol. Przed nami odpala lokalny band - bardzo sympatyczna trójka kolesi, z których jeden okazuje się być lokalnym elektro-MacGyverem, w związku z czym, Rycho przywiesza się z nim na dłuższą rozmowę odnośnie pewnych problemów związanych ze wzmacniaczem. Powstają schematy, różne teorie odnośnie usterki, w tym jedna najbardziej prawdopodobna. Bariera językowa przestaje istnieć. My instalujemy się jako druga i zarazem ostatnia na ten wieczór kapela. Sądząc po plakatach, 2-kapelowe gigi są w tym miejscu pewną regułą. Miejscówa jest niemalże pełna. Gig gra nam się bardzo dobrze, mimo pewnych syndromów trasowego zmęczenia pojawiających się u niektórych. Zaraz po gigu zawijamy na chatę do Jeroma. Trochę czasu zabiera nam gimnastyka na nietypowym podziemnym parkingu, na którym nikt chyba do końca nie wierzył, że może zmieścić się nasz T4. Muezi jednak po raz kolejny wychodzi z tego obronną ręką. Mistrz!

Zaraz po instalce na chacie uderzamy w kimę, żeby w miarę na spokojnie odpalić następnego dnia do Girony. Rano jemy szybkie śniadanie, bawimy się z pieskiem Jeroma (białym pudelkiem uratowanym przez jego dziewczynę-weterynarz) i wyjeżdżamy ku dalszym przygodom.

Girona

Pierwotnie tego dnia mieliśmy zagrać w Barcelonie. Gig był już potwierdzony i wszystko wyglądało git. Okazało się jednak, że na jednym skłocie ekipa się pokłóciła, na innych zabukowane były już inne gigi i jak podpowiedział nam Thrash - ziomek z Francji mieszkający od jakiegoś czasu w Barcelonie - na tę datę najlepiej poszukać gigu w innym mieście niż BCN. Ostatecznie padło na oddaloną o 100 km Gironę. Bardzo czekaliśmy na ten gig głównie dlatego, że graliśmy tutaj z PERRO SUICIDA - ekipą z Chile, mieszkającą od wielu lat w Hiszpanii - kto miał okazję poznać tę wesołą załogę podczas ich gigów w PL w 2015, ten pewnie nas rozumie („Terrible masacre!"). Docieramy na miejsce ze sporym wyprzedzeniem. Super miejscówa - bardzo fajnie rozlokowany skłocik. Gig ogarnia Outi, która miała chyba ciężki dzień lub kilka dni, bo wygląda na zmęczoną i niezbyt zajaraną samym gigiem. Bywa i tak. Na miejscu jest już za to ekipa ziomków z Chile i po chwili rozpoczyna się wspólne piknikowanie... Klimat bardzo swojski, śmiechy takie, że po chwili aż boli brzuch i lecą łzy. Przyjemny chill w promieniach

słońca. Po kilku godzinach instalujemy sprzęcik pod gig. Jako pierwsi zaczynają P.S., dzieląc się z nami wcześniej informacją, że od zakończenia trasy nie mieli okazji zagrać żadnej próby. Ku mojemu i chyba nie tylko mojemu zaskoczeniu, ich gig wypada dużo lepiej niż ten, na którym miałem okazję być na warszawskim Lato W Mieście Fest na Przycho. Zdezorientowana mina Tofu, (gitarzysta P.S.) po tym jak usłyszał jaki kawałek będą grali jako następny, dodawała tylko uroku całości performencu. Nie przeszkadzały też chyba nikomu jakoś szczególnie problemy techniczne wynikające z jakości zgromadzonego na miejscu sprzętu nagłaśniającego. My instalujemy się jako druga kapela i - mimo iż poza kilkoma osobami, które trafiły tutaj nieco przypadkowo (wracając z nieudanego winobrania z Francji), i kilkoma lokalsami, nie było nikogo więcej - gra nam się ok. Nasz gig ekipa z Chile podsumowuje krótko – „TERRIBLE GREAT GIG!". Po gigu ciąg dalszy piknikowych śmiechów i zawijka w kimę w różnych pomieszczeniach skłotu, od pokoi gościnnych zaczynając, na salce gimnastycznej ze ścianką wspinaczkową kończąc. Następny dzień jest jedynym day offem na całej trasie, kimamy więc w opór.

DAY OFF – BCN

W okolicach godziny 15. docieramy do Barcelony. Pierwsza stacja to skłot, na którym mieszka wcześniej wspomniany ziom, Thrash. Super

chata, na górze przestrzeń w stylu loftu, na dole studio nagraniowe pełniące też funkcję garażu. Korzystając z okazji zostawiamy tu busa, świadomi tego, że znalezienie bezpiecznego miejsca na parking w BCN może graniczyć z cudem. Po krótkiej pogadance i zapoznaniu się z partnerką Thrasha oraz jego dzieciaczkiem, ruszamy metrem na REVOLTOSĘ, gdzie tego wieczoru kimamy. Po zostawieniu gratów na skłocie ruszamy od razu „na miasto". Pierwszy kierunek - plażing i kąpanko w morzu. Jest git! Otaczające nas palmy powoli stają się widokiem, z którym jesteśmy już oswojeni. Zaskakują nas nieco tylko papugi gadające coś do siebie w koronie jednego z drzew, fajny widok. Po kąpielach morskich ruszamy dalej na zwiedzanko Barcy. Punkty obowiązkowe to oczywiście wegańskie lokale gastronomiczne - dały radę. Bujając dalej po mieście zrobiliśmy luźno kilkanaście kilometrów z buta - miła odmiana dla godzin spędzonych w różnych dziwnych pozycjach w busie. Na Revoltsę wracamy późnym wieczorem. Małe piwko/herba, zasłużony odpoczynek po sporym spacerze i idziemy na dach, spać.

Marsylia

Z Barcy startujemy wcześnie rano, ponieważ do Marsylii mamy jakieś 8-9 godzin jazdy. Dziwna akcja z tą Marsylią... Każdy, komu mówiliśmy, że tego dnia tam gramy reagował dziwnie, czasem zdziwiony, czasem dziwnie

uśmiechnięty. Część osób ostrzegało nas że Marsylia jest bardzo niebezpieczna, żeby uważać na busa, sprzęt, bo na bank zajebią, wybiją szybę itp... Jak się okazało po rozmowach z ekipą, która ogarniała gig, to wszystko to pewne mity i nie ma co panikować. To co nam zostanie w pamięci, to na pewno jazda busem ulicami Marsylii... Generalnie, jeśli ktoś nauczy się jeździć autem tutaj, nie powinien mieć raczej problemów z poruszaniem się samochodem po innych miastach Europy. Trzeba być tu mega czujnym i być przygotowanym na hmmm... powiedzmy „nieszablonowe" manewry kierowców... Do tego sporo ciasnych uliczek, często jednokierunkowych. Jedna z nich znajdowała się właśnie pod klubem w którym graliśmy. Zaraz po dojechaniu na miejsce mieliśmy więc za zadanie zatrzymać się przed klubem blokując ruch uliczny (m.in. autobusom miejskim) i jak najszybciej wypakować z busa cały sprzęt łącznie z naszymi bagażami. Dzięki pomocy organizatorów pobiliśmy chyba rekord Francji w tej kategorii. W kilka minut bus był pusciutki i mógł spokojnie odjechać na bezpieczny parking.

Po zainstalowaniu się w klubie, szamce i soundchecku, mamy parę minut na odpoczynek i rozpoczyna się gigol. Pierwsza kapela była totalnie z innej bajki. My ponownie zamykamy. Spoko gig, mimo, że odbywa się w podpiwniczeniu klubu, gdzie jest tak duszno, że trudno złapać oddech, a pot leje się z nas już po kilku pierwszych numerach. Przyjęcie publiki jest jednak bardzo dobre, więc czego więcej trzeba? Po gigu zawijamy na kimę na pobliski skłot. Meeega wielki budyn znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie jakiegoś uniwerku. Niemalże okno w okno. Część z nas przywiesza się na chwilę w kuchni z lokalną ekipą, pozostali zaraz po dotarciu idą do pokoju gościnnego.

MENS 38710

Bez względu na to jak wypadnie gig, cieszyliśmy się jadąc do Mens, ponieważ wiedzieliśmy, że tego dnia będziemy mieli okazję spotkać się z Oskarem i całą ekipą, którą poznaliśmy kiedyś w trakcie trasy RIP IT UP, na której grali m.in. w Białej Podlaskiej, na ZakaźNym. Była też podjara po otrzymaniu informacji, że mieszkają teraz w nowej miejscówie, na wiosce w górach, oddalonej ok. 100 km od Grenoble. Już po drodze mijane widoczki sprawiały, że jechaliśmy z przyklejonymi do szyb nosami. Po dotarciu na miejsce było tylko coraz lepiej. Ekipa zamieszkuje bowiem piętrową, klimatyczną chatę, w wiosce otoczonej górami. Dookoła pełno zieleni, przy samym domu ogród, zagroda dla kóz, takie klimaty. W związku z tym, że sprawnie docieramy na miejscówę, mamy czas na spokojne wypakowanie swoich gratów i pogaduchy z lokalną załogą. Jak się okazuje dzisiejszy gig jest pierwszym organizowanym w tym miejscu ever! Odbywał się będzie w sali prób, mieszczącej się w dolnych pomieszczeniach chaty, obok sporego garażu. Nikt nie miał pojęcia jak to wyjdzie i czy ktokolwiek przyjdzie - wiadomka, gra jedna kapela, a najbliższe mniejsze, czy większe miejscowości są nieco oddalone od tej urokliwej wioseczki. Jednak w takim towarzystwie i w takich okolicznościach przyrody, nikt chyba nie zawracał sobie tym głowy. Organizatorzy, podobnie jak podczas organizowanego przez nich gigu w Grenoble, gdzie graliśmy rok temu, zastosowali ten sam sprawdzony przez nich system, polegający na tym, że poza gigiem, w pakiecie za wejściówkę jest też szama. Super pomysł, żarcie i koncert w jednym. Jak okazuje się po jakimś czasie, schodzi się całkiem sporo osób! Nawet takich, których nigdy chyba byśmy się tutaj nie spodziewali (pozdro Rafał!) - miła niespodzianka! Gdy nadchodzi czas koncertu atmosfera w sali prób jest idealna - ciasno i rodzinnie. Gra nam się bardzo fajnie, a sam wieczór zdaje się dopiero rozpoczynać. Po gigu ciąg dalszy pałaszowania zgromadzonych na sporym stole pyszności, pogaduchy, ploteczki itp. Po jakimś czasie przenosimy się z załogą, by zasiąść wokół rozpalonego obok chaty ogniska. Super klimacik. Część odpada w kimę wcześniej, część później, każdy z uśmiechem na twarzy. O poranku powstaje plan wdrapania się na jedną z otaczających wioseczkę gór, zbieramy się... zbieramy... i tak się zbieramy, że w końcu okazuje się, że nie zostało nam wystarczająco dużo czasu, by wdrapać się na górę, wrócić i zdążyć na spokojnie wystartować na kolejny gig. Ale! Powstaje plan alternatywny... Okazuje się bowiem, że całkiem niedaleko jest

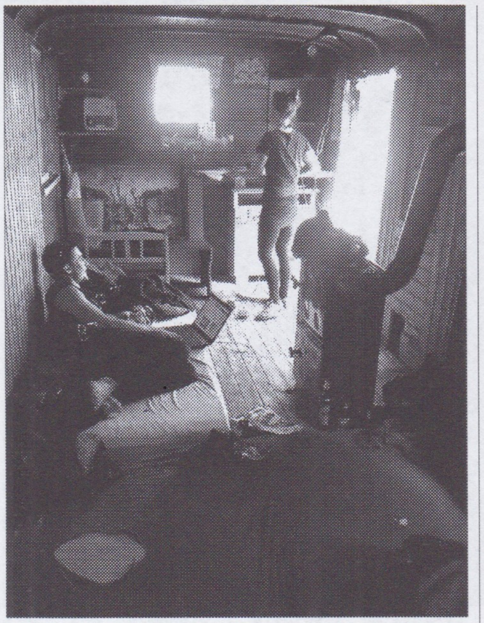

tutaj jakieś jeziorko. Dwa razy już teraz powtarzać nam nie trzeba - pakujemy się w auta i śmigamy. Nad jeziorko prowadziła wąska leśna ścieżka, a widok który zaczęliśmy dostrzegać zza koron otaczających nas drzew, sprawiał, że - chcąc nie chcąc - przyspieszaliśmy kroku, żeby dotrzeć na miejsce jak najszybciej. W końcu docieramy i jest B-A-J-E-C-Z-N-I-E!!! Skaliste małe wybrzeże i jeziorko z turkusową (dosłownie) wodą... W oddali alpejskie szczyty. Mówiąc krótko, widok w stylu tych, którymi turystów kuszą foty z folderów w biurach turystycznych. Woda może nie za ciepła, ale w takich okolicznościach? C'mon! Odpalamy! Skoki ze skał do tej pięknej wody to jedno z moich najlepszych wspomnień z tej trasy. Banan od ucha do ucha! Nastaje w końcu czas zawijki, pakowania busa i pożegnania z tutejszą ekipą... Nie było to łatwe.

Biel

Szwajcaria - jedyne z odwiedzanych przez nas na tej trasie państw, do którego musieliśmy mieć przygotowane paszporty. Różne historie słyszeliśmy nt. akcji na tutejszych granicach - podatkowanie merczu, problemy z wwożeniem distra itp. Wygląda jednak na to, że tutejsze służby celne już trochę wyluzowały. Oczywiście mercz i distro pochowaliśmy w najgłębsze zakątki T4 i nie trzymaliśmy go razem z hajsem, zgodnie z zaleceniami przejeżdżających tędy od czasu do czasu załogantów. Ogólnie było zero stresu, nawet paszportów nam nikt nie sprawdzał. Sama impra w Biel to tzw. „warm up show" przed festiwalem, który ma mieć miejsce dnia następnego. Gramy na jednym z mieszczących się tutaj Wagenplaców o nazwie „Escargot Noir" (z polskiego CZARNY ŚLIMAK

jeśli dobrze zapamiętałem). Poza tym, że daje się coraz wyraźniej odczuć niższą temperaturę, jest bardzo fajnie. Klimat punkowo-madmaxowy, jak to często bywa w tego typu miejscach. Po chwili jeden z ziomków roztłumacza nam co jest gdzie, w którym wagonie mamy ogarnięte kimanie, gdzie jest szamka itp. Na spokojnie instalujemy się na miejscówie i po jakimś czasie odpala pierwsza kapela - AGENT OF CHAOS, spoko muza. My instalujemy się jako drugi band. W międzyczasie na miejsce docierają ziomki z DISTRESS, którzy instalują się na scenie od razu po nas. Ogólnie jest bardzo sympatycznie. Sporo ludzi, wśród których spotykamy też mieszkających tu Polaków (pozdro Frytek!). Jedyny minus to ograniczony poziom głośności, którego akustyk nie mógł przekraczać w związku z problemami z psiarnią. Ujęło to na pewno mocy koncertom, szczególnie dało się to odczuć na gigu DISTRESS, ale nie ma co marudzić. Bardzo miły wieczór.

Kolonia

Do przejechania blisko 600 km, więc staramy się nie leniuchować zbyt długo i odpalamy do Kolonii zaraz po śniadaniu. Kolejny gig na Wagenplacu, tym razem miejscówa, która ma już ponad 20 lat. To co zrobiło na nas spore wrażenie, to mega porządek. Rozkminialiśmy czy to specyfika zachodnich Niemiec, czy tak dbająca o to załoga... Nie wiadomo. Na miejscu wita nas sympatyczna ekipa, na czele z nieocenionym Tillem (dzięki za wszystko!). Okazuje się, że nie jest to dobry dzień na gig, bo w tym samym czasie gra na innym skłocie jakiś znany zespół, do tego są jakieś inne kuszące imprezy. Nieważne. Tego wieczora gramy w towarzystwie 2 kapel. Rozpoczyna początkujący, lokalny skład, traktujący ten gig, jak sami wspomnieli, jako dodatkową próbę. Druga kapelka (AARGH FUCK KILL) już dużo bardziej doświadczona. Spoko granie - dibicik ze wstawkami gdzieś z okolic anarcho-punkowych. My na końcu - gra nam się bardzo dobrze, zapewne w dużej mierze dzięki energii płynącej od publiki, bo jest zabawa na całego! Jak się okazuje jedna z gościówek nagrywała ten gig na jakiś rejestrator, jest więc szansa na fajną pamiątkę! Po gigu mini gastro turystyka i zawijka do wagonu gościnnego. Następnego dnia część z nas odpala na zwiedzanko okolicy połączone z wizytą w tutejszym sklepie płytowym. Weszliśmy nawet na wieżę katedry kolońskiej! Po powrocie pogaduchy z lokalną ekipą, wymiana podziękowań i ruszamy do Münster!

Münster

Coraz mocniej zaczynamy uświadamiać sobie, że trasa powoli ma się ku końcowi. Jest lekki dołek. W Münster wita nas deszcz, jednak warunki atmosferyczne zostają totalnie przyćmione serdecznością organizatora - Jana. Mega typ! Cały gig ogarniał w zasadzie sam i nie bardzo dawał sobie nawet z czymkolwiek pomóc. Minusem tego wieczoru jest fakt, że od razu po gigu musimy śmigać nocą do Berła. Zdołował się na tę informację również Jan, ale szybko ustalamy, że odbijmy sobie przy następnej okazji! Jesteśmy umówieni na rum z colą i disko do rana. Gig rozpoczyna kapela grająca nieszablonowy HC. Trochę wygłupów, trochę solówek i popisów na gitarce. Ogólnie granie na spoko poziomie technicznym. Ciekawy set. My jako drudzy, ostatni. Jest OK. Mimo, że od przyjazdu, do momentu w którym musieliśmy śmigać dalej, minęło zaledwie kilka godzin, zdążyliśmy już zatęsknić za Janem. Ale cóż, trzeba jechać nocą, bo następnego dnia po gigu kierunek polaczkowo.

Berlin

Na tę datę nie udało nam się pierwotnie znaleźć żadnego gigu. Jednak w połowie touru dostajemy info od Cimota (KAMI ADA), że może nam pomóc z gigiem w Berlinu. Idealnie! Tym bardziej, że mamy wszystko po drodze. Wydawało się, że nocna jazda z Münster do Berła to będzie mega zamułka. Okazało się jednak, że Muezi nie miał żadnych problemów z brakiem zagadujących mordeczek. Wręcz przeciwnie - wesoły bus niemal całą drogę. W trakcie jazdy w niecodziennych okolicznościach pęka nam przednia szyba T4-ki. Nie to, że jakiś kamień spod kół TIRa - nic z tych rzeczy. Szyba poszła podczas... podpierania się o nią stopą... Mały szok, zdziwko, dołek, kalkulacja ile to będzie kosztować, rozkminka, że najważniejsze, żeby niemiecka policja nie dowaliła nam mandatu, bo to byłaby chyba najgorsza dla nas opcja. Na szczęście dla nas jedziemy nocą, co - jak nam się wydaje - zmniejsza ryzyko dojrzenia pęknięcia przez drogówkę. Bez przygód docieramy do Berła i instalujemy się na chacie u Broni (dzięki Bronka za gościnę!). Część osób decyduje odpalić jeszcze na miasto mimo wyjebki po nocnej jeździe i jak się okazuje, w komplecie spotykamy się przypadkowo dopiero po południu dnia następnego... Hehe... W międzyczasie okazuje się, że poza Cimotem, przy organizacji gigu pomaga również Mundek (dzięki raz jeszcze za wszystko, ziomuś i przepraszamy, że nie mogliśmy zostać dłużej!). Na sam gig nie zjawia się zbyt wiele osób. Wiadomo - spory wybór gigów w stolicy Dojczlandu, do tego gramy sami, do tego jest to last minute show. I z takim nastawieniem uderzamy wypakowywać busa po pysznej szamce i pogaduchach z Mundkiem, a tu nagle, przy wyjściu, spotykamy ekipę z Poznania, która przyjechała specjalnie na gig! Hehe... Niezła akcja! (Pozdro ekipa!) Huh... Sam gig specyficzny, ale w sumie fajny... W sensie takim, że z jednej strony rozkminka, że to już ostatni gig na trasie, z drugiej świadomość, że zagraliśmy fajne gigi w zajebistych miejscach, spotkaliśmy mega ludzi... i w sumie udało nam się zrobić to spore kółko po mapie Europy bez jakichś słabych przygód. Suma summarum zagraliśmy porządny gig, który był dla nas taką kropką nad „i" całej trasy. Super, że gig odbył się w Berlinie, bo tu zawsze czujemy się jak w domu.

Tak kończy się nasza punkowa eskapada. To był mega wyjazd! Dzięki wszystkim, dzięki którym mieliśmy możliwość uderzyć na tę wycieczkę i wszystkim, którzy na różnych płaszczyznach nas w niej wspierali! Szczególne THX goŁs tu: Ännä and Przychodnia crew, Tamara, Kraszan, Bartek/Lärmo, Leszek/Pilon, Wiechu, Bobek, Mellus and Paranoya crew, Nico, Diseąse and SPEWN, Py, Katya, Romain, Nina, Julia, Vicious Irene, Jerome, COP CAKE crew, Adeline, Abuelo, Jonpi, OR crew, Txusan, Łukasz and ANCIENT EMBLEM, Javi, Carmen, Maria, Izra and PERRAS SALVAJES crew, CHIMPANCE crew, Jerome, Outi, Tofu+Miami+Alegria (terrible massacre!), Kuba and Revoltosa crew, La Salle Gueule crew, OSKAR! and MENS CREW!, ESCARGOT NOIR crew, Frytek, Distress, Agent of Chaos, Till and `wem gehört die Welt´ Bauwagenplatz crew, Jan, Mundek, Cimot and Koma F crew, Piotr (Koło), David (Angry Voice), Tim (Dingleberry), Danne (Halvfabrikat) oraz WIEEELKIE DZIĘKI DLA MUEZIEGO - Mistrz! miKe i Izka (SOCIAL CRISIS 2015)

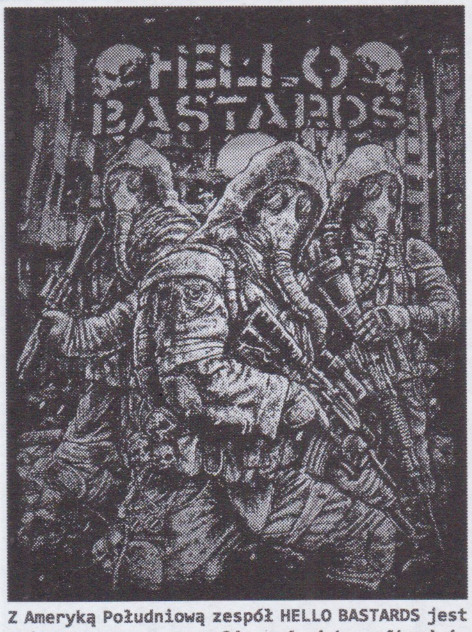

Z Ameryką Południową zespół HELLO BASTARDS jest związany mocno, zaczęli grać, jako całkowicie latynoski zespół (w Londynie), ja dopiero w pewnym momencie się do nich przyłączyłem. Potem losy zespołu potoczyły się tak, że w składzie byli różni inni obcokrajowcy a teraz zostało nas trzech: Max – „Vocalista", który pochodzi z Argentyny; Jeff –„Guitarista" z Brazylii, z przedmieść Sao Paulo i ja, czyli Herman „Baterista", czyli perkusista z Polski. Nie była to typowa trasa nastawiona na jak największej koncertów. Ten wyjazd był połączony z wizytą Jeffa w domu rodzinnym. Jeff ma dwuletniego syna, którego rodzina długo nie widziała i pomyśleliśmy by zabrać się z nimi. Byliśmy w Brazylii 16 dni, a zagraliśmy tylko 8 koncertów. To miało swoje wady i zalety. Wadą był pewien niedosyt grania. Zaletą było to, że było więcej czasu, aby poznać kraj, nie tylko z perspektywy koncertowni i autostrady, którą się jedzie z miasta do miasta.

Emocje głębokie do bólu

Cały wyjazd naznaczony był głębokimi emocjami, ponieważ w trakcie trasy zmarł tata Jeffa, który chorował i był w szpitalu. O tym, że trafił do szpitala wiedzieliśmy już lecąc do Brazylii. Dzień po moim przyjeździe zmarł. Oczywiście wolałbym, by się to nie wydarzyło, ale muszę powiedzieć, że było to przeżycie bardzo głębokie i ciekawe, które pozwoliło mi zajrzeć do wnętrza rodziny brazylijskiej w niecodzienny sposób.

W dniu, kiedy Jeff dowiedział się o śmierci taty mieliśmy zaplanowany pierwszy koncert. Oczywiście powiedzieliśmy mu, że nie musimy grać. Jego komfort psychiczny był dla nas najważniejszy. Jeff widział się ze swoim tata dzień wcześniej, a on powiedział: „Młody – pamiętaj, ty przyjechałeś tutaj grać koncerty. Chciałbym przyjść na twój koncert, ale jakby mi się coś stało to pamiętaj, nie ma żadnej ściemy tylko masz grać, bo po to tutaj przyjechałeś". Jeff mając to w pamięci zapytał rodziny czy nie mają nic przeciw temu by grał, a oni stwierdzili, że jeśli jego tata chciał by grał, to powinien grać.

Na całej trasie graliśmy w Sao Paulo dwukrotnie. Pierwszy raz w studio prób i nagrań Rock Togehter należące do Tjello (gitarzysty ESCURO). Wszyscy byliśmy bardzo spięci. Pod względem technicznym koncert wyszedł tak sobie, było trochę błędów, ponieważ wszyscy byliśmy mocno zdenerwowani. Graliśmy z LIVE BY THE FIST (old school), VIOLENT STOMP (hardcore) oraz ESCURO.

ESCURO to godna polecenia sXe załoga grająca nowoczesnego HC-Punka czy dark hardcore kojarzący się z zespołem CURSED. Oni pomogli nam zorganizować trasę i wszystkie koncerty graliśmy razem z nimi. Wokalista Marcelo miał wcześniej zespół CONSTRITO, a gitarzysta Tjello pamiętał Polskę dobrze, bo przed laty był na trasie w Europie i zawitał także do nas z zespołem SICK TERROR. Na koncercie byliśmy przyjęci ciepło, było bardzo kameralnie.

Po koncercie pojechaliśmy do domu Jeffa. Ja z Maksem poszliśmy spać a na Jeffa czekała jego siostra i pojechali na cmentarz na czuwanie (rodzina pakuje do toreb jedzenie, kawę i idą do kaplicy czuwać przy zmarłym całą noc).

Następnego dnia (31.01.2015) braliśmy udział w uroczystości pogrzebowej, która była bardzo emocjonalna. Widzieliśmy cmentarze, m.in. Cementario Vertical (cmentarz pionowy), był to cmentarz z urnami, które były złożone w budynku na kilku piętrach. Wynika to m.in. z faktu, że Sao Paulo ma około 26 milionów mieszkańców i brakuje terenów pod normalne cmentarze. Sama uroczystość pogrzebowa miała raczej świecki charakter. Brazylijczycy w większości są katolikami, ale jest to powierzchowny katolicyzm, trochę tak jak w Polsce. Na pogrzebie moją uwagę zwróciła wszechobecna szczerość i naturalność w zachowaniu. Nie trzeba było być poważnym, spiętym. Śmiejące się z czegoś dzieci nie były karcone. W jednym momencie płakano a minutę później na wspomnienie zabawnej sytuacji z udziałem zmarłego głośno się śmiano. Było dużo przytulania się i wspierania nawzajem.

Kilka godzin później spotkaliśmy się przed studiem Rock Together z zespołem ESCURO i ich vanem udaliśmy się na pierwszy koncert poza Sao Paulo do Itanhaem. Do Itanhaem jechało się jakieś 2 godziny z Sao Paulo. W trakcie jazdy dopadł nas subtropikalny deszcz, mgła. Z autostrady na prawo i lewo widać było tylko dżunglę. Jest duży kontrast pomiędzy wielkimi aglomeracjami a taką dzikością, jedziesz kilkanaście minut od miasta i nagle góry, potoki, dżungla i dzikie zwierzęta.

Poszukiwanie miejsca koncertu w tej miejscowości także było ciekawe i charakterystyczne, co później pojawiało nam się wielokrotnie. Zauważyłem tam w mentalności ludzi relaks okazujący się np. w tym, że gdy przyjechaliśmy do jakiejś miejscowości i szukaliśmy klubu to miejscowi w ogóle nie wiedzieli nic o tej ulicy, klubie, pokazywali kompletnie rożne kierunki, albo okazywało się, że są dwie ulice o tej samej nazwie itd. Wszyscy super wyluzowani. I gdy w końcu trafiliśmy to wszystko było na luzie i bez stresu.

Swojsko poczułem się w miejscu, gdzie graliśmy, było tam bardzo skłotersko i punkowo. Caverna House, pustostan, parterowa zabudowa. Jakiś czas temu ten obiekt został zaskłotowany a miejscowa ekipa lubiąca jeździć na deskorolkach zrobiła sobie wewnątrz skatepark.

Estetyka punkowa w plakacie, we wnętrzu, a także po plakatach z poprzednich imprez pozwoliła zorientować się, że lubią tam szybkie granie, bo było tam bardzo dużo plakatów zespołów grających power violence lub grind core. Jeśli chodzi o modę załogancką to bardzo wiele osób chodzi w tym, co my nazywamy „japonki" a oni nazywają to havaianas. Generalnie ludzie są ubrani bardzo kolorowo. Graliśmy tam z kilkoma zespołami i fajnym było to, że był duży przekrój. Thrashowo-skejtowy NERDS ATTACK, HORACE GREEN grające emo w stylu FUGAZI, no i zespół ESCURO.

Verdurada

Kolejnym koncertem, i od strony naszego tam pobytu, to największym wydarzeniem była nasza gra na festiwalu Verdurada (01.02.2015). Verdura po portugalsku znaczy warzywo, więc można powiedzieć, że jest to odpowiednik naszych imprez o nazwie Wegetariada. Jest to cykliczna impreza, która zaczęła się około 20 lat temu. Zaczęło się to od DIY koncertów stricte straight edge organizowanych przez ekipę związaną z zespołem POINT OF NO RETURN. Pierwsze dwie lub trzy imprezy miały miejsce nawet nie w klubie, tylko gdzieś na podwórku u chłopaków za garażem. Z czasem rozwijały się i zaczęto je robić w klubach, co roku, później nawet dwa razy do roku i były takie edycje, gdy przychodziły na nie po 600-700 osób. Teraz znowu przychodzi nieco mniej ludzi, głównym powodem jest to, że organizatorzy ciągle chcą to robić na zasadach DIY, nie zatrudniać ochroniarzy, nie wynajmować dużych lokali. Stwierdzili, że będą robić to w mniejszych miejscach, gdzie mieści się 200 osób a nie np. 600-700. Miejsce, gdzie była Verdurada to jest sala koncertowa należąca do uniwersytetu, a w środku wyglądała jak squat.

Na Verduradzie grało wiele fajnych zespołów, m.in. COKE BUST, który był na dużej trasie po Ameryce Pd., O INIMIGO (old scholl all-stars band z Sao Paulo, ex-DISCARGA, I SHOT CYRUS, POINT OF NO RETURN), CADAVER EM TRANSE, DJ KL Jay - starszy facet, wegetarianin od wielu wielu lat, wspiera ruch praw zwierząt. Jest członkiem takiej dużej, szanowanej w kręgach niezależnych hip-hopowej grupy nazywającej się RACIONAIS. Mają sporo wydanych płyt, ale ciągle są szczerzy i autentyczni w tym, co robią. Godzinny set tego DJ był mieszanką reggae, dance hall, hip hopu i wszelkich innych rytmów, z których wszystkie były trafione na tę imprezę. Bawiłem się wyśmienicie. Na jego secie zabawa była prawie tak duża, jak wtedy, gdy grał COKE BUST, chociaż trochę inaczej to wyglądało.

Obecnie nie jest to już festiwal straight edge i grają tam różne zespoły, w środku nadal jednak nie pije się alkoholu i nie pali. Nie było żadnych spin, organizatorzy nie musieli się wykłócać o respektowanie tych zasad. Kto chciał palić i pić robił to na zewnątrz. Należy to już do tradycji tych festiwali. To, co zwróciło moją uwagę pod względem organizacyjnym to, że zagrały trzy zespoły, potem był ten DJ, który grał z godzinę, potem była część polityczna, a potem znowu grały

zespoły. Dla mnie to było trochę dziwne, że DJ grał centralnie w środku imprezy, ale zadziałało to elegancko. Verdurada zawsze miała mocną część polityczną, były wykłady i filmy. Na tej edycji była to rozmowa z dwójką ludzi z organizacji matek, które straciły synów. Była pani, która straciła syna w trakcie walki z policją w obronie jakiegoś squatu. O tym była długa rozmowa, ludzie zadawali dużo pytań, a pani wiele rzeczy opowiadała. Bardzo mi się spodobało to, że te około 150 osób, które przyszło na salę faktycznie było zainteresowanych wykładem i rozmową. Bardzo było to konstruktywne i motywujące. Wiele osób brało mikrofon, zadawali pytania i opowiadali swoje historie. Niestety niewiele z tego zrozumiałem, bo wszystko było po portugalsku. Spotkałem tam też znajomych z zespołu NUCLEAR FROST (D-beat/ metal), z którymi wspólnie graliśmy w 2014 koncert w Czechach.

Na Verduradzie było mnóstwo stoisk z muzyką, wyglądało to jak czad giełda. Do tego na sprzedaż dużo wegańskiego jedzenia, które jest popularne i ogółem w Brazylii jest dużo bistro barów z jedzeniem wegańskim prowadzonych przez ludzi z kręgów HC/Punk. Jedną z potraw, którą zapamiętałem a jest dobra i była ważnym elementem naszego podróżowania to przekąska, która nazywa się Coxinha. Jest to kulka z mąki z nadzieniem w środku, np. z wegańskim serem, lub z sercami palmowymi (palmowe serca są kwaśno/pikantne i rewelacyjne). Tradycją Verdurady jest to, że całość kończy się rozdawaniem jedzenia za darmo. Impreza kończy się o takiej porze, aby jeszcze wszyscy zdążyli wrócić do domu metrem, bo odległości w Sao Paulo są naprawdę ogromne. Ludzie widzą, że jak ostatni zespół gra to zajmują sobie miejsce w kolejce, pojawia się grupa osób rozdająca jedzenie i kończy się to wielkim wspólnym żarciem. Rozdawana była potrawa o nazwie feijoada, jest to tradycyjne danie brazylijskie składające się z czarnej fasoli, ryżu i całość posypana czymś, co wyglądało jak parmezan, ale nim nie było (była to skrobia kukurydziana, którą posypuje się potrawy dla zagęszczenia). Ciekawostką jest to, że z tą feijoada było coś nie tak i 200 osób, które ją jadło następnego dnia miało sraczkę!

Przed wyjazdem było już wiadomo, że będziemy grywali od czwartku do niedzieli. W Brazylii trudno jest zrobić trasę, gdzie koncerty byłyby dzień po dniu. Ludzie nie są przyzwyczajeni do gigów w poniedziałek lub we wtorek. Więc my grywaliśmy koncerty w rytmie: piątek, sobota, niedziela, później przerwa do piątku i znowu koncerty. Ja na wolny czas nie narzekałem, ponieważ w tym czasie poznawałem Brazylię od tej turystycznej strony. Widok dżungli przez okna vana podczas pierwszego wyjazdu poza Sao Paulo sprawił, że byłem totalnie zdeterminowany, aby zobaczyć jak najwięcej miejsc. Urzekły mnie te niesamowite dla mnie widoki.

Podczas pierwszej trzydniowej przerwy wraz z Maxem udaliśmy się do miejscowości Sao Vicente. która jest 1,5 godziny drogi od Sao Paulo. Jest to miejscowość nad oceanem, gdzie kolonizatorzy portugalscy po raz pierwszy dobili do brzegu w 1553 r. W Brazylii mówi się, że to jest pierwsze miasto brazylijskie. Tam zażywaliśmy sportów wodnych. Pływając na Paddle Board zauważyłem, że coś wielkiego przepływa pode mną. Gdy wyszedłem na plaże zobaczyłem tablicę, że jest to rezerwat żółwi morskich, więc najprawdopodobniej pode mną przepływał akurat jeden z nich.

Rdzenni „Brazylijczycy"

O Brazylii powiedzieć trzeba, że jest nadal mocno kolonialna. Jak się pojedzie na północ to można spotkać autochtonicznych mieszkańców kontynentu. Natomiast środkowa Brazylia, czyli Sao Paulo, Rio de Janerio i bardziej na południe jest mocno europejska, do tego stopnia, że są całe regiony niemieckie, włoskie, francuskie, portugalskie i również polskie itp. Autochtonicznych Brazylijczyków można spotkać najczęściej, gdy sprzedają jakieś rękodzieło. Mnie oni fascynowali, uderzające było to, że oni są tak totalnie inni, żyją i postrzegają świat nadal na swój sposób (a pewnie na wiele sposobów), tak inny niż logika i mentalność wynikające z europejskiej cywilizacji. Gdy powiedziałem miejscowym znajomym, że chciałbym zobaczyć jak żyje rdzenna ludność to parsknęli śmiechem i powiedzieli, że tu nie ma Indian i jak chcę ich zobaczyć to musze jechać na północ do Amazonii… Ale udało mi się widzieć kilku przedstawicieli lokalnych plemion i to właśnie w Sao Vicente. Tam na jednej z wysp, która jest niedaleko od brzegu jest rezerwat. Czytając później o tej wyspie dowiedziałem się, że na niedużym obszarze stłoczeni zostali Indianie z trzech różnych plemion, które wcześniej mniej lub bardziej walczyły ze sobą. Jedynym, co państwo brazylijskie było im w stanie zaoferować to kawałek wyspy, gdzie nikt poza rdzenną ludnością nie ma prawa wstępu. Chłopak na plaży wynajmujący nam deski do pływania powiedział nam, że za cyplem jest rezerwat Indian, ale tam nie można podpływać, jest zakaz. Nie można tam podpływać, bo zdarzały się przypadki, że Indianie strzelali do zbliżających się turystów z łuku lub z dmuchawek (!!!). Gdy to usłyszałem, pomyślałem sobie, że to jakiś żart. Ale okazało się, że to prawda. Plemienna ludność w rezerwacie nosi się tradycyjnie, i zdarzało się, że amatorzy golizny, podpływali, aby gapić się na nagie kobiety, co spotykało się ze sprzeciwem mężczyzn wyrażanym ostrzeliwaniem intruzów. Owszem, popłynęliśmy za ten cypel, ale pozostaliśmy w sporej odległości od brzegu, na którym widzieliśmy krzątających się ludzi. Nie było to spotkanie - ale sama świadomość, że byli to przedstawiciele rdzennego, prastarego i prawdziwego świata przyprawiała o ciarki na plecach.

Widoczną na co dzień spuścizną po plemiennej przeszłości Brazylii są nazwy miast, dzielnic, ulic, stacji metra. Guarapuava, Inanhaem, Tucuruvi czy Carandiru.

ACAI - rajski owoc.

Brazylia jest pełna egzotycznych owoców. Duża ich część pochodzi z Amazonii. Jednym z owoców, (który w Europie też już można znaleźć) jest jagoda ACAI. ACAI ma charakterystyczny smak, trudny do opisania kwaśno/słodki ziemisty. Popkultura brazylijska zaadaptowała ten produkt i jest dostępny wszędzie w formie sorbetu. Niektórzy miejscowi załoganci sprawiali wrażenie uzależnionych od ACAI - jadali to codziennie i ciągle o tym gadali. Faktycznie Indianie z Amazonii jadają to codziennie, ale nie w formie sorbetu czy słodyczy tylko, jako składnik potraw. Te jagody słyną z wysokiej zawartości wszelakich aminokwasów i są bardzo pożywne. Po porcji (a rozmiary były zacne) głód znikał na wiele godzin. Przy upałach tam panujących było to super jedzenie.

Mercado Municipal

Miejscem, które turystycznie jest godne polecenia w Sao Paulo jest Mercado Municipal, czyli targowisko miejskie. Architektonicznie

budowla kolonialna. W środku można znaleźć mnóstwo ciekawych rzeczy, od niefajnych, jak zabite zwierzęta morskie poprzez świeże przyprawy, po naprawdę egzotyczne owoce i warzywa. W Brazylii bardzo lubią jeść słodko i pikantnie. Na targowisku można kupić najostrzejsze papryczki praktycznie z całego świata (przywiozłem zapas).

NAJWYŻSZY SQUAT ŚWIATA - obok tego targowiska jest stosunkowo duży i nowy parking, który powstał na miejscu zburzonego kilka lat temu trzydziestokilkupiętrowego wieżowca, który był najprawdopodobniej najwyższym skłotem na świecie. Był to budynek, który powstał w latach 90-tych podczas boomu ekonomicznego, ale nigdy nie został dokończony. Był on zaskłotowany przez ubogich ludzi. Należy tutaj dodać, że squatów w Sao Paulo jest mnóstwo, ale nie są to squaty punkowe. Te squaty zajmują ludzie żyjący w ubóstwie, których nie stać na czynsz, mieszkają tam całymi rodzinami. Są ruchy społeczne, organizacje anarchistyczne i punkowe walczące o prawo do squatowania (np. FLM - Frente de Luta Por Moradia - Housing Struggle Front). W Brazylii ewikcje są bardzo brutalne i luzie się bronią zawzięcie. W tym wieżowcu nie było wind, częściowo nie było ścian i co pewien czas zdarzały się w nim śmiertelne wypadki, bo ktoś spadał. Władze miejskie postanowiły uporać się z problemem, wyburzono budynek i wybudowano w tym miejscu parking. Bardzo rzucającym się w oczy dla Europejczyka widokiem w centrum Sao Paulo są

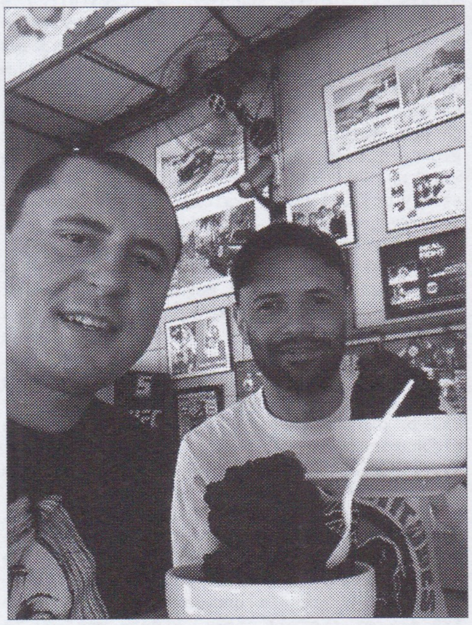

wieżowce, wręcz drapacze chmur, które są całe pomazane, pełne charakterystycznego graffiti. Są one opuszczone, często zasquatowane i np. w jednym z nich metalowcy organizują swoje koncerty. Wzięło się to stąd, że w Sao Paulo, które jest centrum finansowym Brazylii na początku lat 90-tych był duży boom gospodarczy i budowlany i w bardzo szybkim tempie powstawały kolejne budynki dla biur i firm. I te budynki były budowane szybko, tanio, z byle jakich materiałów. Skutek jest taki, że po 10-20 latach wiele z tych budynków nie nadaje się do użytkowania.

Miejscówki koncertowe były bardzo różne. Jak już wcześniej wspominałem Verdurada była w sali uniwersyteckiej wyglądającej jak squat, pierwszy koncert w sali prób, drugi w fajnym squaterskim skateparku, a kolejny miał odbyć się w domu kultury. Miał on miejsce w piątek 06.02.2015 w miejscowości Itapira. Na miejscu dowiadujemy się, od organizatora, młodego dzieciaka, że w miejscowej gazecie był artykuł o tym wydarzeniu, bo to pierwsza edycja festiwalu. W tym artykule zamieszczone było nasze zdjęcie i tekst, że międzynarodowy zespół będzie występował w Itapira. Miejsce, gdzie odbywał się koncert było budynkiem przypominającym nasze domy kultury z czasów PRL-u. Scena była z czarną kotarą z tyłu, z profesjonalnym oświetleniem i niezłym sprzętem nagłośnieniowym. W tym artykule w gazecie użyto zdjęcia, na którym Max miał na sobie koszulkę zespołu DEICIDE i na koncercie połowę publiki stanowili nastoletni metalowcy, którzy nas nie słyszeli wcześniej i zasugerowali się koszulką. Pewnie spodziewali się, że będzie o szatanie i byli zaskoczeni tym, co usłyszeli. Na koncercie zagrały cztery zespoły, TAKE ME BACK (hardcore), CEU EM CHAMAS (metal/core), ESCURO i my. Wszyscy grali brutalnie, ale oczywiście dopiero, gdy my gramy w połowie setu rozwala się perkusja, bo ja niszczę naciąg do centrali. Szybko zostało to zreperowane - z doświadczenia zawsze mam ze sobą mocną taśmę klejącą. Chwilę potem skopcił się piec basowy i niestety zepsuło to nieco dynamikę koncertu, bo ludzie się super bawili, a później musieli czekać 15 minut aż naprawimy sprzęt. Mimo wszystko był bardzo fajny odbiór. Smaczkiem dopełniającym klimat artykułu w gazecie była miejscowa TV, która kręciła cały koncert. Do tego fajne jedzenie, X Salada Vegan - czyli wegańskie burgery w różnych odmianach (wędzone, pikantne a wszystkie bardzo smaczne).

Najbardziej punk rockowy koncert graliśmy w miejscowości Sorocaba w małym undergroundowym klubie. Graliśmy my, ESCURO i KOB82 (punk rock). Po koncercie okazało się, że wokalista KOB82 jest fanem antyfaszystowskich drużyn piłkarskich i był niedawno w Niemczech (oczywiście na St. Pauli). Fajne wrażenie zrobił na nas koncert w miejscowości Curitiba. Curitiba jest miejscem lubianym przez ludzi ze sceny niezależnej a scena jest tam bardzo prężna. Jest dużo ludzi, zespołów, koncertów i innych działań. Klub, w którym graliśmy nazywał się 92 Graus. Po plakatach w środku widziałem, że grało tam bardzo dużo zespołów, m.in. DEAD KENNEDYS, FUGAZI. Jeżeli chodzi o publikę to ludzi było średnio, ale za to zabawa była przednia i po koncercie mieliśmy wiele rozmów z nowymi i starymi znajomymi. Jak już wspominałem, HELLO BASTARDS na początku był zespołem składającym się tylko i wyłącznie z mieszkańców Ameryki Południowej, a w Curitiba mieszka Gabiru, który był pierwszym perkusistą. Teraz już nie mamy w secie koncertowym kawałków, które on grał, ale fajnie było widzieć go bawiącego się pod sceną i zajebiście było spędzić z nim czas po koncercie. Oprócz ESCURO grał z nami zespół ICARUS FALL grający melodyjny old schoolowego hardcora. W trakcie występu wokalista dużo mówił m.in. o tym, iż scena niezależna, zaangażowana ma w sobie tyle konwenansów, że oni grając melodyjnie, a jednocześnie będąc zespołem politycznym są nielubiani. Bo jak jesteś polityczny to musisz napierdalać brutalną muzę i ryczeć a nie melodyjnie śpiewać. Po koncercie mogliśmy wymienić swoje wrażenia. HELLO BASTARDS ma w

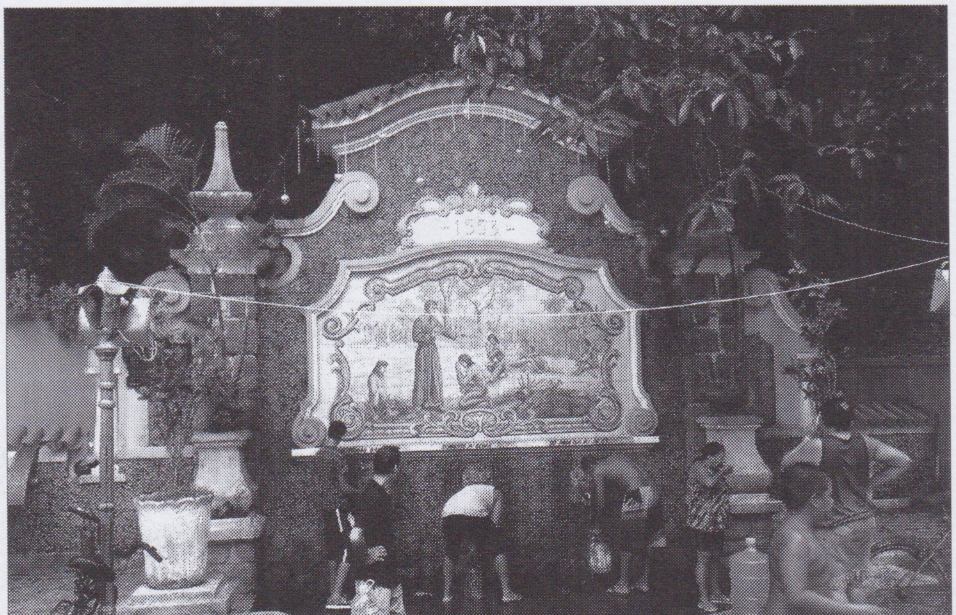

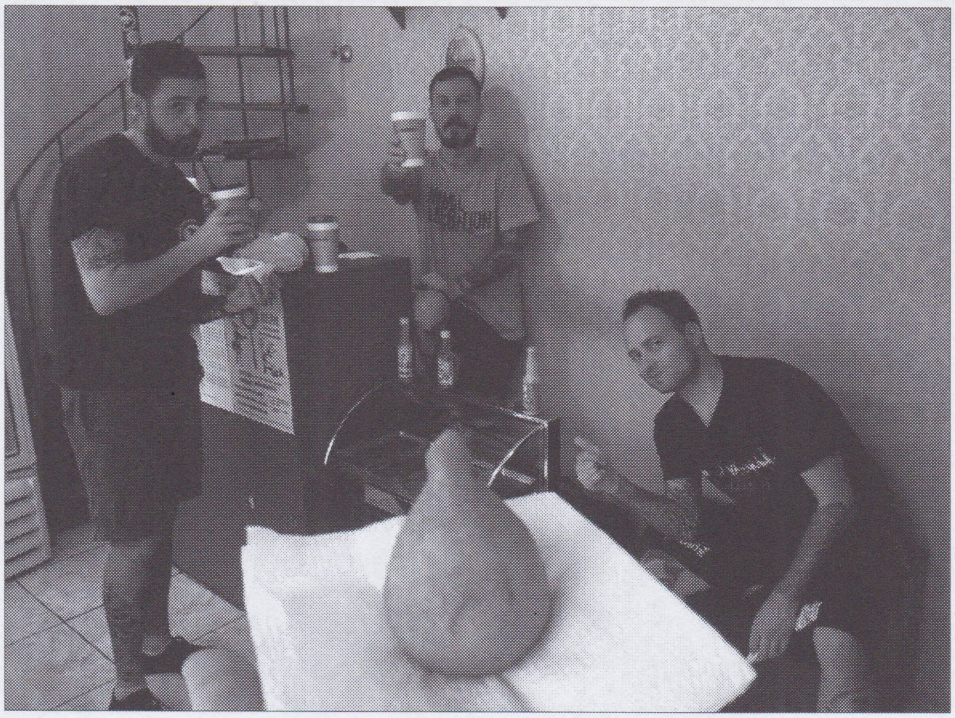

swojej historii taki etap, gdy nie byliśmy akceptowani w Londynie, bo na scenie HC sXe byliśmy uważani za punkowy zespół, co siało zgorszenie, a scena punkowa nas nie chciała, bo byliśmy straight edge.

Favele i inne niebezpieczne okoliczności przyrody

Nie spotkałem się w Brazylii z żadnym przejawem agresji. Jednak będąc turystą lepiej uważać gdzie się chodzi. Może być niebezpiecznie i najlepiej mieć miejscowego towarzysza. Nawet miejscowi w Sao Pulo czy Rio de Janeiro mają miejsca, do których boją się wchodzić, należą do nich niektóre części faveli, które są bezpieczne tylko dla członków lokalnych gangów. Organizacje pozarządowe organizują wycieczki po favelach a zgromadzone w ten sposób pieniądze wykorzystują dla tamtejszych dzieciaków na edukację. Nie mieliśmy jednak na to czasu.

Podczas drugiej przerwy pomiędzy koncertami zrobiliśmy z Maxem objazd po kawałku Brazylii i była to rewelacyjna i niezapomniana wyprawa. Najpierw pojechaliśmy do Rio de Janeiro. Gdy się zbliżaliśmy Max, który część dzieciństwa spędził w Brazylii był zestresowany tym, czy uda nam się dotrzeć przed zmrokiem, bo po zmroku robi się niebezpiecznie. Ja patrzyłem na autostradę czteropasmową i myślałem sobie, że co niby mogłoby nam się stać, gdy jedziemy samochodem. A okazuje się, że częstym procederem jest, że z jadącego obok auta lub motoru nagle ktoś macha w twoją stronę pistoletem i jeśli nie zatrzymujesz się, bez pardon strzela do ciebie. Kierowcy są wyczuleni i jak ktoś nie wyprzedza tylko jedzie na równi z tobą, to wtedy najlepiej albo przyspieszyć albo zwolnić, bo taka jazda jest podejrzana. Normalnym wyposażeniem auta jest paralizator lub nóż. W końcu wyciągnąłem z Maxa powód jego stresu. Jako dzieciak był na wycieczce autem w Rio z rodzicami i wujostwem. Pojechali na skróty by ominąć korek, zgubili się i trafili do Faveli. W pewnym momencie ktoś ich ostrzelał bez żadnego ostrzeżenia. Uciekli, ale Max dobrze pamięta dziury po kulach. Od jakiegoś czasu w związku z olimpiada i mundialem, państwo prowadzi program walki z przestępczością i wiąże się to też z pacyfikowaniem i likwidacją faveli. Statystyki w Rio są takie, że codziennie ginie jedna osoba od przypadkowej, zbłąkanej kuli, która pochodzi ze strzelaniny pomiędzy policją a gangami w favelach. Ale słyszałem też o sytuacjach na przedmieściach Sao Paulo, gdzie autostrady przebiegają miedzy favelami. Zdarzało się, że jak był korek to bandy z faveli wychodziły na autostradę i rabowały samochody. Jadąc samochodem trzeba mieć zablokowane wszystkie drzwi i bagażnik, bo zdarza się, że gdy samochód zatrzymuje się na czerwonym świetle to ktoś podbiega, otwiera drzwi i zabiera to, co tam masz. W Sao Paulo favele są na przedmieściach. Mamy jakieś centrum i trzeba się przemieścić, żeby do nich dotrzeć. W Rio de Janeiro jest inaczej. To miasto jest naprawdę piękne. Strome wzgórza wcinające się w ocean, i miasto wciskające się w każdy zakamarek nie zbyt stromy, by go zamieszkać. Powierzchniowo nie ma tam dużo miejsca i to skutkuje tym, że te mniej atrakcyjne dla deweloperów strome zbocza stały się siedliskiem (bardzo ładnie wyglądających, budowanych piętrowo z tego, co kto miał, są wiaty z drewna, obok coś z pustaków a do tego doklejona lepianka z gliny) na dziko budowanych osiedli - faveli, które są bardzo blisko centrum. Przy plażach bardzo dużo było patroli policyjnych. Podobno jest to związane z tym, że jeszcze do niedawna zdarzały się akcje zwane „Lawina", polegało to na tym, że w Rio, gdzie favele piętrzą się na zboczach wzgórz obok centrum, kilkudziesięcioosobowe uzbrojone gangi schodziły na plaże, gdzie w krótkim czasie byli w stanie obrabować kilkaset osób, po czym szybko wracali na swój teren.

W Rio de Janeiro można zaobserwować życie plażowe. Młodzież spędza czas od rana do późnego popołudnia na plaży a wieczorem idzie do szkoły (szkoły otwierane są około 19). Po zapadnięciu zmroku plaże stają się znów pełne, tym razem są miejscem wszelakich zajęć fitness i różnych sportów, a uczestniczą w tych zajęciach całe tłumy ludzi z wszystkich przedziałów wiekowych. Na plaży Ipanema przesiadują setki hipsterskiej młodzieży w oparach dymu marihuanowego i grają w piłkę nożną. Ten program walki z przestępczością polega m.in. na tym, że przy zjazdach z głównych dróg, które prowadzą do faveli są wielkie tablice z napisami: uwaga, wjeżdżasz do strefy objętej akcją zwalczania zorganizowanej przestępczości lub że ten teren opuszczasz. Ma to ostrzegać przed przypadkowymi ludźmi, którzy mieliby się w faveli znaleźć. Przy tych wjazdach do faveli można często zobaczyć policję, nie w radiowozie, a np. w czołgu lub w transporterze opancerzonym. `Walka policji z gangami z favelach jest brutalna, jest dużo strzelanin i często przeradzają się one w prawdziwe bitwy. Na szczęście podczas całego pobytu w Brazylii nie miałem żadnych niebezpiecznych sytuacji.

Favele są bardzo skryminalizowane. Są tam gangi, które kontrolują je w taki sposób, że właściwie są to obszary poza jurysdykcją państwa. Miejscowi, którzy byli dobrze zorientowani w temacie mówili, że favele są jakby strefami autonomicznymi. Są jak państwa w państwie. Tam nie obowiązują przepisy, bo tam nie ma stróżów prawa, którzy mogliby te przepisy egzekwować. Guto – basista ESCURO opowiadał mi, że ma kontakty w favelach, bo na skateparku poznawał się z dzieciakami z faveli. Teraz po skończeniu studiów interesuje się alternatywną stroną ekonomii i mechanizmami rządzącymi systemem kapitalistycznym a sam jest anarchistą z przekonania. Od czasu do czasu robi warsztaty dla dzieci w favelach, na których tłumaczy jak funkcjonuje kapitalizm, jak można w stosunku do niego budować alternatywę, jakie niebezpieczeństwa dla ich wolności niesie za sobą kapitalistyczna demokracja. Bardzo ciekawe jest to, że aby przeprowadzać takie warsztaty czy wykłady musiał dostać pozwolenie od lokalnego bossa. Bo podobno jest tak, że bossowie gangów bywają jak przysłowiowy ojciec chrzestny i opiekują się ludźmi, którzy tam mieszkają. Zdziwiło mnie, że owy boss wręcz był zainteresowany tym, by dzieciaki otrzymywały taką edukację. Nie ma co generalizować, że tak jest ze wszystkimi bossami gangów z faveli, ale temu akurat zależało na tym. On miał wizję na przyszłość, aby te dzieciaki umiały pisać i czytać i odnalazły się w świecie i nie musiały żyć z kradzieży i handlu narkotykami. To, co usłyszałem mocno mnie zaskoczyło i świadczy to o tym, że favele są w płaszczyźnie społecznej czymś więcej niż tylko dzielnicami biedoty. Stanowią strefy będące pewnego rodzaju alternatywą do wielkich molochów miejskich, i posiadają skomplikowaną strukturę społeczną.

Wracając z Rio w kierunku Sao Paulo jechaliśmy wybrzeżem i odwiedziliśmy kolonialną miejscowość Paraty z zachowaną z tamtych czasów zabudową. Fajnie było zobaczyć te kolonialne stare budynki, ale bardziej mnie fascynowało piękno przyrody, która była dookoła. Miejscem przepięknym, wartym polecenia jest wyspa nazywająca się Ilhabela, czyli dosłownie piękna wyspa. Jeżeli ktoś chce obcować z przyrodą to jest to niesamowite miejsce. Można poczuć tam jak jest w subtropikalnej dżungli, można wykąpać się w górskim potoku z lodowatą wodą. Z kolei na wybrzeżu wyspy woda jest ciepła i przezroczysta i można pływać, nurkować w otoczeniu dziesiątek różnych kolorowych rybek, które pływają obok ciebie. Po drodze zaliczyliśmy także dzikie wodospady. Byliśmy na dzikiej plaży w parku narodowym Serra do Mar, tak innej niż te wielkomiejskie plaże w Rio, gdzie na obszarze 2 kilometrów nie było poza nami nikogo. Niesamowite miejsce i dobra odtrutka od tych hałaśliwych miejsc.
Po powrocie z tej wycieczki zostały nam do zagrania 2 koncerty. Te dwa koncerty były w okolicach Sao Paulo i nie trzeba było nigdzie daleko jechać. Pierwszy miał miejsce w miejscowości Campinas, w miejscu, gdzie dzień przed nami grało COKE BUST. Graliśmy tylko my i ESCURO. Był to koncert bardzo lokalny i swojski, lokal to podwórze z zadaszoną sceną, należące do ojca organizatora. Super sprawą było to, że jedzenie dla nas przygotowali oraz bar na gigu prowadzili rodzice organizatora, ludzie po 60-tce wyraźnie zadowoleni ze swego hobby. Moim zdaniem Brazylijczycy mentalnie są całkiem podobni do nas. Można się z nimi łatwo porozumieć, są tacy bezpośredni, wręcz swojscy. Bardzo szybko się tam zaaklimatyzowałem a atmosfera na koncertach była autentyczna i niezmanierowana.
Ostatni koncert graliśmy w miasteczku Jandira leżącym także na przedmieściach Sao Paulo. W klubie rock/metalowym Caveira Velha. Jandira to taka prawie favela. Było to widać po zabudowie, bo jest ona bardzo charakterystyczna. Było to też widać po miejscowym zespole, który z nami grał. Zespół nazywał się CRIMINAL MOSH i grali gangsta hardcore. Wokalista był cały wytatuowany w kastety i pistolety, do tego złoty łańcuch na szyi, a mówił ze sceny, że ważne dla niego jest, że o problemach życiowych wyraża się w muzyce hardcore i że cieszą się, że dzielą scenę z zespołami sXe, i że są takie płaszczyzny życia, na których walczymy o to samo. Publiczność bardzo fajnie reagowała na to, co on mówił. Ten koncert był wręcz rodzinny. Było dużo ciepłych słów, podziękowania za pomoc, wymiana wrażeń z trasy, i oczywiście, choć spędziliśmy z ESCURO wcześniej sporo czasu, to w ten ostatni wieczór nie mogliśmy się nagadać.
W Brazylii na koncertach z publicznością jest różnie. Na popularne zespoły potrafi przyjść po kilkaset osób. Na nas przychodziło po kilkadziesiąt. Podczas tych 8 koncertów nie zauważyłem rozdziału pomiędzy sceną hardcore, punk rockową i sXe. Wszystkie te sceny trzymają się razem i są mocno DIY. Ludzie fajnie się bawią, jest to autentyczne i przypominało mi klimat u nas z początku lat 90-tych.

Co warto wiedzieć

Co do kosztów to powiem, że Brazylia nie jest tania. Ceny są porównywalne do polskich, więc jadąc tam z określoną sumą pieniędzy można pozwolić sobie na mniej więcej tyle, na ile można by pozwolić sobie w Polsce. Oczywiście miejsca turystyczne są droższe, dokładnie tak, jak u nas. Przez to, że graliśmy tylko w weekendy i w sumie wszystkie lokalizacje były dookoła Sao Pulo to na każdy gig wyjeżdżaliśmy i wracaliśmy do Sao Paulo. Nie miałem więc okazji poznać gościnności załoganckiej, ale za to poznałem gościnność rodzinną, którą tak samo sobie cenię. Na koncertach było widać, że ludzie są gościnni i sympatyczni, ale że trasa miała taki a nie inny przebieg to nocowaliśmy albo u rodziny Jeffa, albo u Gabriela, wokalisty HELLO BASTARDS z pierwszego składu. Brazylia ogólnie ma ma kłopoty z ochroną środowiska i duże problemy z zaopatrzeniem w wodę pitną. W miastach zupełnie normalną sprawą jest to, że gdy się buduje domy to na dachach od razu robi się duże zbiorniki, do których łapie się wodę. Woda w kranie jest mniej więcej, co drugi dzień, i jest to ogólnie wiadome i ludzie radzą sobie w taki sposób, że w dni, gdy wody nie ma to korzystają z tej nagromadzonej w zbiorniku na dachu. Rodzina Jeffa byłą super gościnna, ale pierwsze, co mi powiedzieli to o oszczędności wody. Zauważyłem też, woda z pod prysznica jest wykorzystywana jeszcze do spłukiwania toalety, (co swoją drogą powinniśmy robić wszędzie). Bardzo mi się spodobały targi uliczne sprzedające dosłownie mydło i powidło. Od ubrań, poprzez owoce, do soku z trzciny cukrowej. Ja w ogóle przed tym wyjazdem do Brazylii nie wiedziałem, że jest tyle odmian bananów, tyle odmian ananasów i pomarańczy.
Komunikacja
Na koncerty jeździliśmy vanem. Po mieście jeździliśmy strasznie rozklekotanymi autobusami i metrem, które jest strasznie skomplikowane. Dopiero po dwóch dniach jeżdżenia z miejscowymi odważyłem się samemu gdzieś pojechać. Komunikacja pomiędzy miastami to samochody i autobusy. Autobusy na liniach międzymiastowych są bardzo komfortowe (klima, Wi-Fi). Natomiast linie kolejowe istnieją tylko w stanie szczątkowym i są nieliczne.
Scena hc punk, którą poznałem w Brazylii jest polityczna, ale w miarę w prosty sposób. Dużo działań lokalnych i bezpośrednich a mniej wyemancypowanych dyskusji. Nie znalazłem tam kawiarenki czy księgarni anarchistycznej, ale za to na koncertach spotykałem ludzi o dużej wiedzy, z którymi można było dyskutować godzinami. Zauważyć należy, że obserwacje moje prowadzone były przez pryzmat załogi sXe, (z której wiele osób jest zaangażowanych politycznie).

BLOCO 77

Byliśmy w Brazylii od końca stycznia do połowy lutego i gdy akurat szykowaliśmy się do wyjazdu to rozpoczynał się okres karnawału. W dni karnawału o każdej porze dnia i nocy można zobaczyć dużo ludzi, którzy albo idą na imprezę albo z niej wracają. Ogólnie panuje nastrój świąteczny. Okazuje się, że obrazki, które widzimy w telewizji to jest karnawał dla elit i turystów. Bilet na widownię sambodromu, gdzie rywalizują szkoły samby jest drogi i jest to raczej domena klasy średniej i burżuazji. Rywalizacja pomiędzy dużymi szkołami samby jest tak duża i poważna, że dochodzi do sabotaży, podkładane są bomby i ogień. Są w to zamieszane duże pieniądze i jest to gigantyczny biznes. Prawdziwy karnawał, dla zwykłych ludzi odbywa się na ulicach. Każda dzielnica organizuje się i robi miejscowe sceny, swoje korowody, które przemieszcza się z miejsca do miejsca. Do tego, co my znamy z demonstracji i nazywamy sambą oni dokładają jeszcze przebrania i część choreograficzną czy wręcz teatralną i to się nazywa BLOCOS. Miałem okazję widzieć prawdziwe blocos urządzane przez organizacje pozarządowe i mieszkańców osiedla. Blocos, na które trafiliśmy było organizowane przez ludzi zajmujących się prewencją przeciwko AIDS i były śpiewane piosenki o prezerwatywach, bo są one fajne itd. Jest też punkowy karnawał, odbywający się wokół Bloco 77. Śpiew, radość i samba a wszystko w stylu latino/punk. Niestety nie widziałem tego, nie zdążyliśmy tam dojechać. Gdy oglądałem w sieci filmiki z Bloco77 (polecam) to zauważyłem, że członkowie zespołów, z którymi graliśmy razem koncerty są tam poprzebierani i śpiewają. Setki ludzi w tym uczestniczą, bawią się, piją, tańczą. Jeśli jeszcze będę miał okazję być w Brazylii to na pewno chciałbym wziąć w tym udział. Ciekawostką jest też to, co oni śpiewają. Są to przeróbki punkowych zespołów takich jak COLERA czy OLHO SECO zrobione na modłę sambową. Ten ruch związany z alternatywnym karnawałem jest mocny, dobrze zorganizowany. Widać, że karnawał mają tam we krwi i jest dla nich bardzo ważny.
Brazylia jest bardzo skorumpowana i pełna nierówności społecznych. Słychać i widać, że pieniądze, które poszły na organizację mundialu zostały obcięte z funduszy na kulturę i programy pro społeczne.. Istnieje np. program „mieszkanie dla każdego”, który polega na tym, że są budowane dla młodych ludzi mieszkania, zachęca się, aby zakładali rodziny i żeby mieli przyzwoite mieszkania. Ale ten cały program jest mocno skorumpowany, przetargi wygrywają zaprzyjaźnione firmy. Pobierane są dotacje od państwa a te budynki budowane są jak najmniejszym kosztem, tak że oferują bardzo niski standard a niektóre z nich nie spełniają w ogóle norm bezpieczeństwa. Jeżeli mówimy też o nierównościach społecznych to trzeba powiedzieć o edukacji. Studia kosztują tyle, że praktycznie dostępne są tylko dla młodzieży z zamożnych domów. Człowiek pochodząc z klasy niższej i chcący ukończyć studia, by dostać lepiej płatną pracę trafia na taką sytuację, że by opłacić studia musi iść do pracy, a w pracy, jeśli nie masz studiów to dostajesz marne pieniądze i tutaj koło się zamyka. Wielu ludzi, którzy próbują tak robić po kilku latach się poddaje i nie kończy studiów. Firmy podchodzą do tego w jednoznaczny sposób, że jak nie masz studiów to robimy ci łaskę, że cię zatrudnimy. A jak nie zgodzisz się na warunki, to jest 20 innych kandydatów na to stanowisko.

Ta trasa była dla nas niezapomnianym przeżyciem. Brazylia jest miejscem ciekawym i pięknym i jednoznacznie wartym poznania. Rest In Peace Cesar Nogueira Pinto. Za pomoc w napisaniu raportu dziękuję Michałowi.
Hello Bastards Collective. Making Hardcore, Punk Again.

KAMIKAZE, DEZERTER - 06.12.2014, sala amfiteatru, Ostróda

Miało grać coś jeszcze, chyba MONROE'S MYSTERIOUS DEATH, i w sumie nawet nie wiem, czy grali, bo wjechałem spóźniony; jakieś zawirowania z line-up`em i czasem grania były - aż dziwne, na imprezach Grocha wszystko działa jak należy. Chyba piąty raz widziałem DEZERTERA w Ostródzie i za każdym razem w innym miejscu. Jak przyjechałem, to w oczy rzucała się mała ilość ludzi, ale później okazało się, że chwilowo gdzieś wybyli w trakcie przerwy. Na pewno od początku intensywnie obserwowałem KAMIKAZE. Kapela ze sporą przeszłością muzyczną swoich członków: AGONYA, POSITIVE, THE CUFFS, IN THE NAME OF GOD, swoją drogą w kolumbijskiej Bogocie też jest punk zespół o nazwie KAMIKAZE. Kapela dopiero od niedawna zaczęła koncertować, ale mając encyklopedię kontaktów w kieszeni Grocha do chwili obecnej już trochę tych sztuk zaliczyła. Muzyka mocna, dosadna, ostro tnąca po uszach, nie przelewki, wolałbym jednak by teksty nie były takie rozbudowane, bo rozpada się nieco energia, lepsze byłyby w duchu DISCHARGE, MOSKWA, bez silenia się na poezję a z większym pazurem. Wokal obsługuje Guma i może ze względu na starą znajomość weźmie moje podpowiedzi pod uwagę? Swoją drogą kapela grała wraz z MOSKWĄ właśnie, nawet na release party „Nigdy" LP w Warszawie i dość zabawne musiało być goszczenie na scenie wokali w osobach jednej Gumy i drugiej Gumy… Później szybkie wietrzenie sali, znowu ludzie gdzieś wyparowali, może poszli zapalić, czy co innego zrobić, ale nie trwało to długo i na deski nowej przecież sceny wkroczyła mikrogrupka uciekinierów z wojska. Przywitali się i natychmiast pojechali. A ponieważ była to weekendowa, jesienna trasa (dzień wcześniej grali w Białymstoku) promująca nowy album „Większy zjada mniejszego", więc najpierw zaprezentowane zostały utwory z longplaya wydanego przez Pasażer Bloody Corporation. Spodziewałem się tego, ale nie spodziewałem się tego, że te promo obejmie cały album! Bo kapela grała po kolei wszystkie kawałki ze swojego nowowydanego longa. Nawet z tymi dziwnymi instrumentami (jakbym widział chyba ELAKELAISET z Finlandii) na zakończenie setu. W dodatku to była moja uczta dla ucha, bo pierwszy raz słyszałem całą płytę a dotychczas jedynie jakieś pojedyncze premiery utworów. Jeszcze chyba nie byłem na koncercie, który wyglądał w ten sposób. Po mini przerwie wróciliśmy do archiwaliów, więc czegoś na zasadzie Best of, lub koncertu życzeń, dzięki czemu można było spokojnie podrzeć japę i dośpiewywać z poziomu publiki nieśmiertelne manifesty naszej, oby jak najdłużej, wciąż działającej legendy. W Ostródzie punki były od zawsze, to miasto z dobrą punkową historią, więc frekwencja obejmowała zarówno młodszych wiekiem a starszych duchem, jak również spory procent starych ciałami a młodymi (mam nadzieję) duchem załogantów. Na oko jakieś 150 osób. Szacunek wzbudziła u mnie dziewoja z długimi dredami, która cały koncert przetańczyła, wcale nie z boku a kręcąc się swobodnie, boso. No ja bym tego nie zaryzykował, mimo wszystko. Druga część ich koncertu trwała mniej więcej tyle, co pierwsza, więc z bisami całość zabrała około 1,5 h, czyli rozsądnie. Po koncercie zabieram właścicieli wspomnianej Krwawej Korporacji na nocleg w moim pensjonacie, gdzie wizualizujemy sobie niemal do rana ostateczny krach systemu korporacji.

Grzester

ORTODOX

City Punk Show vol. 20 - FACE OF HATE, BUREK! DOBRY PIES, ORTODOX - 13.12.2014, Dębica

13 grudnia to data ważna dla każdego Polaka. Generał i jego WRONA postanowili w ten właśnie dzień, w roku pańskim 1981, wprowadzić stan wojenny i rozprawić się z „anarchizującą" Solidarnością. Dziś już po stanie wojennym pozostały tylko wspomnienia, Jaruzelski wącha już kwiatki od spodu, a o tamtejszych wydarzeniach przypominają nam co roku media. No i jeszcze czasami nasi mili chłopcy-narodowcy, którzy to próbują jak zwykle tego dnia ugrać coś dla swojej popapranej ideologii, zapominając jednocześnie, że to właśnie ich poprzednicy czynnie wspierali reżim komunistyczny... Miało być jednak nie o tym, tylko o punk rocku, a skoro to właśnie 13 grudnia w Dębicy ortodoksyjna ekipa postanowiła odjebać kolejną sztukę p.t. City Punk Show, grzechem by było się nie wybrać. Zestaw kapel na 20. edycji cyklu nie był szczególnie imponujący, ale może to właśnie zdziałało, że z mego rodzinnego Mielca wybrało się na ten koncert nadzwyczaj dużo osób, aż 11! Na pierwszy rzut poszli metalowcy z FACE OF HATE - przedstawiciele dębickiego thrash/ death metalu. Jako, iż muzy takiej nie słucham już od lat (poza Slayerem oczywiście!), to ich występ postanowiłem przegapić, a zaoszczędzony czas poświęcić na pogaduchy z napotkanymi znajomymi oraz spożycie różnej maści trunków (również tych wysokooktanowych). Z racji daty koncertu nie mogło się obyć - wśród prowadzonych rozmów - bez wspominek o tym, iż nie było Teleranka, a na ulicach pojawili się żołnierze, czołgi i skoty... Niestety, podejmujących ów temat było niewielu (ze względu na wiek) i wspominaliśmy głównie z redaktorem Bezkocem... A w międzyczasie na scenie zainstalowali się chłopcy z Nowego Zagórza, czyli samych bram Bieszczad. BUREK! DOBRY PIES nie był mi już obcym zespołem... Widziałem ich na jednym z rzeszowskich koncertów, a teraz chłopaki załapali się do ekipy Subcarpathin Punk Rock Show i grają coraz więcej koncertów, również poza Podkarpaciem. B!DP grają oczywiście punk rocka z Polski B - której notabene się w ogóle nie wstydzą. Ten ich punk rock nie do końca do mnie przemawia, ale mają kilka hiciorów, przy których noga sama zaczyna przytupywać... I jak przystało na zespół punkowy, w swym repertuarze mają również covery. O ile kawałek SIEKIERY dziwić nie może, to drugi cover jest nieco zaskakujący. Nim jednak go zdradzę, mała anegdotka z nim właśnie związana... Gdy po kilku kawałkach BURKÓW powróciłem do koncertowych rozmów Polaków, weszliśmy na temat hitu niejakiego Janusza Laskowskiego „Świat nie wierzy łzom". Gdy kilka dni przed koncertem miałem urodziny, jedna koleżanka zadedykowała mi właśnie ten hicior i teledysk do niego na facebooku. Oczywiście twórczość pana Laskowskiego to zupełnie nie moje klimaty, a ów utwór to chyba szczyt kiczu rodem z pierwszej dekady odrodzonej Rzeczypospolitej... Takie połączenie piosenki biesiadnej z disco polo. Temat Laskowskiego się szybko skończył, ale po chwili podbiega do nas owa koleżanka i ciągnie nas na salę... a tam B!DP pogrywa w skocznym punkowym tempie „Świat nie wierzy łzom". Gęby nam się rozdziabały z zaskoczenia. Życie potrafi płatać czasami nawet fajne figle. BURKI skończyły, więc pora na ostatni band wieczoru i jednocześnie gospodarzy koncertu - dębicki ORTODOX. Zespół ten to naprawdę fajne chłopaki i dla mnie osobiście nr 1 podkarpackiego grania punkowo-hardcore'owego. I nie ma tu nic z podlizywania się, że koledzy itp. Po prostu konsekwentnie od lat robią swoje, młócą zadziornego, acz niepozbawionego melodii, hc/punka, z wykopem i szaleństwem na i pod sceną. Koncert ten był również

PARTY 5

pożegnalnym koncertem dotychczasowego basisty OX'ów - Hawaja. Nie wnikałem dlaczegóż tak się działo... drogi nawet najlepszych kumpli czasem się rozchodzą, a to rozejście miało naprawdę wybuchowy charakter. Miła, przyjacielska wręcz atmosfera i pełno energii wydobywającej się z gitar, perkusji i mikrofonów ORTODOXÓW. Mniej więcej w połowie seta za bas chwycił nowy członek ekipy - Maciek. Postać to znana mi, od co najmniej kilkunastu lat. Jako małolat jeszcze zaczął wydawać ziny, w tym „Niezależny Liść" - newsletter, którego ukazało się kilkanaście numerów. Dziś, w dobie internetu, coś takiego byłoby zupełnie niepotrzebne, ale wówczas, w latach, gdy do sieci dostęp mieli jeszcze nieliczni, to właśnie takie informatory jak „NL" czy „Free Punk" i „Against!" były krwioobiegiem sceny niezależnej i ruchu wolnościowego. Później Maciek stał się podporą jednej z ważniejszych kapel nurtu grind/crust/punk w kraju - H-407. Miał jeszcze epizod chyba w jeszcze innej kapeli grindowej (nazwy już nie pamiętam) a teraz powrócił na scenę w bardziej melodyjnym wydaniu... i poszło mu to całkiem sprawnie. Ogólnie, cały występ OX'ów był bardzo, ale to bardzo udany, a repertuar śpiewany przez dużą część licznie zgromadzonej publiki. Opłacało się, więc kolejną rocznicę wprowadzenia stanu wojennego spędzić wśród punkowej braci.

Krawat

TRUD, SCHRÖTTERSBURG, WIEŻE FABRYK - 06.03.2015, Hala Pilon, Toruń

Od trzech miesięcy, jeżeli byłem na jakichś koncertach, to jedynie KOMETY, 19 WIOSEN, TYMON TYMAŃSKI, które były sympatyczne, ale hmmm, jakby to powiedzieć: mało scenowe, więc pozostawało uczucie lekkiego niedosytu. Przy czym przyznać muszę, że iławski koncert KOMET w ramach WOŚP wraz z SORRY ANDŻEJ (sympatyczny punk) i czymś tam jeszcze, był rewelacyjny, w dodatku z naprawdę liczną publiką. No, ale ładujemy się do naszej dwudziestodwuletniej limuzyny i jedziemy z żoną do stolicy pierników. Trochę błądzimy po mieście, bo te rozkopane stwarza trochę niespodzianek na trasie, ale w końcu docieramy do miejsca przeznaczenia. Na szczęście jest opóźnienie i niczego nie straciliśmy. Sporo znajomych gęb, nawet z 3Miasta przybyła załoga a to już jest wynik. Na początek TRUD, młoda praktycznie miejscowa ekipa próbująca d-beatowo nas zakasować. Zagrali jeden kawałek i coś im tam klękło, odczekaliśmy mało wiele i tym razem już gruchnęli na maksa. Czad, luta, ostro. Szkoda tylko, że dłużej ogląda się Teleexpress, bo myślałem, że to kolejna przerwa a to już był koniec. Następnie SCHRÖTTERSBURG z Płocka, trochę na nich liczyłem i nie rozczarowałem się, fajne granie! Noise, post-punk, ja takiej muzyki raczej nie słucham zbyt często, ale ta ekipa robi to wybornie. Dodatkowe atrakcje zapewniała syrena alarmowa i film wyświetlany za plecami zespołu na ścianie. Film to „Begotten", dość znane w pewnych kręgach dzieło, jak zdążyłem się później dowiedzieć. Dodatki fajnie korespondowały z muzyką graną przez zespół, zaczynała się nawet momentami rozkręcać zabawa publiki, nie tylko mnie się podobali. Później staraliśmy się uciec od papierosowego dymu – rozumiem, old school, ale jest to męczące w takim miejscu. Spożyliśmy też jakoweś wegańskie pizzerinki, z których skromny dochód zasilić miał sejf lokalnego oddziału Food Not Bombs. No i WIEŻE FABRYK, kapela, na którą wszyscy czekali. Jak ich widziałem rok wcześniej na DIY Feście w Gdyni, to zagadnięta w nocy punk dziewczyna (pochodząca z Iławy a mieszkająca od dziecka w Niemczech) przyznała, że ze znajomymi przyjechali z Niemiec właśnie na WIEŻE FABRYK. Czyli odbiorcy są. Pierwszy koncert WIEŻ w Toronto i myślę, że duży sukces. Kapela swoją falę zagrała rewelacyjnie a publika spisała się nie mniej rewelacyjnie. Zabawa solidna, coś na kształt stage divingu nawet, wokal WIEŻ na rękach ludzi, okrzyki między kawałkami, lanie piwem, darcie mordy: było wszystko. Kapela miała dość, ale ludzie nie: było sporo bisów, sami muzycy przyznali, że byli tym zaskoczeni. Było dziko! Wszystkie kapele nie zawiodły, ale łodziaki wygrali, lux występ. Zespół swego czasu dobrze promowany w radiowej

REGRES

Trójce, no i w porządku, bo są tego warci. Ludków około 80 osób, jak na Pilon w sam raz. Polecam imprezy pod mostem.

Grzester

KRZTA, THAT'S ALL SHE WROTE, INNOXIA CORPORA, TELEFON - 13.03.2015, Beczka pub, Olsztyn

Wjazd free? Miał być po 15 zł. 100 lat nie widziałem tych Czechów a przecież w przeszłości na Rozbracie, lub w innym miejscu Poznania robiłem ich koncerty. I nie żałowałem, bo nuta wyborna! Koncerty z reguły niewielkie, ale na przykład większa załoga mogła zobaczyć TELEFON poprzedzający występ SUBHUMANS, który to koncert miał jedną z największych frekwencji ówczesnych lat w tym miejscu. Hmm, chłopaki grali też bodaj ze STRACONYM, których gitarparbaj Grzechu specjalnie z Kołobrzegu dotarabanił się i na ten gig. Tym samym mój dojazd furą dystansowo przegrał. Wpadam do pubu, bramki nie widzę, od razu dobijam do Czechów i zaczynamy długie razgawory, nie widzieliśmy się kupę czasu, jak nadmieniłem. Muzyka później. KRZTA otwiera spóźniony set, określani jako mathcore/down tempo, cokolwiek to znaczy, bardziej przystępna szuflada, z którą się spotkałem, to rock/metal... To musi być trudne tak szlifować tę technikę, cyzelować dźwięki, robić srogą minę i nie lubić świata dookoła. Na pewno jest to fajne, na pewno nie dla mnie. Ale lipy nie robili, brzmieli solidnie, fanów spokojnie znajdą. Drudzy to THAT'S ALL SHE WROTE. Tych strona z kolei podaje jako metal/post-hardcore/punk. Nie znam się na tych postach, neo srego, ale z pamięci to dla mojego gównianego ucha kojarzyło się ze zmetalizowanym hardcorem. Technicznie z pewnością bez zastrzeżeń, brzmienie potężne, lekka zabawa, nagłośnieni jak i poprzednicy – jak należy. Dobrze pamiętam, że ktoś tam miał jakieś urodziny i chodził z szampanem po salce? Wokal właził na kolumny, brutalne dźwięki rozwalały ściany. Ufff, przetrwałem. Nie widzę nadal bramki. Pomyślałem, że może skoro siedziałem na pogaduchach z Czechami, to ktoś mnie omijał, ale pytany o bilet łysy, z którym przyjechałem też nikogo z bileterów nie widział. Czemu tak? Nie wiem, skoro dzień wcześniej w Krakowie było ledwie kilkanaście osób na sali, to, o co chodzi tutaj z kasą? Jakiś sponsor? Dziwne. No, ale nie ja to organizuję, nie znam się. W distro u Dana zostawiam sporo grosza kupując kilka ich płyt, w tym dla mojego już ex-dyrektora, też fana muzyki wszelakiej, jak widziałem z tej niewielkiej liczby publiki (kilka dyszek) zauważalna część nabywała muzykę. No dobra, w małej salce w końcu goście z południa. INNOXIA CORPORA, miałem ich 2 płyty, na koncercie kupiłem dwie kolejne. Ostrzyłem zęby na występ. No, ale z jakichś powodów nie mogli zacząć, olbrzymie kłopoty z nagłośnieniem, olbrzymie! Takich rzeczy nie widziałem chyba nigdy. Coś tam rzęziło, przerywało, kopało prądem. Koszmar. Wokal w końcu (ale w sumie po co?) owinął mikrofon chusteczką higieniczną i przykleił ją plastrem. Nie pomogło… Próby dogadania się z akustykiem w koszulce jak pamiętam Bolt Thrower nie udawały się. Ten w końcu zniecierpliwiony wymaganiami muzyków rzucił krótko: Nie wiem, o co ci chodzi, ale mam was dość! I poszedł sobie. Jaja Pany… Czesi niby coś tam próbowali, ale kau z tego wychodził. Grali mimo tego, ale chyba moja doza sympatii tu przeważała, bo kolega entuzjazmu nie wykazywał, a sam zespół brzmiał jakby ktoś kasetę z magnetofonu Grundig puszczał. Mizeria w sumie i co dziwne, było to po dobrym nagłośnieniu Olsztyniaków grających wcześniej. Jak TELEFON się instalował, to konsoletę przejęli chłopcy z INNOXIA CORPORA, coś tam podłubali i im z kolei się udało! Chwała Bogu, bo to uratowało koncert! TELEFON zagrał jak należy a wokalista Dan popisywał się swoim niemal perfekcyjnym polskim mówiąc do nas sensowne rzeczy, a nie banialuki w stylu „Pierogi dobry!". Kapela pod muzycznym wpływem DEAD KENNEDYS i takiego ogólnie starej szkoły hardcore punka, jest kilka takich kapel w Czechach, choćby zresztą i INNOXIA CORPORA. Zagrali z godzinę, kapela dawała czadu a wokal żył! Łaził po sali, śpiewał i gadał jak Polak! Zresztą przed kilkoma utworami zapraszał nas do zabawy polegającej na odgadywaniu wykonawców tekstów, które nam recytował, dzięki czemu mogliśmy sobie przypomnieć całe (!) teksty DEZERTERA, bodaj KARCERA i BRUDNYCH DZIECI SIDA (z Patyczakiem właśnie grali przed SUBHUMANS), to było świetne i dobrze, że na koniec, bo dzięki temu sam koncert można było wspominać przyjemnie. Jakaś zabawa się rozkręciła, były wegan burgery, samo miejsce przytulne i sympatyczne, tylko w barze kupienie czegokolwiek poza alkoholem może być kłopotliwe.

Grzester

City Punx Show vol. 21 - PARTY 5, AFTER LAUGHTER, REGRES - 11.04.2015, Dębica

Kolejna odsłona dębickiego święta w rytmach muzyki hardcore i punk miała nieco smutny charakter. Klub „Luna", podobnie jak wcześniej klub „Rio", gdzie również odbywały się punkowe koncerty, tym wydarzeniem zamknął swe podwoje... Po raz kolejny polska szara rzeczywistość udowodniła nam, że utrzymanie takich miejsc, w takich miastach, graniczy z cudem. Ludziom, którzy próbowali, należy się szacuneczek za wytrwałość i odwagę. Na szczęście, sam koncert był w miarę udany i przyniósł odrobinę radości zebranej publice. Zaczęli punkowcy z Gorlic, czyli PARTY 5. Podobno zaczynali w 1993 roku, ale jakoś ich nie pamiętam z szalonych lat 90. Widocznie się nie wybili w ówczesnym wysypie przeróżnej maści punkowych zespołów. Mieli dłuższą przerwę w graniu i powrócili w 2011 roku. Sporo koncertują, ale w moim przypadku było to pierwsze spotkanie z ich muzyką. Muzyka

AFTER LAUGHTER

ta, niestety, mnie nie powaliła. Ot, punk rock, utrzymany raczej w średnim tempie, bez jakiegoś wyraźnego przekazu. Dla mnie, to taka muzyka do piwa w knajpie. Nie powala, ale i nie przeszkadza, a jak leci sobie gdzieś w tle, to jest ok. Nie zagrzałem więc miejsca wśród publiki - wybrałem towarzyskie rozmowy o wszystkim i o niczym... Jako drudzy zainstalowali się chłopaki z AFTER LAUGHTER z... no właśnie, skąd oni właściwie są? Bo na plakacie koncertowym był chyba Oświęcim podany, ale tak naprawdę to zbieranina ludzi z Krakowa i Śląska. Muza już bardziej do mnie trafiająca, choć nadal to nie było to, co misie lubią najbardziej. Widziałem już ich wcześniej na żywo i też jakoś nie trafili wtedy w mój gust. Niby jest hardcore, jest melodia, jest zgranie i angielskie teksty. Mogliby spokojnie robić za jakąś kapelkę zza wielkiej wody... jednak to nie mój HC - brakuje zadziorności, ostrości, pałera jakiegoś. Czekałem więc na ostatnią odsłonę tego widowiska. REGRES jak zwykle nie zawiódł. W ich secie było wszystko, czego można oczekiwać od porządnego koncertu hardcore. Siła, moc, kop! Oczywiście w ich przypadku również pozytywny przekaz – wiadomo - sXe, vegan itp., choć nie tylko. REGRES to jeden z tych zespołów sceny hcXse, który potrafi w sobie łączyć to, co punkowe, z tym, co najlepsze w hc. Bez bzdurnych podziałów, bez zbytecznych fochów i obnoszenia się ze swą lepszością... po prostu muzyka dla wszystkich, co chcą słuchać (przekazu) i się przy niej bawić! No i tylko tej zabawy tak naprawdę zabrakło w czasie tego koncertu. Przy wcześniejszych zespołach publika była całkiem niemrawa, przy chłopakach z Częstochowy już coś tam się ludzie ruszyli, ale nie tak powinien wyglądać porządny koncert hc/punkowy... Trudno. Mimo wszystko zarówno z REGRESÓW, jak i całego wydarzenia wyszedłem zadowolony... a chłopakom i dziewczynom robiącym koncerty w Dębicy życzę owocnego poszukiwania kolejnego miejsca na kolejne odsłony z cyklu City Punk Show!!!

Krawat

VALERY MESS, DEZERTER - 11.04.2015, MCK, Bydgoszcz

Miejsce naprawdę na poziomie, przestronne, czyste, powiedziałbym: wygodne. Dlatego nie żałowałem, że po rodzinnej uroczystości na koncercie pojawiłem się, co prawda w papie, ale i białej koszuli z krawatem. Nie powiem, lekka autoreklama, ale na pozór normalny strój wzbudził kilka zaczepek na sali, czyli cel został osiągnięty. Dobra, dość narcyzmu, muzyka! W sali z ludźmi dość średnio, ale stopniowo publika gęstnieje. Na deskach wysokiej sceny trzech kolesi z VALERY MESS. Nie młodziaki: Perełka z ABADDONU przy bębnach, Bolo z UPSIDE DOWN na basku i Camel z GOOD4NOTHING na gicie. Coś tam słyszałem chyba w sieci wcześniej, gadałem na ten temat z Bolem, ale przyznam, że podchodziłem do nich lekko usztywniony. Tymczasem koncert mnie przekonał. Melodyjny punk rock, sprawnie i lekko zagrany, taki żywiołowy, dobry kontakt z publiką, nawet Perełka, co jakiś czas wtrącał swoje trzy grosze, naprawdę mogli się podobać. Dwa wokale, czytelne, można było bez kłopotu zrozumieć, o czym dany tekst jest, co jeśli chodzi o pierwsze osłuchanie się z danym utworem nie jest w moim przypadku regułą. Gitarzyści żywi, perkusista żywy, na pewno procenty pomagały w zaczepianiu publiki (Ropa z dupy!), ale myślę, że i bez tego rozruszaliby fanów. Mnie się podobało i widziałem, że nie tylko mnie. W sprzedaży mieli swoje koszulki i coś na kształt CD, więc wyglądało to na profesjonalne podejście do swojej działalności. Wierni hasłu: Yes, we can! Pokazali, że z cicha pękł i wykluł się nam kolejny w Brombergu dobry punk zespół. Lubię to. No a po nich Dezerterowanie. Porcja pozytywnego przekazu, ważnych treści, krytycznego punktu widzenia codzienności i jeszcze trochę niepokornej muzyki. To jest to, czego nie ma w nadmiarze na koncertach, na które chodzę, zresztą – kilka zespołów mających coś do powiedzenia w ostatnich latach wyzionęło ducha, kto teraz więcej widzi i więcej mówi o tym, co widzi? Ja tego chętnie posłucham i skonfrontuję z moim punktem widzenia. Z DEZERTEREM mam niejedno spojrzenie zbieżne. I oby grali jak UK SUBS, na zawsze. A ponieważ reckę tę piszę zaraz po informacji o pierwszym w historii koncercie w Bydgoszczy Harpera i spółki, więc niniejszym zapraszam na koncert Angoli 30 stycznia 2016! Na koncercie zaś klimat wykonania podobny jak omawiana wcześniej Ostróda: najpierw materiał z „Większy zjada mniejszego" a później wiązanka piosenek popularnych na instrumenty produkcji krajowej. Czy jak to przed wiekami było… Zawody w pogo bezapelacyjnie wygrała pewna dziewczyna, która chyba nie miała kręgosłupa, bo jej wygibasy trwały prawie półtorej godziny (tyle trwał set) a energia była niespożyta. Szwagier na wpół żartobliwie chciał jej pogratulować kondycji, ale nie był to najtrafniejszy pomysł, gdyż z miejsca wepchnęła go w tłum kłębiącej się młodzieży i przyprószonej siwizną starszyzny, z którego nieborak ledwo się wymknął trzymając się desperacko rzuconego mu ratunkowo krawata.

Dobry koncert, dwa zespoły, ale jak się okazało - wystarczyło to w sam raz. Tylko publika nie bardzo czaiła żarty, gdy w quasi nerwowym stylu krzyczeliśmy przed bisami: Dalej na scenę parszywe warszawiaki! Albo: Przyjechali, nie wyjadą! Itd. Po wykonie w barze ustawiła się kolejka po whisky, by chociaż w tej materii dorównać swoim idolom.

Grzester

80 Wunder Wave: MISTER X, 666 ANIOŁÓW, INKWIZYCJA, POISON IDEA 25.04.2015, Art. Inkubator, Łódź

No już dawno nie byłem w Łodzi na koncercie, ale okazja była niechuda - Kings of Punk z USA! Jak grali pierwszy raz w PL, to do Katowic nie dotarłem, bo ode mnie łatwiej chyba dolecieć do Helsinek, niż dojechać na południe Polandii. Tym razem musiałem tam być, kto wie, kiedy do nas jeszcze dojadą? Najpierw więc pociąg do Warszawy, tam w auto i czteroosobowym, starym składem wbijamy do Łodzi. Fajne miejsce na koncert, jakieś hale niemal zaadoptowane na cele kulturalne, od ulicy do samego klubu hektar drogi, więc bez przypału można było się kręcić poza salą a pamiętam z tego miasta koncerty, kiedy nie było to zbyt rozsądne spędzanie czasu, szczególnie w sobotnie wieczory. Jak doszliśmy na miejsce, to w oczy rzucił się Jerry A udzielający wywiadu jakiemuś naszemu krajanowi - powiało legendą od wejścia! Ludzie wciąż gdzieś się wiercili, część gadała na zewnątrz: sam spotkałem kilka twarzy niewidzianych od wielu lat, część gdzieś spożywała, część oglądała wystawę zdjęć Roberta Laski: „Punks z miasta Łódź" w sąsiednim bloku. Dlatego MISTER X grał dla sali pustawej. Street punk z Białorusi, chyba nawet fajni, na pewno sprawni instrumentalnie, na pewno wokalista nawijał do publiki bardzo swobodnie, co się chwali, w dodatku po polsku. Ja praktycznie street punka nie słucham zbyt wiele, więc może niech inni wypowiadają się na ich temat bardziej miarodajnie. Później cover MISFITS band z Bydgoszczy: 666 ANIOŁÓW, luz na scenie do momentu opierdolenia jakiegoś pijanego kolunia, który dłuższy czas próbował przeszkadzać. Wtedy atmosfera lekko się zmieniła, hehe. Ale ogólnie jak zwykle na duży plus, bydgoszczaki są doskonale ograni, ich występy w ciemno można oceniać, jako bardzo dobre, tu się lipy nie czyni. Swój set jak zwykle zagrali zawodowo, klasa. Przedstawiciele Krakowa w postaci INKWIZYCJI, to już petarda. Legenda polskiej sceny niezależnej, polskiej sceny hardcore, pionierskich lat przełomu `80-`90. Dawno ich nie widziałem, ciekawy byłem formy. I nie zawiodłem się. Erupcja mocy. Dwie gitary cięły powietrze pełnej już chyba sali (350 osób na moje ślepnące oczy) i ta kanonada

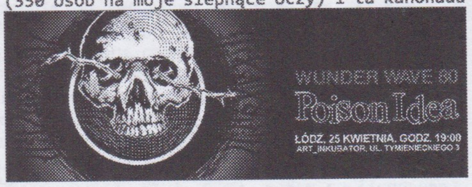

strun wspomagana dudniącą perkusją i zawziętym wokalem Ex-Perta rozgrzała publikę nad wyraz. Dobrze jest, dobrze jest! Zespół promował swoje nowe wydawnictwo „Wojny nie będzie", ale najlepiej przyjmowano, co zresztą całkowicie zrozumiałe, ponadczasowe kawałki z „Na własne podobieństwo". Te stare kawałki jak widziałem były śpiewane przez publikę z uśmiechami na twarzy. Wokal Ex-Perta spotężniał, jak zresztą i sam zespół, i ich występ był doskonałym przygotowaniem przed pijakami z Portland. Amerykańce trochę się zbierały, ale w końcu dane nam było poczuć smak tej siarki. Moment oczekiwania i… Jebut! Srebut! Polecieli! Grają już tyle lat, zaczęli przecież w 1980 roku, mieli i przerwy i odwoływane trasy w swojej historii, dobrze, że nareszcie nasze drogi się skrzyżowały. Klasyka światowej sceny, bez dwóch zdań. Wydali masę płyt, nie ma sensu ich wymieniać, tak jak i tytułów kawałków: miałem je zresztą gdzieś spisane, ale to teraz nieistotne. Znane hity były grane i aż szkoda, że musieli kończyć, bo czekało się na dwa-trzy razy więcej. Aha! Warto podać aktualny skład kapeli, bo przez te lata różnie bywało: Jerry A – wokal, Eric „Vegetable" Olson – git. (grał na „War All The Time"), Brandon Bentley – git., Nathan „Skinny" Richardson - perka (niedożywiony chudzielec), Chris „Spider" Carey - bas (grał na "Last Testament"). Przed sceną rozkręciło się pogo, dobrze wyglądał ktoś w tym tłumie ze sterczącym sporym irokezem, bo uruchomiły się wspomnienia o starych czasach, gdy takie widoki nie były rzadkością. Mało tego: po jakimś czasie pogo wykwitło w nowym rejonie i mieliśmy jakby dwa ogniska zapalne. Fajnie to wyglądało. Kapela jechała równo, prezentując po kilka połączonych kawałków,

choć wydaje mi się, że nagłośnienie jakby przygasło i większą moc można było usłyszeć z głośników INKWIZYCJI. Aczkolwiek załoga z Bydgoszczy mocno przesadzała glanując po koncercie prezentację punków z USA. Nawet nie wiem, czy grali coś z nowej płyty: „Confuse & Conquer", ale myślę, że tak, bo nie wszystko kojarzyłem spod sceny. Nie jestem jakimś wybitnym znawcą, ale najbardziej osłuchane kawałki prezentowane były. Jerry wytrąbił na scenie butelkę wina, spodziewałem się mocniejszych trunków, ale dobre i to! No i nie zawiódł pod koniec: było zianie ogniem, dobrze, że sufit się nie zajął! Były oczywiście i bisy, na pewno na pierwszy ogień poszedł FEAR „I don't care about you". Było mi bardzo miło ich widzieć, myślę, że publice również a stawili się reprezentanci wielu stron kraju: w przelocie widać było choćby krzykaczy HOMOMILITII, POST REGIMENTU, JUDE, SANCTUS IUDA… No może nie było do końca miło pijakowi przeszkadzającemu bydgoszczakom, bo po samym koncercie znowu jakiś zatarg a jego zbesztanie przez Schizmaćka to też był niezły hardcore! Zresztą, na pewno zasłużył. Jedna z lepszych sztuk ostatnich czasów. Kings of Punk? Może już niekoniecznie, ale w okresie trwania bezkrólewia POISON IDEA trzyma się blisko tronu. Koncert miał się skończyć o 23.45 i skończył się o 23.45, profesjonalizm!

Grzester

Fist of Fury: DxD, VALERY MESS, LUNATICS, WOUNDED KNEE, 1125, LAZY CLASS - 30.04.2015, Estrada Stage Bar, Bydgoszcz

Zjawiliśmy się w samą porę, bo chwilę po przyjściu usłyszeliśmy jakieś warkoty zza ściany. Weszliśmy do środka i okazało się, że to już DxD z Toronto, jakiś power violence, ktoś mówił. No może i tak, nie wytrzymaliśmy zbyt długo, może i fajnie grają, ale nie w naszym sosie ta potrawa. Wokal w koszulce Slayera, szwagier był zachwycony. Później VALERY MESS, opisałem ich występ przy okazji koncertu z DEZERTEREM. Znowu udana prezentacja, oczywiście luz sceniczny jak najbardziej. Nie wiem jak Bolek to zrobił, bo przed występem był 100% sprawny a niewiele po gigu ledwo trzymał się na nogach… LUNATICS widziałem ostatni raz chyba przed wojną i przekonany do kapeli nie jestem nadal. Pewnie by się sprawdzili w jakimś pubie grając samodzielnie, bądź z innymi stylistycznie zespołami, ale dzisiejszego wieczoru ich inteligentny punk nijak miał się do chamówy i zawziętości prezentowanej przez pozostałych core`owców. Przerwy między kapelami króciutkie, no i dobrze, bo ludzi nie było zbyt wiele, oceniałem frekwencję na około 100 szala, co nie jest jakąś nadzwyczajną liczbą, jeżeli w dodatku weźmiemy pod uwagę ilość ludzi z kapel. Publika w sporym procencie mocno młoda, ubrana w jakieś dresy… No i ta dziwna modern zabawa, ja tak bawić się nie umiem. Hehe! Kilku wymaganych w BDG twarzy nie dało się zobaczyć niestety. Ale z kolei spotkałem po dłuższej przerwie Wiktora, który zakotwiczył się w stolicy i pogrywa w kapelach, jak widać nie tylko w stolicy, ale i w Bydzi i... poza granicami! Jego pierwszy dzisiaj zespół to WOUNDED KNEE. Spoko występ, bardzo żywy wokalista – niby misio a skakał nad sceną jak Małysz na Holmenkollen w Oslo. Z tego, co pamiętam, to też gitarzysta wyróżniał się na plus. Mnie się kojarzyli ze starym US HC, nie wiem, co oni na to, ale jakby oponowali, to chyba jestem w stanie ich przekonać. Fajni. Później wydawałoby się gwiazda: 1125, wypadli jak zwykle solidnie, na pewno nie tak energetycznie jak kilka miesięcy wcześniej na Muszla Fest w Myślęcinku, ale na swoim równym, wysokim poziomie. Koncert dla nich to jak widzę bułka z masłem sojowym. Na luzaku, bez cudowania, niejako od niechcenia, ale z zamierzoną petardą: HARDCORE! Oczywiście hiciaki odśpiewane z publiką, oczywiście zabawy więcej, mały kocioł przed sceną, wydawałoby się, że wygrali. Ale zwycięzcami chyba okazali się goście ze stolicy. LAZY CLASS odniosło coś na kształt małego sukcesu w warunkach naszej Zielonej Wyspy a ich oi, czy tam street, dotarł do wielu miejsc, bo grają niemało. I to właśnie w warunkach zarówno zaściankowych, jak i zagranicznych: Irlandia, Białoruś, Rosja. Brawo! Było już dość późno, byliśmy cokolwiek zmęczeni i zmarznięci, bo w PL jak zwykle jest zimno, obojętnie kiedy. Po trzech numerach wydawało się nam, że atmosfera jakby lekko oklapła. A może to skutek oglądania na trzeźwo? Publika bawiła się jakby w podgrupach, solidnie popijając. My odczekaliśmy jeszcze trochę i poszliśmy nie czekając do końca. Generalnie bez szału, ale na plus. Jesienią kolejna edycja w planach, ta była pierwsza.

Grzester

UPADEK, THE LOWEST, DRIP OF LIES, JUGGLING JUGULARS - 06.05.2015, Nowy Andergrant, Olsztyn

Dziwny wieczór. 19 lat wcześniej byłem na koncercie JUGGLING JUGULARS w Olsztynie i wiadomość o ich kolejnej wizycie to była bez dwóch zdań dobra wiadomość. Świetne plakaty na mieście, duże, kolorowe, wyraźne, duży plus. Mimo, że środek tygodnia, to odważnie odpaliłem limuzynę i ruszyliśmy co sił przebijając się przez rozkopane, w związku z uruchomieniem linii tramwajowych, miasto. Niewiele osób, standardowe opóźnienie, spoko loko. Spotykając Finów przed gigiem odbieram przywiezione przez nich zakupy z Kamanen distro. Dodatkowo z ich stoiska wykupuję wszystko fińskie, co mają, a ja dotąd nie, dobre ceny przy hurtowych zakupach. Na tyle dobre, że po przeliczeniu wszystkiego dwa razy idę dopytać, czy się jednak nie walnęli i nie jestem zbytnio do przodu. Ale nie, wszystko jest ok, no to fajnie. Niefajne jest, że wciąż czekamy i nic się nie dzieje. Wreszcie ruch w interesie, na scenie miejscowy UPADEK. Bardzo fajne granie, takie jak lubię, staroszkolny hardcore-punk, w tematyce klasyków gatunku, wokal nie odpycha, cyrków z gardłem nie robi, tempo średnie, winni mieć lepszą reklamę i zagrać gdzieś dalej niż w swoim grodzie, bo ludzie muszą ich poznać. I jeszcze się okazuje, że przy perce siedzi stary ziom Balon z Bartoch! Pograli z dwa kwadranse i później blisko godzinna przerwa, zaczynam się wnerwiać, zerkam na zegarek, trochę boli mnie głowa. Długie podłączanie kabelków, chyba czekamy na tłumy, które jednak nie nadchodzą i zaczyna łupać THE LOWEST. Kilka rozbudowanych kawałków, mocarne brzmienie, mają swój czas nie tylko w Polandzie. Ja jednak irytuję się coraz bardziej w miarę postępującego czasu i narastającego bólu głowy. Jakieś gadki ze sceny, na pozór ironiczne, kpiące, w domyśle zaangażowane, odbieram, jako zbędne banialuki. Jakieś 35 minut grania. Czekamy na występ Finów. Przerwa się przedłuża, głowa boli solidnie. Finowie i Finka siedzą obok, patrzymy w stoły, czasami coś gadamy. Nic się nie dzieje. Okazuje się, że czekamy aż przyjedzie ekipa DRIP OF LIES. Informacje są szczątkowe, czas ucieka, jest środa w nocy, jutro do pracy – dlaczego w tym momencie nie może zagrać JUGGLING JUGULARS a DRIPY w międzyczasie dojadą? Prawo gwoździa wieczoru? Nonsens, to nie jest weekend, część ludków jutro idzie do pracy, to nie wakacje, nie każdy ma tyle czasu, nas czeka jeszcze droga. Cholera jasna. Finowie pytani wzruszają ramionami, mają grać na końcu, więc czekają jak i my. Tylko łeb napiera coraz intensywniej. Znowu blisko godzinna przerwa… Co się dzieje z tymi koncertami w Olku?! Gdy dojeżdżają DRIPY dochodzi 23, shit. Na szczęście podłączają się zawodowo i te pół godziny odgrywają równie prężnie, przynajmniej idzie wszystko raz dwa. Sam występ odbieram jednym uchem, chyba dość dobrze wypadli, ktoś tam klaskał, ja już czekałem tylko na JJ… Gdy o 23.45 zaczynają grać, nie jestem jednak w stanie cieszyć się występem, bo łeb mi pęka. Idę do kibla i rzygam, co do diabła?! Zapada decyzja o odwrocie po kilku kawałkach Finów, pech, ale nie daję zwyczajnie rady. Niedaleko klubu skręcam w boczną uliczkę i wyskakuję z auta. Haftuję jak wulkan. Żona zmienia mnie za kierownicą, ale i tak w Olsztynie mamy jeszcze jeden przystanek. Do domu dojeżdżam półżywy. I jak mam ocenić taki koncert? Wspomnienia fatalne. Jakby jednak wszystko poszło sprawnie, to miałbym szansę obejrzeć wszystko a przynajmniej tych, na których przyjechałem. Organizacja zawiodła, organizm zawiódł. Ech.

Grzester

Subculture Fest: SUBHUMANS, DOOM - 23.05.2015, ulica przed Kopim, Berlin

Szwagier kiedyś nadmienił, że chętnie by DOOM zobaczył, więc jak ujrzałem line-up tegorocznego Subculture Fest, to, co prawda lekko się zawahałem znając jego sytuację finansową, jednak podesłałem info, że może jednak…? No i jednak się umówiliśmy. On na DOOM, ja bardziej na SUBHUMANS, których dawno nie widziałem a to jeden z zespołów mojej złotej dziesiątki. Były zawirowania, bo opcja wyjazdu autem nie wchodziła w grę a niemiecka kolej postanowiła też zastrajkować, bo podobno mają słabe oświetlenie w pracy, czy coś podobnego. Na szczęście nie dotykało to kolei, która miała nas wieźć przez Brandenburgię. By miało to sens musiałem co prawda nocować w BDG, ale za to następnego ranka, ruszyliśmy razem na totalnie zdewastowany dworzec (wiadomo, Polska w ruinie). Kilka przesiadek po drodze, jednak w opcji kolei Regio dojazd do granicy kosztował nas jedynie około 30 zł na łysiejącą głowę. Już po drodze dosiadł się Młody i załoga z Gorzowa, niedługo po nich zagadnęła mnie jakaś miła starsza pani, która postanowiła zadbać o nasz budżet i sprzedała nam bilety na trasę Kostrzyn-Berlin z 50% rabatem. Całkiem miło z jej strony, umówiliśmy się od razu z jej koleżanką na następny dzień i powrót za tę samą cenę, git ludzie. Na Lichtenbergu odbijamy od załogi i wędrujemy wspaniałymi chodnikami niemieckiej stolicy a ja pokazuję zachwyconemu Maćkowi cuda niewidy: kebaby, Club Mate, imbisy, Kaisersy itp. Po czasie dobiega nas muzyka i okazuje się, że jesteśmy na ogonie przemarszu kolumny już świętującej subkulturę. Kilka wozów z kapelami na pakach, gdzie grana jest muzyka na żywo, dookoła ludzie na rowerach, w wózkach, pieszo, popijający piwo, gadający i niewzbudzający żadnego zainteresowania przechodzących gastarbeiterów itp. Skręcają gdzieś w bok, my suniemy prosto – trzeba sprawdzić te sklepy z płytami nim je pozamykają! Po drodze nasza marszruta krzyżuje się z tym wesołym taborem jeszcze raz, tym razem jesteśmy u jego czoła i tam natykamy się na Krzycha i Żabę z PL. Spieszymy jednak dalej. Po jedzeniu, zakupach i korzystnych zamianach jesteśmy przed Kopi. Ulica przed skłotem zamknięta, dwie sceny zamykają ją z obu stron, na których odbywały się koncerty od godzin popołudniowych. Tymczasem mamy wieczór,

zimny wieczór dodam. Ludzi sporo, nie wiem ile, ciężko to określić, bo wszyscy gdzieś się kręcą. 1500? 2000? Chcieliśmy zdążyć na trzy ostatnie kapele, licząc, że będą grały w okolicach zmroku, ale po przybyciu na miejsce okazało się, że już jest częściowo po ptakach i przykładowo BURNING KITCHEN nie widzieliśmy, bo zdążyli skończyć. Ledwo udało nam się wbić w trawę w bocznej odnodze, by zdjąć buty i

dać odpocząć nogom a już trzeba było się zbierać, bo Podludzie wŁazili na scenę, w sumie najwyższa pora i tak była, bo w naszym pobliżu napierdzielała jakaś dzika techniawa, od której niedobrze się robiło. Jeszcze w przelocie Jacek DISABLE, kilka słów i lecimy w okolice sceny. Jest Dick i spółka, oglądamy trochę z daleka, ale nie narzekamy, bo widać i słychać dobrze, nikt nas też nie popycha, nie oblewa piwem - miejsce do kontemplacji całkiem spoko. Koncert mi się podobał, jak wszystkie SUBHUMANS, które widziałem, tym bardziej, że grali bardzo dużo, chyba większą część setu, kawałków z „The Day of Country Died". Około godziny dobrej zabawy na scenie i przed nią. Później kapka oddechu i wtaczają się na deski kolejne brudasy. Początkowo gówniana jakość dźwięku, słabo to wszystko słychać, jestem niemal rozczarowany, tym bardziej głupio przed towarzyszem, który specjalnie się tu tarabanił. Na szczęście po kilku kawałkach ktoś rozgarnięty musiał gdzieś ruszyć gałkami i jakby Hades się otworzył: popłynęły w powietrzu dźwięki fajnej, ognistej muzyki. Od razu serca zabiły mocniej, choć publika specjalnie się chyba nie przejmowała jakością - nadal większość i tak kręciła się gdzieś wokół niespecjalnie przejęta tym, co działo się na scenie. A tam napór trwał w najlepsze, były i nowsze i starsze serenady, oczywiście nie zabrakło żelaznych hitów występów live: „Nazi Die", czy „Police Bastard". Z daleka widziałem, że bardzo podobało się nadmorskiemu Wolfowi, który zatańczył w dziwnych pozach na rękach kolegów ponad podpitym tłumem, by później zniknąć gdzieś w tej ciżbie. Po występie szukamy się ze Zbychem, później szukamy Refuse`a, później robimy zakupy/ wymiany ciężkich placków z muzyką i ruszamy z buta by, choć kilka h spać. Kilometrów nabiliśmy masę, Maćka nogi w następnych dniach, to była patologia kliniczna, no, ale jeśli chodzi się w glanach bez wkładek... minęło kilka lat od mojej ostatniej wizyty na Subculture Fest, wciąż jest to impreza przedniej marki, grupująca ludzi w szerokim spektrum wiekowym - najstarsza załoga wygląda już mocno wiekowo. W dodatku takie kapele do zobaczenia za darmo, dlaczego tam nie jeździć, skoro się tam nie mieszka? Sprawdźcie sami, jeśli nie byliście do tej pory.

Grzester

Koncert benefitowy na Anty-kongres - TOFU RIOT, ORTODOX - 05.06.2015, Rzeszów

Jak co roku, finansowe elity aglomeracji śląskiej postanowiły zorganizować sobie Europejski Kongres Gospodarczy. Co może być ciekawe dla punkowych scenowiczów starej daty - inicjatorem tegoż wydarzenia jest niejaki Wojciech Kuśpik - na przełomie lat 80. i 90. jeden z filarów rodzącej się sceny niezależnej, wydawca zina „Flabby" i wydawnictwa o tej samej nazwie (wydał m.in. epki AGATHOCLES i ACID ROTTEN BUT OK? oraz wiele kaset z muzyką grindcore, hardcore i punk) oraz dość dużej dystrybucji z muzyką, zinami itp. Jego odejście od zasad lansowanych przez scenę niezależną lat 90. jest dla mnie osobiście dość bolesne. To dzięki „Flabby" wkręciłem się w ten nieznany mi wówczas światek, dzięki Wojtkowi poznawałem nowe kapele, zaczytywałem się w fanzinach, zdobywałem pierwsze zaangażowane t-shirty. Teraz, gdy widzę go po drugiej stronie barykady, serce mi się kraje. Ale wróćmy do teraźniejszości... Przez kilka ostatnich lat nie było żadnej reakcji ze strony środowisk antykapitalistycznych na to święto neoliberalnego kapitalizmu, jakim jest EEC. W roku 2015 środowiska anarchistyczne postanowiły, iż będzie inaczej. Powołany w tym celu Alians Grup Anarchistycznych postanowił zorganizować Anty-Kongres, gdzie poprzez działania uliczne oraz serie wykładów i prelekcji pokazać, że nie ma całkowitej zgody w społeczeństwie na poczynania władzy i biznesu. 18 kwietnia ulicami Katowic przeszła anty-kongresowa demonstracja a w nocy z 19 na 20 kwietnia anarchiści zajęli opuszczoną kamienicę przy ul. Mariackiej w Katowicach. Chcieli w tym miejscu przeprowadzić ideową część Anty-Kongresu, lecz niestety, nie było im to dane. W poniedziałek, 20 kwietnia, w godzinach wczesno porannych, najpierw oddziały prewencji a potem antyterroryści próbowali odbić kamienicę z rąk okupantów. Udało się to dopiero tym drugim. Zatrzymano 21 osób, część z nich pobito, jedna osoba dostała ataku padaczki. Wszyscy zatrzymani od razu ogłosili strajk głodowy. W całym kraju ogłoszono w związku z tymi wydarzeniami solidarnościową mobilizację. Akcje solidarności z zatrzymanymi odbyły się w kilkunastu miastach, a sami zatrzymani opuścili areszt po 48 godzinach - większość z nich dostała zarzut zakłócenia miru domowego. I to w związku z tymi wydarzeniami rzeszowska ekipa skupiona wokół miejscówki zwanej Kontrastem, zorganizowała niewielki koncert, z którego cały zysk, został przekazany na pomoc prawną dla zatrzymanych anarchistów.

Kontrast, to niewielka kamienica w samym centrum Rzeszowa. Ekipa związana z rzeszowskim środowiskiem anarchistycznym i punkowym wynajmuje ją legalnie i stara się skupić w nim jednostki najbardziej aktywne w tym mieście. Był to drugi koncert zorganizowany w niewielkich pomieszczeniach Kontrastu. Wcześniej swój koncert dała tam legenda rzeszowskiej sceny niezależnej: THCulture (niestety, nie dałem rady tam być...). Tym razem poproszono o wsparcie ważkiej sprawy dwie ekipy z Podkarpacia. Nim jednak zaczęła grać muzyka, organizatorzy wydarzenia nakreślili zebranym cel tego benefitu oraz przeczytali list od organizatorów Anty-Kongresu. Jako pierwsi zaprezentowali się przedstawiciele lokalnej sceny hc/punk: TOFU RIOT. Ich set to hardcore punk pełną gębą, w którym każdy znajdzie coś miłego dla siebie. Jest krzykliwy wokal, melodyjne chórki, zmiany tempa i nawet różne kombinacje oraz teksty o czymś więcej niż picie piwa i dobrej zabawie. Na dodatek dwa zajebiste covery: „Wielki Las" POST REGIMENT oraz „Po jasnej stronie" nieodżałowanego APRIL. Nie obyło się więc bez wspólnego śpiewania i szalonego pogo w pomieszczeniu nie większym niż salon w przeciętnym domu polskiego burżuja. Było nieźle, jak na kapelę, która nie ma zbyt dużego stażu na scenie (choć ich gitarzysta to stara scenowa wyga, grał ongiś we FREI REPUBLIK PANAMA). Druga załoga to znani i lubiani chłopcy z Dębicy, czyli ORTODOX. Ich wokalista, Gumiś, na tą specjalną okazję wskoczył w strój Tygryska (wszak tygryski skaczą najbardziej) i zaczęła się jazda bez trzymanki... Melodyjny i czadowy hardcore punk rozpierdolił wszystkich. Szaleństwo po stronie zespołu i szaleństwo po stronie publiki... Zresztą, w takich warunkach zespół jest jednością z tymi, którzy przyszli ich posłuchać. I tak było i tym razem... Wspólne śpiewy, przejmowanie mikrofonu, pogo, szał, wszyscy razem, zjednoczeni. Gumiś jak zwykle pomiędzy kawałkami nawijał swoje teksty, dedykując m.in. „Masz prawo" represjonowanym anarchistom i anarchistkom z Katowic. Apogeum wszystkiego oczywiście nastąpiło w czasie hymnu dębickich punków - „Forever Punk". W Rzeszowie po raz kolejny pokazano, iż punk rock nie musi być tylko muzyką. Nadal w tym ruchu pobrzmiewa bunt i brak akceptacji dla niesprawiedliwości społecznej. Punk to nie tylko styl w muzyce rockowej, to nieszokujący mundurek tak ochoczo przywdziewany przez młodych buntowników. I takie właśnie wydarzenia, jak ów koncert w Kontraście, pokazują tą zupełnie inną stronę punk rocka - pełną solidarności z represjonowanymi, współczucia dla gnębionych i dającą nadzieję na przyszłość. Punk jednak not dead!

Krawat

MAAILMANLOPPU, LAPINPOLTHAJAT, FUK - 12.06.2015, Kopi, Berlin

Miesiąc nie minął i znowu jestem w Berlinie. Tym razem kusiła perspektywa ujrzenia dwóch spoko bandów z Finlandii. Ta sama marszruta przejazdu, co poprzednio. Przesiadki, Polacy żeniący „grupówki", ale dzięki temu tanio do celu. Pogoda miała być nie wiadomo jaka, więc jak wysiedliśmy w Berle, to zaraz musieliśmy się rozbierać, bo grzało niemiłosiernie. Zwyczajowe posiłki, napoje i zakupy. Nie jestem w Berlinie na tyle często by znudzić się moimi ulubionymi falafelami przy Schlesisches Tor. Ze spokojem idziemy na koncert, bo na pewno nie zacznie się zbyt wcześnie. Ale jak już przychodzimy, to wewnątrz zebrała się spora gromadka. Imprezę organizują Jenny i Refuse, więc chwilę tam gawędzimy przy wejściu, później pojawia się Jukka z LAPINPOLTHAJAT, chyba już wcięty a na pewno rozbawiony. Jest Herne ze starych czasów - nie starzeje się zbyt szybko jak widzę, pojawia się i Lenin i Tukan, tego drugiego nie widziałem od stareńkiego koncertu w Pilonie, dobrze, że chłopina żyje, miło powitać. Imprezę zaczyna MAAILMANLOPPU, udało mi się przed koncertem kupić wznowienie ich LP, bo rozszedł się dość szybko. Na rozgrzewacza w sam raz, średnie tempa hardcore punk, śpiewany po swojemu, wokal podskakiwał, lekka melodyka też była, dlaczego nie? Pół godziny i papa. Z tymi porównaniami do KAAOS to bym nie przesadzał, ale właśnie w stronę HC`83 można ich kierować. Występ rejestrowałem na swoim archaicznym dyktafonie i może to było przyczyną, że przylazł jakiś nadgorliwy figo fago i coś tam o zakazie nagrywania nawijał, zapytany dlaczego? niczego z kolei konstruktywnego nie odparł i poszedł obierać kartofle, czy co innego robić. O ile zakaz robienia zdjęć staram się respektować, o ile mogą się na nim znaleźć osoby poza tymi, które tego chcą, o tyle zakaz nagrywania fonii jest w nie tylko mojej opinii absurdalny. Zresztą chyba de facto zakazu nie ma, tylko ten kolunio coś tam wymyślał po swojemu. Organizatorzy postanowili nam zrobić kawał i najlepszy zespół dać w środku koncertu, ok, niech i tak będzie... Właśnie LAPINPOLTHAJAT byli najjaśniejszym punktem tego dnia. To zresztą kolejny zespół Jukki oglądany przeze mnie, po SOTATILA i RIISTETYT

TOTENWALD

widzę już trzeci w tym miejscu, żałuję, że nie udało się z RAJAT. Ekipa z Laplandu, chyba trochę starsza niż byśmy mogli się spodziewać, dała konkretnego czadu. Dla mnie rewelacyjny występ, żonie z kolei bardziej podobał się MAAILMANLOPPU, mogliby zagrać nawet dwa razy a nie byłoby mi dość. Owszem hardcore punk, ale bardziej w duchu melodyjniejszych fińskich ekip: LAMA, czy APPENDIX najbardziej. Dwie gitary, zaśpiewy a czasami galopada punkowa, świetni! Na koncercie w zasadzie premiera ich trzeciego longa, chyba najlepszego, to też ciekawa sprawa, że nie debiutu, nie? Oby trzymali się dzielnie dalej razem, bo mają naprawdę duży potencjał. Na koszulkach DEAD KENNEDYS, UK SUBS, POPEDA, to też coś chyba wskazuje. Extra. Na koniec FUK. W składzie członkowie CHAOS U.K. i to chyba ściągnęło gros ludzi na ten gig, bo przed ich występem zgęstniała publika przed sceną. No dobra, mam ich jedną płytę, gdzie brzmieli sensownie, ciekawy byłem występu live. No i zaczęły się kłopoty. Słyszało się może nie najcieplejsze słowa pod adresem akustyka z Kopi, co zresztą jest dziwne, jak na miejsce, gdzie tych koncertów są setki: nie można metodą prób i błędów dobrać kogoś bez zarzutu? Nie wiem zresztą, czy to jego wina, czy sypiącego się sprzętu, ale kłopoty z dźwiękiem się ujawniły na samym początku. W dodatku zanikał wokal, nie pomagała nawet zmiana mikrofonu. Kapela grała a wokalista ruszał ustami kompletnie niesłyszalny. W końcu coś zaskoczyło. Zaskoczyło mnie też po chwili stanowisko całego zespołu. Tak nudnego setu dawno nie widziałem. Płyta była kilka razy ciekawsza. Wydawało mi się, że ekipa gra wciąż ten sam, jeden kawałek. Wiadomo - robię sobie żarty, ale tak właśnie to brzmiało, jednostajne tempo, jednostajne zagrywki, jednostajny sposób wypluwania słów przez wokalistę, chyba nawet podskakiwał w tych samych wersach, zadziwiające niestety. Owszem pachniało CHAOSEM, był thrash, ale gdzie im tam do CHAOSU! Nuda pany, nuda, byłem rozczarowany. Szkoda większego opisu, wygrał LAPINPOLTHAJAT!

Grzester

CHICHA, MOSKWA - 26.06.2015, sala w amfiteatrze, Ostróda

Całkiem przypadkiem dowiedziałem się o tym koncercie. Mając do wyboru CONFLICT w Żelebsku z drugiej strony kraju i MOSKWĘ na wyciągnięcie ręki wybrałem to drugie… W dodatku z perspektywą zobaczenia dzień i dwa później takich tuzów punk rocka jak PROLETARYAT i PIDŻAMA PORNO w Iławie. Wybór był jasny. W kilku słowach: CHICHA to miejscowo zlokalizowany zespół punk`n`rollowy. Piszę tak, bo w ten sposób się sami określają, dla mnie to było nijakie, bardziej rockowe niż w jakimś procencie punkowe, czekałem końca ich występu, w pewnym momencie poszliśmy się przejść brzegiem jeziora, bo miejsce jest świetnie zlokalizowane, jak wróciliśmy, to okazało się, że jeszcze za szybko przyszliśmy, bo do MOSKWY był czas. Na łodziaków zdążyliśmy idealnie. Zasiedliśmy na krzesełkach u góry sali, niezbyt zaludnionej niestety sali. Niestety, bo był to benefit na chłopaczka potrzebującego pomocy, która może nadejść z zastrzykiem finansowym. A ten nie mógł być zbyt okazały. MOSKWA się podłączyła i poleciała, jakiś młody pałker za beczkami to akurat coś nowego. Nie było entuzjazmu publiki, nie było i entuzjazmu zespołu. Poleciały same znane rzeczy, wesoło się micha cieszyła rozpoznając znane standardy po kilku ledwie taktach. Lekka zabawa momentami, oczywiście podostródzka familia w osobach taty i dwóch synów, chyba nawet z partnerkami, była w młynie większą część czasu, jest to swego rodzaju ciekawostka tych terenów, czasami i mama tych chłopców przychodzi. Były hity żelazne, ale nie było w nich furii, niektóre nawet powtórzone, średni w sumie koncert.

Grzester

ULTRA CHAOS PIKNIK Vol. 7 – 26-27.06.2015, Żelebsko

W zeszłym roku, kiedy rozbijaliśmy namiot w Żelebsku, kończyła grać pierwsza kapela. Tak więc w tym roku postanowiliśmy przybyć na Ultra Chaos nieco wcześniej. Okazało się niestety, że jeszcze nic się nie zaczęło, bo były jakieś problemy ze sceną. Nic to. Było sporo znajomych, więc zaraz się zaczęły pogaduszki, ploteczki, kupowanie płyt i pierwsze piwko. Mimo tego, że zarówno scena, dystrybucje, sprzedaż piwka i jadło znajdują się w tym samym miejscu, to jednak nie da się obejrzeć wszystkich zespołów. To znaczy fizycznie je widziałem, kątem oka, i słyszałem w tle, ale jednak nie wszystkie zespoły pasowały mi muzycznie i tez nie wszystkie je tu opiszę. Tym bardziej, że jak już wspomniałem, sporo było znajomych, więc były takie momenty, że grające kapele zeszły na dalszy plan.

Występu zespołu CENTRALA za bardzo nie zarejestrowałem zajęty innymi rzeczami, więc zupełnie nie wiem, co to za kapela… Natomiast przyciągnęła ucho grupa FULL OLDSCHOOL BEJBI z Lubartowa. Cover band grający kawałki starych polskich kapel jak SIEKIERA, DEZERTER czy DEFEKT MÓZGU - dobre do piwka, potupania nogą i pośpiewania z kapelą. Instrumentami posługiwali się sprawnie a pod sceną punkowcy rozkręcili pogo przy swoich nieśmiertelnych hymnach.

NAIL TO THE COFFIN z Warszawy grali crust-punk, a że na Ultra Chaosie nie gra zbyt wiele tego typu zespołów, więc trzeba było przylukać. Sprawnie zagrany czadzik, choć nic rewelacyjnego dla osoby, która słucha crusta na co dzień. Zawsze takie granie to urozmaicenie w nawale street/folk/emo kapel…

W zeszłym roku na tym pikniku nastawiałem się na koncert KOLABORANTÓW, niestety nie dojechali. W tym roku chciałem zobaczyć jak prezentują się po latach weterani gliwickiego PROCESSSU. Też musieli odwołać swój koncert. W ich miejsce wskoczył zespół z Berlina (choć w składzie w większości Rosjanie) o nazwie TOTENWALD. I dobrze, bo dali wyśmienity występ! Świetny imydż wokalistki nieźle wpasował się do muzyki - post punk w starym stylu z elementami zimnej fali czy jak sami się określają - dark punk. Wszyscy fani X-MAL DEUTSCHLAND byli zachwyceni. Zresztą, jeśli znacie zespół TANZKOMMANDO UNTERGANG, choćby ze splitu z WIEŻE FABRYK, to gra tutaj Sergiej, basista tej kapeli. Naprawdę świetny występ, niezły klimat przy zapadającym zmroku.

Kolejna ekipa to totalna zmiana klimatu - SOULJA HOOLIGANS z Jawora, czyli transowe, raggujące duby ze świetną wokalistką. Miodzio klimacik do bujania, który porwał całą publikę do pląsania. Występ na bardzo wysokim poziomie - świetne połączenie punka, dubu i ragga, a do tego konkretny przekaz. Warto zahaczyć o ich koncert, jeśli ktoś lubi i będzie miał okazję - polecam!

PIJACKĄ BANDĘ z Kielc sobie odpuściłem, bo nie lubię punko-polo i takich klimatów. Zawsze mnie irytowało takie granie - prosty, słowiański punk z oklepanymi tekstami. Tym bardziej, że z jednej strony Kudłaty atakował czeskim rumem, a z drugiej strony Krawat polewał kwadracioka - nie wypadało odmówić!

Na scenie rozpoczynał swój występ zespół ASTRID LINDGREN z Poznania. Przechwycili pałeczkę po ZŁODZIEJACH ROWERÓW i APRIL i potrafią stworzyć fajny klimat swoją muzyką. Rozdzierające emo z wpadającymi w ucho smutnymi melodyjkami

DESZCZ

THE FIALKY

oraz dobrymi tekstami. Nie wszystkie zespoły grające emo są w stanie mnie zainteresować, natomiast ASTRED LINDGREN bardzo lubię i ten wieczorny koncert bardzo mi przypasował, tym bardziej, że było pite i te emocje bardziej łapały za serce!

Pierwszy dzień festiwalu kończył disco-punkowy SUPER GIRL AND ROMANTIC BOYS. Coś tam nie grało z nagłośnieniem, ciężko było dogodzić kapeli i Kostek walił focha na scenie, ale w końcu zaczęli grać. No cóż… Wysłuchałem kilku pierwszych kawałków i stwierdziłem, że czas zwalić się w namiocie. SGARB widziałem kilka razy i o ile fajnie można poskakać przy ich muzyce w małej salce, to wg. mnie kompletnie się nie sprawdzają na dużej scenie…

Dzień drugi rozpoczęliśmy oczywiście od śniadanka, a potem wraz ze znajomymi postanowiliśmy się przejść na spacerek. Ale tak iść bez celu? Kierowaliśmy się na sklep spożywczy odległy od Żelebska kilka kilometrów. Gdy tam dotarliśmy kolejka dochodziła do ulicy! Właściciel chyba w ciągu dwóch dni zgarnia utarg za cały rok. W sumie poszliśmy na spacer, więc kolejka nas nie przerażała, ale postanowiliśmy stanąć w niej. Kilka piwek przed południem w miłym towarzystwie pod sklepem - dlaczego nie? Spotkaliśmy Huberta z THE KURWS, kogoś tam jeszcze, było sympatycznie. Zapytałem jednego z punków, dlaczego ma podbite oko. Okazało się, że dnia poprzedniego pogował na koncercie w stroju kąpielowym Borata (widziałem go) i ktoś z publiki wyjebał mu z pięści w ryj! Czaicie to? Za dużo najechało tych agro skinów do Żelebska…

Pierwsza kapela na scenie to GAROTA z zagłębia lubelskiego. Dobre granie! Zdarty, brudny punk zahaczający o Szwecję, w dodatku z panią na wokalu! Motorycznie i wściekle - tego potrzebowałem na przepicie dnia! Zespół ma na swoim koncie debiutancki CD, wiec warto ich sprawdzić!

Następnego zespołu NO!BRUNO! nie śledziłem, bo coś tam, coś tam… Aha - rozkładałem się z distro, do tego pojawili się chłopcy z Black Wednesday Records i trzeba było nieco poplotkować. W pewnym momencie pojawiły się

WASTED

czarne chmury i już myślałem, że sielance przeszkodzi deszcz, tym bardziej, że wszędzie dookoła padało. Jednak, nie! Chmury przeszły! No Pasaran!

Kielecki zespół CHLEB nie przykuł mojej uwagi na dłużej. Postanowiłem wypić browara - pani Irena sprzedawał za sceną piwka lokalne za 3 złote prosto z lodóweczki. Można się oprzeć? Nie można!

WEREWOLF 77 z Warszawy nigdy mnie nie interesowali, tym bardziej, że pamiętam, że pojawili się na składance wydanej przez prawicowego Ninję (byłego basistę SMAR SW). I chyba też z takimi zespołami zdarzało się im grać. Krzywych tekstów nie mają, raczej takie wesołkowate, chyba próbują się zrehabilitować albo scena im wybacza… Taki sobie punk 77 i na ucho rzuca się tylko hicior „Teściowa to nie rodzina" czy „Koledzy są najważniejsi". Podejrzewam, że na ich koncertach pojawiają się szemrani goście… Ja bym sobie odpuścił ten zespół…

Natomiast na scenę wskoczyli poznaniacy z FIGHT THEM ALL. O, i to jest zespół, który warto było ściągnąć na Ultra Chaos Piknik! Żywiołowy i energiczny hardcore w starym, amerykańskim stylu, na którym wychowała się większość moich punkowych rówieśników. Muzyka bez zbędnych ozdobników, prosta, surowa, z kopem i zajebistymi gitarkami. No i wokalista też dawał z siebie wszystko! Szkoda, że po angielsku… To znaczy, podobno po angielsku wszystko brzmi fajnie, jednak myślę, że po polsku byłoby takie granie jeszcze smaczniejsze! Wypatrujcie ich płyty, bo wkrótce się pojawi!

DESZCZ to też poznaniacy, ale klimat inny. Mrok, smutek i klimaty neo-crustowe. Nie ma w ich muzyce walców i wałków, jest za to niezły czadzik z tymi blackowymi gitarkami i rozdzierającymi wokalami. Mnie pasuje. Koncert dobry i na przyszłość prosiłbym o więcej tego typu kapel na UCP!

THE FIALKY z Pragi to tamtejsza „gwiazda" punka 77. Bardzo profesjonalne, chwytliwe i melodyjne granie dla wszystkich tych, którzy wychowali się na klasycznym brytyjskim punk rocku. Lubisz ANGELIC UPSTARTS, 999, ANTI-NOWHERE LEAUGE z odrobiną street punka? THE FIALKY grają dla ciebie! Mnóstwo świetnej melodii, chórki, wpadające w ucho solówki. Dobry występ! No i oczywiście plus dla kapeli za śpiewanie po czesku! Tak trzymać! Oczywiście pod sceną pogo jak w Jarocinie, hahahaha.

Po Czechach mała zmiana klimatu, choć wciąż melodyjnie. Fińskiego WASTED nikomu nie trzeba przedstawiać, bo w Polsce są dość dobrze znani. Też punk rock, choć bardziej nowoczesny i nawiązujący raczej do amerykańskiego grania. Też sporo melodii i kilka fajnych zagrań urozmaicających muzykę Finów. Pod sceną zabawa przednia, a my przytupując nogą sączymy kolejne zimne piwko…

Kolejny koncert gra „gwiazda" polskiego street punka, czyli THE ANALOGS. No cóż, normalnie nie zdarzyłoby mi się wybrać na ich koncert, bo nie jestem ich fanem, jednak z zainteresowaniem obejrzałem ich występ w Żelebsku. Oczywiście profesjonalne granie, sporo hitów, jak i kilka nowszych kawałków. Wokalista trochę pierdolił pod publikę, ale, że występ był bardzo fajny to mu odpuszczam. Moim zdaniem dość ważne jest to, że THE ANALOGS w końcu jasno opowiedzieli

CONFLICT

się po stronie antyfaszystowskiej. Nie chodzi o to, że byli jakimś zespołem z szarej strefy, jednak postawa tak znanego zespołu to dobry ruch. Szczególnie w takich chujowych czasach. No i legenda anarcho-punka – CONFLICT! Byłem bardzo ciekawy ich występu, chociaż widziałem ich już wcześniej. Wyglądało na to, że Collinowi i reszcie zespołu bardzo podobał się klimat na feście w Żelebsku. Chodzili z browarami między ludźmi, a po występie widziałem, że Collin sporo gadał z ludźmi, bo jednak i u nas ten CONFLICT był ważnym zespołem. Koncert był zajebisty! Kapelą dała z siebie wszystko! Naprawdę! Zagrali prawie same „kultowe" kawałki i podejrzewam, że nie jednemu załogantowi przeszły ciary po plecach. Wokalista miotał się po scenie jak szalony, gitarzysta też się nie oszczędzał, a publika nie była im dłużna! Wielu ludzi obawiało się, że zespół o takim stażu wskoczy na scenę, odwali swoje i nara! Myślę, że wszyscy byli usatysfakcjonowani, łącznie z zespołem.

WHAT WE FEEL z Rosji nie udało się wystąpić w zeszłym roku, więc pojawili się na UCP tego lata. Jeden z najpopularniejszych zespołów hardcore z Moskwy, bardzo zaangażowany w scenę i antyfaszyzm. Nie do końca mój ulubiony rodzaj hardcore'a, ale zagrany bardzo dobrze i ciekawie. Z kopem, wściekłością, ale również urozmaicony i melodyjny. No i zaśpiewany po rosyjsku, co dla mnie jest ważne! Publiczność też przyjęła Rosjan bardzo dobrze i zabawa pod sceną była przednia! Jeśli nie znacie WHAT WE FEEL to warto poszukać ich płyt, a myślę, że nie będzie to trudne, bo kapela gra już ponad 10 lat!

I ostatni zespół tego festiwalu – NAGŁY ATAK SPAWACZA z Poznania. Nie jestem fanem hip hopu, szczególnie polskiego. Poza tym ten zespół kojarzy mi się ze słabizną… Podobno mają niezłe teksty ostatnimi czasy i grają na scenowych imprezach. Nie przekonuje mnie to… Odpuściłem sobie ich występ po kilku pierwszych utworach. Kompletnie nie moja bajka…

Tegoroczny Ultra Chaos jak najbardziej udany. Zespoły dobre, muzyka różnorodna… Ja osobiście bym sobie odpuścił zapraszanie kilku kapel, ale to nie ja jestem organizatorem, więc co mi do tego? Zawsze można pogrzebać w płytach albo wypić kolejnego browara z załogą. Obawiam się jednak, że zwiększająca się na tym feście ilość zespołów punko-polo i oi/street punk, może z czasem ściągnąć coraz więcej oszołomów, którzy po zapiciu pały, zamiast zalegnąć na trawce, będą szukać problemów. A to już nie będzie fajne – Jarocin już dawno wylądował na śmietniku historii. Tak czy inaczej mam zamiar wybrać się na kolejną, przyszłoroczną edycję i zapraszam znajomych, którzy jeszcze tam nie byli. Tym bardziej, że w przyszłym roku załoga z Żelebska zaprosiła m.in. ANTISECT!!!

Pablo

D.I.Y Hardcore Punk Fest vol. 11 – 10-11 lipca 2015, Klub Ucho, Gdynia

Tegoroczny D.I.Y. Fest objawił mi jedną gwiazdę oraz zaskoczył, pozytywnie, występami dwóch innych kapel. Szczerze mówiąc jechałem na festiwal z mieszanymi uczuciami: w odróżnieniu od poprzedniego roku w line-upie nie było zespołu z klimatu cold wave czy post-punk...

Z Płocka wyruszyliśmy autem z kolegą Trikiem krótko po południu. Po drodze zabraliśmy jeszcze dwójkę dodatkowych pasażerów. We Włocławku wbiliśmy się na autostradę i fru do Gdyni. Zakładaliśmy, że z takim zapasem czasu spokojnie dojedziemy na miejsce z dużym wyprzedzeniem. Jak się później okazało, los spłatał nam figla i wyszło inaczej... Podróż autostradą, w wakacje bezpłatną, upłynęła na rozmowach o współczesnym rosyjskim i norweskim kinie (chylę czoła i pozdrawiam koleżankę Katarzynę) oraz na stworzeniu listy najlepszych i oryginalnych sklepów z używaną odzieżą w Polsce. Tu prym wiódł kolega Burak. Jak się okazuje, a czego byłem mało świadomy, jest to dosyć obiecująca gałęź biznesu, która ciągle się rozwija... Nawet się nie obejrzeliśmy, jak dojechaliśmy do Gdańska i utknęliśmy na obwodnicy Trójmiasta w gigantycznym korku. Poruszając się w ślimaczym tempie, omijając dwa palące się samochody, po blisko 1,5 godziny wyrwaliśmy się na wylotówkę do Gdyni. Po zakwaterowaniu się (jak co roku w Akademiku Wyższej Szkoły Morskiej) ruszyliśmy pod Klub Ucho. Niestety wejście na Kamienną Górę (atrakcją czynną od tego roku jest kolejka linowa wiożąca turystów na górę) i rozkoszowanie się widokiem na Zatokę musieliśmy odłożyć na później. Gdyńskie Ucho, z powodzeniem organizujące kolejne edycje festu, położone jest przy niepozornej ulicy tuż obok Skweru Kościuszki. Klub zajmuje budynek dawnej hali, na tyłach Stoczni Gdańskiej. W środku mamy dużą sale, na tyłach bar oraz antresolę, która w tym roku została otwarta dla publiczności. Przed klubem ogrodzony plac, a na nim, jak co roku stoiska NNNW, Pasażer oraz Avocado z vege jedzeniem. Nasza autostradowa obsuwa kosztowała nas spóźnienie na pierwszą kapelę otwierającą fest, czyli DISHELL. Nic o ich występie nie mogę powiedzieć, tyle, że się odbył. Tak jak w ubiegłym roku koncerty rozpoczynały się o czasie, więc maruderzy i pechowcy, tacy jak my, musieli się liczyć z tym, że mogą nie zobaczyć paru kapel. Cena piątkowego biletu to skromne 35 złotych. Jak na liczbę zespołów, nie uważam, że to jakaś wygórowana cena. Szkoda jednak, że organizatorzy nie przewidzieli opcji zakupu dwudniowego karnetu.

Pierwsza kapela, którą zobaczyłem było białostockie THE DEAD GOATS. Występ w dechę. Poziom energii generowanej przez trio pozytywnie mnie zaskoczył. Klasyczny rockandrollowy skład, czyli gitara, bas i perka. Czego chcieć więcej? Martwe Kozły wymieszały mi wątrobę z jelitami. Zaserwowali mi trzęsienie ziemi. Jak się okazało, nie było to pierwsze zaskoczenie tego wieczoru, jakiego miałem doznać.

Po nich na scenie zainstalowała się ekipa VEXX. Amerykański zespół grający w klimatach amerykańskiego punk rocka końca lat 70. Coś po linii GERMS czy AVENGERS. VEXX przyleciał z małej miejscowości Olympia w stanie Waszyngton. Kurde, to, co i jak zagrali spowodowało, że stałem jak wbity w ziemię i zahipnotyzowany. Była to głównie zasługa frontmenki Mary Jahne Danphe. To nie był występ, to był performance. Krzyczała, wrzeszczała, łapała się za piersi, szczytowała na scenie, tarzała, walnęła z kopa komuś z publiki. Jak powiedział mój kolega Maku, to było żeńskie wydanie Derby Crasha w skrzyżowaniu z Iggy Popem. Dzikość serca, uczuć i szalona energia przetoczyła się na scenie Ucha. Dawno nie widziałem tak grającego zespołu. Dodam, że na perce grała niczym Zwierzak z Muppetów niejaka Corey, a na gitarze w bardzo charakterystyczny sposób, Mike. Takiej energii tego wieczoru już żadnemu zespołowi nie udało się wygenerować. Nie wiem gdzie organizatorzy festu znaleźli i jak ściągnęli ten band. Niemniej dzięki VEXXowi wybaczam organizatorom brak zespołów nowofalowych na tegorocznym D.I.Y. Po koncercie można było zakupić debiutancki album Amerykanów, choć szczerze mówiąc album w żaden sposób nie oddaje tego, co zespół potrafi zaprezentować na żywo!

Po takim show każdemu kolejnemu zespołowi trudno zabłysnąć. Niemniej szwedzkiemu SWORDWIELDER udało się. Jako że to kompletnie nie mój klimat, ich występ przesiedziałem w dużej mierze na zewnątrz Ucha, rozprawiając ze znajomymi o tym i owym. Aspekt towarzyski w tym roku jakoś też dominował w moim festiwalowym zaangażowaniu (o tym we wstępniaku). Podobnie było na koncercie MASSGRAV. Posłuchałem jeden kawałek i wróciłem do znajomych. Frekwencyjnie

piątkowy dzień festiwalu nie powalał. Mam wrażenie, że w ubiegłym roku było więcej ludzi. W czasie występu Szwedów zrobiłem rundkę wokół stoisk z płytami, zakupiłem falafla i dalej biesiadowałem z grupą przyjaciół. Odnośnie jedzenia, to tak samo, jak rok temu można było nieźle się posilić. Falafle, gulasze, burgery, ciasta... Takie czasy, że gastronomia stała się istotną składową każdego festiwalu, a gdyński D.I.Y. nie odbiega od tego trendu.
Na salę wróciłem dopiero na SCHIZMĘ. To był jeden z tych piątkowych zespołów, które chciałem zobaczyć. Pisać o SCHIZMIE to trochę jak objaśniać, że picie ciepłej wódki raczej nie uchodzi w porządnym towarzystwie. Bardzo dobry show. Pestka szalał na scenie, biegał, fikał, skakał. Mocny, motoryczny hard core. Nie ma wątpliwości – SCHIZMA wie, jak grać rasowy hard core i w Polsce nie ma sobie równych. I mam gdzieś opinie, że „takie granie" ma już ponad 30 lat. Na koniec Pestka wydał oświadczenie i w kilku słowach odniósł się do komentarza na stronie festu określający ich, jako maczomeński hard core. Jak nietrudno zgadnąć opinia ta nie była pozytywna. Zgadzam się! Szufladkowanie i używanie stereotypów jest głupie i raczej nie powinno mieć miejsca. Ludzie jednak są ludźmi i chyba zawsze walka ze stereotypami będzie walką z wiatrakami. Na koniec SCHIZMA zagrała cover pewnej kapeli z Warszawy.
Kolejnym zespołem, na którego występ wielu czekało, to londyńskie trio MEINHOF. Gra w nim jeden z redaktorów „Chaosu". Zgadniecie, który? Zespół widziałem już wiele razy. Na wokalu charakterystyczna Rosy. Dla mnie crust jak się zowie. Szybko, głośno, brudno. Wiem, że stylistyka ma swoje wymagania itp. Niby wszystko ok, ale granie ciągle trochę tego samego, na tym samym patencie jest po prostu nudne. Nie mogę się do nich przekonać.
Na zakończenie pierwszego dnia festiwalu wystąpili ci, na których większość publiki czekała. ANTI-CORPOS z Sao Paolo. Żeński zespół z mocnym anarcho-feministycznym przekazem.

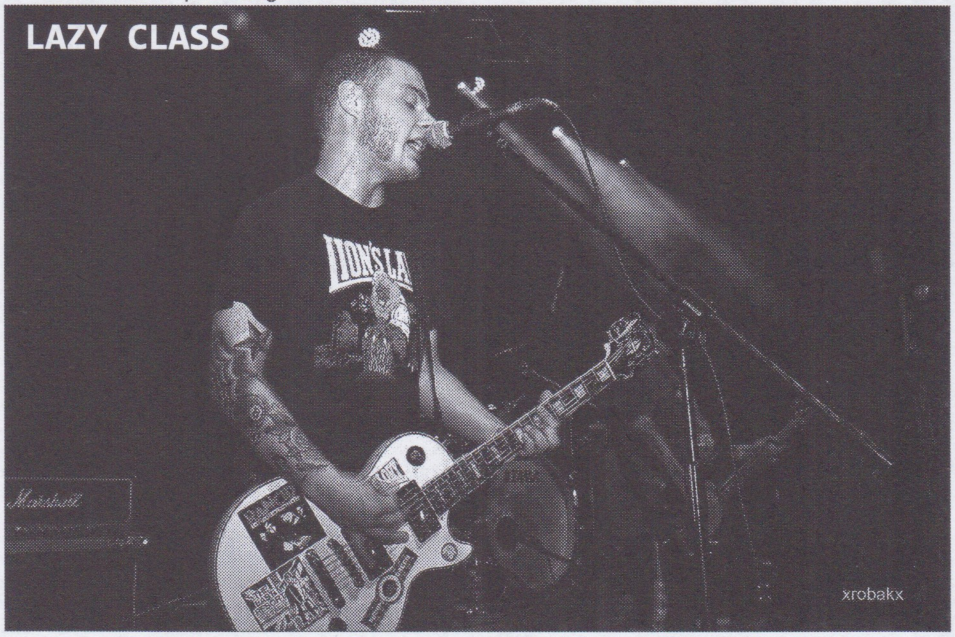

Wyjdę na ignoranta i zapewne na heretyka, ale wytrzymałem tylko początek koncertu. Zespół stawia na przekaz, który odgrywa ważną składową ich grania, czyli prawa kobiet oraz postawa pro-choice. Z tego, co udało mi się wyłapać z komentarzy wokalistki, wygłaszanych pomiędzy kolejnymi kawałkami, w Brazylii życie kobiet, walka o prawa kobiet, prawo do aborcji, to sprawy dosłownie z kwestii życia i śmierci. Jednak muzycznie zespół nie powalił. Brakowało drajwu.
Podsumowując piątkowy wieczór w Klubie Ucho, moim subiektywnym zdaniem THE DEAD GOATS zagrało super, SCHIZMA zajebiście, a VEXX wystrzeliło mnie na orbitę, z której trudno było mi wrócić na Ziemie tego dnia.
Sobotnią część festiwalu poprzedziłem wypadem na plażę. Kolega Jarek zabrał nas na plażę w Babich Dołach. Miejscówka świetna a turystów nie uraczysz zbyt wielu. Dodatkowo, dla miłośników historii, nie lada gratka. Jakieś 200 metrów od plaży w głąb morza stoi ruina niemieckiej torpedowni, wybudowana w czasie II Wojny Światowej. Wracając z plaży mijaliśmy po drodze gdyńską stocznię. Widok niezapomniany! I tak po porannych atrakcjach wylądowaliśmy w Uchu. Tym razem o czasie. Wjazd sobotni to już 45 złotych, bo i zespołów więcej (w tym kilka zagranicznych). W odróżnieniu od pierwszego dnia, line up wydawał się ciekawszy (nie tylko moim zdaniem). Na liście do „posłuchania i obejrzenia" miałem zdecydowanych faworytów. Koncertowy wieczór rozpoczęła warszawska ekipa LAZY CLASS. Byli na mojej liście. Street punk pełną gębą. Taki gatunek na D.I.Y. może niektórych dziwić, lecz mnie wcale nie zniechęcił. Znając nagrania warszawiaków spodziewałem się, że popeliny nie będzie. Było lepiej niż dobrze. Teraz wiem, dlaczego zespół zdobywa coraz większą popularność. Jedynym minusem, a może losem kapel zaczynających każdy koncert, jest to, że gra się do często niepełnej sali. Ludzie dopiero się schodzili i tłumów nie było. Aczkolwiek nie przeszkodziło to LAZY CLASS zagrać porządnego, melodyjnego seta. Chórki, zaśpiewy, melodyjna ostra gitara. Podobało mi się. Miejcie na uwadze ten zespół! Fajnie, że znalazło się dla nich miejsce na tegorocznym D.I.Y.
Po krótkiej przerwie na scenę weszła ekipa, którą spokojnie można było nazwać head-linerem D.I.Y. Festu. Chyba nie tylko ja byłem tego zdania. Mowa oczywiście o LA FRACTION. Co to był za koncert! Zespół zagrał porządny set. Wszyscy zgrani, a wokalista Magali... Kurczę, nie ujmując pozostałym zespołom tegorocznego D.I.Y. Festu, najzupełniej w świecie śpiewała. Głos z charakterystyczną, bluesową chrypką. Istny cymes. Wstyd się przyznać, ale wcześniej na żywo ich nie widziałem i także głównie dla nich przyjechałem do Gdyni w tym roku. Muzycznie przypominali mi trochę warszawski POST REGIMENT (na marginesie Nika była na festiwalu, tak jak i w ubiegłym roku). Publice się podobało: pogo było, na sali tłum.

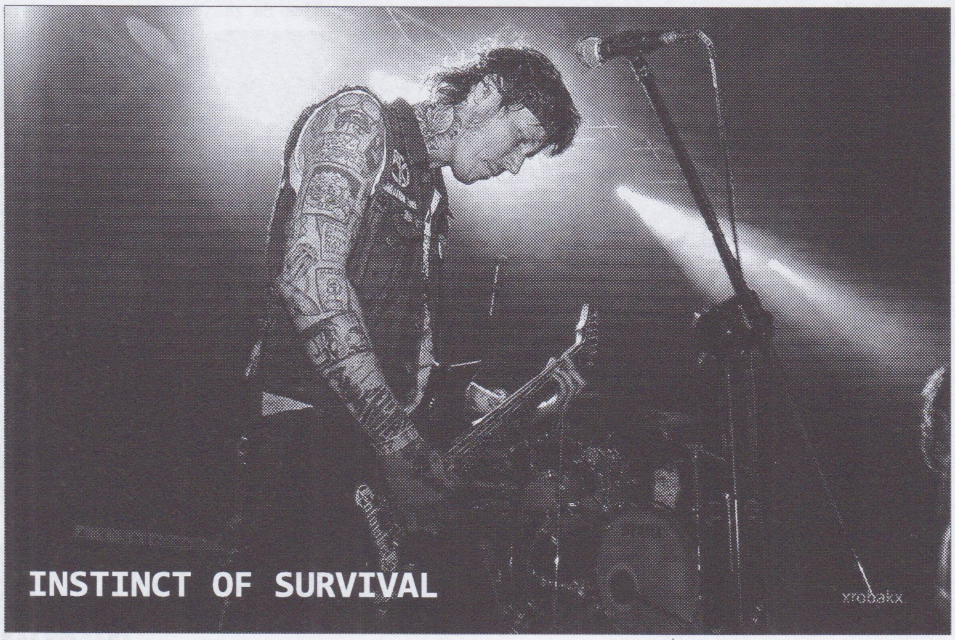

Sądzę, że tak jak ja, większość zgromadzonych słuchaczy w klubie czekała na ten koncert. Swój set zakończyli coverem zespołu, którego dwie, no może trzy pierwsze płyty, to klasyka „Jumping someone else's train" THE CURE. Banan zagościł na mojej twarzy... Dla mnie był to najlepszy koncert tegorocznego festiwalu.
Po LA FRACTION zagrał, tu zacytuję ze strony metal-archives.com: utworzony w 1995 roku, grający typowy ostry niemiecki punk, INSTINCT OF SURVIVAL. Słaby jestem w etykietkach i szufladach. Według mnie to taki metal-crust punk, z silnie przesterowanym basem. Zaserwowali nam niezły transowy walec i przejechali nim po nas. Akurat taka jazdę i takim pojazdem bardzo lubię.
Nawet się nie obejrzałem, zaczarowany tym crustowym transem, a na scenie pojawili się NIGHT FEVER. Tfu, wróć, tzn. mieli się pojawić. Trzeba oddać organizatorom, że przed festiwalem poinformowali, że z powodów choroby jednego z członków szanse na występ Duńczyków raczej są marne lub praktycznie nie istnieją. Znalezienie zastępstwa w takiej sytuacji nie jest sprawa łatwą. Niemniej organizatorzy podołali wyzwaniu. Na scenie pojawili się CALM THE FIRE, dowodzeni przez Paciora, współorganizatora festu. I jeśli takie zastępstwa pojawiają się na festiwalu, to jestem za. Może wokal Paciora to nie ta klasa, co Magali, ale takiego zaangażowania w swój występ nie widziałem wśród pozostałych zespołów. Pacior biegał, krzyczał, jak karabin wyrzucał z siebie kolejne teksty. Metalowo-punkowy kałasznikow rozstrzelał mnie emocjonalnie i dał porządnego kopa. Spodobało mi się. Występ „na pełnej pozytywnej kurwie"! Tuż po nich zagrało STREGESTI. To zespół z kategorii „więcej niż pozytywne zaskoczenie" na mojej liście do musowego obejrzenia. Post-crust? Niech będzie, że crust zagrany z pomysłem, nieźle kombinowany i to na dwa wokale. Ach, miodzio. Precyzyjne granie, z bardzo zgraną sekcją rytmiczną, a wokale to już pierwsza klasa. Skąd w wokalistce takie pokłady growlingu? Na żywo wypadają jeszcze lepiej niż na albumie. O mały włos a ruszyłbym w pogo. I to pomimo kontuzji kolana.
Sobotnią festiwalową noc zakończyli Szwedzi z FREDAG DEN:13E. To na pewno był dobry występ, ale byłem już lekko zmęczony. Widziałem, że cześć ludzi jeszcze się bawiła, ale inni już się zwinęli. Muszę dodać, że pod sceną w czasie ich występu doszło do jakichś utarczek między „tańczącymi". Ktoś kogoś wyzwał, dał lekko po mordzie. Skuteczna interwencja pozostałych festiwalowiczów oraz bramkarzy uspokoiła atmosferę. Suma summarum obyło się bez ofiar.
Ogólnie festiwal, pomimo braku zespołów z mojej działki, mogę uznać za udany. Jak zwykle organizacyjnie, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Bez dwóch zdań jest to najlepszy taki festiwal prezentujący muzykę ze sceny D.I.Y. punk. W niedzielę, na Wydziale Remontowym w Gdańsku, dla „niezmordowanych" odbył się afterek, na którym zagrały: ANTIDOTUM, PRODUKT oraz DEATH CRUSADE.

Gruha

Sao Poland Hardcore Tour 2015 - WHAT FRIENDSHIP MEANS, SCISSORS AS A GIFT, OMERTA SF, QUESTIONS - 17.07.2015, Rzeszów

Gdy tylko dowiedziałem się, że do Rzeszowa zawita jakaś dotychczas nieznana mi kapela brazylijskich hardcore'owców, z miejsca postanowiłem jechać, choćby samemu. Tym bardziej, iż z zapowiadanych kapel, znałem tylko i wyłącznie rzeszowiaków z WFM. Ciepły piąteczek zapowiadał upalny weekend. Duszno i wręcz upalnie było również w klubie Vinyl, szczególnie, gdy zagościły na nim południowoamerykańskie rytmy... ale zacznijmy od początku. Pierwsi wyskoczyli gospodarze wieczoru, WHAT FRIENDSHIP MEANS. Był to jedyne zespół tego koncertu, który śpiewał w języku innym, niż angielski. A śpiewali oczywiście po polsku... Aro, wokal WFM ani przez chwile nie stanął na deskach sceny, najwidoczniej wolał kręcić się w czasie ryczenia w mikrofon, wśród powoli rozjuszającej się publiki. Hardcore w wykonaniu WFM utrzymuje się raczej w średnim tempie, z wyraźnie rysującymi się zwolnieniami oraz chóralnymi refrenami. Nie jest to mój ulubiony gatunek HC, ale ich występ dał się polubić... Gdy na scenie powoli gramoliła się kolejna kapela, z kumplem postanowiliśmy wrzucić coś na ruszt w pobliskiej pizzerii. Po powrocie okazało się, że na scenie już chwilę grają chłopaki ze Spiszu (a dokładniej ze wsi Łapsze Wyżne - aż dziw bierze, że tam się tacy uchowali), czyli SCISSORS AS A GIFT. Nie widziałem całego ich występu, ale grali przyzwoitego hc z punkową zaciętością i, niestety, angielskimi tekstami. Swój niedługi występ zakończyli coverem AGNOSTIC FRONT - „Gotta Go".
OMERTA SF to kolejny przedstawiciel hc z terenów górzystych. Chłopaki pochodzą z Zakopanego i Nowego Targu i grzeją hc po amerykańsko-hate'owej linii. Mogło się podobać, choć jaj nie urywało. No i na koniec zespół, na który czekałem - Brazylijczycy z QUESTIONS. Przed koncertem luknąłem sobie ich kilka kawałków na jutjubie, by wiedzieć, czego się spodziewać. Kapela gra już 15 lat, nagrała kilka płyt i zagrał ogrom koncertów, jeżdżąc po Ameryce Południowej, Europie i Rosji. Muszę jednak stwierdzić, iż na żywo ten zespół jest zupełnie czymś innym niż jak się go słucha z nagrań studyjnych. Po pierwsze, od razu

rzuciło się w oczy obycie na scenie oraz pełen luz i otwartość. Wokalista co rusz zapraszał publikę do podejścia pod scenę, zachęcał do szaleńczego pogo i stage-divingu a klubowa fotografkę do robienia zdjęć z publicznością. Między kawałkami non stop coś nawijał, z ludźmi przybijał żółwiki i piątki i gołym okiem widać było, że cieszy ich to, co robią. Kapela swoja muzykę określa mianem positive hardcore. Nie wiem czy w całości są straight edge, ale na jednej ze sprzedawanych koszulek zespołu (a mieli chyba z 15 różnych wzorów) widziałem pięść z X. Z całą pewnością jest to kapela z tych zaangażowanych. Zdaje się, iż rok temu grali też trasę w Europie i w czasie jej trwania promowali protesty przeciwko mundialowi w Brazylii, opowiadali o represjach, przesiedleniach i coraz większej nienawiści państwa brazylijskiego względem biedniejszej części społeczeństwa. QUESTIONS to również zdecydowana postawa anty-rasistowska, anty-seksistowska i anty-homofobiczna, co jest warte podkreślenia, gdyż w scenie hardcore nadal, od czasu do czasu, pojawiają się buraki, co to psioczą na gejów czy imigrantów. Muzycznie rozjebali mnie doszczętnie. Od razu było czuć, skąd ci chłopcy są. Zaczęli dość ostrym rozpierdolem w stylu latino hardcore. Później były i zmiany tempa, urozmaicone riffy gitarowe, trochę moshu czy wspólnego darcia ryja z publiką. Brazylijczycy uraczyli nas również dwoma coverami: „As One" nowojorczyków z WARZONE oraz, nieco zaskakujący - „Troops of Doom" metalowych bogów z Brazylii - SEPULTURY (w sieci można znaleźć jeden numer nagrany przez QUESTIONS z braćmi Cavalera). Swój występ zakończyli świetnym numerem „Those Days", utrzymanym już raczej w średnim tempie i przypominającym mi raczej takie thrashowe granie z lat 80. Niemniej utwór jest naprawdę spoko, a video do niego (do zobaczenia na jutubie) – zajebiste! Brazylijczycy, jak na rasowy koncert hardcore, byli zdecydowanie najbardziej punkowym elementem tej składanki. I jedyne, co bym zmienił w tym zespole, to język, w jakim śpiewają. Ja wiem, że angielski jest bardziej komunikatywnym językiem a w szczególności, gdy zespół dużo grywa w Europie, ale jednak te szybkie numery śpiewane po portugalsku miałyby w sobie to coś, tę pewną egzotykę. No, ale wiadomo, nie można mieć wszystkiego, więc akceptuję QUESTIONS takimi, jakimi są i pewnie nieraz będę powracał do ich żywiołowego hc.

Krawat

PO PROSTU, ANGELIC UPSTARTS - 20.07.2015, Pub Pamela, Toruń

Wiadomość o koncercie ANGELICÓW wprawiła mnie w dobry nastrój. W 15# „Pasażera" z 2001 roku lekko opisywałem nawet ich chyba pierwszy w Polsce występ w toruńskiej Odnowie. Od tamtej pory widziałem ich kilka razy, nie tylko w kraju, i miło wspominam prezentowaną dyskografię. Teraz znowu Toruń, tylko miejsce malutkie w porównaniu do wszystkich innych, w których ich widziałem. Wiem, Pamela, właściciel, jego przeszłość i te wszelkie kontrowersje. Ale byłem już tam kiedyś na THE EX, było tam też kilka innych spoko punk gigów i występ ANGELIC UPSTARTS kojarzonego

przez niektórych, jako sczerwieniały w tym miejscu wydawał mi się nawet fajnym pomysłem. Ruszyliśmy z żoną niejako spóźnieni, przejazd przez Olsztyn to koszmar, rozkopane drogi, wyłączane pasy, tempo ślimaka itd. Jedziemy w Toronto jeszcze po Alicję i Brzydiego, pod

klub dojeżdżamy, gdy BAADER MEINHOF – legenda miejscowego punka z lat jeszcze `80s, jest już po swoim secie. Sami zresztą strzelamy sobie w stopę, bo gadamy ze znajomymi na zewnątrz a w środku już Szczepan daje ognia i jego nieśmiertelne PO PROSTU. Gdy wreszcie wbijamy przed scenę, to pozostaje nam jedynie obejrzeć bodaj z 5 ich kawałków. Żałuję, bo koncert musiał być wyśmienity, przede wszystkim doskonale nagłośniony, nawet jak gitarzysta zerwał strunę, to dokończył bisy bez jej wymiany i też było dobrze. Pamiętam kiedyś w Ostródzie, gdy grali w piwnicy pod Zamkiem, to nie było słychać niemal praktycznie nic, niby to tak sami się ustawili a chyba winna temu była dziwna akustyka miejsca. Teraz brzmieli selektywnie, czysto i zawodowo. Perkusista był niesamowicie ofiarny w graniu, zwróciłem na to uwagę, choć schowany w kącie scenki nie rzucał się w oczy. Szczepan ubrany na biało, grzywka na bok, grzebień w tylnej kieszeni spodni, kładł się na scenie, klęczał, modlił się, a widzieliśmy to w trakcie tych kilku utworów właśnie. Trzeba było nie gadać, a stać cały ten koncert przed sceną. Po nich już przed sceną stać nie było można, bo salka Pameli zaczęła trzeszczeć od napierających do niej ludzi. Publiki było może max 150 osób, z czego spory procent próbował dostać się do epicentrum. Mało tego, nawet próbował tam skakać i robić pogo! Ja trzymałem się tylnej części walcząc o uratowanie dyktafonu, jakoś się udało, ale były ciężkie momenty. Angole nie zawiedli, ten koncert to było „The best of…”, zaprezentowane z tych licznych płyt, które wydali. „Solidarity” grane dwa razy, „2 000 000 Voices” też, dedykacje dla polskich robotników i bodajże żołnierzy walczących w II wojnie światowej spotykały się pozytywnym odbiorem podchmielonej publiki, „Last Night, Another Soldier”, „Police Opression”, „Teenage Warning”, „Kids on the Streets”, no było praktycznie wszystko, co trzeba. Zespołowi też się podobało, Mensi zrzucił koszulkę, na bisy wychodzili dwukrotnie, publika zachwycona, klawa impreza. W zasadzie jedyny niezadowolony, to chyba właściciel pubu siedzący na scenie i patrzący na publikę z jakimś nieskrywanym absmakiem. Koleżanka twierdzi, że poznała z twarzy kilku dawnych, powiedzmy to sobie, antagonistów kultury punk niepokazujących jednak swoich przekonań. Te z kolei ujawnił w swoim image`u Niedźwiedź prezentujący na szyi z dumą wielki, pordzewiały łańcuch. To się nazywa punk as fuck!

Grzester

SHUT UP! TWIST AGAIN!, NO HOPE – 11.08.2015, Pub Motocyklowy 2Koła, Warszawa

Koncert, który tego wieczora odbywał się w starym warszawskim pubie motocyklowym, powinien był odbywać się w którejś z kilku dobrych stołecznych punk miejscówek. Niestety, żadna z nich nie wyraziła zainteresowania organizacją gigu (niektóre nawet nie wyrażały braku zainteresowania, zwyczajnie olewając kapelę) i zespół z francuskiej części Kraju Basków, wierny przecież ideom DIY i będący częścią swojej lokalnej sceny punkowej, musiał zadowolić się sceną w knajpie przy Dworcu Zachodnim. No, ale co robić, jak ktoś nie chce mieć u siebie zajebistego gigu, to bez łachy. A wyszło świetnie i nawet, wbrew moim obawom, miejscówka się sprawdziła – spodziewałem się, że pub prowadzony będzie przez odzianych w skóry maczobajkerów, a okazało się, że obsługa, choć niewytatuowana i bez naszywek, była bardzo sympatyczna i nienafoszona, a atmosfera w knajpie – fajna i niewymuszona.

Najpierw zagrali młodzi punkowcy z ciechanowskiego NO HOPE, którzy pomagali zorganizować tę imprezę. Poprawnie zagrali swój melodyjny punkowy set – bez fajerwerków, ale i bez nudy. Niewielka publika, w sporej części składająca się chyba ze znajomych kapeli, bawiła się dobrze i wyglądała na zadowoloną. Mi też się tego słuchało nie najgorzej, ale raczej w oczekiwaniu na gwiazdę wieczora.

SHUT UP! TWIST AGAIN! przyjechali po roku od poprzedniego koncertu w Warszawie i już z nową, drugą płytą. Moim zdaniem jest słabsza od pierwszej – spokojniejsza i bardziej melodyjna, z rockowymi zaśpiewami. Ale nie jest zła, a na koncercie nie było czuć braku pazura. Set składał się chyba w równej części ze starszych i z nowych kawałków. Chłopaki zagrali mocno i szybko, tak jak poprzednio. Kapela ma świetny kontakt z publicznością i umie wykorzystać swoje melodie i moc do rozkręcenia imprezy. Było bieganie po całej knajpie, skakanie z niewysokiej sceny, śpiewanie a capella, a nawet wskakiwanie na bar. Publiczność była niewielka, około 25-30 osób, ale i tak udało się rozkręcić kilkuosobowe pogo, czasem także razem z Jeromem, wokalistą i gitarzystą, który

zachęcał do wspólnego śpiewania, nawet jak się nie znało tekstów. Koncert był pełen energii, panowie muzycy bardzo dużo z siebie dawali, pot lał się strumieniami, a i piwo nie spływało wąską strużką. Sam musiałem trochę zbyt często uzupełniać płyny, a po koncercie zaopatrzyć się w suchą koszulkę, którą zespół, podobnie jak i płyty, sprzedaje za dowolną cenę.
Cóż więcej powiedzieć, koncert był bomba, a kto nie chciał mieć go u siebie, ten trąba. Kto nie widział Basków na żywo, niech żałuje, a jeżeli będzie miał ku temu okazję (kolejne pewnie w przyszłym roku), to niech się dwa razy nie zastanawia, bo SHUT UP! TWIST AGAIN! to jeden z najlepszych koncertowych zespołów, jakie znam.

Endi

XXXV-lecie zespołu Ukraina - GRZECZNIACHA, THE SABAŁA BACAŁA, UKRAINA, 20.08.2015, Rzeszów

Zupełnie, ale to zupełnie nie miałem w planach wybierać się na ten koncert. Los jednak chciał, iż znalazłem się na podwórku nowo otwartego rzeszowskiego pubu Kultura i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem na żywo legendę bieszczadzkiego punk rocka, zespół UKRAINA. Powiem szczerze, iż nigdy nie należałem do fanów takiego grania, choć ich demówkę z 1985 roku czasem posłucham, bo jest w niej klimat lat 80. oraz brudny, szybki punk, by nie powiedzieć nawet hardcore w skandynawskim stylu... No, ale wrócę do współczesności i wydarzeń sprzed pubu Kultura.
Do dziś nie wiem, dlaczego trasę UKRAINY (poza Rzeszowem grali jeszcze w Polańczyku i Wetlinie - czyli prawdziwy powrót do bieszczadzkich korzeni) reklamowano jako „XXXV-lecie zespołu". Z tego, co mi wiadomo - ba! - nawet sam zespół pisze o tym na swym fejsbukowym fanpejdżu - UKRAINA powstała w 1983 roku a nie 1980? Być może wcześniej powstały zespoły BLUFF i CKM, na podwalinach których powstała UKRAINA, ale to chyba lekkie przegięcie naciągać tak sobie datę powstania kapeli. No, ale mniejsza z tym. Jako pierwszy zaprezentował się nam jednoosobowy projekt w klimatach acoustic-punk czyli GRZECZNIACHA. Bez rewelacji - takie mniej humorystyczne BRUDNE DZIECI SIDA. Trzy akordy + darcie mordy a teksty w oldskulowym punkowym klimacie. Jak dla mnie, niepotrzebnie nagłośniono gitarę akustyczną. Tworzyło to niepotrzebny hałas, który momentami zagłuszał wokal. Spokojnie przy takiej muzie pudło mogło iść bez mikrofonu. Zaczęło się, więc bez rewelki, ale z zaciekawieniem... Jako drudzy gospodarze czyli rzeszowiacy z THE SABAŁA CABAŁA. Widziałem już ten zespół kilka razy wcześniej i nadal nie mogę pojąć, kto ich słucha? A grają już prawie 15 lat! Może i jest to melodyjny punk rock, ale dla mnie równie dobrze mogliby grać na jakichś festynach, wiejskich zabawach albo czymś podobnym... Sorry chłopaki, ale to nie mój punk rock i naprawdę się zastanawiam, kto was słuchał przez tyle lat. Jeden z obecnych na koncercie kumpli stwierdził, że członkowie SABAŁY muszą być narcyzami i grają sami dla siebie. Coś w tym musi być... No i na koniec weterani podkarpackiego punk rocka. Trzech starszych panów (jeden nie dojechał, ogólnie muzycy mieszkają albo w rodzimym Brzozowie albo poza granicami kraju) wzmocnionych świeżą krwią (w tym Grzeczniachą) zaprezentowało nam stare kawałki z lat 80. w nowych wersjach - ponoć godnych XXI wieku. Jak już wspominałem, nigdy nie byłem fanem tej kapeli i zawsze kojarzyła mi się jakoś bardziej ze sceną punko-polo niż zaangażowanym punkiem. W latach 90. ub.w., gdy jeszcze pogrywali (ostatnia ich płyta miała dość kontrowersyjny tytuł: „Pod znakiem Tryzuba" - dziś pewnie zjechano by ich za pro-banderowskie sympatie) ja wolałem już słuchać czegoś innego... Zresztą, nigdy nie należałem do miłośników punko-polo. W dzisiejszej UKRAINIE nie czuć już jednak ani skandynawskich (wg. mnie) fascynacji z '85 roku ani punko-polowych naleciałości. Jest punk, a nawet punk rock! To podkreślenie słowa rock jest zamierzone, niestety... Nawet stare czadowe kawałki, jak „Polska mafia" czy „Złoty wiek" zostały zagrane już bez tego brudu i wściekłości. Ugładzone, przerobione na jakąś rockową modłę, z zupełnie niepotrzebnymi solówkami gitarowymi itp. Set zaproponowany przez UKRAINĘ nie poruszył mnie, wręcz chyba nawet zawiódł. Być może moje oczekiwania były zbyt wyraziste, zbyt oczywiste i odnosiły się tylko i wyłącznie do owego legendarnego roku 1985. Z całą pewnością nie powinno się z takim nastawieniem przychodzić na koncerty reaktywowanych po latach „legend punk rocka" - cóż, ja popełniłem ów błąd i wyszedłem niezbyt zadowolony... Bywa - kolejny raz nie dam się nabrać, kolejnego razu pewnie już nie będzie...

Krawat

Outside Fest vol. IV - 4-5.09.2015, Wojcieszów

Tradycyjnie temat dzierżawy i składu kapel ogarnęliśmy długo przed festem, tak samo jak i drzewo do budowy namiotu (ścięcie, korowanie) zrobiliśmy na wiosnę. Niby zawsze nam zostaje z poprzednich edycji, ale budujemy coraz więcej, to i materiał potrzebny.
Dzień przed imprezą pojawili się już pierwsi autsajderzy, ekipa od Club Mate, radość z ich przybycia przełożyła się na długie rozmowy do późnych godzin wieczornych i ani się nie spostrzegliśmy był już piątek. Rano dzwoni policja (kolejny raz) i wypytują o fest i inne pierdoły, trochę wkurwiają, ale lecimy do przodu, bo już w południe pojawiają się kolejne ekipy punx. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ludzie pojawiali się tak wcześnie, było to dla nas miłym zaskoczeniem. Można powiedzieć, że impreza dość szybko zaczęła się rozkręcać, bo i ludzie jak i kapele powoli pojawiają się na terenie i robi się piknikowo. Jednak nie obyło się bez małej obsuwy, znowu jakieś problemy techniczne, coś nie łączy, coś buczy, ale w końcu jest wyczekiwany start.
Pierwsi na scenie zamontowali się znani i lubiani u nas chłopcy z AMANITA MUSCARIA. Ich hc-punk na otwarcie festu był strzałem w dziesiątkę! Ludzie pod sceną nie pozostali obojętni, co przełożyło się na zajebisty koncert ekipy z Gryfowa. W między czasie odpalamy mini kinder park, kredki, farby, dmuchany zamek, dzieci nie mogły chyba się nudzić! Szkoda tylko, że była ich garstka, ale myślę, że warto robić coś też dla tak małej ekipy maluchów. Na pełnych obrotach hulają też już bary z piwem i jedzeniem i ludzi na terenie jest już dość sporo, a na scenie napieprza ASTRID LINDGREN. Fajnie zagrany melodyjny hc-punk, co z resztą było widać po reakcjach publiki! Jako trzeci band montuje się BLACK NOISE, polsko-czeska ekipa, i faktycznie ciekawie zaaranżowany jest ten ich noise! Połamane rytmy, ale też z czadem i pomysłem, na pewno udany koncert! Kolejna kapela to INKWIZYCJA, tutaj chyba każdy wiedział, czego się spodziewać, grają kawałki stare jak i nowe, namiot koncertowy praktycznie pełny, jest moc! Expert jak maszyna wykonuje te swoje połamane ruchy na scenie, a ludzie pod sceną nie pozostają obojętni! FEAR OF EXTINCTION to kolejna ekipa z Czech, która zawitała w nasze skromne progi. Przesympatyczni ludzie z wpisanym wiecznie uśmiechem na twarzy, a ich koncert to istne trzęsienie ziemi! Było widać, że chłopaki dali z siebie wszystko, to było, kurwa piekło, czad na maksa, nie było mowy o słabych momentach! Jako ostatni zespół w piątek montuje się poznański DESZCZ!

Zajebiście zakończyli dzień pierwszy festu. Ich neo-crust spadał na nas jak gromy z jasnego nieba! Doskonały klimat, szybkość, brud. Czekam na ich nowy materiał! Po koncertach ludzie nie dają za wygraną i rozkręca się mały after, muzyka, tańce, śpiewy, jest zajebiście! Kończę o świcie pod lodówką z piwem!
Sobota powitała nas zajebistą pogodą, dzięki czemu spora część załogi postanowiła spenetrować miejscowe szlaki. Nie źle wyglądała ta ekipa punków przemierzająca „miasto" w drodze do lasu. Do tej pory mam ten widok przed oczami. Powoli wracamy do pracy. uzupełniamy braki w piwie i żywności, ogarniamy teren i lecimy dalej.
Około 16 czyli prawie zgodnie z planem ze sceny słychać już pierwsze dźwięki, to kolejna ekipa z Poznania HOUNDS OF ORDER! Jest bardzo dobrze, dobry początek koncertowego dnia, chyba każdy się obudził! Drugi zespół na scenie to LIMP BLITZKRIEG z Warszawy, ludzie ze składów takich jak BAGNA, DRIP OF LIES, THE FIGHT. Szybki, sprawnie zagrany hc-punk z damskim wokalem, ogień! FAUSTO COPPI chyba nie trzeba nikomu przedstawiać, strzał prosto w ryj, bardzo dobry koncert, ostro do przodu, bez owijania w bawełnę, była moc. Kolejną załogą tego dnia była BAGNA! Trzeba przyznać, że koncert Białorusinów wypełnił namiot po brzegi, trochę słów o sytuacji na Białorusi, przeplatane wściekłym crust-punkiem nie pozostawiało ludzi obojętnymi, czyste szaleństwo pod sceną! Trochę zwalniamy tempo, bo na scenie po Białorusinach montuje się NEXT VICTIM. To była chyba idealna pora na taką muzykę, mrok na dworze i mrok na scenie. Widziałem ich, co prawda już kiedyś w akcji, ale to, co zaprezentowali w tych tumanach kurzu i przy pełnym namiocie ludzi spowodowało mój opad szczęki na długi czas! Ten powolny moloch wgniatał w ziemię, a Gośka na scenie, a raczej przed sceną to istny demon! Niesamowity koncert! No i niestety, podczas ich koncertu postanowiła odwiedzić nas miejscowa dresiarnia! Coś krzyczą, rozbijają butelki, ewidentnie pchają się do gipsu, jednak ekipa, jaka wyszła ich przywitać (dzięki za wsparcie) dała im do zrozumienia, że raczej nic nie zdziałają tej nocy. Trochę nerwów i wszystko wraca do normy, a na scenie już napieprza czeska GOMORA! Jest czad, brud, moc, wszystko, co potrzeba, jest bardzo dobrze, a after z Czechami do późnych godzin wieczornych w niedzielę przejdzie do historii festu! Zajebista załoga! Żeby nie było tak tylko na czarno i crustowo kolejna ekipą jest THE STUBS, szalony rock'n'roll z opętanym wokalistą! Zajebista nuta rozruszała chyba każdego, a sam zespół serwował co raz to lepsze kawałki. Powoli zbliżamy się do końca koncertów, bo to już ostatnia kapela festu HANDE! Kapela dołączyła do składu w ostatniej chwili w ramach zastępstwa za WIEŻE FABRYK i było to mega zastępstwo. Zajebiste dicho na koniec było jak wisienka na torcie, tańcom i bisom nie było końca. To było niesamowite!

ATOMCK

Koniec koncertów nie oznaczał końca festu! Muzyka, tańce, rozmowy trwały do późna, a nawet przeciągnęły się do niedzieli! Czwarta edycja Outside Festu była dla nas bardzo udana, nie spodziewaliśmy się tak dużej frekwencji! DZIĘKI! Przez dwa dni na terenie przewinęło się z 500 osób, co na pewno robi robotę. Sporo punkowego stuffu, pieszczochy, kolczyki, koszulki, płyty, to dodaje kolorytu takim imprezom. Dzięki za przybycie i dużo ciepłych słów w sieci, to dla nas dodatkowa motywacja na przyszłe lata!

Kostek

CROSS STITCHED EYES, FAILED STATE, ATOMCK, NOISEAXE - 10.10.2015, The Red Lion, Bristol

Ostatnim razem, kiedy ten międzynarodowy zespół grał trasę po Europie, nie miałem możliwości zobaczenia go. Tym razem, jak tylko sprawdziłem rozpiskę koncertów - podjarka! CROSS STITCHED EYES grają dwa koncerty w UK - Londyn i Bristol. Londyn - gig w piątek. Niestety, nie pasuje mi. Natomiast Bristol, jak najbardziej. Koncert w sobotę, no i mam bliżej niż do Londynu.
Do Bristolu dotarliśmy, razem z moją "połowicą", po południu. Pierwsze kroki skierowaliśmy na St. Nicholas Market, żeby nacieszyć oczy różnorodnością sprzedawanych pierdół, nawdychać się aromatów z orientalnych jadłodajni, no i przede wszystkim, pogrzebać w płytach! Niestety, nie nagrzebałem się zbyt długo, bo przybyliśmy dość późno i o 17 zamykano już sklepy. Mimo ekspresowego przerzucania winyli wyłapałem dwa smakowite kąski! Za przystępną cenę trafiłem dwie bristolskie załogi: CHAOTIC DISCHORD "Very Fuckin' Bad" i split LP DISORDER/KAFKA PROSESS. Chwilę później wciągnęliśmy marokańskiego falafla, potem spotkanie z koleżanką, parę drinków i ruszamy do Easton na koncert.
Przed pubem Red Lion już zebrało się trochę ludzi, w tym sporo polskich punx. Miejscówka mała, piwo tanie, na zapleczu wyjście na spory beer garden. Nawet przyjemnie, tym bardziej, że sporo znajomych twarzy rzuca się w oczy. Słyszę, że zaczyna grać pierwsza kapela. Miejscowy zespół NOISEAXE składający się w całości z Polaków. Old schoolowy grind core z metalowymi elementami, mocno techniczny i z niezłym kopem. NOISEAXE wydali ostatnio debiutancki CD, więc zainteresowani ich muzą mogą to gdzieś złapać. Najprędzej u zespołu.
Kolejna kapela ATOMCK też grind core'owa, jednak tym razem to już nie rodacy i w dodatku trio - wokal, gitarzysta i bębniarz. I to jaki bębniarz! Właśnie on zwracał największą uwagę publiczności - grał bardzo żywiołowo, technicznie, mieszał strasznie na garach i robił to z cholerną prędkością. Cały spocony, z grającymi pod skórą mięśniami, wyglądał niesamowicie. Śmiałem się ze znanego tu i ówdzie Sneda, (ONE BY ONE chociażby), też perkusisty, że on prawdopodobnie zszedłby na zawał po zagraniu dwóch kawałków w takim tempie. Z drugiej strony i Snedowi zdarzało się grać w zbliżonych tempach, choć było to lata temu. ATOMCK to zespół dość ciekawy, jak na grindową młóckę, mają już kilka wydawnictw, więc warto ich sprawdzić.
Trzeci zespół tego wieczoru FAILED STATE wypadł najsłabiej. Wysłuchałem 2,3 ich kawałków i kompletnie mi nie weszli. Mało porywający, sztampowy hc-punk. Spędziłem ten czas na zewnątrz, racząc się piwem i rozmawiając ze znajomymi o tym i owym...
Na małej scenie instalują się CROSS STITCHED EYES – nareszcie! Ekipa amerykańsko-brytyjsko-niemiecko-polska! Tak, polska! Miłym zaskoczeniem było ujrzenie za perkusją znajomej twarzy! Za garami zasiadł na tej trasie Marek Sarba, znany z grania w DYSMORFOFOBIA, MÖNSTER, INSUICIETY czy GOVERNMENT FLU.
CROSS STITCHED EYES połączyli bardzo umiejętnie death rock, anarcho-punk, klimaty KILLING JOKE z RUDIMENTARY PENI, czad z mrokiem AMEBIX… Potrafią stworzyć wspaniały klimat, co wyśmienicie udało im się zrobić w tej małej sali. No i na żywo brzmią o wiele

CROSS STITCHED EYES

bardziej czadowo niż na płytach. Sporo jest w ich muzyce ciekawych melodii, intersujących smaczków, no i przede wszystkim chropowaty głos Jasona, wokalisty ALARIC dopełnia brzmienia tego zespołu. Zagrali wspaniale, pojawiły się wszystkie moje ulubione kawałki i byłem pod dużym wrażeniem. Zresztą tak samo jak pozostała część publiki, co było widać po jej entuzjastycznych reakcjach. Transowe, klimatyczne i zarazem wkurzone kawałki automatycznie zmuszały załogę do pląsów pod sceną, a nawet do energicznego pogo! Rewelacyjny występ!
Dziwne, że tego formatu zespół grał w takiej małej sali i za tak niską cenę biletu. To znaczy, dla mnie to opcja świetna, jednak sądziłem, że pojawi się więcej ludzi i The Red Lion będzie za małym miejscem. Nie było źle, choć Marek mówił, że w Londynie było tak sobie – słabe brzmienie, mało ludzi, jak na kilku milionowe miasto i stolicę punk rocka. Natomiast miło wspominał koncerty w Warszawie i Gent. Nieźle też było w Brnie. Natomiast szkoda, że ALARIC nie zagrali w UK. Nie wiem czy nie zostali wpuszczeni do kraju czy sami zrezygnowali, ponieważ amerykańskie zespoły grające koncerty w UK traktowane są tak, jakby przyjeżdżały tu na zarobek i muszą odprowadzać od tego podatek i chyba nawet mieć pozwolenie na pracę… Paranoja… No wielka szkoda, że nie zagrał ALARIC, jednak z drugiej strony występ miejscowych czy okolicznych zespołów pozwolił na niską cenę biletów. Szkoda tylko, że organizator nie pokusił się o jakiś suport w klimacie, a wystawił zespoły grind core, które, nawet nienajgorsze, trochę nie pasowały do klimatu, jaki wypracowali CROSS STITCHED EYES.
Tak czy inaczej koncert był znakomity, kapela zadowolona, tak samo zresztą jak i publiczność. Czekam na nowe nagrania CROSS STITCHED EYES, oczekiwania umilam sobie ich starymi nagraniami, no i czekam na kolejną trasę tego niesamowitego zespołu!

Pablo

Punk Fest - 17.10.2015, Odnowa, Toruń

Nic nie wyszło z zabrania się z kimkolwiek i musiałem jechać autem sam, tak jak Bezkoc z drugiej strony Polski, z którym się na miejscu spotkaliśmy. Z tym, że on zarabiać pieniądze a ja je wydawać. Nie dotarłem na rozpoczęcie a Model ustawia wszystko planowo, więc ominęły mnie występy 747 i VALERY MESS. Żałuję tych drugich, bo po koncertowe gadki z pijanym Bolkiem do fajnych nie należą a koncerty z trzeźwym – owszem. Załapałem się na 666 ANIOŁÓW, na sali bardzo mało ludzi, ale pora jeszcze niezbyt późna, więc się nie przejmowałem, kapela zresztą chyba też nie. Jak zwykle wypadli nienagannie, wyłapałem covery MISFITS i DIE TOTEN HOSEN, leciutka zabawa momentami, kilka osób coś na kształt pogo próbowało zdziałać. KARCER – zawsze jest ciekawość, jak wypadną tym razem, bo mam odczucia podobne do MOSKWY: raz rewela, raz średniawka. Tym razem nie zawiedli, dobrze ustawieni dali konkretnego czadu od pierwszego kawałka. Podobał mi się dobór utworów: po jednym starym szedł jeden nowy, później znowu klasyk i coś nowszego i tak do końca. Publika zgęstniała, pogo rozkręciło się konkretne, oczywiście sala śpiewała w trakcie wykonywania hymnów w stylu: „Szeregowiec”, „Wschód jest pełen Słońca”, „Młodość walcząca”, „Gest idoli”, czy „Życiorys na gitarę”. Oczywiście dzieła przedpotopowe powodowały moje szybsze bicie serca, a te nowsze nie, nawet mogę to w miarę obiektywnie ocenić. Dziwne jest, że zespół (a przecież tekściarz wciąż jest ten sam) potrafiący pisać tak znakomite kawałki jak powyżej wymienione, czy „2000 lat”, „Samobójca”, „Robotnicy nocnej zmiany” teraz układa kompozycje do słów: „sia la la la la, co to za kraj?” bo takie słowa wyłapałem. Nowe odstają od starych in minus niestety, choć słucham ich, przyznaję, z doskoku. LAZY CLASS jednym uchem słuchałem, wydaje mi się, że ciała nie dali. BACHORA odpuściłem, podobno przez nich nie zagrał ASTRID LINDGREN, bo ktoś z BACHORA lubił coś, czy kogoś, jakaś taka akcja podobno była. Na deser DEZERTER. Kilka miesięcy nie widziałem a zęby ostrzyłem, bo mieli występować częściowo z Niką z POST REGIMENTU. Nika w trakcie koncertu warszawiaków stała wśród publiki i chyba DEZERTER jej się podobał, bo tupała nóżką w rytm muzyki. W połowie występu zagościła na scenie i zaczęli razem „Szarą rzeczywistością”, Nika kilka razy nie trafiała gdzie trzeba, ale ogólnie wyszło bardzo dobrze, ciekawie było usłyszeć „chcę być sama, zostawcie mnie, odczepcie się” zamiast „chce być sam…” itp. Wspólnie wykonali 8 kawałków, w tym cover POST REGIMENTU, a w zasadzie TRAGIEDII, co nie dziwiło może tak bardzo, bo w końcu zazębia się to z Niką, ale cover APATII „Rasizm” był moim zdaniem dużym wydarzeniem – wszak DEZERTER nie jest coverowym zespołem. Nika dyskutująca, już po pierwszym kawałku zaproponowała, by brać udział w koncercie a nie nagrywać go, później dedykacja „Faceta” chłopakom i dziewczynom, jako utworu feministycznego, jeszcze jakiegoś kolesia tonowała za wystawianie jej „fucka”, ogólnie rozgadana można powiedzieć, czego z kolei nigdy nie można powiedzieć o uciekinierach z wojska. Wydaje mi się, że gardło Niki nie do końca dawało radę pod koniec setu, trzymałem kciuki za dziesięć kawałków, ale jak wspomniałem - było osiem. Jeszcze na zakończenie koncertu wspomogła początek „Dezertera”, który grany był na bis. Co mi się nie podoba na gigach robionych przez Rebel BDG, to fakt pomijania oczekiwań fanów w stosunku do bisów. Choćby skały srały, to włącza się muzykę, światła i ludzie nawet jak skandują swoje prośby to automatycznie są uciszani. I widzę to zarówno w Toronto jak i w Bydzi, kiepsko. A co do ludzi? Naliczyłem z dwieście osób, niespecjalny wynik delikatnie mówiąc. Cena biletu w stosunku do liczby zespołów chyba nie jest zaporowa, raczej brak chęci ludzi do opuszczania domowych pieleszy zadecydował, tendencja się utrzymuje praktycznie w całym kraju. 200 osób to na samego DEZERTERA nie jest żadne osiągnięcie, może było kilka osób więcej, ale też sporo ludzi z zespołów się kręciło, więc to frekwencji nie podwyższa. Mnie się koncert podobał.

Grzester

MASSMILICJA

UPADEK, MORUS, PRODUKT, EL BANDA - 30.10.2015, Klub Amnezja, Olsztyn

Musiałem przejeżdżać przez Olsztyn w piątek lub w sobotę. Robiąc to w sobotę zaliczyłbym INKWIZYCJĘ na OstRocku w Ostródzie. Jednak przejeżdżałem w piątek, dzięki czemu mogłem wskoczyć trochę z partyzanta na ten koncert. Drugi raz w tym miejscu, poprzednio na BIELIŹNIE, co opisywałem w tym fanzinie. Jak wjechałem do środka, to UPADEK już grał. Żałuję, że się nieco spóźniłem, bo to jest bardzo fajny zespół i nie piszę tego, dlatego że, np. Balon to ziom sprzed wieków, tylko dlatego, że np. Balon na perkusji radzi sobie bardzo dobrze. I dalej w ten deseń, gitary robią dużo dla odpowiedniego klimatu, nasuwają się skojarzenia ze starodawnym hacepunkiem z amerykańskich stepów. Jedyne zastrzeżenie to wokal. Narzekałem powyżej na koncerty w Olsztynie, ale ten był ze wszech niemal miar bardzo udany. Jedyny defekt to marne nagłośnienie wokali dwóch pierwszych kapel a za mocne z kolei perkusji. To tyle. Gdybym słyszał wokal UPADKU, to byłoby mi o wiele lepiej. Drugi raz ich widziałem, ale teraz z bliska widziałem bardziej niż słyszałem. W dodatku wyglądało to tak, że wokalista strasznie się męczył wydając z siebie te ledwie słyszalne dźwięki. Przydałby się jakiś trening gardła, bo gość wygląda jakby miał przed sceną skonać w konwulsjach, no chyba, że to taka stylówa. Nie wiem jak długo grali, bo początku nie widziałem. Koniecznie muszą wydać jakiś rozsądny materiał a podobno są świeżo po jego nagraniu, są warci tego. W środku lekki ścisk, ludków na oko 100, klub wyglądał na wypchany, bez ścisku, ale tak w sam raz wypełniony. Dobrze, bo to impreza benefitowa na rzecz chorego Leosia. Kim jest Leoś? Jest siostrzeńcem jednego z członków ekipy robiącej olsztyńskie koncerty a pieniądze potrzebne są na jego rehabilitację. Czy tych pieniędzy było wystarczająco? W takich sytuacjach nigdy nie jest ich dość, ale patrząc na to z boku wydaje się, że impreza cel swój osiągnęła, mam przynajmniej taką nadzieję. Oprócz biletów dochodem była sprzedaż płyt, koszulek (nawet konkretnie na ten koncert robionych), czy wegan burgerów. Zainteresowanie było, upatrzoną koszulkę w połowie koncertu ktoś mi wykupił, zadowoliłem się wobec tego czapką patrolówką! Po UPADKU na scence MORUS. Co to za MORUS? Podobno ex DESTRUKT z Warszawy. Nie wiem, kto tam z DESTRUKTU został, ale na pewno wokal w MORUSIE obsługuje znana tu i ówdzie Nika. No i właśnie tym samym wielka szkoda, że nadal stan nagłośnienia nie uległ poprawie. Coś tam było słychać, ale nie na tyle dobrze, by barwny w końcu wokal uznać za czynnik zdecydowanie wyróżniający kapelę. A muzycznie powiedziałbym, że grali podobnie do stylu prezentowanego przez poprzedników. Zasadniczo w tej płaszczyźnie poruszały się wszystkie kapele. Nie grali dłużej niż pół godziny i już publika wykazywała entuzjazm rozkręcając całkiem fajne pogo i drąc ryjki. W publice przedstawiciele Morąga, Iławy, Mint, Torunia, Trójmiasta, Gniewu – spory procent spoza Olsztyna jak widać i to jest zastanawiające. W dodatku było kilka osób w wieku mocno ponad średnim i nie mam tu na myśli Mamy i Taty z Tratwy! Rodzice kogoś z kapel? Fajnie to wyglądało. No dobra, mamy po dłuższej przerwie zainstalowany PRODUKT. Ich występ na DIY Feście w Gdyni rok temu mnie odrzucił, wypadli uważam fatalnie, omijałem koncerty i nawet nagrania. Ale teraz zagrali rewelacyjnie, przekonałem się do nich zupełnie. Świetny drive gitar robiący mocno punkowy wydźwięk całości. Wokalista, który zachowywał się jak należy, bo oprócz tego, że nareszcie mogłem usłyszeć, o czym śpiewa i zrozumieć teksty, to w dodatku ciągle był wszędzie. Właził w publikę, a pogo konkretnie już napierało we wszystkie strony, i kręcąc się między ludźmi nie przestawał śpiewać z zacięciem malującym się na twarzy. Punk jak należy, kontakt na 103%. Coś tam chyba nawet bisowali, rewelacyjny występ, pobiegłem po płytę! Przeinstalowano sprzęt i kapela, na którą wydaje się większość przyszła. EL BANDY dawno nie widziałem, tak po zastanowieniu to może ostatnio też kiedyś w Gdyni? Zgęstniało przed sceną, aż Anka coś tam zaczęła mówić, by ludzie się odsunęli, bo dla niej miejsca nie

starcza. „Tak się żyje i umiera na Mazowszu! – zaczęli. Publika w tany, kapela ognia, wokal na szczęście trzymał już właściwy fason, wszystko słychać. Piękny występ, ze trzy kwadranse wliczając dwukrotne bisowanie. Utwory z pierwszego i drugiego longa, bodaj jakieś „Psy" jeszcze zagrali, nie kojarzę, z czego to, jakaś składanka? Patrząc na ludzi dookoła, na te uśmiechnięte twarze, na ilość dziewczyn w pogo, na podśpiewujące persony widać, że kapela osiągnęła wysoki status a koncert EL BANDY robi się większym wydarzeniem. Impreza zakończyła się około północy, był jeszcze czas na pogaduszki z dawno niewidzianymi osobami. Rozpisałem się, ale uwierzcie mi: to był wyjątkowo udany wieczór.

Grzester

Koncert Antyfaszystowski. Antynacjonalistyczna-Dezynfekcja: RECESJA, STREGESTI, MASSMILICJA, AYATOLLACH, WOLVES AT THE DOOR, GUANTANAMO PARTY PROGRAM - Gorlice, 07.11.2015

Zamiast wybrać się do Warszawy, na demonstrację Solidarność Przeciwko Nacjonalizmowi, postanowiłem w inny sposób wesprzeć rodzimy ruch antyfaszystowski i pojechać na koncert z konkretnym przekazem i konkretnymi zespołami na scenie. W Gorlicach nigdy wcześniej na koncercie nie byłem, choć słyszałem pozytywne opinie o tamtejszych imprezach, jak i ekipie je organizującej. Niestety, początek nie był dla nas zbyt szczęśliwy. Najpierw, fejsBóg oznajmił, iż ze składu koncertu wypadło NANCY REGAN - szkoda, byłem ciekaw ich na żywo, bo studyjnie fajnie brzmi ten ich delikatny punk rock, z naciskiem na drugi człon. Jednak brak NR to dopiero przedbiegi. Chcąc skrócić sobie drogę do Gorlic, pojechaliśmy skrótem, który nie do końca obczaiłem i tak zboczyliśmy za bardzo na zachód, prawie że lądując w Tarnowie... Spóźnienie mięliśmy gwarantowane, a do tego nadmiar nałożonych kilometrów. No i jeszcze ta cholerna mgła, kręte, wąskie drogi i o mały włos nie wylądowalibyśmy na barierce chroniącej kierowców przed upadkiem ze skarpy... Na szczęście dotarliśmy... Na miejscu od razu kilka niezbyt miłych niespodzianek. Pierwsza, odpadł kolejny zespół (SOUND FUCKEN BRUCKU). Druga, koncert już ma godzinne opóźnienie, przez co zespoły będą miały prawdopodobnie mniej czasu na swe sztuki... Trzecie, fatalna kinowa sala, z wysoką sceną, jakimś wybiegiem przed nią (który został po wyborach Miss Gorlic czy czymś podobnym) i ogromem banerów reklamujących lokalnych przedsiębiorców dookoła (zapewne sponsorzy poprzedniej imprezy). No i czwarta wtopa: znikome zainteresowanie ze strony publiczności. Nie wiem, ile zostało sprzedanych biletów, ale na tej ogromnej sali, wraz z członkami kapel (których naliczyłem chyba 27 osób) było góra 50 luda... Dla mnie szok! Koncert, na którym gra lokalna legenda punk rocka, cztery konkretne zespoły rodzimej sceny hardcore/punk oraz goście z Francji, powinien raczej przyciągnąć tłumy, albo co najmniej z 50-60 osób, i to nie tylko z Gorlic, ale i z okolicznych miast i miasteczek. Czemu tak się nie stało? Zastanawialiśmy się z Tomkiem w drodze powrotnej, i chyba nie znaleźliśmy odpowiedzi...

No nic, pora przejść do muzyki zaprezentowanej na tym antyfaszystowskim koncercie. Gdy weszliśmy, grała już miejscowa RECESJA. To już prawdziwa legenda lokalnej sceny, grają od 1990 roku, choć chyba z jakąś przerwą (kiedyś, ich dwie kasety wydało wydawnictwo Shing, które niestety zaginęło gdzieś w czeluściach historii polskiej sceny niezależnej...). Widziałem może ze trzy kawałki i nie było to takie złe, jak się spodziewałem. W dużej mierze, zespoły które reaktywowały się po latach letargu, są dla mnie jak odgrzewane kotlety. Na szczęście, RECESJA powiewa świeżością i nawet stare kawałki, brzmią dość fajnie. Po prostu, dobrze zagrany hardcore-punk! Po lokalsach, czas na Ślązaków... STREGESTI to już uznana w środowisku punkowym nazwa. Łoją porządnego crust punka, na męsko-żeńskie wokale, z dwoma gitarami, które robiły swoje... Jedyny duży minus ich seta, to bardzo słabo słyszalny głos wokalisty, ale cała reszta dawała radę. Występ STREGESTI był szybki i krótki niczym ich crust punk - no cóż, takie były wymogi chwili, każdy zespół miał swoje pół godziny, co nie zawsze udawało się utrzymać, ku zadowoleniu publiki. Aha,

warto jeszcze wspomnieć o jednym, znaczącym elemencie całego koncertu - jako, iż odbywał się on w kinie, to na ekranie wiszącym za zespołami non stop przewijały się grafiki o antyfaszystowskim i antysystemowym przekazie. Co prawda, osobiście dokonałbym innego ich wyboru i dał o wiele więcej, ale i tak wyglądało to naprawdę fajnie, mimo ogromu tej nieszczęsnej sali... Ryj się sam śmiał, gdy na scenie łojono porządnego punk rocka, a w tle można było np. zobaczyć debila-Kukiza z nosem klauna. Ślązacy skończyli i nie dali się uprosić na bisa... a po nich instalują się punkowi milicjanci z MASSMILICJI.

Zaczęli „Czerwcem'56", kawałkiem który rozpierdala swą wymową... Dla mnie MASSMILICJA to obecnie jeden z ważniejszych zespołów na polskiej scenie. Nie grają może aż tak ostro i przygniatatająco, jak duża część nowych kapel na scenie. Ich punk jest jakby spokojniejszy, melodyjniejszy, nie napakowany jazgotem i ciężarem, ale za to naładowany politycznym przekazem, pozytywną energią i nawet przy słabszym nagłośnieniu, można wyłapać, o co chodzi w tekstach (co trudne było w przypadku reszty kapel, no może jeszcze poza RECESJĄ). Grali w większości kawałki ze swej jedynej, jak na razie, płyty – „Collective Punk", ale było też dwa albo trzy nowe utwory. Co jeszcze odróżniało set milicjantów od innych kapel - Lukas, wokalista MASSMILICJI, dużo mówił ze sceny, o swym przekazie, tematyce utworów, sprawach ważnych dla nas wszystkich... Zakończyli kolejnym „hitem" ze swej pierwszej płyty, „Komitetami"... Tu wyładowanie energetyczne na scenie skończyło się dużą dziurą w podeście przed sceną, którą swymi wyskokami zrobił Lukas. Na szczęście, jemu samemu nic się nie stało...

Francuzi z AYATOLLACHA wymienili w zasadzie cały sprzęt na scenie, łącznie z perkusją. Nigdy ich wcześniej nie słyszałem i do końca nie wiedziałem czego można było się spodziewać po ich występie. Zainstalowało się trzech kolesi i zaczęła się miazga. Wrzaskliwy wokal, brzęcząco-buczący niemal bas, gitara jakby chciała wywiercić w twych wnętrznościach dziurę i jakiś szaleniec za perkusją. Wszystko to w masakrującym spowolnionym tempie. Nie do końca jestem fanem tych wszelkich odmian sludge-czegośtam, więc muza AYATOLLACHA średnio mi leżała. Na szczęście nie grali zbyt długo, dało się więc wytrzymać i wysłuchać całego repertuaru lyończyków.

Dwa ostatnie zespoły to przedstawiciele wrocławskiej sceny hardcore/punk. Jako pierwsi wystartowali WOLVES AT THE DOOR. Dobrze zagrany, z energią i przytupem, nowoczesny hardcore na dwie gitary, co dawało dodatkowy efekt ściany dźwięków. Przeważnie ze sporym wykopem, ale miejscami były i zwolnienia. Nie poraziło, ale na dobrym poziomie. Po nich sprawnie zamontowali się koledzy po fachu, GUANTANAMO PARTY PROGRAM. Niestety, mieli już niewiele czasu na swego seta. W drzwiach przybytku gorlickiej kultury pojawili się już panowie w mundurach, upominając organizatorów o uszanowaniu ciszy nocnej. GPP zdążyło zagrać dwa monumentalne kawałki. Ich apokaliptyczny post-hardcore nie do końca odpowiada moim gustom muzycznym, ale z ciekawością wysłuchałem tego, co mają do zagrania/powiedzenia (z tym drugim już gorzej, bo jak się nie zna tekstów, to trudno cokolwiek wyłapać... ale jak skwitował to mój towarzysz podróży, to poezja i sztuka dla sztuki...). I w ten oto sposób, niczym zakończenie wybuchu bomby atomowej, GPP zakończyło Antynacjonalistyczą Dezynfekcję. Koncert bardzo udany pod względem muzycznym. O innych względach nie ma co pisać...

Krawat

ZIMOWY WIECZOREK FILMOWY

Filmem zainteresowałem się, gdy miałem naście lat. U schyłku poprzedniego ustroju, gdzie w TV oferowano nam tylko dwa kanały telewizyjne, a o telefonach komórkowych i internecie nikt nawet nie marzył, okno na świat było skutecznie zaryglowane i właśnie filmy na taśmach VHS zaspokajały naszą ciekawość. Na tych taśmach pojawiały się pierwsze filmy z amatorskim polskim lektorem, potem fani kinematografii utworzyli pierwsze wypożyczalnie kaset z filmami, które często działały zgodnie z duchem idei DIY. Przynosiło się swoją kasetkę do naprędce skleconej budy z szyldem, płaciło miesięczne wpisowe i wypożyczało to, co przyniósł ktoś przed nami. By było ciekawiej, powstała też Polska Partia Przyjaciół Magnetowidów... Młode pokolenie pewnie nie wie, że w latach 90. do oglądania filmów służyła taśma, a nie plik AVI czy płyta DVD. To była prawdziwa magia kina. Ja w poszukiwaniu filmów, z moją kolekcją kilkudziesięciu taśm VHS, zapuszczałem się na targowiska, gdzie tacy jak ja szukali okazji do wymiany swoich zbiorów. Nie brakowało również nieuczciwych ludzi, którzy przy wymianie dawali czyste taśmy. By coś zobaczyć musiałem się natrudzić i była to często droga pod górę. Dziś po prostu ściągam piracką kopię filmu nie ruszając się z domu i, tak jak dawniej, pochłaniam pyszną dawkę zapomnienia… Kino daje ukojenie, otuchę, wzruszenie i pewną iluzję, że świat, mimo wszystko, jest w stanie uzdrowić się sam - dzięki nam, ludziom, mającym pasje. Jarek/Łódź.

„'71", 2014, Wielka Brytania, reż. Yann Demange

Po krótkim treningu wojskowym, młody brytyjski rekrut przygotowywany jest do misji wewnątrz Zjednoczonego Królestwa. Irlandia Północna - obszar wrzenia dwóch społeczności. Rojaliści -zwolennicy korony i Katolicy - dążący do secesji i oderwania tego obszaru od Wielkiej Brytanii. Linie frontu stanowiły ulice, dzielnice, domy. Bojówki młodych chłopców obrzucały się kamieniami, ale ludzie ginęli też w zamachach organizacji terrorystycznych: IRA (katolicy), Oranżyści (protestanci).

Belfast, 1971 rok. Napięcia między katolikami i protestantami zamieszkującymi miasto oraz służbami porządkowymi - policją i wojskiem stacjonującym w Irlandii Północnej - sięgają zenitu. Na dzielnice katolickie, wojsko wysyła uzbrojone patrole, czym prowokuje zamieszkałą tam ludność do zamieszek. To linia frontu. Irlandczycy w większości są bezrobotni i nie mają nic do stracenia. Również katolicy mają różne opcje walki – są wśród nich umiarkowani demokraci oraz zwolennicy zamachów. Sytuację zaogniają skłócone ze sobą brygady IRA po jednej stronie i knowania brytyjskich mieszkańców miasta po drugiej. Co ciekawe, policja brytyjska ma wtyczki agenturalne wśród obu zwaśnionych grup bojowników i wygodne dla siebie brudne interesy załatwia na "mafijnym gruncie".

W ten kocioł wysłani zostają młodzi brytyjscy żołnierze, rekruci z najniższym bojowym stażem. Jeden z nich, Gary (Jack O'Connell), podczas wojskowej interwencji ulicznej zostaje ranny i zmuszony jest ukrywać się w przypominającym labirynt mieście. Nie wiedząc, komu zaufać, nie mogąc znaleźć drogi do koszar, staje się zwierzyną łowną, bo wszystkie strony konfliktu chcą się go pozbyć. Dla Irlandczyków jest śmiertelnym wrogiem, dla dowództwa niewygodnym świadkiem nielegalnych działań wojskowych. Poziom agresji doprowadzi wkrótce do wydarzenia zwanego "Krwawą Niedzielą", które miało miejsce 30 stycznia 1972 roku.

Ranny młody chłopak walczy o życie i dzięki życzliwości cywili nie dobiega ono końca. Widzi podziemny świat małych chłopców uwikłanych w konflikt, który zabrał im dzieciństwo. Widzi cywili przygotowujących ładunki wybuchowe do skrytych detonacji i zamachów. Zwykły chłopak z Derbyshire, w żaden sposób nie zamieszany w konflikt w Ulsterze, staje się jego częścią. Film poraża maksymalnym realizmem i przenosi nas w centrum konfliktu toczonego przez ludzi o różnych wyznaniach, którzy są zdolni do zabójstw swoich sąsiadów. Co ciekawe, historia wzajemnej separacji, mimo procesów pokojowych, nigdy do końca nie wygasiła konfliktu w Irlandii Północnej i nawet dziś tli się tam sporo nienawiści. Na pytanie jak przerwać spiralę przemocy, Demange odpowiada w zakończeniu filmu. Nie sposób wymierzyć sprawiedliwość ani dotrzeć do prawdy. Jedyne, co można zrobić, to zostawić przeszłość za sobą, nawet tę najbardziej krwawą i wołającą o pomstę do nieba.

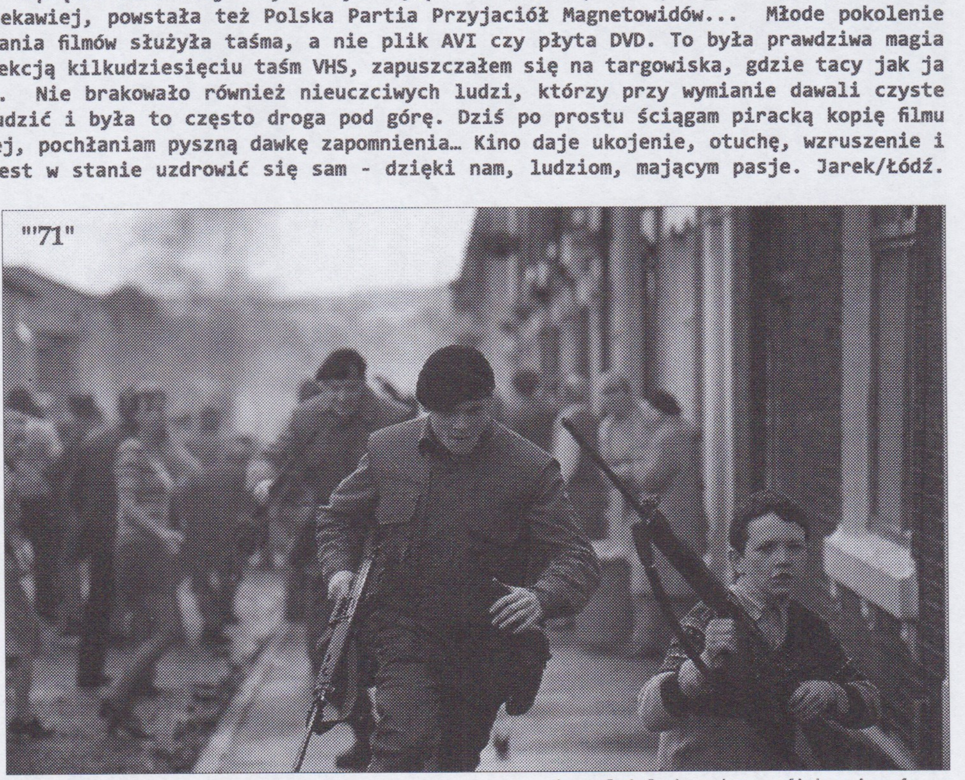
"71"

„Altar", 2014, Wielka Brytania, reż. Nick Willing

Para Anglików w poszukiwaniu natchnienia, inspiracji i przede wszystkim chcąca odbudować swoje małżeństwo, postanawia przenieść się z City na odludzie hrabstwa Yorkshire. Małżeństwo Hamilton jest kochającą się parą, która boryka się z kryzysem wieku średniego. Oboje mają ciekawą i inspirującą pracę - Alec jest cenionym artystą przeżywającym brak natchnienia, a Meg zajmuje się aranżacją wnętrz.

Pewien bogaty biznesmen zgłasza się do kobiety z propozycją pracy przy pewnym domu na odludziu. Płaci gotówką za doprowadzenie wiktoriańskiego domu do stanu pierwotnego. Rodzina rusza w podróż. U celu wita ich kapryśny nadmorski klimat. Chłód , brak roślinności, skały, a w oddali stoi ukryty przed ludzkimi oczami ogromny monumentalny pałac. Zwiedzając liczne pokoje para odkrywa historię budynku i jego poprzednich właścicieli. Wszędzie stoją zakurzone meble, sztalugi, książki, akcesoria malarskie, na ścianach wiszą piękne obrazy, skrzypiąca podłoga i stare meble działają na wyobraźnię. Kurz pokrywa wszystko szczelną pierzyną stęchlizny i starości. W okolicy trudno przekonać kogoś do pomocy przy renowacji tego budynku. Jest to mała społeczność i przekaz ustny pełni w niej olbrzymią rolę. Historia tego domu jest tajemnicza i tragiczna, a tu nikt nie chce splamić sobie reputacji pracą dla sił zła. Pierwotni właściciele byli odludkami, lecz skrywali przykrą tajemnicę. Podczas kolejnych oględzin domu Meg znajduje pomieszczenie nie ujęte w żadnych planach budynku. Ściany zbudowane pod dziwnym kątem, witraże i gigantyczne malowidło na posadzce wywołują poczucie tajemniczości i grozy. Po dogłębnym zbadaniu fresków zostaje powoli odkryta przerażająca tajemnica. Pomieszczenie jest komnatą do odprawiania obrzędów jakiegoś kultu, a obraz na posadzce to zwierciadło duszy. Poprzedni właściciel podejrzewany był

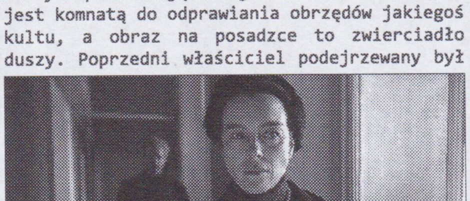
"Altar"

o to, że należał do zakonu różokrzyżowców, a dom był dla wyznawców świątynią i łącznicą okultystyczną. Żona właściciela, według ludowego przekazu, stała się ofiarą jego praktyk, ale jej śmierć wpędziła go w obłęd i doprowadziła do szaleństwa. Wszystko to miało miejsce 150 lat wcześniej, ale historia w tej okolicy jest ciągle żywa. Dla Hamiltonów obcowanie z historią tego miejsca również nie wpływa pozytywnie. Zaczynają mieć miejsce dziwne zdarzenia. Pod wieczór widziano kobietę w bieli przechadzająca się po ogrodzie, drzwi i okiennice potrafią same zamykać się, jak przy użyciu tajemniczej siły. Słychać kroki, szmery, drapania i dziwne stukanie w rurach. Mężczyzna doznaje tajemniczej iluminacji i wpada w artystyczną ekstazę twórczą. Zamyka się w swojej pracowni i w amoku oddaje się pasji. Cała rodzina jest zaniepokojona. Kalecząc się o futrynę z jego rany sączy się krew, która wraz z gliną staje się budulcem i przyczynia się do niezwykłości jego dzieła. Podświadomie powstaje rzeźba kobiety leżącej na ofiarnym miejscu - pięknej i nieświadomej nadchodzącej śmierci. Owa kobietą jest ofiara rytualnego mordu loży religijnej. Stała się ona fatum tego domu, również właściciel jest z domem nierozerwalnie związany na wieki.

Pewnego słonecznego dnia odwiedza rodzinę dystyngowany jegomość interesujący się domem, jego dalszym losem - żywy materialnie głos z zaświatów prawowitego właściciela posiadłości. Obsesja Hamiltonów wkracza w punkt krytyczny. Ich mordercze zapędy zagrażają własnemu potomstwu. Czy można wygrać z demonami i siłami zła, które zamieniły się w falę nienawiści, podstępnie szukającej ofiary? Ukojeniem może być tylko ucieczka...

Fabuła tego obrazu powiela sztampę tradycyjnych filmów grozy, lecz jest coś, co mnie przekonało do tego filmu. Prostota przekazu, smutek, chłód i powoli postępujące otępienie sprawia, że dobro nie ma żadnych szans.

„Szczęście ty moje", 2011, Holandia-Niemcy-Ukraina, reż. Siergiej Łoźnica

Prowincjonalna Rosja, zwykły letni dzień. Kierowca ciężarówki, Georgij, ładuje towar i wyrusza w drogę. Gieorgij jest komiwojażerem,

"Szczęście ty moje"

ma własną starą półciężarówkę, którą jeździ po okolicy, sprzedając mieszkańcom wsi i miasteczek kupioną w młynie po cenach hurtowych mąkę. Często nie ma go w domu, co nie wpływa zbyt dobrze na jego małżeństwo. Z drugiej jednak strony nie ma wyboru - trzeba zarabiać, z czegoś żyć. W drodze natyka się na różnych ludzi. Każdy spotkany człowiek jest swoistym ostrzeżeniem przed tym, co czeka go w najbliższej przyszłości. Spotkana kilkunastoletnia prostytutka, gdy odmawia seksualnej usługi, radzi mu objechać korek mniej uczęszczaną drogą, ale ten wybór staje się początkiem drogi do piekła... Nocą zatrzymuje się w szczerym polu. W okolicy, jak zły omen, pojawiają się miejscowi złodzieje - łotry potrafiące zabić za zły wyraz twarzy. Pogawędka przy ognisku zamienia się w napaść, brutalną i pozbawioną sensu. Georgij zostaje cudem uratowany przez samotną kobietę, która bezwstydnie wykorzystuje jego męskie walory. Mąka z samochodu, który stoi teraz u niej w zagrodzie też się przydaje - handlują nią na targu. Gieorgij trafia na miejscowy bazar, zaludniony ludźmi jakby z innego świata - o skrofulicznych twarzach zniszczonych chorobami dziedziczonymi z pokolenia na pokolenie, alkoholizmem, napiętnowanych oznakami szaleństwa i paranoi. Zanurzając się pomiędzy nich, bohater doświadcza uczucia pogrążania się w bagnie - to jak niespodziewana wizyta w szpitalu psychiatrycznym, na oddziale, w którym zamknięto same najcięższe i nie rokujące żadnych nadziei na poprawę przypadki. Tam zostaje znów napadnięty i lądując na prowincjonalnym komisariacie odkrywa ten sam obraz stróżów prawa nie różniących się niczym od lokalnych lumpów. Dzięki zbiegowi okoliczności udaje mu się zbiec.
Dwa epizody filmu nawiązują do czasów sprzed kilkudziesięciu lat – po to, by pokazać, jak niewiele zmieniła się od tamtych czasów mentalność Rosjan. Dwóch żołnierzy Armii Czerwonej, uciekając przed napierającymi hitlerowcami, znajduje schronienie w wiejskiej chałupie nauczyciela. Gdy w rozmowie z nimi wyraża on przekonanie, że przecież „pod Niemcem" wcale nie będzie musiało być tak źle - wszak to naród kulturalny i w Boga wierzą - wydaje na siebie wyrok śmierci. Dla frontowych maruderów nie ma żadnego znaczenia fakt, że mężczyzna przeżył niedawno osobistą tragedię, ani że mordując go, skazują na potworny los także jego kilkuletniego syna. Z kolei rok po wojnie wraca do kraju, z podbitych przez Sowietów wschodnich Niemiec, młody lejtnant. Spieszy się do dziewczyny, której z okazji ślubu, wiezie trofiejną sukienkę. Nieopatrznie przyznaje się do tego majorowi żandarmerii, który chce przejąć łup, grożąc żołnierzowi aresztowaniem i zesłaniem do łagru. Słuchając drugiej z tych opowieści, Gieorgij nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że czeka go bardzo podobny los; będzie miał jednak znacznie mniej szczęścia niż tamten lejtnant. Stając się ludzkim upiorem Georgij włóczy się po wsiach nieświadom tego, kim jest i co mu się przydarzyło. Teraz już w niczym nie różni się od tych, którzy kiedyś tak bardzo przerazili go na targu. Jeśli jednak wydaje się wam, że Gieorgija nie może spotkać już nic gorszego - jesteście w błędzie. Łoźnica spina swój film klamrą, a finałowa scena - ponownie rozgrywająca się na punkcie kontroli drogowej - dosłownie wywraca wnętrzności. Zarośnięty bezdomny dziad jakim się stał niegdysiejszy komiwojażer w ciszy zabija z zimną krwią wszystkich. I dobrych i złych, skorumpowanych i tych, których życie umknęło z jego ręki przypadkiem. Siergiej Łoźnica w „Szczęście ty moje" przedstawił tak przerażający i porażający jednocześnie portret rosyjskiej prowincji pierwszej dekady XXI wieku, że nie sposób jeszcze długo po odejściu od ekranu myśleć o nim bez uczucia ciarek przebiegających po plecach. Reżyser nie ukrywał, że pracując przez lata z ludźmi mieszkającymi w małych miasteczkach, posiołkach i wsiach, słyszał od nich niejednokrotnie historie tak fantastyczne i nieprawdopodobne, że aż trudno byłoby dać im wiarę. A jednak zdarzyły się naprawdę. Po latach niektóre z nich postanowił wykorzystać jako kanwę scenariusza do swego pełnometrażowego debiutu fabularnego. Rozsypujące się zagrody, ogorzałe od wielopokoleniowego alkoholizmu zdziczałe twarze, wściekłość i brud. Film ten oparty jest na prawdziwych historiach, zupełnie oderwanych od siebie, lecz pokazanych z perspektywy zwykłych ludzi. Mieszkańcy rosyjskiej prowincji całkowicie zatracili moralny, emocjonalny balans, a ich życie stało się pasmem gwałtu, mordu i przemocy. Nie bez przyczyny perfekcyjnie skonstruowany fabularny debiut Łoźnicy był często porównywany do "Domu złego" Wojciecha Smarzowskiego, lecz polski odpowiednik był tylko kreacją makabry a rosyjska makabra jest obrazem czystego zła. Kierowca zmuszony do zjechania z autostrady gubi się w szczerym polu w głębi Rosji. Próbując rozpaczliwie odnaleźć właściwą drogę, zostaje wciągnięty w spiralę szaleństwa i przemocy.

„3 serca", 2014, Francja, reż. Benoit Jacquot
Marc (Benoit Poelvoorde) spóźnia się na pociąg. Szukając hotelu spotyka Sylvie (Charlotte Gainsbourg). Przez całą noc spacerują po ulicach małego francuskiego miasteczka i rozmawiają. Nie przedstawiają się sobie, i nie wymieniają numerami telefonów. Badają siebie nawzajem, flirtują, są dla siebie intrygujący. Na kolejne spotkanie umawiają się w Paryżu(w Ogrodach Tuileries), gdzie Marc pracuje jako inspektor urzędu skarbowego. Nad ranem Marc odjeżdża do Paryża. Przez szereg przypadków mężczyzna nie dociera na spotkanie - śpieszy się i ląduje w szpitalu mając podejrzenie zawału serca. Kobieta rozczarowana odchodzi, wraca do domu, do swojego mężczyzny i dawnego życia specjalistki od antyków. W końcu Sylvie wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych wraz ze swoim partnerem, a w tym samym czasie Marc poznaje podczas czynności skarbowych Sophie (Chiara Mastroianni), rodzoną siostrę Sylvie. Para zakochuje się w sobie, i postanawia pobrać. Wkrótce Marc mieszkając u kobiety odkrywa zdjęcia swej pierwszej fascynacji. Sytuacja się zagęszcza i przeradza w obsesję mężczyzny. Historia przypadkowego spotkania jednak powraca. Sylvie i Marc próbują jeszcze walczyć z tym, co wydaje się nieuniknione. Sylvie nie przyjeżdża na ślub siostry, w rodzinnym domu zjawia się dopiero po uroczystości. Okazuje się, że ponowne spotkanie wzbudziło w obojgu wzajemne pożądanie. On jest jak drapieżnik, ona mimo fantastycznych relacji z siostrą kieruje się czymś, nad czym nie potrafi zapanować. Bohaterowie starają się siebie unikać. Sylvie wyjeżdża ponownie do Stanów. W tym czasie Marc i Sophie wiodą szczęśliwe życie i poświęcają się opiece nad synem. Po kilku latach Sylvie wraca jednak do Francji, i nie jest w już w stanie udawać obojętności wobec poznanego przed laty mężczyzny. Tragedii stara się zaradzić matka kobiet (Catherine Deneuve), jednak jest już za późno. Los głównych bohaterów jest już przesądzony.
Film „3 serca" jest ciekawą ilustracją relacji dwóch sióstr. Do momentu, w którym w ich życiu pojawia się Marc, relacja ta układa się lepiej niż prawidłowo. Kobiety prowadzą wspólnie sklep z antykami, który wcześniej należał do ich matki. Sophie, jako siostra idealna, cierpi po stracie ukochanej siostry mając z nią kontakt jedynie przez skypa. Sophie wie o relacji jaka łączy jej męża z ukochaną siostrą. W końcu wygrywa miłość do Marca. Sophie zostaje zdradzona podwójnie. Jest ona kobietą stateczną, spokojną i przywiązaną do gniazda rodzinnego. Jej młodsza siostra jest wolna i to do niej Marc kieruje swe gorące uczucie.
Film „3 serca" pokazuje, jak przypadki mogą zdeterminować los. Często okrutnie. Wystarczyłoby, żeby Sylvie zaczekała minutę dłużej, a umówiona w Paryżu randka doszłaby do

"Klub Jimmy'ego"

skutku i życie całej rodziny potoczyłoby się zgoła odmiennie... Takie zakończenie zostaje zresztą przedstawione w końcowej scenie filmu.

„Klub Jimmy'ego", 2014, Francja-Irlandia-Wileka Brytania, reż. Ken Loach

Na filmy Kena Loacha Anglicy zawsze czekają z niepokojem. Boją się, że reżyser znów wyciągnie na światło dzienne historyczno-polityczne brudy, o których mieszkańcy Wysp, nie lubią mówić i jest to dla nich trudny temat. Ken Loach serwuje widzom filmy zaangażowane społecznie, dotykające nieprzyjemnych ustępów z kart historii Wielkiej Brytanii, skupiając się wprawdzie wciąż na jednostce, ale jednostce idącej pod prąd, przesiąkniętej ideą, walczącej z systemem ze swawolnym, rozbrajającym uśmiechem na ustach. Będąc konsekwentnym, wręcz radykalnym w tym, co robi od ponad pół wieku, zjednuje sobie jednoznaczną przychylność krytyków na całym świecie, goszcząc każdego roku na największych festiwalach filmowych; przez jednych podziwiany, przez innych wytykany palcami lub określany epitetami „lewak", "komunista". Filmy Loacha są malowane czerwienią ze szczególnym uwzględnieniem klasowych nierówności i niesprawiedliwości społecznych, które dotykają warstwy najbiedniejsze i właśnie o nie w swych filmach Loach się upomina. Aktorzy i statyści dobierani są ze szczególną pieczołowitością - tak, by widz odnalazł w tych prostych historiach siebie, a nie jakieś wyimaginowane postacie z bajek. Film „Klub Jimmy'ego" inspirowany jest historią autentycznej postaci – Jimmy'ego Graltona, niespokojnego ducha, który żył w Irlandii w latach 20., a zmarł na wygnaniu w roku 1945. Filmowy Jimmy żył w małej irlandzkiej wiosce w dwudziestoleciu międzywojennym. Proklamowanie Republiki Irlandii w 1919 roku zapoczątkowuje walki z wojskami brytyjskimi, a w konsekwencji, w 1921 roku, doprowadza do podziału wyspy Irlandii na Wolne Państwo Irlandzkie i brytyjską Irlandię Północną, co z kolei doprowadziło do wybuchu wojny domowej w Irlandii. Jimmy jako socjalista musi emigrować za chlebem. Wybiera Stany Zjednoczone. Tam ima się różnych zawodów. Jest rybakiem, robotnikiem, górnikiem. Jako lewicowy działacz związkowy doświadcza walki klas i bezrobocia wynikłego wskutek upadku amerykańskiego rynku spekulacyjnego. Rozpoczął się on 24 października 1929 roku (data ta przeszła do historii jako „czarny czwartek") od krachu na nowojorskiej giełdzie Wall Street. Wydarzenie to spowodowało tak wielką panikę akcjonariuszy, że na sprzedaż wystawiono blisko siedemdziesiąt milionów akcji. Ponieważ gospodarka światowa już wtedy była bardzo powiązana, kryzysy natychmiast przeniósł się do Europy. Jimmy na kilka lat trafia do więzienia. W Irlandii przed wyjazdem wiódł dosyć nietypowe życie jak na mieszkańca małej zapadłej wioski. Razem z własną matką wyczuleni na niedolę i brak edukacji prowadzili klub - lokalny dom kultury. Klub ten spełniał wiele funkcji integrujących lokalną społeczność: od miejsca dyskusji, spotkania z kulturą i sztuką, po próby chóru, działalność rękodzielniczą, naukę zawodu czy wreszcie klub do tańca dla młodzieży. Po odsiedzeniu wyroku, tytułowy bohater dostaje w Stanach Zjednoczonych bilet w jedną stronę i wraca w swoje strony. Klub, który prowadził od kilku lat stoi zamknięty, a lokalna społeczność wiedzie biedne i spokojne życie. Ludzie witają Jimm'ego z należną powagą - jest dla nich kimś ważnym, źródłem wiedzy, obyczajów, prawdziwym „światowcem". Młodzi mieszkańcy wioski proszą przybysza by ten na nowo otworzył podwoje dawnego klubu. Nie dając długo się prosić, tak właśnie się staje. Okolica po bratobójczych zmaganiach wojny domowej na nowo nabrała oddechu wolności i radości. Nie wszystkim jednak jest w smak takie rozpasanie i nieobyczajność. Proboszcz lokalnej parafii reprezentujący władzę kościelną jest oburzony zachowaniem swoich parafian. Jimmy nie chce zaogniać lokalnych konfliktów, bowiem jako lewicowiec podpada i kościołowi i irlandzkiej armii, jak również policji, ustawodawstwu sądowemu i nacjonalistom z IRA. Mimo strachu próbuje wraz z lokalną ludnością walczyć z

"Selma"

niesprawiedliwością, wykluczeniem i eksmisjami dokonywanymi w imieniu bogatych.

Ken Loach nie pisze historii z morałem lub takich, które mają pozytywne zakończenie. Samotny lewicowy idealista niezależnie od szerokości geograficznej, czy czasu, zazwyczaj skazany jest na niepowodzenie. Tak jest i tym razem. Lokalny kler, władza i bogaci niszczą to co zdołali zbudować biedacy. Dopuszczają się zbrojnego zamachu, a klub puszczają z dymem. Wiadomo, że nie może to być koniec prowokacji - problem trzeba rozwiązać raz na zawsze. Jimmy staje się „bezpaństwowcem" i jako niewygodny wichrzyciel zostaje wydalony z kraju. Mimo że urodził się na irlandzkiej ziemi, zabroniono mu krzewić na niej kulturę i wspierać najuboższych.

Ken Loach kreśli w filmie uniwersalną prawdę, która jest kwintesencją lewicowego dogmatu. Praca u podstaw, oddolna demokracja, edukacja, kultura i świadomość klasowa jest tym, co powinno scalać ludzi pracy. System i bogaci nie uznają postępu i otwartości umysłu oraz chęci zmian na lepsze. Również kler zawsze przyłącza się do machiny niesprawiedliwości czuwając nad stanem duszy i wmawiając swym „owieczkom", że tylko ciężka praca jest przyczynkiem do tego, by dostać się do raju. Raju wyśnionego, którego nie ma dla tych ludzi na ziemskim padole. Bardzo polecam ten film, a dodatkowym atutem niech będą piękne irlandzkie krajobrazy i znakomita muzyka.

„Selma", 2014, USA-Wielka Brytania, reż. Ava DuVernay

Zamysł powstania filmu o ikonie pokojowej walki czarnoskórych Amerykanów, Martina Lutera Kinga, miał ukazać widzom człowieka z jego lękami, słabościami i zwątpieniem wynikającym z rzucanych pod nogi kłód. Świat Czarnych w Ameryce lat 50-tych i 60-tych to segregacja rasowa jako pozostałość po epoce niewolnictwa, tysiące ofiar morderstw jakich dopuszczali się biali farmerzy i ich Ku Klux Klan. Mieć siłę do walki znaczyło wtedy tyle, co mieć świadomość nadchodzącej śmierci. Twórcy „Selmy" nie rysują nam w tym obrazie Kinga z okresu wielkości (marsz na Waszyngton, po którym King wygłosił mowę, zaczynającą się od ikonicznego "I had a dream...") czy drogi do zdobycia praw wyborczych. W filmie „Selma" widzimy Martina Lutera Kinga jako kaznodzieję i społecznego aktywistę, który zajmuje się również walką o prawa człowieka na prowincji, w najbardziej rasistowskim miejscu - Alabamie. Tytułowa Selma to miasteczko w południowym stanie USA. W tej małej miejscowości tamtejsza biała administracja odmawia czarnej społeczności prawa do samostanowienia i do głosowania. King i jego ludzie jadą tam, by wesprzeć obywatelski ruch. Wokół tego, co tam się dzieje, koncentruje się fabuła filmu. Wszelkie głosy sprzeciwu tłumione są w zarodku, a pokojowe marsze rozbijane przez policję i wojsko gazem łzawiącym, pałkami czy skrytobójczymi zamachami. King wie, że sukces Selmy może być drogą do wielkiej zmiany mentalności całej społeczności Ameryki, niestety droga ta jest usłana ofiarami, pełna bólu i łez.

W filmie pastor King przedstawiony jest w sposób zachowawczy. W efekcie ani o Kingu jako człowieku, ani o Kingu – charyzmatycznym przywódcy porywającym miliony, nie dowiadujemy się prawie niczego. Intymne rozmowy małżeńskie państwa Kingów są letnie jak dawno zaparzona herbata. Również jego płomienne mowy, czy negocjacje z prezydentem, czy wreszcie decyzje podejmowane na polu bitwy (ulicznych demonstracjach) są pozbawione emocji i wieją chłodem. Pokojowy ruch obywatelski Czarnych nie jest traktowany przez władze z pobłażaniem. Na najwyższych szczeblach zapadła decyzja, że trzeba zniszczyć małżeństwo Kingów, sam pastor jest inwigilowany gdziekolwiek nie pojedzie, a w jego otoczeniu pełno jest prowokatorów i policyjnych szpiegów na usługach FBI. Czas walki o człowieczeństwo przypada na okres wojny w Wietnamie, zamachu na prezydenta Kennedy'ego i zabójstwa radykała Czarnych Panter -Malcolma X. W 1965 roku prezydentem jest Lyndon Johnson, który zastąpił zamordowanego w zamachu w 1963 r. Johna Kennedy'ego. Ideą nowego prezydenta jest walka z ubóstwem, nie z zastałym porządkiem rzeczy oraz z białymi plantatorami południa, którzy nigdy nie pogodzili się z prawem Afroamerykanów do normalnego funkcjonowania. Pastor jest zdeterminowany, by doprowadzić do tego, by każdy Amerykanin, bez względu na kolor skóry, mógł wybierać swych przedstawicieli do parlamentu. King porusza te kwestie w kolejnych rozmowach z prezydentem Johnsonem, który spycha jednak problem na dalsze tory. Aby nadać mu właściwe znaczenie, rozpoczynają się pokojowe marsze sięgające głęboko na południe kraju. Miasto Selma staje się decydującą drogą ku zmianom. Bojowo nastawieni mieszkańcy miasta postanawiają zwrócić uwagę na siebie i przesłanie z którym chcą pójść do stolicy hrabstwa. Marsz w blasku fleszy zostaje spacyfikowany przez wojsko i oklaskujące te poczynania białą społeczność. Film porusza problem, który nie jest nam obcy - rasizm i wyobcowanie; ukazuje przerażający, bezpośredni portret przemocy. Trudno zapomnieć widok policjanta na koniu wyłaniającego się z mgły gazu, wymachującego batem w stronę demonstrantów. Policjantów katujących staruszki czy mordujących młodego chłopca na oczach gości kawiarni. Tym razem jednak siedemdziesiąt milionów obywateli i jeszcze więcej ludzi na całym świecie było świadkami tych wydarzeń dzięki telewizyjnej transmisji na żywo - to poruszyło sumienie białych i porwało tysiące z nich do przyłączenia się do protestu w Selmie. Dwa tygodnie po tragicznej niedzieli miał miejsce marsz z Selmy do Montgomery, który znacząco przyczynił się do uchwalenia ustawy o prawie wyborczym (Voting Rights Act). Dla samego pastora Kinga epizod ten był jedną z wielu potyczek

o godność i zakończenie wojny w Wietnamie. Władza nigdy nie zapomniała Kingowi jego rewolucyjnego ducha. Został on zastrzelony w Memphis przez J. E. Raya. Pojawiły się jednak liczne wątpliwości związane z zamachem - błędy policji przy zabezpieczaniu miejsca przestępstwa, niewyraźne ślady Raya na broni, świadkowie twierdzący, że strzelał ktoś inny. Spowodowało to powstanie teorii, że zabójstwa dokonała inna osoba, a Ray jest jedynie kozłem ofiarnym lub działał z czyjegoś polecenia. King, jako działacz społeczny, miał wielu wrogów, zarówno wśród polityków, jak i wojskowych, policji oraz służb specjalnych.

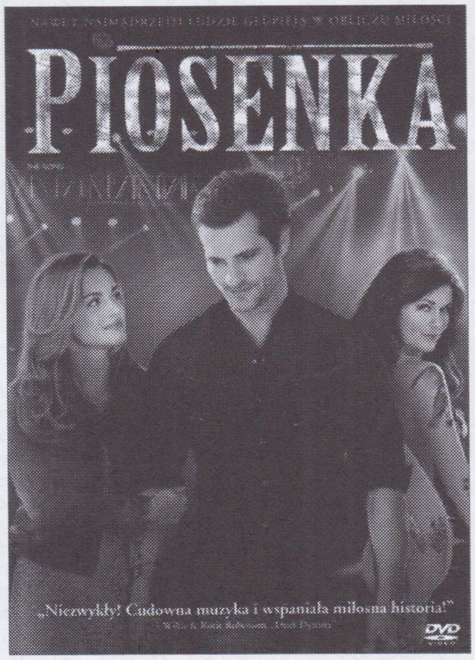

„Piosenka”, 2014, USA, reż. Richard Ramsey
Dla wytrawnych kinomanów szukających filmów ambitnych i wysmakowanych ten obraz może wydawać się mdły i kiczowaty jak muzyka, która przewija się praktycznie przez cały film. To mieszanina country-gospel o religijnym przekazie, coś na modłę polskiego Starego Dobrego Małżeństwa. Sam się czasem łapię na tym, że takie filmy ładują moje akumulatory, a i łza w oku czasem się zakręci od melodramatycznej historii życia – z jej dobrymi i złymi stronami.
Początek filmu wprowadza widza we właściwą fabułę. Pewien bardzo znany muzyk country rozmienia swoje życie na drobne zatracając się w nałogach i próżniactwie. Jest znany, a umiera w objęciach kochanki, żonę i dzieci gubiąc gdzieś na rozstajach dróg. Jego syn, Jed, ma również talent muzyczny i również gra country. Pewnego dnia zjawia się na wiejskich dożynkach - dorocznym święcie wina. Tam poznaje piękną dziewczynę, córkę właściciela winnicy. Oczywiście jego nazwisko jest znane ojcu dziewczyny, znana jest mu też druga strona jego sławy - upadek na dno ojca muzyka, nałogi i życiowa porażka. Jako bardzo religijny człowiek obawia się tej znajomości, a podyktowane jest to chęcią ochrony swojej jedynej córki przed niepewnym losem wynikłym z tego związku. Uczucie rozkwita i zamienia się w małżeństwo, rodzą się też dzieci. Rośnie też wielka kariera muzyczna Jeda. Muzyk koncertuje po całych Stanach zyskując uznanie fanów, lecz myślami wciąż jest w domu. Kobieta zostaje sama ze swoim trudnym życiem dzielonym między dziećmi a schorowanym ojcem. Dla męża, będącego w domu w przerwach w trasie, jest oschła; ma pretensje, że zaniedbuje dom i ich związek. Małżeństwo zaczyna wkraczać w fazę kryzysu. Jed jest w matni, bo muzyczna pasja jest jego życiem, a jednocześnie udowadnia sobie, że nie poszedł w ślady ojca, który swą sławę rozmienił na drobne.
Podczas jednego z koncertów okazuje się że supportem zespołu Jeda będzie rock'n'rollowa kapela ze zjawiskową wokalistką Shelby Bale, dziewczyną wytatuowaną, zalotną, która nie wydaje się być grzeczną dziewczynką. Europejska trasa koncertowa obu zespołów zbliża oboje do siebie, pojawiają się narkotyki i ciągły melanż na trasie. W końcu idą razem do łóżka czym komplikują całą trasę, bo alkoholowe ciągi i pijackie kłótnie zdarzają coraz częściej. Jed, bez świadomości, odurzony sławą, zamroczony wódką i prochami, wkracza na ścieżkę, którą kroczył jego ojciec. Wie, że może to się skończyć tylko w jeden sposób. Jed odchodzi od rodziny i ze swoją dziewczyną popadają w alkoholowe ciągi. Jego obecna partnerka wylatuje z trasy, a on sam, zawieszony na emocjonalnej linie, zbliża się do kresu wytrzymałości. Zdrowie nie wytrzymuje i w konsekwencji Jed ląduje w szpitalu. Tam przy łóżku czeka na niego żona - w tym momencie muzyk rozumie co naprawdę jest dla niego ważne.
Film o uniwersalnym przesłaniu, głęboko osadzony w Biblii, pokazuje odbiorcy pasmo życia z jego sukcesami i upadkami. Każdy kroczy przez nie bez możliwości zaglądania w karty i przewidywania przyszłości.

„Zjazd absolwentów”, 2013, Dania-Szwecja, reż. Anna Odell
Niemożność rozliczenia się ze szkolnymi oprawcami z przeszłości potrafi być frustrująca. Gnębiona w czasach szkolnych przez resztę klasy Anna (Anna Odell) nie zostaje zaproszona na zjazd absolwentów. Jako uznana dokumentalistka i performerka, postanawia zrealizować film krótkometrażowy ilustrujący wydarzenia z jej strony, gdyby pojawiła się na zgromadzeniu. Nie poprzestaje na tym – ze swoim dziełem konfrontuje poszczególnych znajomych z dawnych lat. Jej punkt widzenia nie spotyka się ze zrozumieniem. Podczas seansu w pierwszej kolejności widzowi przedstawia się wyreżyserowaną wersję zjazdu absolwentów. Artystka odgrywa swoją rolę, w resztę postaci wcielają się aktorzy bowiem zaproszeni do projektu prawdziwi bohaterowie ze szkolnej ławy nie zgodzili się grać samych siebie. Samo przyjęcie rozpoczyna się w przewidywalny sposób, jednak gdy Anna zabiera głos, atmosfera zakłopotania udziela się wszystkim zebranym na sali gościom. Dziś jest silna, niezależna i zamożna. Otrzepała się z roli jaką jej narzucił klasowy system zależności. Z ofiary staje się katem i nie boi się krzyczeć. Poszczególnym osobom, imiennie i skrupulatnie wytykane są dawne nadużycia, zabawy kosztem mniejszości, prześladowania. Im więcej złych wspomnień wyrzuca z siebie reżyserka-aktorka, tym większe powoduje to oburzenie wśród klasowej braci, która po latach przyszła się dobrze bawić i tęgo popić przy klasowych wspominkach. Coraz czytelniejsze staje się także, iż relacje międzyludzkie w klasie stają się po części metodą ukazania mechanizmów kierujących społeczeństwem. Podział na liderów i podporządkowanych, zaradnych i nieudolnych, silnych fizycznie i słabych. Same okoliczności (zamknięte pomieszczenie, oskarżenia względem gości) chwilami przypominają kryminalne łamigłówki. Jednak w tym przypadku zamiast prowadzić śledztwo, bohaterka rozlicza się z dorosłymi ludźmi, którzy dawniej bawili się jej kosztem, traktując ją jak odmieńca, niszcząc psychicznie, a wręcz demonstrując względem niej pogardę i agresję. Skandynawska szkoła pozbawiona była wtedy metod zapobiegania takim sytuacjom, panowały wzorce dyscypliny, pokory i podporządkowania się zastałemu systemowi. Nauczyciele przymykali oko na szkolne zasady. Manifestując swoją krzywdę, reżyserka budzi w kolegach dawną antypatię, odnawiają się dawne toksyczne relacje. Sukcesywnie obnażają się oni ze swoich masek. Im większy jest (prowokacyjny wręcz) upór Anny, z tym agresywniejszą reakcją się spotyka. Spotkanie przerywają dawni liderzy klasy brutalnie wyrzucając Annę z sali przy oskarżeniach wszystkich zebranych o popsucie dobrej zabawy. Tak reżyserka Anna Odell wymyśliła swój powrót do bolesnych przeżyć sprzed lat, lecz by to skonfrontować z rzeczywistymi uczuciami realnych szkolnych kolegów i koleżanek potrzebna do tego będzie ich zgoda.
Cały drugi akt obrazu stanowi w założeniu proces wyszukiwania przez artystkę autentycznych kolegów oraz koleżanek z klasy i skonfrontowanie ich z nagraną etiudą. Zadanie do najłatwiejszych nie należy, ponieważ pomysł Anny nie spotyka się z uznaniem. Pozornie chętni rozmówcy ostatecznie gremialnie rezygnują ze spotkania, więc i drugą częścią filmu obsadzają również aktorzy. Widowni kinowej w tych scenach udzielić się może uczucie zażenowania (tak znajome, gdy ktoś nieudolnie wymawia się ze spotkania). Wszystkiemu towarzyszy kamera. Widoczne emocje na twarzach osób, którzy oglądają film Anny, niezręczna sytuacja, jaką prowokuje i reakcje gości stanowią ciekawe doświadczenie. Jest to spełniona fantazja każdego, kto kiedyś doznał krzywdy w czasach szkolnych i pragnącego wykrzyczeć swój ból. Nie jest to jednak odwet przekraczający wszelkie granice, przez co aranżowane wydarzenia sprawiają wrażenie wiarygodnych.
Techniczna strona całego projektu stoi na wysokim poziomie. Odell zadbała o profesjonalny wygląd swojej etiudy, odpowiedzialna za zdjęcia Ragna Jorming i montaż Kristin Grundström wykreowały film, który mógłby funkcjonować jako samodzielne dzieło. Aktorsko najlepsza jest także postać Anny, wiarygodnie przechodzi z jednego stanu emocjonalnego w drugi, intrygując widza. Reszta obsady etiudy to także zawodowi odtwórcy, warto wymienić choćby Andersa Berga i Sandrę Andreis (grający np. epizody w „Dziewczynie z tatuażem” Davida Finchera).
Sam projekt jest mimo wszystko ciekawy, choćby ze względu na osobę Anny Odell. Emocje, które udaje jej się wyreżyserować w swoim debiucie udzielają się odbiorcy, a świadomość przedstawienia przez artystkę jej szkolnej traumy budzi uznanie. Podjęcie się tego rodzaju publicznego rozliczenia – nawet jeśli nie do końca wiarygodnego – wymagać musiało odwagi i determinacji.

"Sugar Man", 2012, Szwecja-Wielka Brytania, reż. Malik Bendjelloul
Film „Sugar Man" został okrzyknięty najlepszym pełnometrażowym filmem dokumentalnym roku 2012 i w pełni zasługuje na ten laur. Mimo że historia dotyka świata komercyjnej muzyki

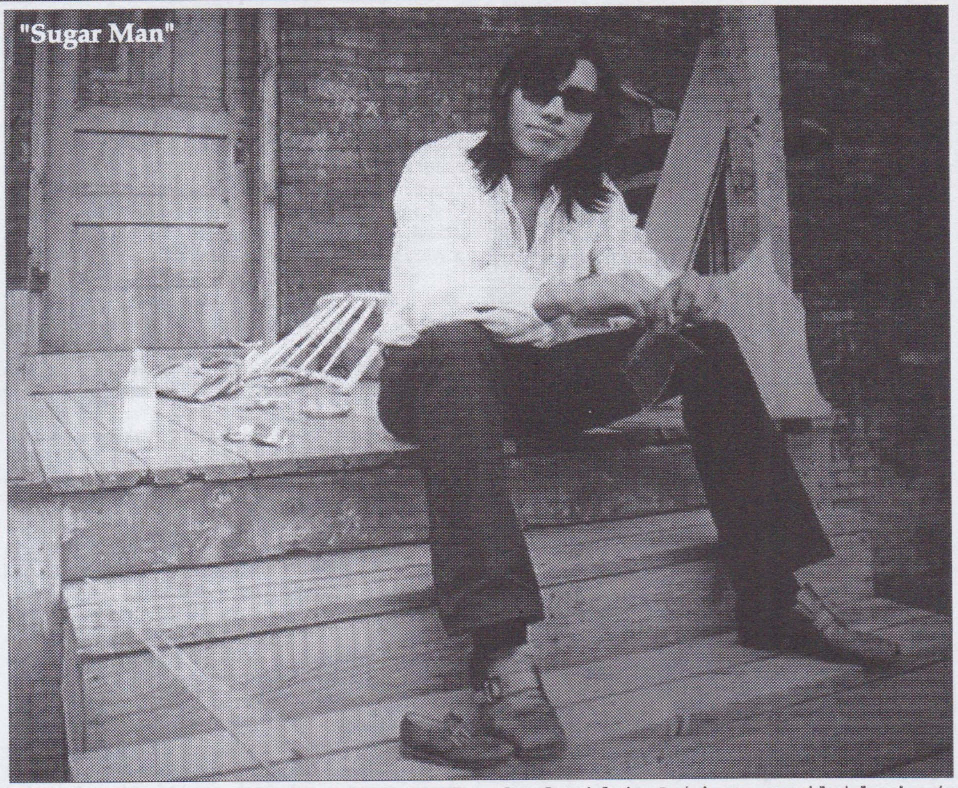
"Sugar Man"

i pełnoetatowego artysty, film jest w stanie totalnie zaskoczyć widza. Sixto Rodriguez swe kroki zaczynał w latach 60., na scenie w mieście, w którym mieszka do dziś - Detroit, miejscu bliższym robotnikom niż artystom. Jego początki muzyczne nie były usłane różami. Mimo dobrych radykalnych i antywojennych tekstów, które zbliżały jego twórczość do twórczości wieszcza Boba Dylana, piosenki Sixto zostały zapomniane. Sixto Rodriguez jest potomkiem meksykańskich imigrantów, który ciężko pracował nad swoją edukacją - jest absolwentem filozofii. Jednak jego muzyczna kariera, choć pełna nadziei, upada i nie dane jest mu zostać wielką gwiazdą. Co ciekawe, płyt z pierwszego tłoczenia w USA sprzedało się kilkadziesiąt sztuk, a sam autor nie ma oryginalnego egzemplarza! Jako imigrant Sixto musi przystosować się do amerykańskich realiów i najmuje się do bardzo niewdzięcznego zajęcia - remontowania i rozbiórki domów.

Druga część obrazu – pokazuje życie samej muzyki, protest-songów, które poprowadziły całe pokolenie do zniesienia Apartheidu. Muzyka jak flaga rebelii dawała nadzieję i radość z postępujących zmian, które z czasem zaczęły uderzać odizolowane państwo, w którym garstka białych ciemiężyła czarną społeczność. Taka była RPA. Dwójka fanów z Republiki Południowej Afryki po latach: właściciel sklepu z płytami i dziennikarz muzyczny, obaj zakochani w twórczości amerykańskiego muzyka – prawdziwej gwiazdy w RPA, nieznanego w Stanach Zjednoczonych. We dwóch postanawiają rozwikłać zagadkę jego twórczości i fenomenu. Wiedzą, że wieszcz wolności od dawna nie żyje. Słyszeli, że w Stanach był on niedoceniony i najprawdopodobniej popełnił samobójstwo – mówi się, że podpalił się lub zastrzelił na zakończenie nieudanego koncertu. Jego śmierć owiana jest tajemnicą, więc kluczem do poznania prawdy staje się strona internetowa, która ma ułatwić kontakt ze znającymi prawdę. W Republice Południowej Afryki sprzedano miliony pirackich płyt, a sam autor nie miał nawet pojęcia o tym, że jego utwory mają w sobie taką moc. Dwaj fani nie wiedzą o Rodriguezie nic, więc zaczynają wydzwaniać do wytwórni muzycznych - bez rezultatu, bo te nie mają z nim kontaktu. Analizują teksty piosenek Rodrigueza, by poszukać jakichś wskazówek geograficznych, miejsca gdzie żył bądź umarł. Niespodziewanie na apel odpowiedziała córka Sixto i stwierdziła, że jej ojciec żyje i wiedzie skromne życie z dala od muzyki i nie wie czy zechce się z nimi skontaktować. Do fanów z RPA dzwoni sam Sixto i opowiada swoją historię, bez żalu, że jego losy poprowadziły go właściwie na niziny społeczne. Życie płynęło dalej, Rodriguez przykładał się do tworzenia swojej muzyki („Nie wiem dlaczego nie wyszło. Napisałem tę muzykę najlepiej jak umiałem" – zapewnia) i żył w spokoju jak najlepiej umiał. Sam fakt kontaktu muzyka ze swoimi fanami nie kończy tematu, bo oczywiście zostało zasiane ziarno niepewności. Czy to na pewno on? Może ktoś się podszywa pod jego wielkość? Sixto zostaje oficjalnie zaproszony na cykl koncertów do kraju, którego zupełnie nie zna, a który bezgranicznie go kocha. Sześć wyprzedanych do ostatniego miejsca koncertów w wielkich halach sportowych robi wrażenie. Jego córka wyraziła nadzieję, że na koncercie zjawi się choćby kilkadziesiąt osób... Muzyk nie jest speszony, daje wywiady, w swej nowej roli czuje się jak ryba w wodzie, w końcu przecież na to zasługiwał. Naprędce skompletowano muzyków by Rodiguezowi mógł podczas występu akompaniować zespół. Gdy wszedł na próbę i od pierwszego taktu pociągnął utwór wszyscy wiedzieli, że to on. Koncert rozpoczął się od wyczekiwania na kogoś, kto nie istniał. Na scenie właściwie nie musiał grać. Nikt już tego nie oczekiwał – głos ich pokolenia zmartwychwstał. Po chwili muzyka zawładnęła tłumem. Rodriguez robi to, co do niego należy, wprawiając publikę w ekstazę i jakby nigdy nic wraca do Detroit, do swojej fizycznej pracy. Pieniądze z tantiemów rozdaje, bądź pożycza znajomym. Pomimo kolejnych koncertów – tym razem także w Stanach i Europie (zagrał również w Polsce) - Rodriguez wciąż żyje w tym samym rozsypującym się domu, co 40 lat temu, a sława, jaką ściągnął na niego film Malika Bendjelloul, wydaje się go peszyć i irytować. On po prostu gra dla swych słuchaczy. Czy artysta dziękuje za los szczęścia, który go uratował od zapomnienia? Czy muzyk dziękuje za pieniądze, które zaczął zarabiać? On krzyczy do mikrofonu: „Dzięki za utrzymanie mnie przy życiu".

„Zakochany Skorpion", 2013, Hiszpania, reż. Santiago Zannou

Dla nas, wolnościowców, temat skrajnej prawicy poruszany w filmach jest szczególnie interesujący. Większość filmów w wyżej wymienionym temacie, które oglądałem, rozmyte były miałką fabułą, wątkami nawrócenia i szczęśliwego happy endu. Na plus dla światowej kinematografii trzeba oddać, że filmy o nazi skinheadach powstają na całym świecie, co świadczy że ideologia narodowego socjalizmu jest nadal żywa, a co za tym idzie, groźna - co właśnie oglądamy na ekranach kin.

Tematykę skrajnej prawicy na tapetę wzięło również kino hiszpańskie. Ze średnim efektem, ale i tak wielki plus za chęci. W scenografii użyto autentycznych „uniformów" white power skinheads, wraz z t-shirtami na których widnieją krzyże celtyckie, czy zespoły sceny NS. "Zakochany Skorpion" jest adaptacją bestsellerowej powieści Carlosa Bardema, brata znanego hiszpańskiego aktora. Javier Bardem zagrał zresztą w filmie rolę fanatycznego neonazisty, a sam autor powieści wcielił się w rolę byłego zawodowego boksera zmagającego się z chorobą alkoholową i depresją, który zaprzyjaźnia się z młodym neonazistą Julianem. Reżyserem adaptacji został Santiago Zannou, który zadebiutował doskonale przyjętym przez krytykę (trzy nagrody Goya) i hiszpańską publiczność dramatem "The One-handed Trick".

Julián (Álex González) wraz z najlepszym przyjacielem Luisem (Miguel Ángel Silvestre) udzielają się aktywnie w grupie agresywnych neonazistów, przewodzonych przez fanatycznego Solisa (Javier Bardem). Po odsiadce w więzieniu, Julian zaczyna treningi boksu w półamatorskim klubie. Neonaziści poprawiają tam swoją tężyznę przed kolejnymi napadami na emigrantów. Są jednak niemile widzianymi gośćmi, bowiem treningi przeznaczone są dla wszystkich, szczególnie że jednym ze zdolniejszych zawodników jest czarnoskóry. Grupa chuliganów uczęszcza na mitingi organizowane przez prawnika Solisa mającego ambicje wodza i będącego politycznym mentorem dla okolicznych mieszkańców. Okolica, w której mieszka Julián, pełna jest emigrantów, a co za tym idzie przestępczości i ubóstwa. Młodzi, zafascynowani ideologią, siły chcą przemocą pozbyć się problemu. Lokalni przedsiębiorcy wspierają funduszami organizację Solisa, który „wynajmuje" im gang neonazistów. Julián, mimo że jest Hiszpanem, pochodzi z

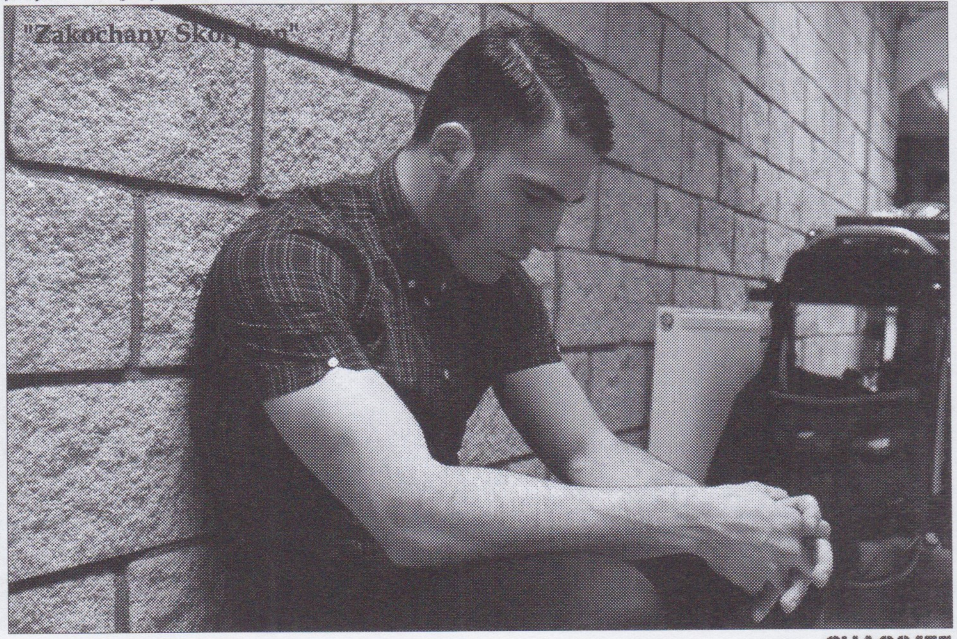
"Zakochany Skorpion"

lumpenproletariatu, pracuje jako magazynier w hurtowni, mieszka z rodzicami alkoholikami. Związując się z zamożniejszymi od siebie neonazistami staje się mimochodem obiektem żartów. Trenując boks, Julián chce oderwać się od mrocznej rzeczywistości, a przy tym sam widzi, że ma talent. Jego sparing-partnerem jest znacznie silniejszy kolorowy pięściarz, a pracownicą trenera Carlomonte - czarnoskóra emigrantka, która zdążyła poznać świat prostytucji, a obecnie sprząta domy w Hiszpanii. Dziewczyna wpada mu w oko. Miłość ta stoi w konflikcie z ideologią, którą wyznaje i tatuażami, które nosi na skórze. Nienawiść ogranicza jego bokserskie umiejętności i tylko wyjście z matni neonazimu może otworzyć mu drogę do kariery zawodowego pięściarza. Związana ze sportem dyscyplina i osobowość trenera zmieniają go, ale dopiero osoba Allyse wyprowadza Juliána na drogę autentycznego współzawodnictwa. Gang neonazistów próbuje się odegrać napadając na czarnoskórego pięściarza i Allyse, ale przemiany nic nie jest w stanie już zmienić. Julián zakrywa nazistowskie tatuaże i zaczyna osiągać sukcesy skupiając się na walce, nie na ograniczających go uprzedzeniach.

Hiszpania dnia dzisiejszego zmaga się ze skutkami kryzysu wywołanego przez globalną finansjerę. Ubożejące społeczeństwo szuka usilnie winnych. Winni zazwyczaj są zawsze słabsi - emigranci, niepełnosprawni, outsiderzy. Epitety „czarnuchu”, którymi rzucają neonaziści do ciężko pracujących za najgorsze stawki emigrantów, często tyczą się ich samych -równie poszkodowanych przez kapitalistów. Skrajna prawica, uliczni wojownicy w ciężkich butach są tylko marionetkami w rękach cwanych polityków, którzy na ich kryminalnych czynach zbijają polityczny i ekonomiczny kapitał. To kwadratura koła związana z nizinami społecznymi...

„Uśpiony głos”, 2011, Hiszpania, reż. Benito Zambrano

„Historia została napisana przez zwycięzców. Przegrani nigdy nie mieli szansy opowiedzieć swojej. Ale milczeli zbyt długo”.

Temat wojny domowej 1936 roku jest dla Hiszpanów do dziś tematem tabu i wielką traumą. Hiszpania wybuchła na fali wolnościowego entuzjazmu i oddolnej demokracji. To właśnie w Hiszpanii powstały oddolne kooperatywy, a kraj, po dyktacie kapitału i wszechmocnej władzy kleru, przeszedł na samowystarczalność. Faszystowsko-kapitalistyczny reżim nie dał za wygraną i brat stanął oko w oko z bratem. Ginęli ludzie, hiszpańskie kobiety zostawały same nosząc na swych barkach śmiertelnie zranioną miłość. Lata autocenzury, obozy koncentracyjne i anonimowe groby domagają się swych obrońców, którzy opowiedzą prawdę. Hiszpania nie pogodziła się z własną przeszłością. Wciąż nie zostały osądzone zbrodnie popełniane przez cztery dekady dyktatury generała Franco. Od wybuchu wojny domowej w 1936 roku faszystowska Falanga masowo pozbywała się politycznych

„Dwa dni, jedna noc”

przeciwników. Torturami próbowano złamać setki tysięcy więźniów podejrzewanych o sympatie republikańskie. Z dwóch i pół tysiąca masowych grobów pomordowanych, do dziś otwarto zaledwie jedną dziesiątą. Niestety, wśród zamożnej klasy średniej kwitnie przemysł gloryfikujący generała Franco, napędzany prawdopodobnie przez strach i poczucie winy. Dyktatora chwali się za niezłomność, katolicyzm i rządy twardej ręki, które zdławiły demokratyczną opozycję, a opornych pozbawiły życia. „Dla wielu ta wojna jeszcze się nie skończyła”. Sąsiedzi wciąż patrzą krzywo na siebie z powodu tego, co oni lub ich rodzice zrobili w czasie wojny. Większość Hiszpanów przeżyła jakiś horror. Niszczono ich rodziny od trzech pokoleń, a ujawniono to dopiero niedawno, bo dziadkowie odważyli się przerwać milczenie.

Włączając ten film przenosimy się w bardzo subtelny, delikatny a zarazem smutny świat. Świat napełniony mrokiem, strachem i bezsilnością, a zarazem emanujący pięknem kobiet i ich subtelnością. Te bohaterki, choć nie walczą, są mordowane na równi z bojownikami podziemia. Opór społeczny wypalany jest siłą. Madryt, rok 1940. Wśród represjonowanych jest Hortensia (Inma Cuesta), skazana na śmierć żona jednego z przywódców antyfrankistowskiego podziemia. Kobieta jest w ciąży, wyrok nie zostanie wykonany, dopóki nie urodzi. Wyrok zapada z ręki wojskowego prokuratora, który nawet nie zapoznaje się z aktami sprawy. Za lewicowe poglądy - udowodnione bądź nie - reżim karze śmiercią. Do Madrytu przyjeżdża jej siostra Hortensii, Pepita (María León). Chcąc nie chcąc dziewczyna staje się pomostem między aresztowanymi kobietami, które są w więzieniu, a walczącymi bojownikami. W pomoc wplątują też frankistowskiego urzędnika, który miał lewicową przeszłość. Kobieta stopniowo zaczyna coraz bardziej angażować się w sprawę,

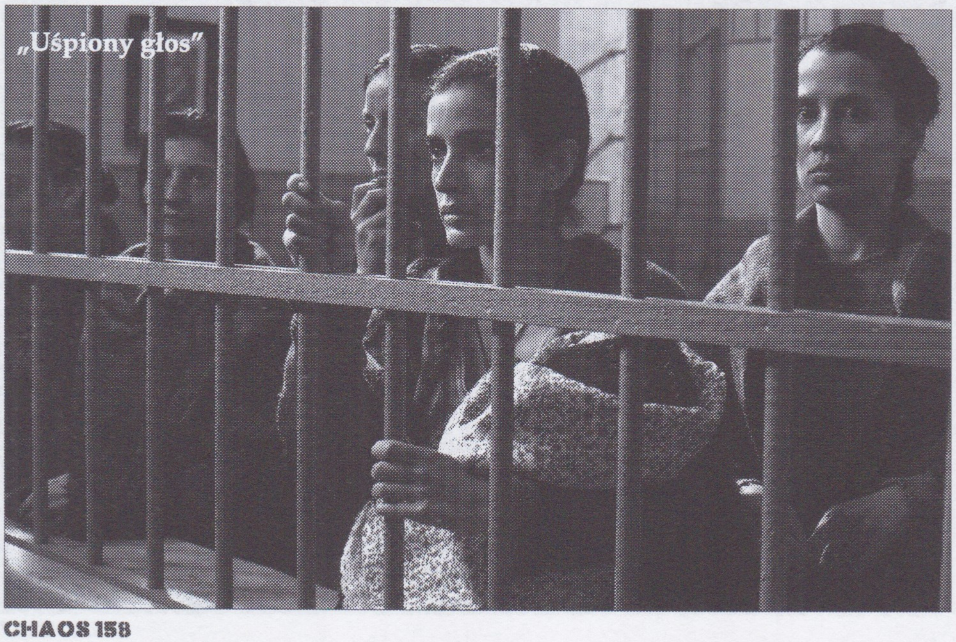
„Uśpiony głos”

za którą na śmierć skazano jej ukochaną siostrę. Godność jest jedyną bronią żon, narzeczonych, sióstr i matek republikańskich partyzantów. Ostatni, którzy nie złożyli broni, są tylko krzykiem rozpaczy przed nowym straszliwym światem i nadchodzącą katastrofą więziennych kazamatów, czy pospieszną emigracją polityczną. „La Voz dormida” to opowieść, która poruszyła sumienie Hiszpanii. Historia hiszpańskich róż, których nie potrafił złamać generał Franco – wstrząsająca opowieść o niezłomnej wierze i miłości.

„Dwa dni, jedna noc”, 2014, Belgia/Francja/ Włochy, reż. Jean-Pierre Dardenne, Luc Dardenne

Sandrę (Marion Cotillard) wybudza ze snu dźwięk telefonu. Widzimy ją gdy kolejne minuty przynoszą nadchodzącą burzę. To nie śmierć najbliższego, a wiadomość z zakładu pracy. Szef zamierza ją zwolnić, bo była na długim zwolnieniu chorobowym z powodu załamania nerwowego. Kłopoty finansowe w jej fabryce mają przykre efekty uboczne: rynek chiński jest konkurencją, więc pracownicy pracują teraz trzy godziny w tygodniu więcej i dzięki temu, że dziewczyna zostanie zwolniona, dostaną bonus w postaci tysiąca euro co miesiąc. W pierwszym głosowaniu, ukartowanym – jak przypuszcza bohaterka – przez szefa i służalczego brygadzistę, koledzy wybrali dodatkowe pieniądze. Drugie, tym razem tajne, dzięki pomocy jej serdecznej przyjaciółki, ma odbyć się po weekendzie. Dwa dni i jedną noc. Namawiana przez męża Sandra decyduje się na rozmowę z ludźmi, od których zależy jej los i poproszenie współpracowników by, mimo finansowego szantażu, dali jej szansę na pracę i wyjście z choroby, bowiem depresja znacznie obniżyła jej poczucie wartości. Odwiedza kolejnych pracowników i przekonuje ich, by uratowali jej posadę kosztem swoich premii. Przekrój belgijskiej klasy robotniczej jest spory: niektórzy potrzebują tysiąca euro na związanie końca z końcem i bieżące wydatki, inni na szkołę dla dzieci czy dobra luksusowe, kolejni – na wyłożenie brukiem podjazdu do garażu, czy kupno mebli. Nie brakuje takich, którzy nie czekają na łzy i po prostu oddają jej swój głos. Zdarzają się też sytuacje skrajne, kiedy pracujący w tej samej firmie syn bije ojca lub gdy żona odchodzi od męża despoty. Ludzie zmieniają fronty, kalkulują, próbują zdefiniować swoje miejsce w służbowej strukturze. Czarnoskóry chłopak deklaruje, że wiara nakazuje mu sprawiedliwość, ale ma umowę czasową i boi się. Dwubiegunowa presja, pod którą się znajdują, szybko przekształca się w rodzaj niewygodnej gry. Kobieta jest już u skraju swoich sił i w pewnym momencie chce pożegnać się z życiem. Jej mąż jednak ciągnie ją w tę „drogę krzyżową” nie po to by sięgnęła dna, ale wręcz przeciwnie, by zobaczyła że jej osoba coś znaczy, a mimo werdyktu będzie miała siłę na dalsze życie. Ich małżeństwo również potrzebuje pieniędzy, bo ledwie wyszli z mieszkania socjalnego i wzięli kredyt na mieszkanie, a dotknęła ich choroba i teraz utrata pracy. Pytanie: „a co ty, widzu, zrobiłbyś w takiej sytuacji?” nie jest dla nich najważniejsze. Chodzi o zwykłą deklarację. Nadchodzi feralny poniedziałek i głosowanie. Głosy rozłożyły się po równo a doliczając brygadzistę kobieta przegrała. Szef widząc ten rozłam postanawia dać Sandrze ultimatum. Wróci do zespołu, ale wtedy, gdy za kilka miesięcy część pracowników zatrudnionych tymczasowo nie dostanie umowy na stałe. Czarnoskóry chłopak, który wzniósł się ponad strach i oddał jej swą uczciwość, jest właśnie w takiej sytuacji. Sandra mimo przegranej odzyskała człowieczeństwo i siłę i odchodzi z firmy nie wchodząc w gierki szefa, który być może za chwilę zwolni dla kaprysu cały personel. Film jest zbyt niepoprawny polityczno-ekonomicznie, by zyskać uznanie w oczach ogłupiałych Amerykanów. I zbyt mocno wołający o empatię, solidarność i wspólnotę, by właściwie rozumieli alegorię (po 25 latach neoliberalnego prania mózgów, formowania egoistyczno-indywidualistycznej mentalności narodu) krytycy i widzowie w Polsce. Tylko dla ludzi z zasadami, nie bojących się mieć ludzkich odruchów, takich jak śmiech czy łzy.

„Biesłan. Pęknięte Miasto” - Zbigniew Pawlak, Jerzy A. Wlazło, Wydawnictwo Znak.

Sala gimnastyczna stanęła w płomieniach. Plastikowe panele na suficie zamieniły się we wrzącą lawę zalewającą miotających się po parkiecie ludzi. Płonęły ich włosy, resztki ubrań. Czarny dym z wolna wypełniał pomieszczenie. Otumaniona młoda dziewczyna wpatrywała się w swoje bezwładne nogi. Nie wstała. Jakiś

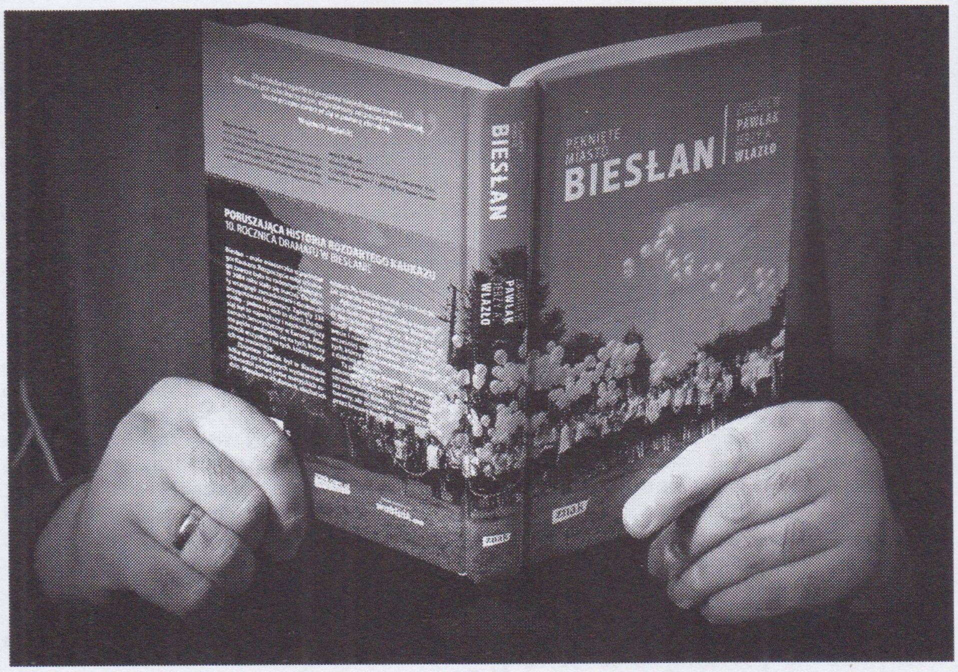

chłopiec wyczołgał się spod martwej kobiety. Chwiejnie stanął na środku, a z jego ramienia wystawały dwa olbrzymie stalowe pręty. Niepewnie ruszył do przodu, prosto w stronę okna.
Pięcioletnia dziewczynka biegła przed siebie z wyciągniętymi rączkami. Jej dłonie płonęły oblepione plastikiem z paneli. Coś krzyczała, ale krzyku nikt nie mógł usłyszeć. Gdzieś w pobliżu eksplodował kolejny pocisk. Tego, że wojsko zacznie strzelać z czołgów do szkoły pełnej uczniów, nie spodziewał się nikt.
To jedna, i nie jedyna, z dramatycznych relacji, którą można znaleźć w książce Zbigniewa Pawlaka i Jerzego A. Wlazło. Autorzy oddali głos dzieciom, ich rodzicom, sąsiadom oraz przyjaciołom. A także zakładnikom, którzy zostali uwięzieni w Szkole nr 1 przez komando czeczeńskich wojowników, wysłanych przez Szamila Basajewa. Terroryści wykorzystali fakt, że w szkole rozpoczęła się inaguracja roku szkolnego. Z diabelską premedytacją na cel ataku wybrali miejsce będące w kulturze narodów Kaukazu miejscem świętym, wprost nietykalnym. Biorąc za zakładników głównie dzieci, które są dobrem powszechnym, niezwykle hołubionym...
Książka odsłania poszczególne strony tego dramatu. Piekła, które w dniach 1-3 września 2004 roku zstąpiło do Biesłana i pochłonęło ostatecznie życie 334 zakładników, w tym 154 dzieci.
Zbyszek Pawlak (wywiad z nim znajdziecie w zinie), jest jak nikt inny uprawniony do opisania tamtych wydarzeń. Przez lata mieszkał w krajach Azji Środkowej. Podróżnik, podążający Jedwabnym Szlakiem i znający ten region, kulturę oraz mentalność jego mieszkańców doskonale, odważył się pojechać do Biesłanu 40 dni po zamachu. Rozmawiał z tymi, którzy chcieli rozmawiać. Rezultatem zapamiętanych i spisanych opowieści jest właśnie ta publikacja.
Książka jest tak naprawdę obszernym reportażem. Reportażem pełnym bólu, cierpienia, strachu, przerażenia i niemocy. To opowieść nie tylko o walce z terrorystami o uwolnienie zakładników; walce przegranej tak naprawdę przez wszystkich: terrorystów, zakładników, żołnierzy Specnazu. To opowieść o mieście, w którym po 3 września 2004 roku zaczęły żyć dwie kategorie mieszkańców. Tych, którzy byli w szkole i przeżyli zamach, oraz tych, którzy kogoś w niej stracili. Biesłan to pęknięte miasto, gdzie część mieszkańców szuka sprawiedliwości, zrozumienia oraz ukojenia, a ci drudzy, starający się żyć w miarę normalnie, niedoświadczający bólu swoich sąsiadów, żyją jakby z piętnem szczęściarzy, których nie dotknęła tragedia. Książka ta, też według samego Zbyszka Pawlaka, jest rozprawą moralną. Dużym znakiem zapytania: do jakiego stopnia i czy w ogóle jest możliwe kontrolowanie zła i zarządzaniem nim? Co powoduje, że terroryści (w komandzie terrorystów były też kobiety-szachidki),

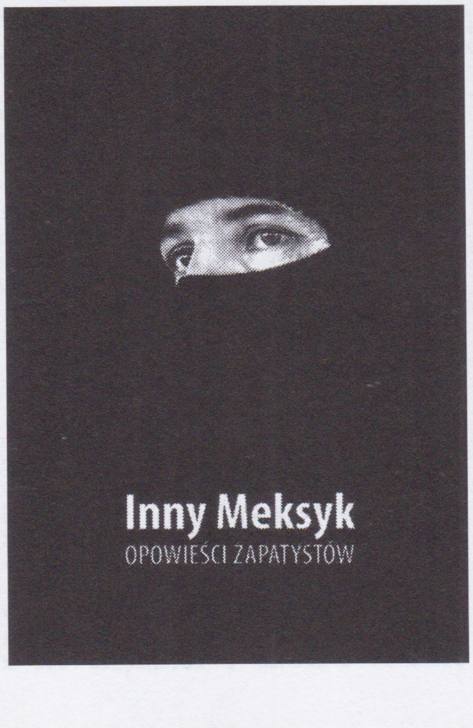

którzy sami stracili rodziny, często dzieci, będąc ofiarami przeistaczają się w bezlitosne psy wojny, atakując i mordując najsłabszych i bezbronnych, czyli dzieci?
Szczerze polecam „Pęknięte Miasto. Biesłan”. Choć obawiam się, że w przypadku tej książki, powiedzieć „życzę miłej lektury” będzie jednak nietaktem...
Gruha
P.S. Przez 10 lat rodziny ofiar zamachu bezskutecznie szukały sprawiedliwości w sądach Federacji Rosyjskiej. Domagały się wyjaśnienia wszystkich okoliczności biesłańskiej tragedii, w tym skazania odpowiedzialnych za przeprowadzenie tak niefortunnej akcji odbicia zakładników przez rosyjskie siły bezpieczeństwa. W październiku 2014 roku Trybunał Praw Człowieka rozpoczął rozpatrywanie skargi złożonej przez biesłańskie rodziny na rosyjski rząd (w ciągu 10 lat uznano winnym tej maskary jedynego ujętego terrorystę). Ich przedstawicielem przed Trybunałem została rosyjska organizacja pozarządowa Memoriał.

Gruha

„Inny Meksyk. Opowieści Zapatystów.” - Barbara Prądzyńska. Wydawnictwo Bractwo „Trojka”, Poznań 2014

Sam fakt ukazania się wreszcie, 20 lat (!) po powstaniu w Chiapas, książki o Zapatystach w języku polskim, należy odnotować i zapisać na ogromny plus. Nie jest to reportaż ani książka historyczna, a zbiór bardzo różnych tekstów dotyczących problemu. W publikacji znajdujemy fragmenty deklaracji i komunikatów Zapatystowskiej Armii Wyzwolenia Narodowego (EZLN) oraz opowiadania i teksty filozoficzne nieistniejącej już postaci Marcosa – dowódcy wojskowego i rzecznika ruchu zapatystowskiego. Jest też fragment wywiadu, jakiego tenże Marcos udzielił w 2008 roku, a na koniec dostajemy cztery teksty różnych autorów, którzy snują swobodne rozważania nad ideami zapatystowskimi.
Niestety, dobór tekstów sprawia wrażenie chaotycznego i – choć niektóre z nich są naprawdę ciekawe – nie pomaga fakt, że często są to właśnie fragmenty większej całości. Choć książka zawiera wyjaśnienia w postaci słownika pojęć, czy rysu historycznego, to nie jest to pozycja przystępna dla czytelników, którzy do tej pory o Zapatystach wiedzieli mało albo nic. Niewiele tu znajdziemy informacji o przyczynach i historii utworzenia EZLN, czy o przebiegu powstania i walki zbrojnej, a w późniejszym okresie pokojowej, Zapatystów. Nie ma tu też informacji o obecnej sytuacji w meksykańskim stanie Chiapas, czy o problemach z jakimi zmagają się zbuntowane majańskie społeczności. A szkoda, bo uważam, że na takie rzeczy również, a może nawet przede wszystkim, powinno znaleźć się miejsce w pierwszej polskiej książce o Zapatystach.
Nie ma co zaczynać od „Innego Meksyku” zdobywania wiedzy o EZLN. Tytuł ten można raczej potraktować jako zbiór kilku źródeł i paru ciekawych informacji, które mogą uzupełnić jakieś luki w wiedzy już posiadanej, i jako taki książka może się sprawdzić. A polskiemu czytelnikowi dopiero zainteresowanemu tematem, pozostaje poszukiwanie publikacji obcojęzycznych, których jest naprawdę bardzo dużo.

Endi

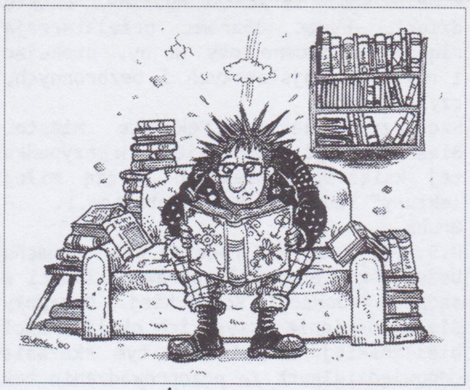

„A-Tak. Uliczna gazeta anarchistów", Nr 1, IX 2015, A-3, 16 stron

Bardzo się ucieszyłem, gdy na jednym z koncertów wpadł mi w ręce pierwszy numer pisma o znajomym tytule „A-Tak". Nie jest to bezpośrednia kontynuacja ukazującego się kiedyś zina (co ciekawe był on nawet dostępny w mojej szkolnej bibliotece), a raczej kolejna, trzecia już, odsłona anarchistycznego periodyku o takim tytule. Jak zaznaczono na pierwszej stronie, jest to „uliczna gazeta anarchistów". I rzeczywiście – jest to gazeta, co bardzo mnie raduje. Brakowało takiego formatu w prasie mniej oficjalnej i czuję, że „A-Tak" udanie wypełnia tę lukę. Poza tym papier gazetowy jakoś tak dobrze leży w rękach i przyjemnie się z niego czyta. Do tego gazetę można fajnie rozłożyć, złożyć na pół, na ćwierć, jak kto woli. A po zwinięciu w rulon łatwo transportować w tylnej kieszeni spodni albo za pazuchą. Przypomniała mi się przy okazji podobna gazeta, którą na początku lat dwutysięcznych można nawet było kupić w kiosku. Chodzi mi o „Tajms", w którym czytałem m.in. wstrząsające relacje z protestów w Genui (pamięta ktoś jeszcze tę gazetę?). Później już chyba nic takiego nie było.

Współczesny „A-Tak" to 16 stron, na których znajdziemy wiele ciekawych tekstów. W niektórych poruszane są aktualne problemy - mamy więc artykuł o uchodźcach, czy o „antysystemowcach" pokroju Kukiza. Inne dotyczą kwestii związanych z działalnością ruchów anarchistycznych – Food Not Bombs, inicjatywy Wojna Wojnie i postaw antymilitarystycznych. Jest duży artykuł o Jeanie Vigo, filmowcu-anarchiście. Sekcja zagraniczna to tekst o Grecji i ciekawy artykuł o operacji czeskich służb specjalnych wymierzonej w ruch anarchistyczny. Mamy też fragment książki białoruskiego anarchisty Igora Oliniewicza „Jadę do Magadanu" i ciekawą analizę, autorstwa Aleksandra Łaniewskiego, dotyczącą sytuacji na Białorusi przed kolejnymi wyborami prezydenckimi. Takich tekstów brakuje nawet w tak zwanej „poważnej prasie".

Żeby nie było tak wesoło, to są też słabsze momenty. Nie udało się uniknąć tekstów zawierających prawdy objawione i mających zacięcie moralizatorsko-kaznodziejskie. Takie fragmenty są w kilku tekstach, ale przede wszystkim chodzi mi o artykuł traktujący o tzw. ruchach miejskich. Sam nie jestem ich apologetą, ale autorka, Kasia, krytykuje je w czambuł i widzi same ciemne strony ich działalności. Wynika z tego, że anarchiści powinni mieć monopol na aktywizm. Ja się z tym nie mogę zgodzić. Całość jednak jak najbardziej na plus i już czekam na kolejny numer, w którym chciałbym przeczytać np. coś o likwidacji skłotu Od:Zysk. Warto zapoznać się z pismem, zwłaszcza, że jego cena (darmo!) jest wyjątkowo przystępna.

Endi

To już trzeci anarchistyczny „A-tak" jaki czytam w swoim życiu. Pierwszy, ukazywał się laaata temu, w Koszalinie. Był niewielki, wyszło go dwa numery w 1989 roku i sygnowała go Międzymiastówka Anarchistyczna Koszalin. Drugi „A-tak" to już grubsza historia. Wychodził w latach 1999-2004, powstał z inicjatywy kilku osób z kraju i skupiał się na anarchizmie społecznym, z naciskiem na anarchosyndykalizm... Jednym ze współtwórców tamtego „A-taku" był Rafał Górski, nieżyjący już niestety działacz anarchistyczny z Krakowa. Nowy „A-TAK" to darmowa gazeta uliczna wydana przez ogólnopolski kolektyw, choć powstała i zainspirowana przez poznańskie środowisko anarchistyczne. Pismo powstało z zamiarem dotarcia z ideami i działaniami anarchistycznymi do zwykłych, przeciętnych obywateli, którzy wyciągną owe pismo ze swej skrzynki pocztowej, wezmą od kogoś na ulicy czy znajdą w jakimś urzędzie. Muszę z przykrością przyznać, iż trochę to nie wyszło. Jak na pismo dla laików, przeciętnych Kowalskich, ludu prostego... to za dużo tu literek, a w dodatku takich małych. Za dużo tekstu, za mało rzeczy rzucających się prosto w oczy. Żartów rysunkowych odnoszących się do sytuacji społeczno-politycznej, nawet krótkich komiksów. Wszystko trochę też za poważnie, brak szydery, anty-politycznego czarnego humoru, prowokacji... Takie pismo - rozdawane na ulicy - powinno jednak prowokować, kłuć w oczy, wkurzać nawet! Tu, tego zabrakło... Na szczęście, ludzie odpowiedzialni za „A-TAK", zdają sobie z tego sprawę i miejmy nadzieję, iż w przyszłości doczekamy się bardziej luźnego, ale za to walącego po ryju anarchistycznego ataku. Bo jak na razie, mamy dość dobre pismo dla ludzi związanych z ruchami wolnościowymi, podane w przystępny i poprawny sposób z zawartością podobną do wielu podobnych pism na świecie: Solidarni z imigrantami, Frontex, „antysystemowa" prawica, militaryzm i antymilitaryzm, ruchy miejskie, kryzys w Grecji, sytuacja na Białorusi, represje w Czechach, akcje w Polsce itp.

(Krawat)

"Człowiek kontra napalm" Nr 1, A-5, 76 stron

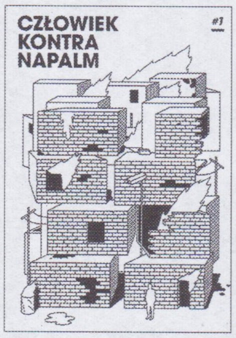

Ciekawa pozycja w na-szym zinowym światku. Bardziej książeczka, zbiór felietonów niż zine z prawdziwe-go zdarzenia. Au-torem wszystkich tekstów jest Igor Gru-dziński, wokalista wrocławskiego zespołu WE ARE IDOLS. Muszę dodać, że jeden z jego felietonów publikowaliśmy na łamach „Chaosu" w numerze 9. Wszystkie teksty w tej książeczce pochodzą z bloga o tej samej nazwie, prowadzonego właśnie przez Igora.

O czym pisze? W sumie o wszystkim. Głównie są to jego przemyślenia na tematy związane z muzyką hc/punk. Opisuje swoje pierwsze wrażenia z zetknięcia się z hardcorem, czym różni się on od punk rocka, o sile i ekspansji tej muzyki, mentalności ludzi i sile jego rażenia na otaczający nas świat. Wspomina BLACK FLAG, GG ALLINA, a nawet Jacksona C. Franka, folkowego artystę i jego smutną historię. Przez jego felietony przewijają się również takie nazwiska jak Darby Crash, David Rubinstein, Johnny Cash czy Stigma. Pojawiają się też krótkie notki o nieszablonowych postaciach – Satan Panonski, Mr. Butch, Sakevi z G.I.S.M. Igor śmiga również palcem po mapie zahaczając o Nowy Jork i Los Angeles, wszystko oczywiście w kontekście hardcore/punka.

Bardzo dobrze się to czyta. Ciekawe przemyślenia, czasami bardzo naiwne, a czasami bardzo głębokie i inspirujące. Widać, że autor jest zafascynowany Ameryką, bo większość tekstów kręci się wokół amerykańskiej rzeczywistości – przedmieścia wielkich miast, punkowe i hardcore'owe zespoły, bomba atomowa, miasta... Z niektórymi rzeczami, które przedstawia Igor zupełnie się nie zgadzam, ale to chyba dobrze, bo co człowiek to inna wizja. Nudne było by to życie, gdyby wszyscy myśleli tak samo. Bardzo fajne czytadło, urozmaicone zdjęciami, które polecam każdemu fanowi amerykańskiego hardcore'a, ale również wszystkim, którzy lubią poczytać coś inspirującego. Nawet, jeśli to wszystko znają z własnego doświadczenie... Polecam!

Pablo

"Don't Forget the Struggle" Nr 2, maj 2015, A-4, 42 strony

Poprzedni numer te-go zina wyszedł w języku angielskim i w formacie A-5, najnowszy natomiast jest już napisany po polsku i w wię-kszym formacie. No i chyba mogę śmiało powiedzieć, że jest to jakaś kontynuacja zina „83 Ściana Wschodnia", jednak od razu dorzucę, że w mojej opinii, „Don't forget..." bije na głowę ostatnie numery „Ściany...", zarówno pod względem zawartości, jak i składu.

No to może zacznę od wywiadów. Najdłuższym wywiadem jest rozmowa z SUPER GIRL AND ROMANTIC BOYS – trochę opowiadają o historii zespołu i sprawach z przeszłości, ale sporo tu też informacji o ostatnich poczynaniach warszawiaków. No fajny ten wywiad. Na drugie danie mamy rozmowę z londyńskim zespołem w skład, którego wchodzą emigranci z zespołów NON PROFIT, BIAŁA GORĄCZKA czy OFIARY AGRAFKI, a zespół zwie się PRO PUBLICO BONO. Opowiadają o Londynie, o koncertach, o innych emigrantach. Poza tymi dwoma zespołami pojawia się jeszcze EARTHBOUND, nowy zespół hc/metalowy z Krakowa/Zakopanego. To jeszcze nie koniec wywiadów, bo jest jeszcze obszerna rozmowa z aktywistami Dywizjonu 161. To grupa polskich antyfaszystów mieszkających w Wielkiej Brytanii. Opowiadają o obecnej sytuacji w UK, o sporym i aktywnym gronie polskich nacjonalistów/faszystów na „wygnaniu", jak i o wielu interesujących akcjach zorganizowanych przez Dywizjon 161. A na koniec mamy sympatyczną rozmowę z ekipą wegańskiego lokalu Umeå,

otwartego w Lublinie. Zaraz na początku zina znajduje się fajny artykuł o antyfaszystowskich kibicach drużyny Rayo Vallekano, Bukaneros. Jest też smutny foto-raport z ewikcji amsterdamskich skłotów. No cóż, kończy się pewna era i chyba nie da się tego uniknąć, ale wciąż trzeba próbować walczyć i organizować się! Możemy przeczytać raport z Polski B, czyli co się dzieje na punkowej scenie na Podkarpaciu. Jest też relacja z koncertu z okazji XX-lecia zespołu PRZECIW. Świetnie się czyta, napisaną z humorem, relację z krótkiej trasy po Węgrzech, Włoszech, Austrii i Czechach, zespołu DZIECI Z BECZEK. Na kolejnych stronach ciekawa relacja z podróży po Serbii i Macedonii, a następnie opis podróży koleją do Pragi przez Niemcy. A na koniec jeszcze relacje z gigów i wegetariańskie przepisy.
Ciekawy numer, jest co poczytać, złożony jest też w miarę przejrzyście i mam nadzieję, że następny numer tej gazety będzie równie dobry, a nawet, jeszcze lepszy!

Pablo

„Feniks nie powstał z popiołów. 7 mitów o operacji policyjnej Fenix lub Dlaczego tak ważne jest wsparcie oskarżonych i rozpowszechnianie informacji o tej sprawie". A-5, 28 stron

Broszurka, wydana w Poznaniu, stworzona została przez osoby zaangażowane w pomoc czeskim anarchistom, zatrzymanym w czasie policyjnej akcji Fenix. Wszystko zaczęło się od kilku akcji bezpośrednich i ataków sygnalizowanych przez Sieć Rewolucyjnych Komórek. Czeskim glinom zamarzyła się wielka operacja antyterrorystyczna i pod przewrotną nazwą Fenix, pod koniec kwietnia 2015 r., przeprowadzili działania skierowane przeciwko czeskiemu ruchowi anarchistycznemu. A dlaczego „przewrotną"? Otóż, Operacja Fenix, to międzynarodowe akcje wymierzone w kapitalizm i systemy więzienne przeprowadzane na całym świecie przez komórki anarchistyczne i nihilistyczne zainspirowane działaniami greckich Konspiracyjnych Komórek Ognia oraz Nieformalną Federację Anarchistyczną. Czescy gliniarze chyba chcieli zagrać anarchistom na nosie, nazywając tak właśnie swą akcję. Ale mniejsza z tym... W czasie operacji policyjnej zatrzymano i przesłuchano kilka osób, ludzi nachodzono w domach i pracy, przeszukano kilka miejsc związanych z ruchem autonomicznym i anarchistycznym, rekwirowano sprzęt komputerowy i nośniki danych. Do końca nie wiadomo, jak szeroki zasięg miała ta operacja, jak wiele osób było i jest nadal obserwowanych itp. Z 11 zatrzymanych osób, 3 trafiły do aresztu z zarzutami „planowania ataku terrorystycznego" oraz posiadanie nielegalnej broni. Jedna z zatrzymanych osób została później zwolniona, ale w dwa miesiące po rozpoczęciu operacji, aresztowano Rosjanina, któremu zarzucono rzekomy atak na dom ministra obrony Czech. I te osoby nadal przebywają w czeskich kazamatach i potrzebują naszej pomocy i solidarności! Całej operacji towarzyszyła medialna nagonka na cały ruch anarchistyczny, mimo iż nie zapadły ŻADNE wyroki ani niczego nikomu nie udowodniono.
Niniejsza broszura to opis całej policyjnej awantury oraz obalenie siedmiu mitów, jakie powstały wokół sprawy i były lansowane przez prasę - wrogo nastawioną wobec ruchu anarchistycznego i szukającą taniej sensacji. Dodatkowo, w broszurze zamieszczono fragmenty eseju pt. „Łowcy dzieci i nagród", opracowanego przez amerykański anarchistyczny kolektyw CrimethInc, dotyczący nowych strategii FBI względem ruchów anarchistycznych i radykalnie ekologicznych jak i obrony praw zwierząt. Zarówno tekst samej broszury, jak i dodatkowy esej, warto przeczytać ku przestrodze. Warto wiedzieć, by nie znaleźć się w podobnej sytuacji, by nie musieć przeżywać tego, co dotknęło dziś naszych towarzyszy zza południowej granicy. Solidarność naszą bronią!!! Broszurę można dostać w wersji papierowej „tu i tam" albo pobrać ze strony Anarchistycznego Czarnego Krzyża: www.ack.most.org.pl

(Krawat)

„Inicjatywa Praco-wnicza" nr 43, A-3, 24 strony

Ogólnopolski Związek Zawodowy Inicjatywa Praco-wnicza działa już ponad 10 lat i ma swym koncie kilka sukcesów oraz kilka per-manentnych kampanii i akcji propagandowych. OZZIP nie jest być może czysto anarcho-syndykalistycznym związkiem, acz odnosi się do tego właśnie kierunku w ruchu i praktyce robotniczej. Można im zarzucić kilka rzeczy, lecz z pewnością nie można im zarzucić niekonsekwencji i determinacji. Jednym z objawów tych właśnie cech IP, jest regularne wydawanie biuletynu związkowego. Ostatni, jak dotąd, numer owego biuletynu przynosi nam, jak zwykle zresztą, szereg informacji ze świata walk pracowniczych. Strajk w Amazonie, operatorzy dźwigów i żurawi, Cegielski w Poznaniu, szpital psychiatryczny w Bielsku-Białej, Międzynarodowy Dzień Ofiar Wypadków przy Pracy, sytuacja na Śląsku itp. Oprócz tego porady prawne, dodatek lokatorski, ciekawy tekst o widmie wyższej płacy minimalnej czy TTIP - kolejnym globalistycznym porozumieniu korporacji uderzającym nie tylko w świat pracy. W dziale historycznym, kolejna odsłona historii strajków generalnych w Polsce, tym razem lata 1970-1981. Biuletyn kończą dwa interesujące wywiady. Pierwszy z nich, to rozmowa z członkinią francuskiej Federacji Solidaires - sieci 60 radykalnych związków zawodowych działających poza dużymi strukturami związkowymi. Druga rozmowa, to niezmiernie ciekawa podróż w niedaleką przeszłość, do Anglii za rządów Żelaznej Damy, czasów górniczych strajków i walk ulicznych, czasów, gdy pewna grupa gejów i lesbijek postanawia pomóc walczącym górnikom... Oglądaliście film "Pride"? To właśnie z jednym z bohaterów tego filmu jest ten wywiad. Mikie Jackson był jednym ze współzałożycieli grupy Lesbijki i Geje Wspierają Górników, opowiada o początkach grupy, powodach, dla których została ona powołana, relacjach z lokalnymi społecznościami itd. Bardzo inspirująca opowieść... I choćby dla tego wywiadu warto sięgnąć po biuletyn IP!!!

(Krawat)

"Inny Świat" Nr 42, 2014, A-4, 64 strony

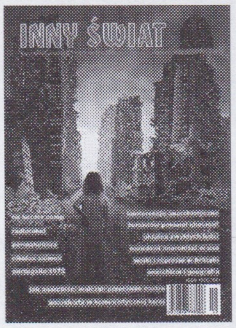

Baaardzo fajna apo-kaliptyczna okładka tego numeru, zresztą bardzo nietypowa dla tego pisma. No to lecimy, bo jak zwykle czytania jest sporo... Relacja z drugiej Konferencji Naukowej „Z dziejów anarchizmu", która zbiegła się z 200-leciem urodzin Bakunina – czyli prelekcje, referaty, odczyty... Interesujący tekst o konferencji „Priamuchinskije Cztienija 2014", dotyczącej oczywiście anarchizmu, ale przede wszystkim Bakunina, bo trzeba wiedzieć, że Priamuchino to miejscowość, w której Bakunin spędził swe dziecięce lata. Żurawlów – o tak! Po 400 dniach protestów koncern Chevron opuścił teren, na którym poszukiwał gazu łupkowego. Można? Wspólnie wszystko można! Zaraz obok podobny tekst o miejscowości Roşia, w rumuńskich Karpatach, której społeczność walczy o swoją ziemię z korporacją i rządem, które chcą na tych terenach wydobywać złoto. Wszyscy pewnie znacie centrum alternatywne Blitz w Oslo. A wiecie, że nadaje stamtąd RadiOrakel? Jest to radio sympatyzujące z anarchistycznym feminizmem, ruchem skłoterskim i grupami LGBT. Na łamach „Innego Świata" możemy przeczytać wywiad z redaktor naczelną tego radia, Marianne Achsnes. Ciekawe informacje są również zawarte w wywiadzie z aktywistami ACK z Brazylii i w relacji z obozów antygranicznych. Ciekawy jest również artykuł o narodzinach ruchu narodowych anarchistów... A to ci! Skrajna prawica wymyśla różne dziwne rzeczy, szczególnie w Ameryce. Pojawia się też kilka artykułów na temat sytuacji na Ukrainie: felietony, opinie ludzi, którzy tam byli i którzy tam mieszkają. Jest również bardzo dobry tekst o sytuacji gospodarczej Ukrainy, są wypowiedzi anarchistów ukraińskich. W dziale „Z kart historii…" możemy przeczytać interesujący wywiad z Octavio Alberola, kubańskim anarchistą zaangażowanym w walkę z reżimem, pamiętającym początek kubańskiej rewolucji. Augustin Souchy opowiada o doświadczeniach podczas rewolucji w 1975 roku w Portugalii. Ponadto jest jeszcze wywiad z Elisee Reclusem, francuskim geografem i anarchistą, na temat rewolucyjnego eko-anarchizmu. Pierre Garine, mając duże opory, odwiedził Koreę Północną i opisuje swoje wrażenia z pobytu w „Kraju Wielkiej Szczęśliwości", jak również wspomina postacie historyczne zaangażowane w anarchizm w Korei. Pojawia się też biografia Nikolasa Asimosa, największego barda ruchu anarchistycznego w Grecji. Już chyba stała pozycją jest Przegląd Filmowy, w którym przedstawiono kilka ciekawych filmów, które warto obejrzeć. Na koniec jeszcze „Permakultura – ogród anarchisty", wędrówki po Ukrainie i to tyle... A może aż tyle? Sporo czytania, tyle samo świetnych i interesujących tekstów. Jak zwykle kawał dobrej roboty!

Pablo

"Inny Świat" Nr 43, 2015, A-4, 64 strony

Ten numer "Innego Świa-ta" przynosi nam sporo informacji o Kobane, Rojavie i w ogóle o Kurdystanie. Byli kurdyjscy marksi-ści z PKK zwrócili się w stronę

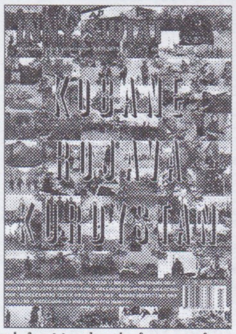

anarchizmu i wolnościowego postrzegania bieżącej sytuacji, co bardzo cieszy, i prowadzą walkę zarówno z IS, jak i z atakującą ich aktualnie Turcją, wspieraną przez USA. Na początek możemy przeczytać przewodnik po Bliskim Wschodzie, opisujący nurty w islamie, frakcje polityczne, partie i ruchy działające w tym regionie. Następny jest wywiad z dr Beatą Kowalską, psycholożką z UJ, która zajmuje się tematem feminizmu i sytuacji kobiet na Bliskim Wschodzie. Wzruszył mnie list Dilar Dirik, aktywistki Kurdyjskiego Ruchu Kobiet, w którym prosi o wsparcie ich walki. Świetny artykuł A. Kolokotronisa o wolnościowym socjalizmie w Kurdystanie, o bezpaństwowej demokracji, konfederalizmie... To dzieje się na naszych oczach, jednak kapitalistyczne, dominujące państwa nigdy na to nie pozwolą... Sporo informacji można też znaleźć w wywiadzie z profesorem antropologii i zarazem anarchistą, Davidem Graeberem, który opowiada o rewolucji syryjskich Kurdów i wielu innych ważnych rzeczach. Inspirująca jest też relacja międzynarodowej delegacji z wyprawy do kantonu Cezire w Rojavie. Szok, jak mieszkańcy potrafili się oddolnie zorganizować, ale najlepsze jest to, że najbardziej aktywne są kobiety! Kolejne ważne informacje na temat walki Kurdów o wolność możemy przeczytać w wywiadzie z aktywistami kurdyjskiego ruchu anarchistycznego w irackiej części Kurdystanu. A zaraz potem kolejny wywiad z aktywistami Tureckiego Ruchu Rewolucyjnych Anarchistów. Jest też kilka bardzo smutnych informacji, szczególnie nekrologi Arin Mirkan – Kurdyjki, która zginęła w walce z Państwem Islamskim i Ashleya Johnstona – australijskiego żołnierza, który przyłączył się do kurdyjskich partyzantów z Ludowych Oddziałów Obrony. Natomiast nie smutną i nastrajającą optymistycznie jest notka o Arbie walczącym w szeregach Ludowych Oddziałów Obrony. Mnóstwo ciekawych informacji o charakterze walk w Kurdystanie, których pewnie nie znajdziecie w środkach masowego przekazu.

Poza Kurdystanem jest też sporo innych artykułów w tym numerze „Innego Świata", m.in. tekst o Occupy Kraków, relacja ze spotkania na Rozbracie pod hasłem „Solidarność naszą bronią", które miało na celu rozpropagowanie idei Anarchistycznego Czarnego Krzyża, protesty w stolicy UE, Brukseli, kilka słów o greckiej SYRIZIE, krótki materiał o kolektywie artystyczno-aktywistycznym Beehive. W dziale „Z kart historii..." tym razem przedruk wspominkowego epitafium dla anarchisty Mojsze Kirszenbauma, ksywa Tokarz, z rosyjskiego magazynu „Anarchist" wydawanego w 1910 roku w Paryżu. Na następnych stronach kolejny wywiad, tym razem z jednym z organizatorów poznańskiego „Freedom Fighters". Potem pojawia się krótki tekst o anarchorapie, wywiad z artystami Warszawskiego Teatru Rewolucyjnego, oczywiście kolejne miejsce w piśmie zajmuje anarchistyczny DKF, a na koniec kilka recenzji literatury wolnościowej i nie tylko... Kolejny świetny numer!

Pablo

„Inny Świat", Nr 44, 2015, A-4, 64 strony

I ponownie sporo do czytania i to regularnie! Pełen szacun za to, że gazeta wychodzi tak często. Sam wiem ile to pracy i nerwów, hehehe... Ten numer poświęcony jest głównie bezkarności policji, ale nie tylko. No to lecimy po kolei – zamiast wstępu krótki tekst – Anarchiści wobec uchodźców. Ponadnarodowy zjazd aktywistów w Żurawlowie – wszyscy świętują wygraną walkę z koncernem Chevron. Świetny wywiad z byłym aktywistą amerykańskiego Earth Liberation Front – Leslie J. Pickeringiem. Niestety, FBI nie odpuszcza działaczom... A potem już leci seria artykułów o nadużyciach policji, o przemocy, inwigilacji, o działaniu ponad prawem i dla czego powinniśmy się temu sprzeciwiać. Wspomnienie kilku największych protestów i zamieszek wywołanych działaniem policji, zamieszki w Baltimore, policja w służbie czyścicieli kamienic, wywiad z członkiem FA, który prowadzi stronę bezkarnoscpolicji.info, policyjna kronika wypadków. Można tylko skwitować ten stan rzeczy krótkim All Cops Are Bastards!Dość ciekawy jest następny wywiad z działaczami ukraińskiego studenckiego związku zawodowego Akcja Bezpośrednia. Również bardzo interesujący jest tekst L. Przychodzkiego o rozgrywkach pomiędzy nowym rządem Ukrainy a neonazistowskim Prawym Sektorem – o tym nie przeczytacie w Fakcie. Kolejna jest polemika Petara Stanczewa z anarchistami z krajów zachodnich, którzy krytykują rewolucyjne zmiany w meksykańskim Chiapas i kurdyjskiej Rojavie. Abdullah Öcalan, przywódca PKK, najpierw zafascynowany marksizmem, dziś zwrócił się ku myśli wolnościowej zainspirowany filozofią Murray'a Bookchina. Zaraz potem możemy przeczytać wywiad z Debbie, córką tegoż Bookchina. „Jesteśmy 43!!!" – wstrząsający artykuł o ataku policji meksykańskiej na autobus pełen studentów wybierających się na pokojową demonstrację – zginęło 6 osób, 25 zostało rannych, 43 osoby nadal uważa się za zaginione... Uzupełnieniem tego tekstu jest wywiad z Natalią Krajewska, która regularnie odwiedza Meksyk i opisuje obecną sytuację w tym kraju. Ciekawy jest również historyczny tekst o pobycie w białostockim więzieniu w 1905 roku, Idy Zylberblat, eserki, a potem anarchistki. Także historyczny jest kolejny artykuł pt. „Anarchistyczni męczennicy z Czangszy". Rewolucyjny i polityczny rap w Chile oraz zupełnie odjechany, ale bardzo ciekawy tekst Michaela Moorcocka, wydawcy pisma sf „New Worlds", który atakuje konserwatywnych, katolickich, systemowych i rasistowskich pisarzy sf/fantasy, w tym wielu bardzo znanych. No i jest również anarchistyczne kino! Tym razem o filmach japońskich, jak również o najnowszym filmie Anny Baumgart. Na koniec sporo recenzji książek, m.in. pierwsze polskie wydanie po 105 latach książki Emmy Goldman, jak i sporo o innych ciekawych pozycjach. Anarchiści również pożegnali Federico Arcosa, który zmarł w tym roku. Uczestnik Rewolucji Hiszpańskiej, aktywista, działacz... Kolejny napakowany treścią numer! Może by tak, co 3 miesiące? Nie ma szans w naszym kraju, niestety...

Pablo

„My Prekariat", A-3, 8 stron

Pismo rozdawane w czasie demonstracji pod tym samym tytułem, w Warszawie 23 maja 2015 r. Demonstracja zorganizowana została przez Ogólnopolski Związek Zawodowy Inicjatywa Pracownicza. W piśmie, dla niewtajemniczonych, w prosty sposób wytłumaczono, czym jest prekariat, jakie niebezpieczeństwa wiążą się z prekaryzacją pracy oraz dlaczego należy się jednoczyć w walce przeciwko prekariatowi. Utrata stałej pracy grozi każdej i każdemu z nas. Umowy o prace są dziś prawdziwym przywilejem dla pracowników. Pracodawcy wolą wykorzystywać luki prawne i coraz bardziej dziurawy Kodeks Pracy, wolą zatrudniać na umowy zlecenie, o dzieło, zwykłe śmieciówki. Dlatego warto dowiedzieć się czegoś więcej w tym temacie, warto sięgać po fachową prasę (np. biuletyny IP) oraz literaturę. Tu polecić można dwie książki: „Prekariat i nowa walka klas. Przeobrażenia klasy pracowniczej i jej formy walki" autorstwa Jarosława Urbańskiego oraz „Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa" - Guya Standinga. Jeśli jesteście pracownikami. Jeśli jesteście prekariuszami. Nie lamentujcie! Organizujcie się!!!

(Krawat)

„Pod Brukiem leży Plaża", nr 5, kwiecień/maj 2015, A-5, 12 stron

Kolejny numer biuletynu warszawskiego środowiska antyfaszystowskiego. Pisemko niewielkie, ale treściwe. Tym razem tematem przewodnim jest 72. rocznica Powstania w Getcie Warszawskim. Prócz tego, Sandał rozważa banalność nacjonalizmu a Xawier Woliński (aktywista ZSP) zastanawia się nad sensownością współpracy pracowników z narodowcami i nacjonalistami i przeciwko niej stawia międzynarodową solidarność ludzi pracy. Przypomniano tu również historię słynnego zdjęcia, na którym starsza pani okłada po głowie szwedzkiego nazistę dumnie maszerującego z jakąś popapraną flagą. Ową panią była niejaka Danuta Danielsson, Polka o żydowskich korzeniach, której matka przebywała w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Ponoć to uderzenie torebką w nazistowski zakuty łeb rozpoczęło pogrom nazistowskiego marszu w Vaxjo. Niezmiernie interesująca i ciekawe historia. Z tematyki poza-antyfaszystowskiej mamy jeszcze prezentację międzynarodowego ruchu Reclaim the Fields, czyli luźnej sieci grup ekologicznych i wolnościowych, które okupują kawałki ziemi, sprzeciwiając się w ten sposób spekulacjom na rynku gruntów i żywności. W Polsce, a dokładniej w Warszawie, od kilku miesięcy członkowie tegoż ruchu okupują byłe ogródki działkowe, w podejrzany sposób wykupione przez równie podejrzanego dewelopera. Prócz tego, garść informacji z frontów antyfaszystowskiej walki na świece, a na sam koniec wywiad z twórcami poznańskiego turnieju sztuk walk: Freedom Fighters.

(Krawat)

„Pod Brukiem leży Plaża", nr 6, lipiec/sierpień 2015, A-5, 12 stron

Warszawscy antyfaszyści dzielnie się

trzymają i co dwa miesiące wrzucają nam kolejne numery swego biuletynu. Należą się im za to srogie brawa!!! Nowy numer rozpoczyna się rozważaniami w temacie „antysystemowości" narodowców i innych populistów. Wszyscy wiemy, że zarówno zacietkli wyborcy Korwina, ci, co dali się nabrać na bajki Kukiza jak i pierdolnięci narodowcy spod znaku RN, uważają się za ruchy „antysystemowe". Towarzysze z Antyfaszystowskiej Warszawy w jasny sposób rozprawiają się z tym mitem, ukazując prawdziwe oblicza populistów i nacjonalistów. Kolejny tekst może wywołać kontrowersję nawet wśród antyfaszystów. „Naród? Nie dziękuję!" - tytuł prowokujący, choć dla anarchistów to nic nowego. Jednak w ruchu antyfaszystowskim jest pewna moda na wykorzystywania symboli narodowych (np. godło) czy odnoszenie się do spuścizny patriotycznego skrzydła ruchu socjalistycznego - i ci antyfaszyści mogą mieć pewne problemy z przyswojeniem sobie treści owego artykułu. W dziale „analizy" znajdziecie natomiast dość interesujący felieton Wojtka Mejora, poświęcony postwzrostowi. Numer zamykają: tekst o przymusowej emeryturze wodza francuskich nacjonalistów Le Pena, garść informacji nt. antyfaszystowskich walk na świecie oraz interesujący wywiad z rosyjską kapelą anarchistycznych skinheadów: BRIGADIR. Czekam na kolejny numer, który zapewne poświęcony zostanie tematyce emigrantów i histerii, jaka rozpętała się w ich temacie w Polsce i nie tylko. No, ale poczekajmy...

(Krawat)

„Prywatne jest polityczne", A-5, 36 strony

To chyba pierwszy numer tego zina? Można to wywnioskować z braku dotychczasowej numeracji, jak i ze wstępu napisanego przez Emila i Asię - twórców PJP. W tym wstępie zresztą spodobały mi się pierwsze zdania, które pozwolę sobie przytoczyć: „Za mało zinów. Do czytania, oglądania, za mało ich wokół nas. A tyle się dzieje i tyle zdolnych osób, które w Internecie komentują rzeczywistość, mierzą się z nią w sposób zabawny, wzruszający, wzmacniający. Zamarzyło nam się wynieść te komentarze z wirtualnej rzeczywistości, z powrotem do papierowej, by móc się nimi dzielić, by móc go gdzieś zostawić, by móc go czytać z przyjaciółmi i wysłać w liście." Zine ma kilkoro autorów a utrzymany jest w polityczno-artowskiej konwencji, częściowo pisany ręcznie, coś tam na kompie, dużo grafik, rysunków itp. Agi prezentuje kilka ze swych wierszy, Ewe w ciekawy sposób opisuje politykę queer i jej wpływ na ruch i idee wolnościowe. Jest to najdłuższy tekst w zinie i naprawdę polecam się na nim skupić, gdyż podejmuje ważne kwestie - szczególnie w tych ciulowatych, mało tolerancyjnych czasach... Bordowa łączy słowo pisane z elementami graficznymi, opisując swą autentyczną historię z pewnej podróży pociągiem jak i w nieco humorystyczny sposób temat owłosienia. Marta Zabłocka to w zasadzie jedna komiksowa strona z antydyskryminacyjnym przesłaniem. Emil wrzucił dwie fajne grafiki, również z takowym przesłaniem a Mo, w swym tekście (którego tytuł brzmi jak tytuł całego zina) opisuje własne doświadczenia w kolektywie SPINA. Na koniec mamy dwie stronki z techno-pokręconymi grafikami Jul. Niby nic wielkiego, lektury raptem na kilka chwil, ale jest coś w tym tworze takiego, że powracałem do niego kilka razy. I jeszcze coś. Zin (chyba?) miał swa premierę w dniach 22-23 maja br. w czasie Targów Książek Prasy i Zinów/Bukfer, jakie odbyły się w ramach Wolnych Dni Aktywizmu na warszawskiej Adzie. Impreza godna polecenia jak i kontynuowania!!!

(Krawat)

„Ten moment. Fotozine", nr 3, A-5, 52 strony

Kolejna odsłona jasielskiego fotozina poskładanego przez nieustraszonego zinoroba, Rava. Jak zwykle, na fajnym śliskim papierze znajdziemy tu masę zdjęć z koncertów oraz murów miast. CZAS ZŁAMAĆ PRAWO, BEYOND PINK, EWA BRAUN, CYMEON X, CATHARSIS, THE CORPSE, OREIRO, SED NON SATIATA, STARZY SINGERS, PRAWO DO JAZDY, DEZERTER, 67,5 MINUT PROJEKT, EVIL, CHORYGEN, RUTA, EFA SUPERTRAMP, NOSE, COALITION, UK SUBS, POCHWALONE, VITAMIN X - to tylko niektóre z kapel, jakie można tu podziwiać, uchwycone w czasie koncertowego szaleństwa... Rozmach stylowy jest więc spory, jak i rozmach czasowy. Najstarsze foty są z lat 1997-99 – najnowsze z 2015 r. Prócz kapel możemy zobaczyć różne formy aktywności artystycznej na murach wielu miast: Budapeszt, Warszawa, Bielsko-Biała, Katowice, Lwów, Poznań, Jasło, Lublin, Berlin, Biała Podlaska, Bolonia, Krosno, Lipstovsky Mikulas, Wrocław, Kraków, Toruń, Łódź... Ten zine to naprawdę świetna sprawa i Ravowi należą się duże słowa uznania za kontynuowanie projektu, bo w mej pamięci tkwią różne fotoziny, których kariera kończyła się zazwyczaj na pierwszym numerze... Być może tu zaważa to, iż „Ten Moment" jest robiony przez fascynata zinów, dla fascynatów papierowych pisemek? Zine jest darmowy, więc odchodzą wszelkie ekonomiczne rozważania nad rachunkowością, opłacalnością, rentownością itp. Twórca sam decyduje, kto go dostanie, lub zrzuca to na wybór losowy... Całkowity nakład trzeciego numeru został na przykład rozdany tylko i wyłącznie w czasie targów książek, pism i zinów na Adzie w Warszawie. Być może autor ma jeszcze jakąś zapasową pulę, ale to już trzeba by go osobiście o to pytać... I takie właśnie podejście do tworzenia zina zagwarantuje mu zapewne długą świetlaną przyszłość... no chyba, że Rav postanowi zarzucić pomysł i stworzyć kolejnego, już zupełnie innego zina na swej drodze punkowego życia...

(Krawat)

„Workers Wild West", A-4, 16 stron

Dwujęzyczne (polski i angielski) pismo wydawane przez związkowców i działaczy pro-pracowniczych działających na obszarach Greefold i Park Royal w Londynie. Pismo skierowane w dużej mierze do polskich pracowników. Garść informacji o sytuacji w zakładach, solidarności pracowniczej, strajkach, akcjach... Niby typowa agitka, ale jakże potrzebna. Kontakt: angryworkersworld@gmail.com

(Krawat)

"Wygrać Nowe Życie" Nr 1, wiosna/lato 2015, A-5,40 stron

Nowy straight edge/hardcore zine na scenie! Wzrok przyciąga ładna grafika w kolorze na okładce tej gazetki i przyjemny skład, który zachęca do czytania. No

właśnie, a co w środku? Przede wszystkim sympatyczne wywiady: z warszawskimi hardcore'owcami z HARD TO BREATHE, z post-hardcore'ową ANSĄ, ze screamowcami z Piły – MOJA POŁOWA i na koniec ze świeżakami z Krakowa – BEAVER. Ten ostatni wywiad jest najsłabszy najkrótszy i najnudniejszy, ale... BEAVER to młody zespół, więc jeszcze wszystko przed nimi, a nowe zespoły trzeba prezentować, bo jak my tego nie zrobimy w naszych zinach, to zaginą te kapele gdzieś w czeluściach internetu... No i zauważyłem, że „Wygrać Nowe Życie" określa się, jako zine straight edge, a żadna z przepytywanych kapel takową nie jest. Zupełnie to nie przeszkadza, bo zespoły ciekawe, natomiast pozostałe strony tej gazetki wypełnione są już ideami sXe. Kilka stron porozrzucanych po zinie zawiera osobiste historie ludzi ze sceny, którzy są straight edge i opowiadają, dlaczego akurat tak, jak w to weszli i co to dla nich oznacza. Wypowiadają się m.in. Siwy z THUG LIFE, Robert z zina „Idealny Moment", Paweł z REGRESU... Ponadto w zinie znajdziemy też kilka kolumn na tematy scenowe, pojawia się tu również i Rav, który pisze kolumny do „Chaosu"... I to tyle. Bardzo fajnie czyta się tego zina, lecz ma stanowczo za mało stron, jak dla mnie, bo ja preferuję gruuube ziny! Czekam na następny numer i życzę sobie przynajmniej 80 stronic!

Pablo

„Zgoda", A-5, 24 strony

Kolejna pozycja przywieziona z targów na Adzie. Kolejny twór stworzony jakby na tę okazję, choć oczywiście mogę się mylić... „Zgoda" to nieco eksperymentalny projekt, poruszający się w zasadzie wokół jednego tematu: "Zgoda (consent) w najprostszej definicji to intencjonalne i werbalne, każdorazowe przyzwolenie na nawiązanie konkretnego kontaktu o charakterze seksualnym, ale też wszelkie fizyczne przekroczenie indywidualnych, subiektywnie rozumianych granic" - tyle w temacie autorki/autorzy zina. Sami/e twierdzą również, iż treść zina to tylko czubek góry lodowej i miejmy nadzieję, że temat będzie pociągnięty poprzez kolejne numery „Zgody". W środku zaś mamy kilka autorskich tekstów, jak i przedruków dotyczących indywidualnych podejść do seksualności, teorie feministyczne, praktycznych rozwiązań problemów. Wydaje mi się, że po tego typu publikacje powinni sięgać przede wszystkim faceci, bo to przede wszystkim im się wydaje, że „mogą wszystko" a „ona przecież tego chciała". Choć z drugiej strony, jeden z tekstów przedstawia problematykę „zgody na seks" z męskiej perspektywy... Warto więc się zainteresować, choć problem jest tu jeden: w zinie nie ma podanego żadnego namiaru na kontakt z jego twórczyniami/twórcami? Mimo, iż sami/e zachęcają do kontaktu... Trzeba więc kontaktu szukać poprzez osobiste kanały z warszawskim środowiskiem anarchistycznym i feministycznym...

(Krawat)

ADRENALIZED - Tales From The Last Generation kaseta
(Talaia Records)

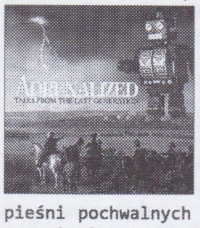

Po pakiecie płyt i kaset, jakie zostawili mi do recenzji Baskowie z ANCIENT EMBLEM, myślałem, że mam kolejną hordę grającą black metal połączony z crustem. A tu rozczarowanie i w dodatku miłe! ADRENALIZED nie gra pieśni pochwalnych dla rogatego, lecz wprost przeciwnie, chłopaki z San Sebastian grają ultra melodyjnego hardcore-punka, z chórkami i śpiewającym wokalistą. Muzyka ADRENALIZED to mix kalifornijskich punków a'la NO FX, VANDALS czy nawet BAD RELIGION. Czasem gitara trochę przytraszuje, ale generalnie jest szybko, melodyjnie i z przytupem. Wokal trochę mi przypomina Artura z LAST BELIEVER/AFTER LAUGHTER. Dobre granie dla koneserów!

QbaQ

AGATHOCLES/SRT split kaseta
(Grind Father)

Ciary mi przeszły po kilku sekundach pierwszego kawałka AGATHOCLESA. Totalny old school. Zresztą trzy utwory, jakie AGATHOCLES zamieścili na tym splicie pochodzą z ich koncertu na „Zorro" w 1992 roku. Gościnnie na wokalach udzielali się ziomkowie z innej belgijskiej kapeli ACCOUSTIC GRINDER. Fajny materiał, dobrze jest sobie czasami odświeżyć niektóre nagrywki. Kawał solidnej klasyki. Jeśli chodzi o stronę B to z SOCIAL ROTTING TERROR mam do czynienia pierwszy raz. Pochodzą aż z Gwatemali, a ich materiał to demo z 2014. Sześć kawałków sprawnie zagranego grind core'a z socio-politycznym przekazem, dwa wokale, trochę naparzania, trochę wolniejszych klimatów. Taki trochę „ichni" BLOODY PHOENIX. Kolesie mają wydanych tonę materiałów, głównie splity. Sprawdźcie…

Urbx

ALIUSTERRA/ROSA PARKS split 7"EP
(Hluboka Orba Records)

Dwa nowe zespoły na czeskiej scenie D.I.Y. ALIUSTERRA pochodzą z Brna, a w ROSA PARKS grają członkowie zespołu TUPAK AMARU. ALIUSTERRA grają nieco mroczny i smutny punk z saksofonem. Chropowaty męski wokal wspiera chwilami pani, a kojarzy mi się ich granie z takimi zespołami jak TELEFON, COCA czy COMPLICITE CANDIDE… Trochę sięgają po klimaty z lat 80., troszkę słychać tu typowego peace-punka, jednak pewnym urozmaiceniem jest saksofon, którego kiedyś było w punku słychać sporo, a dzisiaj to już wyjątek, by nie rzec ekstrawagancja. Interesujące granie, choć podejrzewam, że na koncercie mogą brzmieć jeszcze ciekawiej.
ROSA PARKS to nieco inne granie, choć z podobnym przesłaniem. Z przesłaniem bardzo politycznym: prawa kobiet, niszczenie lasów deszczowych i eksterminacja miejscowej ludności, sprowadzenie człowieka do roli produktu. ROSA SPARKS grają spokojnego hardcore/punka z damsko-męskimi wokalami. Pobrzmiewa w ich muzyce smutek, bo i teksty niewesołe, grają średnio-szybko, lecz stonowanie, z odrobiną melodii i w fajnym klimacie. Ciekawe, nieszablonowe zespoły. Okładka singla zawiera świetne grafiki, a najsympatyczniejsza znajduje się wewnątrz rozkładanej okładki. Oprócz Hlubokiej Orby Records tego singla ogarnęło aż 12 niezależnych wydawnictw!

Pablo

ANCIENT EMBLEM/HONGO split LP
(La Humanidad es La Plaga)

Kolejny split, jaki dostałem do recenzji od

sympatycznego Txusana. Tym razem to jego macierzysty zespół ANCIENT EMBLEM dzielący longpleja z nieznaną mi wcześniej kapelą HONGO. ANCIENT EMBLEM to jak wiecie, zwłaszcza ci słuchający mrocznych odmian punka, to mix black metalu, sludge, crusta w najbardziej brudnej i chropowatej odsłonie. Na stronie ANCIENT EMBLEM mamy tylko dwa kawałki; jeden trwający 5 minut, a drugi ponad 10 minut. Muzyka Basków czerpie z dokonań starego BATHORY, słychać niekiedy nawet echa AMEBIX, a czasem przyczadzą tak po prostu, po crustowemu. Choć elementów black metalowych jest najwięcej w tym materiale. Miałem okazję organizować w Opolu ich koncert i powiem wam, że sama otoczka na koncercie, jaką prezentuje zespół (świeczki, czaszki, rogi, kadzidełka) w połączeniu z demoniczną muzyką robi zajebisty klimat.
Strona HONGO to jeden utwór, ale za to trwający 15 minut. No, tutaj mamy zdecydowanie mniej rogatego w muzyce, lecz momenty są! Wałek jest już trochę z innej bajki niż piosenki kolegów z drugiej strony splita. Mamy tutaj walec kojarzący się czasem z klimatycznymi momentami AMEBIX, a czasem już nawet słychać takie minimalistyczne pejzaże post rockowe. Oczywiście nie jest to czysty i sterylny materiał, lecz brudny i przez to tak zajebiście niedopowiedziany.
Ogólnie dobry materiał, do kupienia także w Polsce, bo płyta została wydana w kooperacji kilku wytwórni i jednym ze współwydawców oprócz La Agonía de Vivir, Dingleberry, Svoboda, jest polskie Up The Punx Records.

QbaQ

ANGOISSE - s/t demo kaseta
(Talaia Records)

Talaia Records to kasetowe wydawnictwo basisty ANCIENT EMBLEM, specjalizujące się w tych mroczniejszych i rogatych zespołach. W rękach trzymam kapelę krastowych black metalowców z francuskiego Bordeaux. Na kasecie są 4 kawałki brudnego przesterowanego miksu black metalowego crusta. Kapela generalnie napierdziela blasty i riffy jak old schoolowe hordy B/M, czasem przerażająco zwalnia i mamy prawie że sludgowe momenty, po czym przyśpiesza i jedzie jak rasowa skandynawska horda. Dobrze, że są to tylko 4 kawałki, bo więcej mogłoby mnie znudzić. A tak mamy idealnie - nie za długo, nie za krótko i zostaje lekki niedosyt.

QbaQ

ANTI-CIMEX - Swedish Hardcore 1986-1993 3xLP + 7"EP
(Svart Records)

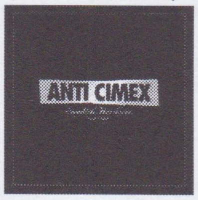

Szwedzka wytwórnia zrobiła nam niezły prezent w postaci tego eleganckiego boxu, więc i ja postanowiłem zrobić sobie prezent pod choinkę. Warto było, bo jest to wydane naprawdę ładnie! Ja wiem, że te płyty są do złapania bez tego pudła, no może oprócz siedmiocalówki (o tym za chwilę), ale nie mogłem się powstrzymać! Nie będę się rozpisywał za bardzo o muzyce ANTI-CIMEX, bo tę każdy zna, więc skupię się na wydaniu tych krążków. W eleganckim czarnym pudle z nadrukowanym srebrnym logasem ANTI-CIMEX znajdują się dwa LP, 12" i 7"EP – na bogato! Na pierwszy ogień idzie ich 12" wydana w 1986 roku przez wytwórnię Distraught. Tylko siedem utworów, w których już słychać, jaką drogę zespół obierze w przyszłości. Mniej tu wściekłości i chaosu znanego z ich wcześniejszych singli, za to pojawia się więcej disowych, metalowych a nawet rock'n'rollowych riffów, co jednak dodaje tylko smaku tym nagraniom. Takich kawałków jak „Criminal Trap", „Smell of Silence" czy „Set Me Free" nie da się zapomnieć. Płyta w gatefoldzie, ze słowem wstępnym Charliego, dużym zdjęciem zespołu i oryginalną wkładką z tekstami i koncertowymi zdjęciami ANTI-CIMEX.
Następny krążek to „Absolut Country of Sweden" z 1990 roku, tak naprawdę to pierwszy pełny long Szwedów, i zarazem nowa odsłona zespołu. ANTI-CIMEX poszli ze swoją muzyką do przodu i poczęstowali nas niezłą metalową łupaną na pełnym d-beacie. Mocne metalowe gitary, które wynoszą kapelę na wyższy pułap, choć wciąż tu sporo rock'n'rollowych solówek i wciąż jednak słychać, że to stary dobry ANTI-CIMEX, szczególnie dzięki wokalowi. No i oczywiście na tej płycie też znajdują się utwory, obok których nie da się przejść obojętnie – „Sister Daylight", „Daughters of Pride", „Under The Sun". Płyta oczywiście w gatefoldzie i dodatkowo w pudełku. Na pudełku grafika z rogaczem z toporem w ręku, okładka płyty natomiast przyozdobiona jest logiem wódki Absolut, przez którą zespół miał sporo problemów. Na rozkładówce oczywiście zdjęcie ANTI-CIMEX, a w środku mała wkładka z tekstami zespołu, zdjęciami z tamtego okresu i komentarzem Charliego.
I ich następny i zarazem ostatni album z 1993 roku – „Scandinavian Jawbreaker". Najbardziej metalowa, ale też najbardziej, według mnie, dopracowana płyta ANTI-CIMEX. Oczywiście nie ma co przesadzać z tym metalem, bo dzisiaj jest to praktycznie nie do zauważenia, ale wtedy, gdy wszyscy jeszcze pamiętali pierwsze single ANTI-CIMEX to dla wielu punx był to duży problem. Fani podzielili się na dwa obozy, na tych, dla których prawdziwą esencją były pierwsze nagrania, i na tych, którzy twierdzili, że ta płyta to szczytowe osiągnięcie ANTI-CIMEX. Jak dla mnie to Szwedzi rządzą po całości! Bardzo dobra, motörheadowo-rock'n'rollowa, a zarazem d-beatowa płyta z takimi ponadczasowymi kawałkami jak „Only In Dreams", „Nailbiter" czy „Pain". Gatefold z tekstami kawałków i zdjęciami długowłosych CIMEXÓW, do tego oczywiście wkładka ze zdjęciem kapeli i komentarzem Charliego. Na dokładkę... pocztówka ze zdjęciem Szwedów!
No i największym smaczek w tym pudle! Siedmiocalowy singiel z czterema utworami. „Daughter of Pride", „Sister Daylight" - te dwa znamy z płyty „Absolut Country of Sweden", a te: „New Blood" i „Nailbiter" ze „Scandinavian Jawbreaker". O co chodzi? Chłopaki do płyty „Absolut Country..." robili trzy miksy w studio, wybrali ten ostatni. Jakiś czas temu znalazła się taśma z drugim miksem, który brzmi nieco surowiej niż możemy usłyszeć na płycie. Natomiast kawałki znane z płyty „Scandinavian Jawbreaker" to surowe miksy, które robił zespół. Brzmi to nieźle, surowiej i nieco brudniej, poza tym jest do tego singla zajebista okładka, z grafiką, która na oryginalnej płycie z 1990 roku jest tylko we fragmencie!
Do tego są jeszcze dwa olbrzymie plakaty. Jeden ze zdjęciem ANTI-CIMEX, który reklamuje reedycję 12" z 1986 roku, a drugi to chyba plakat z release-party "Absolut Country of Sweden". Wydawca dorzucił jeszcze trzy naklejki i tyle. Teraz zbieram pieniądze i czekam na podobne pudło z krążkami „Anarkist Attack", „Raped Ass" i „Victims of A Bomb Raid".

Pablo

APORIA - Oddychaj LP
(Last Records/Extinction Records/DIY Koło Records/No Pasaran Records)

Wszyscy, którzy mnie znają, to wiedzą, że uwielbiam emocjonalne screamowate granie i mam do niego niesamowitą słabość. Jednym z lepszych gigów, jakie miałem okazję organizować, był występ Francuzów z AMANDY WOODWARD. Zaś, jeśli słyszę w dźwiękach kapel echa mej ukochanej AMANDY, to ta kapela od razu kupuje me pełne mrocznego emo (niczym lalki Monster Highs, moich córek, haha) serce. Tczewianie z APORII od dawna już okupują moje otłuszczone serducho, co zaowocowało zagraniem przez nich dwóch koncertów na opolskim haimacie... APORIA już nie gra w pierwotnym składzie, zmienili się perkusista i basista, jednak trzon zespołu w postaci gitarzystów jest niezmienny. Myślę, że zmiany

APORII wyszły na dobre, bo doszła młoda, dzika krew, a stare emopunki jak Laska i Bartek zmężnieli, nabrali doświadczenia życiowego i muzycznego, co spowodowało, że album pt. "Oddychaj" jest jeszcze lepszy, ma więcej emocji, a jednocześnie dojrzałego grania i ogrania.
No, nie będę kłamał, że do APORII mam słabość, bo zupełnie inaczej odbiera się płytę, gdy znasz osobiście jej twórców. Obawiałem się, na szczęście całkiem niesłusznie, że nowa płyta będzie słaba. Jest bardzo dobra. I jest to nie tylko moje zdanie, bo wydanie jej zaowocowało kilkoma gigami w Rosji i to gdzie? Na dalekiej Syberii! Chciałbym też odwiedzić Rosję, która jest stanem umysłu... LP wydany jest na pełnym kolorze, piękna okładka, a CD-R wydał Piotrek z D.I.Y. Koło w gustownym płótnie - z tego, co wiem CD-R już jest wyprzedany! 9/10 w skali lalek Monster Hight!

QbaQ

ARTYKUŁY ROLNE - s/t CD-R
(wydawnictwo zespołu)

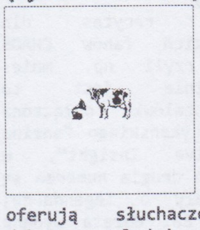

Gdyby Szewczyk Dratewka słuchał muzyki, krakowskie ARTYKUŁY ROLNE na pewno byłyby na jego liście. Zespół wydał mini album na CD-R. Na okładce duuuża krowa z patefonem. Zawartość albumu to sześć kompozycji, które oferują słuchaczowi dwadzieścia minut dobrego, melodyjnego noise'a. Jeżeli miałbym pokusić się o dalsze porównania, to ARTYKUŁY lokowałbym tuż obok lubelskiego [PERU]. O ile jednak lubelski ansambl swoje inspiracje muzyczne lokuje w kierunku Chicago i zespołów ze stajni Touch And Go Records, tak krakowscy muzycy, głównie za sprawą gry przesterowanego precission basu, czerpią inspirację z rejonów Palm Desert w Kalifornii. Nie ma się jednak czego obawiać, bo nie jest to kolejna, tym razem polska, kopia KYUSS czy też QUEENS OF THE STONE AGE. Mamy więc na płycie melodyjny stoner lub noise, bądź miks jednego z drugim. Materiał, jaki prezentuje zespół, to dobrze przemyślane kompozycje. Oprócz wyżej wymienionego basu, dużą rolę odgrywa uporządkowana i zdyscyplinowana perkusja oraz kąśliwa gitara. Efekt tego muzykowania stawia zespół w czołówce alternatywnego gitarowego grania w Polsce. Wyszedłbym na recenzenta-ignoranta, gdybym nie wspomniał o tekstach. A te są pełne ironii, zawodu, inteligenckiego sarkazmu. Dwa najciekawsze i najlepsze według mnie to „Dobry Boże" oraz „Nie lubię już Polski". Myślę, że spojrzenie podmiotu lirycznego na Polskę, jakie usłyszymy na „Nie lubię..." podzieli duża część potencjalnych słuchaczy. Jeżeli lubisz brud, przesterowany bas, hałas doprawiony dobrymi tekstami – to materiał ten jest dla ciebie. Zamawiać można na stronie zespołu. Panowie biorą za płytę przysłowiowe „co łaska". Nie obraziłbym się, gdyby następne wydawnictwo krakowskiego trio było primo: dłuższe, secundo: wyszło na lepszym, szlachetniejszym nośniku.

Gruha

AUXILIO - s/t LP
(La Humanidad es La Plaga Records)

Baskijska wytwórnia ma bardzo ciekawe pozycje w katalogu. Nie znajdziemy tam raczej bitdałnów czy melodyjnego hardkora, lecz te bardziej brudne i dzikie gatunki hc-punka. Typowym przykładem portfolio tego labelu jest AUXILIO. Kapela z Walencji napierdala krastującego dibita. Nie ma litości, kawałki trwają max 1,5-2 minuty. Zdarte wokale, przechodzące w skrzeczący krzyk. Są czasem nawet śladowe ilości melodii, jakie znamy u większości kapel grających w dis/dibitowym klimacie. Zespół jest klasycznym trio, zaś za garami siedzi nieźle grająca Carmen (szkoda, że grające panie są wciąż ewenementem na scenie hc/punk). Bardzo fajny krążek.

QbaQ

BAGNA - To Fear And To Wait 12"
(Up The Punx)

Pierwotnie ten materiał pojawił się na CD-R w 2014 na Białorusi, a w tym roku przybrał formę winylową. BAGNA powstali w 2005 roku w Grodnie, po rozpadzie zespołu CONTRA LA CONTRA i są obecnie jedną z najlepszych i najbardziej rozpoznawalnych kapel z Białorusi. Zresztą BAGNA to bardzo aktywny zespół – na koncie mają kilka wydawnictw m.in. splity z I KNOW z Mińska, SCARPRETTER z Kopenhagi i LIFE SCARS z Cebulandii. Ponadto grają sporo koncertów, zagrali trasy zagraniczne, a kilku członków BAGNA udziela się w innym punkowym zespole MONDAY SUICIDE.
Na płycie jest sześć kawałków i powiem szczerze, że to stanowczo za mało, bo BAGNA grają naprawdę kawał dobrej muzy. Bardzo emocjonalny, nastrojowy i mroczny crust. Czy jak kto woli, neo-crust. Porównuję się ich muzykę do tego, co gra TRAGEDY, ja bym jednak porównał ich do DRIP OF LIES. Warszawiacy grają dużo ciężej i ostrzej, jednak jakiś wspólny mianownik pomiędzy nimi a BAGNA na pewno znajdziecie. Bardzo smutne, rozdzierające granie z rzewnymi gitarami, ale też z kopem i d-beatową perkusją. Wrzaskliwy wokal pięknie wpasował się w ten gitarowy lament. Białorusini potrafią stworzyć swoją muzyką naprawdę niepowtarzalny klimat. Gdyby ZŁODZIEJE ROWERÓW (po reaktywacji) zaczęli grać crusta to mogłoby to brzmieć bardzo podobnie, hehehe… Ostatni kawałek na płycie brzmi już odrobinę inaczej, bardziej punkowo i spokojniej, a to dlatego, że to cover jednego z pierwszych anarcho-punkowych zespołów na Białorusi – DEVIATION.
Teksty również mroczne i dołujące, napisane dość personalnie, choć z przesłaniem – strach, kłamstwa, brak nadziei… lepiej spłonąć niż gnić za życia… Bardzo dobry singiel, którego wydało aż 8 wytwórni. U nas do złapania w Up The Punx.

Pablo

BLACK CODE/UNREST split LP
(Tanker Records/Per Koro Records/Crusta-tombe)

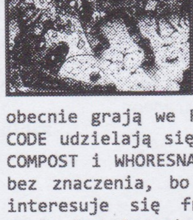

Zespołem BLACK CODE zajarałem się ze dwa lata temu, gdy widziałem ich na żywo, a potem, gdy złapałem ich debiutancki album. Jest to jedna z najbardziej interesujących i ciekawych metal/cru-stowych kapel, które obecnie grają we Francji. Bez kitu. W BLACK CODE udzielają się członkowie zespołów HUMAN COMPOST i WHORESNATION, co chyba jest i tak bez znaczenia, bo w Polsce raczej mało kto interesuje się francuską sceną. Teraz na topie jest Szwecja i Ameryka... No nie ważne. Francuzi łupią naprawdę na poziomie – ciężkie metalowe gitary wspomaga mocno rozdarty wokalisty, który operuje zarówno wrzaskiem jak i growlem. Generalnie kawałki są szybkie, jednak sporo się w nich dzieje – zwolnienia, solówy black metalowe, crustowa perkusja i przede wszystkim wściekłość, wirtuozeria i ciekawe pomysły na swoją muzykę. Warto ich sprawdzić! Tylko pięć kawałków, za to bardzo rozbudowanych i pełnych energii. Natomiast teksty, jak na crustowy zespół, nietypowe... Jedynie pierwszy „Short Live The Code", jako tako ma wymowę społeczno-polityczną, natomiast „Infinite Infernal Road Infernoh" opowiada o... jeździe samochodem! Ma klimat żywcem wyjęty z „Mad Maksa". "Death By Giant Octopus" jest ukłonem w stronę H.P Lovecrafta i Cthulhu. Kolejny "State Tantra" opowiada o rozterkach miłosnych... Dość spory rozrzut tematyczny w tekstach, jednak wszystkie są fajnie napisane i wbrew pozorom przekazują ważne przesłanie między wierszami.
Natomiast na drugiej stronie gości ekipa z niemieckiego Münster. Muza zupełnie inna niż ta, którą zaprezentowali Francuzi. Brutalny grind/crust z ciężką gitarą, jeszcze cięższym basem i wymiatającą perkusją. Wokalista też daje z siebie wszystko i na szczęście unika growlingu, co w wielu przypadkach daje bardzo słaby efekt, bo słychać tylko bulgotanie. Bardzo solidne granie, choć na pierwszy rzut ucha sprawia wrażenie dość chaotycznej nawalanki, jednak po przesłuchaniu kilku kawałków (a jest ich w sumie sześć) okazuje się, że UNREST grają bardzo sprawnie na swoich instrumentach i takie brzmienie było zamierzone. Interesujące kompozycje jak na crust/grind, jednak jakoś specjalnie na kolana mnie nie rzucili. Teksty o głupocie rodzaju ludzkiego, o papieżu, politykach, ginącej Ziemi, jednak napisane dość fajnie, bo nie walą łopatologicznym przekazem prosto z mostu. Bardzo fajny split, na którym, przede wszystkim, wybija się strona BLACK CODE.

Pablo

B.S.B. - The End Is Near 7"EP
(Black Wednesday Records/83 Records)

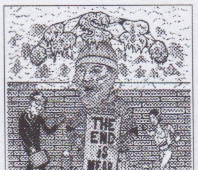

Trzech polskich załogant-ów, znanych tu i ówdzie, oraz wokalista z Brazylii, założyli bardzo dobry zespół w Londynie. Zjednoczeni Emigranci, hehe-he. Tak serio, to by-ła bardzo dobra decyzja, żeby się zejść i zrobić kawał zajebistej muzy. B.S.B. (Bój Się Boga?) grają porywający, żywiołowy, energiczny hardcore czerpiący garściami ze starej amerykańskiej szkoły. Nie ma sensu odnosić się do setki starych kapel, bo wystarczy posłuchać tego singla. Oczywiście B.S.B. z nikogo nie zrzynają, po prostu za bazę obrali sobie taki old schoolowy styl grania. Zajebista żywiołowość wokalisty, wspieranego krzyczanymi chórkami przez resztę kapeli, robi duże wrażenie. Świetne gitary, ekspresyjne solówki i energiczne bicie pałkera dają mi dużo radochy przy słuchaniu tych czterech utworów. Sporo u nich przebijającej się melodii, nie za słodkiej, tyle, ile potrzeba przy takim graniu. Nóżka sama przytupuje w rytm tego czadziku, mało brakuje a puściłbym się w młyn, no, ale sam jestem w domu...
Teksty też fajnie napisane, zwięzłe, ale nie za krótkie, takie właśnie dobre do wykrzykiwania. Wpisują się one w tę hardcore'ową konwencję – własną wolność trzeba sobie samemu wywalczyć, przedzierając się przez przeszkody życia i codzienną rzeczywistość. Tekstowo wyłamuje się, pozytywnie, kawałek „Misanthropy" – chłopcy czarno widzą naszą przyszłość? (a może teraźniejszość?), apokaliptyczna wizja, której nie powstydziłby się żaden neo-crustowy zespół! Zajebiste granie, świetny singiel, bardzo dobry zespół! Jedyny minus, jak dla mnie, to tylko cztery kawałki. Nie można było od razu LP nagrać?! Ja mam wersję na czerwonym winylu z dodatkową okładką. Grafiki na obu okładkach bardzo fajne, również wpisujące się w klimat lat 80. Łapcie ten plastik jak najszybciej, bo tylko 300 sztuk, a potem będziecie żałować!!!

Pablo

BURNCHURCH - s/t LP
(Trująca Fala/Up The Punx)

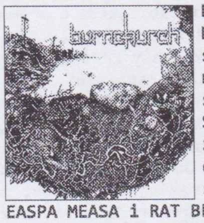

BURNCHURCH pochodzą z Dublina w Irlandii i w składzie znajduje się nasz rodak, który udzielał się w lublińskim zespole SILENCE. Reszta członków zespołu też nie jest debiutantami, bo mieli swój udział w zespołach EASPA MEASA i RAT BLOOD. Ten krążek to debiut dublińczyków, pojawili się nagle i uderzyli bardzo mocno tymi 10 kawałkami. BURNCHURCH obracają się w klimatach neo-crustowych, ale nie grają po linii TRAGEDY czy HIS HERO IS GONE, jak wielu z was by się spodziewało, a bardziej w stylu zespołów BALLAST, WITCH HUNT, LOST SIGNAL, PREYING HANDS, a nawet niezapomnianych UNHINGED czy LOST WORLD. Więcej jest w ich muzyce melancholijnego czadu niż typowego crusta. No i przede wszystkim największym atutem zespołu jest zdarty i

emocjonalny głos wokalistki, która wrzeszcząc świetnie uzupełnia te sentymentalne gitary w tle. I aby dodać więcej smaczków, panią wspiera momentami brutalny wokal męski. Brudny czad przeplata się z melodią, którą oprócz tych lirycznych gitar, prowadzi bardzo fajny basik. Kawałki są rozciągnięte, rozbudowane, wiele się tu dzieje. Od momentów szybkich, wręcz wściekłych przechodzą automatycznie w bolesno-smutne gitarowe melodie. Bardzo dobry debiut! BURNCHURCH zagrali w tym roku na Ultra Chaosie i jeśli mogę powiedzieć, że dali niezły koncert, to ta płyta już mnie zdecydowanie rozwaliła. Teksty też mroczne, rozpaczliwe, wręcz apokaliptyczne („Dust And Bones"). Również bardzo emocjonalne, wpisujące się doskonale w muzykę zespołu - strach przed pożerającym wszystko systemem, przemoc wobec kobiet, chrześcijańska dominacja, walka o przetrwanie... Ciekawostką jest, że w utworze „Curses" pojawia się zwrotka napisana w irlandzkim gaelicu. A to ci!
Bardzo ciekawy, czadowy, a zarazem mocno melancholijny album, który powinien się spodobać również tym, którzy, na co dzień crusta nie słuchają. Dodatkową zachętą do złapania tego LP jest świetna grafika na okładce autorstwa Seana Fitzgeralda, artysty znanego z okładek wykonanych m.in. dla E.N.T., RATTUS, PHOBIA czy RAW NOISE.

Pablo

BURNT CROSS - Life Is A Battlefield 7"EP (Active Rebellion/Distroy)

Wydaje mi się, że brytyjski BURNT CROSS jest dość słabo znany w Polsce, a wielka to szkoda... Zespół założyło w 2007 roku w Brighton dwóch braci, Rob i Paul Marriott. Oprócz braci w zespole występuje jeszcze... automat perkusyjny. BURNT CROSS mają na swoim koncie trzy pełne albumy, w tym split z A.U.K. oraz dziewięć singli i dwa splity: z CRESS i ANTHRAX! Spory dorobek, nieprawdaż? Obecnie są chyba jedną z najważniejszych, najpłodniejszych i najciekawszych kapel na brytyjskiej scenie anarcho-punk. Korzeniami sięgają do źródeł, czyli słychać wyraźną inspirację FLUX OF PINK INDIANS, CRASS, ALTERNATIVE, a w tytułowym kawałku nawet CONFLICT. Zarówno w muzyce jak i w przekazie pobrzmiewają echa lat 80., ale tylko echa, bo jednak te cztery kawałki z tego singla wcale nie brzmią jakoś archaicznie, a wręcz świeżo, i przede wszystkim, stymulująco. „Seasons change" jest wolnym kawałkiem z ciekawą, prawie thrashową gitarą i niezłymi solówkami z dodanym lekkim pogłosem, bardzo dobry patent! Jednak najbardziej czadowym kawałkiem jest ostatni utwór „Fuck Russia", może nie szybkim, ale podchodzącym prawie pod d-beat podciągnięty pod Crassowy styl. No i jeszcze mocne teksty, jak na zespół anarcho-punkowy przystało. „Life is a battlefield" - politycy przemienili nasze życie w pole walki, „Mirrors of Deception" - zostaliśmy pozbawieni lepszego świata przez tych, którzy ukradli nasze marzenia. „Seasons change" - czy dokonujemy dobrych wyborów stojąc pomiędzy dobrem i złem? I ostatni kawałek „Fuck Russia" - skazali swych ludzi na piekło, walcz o prawa gejów i bojkotuj te kurwy! Mocny tekst...
Mimo tego, że te nagrania zostały zrealizowane na 8-śladowym magnetofonie w sypialni Roba, to brzmią bardzo dobrze, mają swoje unikalne i ciekawe brzmienie i każdy, kto lubi starą szkołę brytyjskiego peace punka będzie zadowolony z tego singla. Do płytki dołączona jest wkładka z tekstami, naklejka i plakat z grafiką z okładki w stylu artworków znanych z płyt RUDIMENTARY PENI. Warto sprawdzić ten zespół!

Pablo

BURN THE CROSS/CHORYGEN split LP (D.I.Y Koło/N.I.C./No Pasaran Records)

BURN THE CROSS zainteresowali mnie po raz pierwszy, gdy usłyszałem ich split singiel z HOLY EXTERMINATION. Potem miałem okazję ujrzeć ich na żywca i umieścić ich, moim zdaniem, zajebisty kawałek „Flegma" na kompilacji

wydanej ostatnio przez CHAOS. Dzisiaj trzymam w łapeczkach kolejny split, tym razem na dwunastocalówce. Aż siedem brudnych, połamanych, ciągnących się jak smoła, złowieszczych utworów, które zdołują twoje życie jeszcze bardziej. Ciężko mi porównać BURN THE CROSS do jakiejś innej kapeli, bardziej znanej, żebyście mogli złapać jakąś wątłą nić tego, co grają chłopaki z Jasła... Na pewno grają walcowato, ciężko i sporo w ich muzyce połamanych rytmów. Coś pomiędzy sludge i screamo/violence, choć momentów napierdalających z prędkością światła tu nie ma w ogóle. Ja u nich słyszę trochę klimatów DYSTOPII, bo oprócz muzyki te skojarzenia przywołuje wokal Tomka - kraczący, chropowaty, wściekły. No i przede wszystkim swoje robi ten wyłaniające się z ich muzyki syf, brud i stęchlizna. W tych kawałkach cały czas coś się dzieje, są niemal transowe. Jedyne, co mi się nie podoba to brzmienie perkusji... Trochę to słychać jak by ktoś w tekturowe pudło walił. Jednak to tylko mała niedogodność, bo materiał BURN THE CROSS jest bardzo ciekawy. Teksty tak samo przytłaczające jak muzyka: kneblowanie wolności słowa, brudna polityka, ogłupiająca religia, medialna propaganda, ofiary chorej ideologii... Wszystko podane w bardzo mrocznym sosie. No i na deser cover NOOTHGRUSH! Po kilku przesłuchaniach wchodzą mi te nagrania jeszcze bardziej!
CHORYGEN z Łodzi rozpadł się chyba zaraz po nagraniu kawałków na tego splita. Jednak jaskółki ćwierkają wkoło, że znowu ruszają do akcji, więc wypatrujmy ich wkrótce na koncertach! Ich wcześniejszy singiel zrobił na mnie spore wrażenie, bardzo mi się podobał ten klimat apokalipsy i wieszczenie zagłady rodzaju ludzkiego. Tutaj również siedem utworów, które rozpoczyna bardzo d-beatowy „Obłęd". Szczerze mówiąc to właśnie tu tego d-beatowego bicia i raw-punka jest znacznie więcej niż na singlu, choć jest tu i sporo dusznych zwolnień i crustowych gitarek. No ciekawe disowe naparzanko z odpowiednio wypracowanym klimatem i z mocną crustową podbudową. No i teksty też robią swoje. Opisują ten nasz chory świat, jednak mniej w nich mroku niż u BURN THE CROSS, natomiast więcej bezsilnego wkurwienia. CHORYGEN, by podkreślić to, że pochodzą z Łodzi i są zespołem d-beatowym, na sam koniec swojej strony walą coverem DISABLE „Wojna". I wszystko w temacie! Dwie bardzo dobre kapele, które właściwie dobrały się na tego splita. A płytę wydało aż sześć wytwórni: D.I.Y. Koło, Dementia 13 Records, Extinction Records, No Pasaran Records, N.I.C., Stradoom.

Pablo

CELA NR 3 - Stilonka LP (Pasażer Records)

No i kolejna dawka „idoli" sprzed lat na winylu! Z CELĄ NR 3 mam związane dość miłe wspomnienia z lat młodości, bo w gronie ówczesnych kumpli piłowaliśmy kasety z nagraniami CELI bardzo często. A poza tym są to świetne piosenki, które wpadają w ucho i fajnie się wspólnie darło mordę po pijaku, śpiewając choćby „Kwiaty" czy „Piwo". I powiem wam, że jak odpaliłem płytografa to te wspomnienia wróciły i poczułem się jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj...
Na płycie znajdują się nagrania z roku 1987 i są tu wszystkie największe „hity" CELI NR 3. Jest „Polska", są „Kwiaty", jest i „Paw" oraz „Cela nr 3". W sumie 18 utworów. Naprawdę spora dawka melodii, lalala, prostych solówek i chóralnych śpiewów. Powiem szczerze, że dziś te nagrania brzmią dość archaicznie i kto nigdy nie słyszał CELI NR 3, to dzisiaj by tego raczej nie łyknął. Jednak dla tych, którzy się kiedyś w CELI zasłuchiwali to ten winyl jest wspaniałym prezentem. Tym bardziej, że stare nagrania zostały bardzo dobrze wyczyszczone i obrobione, bo brzmią zajebiście jak na zgrane ze stilonki. Dzisiaj ich teksty wydają się nieco infantylne, ale wtedy mówiły o otaczającej nas rzeczywistości, byliśmy młodzi i wszystko przeżywaliśmy inaczej. Z drugiej strony nie da się ukryć, że kilka prawd życiowych w tych tekstach zostało zawartych. No i trzeba nadmienić, że CELA NR 3 kilka razy, w swoich tekstach, mocno dokopała komunistom! Przyjemne melodie, klasyczna poleczka, szybki basik, proste solówczki, urzekające klawisze i sympatyczny wokal ś.p. Kurdupla - tak w skrócie można opisać CELĘ NR 3. Niektórzy próbują na siłę podpiąć ich pod niezapomnianych THE RAMONES, co zresztą sugeruje poniekąd okładka autorstwa Wechtera, jednak ja u CELI NR 3 nic takiego nie słyszę. Bliżej im raczej do brytyjskich kapel 77, choć i to jest stwierdzenie na wyrost. Tak czy inaczej CELA kultowa jest i basta. Bardzo się cieszę z tej płyty!

Pablo

CHAOS U.K. - Studio Outtakes '81-'83 7"EP (Negative Insight)

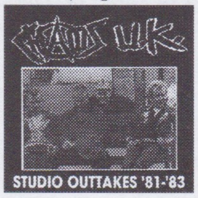

Niezły rarytas dla wszystkich fanów CHAOS U.K. czyli np. mnie! Generalnie jest to siedmiocalówka dołączona do amerykańskiego fanzina „Negative Insight", w którego drugim numerze są materiały o legendarnej bristolskiej scenie lat 80. Gazeta wydana na kredowym papierze, w formacie A-4, a w środku wywiad z gitarzystą CHAOS U.K., Andym Farrierem, następnie wywiad z Gabbą, późniejszym gitarzystą CHAOS U.K., rozmowa z Tafem z DISORDER, a na koniec wywiad z Simonem Edwardsem, który stał przez lata za wytwórnią Riot City. Do tego dochodzi jeszcze opis najważniejszych kapel z Bristolu i tona zdjęć z tamtych czasów i rozkładany plakat CHAOS U.K.
Przejdźmy do singla... Są na nim dwa kawałki. „Maggie" pochodzi z sesji, która miała miejsce 15 sierpnia 1981 podczas nagrywania kawałków na pierwszy singiel zespołu „Burning Britain". Oczywiście tego kawałka nie znajdziecie na tym debiutanckim singlu. Z drugiej strony znajduje się utwór „Police Protection" nagrany w tym samym studiu podczas sesji w 1983, kiedy CHAOS U.K. nagrywali kawałki na swój pierwszy duży LP, który wyszedł w tym samym roku nakładem City Riot Records. Tego numeru też nie ma na tym LP. Jeśli macie w swojej płytotece te dwie wymienione płyty to wiecie już jak brzmią i jak są zagrane te dwa utwory. Miodzio!!! Brakujące ogniwo w ewolucji chaos punka! Gazeta z singlem wyszła w 2013 roku i złapałem ją w jednej z polskich dystrybucji - szukajcie a znajdziecie! Powodzenia!

Pablo

CLEPMATICOS - „Ja estamos todos mortos!" kaseta (No Name Distro & Label)

Wydane nietuzinkowo, choć też nie jakoś odkrywczo... Kaseta zapakowana jest w pudełko tekturowe, jak po kartach do gry, do tego kartka z tekstami, mini plakacik oraz naklejka. Oryginalnie materiał ten wyszedł gdzieś w Brazylii na CD-R w ultra limitowanej edycji trzydziestu trzech sztuk. Mamy tutaj do czynienia z old schoolowym grind corem na brazylijską nutę, dość mocno przesiąkniętym NAPALMEM, ale jest też sporo własnej inwencji. Teksty o nienawiści do drugiego człowieka, świecie, który nas otacza, o kłamstwach, degradacji natury, arabskiej wiośnie...

Urbx

COLD - White Lines CDEP (Antena Krzyku)

Znacie CALM THE FIRE, GOVERNMENT FLU, DAYMARES, SUNRISE i pewno setki innych zespołów z Warszawy? No, akurat CALM THE FIRE są z 3-miasta... A wiem, że czytelnicy „Chaosu" znają te skupiny, bo gdyby nie znali to by „Chaosu" nie czytali, hehe. No to jak

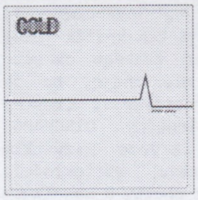

znacie, to wiecie, czego się spodziewać... Warszawsko/3-miejska ekipa serwuje nam świetną jazdę! Krótko, szybko i do przodu, bez pierdolenia, niepotrzebnych wydłużeń, chujowych solówek, po staro-amerykańsku...
Chłopaki grający w tym zespole, wiedzą, co chcą grać i grają to z zajabistym polotem i punkowym wkurwem. Dla mnie miód na serce. Cóż więcej pisać? Trzeba mieć!

QbaQ

COMMODORE 64/RESTRICTION split 7"EP (Hluboka Orba Records)

Debiutanckie wydawnictwo kolejnych dwóch nowych kapel na czeskiej scenie. COMMODORE 64 pochodzą ze Strakonic w południowo-zachodnich Czech, a ich nazwa bardzo pasuje do tego, co grają... A grają old school hardcore w klimatach MINOR THREAT, wczesnych 7 SECONDS czy nawet późniejszych LIMP WRIST. Niezła petarda od pierwszego do czwartego kawałka – szybko, żywo, melodyjnie na cztery akordy, krótko, zwięźle i na pełnym speedzie! Te nagrania pokryte są delikatną ilością brudu, bo w przeciwnym razie brzmiałyby za słodko, a tak jest czad aż miło. No i wokalista wydziera mordę i rozpryskuje ślinę na wszystkich dokoła. I w dodatku robi to w rodzimym języku! Teksty o cyrku, o tym, że punk powinien wychodzić z serca, o tym, że jak się narobi w przeszłości głupot, to prędzej czy później trzeba za to zapłacić, i na koniec protest song przeciwko wojnie, a wszystko zagrane na zajebistym poziomie, prosto, ale z energią i szczerością. Tak trzymać!
RESTRICTION pochodzą z Ostrova, które leży nieopodal Karlovych Var. Zespół obraca się bardziej w klimatach thrash/crossover, na dwa jadowite wokale, szczególnie ten wokal prowadzący jest bardzo, hmm... piekielny. Nie, nie ma tu żadnego growlingu ani wyciągania wysokich partii, po prostu zdarte wrzaskliwe wokale, przypominające sporo thrashowych czy speed metalowych kapel z lat 80. Jednak metal to nie jest. Naprawdę czadowy thrash, coś pomiędzy brudnym D.R.I. a zpunkowionym SODOM, a wszystko podane w diajlajowym sosie. No i teksty też niczego sobie jak na crossover: władza i kościół idą pod rękę, tekst o dialogu z władzą prowadzonym z barykad, nuklearna zagłada czeka nas wkrótce, a na koniec cover legendarnego czeskiego zespołu NAŠROT. Bardzo fajny split, który wydało sześć wytwórni D.I.Y.

Pablo

COSMIC NEUROSE/ULTIMO RAUSEA split kaseta (Ultimate Records)

Kolejna edycja split kasety ze stajni wokalisty ULTIMO RAUSEA.
Obie kapele jak najbardziej z Japonii - to dla niewtajemniczonych.
COSMIC NEUROSE to klasyczny pogo punk rock, choć chłopaki na takich w ogóle nie wyglądają. Punk mocno zadziorny, ale nie brakuje też melodii. ULTIMO RAUSEA to klasyka thrash/japcore'a. Obie kapele po jednym numerze. Do kasety dołączona jest naszywka z logami kapel, a nakład kasety wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć sztuk.

Urbx

CRITICAL THINKING - japoński tytuł kaseta

Fast core'owy d-beat z Osaki. Kawałki naprawdę na full obrotach, żadne kołysanki! Dwa wokale,

gdzie obaj panowie śpiewają w swoim ojczystym języku i to dość zrozumiale, a gdzieniegdzie w chórkach udziela się także dziewczyna. Co mogę więcej napisać? Jest to pierwsza demówka tego zespołu i zawiera sześć utworów, raczej szybka jazda, a kaseta wydana na licencji przez malutkie wydawnictwo z Ukrainy. Szkoda, że taka króciutka ta kaseta, bo zawartość naprawdę zajefajna!

Urbx

CZERŃ - Nie ze skały, a ze strachu CD (Nikt Nic Nie Wie)

Kolejna warszawska super-grupa, nagrywa kolejny super album. Niby EP, a trwa z bonusem prawie 40 minut. Muzyka CZERNI to mocarny, mroczny i walcowaty hardcore zmiksowany ze sludge, delikatnie przybrudzony orleańskim smrodkiem. Niski strój, zdarty wokal wyśpiewujący mroczne i mało optymistyczne teksty. Można powiedzieć, że mamy tutaj miks tego, co najbrudniejsze w hc-punku, metalu czy sludge. Chłopaki powyciągali esencje z tych gatunków muzyki i wyszedł bardzo sprawny i miły dla ucha koktajl brudu. Teksty są z tych klimatów, gdzie smutny wrażliwiec opisuje swoje doznania w tym złym świecie. Zero kwiatków i motylków na łące, sam smutek, dół i zagłada... Połączenie muzy CZERNI z tekstami dają piorunujący efekt. Najfajniejsze jest to, że w realu to fajne sympatyczne chłopaki, a nieziejący mizantropią hejtowcy.

QbaQ

DIABLOP - Punk and Hell CD (wydawnictwo zespołu)

DIABLOP to jednoosobowy projekt niejakiego Piętaszka. Jednoosobowy, czyli gitara, elektroniczna perkusja i inne bajery. Generalnie dość karkołomne połączenie black metalowych naleciałości i hardcore-punka. Jednak Piętaszek wyszedł z tym miksem w miarę OK. Przesłuchałem z zainteresowaniem płytę i generalnie jest spoko. Punkowe teksty i motoryka, jednakże, no kurde, wolałbym żywą perkusję i żywych ludzi w składzie kapeli... Skróciłbym też kawałki (bo jak dla mnie, niektóre wałki trochę się dłużą), ja uprościłbym aranże i setki riffów (haha). W sumie wino nie z tej winnicy... Nie jest to muza dla każdego, ale koneserzy będą usatysfakcjonowani. Ciekaw jestem jak wyglądają gigi?

QbaQ

DISCARD - Death from above 7"EP (Insane Society)

Nasi południowi sąsiedzi wznowili zajebistą epkę, która oryginalnie wyszła w 1990 roku. DISCARD był chyba pierwszą kapelą w Szwecji, która rozpoczęła ten „modny" disowy trend, który trwa do dziś. Zespół powstał gdzieś koło roku 1985. W tym samym roku wydał kasetę „Sound of War", a ojcami-założycielami tej kapeli byli Åke i Chrille z MOB 47 oraz Per Lundström z AGONI. W kapeli jest jeszcze basista Raine i drugi gitarzysta Richard. Mocne disowe brzmienie, szybka d-beatowa perkusja i zdarty, przeciągający wokal Pera. Klasyka! Singiel w 1990 roku wydała wytwórnia Jesus Kudd Records, a w Czechach Insane Society. Singiel zawiera sześć kawałków zaśpiewanych po angielsku. Okładka tego wydawnictwa różni się od oryginału - zdjęcie wojenne jest zupełnie inne, poza tym sama okładka jest ładnie wykrojona a wszystko odbite jest na sicie w kolorze srebrnym. Niestety nie ma żadnej wkładki z tekstami... Kawał świetnej skandynawskiej łupany, która na stałe wpisała się w kanon takiego grania. Ja już mam ten singiel, a kiedy ty go złapiesz?

Pablo

DISWAR - The world in flames LP (La Humanidad es La Plaga Records)

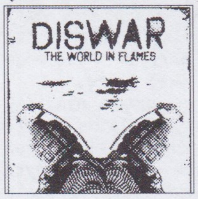

Płytę rozpoczyna intro, gdzie słyszymy wystrzały, wybuchy i zdecydowanie wojnę. Nazwa kapeli też nawiązuje do wojny, dis-na początku, logo pisane disczerdżycą, więc czego można się spodziewać? No pewno wiecie, że kalifornijski punk to nie jest, lecz zespół grający w klimatach DISCHARGE w dibitowym sosie.
Przez dłuższy okres czasu moje muzyczne poszukiwania i odsłuchiwania były w zupełnie innych rejonach hc-punka, więc z wielką przyjemnością słucham sobie baskijskich disczerdżów...
Teksty w konwencji disowej, czyli maksymalnie kilka wersów opowiadających o zniszczeniu, wojnie, zagładzie... D-beat holocaust. Nie ma tutaj piosenek o miłości i czarnych paznokciach. W paru kawałkach są nawet ślady melodii w śpiewie wokalisty. Jeśli lubisz Discharge'ową konwencję to płyta ta jest idealna dla ciebie. Mi robi dobrze.

QbaQ

DZIECI Z BECZEK - ...bujać to my!!! CD (D.I.Y. Koło)

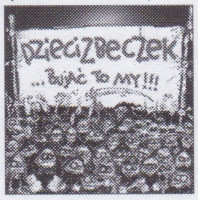

Najnowsze wydawnictwo git-crustów z Łodzi! Przesterowane brutalne brzmienie, choć tylko ono jest crustowe, bo jednak DZIECI Z BECZEK grają surowy punk - szybki, wściekły, specyficzny... Jest tu tylko 6 utworów do posłuchania, za to w porównaniu do poprzednich wydawnictw, kilka z nich jest dość rozbudowanych. Wydaje mi się, że jednak wolę tą krótką formę kawałków granych przez to trio. Takich jak „Kula w łeb!" czy „Wędrówka". No i teksty jak zwykle zajebiste - krótkie, zazwyczaj z powalającą puentą! „Aby zakończyć wędrówkę wystarczy tylko przestać iść" - zresztą cytat z powieści „Metro 2033". Albo: „System znowu zawiódł! Kto to wszystko tutaj posprząta...". No smakowite te teksty, skierowane głównie do polityków i innych tego typu szumowin. No i łodziaki wzięli też na warsztat wiersz Juliana Tuwima „Do prostego człowieka" - tyle lat minęło a nic się praktycznie nie zmienia.
Zespół w dobrej formie, trochę na siłę starają się urozmaicić swoje utwory, ale to tylko kilka momentów w całej ich muzyce, więc bez obaw możecie sięgnąć po ten kompakt. Zresztą jest on bardzo ładnie wydany! Płyta ma lakierowaną okładkę z rysunkami Arka, do tego jest wsadzona w zszywaną kopertę z jakiegoś materiału z kolorowym nadrukiem okładki oraz jako bonusik dostajemy jeszcze naszywkę DZIECI Z BECZEK!
Bardzo sympatyczne wydawnictwo, niesztampowe i oryginalne. Myślę, że DZIECI Z BECZEK są jedynym tego rodzaju „dziwnym" zespołem na naszej scenie. Sprawdźcie ich, bo warto!

Pablo

ECHOES OF YUL - The Healing CD (Tar Trail Records)

Miałem okazję gościć w domu Michała, twórcy ECHOES OF YUL, gdy mieszkał jeszcze w Opolu. Pokój muzyczny prawie, że sterylny, wszystko poukładane, wychuchane, zero przypadkowości. Patrząc na to studio w pokoju, od razu wiedziałem, że ten człowiek, nie należy do chaos boy'ów. Podobnie jest z każdą produkcją ECHOES OF YUL. Wszystko dopracowane i dopieszczone w każdej sekundzie nagrań, które tworzy Michał.
„The Healing" to już kolejna płyta (teraz już jednoosobowego) projektu E.O.Y. Poprzednie wzbudzały i wzbudzają spory ferment, już niekoniecznie na scenie drone/sludge i także niekoniecznie w Polsce.

Michał także jest człowiekiem, który lubi brać wszystko w swoje ręce i sam wydaje lub współwydaje swoją muzykę w duchu Do It Yourself. Jako, że w „Chaosie" też jesteśmy wierni tej maksymie, więc z prawdziwą przyjemnością mogę po kilku odsłuchach zrecenzować płytę.
Po poprzednich płytach, gdzie mieliśmy prawie, że dronowe uczty, kolejna płyta E.O.Y. jest już zupełnie inna. Nie ma już eksplozji masywnych riffów, przeplatanych samplami z horror soundtracków, lecz o wiele więcej dark ambientu, post-rockowych pejzaży, i wyciszenia. Wyciszenia nie są na szczęście wyciszeniami rozluźniającymi słuchacza, lecz wieszczą z reguły preludia do jeszcze większego dawkowania podskórnego niepokoju, tak charakterystycznego dla E.O.Y.
Michał na tej płycie poszedł o krok naprzód, udowadniając, że jest twórcą, który nie zjada swojego ogona, lecz idzie dalej, szukając jeszcze ciekawszych rozwiązań w swojej muzyce. W poprzednich wydawnictwach mistrzostwem były dla mnie sample (prawdopodobnie) z horrorów, na tej płycie też są, ale już w mniejszej ilości, dzięki czemu dalej mamy mrok, niepokój. Płytę tradycyjnie masterował James Plotkin.
Płyta jest spójna, bez ewidentnych rozjazdów stylistycznych, prawie, że koncept. Jeśli lubicie całkowicie w ciemnościach słuchać muzyki, jest to płyta dla was. Tylko pamiętajcie: „Nie lękajcie się"!

QbaQ

EXACEBRACION/ROTTINGREX split kaseta (Grind Father)

Nie wiem ile dokładnie minut ma ten split, ale kaseta jest ultra krótka. Rozpoczyna ROTTINGREX, duet pochodzący z miasta Depok w Indonezji. Spotkałem się już z nimi na splicie z rosyjską CAMPHORA MONOBROMAT, ale jakoś nie utkwili mi za bardzo w pamięci. Ich materiał to siedem kawałków surowego do bólu grind core'a na starą nutę. Nie jest to nic nadzwyczajnego, ale słucha się tego na luzie. Na koniec serwują nam kowery kolegów z podwórka, czyli TERSANJUNG 13 oraz wyżej wspomnianej CAMPHORY MONOBROMATY.
EXACEBRACION opisywałem już gdzieś we wcześniejszych numerach „Chaosu", więc tylko dla przypomnienia albo dla tych, co nie słyszeli. Kolesie pochodzą z Cartago, mieściny spod San Jose. Ich muza to ultra maksymalna surowizna, ale wszystko przyzwoicie i słyszalnie nagrane. Starej szkoły ciąg dalszy, bez dwóch zdań. Jak najbardziej polecam tę egzotyczną grind-mieszankę!

Urbx

EXACEBRACION/SHIT NOISE BASTARDS split kaseta (Grind Father)

Jakoś nigdy do mnie nie przemawiały nagrania SHIT NOISE BASTARD z Indonezji. I w ogóle nie śledzę ich poczynań, choć kapela jest dość płodna. Mają sporo materiału wydanego w samej Europie. Dość często wpadają mi w ręce ich splity (nie przypominam sobie żadnych longów). Ten split nosi tytuł „Hi-gain + distortion=NOISE". Myślę, że to już powinno wam wystarczyć, hehe. Po obu stronach intensywnie blast core'owy grinding noise core. Totalna rzeźnia na przyśpieszonych obrotach. Split raczej dla mocno oswojonych z gatunkiem - 7 MINUTES OF NAUSEA, FEAR OF GOD, EXTREME SMOKE, ANAL CUNT, DECHE CARGE i tym podobne hałasy.

Urbx

FEAR OF EXTINCTION - ...And They Still Suffer 12" (Phobia Records)

Praski FEAR OF EXTINCTION ma na swoim koncie 2 single, trzy splity i udział w kompilacji,

i teraz przyszedł czas na 12" z 10 kopami prosto w ryj! O ile ich poprzednie wydawnictwa zawierały dawkę distortion punka wzorowanego na wczesnych dokonaniach ANTI-CIMEX, SHITLICKERS, ASOCIAL, to na tej płycie zespół przeszedł delikatną ewolucję... Nie, no dalej jest konkretna nawalanka w szwedzkim stylu, jednak mam wrażenie, że zespół zaczął nieco się wzorować na ANTI-CIMEX z późniejszego okresu. Może nie z czasów „Absolut Country of Sweden", ale na pewno poszli krok do przodu. Mniej jest w ich muzyce chaosu, charakterystycznego dla ich poprzednich singli, a więcej dopracowanych gitar i ogólnie wydaje się bardziej klarowne to ich granie. Oczywiście jest w tle zajebisty, klasyczny d-beat, no, bo jak bez tego? Przede wszystkim największą „szwedzką" robotę robi tu wokal - naprawdę facet potrafi się odnaleźć w tym skandynawskim stylu. To nie jest tak, że FEAR OF EXTINCTION to jakaś kopia/klon ANTI-CIMEX. Nie, po prostu grają bardzo podobnie i ciężko uniknąć takich porównań, skoro same nasuwają się po opuszczeniu igły na płytę. Można usłyszeć w muzyce Czechów jeszcze kilka wpływów szwedzkich, znacznie nowszych, jak choćby UNCURBED, jednak to wciąż zespół z czeskiej Pragi. Na tej płycie grają ostrą muzę z chwytliwymi riffami, nawala typowa dla takiego grania rytmiczna perkusja, a do tego wściekły wokal i przesterowane gitary... Teksty też typowe - krótkie, sloganowe. Oczywiście nie obyło się bez kawałków o okropieństwach wojny, chociaż jest ich tylko kilka. Natomiast reszta tekstów traktuje o wyobcowaniu w dzisiejszym społeczeństwie, o rasizmie, zakłamaniu... Jeden z najlepszych zespołów grających w tym stylu na południe od Szwecji. Polecam wszystkim fanom ANTI-CIMEX i miłośnikom przesterowanego d-beatu.

Pablo

FINAL CONFLICT - Ashes to Ashes LP (Tankcrimes)

Album „Ashes to Ashes" został oryginalnie wydany w 1987 roku przez wytwórnię Pusheada, Pusmort Records. Natomiast na moim talerzu kręci się reedycja tego krążka wydana przez Tankcrimes (DYSTOPIA, MUNICIPAL WASTE, VITAMIN X) w 2014 roku. A płyta jest wydana przednio! W środku mamy wielki plakat ze znanym motywem punkowca, ukrzyżowanego na tle wielkie nuklearnego grzyba. Jest oczywiście download code, no i największy rarytasik w tym wydaniu - 24-stronicowy booklet! Jest w nim reprint oryginalnego 16-stronicowego bookletu, który znalazł się w wydaniu tej płyty z 1987 roku. Oczywiście mamy tu dodatkowo sporo zdjęć zespołu, przedruki wywiadów, recenzje z ówczesnej prasy muzycznej, plakaty koncertowe, wycinki z gazet. Mocna rzecz. A najfajniejszym dodatkiem są wypowiedzi i wspomnienia ludzi z kapel i wydawców zinów na temat tej płyty i samego FINAL CONFLICT. Wypowiadają się m.in. ludzie z NAPALM DEATH, DEAD NATION, SPAZZ, CRYPTIC SLAUGHTER i inni. Trzeba jeszcze wspomnieć o zawartości oryginalnego bookletu. Musimy pamiętać, że FINAL CONFLICT nagrali tę płytę w okresie rządów Ronalda Reagana, a jak wiemy, nie było wtedy słodko. I to się przekłada na teksty w booklecie. Nie są to teksty utworów z płyty (te znajdują się na kopercie), a raczej opinie członków zespołu na dominujące wtedy tematy - głównie zagrożenie wojną nuklearną i wyścigiem zbrojeń, kontrola społeczeństwa, rasizm, prawa kobiet, ludzi i zwierząt, przemoc policji, sytuacja polityczna w kraju, scena hardcore punk. Wszystko napisane z wielkim zaangażowaniem. Niezła rzecz...
Czas jednak napisać, co nieco o samym zespole. FINAL CONFLICT powstali w 1983 roku w Long Beach, w Kalifornii. W 1985 roku wydali kasetę demo pod wymownym tytułem „Nineteen Eighty-Five" (które notabene ukazało się na winylu w 2013 roku), a następnie debiutancki album „Ashes to Ashes", który zrobił sporo pozytywnego zamieszania na amerykańskiej scenie. Amerykanie określają ten krążek jedną z lepszych płyt crossover tamtego okresu. No cóż, Amerykanie się nie znają, bo ja tu nie słyszę żadnego crossover... Czystej wody thrash-punk, inspirowany DISCHARGE i brytyjską sceną, ale przede wszystkim CRUCIFIX. Mnóstwo tu czadu, wściekłości, agresji i dobrego bitu, jak choćby w kawałkach „Apocalypse now!", „One Answer" czy „Constant Fear", ale również dużo melodii, pląsającego basu i wspólnych refrenowych śpiewów, głównie w zajebistym kawałku punkowym „Shattered Mirror" czy choćby „Crucifixion". Wspaniałe kawałki - sporo thrashowego punka z metalowymi solówkami, jednak wyraźnie czuć i słychać, zarówno w muzyce, jak i w tekstach, olbrzymią inspirację starszymi kolegami z CRUCIFIX. Myślę, że ci naspajkowani punkowcy z FINAL CONFLICT nakręcili swoją muzyką i przekazem sporo ludzi w Stanach i wkrótce potem mieliśmy wysyp zespołów politycznie zaangażowanych (choćby RESIST czy ANTISCHISM) i grających zupełnie inna muzykę niż klasyczny amerykański hc. Zresztą Kalifornia wydała na świat kilka tego typu zespołów: legendarni CRUCIFIX, mniej znani ICONOCLAST, świetni CHRIST ON PARADE, no i kultowi BATTALION OF SAINTS. Jednym słowem warto mieć tę płytę, bo i fajnie wydana, no i zespół kultowy!

Pablo

FREDAG DEN 13:E - Domedagar LP (Halffabrikat Records/Angry Voice)

Najnowszy i zarazem trzeci pełny album chłopaków z Goeteborga. Nie znasz ich jeszcze? A powinieneś, bo ta kapela wysunęła się już na czołówkę szwedzkiego scandi-core'a i stanęła w jednym szeregu z DISFEAR, WOLFBRIGADE, VICTIMS i SKITSYSTEM!
Na krążku zamieścili 13 kawałków i pierwszy z nich, „Apokalypserna Anfaller" rozpoczyna wręcz black metalowe intro, jednak bez obaw, bo potem przechodzi w konkretną nawałnicę! O ile w pierwszym kawałku jest sporo metalowych gitar i takich samych solówek, to już następny utwór „13 Procent" jest rasowym punkowym wygarem, z perkusją na pełnym kopycie i mocną ścianą hałasu. Zresztą takich kawałków jest tu sporo, takich crustowo-disowych: „Du Skalida" czy zajebisty „Självisk Helvete". Muzyka FREDAG DEN 13:E jest mocno inspirowana metalem, ale tylko inspirowana, bo muzycznie to jednak klasyczny skandynawski czad, który sięga korzeniami najlepszych wzorców z lat 80. Mnóstwo jest w tych kawałkach szalonych solówek i to na dwie gitary, więc bardzo urozmaicają i uzupełniają ten przepotężny czad Szwedów! Czasami takie solówki strasznie mnie rażą, ale tutaj ich brak byłby niepowetowaną stratą. Poza tym, to one wprowadzają do muzyki odrobinę melodii. Zresztą te death metalowe wpływy mocniej słychać choćby w kawałku „Trygghetens Pris", w którym pojawiają się echa ENTOMBED. Natomiast w utworze „Gubbvrak" panowie oparli się o MOTÖRHEAD i powiem szczerze, że połączenie crusta z rock'n'rollem naprawdę sprawdziło się już nie raz, nie dwa. Nie ma co porównywać FREDAG DEN 13:E do innych zespołów, bo sami wypracowali już swoją markę na scenie, ale z drugiej strony bardzo lubię takie smaczki u kapel, kiedy słychać wyraźnie inspiracje klasykami. Bardzo wysoki poziom agresji i brutalności we wszystkich numerach, naprawdę niesztampowe zagrywki gitarowe i riffy na najwyższym poziomie! Nie wspomniałem nic o wokaliście - chropowate i zdarte do bólu gardło wspomagane przez równie rozwrzeszczanego gitarzystę! Esencja takiego grania! Poprzednie dwie płyty bardzo mi się podobały, ich koncert na Ultra Chaosie w zeszłym roku też zrobił na mnie duże wrażenie, ale ta płyta to majstersztyk na najwyższym poziomie! Brzmi naprawdę dobrze, tym bardziej, że mastering zrobił Brad z FROM ASHES RISE. Jedna z najlepszych płyt w tym stylu, jakie było mi dane posłuchać w tym roku! Szkoda tylko, że na okładce zamieszczono teksty w języku szwedzkim, jak dla mnie to mogliby ich w ogóle nie zamieszczać, bo i

tak nic nie rozumiem. Zespół takiego formatu, koncertujący po całej Europie czy świecie, powinien jednak przewidzieć, że świat nie mówi po szwedzku...

Pablo

G-ANX - Flashbacks 2xLP (Threat From The Past/Give'em Hell)

Te nagrania miały wyjść na winylu już kilka lat temu, jednak światło dzienne ujrzały dopiero teraz. Dlaczego, mimo wcześniejszych zapowiedzi, tak długo trwało wydanie tego materiału, nie mam pojęcia. Na szczęście już są i jestem bardzo usatysfakcjonowany tymi dwoma krążkami! G-ANX pochodzili ze Szwecji i zaczęli działać w Huskvarnie już w 1982 roku jeszcze pod nazwą GRAVIDA ANKER. Do kapeli dołączyli Steve, Putte i Hoccy z noise'owego zespołu PENISKNYCKARNA i w 1985 roku zmienili nazwę na G-ANX. Nie zagrali zbyt wielu koncertów w czasie swojej działalności, bo było ich raptem 20. Jednak udało im się zagrać m.in. trasę po ówczesnej Jugosławii! Zafascynowani szybkim hardcorem, grind corem, a przede wszystkim brytyjskim NAPALM DEATH zaczęli sami tworzyć hałas. Brudny thrash-punk połączyli z grindową prędkością, do tego wmieszali metalowy ciężar, nastrojowe gitary, a pod to wszystko podłożyli mroczne klawisze. Jazgot kojarzący się lekko z LÄRM i ELECTRO HIPPIES, jednak kompletnie urozmaicony i zrobiony z własnym pomysłem. Jest w ich muzyce reggae(!), są odjazdy w stylu PINK FLOYD, momenty jazzowe, hard rock, a wszystko podane z zawrotną prędkością i poprzetykane połamanymi zwolnieniami. Szczególnie robią te nastrojowe i klimatyczne wstępy... Nikt tak nie grał ani przedtem ani potem...
Pierwszy raz usłyszałem G-ANX gdzieś pod koniec lat 80. Mój kumpel miał ich split singiel z innymi szwedzkimi napierdalatorami FILTHY CHRISTIANS. Ta EPka zrobiła na mnie monstrualne wrażenie i od tamtego momentu jestem wielbicielem muzyki G-ANX. Mam tylko dwa ich single i dwie kompilacje, na których są po dwa utwory Szwedów, więc tym bardziej cieszy mnie ten dwupłytowy album! Zadebiutowali właśnie tym splitem z FILTHY CHRISTIANS w 1988 roku, a w tym samym czasie pojawiły się dwie kompilacje „Really Fast Vol 4" i „Hard-core For The Masses" i właśnie cztery utwory z tych składaków otwierają pierwszą płytę. Następnie są nagrania ze splitu, singli „Far Out" z 1989, „Masterpeace" z 1990 i „Out of Reach" z 1993 roku. Ten ostatni singiel kończy pierwszą stronę trzeciego winyla. No nie całkiem, bo są tam jeszcze trzy bonusowe kawałki nagrane chyba podczas ostatniej sesji, w tym cover DISCHARGE „Doomsday". Strona D zawiera nagrania G-ANX z prób z lat 1984/85 oraz kawałki z demo z roku 1986. No, jakość ich jest momentami średnia, choć kompletnej tragedii nie ma. Jest tu więcej czadu, hałasu i chaosu niż na nagraniach późniejszych, jednak też jest zajebiście. Poczynając od pierwszego singla G-ANX do ich ostatnich nagrań z 1993 roku słychać doskonale jak zespół się rozwijał i urozmaicał swoją muzykę. Ich ostatni singiel „Out of reach" miał być w sumie pierwszym pełnometrażowym albumem G-ANX, ale praca nad materiałem w studiu przeciągała się i jakiś idiota wymazał wszystkie ścieżki... To, co zostało z nagrań ukazało się właśnie na tym singlu. Wielka szkoda... Zespół nie miał już siły, by skompletować te wszystkie utwory i nagrać je jeszcze raz. G-ANX zakończyli działalność w 1991 roku. Udział wzięli: Hedda - gitara basowa, Patrik - wokal, Steve - gitara, Hoccy - perkusja. Hoccy i Steve założyli w 1992 roku zespół COUNTERBLAST. Hedda grał w KUIKKOS & IDOITERNA, a Putte wyjechał na stałe do Meksyku.
Aha! Trzeba jeszcze nadmienić, że większość tych nagrań wyszła na CD w 1993 roku, pod tym samym tytułem, a wypuściło tę płytę Sound Pollution Records.
G-ANX byli jednym z najoryginalniejszych i niepowtarzalnych zespołów szwedzkich, więc zachęcam wszystkich ciekawskich by złapali ten dwupłytowy krążek, bo naprawdę warto! Tym bardziej, że oprócz zawartości muzycznej jest również ładnie wydany, polakierowany gatefold z mnóstwem zdjęć zespołu, grafik i króciutką historią G-ANX. Dla mnie to „lektura" obowiązkowa!

Pablo

GAROTA - s/t CD (wydawnictwo zespołu)

Na punkowej mapie Polski, zawsze mocnym punktem była Kuria Lublin. Od kilkunastu miesięcy mamy kolejną ciekawą kapelę, mianowicie GAROTĘ. Generalnie nie wiem nic o wcześniejszych dokonaniach muzycznych członków tej skupiny, ale ogranie świadczy, że nie są ludźmi trzymającymi pierwszy raz instrumenty w rękach. Muzyka GAROTY to brudny, lekko krastująco-traszujący hc-punk z fajnym zdartym wokalem Magdy, która nieźle „ciągnie" do przodu kapelę. Dobre teksty z cyklu, „co mnie boli i wkurwia". Czasem pojawiają się też męskie wokale.
Muza GAROTY jest nieźle zaaranżowana i w konwencji, w jakiej grają, nie nudzi ani trochę. Generalnie w tej misce miodu jest też łyżka dziegciu - solówki w kilku wałkach. Kiedy z prawdziwym zadowoleniem słuchałem sobie płyty GAROTY, solówki były jak uderzenie siekierą w głowę... Wybitnie nie pasują do tej muzyki. Pomijając solówki to płyta jest git, nawet bardziej niż git!

QbaQ

HELLSTORM/PANICOS split LP (Scarecrow/Scream Records)

Split dwóch, według mnie, najlepszych obecnie greckich kapel. HELLSTORM możecie znać ze splitu z nieodżałowanym belgijskim zespołem LAST LEGION ALIVE, ale również z ich samodzielnych wydawnictw, o ile ktoś interesuje się grecką sceną. Na ich stronie znajdują się trzy utwory, bardzo mroczne, zarówno w warstwie tekstowej, jak i w klimacie muzycznym. Metalowy, ponury i posępny crust w stylu EXTINCTION OF MANKIND/WARCOLLAPSE/DISFEAR. O ile ich wcześniejsze nagrania oscylowały w klimatach d-beatowych, to w tych najnowszych kawałkach połączyli rasowy crust z metalowym zacięciem. Naprawdę robią dobrą robotę te trzy utwory i wygląda na to, że HELLSTORM na dobre odnaleźli się w takim graniu. Świetnie wypracowali gęstą, mroczną i przytłaczającą atmosferę w swojej muzyce, no, ale co dwie gitary to nie jedna, prawda? No i oczywiście głęboki growlingujący wokal, kilka szybszych momentów oraz „amebixowe" wstawki stawiają HELLSTORM naprawdę na wysokiej półce! W zeszłym roku wydali też 7"EP, jeszcze nie mam, ale już szykuję na nią miejsce na regale, bo nagraniami z tego splitu właśnie mnie kupili!
Mam nadzieję, że PANIKOS nie trzeba nikomu przedstawiać, bo grają już od połowy lat 80. Można powiedzieć, że są zespołem legendarnym wręcz... Bardzo lubię ten zespół, śledzę na bieżąco ich poczynania i poluję na ich wydawnictwa. To są ich ostatnie nagrania, nie licząc płyty z kawałkami z lat 90., która wyszła w zeszłym roku. PANICOS już dawno wypracowali swój własny styl grania, który odrobinę się zmienił po ich reaktywacji kilka lat temu. Grają bardziej metalowo, mieszają, momentami nieco psychodelicznie, ale cały czas czuć w ich nagraniach ten mroczny, „amebixowy" klimat. Na ich stronie też tylko trzy utwory, ale oczywiście mocno rozbudowane i ciekawe. We wszystkich kawałkach dołożyli partie zwariowanego saksofonu, co tylko dodało smaczku tym nagraniom! Wszystkie utwory robią wrażenie mocno tajemniczych, takich troszkę onirycznych, szczególnie, że pląsa ten saksofon, linia basu wprowadza mroczny klimat jak za dawnych lat, gdy PANICOS pełnymi garściami czerpali z dokonań brytyjskiej sceny crust. No szczególnie w drugim kawałku jest dość psychodelicznie, ale bardzo nastrojowo. Dobrze to zrobili! Natomiast ostatni utwór na tej płycie to już zakręcony metalowy ciężar z wkurwionym, deklamującym tekst, wokalem. Ciekawy klimat, gitarowy wolny ciężar i sporo smaczków w postaci saksofonu czy różnych elektronicznych wstawek w tle. Jak dla mnie to PANIKOS są jednym z najbardziej interesujących zespołów grających w takim mroczno-crustowym klimacie, i choć sporo na tej płycie psychedeli i zakręconego grania to i tak wybijają się na czołówkę peletonu. Szkoda tylko, że na wkładce PANICOS zamieścili tylko greckie teksty... Polecam gorąco ten kawałek winyla, jak również obie kapele do zbadania, jeśli ktoś nie zna.

Pablo

HERIDA PROFUNDA/HELLBASTARD picture disc LP (D.I.Y. Koło)

Nie przepadam za picture discami, choć kilka takich płyt znalazłoby się na mojej półce, ale nie przepadam... Tutaj nie miałem wyboru, bo ta płyta wyszła tylko w takiej formie. Swoją drogą, krążek wygląda super. Na stronie HERIDA PROFUNDA rzuca się w oczy bardzo ładna, kolorowa grafika Wechtera. Na stronie HELLBASTARD już mniej rewelacyjnie - logo i fotki w kolorze, ale co tam - najważniejsza jest zawartość!
Z gorzowskim zespołem HERIDA PROFUNDA możecie przeczytać wywiad w tym numerze „Chaosu", więc nie będę się o nich rozpisywał. Po LP wydanym w 2013 roku zespół raczy nas kolejną dawką czadu. Aż 9 kawałków, w tym na samym końcu cover NAPALM DEATH! Techniczny thrash metal przeplatający się z crustową naparzanką i chwytliwymi zwolnieniami. Ciekawie rozbudowane utwory, wściekły wokal, momentami wpadający w growling, a wszystko podbudowane mocno metalowymi gitarami - brzmi to naprawdę bardzo ciekawie. Zauważyłem, że zarówno bas i gitarę nagrywał Jędras, znany choćby ze studia Riot, gdzie ten materiał został nagrany. Zespół ma też konkretny przekaz, poruszają w tekstach problem konsumpcji i marnotrawstwa, pojawia się „programowa" nienawiść do policji, negują cyrk ze zwierzętami, uderzają w system i deklarują się, jako antyfaszyści - tak trzymać! Bardzo fajne kawałki, ciekawie zagrane i nagrane i chyba warto ich sprawdzić na żywo.
HELLBASTARD - legenda brytyjskiego crusta, która już od lat crusta nie gra... Pierwszy kawałek otwierający płytę jest instrumentalny, a zrobił go niejaki Andy Wiggins, były klawiszowiec AMEBIX! Sympatyczna melodyjka i tyle. Potem już nadciąga zmasowany czad! HELLBASTARD dzisiaj to już kompletnie inna muza - pełną gębą crossover po linii D.R.I./ RATOS DE PORAO ze sporą dawką thrash metalowych naleciałości. Nie jest to złe, choć jak dla mnie, to wolałbym cały czas crossoverowe kopyto zamiast rozbudowanych, zamieszanych utworów z przeciąganymi solówkami. Jednak trzeba przyznać, że mają też bardzo dobre momenty czy wręcz rewelacyjne, jak choćby „Big Business Pighole". Zresztą wokal Scruffy'ego, oryginalnego członka HELLBASTARD, brzmi naprawdę świetnie i bardzo pasuje do tego crossoverowego stylu. Można powiedzieć, że muza dla fanów D.R.I., THE ACUSSED czy nawet SLAYER! Oczywiście wszystko zagrane i nagrane na wysokim poziomie, ciekawie zrobione kawałki i nawet solówek, które mnie u nich męczą, nie ma tak wiele! Najciekawszy na płycie jest ostatni utwór „To The Dead", który brzmi momentami jak AMEBIX z ostatniej ich płyty „Sonic Mass". No i jak na taką muzę to zespół ma mocne, polityczne teksty, w których nie owijają w bawełnę (cokolwiek to znaczy - owijać w bawełnę!). Naprawdę świetna płyta, i o ile płyta HELLBASTARD „The Need To kill..." z 2009 nie podobała mi się, to te kawałki ze splita są zajebiste!
Do kolorowej płyty dołączona jest wkładka z tekstami obu kapel, plakat z grafiką Wechtera z jednej strony i logasem Anglików z drugiej, jest też naklejka HERIDA PROFUNDA oraz wkładka z namiarami na wszystkie labele, które wydały ten krążek: Wooaaargh, Here And Now! Records, Vleesklak Records, Mundo En Kaos Rrecords, Pandora Records. Incredible Noise Records, Phobia Records, Grind Your Mind Records, N.I.C. Records, 783 Landsberg Hardcore crew,

Svoboda Records, Civilisation Records, D.I.Y. Koło Records, Tercer Mundo Distro i Doomstar Bookings. Uff! To tyle. Polecam tę płytę, bo daje sporego kopa!

Pablo

HESBOLLAH/WÓDA I PETY - Pure sound/War Is Coming 12" (Wydawnictwo zespołu)

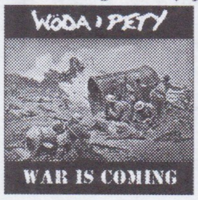

Limitowana do 100 egzemplarzy płyta, która wyszła chyba dwa lata temu, ale dopiero teraz było mi dane ją trafić… Oba zespoły pochodzą z Warszawy i oba nieco zaskakują… HESBOLLAH otwiera swoją stronę elektroniczno-miksowanym utworem instrumentalnym, który jest zarazem coverem grupy KISS. Hmm… Nic nie wiem o tym zespole, ale te kawałki to chyba spore jajo i polewka… Niby taki grindowy klimat, ale jednak nie do końca. Trochę elektronicznych wariacji w kawałku „A Middle-Man calling woman…", darcie łacha z grind core'a w utworze „Bla, bla, bla!!!!", ponadto cover DEZERTERA „Szara Rzeczywistość" w nieco szybszych tempach niż zostało to zagrane w oryginale. No zupełnie nie moja bajka i kompletnie nie kumam takiego eksperymentalnego granie, nawet, jeśli jest podane z przymrużeniem oka.
WÓDA I PETY – logo stylizowane na DISCHARGE, po pojechanym elektronicznym intro (nieco przydługim) wchodzą od razu z coverem właśnie DISCHARGE „It's No T.V. Sketch". Mocno grindowe brzmienie i perkusja z automatu… Jest tu chyba ktoś, kto grał w zespole ANTIGAMA, ale nie jestem w temacie. No cóż… Na stronie WÓDA I PETY (zajebista nazwa!) jest 8 utworów w tym cover wspomnianego DISCHARGE. Ekipa wali szybkiego, ale mało brutalnego grind core'a, bez growlingu, ale za to z automatem perkusyjnym. Słychać „fascynacje" klimatami disowymi/d-beat'owymi, jednak wciąż mam wrażenie, że te nagrania też zrobione są trochę z jajem. Szczególnie tytuły to sugerują „Krew i rzeź", „Poskręcane trupy"… Nie ma tekstów na wkładce, ale przebijają się z hałasu co poniektóre frazy, które brzmią jak rymowanki wzorowane na tekstach SIEKIERY. No nie wiem, nie moje klimaty. Ani to dla mnie śmieszne, ani ciekawe. Pozostawiam wam tę płytę do oceny, jednak myślę, że zespół WÓDA I PETY na pewno znajdzie, o ile już nie ma, swoich dozgonnych fanów.

Pablo

HIDDEN WORLD - Singles CD (Antena Krzyku)

Hmmm, mam niesamowity problem z tym zespołem. Bo i znam część członków tej kapeli (grających wcześniej w PANACEA) i bardzo ich lubię, ale ciężko mi pisać recenzję, gdyż nie będzie zachwytów. Zaś dlaczego, przeczytacie poniżej. HIDDEN WORLD wzięci pod nadopiekuńcze skrzydła Arka z Anteny Krzyku, nabrali wiatru w żagle i wydali epki. Epeczki zostały wydane na CD, który właśnie trzymam w rękach. Materiał(y) są świetnie zagrane i nagrane, fajne aranże, dobre teksty... Słychać, że chłopaki nie od miesiąca trzymają instrumenty w rękach i potrafią je dobrze używać. Nie mniej jednak, w przypadku HIDDEN WORLD jest podobnie jak z wrocławiakami z WE ARE IDOLS. Wszystko jest bez zarzutu, bym powiedział perfekcyjne, ale taka rockowa poprawność i przewidywalność, hmmm... środkowość zabiła TO COŚ! Tego ducha, jaki jest wyczuwany w 80% niszowych kapel... Cholera, to byłoby zajebiste granie, gdyby było bardziej dzikie! Gdyby wokalista potrafił bardziej się wydrzeć i byłoby TO COŚ... Może to zabrzmi mocno niesprawiedliwie, ale czasem mam wrażenie, że takie zespoły jak HIDDEN WORLD, są mocno wyrachowanymi merkantylnymi tworami. Nawet nie wiecie jak mocno mam mieszane uczucia, zwłaszcza, że inne zespoły, w których udzielają się członkowie HIDDEN WORLD są super, a wręcz zajebiste! Jednak musicie ocenić to sami, słuchając tej płyty. Może po prostu się mylę i jestem wieśniakiem bez gustu...

QbaQ

HIPEREMESIS/AGATHOCLES split kaseta (Grind Father)

HIPEREMESIS to maksymalnie niszczycielski gore/mince core z USA, o potężnym brzmieniu, mocno w klimatach starego REGURGITATE, LDOH, AGATHOCLES, trochę AUTOPHAGIA, ULCERHORREA... Wokale na ultra przesterach, brutalne kible bez dopalaczy. Brzmienie ciężkie i wystarczająco brudne, hehehe. Sporo blastów i d-beatowych zagrywek. Kapela obecnie wydaje masę splitów po całym świecie.
Strona AGATHOCLESA bardzo mi przypomina niektóre nagrania innego projektu, w którym udzielał się Jan, a mianowicie JAN AG AND THE GANJA. Mocno odjechany brudny raw/punk po linii starej japońskiej szkoły jak GISM czy inne KURO. Kasetka króciutka, do niej jest dołączona elegancka wkładka.

Urbx

HOPE ON - s/t CD (wydawnictwo zespołu)

Mózgiem białostockiego HOPE ON jest Przemek, którego kumaci kojarzą, jako gitarzystę i wokalistę kultowego TOKARZA INFERNO (świetny noise band z pałkerem i gitarzystą ZŁODZIEI ROWERÓW w składzie). Klimaty HOPE ON to jednak nie jest surowy i dziki noise TOKARZA INFERNO, lecz freakowy alternatywny bujający brudnawy rock (?). Chuj go wie, niemniej jednak to bardzo ciekawa płyta...
Pierwsze skojarzenie po odsłuchu płyty to podróż na kwasie STARYCH SINGERS (te dadaistyczne teksty!!!), gdzie kierowcą jest Jimi Hendrix, a za GPS robi brudny Ozzy... Czyli jest dużo podróży i odjazdów. Czasem mam takie kwaśne dni, że muzyka HOPE ON zajebiście mi wchodzi i chyba o to chodzi. Minusem tej płyty jest może zbytnia jej długość, przy tego typu muzie dla mnie max to 30 minut, im dłużej tym gorzej.
Muszę także zwrócić uwagę na genialne art-workowe wydanie płyty. Kartonik z pie-czątką, czy nawet taki drobny niuans jak szyta na maszynie do szycia folia. Wydawniczo perełka, muzycznie ładna muszelka.

QbaQ

ICON OF EVIL/THE DEAD GOATS split 12" (Dark Side Of Punk Records)

Na tym splicie spotkały się dwie metalowe potęgi sceny niezależnej: ICON OF EVIL - dolnośląska odpowiedź na BOLT THROWER i THE DEAD GOATS - białostocka odpowiedź na DISMEMBER! A tak na serio, to przyznam się, że z niecierpliwością czekałem na to wydawnictwo. Byłem ciekaw jak wypadną na jednym splicie dwie najciekawsze kapele grające „punkowy" death metal w naszym kraju. Ostatnie płyty obu zespołów były bardzo dobre, a ten split tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że trzeba iść za ciosem i czekać na następne wydawnictwa tych piekielnych hord. ICON OF EVIL częstuje nas dwoma ciężkimi walcami w klimacie... no właśnie, chyba już w klimacie ICON OF EVIL, bo chłopcy wypracowali już dawno swój styl, który opiera się na pewno na dokonaniach tuzów death metalu, jednak ma swój osobisty, że tak powiem, charakterek. Zespół niczym nowym na swojej stronie płyty nas nie zaskakuje - nadal łupią techniczny, ciężki i złowrogo brzmiący death metal. Natomiast mogę śmiało powiedzieć, że z płyty na płytę rozwijają się technicznie i warsztatowo. Sporo tutaj smaczków gitarowych, dwie stopy robią klimatyczne tło, muzycy łamią rytm, przyśpieszają, zwalniają, i te właśnie zwolnienia są dla mnie najwyborniejsze. No i oczywiście wokal Mokrego jak zawsze przedni - growl, jak to mówią, na pełnej wątrobie, momentami pojawia się jadowite syczenie wściekłością - jednym słowem - samo zło! Choć śmiem twierdzić, że jednak Mokry miał większe pole do popisu, gdy darł paszczę w INFEKCJI. Co jednak nie zmienia faktu, że oba kawałki ICON OF EVIL są wyśmienite, bardzo dobrze zagrane technicznie, pełne mroku i wkurwienia. A to wkurwienie przekłada się przede wszystkim na teksty - tym razem z dość ironicznym zacięciem, Mokry wylewa na zewnątrz swoje obserwacje dotyczące zachowawczego „dobrego" obywatela i chorych bigotów. Nic się nie zmienia w tych zaściankowym kraju...
THE DEAD GOATS to również death metal, lecz granie zupełnie inne. Nie ma, że wolno... Cały czas jadą pełną parą, bez zatrzymywania się, bez oddechu. Opierają się na szwedzkiej czy brytyjskiej nucie, jednak oni również wypracowali własne brzmienie i stylówę, co może tylko cieszyć. Na stronie THE DEAD GOATS tylko trzy kawałki, z których pierwszy na ich stronie, „Mentally Orphaned", bierze mnie najbardziej! Na pierwszy rzut ucha to sporo jest chaosu w ich muzyce, ale to tylko złudzenie, bo zespół po prostu gra bardzo żywiołowo i przed wszystkim szybko. Wiadomo, że momentami zwalniają, co nie znaczy, że jest mniej brutalnie. Tylko trzech chłopa a taka jatka, podziw! No i na koniec MARTWE KOZŁY częstują nas klasyką, czyli coverem AUTOPSY, co tylko dowodzi, że cały czas czerpią z dobrych wzorców. Jeśli sprawiają wam frajdę ich poprzednie wydawnictwa to tym splitem również nie będziecie rozczarowani. Konfrontacja dwóch metalowych potęg wypadła dobrze, jest remis, obie kapele są wyjebiste!

Pablo

KAKOFONI - Seizures 7"EP (Phobia Records)

Ludziska ze szwedzkich zespołów MAKABERT FYND, DISSEKERAD i amerykańskiego HELLKONTROLL utworzyli nową kapelkę, którą warto poznać! Dodam, że perkusista tego zespołu gra obecnie w EYEHATEGOD! Jednak nie spodziewajcie się żadnego sabbathowego walca, bo KAKOFONI grają wściekłego klasycznego raw punka w klimatach wczesnego ANTI-CIMEX/MOB 47 z mocno crustowymi wokalami, choć bez growlingu. Jest szaleństwo, wściekłość, agresja i klasyczne d-beatowe zaplecze. KAKOFONI jak na granie takiej klasycznej muzy brzmią raczej dość świeżo i nowocześnie. Nie ma żadnych odgrzewanych kotletów, za to jest hejt, brutal i cztery kawałki w kilka minut! Nowy zespół, nowe doznania – warto się zapoznać, bo KAKOFONI potrafią podładować baterie!

Pablo

KALDERA/CZERŃ split 12" (Antena Krzyku)

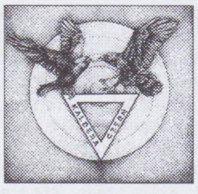

Mrok kompletny, muzyka gęsta, smołowata, brudna i to z obu stron płyty. Warszawska CZERŃ i puławska KALDERA dobrały się wyśmienicie na tym splicie, choć muzyka obu zespołów różni się znacznie, to jednak oba zespoły świetnie się uzupełniają. Coraz więcej w naszym kraju pojawia się zespołów, które grają muzykę łączącą różne style, muzykę ciężką, walcowatą, z dużą dawką black/death metalu – najłatwiej określić to etykietką post hardcore, post metal, post – coś tam… Jednak to dość szerokie pojęcie, bo w tym wypadku, zarówno CZERŃ i KALDERA grają oryginalnie i w swoim własnym stylu, więc określenie post-coś tam, mówi nam wszystko i nic…
KALDERA pochodzi z Puław, a w skład zespołu wchodzą muzycy z zespołów PANACEA, THE BLACK TAPES czy TBTB. Dwa nagrania tylko, mroczne, depresyjne, jednak zupełnie w innej konwencji niż gra CZERŃ. Bardzo mroczne dźwięki, połączenie sludge'owej lepkości z brutalnym black metalem, wszystko odbywa się bardzo wolno a rozbudowane kawałki rozciągają się w transowym klimacie. Brzmią naprawdę złowieszczo, dołująco i smutno… Smutno, przede wszystkim, dzięki śladowej melodii w skondensowanej ścianie dźwiękowego mroku. Z tej głębi i gęstwy muzycznej ciemności wyłania się wrzaskliwy, emocjonalny i na wskroś przeszywający wokal, który serwuje nam

kolejną dawkę mroku, tym razem w tekstach… Porównanie do AMEN RA czy nawet NEUROSIS chyba jest na miejscu. Ponuro i bardzo wolno…
CZERŃ natomiast to dość świeży zespół z Warszawy, który na swoim koncie ma tylko jedno demo, które wyszło też na CD w NNNW. No i ten split z KALDERA, z którego trzy nagrania przenoszą zespół do czołówki takiego grania w Polsce. Mniej tu sludge'owych momentów, a więcej metalowych gitar, więcej kombinowania, łamania, nastrój budowany jest stopniowo, narasta i narasta… a na sam koniec pierwszego utworu przechodzi w metalową nawalankę! Jest moc! Zresztą, jak wspomniałem przed chwilą, sporo w muzyce CZERNI jest metalowych riffów, smutnych solówek w tle… No jak by nie było, to gra tu ktoś z SUNRISE, nie? Teksty przygniatające, lecz mimo klimatu z sennych apokaliptycznych wizji przebija się jednak jakaś nikła nadzieja, szczególnie w tekście „Rzeka"… „Jesteś jak rzeka, więc płyń ku celowi…". Czekam na pełny album zespołu CZERŃ!!!
Jednak wydawca zrobił mnie trochę w balona… Na płycie są pomylone naklejki oznaczające strony. Tam gdzie są nagrania CZERNI widniej kółeczko z nazwą KALDERA i na odwrót! Wybaczam, bo muzyka przednia, wyrafinowana i na wysokim poziomie!

Pablo

KEHLVIN/FLESHWORLD - To Deny Everything That's Mundane LP (Unquiet Records)

Wydawcy idą teraz na łatwiznę wysyłając z reguły promocyjne CD lub CD-R, lub najchętniej wysyłaliby mailem empetrójki. Jako, że w „Chaosie" jesteśmy oldskulowcami, to lubimy fizyczne nośniki mieć w swoich łapkach. Empetrzy ssają! W przypadku tego splitu, czy większości pozycji Anteny Krzyku, dostałem właśnie CD do recenzji. Dobrze, że teraz mam samochód (ma się w końcu to prawo jazdy, hehe) i większość recenzowanych płyt słucham w aucie jadąc do pracy lub z pracy. Split ten wyszedł na winylu, jednakże nigdzie w dystrybucjach punkowych nie miałem możliwości kupna, a akurat tę płytę chciałem mieć na winylu.
W ręku mam namacalną płytę - split krakowskiego FLESHWORLD i szwajcarskiego KEHLVIN. Na okładce mamy czachę i jakieś diobelskie symbole, czyli pierwszy rzut oka i nie jest źle. Krakowianie grają wolny sludge'owaty post-metalowy walec z mocarnymi riffami i fajnymi wokalami. Nie ukrywam, że lubię taki sound i mam do niego słabość. Zmiany w kapeli i wyjebanie z niej jednego kłopotliwego człowieka zrobiło temu zespołowi tylko dobrze, a nawet bardzo dobrze. Jest konkretniej, bardziej poukładanie. Tak trzymać. Panowie, liczę na całą płytę, niekoniecznie kolejny split.
Muzyka szwajcarskiego KEHLVIN to jest ciut inna bajka niż FLESHWORLD. Mamy tutaj do czynienia z bardziej szaleńczym graniem, niż krakowiacy. Nie ma tu dużo post metalu, a jest więcej post-hardcore'a. Słyszę echa COALESTENCE czy nieodżałowanych METRONOME CHARISMA. Może to zabrzmi dziwnie, ale jest mniej rzemieślniczego wyrachowania, a więcej szaleństwa. Podsumowując, mam w rękach bardzo wyrównany split. Mastering tej płyty robił koleś z CULT OF LUNA i akurat tę pozycję chciałbym mieć na winylu.

QbaQ

LAZY CLASS - Better Life 7"EP (Rebellion Records)

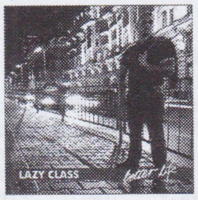

Bardzo lubię stare płyty BLITZ, COCKNEY REJECTS i innych klasyków gatunku oi!/street punk - grały prosto, szorstko, surowo, ale to granie łapało za serce. Niestety w Polsce dobrych grup odwołujących się do tego stylu było jak na lekarstwo. Dominowały z reguły prymitywne, toporne i siermiężne grupy „apolitycznych" agroskinów będących często w szarej strefie. Nie przekonywały ani muzycznie, ani tym bardziej tekstowo. Nie chciałbym zostać źle zrozumianym - lubię prostą muzykę, ale prymitywne buractwo zdecydowanie mnie nie bierze. Niezmiernie zatem, cieszy mnie fakt pojawienia się naszej scenie zespołu LAZY CLASS, którego słucha się z nieskłamaną przyjemnością, bez grama zażenowania. Melodyjne, przebojowe, wysoce energetyczne granie na światowym poziomie. Od razu czuć spory potencjał. Jest naprawdę elegancko!!! LAZY CLASS to względnie młoda warszawska załoga street punk/oi działająca od 2013 r. Stworzyła ją paczka starych wyjadaczy, którzy udzielali/udzielają się w takich formacjach, jak GOOD OLD DAYS, THE DAMROCKERS, B.D.K., CORE BALL, WOUNDED KNEE WARSAW DOLLS, etc. Tak więc nie ma mowy tutaj o jakichś debiutantach, tylko konkretnej ekipie z bagażem doświadczeń z szerokimi gustami muzycznymi. Kapela proporcjonalnie czerpie zarówno z klasyków z lat 80., jak i ze współczesnych grup tego nurtu czy ogólnie z szerokiego pojętego punk rocka.
Debiutancka EP'ka zawiera cztery kompozycje: „Better Life", „Violent World", „He'll Never Return" oraz „Kiedyś". Nakład wynosi 300 egzemplarzy (z czego 100 na fioletowym winylu). Jeśli ktoś do tej pory nie zdążył nabyć to radzę, czym prędzej poszukać, bo z tego, co się orientuję, została totalna końcówka nakładu. Dodam tylko, że pierwotnie ten materiał zespół samodzielnie wydał sobie na CD. Warszawiacy nie zwalniają tempa, rozwijają się bardzo szybko, sporo koncertują, również za granicą. Chłopaki idą za ciosem, gdyż wkrótce pojawić się mają kolejne ich wydawnictwa: winylowa 10" w Rebellionie pt. „Hell of San Domingo" a niedługo potem split 12" z lubelskim MAX CADY. Niecierpliwie czekam. Jeśli lubisz BISHOPS GREEN czy LION'S LAW na bank przypadnie ci do gustu LAZY CLASS. Wysoce rekomendowane!

(B)

LAZY CLASS - Hell of San Domingo CD (Rebellion Records)

Po zajebistej epce warszawiacy nie zasypują gruszek w popiele i idąc za ciosem wydają już prawie pełny album. O LAZY CLASS można powiedzieć, że mamy pełnokrwisty eksportowy towar w klimatach oi/street. Poziomem warszawska skupina niczym nie ustępuje innym zagranicznym tuzom oi/punka. Duża dawka melodii, przyśpiewów, chórków. Fajnie się tego słucha. Na CD jest kilka wałków, gdzie gościnnie udziela się Iglak z BULBULATORS. Jego wokal średnio mi się podoba, ale przyznać muszę, że LAZY CLASS śpiewający po polsku, mają przynajmniej jeszcze większy zasięg rażenia. Panowie, może więcej w oi-czystym języku śpiewajcie? Czasem też wybiorę się na koncert i, nie tak dawno w Bielsku, miałem okazję na żywo oglądać LAZY CLASS i powiem wam jedno - na żywo jest o 50% więcej energii niż można usłyszeć na płycie. No i przede wszystkim to fajni kolesie!

QbaQ

MARTIM MONITZ - s/t CD (Antena Krzyku)

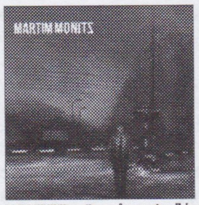

Zespół MARTIM MONITZ jest chyba jedną z ciekawszych pozycji wydanych przez, obecnie rzeszowską, Antenę Krzyku. Kolega Marczyński wpadł w wydawniczy szał i prócz reedycji kultowych płyt z lat 90., wydaje takie perełki jak MARTIM MONITZ. Powiem tylko tyle, jeśli jest ci bliski sercu dźwięk z wytwórni Amphetamine Records czy Touch And Go, lubisz nieludzką bezduszność muzyki pana Albiniego, to MARTIM MONITZ zawładnie na długie zimowe wieczory twoim sercem (i odtwarzaczem). Jako, że pan Steve i wyżej wymienione wytwórnie są przeze mnie bardzo lubiane, więc siłą rzeczy zakochałem się w tej płycie (podobnie jak większość „tych, co kumają czaczę"). Od przepięknej i czasem bardzo emocjonalnie zimnej muzyki, po przecudowną okładkę - nie ma słabych punktów, no może jest jedno „ale"... Trochę, hmm... art teksty. Gdzie ja, prosty chłop ze wsi nie do końca rozumiem, co artysta miał na myśli. Jednak to akurat drobny szczegół, bo niekiedy mam wrażenie, że wokal w MARTIM MONITZ jest dodatkowym instrumentem, a że dobrze gra, to po co wchodzić w szczegóły, co nie?

QbaQ

MASZYNY I MOTYLE - Panoptikon CD (wydawnictwo zespołu)

„Panoptikon" to płyta niezwykła. Stylistycznie chyba jedno z najciekawszych dokonań szeroko rozumianego alternatywnego grania w Polsce. Zaletą wydawnictwa jest kompletny brak możliwości wrzucenia go do jakiejkolwiek szuflandii stylistycznej. Ten problem z klasyfikacją stanowi zaletę oraz wyzwanie dla odbiorcy. Dla mnie płyta MASZYN I MOTYLI to najlepsza mikstura post-rocka, math-rocka, podlana elektro-industrialnym sosem. Tematem przewodnim determinującym klimat tej płyty są komputery i drony. Świat elektronicznych maszyn, które zdają się nam opowiadać swoją historię. Lub bardziej: zapowiedzieć nam, ludziom, że nasz czas się kończy i nadchodzi pora na rządy maszyn...
Ta siatka brzmień, elektronicznego hałasu, pisków i zgrzytów, jakie znajdujemy na płycie, jest wiernym odzwierciedleniem współczesnego życia w mieście. W świecie, w którym postępuje coraz większa dehumanizacja życia. Album zapowiada nadchodzący zmierzch naszej cywilizacji w kształcie, jaki znamy...
Jeśli lubisz muzykę w pełni instrumentalną, z niezliczoną ilością sampli, hałasów, pisków, napędzaną silnym potężnym basem i wspomaganą automatyczną perkusją - sięgnij po to wydawnictwo. Dodam, że koncertowo MASZYNY I MOTYLE robią piorunujące wrażenie. Klimat niepokoju i grozy muzyki MASZYN potęgują prezentacje audiowizualne. „Panoptikon" jest jedną z płyt roku 2015 (choć ukazała się w grudniu 2014).

Gruha

MOSKWA - Nigdy LP (Warsaw Pact Records)

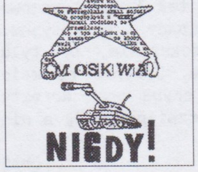

Co mogę napisać o kolejnym kultowym zespole wydanym przez Warsaw Pact? Myślę, że MOSKWA była jednym z najjaśniejszych punktów na polskiej scenie hardcore punk lat 80. Szybkie, mocne, agresywne granie, wzorowane nieco na G.B.H. czy DISCHARGE, z melodyjnymi wstawkami i chwytliwymi solówkami... Miało to ich granie jednak swój niezaprzeczalny charakter i oryginalne brzmienie. Zastanawiam się, jakby to demo brzmiało, gdyby łodziakom udało się wejść do prawdziwego studia i nagrać materiał profesjonalnie, a potem wydać to w 1986 roku w jakimś Tonpressie czy innym Poltonie? Myślę, że byłby to strzał prosto w ryj, zresztą i tak był... Nie jest to pierwsze demo MOSKWY, bo wcześniej były nagrania z 1984 roku. Kawałki równie agresywne i czadowe, brzmienie surowsze niż na „Nigdy!", jednak ta druga kaseta z 1986 stała się bardziej popularna i osłuchana. I właśnie wszystkie utwory z tego drugiego demo znalazły się na tym krążku. Takie „hity" jak „Nigdy!", „Powietrza", „Światło", „Wstawaj i walcz", „Samobójstwa", „Pokolenie małp"... Wszystkie utwory na tej płycie są zajebiste! Nawet „Vistula", hehehe... I pomyśleć, że tę muzykę wysmażyło tylko trzech punków. Teksty Gumy może i nie były polityczne czy przeciwko tej polityce mocno zaangażowane, jednak opisywały dość emocjonalnie życie w tej parszywej rzeczywistości PRL-u lat 80. Szczególnie egzystencję punków, nie dziwi więc, że za MOSKWĄ, po koncertach w całej Polsce, włóczyła się spora załoga. Tak jak napisałem na początku - zespół kultowy i żadna późniejsza płyta nie oddaje w najmniejszym stopniu tego, czym tak naprawdę był zespół MOSKWA dla rzeszy punków w tym kraju.
Ja mam płytę „speszyl edyszyn" - oryginalna

okładka z kasety wydanej w 1986 roku przez Prawdę. W środku teksty po polsku i angielsku, fotki zespołu i na olbrzymiej rozkładówce kolejne zdjęcie Gumy, Wózka i Balona. Ponadto wydawnictwo zafundowało mi jeszcze przedruk zina wydanego przez MOSKWĘ „Czy trudno nas zrozumieć?", który zawiera kolaże, jakieś wycinki z gazet, zdjęcia zespołu, ich teksty... To jeszcze nie koniec, bo jest jeszcze 20-stronicowy booklet na kredowym papierze ze zdjęciami chłopaków z MOSKWY z sesji zrobionej przez fotografa Józefa Robakowskiego. Jakość dźwięku jest średnia, i mimo iż te nagrania mają prawie 30 lat i zdaję sobie sprawę, w jakich warunkach to było nagrywane, to zastanawiam się czy nie było możliwości by jeszcze lepiej wyciągnąć te nagrania? Wierzę, że gdyby była w zasięgu taka możliwość, to chłopcy z Warsaw Pact dokonaliby tego... Płyta z tych „trzeba mieć", kawał dobrej muzyki i również kawał historii polskiego punk rocka. Tak się, kurwa, kiedyś grało!!!

Pablo

NADZÓR - You tolerance is shit if you don't try to understand us!!! CD (Pasażer)

NADZÓR był zespołem z Oświęcimia, powiązanym z kultową załogą git-core'owców. Grali w latach 80. i trochę w 90. ubiegłego stulecia. Kasetę z tym materiałem wydala w latach 90. Trująca Fala i wtedy też zespół na jakąś chwilę się reaktywował. Aktualnie cały zespół gra sobie w Irlandii. Jednak z tego, co mówią mi znajomi mieszkający w Irlandii, to NADZÓR nie gra zbyt dużo gigów i nie są tak aktywni jak dwie dekady wcześniej.
Trochę się bałem tej płyty. Na szczęście bezpodstawnie. Zespół przy okazji wydania na winylu pierwszego surowego materiału, nagrał na nowo te kawałki. Spodziewałem się dziadków grających wersje swoich utworów w wersjach lajtowo 77, a tu mamy dalej wygar hc-punkowy. Słychać dobrze wykrzyczane przez Szpilę jego teksty, muzyka jest zadziorna i dalej słychać duch wkurwu, jaki był słyszany na pierwszym prymitywnie nagranym materiale. Nie został zatracony duch tej Skandynawii z jaką był kojarzony NADZÓR, słychać też lekko traszowe zagrywki, szalone galopady perkusyjne. Jest dobrze. Teksy paradoksalnie, po tylu latach, są dalej aktualne. Jedynie co mnie trochę ubodło w oczy to chyba brak korekty na wkładce - pisze się „rozpieprzyło", a nie „rozpiepszyło".

QbaQ

NADZÓR - Your Tolerance Is Shit If You Don't Try To Understand Us!!! LP (Pasażer)

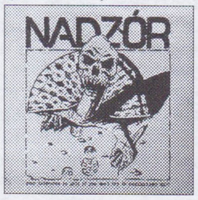

Stare dziady będą zachwycone! Otóż dzięki wytwórni Pasażer w magiczny sposób możemy przenieść się w czasie do pionierskich lat, kiedy „hartowała się stal" i krystalizowała się nasza scena niezależna. Tym razem przeniesiemy się do Małopolski a konkretnie do Oświęcimia.
Oświęcimski NADZÓR powstał w 1985 roku, zaczynał od prostego punk rocka, by wkrótce bardzo mocno zmienić i zradykalizować swoje brzmienie. A to za sprawą kapel, którymi się wtedy inspirowali: EXTREME NOISE TERROR, RATTUS, SLAYER, D.R.I., NAPALM DEATH, LÄRM, ACCÜSED... Tym samym ich muzyka uplasowała się w rejonach thrashcore czy crossover. Dlatego też dla przeciętnego słuchacza tradycyjnego punka muzyka generowana przez NADZÓR była totalnym szokiem kulturowym. Nie wszyscy załoganci byli na to gotowi. Nie da się ukryć, że to było dość pionierskie, prekursorskie granie na naszym gruncie. Chłopaki w tej materii przecierali szlaki.
Płyta zawiera dwie sesje (ze stycznia 1988 oraz sierpnia 1989 roku). W sumie 21 utworów. Konkretny surowy, garażowy wygar dopełniony wykrzyczanymi tekstami. W tych nagraniach jest totalna moc, energia i wkurwienie! Jakość baaaaardzo daleka od dzisiejszych standardów – co oczywiście nie jest zarzutem z mojej strony – przecież to wspominkowe archiwalia. Wielka szkoda, że zespół w tamtym okresie nie miał możliwości nagrać pełnowymiarowej płyty w porządnym studio. A zainteresowanie kapelą za granicą było wtedy naprawdę spore (m. in. zespół otrzymał propozycje wydawnicze z Niemiec, Francji). Niestety beznadzieja późnego PRL-u i powołanie chłopaków do „zaszczytnej służby wojskowej" bezpowrotnie to kapeli uniemożliwiło. Cieszmy się zatem z tego, co mamy. Dodam tylko, że wydawca, jak zwykle wzorowo zadbał o edytorską stronę wydawnictwa: ekstra okładka, obszerny booklet z historią zespołu, mnóstwem starych fotografii, skany z „Non Stopu" (artykuł „Czadu"), wywiad z „Maximum Rock'n'roll", oryginalna okładka z demówki wydanej przez TNT czy wreszcie wszystkie teksty + angielskie tłumaczenia. Przypomnę jeszcze, że grafika z frontu okładki jest autorstwa Jakóba z THE CORPSE i idealnie koresponduje z zawartością muzyczną. Grafiki i rysunki Mariusza Jakóbczaka z lat osiemdziesiątych normalnie niszczą system!!! Reasumując fajnie, że ten materiał ukazał się na płycie winylowej, bo zapewne kasety wydanej onegdaj przez Trującą Falę (w 1999 r.) nie macie już na czym słuchać, albo już dawno jest zajechana. Rozwiązaniem zatem jest gramofon – to jedyna i słuszna droga...

(B)

NEMESIS OCCULTA - Temple of desolation Kaseta (Lahumanidadeslaplaga Records)

Do czego to doszło, punki grają black metal. Widzę, że trend ten już jest dosyć mocny i sporo kapel gra jak nagrobkowe hordy... NEMESIS OCCULTA to kapela z Kraju Basków, a kasetę dostałem do recenzji od Txusana z ANCIENT EMBLEM, którego zespół gra podobną muzykę...
Kurczę, black metalu słuchałem nałogowo w pierwszej połowie lat 90. i później drugą falę B/M, póki był jeszcze w undergroundzie i nie był mainstreamowym gatunkiem rocka.
Muzyka Basków to atmosferyczny, pełen mrocznego klimatu (intra i wstawki) black metal bez żadnych odwołań do hc/punka - czysta diabelska nagrobkowość. Nie znam teraz nowych hord B/M, ale skojarzenia z starym BATHORY czy o wiele młodszym DARK THRONE są dla mnie jak najbardziej na miejscu. Zdarty, ale zrozumiały wokal, dobrze zagrany materiał (pałker przechuj), są blasty i są rzewne wolne motywy. Kasetę da się słuchać bez zgrzytania zębami (i rogami) nawet dla przeciętnego hc-punkowego słuchacza jak ja.

QbaQ

NEW GODS – Gods Of Punk 7"EP (Distroy)

Nowa zajebista ekipa z Dublina, która właśnie zadebiutowała tym singlem! I jestem pod wrażeniem, naprawdę! NOWI BOGOWIE zabrali się za stare klimaty punkowe i wyszło im to wyśmienicie. Brudny, rockandrollowy garażowy punk w stylu MISFITS/DEAD BOYS czy nawet POISON IDEA! Oczywiście nie grają tak szybko jak POISON IDEA, ale cały czas gdzieś tam pobrzmiewają echa tego niezapomnianego zespołu. Zresztą nawiązując do tytułu singla – królów zastąpiono bogami, hehehe. O jeden level wyżej, nie?
Cztery kopiące kawałki, zagrane naprawdę dobrze, motoryczne, rzężące... W ucho rzuca się nonszalancja wokalisty, który swoim zdartym gitowskim głosem wyśpiewuje punkowe teksty. Jego głos do złudzenia przypomina mi styl i barwę śpiewania Duane'a Petersa z U.S. BOMBS. Inspiracje zespołu? Chlanie, dragi, komiksy... Bez komentarza. Jednak te teksty o mutantach, apokalipsie, upadłych mordercach, napisane z dużą porcją humoru, świetnie się wpisują w to brudno-garażowe granie. Super singiel, powalający debiut, bardzo chwytliwe i wpadające w ucho kawałki, no i ten garażowy brud, który przykrywa gitarową melodykę. Proszę się rozejrzeć za tym singlem, bo mam wrażenie, że jeszcze usłyszymy o NEW GODS!

Pablo

NON PRESIDENT/MITRĘGA split LP (D.I.Y. Koło/N.I.C./Up The Punx)

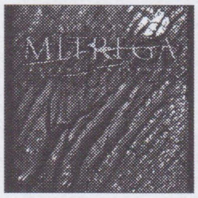

Kolejne świeże kapele na scenie! No może nie tak do końca, bo akurat NON PRESIDENT świeżakami już nie są i mają na koncie sporo koncertów, jak również wcześniejsze wydawnictwa – demo, CD, 7"EP oraz kawałek na składaku wydanym przez Chaos. No dorobek mają całkiem, całkiem… Zespół pracuje ciężko i chyba już najwyższa pora na coś większego. Myślę, że split LP to bardzo dobry pomysł, tym bardziej że muzyka przednia!
NON PRESIDENT grają wkurwionego i żywiołowego hardcore/punka ze sporą ilością crustowych elementów. Momentami, do złudzenia przypominają mi INFEKCJĘ, a więc cały czas idą w dobrym kierunku, hehehe. Mają na płycie 7 nowych utworów, które przelatują bardzo szybko i trzeba co najmniej ze trzy razy puścić ich stronę, bo taka fajna jest! Sporo jest brudu w ich muzie, choć wszystkie instrumenty świetnie słychać, no i oprócz prędkości z jaką grają, tego czadu dodają tu rozwrzeszczane i zdarte wokale. NON PRESIDENT gnają do przodu, wściekają się i zarazem łamią te kawałki, zapętlają, nie dają odetchnąć. Bardzo świeże, czadowe i żywiołowe granie. Poza tym mało kto dzisiaj pisze takie rymowane teksty, które chyba łatwiej się śpiewa. Chłopaki komentują w nich otaczającą rzeczywistość – pojawia się osławiona brzoza, jest i głos w obronie mordowanych zwierzaków, poza tym to, co w naszym społeczeństwie pojawia się najczęściej: konsumpcja, zakłamanie, rządza pieniądza… Konkretne teksty, jeszcze konkretniejsza muzyka. NON PRESIDENT wysuwają się od dawna na czołówkę tego typu grania w Polsce!
MITRĘGA z Lublina – wywiad z nim w numerze, więc możecie dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Grają, można powiedzieć, dość nieszablonowy, połamany, mroczny crust core. Sporo tu wściekłości, zmian tempa, porządnego przytupu i wydaje mi się, że słychać skąd pochodzą – ściana wschodnia, bez dwóch zdań. MITRĘGA oprócz naparzanki wciąga nas w mrok smolistymi zwolnieniami, choć uprzedzam, żadnego black metalu, sludge'a czy innego neo-czegoś tam, w muzyce MITRĘGA nie ma. Naprawdę świetne ciężkie brzmienie i oryginalne podejście do crusta. No i chyba najmocniejszą i najoryginalniejszą cechą tego zespołu są teksty. Napisane w dziwny sposób, pasowałyby bardziej do jakiejś kapeli awangardowo-nowo falowej… Na pierwszy rzut oka wyglądają jakby ktoś skleił teksty z przypadkowych wersów, mają taki nieco kolażowy styl, ale po chwili układają się w jakąś, przemawiającą do słuchacza, całość. Trochę przypominają mi styl w jakim zostały napisane teksty SIEKIERY, choć to tylko luźne skojarzenie. No teksty na pewno oryginalne, odpowiadające dokładnie temu, jak informacje są dzisiaj podawane i odbierane przez młodych ludzi, choć u MITRĘGI jest w tym głębszy sens. Można czytać między wierszami, można interpretować je po swojemu, trzeba się nad nimi chwilę zastanowić, więc chyba na plus, nie? Zajebisty nowy zespół i czekam na kolejne odsłonę!

Pablo

POISON IDEA - Confuse & Conquer LP (Southern Lord)

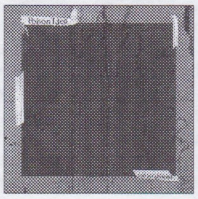

Królowie punka z Portland powrócili na scenę z nową płytą! Jest to pierwszy krążek POSION IDEA bez gitarzysty Toma „Pig Championa" Robertsa, który zmarł w 2006 roku. No i pierwszy pełnowymiarowy album od czasów „Latest

Will And Testament". W nowym składzie POISON IDEA znajduje się oczywiście wokalista Jerry A. Lang, a dołączyli do niego nowi/starzy muzycy. Na gitarę wrócił Eric „The Vegetable" Olsen, który pojawił się wcześniej na płycie „War All The Time" z 1987 oraz na singlu „Filthkick" z 1988 roku. Na bas wskoczył Chris „Spider" Carey, zagrał on na płycie „Latest Will And Testament", którą udało się zrobić zanim zmarł Pig Champion. Skład na nowej płycie uzupełniają Brandon Bentley na drugiej gitarze i Nathan „Skinny" Richardson na perkusji.
Zespół legenda, który wywarł olbrzymi wpływ na rzeszę kapel z całego świata, bardzo oryginalny i charakterystyczny wydaje nową płytę po 9 latach... Jak zawsze pojawiają się obawy, bo świat, również ten punkowy, idzie do przodu i chyba nikt nie ma ochoty na odgrzewane kotlety w wykonaniu spasionych staruchów. Z drugiej strony tli się nadzieja, że może dadzą radę i jeśli nie będzie to płyta rewelacyjna, to chociaż nie nudna jak flaki z olejem... Kiedy trzęsącymi się rękami wrzuciłem płytę na patefon, pełen obaw, odpaliłem krążek i nieco zlany zimnym potem usiadłem na przeciwko głośników... Przesłuchałem „Confuse & Conquer" raz, potem wkręcony ponownie i tak już do samego wieczoru! Ta płyta jest po prostu zajebista! Nie wiem czy nie lepsza od wszystkich ich płyt wydanych w latach 90., no może poza „Feel The Darkness". Ten sam charakterystyczny wokal Jerry'ego, wpadające w ucho melodie, wirtuozerskie solówki, brud i czad powodują, że zapomina się o tym, że POISON IDEA ostatnią płytę wydali sporo lat temu. Na pewno wiele do zespołu wniósł, dużo młodszy, nowy narybek. Wymieszało się stare z nowym i wyszła świetna płyta! Koniecznie trzeba dodać, że te 11 kawałków nagrał Joel Grind z TOXIC HOLOCAUST a masteringiem zajął się Brad Boatright z FROM ASHES RISE.
Płytę otwiera kawałek „Bog" i bardzo dobrze, bo jest zagrany w klasycznym stylu POISON IDEA - szybko, brudno, do przodu i z przytupem. Jak za dawnych lat! Zajebiście dopracowane syfiate solówy, pląsający basik i kawał dobrego bicia na perce! Zresztą takich kawałków jest więcej – „Me + JD", „Trip Wire". W intro utworu „Psychic Wedlock" pojawia się... pianino! Pamiętacie „Plastic Bomb" z „Feel The Darkness"? No właśnie! Numer z kopem, który w pewnym momencie przechodzi w mroczne i zakręcone rzeźbienia, co tylko urozmaica ten album. Kolejne dobre zagranie i zmiana klimatu pojawia się w następnym numerze „Hypnotic" - taki nieco zbliżony styl do tego, co zazwyczaj grają SOCIAL DISTORTION. Zdarty wokal, chórki i saloonowe pianinko w tle. Dobre! Drugą stronę otwiera „I Don't Know You" - nie za szybko, nieco mrocznie, ale z dobrym feelingiem i świetnymi gitarami. Natomiast „Cold Black Afternoon" to już przesmaczny czadzik, do jakiego POISON IDEA przyzwyczaili nas przez 35 lat grania. Kawał klasycznego hardcore'a! Następny „The Rhythms Of Insanity" też nie odbiega od tego kanonu - znowu czad, wściekły wokal Jerry'ego i melodyjna, pudel-metalowa solówka. Lubiliście westerny za małolata? Szczególnie te włoskie? No to następny utwór, a raczej ballada „Dead Cowboy" wam się spodoba. Wpisuje się w ten spaghetti-westernowy kanon i zupełnie zaskakuje po dwóch poprzednich, na maksa punkowych kawałkach. No i dwa ostatnie, „Beautiful Disaster" i „Reprise". Ten pierwszy kończy ten krążek na pełnym kopycie, natomiast drugi to coś w klimacie outro - pianino i zakręcone dźwięki! Udała im się ta płyta, naprawdę! Niby to samo brzmienie, a jednak odświeżone. Niby kawałki nie są tak szybkie jak na starszych płytach, a jest czad jak cholera! No i wokal Jerry'ego, który brzmi tak jak zawsze. Potrafi chłop jeszcze się wydrzeć! Sporo w tym ich hardcorze słychać rock'n'rolla i hard rocka, co tylko dodaje smaczku tym nagraniom.
Niestety nie ma wkładki z tekstami, jest tylko koperta ze zdjęciami ze studia i fajna diabelska grafika. No szkoda, jednak nie sądzę, aby POISON IDEA przestała prowokować w swoich tekstach. No i dziwna grafika na froncie okładki - ni to obraz ni to kolorowy kleks... Jednym słowem - musicie złapać tę płytę czym prędzej, bo zespół pokazał na niej, że jeszcze ma coś do powiedzenia na scenie hardcore punk!

Pablo

PRAWO DO JAZDY - s/t LP (No Pasaran Records)

Płyta wspominkowa, bo kapela, niestety, już nie istnieje. Załoga polskich punków mieszkająca na wagenburgach i skłotach Berlina założyła naprawdę rewelacyjny band. Zresztą Antenę, wokalistkę i basistkę, pewnie kojarzycie z innego wyśmienitego zespołu berlińskiego TROMPKA POMPKA. Brudny, przyciężkawy, ale melodyjny i nieco fałszujący punk w klimatach DIRT, HARUM SCARUM. Zresztą przyszywani berlińczycy grają na tym krążku nawet cover DIRT „Wooden Gun". Wszystkie kawałki mi wchodzą, każdy jest przedni, esencja punka, nic tylko nucić pod nosem! No i przede wszystkim za serducho chwytają teksty zespołu. Przewija się w nich często miłość, przyjaźń, niezależność, wszystkie teksty napisane bardzo szczerze, a niektóre z nich z dużym poczuciem humoru. Moim, i pewnie nie tylko moim, number one na tej płycie jest kawałek miłosny „9-ta" – punkowe życie tak wygląda! Jednak sporo jest też w tekstach PRAWO DO JAZDY punkowego rozczarowania światem, ludźmi, politykami i ogólnie rzeczywistością codzienną. Sympatycznie te teksty są napisane i jeszcze lepiej wyśpiewane przez Antenę, która zupełnie nie przejmuję się tym, że momentami fałszuje. I tym, między innymi, podbiła serca punków – pierdoleniem schematów, szczerością i robieniem swojego, bo to przecież, kurwa, punk!
Nagrania na stronie A pochodzą z 2013 roku, a ze strony B z tej samej sali prób tylko zostały nagrane w 2005 i wszystkie utwory z drugiej strony pochodzą z ich kasety demo „Recycling Punx". Do krążka dołączony jest też CD, na którym dodatkowo jest dwa utwory, które nie zmieściły się na winylu. Okładka skromna, prosta, teksty pisane ręcznie – punk rock. Aha, no i mastering pozostawiono w rękach Smoka. Zajebisty punk, bo każdy ma prawo do własnej jazdy!

Pablo

P.R.O.B.L.E.M.S. - Hot Tracks From Dead Wax LP (Nikt Nic Nie Wie)

Jeśli członkowie portlandzkich grup (PIERCED ARROWS, RESIST, DEFIANCE, DETESTATION, SEVERED HEAD OF STATE) mają nowy projekt, to raczej logiczne jest, że lipy nie zrobią. P.R.O.B.L.E.M.S. jest akurat kanonicznym przykładem, że doświadczenie z innych zespołów, procentuje w aktualnej kapeli doskonałym uderzeniem. Na płycie mamy zbiór 4 epek, wydanych wcześniej w innych labelach. Muzyka portlandczyków to surowy punk rock w którym słyszę dokonania DEFIANCE (te melodie i zaśpiewy), motorykę POISON IDEA i lekki rock'n'rollowy sznit. Dodatkowo mamy zajebistą punkową surowość i chropowatość, która dodaje jeszcze większego autentyzmu, dobrego punk rockowego brzmienia i klimatu. Polecam gorąco materiał, który mocno kopie po uszach!

QbaQ

PROCESSS - Wszystko dla jutra LP (Zima)

Wydawnictwo Zima uraczyło nas kolejną dawką śląskiego punka z lat zamierzchłych. Tym razem na płycie winylowej swoje miejsce znalazł legendarny i nieszablonowy PROCESSS. Wszyscy znamy ten zespół z kultowej składanki „Jak punk to punk", a co niektórzy z innej kompilacji „Radio Nieprzemakalnych". Na kasetach krążyły również ich nagrania koncertowe, nagrania z prób, ale to chyba wszystko. No było jeszcze demo z 1987 roku, ale w tych nagraniach nie było już za dużo punka... PROCESSS to obok ŚMIERCI KLINICZNEJ najbardziej znany zespół z Gliwic i chyba jeden z oryginalniejszych polskich punkowych zespołów lat 80. Bardzo nerwowy punk rock połączony z czadem, odrobiną nowej fali czy nietypowych dla takiej muzyki połamanych zagrywek gitarowych - to była naprawdę wybuchowa mieszanka. Na tym krążku znajduje się niekwestionowany rarytasik! A mianowicie początki zespołu PROCESSS czyli nagrania z próby w 1983 roku. Utwory te są praktycznie zupełnie nieznane, bo taśma z nagraniami zaginęła gdzieś w przepastnych szafach członków kapeli i nagle odnalazła się w 2014 roku podczas domowego remontu! Na stronie A jest 6 piosenek z tej próby – żadnej wcześniej nie słyszałem. Ciekawy klasyczny punk rock, jaki grało się w Polsce w roku 1983, z odrobiną melodii, dużą dawką rocka i zupełnie inny niż grał późniejszy PROCESSS. Jednak już słychać te charakterystyczne połamane rytmy, widać, że zespół nie spoczął na laurach tylko poszukiwał i poszukiwał, aż odnalazł! I to, co odnalazł to można posłuchać na drugiej strony płyty, bo te nagranie pochodzą z roku 1984 i to już jest ten PROCESSS, który każdy z nas zna. Na stronie B też 6 kawałków – ostrzejszych, szybszych, agresywniejszych i bardziej zwariowanych! Punk pełną gębą i takie hity jak „Gilotyna", „Tępe zwierzę" czy „Dziura". Połamane rytmy, energiczny bas i zajebiste, krótkie i zwięzłe teksty. Trochę kojarzą mi się te utwory z muzyką DEAD KENNEDYS, choć PROCESSS grał agresywniej i surowiej, no i więcej miał w swojej muzyce tej nerwowej psychodeliczności. Zespół ponadczasowy, oryginalny i wciąż się zastanawiam skąd to się brało w Gliwicach? Bo i była niezapomniana ŚMIERĆ KLINICZNA, był rewelacyjny R.A.P., ciekawy ABSURD, jak i kilka innych...
Do winyla dołączony jest CD, a może to winyl dołączono do CD? Na srebrnym krążku są te same nagrania, co na czarnym krążku plus dodatkowo 7 utworów z obu prób. Ponadto dołączony jest również nr 1 zina „Dywersiuniu", chyba głos ówczesnej gliwickiej sceny. W środku wywiad z DEAD KENNEDYS oraz informacje o zespołach ABSURD, ATTACK, BRZYTWA OJCA, PROCESSS, ŻYLASTY KOGUT. Bardzo dobre dodatki! I tylko jedno mi się nie podoba... Smutna, nijaka i szara, jak życie w PRL-u, okładka tej płyty. Poprzednie wydawnictwo Zimy w tym klimacie, a mianowicie składak z gliwickimi zespołami z lat 80. też miał taką biedno-szarą okładkę. Nie można się postarać? Albo dać to do zrobienia komuś, kto ma bardziej wyrafinowany gust i zmysł artystyczny?

Pablo

PRODUKT - Słabości CD (D.I.Y. Koło/Trująca Fala)

Olsztynianie wzmocnieni Krzysiem Elblanco (z EL BANDA) zrobili niezłą pracę nagrywając ten album. Nie ukrywam, że zrobił mi ten materiał dobrze. Kondensacje tego, co najlepsze w hc-punku. Ktoś napisał, że PRODUKT, to takie polskie TRAGEDY... Hmm, ciężko mi się z tą tezą zgodzić, bo jeśli nawet słychać parę motywów, które grali Amerykanie, to jednak polskie TRAGEDY to określenie trochę na wyrost. Teraz napiszę, dlaczego podobają mi się „Słabości". Po pierwsze: świetny zdarty gardłowy wokal - dla mnie to miód na serce; po drugie: bardzo dobre punkowe teksty, jednak punkowe to niekoniecznie klimat jakichś SEDESÓW, lecz konkretnie napisanego tekstu, o wielu niemiłych dla autora tematach. Po trzecie: zajebiście motoryczna sekcja rytmiczna, która wraz z gitarami powoduje, że muza PRODUKTU jest niesamowicie energiczna, wściekła i, że tak powiem, kopie na „pełnym wkurwie"! Po Czwarte: musisz kupić tę płytę!

QbaQ

PROFANACJA - Zdarza się! LP (Black Wednesday/Extinction Records/No Pasaran Records)

No i w końcu jest na winylu demo PROFANCJI

wydane na kasecie w 1990 roku. Według mnie na tej taśmie znalazły się jedne z najlepszych kawałków tego zespołu z lat 90. Kapela z małego Wodzisławia Śląskiego zaczął grać bodajże w 1987 roku i z przerwami gra do dzisiaj! Gra, koncertuje, wydaje płyty... To demo „Zdarza się!" (tytuł zaczerpnięty z książki Vonneguta „Rzeźnia numer 5") bardzo mocno zapisało się w pamięci załogantów, bo jest po prostu dobre, niesztampowe i ciekawie zagrane. Pamiętam, że często porównywano w ówczesnych zinach twórczość PROFANACJI do BAD BRAINS. Chyba głównie za sprawą kawałka „Płynę", który był coverem właśnie BAD BRAINS oraz pewnie dzięki wstawkom reggae w utworach „Schemat", „Ewolucja" czy kilku innych. No coś tam w tym stylu można było u nich usłyszeć, jednak PROFANACJA grała swój własny ciekawy punk, urozmaicony, mocno rockowy, głównie dzięki interesującym zagraniom gitarowym. Zresztą Arek Bąk ma bardzo charakterystyczny sposób śpiewania, który na pewno był kolejnym mocnym punktem w twórczości zespołu. Jednak najlepsze u PROFANACJI były (i nadal są!) teksty piosenek. Upadła komuna i pojawiła się wymarzona i długo oczekiwana wolność. Jednak wkrótce okazało się, że dla każdego, a szczególnie dla polityków, ta wolność oznacza zupełnie coś innego. I właśnie wokół tej wolności, ogólnej czy osobistej, kręcą się teksty Arka. Poza tym są one świetnym opisem ówczesnej rzeczywistości, lęków, które targały społeczeństwem i młodzieżą, oczekiwań, nadziei, a zarazem wnikliwą obserwacją transformującego się społeczeństwa, przemian na scenie hc/punk, zagubienia jej uczestników. Arek bardzo dobrze napiętnował i zwyczajnie wyśmiał pewne postawy, które wtedy były nagminne. Wspaniałe teksty jak „Na dziesięć lat przed końcem świata", „Mów mi, mów", „Mózg", „Schemat", „Dobre czasy dla kameleonów"... Stop! Bo będę musiał wymienić wszystkie utwory z płyty. „Zdarza się!" to esencja polskiego punk rocka i każdy, kto ma naście lat i zaczyna się wkręcać w tego całego punka powinien, zamiast SEX PISTOLS czy innego DE BILLA, zacząć od tych nagrań.
Do płyty dołączona jest wkładka z tekstami, starymi zdjęciami zespołu oraz z obszernym „posłowiem" Arka Bąka. No i okładka z chamskim rysunkiem mistrza Pały! Fajnie jest mieć ten kawałek winyla...

Pablo

PUTREFACTION – Scabenger 7"EP (Distroy Records)

Rewelacyjny band z Dublina, z którym zresztą możecie przeczytać wywiad w tym numerze. Naprawdę mocna rzecz! Mam nadzieję, że słyszeliście ich płytę „Blood Cult" z 2012. Nie? To macie pecha, bo jest już raczej nie do złapania. Tylko cztery kawałki są na tym singlu, ale za to jakie! Irlandczycy często są porównywani do HELLSHOCK, no od biedy można by się doszukać podobieństw, jednak PUTREFACTION grają o wiele bardziej brutalnie i z większą surowością. Na myśl mi przychodzą kapele z brytyjskiej sceny crust lat 80. Crust z domieszką szwedzkiej chropowatości. Surowy czad z metalowym brzmieniem, ale tylko z brzmieniem, bo muzycznie metalu tu nie ma za grosz. No może odrobina, szczególnie w ostatnim numerze „Ballast Existence". Jest za to mnóstwo energii, surowizny i apokalipsy. Tej ostatniej szczególnie w tekstach. „Become Death" – „I stałem się śmiercią. Niszczycielem światów". Te słowa wypowiedział ojciec bomby atomowej J. R. Oppenheimer. „Wasted Time" – walka o przetrwanie z minimalną pensją, karmieni śmieciowym jedzeniem, okłamywani przez polityków, a wszystko podane w scenerii upadku cywilizacji. „After The Storm" – wspomnienie katastrofy w Czernobylu i na koniec „Ballast Of Existences" - system zredukował człowieka do numeru, kodu, akt… I to nawet nie jest jakaś apokaliptyczna wizja – to rzeczywistość! Do każdego tekstu dołączony jest komentarz, więc nie musicie się głowić, co poeta miał na myśli… Cała okładka wykonana jest w kolorach czarno-czerwonych metodą sitodruku – DIY! Zajebista dawka surowego czadu, jak dla mnie – rewelacyjny zespół! Singiel roku, bez ściemy!

Pablo

RATRACE – Comnsumption CD (Bajkonur Records)

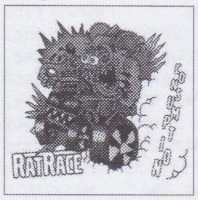

Trójmiejski RATRACE po sympatycznym demo wydał w końcu debiutancką płytę i jest to płyta dobra. Zespół ten wzbudzał sporo kontrowersji z powodu zawodu wykonywanego przez jednego z członków kapeli. Jednakże, człowiek ten poszedł w pizdu i zastąpił go na basie sympatyczny i miły Radek z innej truj-miejskiej kapeli GARS (to ci od art wokalu, haha). Zmiana kapeli wyszła na dobre. Słuchałem na bandcampie demo i było ono trochę, hmm, grubo ciosane, lecz pojawiały się dobre motywy, które dawały nadzieję na pozytywny rozwój kapeli. RATRACE chyba szukał porad u wróżbity Macieja i właśnie te jasne punkty z demo „wyciągnął" i fajnie doszlifował na debiucie i mamy ciekawą, zwartą i nienużącą płytę.
Muza RATRACE to szybki oldskulowy hardkor, z mocarnymi zwolnieniami (bardzo mi się podobają), dobrym zdartym woksem i fajowymi chórkami. Słychać trochę SCHIZMĘ, trochę klasycznego hardcore'a z NYC. Co ważne, zespół nie wydał 60 minutowego potworka, lecz płytę, która trwa około 30 minut, co jest dla mnie w hardcore-punku optimum. Dobra płyta!

QbaQ

72 DR – Moment CD (wydawnictwo zespołu)

Dostałem do recenzji bardzo sympatyczny kompakcik, wydany własnym sumptem przez zespół. 72 DR pochodzą z Grodziska Mazowieckiego (ach te Punk Pikniki z lat 90.) i Warszawy, jest to ich pierwsze pełne wydawnictwo (wcześniej była epka). Muzyka 72 DR to bardzo sprawnie zagrany (i nagrany) mix crossoveru (w klimatach ATTITUDE ADJUSTMENT, czy ciut nowszego D.R.I.), hardkora i thrashu (takiego z przełomu lat 80/90.) czyli prosto, z pierdolnięciem i na temat. Mnie osobiście fajnie się jedzie autem do pracy słuchając materiału mazowszaków. Tekstowo jest też spoko, podobnie jak kiedyś pisałem o ostatniej płycie S.K.T.C. (też grają crossover), są napisane przez ludzi mających niekoniecznie naście lat, których życie trochę potrafiło kopnąć po tyłku. Najbardziej podoba mi się tekst, który też jest wklejony na facebooku kapeli: „Za wikt i opierunek gotowi jesteśmy zabić boga, jeśli tylko będzie przejeżdżał swoją limuzyną przez miasto". Dobra płyta!

QbaQ

SHIREVO – Demo kaseta (No Name Distro & Label)

Sześć kawałków ultra prymitywnego, garażowego hard core/punka z Kherson na Ukrainie. Przyznam, że z ciekawości sprawdziłem sobie na mapie, gdzie to jest… Miasteczko na południu Ukrainy nad rzeką Dniepr. Zespół ma teksty mocno zaangażowane politycznie. Kaseta bardzo skromniutko wydana, ale to już chyba taki klimat wydawnictw No Name Distro & Label. Myślę, że chłopakom przydałaby się nagrywka w jakiejś lepszej jakości.

Urbx

SISSY – Gave Birth To A Mum 7"EP (wydawnictwo zespołu)

Świetne trio z Dublina – dwie dziewuchy i pan za bębnami. Jest to już ich drugi

singiel, zresztą bardzo ładnie wydany z kolorową okładką i wkładką z tekstami. Co gra zespół SISSY? Garażowy punk, lo-fi, bardzo melodyjny i minimalistyczny, ale wpadający w ucho. Przede wszystkim dlatego, że obie panie potrafią śpiewać! Nie krzyczą, nie charczą, tylko bardzo przyjemnie wyśpiewują feministyczne teksty. Sposób śpiewania i barwa głosu gitarzystki nieodparcie kojarzą się z zespołem BIKINI KILL, jednak muzyka SISSI jest nieco inna. Mają brzmienie takie dość pre-punkowe, nieco nerwowe, ale bardzo ciekawe. No i teksty – mocno feministyczne, choć bardziej z osobistej perspektywy kobiety niż takie wojujące, jakie znamy z repertuaru tych bardziej anarcholskich czy crustowych kapel żeńskich. No i ostatni, czwarty kawałek na singlu, jakbym go skądś znał... Cholera! Przecież to „Attack", cover zespołu BLITZ! I w dodatku w wersji garage-punk! Nieźle! Kawałki świetnie nagrane, wszystko tu ładnie słychać, więc namawiam do zainteresowania się zespołem SISSY, bo to zupełnie inny rodzaj punka, jaki słuchamy na co dzień i przede wszystkim sympatyczny i łatwo wpadający w ucho.

Pablo

S.K.T.C. – Demo LP (Black Wednesday Records/Underground Factory/N.I.C.)

Kolejna wspominkowa płyta i zarazem kamień milowy w polskim hardcorze! Demo czechowickiego zespołu S.K.T.C. z roku 1990! No czas najwyższy, że w końcu ten materiał pojawił się na winylu. S.K.T.C. wciąż gra, wciąż wydaje płyty, ale jednak to demo z 1990 roku było najlepsze! Widziałem ich w tamtym czasie na kilku koncertach, choćby w Bielsku czy Katowicach, i po każdym ich koncercie bolało mnie karczycho od potrząsania piórnikiem! Zajebisty thrash-punk z ciągotkami w stronę crossover, jednak bardzo surowy, brudny i brutalny! Przytłaczające brzmienie gitar, niesamowita prędkość, wkurzony chropowaty wokal Tulipana, no i punkowe momenty – sama esencja! Do tego teksty – na tamte czasy naprawdę zajebiste. Każdy tekst na tej płycie to dla mnie hardcore'owy hicior – „Och Karol", „Siła", „3Xp"… A moje ulubione utwory to zajebisty numer „Przemyśl", „Nazi Boys" i „Małe Bum Bum". Zespół umiejętnie połączył thrashowe gitary z hardcorową energią i punkową melodią. Ponadczasowe granie!
Zresztą nie ma się co rozpisywać, bo te nagrania to klasyka polskiego hardcore'a i trzeba znać. Ponadto w tym numerze możecie przeczytać wspominkowy wywiad z Tulipanem, pierwszym wokalistą S.K.T.C., który także znajduje się na wkładce dołączonej do płyty, która jest przyozdobiona sporą ilością zdjęć zespołu. Łapcie ten krążek, bo zawiera sporo pozytywnej energii i myślę, że wciąż potrafi, po tylu latach, zaskoczyć was muzycznie!

Pablo

SOBBED – „Warphobia" kaseta (Grind Father)

Noooo... Dawno nic nie było świeżego grindcore'owego z Japonii wydanego właśnie na kasecie. SOBBED to masywny grind/hard core z Kioto. Kapela zaczęła grać nie tak dawno, bo w 2012, ale może się już pochwalić ciekawą dyskografią. Na „Warphobii" mamy dwanaście utworów - solidna łupana, trochę zalatuje „świniakami", ale da się znieść, bo tempo raczej ultra fast core'owe, z solidnym growlingiem na froncie.

Brzmienie podoba mi się jak najbardziej - brudne, ciężkie, ogólnie jest grindowy nakurw od początku do końca. Polecam grind ekstremistom.

Urbx

SOCIAL CRISIS/DAYS OF DESOLATION split 7"EP (D.I.Y. Koło/Up The Punx)

SOCIAL CRISIS z Białej-Podlaskiej nie odpoczywają w ogóle. Po świetnym albumie, po kawałku na Chaosowej kompilacji pojawia się świeżutki singiel z pięcioma kawałkami. Crust-core w klimacie DISRUPT czy STATE OF FEAR z dwoma kobiecymi, bardzo wrzaskliwymi wokalami. Krótko, szybko, prosto i brutalnie. Brzmi to naprawdę świetnie i powiem wam, że tęsknię troszkę za tego typu graniem, które było mocno popularne w latach 90. W muzyce SOCIAL CRISIS nie ma żadnego neo-crusta, żadnych smutów, metalu czy smołowatych zwolnień - czysty strumień crust-punkowej napierdolki. Jest wściekłość, brutal, zaangażowanie i konkretny kop! Teksty też takie, jakie powinny być - wkurzone, oskarżające sterujących rzeczywistością, że spierdolili wszystko i pogrążyli nas w otchłani depresji, apatii i bezwolności... W dodatku sami się w tym pławimy i wielu z nas jest z tym dobrze. Jednym z kawałków jest cover DEPORTATION. Bardzo dobre granie - serce rośnie! Chce więcej!!!

DAYS OF DESOLATION pochodzą z Belgii, a na gitarze gra tutaj Jasper, którego możecie znać z rysowania okładek dla wielu kapel, choćby dla PHOBIA czy CYNESS. Zresztą okładka tego splitu to też dzieło Jaspera. Ten singiel to już trzecie wydawnictwo Belgów, na ich stronie znajduje się 5 utworów, w tym cover NASUM. Jeśli NASUM to już się pewnie domyślacie co grają DAYS OF DESOLATION... Wściekły grindujący crust-core, odrobinę metalowy, z elementami power violence, choć tego są tu ilości śladowe. Energia bardziej hardcore'owa niż grindowa, choć obok wrzaskliwego wokalu pojawia się growling. Poza tym zespół komentuje w swoich tekstach zło tego świata: konflikt w Gazie, przemoc policji, hipokryzję, terroryzm... No i na koniec, jak wspomniałem wcześniej, cover NASUM „Fear of the China Syndrome". Miodzio!

Pablo

SOMETHING LIKE ELVIS - Personal Vertigo LP + CD (Antena Krzyku)

Za sprawą Anteny Krzyku otrzymujemy kolejną szykowną i gustowną reedycję ważnej i ciekawej pozycji z naszego muzycznego undergroundu - SOMETHING LIKE ELVIS „Personal Vertigo". Pamiętam dokładnie, że w 1997 roku ten materiał zrobił na mnie wielkie wrażenie. Po przesłuchaniu kasety S.L.E. byłem w ciężkim szoku, że akordeon może tak idealnie współgrać z hard core/noise. Bo wiadomo: wcześniej było ACAPULCO, ALIANS, folk punk, punky reggae... Tam to pasowało. Ale tutaj? Nie spodziewałem się! Czyli takie pozytywne zaskoczenie/doświadczenie. I w dodatku ta nazwa - SOMETHING LIKE ELVIS! Intrygująca! Jak dowiedziałem się z jakiegoś wywiadu zaczerpnięta z filmu „Dzikość Serca" Davida Lyncha - czyli też na plus.

Kolejną miłą niespodzianką był dla mnie genialny cover „Dad" NOMEANSNO - swoją drogą jakoś ten utwór upodobały sobie polskie zespoły, gdyż wcześniej polskojęzyczną wersję tego kawałka umieścili KOLABORANCI, jako bonus na kompaktowej wersji swojej płyty „Ciało i drewno". W sumie nie ma co się dziwić, bo to świetny numer. To taka wisienka na torcie tej płyty.

Debiutancki album S.L.E. jest niesłychanie wciągający, pomimo upływu czasu w ogóle się nie zestarzał. Słychać na nim zaczątki muzycznego geniuszu, który zespół z Szubina rozwinął na kolejnych wydawnictwach w swej dyskografii - „Shape" oraz „Cigarette Smoke Phantom". „Personal Vertigo" to doskonałe proporcje pomiędzy czadem, zgiełkiem i jazgotem. Ponadto intrygujące zwolnienia a wszystko to doprawione tym niesamowitym akordeonem. Całość stworzyła piorunujący efekt. Płyta zasłużenie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem prasy niezależnej, jak i oficjalnej w Polsce i zagranicą. A ukoronowaniem tego były wspólne trasy z NOMEANSNO i FUGAZI po Europie Zachodniej - chyba trudno o lepszą rekomendację. Nie ma co się rozpisywać - jedna z ważniejszych płyt alternatywnych polskiej muzyki gitarowej lat dziewięćdziesiątych.

(B)

SPICE GRINDER - Demo kaseta (No Name Distro & Label)

Zniszczenie - tak w jednym słowie można określić demówkę chłopaków ze SPICE GRINDER (nie mylić z tym japońskim, choć tamci też w podobnym stylu). Ten SPICE GRINDER natomiast pochodzi z Ukrainy. Uprzedzę od razu, że kaseta jest raczej przeznaczona dla zboczeńców lubujących się w grind/noise/core'owych klimatach. Kasetka króciutka, ale materiał to rekompensuje. Solidny, ciężki, brudny, grindujący noise core, przypominający klimatem lata 90. Warto podkreślić, że nagrywka pochodzi ze studia, co jest w pewnym sensie ewenementem przy tego typu tworach. Wydane mocno w duchu D.I.Y. pod postacią trzydziestu trzech egzemplarzy.

Urbx

STARZY SIDA - s/t LP (Nikt Nic Nie Wie)

Od kilkunastu miesięcy widzę w większych i mniejszych polskich labelach boom na reedycje płyt wydanych kilka lub kilkanaście lat temu. Niektóre są trafione, zaś inne, mam wrażenie, są raczej wydawane dla gwarantowanej sprzedaży, inne dla satysfakcji wydawcy... STARZY SIDA nie byli wcześniej wydani na winylu i chwała za to Uszatemu i Wołowi, że zrobili ten zacny materiał na czarnym placku.

Zapewne spora część czytelników „Chaosu" doskonale zna ten materiał, jak dla mnie przechuj-kozacki! Jednak dla tych, którzy go nie znają, napiszę kilka słów. Znany akustyczny grajek Patyczak, kojarzony ze spektakularnych występów np. na kontenerze śmietnika na Woodstocku, pionier graffiti w Polsce, autor niesamowicie śmiesznych tekstów opisujących generalnie wesołą, a czasem i nie, punkową rzeczywistość lat 90., połączył siły z geniuszami z zespołu STARZY SINGERS. Ci drudzy, to chyba wiadomo, słynęli z niesamowitego filingu, brudu, i umiejętności trzymania instrumentów, jak i świetnych dadaistycznych tekstów. No i jak się takie typy spotkają i nagrają kawałki Patyczaka w wariacjach STARYCH SINGERS, powstaje wybuchowy efekt o nazwie STARZY SIDA. Od zajebistej okładki, po warstwę muzyczną i tekstową, po prostu niezły kop w dupę i banan na ustach... Mistrzostwo.

Zaś wracając do Patyczaka, przy okazji zapodam wam pewną anegdotkę, żeby nie zaginęła w otchłani zapomnienia. Mianowicie, na przełomie lat 80. i 90. w Opolu, u śp. Marcina Kaczyńskiego (założyciela BAKSZYSZU) rozkręcał się ruch Wolność i Pokój i inne ciekawe inicjatywy. Mieszkanie zawsze było pełne ludzi i ciekawych gości z całej Polski. Pewnego razu do Ewy, siostry nieodżałowanego Marcina, przyjechał Patyczak, ze swoimi szablonami. I w ciemną noc poszli malować szablony „Mięso to morderstwo" na okolicznych sklepach mięsnych. Rano poszli sprawdzić jak wyszły te szablony na witrynach sklepów. Podchodzą do jednego, oglądają, a dwie baby z torbami pełnymi mięcha i wędlin, patrzą i mówią: „Popatrz, te cudaki pewno w nocy namalowały te szpetne obrazki...".

QbaQ

STRADOOM TERROR - Jak długo jeszcze? LP (Stradoom Manufuckture)

O kurwa! Co za wydanie! No to się Siwy postarał, nie ma co! Ten krążek wydawniczo bije chyba tylko bootleg z łódzkim koncertem

NAUSEA. Naprawdę wydanie tej płyty robi mocne wrażenie. Ja mam wydanie specjalne z dodatkową okładką zrobioną w dwóch kolorach na sicie. Ponadto do płyty dołączony jest CD z tym samym materiałem, co na winylu. Jest reprint 10 numeru rzeszowskiego zina „The Naturat", który wydawał swojego czasu Gustaw, wokalista STRADOOM TERROR. Poza tym znalazłem jeszcze booklet z wywiadami ze STRADOOM TERROR z różnych zinów, z recenzjami ich wydawnictw, relacjami z koncertów i tekstami zespołu, a wszystko graficznie urozmaicone zdjęciami kapeli i plakatami koncertowymi. Uff... To chyba cała zawartość tego wydawnictwa. No, nie cała, bo jeszcze muzyka została!

Jak pewnie się domyślacie te nagrania to wspominkowa reedycja ich kasety o tym samym tytule, która wyszła w 1995 roku. STRADOOM TERROR wpisywali się w tę całą falę zwaną potocznie „crust", która przelała się przez nasz kraj w latach 90. Jednak rzeszowiacy nie grali ani crusta ani crust-core'a, ani nawet nie grali zbyt ciężko ani szybko. W kawałku „Komu bije dzwon" pojawia się nawet reagge'owy motyw! Muzycznie to średnio-szybki, dość chropowaty i momentami przyciężkawy, brudny punk na dwa wokale. Surowa gitara thrashuje z lekka, szczególnie w tych wolniejszych partiach. Żadnego d-beatu, żadnych blastów... Wokale doskonale zrozumiałe, brak growlingu czy ogólnego wysilania się na jakieś brutalne darcie mordy. Więcej tu deklamacji, nieco zdarte głosy obu wokalistów, którzy wypluwają z siebie mocne, społeczno-polityczne teksty. I te teksty to, wg. mnie, najmocniejsza strona zespołu STRADOOM TERROR. Poruszają w nich problemy, które wtedy wydawały się bardzo ważne i dominowały scenę DIY. Wiele z tych problemów pozostało nierozwiązanych do dzisiaj i nadal pojawiają się, po 20 latach, w tekstach punkowych kapel. W tekstach STRADOOM TERROR przewinęły się takie tematy jak bezmyślna eksploatacja naszej planety, sprzedawanie się punkowych kapel wielkim koncernom muzycznym, wzrastający nacjonalizm, negowanie systemu w każdej jego postaci, reakcja na rodzący się w Polce ruch Hardline, przemoc i nadużycia policji, negacja kościoła katolickiego, McDonalds, Shell, korporacje... Mocne teksty walące z buta w ryj, proste, ale i dosadne. Na płycie jest 17 utworów pochodzących z kasety plus trzy bonusy koncertowe: cover zespołu DISORDER z polskim tekstem, cover S.O. WAR oraz niezapomniany hit APATII/HCP „Młodzi faszyści". No i zapomniałbym, wcześniej pojawia się jeszcze cover SHAM 69. Zgadnijcie jaki? Oczywiście „If The Kids...".

Na okładce płyty pojawia się informacja, że materiał na płytę nie został zgrany z oryginalnej taśmy-matki, która zaginęła i utwory zostały zgrane z kopii. Powiem szczerze, że jak na kopię to jakość nagrań jest bardzo dobra. Wydaje mi się, że wszyscy, którzy brali udział w tej scenie w latach 90. z chęcią przygarną tę płytę pod swoje skrzydełko.

Pablo

STRUGGLE MANIFESTO - s/t 7"EP (N.I.C./Extinction Records)

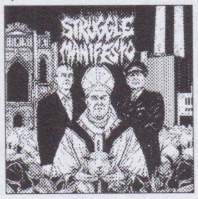

Nowy zespół z Poznania atakuje nas grind-core'ową nawałnicą na swoim debiutanckim singlu. W STRUGGLE MANIFESTO znaleźli się członkowie innych poznańskich zespołów FAUSTO COPPI i HOUNDS OF ORDER, co tylko upewnia mnie w tym, że warto się zapoznać z tym kawałkiem plastiku.

Przede wszystkim w oczy rzuca się zajebista okładka, którą wyrysował mistrz Wechter, a po odpaleniu singla rzuca nam się na uszy hałaśliwe tornado! Techniczny grind-core w stylu ROTTEN SOUND, bez growlingu i kwiczenia, jednak z brutalnym i potężnym wokalem. Kawałki STRUGGLE MANIFESTO są krótkie, szybkie, pełne energii i wściekłości. Słychać wpływ starej szkoły, ale także kilka metalowych trików,

STUDIO RIOT

RECORDING - MIXING - MASTERING

- PEŁEN BACKLINE NA WYPOSAŻENIU, MOŻLIWOŚĆ ZAKWATEROWANIA DLA KAPEL
- JEŚLI ŻYCIE NIE POZWALA CI PRZYJECHAĆ DO STUDIA, A CHCESZ DOKONAĆ NAGRANIA - STUDIO JEST MOBILNE I MOŻE PRZYJECHAĆ DO CIEBIE!

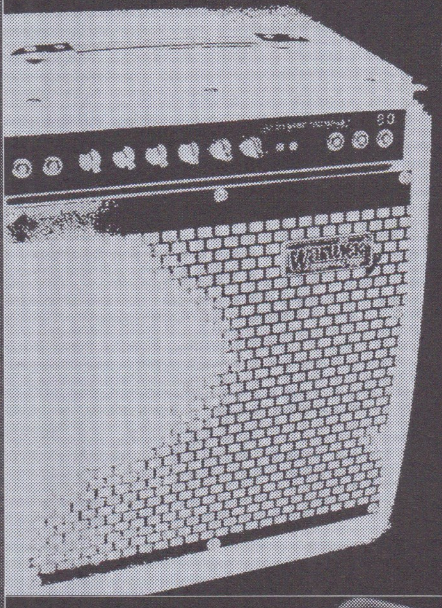

KONTAKT I WIĘCEJ INFORMACJI:
studio.riot.pl@gmail.com

POSŁUCHAJ REALIZACJI
studioriot.bandcamp.com

STUDIO RIOT

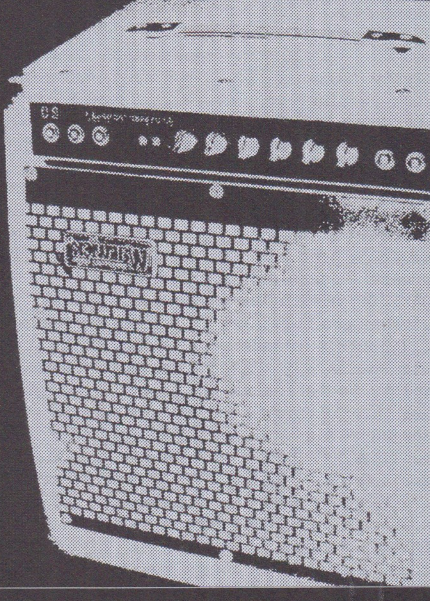

THE OPPRESSED
ANTI FASCIST OI! - UK

ANTISECT
ANARCHO PUNK - UK

Los★Fastidios
STREET PUNK - IT

AUTONOMADS
ANARCHO DUB/SKA/PUNK - UK

GOVERNMENT FLU
HARDCORE - WARSZAWA

THE LOWEST
HARDCORE - WARSZAWA

Choix
STREET ROCK'N'ROLL - RU

ODSZUKAĆ LISTOPAD
EMO HARDCORE/PUNK - NOWY TARG

[peru]
NOISE - WĘGRÓW/LUBARTÓW

PODWÓRKOWI CHULIGANI
SKA/PUNK - PŁOCK

SOCIAL CRISIS
CRUST PUNK - BIAŁA PODLASKA

Schröttersburg
POST PUNK/NOISE - PŁOCK

ANSA
EMO HARDCORE/PUNK - CIECHANÓW

FIRENZE
POST PUNK - WARSZAWA

HERIDA PROFUNDA
HARDCORE/CRUST/GRIND - PL/UK

WKRÓTCE WIĘCEJ POTWIERDZONYCH ZESPOŁÓW

TOTAL D.I.Y. FEST ULTRA CHAOS PIKNIK #8
24/25 CZERWCA 2016
ŻELEBSKO K/BIŁGORAJA

GOOD NIGHT WHITE PRIDE

+STANDARDOWO:
DARMOWE POLE NAMIOTOWE
VEGAN CATERING
DISTRA Z MUZYKĄ/TEKSTYLIAMI HC/PUNK

www.ucp.nopasaran.pl www.facebook.com/ultrachaospiknik

co tylko urozmaica te 9 kawałków. Napierdolka przepotężna, głównie za sprawą perkusji walącej z prędkością CKM-u, ale w wolnych chwilach mieszającej niemiłosiernie. Smażący się bas w tle dopełnia klimatu, który kojarzy mi się z wczesnym NAPALM DEATH, że posłużę się tu wyświechtaną w recenzjach ikoną. Ciężko złapać oddech przy tych utworach... Teksty przeciwko kościołowi, a jakże, pojawiają się tematy takie jak terroryzm i fanatyzm, scenowe kółko własnej adoracji, męski szowinizm, powolna śmierć naszej planety.
Cholera, wchodzi mi ten singiel! Wszystko jest w tych kawałkach ładnie poukładane, zagrane bardzo technicznie, i wbrew opiniom ludzi niesłuchających grind core'a, to nie jest hałas, chaos i wrzask, tylko naprawdę kawał dobrej, dopracowanej, i przede wszystkim, wściekłej muzy! Polecam!

Pablo

SYSTEM SHIT/VITRIOLIC RESPONSE split 7"EP (Fuck Copy Rights)

Pamiętam ten kanadyjski zespół jeszcze z lat 90. I myślałem, że SYSTEM SHIT umarli już dawno śmiercią naturalną, a tu taka niespodzianka! Wiecie, że ten zespół istnieje od 1988 roku?! Ten split wyszedł w zeszłym roku, więc jest całkiem świeżutki. A co na krążku? Tylko trzy kawałki z mocnym polityczno-społecznym przekazem, a w tle brutalny crust z grindującymi momentami. Brzmi to dobrze i nawet ciekawie, muzycznie to crust-punk a te klimaty grindowe wprowadza głównie wokal – mocno charczący na granicy growlingu. Spodziewałem się łupany, a tu nawet interesujące brzmienie i ciekawe kawałki, choć jakieś odkrycie roku to nie jest. Fajnie, że zespół wciąż działa. VITRIOLIC RESPONSE to młoda kapela z UK. Typowy brytyjski crust-punk do jakiego przez lata przyzwyczaiły nas kapele z Wysp. Troszkę tu u nich metalowych riffów i zwolnień, ale zespół nie brzmi szczególnie brutalnie. Fajnie brzmią dwa zdarte i przekrzykujące się wokale. Teksty antysystemowe, co nie jest zbytnim zaskoczeniem dla mnie. Brzmi to dobrze, choć muzycznie to nic nowego na scenie. Cieszy fakt, że ten szeroko pojęty crust, wciąż ma kontynuatorów.

Pablo

SZCZURY PARYŻA - s/t LP (No Pasaran Records/Zima/B.W.R.)

SZCZURY PARYŻA z Jawora to zespół dziś kompletnie zapomniany. Trochę niesłusznie, bo patrząc z perspektywy czasu, mimo, że nie wnieśli niczego oryginalnego do tego typu grania, to jednak w tamtych latach jawili się, jako dość ciekawa grupa. Miałem okazję widzieć ich na koncertach na początku lat 90., jak również udało mi się zrobić z nimi wywiad do mojego zine'a „Otwieracz". Zespół powstał bodajże w 1987 roku, a nagrania, które znalazły się na tym krążku pochodzą z kasety demo nagranej z marszu w studenckim studiu nagraniowym we Wrocławiu w 1992 roku.
SZCZURY PARYŻA grały dokładnie to, co się określa mianem hard core-punk. Kawałki są szybkie, cały czas coś się dzieje w tej muzyce, do tego melodyjne wstępy czy chwytliwe momenty w kawałkach. Ciekawe gitary, dobry pląsający bas, jednym słowem trzymają poziom i wydaje mi się, że jak na nagrania z 1992 roku to byli dość do przodu z taką muzą. Kurczę, nieodzownie kojarzą mi się z ZIELONYMI ŻABKAMI. To znaczy, brzmi to tak, jakby ZIELONE ŻABKI zaczęły napierdalać hard core! To wrażenie wywołuje głównie wokalista, który na pewno nie jest Smalcem, ale również gitary chwilami dokładają swoje trzy grosze do tego, bym słyszał ZIELONE ŻABKI. Zresztą nie ma się co dziwić, bo jednak SZCZURY są z Jawora, a ZIELONE ŻABKI osiągnęły dość sporą popularność w drugiej połowie lat 80. Nie sugerujcie się tymi moimi skojarzankami, tylko sami posłuchajcie SZCZURÓW, bo uważam, że grali fajnie, z kopytem i ciekawie. Teksty też spoko, bez grafomani, troszkę sloganowe, ale opisujące bolączki i problemy ówczesnych punków - negacja wapniaków zajmujących się rock'n'rollem, pojawia się piosenka o cenzorze, pieniądze, kłamstwa w mediach, i ogólnie życie, które boli. Nie wiem czy to sentyment, ale wciąż podobają mi się te nagrania. Dobrze mi się tego materiału słucha. No i jak ktoś chętny do złapania tej płyty, to uprzedzam, że wyszło tylko 106 egzemplarzy! Dodam tylko, że chłopakom coś tam się po latach poodwracało w głowach, bo dziękują na okładce BOGU za wszystko. Po chuj?

Pablo

TAU CROSS – s/t LP (Relapse Records)

No długo czekałem na ten krążek zanim dystrybucja raczyła mi go w końcu podesłać. I zaznaczę, że nie była to dystrybucja DIY! Zespół się doczekałem i nie żałuję! TAU CROSS to nowa „super-grupa" w skład której wchodzą: Rob Miller – wokalista i basista legendarnego AMEBIX, Michel Langevin – perkusista niemniej kultowego VOIVOD, a na gitarach grają Jon Misery z zespołu MISERY i Andy Lefton z WAR// PLAGUE. Niezły składzik, co? I tak też grają! Od razu na początku tej recenzji napiszę, że ta płyta TAU CROSS podoba mi się dużo, dużo bardziej niż płyta AMEBIX „Sonic Mass". Więcej w tej muzyce jest tego mrocznego klimatu, jaki potrafił stworzyć AMEBIX w przeszłości. Wokal Barona też świetny, chropowaty, ale i bardzo melodyjny. Cały czas pobrzmiewa w muzyce TAU CROSS ten apokaliptyczny, złowieszczy klimat, który również podbudowują mroczne klawisze w tle. Nie ma w muzyce TAU CROSS crusta, nie ma black metalu… Za to słychać zajebiste riffy, które znamy z dokonań AMEBIX. Nie wiem czy to subiektywne odczucie, ale ja tu słyszę spore wpływy BLACK SABBATH, ale i szczyptę KILLING JOKE. Zespół wymieszał ze smakiem kilka stylów muzycznych, ubrał to w specyficzne, mroczne i tajemnicze brzmienie, no i zagrał wszystko wyśmienicie z nieco rockowym zacięciem!
Płytę otwiera rewelacyjny kawałek „Lazarus", który pewnie znacie z sieci, bo reklamował ukazanie się tego krążka. Odpowiedni utwór na rozpoczęcie płyty. Pojawia się też nietypowy (a może i nie?) balladowo-folkowy utwór „We Control The Fear", który dodaje tylko smaku temu albumowi. Nie wiem czy jakieś utwory na tej płycie jakoś specjalnie się wyróżniają? No pewnie „Lazarus", bo to promocyjny kawałek. Może utwór „Prison" ze świetnymi gitarami, punkową konstrukcją i fajną melodyką, na pewno wyróżnia się wcześniej wymieniony „We Control The Fear", bardzo „amebixowy" „Sons Of The Soil", no i ostatni na płycie, balladowy utwór „The Devil Knows His Own". Poza tym cały ten krążek jest bardzo spójny, wszystkie utwory mi wchodzą i nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że to jedna z lepszych płyt jakie ostatnio ujrzały światło dzienne! Mroczna, klimatyczna, wciągająca i momentami wywołująca lekki dreszczyk na plecach. Myślę, że TAU CROSS to jest prawdziwa kontynuacja tego, co Baron robił w AMEBIX. Po przesłuchaniu krążka TAU CROSS możecie zapomnieć o „Sonic Mass"… Płyta jest oczywiście ładnie wydana, gatefold, w środku wszystkie teksty (na ostatniej płycie AMEBIX nie było tekstów), a na środku mroczna „amebixowa" grafika z krukiem. No i oczywiście okładka – świetne, złowrogie grafiki strachów na wróble, które możemy zobaczyć na videoclipie do utworu „Lazarus". Trzeba mieć!!!

Pablo

THE BITCH IN THE VAN - s/t kaseta (Mongolith Records)

Holendersko-austriacki projekt T.B.I.T.V. to niszczycielski grind core/crust o masywnym i brudnym brzmieniu. Trio, którego frontmanką jest Lisl z Bawarii, a która nie ukrywa, że bardzo kocha lokalny folklor, co zresztą słychać i widać! Mieszane wokale - dziewczyna i chłopak, oba dość brutalne. Dobry i solidnie zagrany old school, przypominający mi trochę kanadyjski EXISTENCH. Sporo blastów i crustowych klimatów. Dużym plusem kapeli jest ten dziewczęcy wokal. Demówka zawiera czternaście, dość żwawych, kawałków.

Urbx

THE SPOUNDS - Fear is the new self awareness CD (wydawnictwo zespołu)

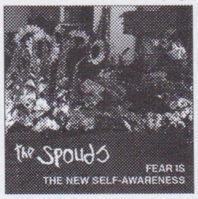

Kurczę, jednak na moją wiochę niekoniecznie docierają wszystkie informacje o płytach wydawanych przez zespoły. Warszawski THE SPOUNDS wydał już trzecią płytę, właśnie trzymam ją w rękach i biję się w piersi, za grzech niewiedzy -jak można było przegapić tak fajny zespół?
Panowie dziennikarze z „Tylko Rocka" na pewno ułatwiliby sobie zadanie i wrzucili tę płytę do mitycznego worka z post hardcorem. Jednak słuchając niektórych kapel z tzw. nurtu post-hardkor to, kurwa, zabiłbym osoby, które zrównały z szambem ten zacny nurt. Podobnie jak klasyczny emo-core, który teraz kojarzy mi się z wychudzonymi kolesiami z grzywkami i pomalowanymi na czarno paznokciami. Na szczęście THE SPOUNDS jest w dobrej sytuacji, ze swoją bezpretensjonalnością i młodzieńczym feelingiem, biją na głowę te wszystkie potworki rodem ze zbuntowanego MTV określające się mianem post-hardcore. Jeśli miałbym szukać porównań, to mamy do czynienia z soundem, gdzie słyszę pierwsze dokonania AT THE DRIVE IN czy pasaże muzyczne poszukiwań FUGAZI. Do tego dwa wokale, jeden śpiewający (tak, tak, śpiewający i wcale nie kłujący w uszy) i drugi zdarty. Jest sporo, tak bardzo lubianego przeze mnie, brudziku jak i takich miłych dla ucha niedopowiedzeń. Kurczę, jaram się tą płytą i polecam ją każdemu!

QbaQ

THE THRONE – Singularity CD (wydawnictwo zespołu)

Z nazwą THE THRONE spotkałem się kilka lat wcześniej, posłuchałem ich pierwszej epki i dałem sobie spokój. Nie było to coś, co akurat lubię słuchać. I pewnie o zespole THE THRONE bym już dawno zapomniał, gdybym przypadkowo nie pojawił się na ich koncercie. Mocno zaskoczyło mnie nowe oblicze zespołu i to co teraz grają. Wcześniej zespół określał swoją muzykę jako post-metal i może to mnie do niego skutecznie zniechęcało. Wydaje mi się, że ten termin był mało adekwatny i w sumie nie do końca rozumiałem to określenie. Tym bardziej, że zespół korzenie ma w scenie punk. Wolę więc termin z koncertowego plakatu, który ich muzykę określił jako dark hardcore i niech tak może pozostanie. Odpalając w odtwarzaczu płytę, którą zakupiłem po ich koncercie nie do końca wiedziałem czego można się spodziewać. Czy będzie utrzymana moc, którą słyszałem na koncercie, czy raczej będą to jakieś smutki i będzie to kolejny nieudany zakup. Na szczęście wygrała ta pierwsza opcja i płyta na długo zagościła w moim odtwarzaczu. Po kilkukrotnym przesłuchaniu słychać, że zespół ciągle pracuje nad sobą i włożył dużo pracy w to, aby grać na takim poziomie jak teraz. Płyta „Singularity" to totalny zaskok, sporo na niej mrocznego wolnego grania. Pocztkowo wydawało mi się, że każdy numer jest inny, ale po którymś tam przesłuchaniu całość wydaje się sensowna i prawie wszystko jest na swoim miejscu. Nie powiedziałbym, że jest to concept album, bo z tym kojarzą mi się zupełnie inne płyty, ale na krążku mało jest przypadkowego grania i te 10 kawałków, które się na nim znajdują stanowią jakiś zamysł. Prawdziwą perełką dla mnie jest zwłaszcza tytułowy kawałek „Singularity", ale niczym innym nie ustępuje im reszta kawałków,

chociażby takie jak „Monument" czy „Mothers". Myślę, że zespół jest mocno niedoceniany (i w sumie mało kto o nim wie) i przez to błąka się, gdzieś po obrzeżach sceny hc/punkowej. Płyta dla tych, którzy nie boją się otwierać na nowe dźwięki. Zespół ma spory potencjał w sobie i fajnie by było, aby go nie zmarnował. Aha, szkoda że, materiał ten nie ukazał się na winylu, bo podobno płyty CD są obecnie passe.

/J/

TRAGIEDIA – Punk 'til Destruction LP (Todo Destruido Discos)

A to niespodzianka! Amerykańska wytwórnia mająca na koncie sporo wydawnictw wypuszcza nagle nagrania polskiego zespołu z lat 80. TRAGIEDIA nie była w naszym kraju jakoś szeroko znanym zespołem. Pochodzili z Warszawy, istnieli od końca 1985 roku do 1991. Nagrali materiał na dwie (chyba nigdy niewydane) kasety demo w 1988 i 1989 roku i właśnie z tych lat pochodzą nagrania na tym krążku. Malarie i N.I.C. wydali jeszcze ich split kasetę z zespołem PSI. To chyba tyle... Amoniak i TRAGIEDIA pochodzą prawdopodobnie z tej samej załogi, co ekipa POST REGIMENT. Zresztą znacie pewnie płytę „TRAGIEDIA wg. POST REGIMENT", na której Nika i reszta oddali „hołd" temu zespołowi. Tutaj mamy oryginalne kawałki TRAGIEDII i powiem, że robią spore wrażenie. Surowy punk przywodzący na myśl kapele ze Skandynawii czy kojarzące się z innym polskim zespołem z lat 80., a mianowicie z INSEKTAMI NA JAJACH z Łodzi. Podobne połączenie słowiańskiego surowego punka ze szwedzką agresją. Nie ma żadnej finezji w ich graniu, ale jest za to brud, surowizna i wściekłość. Gdyby TRAGIEDIA wystąpiła w Jarocinie w 1984 roku to łapaliby się gdzieś pomiędzy SIEKIERĄ a PROWOKACJĄ, bez dwóch zdań! No i obrazu tej kapeli dopełniają na pewno teksty Amoniaka - krótkie, zwięzłe, kopiące prosto w mordę, oddające stan umysłu warszawskich punków. Jak dla mnie są one mocno depresyjne, a zarazem wściekłe. Słychać, że ówczesna rzeczywistość bardzo ich przytłaczała. Obojętność i apatia społeczeństwa, pytania, na które nie ma odpowiedzi, burdel w głowie, ogólna niemoc, obawa przed wojną nuklearną... Proste, ale dość zaskakujące punkowe liryki połączone z klasyczną raw-punkową nutą naprawdę robią na mnie duże wrażenie. Nie dziwię się, że POST REGIMENT wziął na warsztat te kawałki.
Na płycie jest aż 25 utworów, m.in. znane z płyty POST REGIMENT „Jak pies", „Szczury", „Co się ze mną dzieje?", „Dobrze ginąć za wspaniały świat", „Nażarty", „Świnia"... Do krążka dołączona jest skromna wkładka z tekstami po polsku i angielsku oraz kilkoma zdaniami od wydawcy i wokalisty Amoniaka. Nagrania są dobrej jakości, brzmią świetnie, a za remastering odpowiada Smok. I tak kółko się zamyka...

Pablo

UKRAINA – Nuda LP (Jimmy Jazz Records)

UKRAINA to niewątpliwie klasyka podkarpackiego punk rocka, lokalna legenda. Powstała na początku lat 80. w Brzozowie na bazie zespołów CKM i BLUFF. Apogeum jej twórczości - w latach osiemdziesiątych - był rok 1985, kiedy to zespół z powodzeniem pokazał się szerszej publiczności na festiwalu w Jarocinie czy na innych ważnych koncertach m. in. w warszawskim klubie Riviera-Remont, czy na częstochowskich Juwenaliach. O kapeli zrobiło się głośno, a zdjęcia zespołu z jarocińskiej Małej Sceny znalazły się w raporcie Elżbiety Chodorowskiej w największym amerykańskim fanzinie „Maximum Rock'n'Roll". W ogóle na tym festiwalu nastąpiła eksplozja „skórzanego" punk rocka inspirowanego dokonaniami DISCHARGE, THE EXPLOITED czy G.B.H., której katalizatorem był fantastyczny występ SIEKIERY rok wcześniej. UKRAINA świetnie wpasowała się w ten nurt – prosta, czadowa muzyka dopełniona ostrymi tekstami. Esencja takiego grania!
Później nastąpił rozpad grupy i reaktywacja w roku 1992. Od tego czasu zespół cały czas funkcjonuje trapiony rotacjami i zmianami personalnymi po dziś dzień. Sporadycznie koncertując w regionie czy na Punkowej Orkiestrze Świątecznej Pomocy w Krakowie. W międzyczasie, w 1995 nakładem oficyny Psy Wojny Records ukazała się jej kaseta pt. „Wiek XX". Płyta pt. „Nuda" zawiera dwie sesje: 10 starych, klasycznych utworów (m. in.: „Polska mafia", „Wilczy bilet", „Wiek XX", „Chyba Cię kocham") nagranych w 2015 roku oraz 3 kompozycje zarejestrowane w latach 90. ostatnie bardziej surowe, a w kawałku „Ludzie węże" refren jakby żywcem wyjęty z bratniego KSU. Spokojnie mógłby znaleźć się w ich repertuarze. LP wydany został na 180 g. winylu, zawiera fajną wkładkę z teksami, historią, zdjęciami - co jest bardzo ważne przy tego typu wydawnictwach. Winylową edycję poprzedziło ukazanie się tego materiału również w formacie CD. Przyznam szczerze, że podszedłem do tej płyty z dużą rezerwą, ba, nawet uprzedzeniem! A to za sprawą pstrokatej, wręcz jarmarcznej okładki, która totalnie nie przypadła mi do gustu, a po drugie - przede wszystkim - nie chciałem ponownie przeżyć goryczy rozczarowania, jak miało to miejsce w przypadku LP KONWENTU A „Czerwień i biel". Nie jestem zwolennikiem nagrywania starych utworów po latach. Moim skromnym zdaniem nie da się odtworzyć tego specyficznego klimatu, brzmienia, nie da się podrobić młodzieńczej witalności, energii i wściekłości, którą generowały punkowe załogi tamtej dekady. To były specyficzne czasy, gdzie braki warsztatowe i sprzętowe dodawały tylko uroku i autentyczności. A te kawałki powstały bagatela przed 30 laty!!! Ogólnie mam mieszane uczucia – bo nie jest to zły album, nadający się do zglanowania. Płyta zawiera bardzo dobrze nagrany materiał sprzed lat. Jest prosto, czadowo bez smęcenia. Nie ma syfiastego, nudnego rocka, jaki często próbują nam sprzedać na płytach i koncertach reaktywowane dinozaury z tamtych lat. Ale czytaj wyżej...

(B)

UKRYTE ZALETY SYSTEMU – Ukryte zalety systemu CD/LP (Antena Krzyku)

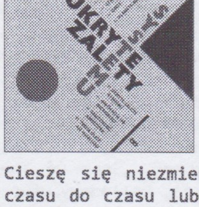

UKRYTE ZALETY SYSTEMU idealnie wstrzeliły się w czasie w tzw. renesans post-punka. Generalnie sporo teraz w takowych klimatach się dzieje, powstają nowe zespoły, wydawane są nowe płyty w post-punkowych klimatach. Cieszę się niezmiernie z tego faktu, bo od czasu do czasu lubię posłuchać sobie takich dźwięków, a U.Z.S. są jasno świecącą gwiazdą w post-punkowym światku.
Generalnie w tym numerze „Chaosu", macie do poczytania bardzo ciekawy wywiad z komiksiarzem Prosiakiem. Pokłosiem tego wywiadu była wizyta u mnie na chacie Prosiaczka wraz z przesympatyczną żoną. No i wiecie, jak się spotykają dwa stare pryki to i czasem o nowościach muzycznych się pogada. W pięknych okolicznościach przyrody, siedząc na tarasie u jeszcze innego pryka (w sąsiedniej wiosce) słuchaliśmy sobie CD UKRYTYCH ZALET SYSTEMU. No i maestro Prosiaczek-Krzysiaczek z wrodzoną sobie skromnością skwitował płytę wrocławiaków słowami: …prawie jak „Nowa Aleksandria" SIEKIERY, tylko w przeciwieństwie do SIEKIERY w UKRYTYCH ZALETACH SYSTEMU słychać człowieka… Tak w zasadzie, to tym zdaniem można byłoby zakończyć recenzję, ale jeszcze chwilkę was pomęczę. Bardzo fajną robotę w muzie wrocławiaków robi rachityczny klawisz, który jeszcze bardziej potęguje post-punkową nierzeczywistość, jaka jest zawarta na tej płycie. Dokładając do tego pogłosy i tę właśnie mechaniczność otrzymujemy płytę prawie perfekcyjną.

QbaQ

Lubisz GANG OF FOUR „Entertainment!"? To pokochasz również UKRYTE ZALETY SYSTEMU. Jeśli lubujesz się w zimnych, zgrzytliwych, pokręconych dźwiękach przełomu lat 70/80 to ten LP jest stworzony dla ciebie. To świadoma inspiracja, celowa premedytacja i muzyczna podróż do korzeni gatunku zakończona powodzeniem. Ta płyta jest świetnym prezentem dla wszystkich miłośników post-punka, cold wave i nowej fali. Ja się do nich zaliczam, więc jestem wniebowzięty. Prawdziwa muzyczna uczta! Oczywiście nikt tutaj nie wynalazł prochu, bo wszystko już niby było, ale to nawiązanie do nowofalowej estetyki wyszło nadzwyczaj świeżo, atrakcyjnie i niezwykle przekonywująco. Płyta nagrana przez wrocławskie trio przynosi nam osiem kompozycji charakteryzujących się nerwowymi partiami basu, plemiennymi rytmami bębnów, tanecznymi, syntetycznymi klawiszami, urywaną gitarą, skandowanym, beznamiętnym wokalem. Ta płyta to również wynik twórczego muzycznego fermentu wrocławskiego środowiska skupionego wokół klubu CRK i takich kapel jak: UZS, THE KURWS, RÓŻEWIE, etc. Przy okazji tych ostatnich pozwolę sobie na małą dygresję - mam cichą nadzieję, że RÓŻEWIE nadal działają i funkcjonują, bo chętnie posłuchałbym jakiegoś ich pełnometrażowego materiału studyjnego. Wracając do UKRYTYCH ZALET - bardzo podoba mi się nazwa grupy oraz nieszablonowe teksty - wszystko tutaj jest na swoim miejscu i pasuje do siebie. Miałem przyjemność widzieć UZS kilka razy na żywo - i to zarówno w kameralnym klubie, jak i na scenie dużego festiwalu - w obu przypadkach zespół dał fantastyczne występy i zrobił na mnie pozytywne wrażenie. Nie mogę się doczekać na ich kolejne wydawnictwa.

(B)

V/A – „Angst" komp. kaseta (Rauha Turva Records)

Bardzo fajna hardcore/crust/punk/grind kompilacja z kapelami z najróżniejszych zakątków świata jak np. Tajlandia, Kolumbia, Wenezuela czy Malezja. Od razu rzuca się w oczy bardzo fajna szata graficzna! No powiem szczerze, że musiał się ktoś mocno napracować nad tą całą grafiką. Zajebiste crustowe klimaty, wszystko narysowane, jak i napisane ręcznie. Bardzo ładna rzecz. Dodam jeszcze, że każda kapela predstawia po dwa kawałki.
Kasetkę otwiera tajski ATERPE. Grają oni pospolity punk, niczym ciekawym nie zaskakujący. Natomiast fajnie, że można sobie posłuchać tajskiej punk nuty, bowiem jak wiemy wszyscy, nie wiele kapel z Tajlandii wybija się poza granice kraju. FUSER to kolejny band, tym razem z Italii - mocno w klimatach hardcore/punk z lat 80. Jest moc! IL CONTENT pochodzą z USA, a chłopaki grają punkowy crossover/hardcore o fajnym ciężkim brzmieniu. Kolumbijski TERROR NUCLEAR od samego początku mówi nam, że nie będzie zmiłuj się! Mocny blackowy crust/d-beat z ultra wrzeszczącą wokalistką. Kawałki długie i powiem szczerze - dość monotonne. AMOR Y RABIA to kolejna kapela z Kolumbii, a dokładniej z Bogoty. Klasyczny hardcore/crust/punk na dwa damsko/męskie wokale. Nawet fajne. Zostajemy ciągle w Kolumbii za sprawą, najpierw DES ACATO, który gra notoryczny crust/d-beat na dwa, choć w tym przypadku męskie wokale. A następnie EUTANASIA - mocny, sprawnie zagrany hardcore punkowy crust. Wenezuelski PEL Y HUESOS zamyka stronę. Kapela prezentuje mocno rozstrojony, choć nie noise'owy crust/punk, do tego mocny efekt z pogłosem na wokalu, trochę klimatycznych solówek i do tego wszystkiego wrzeszczący wokalista. Specyficzny klimat, bardzo podobają mi się te dwa ostatnie numery.
Drugą stronę otwiera indonezyjski TOTAL BANXAT, który łupie mocnego d-beata na skandynawską nutę (NO SECIURITY, UUUTUS). Mają chłopaki kopa, dobre granie! LTP, cokolwiek by ten skrót znaczył, pochodzą z Rosji. Mocno chaotyczny, surowy hardcore/punk na dwa damsko-męskie wokale. BOMBATOLCSER pochodzą ze Słowacji. Dwa numery solidnego, trochę metalowego crusta, no może bardziej niż trochę, ale wszystko na szybkich obrotach, bez mulenia i zbędnych zwolnień, a na wokalu dziewczyna, która ma naprawdę

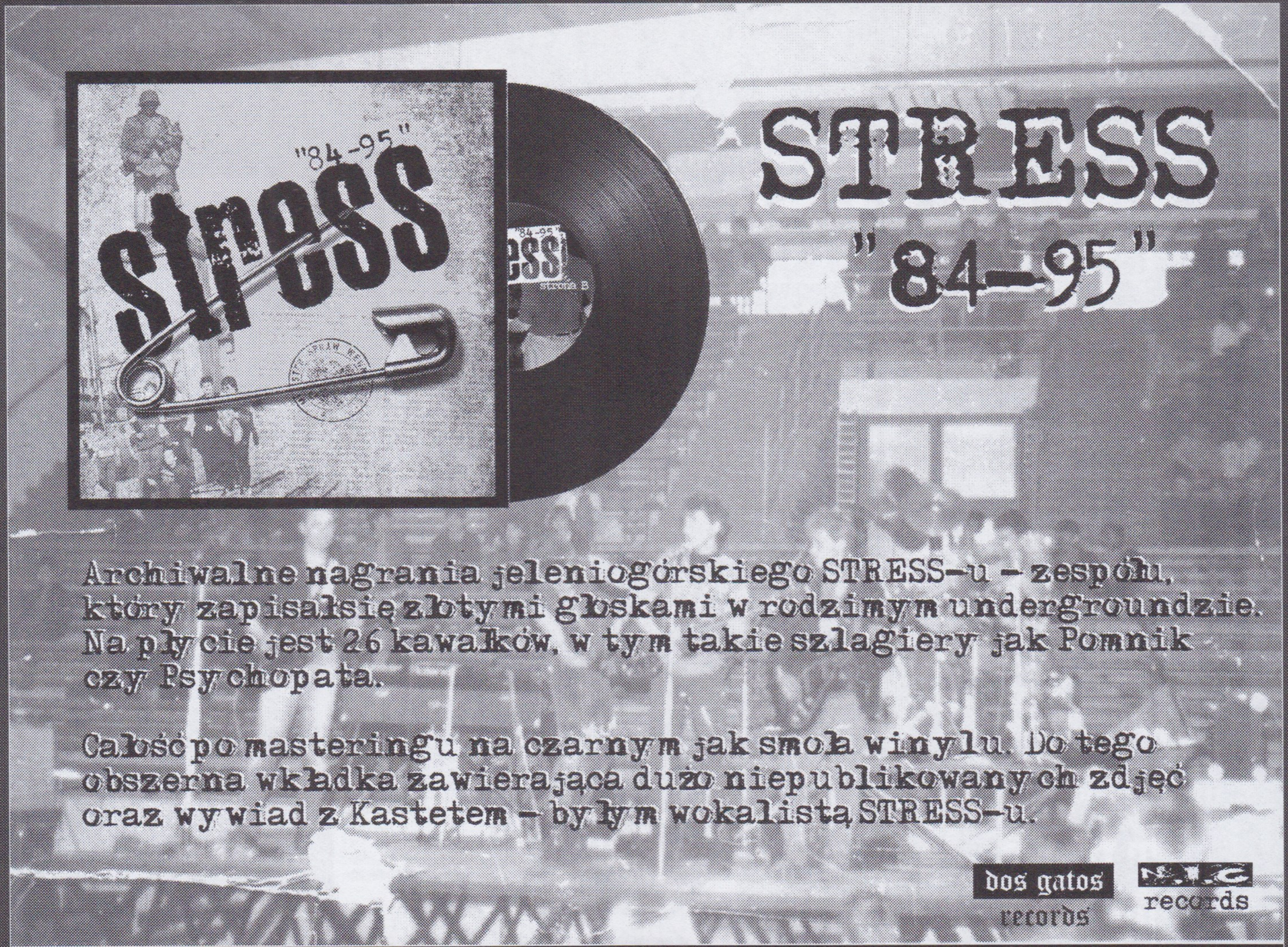

STRESS
"84–95"
Archiwalne nagrania jeleniogórskiego STRESS-u - zespołu, który zapisał się złotymi głoskami w rodzimym undergroundzie. Na płycie jest 26 kawałków, w tym takie szlagiery jak Pomnik czy Psychopata.
Całość po masteringu na czarnym jak smoła winylu. Do tego obszerna wkładka zawierająca dużo niepublikowanych zdjęć oraz wywiad z Kastetem – byłym wokalistą STRESS-u.
dos gatos records
records

OUT SOON
V/A "WAR IS BUSINESS" 4 WAY SPLIT 7"
ULTIMO RAUSEA
4 WAY
MATKA TERESA FASTCORE/GRIND (NL)
SOCIAL CRISIS CRUST W/ TWO FEM. VOC. (PL)
ULTIMO RAUSEA FAST CORE/JAPCORE (JAP)
CONTROLLED EXISTENCE GRIND CORE (CZ)
EXTREME TERROR PRODUCTION

REFUSE RECORDS 2015

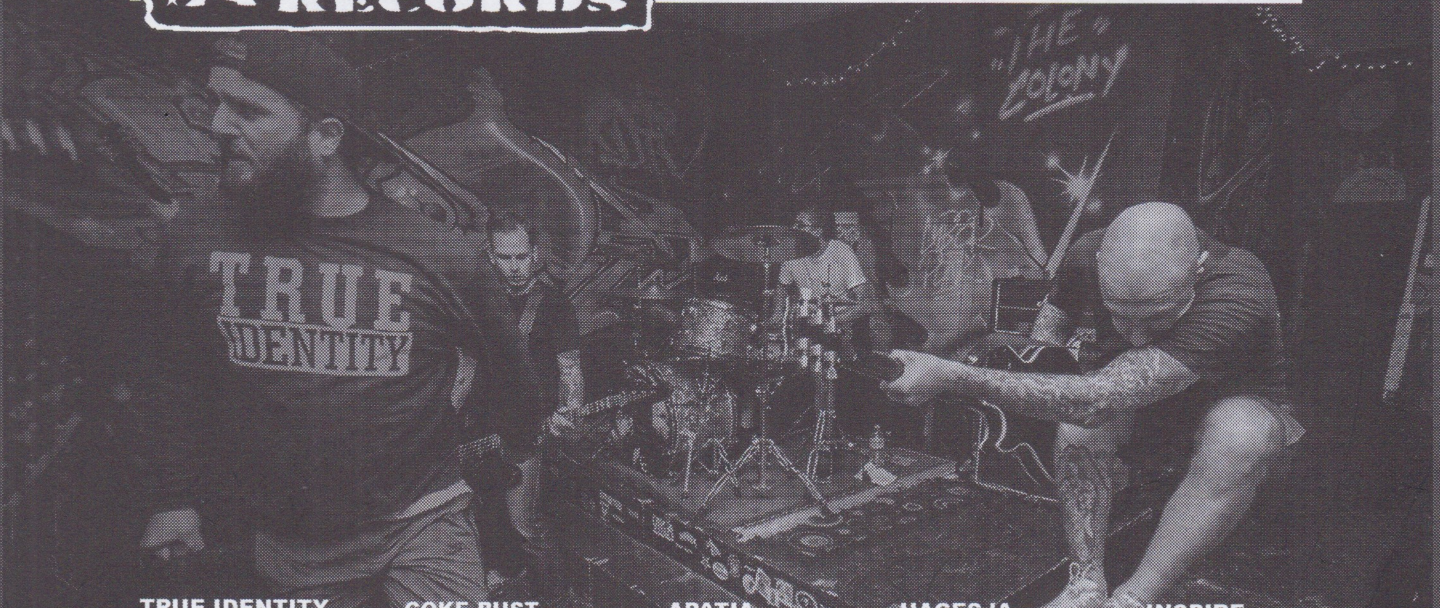

TRUE IDENTITY
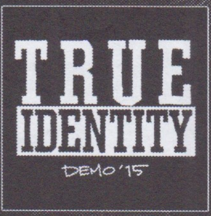

"Demo '15" 7"EP
Vancouver Straight Edge.
Ex-CHAMPION/BETRAYED!

COKE BUST

"Confined Anthology" CD
"Confined" 12" + trzy epki na jednym CD.
Washington DC Straight Edge.

APATIA

"Demo 1990" LP
Pierwsze nagrania poznańskiej formacji! Wówczas jeszcze jako SEHC.

HACESJA

"Ultrafastnoisecore" 7"EP
Surowy i ultraszybki HC po linii Larm/Infest. Pre-Cymeon X.

INSPIRE

"Demo 1998" 7"EP
Sao Paulo Straight Edge. Członkowie Point Of No Return/I Shot Cyrus.

ZŁODZIEJE ROWERÓW

"Demo 1995" LP+DVD
Materiał z pierwszej kasety + dokument o zespole.

CYMEON X

"Animal friendly" 12"/CD
Rodzimy klasyk Straight Edge HC. Najnowszy materiał!

CYMEON X/REGRES

split 7"EP
Split na XV-lecie Regresu!

VICIOUSxREALITY
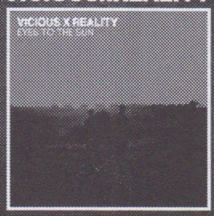

"Eyes To The Sun" 7"EP
Straight Edge HC z Częstochowy. Debiut na winylu.

MANLIFTINGBANNER/ DEADSTOOLPIGEON
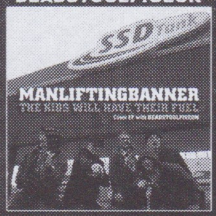

"Cover EP" 7"
Legendy z Holandii coverują klasyków.

EYE FOR AN EYE

"Głos" 7"EP
Ścisła czołówka Hc/Punk w Polsce i ich nowy materiał.

SCHWACH

s/t 7"EP
Polityczny i pozytywny HC z Berlina.

GO!

"The word is Go!" 7"EP
Demo 1989 na 7" winylu.
NYHC. 12 numerów.

MIND TRAP
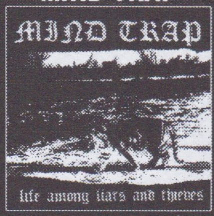

"Life amongs liars and thieves" 7"EP
Berlin Straight Edge. Surowy HC'82.
Ex-Highscore, Short Fuse and Nothing.

GOVERNMENT FLU
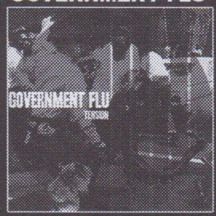

"Tension" 12" / CD
Refuse #100!
Absolutna kosa ze stolicy.

Również dostępne:
VOWELS 7", HELLO BASTARDS LP, APPRAISE 12", MISLED YOUTH 7", ZŁODZIEJE ROWERÓW "Ten moment" LP/CD/MC, WATCHING ME FALL 7", TZN XENNA LP, STAY HUNGRY 7", COKE BUST 12", H.C.P. LP

W planach:
NATIONS ON FIRE "Burn again" 12", BUSTED OUTLOOK LP, PROTESTER LP, MISLED YOUTH 7", MIND TRAP 12", APPRAISE 7", TRIAL LP's.

REFUSE RECORDS www.refuserecords.prv.pl www.refusemusic.net refuseorder@gmail.com

pic: Nate Zoeller

konkretny głos. Serbski INTAKT chyba raczej nikomu nie trzeba przedstawiać? Bałkański crust starej szkoły na pełnych obrotach. MATKA TERESA, jak to kiedyś powiedział znajomy, to taki innovated grind noise, hehehe… Dwa kawałeczki ze split singla z SAKATAT. Kolejna kapela tym razem pochodzi z Brazylii. MACULA, bo tak się nazywają, bardzo przypomina mi inny brazylijski band CRUEL FACE. Mocny hc/grind na dwa, mocno drące się wokale. Całkiem spoczko. TO DIE to indonezyjski grind/noise/core z toną splitów na całym świecie, a wszystko wydane w dość niedługim czasie po sobie, hehhe. SPOSA IN ALTOMARE pochodzą z Włoch, chłopaki dość prężnie działają na własnym podwórku, nie tylko jeśli chodzi o kapelę, ale organizują także trasy, gigi i prowadzą różnorakie niezależne wydawnictwa. SPOSA gra taki mocno hardcore'owy grind core z brutalnym wokalem, trochę zajeżdżającym momentami „świnią". ROTGUT to malezyjski odpowiednik DECHE-CHARGE czy starego ANAL CUNT. Noise, noise, noise... Sporo w tym eksperymentalu. Na koniec składanki pozostaje nam drugi zespół ze Słowacji - ALEA IACTA EST. Bardzo szybki i sprawnie zagrany hardcore/grind, do tego dwa wrzeszczące i przekrzykujące się wzajemnie wokale. Mikstura bardzo wybuchowa, tym bardziej, że Słowacy powydawali ostatnio kilka fajnych płyt, które polecam.
Bardzo mi się podoba ta składanka, ogólnie bardzo lubię wszelakie „world wide" kompilacje. Lubię odkrywać mało znane kapele z różnych zakątków świata. Polecam i zarazem proponuję się śpieszyć, jak kogoś składanka zainteresuje, bo nakład tylko 100 egzemplarzy, jeśli dobrze pamiętam.

Urbx

V/A – „Barbarian pride world wide" comp. kaseta (Destroy Sound Records)

Kolejna kompilacja wydana w Rosji. Tym razem na składance znalazło się sporo dobrych crust/d-beatowych oraz grindowych załóg z Niemiec, Anglii, Finlandii, no i Rosji. Na każdą kapelę przypadają po dwa numery, choć zdarza się i po jednym numerze… Rozpoczyna DISWARP - brutalna crust/d-beatowa wojna. Stench, wojna, noise i wódka. CAMPHORA MONOBRAMATA to miażdżący grinding mince core, mocno po linii ARCHAGATUS, choć tutaj zespół robi to bardziej po swojemu. Dobre i solidne brudaśne brzmienie, do tego fajne grindowe riffy. SRAM to szybki grind core, nic dodać nic ująć. Grają tu ludzie z chwilę wcześniej wspomnianej CAMPHORY. Wszystkie trzy wspomniane kapele pochodzą z Rosji. Angielski ARMOUR OF CONTEMP to grind/hard core i myślę, że trochę wieje zimną Skandynawią w ich muzie. Ponownie kłania się Rosja, tym razem za sprawą THULE. Jeden długi numer w klimatach crust/doomowych. PARATYPHUS pochodzą z Niemiec i prezentują grindujący fastcore na dwa konkretne wokale. KUOLEMA klasyk hard core z Finlandi. Czy komuś trzeba ich przedstawiać?
SILMINNAKIJA to ponownie Finlandia i dwa kawałki mocno zaangażowanego anarcho-hardcore-punka na dwa damsko-męskie wokale. Kolejna kapela z Rosji - HUMAN DISCOUNT - sprawny crust core grind, na dwa wokale. Finlandia i ponownie Tampere - VIHARIKOS grają punk/hardcore w klimatach lat 80. Lądujemy znowu w Anglii, tym razem jest to CASE TO EXIST – brudny grind/metal/punk. Oprócz wymienionych kapel są na kasecie jeszcze LET BY FEAR (d-beat z Rosji), DISMEMBERS(d-beatowy Motörhead z Niemiec), KARZER (crust grind noise również z Niemiec), NYCTALOPS, FOTZENHAMMER.

Urbx

V/A – "Kaj Je Alternativa" comp. LP (Rest In Punk)

Dzisiaj wśród młodzieży raczej jugosłowiańska scena hc/punk z lat 80. jest słabo znana albo w ogóle nieznana, więc pomyślałem sobie, że warto by przypomnieć pierwsze słoweńskie zespoły grające hardcore. Ta kompilacja ukazała się w 1983 roku na kasecie pod tym samym tytułem, a na płycie jest kilka bonusowych kawałków z koncertów w Ljubljanie w 1983 roku. Hardcore trafił pod jugosłowiańskie strzechy nieco prędzej niż np. do Polski. Choć i w naszym kraju w 1983 roku zespoły próbowały już grać szybko i ostro, choćby DEZERTER... Na tym LP znajdują się nagrania trzech zespołów z Ljubljany: U.B.R., STRES D.A. i ODPADKI CIVILIZACIJE. Pierwszy i ostatni możecie znać z legendarnej składanki „Hardcore Ljubljana", jednak U.B.R. byli chyba najbardziej znanym zespołem z tej trójki. Grali od 1983 do 1985 roku, wydali singiel „Corpus Delicti" w 1984 roku i pojawili się na kompilacji „Welcome To 1984" wydanej przez Maximum Rock'n'roll. Poza tym zagrali trochę koncertów, m.in. we Włoszech i Holandii. Pozostałe dwa zespoły też nie grały zbyt długo – STRES D.A. powstali w 1983 i rozpadli się w 1984 roku po wyjeździe perkusisty do Wielkiej Brytanii. ODPADKI CIVILIZACIJE zaczęli grać w 1982 roku, w 1984 roku zmienili swój styl na bardziej thrashowy, załapali się jeszcze na składak „Hardcore Ljubljana i zawiesili działalność na początku 1986 roku.
Wszystkie trzy zespoły zapoczątkowały hardcore w Ljubljanie, grały szybko, surowo, chropowato i dość prosto. Jednak trzeba było postawić pierwszy krok! Najostrzejszym zespołem na tej płycie jest U.B.R., mocno kojarzący się z DISORDER. STRES D.A. jest za to najszybszy – nie ma tu chwili na złapanie oddechu, jadą do przodu na pełnej prędkości z wysokiej górki i bez hamulców! Kojarzą mi się nieco z naszym NADZOREM, chociaż u STRES D.A. nie ma w ogóle metalizujących gitar, tylko czystej wody surowy punk. ODPADKI CIVILIZACIJE też się nie oszczędzają! Wypadkowa ich muzyki to coś pomiędzy wczesnym CHAOS UK a starym włoskim hardcorem ze szczyptą słowiańszczyzny. Zresztą wszystkie trzy zespoły brzmieniowo kojarzą mi się z polskimi kapelami hc/punk, które u nas pojawiły się chwilę później niż miało to miejsce w byłej Jugosławii. Świetna lekcja punkowej historii! Do płyty dołączona jest wkładka z przedrukiem oryginalnej okładki kasetowej i krótkimi notkami o zespołach, no i oczywiście sporą ilością zdjęć kapel biorących udział w tej kompilacji.

Pablo

V/A – „26 punk/grind/crust" comp. kaseta (Death Fire Chaos)

Kompilacja wydana w Rosji i z kapelami właśnie stamtąd. Zespołów sporo, a najbardziej znane są między innymi: TED KACZYNSKI - brudny, szybki crust na dwa wokale; I HAVE A GUN - solidna crust punkowa łupana, gdzie tradycyjnie wydziera się panna na zmianę z kolesiem. Pojawiają się również: ZORKA - ultra speed violence na dwa woksy. INTERNAL DAMAGE to też już raczej znana marka, mają wydany CD również w Polsce. Solidny i sprawnie zagrany grind core po lini NASUM. Kolejna kapelka to RVOTA – hc/grind z wrzeszczącym wokalem na przodzie. Mają wydane kilka ciekawych splitów czy 4 way'ów...
Druga strona kasety również ciekawa, jak strona pierwsza, zatem lecimy z tematem. CROWD CONTROL znani tu i ówdzie. Ostatnio wyszedł ich split z MUCULT. Masywny, brudny grinding violence - bardzo fajne. AXIDANCE to mocno black metalowy neo-crust na dwa mieszane wokale. CONVINCE crust punk na dobrych(szybkich)obrotach. DISTRESS myślę, że są dość znaną załogą, na koncie mają kilka wydawnictw, jak i zaliczoną trasę po Europie. Kapela pogrywa brudnego crusta, trochę w stronę Skandynawii. Z mniej znanych kapel, ale równie ciekawie prezentujących się mogę wymienić jeszcze ADRIANO CEIENTANO – ci grają hardcore/crust tylko na perkę i gitarę basową. Całkiem dobre nagranie z próby. THE MINC to dobry i mocny crust po lini starego EXTREME NOISE TERROR, STATE OF FEAR czy EXTINCTION OF MANKIND. REPRESSION ATTACK gra szybki crust punk na angielską nutę. E 123 - hc/grind. UNKIND REVOL - szybki hardcore z dziewczyną na wokalu. CT2WTP – żywiołowy i chaotyczny hard core. Jest też parę kapel których nazw, niestety, nie jestem w stanie rozszyfrować. Wydawnictwo bardzo D.I.Y., kaseta z recyklingu, wkład komputera w okładkę bardzo minimalny - kolaże, wydzieranki. Ukazała się ta taśma w bardzo limitowanym nakładzie, bo tylko pięćdziesiąt sztuk. Kaseta bardzo skromnie wydana jak na tyle kapel… Żadnego info, adresów, zdjęć. Do kasety za to dołączono dwie antyfaszystowskie nalepki. Motto kompilacji brzmi: „WE ARE THE KIDS OF WAR AND PEACE!".

Urbx

WORLD IS SHIT – „Demo 2014" kaseta(D.I.Y.)

Po rozpadzie CURMUGEDON (mistrzowski power violence z panną na wokalu)część członków zespołu postanowiła dalej tworzyć muzykę. WORLD IS SHIT to kapela gitarzysty właśnie CURMUGEDON. Szybki, trochę hardcore'owy grind core/death prosto z Bostonu. Sporo w ich muzyce momentów takich w klimacie ASSUCK, by nie powiedzieć metalowych. Pięć króciutkich kawałków, ogólnie kaseta też tak na szybko zrobiona - tylko front okładki, tytuły kawałków i wsio. Na koniec dodam jeszcze, że wokalistka CURMUGEDON udziela się obecnie w punk rokowej kapelce CHONDRIA. Check it out.

Urbx

WÓDA I PETY/ AGATHOCLES split 7"EP (Blast Of Truth Records)

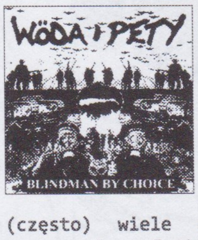

Kurde, przegapiłem WÓDĘ I PETY, to już kolejne wydawnictwo warszawiaków, a ja dopiero przy okazji wymian winylowych dowiedziałem się o tym zacnym zespole. Jak się mieszka na wsi, czasem (często) wiele ciekawych rzeczy można przegapić. Malutki label Blast Of Truth Records wydał tego sympatycznego singielka w ilości 300 sztuk, wydanie jest super profesjonalne od poligrafii po sama epeczkę. A co w środku? WÓDA I PETY napierdalają discora z bardzo brudnym brzmieniem, czyli to co Kubusie lubią najbardziej! Zero litości, ultra zajebisty pałker (w końcu to były perkusista ANTIGAMA), przester, brud, smród i ubóstwo, haha. Tekstowo w konwencji kapel na dis- kilka wersów i generalnie zero optymizmu i kwiatków na łące. Jeszcze raz się kalam, że nie znałem tej hordy.
Druga strona to już chyba chodzące na balkonikach dziadygi z AGATHOCLES. Kurde, oni chyba więcej nagrali różnego rodzaju pozycji na różnych nośnikach niż ja mam lat! Pamiętam kiedyś gig w Czechach, gdzie basista grał na basie z 3 strunami, poszła mu jeszcze jedna, i chłop dał jeszcze większy distorszyn i dokończył gig na dwóch strunach... Punk (grind) as fuck! Muzyka Agaty oczywiście przez 200 lat istnienia tego zespołu nie uległa rewolucji, grają to co grali w 1858 roku czyli mix brudnego i lujskiego grinda z punkowych feelingiem, zwanym mince core. Dobry kawał plastiku!

QbQ

KOMIKS POCHODZI Z PROSIACKA X WYDANEGO PRZEZ KULTURĘ GNIEWU

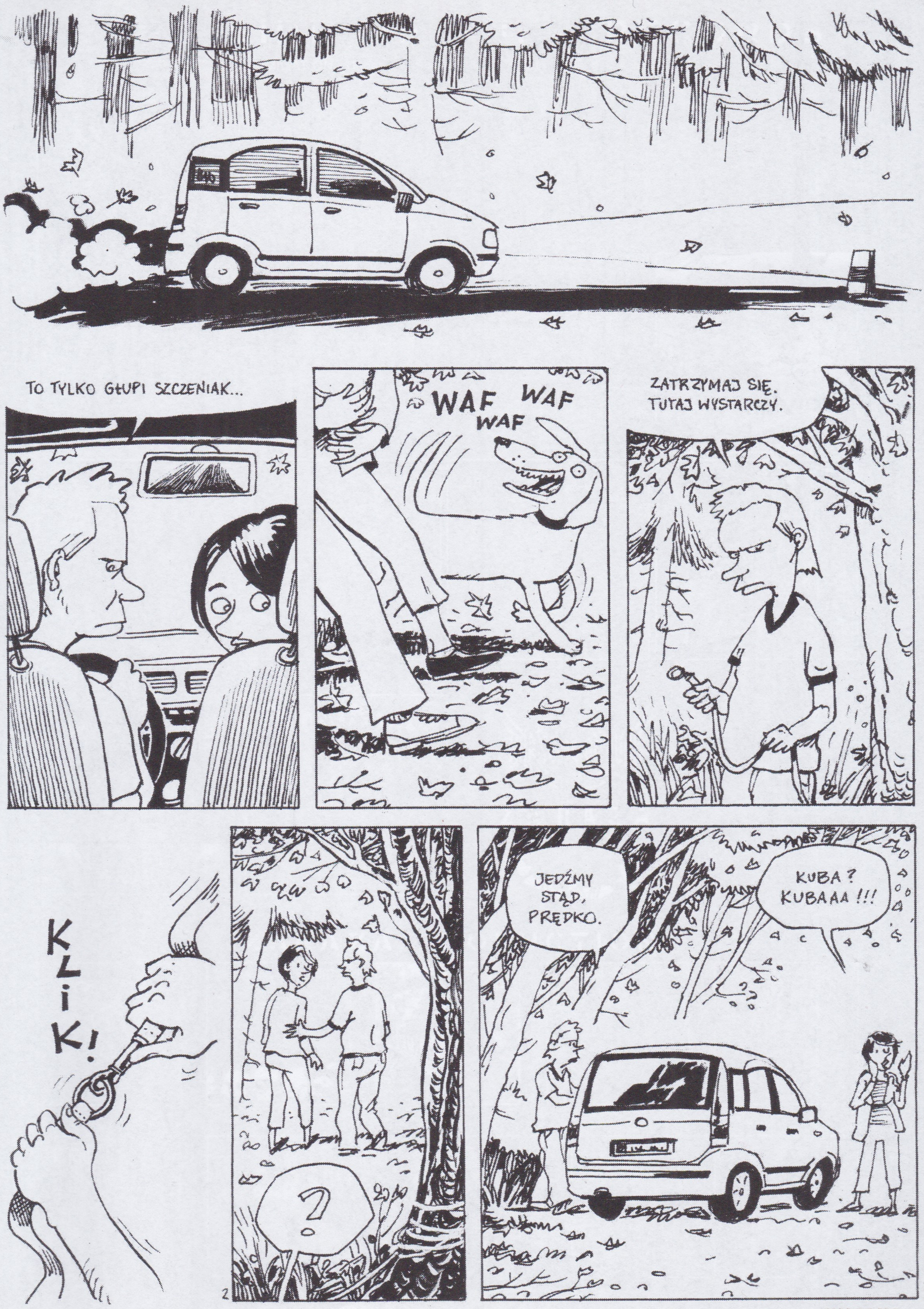

TO TYLKO GŁUPI SZCZENIAK...
WAF WAF WAF
ZATRZYMAJ SIĘ. TUTAJ WYSTARCZY.
KLIK!
?
JEDŹMY STĄD, PRĘDKO.
KUBA? KUBAAA !!!

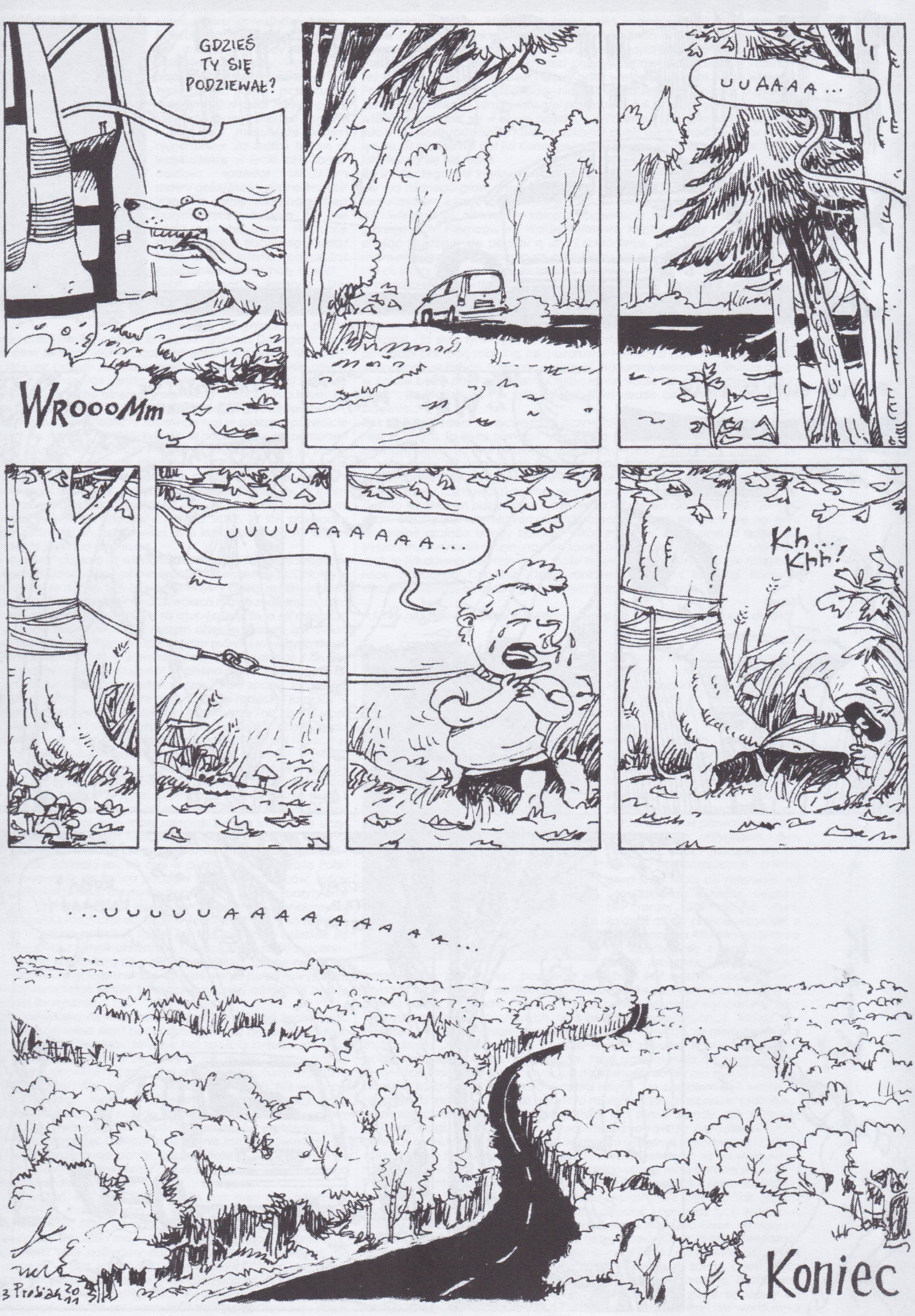

GDZIEŚ TY SIĘ PODZIEWAŁ?
WROOOMM
UUAAAA...
UUUUAAAAAAA...
Kh... Khr!
...UUUUUUAAAAAAAAAAA...
Koniec

DARK SIDE OF PUNK RECORDS

HUMILIATION - Under The Siege Of Invasion - LP (gatefold // splatter)

Nowy, szósty już (a pierwszy, który ukazuje się na winylu) album Malezyjczyków, o których bez cienia wątpliwości można powiedzieć, iż nie próżnują. Rok w rok, od 2010 raczą nas kolejnymi albumami. Jednocześnie nie zapominając w poprzytym o singlach i split singlach, które to dotychczas zdążyli współdzielić z WARMASTER, OBSCURE INFINITY, DECREPITAPH, PAGANIZER, SAVAGE DAITY, REVEL IN FLESH oraz najnowszy, z hiszpańskim MASS BURIAL.
Jeśli lubisz starej szkoły death metal, wprost spod batuty BOLT THROWER, to koniecznie sprawdź Humiliaiton - gwarantuje, że się nie zawiedziesz.
Płyta ukazuje się na zielono-czarnym winylu i jest oprawiona w czarną kopertę, oraz rozkładaną okładkę, wykonaną z grubego, powlekanego papieru.
Wersja CD, podobnie jak dwa poprzednie albumy została wydana przez amerykański Deepsend Records.
www.humiliation.my
www.facebook.com/HumiliationMalaysiaDeathMetal

ISKRA - Ruins - LP (+ massive booklet)

Nareszcie! Po długim oczekiwaniu proces wydania owej płyty dobiegł do mety.
Czas ów, zdecydowanie jednak wart był efektu, jakim ISKRA raczy nas na swym najnowszym, trzecim już albumie zatytułowanym Ruins.
Kanadyjczycy rodem z miasta Victoria łupią black metal, aż wióry lecą.
Jakie bez problemu można by umieścić na jednej hałdzie z tym, co ciosa MARDUK.
Ani na moment nie zapominając przy tym o silnej, politycznej warstwie lirycznej.
Tak drodzy Państwo - ISKRA, to jak sami siebie określają - anarchistyczny metal!
Tu właśnie znajdziemy solidne fundamenty, wyrosłe na przekazie min. CRASS, AMEBIX, ANTISECT, czy też CONFLICT.
Do płyty dołaczony jest 12-stronicowy booklet, o rozmiarach wielkości płyty.
Zawierający wszelkie informacje na temat tego, co zespół ma do przekazania.
Nie znasz ISKRA i właśnie zadajesz sobie pytanie, czy warto zaznajomić się z ich twórczością?
Otóż odpowiadam - zdecydowanie warto!
www.iskracrust.com
www.facebook.com/officialiskra

ICON OF EVIL / THE DEAD GOATS
split LP

UNHOLY GRAVE / COFFINS
split 10"MLP

AGATHOCLES / SUFFERING MIND
split EP

HELLISHEAVEN / WEALD
split EP

THE DEAD GOATS
Path Of The Goat - LP

www.darksideofpunk.com
darksideofpunk.bandcamp.com
soundcloud.com/darsideofpunk
facebook.com/darksideofpunk
youtube.com/user/darksideofpunk
twitter.com/darksideofpunk
darksideofpunk.tumblr.com
zarazaproduction.bandcamp.com
facebook.com/zarazaproduction
youtube.com/user/zarazaproduction
darksideofpunk@gmail.com

ZARAZA PRODUCTION

ENTH
s/t - LP

SUFFERING MIND / H.407
split LP

INFEKCJA
s/t - EP

SUFFERING MIND / PROTESTANT
split 6"EP

HELLISHEAVEN
Abyss of war - LP

HELLISHEAVEN / DISSENT
split EP

SUFFERING MIND
At war with mankind -10"MLP

NEXT VICTIM
This moment of... - CD

HELLISHEAVEN / CREEPING CORRUPT
split LP

TO CO, ŻE JESTEŚMY INNI!!?
NIE
NIE
NIE
STOP!
NIE
LA '15

CHAOS W MOJEJ GŁOWIE NR 12

CH
W MOJ

GRUDZIEŃ 2015

CHAOS U.K.
MORNE
PUTREFACTION
BURNCHURCH
STRESS
THE LOWEST
HERIDA PROFUNDA
CZERŃ
MITRĘGA
ARTYKUŁY ROLNE
CRUCIFIX